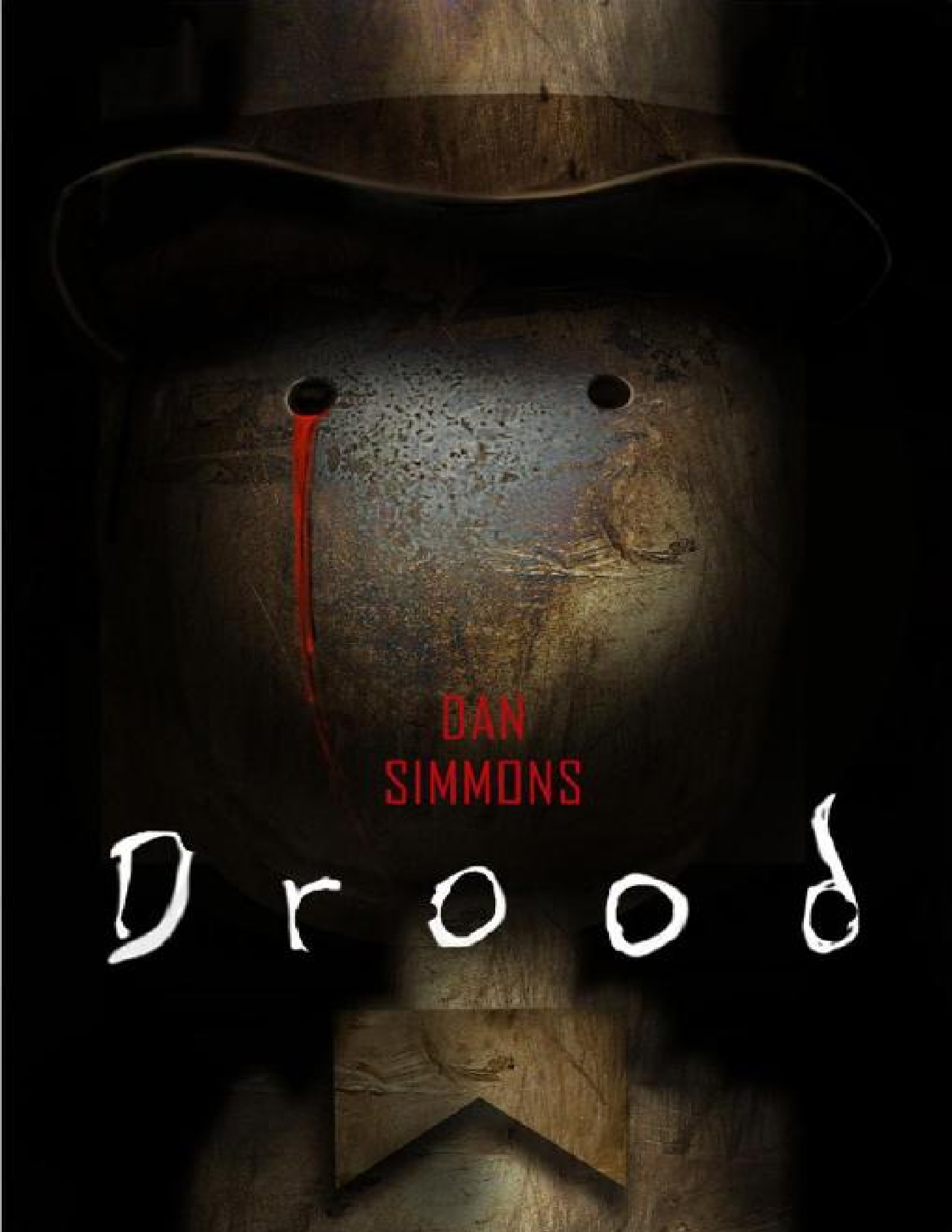
DAN
SIMMONS
Drood

DAN SIMMONS

Drood

Przełożyli Małgorzata Strzelec i Wojciech Szypuła

Wydawnictwo Mag

Warszawa 2012

Co zgubiło geniusza i dobrego człeka?
Jakiś demon mu szepnął: „Wilkie! Misja czeka!”.

– A. C. Swinburne
Forthnightly Review, listopad 1889

Rozdział 1

Nazywam się Wilkie Collins, spodziewam się jednak, że moje nazwisko, Drogi Czytelniku, niewiele Ci mówi, ponieważ zamierzam odwlec publikację niniejszego dokumentu do czasu, gdy od mojej śmierci minie co najmniej wiek i ćwierć. Niektórzy zarzucają mi skłonność do hazardu – i mają całkowitą rację, dlatego idę o zakład, że nie czytałeś ani nie widziałeś żadnej mojej powieści ani sztuki. Może Wy, Brytyjczycy i Amerykanie, w odległej o sto dwadzieścia pięć lat przyszłości w ogóle nie mówicie po angielsku. Może ubieracie się jak Hotentoci, mieszkacie w jaskiniach oświetlonych lampami gazowymi, podróżujecie balonami i porozumiewacie się za pomocą przesyłanych telegrafem myśli, którym nie przeszkadza żaden język, mówiony ani pisany.

Zarazem byłbym jednak gotowy postawić cały swój obecny majątek (jaki by tam był) oraz wszelkie przyszłe tantiemy (jakiekolwiek będą) na twierdzenie, że z całą pewnością znasz nazwisko, twórczość literacką i bohaterów powieści mojego przyjaciela i dawnego współpracownika, niejakiego Charlesa Dickensa.

Będzie to więc prawdziwa opowieść o moim przyjacielu (a w każdym razie człowieku, który kiedyś był moim przyjacielem) Charlesie Dickensie i wypadku w okolicy Staplehurst, w którym postradał zdrowie, spokój ducha, oraz, jak niektórzy powtarzają szeptem, zdrowe zmysły; opowieść o ostatnich pięciu latach z życia Charlesa, które przeżył dręczony nasilającą się obsesją na punkcie człowieka – o ile faktycznie był to człowiek – nazwiskiem Drood, a także na tle morderstw, śmierci, grobów, mesmeryzmu, opium, duchów oraz ulic i zaułków wypełnionych czarną żółcią trzewi Londynu, o których najchętniej mawiał „mój Babilon” lub „Wielki Piec”.

W tym rękopisie (który, jak już wspomniałem, ze względów formalnych i honorowych zamierzam opieczętować i ukryć

przed wzrokiem wszystkich do czasu, gdy od śmierci mojej i Charlesa upłynie z górą sto lat) odpowiem na pytania, które, jak mniemam, nikomu z naszych współczesnych nie przyszłyby nawet do głowy: Czy sławny, uwielbiany i czcigodny Charles Dickens planował zamordowanie niewinnego człowieka, rozpuszczenie zwłok w dole wypełnionym żrącym wapnem, a następnie potajemne pochowanie szczątków (czyli samych kości i czaszki) w krypcie prastarej katedry, która odegrała ważną rolę w jego dzieciństwie? Czy zamierzał zebrać wszystkie drobiazgi osobiste nieszczęsnej ofiary – okulary, pierścienie, szpilki do krawata, spinki do koszuli i zegarek kieszonkowy – i wyrzucić je do Tamizy? Jeżeli naprawdę tak było (a nawet jeśli Dickens tylko śnił o realizacji tego niecnego planu), jaką rolę w narodzinach jego obłędu odegrało nadzwyczaj rzeczywiste widmo imieniem Drood?

***

Dniem tragedii Dickensa był dziewiąty czerwca 1865 roku. Lokomotywa wioząca jego sukces, spokój ducha, zdrowe zmysły, rękopis oraz kochankę zmierzała wówczas – całkiem dosłownie – wprost w stronę wyrwy w torze i przerażającej katastrofy.

Nie mam pojęcia, czy Wy, Drodzy Czytelnicy, żyjący w tak odległej przyszłości, wciąż zapisujecie lub wspominacie dawne dzieje (być może, wyrzekliście się Herodota i Tukidydesa i na wieki utkwiliście w roku zerowym), jeśli jednak przetrwało do Waszych czasów jakiekolwiek, choćby najwątlejsze poczucie wagi historii, z pewnością przypominacie sobie doniosłe wydarzenia z roku, który w naszej rachubie nazwaliśmy Anno Domini 1865. Niektóre z nich, takie jak zakończenie bratobójczej pożogi w Ameryce, wielu mieszkańców Anglii uważało za dramatyczne i interesujące. Charles Dickens się do tych ludzi nie zaliczał. Mimo wielkiego zainteresowania Ameryką – odwiedził ją, pisał o niej (niezbyt pochlebnie, trzeba przyznać), a

następnie walczył zajadle o odszkodowanie za nielegalne wydania jego książek w chaotycznym światku dawnych kolonii, który za nic miał sobie prawa autorskie – niespecjalnie ciekawiła go wojna między jakąś odległą Północą i jeszcze odleglejszym Południem. Jednakże w roku 1865 – roku tragedii pod Staplehurst – miał wszelkie powody do zadowolenia z tego, jak potoczyły się jego osobiste dzieje.

Mój przyjaciel był najpopularniejszym powieściopisarzem w Anglii, a kto wie, czy nie na świecie. Wielu Anglików i Amerykanów uważało go za najwybitniejszego pisarza wszech czasów, wyłączając Shakespeare'a oraz, być może, Chaucera i Keatsa. Ja, rzecz jasna, zdawałem sobie sprawę, że to bzdura, lecz – jak to mówią (lub mawiali) – popularność rodzi popularność. Widziałem Charlesa Dickensa, jak ze spodniami opuszczonymi do kostek siedział w wiejskiej wygódce bez drzwi i beczał jak zbłąkana owca, błagając o kawałek papieru do podtarcia tyłka, musicie mi więc wybaczyć, jeśli ten obraz jest dla mnie bardziej autentyczny niż wizja „największego pisarza w dziejach ludzkości".

Ale tamtego czerwcowego dnia w 1865 roku Dickens naprawdę miał powody do satysfakcji.

Siedem lat wcześniej rozstał się z żoną, Catherine, która najwidoczniej uraziła go tym, że przez dwadzieścia dwa lata małżeństwa bez słowa skargi urodziła mu dziesięcioro dzieci, przeżyła po drodze kilka poronień i przez cały ten czas cierpliwie znosiła jego utyskiwania i zaspokajała wszelkie kaprysy. Zaskarbiła sobie tym jego sympatię do tego stopnia, że w 1865 roku na wiejskiej przechadzce, podczas której osączyliśmy kilka butelek miejscowego wina, Dickens opisał mi ją następującymi słowami:

– Jest mi bardzo droga, Wilkie, bardzo, naprawdę, ale… Ogólnie rzecz biorąc, jest raczej po krowiemu gamoniowata niż czarująca, raczej ociężała niż jakoś wybitnie kobieca… Jak mętna alchemiczna esencja umysłowej niezborności, ustawicznej niekompetencji, ślamazarnej ospałości i pogrążonego w samozadowoleniu nieróbstwa; gęsta breja, którą tylko użalanie się nad sobą może wzburzyć.

Wątpię, by pamiętał, że mi to powiedział, ja jednak nie zapomniałem jego słów.

Tak się złożyło, że biadolenie Catherine stało się gwoździem do jej trumny, jeśli wolno mi użyć tak potocznego określenia. Wszystko wskazuje na to (nie, wcale nie, nie ma żadnego „wskazuje”: przecież byłem przy tym, widziałem, jak osobiście nabył tę przeklętą błyskotkę), że po premierze *Zamarzniętej otchłani* Dickens sprezentował aktorce Ellen Ternan kosztowną bransoletkę, którą ten dureń jubiler kazał dostarczyć do Tavistock House, czyli jego londyńskiego domu, zamiast wprost do mieszkania panny Ternan. Na tę pomyłkę Catherine zareagowała smętnym biadoleniem i porykiwaniem, które przeciętna krowa rozwlekłaby zapewne na kilka tygodni. Nie chciała uwierzyć, że bransoletka jest po prostu dowodem całkowicie niewinnego podziwu jej męża dla aktorki, która tak cudownie (a moim zdaniem – ledwie zadowalająco) odegrała rolę Clary Burnham, ukochanej głównego bohatera w naszej… to znaczy, w mojej sztuce o nieodwzajemnionej miłości w Arktyce.

Prawdą jest, że – jak tłumaczył to głęboko urażonej żonie w 1858 roku – miał w zwyczaju hojnie obdarowywać swoich współpracowników z licznych występów w teatrach amatorskich. Od czasu wystawienia *Zamarzniętej otchłani* zdążył rozdać członkom ekipy już kilka bransoletek i wisiorków, jeden zegarek i jeden zestaw niebiesko emaliowanych spinek do koszuli.

Tyle że w tamtych obdarowanych się nie podkochiwał, a w młodej Ellen Ternan i owszem. Wiedziałem o tym ja, wiedziała Catherine Dickens… trudno powiedzieć, czy wiedział sam Dickens: był tak przekonującym twórcą fikcji literackiej (a przy tym jednym z najbardziej zadufanych w sobie ludzi, jacy kiedykolwiek stąpali po Ziemi), że wątpię, by kiedykolwiek analizował czy kwestionował kierujące nim głęboko ukryte motywy – chyba że były czyste jak źródlana woda.

W tym wypadku to właśnie on wpadł w szał i, rycząc wściekle na łatwo dającą się zastraszyć małżonkę, zarzucił

jej, że te oskarżenia są plamą na honorze nieskalanie czystej i będącej istnym wcieleniem doskonałości Ellen Ternan. Jego emocjonalne, romantyczne i – tak, tak, nie waham się użyć tego słowa – erotyczne fantazje zawsze koncentrowały się na świętym, rycerskim uwielbieniu dla jakiejś hipotetycznej niewinnej boginki, której kryształowy charakter nie podlegał dyskusji. Zapomniał chyba jednak, że Catherine widziała *Wujaszka Johna,* farsę wystawioną przez nas tuż po *Zamarzniętej otchłani* (trzeba Wam bowiem wiedzieć, Drodzy Czytelnicy, że w naszym stuleciu do tradycji należało wystawianie żartobliwej sztuki w połączeniu z poważnym dramatem), w której czterdziestoścoletni Dickens grał statecznego dżentelmena, Ellen Ternan zaś (zaledwie osiemnastoletnia) – jego podopieczną, w której, co oczywiste, wujaszek John zakochał się do szaleństwa. Catherine z pewnością miała również świadomość, że wprawdzie większość *Zamarzniętej otchłani* – dramatu o poszukiwaniach zaginionej ekspedycji Franklina – wyszła spod mojego pióra, ale to jej mąż napisał i wystawił romantyczną farsę, i to już po tym, jak poznał Ellen Ternan. Nie skończyło się zresztą na tym, że wujaszek John zakochał się w dziewczynie, którą miał się opiekować – zaczął ją także obsypywać (tu zacytuję didaskalia) „wspaniałymi prezentami: naszyjnikiem z pereł i kolczykami z brylantami”.

Nic więc dziwnego, że gdy przeznaczona dla Ellen droga bransoletka trafiła do Tavistock House, Catherine – znajdująca się akurat w okresie między jedną ciążą a drugą – otrząsnęła się ze swojej umysłowej niezborności i ślamazarnej ospałości, i ryczała jak mleczna krowa dźgnięta przez walijskiego pastucha ościeniem w kłąb.

Dickens zareagował tak, jak każdy poczuwający się do winy mąż – pod warunkiem, że ów mąż byłby najpoczytniejszym pisarzem w Anglii i całym świecie anglojęzycznym, a także, być może, najsławniejszym pisarzem w historii. Na początek uparł się, żeby Catherine złożyła wizytę Ellen Ternan i jej matce; w ten sposób miała wszystkim udowodnić, że nie żywi żadnych podejrzeń ani

cienia zazdrości. Krótko mówiąc, kazał swojej żonie publicznie przeprosić swoją kochankę, a w każdym razie kobietę, którą wkrótce miał uczynić swoją kochanką – gdy tylko zbierze się na odwagę, by rzecz całą należycie zaaranżować. Zapłakana i nieszczęśliwa Catherine zrobiła, co jej kazano: upokorzyła się złożeniem oficjalnej wizyty towarzyskiej pani i pannie Ternan.

Nie wystarczyło to jednak, by ugasić mężowski gniew, i Dickens wyrzucił z domu matkę dziesięciorga swoich dzieci. Posłał najstarszego syna, Charleya, żeby z nią zamieszkał, a resztę dzieci zatrzymał przy sobie – najpierw w Tavistock House, następnie w Gad's Hill Place. (Zawsze miałem wrażenie, że uwielbiał swoje dzieci do czasu, gdy zaczynały przejawiać samodzielność w jakichkolwiek sprawach – czyli, innymi słowy, gdy przestawały się zachowywać jak Mała Neli, Paul Dombey, czy inne postaci z jego książek. Wtedy bardzo szybko się nimi nudził).

Oczywiście, skandal wcale się na tym nie skończył. Zaprotestowali rodzice Catherine, lecz adwokaci Dickensa szybko zmusili ich do publicznego wycofania pretensji. Sam pisarz publikował oświadczenia, którymi terroryzował oponentów i wprowadzał opinię publiczną w błąd. Podchody prawnicze i nowa fala paskudnych publikacji doprowadziły do wymuszonej i nieodwołalnej separacji z Catherine. Skończyło się na tym, że Dickens odmówił wszelkich form kontaktu z byłą żoną, nawet w kwestiach dotyczących przyszłości ich dzieci.

Wszystko to zrobił człowiek, który dla swoich czytelników – nie tylko w Anglii, ale na całym świecie – był ucieleśnieniem idei posiadacza „szczęśliwego domu".

Naturalnie, w dalszym ciągu potrzebował w domu kobiety, mimo że utrzymywał liczną służbę. Miał dziewięcioro dzieci, z którymi nie chciał mieć nic wspólnego poza tymi rzadkimi chwilami, gdy przychodziła mu ochota pobawić się z nimi albo posadzić je sobie na kolanach i pozować do zdjęć. Miał zobowiązania towarzyskie. Ktoś musiał przygotowywać karty dań, listy zakupów i zamówienia dla kwiaciarek. Ktoś musiał

dopilnować sprzątania i zorganizować funkcjonowanie domu, a Charles Dickens nie mógł sobie zawracać głowy takimi drobiazgami. Był przecież, jakkolwiek na to spojrzeć, największym pisarzem na świecie.

Zrobił zatem rzecz oczywistą – nawet jeśli ani Wam, Szanowni Czytelnicy, ani mnie oczywistą się ona nie wydaje. (Może w odległym dwudziestym czy dwudziestym pierwszym wieku, któremu powierzam te wspomnienia, naprawdę jest to rzecz oczywista. A może jesteście po prostu na tyle bystrzy, że na dobre porzuciliście dziwaczną, zgoła idiotyczną instytucję małżeństwa. Jak się wkrótce przekonacie, ja przez całe życie skutecznie unikałem wiązania się węzłem ślubnym; wolałem żyć z jedną kobietą i w tym samym czasie mieć dzieci z inną. Niektórzy moi współcześni – ku mojej wielkiej uciesze – nazywali mnie z tego powodu łotrem i łajdakiem. Ale odbiegam od tematu).

Zrobił więc Dickens rzecz oczywistą: wziął Georginę, siostrę Catherine i starą pannę, i uczynił z niej swoją zastępczą żonę, panią domu, opiekunkę dla dzieci, gospodynię rozlicznych przyjęć i proszonych kolacji, a także sierżanta kucharek i całej służby.

Kiedy pojawiły się – nieuniknione – plotki (dotyczące Georginy, nie Ellen Ternan, która, rzec by można, usunęła się ze światła lamp gazowych w cień), Dickens wezwał do Tavistock House lekarza, któremu kazał zbadać Georginę, a następnie opublikować oświadczenie, w którym lekarz wszem wobec obwieścił, że panna Georgina Hogarth jest *virgo intacta.*

I na tym cała sprawa miała się zakończyć. Tak przynajmniej zakładał Charles Dickens.

Jego młodsza córka powiedziała mi później (a właściwie wypowiedziała te słowa w moim bezpośrednim sąsiedztwie, tak że bez przeszkód je usłyszałem):

– Mój ojciec był jak obłąkany. Ten romans obnażył w nim wszystko, co najgorsze i najsłabsze. Miał w nosie, co się z nami stanie. Nasza niedola nie miała sobie równych.

Jeżeli Dickens zdawał sobie sprawę z ich nieszczęścia (albo

jeżeli miało ono dla niego jakiekolwiek znaczenie), to z pewnością tego nie okazywał – ani mnie, ani swoim nowym przyjaciołom, którzy z czasem stali mu się wyjątkowo bliscy.

Słusznie zakładał, że kryzys nie zaszkodzi jego powodzeniu u czytelników, którzy albo nie mieli pojęcia o jego rodzinnych wybrykach, albo po prostu mu je wybaczali. Był przecież angielskim prorokiem szczęśliwego domu i największym pisarzem na świecie. Zasługiwał na ulgowe traktowanie.

Nasi koledzy po fachu i przyjaciele również wybaczali mu i zapominali (wszyscy z wyjątkiem Thackeraya, ale to co innego), a ja muszę przyznać, że niektórzy z nich – niektórzy z nas! – po cichu podziwiali Charlesa za to, że umiał się uwolnić od rodzinnych zobowiązań wobec tak nieatrakcyjnej i uciążliwej dryfkotwy. Jego wyzwolenie było promykiem nadziei dla najżałośniejszych nawet mężów, a nas, kawalerów, bawiło jako dowód na to, że jednak można wrócić z niezbadanych krain małżeńskich, z których, jak powiadano, nie ma powrotu.

Bądź jednak łaskaw, Drogi Czytelniku, nie zapominać, że mówimy o człowieku, który niewiele wcześniej, na krótko przed zawarciem znajomości z Ellen Ternan, kiedy razem krążyliśmy po teatrach w poszukiwaniu, jak to nazywaliśmy, „wyjątkowych kwiatuszków” (młodziutkich i prześlicznych aktoreczek, których uroda wyjątkowo trafiała w nasz gust), powiedział do mnie tak:

– Jeżeli masz jakiś dobry pomysł na to, jak spędzić noc, Wilkie, mów śmiało. Nieważne, co to będzie; na tę jedną noc odrzucam wszelkie konwenanse. Jeśli twój umysł spłodzi coś, co przypominałoby sybarycki Rzym w schyłkowym okresie z jego nieokiełznaną zmysłowością, oddaję się w twoje ręce.

Na taką zabawę byłem przygotowany.

***

Do dziś pamiętam dzień dziewiąty czerwca 1865 roku, który zapoczątkował istną kaskadę niewiarygodnych wydarzeń.

Dickens, który od przesilenia zimowego skarżył się na przemęczenie pracą oraz ból, jak to nazywał, „odmrożonej stopy”, zrobił sobie tydzień wolnego (kończył wówczas *Naszego wspólnego przyjaciela*) i wybrał się do Paryża. Nie wiem, czy Ellen Ternan i jej matka mu towarzyszyły, wiem natomiast, że z nim wróciły.

Pewna kobieta, której nigdy nie poznałem osobiście i nie mam takiego zamiaru, pani William Clara Pitt Byrne (przyjaciółka, jak słyszałem, Charlesa Watertona – naturalisty i podróżnika, który zjeździł pół świata, a zginął wskutek głupiego poślizgnięcia się w swojej rezydencji Walton Hall zaledwie jedenaście dni przed wypadkiem pod Staplehurst; ponoć jego duch nawiedzał później posiadłość pod postacią olbrzymiej czapli siwej), lubowała się w podsyłaniu do redakcji „Timesa” złośliwych ploteczek. Poniższa szydercza notka – doniesienie o tym, że dziewiątego czerwca naszego przyjaciela widziano na promie z Boulogne do Folkestone – ukazała się drukiem kilka miesięcy po wypadku:

> *Towarzyszyła mu kobieta niebędąca ani jego żoną, ani szwagierką, co nie przeszkadzało mu przechadzać się po pokładzie z dumną miną i zadartym nosem, a każda zmarszczka na jego twarzy i każdy, najmniejszy nawet gest mówił wyniośle „Patrzcie na mnie, napawajcie się moim widokiem: oto ja, jedyny, niepowtarzalny, wielki Charles Dickens. Cokolwiek robię, moja wyjątkowa tożsamość dostatecznie mnie tłumaczy”.*

Podobno pani Byrne zasłynęła przed laty wydaniem książki zatytułowanej *Flamandzkie wnętrza.* Moim skromnym zdaniem lepiej by zrobiła, oszczędzając ostre pióro na pisanie o sofach i tapetach, ponieważ opisywanie istot ludzkich najwyraźniej ją przerasta.

Po zejściu na ląd w Folkestone, Dickens, Ellen i pani Ternan wsiedli do pociągu, który czekał na przybywający z przypływem prom i o czternastej trzydzieści osiem odjeżdżał do Londynu. Zbliżając się do Staplehurst, byli jedynymi

pasażerami w całym wagonie – jednym z siedmiu wagonów pierwszej klasy, jakie tego dnia prowadził pociąg. Maszynista rozpędził lokomotywę do pełnej prędkości (około pięćdziesięciu mil na godzinę). O piętnastej jedenaście pociąg przejechał przez Headcorn i zaczął się zbliżać do wiaduktu kolejowego nieopodal Staplehurst – chociaż określenie „wiadukt” (pojawiające się w oficjalnym przewodniku kolejowym) nadano chyba trochę na wyrost żelaznej kratownicy mostu podtrzymującego ciężkie drewniane belki przerzucone nad płytką w tym miejscu rzeką Beult.

Na przęśle mostu trwała właśnie rutynowa wymiana starych dźwigarów. Późniejsze śledztwo (z którego czytałem sprawozdanie) dowiodło, że brygadzista źle sprawdził godzinę przyjazdu pociągu w rozkładzie i spodziewał się go dopiero za dwie godziny. (Wygląda na to, że nie tylko my, podróżni, dajemy się zwieść brytyjskim rozkładom jazdy z nieskończonymi przypisami i nawiasami odnoszącymi się do świąt, weekendów i pór przypływu).

Tysiąc jardów przed remontowanym odcinkiem torów (dwie szyny zostały już odkute od podkładów i odłożone na bok) powinien stać człowiek z czerwoną chorągiewką – tak stanowią przepisy kolejowe i angielskie prawo. Z niewiadomych przyczyn człowiek z chorągiewką stał jednak zaledwie pięćset pięćdziesiąt jardów od wiaduktu, co dla pociągu ekspresowego relacji Folkestone–Londyn stanowi daleko niewystarczający dystans do zahamowania.

Na widok uniesionej poniewczasie chorągiewki – a także dziury w torach, co musiało stanowić widok o wiele bardziej dramatyczny – maszynista zrobił co w jego mocy. Może w czasach, w których żyjesz Ty, Drogi Czytelniku, pociągi są już wyposażone w hamulce, które można uruchomić z kabiny maszynisty, lecz w naszym roku 1865 rzecz miała się zgoła inaczej: każdy wagon należało wyhamować osobno i czyniono to tylko na wyraźne polecenie prowadzącego pociąg. Maszynista dał więc wściekłym gwizdem znak wszystkim hamulcowym w wagonach, lecz nie na wiele się to zdało.

Według raportu ze śledztwa pociąg najechał na wyrwę w torowisku z prędkością około trzydziestu mil na godzinę. Wydaje się to niewiarygodne, ale lokomotywa dosłownie przeskoczyła mierzącą czterdzieści dwie stopy wyrwę, wylądowała na drugim brzegu rzeki i dopiero tam się wykoleiła. Z siedmiu wagonów pierwszej klasy sześć oderwało się od składu, spadło z mostu i roztrzaskało się w zabagnionym korycie rzeki.

W wagonie, który ocalał, jechał Dickens, jego kochanka, i jej matka. Znajdujący się bezpośrednio za lokomotywą wagon strażniczy został przerzucony na sąsiedni tor, pociągając za sobą następne ogniwo – wagon drugiej klasy. Następny w kolejności był wagon Dickensa, który, wierzgając wściekle, wpadł na wiadukt, pokonał część jego długości i zawisł nad przepaścią. Przed upadkiem powstrzymało go tylko połączenie z wagonem drugiej klasy. Tylna część składu nawet nie wypadła z szyn, ale sześć pierwszych klas poleciało w dół, roztrzaskało się o podmokły grunt, pogięło, połamało i w ogóle zmieniło się w jeden wielki stos drzazg.

W listach do przyjaciół Dickens wspominał czasem o tamtej chwili, ale zawsze czynił to dyskretnie i starał się nie wyjawiać nazwisk swoich współpasażerek. Jestem pewien, że tylko mnie opowiedział tę historię w całości.

A tak pisał o tym w jednej z szerzej rozpowszechnionych listownych wersji opowieści:

> *Nagle wypadliśmy z szyn. Wagon załomotał o ziemię jak gondola na wpół pustego balonu.*
>
> *– Mój Boże! zawołała starsza pani* [czytaj: pani Ternan]*.*
>
> *Towarzysząca jej młoda dama* [czytaj: Ellen Ternan, naturalnie] *krzyknęła z przerażenia. Chwyciłem je obie w ramiona i powiedziałem:*
>
> *– Nie możemy sobie pomóc, ale z pewnością możemy zachować spokój. Bardzo was proszę, drogie panie, nie krzyczcie.*

Starsza pani natychmiast odparła:

– Dziękuję panu. Może pan na mnie polegać. Klnę się na mą duszę, że zachowam milczenie.

Wtem wagon przechylił się i znieruchomiał, a my wylądowaliśmy stłoczeni w kącie.

Istotnie, wagon przechylił się mocno w dół i w lewo. Wszystkie bagaże i nieprzymocowane przedmioty poleciały w dół i w lewo. Już do końca życia Charles Dickens miał czasem doświadczać uczucia, jak gdyby „dosłownie wszystko, całe moje ciało przechylało się i spadało w dół i w lewo".

Tymczasem kontynuuje swoją opowieść:

Zwróciłem się do kobiet:

– Zapewniam panie, że nic gorszego stać się nie może. Niebezpieczeństwo bez wątpienia minęło. Proszę zatem, zostańcie tutaj i nie ruszajcie się, ja zaś tymczasem wyjdę przez okno.

Dickens – całkiem zwinny jak na pięćdziesięciotrzylatka – nagle zapomniał o „odmrożonej stopie" (jako człowiek od dawna cierpiący na podagrę, która zmuszała mnie do wieloletniego przyjmowania laudanum, umiem rozpoznać podagrę po objawach i jestem przekonany, że tym właśnie było rzekome „odmrożenie" u Dickensa), wygramolił się przez okno, wykonał ryzykowny skok ze schodków wagonu na torowisko powyżej mostu i, jak potem opowiadał, zobaczył dwóch strażników, którzy, kompletnie zagubieni, biegali tam i z powrotem wzdłuż torów. Pisał później, że jednego z nich złapał za rękaw i krzyknął:

– Spójrz na mnie! Zatrzymaj się i spójrz na mnie! Powiedz, czy mnie znasz.

– Znamy pana doskonale, panie Dickens – miał odpowiedzieć strażnik.

Dickens się rozpromienił, zachwycony, że nawet w takiej chwili został rozpoznany (Clara Pitt Byrne mogłaby mu w tym miejscu wytknąć, że ten zachwyt dowodzi jego

małostkowości), i niemal radośnie zawołał:

– Wobec tego, dobry człowieku, daj mi swoje klucze, na Boga, i przyślij tu jednego z robotników. Zamierzam opróżnić ten wagon.

W listach, które Dickens rozsyłał potem do znajomych, strażnik zrobił, co mu kazał, robotnicy położyli deski ułatwiające zejście do wiszącego wagonu, a na koniec on sam zszedł do środka, przeczołgał się na drugi koniec wnętrza i zabrał stamtąd swój cylinder i butelkę brandy.

Powinienem w tym miejscu przerwać opowieść naszego wspólnego przyjaciela i nadmienić, że później, posiłkując się oficjalnym raportem kolejowym z katastrofy, odnalazłem strażnika, którego Dickens miał zatrzymać i zdopingować do jakże użytecznych czynności. Ów strażnik, niejaki Lester Smyth, zgoła inaczej wspominał tamte chwile:

– Próbowaliśmy zejść na dół, pomóc rannym i umierającym, a tu nagle ten elegancik gramoli się z wiszącego wagonu pierwszej klasy, podbiega do Paddy'ego Beale'a i do mnie, blady jak ściana, z takim dzikim wzrokiem, i drze się na nas: „Poznajesz mnie?! Człowieku, poznajesz mnie?! Wiesz, kim jestem?!". Nie ukrywam, że odpowiedziałem mu tak: „Nic mnie nie obchodzi, kim jesteś, brachu, możesz sobie być nawet księciem Albertem, ale zejdź mi z drogi, do diaska". Zazwyczaj nie zwracam się tak do dżentelmenów, ale to nie był zwyczajny dzień.

W każdym razie Dickens naprawdę pokierował robotnikami, którzy wydostali Ellen Ternan i jej matkę z opresji; naprawdę wrócił do wagonu po cylinder i brandy; naprawdę napełnił cylinder wodą, gdy zszedł po skarpie nad rzekę. Wszyscy świadkowie twierdzili też zgodnie, że natychmiast ruszył nieść pomoc rannym i umierającym.

***

Przez ostatnie pięć lat życia po wypadku pod Staplehurst opisywał scenę po katastrofie tylko w jeden sposób: „To było coś niewyobrażalnego". O tym zaś, co wówczas usłyszał,

mówił lakonicznie „Niepojęte”. I tak wypowiadał się człowiek, który w powszechnej opinii miał najbujniejszą wyobraźnię ze wszystkich angielskich pisarzy – poza sir Walterem Scottem; człowiek, który zawsze dbał przynajmniej o to, żeby jego historie były klarowne i zrozumiałe.

Być może, niewyobrażalne zaczęło się, kiedy spróbował zejść po stromym brzegu rzeki, gdy oto nagle obok niego wyrósł jak spod ziemi wysoki, szczupły mężczyzna w grubej czarnej pelerynie, bardziej stosownej na wieczorne wyjście do opery niż popołudniową podróż ekspresem do Londynu. Obaj w jednej ręce nieśli cylindry, drugą zaś chwytali się dogodnych występów na skarpie, żeby nie stracić równowagi. Człowiek ten, jak opisywał mi go Dickens chrapliwym szeptem kilka dni po wypadku, kiedy, jak twierdził, „głos go zawodził”, był chudy jak szkielet, trupio blady i wpatrywał się w niego mrocznym spojrzeniem oczu osadzonych głęboko pod białym jak płótno czołem, przechodzącym w równie bladą łysinę. Tylko po bokach tej trupiej czaszki uchowały się nieliczne pasma siwiejących włosów. Dickens mówił również, że podobieństwo do trupiej czaszki dodatkowo podkreślał nienaturalnie krótki nos intruza – „raczej dwie czarne szpary w białej jak ciało robaka twarzy, niż nos z prawdziwego zdarzenia”, dokładnie takich słów użył – oraz drobne, ostre, nierówne zęby, nazbyt rozstrzelone i osadzone w dziąsłach tak bladych, że zdawały się bledsze od samych zębów.

Zauważył również, że nieznajomy nie ma – albo prawie nie ma – dwóch palców u prawej ręki (małego i serdecznego), a także palca środkowego lewej. Uwagę Dickensa przykuł fakt, że palce nie zostały bynajmniej amputowane w stawie, jak to najczęściej bywa podczas wypadków lub spowodowanych nimi późniejszych operacji, lecz przecięte w połowie długości paliczków.

(– Wyglądały jak nadtopione świece z białego wosku – tłumaczył mi potem).

Skonsternowany Dickens zupełnie nie wiedział co myśleć o jegomościu w czarnej pelerynie, gdy obaj wyszukiwali

dogodnych chwytów wśród krzewów i kamieni.

– Jestem Charles Dickens – wysapał.

– Owszszszem… – odparła blada twarz, cedząc syczące dźwięki spomiędzy drobnych zębów. – Wiem o tym.

Konsternacja Dickensa tylko się powiększyła.

– A pana godność? – zapytał, gdy razem zsunęli się po żwirze.

– Drood – odparł tamten.

Tak przynajmniej wydało się Dickensowi, ponieważ nieznajomy przeciągał głoski i mówił ze śladowym, chyba cudzoziemskim akcentem, przez co słowo zabrzmiało raczej jak „dread”[1].

– Jechał pan pociągiem do Londynu? – pytał dalej Dickens. Znajdowali się już prawie u stóp skarpy.

– Do Limehouse – wysyczał niezgrabiasz w czarnej pelerynie. – Do Whitechapel. Ratcliff Crosss. Gin Alley. Three Foxesss Court. Butcher Row i Commercial Road. Do mennicy i innych ptasich kolonii wssschodniego Londynu.

Dickens spojrzał na niego z ukosa, zdumiony tą dziwaczną wyliczanką, ponieważ pociąg jechał wprost do centrum Londynu i nie zamierzał zapuszczać się w mroczne zaułki wschodniej części miasta. „Ptasimi koloniami” zaś nazywano potocznie najgorsze londyńskie dzielnice nędzy. W tejże jednak chwili wylądowali wreszcie na samym dole stromizny i „Drood” bez słowa okręcił się na pięcie i wśliznął w półmrok pod wiaduktem. W kilka sekund jego peleryna idealnie wtopiła się w cień.

(– Nie zrozum mnie źle – wyjaśnił mi później szeptem Dickens. – Nawet przez myśl mi nie przeszło, że ta dziwaczna postać mogłaby być Śmiercią we własnej osobie, która przyszła upomnieć się o swoich. Nie doszukiwałem się w niej w ogóle żadnej osoby z zawiązującej się już wtedy tragedii; byłby to banał nazbyt wyświechtany nawet dla znacznie słabszych pisarzy ode mnie. Muszę jednak przyznać, Wilkie, że przyszło mi do głowy, że ten Drood może być przedsiębiorcą pogrzebowym ze Staplehurst lub innej pobliskiej mieściny).

Kiedy został sam, skoncentrował się na skutkach katastrofy.

Wagony, które spoczęły w rzece i na jej mulistych brzegach, w niczym nie przypominały już pojazdów kolejowych. Gdyby nie żelazne osie i koła sterczące z wody tu i ówdzie pod jakimiś niewiarygodnymi kątami, można by pomyśleć, że osiedle drewnianych domków spadło z nieba, porwane uprzednio przez amerykański cyklon, który przemielił je na kawałki i porzucił właśnie tutaj. A potem coś poderwało je w powietrze drugi raz i drugi raz przemieliło.

Dickens nie spodziewał się, że ktokolwiek mógł przeżyć taką katastrofę, ale po dolinie niosły się krzyki ocalałych (liczba rannych znacząco przewyższała bowiem liczbę zabitych). Z początku nie rozpoznał w nich w ogóle ludzkich dźwięków; nie wiadomo dlaczego, wydały mu się nieskończenie straszniejsze od jęków i wrzasków, których nasłuchał się podczas wizyt w przepełnionych szpitalach, takich jak East London Children’s Hospital w Ratcliff Cross (o którym przed chwilą wspominał Drood), gdzie umierali ubodzy i niepotrzebni. C nie, te krzyki brzmiały tak, jakby ktoś otworzył bramę prowadzącą wprost w czeluście piekieł i pozwolił wszystkim potępieńcom ostatni raz porazić wrzaskiem świat śmiertelnych.

Zobaczył mężczyznę, który chwiejnym krokiem szedł w jego stronę, z ramionami rozpostartymi szeroko jak do uścisku. Czubek głowy miał odcięty jak jajko na miękko gotowe do spożycia na śniadanie. Wewnątrz czaszki połyskiwała wyraźnie widoczna szaroróżowa pulpa. Całą twarz miał we krwi. Dwoje białych oczu łyskało spod strug szkarłatu.

Z braku lepszego pomysłu Dickens podał mu butelkę brandy, która wróciła do niego z umazaną na czerwono szyjką. Pomógł nieszczęśnikowi położyć się na trawie i wodą z cylindra obmył mu twarz.

– Jak pańska godność, szanowny panie? – zapytał.

– Już po mnie – odparł mężczyzna i umarł. Białe oczy patrzyły w niebo z głębi dwóch czerwonych kałuż.

Cień przesunął się po ziemi i Dickens aż podskoczył, przeświadczony, jak mi później mówił, że to Drood stanął nad nimi z czarną peleryną rozpostartą jak skrzydła kruka, ale to tylko zbłąkana chmura na moment przesłoniła słońce.

Dopełniwszy cylinder wodą z rzeki, Dickens napatoczył się na kobietę, której ołowianej barwy twarz również była zalana krwią. Kobieta była prawie naga, krwawe strzępy ubrania zwisały z niej jak stare bandaże, nie okrywając poharatanego ciała. Straciła lewą pierś. Nie zatrzymała się przy Dickensie, który chciał ją opatrzyć; chyba w ogóle nie słyszała jego nalegań, żeby usiadła spokojnie i czekała na pomoc. Minęła go raźnym krokiem i zniknęła wśród nielicznych drzew porastających brzeg rzeki.

Pomógł dwóm oszołomionym strażnikom wyciągnąć zmiażdżone ciało innej kobiety ze sprasowanego wagonu i ostrożnie ułożyć je na ziemi. Jakiś mężczyzna brodził w płytkiej wodzie, zawodząc:

– Moja żona! Moja żona!

Dickens zaprowadził go do zwłok, na widok których mężczyzna zawył boleściwie, wyrzucił ręce nad głowę i popędził jak obłąkany w głąb nadrzecznych mokradeł, miotając się rozpaczliwie i wydając dźwięki, które Dickens opisywał mi później jako „przedśmiertne rzężenie i chrząkanie dzika ugodzonego w płuca kilkoma kulami dużego kalibru”. A potem zemdlał i padł w bagno, raczej jak człowiek z przestrzelonym sercem niż płucami.

Wróciwszy do porozbijanych wagonów, mój przyjaciel natknął się na kobietę, która stała oparta o drzewo i – nie licząc strużki krwi na twarzy (sączącej się zapewne z jakiejś niewielkiej rany głowy) – wyglądała na całą i zdrową.

– Przyniosę pani wody – zaproponował.

– To bardzo miło z pańskiej strony – odparła z uśmiechem.

Dickens się wzdrygnął. Kobieta straciła wszystkie zęby.

Kiedy zszedł nad wodę i obejrzał się przez ramię, zobaczył jakąś postać, którą wziął za Drooda (nikt inny nie ubrałby się, jak ostatni dureń, w grubą teatralną pelerynę w taki ciepły czerwcowy dzień), z troską pochylającą się nad

bezzębną kobietą. Kiedy zaś po kilkunastu sekundach wrócił z cylindrem pełnym wody, mężczyzna w czerni zniknął bez śladu, a kobieta już nie żyła. Leżała na ziemi, szczerząc poranione, bezzębne dziąsła w parodii uśmiechu.

Znów wrócił do resztek pociągu i wśród szczątków jednego z wagonów dostrzegł słabo pojękującego młodego człowieka. Kolejni ratownicy schodzili po skarpie. Dickens wybrał paru najsilniejszych strażników, żeby pomogli mu wydostać młodzieńca spod potłuczonego szkła, strzępów czerwonego aksamitu, żelastwa i kawałków potrzaskanej drewnianej podłogi. Kiedy strażnicy, postękując z wysiłku, dźwigali ciężkie ramy okienne i wyłamywali deski podłogi, które nagle stały się belkami stropowymi, Dickens ściskał rękę młodzieńca, pocieszając go:

– Zaraz będziesz bezpieczny, synu.

– Dziękuję… – wysapał ranny mężczyzna, który najwidoczniej również podróżował wagonem pierwszej klasy. – Jest pan niezwykle uprzejmy.

– Jak się pan nazywa? – zapytał nasz pisarz, kiedy wynieśli młodzieńca na brzeg.

– Dickenson.

Charles Dickens dopilnował więc, by panicz Dickenson został przetransportowany na górę, na nasyp kolejowy, gdzie stale przybywało ratowników, a sam jeszcze raz wrócił na miejsce masakry. Biegał od jednego rannego do drugiego, podtrzymywał, pocieszał, poił, uspokajał, czasem okrywał ich znalezionymi przypadkiem łachmanami i nieustannie badał napotkane ciała w poszukiwaniu oznak życia.

Niektórzy pasażerowie zachowali zimną krew, ale wielu było takich, jak mówił później Dickens, którzy – w szoku – stali bez ruchu i tępo gapili się w przestrzeń. Ludzi, którzy w owo makabryczne popołudnie najżwawiej się uwijali wśród szczątków pociągu i nasłuchiwali jęków rannych, było dwóch: jednym był Dickens, drugim – dziwak nazwiskiem Drood, chociaż ten drugi, w czarnej pelerynie, cały czas trzymał się poza zasięgiem głosu, na granicy pola widzenia, i raczej prześlizgiwał się po trawie, niż chodził od wagonu do

wagonu.

Dickens znalazł masywną kobietę, której wiejski strój z taniego materiału sugerował, że jechała którąś z niższych klas. Leżała na brzuchu na podmokłej ziemi, z rękami podkulonymi pod tułów. Odwrócił ją, żeby się upewnić, że opuściła już świat żywych, gdy wtem w umorusanej błotem twarzy otworzyły się oczy.

– Ocaliłam ją! – wydyszała kobieta. – Ocaliłam ją przed nim!

Dickens nie od razu dostrzegł dziecko ściśnięte między jej grubymi ramionami, z buzią wciśniętą w obwisłe piersi. Było martwe; albo utopiło się w płytkim bagnisku, albo udusiło pod ciężarem matki.

Na dźwięk syczącego wołania odwrócił się i zobaczył bladego jak ściana Drooda, który zamachał do niego z pajęczyny cieni pod mostem. Ruszył w jego kierunku, ale po drodze natknął się jeszcze na odwrócony do góry nogami wagon, gdzie z resztek okna wystawała naga, lecz całkiem kształtna kobieca ręka. Skinęła palcami, jakby go przyzywała.

Przykucnął i ujął delikatne palce w obie dłonie.

– Jestem przy tobie, najdroższa – szepnął w głąb niewielkiego otworu, który zaledwie przed kwadransem był najprawdziwszym oknem wagonu kolejowego. Kiedy ścisnął dłoń kobiety, odpowiedziała mu tym samym, jakby chciała w ten sposób wyrazić wdzięczność za ocalenie.

Dickens przykucnął, ale zobaczył tylko podartą tapicerkę, ciemne kształty i cienie w maleńkiej trójkątnej pieczarze wraku. Nie znalazł dość miejsca, żeby wcisnąć do środka choćby głowę i ramiona, (górna krawędź okna znajdowała się tuż nad błotnistym gruntem), ale usłyszał przyśpieszony, przerażony oddech rannej, którego nie zagłuszało nawet bulgotanie płynącej wartko rzeki. Nie myśląc o tym, jak niestosowny może być to gest, przesunął palcami po odsłoniętym damskim ramieniu, sięgając najdalej jak mógł w głąb wraku. Bladą skórę porastały delikatne rudawe włoski, w popołudniowym słońcu połyskujące jak miedź.

– Już idą strażnicy – powiedział w głąb otworu, nie puszczając dłoni rannej. – Chyba jest z nimi lekarz.

Nie miał pewności, czy jegomość w brązowym garniturze ze skórzaną torbą rzeczywiście jest lekarzem, ale gorąco się modlił, żeby tak właśnie było. Czterej strażnicy, uzbrojeni w toporki i łomy, truchtali przodem; dżentelmen w garniturze, sapiąc jak lokomotywa, usiłował dotrzymać im kroku.

– Tutaj! – zawołał do nich Dickens.

Ścisnął rękę uwięzionej kobiety. Jej pałce zacisnęły się w odpowiedzi, zacisnęły i rozluźniły, zacisnęły i rozluźniły na jego palcu wskazującym jak paluszki niemowlęcia, które instynktownie chwyta ojcowską dłoń. Nic nie mówiła, lecz Dickens nadal słyszał jej dobiegające z ciemności westchnienia. Brzmiały prawie tak, jakby wzdychała z zadowolenia. Ściskał jej dłoń w obu swoich i modlił się w duchu, żeby dama nie była ciężko ranna.

– Tutaj! Szybciej, na litość boską! – zawołał.

Ratownicy zebrali się wokół niego, i przysadzisty mężczyzna w garniturze przedstawił się jako doktor Morris, lekarz. Dickens odmówił zarówno odsunięcia się od wraku, jak i wypuszczenia z rąk dłoni kobiety, gdy czterej strażnicy zaczęli łomami podważać ramę okna, odsuwać połamane deski i pogięte żelastwo, żeby powiększyć tę mikroskopijną przestrzeń, w której cudem ocalała nieznajoma.

– Ostrożnie! – krzyknął. – Uważajcie, panowie! Niech nic się wam nie obsunie! Ostrożnie z tymi łomami! – Zgiął się wpół, żeby jeszcze bardziej nachylić się nad otworem, mocno ścisnął dłoń kobiety i wyszeptał: – Już prawie cię mamy, najdroższa. Wytrzymaj jeszcze minutkę. Bądź dzielna.

Odpowiedziała mu ostatnim zaciśnięciem palców, w którym wyraźnie wyczuwał jej wdzięczność.

– Będzie się pan musiał odsunąć, mój panie – powiedział doktor Morris. – Tylko na chwileczkę. Chłopcy dźwigną wrak, a ja nachylę się i zajrzę do środka, żeby ocenić obrażenia. Nie wiemy, czy już można zaryzykować wyciągnięcie jej. Tylko na chwileczkę, proszę pana. O tak, bardzo uczynny z pana dżentelmen.

Dickens poklepał dłoń młodej damy. Nie chciał się z nią rozstawać, zwłaszcza gdy wyczuł pożegnalny skurcz szczupłych, bladych, wypielęgnowanych palców. Odepchnął od siebie nader rzeczywiste, lecz zgoła niestosowne uczucie podniecenia płynące z fizycznego kontaktu z kobietą, której nie miał okazji poznać i której twarzy nigdy nie widział.

– Już za chwilę będziesz bezpieczna wśród nas, moja droga – powiedział i puścił jej rękę.

Wycofał się na czworakach spod okna, robiąc miejsce ratownikom. Bagienna wilgoć przesączała mu się na kolanach przez spodnie.

– Dalej! – zawołał lekarz, klęknąwszy w miejscu zwolnionym przez Dickensa. – Przyłóżcie się, chłopcy!

Czterej barczyści strażnicy rzeczywiście się przyłożyli: najpierw podważyli i dźwignęli wrak łomami, a potem zaparli się plecami o nierówną powierzchnię potrzaskanej podłogi wagonu, górującą nad nimi jak drewniana piramida. Klin ciemności przy ziemi odrobinę się powiększył, światło słońca padło w głąb wagonu. Strażnicy stęknęli, dźwignąwszy ciężar wyżej – i nagle jeden z nich sapnął ciężko.

– Chryste Panie! – wykrzyknął ktoś.

Lekarz odskoczył jak porażony prądem. Dickens wczołgał się na jego miejsce, gotowy nieść pomoc, i w końcu zajrzał w głąb wraku.

Nie było żadnej kobiety, nie było dziewczyny – tylko goła ręka wyrwana z barku leżała w oczyszczonym ze szczątków kręgu. W miękkim świetle popołudnia główka kości wydawała się bardzo, bardzo biała.

Wszyscy zaczęli krzyczeć. Zjawili się kolejni ratownicy, którym wydano takie same polecenia. Toporkami i łomami zaczęli rozpruwać wrak wagonu – z początku ostrożnie, potem z przerażającym, jakby celowo niszczycielskim zapamiętaniem. Reszta ciała po prostu zniknęła. Zresztą, w tej stercie złomu w ogóle nie było kompletnych zwłok, tylko niepasujące do siebie strzępy ubrań, przypadkowe kawałki ciał i połamane kości. Z kobiety nie został nawet skrawek sukienki – tylko ta jedna biała ręka, zakończona zaciśniętymi

i już znieruchomiałymi palcami, z których odpłynęła cała krew.

Doktor Morris odwrócił się bez słowa, odszedł i dołączył do ratowników skupionych wokół innych rannych. Dickens wstał, zamrugał, oblizał wargi i pociągnął z butelki. Poczuł smak miedzi w ustach i uświadomił sobie, że brandy się skończyła, a on posmakował tylko krwi pozostawionej na szkle przez którąś z poczęstowanych ofiar. Długą chwilę rozglądał się w poszukiwaniu cylindra, zanim odkrył, że włożył go na głowę, a ściekająca zeń woda wsiąkła mu we włosy i spłynęła za kołnierz.

Ponieważ ratowników i gapiów przybywało, Dickens doszedł do wniosku, że jego pomoc na niewiele się już zda. Powoli, nieporadnie wgramolił się na po skarpie na nasyp, gdzie stały ocalałe wagony, teraz już puste.

Ellen i pani Ternan przysiadły w cieniu stosu podkładów kolejowych i spokojnie popijały wodę z filiżanek, które ktoś im podał.

Dickens wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć odzianej w rękawiczkę dłoni Ellen, ale zawahał się i zapytał:

– Jak się czujesz, moja droga?

Ellen uśmiechnęła się przez łzy. Dotknęła lewego barku i torsu poniżej obojczyka, a powyżej piersi.

– Jestem trochę poobijana, ale to chyba nic poważnego. Dziękuję, panie Dickens.

Pisarz z nieobecnym wzrokiem pokiwał głową, a potem odwrócił się i podszedł do skraju mostu. Ze swobodą typową dla ludzi roztargnionych przeskoczył na schodki zwisającego nad wąwozem wagonu pierwszej klasy, wczołgał się do środka przez rozbite okno (z taką samą łatwością, z jaką mógłby wejść przez drzwi) i zszedł po ustawionych w rzędzie siedzeniach jak po szczeblach drabiny na pionowej teraz ścianie. Cały wagon – zawieszony wysoko nad ziemią na jednym jedynym zaczepie łączącym go z sąsiednim wagonem drugiej klasy – kołysał się delikatnie jak wibrujące wahadło w zepsutym zegarze szafkowym.

Na samym początku, zanim jeszcze wyratował Ellen i panią

Ternan, wyniósł z wagonu skórzaną torbę zawierającą rękopis szesnastego odcinka *Naszego wspólnego przyjaciela,* nad którym pracował we Francji. Przypomniał sobie jednak, że dwa ostatnie rozdziały zostały w kieszeni płaszcza, ten zaś leżał złożony na swoim miejscu, na półce nad siedzeniami. Stanął więc na oparciu ostatniego siedzenia – w rozkołysanym, trzeszczącym wagonie, mając trzydzieści stóp pod nogami rzekę, widoczną przez rozbite okna i mieniącą się odblaskami światła – i wyciągnął rękopis z kieszeni płaszcza. Sprawdził, czy nie brakuje mu kartek (rękopis okazał się lekko przybrudzony, ale kompletny), po czym, wciąż balansując na oparciu, wepchnął plik kartek z powrotem do kieszeni.

A potem, całkiem przypadkowo, spojrzał w dół, w stronę drzwi wagonu, i dalej, przez znajdujące się w nich wybite okienko. Daleko w dole, dokładnie pod wagonem, stał człowiek, który przedstawił mu się jako Drood, i z zadartą głową patrzył wprost na Dickensa, kompletnie nie przejmując się wiszącymi mu nad głową tonami drewna i żelaza. W rozmigotanym figlarnie świetle słońca wyglądał, jakby stąpał po wodzie, zamiast stać w niej po kostki. Jego usta otworzyły się i poruszyły, mięsisty język wysunął spomiędzy małych zębów i rozległo się głośne syczenie, z którego jednak Dickens nie zrozumiał ani słowa, gdyż zagłuszało je skrzypienie huśtającego się wagonu i dobiegające z doliny pojękiwania rannych. „Niepojęte”, mamrotał później tylko. „Niepojęte”.

Nagle wagon zakołysał się gwałtownie i opadł, jakby zamierzał spaść. Dickens odruchowo jedną ręką chwycił się półki, żeby się nie przewrócić, a kiedy znów spojrzał w dół, Drood zniknął. Pisarz przerzucił płaszcz z rękopisem przez ramię i wspiął się na górę, ku światłu.

Rozdział 2

W dniu katastrofy pod Staplehurst nie było mnie w Londynie. Dopiero trzy dni po wypadku dostałem wiadomość od mojego młodszego brata Charlesa, męża najstarszej córki Dickensa, Kate, który poinformował mnie, że pisarz otarł się o śmierć. Natychmiast pośpieszyłem do Gad's Hill Place.

Domyślam się, Szanowny Czytelniku z niewiarygodnie odległej i – dla mnie – pośmiertnej przyszłości, że pamiętasz Gad's Hill z szekspirowskiego *Henryka IV.* Z pewnością pamiętasz Shakespeare'a, nawet jeśli nas, pomniejszych gryzipiórków, pochłonęły mgły niepamięci. Mam rację? To w Gad's Hill właśnie Falstaff planuje swoją napaść, zanim książę Hal z przyjacielem pokrzyżują mu plany, przebrani za rabusiów, którzy zamierzają obrabować rabusia. Grubiutki sir John czmycha w popłochu, a w jego opowieści Hal i jego wspólnik zmieniają się w czwórkę bandziorów, potem w ósemkę, szesnastkę i tak dalej. Nieopodal domu Dickensa znajduje się gospoda „Falstaff Inn". Przypuszczam, że Dickens chwalił sobie skojarzenia swojej rezydencji z Shakespearem nie mniej niż piwo sączone w „Falstaff Inn" na zakończenie długich spacerów.

Jadąc powozem, przypomniałem sobie, że związki Dickensa z Gad's Hill Place są znacznie dawniejsze niż podjęta dziesięć lat wcześniej, w 1855, decyzja o zakupie domu. Gad's Hill znajdowało się w Chatham, wiosce wchłoniętej przez położone dwadzieścia pięć mil od Londynu i słynące z okazałej katedry miasteczko Rochester, w okolicy, gdzie pisarz spędził najszczęśliwsze lata dzieciństwa i gdzie regularnie wracał jako dorosły, wędrując jak niespokojny duch w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby straszyć przez wieki. Sam dom – Gad's Hill Place – pokazał siedmio– czy ośmioletniemu Dickensowi ojciec podczas którejś z niezliczonych przechadzek. John Dickens powiedział przy tej okazji coś w tym stylu:

– Jeśli będziesz ciężko i pilnie pracował, mój chłopcze,

może pewnego dnia i ty kupisz sobie taką rezydencję.

W lutym 1855 roku, kiedy tenże chłopiec obchodził czterdzieste trzecie urodziny, wyruszył do Chatham z przyjaciółmi na jedną z odbywanych regularnie sentymentalnych wędrówek, i z najwyższym zdumieniem stwierdził, że nieosiągalny niegdyś dwór został wystawiony na sprzedaż.

Dickens był ostatnią osobą, która nazwałaby Gad's Hill Place „rezydencją" – widział w nim raczej umiarkowanie wygodny wiejski domek (prawdę mówiąc, Tavistock House, w którym wcześniej mieszkał, prezentował się bardziej imponująco), ale po nabyciu go zainwestował fortunę w rozbudowę, renowację, modernizację i nowy wystrój samego domu oraz zagospodarowanie otaczających go terenów. Początkowo zamierzał odwołać się do marzeń świętej pamięci ojca i żyć z wynajmowania Gad's Hill Place, później zaczął go traktować jak potencjalną letnią rezydencję na przyszłość, ale kiedy po gorzkim i nieprzyjemnym rozstaniu z Catherine najpierw wynajął, a potem wystawił na sprzedaż Tavistock House, Gad's Hill stało się jego głównym miejscem zamieszkania. (Nie wyrzekł się jednak nawyku posiadaniu kilku mieszkań w Londynie, w których od czasu do czasu potajemnie pomieszkiwał. Jednym z nich było lokum nad redakcją naszego pisma „All the Year Round").

Po nabyciu Gad's Hill Place powiedział swojemu przyjacielowi Willsowi coś takiego:

– Kiedyś widziałem w nim cudowną rezydencję, choć Bóg mi świadkiem, że nią nie jest, ale byłem wtedy dziwnym dzieckiem. W głowie rodziły mi się pierwsze zalążki wszystkich moich powieści.

Kiedy mój powóz skręcił z Gravesend Road i po łukowato zakrzywionym podjeździe zajechał pod dwupiętrowy ceglany dom, myślałem o tym, jak to się stało, że te zalążki nabrały kształtów dla setek tysięcy czytelników, a Dickens zamieszkał w tych samych czterech ścianach, które jego niereformowalny ojciec – któremu nie poszczęściło się ani w sprawach rodzinnych, ani w finansach – wskazywał mu

niegdyś jako najwyższą z możliwych nagród za spełnianie ambicji rodzinnych i zawodowych.

***

Pokojówka otworzyła mi drzwi, a za progiem powitała mnie Georgina Hogarth, szwagierka Dickensa i aktualna pani domu.

– Jak się miewa Pan Niezrównany? – zapytałem, używając ulubionego przezwiska Dickensa.

– Jest roztrzęsiony, panie Collins, bardzo roztrzęsiony – odparła szeptem Georgina i przytknęła palec do ust.

Gabinet Dickensa znajdował się na prawo od holu. Prowadzące do niego drzwi były zamknięte, ale po licznych odwiedzinach w Gad's Hill wiedziałem, że zawsze są zamknięte – bez względu na to, czy gospodarz akurat pracuje, czy nie.

– Wypadek do tego stopnia go wzburzył, że pierwszą noc spędził w swoim londyńskim mieszkaniu, każąc panu Willsowi spać pod drzwiami – ciągnęła scenicznym szeptem Georgina. – Na wypadek, gdyby pan Wills miał mu być do czegoś potrzebny, rozumie pan.

Pokiwałem głową. Wybitnie pragmatyczny i pozbawiony wyobraźni William Henry Wills, pod wieloma względami stanowiący dokładne przeciwieństwo żywiołowego Dickensa, został początkowo zatrudniony przez pisarza jako asystent redakcji „Household Words", a z czasem stał się jednym z jego najbliższych przyjaciół i zauszników. Odsunął w cień nawet jego dawnych znajomych, takich jak John Forster.

– Dziś nie pracuje – mówiła tymczasem Georgina. – Sprawdzę, czy można mu przeszkodzić.

Z wyraźną obawą podeszła do dębowych drzwi gabinetu i delikatnie zapukała.

– Kto tam? – dobiegł ze środka jakiś głos.

Piszę „jakiś głos", ponieważ nie był to głos Charlesa Dickensa. Pisarz – o czym wiedzieli wszyscy, którzy go znali – mówił cicho, szybko, z lekką chrypką; wielu jego rozmówców

brało tę chrapliwość za skłonność do seplenienia, toteż Dickens nauczył się z emfazą artykułować głoski, przez co komuś, kto go nie znał, jego słowa – pośpieszne, lecz przesadnie staranne – wydawały się czasem niepotrzebnie pompatyczne.

Ten głos brzmiał zupełnie inaczej: był piskliwy i drżący, jak u starca.

– Przyszedł pan Collins – odparła Georgina.

– Niech wraca do domu i choruje dalej – wychrypiał starczy głos.

Zamurowało mnie. Odkąd pięć lat wcześniej mój młodszy brat Charles ożenił się z Kate Dickens, miewał poważne kłopoty żołądkowe i inne przypadłości, ale moim zdaniem nie było to nic poważnego. Dickens był odmiennego zdania. Sprzeciwiał się małżeństwu, był przeświadczony, że jego ukochana córka wyszła za Charlesa (dawnego ilustratora jego książek) tylko po to, żeby zrobić ojcu na złość, a z czasem najwidoczniej wmówił sobie, że mój brat jest umierający. Całkiem niedawno z wiarygodnego źródła usłyszałem o tym, jak to pewnego dnia tłumaczył Willsowi, że stan zdrowia mojego brata „uniemożliwia mu normalne funkcjonowanie", ale nawet gdyby to była prawda (a z całą pewnością nie była), trzeba wyjątkowej bezduszności, żeby tak mówić.

– Ale nie – powiedziała do zamkniętych drzwi Georgina, zerkając lękliwie przez ramię, jakby miała nadzieję, że nie słyszałem odpowiedzi Dickensa. – Pan Wilkie.

– Ach tak… – zabrzmiał drżący głos staruszka. – Dlaczego, u licha, od razu tak nie powiedziałaś?

Usłyszeliśmy stłumione chrobotanie i skrobanie, zgrzyt klucza w zamku (co samo w sobie było niezwykłe, Dickens miał bowiem dziwny zwyczaj zamykania gabinetu na klucz, kiedy zeń wychodził, ale nie robił tego, kiedy siedział w środku) i drzwi otworzyły się z impetem.

– Wilkie, mój drogi – wychrypiał Dickens tym nieswoim głosem, stając w progu z rozpostartymi ramionami. – Wilkie, Wilkie…

Z zapałem uścisnął moją dłoń. Lewą ręką najpierw złapał mnie za prawe ramię powyżej łokcia. Widziałem, że zerknął na wiszący na łańcuszku zegarek w zamkniętej kopercie.

– Dziękuję, Georgino – dodał z roztargnieniem, zatrzaskując za nami drzwi.

Nie zamykając ich na klucz, poprowadził mnie w głąb mrocznego pokoju.

Ten półmrok też mnie zaskoczył. Na przestrzeni lat wielokrotnie odwiedzałem Dickensa w jego sanctum sanctorum, ale nigdy nie widziałem, żeby za dnia zasłaniał okna. Teraz zaś zasłony były zaciągnięte i wnętrze rozjaśniała tylko lampa na stojącym pośrodku gabinetu stole. W przeszklonym trojgiem okien płytkim wykuszu stało jeszcze biurko, ale lampy na nim nie było. Niewielu z nas miało zaszczyt oglądać Dickensa w akcie tworzenia, ale wszyscy ci, którym było to dane, z pewnością doceniali zakrawający na ironię fakt, że pisarz siedział przodem do okien wychodzących na ogród i biegnącą w oddali Gravesend Road, ale podnosząc głowę znad kart książki, nigdy tak naprawdę nie widział roztaczającej się z nich panoramy. Przy pracy do tego stopnia pogrążał się w swoich wyimaginowanych światach, że równie dobrze mógłby być ślepy – z wyjątkiem tych chwil, gdy spoglądał w pobliskie lustro, w którym ćwiczył grymasy, uśmiechy, wyrazy oburzenia, marsy na czole i inne karykaturalne reakcje swoich bohaterów.

Pociągnął mnie w głąb gabinetu, wskazał krzesło obok biurka, a sam usiadł na miękko tapicerowanym fotelu, na którym pracował. Nie licząc zaciągniętych zasłon, pokój wyglądał całkiem zwyczajnie. Panował w nim idealny, niemal chorobliwy porządek i nigdzie nie było ani drobinki kurzu, mimo że Dickens nigdy nie pozwalał służbie sprzątać w gabinecie. Na biurku do pisania z pochylonym blatem spoczywał mały, schludny zestaw przyborów pisarskich: kalendarz, kałamarz, zestaw piór, ołówek z gumką z indyjskiego kauczuku, która chyba nigdy nie była używana, poduszeczka na szpilki, brązowa figurka przedstawiająca

dwie walczące ropuchy, oraz akuratnie ułożony nożyk do papieru, ozdobiony wykonanym ze złotej folii stylizowanym wizerunkiem królika. To były talizmany Dickensa, nieodzowne akcesoria pisarskie, konieczne, jak mi kiedyś wyjawił, żeby „było na czym oko zaczepić w przerwach między kolejnymi akapitami", równie niezbędne w pracy pisarza jak komplet gęsich piór.

Większość ścian zajmowały regały z książkami – w tym także półki pełne książek fałszywych, opatrzonych najczęściej ironicznymi tytułami pomysłu samego Dickensa, które spreparował jeszcze w Tavistock House, a po przewiezieniu do Gad's Hill zainstalował na drzwiach. Okalające pokój prawdziwe regały były poprzedzielane tylko oknami oraz okazałym błękitno–białym kominkiem ozdobionym dwudziestoma kafelkami z Delft.

W tamto czerwcowe popołudnie Dickens wyglądał wręcz koszmarnie staro – padające zza naszych pleców ostre światło lampy gazowej podkreślało powiększającą się łysinę, głęboko osadzone oczy i zmarszczki na twarzy. Co chwila zerkał na zamknięty zegarek.

– To bardzo miło z twojej strony, że wpadłeś, mój drogi Wilkie – wychrypiał.

– Nie ma o czym mówić. Przybyłbym wcześniej, ale wyjechałem z miasta, o czym mój brat z pewnością nie omieszkał cię poinformować. Masz taki… oschły głos.

Uśmiechnął się przelotnie.

– Obcy?

– Oschły.

Parsknął śmiechem. Rzadko się zdarzało, żeby Charles Dickens nie roześmiał się podczas rozmowy; nie znałem drugiego człowieka, który byłby równie skłonny do śmiechu. Żadna sytuacja nie była dla niego dostatecznie poważna, żeby nie próbował żartować – o czym z zakłopotaniem przekonywaliśmy się na pogrzebach.

– Za pozwoleniem, „obcy" to chyba jednak lepsze określenie – wychrypiał tym swoim niecodziennym starczym głosem. – W zgoła niewytłumaczalny sposób na miejscu tej

potwornej katastrofy pod Staplehurst przyswoiłem sobie cudzy głos. Bardzo bym chciał, żeby jego właściciel zgłosił się po niego i oddał mi w zamian mój… Bo ten głos starego Micawbera zupełnie mi się nie podoba. Mam wrażenie, że ktoś szoruje mi papierem ściernym po strunach głosowych i wszystkich samogłoskach przy okazji.

– Czy poza tym nic ci się nie stało, przyjacielu? – spytałem.

Zbył moje pytanie machnięciem ręki i skoncentrował się na zegarku, który teraz już trzymał w rękach.

– Dziś w nocy miałem nadzwyczaj zdumiewający sen, mój drogi Wilkie.

– Tak? – mruknąłem współczująco. Spodziewałem się usłyszeć streszczenie koszmaru po wypadku.

– Miałem wrażenie, że czytam książkę, którą napisałem w przyszłości – zaczął półgłosem, obracając zegarek w palcach. Złota koperta mieniła się odblaskami światła jedynej lampy. – To było coś strasznego… Powieść o człowieku, który sam się zahipnotyzował, żeby w swoim drugim hipnotycznym wcieleniu dokonywać potwornych okrucieństw, niewysłowionych okropieństw, aktów egoizmu, żądzy i zniszczenia, których przy pełnej świadomości Jasper (bo nie wiadomo dlaczego tak właśnie chciałem go nazywać we śnie) nigdy by się nie dopuścił. Była w to zamieszana jeszcze jakaś inna… istota.

– Zahipnotyzował się… – powtórzyłem w zadumie. – To chyba niemożliwe? Odwołuję się w tym miejscu do twojego doświadczenia i praktyki w arkanach oddziaływań magnetycznych, drogi Charlesie.

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś to zrobił, ale to nie musi znaczyć, że jest niewykonalne. – Spojrzał na mnie. – Ktoś cię kiedyś zahipnotyzował, Wilkie?

– Nie – odparłem. Zaśmiałem się. – Chociaż paru próbowało.

Nie uznałem za konieczne dodawać, że nawet profesor John Elliotson, dawny lekarz University College Hospital, a przy tym mistrz i nauczyciel Dickensa w sztuce mesmeryzmu, nie zdołał mnie zahipnotyzować. Miałem po

prostu zbyt silną wolę.

– Spróbujmy – zaproponował Dickens.

Zwiesił zegarek na łańcuszku i rozhuśtał go jak wahadełko.

– Charlesie drogi… – Zachichotałem, chociaż wcale nie było mi do śmiechu. – Po cóż to, na Boga? Chciałem usłyszeć szczegółową relację z wypadku, a nie bawić się w gry salonowe z zegarkiem i…

– Zrób to dla mnie, Wilkie. Wiesz, że udaje mi się czasem zahipnotyzować ludzi… Na pewno opowiadałem ci o długiej i, nie powiem, całkiem udanej terapii mesmerycznej, jakiej poddałem nieszczęsną madame de la Rue na kontynencie.

Mogłem tylko odchrząknąć niezobowiązująco. Dickens opowiadał dosłownie wszystkim swoim przyjaciołom i znajomym o obsesyjnie długiej kuracji hipnotycznej, jaką zaserwował „nieszczęsnej” madame de la Rue. Pomijał przy tym jeden z jej aspektów, który jednak i bez tego stał się tajemnicą poliszynela: sesje terapeutyczne z udziałem tej zamężnej i z całą pewnością obłąkanej kobiety, odbywające się o najdziwniejszych porach dnia i nocy, wzbudziły u żony Dickensa, Catherine, taką zazdrość, że – chyba pierwszy raz w całym ich małżeńskim pożyciu – zażądała ich zaprzestania.

– Patrz na zegarek, z łaski swojej – powiedział Dickens, kołysząc w półmroku złotym krążkiem.

– Nic z tego nie będzie, mój drogi.

– Robisz się senny, Wilkie… Bardzo senny… Oczy ci się zamykają. Jesteś taki senny, jakbyś przed chwilą zaaplikował sobie kilka kropli laudanum.

Niewiele brakowało, żebym na te słowa roześmiał się w głos. Przed wyruszeniem do Gad’s Hill zażyłem – jak co rano – nie kilka, lecz kilkadziesiąt kropli laudanum. W dodatku minęła już pora, kiedy powinienem był przyjąć następną dawkę ze srebrnej buteleczki.

– Jesteś… bardzo… bardzo… senny… – mruczał Dickens.

Przez chwilę próbowałem się poddać jego słowom, choćby po to, żeby sprawić przyjemność Panu Niezrównanemu. Nie ulegało wątpliwości, że próbuje w ten sposób zapomnieć o koszmarze katastrofy. Skoncentrowałem się na kołyszącym

się zegarku, wsłuchałem w monotonny głos… Prawdę mówiąc, ciepły zaduch zamkniętego gabinetu, przyćmione światło, złote błyski zegarka w półmroku, a nade wszystko spora dawka porannego laudanum wywołały u mnie – na króciuteńką chwilę – lekkie zawroty głowy. Gdybym się nie miał na baczności, mógłbym w tym momencie zapaść może nie w hipnotyczny trans, w który z takim zapałem usiłował mnie wprowadzić Dickens, ale z pewnością w sen. Otrząsnąłem się jednak z zamętu i rzuciłem szorstko:

– Przykro mi, Charlesie. Na mnie to po prostu nie działa. Mam zbyt silną wolę.

Dickens z westchnieniem odłożył zegarek, podszedł do okna i odrobinę rozsunął zasłony. Oślepiło nas światło słońca.

– To prawda – powiedział. – Niektórzy pisarze mają tak silnego ducha, że mesmeryzm jest wobec nich bezradny.

Roześmiałem się.

– W takim razie niech ten twój Jasper, jeśli napiszesz kiedyś powieść na podstawie tego snu, nie będzie pisarzem.

Dickens uśmiechnął się półgębkiem i z powrotem usiadł w fotelu.

– Tak właśnie zrobię, mój drogi Wilkie.

– Jak się czują panna Ternan i jej matka?

Nie próbował maskować marsa na czole. Wszelka dyskusja o tym najtajniejszym i najbardziej osobistym aspekcie życia wprawiała go w zakłopotanie – bez względu na to, jak bardzo potrzebował o nim porozmawiać i jak bardzo oględnie o nim napomykałem.

– Matka panny Ternan ucierpiała tylko wskutek ogólnego wstrząsu dla organizmu, który u osoby w jej wieku nie jest niczym niezwykłym – wychrypiał w odpowiedzi. – Natomiast panna Ternan doznała lekkich obrażeń ogólnych oraz urazu kręgosłupa szyjnego, drobnego przemieszczenia lub pęknięcia kręgu, jak sugeruje lekarz. Każdy ruch głową sprawia jej ból.

– Niezmiernie przykro mi to słyszeć.

Dickens chyba uznał temat za zakończony, bo zapytał:

– Chcesz usłyszeć coś więcej o samym wypadku i jego następstwach, mój drogi Wilkie?

– Absolutnie, Charlesie! Jakżeby inaczej?

– Zdajesz sobie sprawę, że będziesz jedyną osobą, z którą podzielę się tą relacją?

– Będę zaszczycony. Ty zaś możesz polegać na mojej dyskrecji aż do śmierci. Albo i dłużej.

Dickens znowu się uśmiechnął – tym swoim zaskakującym, pewnym siebie, psotnym i dziwnie chłopięcym uśmiechem, w którym poplamione zęby błyskały w cumulusach brody, którą zapuścił osiem lat wcześniej na premierę *Zamarzniętej otchłani* i nigdy już nie zgolił.

– Twojej śmierci, Wilkie? Czy mojej?

Na chwilę odebrało mi mowę, taki byłem zakłopotany i zmieszany.

– Jednej i drugiej, zapewniam cię – wykrztusiłem w końcu.

Na te słowa Dickens pokiwał głową i tym ochrypłym głosem opowiedział mi o wypadku pod Staplehurst.

***

– Mój Boże – wyszeptałem jakieś czterdzieści minut później, gdy skończył. – Mój Boże…

– No właśnie – powiedział.

– Biedni ludzie… – W tej chwili mój głos był równie chrapliwy jak jego. – Ci biedni ludzie.

– Niewyobrażalne.

Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby używał tego słowa, ale w tej opowieści powtórzyło się chyba kilkanaście razy.

– A mówiłem ci już o tym, że nieszczęśnik, którego wydobyliśmy z tego kompletnie zdruzgotanego wagonu (w którym tkwił do góry nogami, trzeba ci wiedzieć), krwawił z oczu, uszu, nosa i ust? A my w tym czasie desperacko szukaliśmy jego żony. Podobno niedługo przed wypadkiem zamienił się na miejsca z pewnym Francuzem, który nie chciał siedzieć przy otwartym oknie. Francuz zginął. Żona tego krwawiącego mężczyzny również.

– Mój Boże… – powtórzyłem.

Dickens przesunął dłonią po oczach, jakby chciał je osłonić przed światłem, a kiedy znów na mnie spojrzał, w jego wzroku dostrzegłem skwapliwość, jakiej nigdy przedtem nie widziałem u żadnego człowieka. Jak się wkrótce przekonasz, Drogi Czytelniku, śledząc tę prawdziwą opowieść, Charles Dickens nie znosił sprzeciwów.

– Co myślisz o człowieku, który przedstawił mi się jako Drood? – Chrypliwe pytanie zabrzmiało cicho, lecz bardzo natarczywie.

– Jest niewiarygodny.

– Nie wierzysz w jego istnienie, czy w mój opis, Wilkie?

– Ależ nie! – zapewniłem pośpiesznie. – Skądże znowu. Jestem pewien, że wiernie opisałeś mi jego wygląd i zachowanie, Charlesie… Drugiego tak utalentowanego jak ty obserwatora ludzkich typów i dziwactw nie ma ani wśród żywych, ani wśród umarłych, których ze wszystkimi należnymi literatom honorami pochowano w opactwie westminsterskim, ale ten pan Drood… jest po prostu… niewiarygodny.

– Otóż to. Teraz, mój drogi Wilkie, naszym obowiązkiem jest jego odszukanie.

– Odszukanie? – powtórzyłem głupawo. – Po co, na litość boską, mielibyśmy go szukać?

– Pan Drood skrywa tajemnicę, którą koniecznie należy odkopać – odparł szeptem Dickens. – Wybacz mi nieco cmentarną wymowę tych słów. Co ten człowiek, jeśli jest człowiekiem, robił w pociągu z Folkestone o takiej porze? Dlaczego, kiedy go zapytałem, odparł, że jedzie do Whitechapel i ptasich kolonii na East Endzie? Czego szukał wśród zabitych i umierających?

Nie zrozumiałem, o co mu chodzi.

– Czegóż mógł szukać, jeśli nie tego samego, co ty? Chciał nieść pociechę żywym i szukać umarłych.

Dickens ponownie się uśmiechnął, lecz tym razem próżno by szukać w jego uśmiechu ciepła i chłopięcości.

– Działo się tam coś złowieszczego, mój drogi Wilkie.

Jestem o tym przekonany. Mówiłem ci, że kilkakrotnie widziałem tego Drooda, jeśli istotnie tak się nazywa, jak krążył wokół rannych, a kiedy później sam do nich dopadałem, już nie żyli.

– Mówiłeś także o kilkorgu rannych, którym sam chciałeś udzielić pomocy, ale zmarli, zanim zdążyłeś do nich wrócić.

– To prawda – wyrzęził Dickens tym obcym głosem, wtuliwszy brodę w kołnierz. – Ale nie pomagałem im przejść na drugą stronę.

Zamurowało mnie.

– Na Boga… Sugerujesz, że trędowaty chudzielec w teatralnej pelerynie mordował ludzi ocalałych z katastrofy pod Staplehurst?!

– Sugeruję, że dochodziło tam do aktów swoistego kanibalizmu, Wilkie.

– Kanibalizmu!

W tym momencie pierwszy raz przyszło mi do głowy, że wypadek mógł spowodować nieodwracalne zmiany w umyśle mojego sławnego przyjaciela. Prawdą jest, że, słuchając go, całkiem poważnie powątpiewałem w opis, a nawet w samo istnienie tego całego „Drooda” (wydawał mi się raczej postacią z powieści sensacyjnej niż prawdziwą istotą ludzką, którą można spotkać w popołudniowym pociągu z Folkestone), ale byłem skłonny przypisywać ewentualne halucynacje temu samemu wstrząsowi i dezorientacji, które odebrały Dickensowi głos. Jeśli jednak zwidywali mu się kanibale, miałem prawo domniemywać, że poza głosem postradał w katastrofie także zdrowe zmysły.

Tymczasem on się uśmiechał i wpatrywał we mnie z tą samą natarczywością, która u ludzi widzących go pierwszy raz w życiu budziła podejrzenie, że czyta im w myślach.

– Nie, Wilkie, ja nie zwariowałem. Pan Drood był równie prawdziwy jak ty czyja, a przy tym w jakiś nieokreślony sposób jeszcze bardziej nierzeczywisty niż go opisałem. Gdybym go sobie wymyślił jako bohatera jednej z moich powieści, nie przedstawiłbym go takim, jakim go spotkałem na miejscu wypadku. Był nazbyt dziwaczny, nazbyt groźny i

groteskowy, żeby nadawał się do książki. Jednakże w naszym świecie takie widmowe istoty naprawdę istnieją, o czym doskonale wiesz. Mijamy je na ulicy. Napotykamy podczas nocnych spacerów po Whitechapel i innych dzielnicach. Ich historie bywają bardziej niezwykłe od najśmielszych wymysłów zwyczajnego gryzipiórka.

Teraz to ja musiałem się uśmiechnąć. Rzadko się zdarzało, żeby Pan Niezrównany mówił o sobie jako „zwyczajnym gryzipiórku", i byłem pewien, że w tym wypadku nie siebie ma na myśli, lecz innych „zwyczajnych gryzipiórków". Na przykład, mnie.

– Jak zamierzasz się zabrać do poszukiwań tego pana Drooda, Charlesie? – zapytałem. – I co z nim zrobimy, kiedy go już znajdziemy?

– Pamiętasz, jak prowadziliśmy śledztwo w sprawie tego nawiedzonego domu? – odpowiedział pytaniem Dickens.

Pamiętałem. Wydarzyło się to kilkanaście lat wcześniej, gdy Dickens – redaktor naczelny nowego pisma zatytułowanego „All the Year Round", które po sprzeczce z wydawcą zastąpiło publikowane wcześniej „Household Words" – wdał się w przewlekły spór z paroma spirytystami. W latach pięćdziesiątych XIX wieku stukające stoliki, seanse spirytystyczne, hipnoza i inne przejawy działania niewidzialnych energii robiły furorę, a Dickens nie tylko wierzył w niektóre z tych zjawisk, lecz sam chętnie parał się takimi zajęciami. Jednakże, mimo szczerej wiary w moc mesmeryzmu (zwanego również zwierzęcym magnetyzmem), oraz przesądnej natury, o której doskonale wiedziałem (był na przykład święcie przekonany, że piątek jest dla niego szczęśliwym dniem), ubzdurał sobie – jako redaktor nowego pisemka – że zagra spirytystom na nosie. Kiedy jeden z jego adwersarzy, niejaki William Howitt, dla poparcia swoich tez szczegółowo przedstawił przypadek nawiedzonego domu w Cheshunt pod Londynem, Dickens natychmiast postanowił, że wszyscy – redaktorzy i wydawcy „All the Year Round" – powinniśmy wyruszyć na miejsce nawiedzenia i osobiście zbadać sprawę.

W. H. Wills i ja pojechaliśmy krytym powozem, natomiast Dickens z jednym z naszych współpracowników, Johnem Hollingsheadem, pieszo pokonali szesnaście mil dzielących ich od wioski. Odszukanie właściwego domu nastręczyło nam nieco trudności (na szczęście, Dickens zapewnił nam posiłek ze świeżych ryb, gdyż wolał nie polegać na serwowanych w Cheshunt potrawach), ale w końcu znaleźliśmy wiejską rezydencję na terenie posiadłości, na której miał się znajdować tak zwany „nawiedzony dom". Do wieczora wypytywaliśmy sąsiadów, okolicznych rzemieślników, a nawet przechodniów, żeby ostatecznie stwierdzić, iż rzekome „duchy" Howitta to w rzeczywistości stado szczurów oraz służący imieniem Frank, który lubił w środku nocy polować na króliki.

Podczas tamtej ekspedycji – za dnia i w towarzystwie trzech mężczyzn – Dickens poczynał sobie całkiem chwacko, słyszałem jednak, że na inną wyprawę na spotkanie z duchami (tym razem nocną i mającą na celu zbadanie nawiedzonego pomnika nieopodal Gad's Hill Place) zabrał kilku służących i naładowaną strzelbę. Najmłodszy syn Dickensów, nazywany w rodzinie Plornem, twierdził, że podenerwowany ojciec zapowiedział w pewnym momencie:

– Jeśli to jakieś żarty, to odstrzelę żartownisiowi łeb.

Rzeczywiście usłyszeli wtedy upiorne zawodzenie i jęki, „dźwięki przerażające, zarazem ludzkie i nieludzkie".

Źródłem dźwięków okazała się cierpiąca na astmę owca. Dickens powstrzymał się od odstrzelenia jej łba. Za to, kiedy wrócili do domu, poczęstował wszystkich – służbę i dzieci – grogiem.

– Wtedy wiedzieliśmy, gdzie jest ten nawiedzony dom – wytknąłem mu, gdy siedzieliśmy w zaciemnionym gabinecie. – A jak chcesz znaleźć pana Drooda? Gdzie mamy go szukać?

Postura i oblicze Dickensa zmieniły się dramatycznie. Twarz mu się wydłużyła, pobladła, przybyło jej zmarszczek. Oczy niemal wyszły mu z orbit, aż miało się wrażenie, że są pozbawione powiek, a białka jakby lśniły własnym światłem. Zgarbił się jak zreumatyzowany staruszek, spracowany

grabarz albo sęp, a jego głos, wciąż chrapliwy, przybrał piskliwe, zgrzytliwe tony, gdy bladymi palcami dźgnął powietrze jak rzucający zaklęcie czarny mag.

– W Limehoussse – zasyczał, naśladując Drooda ze swojej opowieści. – W Whitechapel. Ratcliff Crosss. Gin Alley. Three Foxesss Court. Butcher Row i Commercial Road. W mennicy i innych ptasich koloniach wssschodniego Londynu.

Przyznaję, że włoski zjeżyły mi się na karku. Charles Dickens już w dzieciństwie, zanim zaczął pisać, był tak wyśmienitym parodystą, że ojciec zabierał go ze sobą do barów, żeby tam popisywał się naśladowaniem obcych ludzi, których spotykali na przechadzkach. W tej chwili zacząłem wierzyć, że Drood istnieje naprawdę.

– Kiedy? – zapytałem.

– Wkrótssse – wysyczał Dickens w odpowiedzi, tyle że teraz, uśmiechnięty, był już znowu sobą. – Wyprawialiśmy się już na spacery do Babilonu, mój drogi Wilkie. Widzieliśmy Wielki Piec nocą.

Rzeczywiście, widzieliśmy. Dickensa zawsze fascynowały mroczne zakamarki naszego miasta, a „Babilon” i „Wielki Piec” były jego ulubionymi określeniami najgorszych londyńskich slumsów. Mimo upływu lat, niektóre z nocnych wędrówek wśród ubogich ruder wciąż przyprawiały mnie o senne koszmary.

– Możesz mną rozporządzać – zapewniłem go z entuzjazmem. – Jutro wieczorem zgłoszę się na służbę, jeżeli ci to pasuje.

Dickens pokręcił głową.

– Najpierw muszę odzyskać głos, Wilkie. Poza tym zalegam z pisaniem *Naszego wspólnego przyjaciela* i w najbliższych dniach muszę dopilnować paru innych spraw. Może zostaniesz na noc? Twój pokój jest gotowy, jak zawsze.

– Niestety, to niemożliwe. Muszę przed wieczorem wrócić do miasta. Interesy.

Przemilczałem, że na te „interesy” składała się przede wszystkim konieczność zakupu laudanum, bez którego już wtedy, w 1855 roku, nijak nie mogłem się obejść dłużej niż

jeden dzień.

– Doskonale. – Dickens wstał z fotela. – Wyświadczysz mi przysługę, mój drogi?

– Cokolwiek zechcesz. Rozkazuj mi, przyjacielu.

Spojrzał na zegarek.

***

– Nie zdążysz już na najbliższy pociąg z Gravesend, ale zaraz każę Charleyowi zaprząc kuca i odwieziemy cię do Higham. Tam złapiesz ekspres na Charing Cross.

– Mam jechać na Charing Cross?

– Owszem, mój drogi Wilkie. – Dickens chwycił mnie mocno za ramię, gdy z ciemnego gabinetu wyszliśmy na rozświetlony lampami korytarz. – A dlaczego masz to zrobić, wyjaśnię ci w drodze na stację.

***

Georgina nas nie odprowadziła, ale najstarszy syn Niezrównanego, Charley, który odwiedzał ojca w jego wiejskiej posiadłości, pobiegł wyszykować dwukółkę. Placyk przed frontem Gad’s Hill House był tak samo schludny jak wszystko, co Dickens miał na oku. Jego ulubione kwiaty – szkarłatne pelargonie – rosły w idealnie równych rządkach, dalej rozciągał się równiuteńko przystrzyżony trawnik, a stojące na jego skraju dwa potężne cedry libańskie rzucały w tej chwili cień na wschód, wzdłuż drogi.

Rabaty pelargonii, między którymi przeszliśmy w drodze do powozu, obudziły we mnie dziwny niepokój. Oblałem się zimnym potem, serce zaczęło mi szybciej bić, gdy nagle uświadomiłem sobie, że Dickens od dłuższej chwili coś do mnie mówi:

– … bezpośrednio po wypadku zabrałem go do hotelu „Charing Cross”. Opłaciłem dwie pielęgniarki, żeby się nim stale opiekowały, dniem i nocą. Byłbym ci wielce zobowiązany, mój drogi Wilkie, gdybyś mógł go wieczorem odwiedzić, przekazać mu moje pozdrowienia i poinformować,

że gdy tylko znów zjawię się w mieście, czyli najprawdopodobniej jutro, sam również do niego wpadnę. Gdybyś dowiedział się od pielęgniarek, że jego stan się pogorszył, bądź łaskaw jak najszybciej pchnąć do Gad's Hill posłańca z taką wiadomością.

– Naturalnie, Charlesie.

Jak przez mgłę dotarło do mnie, że Dickens musiał mieć na myśli młodego mężczyznę, któremu pomógł wydostać się z wraku pociągu pod Staplehurst i którego później osobiście odstawił na Charing Cross. Nazywał się ów młodzieniec Dickenson, Edmond lub Edward Dickenson, jeśli mnie pamięć nie myliła. Właściwie, jak się nad tym zastanowić, niezwykły zbieg okoliczności, takie nazwisko.

Ledwie powozik ruszył i zaczęliśmy się oddalać od grządek z pelargoniami, uczucie paniki rozwiało się równie nagle, jak przed chwilą mnie nawiedziło.

Dickens uparł się, że wciśnie się do maleńkiej dwukółki razem ze mną i Charleyem. Wyjechaliśmy w kierunku Gravesend, skąd Rochester Road skierowaliśmy się na stację kolejową w Higham. Nie musieliśmy się śpieszyć.

Z początku Dickens zachowywał się zupełnie swobodnie, zagadując mnie o drobiazgi związane z wydaniem nowego numeru „All the Year Round", kiedy jednak rozpędziliśmy się nieco, dotrzymując kroku innym pojazdom na trakcie (stacja w Higham znalazła się już prawie w zasięgu wzroku), ujrzałem, jak jego twarz – wciąż opalona po pobycie we Francji – najpierw blednie, a następnie przybiera barwę ołowiu. Pot perlił mu się na skroniach i policzkach.

– Zwolnij trochę, Charley – poprosił. – I nie huśtaj tak. Nie mogę się skupić.

– Dobrze, ojcze.

Charley ściągnął lejce i kuc zwolnił. Patrzyłem, jak wargi Dickensa stają się coraz cieńsze i cieńsze, aż została z nich wąska, bezkrwawa krecha.

– Wolniej, Charley. Na miłość boską, zwolnijże!

– Dobrze, ojcze.

Spoglądając na ojca, Charley – mężczyzna

dwudziestoparoletni – upodabniał się do przestraszonego chłopca. Dickens tymczasem zacisnął obie dłonie na ścianie powoziku i (całkiem niepotrzebnie) pochylał się coraz bardziej w prawo.

– Wolniej, błagam! – zakwilił.

Dwukółka poruszała się w tej chwili z prędkością leniwego piechura, na pewno wolniej niż cztery mile na godzinę, które to tempo Dickens bez trudu utrzymywał podczas dwunasto–, szesnasto– czy nawet dwudziesto– milowych spacerów.

– Spóźnimy się na pociąg… – zaczął Charley, zerkając na przemian to na odległe zabudowania i wieżę stacji, to na zegarek.

– Stój! – polecił Dickens. – Wysiadam!

Twarz miał szarą jak ogon naszego kuca. Na chwiejnych nogach wygramolił się z powoziku i pośpiesznie uścisnął moją dłoń.

– Wrócę pieszo. Mamy piękny dzień, w sam raz na spacer. Bezpiecznej podróży, Wilkie. Koniecznie daj mi znać, czy młodemu panu Dickensonowi czegoś nie potrzeba.

– Załatwione, Charlesie. Niedługo zresztą znów się zobaczymy.

Patrząc na niego od tyłu, gdy ruszył z powrotem w stronę Gad’s Hill, miałem wrażenie, że widzę człowieka znacznie starszego niż w rzeczywistości: zamiast iść tym swoim pewnym, żwawym krokiem, dreptał skrajem drogi, jakby szedł niemal po omacku, ciężko wsparty na lasce.

Rozdział 3

Kanibalizm.

Jadąc pociągiem na Charing Cross, rozmyślałem o tym dziwnym, barbarzyńskim słowie i opisywanym przez nie zjawisku, a także o tym, jaki wpływ wywarły na życie Dickensa; nie miałem jeszcze pojęcia, jak okrutnie – i to już niebawem – odcisną się także na moich losach.

Było w naturze Charlesa Dickensa coś, co sprawiało, że niezwykle silnie reagował na ideę kanibalizmu i w ogóle wszelką myśl o tym, że coś mogłoby go pochłonąć. W okresie separacji z Catherine i skandalu, do którego wybuchu i upublicznienia walnie się przyczynił (choć nigdy by się do tego nie przyznał), wielokrotnie mi powtarzał:

– Pożerają mnie żywcem, Wilkie. Moi wrogowie, Hogarthowie i niedoinformowana opinia publiczna, która chętnie wierzy w to co najgorsze, zjadają mnie po kawałku.

Na przestrzeni ostatniej dekady Dickens wielokrotnie zabierał mnie na wycieczki do londyńskiego ogrodu zoologicznego, który wręcz uwielbiał. Kochał rodzinę hipopotamów, ubóstwiał ptaszarnie i wybieg dla lwów, ale gwoździem programu był nieodmiennie rytuał karmienia gadów w terrarium. Dickens za skarby świata nie chciałby go przegapić i zawsze mnie ponaglał, żebyśmy się nie spóźnili. Pracownicy ZOO trzymali gady, w szczególności węże, na diecie złożonej z myszy i szczurów. Spektakl karmienia wprost hipnotyzował Dickensa (który, mimo że sam się parał mesmeryzmem, kategorycznie odmawiał poddania się hipnozie), który przez cały czas jego trwania stał nieruchomo jak sparaliżowany. Kilkakrotnie – kiedy razem gdzieś jechaliśmy, czekaliśmy na rozpoczęcie przedstawienia w teatrze czy po prostu siedzieliśmy u niego w salonie – zdarzało się, że Dickens przypominał mi częstą scenę z terrarium: dwa węże w tej samej chwili zaczynały pożerać tego samego szczura. W pewnym momencie gryzoń znikał całkowicie w ich pyskach, ale, ponieważ nadal był żywy,

rozpaczliwie miotał się i wierzgał łapami pochłanianymi przez potężne szczęki.

Zaledwie kilka miesięcy przed katastrofą zdradził mi, że w niektórych elementach mebli – nogach wanny, stołu i krzeseł w różnych pokojach, a nawet sznurach od zasłon – widzi węże, które z wolna pożerają wannę, blat stołu, siedziska krzeseł i zasłony.

– Kiedy odwrócę wzrok, mój drogi Wilkie, ten dom zjada sam siebie – mawiał przy ponczu.

Twierdził również, że kiedy na bankietach (najczęściej wydawanych na jego cześć) spogląda na zebranych przy długim stole gości – kolegów po fachu, przyjaciół i znajomych – i widzi, jak opychają się cielęciną, baraniną albo kurczakiem, przez chwilę, przez jeden straszliwy, przerażający ułamek sekundy wyobraża sobie, że sztućce, które podnoszą do ust, zmieniają się w wijące się spazmatycznie kończyny, tyle tylko, że nie są to mysie ani szczurze łapki, lecz ręce i nogi ludzi. To powtarzające się złudzenie bardzo go niepokoiło.

Jednakże tym, co przed jedenastu laty naprawdę zmieniło bieg życia Charlesa Dickensa, był najprawdziwszy przypadek kanibalizmu – a przynajmniej towarzyszące mu plotki.

W październiku 1854 roku całą Anglią wstrząsnęła relacja doktora Johna Rae, który opisał swoje przeżycia z poszukiwań zaginionej ekspedycji Franklina.

Być może, mój Szacowny Czytelniku z odległej przyszłości, nigdy nie słyszałeś o ekspedycji Franklina, wyjaśnię Ci więc, że w 1845 roku sir John Franklin w towarzystwie stu dwudziestu dziewięciu ludzi przedsięwziął wyprawę badawczą w rejony arktyczne na dwóch statkach Królewskiej Służby Eksploracyjnej: HMS *Erebus* i HMS *Terror.* Wyruszyli w maju, a ich głównym celem było zbadanie Przejścia Północno–Zachodniego łączącego Atlantyk z Pacyfikiem na północ od będącej naszą kolonią Kanady (Anglia od wieków marzyła o odkryciu nowego, krótszego szlaku handlowego na Daleki Wschód). Franklin, człowiek już niemłody, był doświadczonym odkrywcą, powszechnie spodziewano się

więc, że ekspedycja zakończy się sukcesem. Ostatni raz widziano jego statki w Zatoce Baffina u schyłku lata 1845 roku. Kiedy przez następne trzy albo cztery lata członkowie wyprawy nie dawali znaku życia, nawet Królewska Marynarka Wojenna zaniepokoiła się ich losem i poczęto organizować ekspedycje ratunkowe. Do dziś jednak nie znaleziono statków Franklina.

Parlament i lady Franklin wyznaczyli wysokie nagrody. Wyprawy poszukiwawcze – nie tylko brytyjskie, ale także amerykańskie i z innych krajów – przemierzyły Arktykę w poszukiwaniu już nie tyle Franklina i jego ludzi, ile raczej wszelkich śladów, które rzuciłyby światło na ich losy. Lady Franklin bardzo stanowczo wyrażała swoją wiarę w to, że eksploratorzy żyją, a w rządzie i flocie mało kto miał śmiałość się jej sprzeciwić, mimo że większość Anglików porzuciła już nadzieję.

Doktor John Rae – urzędnik Kompanii Zatoki Hudsona – udał się drogą lądową na północ i przez długie miesiące badał tamtejsze odludne wyspy (na których podobno znaleźć można tylko żwir i niesiony wiatrem śnieg) i rozległe akweny, na których *Erebus* i *Terror* przepadły bez śladu. W odróżnieniu od przedstawicieli Marynarki Królewskiej i członków większości wypraw poszukiwawczych, Rae pomieszkiwał wśród żyjących w tych rejonach dzikich Eskimosów, uczył się ich prymitywnych języków i w swoim późniejszym sprawozdaniu często powoływał się na ich relacje. Przywiózł też do Anglii liczne przedmioty należące wcześniej do Franklina i jego ludzi: mosiężne guziki, czapki, elementy serwisu obiadowego z herbem sir Johna, przybory piśmienne. Na koniec odkrył nawet ludzkie szczątki, pochowane zarówno w płytkich grobach, jak i na platformach ponad powierzchnią ziemi, a także dwa szkielety siedzące w przywiązanej do sań szalupie jednego ze statków Franklina.

Ale najbardziej poruszyły Anglię nie same te przerażające przesłanki domniemanego tragicznego losu Franklina, lecz opowieści Eskimosów, na które powoływał się Rae: wynikało z nich, że przed śmiercią ludzie Franklina dopuszczali się

kanibalizmu. Dzicy opowiadali doktorowi Rae, że w obozowiskach białych ludzi napotykali ogryzione ludzkie kości, stosy odciętych kończyn, a nawet wysokie zimowe buty, w których wciąż tkwiły stopy i fragmenty nóg. Wieści te – co zrozumiałe – przeraziły lady Franklin, która odrzuciła raport Johna Rae. Wynajęła nawet kolejny statek, opłaciwszy go z kurczącej się rodowej fortuny, i wysłała go na dalsze poszukiwania.

Dickens był zarazem wstrząśnięty i zafascynowany doniesieniami doktora Rae. Zaczął publikować dotyczące tragedii artykuły – najpierw w swoich własnych „Household Words", a potem także w innych pismach. Z początku po prostu wyrażał swoje powątpiewanie, zarzucając doktorowi Rae „pochopność (…) w stwierdzeniu, że ludzie Franklina zjadali ciała zmarłych towarzyszy". Utrzymywał, że opiera się na „wielkiej mnogości książek" (chociaż unikał podawania konkretnych tytułów), gdy twierdzi, że „nieszczęśni podwładni Franklina nawet w najdzikszych snach nie wpadliby na pomysł zjadania zwłok swoich towarzyszy".

Kiedy większość Anglików podzieliła się na tych, co uwierzyli doktorowi Rae (który odebrał rządową nagrodę za dostarczenie dowodów rozstrzygających o losie Franklina), oraz takich, którzy o całej sprawie pomału zapominali, upór mojego przyjaciela przerodził się w gniew. W „Household Words" przypuścił wściekły atak na „dzikusów", jakim to słowem zwykle określał wszystkich nie–białych, lecz w tym konkretnym wypadku miał na myśli podstępnych, kłamliwych i niegodnych zaufania Eskimosów, z którymi John Rae bratał się i rozmawiał. W naszych czasach Dickens uchodził, rzecz jasna, za radykalnego liberała, ale nikt nie kwestionował jego pozycji, kiedy w imieniu większości Anglików pisał: „(…) naszym zdaniem każdy dzikus jest w głębi serca chciwy, zdradziecki i okrutny". Niemożliwe jest, dowodził, żeby którykolwiek z ludzi Franklina zechciał „przedłużyć swoje istnienie za pomocą tak makabrycznych środków, jak zjadanie ciał zmarłych towarzyszy".

A potem zrobił rzecz niezwykłą: spośród „wielkiej mnogości książek”, dla poparcia swojej tezy wybrał *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* (jedną z najważniejszych książek swojego dzieciństwa, co wielokrotnie podkreślał). W podsumowaniu pisał tak: „W całym obszernym kręgu *Baśni z tysiąca i jednej nocy* tylko ghule, czarni jednoocy olbrzymi, przerażające potwory wielkie jak wieże, oraz nieczyste zwierzęta czyhające nad brzegiem morza” dopuszczają się jedzenia ludzkiego mięsa, czyli kanibalizmu.

No i proszę. *Quod erat demonstrandum.*

***

W 1856 roku Dickens przeniósł swoją kampanię przeciwko możliwości kanibalizmu wśród członków wyprawy Franklina na nowy, wyższy poziom – na którym wkrótce i ja zostałem w nią wplątany.

Podróżowaliśmy razem po Francji (podczas tych eskapad nazywał mnie swoim „zdeprawowanym przyjacielem”, a czas spędzony w Paryżu „niebezpieczną wyprawą”; muszę jednak przyznać, że choć lubił nocne życie i z upodobaniem wdawał się w pogawędki z młodymi aktorkami, w przeciwieństwie do mnie nigdy nie posuwał się w tych znajomościach dalej niż do etapu konwersacji), gdy wpadł na pomysł, że powinienem napisać sztukę, którą po powrocie do Londynu wystawimy u niego w domu, w Tavistock House. Miał to być dramat o zaginionej w Arktyce ekspedycji naukowej, takiej jak ekspedycja Franklina, której angielscy członkowie wykażą się odwagą i hartem ducha. Przy okazji, nadmienił, sztuka powinna traktować o miłości i poświęceniu.

Moja reakcja była łatwa do przewidzenia:

– Może sam ją napisz, Charlesie?

Nie, to nie wchodziło w grę: właśnie zaczynał pracę nad *Małą Dorrit,* jeździł na wieczory literackie, wydawał pismo… Dlatego to ja musiałem się tym zająć. Dickens zasugerował tytuł *Zamarznięta otchłań,* ponieważ sztuka miała traktować nie tylko o bezludnej północy, ale także o niezgłębionych

tajnikach ludzkich serc i dusz. Zapowiedział, że pomoże mi co nieco z fabułą i zajmie się „nudną pracą redakcyjną”, z czego natychmiast wywnioskowałem, że będzie to w gruncie rzeczy jego utwór, ja zaś mam być tylko narzędziem służącym do przelania słów na papier.

Zgodziłem się.

Pracę nad *Zamarzniętą otchłanią* zaczęliśmy w Paryżu – to znaczy, ja zacząłem, bo rozchwytywany Dickens biegał ze spotkania na spotkanie i z bankietu na bankiet. Pod koniec gorącego lata 1856 roku wróciliśmy do Londynu. Nasze zwyczaje – pisarskie i nie tylko – ogromnie się różniły. We Francji lubiłem przesiadywać w kasynach do wczesnych godzin rannych, Dickens zaś upierał się przy jedzeniu śniadania między ósmą a dziewiątą. Nie raz i nie dwa spożywałem więc pasztet z gęsich wątróbek samotnie, około południa. Ponadto, w Tavistock House, i później w Gad’s Hill Place, Dickens pracował od dziewiątej rano do drugiej, trzeciej po południu. W tym czasie wszyscy w domu, zarówno rodzina, jak i goście, musieli również znaleźć sobie jakieś zajęcie. Widywałem, jak Georgina i córki pisarza udają, że robią korektę jego rękopisów, kiedy on sam zamykał się w gabinecie. W owym okresie (zanim jeszcze drugi Wilkie Collins zaczął ze mną walczyć o dostęp do biurka i przyborów piśmiennych) wolałem pracować po nocach, toteż za dnia chętnie zaszywałem się u Dickensa w bibliotece, żeby spokojnie wypalić cygaro i uciąć sobie drzemkę. Wielokrotnie zdarzało się, że Dickens wynurzał się znienacka z gabinetu, wypędzał mnie z kryjówki i zaganiał do pracy.

Nad nowym dramatem pracowałem (pracowaliśmy) także przez całą jesień. Wymyśliłem głównego bohatera (którego miał oczywiście zagrać Dickens) – niejakiego Richarda Wardoura, łączącego cechy niezłomnego sir Johna Franklina i jego zastępcy, całkiem pospolitego Irlandczyka nazwiskiem Francis Crozier, przy czym w moim zamyśle Wardour był człowiekiem starszawym, niezbyt kompetentnym (jakkolwiek na to patrzeć, wszyscy członkowie ekspedycji Franklina zmarli) i lekko obłąkanym. Miał być postacią ocierającą się o

czarny charakter.

Dickens wywrócił moją koncepcję do góry nogami. W jego wersji Richard Wardour był człowiekiem młodym, inteligentnym, skomplikowanym i – jak okazywało się pod koniec – zdolnym do bezwarunkowego poświęcenia. „Wiecznie szukającym prawdziwego uczucia, lecz bez powodzenia", tłumaczył Dickens w swoich obszernych adnotacjach. Sam napisał większość monologów Wardoura, które w dodatku trzymał w tajemnicy aż do ostatnich prób naszego amatorskiego przedstawienia („naszego", ponieważ byłem jednym z głównych aktorów tego przedsięwzięcia). Kiedy odwiedzałem go w Gad's Hill, często zdarzało mi się widzieć, jak rozpoczyna lub kończy którąś ze swoich dwudziestomilowych wycieczek do Finchley i Neasden, gromkim głosem recytując kwestie Wardoura:

– Młoda, o pięknej i smutnej twarzy, łagodnych oczach i cichym, czystym głosie. Młoda, kochająca i miłosierna. Jej twarz mam stale przed oczami, choć inne wspomnienia się zacierają. Muszę błąkać się po świecie niespokojny, bezsenny i bezdomny, dopóki jej nie znajdę.

Z perspektywy czasu łatwo dostrzec prawdziwość i głębię uczuć żywionych przez Dickensa w owym okresie, kiedy jego małżeństwo (z jego woli) chyliło się ku upadkowi. Przez całe życie czekał i szukał tej pięknej, smutnej twarzy o łagodnych oczach i cichym, czystym głosie. Obrazy podsuwane mu przez wyobraźnię zawsze były dla niego bardziej prawdziwe niż codzienna rzeczywistość, a już od wieku młodzieńczego karmił się wyobrażeniami tej dziewiczo czystej, szczerej, czułej, młodej, pięknej (i miłosiernej) kobiety.

Premiera mojej sztuki odbyła się w Tavistock House szóstego stycznia 1857 roku, w święto Trzech Króli, z której to okazji Dickens zawsze przygotowywał jakiś specjalny program. Był to również dzień dwudziestych urodzin jego syna, Charleya. Pisarz dołożył wszelkich starań, żeby spektakl wyglądał jak najbardziej profesjonalnie: kazał cieślom przerobić domową salkę lekcyjną na teatr, w którym z łatwością zmieściłoby się ponad pięćdziesięciu widzów,

usunąć znajdującą się tam wcześniej małą scenę i zastąpić ją nową, większą, pomieszczoną w wykuszu; zlecił skomponowanie oprawy muzycznej i wynajął orkiestrę, która miała ją zagrać; wynajął zawodowych scenografów do zaprojektowania i wykonania imponujących dekoracji scenicznych; wydał małą fortunę na kostiumy (przechwalał się później, że w naszych autentycznych strojach „polarników" moglibyśmy pójść piechotą z Londynu prosto na biegun północny); osobiście nadzorował działanie gazowego oświetlenia teatralnego i obmyślił skomplikowane efekty świetlne, mające symulować różne pory polarnej doby, nie wyłączając arktycznych białych nocy.

W jego wykonaniu melodramatyczna rola Wardoura nabrała niezwykłej wyrazistości i realizmu. W jednej ze scen, w której kilka postaci usiłuje powstrzymać cierpiącego Wardoura przed ucieczką ze sceny, uprzedził nas, że zamierza „walczyć na całego" i będziemy musieli naprawdę się postarać, żeby go zatrzymać. Jego ostrzeżenie okazało się wielkim niedomówieniem: jeszcze przed zakończeniem prób kilka osób zostało poważnie poobijanych. Charley tak później pisał w liście do mojego brata: „Podejmował próby ucieczki z takim zapałem, że naprawdę musieliśmy walczyć z nim jak zapaśnicy. Ponieważ znajdowałem się na czele grupy jego przeciwników i przyjmowałem na siebie główny impet zderzenia, byłem poniewierany po całej scenie i na długo przed premierą chodziłem cały posiniaczony".

Na premierze nasz wspólny przyjaciel John Forster odczytał dopisany w ostatniej chwili prolog, w którym Dickens (jak to często czynił w swoich książkach) usiłował w sposób zrozumiały dla wszystkich porównać ukryte głębie ludzkiej duszy do przerażających, skutych lodem przestrzeni Arktyki:

Niech ludzkiego wnętrza przepaść niezgłębiona
Upartego badacza chłodem nie pokona;
Niech dłoń odkrywcy zwycięży mróz duszy;
Przejście utoruje, lód polarny skruszy,

Zgrozę złagodzi czeluści zimowych
I Zamarzniętej otchłani roztopi okowy

Pociąg przywiózł mnie do Londynu, ale nie od razu udałem się na Charing Cross. Przekleństwem mojego życia była, jest i zawsze będzie podagra. Czasem rwie mnie w nodze, ale najchętniej atakuje głowę, gdzie często lokuje się za prawym okiem, jak rozgrzany do czerwoności żelazny pręt. Powodowanemu przez nią ustawicznemu bólowi (a jest naprawdę ustawiczny) przeciwstawiam się całą siłą swojej woli. Wspomagam się przy tym opium, które przyjmuję pod postacią laudanum.

W owym dniu zanim zająłem się wypełnianiem prośby Dickensa, złapałem przy dworcu dorożkę (czułem się tak fatalnie, że nie miałem ochoty na żadne spacery) i kazałem się zawieźć do niewielkiej apteki nieopodal miejsca mojego zamieszkania. Zaprzyjaźniony aptekarz (podobnie jak paru innych w Londynie i innych miejscowościach) wiedział o moich katuszach i sprzedawał mi leki łagodzące ból w ilościach zastrzeżonych zwykle dla lekarzy. Mówiąc prościej: sprzedawał mi laudanum na dzbanki.

Zaryzykuję domysł, Drogi Czytelniku, że w Twoich czasach nadal się go używa (chyba że medycyna opracowała jakiś powszechnie dostępny i jeszcze skuteczniejszy specyfik), ale na wypadek, gdybym jednak się mylił, pozwolę sobie opisać w tym miejscu jego działanie.

Laudanum jest zwyczajną alkoholową tynkturą opium. Zanim zacząłem kupować je w ilościach hurtowych, postępowałem zgodnie z zaleceniem Franka Bearda, mojego lekarza i przyjaciela, i wpuszczałem po prostu cztery krople opium do kieliszka lub pół kieliszka czerwonego wina. Później zrobiło się z tego osiem kropli. Następnie osiem do dziesięciu, ale za to dwa razy dziennie. W końcu odkryłem, że najskuteczniejsze na mój nieustępliwy ból jest gotowe laudanum, czyli mieszanina alkoholu z opium w proporcji jeden do jednego. W ostatnich miesiącach nabrałem zwyczaju (który z czasem miał się przerodzić w trwający całe

życie nałóg) popijania czystego laudanum z kieliszka albo wprost z dzbanka. Przyznaję, że kiedy któregoś dnia wypiłem taki kieliszek u siebie w domu na oczach sławnego chirurga, sir Williama Fergussona (człowieka, o którym myślałem, że docenia konieczność stosowania tego specyfiku), sir William wykrzyknął, że taka ilość laudanum mogłaby zabić każdego z obecnych przy stole (a zasiadało wtedy przy nim dziewięcioro gości: ośmiu mężczyzn i jedna kobieta). Od tamtej pory nie obnosiłem się z wielkością przyjmowanych dawek laudanum, nie ukrywałem jednak samego faktu, że ten błogosławiony lek stosuję.

Musisz zrozumieć jedną rzecz, Czytelniku z mojej pośmiertnej przyszłości: w naszych czasach wszyscy – albo prawie wszyscy – zażywają laudanum. Nawet mój ojciec, nieufny wobec wszelkich medykamentów, u schyłku życia pochłaniał ogromne ilości Kropli Battleya, bardzo mocnej postaci opium (ja zaś jestem przekonany, że mój ból wywołany podagrą był co najmniej równie, jeśli nie bardziej dokuczliwy, jak jego męki na łożu śmierci). Pamiętam, jak Coleridge, ten poeta, bliski przyjaciel moich rodziców i częsty gość w naszym domu, zanosił się płaczem z obawy przed pogłębiającym się uzależnieniem od opium, i pamiętam, jak moja matka go przed tym ostrzegała. Nie zapominajmy jednak – jak nie omieszkałem wytknąć moim nielicznym źle wychowanym znajomym, którzy pozwalali sobie krytykować moje uzależnienie – że sir Walter Scott przyjmował pokaźne dawki laudanum, pisząc *Narzeczoną z Lamermoor*, a moi i Dickensa współcześni, tacy jak Bulwer–Lytton czy De Quincey, używali tego jakże ważnego lekarstwa w ilościach zdecydowanie przewyższających stosowane przeze mnie.

Z apteki udałem się do domu – jednego z dwóch, które posiadałem, pod numerem dziewiątym przy Melcombe Place, nieopodal Dorset Square. Zgodnie z przewidywaniami, nie zastałem Caroline ani jej córki, spokojnie ukryłem więc świeży zapas laudanum – tyle że najpierw wypiłem dwa kieliszki…

…i parę minut później znów byłem sobą – przynajmniej w takim stopniu, w jakim było to możliwe, gdy podagra dobijała się do okien i łomotała w drzwi mojego ciała. Przynajmniej rozlegający się stale w tle nieznośny szum bólu przycichł na tyle, że mogłem zebrać myśli.

Pojechałem na Charing Cross.

***

Zamarznięta otchłań odniosła wielki sukces.

Pierwszy akt rozgrywa się w hrabstwie Devon, gdzie piękną Clarę Burnham (graną przez ładniejszą z córek Dickensa, Mary, pieszczotliwie zwaną Mamie) dręczy strach o wytwornego narzeczonego, Franka Aldersleya (w tej roli wystąpiłem ja, z twarzą przyozdobioną zaczątkami obecnego zarostu). Aldersley udał się na wyprawę polarną, której celem – podobnie jak tej prawdziwej, prowadzonej przez sir Johna Franklina – było otwarcie Przejścia Północno–Zachodniego. Oba uczestniczące w niej statki, HMS *Wanderer* i HMS *Sea–mew*, przepadły bez śladu przed ponad dwoma laty. Clara wie, że dowódcą Franka podczas tej ekspedycji jest kapitan Richard Wardour, którego oświadczyny odrzuciła. Wardour nie zna tożsamości rywala do ręki Clary, ale przysiągł, że gdy tylko go spotka, zabije go. Mój bohater, Frank Aldersley, jest zaś całkowicie nieświadomy uczucia, jakim Wardour darzy jego narzeczoną.

Mając świadomość tego, że statki najprawdopodobniej uwięzły w okowach lodu gdzieś w Arktyce, Clara odchodzi od zmysłów na myśl o tym, że jej dwaj adoratorzy przypadkiem poznają nawzajem swoją tożsamość. Żyje więc w strachu nie tylko przed samą Arktyką, jej pogodą, zamieszkującymi ją dzikimi zwierzętami i ludźmi, lecz także stale zamartwia się tym, co Wardour zrobi z jej Frankiem, gdy odkryje prawdę.

Obaw Clary bynajmniej nie łagodzi jej opiekunka, Esther, która – obdarzona darem jasnowidzenia – przedstawia swoje krwawe wizje w szkarłatnym świetle zachodzącego nad hrabstwem Devon słońca. (Jak już wspomniałem, Dickens

bardzo się postarał, żeby w teatrzyku w Tavistock House stworzyć realistyczne efekty świetlne, odzwierciedlające warunki panujące o różnych porach dnia i nocy).

– Widzę jagnię w pazurach lwa… – sapie pogrążona w transie Esther. – Twoja śliczna ptaszyna sam na sam z jastrzębiem… Widzę, jak płaczesz, ty i wszyscy, którzy cię otaczają… Krew! Plama na twojej… Och, moje dziecko, moje dziecko… Plami cię krew!

***

Młody mężczyzna nazywał się Edmond Dickenson.

Dickens uprzedził mnie, że zarezerwował dla niego pokój w hotelu „Charing Cross”, nie powiedział jednak, że był to obszerny apartament.

Pielęgniarka – kobieta starsza i niezbyt ładna – urządziła sobie dyżurkę w sąsiadującym z sypialnią saloniku.

Kiedy wszedłem, zaprowadziła mnie do rannego.

Wysłuchawszy dramatycznej opowieści Dickensa o wydobyciu młodzieńca z wraku pociągu, w której krew lała się obficie, wszędzie walały się strzępy ubrań, a ocalały mężczyzna wymagał pilnej pomocy lekarskiej, spodziewałem się zobaczyć człowieka stojącego nad grobem, całego w bandażach, łubkach i gipsie, prawdopodobnie na wyciągu. Tymczasem Dickenson, ubrany w piżamę i szlafrok, siedział w łóżku i czytał książkę. Wszędzie na komodzie i stolikach stały kwiaty – wśród nich wazon szkarłatnych pelargonii, na widok których znów poczułem narastający lęk, tak jak wśród rabat w Gad’s Hill Place.

Dickenson był młodym, łagodnym człowiekiem. Miał dwadzieścia, może dwadzieścia jeden lat, okrągłą twarz, zaróżowione policzki, rzadkie blond włosy, które pomału odsłaniały coraz większą połać różowego czoła, niebieskie oczy i uszy delikatne jak małe muszelki. Piżama wyglądała na jedwabną.

Przedstawiłem się i wyjaśniłem, że przysyła mnie pan Dickens, abym dowiedział się o stan zdrowia pacjenta.

Zdziwiłem się wielce, gdy Dickenson wykrzyknął:

– Ach, pan Collins! To dla mnie wielki zaszczyt, że odwiedza mnie taki sławny pisarz! Byłem zachwycony pańską *Kobietą w bieli*. Została opublikowana w „All the Year Round” zaraz po zakończeniu *Opowieści o dwóch miastach*.

– Dziękuję panu – odparłem.

Niewiele brakowało, żebym się zarumienił pod wpływem tego komplementu. Rzeczywiście, *Kobieta w bieli* odniosła sukces. Pismo z kolejnymi jej odcinkami sprzedawało się lepiej niż kiedy drukowano w nim powieści Dickensa.

– Jest mi niezmiernie miło, że skromny wynik moich wysiłków przypadł panu do gustu – dodałem.

– Ależ tak, to było coś cudownego! Ma pan wielkie szczęście, że ktoś taki jak pan Dickens jest pańskim mentorem i wydawcą.

Utkwiłem w nim pozbawione wyrazu spojrzenie, lecz moje przedłużające się milczenie pozostało niezauważone: Dickenson bełkotał już z podnieceniem o katastrofie pod Staplehurst, o okropnościach, jakie tam oglądał, a także o niepospolitej odwadze i hojności Charlesa Dickensa.

– Z pewnością nie żyłbym dzisiaj, gdyby pan Dickens nie znalazł mnie w zniszczonym wagonie. Wisiałem do góry nogami i nie mogłem oddychać, panie Collins! Pan Dickens nie odstępował mnie na krok. Wezwał ratowników, żeby mnie wyciągnęli, a następnie dopilnował, żeby wynieśli mnie na nasyp, gdzie rannych przygotowywano do ewakuacji. Był przy mnie także w drodze do Londynu, a potem, jak pan widzi, ulokował mnie w tym pięknym pokoju i zapewnił mi opiekę pielęgniarską do czasu, aż wrócę do pełni sił.

– Nie odniósł pan poważniejszych obrażeń? – zapytałem doskonale bezbarwnym tonem.

– Nie, żadnych. Jestem tylko poobijany, wszędzie mam sińce: na nogach, biodrach, piersi, plecach i lewej ręce. Trzy dni temu, bezpośrednio po wypadku, nie mogłem chodzić, ale dzisiaj pielęgniarka pomogła mi przejść do toalety i z powrotem. To był wyczyn!

– Bardzo się cieszę.

– Mam nadzieję, że jutro będę mógł wrócić do domu – bąknął Dickenson – Nigdy nie zdołam się odwdzięczyć panu Dickensowi za jego szczodrość. Ocalił mi życie! I zaprosił mnie do swojego domu w Gad’s Hill na Boże Narodzenie i Nowy Rok!

Był dwunasty czerwca.

– Cudownie – powiedziałem. – Jestem przekonany, że Charles docenia wartość życia, do którego ocalenia się przyczynił. Powiedział pan, panie Dickenson, że chciałby jutro wrócić do domu… Mogę zapytać, gdzie to jest?

Mówił dalej, bez ładu i składu. Z jego słów wynikało, że jest sierotą – czyli przedstawicielem ulubionej przez Dickensa odmiany istot ludzkich, jeśli poważnie traktować *Oliwera Twista*, *Dawida Copperfielda, Samotnię* i tuzin innych opowieści pisarza. Otrzymał spadek (uwikłany w prawne zawiłości dziedziczenia, jakby żywcem wyjęte z opisanej w *Samotni* sprawy Jarndyce kontra Jarndyce) i miał starszawego opiekuna prawnego, który mieszkał w posiadłości w Northamptonshire i idealnie nadawał się na pierwowzór Chesneya Wolda. Dickenson prowadził skromny żywot w Londynie, pomieszkiwał samotnie w wynajmowanych pokojach i miał niewielu znajomych. Czasem uczył się grać na jakimś instrumencie, chociaż nie zamierzał zostać muzykiem; kiedy indziej przymierzał się do innych profesji, którymi również nie zamierzał się w przyszłości parać. Odsetki ze spadku wystarczały mu na zakup jedzenia, książek i biletów do teatru oraz, od czasu do czasu, na wypady do nadmorskich kurortów. Robił, co chciał.

Podyskutowaliśmy trochę o teatrze i literaturze. Okazało się, że panicz Dickenson, prenumerator obu wydawanych przez Dickensa czasopism, zachwycił się moim opowiadaniem *Okrutnie dziwne łoże* opublikowanym w „Household Words”.

– Dobry Boże! – wykrzyknąłem. – Przecież to było prawie piętnaście lat temu! Ile pan miał wtedy lat, pięć?

Rumieniec Dickensona rozpoczął się od muszelkowatych uszu i szybko rozprzestrzenił na policzki, skąd jak różowy

bluszcz wspiął się na skronie i szerokie czoło. Widziałem, jak rozlewa się nawet wśród przerzedzonych jasnych włosów.

– Siedem, mój panie – odparł Dickenson. – Mój opiekun, pan Watson, liberał i członek parlamentu, miał w swojej bibliotece oprawione w skórę roczniki „Puncha” i takich pism jak „Household Words”. To właśnie tak ukształtowało się i umocniło moje zamiłowanie do słowa pisanego.

– Ach tak… Interesujące.

Kiedy przed laty dołączyłem do zespołu „Household Words”, oznaczało to dla mnie dodatkowe pięć funtów tygodniowo, tymczasem dla siedzącego przede mną sieroty fakt ten miał znaczenie wręcz epokowe. Dickenson cytował na wyrywki moją książkę *O zmroku* i z należytym zdumieniem przyjął wiadomość, że składające się na nią opowieści oparłem w głównej mierze na pamiętnikach matki oraz jej nieco bardziej oficjalnym rękopisie, w którym opisywała swoje życie żony sławnego malarza.

Okazało się, że jedenastoletni Edmond Dickenson udał się ze swoim opiekunem aż do Manchesteru, żeby w dniu dwudziestego pierwszego sierpnia 1857 roku obejrzeć wystawianą tam w New Free Trade Hall *Zamarzniętą otchłań*.

***

Drugi akt dramatu toczy się w Arktyce. Wardour (Dickens) i jego zastępca, komandor porucznik Crayford, dyskutują o nikłych szansach przetrwania w obliczu mrozów i głodu. „Nigdy nie poddawaj się dyktatowi swojego brzucha” – radzi Crawfordowi doświadczony podróżnik. „W końcu to on ugnie się przed tobą”.

Ta determinacja, niezłomna wola nieznosząca sprzeciwu, miała źródło nie w samym piórze Charlesa Dickensa, lecz w jego duszy.

Dalej Wardour wyjaśnia, że kocha arktyczne pustkowia za to, że „nie ma tu kobiet”. Jeszcze w tym samym akcie wykrzykuje: „Przyjąłbym każdy wyrok fortuny, który

odgrodziłby mnie pracą, przeciwnościami losu i niebezpieczeństwem od mojego nieszczęścia, jak murem obronnym… Tak, Crayford, ciężka praca… Oto prawdziwy eliksir życia!” i dalej: „…to kobiety są przyczyną wszelkiej beznadziei i niedoli tego świata”.

Oficjalnie była to moja sztuka, na afiszu zostałem wymieniony jako autor tekstu (tudzież jako jeden z aktorów) – ale niemal wszystkie kwestie Richarda Wardoura napisał (lub przynajmniej poprawił) Charles Dickens. Nie były to słowa człowieka szczęśliwie żonatego.

Pod koniec drugiego aktu dwóch mężczyzn wyrusza pieszo na lodowe pustkowia, żeby sprowadzić pomoc. Są jedyną nadzieją uwięzionych, muszą jednak pokonać tysiąc mil zamarzniętej otchłani. Są to – jakżeby inaczej – Richard Wardour i jego rywal, zwycięski w staraniach o rękę Clary Burnham Frank Aldersley. (Wspominałem już pewnie o tym, że obaj z Dickensem zapuściliśmy brody specjalnie do tego przedstawienia). Akt kończy się w momencie, gdy Wardour odkrywa, że ranny, wygłodniały i osłabiony Aldersley jest jego największym wrogiem, któremu poprzysiągł śmierć.

***

– Czy na miejscu katastrofy widział pan dżentelmena nazwiskiem Drood? – spytałem Edmonda Dickensona, gdy dureń wreszcie na chwilę się zamknął, a pielęgniarka wyszła z pokoju.

– Dżentelmena nazwiskiem Drood? Doprawdy, nie wiem. Tylu dobrych ludzi mi tam pomagało… Mało którego, poza naszym wspaniałym panem Dickensem, miałem okazję poznać z nazwiska.

– Słyszałem, że pana Drooda trudno zapomnieć – powiedziałem i zacytowałem opis Dickensa: czarna jedwabna peleryna, cylinder, brakujące palce, zdeformowany nos, blada cera, łysina, śladowy wianuszek włosów, przerażające spojrzenie, dziwny chód przypominający raczej szybowanie nad powierzchnią ziemi, sycząca mowa i obcy akcent.

– Och, na Boga, nie! – wykrzyknął młody Dickenson. – Z pewnością bym pamiętał, gdybym, go zobaczył lub usłyszał! – Jego wzrok rozmył się, jakby spoglądał w głąb siebie, podobnie jak kilka razy zdarzyło się to Dickensowi w zaciszu gabinetu. – Pamiętałbym, mimo potworności, które mnie wtedy otaczały – dodał.

– Nie wątpię – przytaknąłem. Powstrzymałem się od poklepania przykrycia powyżej pokiereszowanej nogi, w geście współczucia. – Zatem nie zna pan nazwiska Drood, nie słyszał pan, żeby ktoś o nim wspominał… A wtedy w pociągu, przed wypadkiem?

– Nic mi o tym nie wiadomo, panie Collins. Czy panu Dickensowi zależy na znalezieniu tego człowieka? Dla pana Dickensa zrobię wszystko co w mojej mocy.

– Z pewnością, panie Dickenson – powiedziałem, i tym razem poklepałem go po kolanie. – Ale pan Dickens kazał mi zapytać pana, czy może panu czymś jeszcze służyć. – Spojrzałem na zegarek. – Czegoś panu brakuje? Coś panu doskwiera? Skarży się pan na coś, w czym mogłyby panu pomóc pielęgniarki albo nasz wspólny przyjaciel?

– Niczego takiego nie ma. Jutro powinienem móc opuścić hotel o własnych siłach i wrócić do normalnego życia. Wie pan, że mam kota? – Dickenson się roześmiał. – Właściwie kotkę. I to raczej ona ma mnie, niż ja ją. Jak na kota przystało, chadza własnymi drogami, sama poluje i zapewne nie przejmie się moją nieobecnością. – Znów miałem wrażenie, że spogląda w głąb siebie i widzi ludzi zabitych i umierających przed trzema dniami pod Staplehurst. – Prawdę mówiąc, Kicia nie przejęłaby się specjalnie nawet gdybym zmarł. Nikt by za mną nie zatęsknił.

– A pański opiekun? – podpowiedziałem. Nie chciałem, żeby zaczął się użalać nad sobą.

Dickenson zaśmiał się serdecznie.

– Moim obecnym opiekunem jest znajomy mojego dziadka. Prawnik. Owszem, opłakiwałby mnie, ale nasza… znajomość… ma charakter raczej… służbowy. Kicia to jedyny przyjaciel, jakiego mam w Londynie. Nie tylko w Londynie

zresztą.

Skinąłem głową.

– Odwiedzę pana jeszcze jutro rano, panie Dickenson.

– Nie ma potrzeby, panie Collins…

– Nasz wspólny przyjaciel Charles Dickens jest innego zdania – odparłem pośpiesznie. – Jeśli tylko zdrowie mu pozwoli, przyjedzie jutro spotkać się z panem i dowiedzieć o pański stan.

Chłopak znów poczerwieniał. W popołudniowym czerwcowym świetle, przefiltrowanym przez hotelowe zasłony, rumieniec – choć bardzo twarzowy – nadawał mu jeszcze bardziej pocieszny i niemądry wygląd niż zwykle.

Pokiwałem głową, wziąłem laskę, opuściłem sypialnię młodego Edmonda Dickensona i przeszedłem przez salonik, w którym siedziała milcząca pielęgniarka.

***

Trzeci akt *Zamarzniętej otchłani* zaczyna się sceną, w której Clara Burnham wyrusza do Nowej Fundlandii, żeby dowiedzieć się czegoś o zaginionych. (Podobnie zachowała się prawdziwa lady Franklin: wynajęła statki i w towarzystwie bratanicy Sophii Cracroft ruszyła na daleką północ na poszukiwanie męża). Do przybrzeżnej lodowej jaskini wchodzi słaniający się z głodu i wyczerpania mężczyzna, który cudem zdołał przemierzyć skute lodem morze. Clara rozpoznaje w nim Wardoura i histerycznym tonem oskarża go o zamordowanie – a może także zjedzenie? zastanawiają się widzowie – jej narzeczonego. Na te słowa Wardour (czyli Dickens) wybiega na zewnątrz, a po chwili wraca z Aldersleyem (czyli mną) na rękach. Aldersley jest cały i zdrowy, choć w łachmanach.

– Często się zdarzało – sapie Wardour – że brnąc przez zaspy i kry, miałem ochotę go zostawić, żeby zasnął.

Po tych słowach Dickens/Wardour osuwa się na ziemię. Głód i wysiłek związany z utrzymaniem ich obu przy życiu w końcu dają o sobie znać.

– Claro, siostro moja! – udaje mu się jeszcze wykrztusić. – Pocałuj mnie, siostro, pocałuj mnie, nim sczeznę!

Wardour umiera w ramionach Clary, która składa pocałunek na jego policzku. Jej łzy spływają na jego twarz.

Na próbie kostiumowej miałem ochotę zwymiotować na scenie, ale podczas wszystkich czterech przedstawień w Tavistock House łzy napływały mi do oczu, a z mojego gardła wyrywał się szept:

– To straszne, to straszne…

Drogi Czytelniku – możesz rozumieć moje słowa, jak Ci się żywnie podoba.

Aktorstwo Dickensa zawsze było wyraziste, choć także… nieco dziwaczne. William Makepeace Thackeray, jeden z gości na premierze, powiedział później o Dickensie: „Gdyby zaczął grać zawodowo, zarabiałby dwadzieścia tysięcy funtów rocznie”.

W 1857 roku stwierdzenie to było fantastycznie przesadne, ale w czasie, gdy doszło do katastrofy, Dickens zarabiał niewiele mniej, występując na wieczorach literackich w Ameryce i Anglii.

Podczas czterech wieczorów w Tavistock House widzowie płakali jak bobry. Zaproszeni przez Dickensa zawodowi recenzenci twierdzili, że są pod wrażeniem jego aktorstwa i niezwykłego zespolenia z postacią Richarda Wardoura. Prawdę powiedziawszy, wszyscy zwracali uwagę na niezwykłą intensywność jego gry, na emanującą z niego mroczną energię, która się rozprzestrzeniała na całą salę i zagarniała widzów i słuchaczy.

Po ostatnim przedstawieniu Dickens popadł w przygnębienie; pisał wtedy do mnie o „smutnych dźwiękach”, jakie wydawał „niszczony i rozbierany” przez robotników domowy teatr.

Domagano się, żeby nadal wystawiał moją sztukę; wielu ludzi twierdziło, że powinien tak zarabiać na życie; chodziły słuchy (prawdziwe, jak się później okazało), że sama królowa chciałaby zobaczyć przedstawienie, Dickens jednak oparł się tym sugestiom. Nikt z nas, amatorów, nie chciał się zniżać do

profesji płatnego aktora.

W czerwcu tego pamiętnego roku, który miał na zawsze odmienić życie Dickensa, pisarzem wstrząsnęła wiadomość o śmierci naszego wspólnego przyjaciela, Douglasa Jerrolda.

Zaledwie parę dni wcześniej Dickensowi przyśniło się, że Jerrold dał mu swój nowy tekst do zredagowania, ale Charles nie był w stanie zrozumieć z niego ani słowa. To koszmar każdego pisarza – nagłe zagubienie znaczenia przez język, który nas żywi i utrzymuje. Dickensa zaintrygował jednak fakt, że sen przytrafił mu się dokładnie w tym samym czasie, gdy Jerrold spoczywał na łożu śmierci, o czym żaden z nas dwóch nie wiedział.

Mając świadomość, że rodzina zmarłego znajdzie się w poważnych tarapatach finansowych (w radykalnych poglądach i zapędach reformatorskich Dickens nie dorastał Douglasowi do pięt), Dickens wpadł na pomysł wystawienia kilku spektakli dobroczynnych. T.P. Cooke miał zagrać w dwóch zapomnianych dramatach Jerrolda, *Czarnookiej Susan* i *Dniu czynszu*; Thackeray i William Howard Russell, korespondent wojenny, zostali zaproszeni na odczyty; sam Dickens zaś urządził serię podwieczorków i wieczorów czytelniczych.

Zaplanował również – oczywiście – ponowne wystawienie *Zamarzniętej otchłani*.

W ten sposób chciał zebrać dwa tysiące funtów, żeby przekazać je wdowie po Jerroldzie.

Na występy wynajęto Galerię Rycin przy Regent Street. Królowa – niechętnie pokazująca się na przypadkowych imprezach dobroczynnych – tym razem nie tylko zgodziła się wesprzeć wysiłki Dickensa swoim imieniem, ale przysłała również list, z którego wynikało, że bardzo chętnie obejrzałaby *Zamarzniętą otchłań,* wobec czego sugeruje, żeby pan Dickens wybrał sobie jedną z komnat Pałacu Buckingham, w której zorganizowałby prywatny spektakl dla Jej Wysokości i zaproszonych przez nią gości.

Dickens odmówił – z całkiem zrozumiałych powodów: jego występujące w przedstawieniu córki nie zostały dotychczas

oficjalnie przedstawione na królewskim dworze, on zaś nie chciał, żeby pierwszy raz zaprezentowały się królowej jako aktorki. Zaproponował więc, żeby Jej Wysokość pofatygowała się na prywatne przedstawienie do Galerii Rycin, na które mogłaby zabrać własną galerię gości. W obliczu niezłomnej woli Niezrównanego, królowa musiała ustąpić.

Wystąpiliśmy przed nią czwartego lipca 1857 roku.. Wśród zaproszonych gości znaleźli się książę Albert, król Belgii i książę Prus. Specjalnie na cześć księcia Alberta, Dickens kazał udekorować kwiatami wejście i schody. Niektórzy z nas, przyznaję, obawiali się, że dostojna widownia nie będzie reagowała na nasz występ tak żywiołowo, jak widzowie, których zimą gościliśmy w Tavistock House, lecz Dickens zapewnił nas, że królowa i jej goście będą śmiać się przy zabawnych scenach, płakać przy smutnych, wycierać nos dokładnie w tych samych momentach co bardziej pospolici widzowie, oraz – podczas *Wujaszka Johna,* wystawianego zaraz po *Zamarzniętej otchłani* – ryczeć ze śmiechu jak osły. Jak zwykle, miał całkowitą rację.

Po przedstawieniu zachwycona królowa wezwała Dickensa do siebie, żeby osobiście mu podziękować.

Dickens odmówił.

Tym razem użył następującej wymówki: „Nie mógłbym stanąć przed Jej Wysokością zmęczony i spocony, z makijażem na twarzy”.

Oczywiście, nie sama charakteryzacja powstrzymała go przed wystąpieniem przed królową i jej gośćmi. Trzeba Ci wiedzieć, Czytelniku, że występujący w naszej romantycznej farsie Dickens kończył występ w przebraniu wujaszka Johna: niechlujnym szlafroku, głupiej peruce, z pomalowanym na czerwono nosem. Nie było mowy, żeby Charles Dickens, jeden z najbardziej dumnych i zarozumiałych ludzi, jacy kiedykolwiek stąpali po ziemi, pokazał się królowej Wiktorii w takim stroju.

Królowa i tym razem uprzejmie pogodziła się z odmową.

Jeszcze dwa razy wystawiliśmy *Zamarzniętą otchłań* w Galerii Rycin, ale mimo entuzjastycznego przyjęcia,

euforycznych recenzji i pokaźnych wpływów na fundusz rodziny Jerroldów, nie udało się nam osiągnąć zakładanego celu dwóch tysięcy funtów. John Dean, kierownik manchesterskiej galerii sztuki, namawiał Dickensa na przyjazd z przedstawieniem do New Free Trade Hall. Dickens – który nie mógł znieść myśli o tym, że nie dostarczy Jerroldom obiecanych dwóch tysięcy – bezzwłocznie wybrał się do Manchesteru na wieczór literacki poświęcony *Opowieści wigilijnej.* Przy okazji obejrzał proponowaną salę widowiskową, w której z łatwością zmieściłyby się dwa tysiące ludzi.

Uznał, że sala doskonale nadaje się na przedstawienie teatralne, ale zarazem jest zbyt duża jak na całkiem przeciętne talenty aktorskie jego córek i szwagierki, grających pierwszoplanowe role. Do głowy by mu nie przyszło, że on sam może aktorsko nie dorastać do wymagań tak ogromnej sali i tak licznej widowni; z doświadczenia wiedział, że swoim naturalnym magnetyzmem jest w stanie uwieść nawet trzytysięczne tłumy. Zanosiło się więc na to, że będzie musiał urządzić przesłuchania i zaangażować zawodowe aktorki. (Mark Lemon, syn Dickensa, Charley, i ja ostaliśmy się w zespole, ale Niezrównany i tak urządził nam takie próby, jakbyśmy nigdy przedtem nie występowali w tej sztuce).

Alfred Wigan, dyrektor Olympic Theatre, podsunął Dickensowi dwie młode, obiecujące aktorki, od niedawna zatrudnione u niego w teatrze – Fanny i Marię Ternan. Zachwycony jego propozycją Dickens oczywiście się zgodził (widzieliśmy je już w innych sztukach, podobnie jak ich młodszą siostrę oraz matkę, aktorkę z dużym stażem), Wigan zapytał więc panien Ternan, czy byłyby zainteresowane występem w *Zamarzniętej otchłani.* Zgodziły się z entuzjazmem.

Wigan zasugerował Dickensowi, że powinien rozważyć zatrudnienie matki młodych dam, pani Frances Eleanor Ternan, jak również ich najmłodszej (zaledwie osiemnastoletniej) i najmniej efektownej siostry, niejakiej

Ellen Lawless Ternan.

W ten oto sposób życie Charlesa Dickensa zmieniło się raz na zawsze.

***

Po wyjściu z hotelu „Charing Cross” złapałem dorożkę, ale uznałem, że nie chcę wracać prosto do domu, wysiadłem więc w pół drogi i wpadłem na kolację do klubu, którego członkiem wprawdzie nie byłem, ale odwiedzałem go czasem na prawach gościa.

Byłem zły. Ten szczeniak Dickenson okrutnie popsuł mi humor tym swoim impertynenckim „Ma pan wielkie szczęście, że ktoś taki jak pan Dickens jest pańskim mentorem i wydawcą”.

Kiedy u schyłku lata 1860 moja *Kobieta w bieli* zaczęła ukazywać się w odcinkach w „All the Year Round”, zastąpiwszy na jego łamach *Opowieść o dwóch miastach* Dickensa (pozwól, Drogi Czytelniku, że nadmienię w tym miejscu, iż Dickensowski Sydney Carton był bezpośrednim spadkobiercą mojego altruistycznego i gotowego do najwyższych poświęceń bohatera *Zamarzniętej otchłani* Richarda Wardoura… Ha, sam Dickens przyznał przecież, że pomysł na postać Cartona i całą fabułę *Opowieści o dwóch miastach* przyszedł mu do głowy podczas ostatniego przedstawienia *Zamarzniętej otchłani,* gdy leżał na scenie w ramionach Marii Ternan (nowej Clary Burnham), której najprawdziwsze łzy skapywały mu na twarz, wsiąkały w brodę i łachmany, co poruszyło go do tego stopnia, że szepnął do niej „Moja droga, bądź łaskawa powściągnąć emocje. Za dwie minuty będzie po wszystkim”…).

Na czym to ja stanąłem?

Ach tak, kiedy *Kobieta w bieli* przez osiem miesięcy ukazywała się w nowym tygodniku Dickensa (dodam skromnie, że spotkała się przy tym z ogromnym zainteresowaniem i uznaniem czytelników), dużo mówiło się (i nieco mniej pisało) o tym, że ja, Wilkie Collins, zgłębiałem

tajniki pisarstwa pod przewodnictwem Charlesa Dickensa, doskonaliłem przy nim swój kunszt, a nawet zapożyczyłem od niego styl narracji. Mówiono, że brakuje mi jego przenikliwości, a w pewnych kręgach powtarzano, że „nie umiem nakreślić postaci bohaterów”.

Wszystko to, rzecz jasna, było jedną wielką bzdurą.

Przeczytawszy mój rękopis, Dickens napisał do mnie list, w którym stwierdzał między innymi: „(…) znaczny postęp w stosunku do wszystkich Twoich poprzednich dokonań, zwłaszcza jeśli chodzi o pisarską wrażliwość (…) doskonały charakter (…) Nie znam nikogo, kto zrobiłby to choć w połowie tak dobrze jak Ty. W każdym rozdziale przerywałem na chwilę lekturę, by odnotować przykład wyjątkowej pomysłowości lub udany zabieg warsztatowy”.

Nie byłby jednak sobą, gdyby nie popsuł efektu, dodając, że musi „jak zwykle sprzeciwić się Twojej skłonności do niedowierzania czytelnikowi, która skutkuje narzucaniem mu pewnych spostrzeżeń i faktów”.

Można by odrzec, że on z kolei – ze swoją skłonnością do mętnego fantazjowania i zbędnej subtelności – pokładał nadmierną wiarę w swoich odbiorcach, przez co wielu przeciętnych czytelników gubiło się w nieprzebytym gąszczu Dickensowskiej prozy.

Będę z Tobą szczery, Mój Czytelniku, który żyjesz i oddychasz w tak odległym odgałęzieniu mojej przyszłości, że nawet cień mej szczerości nie sprawi przykrości nikomu, kto kochał Dickensa. Byłem, jestem i prawie na pewno zawsze będę dziesięć razy lepszym twórcą fabuł niż Charles Dickens. Dla niego intryga jest czymś, co może zgoła przez przypadek wykiełkować z manipulacji dziwacznymi postaciami, którymi posługuje się jak marionetkami. Gdyby okazało się, że spada sprzedaż pisma z którąś z jego niezliczonych powieści w odcinkach, wprowadziłby po prostu kolejnych dziwaków i kazałby im się dumnie przechadzać i popisywać przed naiwnym czytelnikiem – z taką samą łatwością, z jaką wygnał Marcina Chuzzlewita do Ameryki, żeby przysporzyć sobie nowych odbiorców.

Moje pomysły fabularne są subtelne w sposób, którego Charles Dickens nigdy nie potrafiłby w pełni ani dostrzec, ani tym bardziej naśladować w swoich oczywistych (dla każdego wymagającego czytelnika), lecz bezładnych machinacjach, w których narracja tonie w obszernych dygresjach.

Ludzie zuchwali i nieokrzesani, tacy jak ten szczeniak–sierota Edmond Dickenson, zawsze powtarzali, że nieustannie „uczę się od Charlesa Dickensa", tymczasem prawda wygląda dokładne odwrotnie. Sam Dickens przyznał (o czym już wspominałem), że postać Sydneya Cartona z *Opowieści o dwóch miastach* jest wzorowana na Richardzie Wardourze z mojej *Zamarzniętej otchłani*. Kimże zresztą była jego „stara kobieta w bieli" w *Wielkich nadziejach,* wielce okrzyczana panna Haversham, jeśli nie podkradzioną mi główną bohaterką *Kobiety w bieli?*

***

Zasiadłem do samotnego posiłku. Bardzo lubiłem bywać w tym klubie, ponieważ jego szef kuchni przyrządzał znakomity pudding ze skowronków, który uważam za jedno z czterech arcydzieł naszej epoki. Tego dnia postanowiłem zjeść lekką kolację: dwa rodzaje pasztetu, zupa, homar na słodko, butelka wytrawnego szampana, barani udziec nadziewany ostrygami i siekaną cebulą, dwie porcje szparagów, duszona wołowina, kąsek garnirowanego kraba i jaja na przystawkę.

Rozkoszując się bez pośpiechu tą skromną przekąską, uświadomiłem sobie, że jedną z nielicznych zalet żony Dickensa był jej talent kulinarny – a właściwie talent, z jakim nadzorowała pracę kuchni w Tavistock House, ponieważ nigdy nie widziałem, żeby włożyła fartuch czy wzięła chochlę do ręki. Dawno temu Catherine Dickens (wtedy jeszcze znana jako Maria Clutterbuck) wydała cały tom z przepisami (zaczerpniętymi z rodzinnej kuchni prowadzonej przez nią w Devonshire Terrace) zatytułowany *Co zjemy na obiad?* Większość opisanych przez nią potraw przypadła mi do gustu

– i wiele z nich stanęło dziś przede mną na stole, chociaż w mniejszej obfitości i nie takiej glorii sosów (moim zdaniem całe gotowanie to tylko preludium mające na celu uzyskanie doskonałych sosów), ponieważ Catherine również skłaniała się ku homarom, baranim udźcom, potężnym stekom i wyrafinowanym deserom. W jej książce kucharskiej znalazło się miejsce dla tylu odmian opiekanego sera, że jeden z recenzentów skomentował to tak: „Nikt nie przeżyłby tak częstej konsumpcji opiekanego sera”.

Dickens przeżył. Co więcej, przez te wszystkie lata nie przytył ani funta. Oczywiście nie można wykluczyć, że pomagały mu w tym regularne żwawe spacery na dystansach od dwunastu do dwudziestu mil. Ja jednak mam naturę bardziej osiadłą. Moje zamiłowania, w połączeniu z dręczącą mnie chroniczną chorobą, każą mi się trzymać blisko biurka, kanapy i łóżka. Chodzę, kiedy muszę; wyleguję się, kiedy mogę. (Przebywając w Tavistock House albo Gad’s Hill Place, miałem zwyczaj zaszywać się w bibliotece lub pustym pokoju gościnnym do godziny drugiej lub trzeciej po południu, kiedy to Dickens kończył swoje pisarskie zmagania i wyruszał na poszukiwanie towarzysza do jednego z tych swoich pomylonych spacerów. On z kolei miał zwyczaj zawsze mnie znajdować (teraz wiem, że często udawało mu się mnie wytropić po dymie z cygara) i wyciągać na jedno– czy dwu– milową przechadzkę, która przy jego wariackim tempie marszu zajmowała nam najwyżej dwadzieścia minut).

Nie mogłem się zdecydować, który deser wybrać, więc – niczym Salomon – postanowiłem zjeść oba: pudding ze skowronków i dobrze wygotowany pudding jabłkowy. Do tego butelka porto. I kilka kaw.

Kończyłem właśnie pudding, gdy moją uwagę zwrócił wysoki, bardzo stary mężczyzna o arystokratycznej postawie, który właśnie wstał z krzesła w głębi sali. W pierwszej chwili pomyślałem, że to Thackeray – dopóki nie przypomniałem sobie, że Thackeray zmarł w wigilię Bożego Narodzenia 1863 roku, czyli niemal półtora roku temu.

Byłem tu, w tym klubie, jako gość Dickensa, kiedy

Niezrównany i Thackeray pogodzili się po latach oziębłego milczenia. Animozje zaczęły się w okresie największego nasilenia emocji towarzyszących rozstaniu Dickensa z Catherine, kiedy pisarz był najbardziej bezbronny. Ktoś w Klubie Garricka wspomniał o rzekomym romansie Dickensa ze szwagierką, na co Thackeray, najwidoczniej bez zastanowienia, wypalił coś w tym stylu:

– Nie za szwagierką, lecz z aktoreczką.

Wieść o tym doszła do Dickensa. Jak zwykle. Młody dziennikarz, przyjaciel Dickensa i członek jego „ekipy", jak wtedy o nich mówiono, niejaki Edmund Yates (zawsze przypominał mi Jagona, taki był „wychudły i miał głodny wygląd"), opublikował w „Town Talk" wielce nieprzyjemny i lekceważący paszkwil o Thackerayu. Urażony pisarz–dżentelmen zauważył, że Yates, podobnie jak on sam, należy do Klubu Garricka, i poprosił klub o usunięcie młodzieńca z listy członków, zarzucając mu, że napisanie takiego pamfletu „nie licuje z godnością dżentelmena".

Dickens dał wówczas wyraz niewiarygodnej wręcz nieczułości wobec swojego dawnego druha Thackeraya: wziął młodego Yatesa w obronę, a następnie sam zrezygnował z członkostwa w Klubie Garricka, gdy komitet członkowski przyznał rację Thackerayowi i wydalił dziennikarza.

Spór został załagodzony dopiero wiele lat później, w Klubie Athenaeum. Dickens opisywał to Willsowi takimi słowami:

– Przychodzę do Athenaeum, odwieszam kapelusz na wieszak, podnoszę wzrok… i widzę wymizerowaną twarz Thackeraya. Wyglądał jak zjawa, Wills, naprawdę. Jak trup Marleya, tylko mu oków brakowało. Pytam więc, Thackeray, co się stało? Jesteś chory? I tak oto po latach milczenia wdaliśmy się w rozmowę, podaliśmy sobie ręce i znów wszystko było jak dawniej.

Wzruszające. I całkowicie nieprawdziwe.

Tak się złożyło, że i ja byłem owego wieczoru w Athenaeum. Obaj z Dickensem widzieliśmy, ile trudu sprawiło Thackerayowi włożenie płaszcza. Rozmawiał akurat

z dwoma innymi dżentelmenami. Dickens, który właśnie wszedł do klubu, minął go, nie zaszczyciwszy nawet jednym spojrzeniem. Ja odstawiłem laskę i odwieszałem właśnie kapelusz, a Dickens zdążył postawić nogę na pierwszym stopniu schodów, gdy stary pisarz skoczył za nim i go dogonił. Słyszałem, jak coś mówi. Wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie. Potem Dickens udał się do jadalni, a Thackeray wrócił do swoich rozmówców (jednym z nich był, zdaje się, sir Theodore Martin) i rzekł:

– Cieszę się, że to załatwiłem.

Charles Dickens był człowiekiem łagodnym i sentymentalnym, ale nigdy pierwszy nie wyciągnąłby ręki na zgodę – o którym to fakcie miałem sobie zresztą wkrótce przypomnieć.

***

Wróciłem do domu dorożką, rozmyślając o dziwacznym pomyśle poszukiwań widma nazwiskiem Drood.

Kiedy rano słuchałem opowieści o katastrofie pod Staplehurst, miałem mieszane odczucia na temat wiarygodności komentarzy odnoszących się do „pana Drooda”. Charles Dickens nie zwykł kłamać, był jednak zawsze święcie przekonany o słuszności swoich poglądów na każdy temat i (opowiadając o wydarzeniach, a nade wszystko opisując je) utwierdzał się w przekonaniu, że coś jest prawdą tylko dlatego, że on tak uważa, choćby i wbrew faktom. Publikowane przez niego listy otwarte, w których obwiniał żonę, Catherine, o spowodowanie separacji – której osiem lat wcześniej sam się domagał i do której w końcu doprowadził – doskonale ilustrują to zjawisko.

Po co jednak miałby wymyślać postać Drooda?

Z drugiej strony, po co opowiadał wszystkim, że to on, Dickens, zainicjował uzdrowienie stosunków z Thackerayem, podczas gdy było dokładnie odwrotnie?

Problem polegał na tym, że wszystkie jego przekłamania i zmyślenia, nawet jeśli nie były celowe (jako powieściopisarz

wiem doskonale, że przedstawiciele naszej profesji wiodą wyimaginowane życie równie bogate lub wręcz bogatsze od tego, które prowadzimy w tak zwanym „prawdziwym świecie"), prawie zawsze miały na celu poprawę wizerunku Charlesa Dickensa.

Tymczasem ze wszystkich obiektywnych relacji, w tym także z bajdurzenia tego spasionego homunkulusa Edmonda Dickensona (oby mu te jego sińce zropiały, zgniły i owrzodziały), wynikało, że Dickens był najprawdziwszym bohaterem akcji ratunkowej. Włączenie do opowieści upiora nijak nie podkreślało jego heroizmu. Ba, oczywisty lęk, z jakim Dickens opisywał to nieludzkie dziwadło, wręcz osłabiał jego bohaterską aurę.

O co mu zatem chodziło?

Musiałem założyć, że na miejscu wypadku naprawdę znalazła się niezwykła persona nazwiskiem Drood i że doszło tam do ich spotkania, rozmowy i cudacznej interakcji z Dickensem.

Po co jednak szukać Drooda? Zgoda, jego dziwaczną postać otaczała mgiełka tajemnicy, ale Londyn, Anglia i angielskie koleje obfitowały w dziwaków. (Nawet ten bezczelny młodzian Dickenson wydawał mi się jak żywcem wyjęty z powieści Dickensa: sierota, z zamożnym opiekunem i powierzoną opiece sądu fortuną, apatyczny, pozbawiony celu w życiu, zdolny co najwyżej coś tam przeczytać i zbijać bąki. W tej sytuacji wyobrażenie sobie jakiegoś sepleniącego „pana Drooda" o powierzchowności trędowatego, bez palców i powiek, wcale nie było takie trudne).

No dobrze, rozmyślałem, zbliżając się do swojej ulicy, ale po co go szukać?!

Charles Dickens miał skłonność do starannego planowania i długich przygotowań, ale niejednokrotnie zdarzało mu się działać pod wpływem impulsu. Podczas pierwszego tournée po Ameryce zniechęcił do siebie większość słuchaczy i niemal wszystkie amerykańskie gazety oraz tygodniki, upierając się przy uchwaleniu międzynarodowego prawa autorskiego. Fakt, że jego książki (podobnie jak książki

większości angielskich pisarzy) były bezczelnie kradzione i publikowane w Ameryce bez najmniejszego chociażby odszkodowania dla autora, mógł się wydawać słuszny i sprawiedliwy tylko amerykańskiemu parweniuszowi, więc gniew Dickensa był całkowicie słuszny. Sęk w tym, że niedługo po powrocie z objazdu po Ameryce (kiedy jego dobre stosunki z tamtejszą publicznością zostały nieodwołalnie nadszarpnięte) Dickens stracił wszelkie zainteresowanie prawem autorskim. Innymi słowy – był ostrożnym człowiekiem, którym kierowały nieostrożne impulsy.

W Gad's Hill Place (i wszystkich innych domach, które wcześniej zamieszkiwał) to Dickens decydował o celach spacerów, miejscach pikników, grach towarzyskich, wyborze drużyn i kapitanów. Najczęściej prowadził reż punktację, ogłaszał zwycięzców i wręczał nagrody. Mieszkańcy wioski położonej najbliżej Gad's Hill Place traktowali go wręcz jak dziedzica okolicznych ziem, zachwyceni i zaszczyceni faktem, że sławny pisarz rozdaje nagrody na jarmarkach i konkursach. Dickens od dziecka był urodzonym liderem. Nigdy nie wątpił, że taką właśnie rolę ma do odegrania, i nigdy jej nie porzucił w dorosłym życiu.

Gdybyśmy jednak zaczęli szukać owego tajemniczego pana Drooda – w jakiej grze wzięlibyśmy udział? Czemu miałoby to służyć, poza podporządkowaniem się kolejnemu dziecinnemu impulsowi pisarza? Jakie niebezpieczeństwo mogło nam grozić? Dzielnic, o których Drood miał rzekomo wspomnieć Dickensowi, kiedy schodzili po skarpie na miejsce katastrofy, z pewnością nie można było nazwać bezpiecznymi. Dickens miał rację, nazywając je Wielkim Piecem.

***

Kiedy wróciłem do domu, podagra okrutnie dawała mi się we znaki. Światło ulicznych latarń oślepiało mnie boleśnie, tupot moich stóp dudnił mi pod czaszką jak uderzenia młota, turkot przejeżdżającego powozu przyprawił mnie o bolesny

skurcz wszystkich mięśni. Drżałem na całym ciele. Nagle poczułem w ustach gorzki posmak kawy – nie miłe wspomnienie kawy, którą wypiłem do deseru, lecz innego, obrzydliwego napitku. Umysł mi się mącił, mdła słabość ogarnęła moje członki.

Nasz nowy dom stał przy Melcombe Place – przeprowadzkę z Harley Street, od której minął rok, zawdzięczałem między innymi pieniądzom za *Kobietę tu bieli* i większej renomie pisarskiej, która szła z nimi w parze. (Za następną powieść, *Bezimienne,* dostałem ponad trzy tysiące funtów za wydanie książkowe, a miałem zagwarantowane cztery i pół tysiąca, jeśli *Bezimienne* ukażą się w odcinkach w którejś z angielskich lub amerykańskich gazet).

Kiedy mówię „nasz", mam na myśli siebie, kobietę, z którą od dłuższego czasu mieszkałem (niejaką Caroline G.), oraz jej czternastoletnią wówczas córkę Harriet, częściej nazywaną przez nas Carrie. (Mówiło się o tym, jakobym wzorował *Kobietę tu bieli* na Caroline. Prawdą jest, że poznaliśmy się nieopodal posiadłości w Regents Park, kiedy nocą uciekała przed pewnym nikczemnikiem: pobiegłem za nią i wybawiłem ją z opresji – co do złudzenia przypomina perypetie bohaterki mojej książki. Jednakże zarys fabularny *Kobiety tu bieli* narodził się w mojej głowie na długo przed tym spotkaniem).

Caroline i Harriet wyjechały do Dover, w odwiedziny do kuzynki, i przez cały tydzień nie było ich w domu. Ponieważ zaś dwoje naszych prawdziwych służących (przyznaję, że córkę Caroline wpisywałem wówczas do zeznania podatkowego jako „pokojówkę") również wyjechało, miałem cały dom do dyspozycji. Prawdą jest również, że w odległości zaledwie paru mil znajdował się drugi dom, a w nim druga kobieta, niejaka Martha R., dawna pokojówka w hotelu w Yarmouth, która pierwszy raz przyjechała z wizytą do Londynu. Z nią również zamierzałem w przyszłości zamieszkać i stworzyć rodzinne stadło, ale chwilowo nie miałem zamiaru jej odwiedzać. Byłem zanadto obolały.

W domu było ciemno. Znalazłem dzbanek z laudanum na

swoim miejscu, wypiłem dwa kieliszki i na chwilę usiadłem w kuchni przy stole dla służby, żeby przeczekać najgorszy ból. Specyfik wkrótce zadziałał. Poczułem przypływ energii, jakbym urodził się na nowo, i pomyślałem, że posiedzę jeszcze godzinę czy dwie w gabinecie na piętrze, spróbuję trochę popisać. Skierowałem się do najbliższych schodów.

Przeznaczone dla służby schody w głębi domu były bardzo strome. Lampa gazowa na półpiętrze nie działała najlepiej i teraz też migotała niepewnie, rzucając mały krąg wątłego światła. Reszta schodów tonęła w ciemnościach.

Coś poruszyło się w mroku na piętrze.

– Caroline?! – zawołałem, chociaż wiedziałem, że to nie ona.

Nie mógł to być również nikt ze służby. Ojciec naszej pokojówki zachorował na zapalenie płuc i oboje służący pojechali do niego do Walii.

– Caroline? – powtórzyłem.

Nie spodziewałem się usłyszeć odpowiedzi – i nie usłyszałem.

Dźwięk – oczywisty jak szelest jedwabnej sukni – spływał po schodach z ciemnego strychu. Słyszałem odgłos ostrożnie stawianych bosych stóp. Próbowałem majstrować przy kinkiecie, ale jęzor gazowego płomienia tylko na chwilę wystrzelił w górę, by zaraz znów przygasnąć.

Stanęła na skraju pełgającego kręgu światła, zaledwie trzy stopnie wyżej ode mnie. Wyglądała tak samo jak zawsze, w znoszonej jedwabnej sukni z obcisłym stanikiem. Ciemnozielony jedwab był wyszywany maleńkimi złotymi liliami, które niczym gwiazdy osypywały się na przepasaną czarną szarfą talię. Włosy nosiła związane w kok z dawnych czasów. Miała zieloną skórę – zieloną jak bardzo stary ser albo lekko nadgniłe zwłoki. Jej oczy – dwie jednolite kałuże czarnego atramentu – połyskiwały wilgotno w świetle lampy. Jej zęby (kiedy otwierała usta, tak jak teraz, żeby mnie powitać) były długie, żółte i zakrzywione jak fajki dzika.

Nie miałem złudzeń, wiedziałem, po co stanęła mi na drodze: chciała mnie złapać i zrzucić ze schodów. Wolała te

schody od szerszych, lepiej oświetlonych i bezpieczniejszych schodów frontowych. Zrobiła kolejne dwa kroki w moją stronę, szczerząc w uśmiechu żółte kły.

Szybko – choć bez nadmiernego pośpiechu czy lęku – otworzyłem znajdujące się na podeście drzwi dla służby, przeszedłem przez nie, po czym zatrzasnąłem je za sobą i zamknąłem na klucz. Nie słyszałem po drugiej stronie dyszenia (ona nie oddychała), dobiegło mnie jednak ciche skrobanie w drewno. Porcelanowa klamka poruszyła się lekko.

Zapaliłem wszystkie lampy na piętrze. Byłem sam.

Odetchnąłem głęboko, odpiąłem kołnierzyk i udałem się do gabinetu, żeby popracować.

Rozdział 4

Minęły trzy tygodnie. Mój brat Charley (który ze swoją żoną Kate, córką Dickensa, mieszkał w Gad's Hill Place) twierdził, że pisarz powoli dochodzi do siebie po dramatycznych przejściach: codziennie pracuje nad *Naszym wspólnym przyjacielem*, przyjmuje gości na kolacji, często znika (zapewne odwiedza w tym czasie Ellen Ternan), urządza nawet wieczory prozatorskie dla wybranych słuchaczy. Głośne czytanie fragmentów prozy w wykonaniu Charlesa Dickensa to najbardziej wyczerpujący spektakl, jaki w życiu widziałem. Fakt, że Dickensowi wystarczało energii, by się go podjąć (nawet jeśli później całkiem opadał z sił, co – jak mówił mi Charley – zdarzało się regularnie), dowodził ogromu drzemiących w nim rezerw. Podróż pociągiem nadal budziła w nim lęk, ale – jak to on – właśnie z tego powodu prawie codziennie zmuszał się, żeby dojechać koleją do centrum. Według słów Charleya, przy najlżejszej wibracji wagonu twarz pisarza szarzała jak popiół, ogromne krople potu występowały mu na czoło i pożłobione bruzdami policzki. Dickens chwytał się kurczowo oparcia siedzenia z przodu, pociągał łyk brandy i dzielnie trwał na posterunku. To były jedyne oznaki jego wewnętrznej udręki. Byłem przekonany, że na śmierć zapomniał o Droodzie.

Tymczasem nastał lipiec i polowanie na człowieka–widmo rozgorzało na dobre.

Był to najgorętszy, najbardziej rozpalony okres gorącego, rozpalonego lata. Odchody trzech milionów mieszkańców miasta cuchnęły w otwartych rynsztokach, w tym także w największym z nich (mimo podjętych w tym roku wysiłków na rzecz otwarcia skomplikowanego systemu krytych kanałów ściekowych) – Tamizie. Dziesiątki tysięcy londyńczyków nocowały na werandach i tarasach swoich domów, wyczekując deszczu. Kiedy jednak deszcz w końcu padał, przypominał gorący prysznic i po prostu dorzucał do nieznośnego upału równie nieznośną wilgoć w powietrzu.

Lipiec zaległ nad Londynem jak gruby, wilgotny koc z gnijącego mięsa.

Codziennie zbierano z ulic dwadzieścia tysięcy ton końskiego gnoju, który następnie zbierano w kopce eufemistycznie nazywane „hałdami ziemnymi” – olbrzymie stosy odchodów, wznoszące się nieopodal ujścia Tamizy niczym angielskie Himalaje.

Przepełnione cmentarze wokół Londynu również śmierdziały niemiłosiernie. Grabarze musieli nogami ubijać zawartość płytkich grobów, często grzęznąc po pas w rozkładających się zwłokach, żeby tylko upchnąć nowych lokatorów na przewidzianych dla nich miejscach; świeże ciała dołączały do litej warstwy humusu ze zgniłych trupów. W lipcu człowiek od razu wiedział, kiedy znajduje się bliżej niż sześć przecznic od cmentarza: cuchnące miazmaty zmusiły mieszkańców okolicznych domów do wyprowadzki – a w Londynie zawsze był gdzieś niedaleko cmentarz. Zmarli nie odstępowali nas na krok: byli pod naszymi stopami i w naszych nozdrzach.

Mnóstwo ciał zalegało w najbiedniejszych zaułkach Wielkiego Pieca, rozkładając się wraz z tonami śmieci, których również nikt nie wywoził. Ulicami tymi płynęły już nie strużki czy strumyki, lecz prawdziwe rzeki ścieków, zalewając stosy odpadków i walające się wśród nich zwłoki. Czasem ta brunatna ciecz uchodziła do rynsztoka, ale znacznie częściej po prostu zbierała się w kałuże na bruku, ściekała pod ziemię, zbierała się w piwnicach, zatruwała studnie, a na koniec, prędzej czy później, trafiała do Tamizy.

Warsztaty i fabryki codziennie wypluwały tony skór, odpadów mięsnych, wygotowanych kości, końskiego mięsa, podrobów, kopyt, łbów, wnętrzności i innego organicznego śmiecia, które również lądowało w Tamizie albo przynajmniej gromadziło się w olbrzymich stosach nad jej brzegiem, czekając na dogodną chwilę do zrzucenia do wody. Mieszkańcy domów nad rzeką zamykali szczelnie okna i nasączali rolety chlorkiem, a urzędnicy miejscy zasypywali Tamizę tonami wapna. Przechodnie nasączali chusteczki

perfumami i zakrywali nimi usta i nosy. Na próżno. Nawet konie zaprzęgowe, które wkrótce miały zacząć masowo padać z gorąca, wymiotowały od smrodu.

W parne lipcowe noce powietrze przybierało zielonkawy odcień od rozgrzanych oparów unoszących się znad odchodów trzech milionów ludzi i wyziewów uprawianej na skalę przemysłową rzezi, która była znakiem firmowym naszej epoki. Być może, Drogi Czytelniku, w Twoich czasach sprawy mają się jeszcze gorzej, ale, doprawdy, nie wyobrażam sobie tego.

Dickens przysłał mi wiadomość: prosił o spotkanie o ósmej wieczorem w gospodzie „Blue Posts" przy Cork Street, gdzie zamierzał podjąć mnie kolacją. Zaznaczył również, że powinienem włożyć solidne buty, czeka nas bowiem „nocna wyprawa w związku z naszym przyjacielem, panem D.".

Mimo że wcześniej tego dnia nie czułem się najlepiej (upał często nasila objawy podagry), przybyłem do „Blue Posts" o umówionej godzinie. Dickens czekał przy wejściu. Objął mnie i wykrzyknął:

– Jakże się cieszę, że cię widzę, mój drogi Wilkie! Ostatnio jestem taki zapracowany… Brakuje mi w Gad's Hill twojego towarzystwa.

Kolacja była obfita, nieśpieszna i wyśmienita, uzupełniona świetnym piwem i winem. Rozmowa – co naturalne – koncentrowała się głównie na Dickensie, ale była przy tym chaotyczna i ożywiona jak konwersacje z Niezrównanym za jego najlepszych czasów. Powiedział, że na początku września powinien skończyć *Naszego wspólnego przyjaciela* i że jego ostatnie odcinki z pewnością przyniosą wzrost sprzedaży „All the Year Round".

Po kolacji pojechaliśmy na posterunek policji przy Leman Street.

– Pamiętasz inspektora Charlesa Fredericka Fielda? – zapytał mnie Dickens, gdy nasz pojazd, turkocząc, zmierzał na posterunek.

– Ależ oczywiście! Pracował w wydziale śledczym Scotland Yardu. Poznaliście się parę lat temu, przy okazji

gromadzenia materiałów do „Household Words”. Towarzyszył nam podczas wycieczki po… hmm… mniej reprezentacyjnych rejonach Whitechapel.

Nie wspomniałem o tym, że moim zdaniem Dickens sportretował Fielda w *Samotni*, w osobie inspektora Bucketa. Nadmierna pewność siebie, spokojna świadomość dominacji nad bandytami i kobietami lekkich obyczajów, których spotkaliśmy w Whitechapel w tamtą długą noc, a także umiejętność złapania drugiego człowieka za łokieć żelaznym uściskiem, z którego nie sposób się wyrwać, i wyprowadzenia go w pożądanym kierunku… Wszystkie talenty nieokrzesanego Bucketa zostały zaczerpnięte z postaci prawdziwego inspektora Fielda.

– Był naszym aniołem stróżem podczas wędrówki po Hadesie – dodałem.

– W rzeczy samej, mój drogi Wilkie – rzekł Dickens, gdy wysiedliśmy z dorożki. – A ponieważ odszedł już na emeryturę i pochłaniają go nowe przedsięwzięcia, z prawdziwą przyjemnością przedstawiam ci naszego nowego anioła stróża.

Mężczyzna, który czekał na nas pod gazową latarnią nieopodal posterunku, bardziej przypominał kawał muru niż żywego człowieka. Mimo upału miał na sobie gruby płaszcz, z rodzaju tych, jakie australijscy albo amerykańscy kowboje noszą na rycinach w groszowych powieściach. Na jego dużej głowie tkwił melonik, mocno osadzony na gęstej, kręconej czuprynie. Całe ciało mężczyzny było wręcz niedorzecznie szerokie i kwadratowe, jak granitowy postument pod kanciasty blok kamienia, w którym wykuto jego głowę i twarz. Miał małe oczy i prosty nos, jakby wyrzeźbiony w tym samym kamieniu co reszta twarzy. Usta były wyrytą w kamieniu cienką krechą. Kark średnicą niemal dorównywał melonikowi. Dłonie nieznajomego były trzykroć większe od moich.

Charles Dickens mierzył pięć stóp i dziewięć cali, ja o kilka cali mniej. Olbrzym w szarym kowbojskim płaszczu był chyba z osiem cali wyższy od Dickensa.

– Wilkie, oto były sierżant Hibbert Aloysius Hatchery – przedstawił mi go pisarz, szczerząc zęby w gęstej brodzie. – Detektywie Hatchery, mam przyjemność przedstawić panu mojego bezcennego współpracownika, utalentowanego pisarza i, tak jak ja, poszukiwacza pana Drooda: oto wielmożny pan Wilkie Collins.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedziała górująca nad nami ściana. – Może pan mówić do mnie „Hib", jeśli taka pańska wola, panie Collins.

– Hib – powtórzyłem tępo.

Na szczęście, olbrzym tylko uchylił melonika. Na myśl o tym, że jego olbrzymie łapsko mogłoby mi zmiażdżyć wszystkie kości dłoni, nogi się pode mną ugięły.

– Mój ojciec, człek mądry, choć nie uczony, jeśli wiecie panowie, co mam na myśli, był święcie przekonany, że imię Hibbert znajduje się w Biblii – ciągnął tymczasem Hatchery. – Niestety, mylił się. Nie występuje nawet jako nazwa miejsca, w którym Hebrajczycy wypoczywali po trudach wędrówki.

– Detektyw Hatchery był przez kilka lat sierżantem londyńskiej policji, później jednak został… hmm… urlopowany i prowadzi prywatną praktykę detektywistyczną – wyjaśnił Dickens. – Być może, za rok czy dwa dołączy do ekipy dochodzeniowej Scotland Yardu, na razie jednak wygląda na to, że samozatrudnienie jest bardziej opłacalne.

– Prywatny detektyw… – mruknąłem pod nosem.

Taka idea miała ogromny potencjał. Postanowiłem ją zapamiętać; jak może wiesz, mój przyszły Czytelniku (choć myślenie takie może mi być poczytane za nieskromność), później wykorzystałem postać prywatnego detektywa w *Kamieniu Księżycowym.*

– Więc wziął pan sobie wolne, detektywie Hatchery? – upewniłem się. – Taka… policyjna odmiana urlopu naukowego, można powiedzieć?

– W pewnym sensie – przytaknął basem olbrzym. – Poproszono mnie, żebym zrobił sobie roczną przerwę ze względu na nieregulaminowe traktowanie kryminalistów

podczas pełnienia obowiązków służbowych. Kapitan uznał, że lepiej będzie dla mnie i dla policji, jeśli przez parę miesięcy popracuję na własny rachunek.

– Nieregulaminowe traktowanie… – powtórzyłem.

Dickens poklepał mnie po plecach.

– Aresztując wspomnianego przed chwilą kryminalistę – bezczelnego włamywacza, który wyspecjalizował się w dziennych napaściach na starsze mieszkanki Whitechapel – detektyw Hatchery przypadkowo przetrącił mu kark. O dziwo, złodziej przeżył, ale od tamtej pory rodzina musi go wszędzie nosić w koszu. Dla społeczeństwa to żadna strata, w dodatku zwykła rzecz, która czasem się zdarza, jak zapewnili mnie inspektor Field i jego koledzy po fachu, ale wrażliwcy z „Puncha” i innych, mniej wpływowych gazet, zrobili z igły widły. Takim oto szczęśliwym zbiegiem okoliczności detektyw Hatchery może nam poświęcić swój czas i towarzyszyć nam dzisiaj w nocnej wędrówce po Wielkim Piecu!

Hatchery wyjął spod płaszcza latarnię, która w jego olbrzymiej dłoni bardziej przypominała zegarek kieszonkowy.

– Będę szedł za panami, postaram się jednak pozostać niewidoczny i niesłyszalny, dopóki nie będę potrzebny.

***

Podczas kolacji spadł deszcz, który tylko zagęścił i tak już duszne powietrze. Pan Niezrównany prowadził, narzucając swoje tradycyjnie niedorzeczne tempo marszu, czyli co najmniej cztery mile na godzinę. Jak wiedziałem z własnego bolesnego doświadczenia, mógł tak maszerować całymi godzinami. Z trudem dotrzymywałem mu kroku. Hatchery podążał za nami bezgłośnie w odległości dziesięciu kroków, jak lita ściana mgły.

Porzuciliśmy szerokie ulice i – z Dickensem na czele – zagłębiliśmy się w labirynt coraz węższych i coraz ciemniejszych zaułków i zakamarków. A Dickens prowadził bez wahania: po wielu nocnych eskapadach znał te paskudne

okolice na pamięć. Ja wiedziałem tylko tyle, że znajdujemy się gdzieś na wschód od Falcon Square. Pamiętałem tę okolicę, choć słabo, z poprzednich wypraw w towarzystwie Dickensa do londyńskiego półświatka: Whitechapel, Shadwell, Wapping – tych rejonów miasta dżentelmen powinien unikać, chyba że szukał kobiet najpodlejszej proweniencji. Wydawało mi się, że zmierzamy w stronę przystani. Bijący od Tamizy odór nasilał się z każdym mrocznym, wąskim kwartałem zabudowań, który mijaliśmy, zagłębiając się w ten szczurzy labirynt. Domy wyglądały tu tak, jakby cofnęły się do czasów średniowiecza, kiedy mroczny, opasły i zżerany zarazą Londyn był obwiedziony wysokim murem; po obu stronach uliczek bez chodników wiekowe konstrukcje pochylały się i zwieszały nad naszymi głowami, niemal zasłaniając niebo.

– Mamy jakiś cel? – spytałem Dickensa szeptem.

Uliczka, na której się znajdowaliśmy, była całkiem wymarła, czułem jednak na sobie spojrzenie oczu śledzących nas zza zamkniętych okiennic i z ginących w mroku zaułków. Nie chciałem, żeby ktoś mnie usłyszał, ale nawet mój szept musiał się nieść jak wystrzał w tym gęstym, nieruchomym powietrzu.

– Bluegate Fields – odparł Dickens.

Mosiężne okucie grubej laski – którą, jak zauważyłem, zabierał ze sobą wyłącznie na takie nocne eskapady po swoim Babilonie – co trzy kroki stukało donośnie na potrzaskanym bruku.

– Czasem nazywamy to miejsce Tiger Bay, proszę pana – podszepnął głos z ciemności za naszymi plecami.

Aż podskoczyłem. Na śmierć zapomniałem, że towarzyszy nam detektyw Hatchery.

Przecięliśmy jakąś szerszą arterię (Brunswick Street, jeśli się nie mylę), która wcale nie była czystsza ani lepiej oświetlona od przeżartych zgnilizną slumsów po obu jej stronach, i znów znaleźliśmy się w ciasnym labiryncie o przewieszonych ścianach. Stłoczone kamienice piętrzyły się wysoko – oprócz nielicznych ruin, które zmieniły się w sterty

drewna i kamieni, ale nawet tam, wśród zgliszcz i ruder, wyczuwałem mroczne cienie, poruszające się i obserwujące. Dickens przeprowadził nas po wąskim, spróchniałym mostku nad cuchnącym dopływem Tamizy. (Powinienem w tym miejscu nadmienić, Drogi Czytelniku, że był to rok, w którym książę Walii uroczyście przekręcił zawór otwierający główny kanał ściekowy w Crossness, kończąc w ten sposób pierwszy etap budowy nowoczesnej kanalizacji miejskiej, zaprojektowanej przez Josepha Balzagette'a. Na ceremonię przybył kwiat angielskiej arystokracji i duchowieństwa. Daruję sobie jednak subtelności i przypomnę przy tej okazji, że zarówno główny kanał, jak i jego przyszłe odgałęzienia oraz wszystkie stare dopływy i zabytkowe rynsztoki bardzo długo jeszcze odprowadzały do Tamizy rzekę nieoczyszczonych odchodów).

Im gorzej wyglądały dzielnice, przez które szliśmy, tym więcej spotykaliśmy ludzi; grupki mężczyzn (czy raczej – zlepki cieni) stały na skrzyżowaniach, w bramach, na pustych parcelach. Postukujący laską Dickens szedł, trzymając się środka uliczek, żeby lepiej widzieć dziury w bruku i kałuże cuchnącej wody, i skutecznie ich unikać. Wydawało się, że nie zwraca uwagi na złowrogie szepty i przekleństwa mijanych przechodniów.

W końcu jedno takie skupisko poszarpanych cieni oderwało się od litej ciemnej plamy nieoświetlonego budynku i zastąpiło nam drogę. Dickens bez wahania wyszedł im na spotkanie, jakby to były dzieci, które zaraz poproszą go o autograf, zauważyłem jednak, że inaczej chwycił laskę: teraz jej masywna główka (mająca kształt ptasiego łba, jeśli się nie mylę) wystawała mu z dłoni, skierowana na zewnątrz.

Serce waliło mi jak młotem, niewiele brakowało, żeby nogi się pode mną ugięły, gdy Dickens prowadził mnie wprost na czarny mur groźnych zbirów. Wtedy jednak inny mur – szary, w meloniku na głowie – wyprzedził mnie, zrównał się z Dickensem i przemówił cichym głosem Hatchery'ego:

– Odsuńcie się, chłopcy. Uciekajcie do swoich nor. Przepuśćcie tych dżentelmenów i nie oglądajcie się za nimi.

Ale już!

W przyćmionym świetle niesionej przez detektywa latarni zauważyłem, że prawą ręką sięga pod luźne poły płaszcza. Co tam trzymał? Pistolet? Wątpię. Najprawdopodobniej obitą ołowiem pałkę. Może także kajdanki. Otaczające nas ze wszystkich stron opryszki na pewno to wiedziały.

Krąg mężczyzn rozpłynął się tak samo szybko, jak przedtem uformował. Spodziewałem się, że obrzucą nas jeszcze kamieniami lub grudami gnoju, ale kiedy ich mijaliśmy, doleciało nas tylko kilka niewyraźnych przekleństw. Hatchery wtopił się w mrok za naszymi plecami i Dickens mógł kontynuować odmierzany stukotem laski marsz w kierunku – jak mi się wydawało – południowym.

Znaleźliśmy się na terenie rządzonym przez prostytutki i ich właścicieli, który wydał mi się znajomy z czasów studenckich. Ulica prezentowała się znacznie lepiej niż większość tych, które przemierzaliśmy przez ostatnie pół godziny. Przez zamknięte okiennice na piętrach sączyło się słabe światło. Przypadkowy przechodzień mógłby pomyśleć, że trafił do dzielnicy ciężko pracujących mechaników i robotników fabrycznych – gdyby nie przytłaczający bezruch jej mieszkanek: na schodach, balkonach i popękanych kamiennych blokach udających chodniki zbierały się grupki młodych kobiet (widzieliśmy je w poświacie niezamkniętych okien na parterze), w większości najwyżej osiemnastoletnich; zdarzały się wśród nich nawet dziewczyny czternastoletnie i młodsze.

Zamiast rozproszyć się na widok detektywa Hatchery’ego, nawoływały go cichymi, po dziewczęcemu zwodniczymi głosami:

– Cześć, Hibbert, przyprowadziłeś nam klientów?

– Chodź no tu, Hib, ty stary koguciku. Zabawimy się.

– Ależ skąd, panie władzo, te drzwi wcale nie są zamknięte. Tak samo zresztą jak i drzwi do naszych pokojów.

Hatchery kwitował ich odzywki swobodnym śmiechem.

– Wiem, Mary, wiem, twoje drzwi są zawsze otwarte, chociaż wcale nie powinny. Zachowujcie się, dziewczęta, ci

panowie nie są zainteresowani tym, co sprzedajecie. Nie dzisiaj.

Co wcale nie musiało być prawdą. Przystanęliśmy z Dickensem obok jednej z tych młodych kobiet, na oko sądząc siedemnastoletniej. Stała oparta o balustradę i taksowała nas wzrokiem. Miała kształtną figurę, krótką ciemną spódnicę i głęboko wycięty gorset. Widząc, że zwróciła uwagę Dickensa, posłała mu szeroki uśmiech, odsłaniający poważne braki w uzębieniu.

– Szukasz toniu, kotku?

– Toniu? – Dickens zerknął na mnie kątem oka. Nie posiadał się z uciechy. – Nie, moja droga. Dlaczego myślisz, że przyszedłem po tytoń?

– Dlatego, że gdybyś chciał go dostać, to ja go mam: w prymkach, liściach, cygarach i w każdej innej możliwej postaci. Służę, czymkolwiek zechcesz. Musisz tylko wejść do środka.

Uśmiech Dickensa nieco zbladł. Pisarz obiema rękami wsparł się na lasce.

– Panienko… – powiedział, zniżając głos. – Myślałaś kiedyś o tym, żeby zmienić swoje życie? Żeby porzucić… – Jego biała rękawiczka wyraźnie odcinała się na tle czerni, gdy szerokim gestem ogarnął ciche domy, milczący tłumek dziewcząt, zapuszczoną ulicę, grupkę twardych, niebezpiecznych mężczyzn, którzy niczym sfora wilków przyczaili się poza kręgiem światła. – Żeby porzucić swoją dotychczasową egzystencję?

Jego rozmówczyni parsknęła śmiechem przez połamane i zepsute zęby, ale nie był to dziewczęcy śmiech, lecz gorzka zapowiedź charkotliwego rechotu schorowanej staruchy.

– Porzucić swoje życie, kochaniutki? A może ty porzucisz swoje, hę? Wystarczy, że cofniesz się kawałek, tam, gdzie stoi Ronnie z chłopakami.

– W twoim nie ma nadziei – odparł Dickens. – Nie ma przyszłości. Istnieją przecież domy dla kobiet upadłych, sam pomogłem jeden taki utworzyć i nim zarządzać, przy Broadstairs, gdzie…

– Ja nie upadam. Chyba że na grzbiet, ale to tylko za odpowiednią opłatą. – Dziewczyna przeniosła wzrok na mnie. – A ty, mały człowieczku? W tobie jeszcze tli się jakieś życie. Nie wpadłbyś do mnie na prymkę toniu, zanim stary Hatchery zacznie się krzywić?

Odkaszlnąłem. Muszę się przed Tobą przyznać, Drogi Czytelniku, że wyraźnie czułem emanujący z dziewczyny urok; nie odstraszał mnie upał, wszechobecny smród, spojrzenia moich towarzyszy ani nawet jej krzywy uśmiech i koślawy język.

– Chodź, Wilkie – zarządził Dickens. Odwrócił się na pięcie i zaczął oddalać. – Tracimy tylko czas.

***

– Charlesie… – odezwałem się, gdy pokonaliśmy następną wąską, skrzypiącą kładkę nad jednym z wielu niemiłosiernie cuchnących strumieni. Uliczki w tej okolicy były jeszcze węższe od tych, po których błąkaliśmy się wcześniej, a domy jeszcze starsze. – Wybacz, ale muszę o to zapytać: czy ta nasza… wycieczka… ma coś wspólnego z twoim tajemniczym panem Droodem?

Dickens zatrzymał się i oparł ciężko na lasce.

– Jak najbardziej, mój drogi Wilkie. Powinienem ci był o tym wspomnieć przy kolacji. W tym względzie pan Hatchery wyświadczył nam znacznie większą przysługę, niż tylko eskortowanie nas podczas wędrówki przez tę… niestosowną dzielnicę. Już od dłuższego czasu jest moim pracownikiem i umiejętnie wykorzystuje swoje detektywistyczne talenty. – Odwrócił się do masywnej sylwetki, która właśnie się z nami zrównała. – Detektywie Hatchery, czy byłby pan łaskaw zapoznać pana Collinsa ze swoimi dotychczasowymi odkryciami?

– Naturalnie, szanowny panie. – Hatchery zdjął melonik, podrapał się po czaszce ukrytej w gąszczu loków i wcisnąwszy nakrycie głowy na miejsce, zwrócił się do mnie: – Przez ostatnie dziesięć dni sprawdzałem tożsamość

pasażerów kupujących w dniu katastrofy bilety kolejowe w Folkestone i na innych przystankach leżących na drodze do Londynu, mimo że ekspres odjeżdżający w porze przypływu nigdzie się po drodze nie zatrzymuje. Rozpytałem się również dyskretnie wśród pasażerów owego pociągu, strażników pełniących wówczas służbę, konduktorów i reszty obsługi. Okazuje się, panie Collins, że w chwili wypadku żaden człowiek przedstawiający się jako Drood ani odpowiadający nader niezwykłemu rysopisowi, który dostałem od pana Dickensa, nie miał biletu na przejazd i nie podróżował żadnym z wagonów pasażerskich.

Spojrzałem na majaczącego mi w półmroku Dickensa.

– To znaczy, że albo Drood jest mieszkańcem Staplehurst, albo w ogóle nie istnieje – skonstatowałem.

Dickens tylko pokręcił głową i gestem dał Hatchery'emu znać, żeby mówił dalej.

– W drugim wagonie pocztowym znajdowały się trzy przewożone do Londynu trumny – ciągnął detektyw. – Dwie z nich załadowano do pociągu już wcześniej, trzecia zaś przybyła do Folkestone na pokładzie tego samego promu, którym podróżował pan Dickens i jego… towarzysze. Z dokumentacji kolejowej wynika, że tę trzecią trumnę, dostarczoną tego samego dnia z Francji (chociaż bez podania konkretnego miejsca pochodzenia), miał odebrać w Londynie niejaki pan Drood. Jego imienia w dokumentach nie podano.

Zadumałem się nad jego słowami. Od strony domów publicznych za naszymi plecami dobiegały stłumione pokrzykiwania.

– Myślisz, że Drood podróżował w jednej z tych trumien? – spytałem Dickensa.

Roześmiał się w odpowiedzi, z zachwytem i szczerą uciechą, jak mi się wydawało.

– Ależ oczywiście, mój drogi Wilkie! Tak się składa, że drugi wagon pocztowy wykoleił się, powodując wysypanie się wszystkich paczek, worków oraz, tak, tak, trumien, ale nie spadł z mostu w głąb wąwozu. To wyjaśnia, dlaczego chwilę później Drood schodził razem ze mną po skarpie.

Pokręciłem głową.

– Ale dlaczego miałby podróżować w… trumnie, na Boga?! Przecież to wychodzi drożej niż bilet pierwszej klasy!

– Nieco taniej, szanowny panie, nieco taniej – wtrącił Hatchery. – Sprawdziłem. Za przewóz zmarłego płaci się trochę mniej niż za przejazd w pierwszej klasie. Niewiele, ale zawsze to parę szylingów różnicy.

Nadal nic z tego nie rozumiałem.

– Nie sugerujesz chyba, Charlesie, że dziwacznie wyglądający pan Drood jest… czym właściwie? Duchem? Ghulem? Żywym trupem?

Dickens znów parsknął śmiechem, chyba jeszcze bardziej swobodnym niż przed chwilą.

– Doprawdy, mój drogi Wilkie… Wyobraź sobie, że jesteś przestępcą znanym policji w naszych portach i w głębi kraju. W jaki sposób najłatwiej i najskuteczniej przemyciłbyś się z powrotem z Francji do Londynu?

Teraz to ja się roześmiałem, choć – zapewniam Cię, Drogi Czytelniku, nie było mi do śmiechu.

– Na pewno nie w trumnie. Z Francji?! To… niewyobrażalne!

– Nie przesadzaj, mój chłopcze, to zaledwie kilka godzin niewygód. I to niewiele większych, niż zwykła podróż promem i pociągiem w dzisiejszych czasach, jeśli mam być szczery. A komu by się chciało sprawdzać trumnę z gnijącymi w niej od tygodnia zwłokami?

– A czy Drood wyglądał, jakby gnił od tygodnia?

Dickens zbył mnie pstryknięciem palców, jakbym opowiedział dowcip.

– Dlaczego idziemy w stronę portu? – spytałem. – Czyżby detektywowi Hatchery’emu udało się ustalić, gdzie trumna pana Drooda została wyrzucona na brzeg?

– Prawdę mówiąc, śledztwo w tym rejonie miasta doprowadziło mnie do kilku osób, które twierdzą, że znają Drooda – odparł Hatchery. – Albo znały. Albo prowadziły z nim interesy. Dlatego właśnie tam się udajemy.

– Nie traćmy zatem czasu – ponaglił nas Dickens.

Hatchery podniósł wielką jak bochen rękę, jakby zatrzymywał ruch na Strandzie.

– Czuję się w obowiązku zwrócić panom uwagę, że wkraczamy teraz do właściwego Bluegate Fields, chociaż okolica nie zasługuje bynajmniej na nazwanie jej „właściwą". Oficjalnie nie ma jej nawet na planie miasta, podobnie zresztą jak New Court, które jest naszym celem. To niebezpieczne miejsce dla dżentelmenów. Tam, dokąd się udajemy, nie brakuje ludzi, którzy byliby gotowi zabić was w jednej chwili.

Dickens parsknął śmiechem.

– Podobnie jak te bandziory, których niedawno spotkaliśmy. Co takiego szczególnego jest w Bluegate Fields, mój drogi Hatchery?

– Różnica polega na tym, szanowny panie, że ci, których spotkaliśmy, zabraliby panu portfel i porzucili na ulicy pobitego do nieprzytomności, może nawet na śmierć, to prawda. Jednakże ci, którzy czekają w Bluegate Fields… Oni poderżną panu gardło tylko po to, żeby sprawdzić, czy im brzytwa nie stępiała.

Spojrzałem na Dickensa.

– Trafiają się pojedynczy laskarzy, Hindusi, Bengalczycy – ciągnął Hatchery. – Chińczyków jest na kopy, podobnie jak Irlandczyków, Niemców i innych mętów, głównie marynarzy, którzy po zejściu na ląd szukają kobity, ale to Anglików trzeba się wystrzegać w Bluegate Fields, panowie. Chińczycy i inni cudzoziemcy nie jedzą, nie śpią i prawie nie mówią, interesuje ich tylko opium, ale tutejsi Anglicy… To wyjątkowo brutalne bandziory, panie Dickens. Wyjątkowo brutalne.

Dickens jeszcze raz się roześmiał. Można by pomyśleć, że jest mocno wstawiony, ale wiedziałem, że do kolacji wypił tylko trochę wina i porto. To był raczej beztroski śmiech dziecka.

– Wygląda więc na to, że znów musimy złożyć nasz los w pańskie ręce, inspektorze.

Zwróciłem uwagę, że Dickens awansował naszego

detektywa na inspektora. Sądząc po tym, jak eskortujący nas olbrzym zawstydził się i przestąpił z nogi na nogę, on również tak odczytał jego słowa.

– Jak pan sobie życzy. Pozwolą panowie, że teraz to ja poprowadzę. Radzę się trzymać blisko mnie.

***

Większość ulic, które dotychczas przemierzyliśmy, nie miała nazw. Labirynt Bluegate Fields był jeszcze bardziej chaotyczny, ale wyglądało na to, że Hatchery dokładnie wie, dokąd idzie. Nawet dotrzymujący mu kroku Dickens sprawiał wrażenie zagubionego, a na moje wyrażone szeptem wątpliwości detektyw odpowiedział, nie zniżając bynajmniej głosu, wymienieniem kilku charakterystycznych punktów orientacyjnych, które albo już minęliśmy, albo mieliśmy niedługo zobaczyć: kościół St. Georges – in – The – East (nie przypominałem sobie, żebyśmy koło niego przechodzili), George Street, Rosemary Lane, Cable Street, Knock Fergus, Black Lane, New Road i Royal Mint Street. Żadnej z tych nazw nie widziałem wypisanej na tabliczce.

Przy New Court skręciliśmy z cuchnącej ulicy na pogrążone w ciemnościach podwórko, gdzie naszym jedynym źródłem światła była latarnia Hatchery'ego, i przez otwór, który bardziej przypominał zwykłą dziurę w murze niż drzwi z prawdziwego zdarzenia, zagłębiliśmy się w ciąg podobnych podwórzy. Domy wyglądały na niezamieszkane, domyślam się jednak, że po prostu miały okna pozasłaniane grubymi okiennicami. Bruk się skończył i pod nogami mlaskały nam ścieki i rzeczny muł.

Dickens zatrzymał się przy otworze, który w przeszłości musiał być szerokim oknem w ślepej poza tym ścianie budynku, lecz z czasem zmienił się w podkreśloną parapetem ciemną czeluść.

– Hatchery? Poproszę lampę.

Stożek światła z przysłoniętej latarni oświetlił trzy białawe bezkształtne grudy na spękanym kamiennym parapecie; w

pierwszej chwili dałbym sobie głowę uciąć, że ktoś porzucił tam trzy obdarte ze skóry króliki. Podszedłem bliżej – i natychmiast musiałem się cofnąć, zatykając nos chusteczką.

– Noworodki – wyjaśnił Hatchery. – Ten w środku przyszedł na świat martwy, jak mniemam, dwa pozostałe zmarły wkrótce po narodzinach. Nie były trojaczkami; sądząc po robactwie, śladach szczurzych zębów i innych oznakach, urodziły się i umarły w różnym czasie.

– Na Boga… – stęknąłem przez chusteczkę. Żółć podeszła mi do gardła. – Dlaczego… ktoś je tu podrzucił?

– Takie samo dobre miejsce jak każde inne. Czasem matki grzebią je w ziemi. Ubierają je w łachmany, naciągają jakąś czapeczkę na główkę i wrzucają do Tamizy albo zakopują na okolicznych podwórkach. Ale mało która zadaje sobie tyle trudu. Muszą wracać do pracy.

– I co, Wilkie? – Dickens odwrócił się do mnie. – Nadal kusi cię tamta dziewucha i jej tytoń?

Nie odpowiedziałem. Odsunąłem się jeszcze o krok i skupiłem na tym, żeby nie zwymiotować.

– Widywałem już takie sceny, Hatchery – ciągnął Dickens dziwnie bezbarwnym i spokojnym głosem. – Nie tylko tutaj, podczas spacerów po Wielkim Piecu, ale i w dzieciństwie.

– Doprawdy, szanowny panie?

– Wielokrotnie. Kiedy byłem bardzo młody, zanim przeprowadziliśmy się z Rochester do Londynu, mieliśmy służącą, Mary Weller. Zabierała mnie czasem ze sobą, kiedy szła pomagać przy którymś z niezliczonych połogów; pamiętam, jak moja drobna rączka drżała w jej dużej i stwardniałej dłoni. Tyle się napatrzyłem, że czasem się zastanawiam, czy nie powinienem był zostać akuszerką. Te dzieci zwykle umierały, Hatchery. Pamiętam pewien szczególnie przerażający poród, w którym zmarła cała piątka… Chyba było ich pięcioro, chociaż byłem wtedy mały i mogę się mylić, może tylko czworo… Matka zresztą też nie przeżyła. Maleństwa leżały jedno obok drugiego, na okrytej czystym płótnem komodzie. Wiesz, o czym wtedy myślałem, Hatchery, jako cztero– czy pięcioletnie pacholę?

– Słucham pana.

– O świńskich nóżkach, tak jak się je czasem wystawia w schludnych jatkach. Kiedy człowiek widzi coś takiego, trudno się opędzić od skojarzeń z ucztą Tyestesa.

– W rzeczy samej – zgodził się z Dickensem Hatchery.

Dałbym sobie głowę uciąć, że detektyw nie zrozumiał nawiązania do klasyki, ale ja owszem. Żółć i wymiociny znów wezbrały mi w gardle, grożąc wybuchem.

– Wilkie? – zwrócił się do mnie Dickens. – Daj mi tę chusteczkę, z łaski swojej.

Zawahałem się, ale podałem mu chusteczkę, on zaś wyjął swoją – większą i droższą, z prawdziwego jedwabiu – i obiema nakrył trzy nadgniłe i nadjedzone dziecięce ciałka. Rogi chusteczek obciążył odłamkami parapetu.

– Detektywie Hatchery? – odezwał się i ruszył przed siebie, postukując okutą laską. – Zajmie się pan nimi?

– Jeszcze przed świtem, mój panie. Możecie panowie na mnie liczyć.

– Nie wątpię. – Dickens schylił się i przytrzymał cylinder, gdy przez następną dziurę w murze weszliśmy na jeszcze mniejsze, ciemniejsze i odrażające podwóreczko. – Chodź, Wilkie, chodź. Nie zgub się po ciemku.

Otwarte drzwi, przed którymi w końcu stanęliśmy, niewiele się różniły od trzech tuzinów mrocznych przejść, przez które musieliśmy się wcześniej przecisnąć. Tuż za nimi, umieszczona w głębokiej wnęce i niewidoczna z zewnątrz, stała mała niebieska lampa. Detektyw Hatchery odchrząknął i wszedł na prowadzące na górę wąskie, czarne schody.

Podest na pierwszym piętrze okrywały ciemności. Drugi odcinek schodów był węższy od pierwszego, za to nieco lepiej widoczny, ponieważ z drugiego piętra sączyła się poświata samotnej, drżącej świecy. Powietrze było tak gęste, upał tak intensywny, a odór tak obezwładniający, że dziwiłem się, jakim cudem świeca w ogóle może się palić.

Hatchery otworzył bez pukania drzwi i gęsiego przeszliśmy przez próg.

Znaleźliśmy się w pierwszym i największym z kilku

pokojów widocznych przez kolejne pootwierane drzwi. Dwaj laskarzy i starsza kobieta leżeli na sprężynowym łóżku, które wyglądało jak przykryte stertą wypłowiałych szmat. Dopiero kiedy szmaty zaczęły się poruszać, zorientowałem się, że na łóżku jest więcej ludzi. Całą tę scenę oświetlały ogarki świec i jedna lampa z czerwoną szybką, której blask kładł się na wszystkim krwawą poświatą.

Oczy zerkały na nas ukradkiem spod łachmanów i z sąsiednich pokojów, ja zaś uświadomiłem sobie, że rozesłanych na podłodze i po kątach Chińczyków, laskarów i przybyszów z Ameryki jest znacznie więcej niż początkowo sądziłem. Niektórzy z nich próbowali na nasz widok odpełznąć jak porażone światłem karaluchy. Starucha na łóżku – jego kolumienki od lat zbierały blizny od noży w rękach znudzonych klientów, a baldachim przypominał zetlały kir – paliła fajkę zrobioną z dużego kałamarza. Gęsty dym i przenikający powietrze gryzący aromat mieszały się z odorem rzeki i ścieków, wciskającym się do wnętrza przez zbite ze skośnych deszczułek okiennice. Mój umęczony żołądek znowu wywinął koziołka i pożałowałem, że przed nocną eskapadą z Dickensem wypiłem aż dwa kieliszki laudanum.

Hatchery szturchnął staruchę drewnianą pałką policyjną, którą płynnym ruchem wydobył zza paska.

– Sal? Rusz się, stara. Zbudź się, przyszliśmy porozmawiać. Panowie chcieli cię o coś zapytać, a ja klnę się na Boga, że im odpowiesz.

„Sal” była stara, pomarszczona, bezzębna i blada, a jedyną widoczną w jej rysach cechą charakteru była malująca się w słabych, wodnistych oczach skłonność do rozpusty. Mrużąc oczy, spojrzała najpierw na Hatchery’ego, a później na nas.

– Hib… – Rozpoznała olbrzyma. – Wróciłeś na służbę? Mam ci zapłacić?

– Przyszedłem po odpowiedzi. – Hatchery stuknął ją pałką w łachmany, na wysokości zapadniętego mostka. – I nie wyjdę stąd, dopóki ich nie usłyszę.

– Pytaj. Tylko daj mi najpierw nabić fajkę Yahee’emu. Bądź

dobrym gliną.

Dopiero teraz zauważyłem mumię z podkulonymi nogami, spoczywającą na poduszkach w kącie, za łóżkiem.

Sal wyciągnęła rękę po szklankę stojącą na japońskiej tacy pośrodku pokoju i wypełnioną czymś w rodzaju gęstego syropu. Nabrała kleistej mazi na patyk i zaniosła ją mumii imieniem Yahee, która odwróciła się do światła. Zobaczyłem wtedy, że jest podłączona do fajki z opium. Z półprzymkniętymi oczami Yahee wziął grudę mazi w pożółkłe, opatrzone długimi paznokciami palce i tak długo ugniatał ją i obtaczał, aż zrobił z niej kuleczkę wielkości ziarna grochu, którą włożył do główki dymiącej fajki. Potem powieki mumii opadły i odwróciła się plecami do światła.

– Kolejne cztery pensy do skromnej skarbonki – wyjaśniła Sal, wróciwszy w krąg czerwonego światła lampy. Mówiła z silnym londyńskim akcentem, połykając końcówki słów. – Trzeba ci wiedzieć, Hib, że Yahee ma ponad osiemdziesiąt lat i od sześćdziesięciu pali opium. Jeśli nie dłużej. Prawdą jest, że w ogóle nie śpi, ale jest zawsze zadbany i zdrowy jak koń. Rano, po całej nocy palenia, kupuje sobie ryż, ryby i jarzyny, ale to dopiero po tym, jak się umyje i dokładnie wysprząta dom. Sześćdziesiąt lat opium i ani jednego dnia choroby! Dzięki temu, że palił, przetrzymał cztery ostatnie wielkie londyńskie zarazy, kiedy ludzie dookoła niego padali jak muchy i…

– Wystarczy – przerwał jej Hatchery. – Ten dżentelmen zada ci teraz kilka pytań, Sal. Jeśli lubisz tę swoją szczurzą norę, w której mieszkasz i prowadzisz interes, i nie chcesz, żebyśmy ci ją zamknęli na cztery spusty, to dobrze ci radzę, nadstaw tych ospowatych uszu i odpowiadaj szybko i szczerze.

Sal spojrzała na nas z ukosa.

– Szanowna pani – zaczął Dickens tonem tak swobodnym i serdecznym, jakby witał w swoim salonie szlachetnie urodzoną damę. – Szukamy osobnika nazwiskiem Drood. Wiemy, że kiedyś bywał w pani… ehm… lokalu. Czy mogłaby nam pani powiedzieć, gdzie moglibyśmy go teraz znaleźć?

Wstrząs otrzeźwił otępiałą od opium kobietę, jakby Dickens wylał na nią kubeł lodowatej wody. Wytrzeszczyła oczy, ale po chwili zmrużyła je do wąziutkich, podejrzliwych szparek.

– Drood? Nie zna żadnego Drooda.

Hatchery uśmiechnął się i mocniej dźgnął ją pałką.

– To nie przejdzie, Sal. Wiemy, że był twoim klientem.

– Kto tak mówi? – wysyczała starucha. Dogorywająca świeca na podłodze przedłużyła jej syk jak echo.

Hatchery znów się uśmiechnął, i znów ją dźgnął, tym razem tylko w kościste ramię, ale za to mocniej.

– Matka Abdallah i Booboo mówią, że widywali tu dawniej klienta, którego nazywałaś Droodem. Biały, bez kilku palców, mówi z dziwnym akcentem. Podobno stały bywalec. Matka Abdallah twierdzi, że cuchnie gnijącym mięsem.

Sal spróbowała się roześmiać, ale z jej płuc dobył się tylko świszczący charkot.

– Matka Abdallah? Ta suka ma źle w głowie. A Booboo to kłamliwy Chinol.

– Całkiem możliwe – zgodził się z uśmiechem Hatchery. – Ale nie są ani bardziej szurnięci, ani bardziej kłamliwi niż ty, fajkowa królewno. Ktoś nazwiskiem Drood bywał tu u ciebie, ty o tym wiesz, i teraz nam o nim opowiesz.

Nie przestając się uśmiechać, uderzył pałką po długich, wykręconych artretyzmem palcach. Sal zawyła z bólu. Dwie sterty szmat w kącie poruszyły się i zaczęły czołgać – razem z fajkami – do sąsiedniego pokoju, gdzie hałasy (gdyby ktoś miał zostać zamordowany) nie zakłócałyby im opiumowych snów.

Dickens wyjął z sakiewki kilka szylingów i potrząsnął nimi w dłoni.

– Proszę nam powiedzieć wszystko, co pani wie o Droodzie. Nie pożałuje pani.

– A jeśli nie powiesz, spędzisz najbliższe kilka dni albo tygodni nie w celi na moim posterunku, tylko w najciemniejszej norze w Newgate – dodał Hatchery.

Ta zapowiedź wydała mi się koszmarem, z powodu, który Dickensowi wydałoby się zupełnie abstrakcyjny:

spróbowałem sobie wyobrazić kilka dni (nie mówiąc nawet o tygodniach!) bez laudanum – a ta kobieta przyjmowała przecież czyste opium w znacznie większych dawkach niż ja! Na samą myśl o tym, że mógłbym zostać pozbawiony lekarstwa, rozbolały mnie wszystkie kości.

Wodniste oczy fajkowej królewny zaszły najprawdziwszymi łzami.

– Dobrze, już dobrze, nie bije mnie już, Hib. I nie straszy. Przecież nigdy cię nie oszukała, nie? Zawsze płaciła na czas, i zawsze…

– Opowiedz panom o tym Droodzie – uciął Hatchery swoim najspokojniejszym, tętniącym groźbą głosem i dotknął pałką jej ramienia. – Resztę sobie daruj.

– Kiedy znaliście się państwo z Droodem? – zapytał Dickens.

– Dawno. Od roku już tu nie bywa.

– A gdzie mieszka, droga pani?

– Nie wie. Przysięga, nie wie. Pierwszy raz Chow Chee John Potter przyprowadził tego Drooda z osiem, dziewięć lat temu. Palili jak smoki, naprawdę. Drood zawsze miał złote suwereny, był świetnym klientem. Płacił z góry, nigdy nie śpiewał, nie krzyczał jak inni… O, teraz nawet słychać jednego, z drugiego pokoju. Po prostu siedział, palił i się na mnie gapił. I na innych. Czasem wychodził pierwszy, przed wszystkimi, a czasem siedział do końca i wychodził ostatni.

– Kim jest ten Chow Chee John Potter? – zainteresował się Dickens.

– Jack? Stary kuk z chińskiego statku. Miał chrześcijańskie imię, bo został ochrzczony, ale brakowało mu piątej klepki, szanowny panie. Ale on już nie żyje. Był słodki, milusi jak dziecko… No, chyba że się rumu nachlał, bo wtedy to dziecko robiło się wredne i złośliwe. Ale od samego palenia, nie. Nigdy.

– I ten Chow Chee był przyjacielem Drooda? – upewnił się Dickens.

Stara Sal zaniosła się chrapliwym śmiechem, który brzmiał tak, jakby palenie albo suchoty całkiem wyżarły jej płuca.

– Drood, jeśli naprawdę tak się nazywał, nie miał przyjaciół, szanowny panie. Wszyscy się go bali, nawet Chow Chee.

– Ale kiedy pierwszy raz go pani tutaj zobaczyła, tego Drooda, to przyszedł razem z Chow Chee?

– Ano tak, szanowny panie, przyszli razem, ale tak sobie myślała, że on po prostu napatoczył się na starego Jacka i zapytał go, głuptasa, o drogę do najbliższej palarni opium. Jack by mu ją wskazał choćby i za dobre słowo, a już za szylinga, to ho, ho…

– Czy Drood mieszka gdzieś w pobliżu?

Sal znów próbowała się roześmiać, lecz tym razem skończyło się to atakiem kaszlu, który trwał w nieskończoność. W końcu odsapnęła i odparła:

– W pobliżu? Znaczy, w okolicy New Court, Bluegate Fields albo przystani w Whitechapel? Nie, szanowny panie. Mowy nie ma.

– Dlaczego?

– Wiedzielibyśmy, szanowny panie. Taki jegomość jak Drood przestraszyłby na śmierć każdego mężczyznę, kobietę i dziecko w całym Whitechapel, Londynie i Shadwell. Wszyscy by uciekli.

– Ale dlaczego?

– Przez jego historię, prawdziwą i straszną historię.

– Proszę nam ją opowiedzieć – zaproponował Dickens.

Sal się zawahała.

Hatchery powiódł pałką wzdłuż jej przedramienia i lekko postukał w wystający łokieć.

Kiedy przestała krzyczeć, opowiedziała historię, którą opowiedzieli jej świętej pamięci Chow Chee John Potter, Yahee (drugi handlarz opium) oraz niejaka Emma laskarka.

– Drood nie jest u nas nowy. Lepiej poinformowani mówią, że nawiedza te okolice od ponad czterdziestu lat…

– Jak ten Drood ma na imię, kobieto? – wtrąciłem.

Hatchery i Dickens spojrzeli na mnie karcąco. Zamrugałem i cofnąłem się o krok. Więcej pytań fajkowej królewnie już tej nocy nie zadałem.

Sal też zmarszczyła brwi.

– Na imię? On nie ma imienia. Nikt go nie chrzcił. Nazywa się po prostu Drood, i to też jest część jego historii. Chcecie, żeby ją wam opowiedziała, czy nie?

Pokiwałem głową. Czułem, jak rumieniec rozpala mi twarz od dolnej krawędzi okularów po korzonki brody.

– Po prostu Drood… – powtórzyła Sal. – Emma laskarka twierdzi, że był kiedyś żeglarzem; Yahee, który jest starszy niż matka Abdallah i cały świat, mówi, że wcale nie był żeglarzem, tylko dawno temu przypłynął tu na jakimś statku jako pasażer. Może to było sześćdziesiąt lat temu, a może i sto. Są jednak zgodni, że przypłynął z Egiptu…

Dickens i Hatchery spojrzeli po sobie, jakby słowa staruchy potwierdzały ich wcześniejsze informacje lub domysły.

– Był Egipcjaninem, ciemnym na twarzy jak całe to diabelskie mahometańskie plemię. Podobno wtedy jeszcze miał włosy, czarne jak smoła. Niektórzy gadają, że był nawet przystojny. No i od początku palił opium: ponoć, jak tylko postawił stopę na angielskiej ziemi, już kurzył niebieską fajkę. I z początku wydawał na opium całe pieniądze; podobno przepuścił tysiące funtów. Musiał pochodzić z egipskiego rodu królewskiego albo przynajmniej z jakiejś bardzo bogatej rodziny. No, chyba że zdobył szmal w jakiś podejrzany sposób. Chin Chin, stary chiński diler z West Endu, kantował go równo na każdej działce: brał po dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt razy więcej niż od innych klientów. Kiedy w końcu Droodowi zabrakło pieniędzy, próbował pracować: sprzątał po domach albo pokazywał magiczne sztuczki na Falcon Square, ale uczciwie zarobione funciaki zawsze szybko się kończą. Wtedy Drood stał się z magika rzezimieszkiem, a potem zwykłym bandziorem: okradał i mordował marynarzy w okolicy portu. Dzięki temu dobrze żył z Chin Chinem i miał dostęp do najlepszego towaru, który Chińczyk kupował w London and Saint Katharine Coffehouse, lokalu Johnny’ego Changa przy Ratcliff Highway. Drood przyciągał różne ciemny typy, głównie innych Egipcjan, ale też Malajów, laskarów, wyzwolonych

Murzynów, brudnych Irlandczyków, wrednych Niemców… No, ale najwięcej było takich z Egiptu. Oni mają swoją religię, nie? Mieszkają i modlą się w starym Podmieście…

Nie rozumiałem jej słów, ale bałem się znów przerwać, więc spojrzałem pytająco na Dickensa i Hatchery'ego. Pokręcili głowami i wzruszyli ramionami.

– Pewnego dnia, ze dwadzieścia lat temu… A może to była noc? Nieważne. Drood zamierzał napaść marynarza; niektórzy gadali, że nazywał się Finn. Tylko że podobno ten Finn wcale się bardzo nie spił i nie był takim łatwym celem, jak Drood się spodziewał. Do swojej ponurej roboty Drood używał garbarskiego noża albo może takiego zakrzywionego noża do kości, jak rzeźnicy z Whitechapel, wiecie, ci od „śliczniutkich łopatek na jutrzejszy obiadek, za dziewięć i pół pensa, bez kości, całkiem bez kości". I naprawdę, szanowni panowie i panie posterunkowy, jak Drood z kimś skończył na przystani, zostawała po nim sakiewka z forsą, ale ani śladu kości. Wypatroszony zewłok takiego marynarza lądował w Tamizie, jak wyprute z ryb bebechy…

Z jednego z sąsiednich pokojów dobiegł cichy jęk. Włosy stanęły mi dęba, ale nieziemskie jęczenie nie było – na szczęście – reakcją na opowieść starej Sal: po prostu któryś z klientów dopominał się o dokładkę. Sal puściła ten dźwięk mimo uszu, podobnie jak zasłuchana w jej słowa trzyosobowa publika.

– Tamtej nocy było inaczej. Finn, jeśli naprawdę tak się nazywał, okazał się twardym gościem, innym niż większość tych, co kończyli z nożem Drooda w brzuchu. Złapał Drooda za rękę, zanim ten go dźgnął, wyrwał mu ten nóż do skórowania czy do kości, i obciął mu nim nos! A potem jeszcze rozchlastał swojego niedoszłego kata od krocza po obojczyk, tak właśnie! Bo Finn umiał wywijać nożem, oj, umiał; nauczył się tego jeszcze zanim się zaciągnął. Emma laskarka tak mi powiedziała. No i Drood, pochlastany jak się patrzy, ale jeszcze żywy, woła, nie, nie litości! I wtedy Finn odciął mu język. A potem jeszcze oberżnął mu fujarę i zaproponował, że wsadzi mu ją do gęby zamiast języka. I jak

powiedział, tak zrobił.

Złapałem się na tym, że mam płytki, przyśpieszony oddech i szybko mrugam. Nigdy nie słyszałem, żeby kobieta mówiła w taki sposób. Sądząc po wyglądzie Dickensa, był całkowicie zauroczony i samą historią, i osobą narratorki.

– Na koniec ten Finn, czy jak mu tam było, ten żeglarz, co to umiał robić nożem, wyrwał Droodowi serce i zrzucił ciało do rzeki nie dalej jak milę stąd. Tak mi dopomóż Bóg, panowie.

– Zaraz… – odezwał się Dickens. – To się zdarzyło ponad dwadzieścia lat temu? Wcześniej mówiła pani, że Drood był pani klientem przez siedem albo osiem lat i że rok temu przestał się pojawiać. Czy narkotyk aż tak namieszał pani w głowie, że zapomina pani własne kłamstwa?

Fajkowa królewna posłała mu złowieszcze spojrzenie spod przymrużonych powiek, wyciągnęła ręce z rozcapierzonymi palcami o długich paznokciach i wygięła garbate plecy w tył. Nagle wydało mi się, że wszystkie włosy stanęły jej dęba, i przez chwilę byłem święcie przekonany, że zaraz przeobrazi się w kota, który zacznie prychać i drapać pazurami.

– Drood nie żyje – wysyczała. – To właśnie wam mówi stara Sal. Nie żyje od dwudziestu lat, kiedy ten żeglarz go pokroił i wrzucił trupa do rzeki. Ale ta jego banda kamratów i współwyznawców, te wszystkie Egipcjany, Malaje, laskary, Irlandczyki, Niemce, Hindusy, wzięły i parę dni później wyłowiły napuchnięte, cuchnące zwłoki, odprawiły nad nimi swoje pogańskie czary i ożywiły Drooda. Emma laskarka mówi, że zrobiły to w Podmieście i że on podobno dalej tam mieszka, do dzisiaj. Stary Yahee, który znał Drooda za życia, powiedział, że wskrzesili go po drugiej stronie rzeki, w tych hałdach gówna ludzkiego i końskiego, co to porządni dżentelmeni ładnie nazywają „hałdami ziemnymi”. Ale nieważne gdzie i jak to zrobili: tak czy inaczej, ożywili Drooda.

Przeniosłem wzrok na rozemocjonowanego Dickensa. Oczy płonęły mu dziwnym, łobuzerskim żarem. Nie wiem, czy już o tym wspominałem, ale Charles Dickens nie należał do ludzi,

obok których chciałoby się stać na pogrzebie: drzemiący w nim mały szelma w najmniej odpowiednim momencie nie umiałby powstrzymać się od uśmiechu, znaczącego spojrzenia, porozumiewawczego mrugnięcia. Czasem odnosiłem wrażenie, że byłby w stanie śmiać się dosłownie ze wszystkiego, nawet z największych świętości. Bałem się, że teraz też za chwilę parsknie śmiechem. Piszę, że się bałem; nie chodziło tylko o to, że sytuacja zrobiłaby się wielce kłopotliwa, lecz także o to, że miałem w owej chwili osobliwą pewność, iż cała palarnia opium – wszyscy ci godni pożałowania nieszczęśnicy zagrzebani w szmatach, pochowani po kątach, poprzykrywani kocami i rozpostarci na poduszkach – słucha nas z całą uwagą, na jaką było stać ich otępiałe od narkotyku umysły.

Bałem się, że jeżeli Dickens zacznie się śmiać, te bestie – ze starą Sal włącznie, przemienioną już do końca w czarnego kota – rzucą się i nas rozszarpią. W tej chwili zgrozy byłem święcie przekonany, że nawet ten olbrzym, Hatchery, nas przed nimi nie uratuje.

Zamiast wybuchnąć śmiechem, Dickens wręczył starej wiedźmie trzy złote suwereny: położył je delikatnie na jej brudnej, pożółkłej dłoni i zamknął na nich jej koślawe, powykręcane palce.

– Gdzie znajdziemy Drooda, dobra kobieto? – spytał półgłosem.

– W Podmieście – odparła szeptem, oburącz ściskając monety. – W najgłębszych czeluściach Podmiasta, gdzie król Lazaree, taki Chiniec, dostarcza jemu i innym opium najczystsze z najczystszych. W Podmieście, wśród innych martwych rzeczy.

Dickens skinął na nas i wszyscy trzej wyszliśmy z zadymionego pomieszczenia na wąski, ciemny podest schodów.

– Detektywie Hatchery, czy słyszałeś o chińskim sprzedawcy opium znanym jako król Lazaree?

– Tak, szanowny panie.

– I wiesz, gdzie znajduje się Podmiasto, które napawa Sal

takim lękiem?

– Owszem, szanowny panie.

– Czy można tam dojść stąd na piechotę?

– Do wejścia tak.

– Zaprowadzisz nas?

– Do wejścia, szanowny panie.

– A czy wejdziesz z nami do tego… Podmiasta, by tam dalej być Wergiliuszem dla nas dwóch, błądzących niczym Dante?

– Pyta pan, panie Dickens, czy zejdę z wami w głąb Podmiasta?

– Otóż to, inspektorze – przytaknął Dickens z triumfalnym uśmiechem. – Otóż to właśnie. Naturalnie za podwójną stawkę, albowiem czeka nas podwójna dawka przygód.

– Nie, szanowny panie. Nie zrobię tego.

Dickensa zamurowało. Uniósł laskę i jej uchwytem w kształcie ptasiego dzioba szturchnął olbrzymiego detektywa w pierś.

– Żarty na bok, detektywie Hatchery. Czy za potrojoną stawkę zgodzisz się oprowadzić mnie i pana Collinsa po tej kuszącej krainie zwanej Podmiastem? Czy zaprowadzisz nas do Lazaree i Drooda?

– Nie, szanowny panie – odparł Hatchery. Chrypiał, jakby opiumowy dym podrażnił mu gardło. – W żadnym wypadku nie zejdę do Podmiasta. To moje ostatnie słowo, szanowny panie. A i panów błagam, jeśli cenicie swoje dusze i rozum, żebyście tam nie schodzili.

Dickens pokiwał z namysłem głową, jakby poważnie rozważał tę dobrą radę.

– Wskażesz nam jednak drogę do… jak to ująłeś? Wejścia do Podmiasta?

– Dobrze, szanowny panie. – Basowy głos Hatchery’ego przypominał odgłos, jaki mógłby wydawać darty na strzępy gruby papier. – Zaprowadzę tam panów, choć z żalem.

– To nam wystarczy, detektywie. – Z tymi słowami Dickens wysforował się na czoło naszego pochodu i pierwszy ruszył po schodach w dół. – W zupełności wystarczy. To zresztą uczciwy układ. Północ wprawdzie już minęła, lecz noc wciąż

jeszcze jest młoda. Ja i Wilkie pójdziemy dalej. I głębiej.

Olbrzym ciężkim krokiem ruszył za pisarzem, ja zaś jeszcze przez chwilę się wahałem. Gęsty dym z opium w zamkniętej przestrzeni musiał mi chyba podziałać na nerwy lub mięśnie od pasa w dół, ponieważ nogi miałem ciężkie i odrętwiałe, jakby z ołowiu. Dosłownie nie mogłem ich zmusić do wejścia na schody.

W końcu jednak zaczęły mnie kłuć i mrowić, jak to bywa z kończyną, której zdarzy się zasnąć bez wiedzy właściciela, i udało mi się niezdarnie ruszyć z miejsca. Musiałem się podeprzeć laską, żeby nie stracić równowagi.

– Idziesz, Wilkie?! – Z czarnej czeluści schodów dobiegło podekscytowane wołanie Dickensa.

– Idę! – odkrzyknąłem, mamrocząc pod nosem „Niech cię szlag!”. – Już idę.

Rozdział 5

W tym miejscu muszę na chwilę przerwać swoją opowieść, Drogi Czytelniku, aby wyjaśnić, jak doszło do tego, że już wcześniej zdarzało mi się towarzyszyć Charlesowi Dickensowi w innych absurdalnie niebezpiecznych przedsięwzięciach. Kiedyś, na przykład, wylądowałem razem z nim na stokach Wezuwiusza. Przy innej okazji zdarzył nam się poważny wypadek w Cumberlandzie, kiedy to omal nie zginąłem na Carrick Fell.

Wezuwiusz był zaledwie jedną z wielu pomniejszych atrakcji kawalerskiej wycieczki po Europie, którą odbyliśmy w 1853 roku w towarzystwie Augustusa Egga. Ściśle rzecz biorąc, w tym trzyosobowym gronie byli tylko dwaj kawalerowie, obaj młodsi od Pana Niezrównanego, ale gdy jesienią i zimą owego roku włóczyliśmy się po kontynencie, dziecinnego humoru i beztroski mógłby pozazdrościć Dickensowi niejeden mężczyzna stanu wolnego, przed którym całe życie i kariera stoją otworem. Zwiedzając kolejne ulubione miejsca pisarza, trafiliśmy w końcu do Lozanny, gdzie jego ekscentryczny przyjaciel, wielebny Chauncey Hare Townshend, wygłosił nam wykład o duchach, biżuterii oraz (jednym z koników Dickensa) mesmeryzmie. Stamtąd udaliśmy się do Chamonix i wspięliśmy na Mer de Glace, żeby tam zaglądać w głębokie na tysiąc stóp szczeliny w lodzie. W Neapolu, gdzie miałem nadzieję trochę odsapnąć po dotychczasowych atrakcjach, Dickens z miejsca uparł się, że musimy zdobyć wierzchołek Wezuwiusza.

Był rozczarowany (gorzko rozczarowany, powiedziałbym wręcz), że wulkan nie pluje ogniem. Wyglądało na to, że Wezuwiusz pozbył się większości rozpierającej go energii w ogromnej erupcji, do której doszło trzy lata wcześniej, i za naszej bytności tylko dymił, zamiast buchać płomieniami. Stwierdzenie, że Dickens był niepocieszony, byłoby wielkim niedopowiedzeniem. Szybko jednak zebrał chętną do wspinaczki ekipę, w skład której wszedł archeolog i

dyplomata Austen Henry Layard, i ruszyliśmy na podbój dymiącej góry.

Osiem lat przed naszą wspinaczką, nocą dwudziestego pierwszego stycznia 1845 roku, Dickens znalazł na Wezuwiuszu tyle siarki i żaru, że nawet ktoś tak obojętny na niebezpieczeństwo mógł mieć dość. Była to jego pierwsza wizyta w Neapolu, i w tym okresie wulkan przejawiał niezwykłą aktywność. Wspólnie z żoną i szwagierką wynajęli sześć koni, uzbrojonego żołnierza w charakterze strażnika oraz (ze względu na niesprzyjającą pogodę i trudne warunki) aż dwudziestu dwóch przewodników. Wspinaczkę rozpoczęli około czwartej nad ranem. Początkowo kobiety podróżowały w lektykach, Dickens z przewodnikami zaś szedł na czele. Używał wtedy innej laski, dłuższej i grubszej niż ta z ptasią główką, którą postukiwał o londyńskie kamienie w slumsach Shadwell. Jestem przekonany, że w górę stoku Wezuwiusza posuwał się równie szybkim krokiem, jak teraz po płaskim terenie na poziomie morza. Reakcją Charlesa Dickensa na pojawienie się zniechęcającej piechura stromizny (o czym wielokrotnie przekonywałem się na własnej skórze, rozgoryczony i zmęczony jak pies) było podwojenie i tak już żwawego tempa marszu.

Niedaleko szczytu usypanego z popiołów stożka, który stanowi wierzchołek góry, z dalszej wędrówki zrezygnowali wszyscy poza samym Dickensem i jednym z przewodników. Trwała erupcja wulkanu. Płomienie biły na setki stóp w niebo, ze wszystkich szczelin wśród skał i śniegów buchała siarka, tryskał żużel i sączył się dym. Roche, przyjaciel pisarza, który zatrzymał się kilkaset stóp od krateru, próbował jeszcze zawrócić Dickensa i przewodnika z drogi, krzycząc do nich, że zginą niechybnie, jeśli podejdą bliżej. Dickens jednak uparł się, żeby wejść na samą krawędź krateru, w dodatku po jego zawietrznej stronie, gdzie niebezpieczne wyziewy potrafią zabijać ludzi nawet z odległości kilku mil. Jak później pisał do przyjaciół, spojrzał „w głąb ognistej gardzieli… wprost w trzewia góry… Był to widok niewyobrażalnie piękny, lecz zarazem przerażający,

bardziej niż Niagara”. Do tamtej chwili to właśnie amerykański wodospad był dla niego uosobieniem transcendencji i wzorem budzącego nabożny lęk cudu natury. Teraz mógł dodać, że „woda i ogień są sobie równe”.

Wszyscy jego towarzysze, nie wyłączając przerażonych i wyczerpanych Catherine i Georginy (które w górę stoku posuwały się konno), twierdzili, że Dickens zszedł po stromiźnie z popiołu „osmolony od stóp do głów, w paru miejscach poparzony, w tlącym się ubraniu”. Z jego odzieży w ogóle zostały żałosne strzępy, które tliły się i dymiły przez cały czas żmudnego nocnego zejścia. Na ciągnącym się bez końca eksponowanym lodowym stoku, gdzie niektórzy uczestnicy eskapady musieli dla bezpieczeństwa powiązać się linami, a przewodnicy byli zmuszeni rąbać stopnie, najpierw jeden z przewodników pośliznął się i z krzykiem spadł w przepaść, a po minucie to samo przytrafiło się jednemu z Anglików, który dołączył do wyprawy. Pozostali zeszli szczęśliwie, lecz do rana nie dowiedzieli się, co się stało z dwójką nieszczęśników. Dopiero znacznie później Dickens powiedział mi, że Anglik przeżył. Los przewodnika pozostał nieznany.

Dwanaście lat przed naszą wyprawą w mroki Londynu postanowił wrócić na Wezuwiusza, przy okazji wciągając na szczyt mnie i Egga. Bogu niech będą dzięki, że na skutek chwilowego uśpienia wulkanu nasza ekspedycja nie była nawet w połowie tak męcząca i niebezpieczna jak tamten pierwszy jego wypad. Dickens i Layard posuwali się bardzo szybko, co pozwoliło naszej dwójce urządzać dyskretne odpoczynki, gdy tylko Egg odczuł taką potrzebę. Prawdę powiedziawszy, z naszego punktu widokowego nieopodal wierzchołka roztaczały się piękne widoki: słońce zachodziło nad Sorrento i Capri, jego ognisty krąg stawał się coraz większy, a oglądany przez zasłonę wulkanicznych oparów nabierał krwistego odcienia. Bez większych przeszkód zeszliśmy na dół, przyświecając sobie pochodniami. Wąski sierp księżyca wschodził nam nad głowami, gdy śpiewaliśmy na przemian angielskie i włoskie piosenki.

Cała ta przygoda była niczym w porównaniu ze wspinaczką na Carrick Fell po ostatnim przedstawieniu *Zamarzniętej otchłani* w Manchesterze, w 1857 roku, kiedy to dosłownie otarłem się o śmierć.

Dickensa przepełniała wówczas (podobnie jak tej nocy w Shadwell) przerażająca, niespożyta energia, płynąca, jak się wydaje, z dręczącego go niezadowolenia. Później, kilka tygodni po zejściu sztuki z afisza, powiedział mi, że popada w obłęd, do tego stopnia, że – jeśli dobrze pamiętam jego słowa – „wspinaczkę na wszystkie góry Szwajcarii, tudzież wszelkie inne szaleństwa, choćby się miały skończyć śmiercią, odczułby jako wielką ulgę". W liście przysłanym mi pewnego dnia po suto zakrapianej kolacji, kiedy to dyskutowaliśmy na wszystkie możliwe tematy, zarówno te poważne, jak i bardziej żartobliwe, pisał tak: „Chcę uciec przed samym sobą. Albowiem, kiedy oglądam w lustrze swoje nędzne oblicze, tak jak czynię to w tej chwili, bladość mojej skóry jest wręcz niewyobrażalna, a moje cierpienie – niewiarygodne". Ze swojej strony mogę dodać, że jego cierpienie, poza tym, że niewiarygodne, było także na wskroś rzeczywiste i bolesne. Wówczas zdawało mi się, że źródłem udręki Dickensa jest wyłącznie kulejące małżeństwo z Catherine; dzisiaj wiem, że znacznie gorsze było dla niego całkiem świeże uczucie, jakim obdarzył osiemnastoletnią kobietę–dziecko, Ellen Ternan.

W 1857 roku obwieścił mi niespodziewanie, że wyjeżdżamy do Cumberlandu, aby tam szukać natchnienia do cyklu wspólnych artykułów o północnej Anglii, które miałyby trafić na łamy „Household Words". Zamierzał go zatytułować *Leniwa włóczęga dwóch próżniaków.* Nawet jako współautor (a w rzeczywistości, zapewniam Cię, Drogi Czytelniku, główny autor) tego dzieła, muszę przyznać, że spłodziliśmy wtórny i nieciekawy zbiór esejów podróżniczych. Dopiero później dotarło do mnie, że Dickens nie interesował się ani samym Cumberlandem (chyba że po to, by wspiąć się na przeklęty Carrick Fell), ani pisaniem wspominków z naszej wędrówki. Rzecz w tym, że Ellen Ternan z siostrami i matką

występowały na scenie w Doncasterze i dzisiaj już wiem, że taki właśnie był prawdziwy cel naszej ekspedycji na północ. Byłaby to prawdziwa ironia losu, gdybym zginął na zboczach Carrick Fell w imię skrywanej przez Dickensa namiętności do osiemnastoletniej aktoreczki, która o jego uczuciach nie miała zielonego pojęcia.

Pociągiem dotarliśmy z Londynu do Carlisle, skąd następnego dnia wyruszyliśmy konno do Heske, wsi leżącej u podnóża „tego Carrock albo Carrick Fell, o którym czytałem. Nie jestem pewny tej nazwy, Mój Drogi Wilkie, różne źródła podają różną pisownię".

Skończyło się na tym, że przewróciłem się na stromych zboczach Carrick Fell.

Trawiąca Dickensa frustracja wymagała zmierzenia się z jakąś górą. Z niepojętych dla mnie powodów (nieznanych zresztą także jemu samemu, o czym jestem przekonany) padło na „Carrock albo Carrick Fell". To na nią mieliśmy się rzucić.

W maleńkim Heske niełatwo było znaleźć kogoś, kto zaprowadziłby nas na szczyt. Pogoda była wstrętna: zimna, wietrzna, deszczowa. W końcu Dickens przekonał właściciela małej, smętnej gospody, w której się zatrzymaliśmy, żeby został naszym przewodnikiem, chociaż starszawy jegomość zarzekał się, że „nigdy żem siem na tem akurat górkie nie wspinał, psze pana".

Mimo obniżającego się wieczorem pułapu chmur udało nam się znaleźć Carrick Fell i rozpoczęliśmy wspinaczkę. Karczmarzem na każdym kroku targały wątpliwości, lecz Dickens parł nieustępliwie naprzód, domyślając się przebiegu drogi na szczyt. O zmierzchu – czy raczej w porze, gdy napłynęły mgły i dzienny półmrok przeszedł w ciemność wieczoru – zerwał się zimny, przenikliwy wiatr. Niezrażeni parliśmy naprzód i wkrótce zabłądziliśmy. Karczmarz przyznał, że nie wie nawet po której stronie góry się znajdujemy. Dickens dramatycznym gestem (całkiem jakby znajdował się na scenie i grał zagubionego Richarda Wardoura) wyciągnął z kieszeni kompas, wskazał nam

kierunek i zagłębiliśmy się w mrok.

Po niespełna półgodzinie kompas – dobry na miejskie warunki – zepsuł się. Mżawka przeszła w ulewę, która błyskawicznie przemoczyła nas na wskroś i zaczęliśmy się trząść z zimna. Północnoangielska noc mroczniała coraz bardziej, gdy okrężną drogą wspinaliśmy się na kamieniste wzgórze. Znaleźliśmy coś, co mogło być jego wierzchołkiem – śliski skalny grzebień, jeden z całego mrowia takich samych śliskich skalnych grzebieni ciągnących się w dal i znikających w ciemnościach i mgle – i ruszyliśmy w drogę powrotną, nie mając zielonego pojęcia, gdzie znajdują się nasza wioska, gospoda, kolacja, kominek i łóżka.

Błąkaliśmy się tak przez dwie godziny – w okrutnym deszczu, gęstej mgle i ciemnościach ocierających się o egipski absolut. Kiedy stanęliśmy nad przegradzającym nam drogę rwącym strumieniem, Dickens ucieszył się jakby spotkał dawno niewidzianego przyjaciela.

– Zejdziemy wzdłuż niego do rzeki płynącej u podnóża góry – oznajmił roztrzęsionemu karczmarzowi i równie żałośnie prezentującemu się współautorowi swoich artykułów. – To idealny przewodnik!

Cóż, może i idealny, ale też z pewnością zdradziecki. Zbocza wąwozu stawały się coraz bardziej strome, kamienie, po których szliśmy, coraz bardziej śliskie od zamarzającego deszczu, a potok huczał coraz groźniej. Zacząłem zostawać z tyłu. Poślizgnąłem się, upadłem ciężko na ziemię, paskudnie skręciłem kostkę. Leżąc na wpół w wodzie, obolały, dygoczący z zimna, wygłodniały i słaby, musiałem zawołać w mrok o pomoc, modląc się w duchu, żeby Dickens z naszym gospodarzem nie oddalili się jeszcze poza zasięg głosu – bo gdyby zdążyli wysforować się bardziej naprzód, byłbym trupem. Nawet oparłszy się na lasce, nie mogłem stanąć na skręconej stopie; musiałbym czołgać się wzdłuż strumienia – najpierw wiele mil do miejsca, w którym uchodził do rzeki, następnie (pod warunkiem, że prawidłowo odgadłbym dalszy kierunek) kawał drogi do wioski. A ja jestem mieszczuchem, Drogi Czytelniku, nienawykłym do takich trudów.

Na szczęście, Dickens usłyszał moje krzyki, cofnął się i znalazł mnie leżącego w strumieniu. Kostka opuchła mi przez ten czas do rozmiarów dwukrotnie przekraczających jej normalne gabaryty.

Z początku tylko wspierałem się na nim, skacząc po stromiźnie na jednej nodze, skończyło się jednak na tym, że musiał mnie nieść. Byłem absolutnie pewny, że oczyma wyobraźni widzi siebie w roli Richarda Wardoura niosącego swojego rywala, Franka Aldersleya, przez arktyczne pustkowia – ale dopóki mnie nie upuszczał, jego fantazje mi nie przeszkadzały.

W końcu dotarliśmy do gospody. Właściciel (trzęsąc się z zimna i klnąc pod nosem) obudził żonę i kazał jej przygotować posiłek – późną kolację lub wczesne śniadanie. Służba napaliła w jadalni i w naszych pokojach. W Heske nie było lekarza (ba, tam właściwie w ogóle nie było wsi!), więc Dickens sam obłożył mi kostkę lodem i zabandażował ją najlepiej, jak umiał, żebym jakoś doczekał chwili, gdy wrócimy do cywilizacji.

Udaliśmy się do Wigton, dalej do Allonby, Lancasteru i Leeds (nadal udając, że zbieramy materiały do naszej historii podróżnej, mimo że poruszałem się wyłącznie o kulach i praktycznie nie opuszczałem hoteli), aż w końcu trafiliśmy do Doncasteru, który od początku był naszym prawdziwym, choć utajonym (przynajmniej tak się wydawało Dickensowi) celem.

Obejrzeliśmy tam kilka przedstawień, nie wyłączając tego, w którym epizodyczną rólkę grała Ellen Ternan. Dzień po spektaklu Dickens wybrał się na piknik z jej rodziną, a także (dziś jestem już tego pewien) na długi spacer we dwoje z Ellen. Cokolwiek wydarzyło się podczas tego spaceru, jakiekolwiek myśli i uczucia zostały wyrażone i odrzucone, po dziś dzień pozostaje tajemnicą. Jedno jest pewne: Pan Niezrównany wrócił z Doncasteru w paskudnym humorze. Kiedy później próbowałem jakoś umówić się z nim w redakcji „Household Words” na dokończenie naszego niewydarzonego dziennika podróżnego, w odpowiedzi

przysłał mi niezwykle osobisty liścik, w którym stwierdzał między innymi: „(…) doncasterskie niepowodzenie tkwi we mnie tak głęboko, że nie jestem w stanie ani pisać, ani nawet spać, choćbym chciał się zdrzemnąć na minutę”. Jak wspomniałem, nie znałem wówczas i nie znam dzisiaj dokładnej natury trapiącego go nieszczęścia, które wkrótce miało zmienić życie nas wszystkich.

Opowiadam Ci o tym wszystkim, Drogi Czytelniku, ponieważ już wcześniej podejrzewałem (a dziś, kreśląc te słowa po latach, mam praktycznie pewność), że kiedy w ową upalną, lipcową, cuchnącą londyńską noc w 1865 roku wyruszyliśmy na poszukiwania Drooda, wcale nie szukaliśmy powstałej z martwych zjawy, lecz czegoś, co Dickens spodziewał się znaleźć u Ellen Ternan w 1857 roku w Doncasterze i czego bezskutecznie szukał przez następne osiem przepełnionych sekretami lat, aż do Staplehurst.

Jednakże – jak wykazało zdarzenie na Carrick czy Carrock Fell – niejednokrotnie zdarza się, że to postronni obserwatorzy płacą słoną cenę za obsesję jednego człowieka. I nawet jeśli dzieje się tak bez jego woli, to, kiedy inni odnoszą rany lub umierają, trudno oprzeć się wrażeniu, że było to od początku zamierzone.

***

Przez następne dwadzieścia minut przemierzaliśmy coraz ciemniejsze i coraz bardziej śmierdzące slumsy. Czasem naszą uwagę zwracały oznaki ludzkiej bytności w walących się ruderach (głównie szepty i pohukiwania dobiegające z gęstych mroków po obu stronach ścieżki), kiedy indziej znów towarzyszył nam tylko zgrzyt naszych własnych obcasów i stukot laski Dickensa na bruku tych nielicznych uliczek, które faktycznie były wybrukowane. Przypomniał mi się wówczas fragment najnowszej, jeszcze nieukończonej powieści Dickensa, zatytułowanej *Nasz wspólny przyjaciel.* W jednym z pierwszych drukowanych w gazecie odcinków nasz autor wysyła dwóch młodych ludzi powozem nad

Tamizę, gdzie mają zidentyfikować zwłoki wyciągnięte z wody przez ojca i córkę, którzy w ten sposób zarabiają na życie:

> *Koła toczyły się i toczyły coraz to bardziej w dół, opodal Monumentu i Tower, i Doków, i dalej, jeszcze niżej, poprzez Ratcliff i Rotherhithe, gdzie nagromadzone szumowiny ludzkie zdają się spływać z terenów wyżej położonych i zalegać w moralnym rynsztoku, pokąd pod własnym ciężarem nie przestąpią nadbrzeża, aby zatonąć w rzece[2].*

Prawdę powiedziawszy, podobnie jak dwaj rozpustnicy z powieści Dickensa, ja również niespecjalnie zwracałem uwagę na kierunek naszej podróży: po prostu szedłem w ślad za olbrzymią sylwetką Hatchery'ego i zwinnym cieniem Dickensa. Później miałem gorzko żałować swojego niedbalstwa.

W pewnej chwili stale towarzyszący nam odór wzmógł się, a przy tym pojawiła się w nim jakaś nowa nuta.

– Ha! – zakrzyknąłem do majaczących mi w ciemności towarzyszy. – Czyżbyśmy znów zbliżyli się do rzeki?

– Gorzej, mój panie – rzucił przez ramię Hatchery. – Jesteśmy przy cmentarzu.

Rozejrzałem się. Od dłuższego czasu miotały mną dwa sprzeczne wrażenia: że zbliżamy się albo do Church Street, albo w okolice London Hospital, teraz jednak ciemny zaułek po prawej stronie wyprowadzał na odsłoniętą przestrzeń obwiedzioną częściowo murem, a częściowo żelaznym ogrodzeniem z bramą. Nie zauważyłem w pobliżu kościoła, nie mógł to więc być przykościelny cmentarzyk, lecz raczej duży miejski cmentarz, jakich przez ostatnie piętnaście lat sporo namnożyło się w Londynie.

Trzeba Ci wiedzieć, Drogi Czytelniku, że za naszych czasów blisko trzy miliony żywych londyńczyków mieszkały na szczątkach co najmniej takiej – jeśli nie większej – liczby naszych zmarłych przodków. W miarę jak miasto się rozrastało, pożerając okoliczne przedmieścia i wioski,

wchłaniało również ich cmentarze, i to na nich lądowały później setki tysięcy, jeśli nie miliony gnijących ciał naszych bliskich. I tak, na przykład, dziedziniec kościoła St. Martin’s – in – The – Fields mierzył zaledwie dwieście na dwieście stóp, a już w roku 1845 (czyli dwadzieścia pięć lat przed obfitującą w wydarzenia nocą, którą tu opisuję) szacowano, że zawiera szczątki od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu tysięcy londyńczyków. A dziś jest ich tam o wiele, wiele więcej.

W latach pięćdziesiątych XIX wieku, czyli w okresie Wielkiego Smrodu i największego nasilenia okrutnej epidemii cholery, wszyscy zaczynaliśmy pomału rozumieć, że takie przepełnione cmentarze stanowią zagrożenie dla zdrowia i życia wszystkich tych, którzy mają nieszczęście mieszkać w ich pobliżu – a przepełnione były (i nadal są) wszystkie miejskie nekropolie. Zmarłych chowano tysiącami w płytkich grobach w podziemiach kaplic, szkół i fabryk, na pustych parcelach, a nawet pod – i za – prywatnymi domami. Ustawa Grzebalna z 1852 roku (której Dickens był zresztą wielkim zwolennikiem) nakazywała Naczelnej Radzie do spraw Zdrowia założenie cmentarzy dostępnych dla wszystkich, bez względu na przynależność religijną.

Możesz o tym nie wiedzieć, Drogi Czytelniku, ale do niedawna wszyscy zmarli chowani na angielskiej ziemi byli uprawnieni do chrześcijańskiego pochówku na którymś z parafialnych cmentarzy. Wyjątków od tej reguły było niewiele. Dopiero w 1832 roku ustawa parlamentu położyła kres powszechnej wśród moich ziomków praktyce grzebania samobójców na drogach publicznych, z sercem przebitym kołkiem. Ustawa ta (istny wzór miłosierdzia i nowoczesnego myślenia) dopuściła możliwość chowania samobójców przy kościołach, razem z chrześcijanami – pod warunkiem wszakże, iż pogrzeb odbędzie się między godziną dziewiątą i dwunastą wieczorem, i to bez żadnych obrzędów kościelnych. Należy w tym miejscu napomknąć, że w tymże 1832 roku – ach, cóż to był za światły rok! – zarzucono również praktykę obowiązkowego ćwiartowania ciał

morderców i w naszej liberalnej epoce także oni znaleźli swoje miejsce na cmentarzach.

Wiele (właściwie rzec by należało: większość) z tych mogił jest anonimowych, co nie znaczy, że pozostają nieodkryte. Ludzie trudniący się kopaniem nowych grobów co dzień i co noc zatapiają łopaty najpierw w gnijących zwłokach (i to, jak słyszałem, ułożonych w kilku warstwach), a następnie, głębiej, w pokładach szkieletów bez nazwisk. Niektóre parafie specjalnie wynajmują ludzi, którzy codziennie rano (zwłaszcza po obfitych deszczach) przeczesują przykościelne place w poszukiwaniu strzępków wiernych, które nazbyt pośpieszyły się ze zmartwychwstaniem, nie mogąc się doczekać wezwania na Sąd Ostateczny. Widywałem tych pracowników, jak taczkami wywozili ręce, nogi i inne, trudniejsze do rozpoznania członki – tak jak pracowici ogrodnicy zatrudnieni w przydomowym ogrodzie zbierają połamane przez burzę gałęzie drzew.

Te nowe nekropolie, nazywane po prostu „miejscami pochówku" dla odróżnienia od parafialnych „cmentarzy przykościelnych", szybko stały się ogromnie popularne. Pierwsze z nich funkcjonowały jak normalne przedsiębiorstwa i tak jak ma to do dziś miejsce w wielu miejscach na kontynencie, kiedy rodzina zalegała z opłatami za utrzymanie grobu, zwłoki wykopywano i wyrzucano na śmietnik, piękne nagrobki szły na wzmocnienie cmentarnej skarpy albo wyłożenie chodnika, kwaterę zaś sprzedawano ponownie – nowemu, solidniejszemu klientowi. Po tym, jak w latach pięćdziesiątych parlament wymusił zamknięcie wielu przepełnionych przykościelnych cmentarzyków, te nowo powstałe były najczęściej zarządzane przez miasto i miały wydzielone osobne miejsca dla dobrych chrześcijan (włącznie z kaplicami cmentarnymi i poświęconą ziemią) oraz dysydentów. Aż się człowiek zastanawiał, czy jedni i drudzy na pewno dobrze się czują, gdy przychodzi im spędzać wieczność, gdy dzieląca ich odległość nie przekracza rozmiarów boiska krykietowego.

Miejsce pochówku, do którego właśnie się w ciemności

zbliżaliśmy, w przeszłości było chyba cmentarzem przykościelnym – do czasu, aż kościół został porzucony, gdy okolica stała się zbyt niebezpieczna dla przyzwoitych ludzi, a następnie spalony i zrównany z ziemią, żeby na jego miejscu wybudować jeszcze więcej czynszówek, których właściciele będą mogli wycisnąć ostatni grosz z niemających się gdzie podziać imigrantów. Kościół więc zniknął, cmentarz jednak pozostał i na przestrzeni wieków był intensywnie i wielokrotnie wykorzystywany. Całkiem możliwe, że sto czy dwieście lat temu przejęli go dysydenci, by w ostatnich dwudziestu latach przekształcić go w ogólnodostępną płatną nekropolię.

Kiedy zbliżaliśmy się do wilgotnych murów czarnego żelaznego ogrodzenia, łamałem sobie głowę nad tym, kto chciałby zapłacić choć pensa za to, żeby trafić tu po śmierci. Kiedyś przed kościołem rosły duże drzewa, z których do dziś zostały tylko zwapniałe szkielety, martwe od pokoleń, z kikutami amputowanych kończyn wzniesionymi ku czarnym budynkom nachylającym się nad placem ze wszystkich stron. Smród bijący z tej ogrodzonej przestrzeni był tak porażający, że odruchowo sięgnąłem po chusteczkę – zanim sobie przypomniałem, że Dickens zabrał mi ją wcześniej, żeby przykryć ciała martwych dzieci. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby w powietrzu wisiał tu na wpół materialny zielonkawy opar; prawdę mówiąc, mgła, która napłynęła znad rzeki jako zwiastun kolejnej fali ciepłego deszczu, emanowała nawet słabą, ohydną poświatą.

Dickens pierwszy stanął przed wysoką bramą z czarnego żelaza. Pchnął ją, lecz była zamknięta na masywną kłódkę.

Chwała Bogu, pomyślałem.

Jednakże Hatchery sięgnął pod płaszcz i od obwieszonego żelastwem pasa odpiął ciężkie kółko z kluczami. Oddawszy Dickensowi latarnię, zaczął przeglądać dźwięczące metalicznie klucze, aż znalazł ten, który pasował do kłódki. Olbrzymia brama – złożona głównie z czarnych łuków i zębatych ozdób – otworzyła się powoli i z takim zgrzytem, jakby od całych dziesięcioleci nie znalazł się nikt skłonny

zapłacić za jej otwarcie, żeby pozbyć się zwłok ukochanej osoby.

Szliśmy między ciemnymi nagrobkami i zapadniętymi kaplicami, po wąskich, koślawo brukowanych dróżkach, pod martwymi drzewami, pośród wiekowych grobowców. Po sprężystym kroku Dickensa i energicznym stukocie laski poznawałem, że świetnie się bawi, ja jednak musiałem się skupić na powstrzymywaniu wymiotów. Poza tym wypatrywałem sobie oczy w ciemności, żeby nie nadepnąć na coś miękkiego, w co noga zapadłaby mi się do kostki.

– Ja znam to miejsce – odezwał się znienacka Dickens. W ciemności jego głos zabrzmiał tak głośno, że dosłownie podskoczyłem. – Widziałem je za dnia i opisałem w *Antykomiwojażerze.* Dziś jednak pierwszy raz przekroczyłem bramy tego cmentarza. Wtedy nazwałem go „Miastem Nieobecnych", a to konkretne miejsce „Kaplicą Upiornych Świętych".

– Bardzo celnie, szanowny panie – odpowiedział mu Hatchery. – Bardzo celnie.

– Nie widziałem jednak czaszek i piszczeli zdobiących szpikulce na bramie – zauważył Dickens głosem wciąż stanowczo zbyt głośnym na tę sytuację.

– Ależ są, są na swoim miejscu, panie Dickens – zapewnił go Hatchery. – Po prostu nierozsądne wydało mi się oświetlanie ich promieniem latarni. No, jesteśmy na miejscu, panowie. Oto wejście do Podmiasta.

Zatrzymaliśmy się przed wąskim, opieczętowanym grobowcem.

– To jakiś żart? – spytałem.

Mój głos, z kolei, mógł się wydać moim kompanom nieco drżący i niepewny, ale brzmiał tak tylko dlatego, że spóźniałem się z kolejną dawką leczniczego laudanum, podagra dawała mi się we znaki i różne części ciała zaczynały mnie boleśnie rwać. Narastający ból głowy przypominał zaciskającą mi się wokół skroni żelazną obręcz.

– Nie, panie Collins, to nie żart – odparł detektyw.

Wybrał drugi ciężki klucz spośród tych zawieszonych na

kółku i wsunął go do wiekowego zamka w metalowych drzwiach grobowca. Przekręciwszy go, naparł na wysokie dwuskrzydłowe odrzwia, które otworzyły się z głośnym zgrzytem. Hatchery poświecił do środka, zamierzając puścić mnie i Dickensa przodem.

– To jakiś absurd – orzekłem. – Niemożliwe, żeby tu było jakieś Podmiasto, czy w ogóle jakiekolwiek „pod". Od paru godzin brodzimy w naniesionym przez Tamizę cuchnącym błocku. Poziom wód gruntowych jest tu chyba płytszy niż te wszystkie groby!

– Fakty najwyraźniej temu przeczą, szanowny panie – wyszeptał Hatchery.

– Ta część East Endu leży na litej skale, mój drogi Wilkie – dodał Dickens. – Dziesięć stóp pod nami. Znasz chyba geologię Londynu, co? Dlatego zbudowano je właśnie tutaj.

– Co zbudowano? – zdziwiłem się, próbując (nie całkiem skutecznie) złagodzić chrapliwą nutę w głosie.

– Katakumby – wyjaśnił Dickens. – Liczące setki lat klasztorne podziemia. A wcześniej, przed nimi, rzymskie loculi, leżące jeszcze głębiej, poniżej chrześcijańskich katakumb.

Wolałem nie pytać, co znaczy to „loculi". Miałem przeczucie, że, chcąc nie chcąc, i tak wkrótce poznam mroczny sekret etymologii tego słowa.

Dickens pierwszy wszedł do grobowca, potem Hatchery, na końcu ja. Stożek światła latarni ślizgał się po maleńkim wnętrzu. Znajdujący się na środku katafalk, którego długość ledwie wystarczyłaby na pomieszczenie trumny, sarkofagu lub zawiniętego w całun ciała, był pusty. Nigdzie nie widziałem nisz ani innych miejsc przeznaczonych na złożenie zwłok.

– Ten grób jest pusty – powiedziałem. – Ktoś ukradł ciało.

– A niech mnie, to mnie szanowny pan rozbawił… – prychnął Hatchery. – Tu nigdy nie było ciała. Ten grobowiec zawsze był tylko bramą do krainy umarłych i niczym więcej. Będzie pan łaskawy się odsunąć, panie Collins.

Cofnąłem się pod wilgotną ścianę w głębi, detektyw zaś

przykucnął, zaparł się barkiem o marmurowy katafalk i pchnął. Zgrzyt kamienia o kamień zabrzmiał wyjątkowo nieprzyjemnie.

– Przed wejściem zauważyłem łukowate rysy wyżłobione w kamiennych płytach ścieżki – powiedział Dickens do mozolącego się detektywa. – Takie same, jakie mogłyby wyryć obwisłe skrzydła otwieranej bramy w błocie.

– Zgadza się, szanowny panie – wysapał Hatchery i pchnął jeszcze raz. – Zwykle ziemia i liście dostatecznie je maskują, nawet kiedy przyświecić latarnią. Bardzo pan spostrzegawczy, panie Dickens.

– Istotnie – przytaknął pisarz.

Byłem przekonany, że jazgotliwy zgrzyt przesuwającego się powoli katafalku ściągnie nam na głowy tłum zaciekawionych zbirów, dopóki nie przypomniałem sobie, że przecież Hatchery zamknął za nami wrota cmentarza na kłódkę, odcinając nam drogę powrotną. A ponieważ otwarcie grobowca wymagało znacznego wysiłku z jego strony (kiedy weszliśmy do środka, także i te drzwi przymknął, naparłszy na nie ramieniem), wyglądało na to, że jesteśmy na amen zamknięci we wnętrzu grobowca. W czarnym klinie pod podłogą – coraz szerszym, w miarę jak katafalk przesuwał się na bok – zamajaczyły strome kamienne schody. Na myśl o tym, że gdy katafalk także zostanie przywrócony na dawne miejsce, uwięzi nas w podziemiach zatrzaśniętego grobowca na zamkniętym cmentarzu, lodowaty dreszcz przebiegł mi po kręgosłupie, nic sobie nie robiąc z lepkiego nocnego upału.

W końcu Hatchery przestał pchać i się wyprostował. Trójkątny otwór w podłodze nie był zbyt duży, miał raptem dwie stopy szerokości. Kiedy Dickens przyświecił latarnią, ujrzałem ciągnące się daleko w dół schody.

Z twarzą podświetloną od spodu blaskiem latarni Dickens odwrócił się do detektywa i zapytał:

– Na pewno nie zejdzie pan z nami, detektywie Hatchery?

– Nie, mój panie, dziękuję. Obowiązuje mnie umowa.

– Umowa? – powtórzył Dickens z lekkim zaciekawieniem w głosie.

– Owszem, szanowany panie. Stare porozumienie, które wielu z nas – konstabli i inspektorów – zawiera z mieszkańcami Podmiasta. My nie schodzimy na dół i nie utrudniamy im życia, a oni nie wychodzą na górę i nie utrudniają nam.

– To mi przypomina porozumienie żywych z umarłymi – zauważył półgłosem Dickens, spoglądając w czeluść.

– W rzeczy samej, szanowny panie. Wiedziałem, że pan zrozumie.

– No, czas na nas. Trafi pan z powrotem bez tej latarni, detektywie Hatchery? Bo nam światło z pewnością się przyda.

– Gdybym potrzebował światła, szanowny panie, mam przy pasie jeszcze jedną latarnię, ale na razie nigdzie się nie wybieram. Poczekam tu do świtu. Jeśli do tego czasu panowie nie wrócicie, pójdę prosto na posterunek przy Leman Street i zgłoszę zaginięcie dwóch dżentelmenów.

– Bardzo to uprzejme z pańskiej strony, detektywie. – Dickens się uśmiechnął. – Wspomniał pan jednak, że konstable i inspektorzy nie wyruszą nas tam szukać.

– Czy ja wiem… – Hatchery wzruszył ramionami. – Jesteście, panowie, nie tylko porządnymi obywatelami, ale też sławnymi pisarzami, może więc policja postanowi tym razem zrobić wyjątek. Mam jednak nadzieję, że nie będziemy musieli tego sprawdzać.

Dickens parsknął śmiechem.

– Chodź, Wilkie, idziemy.

– Panie Dickens… – Hatchery znów sięgnął za pazuchę i wyciągnął olbrzymi rewolwer. – Chyba powinien pan to wziąć. Chociażby na szczury.

– Też coś… – żachnął się Dickens, zbywając go machnięciem ręki w białej rękawiczce.

Trzeba Ci wiedzieć, Drogi Czytelniku, że w naszych czasach (nie mam pojęcia, jak to wygląda w epoce, w której żyjesz) policjanci nie nosili broni palnej. Przestępcy zwykle też nie. „Umowa” między przestępczym półświatkiem i policją, o której napomknął Hatchery, obejmowała wiele

aspektów życia; nie o wszystkich mówiło się głośno.

– Ja go wezmę – zaproponowałem. – Z przyjemnością. Nie cierpię szczurów.

Ciężki rewolwer wypełnił mi prawą kieszeń marynarki. Miałem wrażenie, że żelastwo mnie przeważa i tracę przez nie równowagę, ale wytłumaczyłem sobie, że znacznie gorsza utrata równowagi mogłaby mi grozić już niedługo, gdyby okazało się, że potrzebuję broni, a jej nie mam.

– Umie pan strzelać? – zainteresował się Hatchery.

Wzruszyłem ramionami.

– Domyślam się, że z grubsza chodzi o to, żeby wycelować ten otwór w stronę obiektu, który chcę ostrzelać, i pociągnąć za spust – odparłem.

Byłem cały obolały. Oczami wyobraźni widziałem stojący w zamkniętej kuchennej szafce dzbanek laudanum.

– Zgadza się, szanowny panie – przytaknął Hatchery. Melonik miał w tej chwili naciągnięty tak nisko na czoło, jakby chciał sobie zmiażdżyć czaszkę. – Z grubsza właśnie o to chodzi. Zauważył pan pewnie, że ten egzemplarz ma dwie lufy, panie Collins? Mniejszą u góry i większą od dołu.

Nie zwróciłem na to uwagi. Sięgnąłem po niedorzecznie ciężką broń do kieszeni, ale zaplątała mi się w podszewkę i kiedy próbowałem ją wyjąć, rozdarła materiał drogiej marynarki. Zakląłem pod nosem, zanim w końcu udało mi się wydobyć rewolwer i przyjrzeć mu się w świetle latarni.

– Ta dolna pana nie interesuje – ciągnął Hatchery. – To taka skrócona strzelba, do strzelania kartaczami. Brutalna zabawka, oby nie była panu potrzebna. Zresztą i tak nie mam do niej amunicji. Mój brat, który jeszcze do niedawna służył w wojsku, odkupił tego gnata od pewnego Amerykanina, chociaż to francuska robota… Ale proszę się nie martwić, szanowny panie, został gruntownie sprawdzony przez naszych rusznikarzy, angielskich, z Birmingham. Bębenek połączony z mniejszą lufą jest naładowany i zawiera dziewięć nabojów.

– Dziewięć? – powtórzyłem, chowając wielkie i ciężkie ustrojstwo do kieszeni i starając się nie poszarpać sobie

podszewki bardziej niż do tej pory. – Doskonale.

– Chce pan dodatkowe kule? W kieszeni mam ich cały woreczek. Musiałbym pokazać panu, jak używać stempla, ale to właściwie nic trudnego.

Chciało mi się śmiać na myśl o skarbach rozlokowanych w kieszeniach i przy pasie Hatchery'ego.

– Nie ma potrzeby, dziękuję. Dziewięć powinno wystarczyć.

– To kule kalibru czterdzieści dwa – ciągnął detektyw. – Dziewięć aż nadto wystarczy na przeciętnego szczura. Obojętne, czy będzie chodził na czterech łapach, czy na dwóch… bo i takie się zdarzają.

Wzdrygnąłem się, słysząc te słowa.

– Zobaczymy się ponownie przed świtem, Hatchery – obiecał Dickens. Schował zegarek do kieszeni kamizelki i zszedł na prowadzące pod ziemię schody, opuszczając nisko latarnię. – Chodź, Wilkie, słońce wzejdzie za niespełna cztery godziny.

***

– Znasz Edgara Allana Poego, Wilkie?

– Nie – odparłem.

Zeszliśmy pierwsze dziesięć stopni. Szyb ciągnął się w dół bez końca. „Schody" bardziej przypominały bloki używane do budowy egipskich piramid, bo miały dobre trzy stopy wysokości. W dodatku były śliskie od ściekającej po nich skroplonej podziemnej wilgoci. Cienie w świetle małej latarni migotały zdradziecko, czarne jak smoła. Gdyby któryś z nas się tu pośliznął, skończyłoby się to z pewnością połamaniem kości, a być może także karku. Na wpół zszedłem, na wpół zeskoczyłem na niższy stopień, dysząc ciężko i usiłując nadążyć za wąziutkim stożkiem światła emanującym z ręki Dickensa.

– To twój przyjaciel? – spytałem. – Specjalista od grobów i katakumb?

Dickens się roześmiał. W kamiennej studni jego śmiech poniósł się cudownie makabrycznym echem. Modliłem się w

duchu, żeby więcej tego nie robił.

– Na twoje pierwsze pytanie, mój drogi Wilkie, odpowiedź brzmi „zdecydowanie nie”. Na drugie zaś… Nie wykluczam, że może być twierdząca.

Zatrzymał się na płaskim gruncie i oświetlił latarnią ściany i nisko sklepiony korytarz biegnący w mrok. Czarne prostokąty po obu stronach korytarza sugerowały, że w bok odchodzą tam dalsze tunele.

Zeskoczyłem z ostatniego stopnia. Dickens oparł obie ręce, wraz z trzymaną w jednej z nich latarnią, na mosiężnej główce laski.

– Poznałem Poego w tysiąc osiemset czterdziestym drugim roku w Baltimore, pod koniec mojego amerykańskiego tournée. Nie będę ukrywał, że to on mi się narzucał: najpierw ze swoją książką *Opowieści groteskowo–arabeskowe,* a potem także ze swoim towarzystwem. Rozmawialiśmy jak równy z równym albo jak starzy znajomi – chociaż powinienem chyba powiedzieć, że to Poe mówił i mówił, całymi godzinami, o literaturze, o swoich dziełach, moich dziełach, i znów o swoich. W Ameryce zawsze brakowało mi czasu, żeby poczytać te jego opowiadania, ale wiem, że Catherine je czytała i była nimi zauroczona. Poe uwielbia ponoć pisać o grobowcach, trupach, przedwczesnych pogrzebach i sercach wyrywanych żywcem z piersi.

Cały czas zerkałem w ciemność poza obrębem plamy światła latarni. Kiedy tak wytężałem wzrok (mam słabe oczy), cienie gęstniały i przemieszczały się jak żywe. Głowa bolała mnie coraz bardziej.

– Domyślam się, że do czegoś zmierzasz – wtrąciłem ostrym tonem.

– Tylko do tego, że nie mogę się oprzeć wrażeniu, że pan Edgar Allan Poe byłby zachwycony tą wycieczką, mój drogi Wilkie. Czego o tobie nie można powiedzieć.

– Cóż, w takim razie ja również żałuję, że go tu nie ma – odparowałem.

Dickens znów się zaśmiał. Tym razem echo zabrzmiało

może ciszej, ale i bardziej niepokojąco, gdy dźwięk odbił się od niewidocznych ścian i wnęk.

– Może jest… – odparł. – Kto wie? Jeśli dobrze pamiętam, czytałem gdzieś, że pan Poe odszedł z tego świata zaledwie sześć lub siedem lat po tym, jak się poznaliśmy; zmarł całkiem młodo, w dodatku w niezwykłych i chyba niestosownych okolicznościach. Sądząc wszakże po naszej krótkiej, lecz intensywnej znajomości, to miejsce idealnie nadawałoby się na kamienny kurhan, który jego duch z radością by nawiedzał.

– A czym właściwie jest to miejsce?

Zamiast mi odpowiedzieć, Dickens uniósł wyżej latarnię i ruszył w głąb korytarza, po czym zatrzymał się przy pierwszej z mrocznych nisz i wycelował w nią promień latarni.

Jakieś sześć stóp w głąb od skraju korytarza podłogę z sufitem łączyła ozdobna żelazna krata – masywna, kuta z grubych elementów, z otworami w kształcie kwiatków. Pomarańczowo–krwiste żelazo było przerdzewiałe i tak stare, jakby miało się skruszyć pod uderzeniem pięści – nie miałem jednak zamiaru zagłębiać się w niszę i tego sprawdzać. Za kratą znajdowały się ustawione w rzędy i stosy trumny. Wyglądały na ciężkie i solidne, jakby wyłożono je od środka ołowiem. W nieregularnym świetle naliczyłem ich około tuzina.

– Dasz radę odczytać ten napis? – spytał Dickens.

Miał na myśli zawieszoną na kracie pod sufitem tablicę z białego kamienia. Druga tabliczka leżała na podłodze, na wpół zagrzebana w kurzu i osypującej się rdzy, trzecia zaś stała oparta o kratę.

Poprawiłem okulary i zmrużyłem oczy. Kamień nosił ślady zawilgocenia, przy brzegach zaś zbrązowiał od kontaktu z rdzewiejącym żelazem. A wykute w nim litery…

E. I.
GRO[zatarte]**EC**
WIELEB[zatarte]**O**

L. L. B [plama]

Odczytałem tekst na głos. Dickens podszedł bliżej, ja zaś dodałem:

– Czyli wcale nie są rzymskie.

– Co, te katakumby? – spytał z roztargnieniem Dickens, przykucnąwszy nad tabliczką leżącą w kurzu jak przewrócony nagrobek. – Nie, nie są. Zbudowano je na rzymską modłę, w postaci długich korytarzy z niszami grzebalnymi po obu stronach, ale prawdziwe rzymskie katakumby stanowiłyby istny labirynt. Te zaś są chrześcijańskie, mój drogi Wilkie, bardzo, bardzo stare, ale chrześcijańskie, i dlatego, podobnie jak część rozciągającego się nad nami miasta, mają bardzo regularny rozkład: zaprojektowano je na planie krzyża z odchodzącymi na boki wnękami i mniejszymi tunelami. Zwróć uwagę na zwornik łuku nad naszymi głowami: to cegła, nie kamień…

Rzeczywiście, miał rację: sklepienie było ceglane. Nagle dotarło do mnie, że czerwony pył zaścielający posadzkę (i gdzieniegdzie głęboki na kilka cali) to właśnie resztki cegieł i zaprawy osypujące się z sufitu.

– To chrześcijańskie katakumby – powtórzył Dickens. – Wykopane dokładnie pod stojącą na górze kaplicą.

– Przecież na górze nie ma żadnej kaplicy – zauważyłem szeptem.

– Rzeczywiście, nie ma. – Dickens wstał i spróbował strząsnąć kurz z rękawiczek, nie wypuszczając przy tym latarni i laski z rąk. – Ale dawno temu była. Kaplica klasztorna, jak mniemam. Część kościoła wchodzącego w skład klasztoru upiornych świętych.

– Zmyślasz – rzuciłem oskarżycielsko.

Dickens spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

– Ależ naturalnie – przytaknął. – Idziemy dalej?

Nie podobała mi się sytuacja, w której stałem w ciemnym korytarzu całkiem sam, w dodatku pozbawiony źródła światła, ucieszyłem się więc, gdy Dickens wynurzył się w końcu z wnęki. Zanim jednak ruszyliśmy w dalszą drogę,

jeszcze raz poświecił w jej głąb, za kratę, wodząc promieniem światła po spiętrzonych trumnach.

– Zapomniałem dodać, że podobnie jak ich rzymskie pierwowzory, tak i te wnęki pogrzebowe nazywane są loculi. Każdy taki loculus jest zarezerwowany dla konkretnej rodziny albo dla członków konkretnego zakonu. Rzymianie budowali katakumby w sposób logiczny, wszystkie wykopy wykonując w jednym czasie; późniejsze tunele chrześcijańskie powstawały przez znacznie dłuższy okres, przez co bywają bardziej poplątane. Kojarzysz kawiarnię Garrawaya?

– Przy Exchange Alley, na Cornhill? Naturalnie. Nieraz popijałem tam kawę, czekając na rozpoczęcie aukcji w pobliskim domu aukcyjnym.

– Pod nią też jest taka klasztorna krypta. – Dickens zniżył głos do szeptu, jakby się wystraszył, że podsłuchuje nas jakaś widmowa istota. – Byłem w niej; trzymają tam beczki z portwajnem. Często się zastanawiałem, czy Garraway lituje się nad staruszkami, którzy całe życie usługują u niego w jadalni, i w chłodnej piwnicy składa szczątki tych, którzy zniknęli z powierzchni ziemi i porzucili to, co głupcy nazywają „prawdziwym życiem”. – Zerknął na mnie z ukosa. – Oczywiście, mój drogi Wilkie, paryskie katakumby, które przecież znasz, bo sam cię do nich zabrałem, nie wystarczyłyby, żeby pomieścić zagubione londyńskie dusze, gdybyśmy wszyscy musieli zejść pod ziemię, w mrok, w stęchłą ciemność, gdzie jest nasze miejsce, gdy zapominamy, jak żyć godnie wśród uczciwych ludzi.

– Charlesie, co ty wygadujesz, na litość bos…

Urwałem w pół słowa, gdy z głębi korytarza – daleko poza zasięgiem naszej małej, słabej latarni – dobiegł szmer kroków.

Dickens poświecił w tamtą stronę, lecz w stożku światła dostrzegliśmy tylko kamień i cienie. W głównym korytarzu strop był płaski i kamienny, nie wysoko wysklepiony i ceglany, a sam korytarz ciągnął się jeszcze przez co najmniej pięćdziesiąt jardów. Dickens ruszył naprzód, od czasu do

czasu oświetlając otwierające się po obu stronach wnęki – kolejne loculi, w których za identycznymi rdzewiejącymi kratami spoczywały stosy ciężkich trumien. Kiedy w końcu dotarliśmy do końca korytarza, poświecił na zamykającą go ścianę i drugą ręką powiódł po kamieniu, naciskając lekko, jakby szukał jakiejś dźwigni albo ukrytych drzwi. Niczego nie znalazł.

– Czyli… – zacząłem.

Nie bardzo wiedziałem, co właściwie chcę powiedzieć. „Widzisz? Jednak nie ma żadnego Podmiasta, tak jak i nie ma pana Drooda. Zadowolony? Jeśli tak, to bardzo cię proszę, wracajmy do domu. Muszę zażyć laudanum”.

– To chyba wszystko – powiedziałem.

– Bynajmniej – odparł Dickens. – Widziałeś tamtą świecę na ścianie?

Nie widziałem. Wróciliśmy do przedostatniego loculusa. Dickens podniósł latarnię: we wnęce stał ogarek grubej łojowej świecy.

– Może zostawili ją dawni chrześcijanie? – zasugerowałem.

– Wątpię – powiedział oschle Dickens. – Zapal ją, proszę. I ruszaj w stronę wejścia. Będę szedł za tobą.

– Po co? – zdziwiłem się.

Nie odpowiedział, sięgnąłem więc do kieszeni po zapałki (lewej, bo prawą cały czas wypychał mi niedorzecznie ciężki rewolwer) i zapaliłem świecę. Dickens kiwnął głową (niezbyt uprzejmie, moim zdaniem). Trzymając ogarek przed sobą, ruszyłem powoli drogą, którą przyszliśmy.

– Stój! – zawołał Dickens, gdy pokonaliśmy mniej więcej połowę dystansu.

– Co się stało?

– Nie widziałeś, jak płomień drgnął, Wilkie?

Może i widziałem, ale na pewno nie zwróciłem na to uwagi.

– Zwykły przeciąg – powiedziałem. – Powiało od schodów.

– Nie wydaje mi się.

Nacisk, z jakim raz po raz zaprzeczał, zaczynał działać mi na nerwy.

Przyświecając sobie latarnią, zajrzał w głąb najbliższych

loculi najpierw po lewej, a potem po prawej stronie.

– Aha!

Ze świecą w dłoni spojrzałem w głąb wnęki, ale nie dostrzegłem tam niczego, co usprawiedliwiałoby taką oznakę zaskoczenia i satysfakcji.

– Na ziemi – podpowiedział mi Dickens.

Dopiero wtedy zauważyłem, że w rdzawym pyle zostało wydeptane coś w rodzaju ścieżki biegnącej do kraty i stojących za nią trumien.

– Świeży pochówek?

– Bardzo w to wątpię – odparł Dickens, kontynuując tym samym negatywną ocenę moich pomysłów. Pierwszy wszedł do łukowato sklepionej wnęki, oddał mi latarnię, obiema rękami chwycił kratę i pchnął. Kawałek kraty (którego krawędzi, przegubów ani zawiasów nie widzieliśmy nawet z odległości dosłownie kilku stóp) otworzył się do wewnątrz jak furtka.

Dickens bez wahania wszedł do krypty, sekundę później latarnia (którą mi zabrał) w jego dłoni zatonęła w zalegającym posadzkę czerwonym pyle, a ja dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że w głębi pomieszczenia znajdują się schody, po których właśnie zaczął schodzić.

– Chodź, Wilkie – dobiegł mnie jeszcze jego głos.

Zawahałem się. Miałem świecę. Miałem rewolwer. Mogłem w trzydzieści sekund wrócić do podnóża schodów, a po następnych trzydziestu znaleźć się na górze, w grobowcu, pod opieką Hatchery’ego.

– Wilkie!

Straciłem z oczu ich oboje – latarnię i pisarza; blask kładł się jeszcze na suficie nad miejscem, w którym zniknęli. Obejrzałem się przez ramię w stronę wejścia do loculusa, przeniosłem wzrok na trumny spiętrzone na katafalkach po obu stronach ścieżki w rdzawym pyle – i jeszcze raz obejrzałem się za siebie.

– Wilkie, pośpiesz się, proszę. Zgaś świecę, ale weź ją ze sobą. Ta latarnia też kiedyś się wypali.

Przeszedłem przez furtkę w kracie i obok trumien skierowałem się w stronę wciąż niewidocznych schodów.

Rozdział 6

Schody były kamienne i zdradzieckie, wąskie sklepienie ceglane. Po paru minutach znaleźliśmy się w kolejnym korytarzu z loculi po obu stronach.

– Kolejne krypty – powiedziałem.

– Tyle że starsze – wyszeptał Dickens. – Zauważ, że ten korytarz się zakrzywia, Wilkie, i jest wyraźnie niższy od tego na górze. W dodatku, tutaj wejścia do loculi są zamurowane, co przywodzi mi na myśl jedno z opowiadań świętej pamięci pana Poego, o którym niedawno ci mówiłem.

Zamiast prosić go o streszczenie rzeczonego opowiadania, chciałem go zapytać, dlaczego szepcze, kiedy on, nie odwracając się, dodał szeptem:

– Widzisz światło przed nami?

W pierwszej chwili niczego nie zobaczyłem, ponieważ oślepiało mnie światło latarni, ale potem musiałem mu przyznać rację: słaba poświata sączyła się zza zakrętu korytarza.

Dickens opuścił przesłonę latarni, prawie całkowicie odcinając snop światła, i skinął na mnie, żebym szedł za nim. Posadzka na tej głębszej, starszej kondygnacji katakumb była nierówna; kilka razy musiałem podeprzeć się laską, żeby nie upaść.

Za zakrętem, od naszego korytarza odchodziły liczne boczne odnogi.

– To rzymskie katakumby? – spytałem szeptem.

Dickens pokręcił głową, ale miałem wrażenie, że chodzi mu raczej o uciszenie mnie niż udzielenie odpowiedzi. Wskazał wylot korytarza po prawej stronie, gdzie chyba znajdowało się źródło poświaty.

Był to jedyny loculus, który nie został zamurowany. Ciemna, poszarpana kotara przesłaniała większość otworu wejściowego, nie wystarczała jednak, żeby całkowicie odciąć dopływ światła. Musnąłem palcami spoczywający w kieszeni rewolwer, a Dickens bez wahania odchylił zetlałą szmatę i

wszedł do środka.

Od podłużnego loculusa odchodziły inne wnęki, krypty i loculi. Tylko że tutaj trupy nie spoczywały w trumnach. Ciała leżały na drewnianych ławach i półkach, które ciągnęły się od podłogi do sufitu na całej długości wąskiego przejścia. Wszystkie należały do mężczyzn – i to, sądząc po wyglądzie, bynajmniej nie Anglików, chrześcijan ani Rzymian. Swoją chudością przywodziły na myśl szkielety, ale zostało z nich znacznie więcej niż kości: wyprawiona skóra i zasuszone mięso upodabniały je do mumii o błyszczących jak szklane kulki otwartych oczach. Można by je nawet wziąć za prawdziwe egipskie mumie, odziane w przegniłe strzępy ubrań, gdyby nie lekko orientalne rysy twarzy. Kiedy Dickens na moment przystanął, nachyliłem się nad jedną z mumii.

A ona mrugnęła.

Odskoczyłem z krzykiem, upuszczając świecę. Dickens podniósł ją i latarnią oświetlił półkę i leżącego na niej trupa.

– Myślisz, że są martwi? – spytał szeptem.

– A nie?!

– Nie widziałeś fajek na opium?

Nie, nie widziałem; dopiero teraz zwróciłem na nie uwagę, bo łatwo było je przeoczyć, gdy mumie zaciskały dłonie na cybuchach i ustnikach. Były ozdobnie rzeźbione, znacznie bardziej dekoracyjne niż tanie fajki ze znajdującego się w Shadwell przybytku Sal.

– Nie poczułeś dymu? – spytał szeptem Dickens.

Dopiero w tej chwili wyczułem charakterystyczną woń – ale i ona była łagodniejsza, słodsza, nieskończenie delikatniejsza od ciężkiego odoru, jaki panował u Sal. Obejrzałem się za siebie i nagle dotarło do mnie, że dziesiątki trupów na próchniejących półkach to w rzeczywistości wiekowi, ale żywi jeszcze Azjaci, którzy nie rozstają się z fajkami.

– Chodź – ponaglił mnie Dickens i skręciliśmy do pokoju, z którego emanowała poświata.

Znajdowały się w nim kolejne piętrowe łóżka (niektóre wyłożone poduszkami), a w powietrzu wisiał gęstszy niż na korytarzu opiumowy opar. Na środku pomieszczenia siedział

(w pozie Buddy, po turecku) – na pozbawionej oparcia drewnianej otomanie, ustawionej na kamiennym katafalku, dzięki czemu jego oczy znajdowały się na takiej samej wysokości co nasze – Chińczyk, równie stary i zasuszony jak postaci zapełniające półki wokół nas. Jego toga, szata, suknia, czy co tam miał na sobie, była jednak czysta i utkana z jaskrawego jedwabiu w odcieniach czerwieni i zieleni, ze złotymi i błękitnymi zdobieniami. Siwe wąsy opadały mu dziesięć cali poniżej podbródka. Za jego plecami, pod nagą kamienną ścianą, stali dwaj potężnie zbudowani mężczyźni – także Chińczycy, lecz znacznie młodsi, półnadzy, z rękami skrzyżowanymi z przodu na wysokości krocza. Ich mięśnie połyskiwały w świetle dwóch czerwonych świec ustawionych po bokach wychudzonego niby–Buddy.

– Pan Lazaree? – upewnił się Dickens, podchodząc do siedzącego po turecku mężczyzny. – Czy może raczej… król Lazaree?

– Witam, panie Dickens – odparł chudzielec. – Pan również jest mile widziany, panie Collins.

Zamurowało mnie, gdy usłyszałem te dwa zdania (i swoje nazwisko) wypowiedziane w idealnej angielszczyźnie przez ten podręcznikowy okaz Żółtego Zagrożenia. Później zresztą uświadomiłem sobie, że jego angielski miał jednak ślad akcentu – tyle że był to akcent prosto z Cambridge.

Dickens roześmiał się półgłosem.

– Spodziewał się nas pan.

– Naturalnie. Niewiele się dzieje w Bluegate Fields, Shadwell, Whitechapel… właściwie w całym Londynie, o czym bym nie słyszał. Wieści o wizycie takich znakomitości jak wy, panowie literaci, docierają do mnie bez najmniejszej zwłoki.

Dickens się ukłonił – lekko, lecz z wdziękiem. Ja mogłem tylko stać i wytrzeszczać oczy. W lewej ręce cały czas trzymałem zgaszoną świecę.

– W takim razie wie pan, po co przyszliśmy – powiedział mój przyjaciel.

Król Lazaree skinął głową.

– Pomoże nam go pan znaleźć? Mówię o Droodzie.

Kiedy Lazaree podniósł rękę, wstrząsnął mną widok jego paznokci: były zakrzywione i miały dobre sześć cali długości – z wyjątkiem tego na małym palcu, który był ze dwa razy dłuższy od pozostałych.

– Zaletą Podmiasta jest to, że ci, którzy szukają spokoju, rzeczywiście go tu znajdują – odparł król Lazaree. – To nas łączy z otaczającymi nas zmarłymi.

Dickens pokiwał głową z taką miną, jakby słowa króla miały niepodważalny sens.

– Czy już jesteśmy w Podmieście? – zapytał.

Teraz to król Lazaree się roześmiał – nie tak jak Opiumowa Sal, sucho i chrypliwie, lecz swobodnie, basowo, czysto.

– Panie Dickens, to tylko zwykła palarnia opium w zwykłych katakumbach. Nasi klienci pochodzą ze świata na górze i kiedyś nawet do niego wracali, dzisiaj jednak większość z nich woli przesiadywać u nas przez całe lata, a nawet dziesięciolecia. Ale Podmiasto? Nie, to nie jest Podmiasto. Można co najwyżej powiedzieć, że znajdujemy się na werandzie foyer przedpokoju westybulu Podmiasta.

– A pomoże nam je pan znaleźć? – spytał Dickens. – I jego? Wiem, że nie chciałby pan zakłócać spokoju innych… ehm… mieszkańców tego świata, ale Drood dał mi do zrozumienia, że chce, bym go znalazł.

– W jaki sposób to zrobił? – zdziwił się król Lazaree.

Nie ukrywam, że i ja byłem ciekawy odpowiedzi na to pytanie.

– Dołożył wszelkich starań, żebyśmy zostali sobie przedstawieni. Powiedział mi, gdzie w Londynie mam go szukać. I otoczył się taką aurą tajemnicy, o której wiedział, że sprowokuje mnie do odszukania go.

Chińczyk na drewnianej otomanie nie drgnął, nawet nie mrugnął, ja zaś uświadomiłem sobie, że nie zamrugał chyba ani razu od początku rozmowy. Jego ciemne oczy wydawały się tak samo szkliste i pozbawione życia jak oczy zmumifikowanych istot na pryczach wszędzie wokół nas. Kiedy w końcu przemówił, zniżył głos, jakby myślał na głos:

– Bardzo źle by się stało, moi panowie, gdyby któryś z was napisał i opublikował cokolwiek na temat naszego podziemnego świata. Sami widzicie, jaki jest kruchy… i jak łatwo dostępny.

Pomyślałem o Hatcherym mocującym się z nagrobkiem skrywającym wejście do podziemi, o ledwie widocznej ścieżce wydeptanej w czerwonym pyle, o niewidzialnej furtce w żelaznej bramie, o niesamowitych wąskich schodach, o labiryncie, który musieliśmy przemierzyć w drodze do palarni… Chyba nie podzielałem zdania chińskiego króla o dostępności katakumb.

Co innego Dickens, który skinął głową i odparł:

– Ja tylko szukam Drooda. Nie zamierzam pisać o tym miejscu. – Odwrócił się do mnie. – Domniemywam, że i pan myśli podobnie, prawda, panie Collins?

Tylko chrząknąłem w odpowiedzi; niech sobie król opiumowych żywych trupów myśli, co chce. Byłem pisarzem i wszystko w moim życiu stanowiło potencjalny materiał literacki. Zresztą, Dickens, obok którego w tej chwili stałem, jak żaden inny autor (czy to nam współczesny, czy dawniejszy) dowodził prawdziwości tej maksymy – jak wobec tego mógł wypowiadać się za mnie i w moim imieniu obiecywać, że nigdy nie napiszę ani słowa o tak niezwykłym miejscu? Ba, jak mógł coś takiego obiecać w swoim imieniu?! Człowiek, dla którego rodzony ojciec, matka, nieszczęsna żona, dawni przyjaciele i niegdysiejsze kochanki byli zaledwie mlewem w młynach wyobraźni?

Król Lazaree opuścił niezwykle powolnym gestem przybraną w jedwabną czapeczkę głowę.

– Byłby to wielce niefortunny zbieg okoliczności, gdyby podczas pobytu u nas w gościnie lub przemierzania dalszych ostępów Podmiasta przydarzyło się panu jakieś nieszczęście, panie Dickens. Albo panu, panie Collins.

– Całkowicie się z panem zgadzamy – przytaknął Dickens. Jego głos brzmiał prawie wesoło.

– Mimo to, nie mogę zagwarantować, że po wyjściu stąd będziecie panowie bezpieczni – ciągnął Chińczyk. –

Zrozumiecie mnie lepiej, kiedy… a może, jeżeli… ruszycie w dalszą drogę.

– Nie prosimy o gwarancję, lecz o radę, gdzie powinniśmy się udać.

– Nie zrozumieliśmy się. – Głos króla Lazaree pierwszy raz zgrzytnął w typowy dla Azjatów sposób. – Gdyby jednemu z panów coś się przytrafiło, drugi nie będzie mógł wrócić do świata na górze, żeby o tym mówić, pisać i świadczyć.

Dickens zerknął na mnie i zwrócił się do Chińczyka:

– Rozumiemy.

– Jeszcze nie do końca – odparł wychudzony Budda. – Gdyby coś przytrafiło się obu panom, bo jeżeli jakieś nieszczęście spotka jednego z was, drugi również go nie uniknie, z czego z pewnością zdaliście sobie już sprawę, wasze ciała zostaną znalezione zupełnie gdzie indziej. W wodach Tamizy, ściśle rzecz biorąc. Razem z ciałem detektywa Hatchery'ego. On już o tym wie, a wy, panowie, musicie sobie to uświadomić, zanim postanowicie ruszyć dalej.

Dickens znów spojrzał na mnie, ale o nic nie zapytał. Szczerze mówiąc, wolałbym, żebyśmy przedyskutowali sprawę na spokojnie i zagłosowali – a mówiąc całkowicie szczerze, najchętniej pożegnałbym się uprzejmie z chińskim królem opium, wrócił przez podziemną trupiarnię i wyszedł na górę zaczerpnąć świeżego powietrza, nawet jeśli to świeże powietrze niosło cuchnące miazmaty z przepełnionej nekropolii, którą Dickens nazwał Cmentarzem Upiornych Świętych.

– Rozumiemy to – zapewnił z zapałem Chińczyka. – Zgadzamy się na te warunki i nadal zamierzamy zagłębić się w otchłanie Podmiasta, żeby tam znaleźć pana Drooda. Jak mamy tego dokonać, królu Lazaree?

Byłem tak wstrząśnięty, że Dickens tak lekko decyduje o moim życiu i śmierci, nie pytając mnie o zdanie – ba, obszedł się nawet bez zdawkowego „jeśli pozwolisz, drogi Wilkie"! – że odpowiedź króla Lazaree dotarła do mnie jakby z wielkiego oddalenia:

Je suis un grand partisan de L’ordre,
Mais je riaime pas celui–ci.
Ilpoint un eternel desordre
Et, Luand il sous consigne ici,
Dieu jamais nen revoque l’ordre.

– Doskonale – orzekł Dickens.

Ja jednak – wciąż wstrząśnięty tym, jak samowolnie podjął decyzję w moim imieniu i w rycerskim geście położył na szali moje życie wraz ze swoim – nie zrozumiałem ani słowa z tej francuszczyzny.

– Jak i gdzie mamy szukać tego wiecznego ładu i nieładu? – zapytał.

– Musicie zrozumieć, że nawet w wiecznym nieładzie zawiera się doskonały ład. Znajdźcie w Wells absydę i ołtarz i zejdźcie w dół za krzyżowym parawanem – powiedział król Lazaree.

– W porządku. – Dickens skinął głową w taki sposób, jakby doskonale go rozumiał. Nawet spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby kazał mi robić notatki.

Lazaree recytował zaś dalej, tym razem po angielsku:

Inni Styksem się chełpią, Acherontem przechwalają,
Mają Kokytos i Flegeton, lecz i u nas rzeka wartka.
Brud, smród, zgiełk, które tam dyskretnie
Rozdzielone były, tu zmieszane szpetnie.
Ich łodzie bez płócien pływały – takoż nasza barka:
Dwaj łotrzy straszliwi, od Charona gorsi, za wiosła chwytają.
Miast rechotu żab – osłów słyszeliśmy ryki;
Miast jednego Cerbera – psów wszędy zwarte szyki.
I jakoby krzyk Furii, zgiełk niósł się, co się zowie:
Zamiast duchów, niewiasty i mężowie
Wrzodami okryci, grzechy głośno wyznawali,
Sumieniem smagani. Tylko śmierci się bali.

Próbowałem zajrzeć Dickensowi w oczy, chciałem bez słów

dać mu do zrozumienia, że czas naszego wyjścia nadszedł, a nawet minął, i że nasz opiumowy watażka ma źle w głowie (my zresztą chyba też, skoro w ogóle tu zeszliśmy), ale Pan Niezrównany – niech go szlag! – tylko kiwał głową, jakby znów dopatrzył się sensu w słowach Chińczyka.

– Dobrze – odparł. – Doskonale. Czy jest coś jeszcze, o czym powinniśmy wiedzieć, szukając Drooda?

– Nie zapomnijcie opłacić łotrów straszliwych – wyszeptał król Lazaree.

– Naturalnie, naturalnie – zapewnił go Dickens, najwyraźniej zachwycony zarówno osobą Chińczyka, jak i sobą samym. – W takim razie pójdziemy już. Domyślam się, że korytarz, którym tu przyszliśmy, oraz pański… hmm… przybytek, także są… jak by to powiedzieć… częścią wiecznego ładu w nieładzie?

Lazaree się uśmiechnął. Błysnęły drobne, bardzo ostre zęby; wydawało mi się, że są spiłowane w kształt trójkątów.

– Oczywiście – przytaknął półgłosem. – Wyobraźcie sobie, panowie, że korytarz to południowa nawa, a my teraz jesteśmy na… klasztornym dziedzińcu.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedział Dickens. – Chodź, Wilkie – dodał pod moim adresem i razem zaczęliśmy się wycofywać z kryjówki opiumowych mumii.

– Jeszcze jedno – dodał król Lazaree, gdy mieliśmy wyjść na korytarz.

Dickens zatrzymał się i oparł na lasce.

– Uważajcie na chłopców – powiedział Chińczyk. – Niektórzy są kanibalami.

***

Wróciliśmy na zewnętrzny korytarz tą samą drogą, którą przyszliśmy. Miałem wrażenie, że nasza latarnia jakoś słabiej świeci.

– Wychodzimy? – spytałem z nadzieją w głosie.

– Czy wychodzimy? Oczywiście, że nie. Słyszałeś, co powiedział król Lazaree: jesteśmy blisko prawdziwego

wejścia do Podmiasta. Przy odrobinie szczęścia spotkamy się z Droodem, wrócimy i pójdziemy z Hatcherym na śniadanie, zanim słońce wzejdzie nad Cmentarzem Upiornych Świętych.

– Słyszałem, jak ten odrażający Chińczyk mówił, że nasze ciała, wraz z ciałem Hatchery'ego, wylądują w Tamizie, jeśli będziemy się upierać przy kontynuacji tych niedorzecznych poszukiwań – odparłem.

Mój głos odbił się echem od kamieni. Nie powiem, żeby w ogóle nie drżał.

Dickens zaśmiał się cicho. To chyba w tym momencie zacząłem go nienawidzić.

– Bzdura, Wilkie. Zupełny nonsens. Musisz go zrozumieć: gdyby coś nam się tu stało, a jesteśmy, jakkolwiek by na to patrzeć, osobami powszechnie znanymi, jego mały azyl mógłby nie przetrwać towarzyszącego takiemu wydarzeniu zainteresowania.

– Dlatego wyrzucą nas obu do Tamizy – mruknąłem. – A o co chodziło z tą francuszczyzną?

Szliśmy w kierunku pierwszego korytarza, Dickens prowadził.

– Nie zrozumiałeś? Myślałem, że trochę znasz francuski.

– Nie mogłem się skupić – nadąsałem się.

Kusiło mnie, żeby dodać: „Poza tym nie pływam od pięciu lat na kontynent i z powrotem, żeby potajemnie odwiedzać w Condette pewną aktoreczkę, więc rzadko ćwiczę swój francuski" – ale się powstrzymałem.

– To taki wierszyk – wyjaśnił Dickens.

Przystanął w ciemnościach, odchrząknął i wyrecytował:

Wielki jest ze mnie zwolennik ładu,
Lecz ten tutejszy mi nie w smak.
Wiecznego odbiciem jest niełądu.
Kiedy Bóg ześle cię tu rad,
Nie cofnie słowa, nie zburzy ładu.

Popatrzyłem na boki, na zamurowane wejścia kolejnych loculi i wiersz prawie, prawie nabrał dla mnie sensu. Ale nie

całkiem.

– Ten cytat i wzmianka o Wells wszystko wyjaśnia – dodał Dickens.

– Wzmianka o Wells? – powtórzyłem głupkowato.

– Domyślam się, że chodziło mu o katedrę w Wells. – Dickens uniósł latarnię i ruszyliśmy w dalszą drogę. – Z pewnością w niej byłeś.

– Owszem, ale…

– Jest dla mnie oczywiste, że dolny poziom katakumb zbudowano na planie olbrzymiej katedry, tej w Wells właśnie. To, co z pozoru wydaje się przypadkowe, nie ma z przypadkiem nic wspólnego. Nawa, kapitularz, dwa transepty (północny i południowy), ołtarz, absyda. Na przykład, palarnia opium króla Lazaree, jak sam był nam łaskaw wyjaśnić, znajduje się w miejscu, gdzie w Wells umieszczono dziedziniec. Wejście, przez które dostaliśmy się z cmentarza do katakumb, leżałoby w rejonie zachodnich wież katedry. Przed chwilą wyszliśmy z południowej nawy, prawda? Skręciliśmy w prawo i kierujemy się w stronę południowego transeptu. Zauważyłeś, że ten korytarz jest szerszy niż ten prowadzący na dziedziniec?

Pokiwałem głową, ale Dickens nawet się nie obejrzał.

– Słyszałem też coś o ołtarzu i skrzyżowanym parawanie – przypomniałem.

– Ach tak, w rzeczy samej, drogi Wilkie. Umknęło ci jednak, że chodzi o parawan „krzyżowy”, nie skrzyżowany. Jak może wiesz, bo ja wiem to z całą pewnością, gdyż dorastałem dosłownie w cieniu wielkiej katedry w Rochester, o której zresztą mam nadzieję w przyszłości napisać, absydą nazywa się półkoliste zakończenie prezbiterium znajdujące się za ołtarzem. Z boku ołtarza stoi parawan, który zasłania księży przed wzrokiem pospólstwa. Po drugiej stronie, tam gdzie transept, znajduje się drugi taki parawan i ten właśnie nazywa się „parawanem krzyżowym”. Fascynujące, nieprawdaż?

– Zaiste fascynujące – przytaknąłem cierpko. – A o co chodziło w tych bredniach o Styksie, Acheroncie i łotrach

straszliwych gorszych od Charona? I o osłach rechoczących zamiast żab?

– Nie rozpoznałeś?! – Dickens był tak zaskoczony, że tym razem zatrzymał się i poświecił na mnie. – Toż to przecież nasz własny, angielski, kochany Ben Jonson i wiersz *O słynnej podróży,* napisany gdzieś około Roku Pańskiego tysiąc sześćset dziesiątego, jeśli mnie pamięć nie myli.

– Rzadko cię myli – mruknąłem.

– Dziękuję – odparł. Mój sarkazm kompletnie uszedł jego uwagi.

– Nadal jednak nie rozumiem, co wiersz o Kokytosie, Flegetonie, brudzie, smrodzie, zgiełku, Charonie i Cerberze ma wspólnego z panem Droodem.

– Zapowiada podróż rzeką, która czeka albo jednego z nas, mój drogi Wilkie, albo obu.

W świetle latarni korytarz (czyli niby „nawa”) zwężał się, a w głębi odchodziły od niego boczne przejścia. Transept i absyda? Parawan ołtarzowy i krzyżowy? Półki z palącymi opium azjatyckimi mumiami? Czy po prostu kolejne makabryczne groby pełne kości?

– Podróż rzeką? – powtórzyłem tępo.

Nagle bardzo boleśnie odczułem brak laudanum i gorąco zapragnąłem znaleźć się w domu, żeby móc je przyjąć.

***

„Absyda” była półokrągłym fragmentem katakumb przykrytym kamienną kopułą zawieszoną około piętnastu stóp nad ziemią. Weszliśmy do niej z boku – w prawdziwej katedrze przyszlibyśmy boczną nawą. Rolę ołtarza pełnił masywny kamienny katafalk, bardzo podobny do tego, z którym Hatchery mocował się był wysoko nad naszymi głowami.

Wskazałem go wyciągniętą ręką.

– Jeśli mamy przesunąć go na bok, to nasza podróż tu się kończy.

Dickens skinął głową.

– Nie musimy – odparł krótko.

Z lewej strony wisiała zetlała zasłona (dawniej zapewne ozdobna, lecz z biegiem wieków wszelkie zdobiące ją wzory poczerniały i zbrązowiały w podziemnych mrokach), częściowo oddzielająca ołtarzo–katafalk od absydy. Druga, mniej ozdobna i jeszcze bardziej sfatygowana, wisiała na prawej ścianie prymitywnego prezbiterium.

– Parawan krzyżowy – wyjaśnił Dickens, wskazując tę drugą kotarę. Laską odsunął ją na bok, odsłaniając wąskie przejście w ścianie.

Schody – drewniane – były węższe i bardziej strome niż wszystko, co dotąd widzieliśmy pod ziemią. Tunel wyglądał na wykuty w kamieniu i wyryty w ziemi; sufit i ściany były podparte topornymi drewnianymi stemplami.

– Myślisz, że ta część jest jeszcze starsza niż katakumby? – spytałem szeptem, gdy ostrożnie schodziliśmy po krętych schodach. – Że zbudowali ją pierwsi chrześcijanie? Rzymianie? Anglosascy druidzi?

– Wątpię, Wilkie. Wydaje mi się, że to całkiem nowa budowla; ma pewnie kilka lat, nie więcej. Zwróć uwagę na te stopnie: zrobiono je z podkładów kolejowych. Są na nich jeszcze ślady smoły. Nie wiem, kto wydrążył tę klatkę schodową, ale domyślam się, że kopał od dołu i przebił się do katakumb.

– Od dołu? – zdziwiłem się. – Ale skąd?

Sekundę później fala smrodu jak z wiejskiej wygódki uderzyła mnie w nozdrza i wystarczyła za odpowiedź. Sięgnąłem po chusteczkę – tylko po to, by znów sobie przypomnieć, że upłynęło wiele mrocznych godzin, odkąd Dickens zabrał mi ją i spożytkował do innych celów.

Po kilku minutach znaleźliśmy się we właściwym ścieku – nisko sklepionym ceglanym kanale o szerokości siedmiu, może ośmiu stóp, wysokim na niecałe sześć. Zamiast płynącej cieczy na jego dnie zalegało gęste, śluzowate błocko. Odór wycisnął mi z oczu tyle łez, że musiałem je otrzeć, zanim udało mi się zobaczyć, na co pada blady stożek światła z latarni.

Dickens zatkał sobie usta i nos trzymaną w wolnej ręce chusteczką. Zabrał ze sobą dwie chusteczki, lecz zamiast zużyć obie, wykorzystał moją do przykrycia zwłok dzieci, wiedząc doskonale (tego byłem pewien), że jeszcze będzie mi potrzebna. Mój gniew na niego jeszcze się wzmógł.

– Dalej nie idę – oświadczyłem.

W oczach Dickensa odmalowało się zaskoczenie, gdy się do mnie odwrócił.

– Ale dlaczego, Wilkie, na Boga? Tak daleko zaszliśmy…

– Nie zamierzam brodzić w tym czymś. – Ze złością wskazałem głęboki, cuchnący szlam.

– To nie będzie konieczne. Widzisz chodniki po obu stronach, przy ścianie? Wystają kilka cali nad powierzchnię tej brei.

„Brejąˮ my, pisarze, nazywamy rękopisy i wydruki z naniesionymi poprawkami, które odsyłają nam wydawcy. Przyszło mi do głowy, że Dickens próbuje żartować. Słabo mu to wyszło.

Miał jednak rację z tymi „chodnikamiˮ – w pewnym sensie, bo rzeczywiście, wąskie pomosty biegły wzdłuż ścian i ginęły w oddali, gdzie kanał łagodnie zakręcał, ale na pewno nie zasługiwały na nazwę „chodnikówˮ. Ten po naszej stronie miał najwyżej dziesięć cali szerokości.

Pokręciłem głową z powątpiewaniem.

Dickens wziął laskę pod pachę i z chusteczką przy twarzy drugą ręką wyjął i otworzył scyzoryk. Na kruchej ceglanej ścianie, w miejscu, gdzie prymitywne schody dochodziły do ścieku, wydrapał trzy równoległe kreski.

– Po co to? – zdziwiłem się i natychmiast domyśliłem odpowiedzi. Chyba cuchnące miazmaty upośledzały moje wyższe funkcje myślowe.

– Żebyśmy trafili z powrotem – odparł Dickens. Złożył scyzoryk, podniósł go do światła i dodał bez związku z poprzednim zdaniem: – Prezent od ludzi, którzy gościli mnie w Massachusetts podczas tournée. Z biegiem lat coraz bardziej doceniam jego przydatność. Ale chodźmy już, czas ucieka.

– Dlaczego uważasz, że powinniśmy iść akurat w tę stronę? – spytałem, kiedy, szurając nogami po wąskim ceglanym chodniczku, ruszyliśmy w prawo. Musiałem się schylić, żeby nie uderzyć głową o sufit i nie strącić sobie cylindra w szlam.

– Zgaduję.

Po paru minutach dotarliśmy do punktu, w którym kanał rozwidlał się na trzy odnogi. Na szczęście, w tym miejscu był węższy i Dickens z łatwością przeskoczył na drugi brzeg, podparłszy się laską. Zrobił trzy rysy na ścianie środkowej odnogi i odsunął się, robiąc mi miejsce.

– Dlaczego tędy? – spytałem, gdy zagłębiliśmy się dwadzieścia, może trzydzieści jardów w nowy tunel.

– Wyglądał na szerszy – odparł Dickens.

Na kolejnym rozwidleniu wybrał prawą odnogę i znowu naciął trzy kreski na cegle.

Po stu metrach się zatrzymał. Na przeciwległej ścianie (nie było przy niej chodnika) dostrzegłem, metalowy reflektor z uchwytem na świecę, umocowany na rączce łopaty wbitej w szlam. Poniżej stało oparte o ścianę dziwne, okrągłe sito z drewna i drutu. W reflektorze tkwił ćwierćcalowy łojowy ogarek.

– A cóż to takiego, u licha? – wyszeptałem. – I co tu robi?

– Własność podziemnego myśliwego – odparł swobodnym tonem Dickens. – Nie czytałeś Mayhewa?

Nie czytałem. Spojrzałem na brudne jak nieszczęście sito.

– Ale co tu można przesiewać, na litość boską? Czego szukać w tym błocku?

– Wszystkiego tego, co prędzej czy później gubimy w ściekach. Pierścionków. Monet. Nawet kości mogą przedstawiać jakąś wartość dla ludzi, którzy niczego nie mają. – Dickens szturchnął laską sito i łopatę. – Richard Beard zamieścił rycinę takiego właśnie przyrządu u Mayhewa, w jego *Londyńskiej klasie robotniczej i biedocie.* Naprawdę powinieneś to przeczytać, mój drogi.

– Jak tylko stąd wyjdziemy – zgodziłem się szeptem.

Nie zamierzałem dotrzymać tej obietnicy.

Ruszyliśmy dalej. W niektórych miejscach, gdzie sufit

bardzo się obniżał, musieliśmy iść prawie w kucki. Na chwilę ogarnęła mnie panika, gdy wyobraziłem sobie, jak w latarni od Hatchery'ego kończy się paliwo, ale na szczęście przypomniałem sobie o zabranym z katakumb ogarku świecy w kieszeni.

– Myślisz, że to część tej nowej kanalizacji Bazalgette'a? – spytałem po jakimś czasie.

Jedyną dobrą stroną naszej przedłużającej się wędrówki było całkowite otępienie mojego zmysłu powonienia. Uświadomiłem sobie, że będę musiał później spalić całe ubranie; szkoda, bo bardzo lubiłem tę kamizelkę i marynarkę.

Może wspomniałem już wcześniej o tym, że Joseph Bazalgette, naczelny inżynier miejski, zaprojektował złożony system kanalizacyjny, który miał zapobiec spływaniu ścieków wprost do Tamizy, a przy okazji zaplanował także budowę wałów zapobiegających zalewaniu leżących nad rzeką nizin. Wielki Smród z czerwca 1858 roku przyśpieszył zatwierdzenie tego projektu, po tym, jak buchający z Tamizy odór przepłoszył parlamentarzystów i Izba Gmin musiała zawiesić obrady. Zaledwie przed rokiem otwarto przepompownię w Crossness i uruchomiono centralną oś systemu, ale w mieście (i pod nim) nadal trwały prace przy budowach dziesiątków mil głównych i pomniejszych kanałów. Za pięć lat przewidywano otwarcie segmentu sieci w rejonie Embankment.

– Nowej? – powtórzył Dickens. – Bardzo w to wątpię. Pod naszym miastem ciągną się setki mniej lub bardziej wiekowych kanałów, Wilkie; niektóre datują się z czasów rzymskich. Miejski Wydział Inżynieryjny o wielu z nich nie ma zielonego pojęcia.

– Ale poszukiwacze skarbów o nich nie zapomnieli.

– Otóż to.

Nagle znaleźliśmy się w nieckowatym pomieszczeniu, wyższym, szerszym i suchszym niż dotychczasowe korytarze. Dickens zatrzymał się i zaczął świecić latarnią we wszystkie strony. Ściany były tu kamienne, wysoki ceglany sufit

wspierał się na licznych kolumnach. W suchszych miejscach leżały najrozmaitsze sienniki – niektóre sznurowe, szorstkie, inne z miękkiej i drogiej wełny. Spod sklepienia – ledwie widocznego przez gęstą warstwę dymu – zwieszały się na łańcuchach ciężkie lampy. W najwyższym punkcie podłoża, na wysepce, stał kwadratowy żeliwny piec, którego komin, zamiast piąć się ku górze, zakrzywiał się w dół i znikał w jednym z czterech odchodzących od niecki kanałów ściekowych. Nieheblowane deski pełniły rolę stołu, oparte na skrzyniach, w których przechowywano niedomyte naczynia i zastawę. W stojących obok mniejszych pudłach mogły znajdować się zapasy jedzenia.

– Nie do wiary… – stęknął Dickens. Odwrócił się do mnie z błyskiem w oku i szerokim uśmiechem na twarzy. – Wiesz, co mi to przypomina, Wilkie?

– Dzicy Chłopcy! – wykrzyknąłem. – Własnym uszom nie wierzę, Charlesie. Nie pomyślałbym, że i ty czytasz tego szmatławca!

– Ależ oczywiście! – Najsłynniejszy pisarz swojej epoki wybuchnął śmiechem. – Wszyscy moi znajomi literaci go czytają, Wilkie. Wszyscy! Tylko żaden się do tego nie przyzna, w obawie przed śmiesznością i ostracyzmem.

Mówiliśmy o przygotowywanych do druku egzemplarzach książki *Dzicy londyńscy chłopcy, albo Dzieci Nocy – historia współczesna.* Okropność ta krążyła po Londynie na razie w formie roboczych odbitek szpaltowych, przed korektą, wkrótce jednak miała zostać oficjalnie wydana i trafić do szerszej publiczności – pod warunkiem, że władze nie zarzucą jej obsceniczności i nie zakażą publikacji.

Osobiście uważałem, że nie ma nic obscenicznego w napuszonej opowieści o małych dzikusach żyjących jak zwierzęta w kanałach pod miastem, chociaż pamiętam pewną wyjątkowo makabryczną i sugestywną ilustrację, przedstawiającą chłopców, którzy podczas przeszukiwania kanałów znaleźli prawie nagie kobiece zwłoki. W innej scenie (której już litościwie nie zilustrowano) nowy członek grupy natykał się na ciało mężczyzny, na którym akurat ucztowały

szczury… No tak, może było w tym coś obscenicznego.

Któż mógł jednak przypuszczać, że historia tak niewiarygodna i tak obojętnie opowiedziana jest oparta na faktach?

Dickens roześmiał się głośno (ściany i tunele odbiły echem jego śmiech) i rzekł:

– To miejsce wcale tak bardzo się nie różni od mojego ulubionego londyńskiego klubu, Wilkie.

– Z tą różnicą, że król Lazaree przestrzegał nas przed tymi smakoszami. Ponoć niektórzy są kanibalami.

Jakby w odpowiedzi na nasze żarciki, dało się słyszeć popiskiwanie i chrobot szczurzych łap, dobiegający z wylotu jednego z kanałów – chociaż nie umiałbym powiedzieć, z którego dokładnie. Może ze wszystkich.

– Zawracamy? – zapytałem, może odrobinę zbyt błagalnym tonem. – Odkryliśmy już sekret Podmiasta. Dotarliśmy do jego serca, prawda?

Dickens posłał mi kose spojrzenie.

– Wątpię, doprawdy, byśmy dotarli do serca; nie sądzę, żebyśmy znajdowali się chociaż w wątrobie albo płucach. Chodź, ten tunel jest chyba najszerszy.

Piętnaście minut, pięć zakrętów i pięć znaków na ścianie później znaleźliśmy się w miejscu, przy którym mieszkanie Dzikich Chłopców wyglądało jak mało ważny loculus.

W porównaniu z niskimi, podłymi kanałami, jakie przemierzaliśmy do tej pory, ten tunel przypominał główną arterię miejską: co najmniej dwadzieścia pięć stóp szerokości, piętnaście wysokości i rwąca rzeka pośrodku (tyle tylko, że zamiast wody płynęła w niej jakaś zgęstniała maź), w miejsce śluzowatych osadów i błota, które dotychczas nam towarzyszyły. Ściany, chodniki i wysokie łuki sklepienia były zbudowane z nowiuteńkiej, lśniącej cegły.

– O, proszę – powiedział Dickens. Pierwszy raz usłyszałem w jego głosie coś w rodzaju podziwu, gdy słabnący promień światła z latarni pląsał po odległych ścianach i suficie. – To z pewnością jest fragment nowego projektu Bazalgette’a. Chociaż pewnie jeszcze nie został oficjalnie otwarty.

Mogłem tylko pokręcić głową – tyleż ze znużenia, co z niedowierzania.

– Dokąd teraz, Charlesie?

– Obawiam się, że donikąd – odparł półgłosem. – Chyba że wpław.

Wybałuszyłem oczy, gdy dotarło do mnie, co ma na myśli. Ceglany chodnik był szeroki na dobre pięć stóp i nieskazitelnie czysty, zupełnie jak miejskie chodniki na powierzchni ziemi, ale sięgał zaledwie po piętnaście stóp w obie strony od wylotu naszego korytarza.

– Wracamy tą samą drogą? – spytałem. Myśl o powrocie do wąskich i ciasnych tuneli przyprawiała mnie o dreszcze.

Dickens oświetlił znajdujący się dwa jardy na lewo od nas drewniany słup, na którym był zawieszony mały owczy dzwonek.

– Raczej nie – odparł i, zanim zdążyłem zaprotestować, czterokrotnie zadzwonił dzwonkiem.

Metaliczny dźwięk poniósł się nad wartkim nurtem w obie strony ceglanej arterii.

Na skraju tej dziwacznej ceglanej przystani Dickens znalazł porzucony drąg, który natychmiast wetknął w nurt rzeki.

– Co najmniej siedem stóp głębokości – orzekł. – Jeśli nie więcej. Nie wiem, czy wiesz, Wilkie, ale Francuzi zamierzają u siebie obwozić turystów po kanałach ściekowych. Kobiety będą płynąć barką, mężczyźni niektóre odcinki mają pokonywać pieszo. Płaskodenne łodzie będą napędzane mechanizmem rowerowym i wyposażone w reflektory, które, w połączeniu z lampami niesionymi przez idących brzegiem *égoutiers,* będą wyławiały z ciemności co ciekawsze elementy krajobrazu.

– Nie – odparłem bez entuzjazmu. – Nie wiedziałem o tym.

– Ponoć paryska śmietanka towarzyska już się szykuje do polowań na szczury.

Miałem tego dość. Zawróciłem w stronę tunelu, z którego wyszliśmy.

– Chodź, Charlesie, wracamy. Niedługo będzie świtać.

Jeżeli detektyw Hatchery wróci na posterunek przy Leman Street i zgłosi nasze zaginięcie, połowa londyńskich konstabli zejdzie pod ziemię, żeby szukać najsłynniejszego współczesnego pisarza. A tego król Lazaree i jego przyjaciele by nie chcieli.

Zanim Dickens zdążył coś powiedzieć, wybuchło zamieszanie i z tunelu wyprysnęło kilka zawiniętych w szmaty białych, dziwnie szczurzych twarzy.

Sięgnąłem do kieszeni, zaplątałem się w podszewkę, ale udało mi się wyszarpnąć pistolet. Byłem przeświadczony, że atakują nas gigantyczne szczury o bladych pyskach.

Dickens stanął między mną i miotającymi się postaciami.

– To tylko chłopcy, Wilkie! – zawołał. – Chłopcy!

– Kanibale! – odkrzyknąłem, unosząc broń do strzału.

Jakby dla potwierdzenia moich słów jedna z bladych twarzy – w świetle latarni wydawało się, że składa się wyłącznie z małych ślepi, wydłużonego pyska i ostrych ząbków – doskoczyła do mojego druha i kłapnęła zębami, jakby chciała mu odgryźć nos.

Dickens machnął na odlew laską, drugą ręką próbując pochwycić dzieciaka. Złapał jednak tylko kłąb szmat, a nagi chłopak wraz z dwójką lub trójką swoich towarzyszy smyrgnął w korytarz, z którego przed chwilą wyskoczyli. Ten sam korytarz, którym wcześniej i my przyszliśmy.

– Boże święty – wysapałem, ściskając pistolet w dłoni. Słysząc jakiś dźwięk z tyłu, od strony wody, odwróciłem się powoli. – Boże święty… – powtórzyłem.

Długa i wąska łódź, jakiej nigdy przedtem nie widziałem, podpłynęła do naszego ceglanego pomostu. Na dziobie stała wysoka postać z drągiem, na rufie druga, podobna, oparta o wiosło sterowe. Wysoki dziób, podwyższona rufa, dwóch wioślarzy i dwie latarnie (po jednej z przodu i z tyłu) trochę – ale tylko trochę – upodabniały łódź do weneckiej gondoli.

Wioślarze nie wyglądali jak dorośli mężczyźni (ich blade twarze nie przybrały jeszcze prawdziwie męskich rysów), ale nie przypominali już także chłopców. Byli chudzi jak szczapy i odziani w identyczne rajstopy i tuniki, przywodzące na myśl

mundury. Ich dłonie i prześwitujące spod niedopasowanych kostiumów piersi i brzuchy też miały upiornie biały odcień. Najdziwniejsze jednak było to, że mimo panującego w kanałach półmroku nosili kanciaste przydymione okulary, nałożone na okrywające same oczy karnawałowe maski – zupełnie jakby prosto z nocnego balu maskowego wyszli na zalane światłem dnia ulice.

– To chyba nasz pojazd, Wilkie – szepnął Dickens.

Z lękiem zerknąłem na czarny otwór, skąd w każdej chwili mogli wyskoczyć Dzicy Chłopcy, i przysunąłem się do Dickensa, który właśnie szykował się do wejścia na łódź. Dał dwa suwereny przewoźnikowi na dziobie, taką samą sumę wypłacił także temu na rufie. Obaj zgodnie oddali mu po jednej monecie. Wskazali Dickensa i pokiwali głowami; potem pokazali na mnie i pokręcili nimi.

Najwidoczniej nie zostałem zaproszony.

– Mój przyjaciel musi mi towarzyszyć – uparł się Dickens. – Nie zostawię go.

Sięgnął po więcej pieniędzy, ale milczące postaci w gondoli pokręciły głowami w zgodnym rytmie.

– Czy to pan Drood was przysłał? – zainteresował się Dickens.

Bez odpowiedzi.

Powtórzył pytanie po francusku. Nic z tego. W końcu ten stojący na rufie wskazał Dickensa i gestem kazał mu wsiąść. Drugi, ten z dziobu, pokazał zaś najpierw na mnie, a potem na ceglaną przystań, wyraźnie dając mi do zrozumienia, że mam się stąd nie ruszać. Poczułem się jak pies, któremu ktoś wydaje polecenia.

– Niech was szlag trafi! – nie wytrzymałem. – Chodź ze mną, Charlesie. Wracamy.

Spojrzał na mnie, potem w głąb tunelu za moimi plecami (skąd znów dobiegało chrobotanie), na łódź; powiódł wzrokiem w górę i w dół podziemnej rzeki.

– Wilkie… – odezwał się w końcu. – Dotarłem tak daleko… tak wiele się dowiedziałem… Nie mogę teraz tak po prostu… zawrócić.

Wytrzeszczyłem oczy.

– Możesz tu wrócić w jakąś inną noc. Teraz musimy wracać.

Pokręcił głową i oddał mi latarnię.

– Masz rewolwer, a w nim… Ile kul? Co mówił Hatchery?

– Dziewięć.

Niedowierzanie wezbrało we mnie, całkiem jakbym znalazł się na wzburzonym morzu i żołądek podszedł mi do gardła. Dickens naprawdę zamierzał mnie tu zostawić!

– Masz zatem dziewięć kul, latarnię i wyraźnie oznakowaną drogę powrotną – przypomniał mi.

Kiedy to mówił, zauważyłem, że sepleni; inni ludzie często zwracali na to uwagę. Pomyślałem, że może jego seplenienie nasila się, kiedy Dickens dokonuje aktu zdrady.

– A jeśli kanibalów będzie więcej niż dziewięciu? – zapytałem półgłosem. Sam się zdziwiłem, że mój głos brzmi tak spokojnie, nawet jeśli echo trochę go zniekształcało. – Albo po twoim odejściu wpadnie tu na obiad armia szczurów?

– To nie był żaden kanibal, tylko zagubiony łachmaniarz, w dodatku tak chudy, że te szmaty same spadły mu z grzbietu. Ale gdyby do tego doszło, Wilkie… Strzel do jednego z nich. Reszta pójdzie w rozsypkę.

I tak nie miałem wyboru. Roześmiałem się.

Dickens wsiadł do łódki, kazał wioślarzom jeszcze chwilę poczekać i w świetle rufowej latarni sprawdził godzinę na zegarku.

– Za półtorej godziny będzie za późno, żebyśmy przed świtem zdążyli wrócić do Hatchery’ego. Zaczekaj na mnie, Wilkie. Tu przynajmniej jest czysto. Zapal świecę, postaw ją obok latarni, żeby mieć więcej światła, i czekaj na mnie. Postaram się, żeby moje spotkanie z panem Droodem nie trwało dłużej niż godzinę, a potem razem wrócimy na górę.

Próbowałem coś odpowiedzieć, chciałem się znowu roześmiać, lecz z mojego gardła nie dobył się żaden dźwięk. Zdałem sobie sprawę, że cały czas trzymam w garści ten ogromny, absurdalnie ciężki rewolwer… którym w dodatku

celuję mniej więcej w Dickensa i jego dwóch przewoźników. Nie potrzebowałbym kartaczy, żeby posłać ich wszystkich na tamten świat, a rwąca rzeka londyńskich ścieków uniosłaby ich ciała: wystarczyłoby po prostu trzy razy pociągnąć za spust. Zostałoby mi jeszcze sześć nabojów na Dzikich Chłopców.

– Gdybym tylko mógł, zabrałbym cię ze sobą, Wilkie – odezwał się Dickens, jakby czytał mi w myślach. – Jednakże pan Drood najwidoczniej zaplanował dla nas spotkanie w cztery oczy. Jeżeli zastanę cię tu po powrocie, który, zapewniam cię, nastąpi wcześniej niż za półtorej godziny, razem wyjdziemy na górę.

Opuściłem broń.

– Ale jeśli sobie stąd pójdę, zanim wrócisz, o ile w ogóle wrócisz – wychrypiałem – to bez latarni nie trafisz do wyjścia.

Dickens nie odpowiedział.

Zapaliłem świecę, postawiłem ją na ziemi i usiadłem między nią i latarnią, plecami do Charlesa Dickensa. Na kolanach położyłem sobie rewolwer z odwiedzionym kurkiem. Nie obejrzałem się, gdy płaskodenna łódź bezszelestnie odpłynęła od mojej malutkiej przystani. Wioślarze czynili tak niewiele hałasu, że odgłos zanurzanych w wodzie drągów zginął w donośnym szumie podziemnej rzeki. Nie wiedziałem nawet, czy Dickens popłynął wtedy w górę czy w dół jej biegu.

Rozdział 7

Lato 1865 roku już do końca było gorące. Dopiero w początkach września nadzwyczajne upały i częste burze ustąpiły i nad Londynem rozpostarło się bezchmurne niebo, a w mieście zapanowały przyjemne dni i chłodne noce.

Przez dwa letnie miesiące rzadko widywałem Dickensa. W czasie wakacji jego dzieci wydawały własną gazetkę, zatytułowaną „Gad's Hill Gazette"; w sierpniu mój brat Charles podrzucił mi kilka jej egzemplarzy. Zawierały artykuły o piknikach, wycieczkach do Rochesteru i meczach krykieta, a także informację o pierwszym liście od Alfreda, syna Dickensa, który w maju popłynął do Australii, żeby tam zająć się hodowlą owiec. Wieści o Panu Niezrównanym – pomijając wzmianki o tym, że organizował pikniki, wycieczki do Rochesteru oraz mecze krykieta – ograniczały się do stwierdzenia, że ciężko pracuje nad *Naszym wspólnym przyjacielem.*

Od naszego wspólnego znajomego, Percy'ego Fitzgeralda dowiedziałem się, że Dickens w sporym gronie krewnych i przyjaciół wyprawił się do posiadłości Bulwer–Lyttonów w Knebworth, żeby tam uczcić otwarcie pierwszych domów dla ubogich twórców, ufundowanych przez Związek Literatów i Artystów. Poprowadził uroczystość, na której, jak twierdził Fitzgerald, „był znowu sobą, wesołym i takim samym, jak dawniej". Wygłosił żywiołowe, optymistyczne przemówienie; w pewnej prywatnej rozmowie porównał swojego pompatycznego znajomego Johna Forstera do Malvolia (uczynił to w obecności kilku innych literatów, dzięki czemu mógł mieć pewność, że wieść o tym porównaniu dotrze do uszu Forstera); zaprowadził liczną grupę gości do pobliskiej gospody o nazwie „Nasz wspólny przyjaciel", a na koniec wziął udział w potańcówce w plenerze, zanim z całym towarzystwem wrócił do Londynu.

Mnie nie zaproszono.

Również od brata dowiedziałem się o tym, że Dickens cały

czas uskarżał się na dolegliwości wynikłe z udziału w czerwcowej katastrofie kolejowej. Musiał, na przykład, jeździć zwykłymi pociągami osobowymi, ponieważ podróż ekspresem (a czasem nawet zwykłym powozem konnym!) przyprawiała go o drgawki. Charles powiedział mi także o posłowiu do *Naszego wspólnego przyjaciela,* którym Dickens opatrzył powieść po jej ukończeniu w pierwszym tygodniu września. Było to pierwsze posłowie, jakie napisał do swojej książki. Bronił w nim zastosowanej w powieści niecodziennej maniery narracyjnej, pokrótce opisywał wypadek pod Staplehurst (pomijając, rzecz jasna, obecność pań Ternan i Drooda na miejscu zdarzenia), całość zaś zakończył cokolwiek niepokojącym podsumowaniem: „Jestem bezgranicznie wdzięczny, że dane mi było zapamiętać tamten dzień. Nigdy przedtem nie byłem tak bliski pożegnania się na zawsze z wierną rzeszą czytelników – i nigdy nie będę, dopóki moje życie nie zostanie skwitowane tym samym słowem, którym dzisiaj zamykam tę książkę: KONIEC”.

Nie zdradzę Ci chyba żadnej wielkiej tajemnicy, Drogi Czytelniku, który żyjesz w naszej przyszłości, jeśli powiem, że Charlesowi Dickensowi nie było już dane napisać tego słowa – KONIEC – na zakończenie żadnej innej powieści.

***

W pewien pogodny dzień na początku września Caroline przyszła do mojego gabinetu na piętrze, gdzie siedziałem przy pracy, i wręczyła mi wizytówkę czekającego na dole dżentelmena. Oszczędna w treści wizytówka przedstawiała się następująco:

INSPEKTOR CHARLES FREDERICK FIELD
Prywatne biuro śledcze

Caroline musiała coś wyczytać z wyrazu mojej twarzy, ponieważ się zaniepokoiła.

– Co się stało? Mam go odprawić?

– Nie, nie… Wprowadź go, proszę. I dobrze zamknij za sobą drzwi, kochanie, kiedy już zostawisz nas samych.

Chwilę później Field był już w pokoju. Ukłonił się lekko, uścisnął mi rękę i zaczął mówić, zanim zdążyłem wtrącić choć słowo. Słuchając go, przypomniałem sobie opis inspektora z jednego z esejów Dickensa zamieszczonych w „Household Words": „Zażywny mężczyzna w średnim wieku, o dużych, wilgotnych, wszystkowiedzących oczach i chrapliwym głosie, mający zwyczaj podkreślania wybranych fragmentów swojej wypowiedzi gestami pulchnego palca wskazującego, który stale oscyluje w okolicach jego oczu lub nosa".

Field przekroczył już wiek średni (na moje oko miał teraz około sześćdziesięciu lat), z lwiej grzywy, jaką zapamiętałem, ocalał tylko skąpy wianuszek siwych włosów na wysokości uszu, ale chrapliwy głos, wszystkowiedzące oczy i pulchny palec wskazujący miały się doskonale.

– Panie Collins, panie Collins, to wielka przyjemność znów pana widzieć, w dodatku w tak doskonałej formie. Co za piękny pokój, drogi panie, tyle książek… jeśli się nie mylę, to chyba egzemplarz pańskiej *Kobiety w bieli* leży tam, obok tego kła słoniowego… Ależ tak, na mą duszę, tak! Cudowna książka, tak przynajmniej słyszałem, gdyż sam nie znalazłem na razie czasu, by ją przeczytać, czytała ją jednak moja żona. Nie wiem, czy mnie pan pamięta, drogi panie…

– Naturalnie, że pana pamiętam. Towarzyszył pan mnie i Charlesowi Dickensowi podczas…

– Jednej z waszych ekspedycji w mroczniejsze rejony naszego pięknego miasta. W rzeczy samej, panie Collins, w rzeczy samej. Może pamięta pan również, że byłem obecny przy pierwszym pana spotkaniu z panem Dickensem?

– Nie jestem pewien, czy…

– Nie, oczywiście, że nie. Nie ma powodu, żeby zapamiętał pan moją obecność. To był rok tysiąc osiemset pięćdziesiąty pierwszy, drogi panie. Pan Dickens wynajął mnie, całkiem prywatnie, rzec by można, abym zapewnił bezpieczeństwo spektaklu, który reżyserował, *Nie tacy źli, na jakich wyglądamy* lorda Lyttona, na balu dobroczynnym u księcia Devonshire. Jeśli się nie mylę, był pan wtedy początkującym

aktorem z ambicjami. Pan Dickens, idąc za radą pana Egga, jeśli mnie pamięć nie myli, zaproponował panu rolę Smarta. „Może to tylko epizod”, tłumaczył panu na próbie, „ale za to naprawdę doskonały!”. Pan zresztą też wypadł w nim doskonale, panie Collins. Doskonale. A trzeba panu wiedzieć, że widziałem kilkanaście inscenizacji.

– Hmm, cóż… Dziękuję panu, inspektorze. Doprawdy…

– Tak… Pozwoli pan, że usiądę? Dziękuję uprzejmie. Piękne to kamienne jajo na pańskim biurku. To onyks? Tak, na to wygląda. Fascynujące…

– Dziękuję panu, inspektorze. Czemu zawdzięczam…

– Z pewnością pamięta pan, panie Collins, że książę Devonshire udostępnił Devonshire House na premierę sztuki lorda Lyttona, wyświadczając w ten sposób uprzejmość Związkowi Literatów i Artystów. Sir Edward był wówczas prezesem tej organizacji, a pan Dickens wiceprezesem. Być może, pamięta pan także i to, że wraz z kilkoma starannie dobranymi współpracownikami przybyłem na premierę po cywilnemu, jak to mawiamy, ponieważ pani Rosina, żona pana Lyttona, pozostająca z nim wszakże w separacji, odgrażała się, że zamierza zakłócić przebieg przedstawienia. Widziałem pierwszy list z pogróżkami, jaki przysłała panu Lyttonowi: zapowiadała, że zjawi się w przebraniu pomarańczarki i obrzuci scenę owocami, jeśli mnie pamięć nie myli.

Parsknął śmiechem. Odpowiedziałem mu wymuszonym uśmiechem.

– W następnym liście groziła, że obrzuci zgniłymi jajami królową. Mimo gróźb królowa przybyła na premierę, co z pewnością ktoś taki jak pan pamięta: wiadomo, pamięć pisarza, i tak dalej… W dniu premiery Jej Wysokości towarzyszył książę Albert. Razem byli świadkami pierwszego pańskiego publicznego wystąpienia u boku pana Dickensa. To był szesnasty maja tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego roku, pamiętam doskonale… Zresztą zda się, jakby to było zaledwie wczoraj, nieprawdaż, drogi panie? Pan zresztą też miał własnych gości specjalnych w tamten

wyjątkowy wieczór: pańskiego brata Charlesa, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, oraz pańską matkę… Harriet, jeśli się nie mylę; mam nadzieję, że dobrze się miewa, panie Collins, życzę jej jak najlepiej. Kiedy przyjeżdża do miasta, zatrzymuje się, zdaje się, w domu pańskiego brata i jego żony Kate, najstarszej córki pana Dickensa, prawda? Clarence Terrace, taki chyba jest adres… Piękna okolica. I cudowna z niej dama. Nawiasem mówiąc, pamięć mi podszeptuje, że te piętnaście lat temu miał pan chyba więcej gości: państwo Edward i Henrietta Wardowie… Cygaro? Nie odmówię. Absolutnie nie odmówię.

Poczęstowanie inspektora dobrym cygarem powstrzymało rwący potok słów. W ciszy przycięliśmy cygara, zapaliliśmy i przez minutę syciliśmy się ich smakiem i aromatem. Zanim zdążył złapać drugi oddech, odezwałem się:

– Pańska pamięć doskonale świadczy o panu i całej pańskiej profesji, inspektorze Field. Nie mogę jednak nie zapytać, czemu zawdzięczam przyjemność pańskich odwiedzin?

Lewą ręką wyjął cygaro z ust, palcem wskazującym prawej zaś postukał się najpierw po skrzydełku nosa, jakby próbował coś wywęszyć, a potem po wargach, jakby palec miał mu pomóc uformować dalsze słowa.

– Powinien pan wiedzieć, panie Collins, że poprzedzające moje nazwisko określenie „inspektor” jest dziś wyłącznie tytułem grzecznościowym, ponieważ nie pracuję już w Scotland Yardzie. Ściśle rzecz biorąc, nie pracuję tam od dnia, w którym ochraniałem przedstawienie *Nie takich złych…*

– Nie wątpię, że nawet jeśli dziś ma charakter czysto grzecznościowy, jest w pełni zasłużony i jako taki powinien być i będzie używany przez wszystkich, którzy pana znają – odparłem. Postanowiłem nie wytykać mu, że „inspektor” stoi jak byk także na jego wizytówce.

– Dziękuję, panie Collins – odparł rumiany detektyw, wydmuchując potężną chmurę dymu.

Przy zamkniętych drzwiach i oknie ledwie ledwie

uchylonym (nie otwierałem go szerzej ze względu na dobiegający z dołu uliczny zgiełk) nieduży pokój szybko wypełniał się siną mgiełką.

– Niech mi pan powie, inspektorze, czym mogę panu dziś służyć? Pisze pan pamiętniki? Czyżby w pańskiej obszernej i niewiarygodnie precyzyjnej pamięci pojawiła się jakaś luka, którą mógłbym pomóc wypełnić?

– Pamiętniki? – Field parsknął śmiechem. – To naprawdę niezły pomysł… Ale nie, niech pana Bóg błogosławi, nie, drogi panie. Inni autorzy, tacy chociażby jak pański przyjaciel, pan Dickens, opisali już moje… chyba nie przesadzę, jeśli użyję w tym miejscu słowa „wyczyny”, nie uważa pan? Przypuszczam zresztą, że w przyszłości znajdą się dalsi chętni do ich opisania, ja jednak chwilowo nie planuję spisywania wspomnień.

– W czym zatem mogę panu pomóc?

Ścisnąwszy mocno cygaro w zębach, Field nachylił się, oparł łokcie na biurku i oswobodził pulchny palec wskazujący, którym wskazał najpierw do góry, następnie w dół, potem postukał w blat, a na koniec wycelował go we mnie.

– Doszły mnie słuchy, panie Collins, zresztą poniewczasie, jak z przykrością konstatuję, że pan i pan Dickens udaliście się do Tiger Bay i Podmiasta na poszukiwania osobnika nazwiskiem Drood.

– Kto panu to powiedział, inspektorze? – zapytałem spokojnym tonem.

Jak na mój gust, były detektyw Scotland Yardu przejawiał nadmierną ciekawość i wścibstwo.

– Hib Hatchery, rzecz jasna. Któż by inny? Pracuje dla mnie. Zatrudniam go w moim prywatnym biurze śledczym. Pan Dickens nie wspomniał panu o tym?

Rzeczywiście, Dickens napomknął coś o tym, że Field odszedł z policji, w związku z czym nie będzie mógł nam towarzyszyć, za to polecił nam Hatchery’ego – ale nie zwróciłem wtedy na to specjalnej uwagi.

– Nie – odparłem. – Nie wydaje mi się.

Field pokiwał głową, a jego palec – jakby poruszany własną wolą – prześliznął się po grzbiecie nosa. Druga ręka wyjęła cygaro z ust.

– To dobry człowiek, drogi panie. Hatchery. Może trochę brakuje mu polotu, który cechuje najlepszych detektywów i inspektorów, ale to dobry człowiek. Godny zaufania. Kiedy pan Dickens poprosił o polecenie mu kogoś, kto mógłby mu towarzyszyć w kolejnej wyprawie w niezbyt… przyjazne rejony miasta, spodziewałem się, że jak zwykle chce po prostu powłóczyć się po slumsach, tak jak wtedy ze mną, panem i tym jegomościem z Ameryki. Później wyjechałem na jakiś czas z Londynu w sprawach służbowych i dopiero ostatnio, po powrocie, dowiedziałem się, że to Drood był celem prowadzonego przez pana Dickensa pościgu.

– Z całą pewnością nie nazwałbym tego „pościgiem”.

– Zatem nazwijmy to… poszukiwaniem – zgodził się ze mną inspektor Field, wydmuchując siny kłąb dymu. – Śledztwem. Dochodzeniem.

– Czy hobby Charlesa Dickensa aż tak bardzo pana interesuje? – spytałem.

Tonu, którego użyłem, nie nazwałbym ostrym, miałem jednak nadzieję, że przypomni byłemu policjantowi, gdzie jego miejsce. Rozmawialiśmy przecież o dżentelmenie.

– Tak, panie Collins, tak. W rzeczy samej. – Field odchylił się na oparcie krzesła z takim impetem, że aż zatrzeszczało. Z marsem na czole przyjrzał się żarzącemu się koniuszkowi cygara. – Wszystko, co dotyczy tego… Drooda, bardzo mnie interesuje, panie Collins. Wszystko.

– A czemuż to, inspektorze?

Znów pochylił się nad biurkiem.

– Drood zaczął grasować na mojej warcie, panie Collins. I to całkiem dosłownie. Był rok tysiąc osiemset czterdziesty szósty, drogi panie, gdy moja nominacja na naczelnika wydziału śledczego Scotland Yardu zbiegła się w czasie z narodzinami imperium grozy potwora nazwiskiem Drood.

– Imperium grozy? – powtórzyłem. – Nie przypominam sobie, żebym czytał o czymś takim w gazetach.

– Może mi pan wierzyć, panie Collins, że w tych rejonach miasta, w które zapuściliście się panowie w tamtą lipcową noc, zdarza się wiele rzeczy, o których gazety nie wspominają ani słowem.

– Nie wątpię, inspektorze.

Pomału kończyliśmy cygara. Zamierzałem odczekać do chwili, gdy całkowicie je wypalimy, wymówić się od dalszej rozmowy nawałem obowiązków i odprowadzić emerytowanego policjanta do wyjścia. On jednak oparł się o biurko i znów wycelował we mnie ten swój nadzwyczajnie aktywny palec.

– Chcę, żeby mi pan powiedział, czego dowiedzieliście się wtedy pan i pan Dickens na temat Drooda. Muszę wiedzieć wszystko.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego miałoby to pana interesować, inspektorze.

Field uśmiechnął się szeroko, co dokumentnie przemodelowało rysującą mu się na podstarzałej twarzy sieć zmarszczek, fałd i płaszczyzn, ale nie był to przyjemny uśmiech.

– Interesuje mnie to z wielu powodów, których pan, panie Collins, nie jest i nigdy nie będzie w stanie pojąć. Ja zaś nie ustąpię, dopóki nie poznam fatów, o które pytam, i to ze wszystkimi szczegółami.

Wyprostowałem się na krześle. Wywołany podagrą ból podsycał moje zniecierpliwienie i złość.

– To brzmi jak groźba, inspektorze.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, od ucha do ucha.

– Inspektor Charles Frederick Field, zarówno ten zatrudniony w policji, jak i ten prowadzący własne biuro śledcze, nie ucieka się do pogróżek, panie Collins. Informacji zaś, o których wspomniałem, potrzebuje do kontynuowania walki ze starym, nieustępliwym wrogiem.

– Skoro, jak pan twierdzi, ten… Drood… jest pańskim wrogiem od blisko dwóch dziesięcioleci, inspektorze, nasza pomoc do niczego się panu nie przyda. Z pewnością zna go pan znacznie lepiej niż kiedykolwiek będzie to dane mnie

albo Dickensowi.

– Naturalnie, drogi panie, naturalnie. Nie ma chyba wśród żywych człowieka, który lepiej niż ja znałby tę poczwarę. Hatchery doniósł mi jednak, że pan Dickens całkiem niedawno zetknął się z Droodem, w dodatku poza granicami Podmiasta, ściśle rzecz biorąc – podczas katastrofy kolejowej w okolicy Staplehurst. To właśnie o niej chciałbym się czegoś dowiedzieć, podobnie jak o panów lipcowej wyprawie do Podmiasta.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem detektywa Hatchery'ego, ale odniosłem wrażenie, że was, panowie, czyli policjantów i prywatnych detektywów, obowiązuje niepisana umowa, w myśl której nie niepokoicie mieszkańców Podmiasta, dopóki oni nie naprzykrzają się nam, mieszkańcom świata na powierzchni Ziemi – zauważyłem oschle.

Field pokręcił głową.

– Sęk w tym, że ten stwór jak najbardziej się nam naprzykrza – odparł, zniżając głos. – Wiem z całą pewnością, że jest odpowiedzialny za ponad trzysta morderstw, jakich dokonano w samym Londynie, i to tylko od chwili, gdy dwadzieścia lat temu pierwszy raz wpadłem na jego trop.

– Na Boga… – jęknąłem.

To był dla mnie prawdziwy wstrząs; czułem, jak krąży w moich żyłach jak pełny kieliszek laudanum.

Inspektor pokiwał głową.

– Dlatego właśnie potrzebuję informacji, które zdobyliście panowie podczas waszego amatorskiego dochodzenia.

– Będzie pan musiał o nie zapytać pana Dickensa – odparłem chłodno. – To było jego dochodzenie, nie moje, tak jak tropienie Drooda jest jego hobby, nie moim. Od początku domyślałem się, że nasza… eskapada, w której towarzyszył nam detektyw Hatchery, jest elementem przymiarek Dickensa do jakiegoś nowego opowiadania lub powieści. Nadal zresztą tak uważam. Będzie pan musiał jednak porozmawiać z nim o tym osobiście, inspektorze.

– Chciałem się z nim spotkać niezwłocznie po moim

powrocie do Londynu, gdy tylko Hatchery powiedział mi, do czego był Dickensowi potrzebny – powiedział Field.

Wstał i zaczął się przechadzać w tę i z powrotem przed biurkiem. Pulchny palec nie próżnował: najpierw dotykał ust, następnie ucha, nosa, a potem kamiennego jaja na blacie, słoniowego kła na półce albo perskiego sztyletu na kominku.

– Niestety, pan Dickens był nieosiągalny: wyjechał do Francji. Dopiero ostatnio wrócił i wczoraj udało mi się z nim spotkać, ale informacje, których mi udzielił, są bezużyteczne.

– Co ja mogę panu powiedzieć, inspektorze… – Rozłożyłem bezradnie ręce. Odłożyłem cygaro do mosiężnej popielniczki i wstałem od biurka. – Sam pan rozumie, że w takiej sytuacji ja tym bardziej panu nie pomogę. To Dickens był inicjatorem tej wyprawy. To Dickens…

Field wycelował palec we mnie.

– Widział pan Drooda? Spotkał się z nim pan?

Zaskoczył mnie tym pytaniem.

Przypomniałem sobie, że zdrzemnąłem się na podziemnej przystani, czekając na powrót Dickensa. Obudziłem się dopiero, gdy płaskodenna łódź prowadzona przez dwóch milczących przewoźników dobiła do brzegu. Mój zegarek wskazywał, że upłynęło już dwadzieścia minut od świtu, czyli pory, w której Hatchery zgodnie z zapowiedzią miał wrócić na posterunek. Dickensa nie było przez ponad trzy godziny! A ja – mimo całkowicie realnego zagrożenia atakiem Dzikich Chłopców–kanibali – przysnąłem, siedząc po turecku na zimnych cegłach, z naładowanym rewolwerem na kolanach.

– Nie widziałem nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi pana Drooda – odparłem oschle. – I nie udzielę panu żadnych więcej informacji na jego temat, inspektorze. Już to powiedziałem, a teraz powtórzę po raz ostatni: była to wyłączna inicjatywa pana Dickensa i jeżeli on postanowił nie dzielić się z panem szczegółową relacją z owej nocy, ja tym bardziej, jak na dżentelmena przystało, czuję się zobowiązany do zachowania milczenia. Życzę miłego dnia, inspektorze. I powodzenia w pańskich…

Wyszedłszy zza biurka, otworzyłem drzwi gabinetu. Field

jednak ani drgnął: nadal stał przy biurku, ćmiąc cygaro. Teraz wyjął je z ust, zerknął na nie i spytał półgłosem:

– Wie pan, co Dickens robił we Francji?

– Słucham? – Byłem pewny, że się przesłyszałem.

– Pytałem, czy wie pan, panie Collins, co Dickens robił w zeszłym tygodniu we Francji?

– Nie mam pojęcia. – Głos drżał mi z irytacji. – Dżentelmeni nie interesują się podróżami innych dżentelmenów.

– Rzeczywiście, nie interesują się – przyznał z uśmiechem Field. – Dickens spędził kilka dni w Boulogne. A właściwie dzielił czas między Boulogne i odległą o kilka mil na południe niewielką wioskę Condette, gdzie od dłuższego czasu, od roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego, ściśle rzecz biorąc, wynajmuje skromny dom z ogrodem od niejakiego monsieur Beaucourt–Mutuela. W owym domu często pomieszkuje pewna aktorka, dzisiaj kobieta dwudziestopięcioletnia, Ellen Ternan, ze swoją matką. Charles Dickens ponad pięćdziesiąt razy odwiedzał obie te damy w Condette od czasu, gdy rzekomo wynajął, w rzeczywistości zaś kupił ów dom. Niektóre z tych wizyt trwały nawet tydzień. Na pewno nie chce pan teraz zamknąć drzwi, panie Collins?

Zamknąłem, ale nie byłem w stanie ruszyć się z miejsca. Stałem jak rażony gromem. Nie więcej niż ośmioro ludzi na świecie (wliczając w to Ellen Ternan, jej matkę, Dickensa i mnie) miało w ogóle pojęcie o istnieniu domu w Condette i znało powód, dla którego Dickens regularnie go odwiedzał. Zresztą, nawet ja nigdy nie poznałbym prawdy, gdyby mój brat nie wżenił się w rodzinę Dickensa.

Inspektor Field znów zaczął spacerować po pokoju, tym razem z pulchnym palcem przytkniętym do ucha, jakby nasłuchiwał szeptanych przezeń słów.

– Oczywiście, od czerwcowego wypadku pod Staplehurst panna Ternan na stałe zamieszkała z matką w Anglii. Możemy się domyślać, że pan Dickens udał się na cztery dni do Boulogne, żeby tam pozałatwiać ich i swoje sprawy związane z tą przeprowadzką. W tym celu musiał przemierzyć dokładnie tę samą trasę, którą pokonywał, gdy

wydarzył się wypadek.

Obaj wiemy, panie Collins, że nie mogło to pozostać bez wpływu na jego skołatane nerwy.

– To prawda – zgodziłem się.

Tylko czego, do wszystkich diabłów, ten człowiek ode mnie chciał?

– Z Boulogne Dickens, udał się na dzień lub dwa do Paryża – ciągnął niezmordowanie starszy pan. – Ktoś bardziej podejrzliwy ode mnie mógłby zasugerować, że w ten sposób chciał tylko zatrzeć ślady, jak to mawiamy my, detektywi.

– Panie inspektorze, doprawdy, nie wydaje mi się, by te rewelacje miały cokolwiek…

– Nie chciałbym panu przerywać, panie Collins, ale powinien pan wiedzieć, zwłaszcza gdyby w najbliższych dniach przyszło panu rozmawiać z pańskim przyjacielem, że podczas pobytu w Paryżu pan Dickens miał wylew krwi do mózgu. I to dość poważny.

– Na Boga… Wylew?! Nic o tym nie wiem. Jest pan pewien?

– Jak sam pan dobrze wie, w takich sprawach nigdy nie ma się pewności, ale pan Dickens osunął się na ziemię, został przeniesiony do swojego pokoju w hotelu i na kilka godzin całkowicie stracono z nim kontakt; nie odpowiadał na pytania i bełkotał bez ładu i składu. Francuscy lekarze chcieli go przetrzymać w szpitalu, ale pan Dickens złożył swoją słabość na karb „udaru słonecznego” i po zaledwie jednym dniu odpoczynku w Paryżu i dalszych dwóch w Boulogne wrócił do domu.

Obszedłem biurko i opadłem ciężko na krzesło.

– Czego pan ode mnie chce, inspektorze?

Field spojrzał na mnie z niewinną miną.

– Już panu powiedziałem, panie Collins, czego nie tyle chcę, ile domagam się: wszelkich informacji na temat osobnika znanego jako Drood.

Znużony pokręciłem głową.

– Rozmawia pan z niewłaściwym człowiekiem, inspektorze. Będzie pan musiał wrócić do Dickensa, żeby dowiedzieć się czegoś nowego o tej zjawie zwanej Droodem. Ja nie mam dla

pana żadnych użytecznych informacji.

Field pokiwał w zadumie głową.

– Rzeczywiście, mam zamiar spotkać się jeszcze z panem Dickensem, panie Collins. Nie znaczy to jednak wcale, że w tej chwili rozmawiam z niewłaściwym człowiekiem. Oczekuję od pana ścisłej współpracy w moich poszukiwaniach. Liczę, że to pan wyciągnie od Charlesa Dickensa niezbędne mi informacje.

Roześmiałem się z goryczą.

– Dlaczego miałbym zdradzić przyjaciela i zawieść jego zaufanie, by przekazać je człowiekowi, którego tylko przez grzeczność można tytułować – inspektorem”?

Field się uśmiechnął, słysząc tę słabo zawoalowaną zniewagę.

– Ta służąca, która otworzyła mi drzwi, panie Collins… Ma swoje lata, ale wciąż jest niezwykle atrakcyjną kobietą. To też była aktorka?

Z uśmiechem pokręciłem głową.

– O ile mi wiadomo, inspektorze, pani G. nie ma za sobą kariery aktorskiej. A gdyby nawet miała, byłaby to wyłącznie jej prywatna sprawa, nie moja. I z całą pewnością nie pańska.

Pokiwał głową i znów zaczął się przechadzać w tę i powrotem, gładząc się palcem po wydatnym nosie i wlokąc za sobą smugę dymu.

– Ma pan całkowitą słuszność, panie Collins. Całkowitą. Przypuśćmy jednak, że jest to ta sama Caroline G., która pierwszy raz pojawiła się na wyciągach z pańskiego konta bankowego w dniu dwudziestym trzecim sierpnia tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym roku, czyli niespełna rok temu, jako beneficjentka przekazu opiewającego na dwadzieścia funtów. Od tamtej pory co miesiąc wypłaca jej pan taką właśnie sumę.

Zaczynałem mieć tego dość. Jeśli ta gnida naprawdę chciała kogoś szantażować, to wybrała sobie niewłaściwego pisarza.

– Co z tego, inspektorze? Pracodawcy płacą służącym.

– Rzeczywiście, drogi panie, ja również tak słyszałem. Poza panią Caroline G. także jej córka, Harriet, jeśli mnie pamięć nie myli… Nawiasem mówiąc, takie samo imię nosi pańska matka; uroczy zbieg okoliczności, nie uważa pan? Otóż Harriet, którą, jeśli się nie mylę, nazywacie państwo Carrie, również dostaje od pana pieniądze za pośrednictwem banku. Tyle tylko, że w wypadku zaledwie czternastoletniej Harriet–Carrie fundusze są przeznaczone na prywatne kształcenie i lekcje muzyki.

– Do czego pan zmierza, inspektorze?

– Tylko do tego, że pani Caroline G. i jej córka, Harriet G., od ładnych kilku lat figurują w spisie ludności i rejestrze podatkowym jako płacące czynsz lokatorki i zarazem pańskie pokojówki.

Nic nie powiedziałem.

Field zatrzymał się i spojrzał na mnie.

– Chodzi mi tylko o to, panie Collins, że rzadko zdarzają się pracodawcy tak hojni, żeby, po pierwsze, zatrudnić byłych lokatorów, gdy ci przechodzą jakiś trudniejszy okres w życiu, oraz, po drugie, umieścić młodą pokojówkę w dobrej szkole i wynajmować wysoko opłacanych muzyków, żeby ją uczyli.

Pokręciłem głową. Byłem zmęczony.

– Proszę sobie darować te zgoła niedżentelmeńskie próby wywierania na mnie nacisku, panie Field. Wszyscy moi przyjaciele wiedzą o tym, jak ułożyłem sobie życie prywatne, tak jak wiedzą o mojej niechęci do małżeństwa i wzgardzie dla niewyszukanych pomysłów klasy średniej na moralność i cnotę. Pani G. i jej córka od lat są moimi gośćmi; pan o tym doskonale wie, moi znajomi to akceptują, Caroline towarzyszy mi jako gospodyni, gdy przyjmuję gości. Nie ma w tym żadnej hipokryzji. Niczego nie ukrywam.

Field skinął głową, zmarszczył brwi i zgasił niedopałek.

– Pańscy znajomi płci męskiej, przynajmniej niektórzy, z pewnością to akceptują, panie Collins, musi się pan jednak zgodzić, że na kolacje przy pańskim stole przychodzą bez żon. I nawet jeśli nie ma w tym żadnej hipokryzji poza tą, jaką kryją miejskie archiwa (rachmistrzom spisowym

powiedział pan, że pani G. jest pańską służącą, a niejaka „Harriet Montague” szesnastoletnią pokojówką, mimo że mieszkająca u pana córka pani G., Harriet G., miała wtedy lat dziesięć) i inne złożone pod przysięgą zeznania dotyczące tych dwóch czcigodnych dam, z pewnością wyjaśnia to, dlaczego pan Dickens od lat nazywa młodą Harriet „Kamerdynerem”, a jej matkę „Gospodarzem”.

To mi dało do myślenia. Field nie mógł dowiedzieć się o żarcikach Dickensa inaczej, niż przeglądając moją prywatną korespondencję.

– Harriet nie jest moją córką, inspektorze – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

– Oczywiście, że nie, panie Collins. Nikt tak nie twierdzi, a już na pewno nie ja. – Z uśmiechem pokiwał uniesionym palcem. – Nawet najgorszy detektyw wiedziałby o tym, że niejaka Caroline Compton, córka cieśli Johna Comptona i jego żony Sarah, wyszła za mąż za niejakiego George’a Roberta G., księgowego z Clerkenwell. Pobrali się… bodajże trzydziestego marca tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku. Młoda Caroline miała dwadzieścia lat, George Robert był od niej zaledwie o rok starszy. Ich córka Elizabeth Harriet, którą woli pan nazywać Harriet, zapewne na cześć pańskiej matki, albo Carrie (z panu tylko wiadomych powodów), urodziła się w Somerset, na obrzeżach Bath, trzeciego lutego tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego roku. Niestety, jej ojciec, George G., rok później zapadł na suchoty i trzydziestego stycznia tysiąc osiemset pięćdziesiątego drugiego roku zmarł w Moravian Cottage w Weston, nieopodal Bath. Zostawił po sobie młodą wdowę Caroline i roczną córeczkę, Elizabeth Harriet. Kilka lat później nieszczęsna pani G., prowadząca sklepik ze starzyzną przy Carlton Street, blisko Fitzroy Square, na pewno wie pan, gdzie to jest… Otóż pani G. zwróciła na siebie uwagę policji, gdyż popadła w długi. Opowieść mogła zakończyć się tragicznie, panie Collins, najprawdopodobniej w więzieniu dla dłużników, gdyby nie interwencja pewnego dżentelmena, zdaje się, w maju tysiąc osiemset pięćdziesiątego szóstego

roku.

– Inspektorze… – Znowu wstałem zza biurka. – Nasza rozmowa dobiegła końca.

Podszedłem do drzwi.

– Niezupełnie, drogi panie. Niezupełnie.

Okręciłem się na pięcie. Drżący głos i zaciśnięte pięści z pewnością zdradzały ogarniającą mnie furię.

– Powiadam panu, niech pan pokaże, na co go stać najgorszego. Wyzywam pana. Pańskie niegodne i podłe próby zaszantażowania mnie, bym zdradził jednego z najbliższych przyjaciół, przyniosą panu wyłącznie powszechną dezaprobatę i zasłużenie wystawią pana na pośmiewisko. Jestem wolnym człowiekiem, inspektorze. Nie mam nic do ukrycia.

Drżącą ręką otworzyłem drzwi.

– Zanim wyjdę, proszę jeszcze odpowiedzieć mi na jedno pytanie… – Field sięgnął po cylinder i podszedł do mnie. – Pytam z ciekawości: słyszał pan kiedyś o niejakiej Marcie R.?

– Słucham? – wykrztusiłem przez ściśnięte gardło.

– Panna Martha R. – powtórzył Field.

Zamknąłem drzwi z takim pośpiechem, że trzasnęły. Nie widziałem Caroline nigdzie na korytarzu, ale wiedziałem, że lubi się kręcić w pobliżu, w zasięgu głosu.

Otworzyłem usta, ale nie znalazłem odpowiednich słów.

Nikczemny inspektor Charles Frederick Field nie miał takiego problemu.

– Nie ma powodu, dla którego miałby pan znać pannę R. – zaczął. – To uboga służąca. Pracuje po domach i gospodach. Ach, gdyby usłyszał pan, jak opowiadają o tym jej biedni rodzice, drogi panie… A ostatnio są naprawdę biedni, zarówno pod względem finansowym, jak i emocjonalnym. Oboje niepiśmienni. Pochodzą z Winterton. W rodzinie ojca panny R. od stu lat wszyscy mężczyźni pracują we flocie rybackiej w Yarmouth i łowią śledzie, ale on sam żyje z drobnych dorywczych prac w Winterton i okolicy. Martha, która dwa lata temu, w wieku szesnastu lat, wyprowadziła się z domu, pracowała w miejscowych hotelikach.

Szeroko otwartymi oczami wpatrywałem się w Fielda, walcząc z narastającymi mdłościami.

– Zna pan Winterton? – spytał ten odrażający jegomość.

– Nie – przeszło mi przez gardło. – Nie sądzę.

– A jednak ubiegłego roku latem wybrał się pan na dłuższe wakacje właśnie w okolice Yarmouth, nieprawdaż, panie Collins?

– To nie były wakacje.

– Słucham? Przepraszam, ale nie dosłyszałem. Może dym z cygara szkodzi panu na gardło?

– To nie były wakacje – powtórzyłem.

Wróciłem do biurka, ale tym razem już nie usiadłem. Oparłem się na rozcapierzonych dłoniach, pochyliłem i przeniosłem ciężar ciała na poplamiony atramentem blat.

– Zbierałem informacje – dodałem.

– Informacje, tak? Zapewne do kolejnej książki?

– Zgadza się. Do książki, nad którą obecnie pracuję, zatytułowanej *Siła przeznaczenia*, potrzebna mi jest znajomość nadmorskich krajobrazów i wód przybrzeżnych.

– Ach, tak… Z pewnością. – Wstrętny typ postukał się palcem w pierś, a potem wskazał na mnie. I jeszcze raz: postukał się i wskazał. – Czytałem *Siłę przeznaczenia*; jest obecnie publikowana w odcinkach w „The Cornhill Magazine”, zdaje się. Występuje w niej fikcyjna miejscowość Hurle Mere, która do złudzenia przypomina istniejącą naprawdę Horsey Mere. Można do niej dojechać drogą na północ od Winterton albo dotrzeć morzem od strony Yarmouth. Mam rację?

Milczałem przez dobrą minutę, zanim w końcu przemówiłem:

– Lubię żeglować, inspektorze. Prawdę mówiąc, przy okazji zbierania informacji do książki zażywałem również wypoczynku. Wyprawiłem się na północ w towarzystwie dwóch dobrych znajomych mojego brata Charlesa… To też zapaleni żeglarze.

– Rozumiem. – Field pokiwał głową. Jego wilgotne oczy były dla mnie całkowicie nieprzeniknione. – Mówienie

prawdy to zawsze dobry pomysł. Tak uważam. Powiedzenie prawdy na samym początku pozwala uniknąć wielu kłopotów w przyszłości. Czy ci dwaj znajomi pańskiego brata to panowie Edward Piggot i Charles Ward?

Nie posiadałem się ze zdumienia. Ten stwór z rozmaślonymi ślepiami i grubym paluchem był chyba bardziej wszechwiedzący niż wszyscy narratorzy z książek moich, Dickensa, Chaucera, Shakespeare'a i innych śmiertelników! W dodatku był zły do szpiku kości, przesiąknięty złem bardziej od naszych najgorszych czarnych charakterów, Jagona nie wyłączając. Słuchałem go oparty o biurko, a palce bielały mi od nacisku, jaki musiały znosić.

– W zeszłym roku panna Martha R. skończyła osiemnaście lat, panie Collins. Jej rodzina podejrzewa, że latem, dokładnie w lipcu, poznała mężczyznę albo w samym Winterton w „Fisherman's Return", albo w hotelu w Yarmouth, gdzie pracowała wówczas jako pokojówka.

Field zawiesił głos, postukując palcem w zimny niedopałek cygara w popielniczce, jakby w ten sposób chciał ożywić wygasły żar. Prawdę mówiąc, trochę się zdziwiłem, że mu się nie udało.

Wziąłem głęboki wdech.

– Chce mi pan powiedzieć, że ta… panna R. zaginęła, inspektorze? Została zamordowana? Czy jej rodzina i policja w Winterton lub Yarmouth uważa ją za zmarłą?

Roześmiał się głośno.

– Na Boga, nie! Skądże znowu, drogi panie. Odkąd w zeszłym roku poznała tego „sympatycznego dżentelmena", dość regularnie widuje się ją w rodzinnych okolicach. W pewnym sensie jednak można powiedzieć, że faktycznie zaginęła.

– Tak?

– Tak. W tym roku, latem, w czerwcu, ściśle rzecz biorąc, po tym, jak ów „sympatyczny dżentelmen" wyprawił się był znowu na krótko do Yarmouth (niewykluczone, że w związku ze swoją pracą), Martha R. zniknęła z Winterton i Yarmouth, za to, jeśli wierzyć nieoficjalnym doniesieniom, pojawiła się

w Londynie.

– Doprawdy?

Nie miałem okazji strzelić z olbrzymiego dwulufowego rewolweru, który dostałem od Hatchery'ego. Wtedy, w kanałach, spuściłem ostrożnie kurek i wyniosłem broń na górę, nie używszy jej ani razu, po czym z ogromną ulgą, gdyż potężny detektyw mimo później pory wciąż na nas czekał, oddałem ją właścicielowi.

Teraz nagle pożałowałem, że nie mam jej przy sobie.

– Owszem. Podobno dziewiętnastoletnia służąca z Winterton wynajmuje obecnie mieszkanie przy Bolsover Street. Właścicielka kamienicy mieszka na miejscu, ale słyszałem, że lokatorzy mają do dyspozycji osobne wejście. Jeśli się nie mylę, Bolsover Street znajduje się całkiem niedaleko od miejsca, w którym w tej chwili stoimy, czyli Melcombe Place przy Dorset Square.

– Istotnie, nie myli się pan.

Gdyby głosom można było przypisywać kolory, mój byłby całkowicie bezbarwny.

– Nie pomylę się chyba również, kiedy powiem, że ani pani Caroline G., z którą od blisko dziesięciu lat pozostaje pan w związku niewiele różniącym się od prawdziwego małżeństwa, jeśli wolno mi tak powiedzieć, nawet jeżeli jest on pozbawiony błogosławieństwa Boga i społeczeństwa, ani jej córka, panna Harriet G., która zaznaje z pańskiej strony wyjątkowej uprzejmości i hojności, zupełnie jakby była pańską córką, nie wiedzą o istnieniu panny Marthy R., niegdysiejszej pokojówki z Yarmouth, obecnie zamieszkałej przy Bolsover Street, ani tym bardziej nie są świadome roli, jaką panna R. odgrywa w pańskim życiu.

– Tak – powiedziałem. – To znaczy, nie.

– Pokuszę się również o stwierdzenie, że mając na względzie własny dobrze pojęty interes, jak również interes obu mieszkających z panem pod jednym dachem dam, usilnie dba pan o to, by wieść o pannie R. nie dotarła do uszu ani ich dwu, ani nikogo innego. Mam rację?

– Całkowitą.

– To dobrze. Bardzo dobrze. – Field wziął do ręki cylinder, ale wcale jeszcze nie zamierzał wychodzić. – Bo ja bardzo nie lubię nie mieć racji, panie Collins.

Pokiwałem głową. Odniosłem nagle wrażenie, że moje nogi dłużej nie udźwigną ciężaru ciała.

– Nie wybiera się pan przypadkiem jakoś niedługo do pana Dickensa, panie Collins? – spytał inspektor, obracając cylinder w dłoni i opukując jego rondo tym przeklętym palcem wskazującym. – Gdyby się pan z nim zobaczył, proszę skorzystać z okazji i wypytać go o domniemane spotkanie z osobnikiem znanym jako Drood, do którego mogło dojść w Podmieście około dwóch miesięcy temu, dobrze?

– Dobrze – przytaknąłem i usiadłem.

– Mam nadzieję, że dobrze się zrozumieliśmy i wszelkimi uzyskanymi od pana Dickensa informacjami niezwłocznie się pan ze mną podzieli.

Jeszcze raz skinąłem głową.

– Doskonale. Na ulicy przed domem będzie czekał na pana chłopiec, panie Collins. To zwykły łobuziak jakich wielu, zamiatacz ulic. Nazywa się Gooseberry. Nie będzie go pan musiał szukać; przykazałem mu mieć na pana oko. Jeżeli zastuka pan w latarnię na rogu, najlepiej laską lub parasolem, chłopak niezawodnie się pojawi, obojętne, za dnia czy w nocy. Miejscowy konstabl zgodził się go nie „wymiatać”, jak to my, policjanci, mawiamy. Proszę przekazać mi wiadomość przez Gooseberry’ego, a bezzwłocznie się z panem skontaktuję i poczytam to panu za wielką wyświadczoną mi przysługę, panie Collins. Niech pan zapyta w Londynie kogo chce, czy inspektor Charles Frederick Field zapomina o przysługach; wszyscy panu powiedzą, że nie. Czy wyrażam się jasno, drogi panie?

– Nadzwyczaj.

Kiedy podniosłem wzrok, Field już zniknął. Usłyszałem jeszcze, jak Caroline zamyka za nim drzwi wejściowe, a potem jej kroki rozległy się na schodach. Po inspektorze został tylko siny całun dymu pod sufitem mojego gabinetu.

Rozdział 8

Gad’s Hill Place emanowało wesołą i odprężającą atmosferą rodzinnego ustronia, kiedy przybyłem tam w rześkie jesienne popołudnie następnego dnia po odwiedzinach inspektora Fielda. Była sobota, toteż dzieci i goście wylegli do ogródka, by tam oddawać się zabawie. Musiałem przyznać, że Gad’s Hill jest wręcz modelowym przykładem wiejskiego domku kochającej się rodziny – co oczywiście było możliwe głównie dzięki temu, że Dickens chciał, by tak to właśnie wyglądało. Ba, on wręcz nalegał, żeby wszyscy jego bliscy i znajomi odgrywali napisane przez niego role służące podtrzymaniu tego idealnego wizerunku. I nawet jeśli był to obraz fikcyjny, to osobiście jestem przekonany, że mimo nieobecności matki (która została wygnana z domu) i mimo ewidentnych tarć, zarówno w łonie rodziny, jak i wśród przyjaciół, Dickens miał szczerą nadzieję, że uda mu się w ten sposób wykreować prawdziwie rodzinny nastrój uroczej rezydencji – prosty, radosny klimat wiejskiego domku, w którym u progu jesieni zapracowany pisarz gości grono swoich kochających krewnych i znajomych, darzących go zachwytem i uwielbieniem.

Nie ukrywam, czasem czułem się przy nim jak Kandyd przy Panglossie.

Kiedy wszedłem na dróżkę prowadzącą do domu, na spotkanie wyszła mi Kate, córka Dickensa, akurat kręcąca się po podwórku. Pociłem się obficie, ocierałem sobie kark i czoło chusteczką. Był wprawdzie, jak wspomniałem, rześki jesienny dzień, ale przyszedłem pieszo aż ze stacji kolejowej, a nie byłem przyzwyczajony do takiego wysiłku. Poza tym, przygotowując się do spotkania z Dickensem, tego dnia wypiłem swoje dwa kieliszki laudanum znacznie wcześniej niż zwykle i wprawdzie nie czułem żadnych negatywnych skutków jego działania, ale muszę przyznać, że podwórko, trawa, drzewa, bawiące się dzieci i sama Kate Macready Dickens Collins, wszyscy byli otoczeni złocistymi aureolami.

– Witaj, Wilkie – przywitała mnie, podchodząc bliżej i podając mi rękę. – Ostatnio stanowczo za rzadko cię widujemy.

– Witaj, Katey. Mój brat przyjechał z tobą na weekend?

– Nie, nie tym razem. Źle się poczuł i postanowił zostać w Clarence Terrace. Wieczorem do niego wrócę.

Pokiwałem głową.

– A Pan Niezrównany?

– Jest w domku letniskowym. Kończy nowe opowiadanie bożonarodzeniowe.

– Nie wiedziałem, że domek nadaje się do zamieszkania.

– Owszem. W zeszłym miesiącu skończyli go urządzać. Od tamtej pory ojciec codziennie tam pracuje, ale jakoś niedługo powinien kończyć: zbliża się pora jego popołudniowego spaceru. Na pewno nie będzie miał ci za złe, jeśli mu przeszkodzisz. Zwłaszcza że przecież jest sobota. Mogę cię odprowadzić, jeśli chcesz. Przejdziemy tunelem.

– To świetny pomysł – zgodziłem się.

Domek, o którym wspomniała Kate, Dickens dostał przed rokiem w prezencie bożonarodzeniowym od pewnego aktora, Charlesa Fechtera. Mój brat, który przebywał wtedy w Gad's Hill od Wigilii aż do piątego stycznia bieżącego roku, twierdził później, że nie było to najszczęśliwsze Boże Narodzenie w jego życiu – głównie z powodu Dickensa, który wmówił sobie, że mój brat jest umierający (a nie po prostu niedysponowany wskutek częstych niestrawności). Przypuszczam, że w wypadku Dickensa były to raczej pobożne życzenia aniżeli rzetelna diagnoza. Ślub Katey z Charlesem w 1860 roku doprowadził go nie tyle do łez, ile wręcz do białej gorączki. Zarzucał córce, że powodowana niecierpliwością zostawiła go na pastwę losu w okresie, gdy najbardziej jej potrzebował – i miał w tym całkowitą rację. Nawet mój brat zdawał sobie sprawę, że Kate (czy też „Katey", jak najczęściej ją nazywaliśmy) bynajmniej go nie kocha: była tak wstrząśnięta tym, że Dickens wyrzucił z domu jej matkę, że chciała jak najprędzej od niego uciec.

Nie była żadną skończoną pięknością, ale ze wszystkich

dzieci Dickensa ona jedna odziedziczyła po ojcu bystry umysł, sardoniczne poczucie humoru, talent do ciętej riposty, niecierpliwość w kontaktach z ludźmi, sposób mówienia, nawet niektóre dziwactwa. Na dobrą sprawę to ona oświadczyła się mojemu bratu, nie odwrotnie, i przy okazji dała mu do zrozumienia, że będzie to raczej małżeństwo z rozsądku niż z miłości. A on się zgodził.

Zimne i klaustrofobiczne święta Bożego Narodzenia 1864 roku w Gad's Hill zapowiadały się więc smętnie, zwłaszcza gdy porównać je z wystawnymi festiwalami dla rodziny i zaproszonych gości, których w poprzednich latach gościł Tavistock House – ale tylko do poranka pierwszego dnia świąt, kiedy to Charles Fechter podarował Panu Niezrównanemu… szwajcarski domek góralski.

Fechter (nawiasem mówiąc, sam niezły dziwak, wiecznie zasępiony, o ziemistej cerze, skłonny do nagłych wybuchów gniewu w stosunku do żony i innych ludzi – nigdy jednak jego złość nie zwracała się przeciw Dickensowi) ogłosił po śniadaniu, że tajemnicze skrzynie i pudła, które ze sobą przywiózł, zawierają rozebrany na części „miniaturowy letni domek", który, jak się wkrótce okazało, wcale nie był taki miniaturowy. Aktor przywiózł ze Szwajcarii regularną, pełnowymiarową chatę góralską, w której spokojnie dałoby się zamieszkać, gdyby ktoś miał takie życzenie.

Ożywiony i podekscytowany Dickens natychmiast zarządził mobilizację wszystkich „silnych i zdrowych kawalerów" (wykluczając z tego grona mojego brata nie tylko za posiadanie żony), którym kazał wyjść na mróz i zmontować swój prezent. Okazało się jednak, że nawet z pomocą gości (potężnego i silnego Marcusa Stone'a, oraz Henry'ego Chorleya), a także licznych służących, ogrodników, robotników i pomagierów ściągniętych w tym celu specjalnie z rodzinnych domów, gdzie przy kominku świętowali Boże Narodzenie, Dickens nijak nie zdoła się uporać z zawartością pięćdziesięciu ośmiu skrzyń, zawierających łącznie dziewięćdziesiąt cztery ponumerowane elementy domku. Fechter musiał sprowadzić zaprzyjaźnionego francuskiego

cieślę z Lyceum, żeby dokończył rozpoczęte przez nich dzieło.

Drewnianą chałupę (znacznie większą niż przerośnięty domek dla lalek, którego spodziewał się Dickens po obejrzeniu skrzyń) ulokowano tuż obok Gad's Hill, na należącej do pisarza działce po drugiej stronie Rochester High Road. Piętrowy domek, uroczy jak bajkowa chatka z piernika, stanął w cieniu wysokich cedrów. Na parterze znajdowało się jedno ogromne pomieszczenie, na piętrze zaś nieco mniejszy pokój z ozdobnym balkonikiem, do którego wchodziło się po zewnętrznych schodach.

Dickens był wprost zachwycony swoim górskim domkiem. Gdy tylko wiosną ziemia rozmarzła, zatrudnił robotników i kazał im wykopać pod ulicą tunel dla pieszych, przez który – nie niepokojony przez intruzów i bez obaw, że potrąci go jakiś ciągnięty przez narowistego kuca wózek – mógł niepostrzeżenie przemykać z domu do chaty i z powrotem. Kate opowiadała mi potem, że ucieszył się jak dziecko, gdy drążący tunel z przeciwnych stron robotnicy spotkali się w połowie drogi, po czym niezwłocznie zaprosił wszystkich – gości, dzieci, kopaczy, przyglądających im się sąsiadów i bywalców znajdującej się po drugiej stronie drogi gospody „Falstaff Inn" – do domu na grog.

Kiedy zeszliśmy do tunelu i zagłębiliśmy się w jego chłodny półmrok, Kate zapytała:

– Powiedz mi, Wilkie, co ty i mój ojciec robicie podczas tych długich nocy, kiedy gdzieś się ukradkiem wymykacie? Nawet mój Charles nic nie wie.

– O czym ty mówisz, Kate, na Boga?

Spojrzała na mnie. Już wcześniej ujęła mnie pod rękę, teraz zaś ścisnęła moje ramię znacząco.

– Dobrze wiesz, o czym mówię, Wilkie. Nie bądź taki nieśmiały, bardzo cię proszę. Ojciec ma huk roboty, kończy *Naszego wspólnego przyjaciela*, pisze też inne rzeczy, w dodatku panicznie boi się jeździć pociągiem, ale od czasu waszego pierwszego potajemnego wypadu wtedy, w lipcu, nie przeszkadza mu to znikać na jedną, czasem dwie noce w

tygodniu. Georgina też to potwierdza. Ojciec wychodzi wieczorem, jedzie osobowym do Londynu, wraca bardzo, naprawdę bardzo późno, czasem dopiero przed południem następnego dnia, i nie mówi ani Georginie, ani nikomu z nas, co przez ten czas robił. A teraz jeszcze ten wypad do Francji i wylew… Wszyscy, nawet Charles, myśleliśmy, że to ty wynalazłeś mu jakąś nową rozpustną rozrywkę w Londynie, której potem w Paryżu spróbował na własną rękę i przekonał się, że to nie na jego siły.

W przekornym i żartobliwym tonie Kate wyraźnie wyczuwałem szczerą troskę.

Poklepałem ją po ręce.

– Dobrze wiesz, Katey, że honor nie pozwala dżentelmenowi zdradzać sekretów przyjaciela, jakiekolwiek by one były. W dodatku, kto jak kto, ale ty z pewnością powinnaś zdawać sobie sprawę, że pisarze to wyjątkowo tajemnicze bestie; przy każdej okazji, dniem i nocą, chadzamy własnymi drogami, żeby dowiedzieć się czegoś nowego o świecie.

Kiedy patrzyła na mnie z dezaprobatą w półmroku, wydawało się, że jej oczy pałają wewnętrznym blaskiem.

– Wiesz również o tym, że ojciec nie zrobiłby nic, co przyniosłoby ujmę jemu samemu albo jego rodzinie – mówiłem dalej, tak cicho, że mój głos prawie ginął wśród cegieł tworzących podłogę i strop tunelu. – Prawda, Katey?

– Hmm…

Kate Macready Dickens Collins miała pełne prawo uważać, że, odprawiając jej matkę z domu i uganiając się za Ellen Ternan, Dickens zhańbił zarówno siebie, jak i całą rodzinę.

– Dalej sam trafisz, Wilkie. Idź do światła. Zostawiam cię samego z moim ojcem.

***

– Mój drogi Wilkie! Wejdź, wejdź, proszę! Właśnie o tobie myślałem. Witaj w mojej pustelni. Chodź, przyjacielu.

Dickens zerwał się od małego biurka i z ożywieniem

uścisnął moją wyciągniętą dłoń, gdy przekroczyłem próg pokoju na piętrze. Przyznaję, że nie bardzo wiedziałem, jakiego powitania się spodziewać po tym, jak przez ostatnie dwa miesiące rzadko mieliśmy ze sobą kontakt. Ciepłe przyjęcie zaskoczyło mnie i sprawiło, że poczułem się dwakroć podlej w roli szpiega i zdrajcy.

– Właśnie nanoszę ostatnie poprawki do tegorocznej opowieści bożonarodzeniowej – wyjaśnił z entuzjazmem. – Będzie miała tytuł *Jaś Wydrwigrosz* i zapewniam cię, mój drogi, że stanie się wielkim przebojem. Wieszczę jej ogromną popularność, chyba największą od czasu *Dzwonów.* Pomysł na nią przyszedł mi do głowy we Francji. Za minutkę skończę, a potem poświęcę ci resztę popołudnia i cały wieczór.

– Ależ naturalnie.

Cofnąłem się, a Dickens wrócił do biurka, kreśląc zamaszyście po rękopisie i dopisując nowy tekst między wykreślonymi wierszami. Przypominał mi energicznego dyrygenta czujnej i posłusznej orkiestry słów; prawie słyszałem kolejne nuty, gdy jego pióro wznosiło się, zawisało w powietrzu, spadało na papier, skrobało, znów podrywało się i opadało.

Muszę przyznać, że widok z Dickensowskiej „samotni” był przecudnej urody. Domek stał pomiędzy dwoma wysokimi cedrami, które w tej chwili kołysały się na wietrze. Liczne okna wychodziły na pola dojrzałej pszenicy, lasy i kolejne pola. W dali migotała nawet Tamiza i przesuwające się po niej białe żagle. Z drugiej strony ulicy, z dachu Gad’s Hill Place, było w oddali widać Londyn, stąd jednak widok był bardziej sielankowy – odległa rzeka, wieża katedry w Rochesterze i żółte, szeleszczące łany zboża. Na Rochester Road panował tego dnia niewielki ruch. Dickens wyposażył samotnię w błyszczący mosiężny teleskop na drewnianym trójnogu; oczami wyobraźni widziałem, jak po nocach obserwuje księżyc, a w ciepłe letnie dni podgląda kobiety wypoczywające na żeglujących po Tamizie jachtach.

W miejscach, gdzie nie było okien, powieszono lustra.

Naliczyłem ich łącznie pięć. Dickens uwielbiał lustra. We wszystkich sypialniach w Tavistock House, a teraz także w Gad's Hill wisiało ich po kilka; kolejne znajdowały się w przedpokojach, korytarzach, a jedno, naprawdę ogromne, kazał zawiesić sobie w gabinecie. Tutaj, w domku letniskowym, dawały złudzenie, że znajduję się na otwartej przestrzeni, jakby na pozbawionej ścian dziecinnej platformie na drzewie: ze wszystkich stron otaczały mnie słońce, niebieskie niebo, zielone liście i złote pola. Wpadający przez otwarte okna wiatr niósł zapachy listowia i kwiatów, dojrzałego zboża, dymu z palonych gdzieś nieopodal chwastów lub suchych liści, wyczuwałem nawet ostry, słonawy aromat morza.

Jakże silnie kontrastował ten dzienny świat Charlesa Dickensa z naszą nocną eskapadą do palarni Opiumowej Sal i koszmarów Podmiasta. Wspomnienie tamtych mroków blakło jak zły sen. Światło słońca i zapach tego świata były tak wyraziste, tak prawdziwe; pulsowały w spokojnym rytmie mojego tętna, kojonego zbawiennym wpływem laudanum. Nie rozumiałem, jak ciemne, cuchnące katakumby i kanały, a nawet pleniące się nad nimi na powierzchni slumsy mogą współistnieć z tak idealnie czystą rzeczywistością.

– No, skończyłem – obwieścił Dickens. – Przynajmniej na razie.

Osuszył ostatnią stronę bibułą i schował ją do skórzanej teczki razem z wcześniej zapisanymi, po czym wstał i wziął do ręki stojącą w kącie ulubioną laskę z drewna tarniny.

– Czas na mój codzienny spacer. Przejdziemy się, mój drogi Wilkie?

– Ależ naturalnie – powtórzyłem, choć tym razem z mniejszym przekonaniem.

Zmierzył mnie spojrzeniem, które było zarazem krytyczne, rozbawione i kpiarskie.

– Myślałem o szybkim wypadzie przez Cobham Wood do Chalk i dalej przez Gravesend do domu.

– Aha. – Dwanaście mil. Sporo. – Aha – powtórzyłem i pokiwałem głową. – A co z twoimi gośćmi? I dziećmi? Czy nie

powinieneś teraz iść ich zabawić? Oprowadzić po stajniach?

Uśmiechnął się figlarnie.

– Czyżbyśmy mieli w rodzinie kolejnego inwalidę, mój drogi?

Wiedziałem, że mówiąc o „rodzinie”, ma na myśli Collinsów. Wyglądało na to, że nieprędko mu się znudzi wytykanie mojemu bratu domniemanej choroby.

– To tylko drobna niedyspozycja – odparłem szorstko. – Podagra, która od czasu do czasu mi dokucza, o czym zresztą doskonale wiesz, Charlesie, dziś akurat bardziej niż zwykle daje o sobie znać. Dlatego wolałbym krótszy spacer.

Na przykład, niespieszną przechadzkę na drugą stronę traktu, do „Falstaff Inn” – taki właśnie komunikat próbowałem przekazać – choć nie wprost – Dickensowi.

– Podagra nie usadowiła ci się chyba w nogach, prawda, mój drogi Wilkie?

– Rzeczywiście, nie – przytaknąłem. Nie chciałem tłumaczyć, że wywołany podagrą ból potrafi rozlać się na całe ciało, na co zresztą dzisiejszego ranka się zanosiło. Bez przyjętej wcześniej niż zazwyczaj podwójnej dawki laudanum pewnie nie wstałbym z łóżka. – Głównie odczuwam ją w głowie i oczach.

– No dobrze – westchnął Dickens. – Miałem szczerą nadzieję, że dziś trafi mi się dobry kompan do wędrówki, zwłaszcza że w ten weekend goszczę akurat Forsterów, a John, odkąd posiadł majątek żony, zarzucił wszelki wysiłek fizyczny, jak ci zapewne wiadomo. Trudno, w takim razie skrócimy trasę: przejdziemy się tylko do Chatham i Fort Pitt i wrócimy przez Cooling Marsh, a wieczorem sam nadrobię brakujące mile.

Pokiwałem głową, chociaż entuzjazmu jakoś mi nie przybyło. Spacer zapowiadał się na sześć mil z hakiem, a Dickens zwykł był utrzymywać niezłomnie równe tempo czterech mil na godzinę. Głowa i stawy już zaczynały mnie boleć.

***

Nie wyszło to tak źle, jak się obawiałem. Popołudnie było tak przyjemne, powietrze tak chłodne, a zapachy tak ożywcze, że dotrzymywałem kroku Dickensowi przemierzającemu kolejne drogi, trakty, ścieżki, trawiaste dróżki holownicze nad kanałem, jesienne łany zbóż (starając się niczego nie rozdeptać) i cieniste leśne dukty, z których znów wychodziliśmy na drogę.

Przez pierwsze pół godziny naszej milczącej wędrówki – a właściwie mojej milczącej wędrówki, bo Dickens bezustannie gawędził, zrzędząc przyjaźnie na nasilającą się Podsnapowość Forstera, narzekając na kłopoty w Związku, skarżąc się na nieporadność syna, Alfreda, w interesach i na kurczące się widoki na zamążpójście córki, Mary, dzieląc się obawami o los murzyńskiej rebelii na Jamajce, gderając na chroniczne lenistwo i brak głębi intelektualnej u swojego najmłodszego syna, Plorna – ograniczałem się do kiwania głową i zastanawiałem się, w jaki sposób wyciągnąć z niego informacje, których domagał się ode mnie inspektor Field.

W końcu się poddałem i powiedziałem wprost:

– Był u mnie wczoraj inspektor Field.

– Ach tak? – mruknął z roztargnieniem Dickens, miarowo postukując laską. – Spodziewałem się tego.

– Nie jesteś zaskoczony?

– Ani trochę. We czwartek był u mnie, tutaj, w Gad’s Hill. Spodziewałem się, że będziesz jego następną ofiarą. Groził ci?

– Tak.

– Czym, jeśli wolno spytać? Bo w swoich próbach szantażowania mnie był wręcz żałośnie nieporadny.

– Groził, że ujawni publicznie moją… sytuację rodzinną.

Byłem pewien tylko jednej rzeczy: Dickens nie wiedział – nie mógł wiedzieć! – o istnieniu panny Marthy R. Inspektor Field wiedział o niej, ale nie miał po co mu o tym mówić.

Dickens roześmiał się.

– Że opowie całemu światu o twoim Kamerdynerze i Gospodarzu, tak? Tak właśnie myślałem, Wilkie. Tak myślałem… Pan Field lubi straszyć ludzi, ale, podobnie jak

wielu takich kieszonkowych tyranów, nie jest najbystrzejszym kociakiem w miocie. Musi naprawdę niewiele wiedzieć o twoim wolnym duchu i wzgardzie, jaką żywisz do opinii publicznej, skoro wydaje mu się, że takimi pogróżkami zrobi z ciebie zdrajcę. Wszyscy twoi znajomi wiedzą, że masz w szafie dwa trupy – dwa damskie trupy, prześliczne, urocze i dowcipne – i nikt sobie z tego nic nie robi.

– To prawda. Nie rozumiem jednak, dlaczego tak bardzo interesuje się Droodem? Zachowuje się w taki sposób, jakby od zdobytych informacji miało zależeć jego życie.

Zeszliśmy z drogi na ścieżkę wijącą się wśród mokradeł Cooling Marsh.

– W pewnym sensie życie pana Fielda naprawdę zależy od tego, czy Drood naprawdę istnieje, a jeśli tak, to gdzie go szukać. Zwróć uwagę, że naszego małego szantażystę konsekwentnie nazywam panem Fieldem, a nie inspektorem Fieldem.

– Zauważyłem – przyznałem, ostrożnie przeskakując z kamienia na kamień; w tym miejscu ścieżka była wyjątkowo zdradliwa. – Wspomniał mi o tym, że odkąd został prywatnym detektywem, tytuł przysługuje mu tylko grzecznościowo.

– To taki zaszczyt, który sam sobie nadał. Ani Scotland Yard, ani londyńska policja nie są tym zachwycone, mój drogi Wilkie. Mam pana Fielda na oku, odkąd, wybacz mi ten nieskromny wtręt, unieśmiertelniłem go jako inspektora Bucketa w *Samotni.* A właściwie nawet jeszcze dłużej, od poświęconego mu pochlebnego eseju *Na służbie z inspektorem Fieldem,* który opublikowałem w naszych „Household Words” w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym roku. Niedługo potem, po… dwóch latach, bodajże, odszedł ze służby.

– Pochlebny esej, fascynująca postać w książce… Wtedy go podziwiałeś.

Dickens znów wybuchnął śmiechem. Obeszliśmy mokradła i zawróciliśmy w stronę Gad’s Hill.

– Wielu ludzi podziwiam za to, jaki mają potencjał fabularny, mój drogi Wilkie. Ciebie również. Jakże inaczej mógłbym przez lata znosić Podsnapizmy Forstera? Tylko że widzisz, wokół naszego drogiego pana Fielda od dawna unosi się smrodek szkolnego brutala, który gnębi słabszych. A tacy zawsze prędzej czy później się przeliczą i zostaną skarceni.

– Chcesz powiedzieć, że popadł w niełaskę w Scotland Yardzie i wśród londyńskich policjantów?

– Otóż to, Wilkie. Nie wiem, czy śledziłeś przebieg niesławnej sprawy Palmera jakiś czas temu, chodziło o otrucie… Rety, to już będzie z dziesięć lat. Ale ten czas leci, jak to ludzie mówią… Mniejsza z tym. Wiesz, o czym mówię?

– Nie bardzo… Przyznam, że chyba nie byłem z nią na bieżąco.

– Nieważne. Dość powiedzieć, że nasz emerytowany Field prowadził głośną sprawę morderstwa, brylował w prasie i upierał się, żeby tytułować go „inspektorem”. Powiem szczerze: moim zdaniem, nasz obdarzony pulchnymi palcami przyjaciel celowo utwierdzał dziennikarzy i gawiedź w przeświadczeniu, że w dalszym ciągu pracuje w policji. Jego następcy, prawdziwi inspektorzy i detektywi policyjni, nie byli tym zachwyceni. Dlatego wstrzymali wypłacanie mu emerytury.

Stanąłem jak wryty.

– Emerytury?! Cholernej emerytury? Gość ma czelność przesłuchiwać cię, a mnie szantażować, z powodu emerytury?!

Poirytowany faktem, że coś zaburza mu rytm marszu, Dickens zatrzymał się, ściął laską kępę zielska i się uśmiechnął.

– Otóż to: z powodu emerytury. Nasz podający się za inspektora znajomy prowadzi własne biuro śledcze, na którym nieźle zarabia; sam zapłaciłem okrągłą sumkę za wynajęcie na jedną noc naszego misiowatego druha, Hatchery’ego. Nie wiem, czy pamiętasz, mój drogi Wilkie, ale mówiłem ci kiedyś, że ów niegdysiejszy policjant, pan Field, jest bardzo… chciwy. Tak, to chyba nie za mocne słowo: pan

Field jest chciwy. Zawsze taki był i zawsze będzie. Nie może się pogodzić z utratą emerytury i, prawdę mówiąc, moim zdaniem byłby gotów zabijać, żeby ją odzyskać.

Zatkało mnie na chwilę.

– Ale co Drood ma z tym wspólnego? – wykrztusiłem w końcu. – Co da Fieldowi to, że go znajdzie?

– Może w ten sposób odzyskać emeryturę – odparł Dickens, ruszając w dalszą drogę. – Tak mu się przynajmniej wydaje. Minister spraw wewnętrznych, sir George Grey, właśnie bada sprawę jej zawieszenia; zajął się nią po groźnych pomrukach wynajętego przez Fielda adwokata. Taki adwokat nie jest tani, możesz mi wierzyć. Jestem przekonany, że pan Field w swoich starczych majaczeniach…

Nie uznałem za stosowne przypominać mu w tym momencie, że Charles Frederick Field jest tylko siedem lat starszy od niego.

– …ubzdurał sobie jakiś scenariusz w stylu *deus ex machina*, w którym udaje mu się wytropić i schwytać Drooda, geniusza zbrodni, widmowego złoczyńcę, który dwadzieścia lat temu wymknął się nadinspektorowi Fieldowi… Ministerstwo, cały Scotland Yard, wszyscy byli przyjaciele i obojętni następcy w policji londyńskiej nie tylko mu wtedy wybaczą i oddadzą należną emeryturę, ale będą musieli ukoronować go wieńcem laurowym i na rękach zanieść na Waterloo Station.

– Czy ten Drood naprawdę jest geniuszem zbrodni? – spytałem ostrożnie. – Field twierdzi, że na przestrzeni lat zamordował około trzystu osób…

Dickens odwrócił się i spojrzał na mnie. Zauważyłem, że od początku lata zmarszczki na jego twarzy wyraźnie się pogłębiły.

– Jak sądzisz, Wilkie, czy to wiarygodna liczba?

–Ja… Nie mam pojęcia. Owszem, wydaje mi się niedorzeczna. Nie przypominam sobie, żebym słyszał o trzystu niewyjaśnionych przypadkach tajemniczych morderstw, obojętne, czy w Whitechapel, czy gdzie indziej. Ale to straszne miejsce, w którym byliśmy, Charlesie…

Straszne. Nie powiedziałeś mi, co się wydarzyło po tym, jak zostawiłeś mnie na przystani i wsiadłeś do tej śmiesznej łódeczki.

– Rzeczywiście, nie powiedziałem. Obiecałem ci, że wkrótce wszystko ci powiem, a potem minęły dwa miesiące i nic. Przepraszam za tę zwłokę.

– Mniejsza o zwłokę. – Czułem narastający ból głowy. Wywołana działaniem laudanum poświata otaczająca wszystkie przedmioty powoli gasła. – Po prostu chciałbym się dowiedzieć, co się wtedy stało. Chciałbym usłyszeć, czego dowiedziałeś się o Droodzie.

Dickens zerknął na mnie podejrzliwie przez ramię.

– Nie muszę się chyba martwić o to, że nasz wspólny przyjaciel Field szantażem wydobędzie od ciebie tę informację, prawda?

Zatrzymałem się w miejscu.

– Charlesie!

Odwrócił się do mnie, ale nie zatrzymał jak ja, tylko szedł dalej tyłem, kręcąc laską.

– Żartowałem, mój drogi Wilkie. Tylko żartowałem. No, pośpiesz się, zaszliśmy tak daleko, nie możemy teraz zwalniać. Postaraj się dyszeć choć odrobinę ciszej od miecha kowalskiego, a ja opowiem ci wszystko o tamtej nocy, kiedy zostawiłem cię na przystani w ciągnących się pod katakumbami kanałach i udałem się do Podmiasta.

Rozdział 9

– Po tym, jak odbiliśmy od brzegu, skoncentrowałem się na tej niedorzecznej łódce, w której się znalazłem. Trochę mi przypominała żałosną łajbę jednego z bohaterów mojej książki, Hexama Gaffera, który żyje z tego, że pływa po Tamizie i wyławia unoszące się na wodzie zwłoki i inne rzeczy – tyle że ta moja wyglądała na dzieło obłąkanego cieśli okrętowego, który uparł się, żeby sparodiować wenecką gondolę. Im dłużej przyglądałem się swoim wysokim, milczącym przewoźnikom (jeden stał na rufie przy rumplu albo wiośle sterowym, drugi, na dziobie, kierował łodzią za pomocą drąga), tym mniej mi się podobali, Wilkie. Ich oprószone złotym brokatem maseczki i przyciemnione okulary skrywały tylko oczy, zorientowałem się więc, że obaj są mężczyznami, ale długo nie mogłem się wyzbyć wątpliwości. Wiesz może, jak przedstawia się anioły w papistowskich katedrach na kontynencie? Są takie niepokojąco hermafrodytyczne… Muszę ci powiedzieć, mój drogi Wilkie, że moi towarzysze jeszcze bardziej przypominali obojnaki, a te śmieszne średniowieczne tuniki i rajstopy tylko dodatkowo to podkreślały. Castrato na dziobie nazwałem w myślach Wenus, a eunuchowi na rufie nadałem imię Merkury.

Przez dobre sto jardów, jeśli nie więcej, płynęliśmy z biegiem szerokiej strugi ścieków. Oglądałem się za siebie, ale ty chyba ani razu nie spojrzałeś w naszą stronę, aż w końcu ta moja niby–gondola zniknęła za zakrętem tunelu i straciłem cię z oczu. Dwie małe latarenki na żelaznych prętach na dziobie i rufie niespecjalnie rozświetlały bystry nurt. Widziałem głównie odbłyski światła na ociekających wilgocią łukach sklepienia.

Nie muszę ci zapewne przypominać, Wilkie, jak potworny smród unosił się nad tamtym kanałem. Zaczynałem się bać, że żołądek odmówi mi posłuszeństwa, ale na szczęście po kilkuset jardach rejsu cuchnącym Styksem zamaskowany

sternik wykierował gondolę w boczny tunel – tak wąski, że byłem przekonany, że wpływamy w zwykłą rurę ściekową. Merkury i Wenus nisko schylili głowy (nawet ja musiałem się pochylić), odpychając się dłońmi w rękawiczkach od coraz bliższych ścian i sufitu, ale w końcu dopłynęliśmy do szerszego strumienia – i tym razem mówię „strumień” bez cienia przekąsu, Wilkie, ponieważ zamiast ścieku zobaczyłem uregulowaną, zamkniętą w tunelu podziemną rzekę z prawdziwego zdarzenia, szerszą od wszystkich zwyczajnych dopływów Tamizy. Wiesz o tym, że niektóre rzeki, płynące dawniej po powierzchni ziemi, w Londynie zostały całkowicie przykryte? Na przykład, Fleet? Tak, na pewno o tym słyszałeś. Tylko że na co dzień nie myśli się o tych ich ukrytych odcinkach, prawda?

Prowadzona przez dwójkę hermafrodytów łódź długo płynęła z biegiem rzeki. Muszę cię uprzedzić, mój drogi Wilkie, że od tego miejsca moja opowieść zrobi się naprawdę niewiarygodna.

Nasz przewodnik, detektyw Hatchery, nazwał ten podziemny świat „Podmiastem”; podobnie zresztą wypowiadało się o nim to chińskie indywiduum pławiące się w oparach opium, król Lazaree, ja jednak dopiero teraz zacząłem rozumieć, że labirynt połączonych piwnic, kanałów, pieczar, jaskiń, krytych rowów, porzuconych kopalń z epoki przed powstaniem miasta, zapomnianych katakumb i nigdy nieskończonych tuneli tworzy najprawdziwsze miasto pod miastem. Londyn pod Londynem. Podmiasto.

Z biegiem czasu mój wzrok oswoił się z ciemnością i zorientowałem się, że na brzegach rzeki widzę ludzi. Tak, Wilkie, ludzi. Nie kolejnych Dzikich Chłopców, którzy bardziej przypominają zdziczałe psy albo wilki kręcące się po obrzeżach średniowiecznej wioski, lecz prawdziwe istoty ludzkie. Rodziny. Dzieci. Ogniska. Prymitywne szałasy, namioty, materace, piecyki, a nawet stare, zdezelowane meble stały dosłownie wszędzie: we wnękach murów, w bocznych komorach, na szerokim, błotnistym brzegu rzeki. Gdzieniegdzie z błota i mazi tryskały niebieskie ognie, trochę

podobne do płomyków pełgających po powierzchni świątecznego puddingu, i te żałosne postaci o ludzkich kształtach gromadziły się wokół nich, żeby się ogrzać.

Kiedy już myślałem, że Wenus z Merkurym będą przez całą wieczność popychać gondolę przez sieć mrocznych arterii wodnych, rzeka się rozszerzyła i podpłynęliśmy do przystani z prawdziwego zdarzenia: w ścianie tunelu wykuto szerokie kamienne stopnie, w tej chwili oświetlone dwoma rzędami pochodni. Merkury przycumował chybotliwą łódeczkę, a Wenus pomogła mi wysiąść. Obaj zostali na pokładzie, nieruchomi i milczący, ja zaś wszedłem po schodach i stanąłem przed spiżowymi drzwiami.

Rzeźbione w kamieniu egipskie posągi strzegły skraju schodów z obu stron. Nad drzwiami dostrzegłem kolejne rzeźby, do złudzenia przypominające zabytki, jakie można obejrzeć w British Museum; można poczuć się wśród nich nieswojo, gdy człowiek ogląda je samotnie tuż przed zamknięciem w jakiś zimowy wieczór. Były wśród nich odlane z brązu ludzkie postaci z łbami szakali i takie z ptasimi głowami; były postaci z kosturami, berłami i zakrzywionymi hakami. Kamienne nadproże zdobiły znaki pisma obrazkowego – hieroglify, jak się je fachowo nazywa; pismo to widuje się na ilustracjach książek opisujących przygody Napoleona nad Nilem. Przywodziło mi na myśl dziecinne próby kaligrafii, z mnóstwem falujących linii, ptaków, oczu… Ptaków było najwięcej.

Drzwi otworzyli mi dwaj olbrzymi, milczący, lecz jak najbardziej żywi mężczyźni. Gdy koło nich przechodziłem, przeszło mi przez myśl określenie „Nubijczycy”. Byli ubrani w czarne szaty odsłaniające muskularne ramiona i szerokie piersi. W jednej ręce trzymali dziwne, zakończone hakiem laski, chyba wykonane z żelaza.

Mając świeżo w pamięci imponujące schody, płaskorzeźby i posągi, a także dwóch odźwiernych, spodziewałem się, że przekraczam próg świątyni, ale dudniące echem wnętrze – mimo że miało w sobie coś z uroczystej, wyciszonej atmosfery przybytku pogańskich bogów – bardziej

przypominało bibliotekę niż świątynię. Na regałach w pierwszej sali, przez którą przeszedłem, i we wszystkich dalszych, do których zaglądałem z korytarza, znajdowały się zwoje, tabliczki i mnóstwo całkiem zwyczajnie wyglądających książek. Zauważyłem kilka prac naukowych, jakich można by się spodziewać w każdej dobrze zaopatrzonej bibliotece.

Wnętrza były skąpo umeblowane. Pochodnie i wiszące kosze z żarzącymi się węglami oświetlały nieliczne stoły i niskie, pozbawione oparć sofy, jakie zdaniem historyków cieszyły się popularnością w starożytnym Rzymie, Grecji czy Egipcie. Po drodze widywałem też ludzi, którzy kręcili się po tych bocznych salach. Najczęściej wyglądali mi na laskarów, Madziarów, Hindusów lub Chińczyków. Nie byli to jednak wiekowi, zasuszeni palacze opium, w ogóle nigdzie nie widziałem charakterystycznych prycz, fajek ani samego narkotyku, nie czułem też jego złowróżbnej woni. Z nieznanych mi powodów większość z nich miała ogolone głowy.

Drood czekał na mnie w drugiej sali, przez którą przechodziłem: siedział przy małym stole, w świetle syczącej latarni. Na blacie rozrzucone były różne książki i zwoje, wśród których wypatrzyłem porcelanową filiżankę Wedgwooda. Drood popijał z niej herbatę. Był ubrany w jasnobrązową szatę, która w niczym nie przypominała stroju ubogiego przedsiębiorcy pogrzebowego (takie wrażenie zrobił na mnie pod Staplehurst), ale choć przydawała mu godności, nie była w stanie ukryć jego okaleczeń – bo te w blasku lampy rzucały się w oczy chyba jeszcze bardziej niż w świetle dnia: pobliźniona, prawie bezwłosa czaszka; pozbawione powiek oczy; resztka brutalnie amputowanego nosa; lekko zaznaczona zajęcza warga; kikuty uszu.

Ujrzawszy mnie, wstał i podał mi rękę na powitanie.

– Witam, panie Dickensss – powiedział, sepleniąc i szeleszcząc w sposób, którego doprawdy nie umiem naśladować. – Oczekiwałem pańssskiego przybycia.

Uścisnąłem jego dłoń. Z trudem powstrzymałem się od wzdrygnięcia pod dotykiem jego zimnego, bladego ciała.

– Skąd pan wiedział, że przyjdę?

Wtedy się uśmiechnął, Wilkie, i znów zobaczyłem te drobne, dziwnie rozmieszczone i makabrycznie ostre zęby, za którymi skrywał się różowy, nienaturalnie ruchliwy język.

– Jest pan człowiekiem niezwykle ciekawssskim, panie Dickensss – odparł. – Wiem o tym, gdyż znam pańssskie cudowne książki i opowiadania. Podziwiam je wszyssstkie, bez wyjątku.

– Dziękuję, to bardzo miło z pana strony.

Wyobraź sobie, mój drogi Wilkie, jak dziwnie musiałem się czuć, siedząc w podziemnej ni to świątyni, ni to bibliotece, w towarzystwie tego dziwoląga, który od czasu makabrycznego zdarzenia pod Staplehurst na trwałe wpisał się w moje sny, i słuchając, jak wychwala moje książki niczym zwyczajny czytelnik, który zaczepił mnie po odczycie w Manchesterze.

Zanim zdążyłem powiedzieć coś więcej, Drood mnie również nalał herbaty.

– Zapewne ma pan do mnie jakieśśś pytania.

– Istotnie, panie Drood. Mam nadzieję, że nie uzna ich pan za impertynenckie lub nazbyt osobiste. Nie ukrywam, że powoduje mną ogromna ciekawość. Interesuje mnie pańska przeszłość, skąd się pan wziął tutaj, w tym… miejscu, co pan robił w ekspresie z Folkestone w tamten pamiętny dzień… Wszystko to jest wielce intrygujące.

– Chętnie wszyssstko panu wyjaśśśnię, panie Dickensss.

Przez następne pół godziny, sącząc herbatę, słuchałem opowieści mojego niezwykłego rozmówcy. Chcesz usłyszeć skróconą biografię Drooda teraz czy zostawimy ją sobie na inną okazję?

***

Rozejrzałem się. Do Gad’s Hill Place została nam niespełna mila. Byłem zdyszany po długim i szybkim spacerze, ale, zasłuchany w niewiarygodną opowieść Dickensa, kompletnie zapomniałem o bólu głowy.

– Mów, Charlesie. Z przyjemnością poznam zakończenie tej

historii.

– To wcale nie będzie zakończenie, mój drogi Wilkie – odparł Dickens. Tarninowa laska unosiła się i opadała miarowo w rytm jego kroków. – Raczej dopiero początek. Powiem ci, co usłyszałem wtedy od Drooda, co najwyżej w nieco skróconej wersji, albowiem koniec naszej przechadzki jest już bliski.

***

Człowiek, którego nazywamy Droodem, miał ojca Anglika i matkę Egipcjankę. Ojciec, niejaki John Frederick Forsyte, urodził się w ubiegłym stuleciu, ukończył Cambridge i został inżynierem, chociaż jego prawdziwą pasją były podróże, odkrycia, przygody i literatura. Sprawdziłem go, Wilkie. Forsyte uprawiał zarówno beletrystykę, jak i literaturę faktu, został jednak zapamiętany głównie jako autor powiastek podróżniczych. Studiował między innymi w Paryżu. Jego pobyt we Francji zbiegł się w czasie z końcowym okresem wojen napoleońskich, kiedy to Anglicy swobodnie podróżowali po tym kraju. Tam poznał licznych naukowców, którzy uczestniczyli w egipskiej kampanii Napoleona. Nasłuchawszy się ich historii, zapragnął na własne oczy zobaczyć te wszystkie egzotyczne cudowności: Sfinksa, do którego francuscy artylerzyści strzelali dla rozrywki, piramidy, tubylców, miasta i… no cóż, kobiety. Opowieści Francuzów o mahometańskich kusicielkach, które ukrywają twarz za zasłoną i malują brwi antymonowym proszkiem, rozbudziły w młodym kawalerze chętkę na coś więcej niż podróże.

Nie minął rok, gdy Forsyte wszedł w skład angielskiej ekipy inżynieryjnej, wyprawiającej się do Egiptu na zlecenie pewnej francuskiej firmy, której właściciela poznał był w Paryżu na stopie towarzyskiej. Zleceniodawcą Francuzów był młody władca Egiptu, Mehmed Ali, który pierwszy próbował przeszczepić na egipski grunt zdobycze zachodniej wiedzy i cywilizacji.

Jako inżynier Forsyte był pod ogromnym wrażeniem wiedzy i umiejętności starożytnych Egipcjan, których najlepiej dowodziły piramidy, olbrzymie ruiny i sieć kanałów nawadniających w dolinie Nilu. Jako podróżnika i poszukiwacza przygód zauroczył go Kair i inne tamtejsze miasta, a potem także przedsiębrane na własną rękę wypady w górę Nilu, do najciekawszych pozostałości dawnego Egiptu. A jako mężczyzna przekonał się, że egipskie kobiety są dokładnie tak uwodzicielskie, jak opisywali to snujący wspomnienia Francuzi.

Już w pierwszym roku pobytu w Kairze poznał wdowę, która później została matką Drooda. Mieszkała w pobliżu dzielnicy, w której francuscy i angielscy inżynierowie (a także inni zagraniczni pracownicy) żyli praktycznie odcięci od prawdziwego egipskiego społeczeństwa; Forsyte mieszkał w domu przerobionym z magazynu dywanów. Pochodziła ze starej i zamożnej aleksandryjskiej rodziny (jej nieżyjący mąż był kairskim kupcem), mówiła po angielsku i bywała na organizowanych przez Anglików kolacjach i przyjęciach. Miała na imię Amisi, co oznacza „kwiat”, i wielu Anglików, Francuzów i Egipcjan twierdziło, że swoją urodą w pełni na to miano zasługuje.

Mimo typowych dla mahometan uprzedzeń wobec Franków i chrześcijan w ogóle, starania o rękę młodej wdówki okazały się całkiem proste. Najpierw (nieopodal miejscowej łaźni) kilka razy pozwoliła, żeby Forsyte „przypadkiem” zobaczył jej twarz bez zasłony, co w języku egipskich kobiet oznaczało milczące przyzwolenie na zawarcie bliższej znajomości, a potem wzięli dyskretny ślub, bez wielkiej pompy, za to w zgodzie z mahometańską tradycją; w praktyce wystarczyło jedno zdanie wypowiedziane przez przyszłą matkę Drooda, żeby przypieczętować małżeństwo.

Chłopiec, którego dziś znamy jako Drooda, przyszedł na świat dziesięć miesięcy później. Ojciec nadał mu imię Jasper, które nic nie mówiło matce, sąsiadom ani przyszłym podwórkowym kolegom nieszczęśnika, którzy potem najchętniej okładali go kijami jak pożyczonego muła. Przez

blisko cztery lata Forsyte wychowywał dzieciaka na angielskiego dżentelmena, pilnował, żeby w domu mówiło się tylko po angielsku, w wolnym czasie uczył chłopca i zapowiedział, że w przyszłości pośle go do dobrych angielskich szkół. Amisi nie miała w tej kwestii nic do powiedzenia. Jednakże na szczęście dla młodego Jaspera Johna Forsyte'a–Drooda ojciec rzadko bywał w domu (praca na budowach wymagała od niego częstych wyjazdów poza Kair) i mały Jasper John chodził z matką po ulicach ubrany w łachmany. Amisi doskonale zdawała sobie sprawę, że nie powinien obnosić się ze swoją zamożnością: zarówno jego rówieśnicy, jak i dorośli byliby gotowi go zamordować, gdyby tylko rozeszła się wieść o prawdziwym majątku jego niewiernego ojca.

Pewnego dnia praca na budowie dobiegła końca i John Forsyte – kierując się kaprysem równie nagłym i niespodziewanym jak ten, który wcześniej sprowadził go do Egiptu – postanowił wrócić do Anglii, by tam ułożyć sobie życie na nowo. Porzucił mahometańską żonę i małego mieszańca bez odrobiny żalu, nie zostawił nawet listu pożegnalnego. Nigdy już się do nich nie odezwał.

Matka Drooda została w ten sposób podwójnie zhańbiona: nie dość, że wyszła za chrześcijanina, to jeszcze mąż ją zostawił. Przyjaciele, sąsiedzi i krewni obarczyli ją winą za oba te nieszczęśliwe zdarzenia. Pewnego dnia udała się, jak zwykle, do łaźni, a tam kilku mężczyzn z twarzami zawiniętymi w chusty napadło ją i zawlokło przed sąd złożony z innych zamaskowanych mężczyzn. Została skazana na przejazd przez miasto na ośle w asyście miejscowej policji i wymyślającej jej męskiej tłuszczy, a następnie ukamienowanie przez tłum mężczyzn – a wszystko to na oczach lamentujących kobiet, zakutanych w czarne szaty, z zasłonami na twarzach, obserwujących widowisko z okien i dachów domów.

Kiedy policjanci przybyli do nadrzecznej dzielnicy magazynowej, żeby z dawnego domu Forsyte'a zabrać dziecko ukamienowanej nieszczęśnicy, nigdzie nie mogli go

znaleźć. Nikt z sąsiadów, służących ani krewnych nie przyznał się do udzielenia mu schronienia. Przeszukano wszystkie okoliczne domy, na próżno: chłopiec przepadł jak kamień w wodę. Zostały po nim wszystkie ubranka i zabawki, tak jakby po prostu wyszedł na chwilę przed dom i został porwany w powietrze lub wciągnięty do rzeki przez jakieś zwierzę. Policjanci uznali, że na wieść o egzekucji oskarżonej o niemoralne zachowanie Amisi jakiś życzliwy służący lub sąsiad poradził czteroletniemu Jasperowi, żeby uciekał, gdzie pieprz rośnie, a mały czmychnął w głąb pustyni i tam umarł.

Tak się jednak nie stało.

Kiedy zamożny i szanowany stryj Amisi, Amun, handlarz dywanów z Aleksandrii (który zawsze rozpieszczał bratanicę i zasmucił się ogromnie, gdy pierwszy małżonek zabrał ją do Kairu, a jeszcze bardziej, gdy dowiedział się, że wyszła potem za mąż za niewiernego), dowiedział się, że drugi mąż ją zostawił, udał się do Kairu, żeby namówić ją do powrotu z dzieckiem do Aleksandrii. Amun – którego imię znaczy „ukryty” – poza tym, że za dnia handlował dywanami, nocą wcielał się w kapłana w jednej ze starych świątyń, gdzie wciąż oddawano cześć dawnym bogom – tym starożytnym, pogańskim, faraońskim, których wyznawali wszyscy Egipcjanie, zanim przemocą nawrócono ich na mahometanizm. Sam Amun był już starcem, ale miał młode żony i chciał przekonać Amisi, że mogłaby z nimi zamieszkać.

Spóźnił się zaledwie godzinę: zdążył jeszcze zobaczyć, jak tłum kamieniuje jego bratanicę, ale nie mógł jej już uratować, udał się więc pośpiesznie do jej domu (służący spali, zmęczeni upałem, a sąsiedzi oddawali się rozrywce, jaką było kamienowanie), wykradł Jaspera Johna z łóżeczka i czym prędzej uciekł konno z Kairu, posadziwszy sobie chłopca za plecami. Jasperowi, który nie wiedział, że jego matka nie żyje, i nie miał pojęcia, że Amun jest jego stryjecznym dziadkiem, wyobraźnia podszeptywała, że został uprowadzony przez pustynnego bandytę. Na białym koniu opuścili Kair i pustynnym traktem dotarli do Aleksandrii.

Znalazłszy się w rodzinnym mieście, bezpieczny w murach

ufortyfikowanej rezydencji strzeżonej przez uzbrojonych po zęby wartowników, kapłanów i wiernych aleksandryjskich skrytobójców, stryj Amun przygarnął Jaspera jak własnego syna, nikomu nie zdradziwszy jego prawdziwej tożsamości. Kiedy następnego dnia rano mały Jasper John obudził się w obcym otoczeniu, stryj Amun wyprowadził go do zagrody i kazał, by wybrał sobie kozę. Młody Drood zastanawiał się długo, jak to tylko czterolatki potrafią, ale w końcu wybrał kozę największą, o najbardziej jedwabistej sierści, o diabelskich ślepiach z pionowymi źrenicami. Amun z uśmiechem pokiwał głową, kazał mu zabrać kozę i zaprowadzić beczące zwierzę na prywatny podwórzec w głębi przepastnego kompleksu zabudowań. Tam przestał się uśmiechać, wyjął zza pasa długi, zakrzywiony nóż, wręczył go chłopcu i rzekł:

– Ta koza jest wszystkim, co pozostało z chłopca znanego dawniej jako Jasper John Forsyte, syna angielskiego bezbożnika i zhańbionej kobiety imieniem Amisi. Dzisiaj Jasper John Forsyte umrze, tu, na tym podwórku, a wszystkie te imiona zostaną zapomniane. Ani ty, ani nikt inny więcej ich nie wspomni. A gdyby ktoś to zrobił, zginie.

Stryj Amun ujął drobną rączkę Jaspera Johna w swoją silną dłoń, zacisnął ją na rękojeści noża i szybkim ruchem poderżnął kozie gardło. Miotające się bezradnie zwierzę wykrwawiło się w parę sekund. Krew zbryzgała białą koszulę i spodnie dziecka.

– Od teraz będziesz się nazywał Drood – dodał stryj.

Nie było to bynajmniej nazwisko rodowe Amuna, Wilkie; w ogóle nie jest to popularne egipskie nazwisko. Jego pierwotne znaczenie ginie w pomroce dziejów i odmętach sekretnych rytuałów.

Z biegiem czasu stryj wprowadzał chłopca coraz głębiej w tajemny świat, który zamieszkiwał do spółki ze swoimi akolitami. Za dnia przykładni mahometanie (mały Drood nauczył się recytować Koran i modlić pięć razy dziennie, jak każdy porządny wyznawca islamu), wieczorami Amun i jego tworzący tajemny krąg aleksandryjscy kompani

przedzierzgali się w wyznawców starych egipskich kultów. Drood chadzał z nimi do piramid przy świetle pochodni, poznawał ukryte przed wzrokiem postronnych podziemia Sfinksa i innych świętych miejsc. Jeszcze przed osiągnięciem wieku młodzieńczego pielgrzymował z wujem i innymi kapłanami do Kairu, na wyspę File i do ruin tysiącletnich nekropolii daleko, nad górnym Nilem – w tym także do doliny, w której dawno nieżyjący egipscy królowie (z pewnością pamiętasz, mój drogi Wilkie, że nazywa się ich „faraonami") zostali pochowani w ozdobnych grobach, wykutych w skalistych urwiskach lub pod ziemią.

W tych utajonych świętych kryjówkach kwitła prastara egipska religia i tysiącletnia wiedza tajemna. Tam właśnie Drood zgłębiał ich tajniki i poznawał te same rytuały, które przed wiekami odprawiał Mojżesz.

Stryj Amun specjalizował się w świętej sztuce uzdrawiania. Był (a Drood miał w przyszłości zostać) najwyższym kapłanem w świątyni snu poświęconej Izydzie, Ozyrysowi i Serapisowi. Tradycja tak zwanego leczniczego snu w egipskiej kulturze sięga dziesięć tysięcy lat wstecz, mój drogi Wilkie. Kapłani obdarzeni mocą wywoływania takiego snu potrafili całkowicie przejąć władzę nad swoimi pacjentami. Dzisiaj te same praktyki doczekały się naukowej nazwy „mesmeryzmu", a zjawisko usypiania ludzi tłumaczy się magnetycznym wpływem hipnotyzerów.

Jak dobrze wiesz, mój drogi Wilkie, ja sam mam pewien – niektórzy twierdzą, że nieprzeciętny – talent hipnotyzerski. Opowiadałem ci o przeszkoleniu, jakie przeszedłem pod okiem profesora Johna Elliotsona z londyńskiego University College Hospital, o moich własnych badaniach nad tym darem, a także o tym, jak za pomocą mesmeryzmu pomagałem udręczonej przez duchy madame de la Rue. Zaopiekowałem się nieszczęśnicą na wyraźną prośbę jej męża, a zajęło mi to ładne kilka miesięcy, podczas pobytu we Włoszech i Szwajcarii, i jestem przekonany, że wyleczyłbym ją całkowicie, gdyby nie interwencja powodowanej bezpodstawną i zgoła niedorzeczną zazdrością Catherine.

Drood powiedział mi, że gdy w chwilę po tragedii pierwszy raz zobaczył mnie na skarpie nad wąwozem pod Staplehurst, natychmiast wyczuł we mnie mesmeryczny potencjał. Rozpoznał dany mi przez bogów dar, tak samo jak jego stryj, Amun, przed laty wyczuł tkwiące w nim uśpione talenty uzdrowicielskie.

Odbiegłem jednak od tematu…

Dorastając w Egipcie, Drood doskonalił swoje moce, zgłębiając wiedzę i rytuały starożytnych. Nie wiem, czy się orientujesz, mój drogi Wilkie, ale sam Herodot – czyli nie byle jaki historyk – wspomina o tym, jak wielki król Ramzes, faraon całego Egiptu, pewnego dnia zachorował tak ciężko, że nie było dla niego żadnej nadziei. Jak pisze Herodot (i jak twierdził stryj i inni nauczyciele Drooda), Ramzes „zstąpił do dworu umarłych", po czym, wyleczony, wrócił do świata żywych. Rocznica jego powrotu była uroczyście obchodzona przez tysiące lat i przetrwała do dziś, w islamskim Egipcie. Wiesz, jaki mechanizm umożliwił Ramzesowi cudowny powrót z dworu umarłych?

***

W tym miejscu Dickens znacząco zawiesił głos dla uzyskania lepszego efektu dramatycznego i czekał tak długo, aż nie wytrzymałem i musiałem zapytać:

– Jaki?

***

– Magnetyzm mesmeryczny. Ramzes został rytualnie zahipnotyzowany w świątyni i zmarł jako człowiek, kiedy jednak powrócił między żywych (uleczony z choroby), był już kimś więcej niż człowiekiem.

Tacyt opisuje sławną świątynię snu w Aleksandrii. Tam właśnie nocami uczył się młody Drood i stamtąd wyniósł znajomość pradawnej sztuki mesmeryzmu magnetycznego. Kiedy siedzieliśmy w tej jego świątyni–bibliotece w Podmieście, wyjaśnił mi (wskazując odpowiednie ustępy w

starych pergaminach i księgach), że według Plutarcha, oba rodzaje snu indukowane w świątyniach Izydy i Ozyrysa – profetyczny i uzdrawiający – wymagają zastosowania mesmerycznego kadzidła zwanego kyphi, którego używa się zresztą po dziś dzień (Drood dał mi je powąchać, z fiolki), oraz liry, której kojąca muzyka kołysze do snu. Pitagorejczycy również stosowali kyphi i lirę w sekretnych ceremoniach odprawianych potajemnie w świątyniach i grotach skalnych, ponieważ, tak samo jak starożytni Egipcjanie, wierzyli, że odpowiednio ukierunkowany mesmeryzm pozwala uwolnić duszę od ciała i umożliwia jej nawiązanie bliskiego kontaktu ze światem duchów.

Nie patrz tak na mnie, Wilkie. Wiesz przecież, że nie wierzę w jakieś tam zwyczajne duchy, które postukują talerzykami, i wielokrotnie wykpiwałem je w swoich esejach i odczytach. Jestem jednak ekspertem w dziedzinie mesmeryzmu, a mam nadzieję, że wkrótce poznam ją jeszcze lepiej.

Herodot i Klemens Aleksandryjski cytują tę samą modlitwę, która podobno pozwala przejąć władzę nad umierającym człowiekiem. Od dziesięciu tysięcy lat odmawia się ją podczas wszystkich ważniejszych pogrzebów w Egipcie: „O bogowie, którzy dajecie życie ludziom, wejrzyjcie miłościwie na duszę zmarłego i pozwólcie jej łaskawie udać się w drogę do wieczności.

Tyle że bogowie nie wszystkie dusze puszczają wolno. Niektóre powstrzymują (za pomocą mesmeryzmu magnetycznego) przed odejściem i przywracają światu. Tak właśnie było z faraonem Ramzesem. I tak samo rzecz się ma z człowiekiem, którego znamy jako Drooda.

***

Dickens się zatrzymał. Zrównałem się z nim i również przystanąłem. Od Gad’s Hill dzieliło nas niecałe pół mili, mimo że ostatni odcinek pokonaliśmy w tempie nieco wolniejszym niż ulubiony przez Dickensa wysilony marsz.

Nie będę ukrywał, że przez ostatnie dwadzieścia minut bez reszty dałem się zauroczyć monotonnemu głosowi mojego kompana i przestałem zwracać uwagę na otoczenie.

Dickens spojrzał na mnie z ukosa.

– Nudzę cię, Wilkie?

– Nie żartuj. To fascynujące! Niewiarygodne! Nie każdy i nie co dzień ma okazję usłyszeć historię żywcem wyjętą z *Baśni z tysiąca i jednej nocy* z ust samego Charlesa Dickensa.

– Niewiarygodne… – powtórzył Dickens, uśmiechając się półgębkiem. – Czyli w to nie wierzysz?

– O co właściwie pytasz, Charlesie? O to, czy wierzę w słowa Drooda? Czy w twoje?

– Jedno i drugie – odparł, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Nie mam pojęcia, czy Drood mówił prawdę, ale kiedy ty streszczasz mi jego wypowiedź, wierzę, że czynisz to wiernie.

Skłamałem, Drogi Czytelniku. Ta historia wydała mi się tak niedorzeczna, że nie uwierzyłem ani w nią samą, ani w to, że Dickens wziął ją za dobrą monetę. Przypomniałem sobie natomiast, że wspomniał mi kiedyś o tym, że w dzieciństwie *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* były jego ulubioną książką, i zacząłem się zastanawiać, czy wypadek pod Staplehurst nie wyzwolił na nowo jakiegoś dziecinnego aspektu jego natury.

Pokiwał głową, jak nauczyciel zadowolony z odpowiedzi ucznia.

– Nie muszę ci chyba przypominać, stary druhu, że mówię ci to w najwyższym zaufaniu i tajemnicy.

– To zrozumiałe.

Uśmiechnął się prawie jak dziecko.

– I nie zmieni tego inspektor Field, strasząc cię, że rozpowie całemu światu o Kamerdynerze i Gospodarzu?

Zbyłem go machnięciem ręki.

– I tak nie powiedziałeś mi najważniejszego – zauważyłem.

– Czyżby?

– Owszem – przytaknąłem beznamiętnie. – Nie powiedziałeś, co robił pod Staplehurst. Skąd się tam wziął? Co robił przy rannych i umierających? Wspomniałeś kiedyś,

że wyglądało to tak, jakby wykradał ich dusze. No i ostatnia rzecz: co, u licha, robi w jaskini pod katakumbami, do której dopływa się podziemną rzeką?

– Nie będę przedłużał mojej opowieści, mój drogi Wilkie… – Dickens ruszył w stronę Gad's Hill. – Znajdujmy się już blisko domu. Dlatego po prostu krótko odpowiem na twoje pytania. Po pierwsze, Hatchery słusznie się domyślał, skąd Drood wziął się pod Staplehurst: podróżował w trumnie w wagonie bagażowym.

– Na litość boską! Dlaczego?!

– Dokładnie z takich powodów, jakie podejrzewaliśmy, Wilkie. Drood ma w Anglii i w samym Londynie wrogów, którzy chcieliby go znaleźć i zrobić mu krzywdę. Jednym z nich jest nasz dobry znajomy, inspektor Field. Zresztą, Drood nie jest ani obywatelem angielskim, ani nawet mile widzianym gościem z zagranicy. Z oficjalnych informacji wynika jednoznacznie, że nie żyje od ponad dwudziestu lat. Dlatego właśnie wracał w trumnie z wycieczki do Francji, podczas której spotkał się ze swoimi współwyznawcami oraz specjalistami w dziedzinie oddziaływań magnetycznych.

– Niesamowite… A co powiesz na jego niecodzienne zachowanie na miejscu wypadku? Myszkował wśród rannych, pochylał się nad nimi, a gdy ty do nich docierałeś, byli już martwi. Mówiłeś, że kradł im dusze.

Dickens uśmiechnął się i ściął jakiś chwast, machnąwszy laską jak szablą.

– To tylko dowodzi, jak dalece może się mylić nawet wytrawny i inteligentny obserwator, gdy jego spostrzeżenia zostaną wyrwane z kontekstu, mój drogi Wilkie. Drood wcale nie kradł dusz tym dogorywającym nieszczęśnikom. Przeciwnie, hipnotyzował ich, żeby ułatwić im przejście na tamten świat, i odmawiał słowa pradawnej egipskiej modlitwy, które miały ich wesprzeć podczas tej podróży; słowa tej modlitwy już znasz, przytoczyłem ci je przed chwilą. Krótko mówiąc, zachowywał się podobnie jak katolik udzielający umierającym ostatniego namaszczenia, z tą tylko różnicą, że używał do tego celu mesmerycznych rytuałów ze

świątyni snu. Dzięki temu mógł mieć pewność, że ich dusze udadzą się bezpośrednio przed sąd boży, bez względu na to, jakich bogów wyznawali.

– Niesamowite – powtórzyłem.

– Jeśli zaś chodzi o jego angielskie losy, czyli powody obecności w Podmieście, przybycie do Anglii, sprzeczkę z marynarzem, pchnięcie nożem i tak dalej… Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak opowiedziała nam to Opiumowa Sal, tyle tylko, że na odwrót. Z górą dwadzieścia lat temu Drood przypłynął do Anglii z zamiarem odszukania dwojga swoich egipskich krewnych, młodych bliźniąt, które opanowały inną z pradawnych egipskich umiejętności, a mianowicie sztukę czytania sobie nawzajem w myślach. Przywiózł tysiące funtów w gotówce i majątek w złocie. Drugiej nocy został obrabowany: brytyjscy marynarze napadli go w porcie, okrutnie poranili (to wtedy stracił powieki, uszy, nos, kawałek języka i część palców) i wrzucili do Tamizy, myśląc, że jest trupem. Niewiele się zresztą pomylili. Mieszkańcy Podmiasta znaleźli go unoszącego się na wodzie i przygarnęli, żeby wśród nich spokojnie dokonał żywota. On jednak nie umarł, Wilkie; a jeśli nawet, to najwidoczniej zmartwychwstał. Kiedy bezimienni angielscy bandyci okradali go, bili, cięli i dźgali nożami, on wprowadził się w hipnotyczny trans, w którym jego dusza (albo psychiczna część jego istoty) zawisła w stanie przejściowym między życiem i śmiercią. Smieciarze z Podmiasta wyłowili pozbawione życia ciało, lecz dźwięk zatroskanych ludzkich głosów obudził Drooda z mesmerycznej śpiączki. Drood ożył. Chcąc się odwdzięczyć swoim dobroczyńcom, wybudował w ich podziemnym labiryncie świątynię połączoną z biblioteką, gdzie do dzisiaj uzdrawia tych, których może uzdrowić, pomaga tym, którym starożytne rytuały mogą pomóc, i ułatwia przejście na drugą stronę tym, których ocalić już nie jest w stanie.

– Mówisz o nim jak o jakimś świętym – zauważyłem.

– Bo pod pewnymi względami tak właśnie jest.

– Dlaczego po prostu nie wróci do Egiptu?

– Ależ wraca, Wilkie. Wraca. Od czasu do czasu odwiedza tam swoich uczniów i kolegów po fachu. Pomaga im w odprawianiu starożytnych ceremonii.

– I zawsze potem wraca do Anglii? Po tylu latach?

– Wciąż szuka tamtej dwójki krewniaków. A poza tym zadomowił się u nas nie gorzej niż w Egipcie. No i jest półkrwi Anglikiem.

– Nawet po tym, jak zabił kozę noszącą jego angielskie imię?

Dickens nie odpowiedział.

– Inspektor Field twierdzi, że ten twój pan Drood – uzdrowiciel, hipnotyzer, męczennik i mistyk – przez ostatnie dwadzieścia lat zabił ponad trzystu ludzi.

Czekałem na wybuch śmiechu, ale twarz Dickensa nie zmieniła wyrazu ani na jotę. Przyglądał mi się bacznie.

– Wierzysz w to, że człowiek, z którym rozmawiałem, zabił trzystu ludzi, Wilkie?

Wytrzymałem jego spojrzenie. Moja twarz również pozostała niezobowiązująco obojętna.

– Może hipnotyzuje swoje sługi i dopiero im zleca mokrą robotę, Charlesie.

Teraz się uśmiechnął.

– Na pewno wiesz o tym, mój przyjacielu, jeśli nie z moich sporadycznych publikacji na ten temat, to chociażby z nauk profesora Johna Elliotsona, że obiekt wprowadzony w trans czy też sen hipnotyczny nie może zrobić nic, co przeczyłoby zasadom moralnym, jakim hołduje w stanie pełnej przytomności umysłu.

– Może zatem Drood hipnotyzuje skrytobójców, którzy następnie dokonują opisanych przez Fielda mordów? – zasugerowałem.

– Gdyby byli skrytobójcami, po cóż miałby ich jeszcze hipnotyzować, mój drogi Wilkie? Przecież mógłby im po prostu zapłacić.

– Może tak właśnie zrobił.

Absurdalność tego wywodu osiągnęła punkt krytyczny, po przekroczeniu którego nie sposób było go kontynuować.

Powiodłem wzrokiem po otaczającej nas łące, która drżała delikatnie w nagrzanym popołudniowym powietrzu. Całkiem blisko zza drzew prześwitywał domek dla gości Dickensa i mansardowy dach Gad’s Hill.

Położyłem Panu Niezrównanemu rękę na ramieniu, zanim zdążył ruszyć dalej.

– Czy to właśnie dlatego przynajmniej raz w tygodniu wyprawiasz się cichaczem do Londynu? – spytałem. – Doskonalisz tam swoje umiejętności hipnotyzerskie i pogłębiasz wiedzę o mesmeryzmie?

– Oho, widzę, że naprawdę mam szpiega w rodzinie. Niech no zgadnę: czy to ktoś często uskarżający się na niestrawność?

– Nie, to nie mój brat – odparłem nieco za ostro. – Charles Collins umie dochować tajemnicy i jest wobec ciebie całkowicie lojalny. Pewnego dnia będzie ojcem twoich wnuków. Powinieneś go bardziej szanować.

Coś przemknęło po twarzy Dickensa – nie nazwałbym tego cieniem, ale przez ułamek sekundy odmalowała się na niej odraza. Nie umiałbym jednak powiedzieć, czy wzbudziła ją wzmianka o tym, że mój brat jest jego zięciem (Dickens nigdy nie zaakceptował tego małżeństwa), czy po prostu refleksja, że on sam jest dostatecznie stary, żeby być dziadkiem.

– Słusznie, Wilkie. Przepraszam za mój żarcik, chociaż nie brak w nim było rodzinnej czułości. Jednakże jakiś cichy wewnętrzny głos podpowiada mi, że ze związku Katey Dickens i Charlesa Collinsa nie będzie dzieci.

A to co niby miało znaczyć, do diabła?! Zanim zaczęliśmy się bić – lub maszerować dalej w milczeniu, wypaliłem:

– To Katey powiedziała mi o twoich wypadach do Londynu. Martwi się o ciebie, podobnie jak Georgina i twój syn Charles. Wiedząc, że prześladuje cię wspomnienie wypadku, obawiają się, że wprowadzam cię w arkana jakiejś odrażającej rozrywki w londyńskich jaskiniach rozpusty, która ma na ciebie, za przeproszeniem, iście hipnotyzujący wpływ.

Dickens wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Chodźmy, Wilkie. Jeżeli nawet nie chcesz zostać na zaplanowanej przez Georginę przepysznej kolacji, musisz przynajmniej wypalić ze mną cygaro. Przejdziemy się po stajniach, popatrzymy, jak dzieci bawią się z Johnem Forsterem, a potem każę Plornowi odwieźć cię na stację. Zdążysz na wieczorny ekspres.

***

Psy rzuciły się na nas, gdy tylko weszliśmy na podjazd.

Dickens prawie zawsze trzymał przy bramie psy na uwięzi, ponieważ niechlujne wagabundy i opryskliwe włóczęgi aż nazbyt często miały zwyczaj zbaczania z Dover Road, by przy bocznym lub tylnym wejściu do Gad’s Hill Place dopraszać się nienależnych datków.

W pierwszej kolejności przywitała nas Pani Iskierka, ukochany malutki szpic Mary, do którego Dickens zawsze przemawiał zmienionym, dziecinnym, niemal piskliwym głosikiem. Sekundę później dopadła nas Linda, bernardyn, rozleniwiony pieszczoch, który pół życia spędzał na tarzaniu się po ziemi w towarzystwie olbrzymiego mastiffa imieniem Turek. Cala trójka obskoczyła nas w rozmerdanej ekstazie na widok wracającego pana, który – to muszę uczciwie przyznać – miał wyjątkowy dryg do zwierząt. Podobnie jak wielu ludzi, psy i konie także najwyraźniej rozumiały, że Charles Dickens naprawdę jest Panem Niezrównanym i należy mu się szacunek.

Próbowałem jednocześnie poklepać bernardyna po grzbiecie, pogłaskać rozbrykanego mastiffa i uniknąć zalotów podskakującego szpica, które w swoim uniesieniu obskakiwały na przemian to mnie, to Dickensa, gdy jakieś obce, nieznane mi psisko – duży pies świętego Huberta – wypadło pędem zza załomu żywopłotu i skoczyło w moją stronę, szczerząc zęby i warcząc wściekle, jakby zamierzało rozszarpać mi gardło. Przyznam, że wziąłem zamach laską i cofnąłem się kilka kroków.

– Sułtan, spokój! – krzyknął Dickens.

Pies najpierw znieruchomiał (zaledwie sześć kroków ode mnie!), a potem usiadł i spuścił łeb w typowo psim geście skruchy, słuchając swojego pana, który łajał go surowym, jakby stworzonym do takich połajanek głosem. Na koniec Dickens podrapał szubrawca za uchem.

Ledwie jednak zrobiłem krok naprzód, pies wyszczerzył zęby i warknął ostrzegawczo. Dickens przestał go drapać. Sułtan zmieszał się, skulił, przycupnął na ścieżce i wtulił pysk w buty pana.

– Tego nie znam – powiedziałem.

Dickens pokiwał głową.

– Dostałem go kilka tygodni temu od Percy'ego Fitzgeralda. I wiesz co, Wilkie? Czasem mi ciebie przypomina.

– Pod jakim względem?

– Po pierwsze, jest całkowicie nieustraszony. Po drugie, jest absolutnie lojalny; słucha tylko mnie, za to słucha bez zastrzeżeń. Po trzecie, ma w pogardzie opinię osób trzecich na temat swojego zachowania. Nie cierpi żołnierzy i gdy tylko jakiegoś zobaczy, od razu się na niego rzuca. Serdecznie nie znosi policjantów i zdarza mu się za nimi gonić po trakcie. I nienawidzi innych przedstawicieli swojego rodzaju.

– Ja nie nienawidzę innych przedstawicieli swojego rodzaju – zaprotestowałem półgłosem. – Nie gonię policjantów i nigdy nie zaatakowałem żołnierza.

Dickens udał, że nie słyszy. Głaskał Sułtana po karku, a trzy pozostałe psy kotłowały się wokół nich w spazmach zazdrości.

– Tylko raz złapał w zęby Panią Iskierkę – powiedział. – W dodatku miał dość przyzwoitości, żeby ją wypluć, kiedy mu kazałem. Za to po jego pojawieniu się wszystkie okoliczne kocięta zaginęły bez wieści. Także te z ostatniego miotu kotki, która mieszka w szopie na tyłach „Falstaff Inn".

Sułtan zmierzył mnie wygłodniałym wzrokiem, okazując gotowość pożarcia mnie przy pierwszej nadarzającej się

sposobności.

– A jednak, mimo tego przywiązania, lojalności, odwagi i nieco zabawnego charakteru, obawiam się, że przyjdzie dzień, w którym trzeba będzie naszego przyjaciela Sułtana odstrzelić. I że to ja będę musiał to zrobić.

***

Wróciłem pociągiem do Londynu, ale zamiast przejść się pieszo do Melcombe Place, złapałem dorożkę i pojechałem na Bolsover Street 33. Z panną Marthą R., figurującą w spisie lokatorów jako pani Martha Dawson, spotkałem się na tyłach kamienicy, przy osobnym wejściu do mieszkanka złożonego z maleńkiej sypialni i nieco większego saloniku, wyposażonego w prymitywny piecyk do gotowania.

Zjawiłem się wiele godzin później, niż to zapowiadałem, ale nasłuchiwała moich kroków na schodach.

– Zrobiłam kotlety – powiedziała, zamknąwszy za mną drzwi. – Są jeszcze ciepłe. Ale jeśli nie chcesz teraz jeść, mogę je odgrzać później.

– Odgrzejesz je później – odparłem.

Mój Drogi Czytelniku z odległej przyszłości… Prawie – nie całkiem, ale prawie – mogę sobie wyobrazić, że w twoich czasach pamiętnikarze i powieściopisarze nie spuszczają dyskretnie zasłony milczenia na wypadki natury osobistej, które mogłyby rozegrać się w takiej chwili; na, nazwijmy to, chwile intymności między kobietą i mężczyzną. Mam nadzieję, że epoka, w której żyjesz, nie jest aż tak zdeprawowana, żebyście bez ogródek mówili i pisali o tych absolutnie prywatnych momentach. Tak czy inaczej, jeżeli tutaj, u mnie, szukasz tego rodzaju nieskromnych wynurzeń, to będziesz srodze zawiedziony.

Powiem Ci jednak, że gdybyś zobaczył zdjęcie panny Marthy R., nie jestem wcale pewien, czy doceniłbyś piękno, które ja dostrzegam w niej za każdym razem, gdy ją widzę. Przeciętnemu oku lub obiektywowi aparatu (Martha powiedziała mi, że ma swoje zdjęcie: rodzice opłacili

fotografa, gdy w zeszłym roku kończyła dziewiętnaście lat) wydałaby się po prostu niską, nieco surową kobietą o pociągłej twarzy, lekko negroidalnych ustach, prostych włosach czesanych z wyraźnym przedziałkiem (wyraźnym do tego stopnia, że wydaje się, iż łysieje na czubku głowy), głęboko osadzonych oczach, oraz nosie i cerze, które bez trudu zapewniłyby jej pracę na plantacji bawełny na amerykańskim Południu.

Sama fotografia Marthy R. nijak nie jest w stanie odzwierciedlić energii, którą tętni, jej żarliwości, zmysłowości, wielkoduszności i zuchwałości. Wiele kobiet (z jedną taką żyję na co dzień) potrafi emanować udawaną fizyczną zmysłowością i urzekać nią mężczyzn; umieją się odpowiednio ubierać, malować i trzepotać rzęsami, mimo że wcale tej zmysłowości nie czują. Przypuszczam, że to zwykłe przyzwyczajenie narzuca im taki sposób zachowania. Zdarzają się jednak nieliczne wyjątki (takie jak Martha R.), będące prawdziwym ucieleśnieniem namiętności. Znalezienie takiej kobiety w stadzie niezbyt czułych, niespecjalnie wrażliwych i nieszczególnie żywo reagujących kobiet, jakie zamieszkują Anglię w latach sześćdziesiątych XIX wieku, przypomina nie tyle trafienie na złoty samorodek w kopcu piasku, ile raczej odkrycie żywego i ciepłego ciała wśród zimnych, martwych kształtów zalegających katafalki w paryskiej kostnicy, dokąd z takim zapałem zaciągnął mnie Dickens.

***

Kilka godzin później, siedząc przy uprzątniętym przez Marthę stoliku, jedliśmy podeschnięte kotlety (Martha nie była dobrą kucharką i było pewne, że nigdy nią nie będzie) i poszturchiwaliśmy widelcami zimne, wyschnięte na wiór warzywa. Martha – nie wiem, jakim cudem – sama wybrała i kupiła butelkę wina. Było równie paskudne jak jedzenie.

Wziąłem ją za rękę.

– Najdroższa… – zacząłem. – Jutro z samego rana spakujesz

się i pociągiem o jedenastej piętnaście pojedziesz do Yarmouth. Tam wrócisz do pracy w tym samym hotelu, w którym pracowałaś przedtem, a gdyby ci się nie udało, znajdziesz sobie inne, podobne zajęcie. Najpóźniej jutro wieczorem musisz odwiedzić rodziców i brata w Winterton i zapewnić ich, że jesteś cała, zdrowa i szczęśliwa i właśnie wróciłaś z wakacji w Brighton, na które wyprawiłaś się dzięki pieniądzom z oszczędności.

Trzeba jej oddać sprawiedliwość: ani nie zaczęła biadolić, ani nie próbowała się do mnie mizdrzyć.

– Ależ, panie Collins, mój najmilszy, czym cię tak uraziłam? Masz mi za złe tę kolację?

Roześmiałem się mimo zmęczenia i bólu w oczach i stawach; podagra znów dopominała się o uwagę.

– Nie, moja droga, w żadnym wypadku. Po prostu pewien detektyw zaczął węszyć, a nie możemy mu dać pretekstu do szantażowania mnie… ani ciebie i twojej rodziny. Na jakiś niedługi czas się rozstaniemy, a on znudzi się i zgubi ślad.

– Policjant! – wykrzyknęła Martha.

Niełatwo było ją wytrącić z równowagi, ale przeciętną służącą z prowincji, a nią właśnie była, przerażała myśl o spotkaniu z policją. Zwłaszcza z londyńską policją.

Uśmiechnąłem się, żeby ukoić jej lęki.

– Wcale nie. Ten człowiek nie jest już policjantem, Martho, lecz zwykłym prywatnym detektywem, i to dość podłego sortu. Takich ludzi wynajmują podstarzali lordowie, żeby śledzili ich młode małżonki podczas akcji dobroczynnych. Nie przejmuj się nim, najdroższa.

– Czy na pewno musimy się rozstać?

Rozejrzała się po pokoju, a ja zorientowałem się, że powierza swojej pamięci smętnie prezentujące się sprzęty i paskudne reprodukcje zdobiące ściany, z taką samą czułością, jak mógłby to robić członek rodziny królewskiej skazany na banicję z zamieszkanego od pokoleń zamku.

– Tylko na jakiś czas. – Poklepałem ją po dłoni. – Kiedy rozprawię się z tym detektywem, będziemy mogli od nowa snuć nasze plany. Nawiasem mówiąc, nadal będę

wynajmował to mieszkanko na nazwisko pani Dawson, żebyś na pewno miała gdzie wrócić. Co ty na to?

– Byłabym zachwycona, panie… Dawson. Zostanie pan na noc? To będzie ostatnia noc… na jakiś czas.

– Nie, najdroższa. Dzisiaj podagra wyjątkowo mnie dręczy. Muszę wrócić do domu i wziąć lekarstwo.

– Powinieneś trzymać butelkę leku tutaj, mój ukochany, żeby łagodził twój ból, gdy ja zajmuję się łagodzeniem innych twoich tęsknot i napięć!

Ścisnęła mi rękę z taką siłą, że ból wystrzelił w górę mojego ramienia. Miała teraz łzy w oczach, ja zaś wiedziałem, że płacze nad moim losem, nie nad swoim wygnaniem. Martha R. miała bardzo współczującą duszę.

– Pociąg o jedenastej piętnaście – przypomniałem. Wstałem, narzuciłem płaszcz i położyłem na komodzie garść banknotów i monet o łącznej wartości sześciu funtów. – Tylko zabierz stąd wszystko, najmilsza, pamiętaj. Bezpiecznej podróży. Wkrótce się z tobą skontaktuję.

***

Czternastoletnia Harriet spała w swoim pokoju, Caroline jednak nie położyła się jeszcze, gdy wróciłem do domu przy Melcombe Place 9.

– Jesteś głodny? – zapytała. – Na obiad była cielęcina. Zostawiłam ci kawałek.

– Nie. Może tylko napiję się wina. Podagra okrutnie daje mi się dziś we znaki.

Poszedłem do kuchni, gdzie wyjętym z kamizelki kluczykiem otworzyłem swoją prywatną szafkę i wypiłem trzy kieliszki laudanum, po czym wróciłem do jadalni, gdzie Caroline napełniła już dwa kieliszki pyszną maderą. Wciąż czułem w ustach posmak ohydnego wina Marthy i koniecznie chciałem go spłukać.

– Jak ci minął dzień u Dickensa? – zainteresowała się Caroline. – Nie spodziewałam się, że tak się u niego zasiedzisz.

– Dobrze wiesz, jaki bywa namolny, kiedy zaprosi kogoś na kolację. Nie chce wtedy słyszeć o odmowie.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Posiłki w towarzystwie Dickensa jadam zawsze z tobą: albo u nas w domu, albo w restauracji. I Dickens nigdy się specjalnie nie upiera, żebym posiedziała dłużej przy jego stoliku.

Postanowiłem się z nią nie spierać. Zaczynałem odczuwać zbawienny wpływ laudanum na tętniący mi pod czaszką ból. Miałem dziwne wrażenie, że podskakuję w górę i w dół jak unoszący się na wodzie korek; tak jakby stół i moje krzesło były łódeczką kołyszącą się w kilwaterze innego, większego statku.

– Miło spędziliście czas na pogawędkach? – dopytywała się Caroline.

Miała na sobie koszulę nocną z czerwonego jedwabiu, trochę zbyt krzykliwą, żeby można ją było nazwać gustowną. Wyhaftowane na niej złote kwiaty pulsowały mi w oczach.

– Jeżeli dobrze zrozumiałem, Dickens zagroził, że mnie zabije, jeśli nie będę wypełniał jego poleceń. Odstrzeli mnie jak nieposłusznego psa.

– Wilkie!

Zgroza Caroline nie była udawana. Jej twarz zbielała w słabym świetle lampy.

Parsknąłem wymuszonym śmiechem.

– Nie ma powodów do obaw, najdroższa. Nic takiego nie miało naprawdę miejsca: to tylko kolejny dowód przesadnego umiłowania Wilkiego Collinsa do hiperboli. Udaliśmy się na przyjemną przechadzkę i odbyliśmy dwie nad wyraz interesujące rozmowy: pierwszą podczas spaceru, a drugą przy kolacji i później przy brandy z cygarami. Przyjechał też John Forster ze swoją młodą żonką.

– Ten nudziarz…

– Owszem. – Zdjąłem okulary i potarłem skronie. – Powinienem się położyć.

– Biedactwo ty moje… Masaż na pewno dobrze by ci zrobił.

– Z pewnością – zgodziłem się.

Nie wiem, gdzie Caroline G. nauczyła się sztuki masażu;

nigdy o to nie zapytałem. Podobnie jak większość jej życia w okresie sprzed dziesięciu lat, kiedy się poznaliśmy, także i ten jego fragment pozostaje dla mnie tajemnicą.

Nie ma jednak żadnej tajemnicy w tym, że dotyk jej dłoni przynosił mi wielką ulgę i dawał ogromną przyjemność. Przenieśliśmy się do sypialni.

Po mniej więcej półgodzinie, kiedy skończyła, spytała szeptem:

– Mam zostać na noc, kochanie?

– Nie, nie dziś, najdroższa. Podagra wciąż mnie dręczy. Wiesz, jak to jest: gdy tylko rozkosz słabnie, wraca ból. A jutro muszę wcześnie wstać. Mam dużo pracy.

Caroline skinęła głową, cmoknęła mnie w policzek, zabrała lichtarz z komody i zeszła na parter.

Pomyślałem, że mógłbym trochę popisać (często pracowałem nocą nad *Kobietą w bieli* i poprzednimi książkami), lecz kiedy z pobliskiego podestu schodów dobiegł mnie jakiś ledwie słyszalny odgłos, postanowiłem nie ruszać się z łóżka. Zielonoskóra kobieta z kłami drapieżcy stawała się coraz bardziej bezczelna. W pierwszych miesiącach po przeprowadzce grasowała wyłącznie na wąskich i stromych schodach dla służby, ostatnio jednak coraz częściej zdarzało się, że po północy słyszałem tupot jej bosych stóp na dywaniku i drewnianych stopniach tuż za drzwiami sypialni.

Dźwięk mógł zresztą dobiegać z mojego gabinetu – co byłoby jeszcze gorsze. Nie chciałbym tam wejść i w blasku księżyca zobaczyć jego na moim miejscu.

Zamiast więc wychodzić z sypialni, podszedłem do okna i ostrożnie rozchyliłem zasłony. Nieopodal latarni na rogu dostrzegłem małego obdartusa. Siedział oparty plecami o kosz na śmieci. Może spał, a może obserwował moje okno; nie wiem, nie widziałem jego oczu.

Zasunąłem kotarę i wróciłem do łóżka. Zdarza się, że laudanum nie pozwala mi zasnąć aż do rana; kiedy indziej usypia mnie i zsyła nadzwyczajnie intensywne sny.

Odpływałem już w sen, przegnawszy z pamięci Charlesa Dickensa i widmową postać Drooda, gdy nagle nozdrza

wypełnił mi dławiący, przyprawiający o mdłości odór (zapewne woń gnijącego mięsa), a obrazy szkarłatnych pelargonii – całych ich pęków i stosów, całych wieńców pogrzebowych – zaczęły mi pulsować pod powiekami jak tryskająca krew.

– Na Boga! – wykrzyknąłem. Usiadłem na łóżku, przepełniony pewnością swojej wizji tak absolutną, że zakrawała na jasnowidztwo. – Charles Dickens chce zamordować Edmonda Dickensona!

Rozdział 10

Spisawszy rano notatki z rozmowy z Dickensem, zjadłem późne śniadanie w klubie, całkiem sam. Musiałem pomyśleć.

Poprzedniego dnia Dickens kilkakrotnie dopytywał się, czy mu wierzę – prawda zaś była taka, że mu nie wierzyłem. W każdym razie nie do końca. Nie byłem wcale przekonany, czy w podziemnym labiryncie londyńskich kanałów naprawdę spotkał się z jakimś Droodem. Owszem, widziałem tę niby–gondolę i dwóch przewoźników, których przezwał Wenus i Merkurym. To był jakiś punkt zaczepienia.

Czy aby na pewno ich widziałem? Pamiętałem, jak łódź przybiła do przystani i uwiozła Dickensa za zakręt, prowadzona przez jedną zamaskowaną postać na dziobie i drugą przy wiośle sterowym na rufie… A może nie? Byłem wyczerpany, przerażony i – mimo to – senny. Przed spotkaniem z Dickensem przyjąłem dodatkową dawkę lekarstwa, do kolacji wypiłem więcej wina niż zazwyczaj… Cała ta noc, od początku, zanim jeszcze zeszliśmy przez grobowiec do opiumowego królestwa Lazaree, wydawała mi się nierzeczywista niczym sen.

A przedstawiona przez Dickensa biografia pana Drooda? Co z nią?

Jak to co? Człowiek obdarzony taką wyobraźnią potrafiłby w sekundę zaimprowizować tysiąc takich historii. A zresztą, prawdę powiedziawszy, cała ta historia dzieciństwa Drooda – ojciec Anglik, zamordowana matka mahometanka i tak dalej – nie umywała się do większości pomysłów Charlesa Dickensa.

O dziwo, wiarygodności całej historii najbardziej przydawały te jej fragmenty, które odnosiły się do talentów hipnotyzerskich i mesmerycznych Drooda. Wyjaśniały również, dlaczego Pan Niezrównany – mimo że przecież panicznie bał się podróży pociągiem, a nawet powozem – przynajmniej raz w tygodniu wyprawiał się z Gad’s Hill do Londynu.

Charles Dickens był uczniem (choć chyba „akolita” byłby tu stosowniejszym określeniem) mistrza mesmeryzmu nazwiskiem Drood.

Jeszcze zanim Dickens spróbował (bez powodzenia) zahipnotyzować mnie niedługo po Staplehurst, zdawałem sobie sprawę z jego fascynacji mesmeryzmem, która sięgała wstecz blisko trzydzieści lat, do czasów, w których znano go głównie pod *nom de plume* „Boz”. Wtedy cała Anglia oszalała na tym punkcie. Fenomen mesmeryzmu przyszedł do nas z Francji, gdzie żył ponoć „magnetyczny chłopiec”, który umiał w hipnotycznym transie odczytywać godzinę na zegarku i rozpoznawać wyciągnięte karty, mimo że głowę i oczy miał gęsto opatulone bandażem. Wtedy jeszcze, ma się rozumieć, nie znałem Dickensa, on jednak później wielokrotnie wspominał mi, że starał się wówczas uczestniczyć we wszystkich możliwych londyńskich pokazach hipnotycznych. Największe wrażenie wywarł na młodym Bozie niejaki John Elliotson, wykładowca z University College Hospital.

W 1838 roku Elliotson, za pomocą mesmeryzmu magnetycznego wprowadzał uczestników pokazów (niektórzy byli jego pacjentami w szpitalu) w trans znacznie głębszy niż uzyskiwany przez innych hipnotyzerów. Pogrążeni w transie mężczyźni, kobiety, chłopcy i dziewczęta nie tylko czynili pierwsze kroki ku wyzdrowieniu z chronicznych przypadłości, ale także wchodzili w stany profetyczne i przejawiali talenty jasnowidzów. Cierpiące na epilepsję siostry Okey po zahipnotyzowaniu przez profesora Elliotsona nie tylko podrywały się z wózków inwalidzkich, by tańczyć i śpiewać, ale przejawiały również ewidentny dar jasnowidzenia, który, zdaniem młodego Boza, był całkowicie wiarygodny. Krótko mówiąc, Dickens się nawrócił.

Jak na człowieka wyzbytego stanowczych poglądów religijnych, Dickens stał się gorliwym wyznawcą magnetyzmu zwierzęcego oraz pozwalających nim kierować talentów mesmerycznych. Przypomnę Ci w tym miejscu, Drogi Czytelniku, kontekst naszej epoki: nauka czyniła ogromne postępy na drodze do zrozumienia towarzyszących

mesmeryzmowi energii i fluidów, takich jak elektryczność i magnetyzm. Przepływ fluidu mesmerycznego (obecnego we wszystkich istotach żywych, a zwłaszcza w ludzkim ciele i umyśle) oraz możliwości sterowania nim były dla Dickensa zagadnieniami nie mniej naukowymi i postrzegalnymi niż przełomowe doświadczenie Faradaya, w którym ten zademonstrował związek magnetyzmu z elektrycznością.

Rok później, w 1839, kiedy Elliotson zrezygnował ze stanowiska wykładowcy Zasad i Praktyk Medycznych w University College (podobno miał dość presji wywieranej nań przez władze uczelni w związku z sensacyjną naturą jego pokazów mesmerycznych), Dickens publicznie udzielił mu poparcia, prywatnie zaś pożyczył mu pieniądze i załatwił posadę lekarza rodzinnego dla swoich rodziców i innych członków rodziny. Próbował go również wspierać po latach, kiedy przygnębiony i na wpół obłąkany lekarz zaczął przejawiać skłonności samobójcze.

Sam oczywiście nigdy nie dał się zahipnotyzować. Każdy, komu przyszłoby do głowy, że Charles Dickens zgodzi się złożyć władzę nad sobą w ręce innej osoby, choćby na krótką chwilę, musiałby w ogóle go nie znać. To przecież młody Boz, przyszły Pan Niezrównany, zawsze szukał sposobów na kierowanie poczynaniami innych ludzi. Dla niego mesmeryzm był tylko jednym ze środków do osiągnięcia tego celu – ale z pewnością jednym z tych, którymi interesował się już do końca życia.

Nie trzeba chyba tłumaczyć, że wkrótce sam zaczął eksperymentować z mesmeryzmem i hipnoterapią. Podczas wizyty w Ameryce w roku 1842 opowiadał przyjaciołom, że regularnie hipnotyzuje Catherine, próbując w ten sposób leczyć ją z migren i bezsenności. (Po latach przyznał mi się, że wykorzystywał magnetyzm zwierzęcy do złagodzenia znacznie szerszej gamy występujących u nieszczęsnej małżonki, jak je nazywał, „objawów histerycznych”. Zdradził mi również, że pierwszy raz zahipnotyzował Catherine przez przypadek. Dyskutując o mesmeryzmie ze swoimi amerykańskimi znajomymi, wygłaszał właśnie „światły

wykład na ten temat”, gestykulując wokół ich głów i muskając ich brwi, demonstrując w ten sposób techniki podpatrzone u specjalistów, gdy wtem wprowadził Catherine najpierw w histerię, następnie zaś, usiłując dalszymi gestami ją uspokoić, w głęboki trans hipnotyczny. Następnego dnia zrobił to ponownie, a wkrótce potem podjął regularne próby wyleczenia jej „objawów histerycznych”). Po Catherine przyszła kolej na wąskie grono krewnych i przyjaciół, na których również wypróbował swój talent mesmeryczny. Jednakże dopiero przypadek madame de la Rue sprowadził na niego kłopoty.

Madame Auguste de la Rue była angielską żoną urodzonego w Szwajcarii bankiera Emile’a de la Rue, dyrektora genueńskiego oddziału małego rodzinnego banku, założonego przez jego dziadka. Począwszy od października 1844 roku, kiedy to Charles przyjechał z Catherine do Genui, żeby tam pisać przez jesień i zimę, przez krótki okres Dickensowie i de la Rue byli sąsiadami i spotykali się regularnie w nielicznym gronie zamieszkujących Genuę Anglików.

Augusta de la Rue cierpiała na ostrą postać nerwicy, która objawiała się bezsennością, tikami, spazmami mięśni twarzy oraz tak ciężkimi stanami lękowymi, że całe jej ciało dosłownie zaciskało się w supły. Przedstawiciele mniej wyrafinowanej epoki niż nasza mogliby pomyśleć, że opętały ją demony.

Dickens zaproponował, że spróbuje jej pomóc, używając swojego rozwijającego się talentu hipnotyzerskiego. Emile, małżonek chorej, uznał to za świetny pomysł. „Jestem uszczęśliwiony wizją spotkania z panią”, napisał Dickens w jednym w listów i przez trzy miesiące, od listopada 1844 roku do stycznia 1845 odwiedzał panią de la Rue po kilka razy dziennie. W niektórych seansach uczestniczył także jej mąż. (Emile dzielnie próbował uczyć się mesmeryzmu od Dickensa, żeby móc na własną rękę pomagać żonie, okazało się jednak, że, niestety, nie ma do tego iskry bożej).

Kluczem do tajemnicy schorzenia pani de la Rue było

istnienie zjawy, która nawiedzała ją w snach i w niewiadomy sposób wywoływała przykre objawy.

– Sprawą absolutnie najważniejszą jest – zapowiedział Dickens Emile'owi de la Rue – żeby owa zjawa, wokół której koncentrują się wszelkie przykrości dręczące pańską małżonkę, nie urosła w siłę.

Z tego właśnie powodu Dickens stawiał się w domu państwa de la Rue na każde wezwanie, bez względu na porę dnia i nocy. Zdarzało się, że zostawiał Catherine samą w zimnym genueńskim łożu i o czwartej nad ranem pędził do swojej nieszczęsnej pacjentki, by ulżyć jej w cierpieniu.

Spazmy, tiki, paroksyzmy i bezsenność madame de la Rue zaczęły powoli ustępować. Emile był zachwycony. Jednakże nadal każdego dnia Dickens ją hipnotyzował, by zadać kolejne pytania dotyczące zjawy. Tym, którzy obserwowali sesje hipnotyczne w salonie rezydencji państwa de la Rue, bardzo przypominały one seanse spirytystyczne, kiedy madame de la Rue – pozostając w głębokim transie – opowiadała o ciemnych i jasnych formach duchowych poruszających się wokół niej w jakimś odległym miejscu. Zjawa nieodmiennie próbowała nad nią zapanować, a Charles Dickens mężnie usiłował uwolnić madame de la Rue spod jej mrocznego wpływu.

Kiedy Dickens i Catherine opuścili Genuę pod koniec stycznia, by udać się w dalszą podróż do Rzymu i Neapolu, Emile nadal wysyłał pisarzowi codzienne raporty i zapiski z dziennika na temat zdrowia małżonki. Dickens odpisał, że uważa za konieczne, by państwo de la Rue dołączyli do niego w Rzymie nie później niż pod koniec lutego. Emile z żoną zaplanowali ten wyjazd z odpowiednim wyprzedzeniem.

Catherine nie wiedziała, że mąż zamierza ponownie połączyć się z madame de la Rue. Nie wiedziała też, że zawarł prywatne porozumienie z „pacjentką": on każdego ranka od jedenastej będzie skupiał się przez calutką godzinę na hipnotyzowaniu jej w wyobraźni, ona zaś, znajdując się daleko od niego, miała koncentrować się na odbieraniu promieniowania jego mesmeryzmu magnetycznego, kiedy

skieruje ku niej swój „Promień Wizualny”.

Podróżowali dyliżansem – Catherine na górze, żeby zażywać świeżego powietrza, a Dickens w środku – kiedy nadeszła jedenasta rano i Dickens zaczął się koncentrować na odległej pacjentce. Ledwie począł wyobrażać sobie, jak jego hipnotyczna dłoń przekazuje i kieruje magnetyczne fluidy, kiedy usłyszał stłumiony łoskot upadku Catherine: nie miała pojęcia, że Dickens przesyła magnetyczną energię w kierunku Genui, a mimo to, siedząc na budzie pojazdu, zapadła w gwałtowny trans hipnotyczny i jej powieki zaczęły drżeć konwulsyjnie.

Zanim Dickensowie ulokowali się w Rzymie, rozstanie pacjentki z Magnetycznym Doktorem doprowadziło do poważnego pogorszenia jej stanu. Emile napisał, że pojawiły się oznaki wskazujące na powrót zjawy i fakt, że ponownie przejmuje kontrolę nad Augustą. „Nie jestem w stanie pokonać jej ani zdławić na odległość”, odpisał Dickens. „Zamierzam jednak ścigać tę magnetyczną moc i będąc w pobliżu madame, przebywając z nią, wierzę, że zdołam roztrzaskać tę zjawę niczym szkło”.

Państwo de la Rue pojawili się w Rzymie wkrótce potem – ku niepomiernemu zdumieniu Catherine – i Dickens na nowo podjął codzienne seanse, teraz hipnotyzując madame, jak pisał: „pod drzewami oliwkowymi, czasem w winnicach, niekiedy w koczu, a niekiedy w przydrożnych zajazdach w czasie popasu w środku dnia”.

To właśnie w tym okresie Dickens zgłosił Emile’owi, że u madame pojawiły się niepokojące objawy. „Zwijała się w niemożliwy wręcz kłębek z powodu tiku w mózgu i tylko podążając za jej długimi włosami aż do ich źródła, mogłem się zorientować, gdzie ma głowę”.

Wówczas właśnie Catherine (która ponownie zaszła w ciążę pod koniec stycznia, mniej więcej w okresie, gdy towarzyszyła Dickensowi we wspinaczce na Wezuwiusza, który właśnie był w trakcie erupcji) oznajmiła mężowi, że niepokoi ją jego wyraźnie niestosowny związek z Augustą.

Dickens, jak zawsze, kiedy o coś go oskarżano, wpadł w

furię i zarzucił Catherine, że jej oskarżenia są absurdalne, wręcz nieprzyzwoite i że dla wszystkich innych zaangażowanych i niezaangażowanych w sprawę jest oczywiste, że kieruje nim najczystsza troska doktora mesmeryzmu magnetycznego o jednego ze swoich najbardziej cierpiących pacjentów. Krzyczał, gromił żonę i groził, że wyjedzie z Rzymu bez niej.

Tyle że małżonkę w trzecim miesiącu ciąży – zwłaszcza taką, która obstaje przy swoim równie niezachwianie jak Wielki Mur Chiński – trudno zastraszyć.

Po raz pierwszy Catherine otwarcie przeciwstawiła się jednej z obsesji i miłostek Dickensa. Po raz pierwszy i ostatni Dickens ustąpił. Wyjaśnił państwu de la Rue, że Catherine denerwuje się z powodu ilości czasu, jaką jej mąż spędza z pacjentką, ale również gorąco przeprosił za postawę Catherine, zarzucając jej przewrażliwienie na punkcie własnych potrzeb i niewrażliwość na potrzeby innych.

Nigdy nie zapomniał ani nie wybaczył jej tej ujmy na swoim honorze. Wiele lat później, na krótko przed tym, jak po incydencie z bransoletką Ellen Ternan wypędził Catherine z domu, powrócił do tego, co nazywał jej irracjonalną zazdrością sprzed czternastu lat i skutku, jaki wywołała u niego owa zniewaga.

– Cokolwiek sprawiło, że byłaś nieszczęśliwa w owym czasie w Genui, nie miało to innych korzeni, początku, środka ani końca niż to, co uczyniło cię dumną i szanowaną mężatką, zapewniło ci pozycję wyższą niż wynikająca z twojego urodzenia i otoczyło cię wieloma godnymi pozazdroszczenia rzeczami – rzucił pod jej adresem.

Uznała jego relacje z biedną, udręczoną madame de la Rue za coś podejrzanego. Dickens poinformował ją wiele lat później, że powinna była wiedzieć – i gdyby była dobrą i lojalną żoną, wiedziałaby – że pomoc udzielana tej biednej kobiecie była najczystszym wyrazem jego wrodzonej twórczej pasji i szlachetności. Jego umiejętność hipnotyzowania innych, tak samo jak umiejętność pisania wspaniałych powieści, stanowiła nieodłączną część firmamentu jego

charakteru, będącego jego największego darem.

Jednakże teraz Dickens, pomniejszy mistrz mesmeryzmu magnetycznego, napotkał mistrza nad mistrzami.

Kiedy skończyłem śniadanie w klubie, złożyłem gazetę, odłożyłem serwetkę na krzesło, znalazłem kapelusz i laskę i podszedłem do drzwi, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że Dickens co tydzień udaje się do Londynu pociągiem (chociaż przyprawia go to o śmiertelne poty), by nauczyć się czegoś więcej na temat mesmeryzmu od pewnej osoby.

I wydawało się, że ma to sens, by owa osoba nazywała się Drood.

***

– Ależ, panie Collins, co za miły zbieg okoliczności – rozległ się opryskliwy głos za moimi plecami, kiedy szedłem Chancery Lane w kierunku Lincoln's Inn Court.

– Panie Field – odpowiedziałem, na poły odwróciwszy się i skinąwszy głową, ale nie przystając i celowo pomijając słowo „inspektor" przed nazwiskiem.

Albo nie zauważył tego pominięcia, albo udał, że to przeoczył.

– Jaki piękny jesienny dzień, nieprawdaż, panie Collins?

– Owszem.

– Wczoraj też mieliśmy przyjemny dzień. Udała się panu wycieczka do Chatham i Gad's Hill?

Zastukałem dwukrotnie laską o bruk.

– Czyżbym był śledzony, panie Field? Myślałem, że kazał pan czekać chłopcu przy Melcombe Place i Dorset Square, na wypadek, gdybym chciał panu przesłać jakąś wiadomość.

– Och, ależ oczywiście, panie Collins – odpowiedział Field, reagując tylko na drugą połowę mojego pytania. – Chłopak, Gooseberry, jest tam teraz i cierpliwie czeka. Stać go na cierpliwość, ponieważ płacę mu za to, żeby czekał. Jednakże w moim zawodzie za podobną cierpliwość słono się płaci. Czas, jak mawiają niektórzy, to pieniądz.

Przeszliśmy przez Lincoln's Inn Fields. John Forster

mieszkał tu w czasie długich lat kawalerstwa i zawsze się zastanawiałem, czy to tylko zbieg okoliczności, że Dickens umieścił swojego nikczemnego prawnika Tulkinghorna z *Samotni* pod dawnym adresem Forstera.

Kiedy przeszliśmy przez Fields i dotarliśmy do Oxford Street, obaj przystanęliśmy przy krawężniku, ponieważ ulicą z łoskotem przejeżdżały furmanki. Potem musieliśmy poczekać, aż przejedzie sznur powozów. Field wyjął zegarek z kamizelki i sprawdził godzinę.

– Jedenasta dwadzieścia pięć – oznajmił. – Panna R. powinna być już na peryferiach Londynu w drodze powrotnej do Yarmouth.

Chwyciłem laskę, jakby to była pałka.

– Czyli kazał pan swoim ludziom nas śledzić – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. – Jeśli płaci pan za to swoim agentom, inspektorze, to marnuje pan nie tylko czas, ale i pieniądze.

– Zgadzam się. Dlatego pańskie informacje uwolnią nas obu od konieczności marnotrawienia czasu, panie Collins.

– Skoro śledził mnie pan wczoraj – odparłem – to wie pan tyle samo, co ja.

Field się roześmiał.

– Mogę opisać panu trasę, jaką przebył pan razem z panem Dickensem w czasie waszego trzygodzinnego spaceru, panie Collins. Nie mogę jednak nawet zgrubnie oddać sensu waszej rozmowy, choć wiem, że rozmawialiście, a raczej pan Dickens mówił, przez większość drogi powrotnej z Cooling Marsh.

Przyznaję, że na dźwięk tych słów rumieniec prawdziwego gniewu wypełzł mi spod kołnierzyka na policzki. Nie przypominałem sobie żadnych innych pieszych w czasie mojego spaceru z Dickensem. Chociaż w pobliżu ciągle kręcili się jacyś szubrawcy. Czułem się winny i obnażony, choć nie robiliśmy z Dickensem niczego nagannego, jedynie udaliśmy się na popołudniową przechadzkę dla zdrowia. A skąd Field wiedział, że Martha odjechała pociągiem kwadrans po jedenastej, czyli raptem na dziesięć minut przed tym, jak ten piekielny inspektor oznajmił mi o tym?

Czy jeden z jego agentów przygnał na łeb na szyję z dworca Charing Cross, żeby poinformować swojego wścibskiego przełożonego i szantażystę w jednej osobie o tym fakcie najwyższej wagi? Czy agenci przesyłali mu sygnały nawet w tej chwili z jakiegoś zaułka od strony Gray's Inn albo Seven Dials? Gniew narastał we mnie, aż poczułem, że serce mi kołacze pod wykrochmaloną koszulą.

– Chce pan, żebym panu powiedział, dokąd udaję się w tej chwili, inspektorze? – zapytałem gniewnie, skręcając w lewo i ruszając dziarskim krokiem na zachód, w stronę Oxford Street.

– Podejrzewałbym, że wybiera się pan do British Museum, panie Collins, a tam zapewne spędzi pan nieco czasu w czytelni, ale bardziej prawdopodobne, że przejrzy pan zbiory Layarda i Richa z Niniwy oraz etnograficzną kolekcję z Egiptu.

Przystanąłem. Włosy zjeżyły mi się na karku.

– Muzeum jest dzisiaj zamknięte – odparłem.

– Owszem – przyznał inspektor Field – ale pański przyjaciel, pan Reed, będzie czekał, żeby otworzyć dla pana boczne drzwi i dać panu przepustkę dla Gościa Specjalnego.

Zrobiłem krok w stronę krzepkiego sześćdziesięciolatka i wycedziłem bardzo cicho, lecz niezwykle stanowczo:

– Popełnia pan błąd.

– Tak?

– Tak. – Zaciskałem rękę na gałce laski, aż wyobraziłem sobie, że mosiądz się ugina. – Pański szantaż na mnie nie podziała, panie Field. Nie jestem człowiekiem, który ma wiele do ukrycia. Ani przed przyjaciółmi, ani przed rodziną czy czytelnikami.

Field uniósł obie ręce, jakbym zaszokował go tą sugestią.

– Skądże znowu, panie Collins! Skądże znowu! To słowo… szantaż… jest jak najdalsze od wszystkiego, co może zaistnieć między dżentelmenami takimi jak my dwaj. My jedynie badamy obszary będące przedmiotem obopólnej troski. Jestem pańskim sługą uniżonym, jeśli tylko mogę panu pomóc uniknąć potencjalnych trudności. W istocie na

tym właśnie polega moja profesja. Detektyw posługuje się informacją tylko po to, żeby pomagać utalentowanym ludziom, nigdy, by ich krzywdzić.

– Wątpię, czy zdołałby pan przekonać do tego Charlesa Dickensa – odpowiedziałem. – Zwłaszcza gdyby odkrył, że nadal każe pan go śledzić.

Field pokręcił głową niemal ze smutkiem.

– Moim celem jest wyłącznie pomóc panu Dickensowi i go chronić. Nie ma pojęcia, w jakim niebezpieczeństwie się znalazł z powodu swojej znajomości z diabłem, który nazywa siebie Droodem.

– Z tego, co mówi mi pan Dickens – powiedziałem – wynika, że Drood, którego on poznał, jest raczej niezrozumianym człowiekiem niż diabłem.

– Doprawdy – mruknął Field. – Panie Collins, pan jest młody. Przynajmniej względnie młody. Młodszy od pana Dickensa czy mnie samego. Pamięta pan, jaki los spotkał lorda Lucana?

Przystanąłem obok latarni ulicznej i popukałem w bruk laską.

– Lorda Lucana? Radykała z parlamentu, którego znaleziono zamordowanego wiele lat temu?

– Zamordowanego w straszliwy sposób – przytaknął inspektor Field. – Wyrwano mu serce z piersi, kiedy przebywał samotnie w swojej posiadłości, Wiseton, tak się nazywała, w Hertfordshire, w pobliżu Stevenage. To było w tysiąc osiemset czterdziestym szóstym roku. Lord Lucan był przyjacielem pańskiego znajomego z kręgów literackich i starego przyjaciela pana Dickensa, Edwarda Bulwera–Lyttona, lorda Lyttona. Posiadłość lorda Lucana znajdowała się zaledwie trzy mile od zamku Knebworth lorda Lyttona.

– Byłem tam kilka razy – przyznałem. – Mam na myśli Knebworth. Ale co to dawne morderstwo ma wspólnego z naszą dyskusją, inspektorze?

Field położył pulchny palec wzdłuż nosa.

– Lord Lucan, zanim przyjął ten tytuł po śmierci starszego brata, był niejakim Johnem Frederickiem Forsyte’em… raczej

czarną owcą w arystokratycznej rodzinie, chociaż otrzymał dyplom inżyniera i prywatnie opublikował kilka książek w oparciu o swoje podróże. Krążyły plotki, że w młodości lord Lucan poślubił mahometankę w czasie długiego pobytu w Egipcie… I być może nawet spłodził tam dziecko albo dwoje. Straszliwa śmierć lorda Lucana nastąpiła niecały rok po tym, jak człowiek, który zwie siebie Droodem, w tysiąc osiemset czterdziestym piątym roku zjawił się po raz pierwszy w londyńskim porcie.

Spojrzałem na starzejącego się detektywa.

– Zatem sam pan widzi, panie Collins – ciągnął Field – to całkiem możliwe, że pan i ja możemy służyć sobie wielką pomocą, dzieląc się posiadanymi informacjami. Wierzę, że pańskiemu przyjacielowi, panu Dickensowi, grozi ogromne niebezpieczeństwo. Więcej nawet, wiem, że grozi mu niebezpieczeństwo, jeśli nadal będzie spotykał się z tym diabłem imieniem Drood. Apeluję do pańskiej odpowiedzialności jako przyjaciela wielkiego pisarza, by pomógł mi pan go chronić.

Przez chwilę głaskałem się po brodzie. Wreszcie spytałem:

– Inspektorze Field, czego pan ode mnie chce?

– Jedynie informacji, które pozwolą nam lepiej chronić pańskiego przyjaciela i aresztować diabła.

– Innymi słowy, chce pan, żebym nadal szpiegował Charlesa Dickensa i meldował panu o wszystkim, co mi mówi na temat tego Drooda.

Stary detektyw patrzył na mnie przenikliwym wzrokiem. Bez słowa. Gdybym nie wypatrywał skinienia głową, nie zauważyłbym go, tak dalece było niezauważalne.

– Coś jeszcze? – zapytałem.

– Gdyby zdołał pan przekonać pana Dickensa, że pana towarzystwo jest niezbędne w czasie następnej nocnej wyprawy do Podmiasta, tym razem aż do samej kryjówki Drooda, byłoby to ogromnie pomocne – powiedział Field.

– Żebym osobiście mógł wskazać wam drogę, kiedy nadejdzie czas aresztowania tego człowieka.

– Tak.

Teraz przyszła moja kolej, by skinąć głową.

– To bardzo trudna rzecz, inspektorze, stać się informatorem, gdy w grę wchodzi najbliższy przyjaciel, zwłaszcza gdy ten przyjaciel ma temperament i pozycję pana Charlesa Dickensa. Może mnie zniszczyć na polu zawodowym i osobistym.

– Przecież pan robi to w jego najlepszym interesie… – zaczął inspektor.

– To już ustaliliśmy – przerwałem mu. – I być może pewnego dnia Dickens dostrzeże to w takim samym świetle, ale to człowiek gwałtownych emocji, inspektorze. Nawet gdyby moje… szpiegowanie… miało mu uratować życie, bardzo możliwe, że nigdy mi nie wybaczy. A nawet spróbuje mnie zniszczyć.

Detektyw nie przestał mi się bacznie przyglądać.

– Chcę tylko, żeby pan zrozumiał, ile ryzykuję – powiedziałem. – I dlaczego takie ryzyko wymaga, żebym poprosił pana o dwie rzeczy.

Jeśli na jego twarzy zabłysł uśmiech, to pojawił się i zniknął zbyt szybko, żeby ludzkie oko to dostrzegło.

– Ależ oczywiście, panie Collins – odparł gładko. – Jak już powiedziałem, to umowa między dwoma dżentelmenami. Mogę poznać naturę pańskich dwóch próśb?

– Inspektorze, czy przypadkiem czytał pan powieść Dickensa *Samotnia?.*

Starszy mężczyzna wydał z siebie chrapliwy odgłos. Przez sekundę myślałem, że splunie na chodnik.

– Zerknąłem… na nią… panie Collins. Przelotnie.

– Jednak zdaje pan sobie sprawę, inspektorze, że wielu ludzi wierzy, że stanowi pan wzorzec bohatera z tej powieści, który nazywa się inspektor Bucket?

Field ponuro pokiwał głową i nic nie powiedział.

– Nie jest pan specjalnie zadowolony z tego wizerunku?

– Uznałem, że postać Bucketa to karykatura i farsa z należytego policyjnego zachowania, procedury i przyzwoitości – warknął.

– Niemniej – powiedziałem – powieść Dickensa, którą

uważam za raczej posępną i niestrawną, zwłaszcza z powodu przesłodzonej i ckliwej narratorki nazwiskiem Esther Summerson, jakby ożywała w przedostatnich rozdziałach, kiedy nasz inspektor Bucket przejmuje sprawę morderstwa adwokata Tulkinghorna i podejmuje bezowocny, acz ekscytujący pościg za prawdziwą matką Esther, lady Dedlock, która ma umrzeć na cmentarzu komunalnym.

– Do czego pan zmierza? – spytał Field.

– Zmierzam do tego, inspektorze, że jako zawodowy powieściopisarz dostrzegam potencjał w książce, której protagonistą byłby detektyw ze Scotland Yardu lub prywatny detektyw, nie aż tak różny od inspektora Bucketa, tyle że… rzecz jasna… inteligentniejszy, bardziej wnikliwy, lepiej wykształcony, przystojniejszy i bardziej etyczny. Innymi słowy, inspektorze Field, bohater literacki wcale nie tak bardzo różniący się od pana.

Starszy mężczyzna zerknął na mnie spod zmrużonych powiek. Gruby palec wskazujący spoczywał koło ucha, jakby inspektor słuchał szeptanej przez niego rady.

– Jest pan nazbyt uprzejmy, panie Collins – odparł w końcu. – Stanowczo nazbyt uprzejmy. Może jednak, mimo wszystko, na swój skromny sposób mógłbym okazać się pomocny w zbieraniu informacji potrzebnych panu do stworzenia takiej postaci i takiej powieści. Służąc radą, być może, w kwestii stosownych metod detektywistycznych i policyjnych procedur, żeby uniknąć farsy w rodzaju tej, którą przedstawiono w powieści pana Dickensa?

Uśmiechnąłem się i poprawiłem okulary.

– Więcej nawet, inspektorze. Ogromnie skorzystałbym, mając dostęp do pańskich… Jakby pan je nazwał?… Akt morderstw. Zakładam, że trzymacie takie rzeczy, niezależnie od tego, jak bardzo są koszmarne?

– Owszem, trzymamy, drogi panie – odpowiedział Field. – I z pewnością okazałyby się nieocenione dla człowieka pióra, który pragnie osiągnąć, jak to się mówi, realizm w tego rodzaju powieści. To uczciwa prośba i przystaję na nią bez wahania.

– Doskonale – powiedziałem. – Mój drugi warunek także nie powinien sprawić panu najmniejszego kłopotu. Ponieważ jestem przekonany, że nie zaprzestanie pan swojej inwigilacji, chcę mieć dostęp do wszelkich informacji, niezależnie od tego, czy to ja poproszę o ich zebranie.

– O jakiej inwigilacji mówimy?

– Chcę wiedzieć wszystko, czego pan i pańscy agenci zdołacie dowiedzieć się na temat aktorki Ellen Ternan. Gdzie przebywa. Gdzie mieszka (z matką) i czy za mieszkanie płaci Dickens. Sposób, w jaki zarabia, i czy te fundusze wystarczają, żeby utrzymać się na poziomie, na który obecnie sobie pozwala. Kiedy wychodzi i wraca. Jej związek z Charlesem Dickensem. Wszystko.

Inspektor Field nadal mierzył mnie obojętnym, beznamiętnym, odrobinę oskarżycielskim spojrzeniem, którym – byłem co do tego przekonany – obrzucił tysiąc zbrodniarzy. Ja jednak nie byłem kryminalistą – przynajmniej na razie – i nie ugiąłem się pod siłą jego wzroku.

– Przedziwna prośba, panie Collins, o ile pozwoli pan, że wyrażę swoją opinię. Chyba że osobiście jest pan zainteresowany panną Ternan.

– W żadnej mierze, inspektorze. Zapewniam. Raczej jestem przekonany, że panna Ternan łączy się z tą… tajemnicą… którą pan i ja próbujemy rozwikłać, tak samo jak jestem przekonany, że ta kobieta może działać na szkodę Charlesa Dickensa. By chronić mego przyjaciela… a także, być może, samego siebie… muszę lepiej zrozumieć jej życie i ich związek.

Field potarł dolną wargę zakrzywionym, serdelkowatym palcem.

– Myśli pan, panie Collins, że panna Ternan może rzeczywiście być wspólniczką tego potwora Drooda? Jego agentką?

Roześmiałem się.

– Inspektorze, nie wiem na temat tej kobiety dość, żeby pozwolić sobie na takie spekulacje. I dlatego właśnie pogłębiona wiedza o niej samej, jej siostrach i matce, a także

o jej związku z moim przyjacielem Dickensem jest kluczowa dla zawarcia naszego sojuszu.

Field nadal poklepywał i przyciskał wargę.

– Zatem rozumiemy się, inspektorze? – zapytałem.

– Myślę, że tak, panie Collins. Myślę, że istotnie doskonale się rozumiemy. Zgadzam się na pańskie warunki i mam nadzieję dostarczyć wszelkich potrzebnych panu informacji.

Wyciągnął spracowaną rękę.

Uścisnąłem ją.

Minutę potem podjąłem spacer w stronę British Museum, a Field towarzyszył mi, idąc pośpiesznym krokiem. Powtórzyłem mu wszystko, co Charles Dickens powiedział mi poprzedniego dnia w czasie naszego spaceru do Cooling Marsh i z powrotem.

Rozdział 11

Zima uderzyła z całą mocą, do listopada odzierając z liści wszystkie drzewa w pobliżu Gad's Hill Place, przeganiając Dickensa z letniego domku do gabinetu od frontu (z trzaskającym ogniem kominkiem z zielonej porcelany), zabijając szkarłatne pelargonie w jego ogrodzie i wysyłając pędzone wiatrem niskie, szare chmury nad niskie, szare kamienne budynki i ulice Londynu, w którym rezydowałem.

Wraz z zimą nadeszły silniejsze ataki choroby zarówno dla Dickensa, jak i dla mnie. Słynniejszy pisarz kontynuował zmagania z lękami po wypadku pod Staplehurst, z nieustannym zmęczeniem, z bólem nerek, który dręczył go od dzieciństwa, i z martwotą lewej strony ciała po „udarze słonecznym" doznanym we wrześniu we Francji. Niezaprzeczenie działo się z nim coś o wiele poważniejszego, niż był skłonny przyznać. Mieliśmy z Dickensem tego samego lekarza, naszego wspólnego przyjaciela, Franka Bearda, i chociaż Beard rzadko mówił o drugim pacjencie, wyczuwałem jego głęboki niepokój.

Miałem własne problemy, w tym straszliwą podagrę i towarzyszący jej ból, omdlenia, obolałe stawy, rosnącą otyłość (przez którą czułem obrzydzenie do samego siebie, ponieważ nie udało mi się zmniejszyć rozmiarów posiłków, którymi się rozkoszowałem), wzdęcia, skurcze, rozmaite inne problemy trawienne i straszliwe palpitacje serca. Miało się wrażenie, że nikt nie zdaje sobie sprawy z dolegliwości Dickensa, za to cały świat wie o moich. Pewien Francuz napisał do mnie poprzez mojego wydawcę, by mi oznajmić, że „założył się o dziesięć butelek szampana, że żyję, wbrew temu, co myślą inni" i że jeśli nadal oddycham, to błaga, bym go o tym fakcie powiadomił.

Tej jesieni napisałem do mojej matki:

> *Oto nadeszła „czterdziestka"* [tak naprawdę w styczniu skończyłem czterdzieści jeden lat] – *siwe włosy tak szybko rzedną… Reumatyzm i podagra to znajomi*

wrogowie już od pewnego czasu, moja własna obrzydliwa korpulencja czyni mnie grubym i nieporęcznym… Obrosły mnie wszystkie najgorsze oznaki wieku średniego.

A jednak, jak zwierzyłem się matce, nie czułem się staro. Nie miałem stałych zwyczajów ani większych uprzedzeń.

Drogi Czytelniku, nie powiedziałem Ci jeszcze nic o najważniejszej kobiecie w moim życiu.

Moja matka, Harriet Geddes Collins, poznała mojego ojca, artystę Williama Collinsa, kiedy oboje byli po dwudziestce. Ona także wywodziła się z rodziny o wieloletniej tradycji artystycznej; wraz z siostrami nieustannie coś rysowały, jedna z sióstr wstąpiła nawet do Akademii Królewskiej w Londynie. Ścieżki Harriet Geddes i mojego ojca skrzyżowały się po raz pierwszy na balu, który wydali znajomi ojca ze świata artystycznego dla swoich przyjaciółek. Później spotkali się jeszcze kilka razy w Londynie, w 1821 roku utwierdzili się w przekonaniu, że żadne z nich nie pielęgnuje innych ważnych znajomości, i pobrali się w Edynburgu w roku 1822. Urodziłem się niecałe osiemnaście miesięcy później, ósmego stycznia 1824 roku. Mój brat Charles urodził się w styczniu 1828.

Jednym z przyjaciół mojego ojca był Samuel Taylor Coleridge i doskonale pamiętam dzień, kiedy byłem młodym chłopcem, a poeta przyszedł do naszego domu, odkrył, że ojciec wyszedł, po czym zaczął wypłakiwać się mojej matce z powodu rosnącego uzależnienia od opium. To był pierwszy raz, kiedy widziałem lub słyszałem dorosłego mężczyznę, który płacze – Coleridge łkał tak bardzo, że nie mógł złapać tchu – i nigdy nie zapomnę słów wypowiedzianych do niego przez moją matkę tamtego dnia:

– Panie Coleridge, proszę nie płakać. Skoro opium naprawdę panu pomaga i musi pan je mieć, to dlaczego nie pójdzie pan go kupić?

Wiele razy w minionych latach sam wypłakiwałem gorzkie łzy z powodu rosnącego zapotrzebowania na lek i wtedy

przypominałem sobie słowa mojej matki na ten temat.

Mój ojciec wrócił do domu zaraz po tym, jak Coleridge usłyszał jej radę. Pamiętam, jak łamiącym się głosem poeta powiedział:

– Collins, pańska żona to nadzwyczaj rozsądna kobieta!

Moja matka była rozsądną kobietą, ale mój ojciec był wielkim artystą i wielkim człowiekiem. Otrzymałem drugie imię na chrzcie – Wilkie – przez wzgląd na jego stosunki z szanownym sir Davidem Wilkie, starym przyjacielem ojca ze szkolnej ławy, który podniósł mnie wkrótce po urodzeniu, spojrzał mi w oczy i oznajmił:

– On widzi.

(Słowa te miały oznaczać, w rozumieniu poetyckim, że przejmę po ojcu artystyczną pałeczkę, ale – jak się przekonamy – nie było mi to pisane. To mój młodszy brat, Charley, odziedziczył większe zdolności malarskie i został wybrany do tej roli).

Mój ojciec był wielkim człowiekiem, który przyjaźnił się z wielkimi ludźmi. Kiedy dorastałem – a byłem dość wątłym dzieckiem o wielkich oczach i mocno zaokrąglonym czole – uznawałem za naturalne to, że Wordsworthowie, Coleridge, Robert Southey i sir Walter Scott pozostaną znajomymi naszej rodziny i będą bywać w naszym domu. Mój ojciec nie tylko otrzymywał zlecenia, ale i spędzał wiele czasu z takimi szacownymi personami, jak sir Francis Chantrey, książę Newcastle, sir Robert Peel, sir Thomas Lawrence, sir Thomas Heathcote, sir Thomas Baring, sir George Beaumont i lord Liverpool.

Oczywiście, prawdą jest, że ogromna większość czasu, który ojciec spędził z wielkimi, to czas spędzony z dala od naszej matki. Jestem przekonany, że ojciec nie wstydził się mojej matki ani – z pewnością – Charlesa czy mnie, ale wolał spędzać czas wśród wielkich ludzi z dala od ogniska domowego. Mimo to, regularnie pisywał do domu i często po wyliczeniu ekscytujących wydarzeń i osobistości, jakie spotkał podczas dni i tygodni spędzonych w oddaleniu od nas, dorzucał taki aneks jak ten, na który natrafiłem, gdy

niedawno porządkowałem papiery matki:

> *Nic nie poradzę na tęsknotę za domem, chociaż tak przyjemnie spędzam czas, tak przyjemnie, jak tylko mogą uprzyjemnić mi życie najserdeczniejsi przyjaciele, dziarskie młode damy i wszystkie inne radości tego świata. Pochlebiam sobie, że próżniacze życie, które prowadzę, zadowoli Ciebie i być może uczyni mnie silniejszym, i z tego względu postanowiłem wykorzystać je najlepiej, jak się da.*

I rzeczywiście wierzę, że je wykorzystywał, chociaż trzeba powiedzieć, że mimo rozlicznych zamówień od takich sław, jego zarobki nie były ani pewne, ani regularne. Jednakże moja matka żyła oszczędnie i dbała, byśmy z Charleyem żyli podobnie, więc mieliśmy odłożone pewne oszczędności.

Ojciec był człowiekiem nadzwyczaj religijnym. Dawno temu przysiągł sobie wyplenić ze swojego życia wszelkie skłonności do gnuśności czy bezbożności i nie tolerowałby żadnej z tych wad w życiu żony lub swoich dzieci. Niektórzy uważali go za surowego, wręcz kołtuńskiego, ale to niesprawiedliwe słowa. W innym liście do matki, przysłanym z jakiegoś szkockiego zamku, kiedy Charley i ja nosiliśmy jeszcze krótkie spodenki, napisał:

> *Powiedz drogim dzieciom, że jedyny sposób, w jaki mogą służyć swoim rodzicom, to słuchać ich we wszystkim. Niech Charley wyszuka w Piśmie Świętym fragmenty, w których kładzie się na ten obowiązek największy nacisk, i niech je dla mnie wypisze.*

A w osobnym liście do mojego brata i do mnie – w liście, który nadal posiadam i często czytuję – William Collins okazał prawdziwego ducha swojej religijności:

> *Relacja Waszej matki na Wasz temat w jej ostatnim liście ogromnie mnie uradowała. Módlcie się dalej do Boga, poprzez Jezusa Chrystusa, aby pozwolił wam dzięki Duchowi Świętemu być błogosławieństwem dla*

Waszych rodziców. A wtedy na pewno będziecie szczęśliwi.

Kierując się swoimi przekonaniami, ojciec zasłynął z donosów. Jego tolerancja dla tolerancji była bardzo niewielka. Kiedy pewnego razu naszego bliskiego sąsiada, artystę Johna Linnella (który namalował kilka naszych portretów), przyłapano na pracowaniu w niedzielę – przybijał swoje drzewka brzoskwiniowe i nektarynkowe do północnej ściany domu – ojciec nie tylko go zganił, ale i doniósł na niego kongregacjonalistycznemu kaznodziei, który nas odwiedził. Ojciec wierzył także w plotkę – i sam ją rozgłaszał – że Linnell oszukiwał jednego ze swoich ogrodników na zarobkach, a kiedy Linnell zakwestionował jego słowa, ojciec wykrzyknął:

– Jakież znaczenie ma to, czy oszukałeś tego człowieka na zarobkach, czy też nie, skoro nieustannie robisz rzeczy po dziesięciokroć gorsze?

Te dziesięciokroć gorsze rzeczy obejmowały pracę w niedzielę i bycie dysydentem.

Byłem z ojcem, kiedy spotkaliśmy poetę Williama Blake'a na Strandzie i kiedy Blake – jako znajomy – pozdrowił mojego ojca i podał mu dłoń, a ten umyślnie go zignorował, odwrócił się do niego plecami i odszedł ze mną, zanim zdążyłem się odezwać. Trzeba Ci bowiem wiedzieć, Czytelniku, że w drugiej ręce Blake niósł dzban porteru.

Później, kiedy byłem tuż po dwudziestce i spisywałem wspomnienia ojca już po jego śmierci, zdałem sobie sprawę, jak bardzo zazdrościło mu wielu tak zwanych wielkich artystów z tamtego okresu. Na przykład, John Constable, wieloletni znajomy, otrzymywał zaledwie po kilkaset funtów za swoje pochmurne, zamazane obrazy w latach, kiedy mój ojciec zarabiał ponad tysiąc funtów rocznie za zlecenia na to, co Constable wyszydzał jako „ładne landszafty" i „płaskie, bezduszne, modne portrety". Kiedy Constable w ogóle nie mógł znaleźć klientów (głównie przez upór, z jakim malował tak niepopularne dzieła, jak *Zboże na polu,* w czasie kiedy

mój ojciec trzymał rękę na pulsie klientów i Akademii, pragnących bardziej dekoracyjnych prac), z frustracji napisał następujące słowa w liście, który ku wściekłości mojego ojca został upubliczniony:

> *Turner wystawia wielki obraz przedstawiający Dieppe… Calcotte ponoć zupełnie nic… Collins, jak zwykle, scenkę nadmorską z rybą i krajobraz z wielkim krowim plackiem, przynajmniej jeśli wziąć pod uwagę kolor i kształt.*

Wspomniałem już wcześniej, że mój ojciec zdecydował, kiedy byliśmy jeszcze dość młodzi, że to Charley, nie ja, zostanie prawdziwym spadkobiercą jego artystycznych talentów i kariery, mimo poczynionych przez sir Davida Wilkie, mojego imiennika, zapewnień nad moją kołyską. Zapisał Charleya do prywatnej szkoły sztuk pięknych, poświęcał mu dużo dodatkowej uwagi w czasie naszych długich wypraw do Europy, gdzie analizował malowidła w katedrach i muzeach (mimo że z wielką niechęcią wchodził do papistowskich kościołów), i pomógł mu dostać się do prestiżowej Akademii Królewskiej.

Ojciec nigdy tak naprawdę nie rozmawiał ze mną o mojej przyszłości ani o tym, czym ją wypełnię. Raz tylko, kiedy miałem trzynaście lat, zasugerował, że mógłbym rozważyć Oksford z perspektywą dołączenia do Kościoła.

Właśnie kiedy miałem trzynaście lat, w Rzymie, w czasie jednego z dłuższych pobytów naszej rodziny w Europie, przeżyłem swoją pierwszą prawdziwą przygodę miłosną. Pamiętam, jak dokładnie siedemnaście lat później, w czasie mojej następnej wizyty w Rzymie i pierwszej podróży ze słynnym pisarzem, Charlesem Dickensem, opowiedziałem mu o tym ze wszystkimi szczegółami. Tak mu się spodobał ten nad wiek poważny pod względem miłosnym romans, że później powiedział mi, że zrelacjonował go swojej szwagierce, Georginie Hogarth, oszczędzając jej jedynie detali dotyczących tego „jak romans rozwinął się aż do samiutkiego końca”. Chichotał, kiedy opisywał, jak Georgina

się zarumieniła, gdy on podsumował moje pierwsze skonsumowane zbliżenie fizyczne słowami:

– Nasz młody Wilkie okazał się w tym względzie prawdziwie pogańskim Jowiszem.

W każdym razie w wieku lat trzynastu nie zamierzałem zacząć nauki w Oksfordzie z myślą o wstąpieniu do Kościoła.

Artyści są w ogóle przesadnie wyczuleni (zwłaszcza na własne odczucia), a młody Charley był bardziej wyczulony od innych. Nie będzie przesady w powiedzeniu, że był smętnym dzieckiem, ustawicznie pogrążonym w zadumie, i rodzice – zwłaszcza matka – odbierali jego nieustanne zgryzoty (graniczące z posępnością) jako oznakę artystycznego geniuszu. Ponadto nie lubił kobiet i dziewcząt.

Przerwę tutaj, Drogi Czytelniku, błagając Cię o pobłażliwość w tej kwestii. Gdyby nie to, że te wspomnienia zostaną posłane w odległą przyszłość, w ogóle bym o tym nie wspomniał, ale – jak już zapewne zauważyłeś w tych zapiskach – istniało głębokie i nieustanne napięcie między Charlesem Dickensem i jego zięciem, Charlesem Collinsem, i obawiam się, że drobna kwestia awersji do kobiet (o ile nie wręcz mizoginii) mogła odegrać pewną rolę w ukształtowaniu się uprzedzeń Dickensa. Widzisz, Drogi Czytelniku, niezależnie od tego, jak tego typu rzeczy ułożyły się w Twoich odległych czasach, w naszej erze nie było nic niezwykłego w tym, że młodzi mężczyźni przechodzili przez długie okresy, w których zdecydowanie przedkładali towarzystwo chłopców i mężczyzn nad towarzystwo kobiet. Zważywszy na ograniczenia w edukacji kobiet w naszych czasach, że już nie wspomnę o oczywistych trudnościach płci pięknej ze zdobyciem i opanowaniem bardziej złożonych aspektów nauki na przestrzeni wieków, było całkiem logiczne, że myślący, wrażliwi mężczyźni skupiali energię i kontakty na innych mężczyznach.

Pamiętam, jak raz, kiedy Charley miał około piętnastu lat, natknąłem się na kilka szkicowników pozostawionych w jego pokoju w nietypowy dla niego sposób (zawsze był skryty i schludny) i zażartowałem z faktu, że wszystkie jego studia

przedstawiają męskie akty.

Charley oblał się szkarłatem, ale odparł z żarliwym przekonaniem:

– Nienawidzę rysować kobiet, Willy. A ty nie? Przecież one wszystkie są takie ciężkie, obwisłe, workowate i rozdęte tam, gdzie człowiek być nie powinien. O wiele bardziej zachwycają mnie jędrne, płaskie pośladki, muskularne uda, płaskie brzuchy i męskie torsy od tych potwornych kobiecych braków, pulchnych wypukłości i żałosnych obwisłości.

Szukałem jakiegoś dowcipnego komentarza, stosownego dla wyrafinowanego dziewiętnastoletniego dżentelmena, jakim byłem, kiedy Charley dodał:

– Jakkolwiek by na to patrzeć, Willy, kobiece akty Michała Anioła na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej, nawet Ewa, to tak naprawdę malowidła ukazujące nagich mężczyzn. Nawet wielki Michał Anioł pogardzał nagimi kobietami! Co na to powiesz, bracie?

Kusiło mnie, żeby powiedzieć, że byłem w Rzymie owego gorącego, parnego dnia wiele lat wcześniej, kiedy nasz ojciec nam obydwóm objawił ten istotny fakt. Powstrzymałem się jednak. Tamtego popołudnia w pokoju brata, który zawiązywał szkicowniki i odkładał do zamykanej na zamek szuflady, powiedziałem tylko:

– To są bardzo dobre rysunki, Charley. Naprawdę bardzo dobre.

W ogóle nie skomentowałem faktu, że nie dość, iż mój brat pogwałcił niepisaną zasadę, że artysta nie ukazuje na rysunkach męskich genitaliów (pozostawiając tam nietknięty grafitem papier albo lepiej: rysując skromną przepaskę na biodrach) to jeszcze niektóre z nich ukazał w stanie ewidentnej ekscytacji.

Nie upłynęło zbyt wiele miesięcy od tej rozmowy, kiedy jakiegoś rodzaju objawienie – być może z powodu podobnej nierozwagi w rysunkach lub komentarzach Charleya – spłynęło na ojca. Pamiętam, że pewnego ranka Charleya wezwano do pracowni ojca. Pamiętam zamknięte drzwi i powtarzające się krzyki brata, kiedy ojciec chłostał

wrażliwego chłopaka witką, laską albo przykładnicą.

Po śmierci ojca wierzyłem, że przez resztę życia Charley i ja będziemy żyli szczęśliwie z matką w jej cudownym domu w Hanover Terrace. Romans z Caroline G. wyrwał mnie z tej bezpiecznej przystani. A jednak wiele miesięcy, a nawet lat po tym, jak zamieszkałem z Caroline i jej córką, Harriet – jakże uwielbiałem tę zbieżność imion! – powracałem do domu matki, żeby pisać i adresować listy do naszych wspólnych przyjaciół (matki i moich), chociaż do innych przyjaciół pisywałem z mojego nowego domu. Oczywiście, matka nie wiedziała o istnieniu Caroline. A jeśli wiedziała, nigdy się z tym nie zdradziła. Owszem, podejmowałem ją rozlicznymi opowieściami o moim kawalerskim życiu z dala od niej, nigdy nie wspominając o żadnej kobiecie, nie mówiąc już o owdowiałej Caroline, ale jest też prawdą, że nigdy, ani razu, nie zasugerowała, że odwiedziłaby mnie w którymś z moich domów, przez wszystkie lata, kiedy mieszkałem z panią G. i Harriet.

Nadal mieszkałem z matką, kiedy w 1851 roku poznałem Dickensa. Jak to napisał później pewien dziennikarz o mnie i Dickensie w tym wczesnym okresie: „Obaj byli żywotnymi mężczyznami, gorąco kochającymi teatr, lubiącymi napitki, towarzystwo i wspólne eskapady; niezwykle weseli, ceniący aktywny wypoczynek i reagujący na wszystko z ogromną żywiołowością”. Po naszych eskapadach, intensywnym wypoczynku i żywiołowych reakcjach Dickens wracał do domu do swojej coraz bardziej po krowiemu gamoniowatej żony, a ja wracałem do matki.

Charley mieszkałby z matką do jej śmierci i być może pozostałby w jej domu aż do własnego końca, jestem co do tego przekonany, gdyby nie ślub z Kate Dickens.

Nikt z nas nigdy nie pozna wszystkich przyczyn nagłej prośby Charleya o rękę Kate późną wiosną 1860 roku. Prawdę mówiąc, na ile się orientuję, to Kate oświadczyła się Charleyowi. Z pewnością to ona ponaglała przygotowania, żeby ślub wypadł w połowie lata, mimo otwartego i gwałtownego sprzeciwu ojca nie tylko co do daty ślubu, ale i

samego pomysłu.

Charley nie miał za sobą długiej historii zalotów i umizgów. Przeciwnie, do trzydziestego drugiego roku życia (kiedy to poślubił Kate) konsekwentnie unikał kobiet. Tamtej wiosny i lata rozeszły się szepty, że Katey Dickens zakochała się i uganiała za Edmundem Yatesem, młodszym przyjacielem Pana Niezrównanego, który pomógł pogłębić konflikt między Dickensem i Thackerayem, pisząc wybitnie niepochlebną charakterystykę starego pisarza. Współcześni opisali Yatesa jako „…także niezwykle fascynującego. Aczkolwiek, zważcie sobie, powierzchownie".

Powierzchownie fascynujący czy też nie, Kate Dickens zakochała się w nim, i kiedy Yates uporczywie odmawiał dostrzeżenia jej fascynacji (mimo częstych wizyt w Tavistock House, a potem w Gad's Hill Place, a także mimo oczywistych prób flirtu ze strony Katey – oczywistych dla wszystkich, nie wyłączając Charlesa Dickensa i mnie), krnąbrna młoda kobieta (właśnie skończyła dwadzieścia lat) oświadczyła się mojemu Charleyowi.

Kilka miesięcy przed ślubem, po wizycie w Gad's Hill, gdzie niewłaściwie skierowane małżeńskie zainteresowania Katey znowu stały się dla wszystkich oczywiste, napisałem do matki: „…Charley nadal usilnie stara się sobie wmówić, że powinien dać się poślubić".

Wiele lat później, po śmierci mojego młodszego brata spowodowanej uciążliwymi wrzodami żołądka, które okazały się rakowate, zapytałem Kate, dlaczego namówiła go na to małżeństwo.

– Musiałam uciec z tego domu – odpowiedziała. – Musiałam uciec od ojca.

Dickens nie ukrywał dezaprobaty dla ich związku, lecz Katey była jego ulubienicą i nie potrafił jej niczego odmówić, nawet głupiego małżeństwa.

Siedemnastego lipca 1860 roku kościół Najświętszej Marii Panny w Higham (wieża kościelna będzie widoczna z gabinetu Dickensa w letnim domku, który zostanie zmontowany pięć lat później) niemalże utonął w białym

kwieciu. Sąsiedzi z niższych klas społecznych przygotowali kwietne łuki, które wskazywały drogę do kościoła. Poprzedniej nocy wieśniacy strzelali z okazji zaślubin, ale zrzędliwy i zaniepokojony Charles Dickens wyszedł w koszuli nocnej na trawnik przed Gad's Hill ze strzelbą w rękach i powiedział tylko:

– Co się tu, do diabła, wyczynia?!

Zamówiono specjalny pociąg, który miał przywieźć gości weselnych z Londynu. Pamiętam, jak gawędziłem z Thomasem Beardem, subtelnym dżentelmenem, który dwadzieścia lat wcześniej pełnił rolę drużby Charlesa Dickensa. Beard szczycił się niezwykłym wyróżnikiem: jako jedyna osoba na ślubie Kate była także obecny na ślubie jej ojca. Zresztą, podczas krótkiego zaimprowizowanego toastu Dickens sam wspomniał ironicznie – niemal z goryczą, jak mi się wydało – „podobną ceremonię, która odbyła się w stołecznym gmachu jakieś dwadzieścia cztery lata wcześniej".

Matka Kate, Catherine, rzecz jasna nie była obecna. Tak samo jak Elizabeth Dickens, starsza, lecz nadal żyjąca matka Pana Niezrównanego. Georgina Hogarth była jedyną obecną przedstawicielką rodziny panny młodej ze strony matki. Tylko nieliczni zauważyli ten brak.

Po zaślubinach tłum gości powrócił do Gad's Hill na huczne weselne śniadanie. Znowu wszystko na stole i wokół niego przystrojono białymi kwiatami. Posiłek, chociaż wystawny, trwał zaledwie godzinę. Gospodarz obiecał wszystkim, że nie będzie przemów, i rzeczywiście nie było. Zauważyłem, że państwo młodzi usiedli na chwilę przy stole, a potem zniknęli, podczas gdy goście bawili się w różne gry na trawniku. Moja matka, która pochwalała ten związek nie bardziej niż Charles Dickens, wymagała tego ranka nieustannej opieki. Kiedy Charley i Kate ponownie się pojawili, ubrani do podróży, panna młoda nosiła czerń. Załamała się i rozpłakała gorzko na ramieniu ojca. Twarz Charleya coraz bardziej bledła, aż zacząłem się bać, że mój brat zemdleje.

Matka i ja stanęliśmy z trzydzieściorgiem gości na wysypanej żwirem ścieżce, żeby ucałować nowożeńców, uściskać wszystkim dłonie i porzucać starymi butami. Kiedy powóz odjechał, matka oznajmiła, że nie czuje się dobrze. Zostawiłem ją siedzącą w cieniu na krótką chwilę; chciałem tylko poinformować Dickensa o naszym odjeździe, ale nie mogłem go znaleźć wśród młodych graczy na trawniku, w salonie na dole, w sali bilardowej ani gabinecie.

Zobaczyłem Mamie schodzącą po schodach, wszedłem do sypialni Katey – a raczej do pokoju, który był sypialnią Katey do tego ranka – i znalazłem Dickensa klęczącego na podłodze z twarzą wtuloną w suknię ślubną córki. Pan Niezrównany szlochał jak dziecko. Spojrzał na mnie z twarzą zalaną łzami i, pewnie widząc tylko moją sylwetkę w progu i być może nadal biorąc mnie za swoją córkę Mamie, wykrzyknął łamiącym się głosem:

– Gdyby nie ja, Katey nigdy nie opuściłaby domu!

Nic nie powiedziałem. Odwróciłem się, zszedłem po schodach, wyszedłem na trawnik, zabrałem matkę i wezwałem powóz, który zawiózł nas z powrotem na stację, skąd udaliśmy się do Londynu.

***

Charles i Katey nie mieli dzieci. Rozeszły się plotki – być może zapoczątkowane przez Dickensa, ale możliwe też, że przypadkiem przez samą Katey – że ich małżeństwo nie zostało skonsumowane. Z pewnością było prawdą, że nim nadeszło lato 1865 roku i wypadek kolejowy Dickensa, Katey stała się nieszczęśliwą i skłonną do flirtów kobietą, ewidentnie szukającą kochanka. Znalazłoby się wielu mężczyzn, którzy bez najmniejszych skrupułów kochaliby się z mężatką, gdyby nie zaciekła i nieustanna czujność jej ojca.

Chroniczne choroby i bóle brzucha Charleya także stały się kłopotem w domu Dickensów. Byłem przekonany, że to tylko wrzody, i kiedy mój brat w końcu umarł na raka żołądka w 1873 roku, jedyną drobną pociechą był fakt, że Charles

Dickens go ubiegł i zmarł wcześniej.

Owej dziwnej jesieni 1865 roku Dickens oznajmił mi ostro:

– Kiedy twój brat zasiada do śniadania, Wilkie, wygląda jak trup.

To było oczywiste dla wszystkich, że zdaniem Dickensa Charley umiera i że jego zdaniem – Pan Niezrównany nigdy nie przyznawał się do własnych dolegliwości ani nie dopuszczał do myśli możliwości własnej śmierci – powinien uporać się z tym raczej prędzej niż później.

***

I tak powróciliśmy, Drogi Czytelniku, do fatalnego stanu mego zdrowia na przełomie roku 1865 i 1866.

Mój ojciec cierpiał na reumatyzm, który skupiał się za jego lewym okiem, w ostatnich latach życia całkowicie uniemożliwiając mu malowanie. Moja podagra nieuchronnie przewędrowała do prawego oka, oślepiając mnie i zmuszając do patrzenia spod przymrużonej lewej powieki w trakcie pisania. Ból przeniósł się także do ręki i dłoni, i w końcu musiałem przekładać pióro z prawej ręki do lewej, by zanurzyć je w atramencie.

Ostatecznie w ogóle nie będę w stanie pisać i w przyszłości będę dyktował książki z kanapy, na której leżę, ale dopiero po tym, jak nauczę moją młodą sekretarkę – najpierw Harriet, ale potem kogoś nieskończenie bardziej złowieszczego – nie reagować na moje okrzyki bólu i słuchać tylko dyktowanych zdań wykrzykiwanych pomiędzy jednym agonalnym wrzaskiem i drugim.

Wspomniałem, że jedynie laudanum przynosiło mi pewną ulgę w cierpieniach. Mogłem też wspomnieć, że tradycyjnie przyjmowało się trzy do pięciu kropel płynnego opium w kieliszku wina, ale w tym okresie – zimą 1865/66 – potrzebowałem dwóch do trzech kieliszków lekarstwa, żeby móc pracować lub spać.

Wspomniałem, że miało to swoje minusy. Nieustanne uczucie, że ktoś mnie śledzi lub prześladuje. Halucynacje.

(Początkowo zakładałem, że kobieta o zielonej skórze i zębach jak kły dzika to właśnie taka halucynacja; potem jednak, gdy zaatakowała mnie na schodach w ciemności, obudziłem się z kilkoma głębokimi zadrapaniami na szyi).

Pewnej nocy pracowałem w gabinecie – pisząc powieść *Siła przeznaczenia* – kiedy zdałem sobie sprawę, że kilka cali na lewo ode mnie na krześle siedzi mężczyzna. Także pisał. Był moim sobowtórem. A raczej był mną – nosił te same ubrania, trzymał to samo pióro, odwrócił się do mnie z tym samym otępiałym, ale zaszokowanym wyrazem twarzy, który ja musiałem mu zaprezentować.

Sięgnął po moją pustą kartkę.

Nie mogłem dopuścić do tego, żeby pisał moją książkę. Nie mogłem pozwolić, żeby ta stronica, moja strona, stała się jego stronicą.

Zaczęliśmy się przepychać. Krzesła się poprzewracały. Lampa się roztrzaskała. W ciemności odepchnąłem go, wypadłem chwiejnym krokiem na korytarz i czmychnąłem do swojej sypialni.

Rankiem wróciłem do gabinetu i zobaczyłem, że ściana, fragmenty okna i parapetu, jeden narożnik drogiego perskiego dywanu, krzesło, poduszka na nim i dwie półki książek są pokryte cętkami rozchlapanego atramentu. Sześć kolejnych stron mojej książki napisano charakterem pisma, które było niemal – ale nie do końca – moim własnym.

Spaliłem je w kominku.

Rozdział 12

W grudniu 1865 roku inspektor Field zgłosił mi, wykorzystując w charakterze posłańca zwalistego detektywa Hatchery'ego, że „pacjentka" Dickensa, Ellen Ternan, poczuła się wystarczająco dobrze, żeby nie tylko wziąć udział w bożonarodzeniowym balu urządzonym przez brata jej przyszłego szwagra, Anthony'ego Trollope'a, ale i doszła do siebie po czerwcowych obrażeniach na tyle, żeby na tym balu zatańczyć.

Ze szkarłatnymi pelargoniami we włosach.

Zanim nadeszło Boże Narodzenie, inspektor Field bezustannie narzekał, że on przekazuje mi znacznie więcej informacji niż ja jemu. To była prawda. Chociaż Dickens zaprosił mnie do Gad's Hill kilka razy, chociaż jadaliśmy razem kolacje na mieście i razem pojawiliśmy się na kilku przyjęciach zimą, kiedy powoli dochodził do siebie po katastrofie pod Staplehurst, nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy na temat Drooda. Zupełnie jakby Dickens skądś wiedział, że zawarłem z podstępnym inspektorem Fieldem umowę zobowiązującą mnie do zdrady. Gdyby jednak rzeczywiście tak było, dlaczego Pan Niezrównany nadal zapraszałby mnie do swojego domu, pisał mi listy pełne nowin i spotykał się ze mną na kolacjach w ulubionych lokalach w Londynie?

W każdym razie zaledwie tydzień po tym, jak niemal słowo w słowo powtórzyłem Fieldowi opowieść Dickensa o jego spotkaniu z Droodem, inspektor poinformował mnie, że pisarz mnie okłamał.

Zdałem sobie sprawę, że jeśli jest to prawda, to nie ma żadnego dopływu podziemnej rzeki, który Dickens mi opisał, ani tunelu, który prowadził do innej rzeki, ani podziemnych kolonii wypełnionych setkami biedaków zapędzonych pod ziemię, ani egipskiej świątyni nad brzegami tego nieodkrytego podziemnego Nilu. Albo Dickens okłamał mnie, żeby zataić prawdziwą drogę prowadzącą do kryjówki

Drooda, albo zmyślił całe spotkanie.

Inspektor Field nie był zadowolony. Najwidoczniej on i jego ludzie spędzili długie godziny, albo całe noce i dnie, badając katakumby, jaskinie i ścieki tam w dole… Nadaremnie. W tym tempie – jak dał mi do zrozumienia w czasie naszych nieczęstych i ponurych spotkań – nigdy nie aresztuje Drooda i umrze ze starości, zanim zadowoli swoich byłych przełożonych w policji stołecznej w dostatecznym stopniu, by przywrócili mu emeryturę i dobre imię.

Niemniej jednak nadal dzielił się ze mną informacjami przez całą zimę. W czasie tych jesiennych miesięcy po ukończeniu pracy nad *Naszym wspólnym przyjacielem,* kiedy najpewniej z przyjemnością patrzył, jak ostatnie odcinki powieści ukazują się w „All the Year Round", Dickens wynajął dla siebie dom w Londynie przy Southwick Place pod numerem szóstym, w pobliżu Hyde Parku. Nie było to specjalnie tajemnicze. Wynajął podobny dom tuż za rogiem dwa lata wcześniej, żeby mieć wygodne miejsce w Tyburnii dla towarzyskich spotkań w Londynie. Nowy dom w pobliżu Hyde Parku miał pozwolić jego córce Mamie przyjeżdżać do miasta, kiedy tylko zapragnie, i podejmować własne towarzyskie zobowiązania (raczej skromne, ponieważ śmietanka towarzyska w tamtym okresie w ogromnej mierze stroniła od Katey i Mamie).

Nie było więc żadnej tajemnicy w wynajęciu domu w pobliżu Hyde Parku. Za to – jak zauważył inspektor Field kilka tygodni później, mrugając porozumiewawczo i dotykając nosa pulchnym palcem – o wiele bardziej tajemnicze było wynajęcie przez Dickensa dwóch małych domów we wsi Slough: jednego przy High Street, który nazywał się Elizabeth Cottage, a drugiego przy Church Street, zaledwie ćwierć mili dalej. Chociaż to odkrycie należało jeszcze do przyszłości, gdy nadeszło Boże Narodzenie, miałem się później dowiedzieć od inspektora Fielda, że Dickens wynajął obie te nieruchomości pod nazwiskiem Tringham: jako Charles Tringham stał się najemcą Elizabeth Cottage, a jako John Tringham domu przy

Church Street.

Przez pewien czas, jak poinformował mnie później inspektor Field, dom przy Church Street stał pusty, ale potem zajęła go niejaka pani Ternan z córką Ellen.

– Niewierny, dlaczego pan Dickens posłużył się nazwiskiem Tringham – powiedział mi Field po Nowym Roku, kiedy spacerowaliśmy wokół Dorset Square w pobliżu mojego domu. – Na pierwszy rzut oka to nie wydaje się istotne, ale w naszej profesji zawsze pomaga, jeśli rozumiemy, dlaczego ktoś wybiera określony pseudonim, pod którym wykonuje brudną robotę.

Ignorując aluzję do „brudnej roboty”, powiedziałem:

– Przy Wellington Street w pobliżu redakcji „All the Year Round”, gdzie Dickens i ja pracujemy, znajduje się sklep tytoniowy. Właścicielką, dobrze znaną zarówno Dickensowi, jak i mnie, jest niejaka Mary Tringham.

– Ach tak…

– Jednakże nie sądzę, żeby stąd wzięło się fałszywe nazwisko – dodałem.

– Nie?

– Nie. Może zna pan, inspektorze, pewną opowieść opublikowaną przez Thomasa Hooda w tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym roku?

– Nie sądzę – odparł kwaśno inspektor.

– Opowiada o wioskowej plotce – wyjaśniłem. – I jest tam taki wierszyk:

…dowiedzieć się wszystkiego, co można,
z paplaniny i gadaniny mieszkańców Tringham.

– Ach tak… – powtórzył inspektor Field, ale tym razem z większym przekonaniem. – Cóż, pan Dickens… czy raczej pan Tringham, jak sam woli… zadaje sobie wiele trudu, by ukryć swoją obecność w Slough.

– To znaczy?

– Opisuje listy, jakby wysyłał je z Eton, mówiąc przyjaciołom, że tylko przechadzał się po tamtejszym parku. I

wędruje całe mile polami ze Slough do stacji kolejowej w Eton, jakby wolał, żeby go zauważono (o ile w ogóle miałby zostać zauważony), gdy czeka na pociąg do Londynu, niż w samym Slough.

Przystanąłem i zapytałem:

– Skąd pan wie, co pan Dickens pisze przyjaciołom w prywatnych listach, inspektorze? Czyżby otwierał pan koperty nad parą albo przesłuchiwał jego przyjaciół?

Field tylko się uśmiechnął.

Jednakże wszystkie te rewelacje, Drogi Czytelniku, przyniesie wiosna roku 1866, a ja muszę powrócić do cudacznego i pamiętnego Bożego Narodzenia 1865 roku.

***

Kiedy Dickens zaprosił mnie do Gad's Hill Place w pierwszy dzień świąt, sugerując w liście, żebym został do Nowego Roku, natychmiast przyjąłem zaproszenie. „Kamerdyner i Matka Kamerdynera zrozumieją", napisał w tym samym liście, odnosząc się do Harriet (na którą, w miarę jak dorastała, coraz częściej wołaliśmy Carrie) i jej matki, Caroline, w typowy dla siebie prześmiewczy sposób. Nie jestem pewien, czy Caroline i Carrie rzeczywiście w pełni rozumiały albo doceniały moją nieobecność w tym tygodniu, ale niespecjalnie się tym przejmowałem.

W trakcie krótkiej jazdy pociągiem do Chatham trzymałem w rękach bożonarodzeniowe wydanie „All the Year Round" – to, do którego właśnie coś napisałem, w którego wydaniu pomagałem i w którym zamieszczono świąteczne opowiadanie Dickensa *Jaś Wydrwigrosz* – i myślałem o istocie fikcji literackiej Pana Niezrównanego.

Być może potrzeba powieściopisarza (albo jakiegoś krytyka literackiego z przyszłości, jak Ty sam, Drogi Czytelniku), żeby dostrzec, co leży za słowami tekstu innego pisarza.

Powinienem zacząć od najnowszej świątecznej opowieści Dickensa:

Historia Jasia Wydrwigrosza (Jaś Wydrwigrosz to tytułowy

bohater bajeczki Pana Niezrównanego i powszechne w naszych czasach określenie obnośnego handlarza, który wędrował od wioski do wioski z tanimi towarami) opowiadała o mężczyźnie, którego opuściła żona, którego dzieci umarły i który – z powodów zawodowych – musiał ukrywać swoje uczucia przed światem. Bohater Dickensa był „królem domokrążców" i tak się złożyło, że po ojcowsku zainteresował się młodą dziewczyną o „ładnej twarzy i błyszczących, ciemnych włosach". Czy to był autoportret pisarza w krzywym zwierciadle? Czy młodą dziewczyną była Ellen Ternan?

Rzecz jasna, jak to zawsze u Dickensa, dziewczyna z ładną twarzą i błyszczącymi, ciemnymi włosami była także głuchoniema. Co to byłoby za świąteczne opowiadanie Dickensa bez patosu i groteski?

– Kiedy na nas patrzycie, jak handlujemy z wozu – mówi nam Jaś Wydrwigrosz o swoich popisach przed publiką – oddalibyście prawie wszystko, żeby zająć nasze miejsce. A kiedy schodzimy z wozu, dorzucilibyście jeszcze trochę, byleby wycofać się z tej transakcji.

Czy Charles Dickens mówi nam tutaj o wielkiej przepaści między jego wesołym życiem publicznym a prywatnym smutkiem i przenikającą do szpiku kości samotnością z dala od oczu publiki?

Do tego doszła jeszcze ogromna powieść *Nasz wspólny przyjaciel,* zakończona (podobnie jak *Jaś Wydrwigrosz)* we wrześniu, która właśnie zamykała się w dziewiętnastym odcinku w naszym „All the Year Round".

Możliwe, że naprawdę potrzeba było drugiego zawodowego pisarza, żeby dostrzec, jak złożoną i niebezpieczną książką był tak naprawdę *Nasz wspólny przyjaciel.* Czytałem tę powieść w odcinkach w naszym piśmie przez ostatnie półtora roku; słyszałem, jak Dickens czytał na głos fragmenty dla małych grup; przeczytałem nieco w postaci rękopisu, a po tym, jak opublikowano ostatni odcinek, przeczytałem całość raz jeszcze. Była niewiarygodna. Chyba po raz pierwszy w życiu

znienawidziłem Charlesa Dickensa z czystej zazdrości.

Nie mogę wypowiadać się o Twoich czasach, Drogi Czytelniku, ale już w naszym dziewiętnastym wieku, którego upłynęło już prawie dwie trzecie, tragedia zastępowała komedię w oczach, sercach i analitycznych umysłach „poważnych czytelników". Tragedie Shakespeare'a częściej trafiały na scenę niż jego błyskotliwe komedie i wywoływały poważniejsze recenzje oraz dyskusje. Wiecznie żywy i przenikliwy humor takiego, powiedzmy, Chaucera albo Cervantesa, był zastępowany arcydziełami z rodzaju poważniejszych tragedii i historii, dziełami zarówno autorów klasycznych, jak i nam współczesnych. Jeśli ten trend się utrzyma, Drogi Czytelniku, to zanim za ponad stulecie od dzisiaj przeczytasz ten rękopis, całkiem zatracimy umiejętność tworzenia i doceniania dobrej komedii.

Jednakże to wszystko jest kwestią gustu. Na przestrzeni lat – teraz już dekad – proza Charlesa Dickensa stawała się coraz mroczniejsza i poważniejsza; pozwalała wątkom dyktować strukturę powieści i sprawiała, że postaci idealnie (zbyt idealnie) wpasowywały się w przegródki ogólnej struktury tematycznej, zupełnie jak fiszki biblioteczne, które można przenieść do właściwej szufladki. (Nie chcę przez to powiedzieć, że nawet najpoważniejsze powieści Dickensa z ostatnich lat były pozbawione humoru; nie sądzę, żeby Dickens był w stanie napisać coś całkowicie pozbawionego humoru, tak samo jak nie można byłoby mu zaufać, że zachowa całkowitą powagę na pogrzebie. Pod tym względem był naprawdę niepohamowany. Podejmował jednak coraz poważniejsze tematy i w znacznej mierze porzucił nieuporządkowane Pickwickowskie wysławianie życia, które uczyniło go Bozem Niezrównanym, na rzecz społecznej krytyki i satyry, które – ogromnie ważne dla niego osobiście – zajęły bardziej centralne miejsce w jego dziełach).

Jednakże w *Naszym wspólnym przyjacielu* Dickens stworzył trwale komediową powieść na ponad ośmiuset gęsto zapisanych stronicach, nie popełniając przy tym – na ile umiem to ocenić – nawet jednej gafy.

To było niewiarygodne. To sprawiało, że w stawach mnie strzykało i oczy mi płonęły z bólu.

W *Naszym wspólnym przyjacielu* Dickens porzucił napuszone motywy z *Małej Dorrit*, *Samotni* i *Wielkich nadziei,* i niemal całkowicie podporządkował swoje osobiste i społeczne opinie mistrzowskiemu pokazowi języka i niuansów, w którym bardzo zbliżył się do ideału. Naprawdę bardzo. Złożoność postaci w tej książce daleko przekraczała wszystko, co do tej pory napisał; więcej: Dickens wskrzesił wielu wcześniejszych bohaterów i wymyślił ich na nowo, korzystając ze świeżo zdobytej dojrzałości i nowo odkrytej wielkoduszności. Dlatego zły adwokat Tulkinghorn z *Samotni* pojawia się ponownie jako młody adwokat Mortimer Lightwood, ale odkupuje swoje winy w sposób, w jaki Tulkinghorn nigdy nie zdołałby tego uczynić. Nikczemny Ralphy Nickleby odradza się jako kanalia Fledgeby, ale w przeciwieństwie do pierwotnego Nickleby'ego nie unika kary. (W gruncie rzeczy, solidne manto, jakie spuszcza Fledgeby'emu inna kanalia, Alfred Lammle, to jedna z najlepszych scen w całej obszernej prozie Dickensa). Podobnie Noddy Boffin zamienia się w Scrooge'a, który unika losu skąpca; stary Żyd pan Riah odpokutowuje grzechy niekiedy krytykowanego (zwłaszcza przez Żydów) Dickensowskiego Fagina, nie będąc tym razem pozbawionym serca lichwiarzem, ale gnębionym wyrzutami sumienia pracownikiem chrześcijańskiego bezdusznego lichwiarza; a Podsnap – poza tym, że jest to druzgocący portret Johna Forstera (druzgocący, ale tak subtelny, że Forster nigdy się w nim nie rozpoznał – za to rozpoznali go wszyscy inni) – Podsnap to… Podsnap. Kwintesencja Podsnapowości. Którą równie dobrze można by uznać za kwintesencję naszych czasów.

Jednakże, nawet kiedy ton i struktura *Naszego wspólnego przyjaciela* wskazują na doskonałą satyryczną komedię, której nie powstydziłby się Cervantes, tło powieści jest tak mroczne, że aż budzi rozpacz. Londyn stał się jałową, kamienną pustynią, „bardziej tandetną, chociaż poczwórnie

zwiększył swoje bogactwa; mniej imperialną, chociaż poszerzył swoje imperium”. To „odarte z nadziei miasto bez jednej szpary w ołowianym sklepieniu niebios, miasto oblężone przez wrogie siły ciągnące tłumnie z Essex i Kentu”. Ton jest tak poważny, że wręcz żałobny, bo nawet niebo pociemniało od nieuniknionej mgły, przechodząc od żółci i brązu do bazowej, pełznącej czerni – „cała stolica sprawiała wrażenie gęstwy oparów, pełnej turkotu kół i przesyconej gigantycznym katarem”. Miasto tak ukochane przez Dickensa zostało ukazane jako szare albo zakurzone, albo ciemne, albo błotniste, albo zimne, albo wietrzne, albo zlane deszczem, albo tonące we własnych śmieciach i nieczystościach. Najczęściej w *Naszym wspólnym przyjacielu* okazywało się wszystkim tym naraz.

Pośród tej grozy krajobrazu – i potężnych fal nieufności, bezwzględnych machinacji, kiełkującej nieuczciwości, wszechobecnej chciwości i morderczej zazdrości – bohaterom udaje się znaleźć miłość i wsparcie nie w obrębie rodzin, co do tej pory tak często ukazywał zarówno Dickens, jak i inni pisarze naszej ery, ale w małych kręgach przyjaciół i kochanych, zaufanych ludzi, którzy tworzą doraźne rodziny, chroniące bohaterów, na których nam zależy, przed burzami biedy i społecznej niesprawiedliwości. I te same kręgi miłości karzą tych, którymi pogardzamy.

Dickens stworzył arcydzieło.

Czytelnicy tego nie dostrzegli. Pierwszy odcinek w „All the Year Round” sprzedawał się bardzo dobrze (była to w końcu pierwsza nowa powieść Dickensa od dwóch i pół roku), ale sprzedaż szybko spadła i ostatni numer sprzedał się zaledwie w dziewiętnastu tysiącach egzemplarzy. Wiedziałem, że to był gorzki zawód dla Dickensa i chociaż osobiście zarobił (jak dowiedziałem się z komentarzy Katey wypowiedzianych do mojego brata Charleya) jakieś siedem tysięcy funtów, to wydawnictwo Chapman and Hall poniosło straty.

Krytycy albo kochali tę książkę, albo jej nienawidzili i silili się w swoich werdyktach na typowe dla siebie zadufane hiperbole, ale ogólny trend był bliższy rozczarowaniu. Ci ze

sfer intelektualnych spodziewali się kolejnej tematycznej powieści osnutej wokół krytyki społecznej, znowu czegoś pokroju *Samotni*, *Małej Dorrit* i *Wielkich nadziei,* tymczasem otrzymali… jedynie komedię.

Jak już powiedziałem, potrzeba drugiego zawodowego pisarza takiego jak ja, żeby dostrzec, że Dickens osiągnął to co bez mała niemożliwe, podtrzymując tak delikatny ton satyry tak długo i tak doskonale, dbając, by satyra nigdy nie zamieniła się w cynizm, by komiczny wizerunek nie stał się zwykłą karykaturą i by niepohamowana krytyka społeczeństwa nie zdegenerowała się w złorzeczenie i ciskanie gromów.

Innymi słowy, trzeba było mnie, by dojrzeć, że *Nasz wspólny przyjaciel* to arcydzieło.

Nienawidziłem Dickensa. Jako rywalizujący z nim pisarz żałowałem przez chwilę – kiedy pociąg opuścił Londyn, kierując się do jego domu w Gad’s Hill – że Charles Dickens nie zginął w wypadku pod Staplehurst. Dlaczego nie zginął? Tylu innych zginęło. Jak to nieznośnie przechwalał się w listach do mnie i wielu innych przyjaciół, jego wagon jako jedyny z pierwszej klasy nie spadł do koryta rzeki i nie roztrzaskał się w drobny mak.

Pomijając jednak to wszystko, za najbardziej znaczące i najpełniej odnoszące się do obecnej sytuacji, w której wszyscy się znaleźliśmy, uznałem w *Naszym wspólnym przyjacielu* pewne osobiste odkrycie.

Moje wyćwiczone oko pisarza i doświadczone ucho czytelnika wszędzie w książce odnajdywało oznaki i echa katastrofalnej kulminacji długiego związku Dickensa z żoną i rozpoczęcia niebezpiecznego romansu z Ellen Ternan.

Większość pisarzy sporadycznie tworzy bohatera – często negatywnego – który prowadzi podwójne życie, ale proza Dickensa sprawiała teraz wrażenie przesiąkniętej takimi dwoistościami. W *Naszym wspólnym przyjacielu* bohater, młody John Harmon (dziedzic fortuny Harmonów zbudowanej na hałdach ziemnych), który rzekomo utonął w podejrzanych okolicznościach, wraca do Londynu po wielu

latach spędzonych na morzu i natychmiast znajduje na komisariacie rozkładające się ciało (odziane w jego ubrania i dlatego uznane za niego). Następnie przybiera tożsamość Juliusa Handforda, a później Johna Rokesmitha, żeby pracować w charakterze sekretarza u Boffinów, poślednich służących, którzy z braku innych spadkobierców odziedziczyli fortunę i hałdy ziemne, które powinny były należeć do Johna Harmona.

Czarne charaktery w *Naszym wspólnym przyjacielu* – Gaffer Hexam, Rogue Riderhood, państwo Alfredowie Lammle (kanciarze, którzy oszukali się wzajemnie, wpędzając się w pozbawione miłości i pieniędzy małżeństwo, i teraz współpracują tylko po to, żeby oszukiwać innych i nimi manipulować), Silas Wegg z drewnianą nogą, a zwłaszcza zbrodniczy dyrektor szkoły Bradley Headstone – mogą udawać kogoś lub coś innego, ale w głębi serca mogą pozostać sobą. Tylko pozytywni bohaterowie w powieści cierpią z powodu podwójnej lub bardziej zwielokrotnionej tożsamości, co prowadzi do pomieszania w ich prawdziwym „ja".

A do tego tragicznego pomieszania nieuchronnie doprowadza jedna forma energii – miłość. Źle ulokowana, wyparta, zagubiona albo skrywana miłość jest motorem napędzającym wszystkie tajemnice, machinacje i przemoc w najbardziej dynamicznej (i tragicznej) komedii Dickensa. *Nasz wspólny przyjaciel,* jak zdałem sobie sprawę ku własnej zgrozie i cierpieniu, był tytułem i opowieścią godną Shakespeare'a.

John Rokesmith/Harmon ukrywa swoją tożsamość przed ukochaną Bellą długo po ślubie i nawet po narodzinach dziecka, by tym lepiej nią manipulować, poddawać ją próbom i uczyć, jak porzucić miłość do pieniędzy na rzecz miłości samej w sobie. Pan Boffin staje się na pozór zrzędliwym sknerą, doprowadzając tym swoją podopieczną Bellę do ucieczki z domu z powrotem do swoich ubogich korzeni, ale to wszystko jest grą, kolejnym sposobem poddania próbie prawdziwego charakteru Belli Wilfer. Nawet utracjusz,

adwokat Eugene Wrayburn – jedna z najwyrazistszych (choć i najbardziej pomieszanych) osobowości w prozie Dickensa – osiąga z powodu swojej irracjonalnej miłości do nisko urodzonej Lizzie Hexam punkt, w którym puka się w głowę i w pierś w pomieszaniu, wymawia własne imię i wykrzykuje: „Możesz powiedzieć, co znaczą te słówka? Nie mogę! Jak życie kocham, nie mogę! Dałem za wygraną”.

John Harmon, zagubiony wśród wszystkich swoich rozlicznych przebrań i manipulacji, osiąga podobny stan zagubienia i utraty własnej tożsamości, i krzyczy: „Ale to nie ja byłem. W mojej świadomości nie mieściło się pojęcie własnej osoby”.

Wydaje się, że słaby i zazdrosny dyrektor Bradley Headstone wyznaje wszystkie utajone namiętności i zazdrości Charlesa Dickensa, kiedy mówi do rozchwytywanej Lizzie Hexam:

> *Pani przyciąga mnie do siebie. Gdybym się znalazł za więziennymi murami, pani wydarłaby mnie stamtąd. Skruszyłbym mury, aby przyjść do pani. Gdybym leżał na łożu boleści, pani podniosłaby mnie stamtąd: kazała dowlec się do swoich stóp i upaść do nich! (…) Pani doprowadzi mnie do zguby. Tak! Pani doprowadzi mnie do zguby. Do zguby! Nie znajduję sił w sobie, tracę wiarę w siebie, nie panuję nad sobą, kiedy pani jest blisko mnie lub w moich myślach. A w moich myślach jest pani zawsze. Nigdy tam pani nie zabrakło od chwili, kiedy pierwszy raz ujrzałem panią.*

Porównajmy to z tym, co napisał Charles Dickens w prywatnym liście nie tak długo po poznaniu Ellen Ternan: „Nigdy nie zaznałem chwili spokoju ani zadowolenia aż do zeszłego wieczoru w czasie *Zamarzniętej otchłani.* Chyba jeszcze nigdy żaden człowiek nie został tak pochwycony i rozdarty przez jednego ducha”. I dalej: „Och, to był dla mnie przeklęty dzień! Przeklęty, nieszczęsny dzień!”.

Namiętne uczucie Charlesa Dickensa do Ellen Ternan – nie wspominając nawet o zniszczeniu, jakie ta namiętność

ściągnęła na jego poczucie własnego ja, rodzinę i zdrowy rozsądek – krzyczało do mnie zza maski każdego bohatera i z każdego gwałtownego wydarzenia w *Naszym wspólnym przyjacielu*.

W przerażającej scenie (umieszczonej moim zdaniem całkiem stosownie na mglistym cmentarzu, jako że miłość dyrektora szkoły jest skazana na brak wzajemności i krótki żywot, zanim jeszcze umrze z zazdrości i powstanie z martwych pod postacią morderstwa), w której Bradley Headstone wyznaje kulącej ze strachu Lizzie Hexam swoje uczucia, obłąkany dyrektor krzyczy głosem, w którym pobrzmiewają echa cichych okrzyków cierpienia Charlesa Dickensa z tego okresu:

> *Nikt nie wie, jakie ma w sobie głębie, póki takie coś nie przyjdzie na niego. Na niektórych nie przychodzi nigdy. Szczęśliwi! Niech odpoczywają w pokoju. Na mnie pani to sprowadziła. Sprowadziła przemocą! I od tej pory wzdyma się i na wierzch dobywa dno tego niezgłębionego morza. (…) Kocham panią. Nie wiem, co mają na myśli inni mężczyźni, kiedy posługują się tym zwrotem. Ja chcę wyrazić, że jestem pod straszliwym urokiem, że opierałem mu się na próżno i zostałem pokonany. Pani mogłaby mnie zaprowadzić w ogień i w wodę. Pani mogłaby mnie zaprowadzić na szubienicę i przywieść do wszelkiego rodzaju śmierci, do wszystkiego, czego się lękałem i unikałem najbardziej, do każdej hańby i poniewierki. O tym właśnie myślałem, mówiąc, że pani to moja zguba.*

Wykrzykując te słowa, Bradley Headstone przez cały czas siłował się z kamieniem w cmentarnym murze, aż sproszkowana zaprawa osypywała się na chodnik. W końcu „uderzył pięścią w kamień tak, że knykcie palców posiniały mu i zaczęły krwawić”.

Charles Dickens nigdy dotąd nie pisał tak wyraziście, z takim bólem i taką mocą na temat straszliwej bliźniaczej mocy miłości i zazdrości. I nigdy więcej nie miał tego

powtórzyć.

Czy jak w wypadku Bradleya Headstone'a – ofiary erotycznej i miłosnej obsesji – pomieszanie tożsamości i utrata panowania nad własnym życiem doprowadziły Charlesa Dickensa do szaleństwa za dnia i morderstwa w nocy? To brzmiało absurdalnie, ale brzmiało też prawdopodobnie.

Odłożyłem na bok pismo, kiedy pociąg wjechał na stację, i przesunąłem się na siedzeniu, żeby wyjrzeć na zimny, szary, pozbawiony cieni pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Zapowiadała się ciekawa wizyta.

***

Rok wcześniej – w 1864 roku, przed Staplehurst – dość smętne bożonarodzeniowe towarzystwo u Dickensa składało się z mojego brata Charleya, jego żony Katey, aktora Fechtera z żoną (i niezwykłego prezentu Fechtera w postaci szwajcarskiego domku), Marcusa Stone'a i Henry'ego Chorleya. W tym roku odrobinę się zdziwiłem, widząc kolejnego kawalera, Percy'ego Fitzgeralda, który miał zostać na kilka dni, i w ogóle się nie zdziwiłem na widok Charleya i Katey ponownie przy kominku Dickensa. Ucieszyłem się, widząc innych mieszkańców Gad's Hill – Mamie i Georginę – we względnie dobrym nastroju, i całkowicie się zdumiałem (chociaż ocalały z katastrofy pod Staplehurst młodzieniec wspomniał mi o otrzymanym latem zaproszeniu od Dickensa), widząc, że młody Edmond Dickenson zainstalował się w Gad's Hill na cały tydzień. To oznaczało trzech kawalerów przy stole, jeśli nie uznawać za takowego samego Dickensa.

A tego ranka Dickens obiecał mi jeszcze jedną przyjemną niespodziankę w porze kolacji.

– Mój drogi Wilkie, ogromnie spodobają ci się nasi Tajemniczy Goście na kolacji. Obiecuję ci. Jak zawsze uradują nas wszystkich.

Gdyby nie ta liczba mnoga, może zapytałbym kpiąco Pana

Niezrównanego, czy przy świątecznym stole zjawi się pan Drood. A może bym nie zapytał; mimo entuzjazmu, z jakim mówił o Tajemniczym Gościu, Charles Dickens robił tego dnia wrażenie bardzo zmęczonego i wymizerowanego. Zapytałem go o zdrowie, a on przyznał, że od końca jesieni trapią go bóle i tajemnicze osłabienie. Najwyraźniej nasz wspólny przyjaciel i lekarz, Frank Beard, był wielokrotnie wzywany do chorego, chociaż Dickens rzadko stosował się do jego rad. Beard zdiagnozował „niedostatek siły w mięśniu serca", lecz Dickens robił wrażenie przekonanego, że rzeczone zranione serce należy raczej do strefy emocjonalnej, a nie że znajduje się w jego klatce piersiowej.

– To te przeklęte mgliste zimowe dni dręczą mój umysł, Wilkie – powiedział Dickens. – A potem, po trzech, czterech nietypowo ciepłych i wilgotnych dniach nastaje zimno, które łamie morale człowieka, jakby przyłożył mu kto maczugą. Ale nie wiem, czy zauważyłeś, że śnieg już u nas nie pada? Dałbym wszystko za proste, mroźne, śnieżne Boże Narodzenia z mojego dzieciństwa.

To prawda, że w te święta nie było śniegu na ziemi w Londynie ani w Gad's Hill. Trwał za to jeden z tych zimnych okresów, które opisał Dickens, i nasz popołudniowy spacer tego świątecznego dnia – dołączył do nas Percy Fitzgerald, tak samo jak młody Dickenson i Charley, syn Dickensa, a mój brat Charley został w domu – przypominał bardziej drepczącą procesję nieczułych, wielowarstwowych wełnianych tłumoków niż przechadzkę dżentelmenów. Nawet Dickens, który zwykle nie zważał na deszcz, skwar czy mróz, dorzucił grubsze palto, niż zwykł nosić na spacerach, i drugi czerwony szal z wełny, który owinął wokół kołnierzyka i dolnej części twarzy.

Oprócz nas, piątki ludzi, na spacer z nami wybrała się piątka psów: Linda, ciężko człapiący bernardyn; mały szpic godny swojego imienia Pani Iskierka; Don, czarny nowofundland; wielki mastiff imieniem Turek oraz Sułtan.

Dickens musiał trzymać Sułtana na grubej smyczy. Pies wymagał także skórzanego kagańca. Percy Fitzgerald, który

podarował mu tego psa świętego Huberta jako szczeniaka we wrześniu, ucieszył się, widząc, że Sułtan wyrósł i jest zdrowy, ale kiedy podszedł, żeby go pogłaskać, pies warknął i kłapnął szczękami w kagańcu, jakby umyślił sobie odgryźć mu rękę w nadgarstku. Percy cofnął się przerażony i zażenowany.

Dickens był dziwnie zadowolony.

– Sułtan nadal jest łagodny i grzeczny wobec mnie – wyjaśnił nam – ale jest potworem dla innych żywych stworzeń. Przegryzł pięć kagańców i często wraca z krwią na pysku. Wiemy z pewnością, że połknął w całości pewnego niebieskookiego kociaka, ale przeżywał straszne wyrzuty sumienia po tym nikczemnym uczynku… a przynajmniej jego żołądek cierpiał katusze.

Kiedy młody Edmond Dickenson się zaśmiał, Dickens dodał:

– Zauważcie jednak, że Sułtan warczał na was wszystkich… oprócz Wilkiego. Chociaż jest lojalny tylko wobec mnie, istnieje dziwne powinowactwo między tym psem i Wilkiem Collinsem, mówię wam.

Zmarszczyłem brwi nad brzegiem wełnianego szalika.

– Dlaczego tak mówisz? Bo w żyłach nas obu płynie irlandzka krew?

– Nie, mój drogi Wilkie – odpowiedział Dickens zza czerwonego szala. – Ponieważ obaj możecie być niebezpieczni, jeśli nad wami nie zapanować i nie trzymać was twardą ręką.

Ten idiota Dickenson znowu się zaśmiał. Charley Dickens i Percy zrobili tylko zdziwioną minę.

Z powodu zimna, z litości Dickensa dla gości, albo może z powodu jego własnych problemów zdrowotnych, popołudniowy spacer był bardziej leniwą przechadzką wokół posiadłości niż typowym Dickensowskim maratonem. Podeszliśmy wolnym krokiem do stajni i zerknęliśmy na konie, w tym Boya (wierzchowca Mary), starszego Trotty Vecka i wiecznie poważnego norweskiego kuca imieniem Newman Noggs. Kiedy staliśmy w kłębach ciepłych końskich

oddechów, karmiąc zwierzęta marchwią, przypomniałem sobie letnią wizytę u Dickensa zaraz po wypadku pod Staplehurst; Pan Niezrównany nie był w stanie znieść nawet powolnego kłusa Newman Noggsa ciągnącego wózek. Wózek i uprząż Noggsa, która wisiała na ścianie w stajni, były dziś ozdobione – jak zwykle – kompletem pięknie brzmiących norweskich dzwonków, ale było za zimno, żeby wybrać się na przejażdżkę.

Wyszliśmy ze stajni i Dickens – z Sułtanem wyrywającym się przodem na naprężonej smyczy – poprowadził nas tunelem do szwajcarskiej chatki. Zielone latem pola zboża za chatą wymarły i zamieniły się w postrzępione połacie zamarzniętej, brązowej szczeciny. Dover Road była całkiem pusta w ten szary świąteczny dzień – widać było jeden przechylony wóz z sianem, jak jedzie powoli przez połać zamarzniętego błota. Kruche źdźbła trawy rozdzierały się i łamały pod naszymi butami.

Opuściwszy pustą chatkę, nasza procesja ruszyła za Dickensem przez pole na tyłach domu. Tu pisarz przystanął, spojrzał na mnie i przez chwilę pochlebiałem sobie, że wiem dokładnie, co myśli.

Tu, właśnie w tym miejscu, ledwie pięć lat wcześniej, w cudny dzień pierwszego tygodnia września, Charles Dickens spalił calutką korespondencję, jaką otrzymał w ciągu minionych trzydziestu lat. Razem z synami, Henrym i Plornem, dźwigającymi kosz za koszem listów i teczek z jego gabinetu, z córką Mamie, błagającą go, żeby nie niszczył tak bezcennych zabytków literackich i osobistych pamiątek, spalił wszystkie listy, jakie otrzymał ode mnie, Johna Forstera i Leigh Hunta, Alfreda Tennysona i Williama Makepeace Thackeraya, Williama Harrisona Ainswortha i Thomasa Carlyle, swoich amerykańskich przyjaciół Ralpha Waldo Emersona i Henry ego Wadswortha Longfellowa, Washingtona Irvinga, i Jamesa T., Annie Fields i od swojej żony, Catherine. I od Ellen Ternan.

Później Katey powiedziała mi, że posprzeczała się z ojcem, trzymając w rękach listy, kłóciła się, widząc charakter pisma

i podpisy Thackeraya, Tennysona i wielu innych, błagała go, żeby pomyślał o przyszłych pokoleniach. Jednakże, z niewiadomego powodu kłamała, opowiadając mi tę historię. Trzeciego września – w dniu, w którym Dickens nagle postanowił spalić całą swoją korespondencję – była z moim bratem w podróży poślubnej we Francji. Dowiedziała się o tym wydarzeniu dopiero wiele miesięcy później.

Była tu jej siostra, Mamie – tu, w tym właśnie miejscu, w którym teraz stałem, na tylnym podwórzu, wychodzącym na zamarznięte pola i nagie, odległe lasy hrabstwa Kent – i to ona błagała ojca, żeby nie niszczył listów. Dickens odpowiedział: „Żałuję tylko, jak mi Bóg miły, że nie wszystkie listy, jakie kiedykolwiek napisałem, znalazły się na tym stosie".

Kiedy tego dnia teczki i szuflady w gabinecie Dickensa zostały opróżnione, jego synowie, Henry i Plorn, piekli cebule w popiołach wielkiego ogniska, dopóki nagła popołudniowa burza nie zapędziła wszystkich do domu. Dickens napisał do mnie: „Potem zerwała się taka ulewa… Podejrzewam, że moja korespondencja zachmurzyła twarz niebios".

Dlaczego Dickens spalił spuściznę po sobie w postaci korespondencji? Zaledwie przed rokiem, w 1864, Dickens powiedział mi, że napisał do swojego starego przyjaciela, aktora Williama Charlesa Macreadyego:

> *Codziennie widząc niestosowny użytek czyniony z poufnych listów, ujawnionych szerokiej publice, której nic nie powinny obchodzić, nie tak dawno temu rozniecіłem wielkie ognisko na swoim polu w Gad's Hill i spaliłem wszystkie posiadane listy. Od tej pory zawsze niszczę każdy otrzymany list, który nie jest ściśle związany z interesami, i na razie mam spokojną głowę.*

Jaki niestosowny użytek? Niektórzy nasi – Dickensa i moi – przyjaciele, z tych nielicznych, którzy dowiedzieli się o wielkim paleniu, podejrzewali, że trudna i publiczna separacja Pana Niezrównanego z Catherine (publiczna

głównie z powodu jego własnej niewłaściwej oceny sytuacji, trzeba o tym pamiętać) przeraziła go i sprawiła, że wyobraził sobie potencjalnych biografów i inne literackie hieny w dniach i miesiącach po jego zgonie, jak ślęczą nad jego wieloletnią prywatną korespondencją. Od dziesięcioleci – jak spekulowali owi wspólni przyjaciele – życie i praca Charlesa Dickensa stanowiły publiczną własność. Doszli do wniosku, że prędzej by go piekło pochłonęło, niżby pozwolił, by ciekawa publika gapiła się z rozdziawionymi ustami także na reakcje przyjaciół na jego najbardziej prywatne myśli.

Miałem nieco odmienną teorię na temat powodów, dla których Dickens spalił listy.

Myślę, że sam podsunąłem mu ten pomysł.

W bożonarodzeniowym wydaniu „Household Words" z 1854 roku, w moim opowiadaniu *Czwarty ubogi podróżny* narrator, adwokat, mówi: „Moje sądowe doświadczenia, panie Frank, przekonały mnie, że gdyby wszyscy palili otrzymane listy, można by zamknąć połowę sadów w tym kraju". Sądy, jakie one tam są, znajdowały się w centrum uwagi Charlesa Dickensa w tych dniach, kiedy pisał *Samotnię* i ponownie w 1858 roku, kiedy rodzina żony zagroziła, że zaciągnie go do sądu z powodu różnych krzywd dziejących się Catherine, w tym – jak można przypuszczać – cudzołóstwa męża.

I raptem, na kilka miesięcy przed tym, jak Dickens powierzył swoje listy ognisku, napisałem o palonym liście w mojej powieści *Kobieta w bieli*, którą publikowano w odcinkach w „Household Words", starannie redagowanych przez Dickensa. W mojej opowieści Marian Halcombe otrzymuje list od niejakiego Waltera Hartrighta. Przyrodnia siostra Marian, Laura, kocha Hartrighta, ale zgodziła się wypełnić obietnicę złożoną umierającemu ojcu i poślubić kogoś innego. Hartright jest gotów odpłynąć do Ameryki Południowej. Marian postanawia nie mówić Laurze o treści listu.

Zastanawiam się, czy nie powinnam posunąć się o krok

dalej i nie spalić od razu tego listu, aby nie wpadł kiedyś w niepowołane ręce. Hartright nie tylko mówi o Laurze słowami, które na zawsze powinny pozostać tajemnicą między nami, ale uparcie powtarza swe niezrozumiałe i niepokojące podejrzenie, że od wyjazdu z Limmeridge jest tajemnie śledzony. (…) Ale lękam się trzymać ten list. Przez prosty przypadek może wpaść w obce ręce. Mogę zachorować, mogę umrzeć. Lepiej od razu go spalić i mieć o jedną troskę mniej.

Spaliłam go. Na kominku leży garść czarnych sadzy, popiół pożegnalnego listu, może ostatniego, jaki napisał do mnie[3].

Wedle mojej teorii, ta scena z *Kobiety w bieli* zrobiła głębokie wrażenie na Dickensie w czasie, w którym tak bardzo, bardzo ciężko pracował, żeby stworzyć sobie drugie, sekretne życie z Ellen Ternan. Myślę także, że – z jakiegoś powodu – fakt, że jego córka Kate wyszła za mąż za mojego brata w lipcu 1860 roku, ostatecznie popchnął go do spalenia swojej korespondencji i – jestem o tym niemalże przekonany – do przekonania Ellen Ternan, by spaliła wszystkie listy, jakie dostała od niego w ciągu ostatnich trzech lat. W gruncie rzeczy jestem pewien, że Dickens uważał ślub Katey z Charleyem Collinsem za rodzaj zdrady ze strony własnej rodziny i nie trzeba długo się zastanawiać, by uznać, że wyobraził sobie, jak jego córki i synowie – a w szczególności Katey, o której wszyscy zgodnie mówili, że jest taka do niego podobna – ponownie go zdradzają, sprzedając albo publikując korespondencję po jego śmierci.

Dickens potwornie się postarzał w okresie między 1857 i 1860 rokiem; niektórzy mówią, że z młodego człowieka od razu zamienił się w starego, prawie nie zatrzymując się po drodze w wieku średnim. Całkiem możliwe, że otarcie się o chorobę i widmo śmierci w owym czasie przypomniało mu o scenie palenia listu i ponagliło go do zniszczenia wszelkich dowodów swoich prywatnych przemyśleń.

– Wiem, o czym myślisz, mój drogi Wilkie – odezwał się

nagle Dickens. Pozostali mężczyźni spojrzeli na nas zaskoczeni. Opatuleni warstwami wełny patrzyli, jak blade słońce zachodzi za warstwami chmur na zachodzie, za falującymi, zamarzniętymi polami hrabstwa Kent.

– O czym myślę, mój drogi Dickensie? – spytałem.

– Myślisz, że wielkie ognisko cudownie by nas rozgrzało.

Zamrugałem, zaskoczony, czując sztywność zamrożonych rzęs na lodowatych policzkach.

– Ognisko! – wykrzyknął młody Dickenson. – Co za kapitalny pomysł!

– Byłby, gdyby panie i dzieci nie czekały na nas w domu, żeby rozpocząć bożonarodzeniowe gry – odparł Dickens, klaszcząc w dłonie w grubych rękawicach, co zabrzmiało jak wystrzał ze strzelby.

Sułtan spłoszył się nagle i odskoczył w bok, na ile pozwoliła mu smycz, kuląc się, jakby strzelono do niego z prawdziwej strzelby.

– Ciepły poncz dla wszystkich! – wykrzyknął Pan Niezrównany i nasza procesja wełnianych sferoid w kolorowych szalikach, kolebiąc się, podreptała za nim z powrotem do domu.

***

Darowałem sobie radości gier z dziećmi i kobietami i poszukałem schronienia we własnym pokoju. Zawsze zatrzymywałem się w tym samym pokoju gościnnym w Gad’s Hill Place i ulżyło mi, kiedy odkryłem, że nadal należy do mnie, że nie zostałem w ostatnich miesiącach zdegradowany. (Z powodu tłoku, bo na święta zjechała się rodzina, a wieczorem mieli jeszcze pojawić się Tajemniczy Goście, Percy Fitzgerald został przeniesiony do pokoju w gospodzie „Falstaff Inn” po drugiej stronie traktu. Uznałem to za dziwne, ponieważ Percy był starym przyjacielem i z pewnością zasługiwał na własny pokój w domu Dickensa o wiele bardziej niż sierota Dickenson, którego nie wygnano do gospody. Jednakże już dawno przestałem nawet próbować

zrozumieć czy przewidzieć kaprysy Charlesa Dickensa).

Powinienem zauważyć w tym miejscu, Drogi Czytelniku, że nie podzieliłem się moim nocnym objawieniem po laudanum – że Dickens planuje zabić bogatego osieroconego młodzieńca, Edmonda Dickensona (a wszystko to miało coś wspólnego ze szkarłatnymi pelargoniami rozbryzganymi niczym krew po pejzażu i hotelowym pokoju) – z inspektorem Fieldem ani nikim innym. Przyczyna była oczywista: było to nocne objawienie po laudanum i chociaż niektóre z podobnych odkryć okazywały się bezcenne dla mnie jako powieściopisarza, trudno byłoby opisać mrużącemu oczy inspektorowi Fieldowi ukryty ciąg logiczny i wspomaganą lekiem intuicję, które doprowadziły mnie do tego spostrzeżenia.

Wróćmy jednak do mojego pokoju w Gad's Hill Place. Chociaż co innego mówiłem Caroline po długich pobytach u Dickensa, jego dom był wygodnym azylem dla gości. Każdy pokój gościnny miał cudownie wygodne łoże, kilka drogich i równie wygodnych mebli i – zawsze, w każdym pokoju gościnnym, a także w niektórych korytarzach i ogólnodostępnych pokojach – stół zastawiony materiałami piśmienniczymi, wśród których był papier listowy z nagłówkiem, koperty, przycięte pióra, zapałki i lak. Wszystko to znajdowało się w pokoju, który był stale wysprzątany, sumiennie uporządkowany i nienagannie wygodny.

Każdy gość w Gad's Hill znajdował także istną bibliotekę w swoim pokoju, z kilkoma tomami wyłożonymi na stolik nocny koło łóżka. Te książki Dickens wybierał specjalnie z myślą o każdym gościu z osobna. Na moim stoliku leżał egzemplarz mojej *Kobiety w bieli* – nie ten opatrzony dedykacją, który osobiście podarowałem Dickensowi, ale świeżo zakupiony, z jeszcze nierozciętymi stronami – a także eseje z „The Spectator", egzemplarz *Baśni z tysiąca i jednej nocy* i tom Herodota, gdzie skórzana zakładka zaznaczała rozdział na temat podróży starożytnego historyka do Egiptu i miejsce poświęcone świątyniom snu.

Nad tremo w moim pokoju znajdowała się kartka z

napisem: „W tym pokoju przez pięć tygodni sypiał Hans Andersen, co dla rodziny trwało całe WIEKI!”.

Słyszałem co nieco na temat tej przedłużonej wizyty. Pewnego wieczoru, przy winie, Dickens opisał przyjaznego Duńczyka (który bardzo słabo mówił po angielsku, co musiało uczynić jego długi pobyt u rodziny Dickensa jeszcze bardziej stresującym) jako „krzyżówkę mojego bohatera Pecksniffa i brzydkiego kacząt ka, Wilkie. Bardzo ciężkie skandynawskie brzemię do dźwigania przez tydzień, nie mówiąc już o ponad czterech tygodniach”.

Kiedy jednak często powtarzałem Caroline albo Harriet po kilku dniach, a nawet tygodniach gościny w Gad’s Hill, że pobyt tam był dla mnie prawdziwą „próbą”, to miałem na myśli bardzo dosłowne rozumienie tego słowa. Mimo naprawdę wspaniałego poczucia humoru Dickensa i najprawdziwszych wysiłków, żeby zawsze zapewnić gościom spokój, dbać o ich wszelkie wygody i zabawiać ich konwersacją przy wszystkich posiłkach i spotkaniach, goszcząc w jego domu, człowiek czuł też, że Pan Niezrównany nieustannie poddaje go próbom i sprawdzianom. Przynajmniej ja tak to odbierałem. (Zgaduję, że biedny Hans Christian Andersen – który nawet skomentował, nie skarżąc się jednak, opryskliwość Katey, Mamie i chłopców w czasie jego długiego pobytu – nie zauważył zniecierpliwienia i sporadycznej ostrej krytyki ze strony gospodarza).

W ciszy swojego pokoju – chociaż słyszałem towarzyszące grom piski zachwytu dzieci i Charlesa Dickensa w salonie na dole – wyjąłem dzbanek laudanum z solidnie zabezpieczonej przegródki w walizce i napełniłem czysty kieliszek, który stał obok stale uzupełnianego dzbana chłodnej wody przy misie do mycia rąk. Byłem przekonany, że wieczór okaże się dla mnie ciężką próbą – zarówno pod względem fizycznym, jak i emocjonalnym. Wypiłem pierwszy kieliszek lekarstwa i napełniłem drugi.

Możesz się zastanawiać, Drogi Czytelniku z najprawdopodobniej krytycznie oceniającej mnie przyszłości,

dlaczego zgodziłem się donosić na Dickensa wścibskiemu byłemu policjantowi. Mam nadzieję, że nie straciłeś dobrego zdania na mój temat na przestrzeni ostatnich stron, odkąd opowiedziałem o sfinalizowaniu tej tajnej umowy.

Powody, dla których zgodziłem się na ten faustowski układ, są trojakie:

Po pierwsze, wierzę, że Dickens chciał, żebym powiedział byłemu inspektorowi Charlesowi Frederickowi Fieldowi o wszystkim, co wydarzyło się tamtej nocy, kiedy szukaliśmy Drooda, a także o wszystkim, co od tej pory Pan Niezrównany powiedział mi na temat Drooda. Pytasz, dlaczego Dickens chciałby, żebym na niego donosił? Nie jestem pewien wszystkich jego motywów, ale jestem przekonany, że chciał, bym to zrobił i by nie musiał mnie wprost o to prosić. Wiedział, że prywatny detektyw mnie wypytywał. Z pewnością wiedział, że taki człowiek jak Field spróbuje mnie szantażować, posuwając się dalej niż do zwykłych pogróżek, że ujawni powszechnie znany fakt, jakim był mój związek z Caroline. A ściśle rzecz ujmując, Dickens nigdy nie opowiedziałby mi o pochodzeniu Drooda ani nie przyznałby się do swojej podróży do londyńskiego Podmiasta, gdyby nie przewidział i wręcz nie pragnął, bym przekazał te informacje lubiącemu zastraszać ludzi inspektorowi. Na czym polegała gra Dickensa, nie wiedziałem. Wyczuwałem jednak, że cicha zmowa między mną i Panem Niezrównanym jest o wiele bardziej intensywna niż ta między mną i intryganckim inspektorem Fieldem.

Po drugie, miałem własne powody, żeby posłużyć się inspektorem jako narzędziem do zebrania informacji na temat Charlesa Dickensa i Ellen Ternan. Wiedziałem, że jeśli idzie o ten aspekt jego życia, Dickens nigdy nie podzieli się ze mną informacjami. Jego związek z aktorką – na długo przed katastrofą pod Staplehurst, która sporo w tej kwestii ujawniła – zmienił każdy aspekt życia Pana Niezrównanego i wpłynął na wszystkie inne związki w jego życiu, w tym także na relacje ze mną. A jednak szczegóły i rozległość tej potajemnej znajomości i pracowitego drugiego życia

pozostałyby – gdyby tylko Dickens postawił na swoim (a kiedy nie postawił?) – tajemnicą aż do jego śmierci, a także po niej. Miałem swoje powody, które być może zdradzę Ci później, Drogi Czytelniku, by koniecznie poznać te szczegóły. Inspektor Field – ze swoją skłonnością do wścibstwa, całkowitym brakiem skrupułów dżentelmena i rozwiniętą siatką pracowitych detektywów – stanowił doskonałe źródło takich informacji.

Po trzecie, zawiązałem ten pozorny spisek z inspektorem Fieldem, ponieważ sam potrzebowałem przegrupować pewne elementy moich osobistych relacji z Charlesem Dickensem, które zaczęły się kruszyć w ciągu ostatniego roku, na długo przed Staplehurst. Tak naprawdę przekazywałem detektywowi informacje o Droodzie, żeby pomóc chronić Charlesa Dickensa w tym jednym z najtrudniejszych dla niego okresów. Czułem, że odnowa naszej zagrożonej przyjaźni – i umocnienie w niej mojej słabnącej pozycji – jest ważna, jeśli mój przyjaciel Charles Dickens ma znaleźć pomoc i ochronę.

Dwadzieścia minut minęło, odkąd wypiłem laudanum, zanim poczułem, że nadciągający ból wywołany podagrą zaczyna luzować imadło, którym ściskał moją obolałą głowę, wnętrzności i kończyny. Poczucie głębokiej równowagi i umysłowego ożywienia wypełniło mi ciało.

Jakiekolwiek niespodzianki przygotował Charles Dickens na bożonarodzeniową kolację, teraz czułem się gotów stawić im czoło z typowymi dla mnie i oczekiwanymi ode mnie opanowaniem i humorem.

Rozdział 13

– Nie… ehm… Dickensie! Przysięgam! Nie te… ehm, ehm… nie te, te bzdury, nie *Nasz wspólny przyjaciel* Nie! To… ehm… to… *Copperfield!* Na Boga! Przysięgam na niebiosa, że jako dzieło, gdzie namiętność i swawolność… ehm, ahm… połączyły się w sposób nie do opisania… Nie, naprawdę, Dickensie! *…Copperfield!.* …zadziwił mnie w najwyższym stopniu i jednako… ehm… mnie poruszył. Ale jako dzieło sztuki… a wiesz… ehm… że ja… Nie, Dickensie! Na Boga! …że swego czasu widziałem największe dzieła sztuki… jest dla mnie niezrozumiałe. Jak powstało… ehm… jak zostało stworzone… ehm… jak jeden człowiek może… ach, cóż! Powala mnie na… ehm… kolana i nie ma sensu o tym mówić.

To był nasz Tajemniczy Gość. Kiedy mówił, ocierał wielkie, blade, zlane potem czoło wzorzystą jedwabną chusteczką. Potem staruszek otarł także kaprawe oczy, które zaczęły mu łzawić.

Naszym Tajemniczym Gościem okazał się, rzecz jasna, William Charles Macready, Wybitny Tragik, wraz z nową żoną, Cecile.

Mam nadzieję i modlę się, że nie wyczuwam właśnie ciszy po twojej odległej stronie tych wędrujących przez czas wspomnień, Drogi Czytelniku, bo jeśli w Twoich czasach zapomniano o Williamie Charlesie Macreadym, jak mógłbym liczyć na to, że przetrwało nazwisko i dzieła skromnego Wilkiego Collinsa?

William Charles Macready był Wybitnym Tragikiem naszych czasów, przejął pałeczkę po Keanie i – według wielu – przewyższył tego dawnego giganta teatru szekspirowskiego zarówno pod względem subtelności interpretacji, jak i wyrafinowanej wrażliwości. Jego najbardziej pamiętne role w trwającej dziesięciolecia dominacji na scenie angielskiej to Makbet w niepospolicie doskonałej inscenizacji i król Lear. Urodzony w 1793 roku, o ile moje rachunki są słuszne,

Macready był już dojrzałą i uznaną gwiazdą sceny oraz sławną postacią publiczną, kiedy młody Dickens – Niezrównany Boz, jak go nazywano po jego pierwszym sukcesie z *Klubem Pickwicka* – był dopiero marzącym o scenie chłopakiem. Wyjątkowe mistrzostwo Macready ego w odgrywaniu na scenie tragizmu i skruchy, często kosztem poczucia szlachetności i wielkości – tak często wykorzystywanego przez szekspirowskich aktorów – znalazło głęboki odzew w podobnych zdolnościach młodego pisarza.

Macready był także – jak Dickens – złożonym, wrażliwym i pełnym paradoksów człowiekiem. Chociaż na pozór wydawał się człowiekiem wszystkowiedzącym jak sam Pan Niezrównany, w głębi serca – według tych, którzy najlepiej go znali – często ogarniało go zwątpienie. Był dumny ze swojej profesji, tak samo jak Dickens ze swojej, ale niepokoił się (tak samo jak niekiedy Dickens), czy owa profesja pozwala mu być prawdziwym dżentelmenem. Jednakże pod koniec lat trzydziestych dziewiętnastego wieku Dickens (jako wschodząca gwiazda) i jego przyjaciele – Macready, Forster, Maclise, Ainsworth, Beard i Mitton – stworzyli elitarny krąg talentu i ambicji, jakiemu mało co mogło dorównać w historii naszej małej wyspy.

Ze wszystkich tych ludzi William Charles Macready cieszył się największa sławą – przynajmniej dopóki Dickens ostatecznie nie zyskał nad nim przewagi.

Przez wiele lat (a właściwie dziesięcioleci) Niezrównany Boz pisał pełne podziwu recenzje zza kulis, szczególnie kibicując Macready emu (wraz ze swoim współpracownikiem i redaktorem Johnem Forsterem) przy takich teatralnych innowacjach jak przygotowana przez Macready’ego inscenizacja *Króla Leara*, która przywróciła prawdziwą i tragiczną szekspirowską wizję tej postaci po ponad stu pięćdziesięciu latach, kiedy to publiczność nie miała innego wyjścia, jak znosić przeraźliwą adaptację Nahuma Tate’a ze szczęśliwym zakończeniem. Macready wprowadził także z powrotem Błazna do obsady *Króla Leara*, na który to akt wizjonerskiego ocalenia postaci wrażliwość Dickensa

zarezonowała z taką siłą, jakby uderzyć młotem w dzwon. Przejrzałem raz zapiski Dickensa na ten właśnie temat i poza tym, że pisał o powrocie Błazna jako „osobliwej, mistrzowskiej przeciwwadze” dla przytłaczającej obecności Leara, rozentuzjazmowany Boz nazwał inscenizację Macready ego „wspaniałą” i rozwinął tę myśl:

> *Serce, dusza, umysł zniszczonego dzieła natury we wszystkich stadiach jego rozpadu zostały przed nami odsłonięte… Czułość, szał, szaleństwo, skrucha i smutek, jedno wypływa z drugiego i wszystkie są połączone w jeden ciąg.*

W 1849 roku arogancki amerykański aktor szekspirowski nazwiskiem Edwin Forrest (który kiedyś był bliskim przyjacielem Macready’ego i sporo skorzystał z jego szczodrości) odwiedził Anglię i znieważył Hamleta w interpretacji Macready’ego, posuwając się aż do stwierdzenia, że nasz angielski Wybitny Tragik przemierza scenę, drobiąc kroczki, i wypowiada kwestie jak zniewieściały fircyk. Forrest nie był mile traktowany przez angielską publiczność przez resztę swojej wizyty. Anglicy wyśmiewali jego Makbeta, wypowiadającego kwestie Barda z potwornym amerykańskim akcentem. W maju tego samego roku Macready wyruszył na tournée po Ameryce (był już tam wcześniej i w większości wypadków witano go ciepło) i łobuzy z Bostonu i Nowego Jorku – poważni wielbiciele Shakespeare’a, teatromani i nikczemni chuligani w jednym – obrzucili go w czasie występów zgniłymi jajkami, krzesłami, zdechłymi kotami i nawet jeszcze bardziej ohydnymi przedmiotami. Wielu amerykańskich teatromanów próbowało bronić naszego Wybitnego Tragika, wobec czego jeszcze więcej chuliganów zorganizowało się, by zadać cios Macready’emu i angielskiej hegemonii we wszystkim co szekspirowskie. W efekcie, dziesiątego maja 1849 roku doszło do jednych z najkrwawszych rozruchów w historii Nowego Jorku. Zanim się skończyły, w pobliżu teatru o nazwie Astor Place piętnaście tysięcy ludzi podzieliło się na

tłum zwolenników i przeciwników Macready'ego, burmistrz i gubernator spanikowali i wezwali milicję, którą Amerykanie nazywali Gwardią Narodową, do tłumu zaczęto strzelać i dwudziestu, może trzydziestu obywateli padło trupem na ulicy.

Przez cały ten czas Dickens przesyłał pokrzepiające i gratulacyjne telegramy Macready'emu, jakby był menedżerem pięściarza, który stoi w narożniku z ręcznikiem i solami trzeźwiącymi.

Na przestrzeni lat Dickens po cichu napisał i nieśmiało podsunął wielkiemu aktorowi wiele krótkich sztuk i komedii, ale ten wszystkie taktownie odrzucił (chociaż Dickens brał udział w zorganizowaniu pamiętnych występów Macready'ego w inscenizacji *Henryka V* w 1838 roku). Jakoś te odmowy nie zraziły ani nie zniechęciły Pana Niezrównanego, który – wedle mojego doświadczenia – nie ścierpiałby podobnego odrzucenia od nikogo innego, nawet królowej.

I tak ich przyjaźń trwała i dojrzewała już trzydzieści lat. Jednakże, w miarę jak po drodze odpadali wspólni przyjaciele (czy to tracąc względy Dickensa, czy też umierając), w ostatnich latach wyczuwałem z komentarzy Pana Niezrównanego, że jego wiodącą reakcją na Macready'ego jest teraz smutek.

Życie nie obeszło się łaskawie z Wybitnym Tragikiem. Zamieszki pod Astor Place przekonały starzejącego się aktora do przejścia na emeryturę, ale kiedy tylko wyruszył w drogę z pożegnalnym tournée, zmarło jego najstarsze, ukochane dziecko, dziewiętnastoletnia Nina. Macready, od zawsze będąc skłonnym do zadumy człowiekiem wiary, dosłownie zamknął się w domu, żeby stawić czoło nowym wątpliwościom, odnośnie do świata i samego siebie. Jego żona, Catherine, leżała wtedy w połogu z dziesiątym dzieckiem. (Podobieństwa między rodziną Dickensów i Macreadych były więcej niż tylko powierzchowne; obie pary trzymały się tak blisko, że kiedy Charles Dickens zabrał swoją Catherine na pierwsze tournée po Ameryce na

początku lat czterdziestych, swoje dzieci powierzył opiece właśnie państwa Macreadych. Tyle tylko, że William Charles Macready nigdy nie przestał kochać swojej Catherine).

Ostatni występ Macready'ego miał miejsce w teatrze przy Drury Lane dwudziestego szóstego lutego 1851 roku. Oczywiście, na swoje pożegnanie wybrał Makbeta – rolę, z którą najsilniej go identyfikowano, i sztukę, podczas której go wyśmiewano i atakowano dwa lata wcześniej w Nowym Jorku. Potem, w ramach przypisu do pożegnania, odbył się wielki bankiet – tak ogromny, że trzeba było zorganizować go w starej, rozbrzmiewającej echem Hall of Commerce. Bulwer–Lytton wyseplenił mowę prosto z serca. John Forster odczytał rozpaczliwie kiepski wiersz napisany na tę okazję przez Tennysona. Thackeray, którego jedynym zadaniem było wznieść toast za zdrowie obecnych dam, z nerwów omal nie zemdlał. Dickens, który zorganizował cały ten wieczór i który nosił jasnoniebieski surdut ze zdumiewającymi mosiężnymi guzikami i lśniącą, czarną satynową kamizelkę, wygłosił mowę – jakżeby inaczej – wzruszającą, smutną i zarazem zabawną, płynącą prosto z serca i naprawdę niezapomnianą.

Catherine Macready zmarła w 1852 roku. Podobnie jak jej córka Nina, żona Macready ego zmarła po długiej i straszliwej walce z tuberkulozą. Dickens opowiedział mi o swojej ostatniej wizycie u niej i o tym, jak wkrótce po niej napisał do przyjaciela: „Olbrzymi sierp wrzyna się w zboże głęboko i pewnie, kiedy człek dojrzeje do zżęcia". W następnym roku zmarli także obaj synowie Macready'ego, Walter i Henry, a wkrótce po nich odeszła ich siostra Lydia. Żadne z dzieci nie dożyło dwudziestki.

W 1860 roku – po ośmiu latach żałoby w odosobnieniu ponurego ustronia Sherbourne – w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat Macready ponownie się ożenił (drugą panią Macready została dwudziestotrzyletnia Cecile Louise Frederica Spencer) i przeprowadził do okazałego domu w Cheltenham, raptem cztery, pięć godzin drogi z Londynu. Wkrótce potem urodził im się syn.

Dickens był uradowany. Pan Niezrównany nie cierpiał myśli o starzeniu się, obawiał się ich i pogardzał nimi (z tego powodu Mary Angela, jego najstarsza wnuczka, córka Charleya i Bess, tego właśnie wieczoru nazywała Dickensa „Nestorem”, na co sam nalegał – nie pozwoliłby, żeby użyto przy nim słowa „dziadek”) i nie zamierzał dostrzegać i uznawać oznak wieku i starości u najbliższych mu ludzi.

Jednakże William Charles Macready przy naszym bożonarodzeniowym stole w 1865 roku, w wieku siedemdziesięciu dwóch lat, przejawiał wszelkie oznaki zaawansowanego wieku i starości.

Te same rysy twarzy, które tak wielu uznawało za ciekawe w aktorze – potężny podbródek, wielkie czoło, duży nos, zapadnięte oczy i ściągnięte jak pączek kwiatu usta – teraz przywodziły na myśl niegdyś dumnego ptaka drapieżnego, który zapadł się w sobie.

Jako aktor Macready rozwinął technikę, której nadal uczono w szkołach teatralnych, zwaną „pauzą Macready’ego”. Sam słyszałem to na scenie. Zasadniczo było to zwyczajne wahanie, dziwna pauza albo literacka elipsa wprowadzona do kwestii tam, gdzie nie było żadnych znaków przestankowych. Rzeczywiście, potrafiła dodać emfazy do wypowiedzi, i to tak dalece, że zmieniała sens słów po obu swoich stronach. Macready wprowadził tę pauzę do swoich wypowiedzi na co dzień już dziesiątki lat temu i wielu parodiowało jego dyktatorski sposób reżyserowania sztuk:

– Stój… ehm, ehm… nieruchomo, niech cię diabli!

Albo:

– Nie… ehm… odwracaj… ode mnie wzroku, mój panie!

Jednakże teraz słynne pauzy Macready’ego pożarły większość sensu słów Macready’ego:

– Nie potrafię… ehm… ehm… nie potrafię ci powiedzieć… ehm… ehm… Dickensie, jak… Co to za groteskowa i… ehm… ehm… straszliwa wrzawa z drugiego… Dzieci? Twoje dzieci, Charley? A cóż to znowu za jędza? Czy… czy… czy… eee… eee… eee… eee… niech to szlag! Cecile! Co chciałem powiedzieć, zanim… Collins! Nie ty, ten drugi… ten w

okularach! Przeczytałem twoją… ehm, ehm… widziałem twoją… twoją… twoją… twoją… nie mogłeś chyba mieć na myśli, że ona… Błagam, piękna Georgino, uwolnij nas wszystkich od tego brzemienia… ehm… ehm… ratuj nas od tego… eee… eee… walenia w cynowe garnki w kuchni, nie? Tak! Na Boga! Ktoś powinien powiedzieć inspicjentowi, że dzieci trzeba… Och, *Kobieta w bieli,* to miałem na myśli… ehm, ehm… kapitalny indyk, moja droga! Kapitalny!

***

Indyk rzeczywiście był dobry. Niektórzy twierdzą, że w ostatnich dziesięcioleciach nikt w Anglii nie ponosi większej odpowiedzialności za odciągnięcie angielskich rodzin od kościstej i tłustej bożonarodzeniowej gęsi i skłonienie ich do mięsistego, wypasionego indyka, niż Charles Dickens. Już samo zakończenie jego *Opowieści wigilijnej* popchnęło tysiące zgęsiałych rodaków przez krawędź drobiowego gorsetu prosto na białą pierś prawdziwej indyczej uczty.

W każdym razie indyk był tego dnia dobry, tak samo jak parujące przystawki. Nawet białe wino było lepsze od tego, które zwykle serwował Dickens.

To było skromne przyjęcie świąteczne jak na standardy Dickensa, a i tak przy długim stole panował większy tłok niż przy jakimkolwiek stole wyszykowanym przez Caroline z okazji Bożego Narodzenia. U szczytu siedział oczywiście Charles Dickens; pokrojony zewłok większego z dwóch obranych z mięsa indyków nadal leżał przed nim niczym zdobycz wojenna. Zaraz po jego prawej stronie siedział Macready, a naprzeciwko Wybitnego Tragika znalazła się jego młoda żona, Cecile. (Jestem przekonany, że istnieje jakaś żelazna zasada towarzyska zabraniająca sadzania małżonków naprzeciwko siebie – jak mniemam, jest to niemal równie fatalne rozwiązanie, jak posadzenie ich obok siebie – ale Charles Dickens nigdy nie przejmował się specjalnie dyktatami socjety. „To zwykła Podsnapowość”, zwykł mawiać).

Obok Macready'ego siedziała jego chrześnica i imienniczka, Kate Macready Dickens Collins, ale nie wyglądała na zadowoloną z posadzenia jej obok ojca chrzestnego – ani też z tego, że w ogóle siedzi z nami przy stole, skoro już o tym mowa. Rzuciwszy kilka jadowitych spojrzeń ojcu i skrzywiwszy się na bezustannie eliptyczne i niezrozumiałe wypowiedzi Macready ego, zerknęła ku swojej siostrze Mamie i przewróciła oczami. Mamie (to znaczy Mary), która siedziała na lewo ode mnie (ponieważ z jakiegoś niewiadomego powodu Dickens obdarzył mnie tym zaszczytem i usadził przy drugim krańcu stołu), jeszcze bardziej przytyła w ciągu kilku tygodni, odkąd ostatni raz ją widziałem, i coraz bardziej przypominała swoją korpulentną matkę.

Naprzeciwko Katey siedział mój brat, Charles, który rzeczywiście tego wieczoru wyglądał na chorego. Chociaż za żadne skarby nie chciałbym zgodzić się w tej akurat kwestii z Dickensem, blade oblicze Charleya naprawdę wglądało jak trupia czaszka.

Po prawej stronie Katey siedział Osierocony Młodzieniec, nasza własna niedoszła ofiara katastrofy pod Staplehurst, Edmond Dickenson, który przez cały wieczór szczerzył zęby w uśmiechu, rozglądał się i rozpromieniał, jak przystało na głupca, którym był. Naprzeciwko niego siedział inny młody kawaler, dwudziestosześcioletni Percy Fitzgerald, któremu udało się być równie jowialnym i entuzjastycznym jak Dickenson (minus głupota).

Między Dickensonem i Mamie Dickens siedział Charley Dickens. Najstarsze dziecko Pana Niezrównanego robiło wrażenie najszczęśliwszego ze wszystkich zebranych tego wieczoru, a powód tego szczęścia siedział zapewne naprzeciwko niego. Przyznaję, że młoda Bessie Dickens, jego żona, była chyba najładniejszą kobietą przy stole – a przynajmniej drugą w kolejności tuż za Cecile Macready. Dickens był wściekły na Charleya za to, że zakochał się w Bessie Evans. Jej ojciec, Frederick Evans, był wieloletnim przyjacielem Pana Niezrównanego, ale Dickens nigdy mu nie

wybaczył, że reprezentował Catherine w czasie paskudnych negocjacji związanych z separacją, ani też tego, że potem został jej powiernikiem – chociaż Dickens sam prosił go o przyjęcie tych ról!

Charleyowi Dickensowi, jego przyszłości i szczęściu wyszło na dobre, że zignorował wybuchy wściekłości ojca i stawiane ultimata, i poślubił Bessie. Była cicha i powściągliwa – rzadko odzywała się w obecności teścia – ale światło świec na jej pięknej szyi mówiło wszystko. Po lewej stronie Bessie siedziała Georgina Hogarth, która – pod nieobecność żony Dickensa (bardzo wyraźnie wyczuwalną) – robiła co w jej mocy, żeby czynić honory pani domu i z dezaprobatą cmokała na każdą potrawę i przystawkę.

Na lewo od Georginy i zarazem na prawo ode mnie siedział młody Henry Fielding Dickens. O ile mnie pamięć nie myli, był to pierwszy raz, kiedy jadł przy stole z dorosłymi w Boże Narodzenie. Szesnastoletni chłopiec robił wrażenie dumnego z tego faktu, gdy siedział w nowej, satynowej kamizelce ze zdecydowanie zbyt widocznymi guzikami. Mniej widoczne były długie bokobrody, które próbował – bez większych sukcesów – zachęcić do pojawienia się na pokrytych meszkiem policzkach. Cały czas dotykał (nieświadomie, jak sądzę) gładkich policzków i górnej wargi, jakby upragniony zarost mógł wyrosnąć w czasie kolacji.

Bezpośrednio po mojej lewej stronie, między mną i Mamie Dickens, siedziała prawdziwa (dla mnie) niespodzianka tego wieczoru: bardzo wysoki, bardzo zwalisty, bardzo rumiany i bardzo łysy mężczyzna o bujnym wąsie i bokobrodach, o jakich biedny młody Henry D. mógł sobie tylko pomarzyć. Nazywał się George Dolby i spotkałem go raz, może dwa w redakcji „Household Words”, chociaż, o ile sobie przypominałem, był raczej związany z teatrem albo zarządzaniem interesami, a nie z działalnością wydawniczą. W czasie wieczornego przedstawiania obecnych przy stole stało się oczywiste, że Dickens trochę zna Dolby’ego, ma do omówienia z nim jakieś interesy i – ponieważ Dolby nie miał co ze sobą począć w to Boże Narodzenie – pod wpływem

impulsu zaprosił go do Gad’s Hill.

Dolby był energicznym i umiejętnym rozmówcą, mimo jąkania się, które znikało, gdy naśladował innych ludzi (co robił często). Jego historie skupiały się na teatralnych plotkach i – jeśli nie zważać na delikatne jąkanie, kiedy mówił we własnym imieniu – zostały przytoczone z niemalże idealną teatralną emfazą i wyczuciem chwili. Jednakże Dolby umiał też słuchać. I śmiać się. Kilka razy w ciągu wieczoru wyrwał się z hałaśliwym, radosnym, donośnym i nieskrępowanym śmiechem, który sprawiał, że Katey Dickens i Mamie przewracały oczami, ale który – jak zauważyłem – zawsze wywoływał uśmiech na twarzy Pana Niezrównanego. Dolby robił wrażenie szczególnie ubawionego niemal niezrozumiałymi opowieściami Macready’ego i cierpliwie przeczekiwał wszystkie „ehm… ehm… ehm…” i „na Boga!”, aż usłyszał ostatnie linijki – i wtedy wybuchał wesołością.

Wspólna część wieczoru niemal dobiegła końca, dzieci i wnuki przyszły życzyć „Nestorowi” i swoim rodzicom dobrej nocy, rozmowy urwały się i nawet Dolby robił wrażenie zamyślonego i nieco markotnego. Katey i Mamie przestały przewracać oczami i wyglądały na niezadowolone z nas wszystkich, panie ewidentnie były już gotowe oddalić się tam, dokąd zwykle się oddalają, kiedy mężczyźni przenoszą się do biblioteki albo sali bilardowej na brandy i cygaro, kiedy młody Dickenson powiedział:

– Proszę o wybaczenie, panie Dickens, ale jeśli mogę ośmielić się i zapytać, co pan teraz pisze? Zabrał się pan już za kolejną powieść?

Zamiast z marsem na czole spojrzeć na impertynenta, Dickens uśmiechnął się, jakby cały wieczór czekał na to pytanie.

– Właściwie… – zaczął – odłożyłem pisanie na pewien czas. I nie wiem, kiedy do niego wrócę.

– Ojcze! – zawołała Mamie w parodii niepokoju. – Nie piszesz? Nie siedzisz codziennie w swoim gabinecie i nie piszesz? Czy w następnej kolejności obwieścisz, że słońce

przestało wschodzić na wschodzie?

Dickens znowu się uśmiechnął.

– Prawdę mówiąc, postanowiłem podjąć się bardziej satysfakcjonującego przedsięwzięcia, które wypełni mi najbliższe miesiące. Może lata. Twórczego przedsięwzięcia, które powinno dać mi większe zadowolenie, zarówno pod względem artystycznym, jak i finansowym.

Katey pokazała własną wersję uśmiechu Pana Niezrównanego.

– Zostaniesz artystą, ojcze? Może ilustratorem? – Spojrzała ponad szczątkami indyka na swojego milczącego męża, a mojego brata. – Lepiej uważaj, Charles. Będziesz miał jeszcze jednego konkurenta.

– Nic z tych rzeczy – powiedział Dickens. Kate często irytowała ojca, ale tego wieczoru zareagował na jej szyderstwa całkowitym spokojem. – Postanowiłem stworzyć zupełnie nową dziedzinę sztuki. Coś, czego do tej pory świat jeszcze nie doświadczył, czego nigdy nawet sobie nie wyobrażał!

– Kolejna… ehm… ehm… nowa… ehm… ehm, chciałem rzec… na Boga, Dickensie!… – podsunął mu Macready.

Pisarz pochylił się w lewo i cicho powiedział do Cecile:

– Moja droga, ze wszystkich ludzi przy tym stole, twój mąż najlepiej zna piękno i moc tego nowego przedsięwzięcia, za które wezmę się już za kilka tygodni.

– Zostaniesz zawodowym aktorem, ojcze? – zaszczebiotał Henry, który przez całe życie widywał ojca na amatorskiej scenie i uczestniczył w pierwszych inscenizacjach *Zamarzniętej otchłani*.

– W żadnej mierze, mój chłopcze – odpowiedział Dickens nadal się uśmiechając. – Śmiem twierdzić, że nasz przyjaciel Wilkie, siedzący przy drugim końcu stołu, może mieć pewne wyobrażenie na temat tego, co mam na myśli.

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Dickens położył obie dłonie na stole i rozłożył ręce tak, że przypomniała mi się *Ostatnia wieczerza* Leonarda da Vinci.

Ledwie ta myśl przyszła mi do głowy, a zaraz zjawiła się następna: Jeśli to jest *Ostania Wieczerza*, to kto spośród nas jest Judaszem?

– Upoważniłem Wilka, żeby negocjował w moim imieniu z panami Chappell z New Bond Street w sprawie tournée obejmującego przynajmniej trzydzieści wieczorów literackich – ciągnął Dickens. – Chociaż negocjacje dopiero się zaczęły, jestem przekonany, że nam się powiedzie i że będzie to zwiastun nowej ery w mojej karierze, a także w publicznej rozrywce i edukacji.

– Ależ ojcze! – wykrzyknęła Mamie, wyraźnie zaszokowana. – Przecież wiesz, co powiedział ci doktor Beard w czasie twojej ostatniej choroby… o degeneracji pewnych funkcji serca, potrzebie odpoczynku… poprzednie objazdy tak cię wyczerpały…

– Bzdura! – zawołał Dickens z jeszcze szerszym uśmiechem. – Rozważamy, czy nie wyznaczyć obecnego tu pana Dolby’ego…

Potężny mężczyzna zarumienił się i skłonił głowę.

– …na mojego menedżera i towarzysza podróży. Chappellowie zajmą się interesami i wszystkimi sprawami administracyjnymi, jak również pokryją moje, pana Dolby’ego i zapewne pana Willsa, wydatki osobiste i związane z podróżą. Ja będę musiał tylko wziąć książkę i czytać ją w wyznaczonym miejscu o wyznaczonej porze.

– Jednak czytanie twoich książek trudno nazwać… jak to ująłeś, ojcze?… nową formą sztuki – powiedziała Katey. – Robiłeś to już wiele razy.

– Owszem, moja droga – zgodził się Dickens. – Jednakże nigdy w taki sposób, w jaki zrobię to podczas tego i przyszłych tournée. Jak wiecie, nigdy po prostu nie… nie czytałem moich książek, chociaż czasem udawałem, że to robię. Wszystkie moje wystąpienia są wykonywane z pamięci i zastrzegam sobie prawo do redagowania, łączenia, zmieniania i przerabiania scen w znaczniej mierze… a nawet improwizowania w pewnych sytuacjach, tak jak Wybitny Tragik czynił to mnóstwo razy, poprawiając nawet

Shakespeare’a.

Poklepał Macready’ego po ręce.

– Ach… tak… ja, oczywiście… ale Bulwera–Lyttona, tak, jego mógłby do woli kneblować – powiedział Macready, czerwieniąc się pod bladą skórą i zmarszczkami. – Ale… ehm, ehm… Barda? Na Boga… nigdy!

Dickens się roześmiał.

– Cóż, moja proza to nie dzieła Barda. Nie została wykuta nigdzie w kamieniu jak przykazania Mojżesza.

– A jednak… – odezwał się mój brat. – Nowa forma sztuki? Czy można uznać czytanie za nową formę sztuki?

– Moje czytanie stanie się nią, począwszy od tego tournée – warknął Dickens. Jego uśmiech pobladł.

– Pańskie wieczory literackie już są unikatowe pod względem tonu i błyskotliwości – wtrącił młody Dickenson.

– Dziękuję, Edmondzie. Doceniam twojego hojnego ducha. Jednakże do moich przyszłych występów, poczynając od tego tournée i w czasie następnych… jak już powiedziałem… być może przez wiele lat, zamierzam wprowadzić absolutnie niespotykaną dozę teatralności połączonej z głębokim zrozumieniem sztuki manipulacji za pomocą magnetyzmu zwierzęcego.

– Magnetyzmu, na Jowisza! – wybuchł Dolby. – Ależ proszę pana, czyżby proponował pan zahipnotyzować także publiczność dla jej własnej rozrywki?

Dickens znowu uśmiechnął się i pogładził po bokobrodach.

– Panie Dolby, zakładam, że pan czyta. Powieści, znaczy.

– Ależ oczywiście! – Dolby się roześmiał. – Z przyjemnością przeczytałem wszystkie pańskie powieści, a także powieści obecnego tu pana Collinsa… Mam na myśli pana Collinsa przy końcu stołu, po mojej prawej stronie. – Odwrócił się do mnie. – Panie Collins, ta książka, *Siła przeznaczenia,* którą opublikowała dla pana prasa pana Dickensa… Cudowna rzecz, proszę pana. Ta bohaterka… Lydia Gwilt, o ile się nie mylę, tak się nazywała. Co za kobieta! Cudowna!

– Nie mieliśmy przyjemności opublikowania tej powieści pana Collinsa w odcinkach – odrzekł niezwykle oficjalnie

Dickens. – Ani nie mieliśmy zaszczytu wydania jej w formie książkowej. Pojawi się w maju przyszłego roku u innego wydawcy. Jednakże ogromnie się cieszę, że mogę powiedzieć, że właśnie próbujemy namówić naszego drogiego Wilkiego, by opublikował swoją następną powieść w „All the Year Round".

– Ach, cudownie, cudownie! – zakrzyknął Dolby szczerze i serdecznie. Nie miał pojęcia, że swoimi pochwałami popełnił *faux pas.*

Rzeczywiście, moja najnowsza powieść, *Siła przeznaczenia*, korzystając z sukcesu *Kobiety w bieli,* która ukazała się w „Household Words", została wydana w odcinkach – za znacznie wyższe wynagrodzenie dla mnie – w „The Cornhill Magazine". A jako książka miała się ukazać u Smitha, Eldera & Company, którzy także wydawali „The Cornhill".

Jednakże gafa nie ograniczała się tylko do tego faktu i nie był to też powód, dla którego twarz Dickensa – rozpromieniona, rozluźniona i entuzjastyczna jeszcze chwilę temu – teraz była ściągnięta i stara. Przyczyną zmiany nastroju (byłem o tym przekonany) była ni mniej, ni więcej tylko bohaterka Lydia Gwilt, którą tak niefortunnie przywołał Dolby.

W pewnym momencie kazałem Lydii, która wiedziała co to ból – jej własny i tych śmiertelników, którzy byli jej bliscy – wypowiedzieć w powieści takie słowa:

> *Nie znam imienia człowieka, który wynalazł laudanum, ale dziękuję mu z całego serca. Gdyby wszyscy nieszczęśliwi, cierpiący duszą i ciałem, którzy znajdowali uspokojenie w tym eliksirze, mogli się połączyć aby głosić chwałę wynalazcy, jakiż to olbrzymi chór wzniósłby się w niebiosa! Ja na przykład, użyłam sześciu godzin zapomnienia – obudziłam się z umysłem spokojnym[4].*

Słyszałem poprzez rozlicznych pośredników, w tym mojego brata i Katey, że Dickens nie był zadowolony z tych słów… ani z ogólnie tolerancyjnego tonu wobec laudanum i innych

opiatów, jaki pobrzmiewał w powieści.

– Ale zamierzałeś nam powiedzieć, jak nasz akt czytania ma się do twojej nowej formy sztuki – powiedziałem do Dickensa przez całą długość zastawionego jedzeniem stołu.

– Tak – przytaknął Pan Niezrównany, uśmiechając się do Cecile Macready, jakby przepraszał za przerwę w narracji. – Wiecie, jak nieporównywalne i, ośmielę się rzec, jedyne w swoim rodzaju uczucie ogarnia człowieka w trakcie lektury. Znacie to skupienie uwagi, pozwalające wyłączyć dopływ wszelkich bodźców zmysłowych, z wyjątkiem słów ogarnianych oczami, które przychodzi, kiedy bierzemy się za dobrą książkę?

– No pewnie! – wykrzyknął Dickenson. – Świat po prostu znika. Wszystkie inne myśli znikają! Zostają tylko widoki i dźwięki, i bohaterowie, i świat stworzony dla nas przez pisarza! Równie dobrze człowiek mógłby zostać znieczulony na przyziemny świat wokół nas. Wszyscy czytelnicy tego doświadczają.

– Otóż to – powiedział Dickens; jego uśmiech wrócił na miejsce i oczy znowu mu rozbłysły. – Tak się składa, że to właśnie jest stan otwarcia umysłu, jaki musi osiągnąć osoba, żeby terapeuta–hipnotyzer był w stanie wykonać swoje zadanie. Jest to, poprzez roztropne wykorzystanie języka, fraz, opisów i dialogów, forma wprowadzenia czytelnika w ten sam stan umysłu, w którym musi znajdować się pacjent pod wpływem mesmeryzmu magnetycznego.

– Na Boga! – wykrzyknął Macready. – Publiczność… ehm… publiczność w teatrze wchodzi w tego… ehm… eee… eee… rodzaju trans. Zawsze mówiłem, że… ehm, ehm… publiczność to trzeci wierzchołek jednego… eee… jednego trójkąta z dramatopisarzem i aktorem.

– W rzeczy samej – potwierdził z naciskiem Dickens. – I w tym tkwi sedno mojej nowej sztuki, to odróżnia ją od zwykłego czytania. Opierając się na otwartym stanie publiczności, o wiele intensywniejszym niż w przypadku samotnych czytelników w domu, w przedziale pociągu, czy we własnym ogrodzie, zamierzam wykorzystać rodzący się

magnetyzm, w połączeniu z moim głosem i słowami, żeby wprowadzić słuchaczy w stan jeszcze głębszego zachwytu, większej otwartości, i intensywniejszego współodczuwania, niż byłaby w stanie wywołać sama literatura lub teatr.

– Poprzez same tylko słowa? – zapytał mój brat.

– Oraz przez należyte, ostrożnie dobrane gesty – dodał Dickens. – W stosownej oprawie.

– A tą oprawą miałaby być sc… sc… scena – wydukał Dolby. – Tak, na Jowisza. To będzie coś nadzwyczajnego!

– Nie tylko scena – zastrzegł Dickens, pochylając subtelnie głowę, jakby już przygotowywał się do składania ukłonów. – Ale i zaciemniona sala. Precyzyjne i naukowe zastosowanie światła gazowego dla oświetlenia przede wszystkim mojej twarzy i rąk, precyzyjne rozsadzenie publiczności, by każdy znajdował się na linii mojego wzroku…

– Zabierzemy na tournée własnego specjalistę od oświetlenia i gazu – przerwał mu Dolby. – Wills uznał to za główny punkt naszych negocjacji.

Macready uderzył w stół i ryknął śmiechem.

– Publiczność nie bardzo wie, że… ehm… ehm… że… ehm, ehm… światło gazowe wywołuje stan swego rodzaju… ehm… odurzenia. Odurzenia, na Boga! Ludziom brakuje miejsca, teatru, przestrzeni, tlenu!

– W istocie – przytaknął Dickens z szelmowskim uśmiechem. – A my wykorzystamy to do tego, by wprowadzić, taką mam skromną nadzieję, liczną publikę w stosowny stan otwartości.

– Otwartości na co? – zapytałem beznamiętnie.

Dickens przyszpilił mnie swoim hipnotyzującym spojrzeniem. Przemówił cichym głosem:

– To właśnie te wieczory i ta nowa forma sztuki mają określić.

***

Po kolacji my, mężczyźni, ulotniliśmy się z brandy i cygarami do sali bilardowej za gabinetem Dickensa. Była to

przyjemna przestrzeń – dobrze oświetlona, z jedną ścianą wyłożoną w połowie kafelkami, by zapobiec wszelkim zniszczeniom spowodowanym naszym wymachiwaniem kijami bilardowymi – i spędziłem w niej wiele przyjemnych godzin. Dickens poważnie traktował grę w bilard. Lubił mawiać, że „ukazuje prawdziwego ducha walki w mężczyźnie" i potem, zwykle zerkając na mojego brata, dodawał „albo jego brak". Tak czy inaczej, zawsze będę pamiętał Pana Niezrównanego, jak pochyla się głęboko nad wyścielanym zielonym suknem stołem, bez surduta i w wielkich dwuogniskowych okularach, które przydawały mu dziwnego, pickwickowskiego wyglądu starszego pana z poprzedniej epoki.

Jednym z powodów, dla których Dickens lubił towarzystwo Percy ego Fitzgeralda, był fakt, że młodzieniec podchodził do gry z powagą i był w niej całkiem dobry – a przynajmniej na tyle dobry, żeby zafundować porządną partyjkę Dickensowi i mnie. Ja sam byłem co najmniej niezgorszy, jak przystało na poważnego kawalera, ale tego wieczoru zdziwiłem się, gdy odkryłem, że nasza Przygarnięta Sierota, młody Edmond Dickenson, gra jak człowiek, który grą w bilard zarabia na życie. (Sądząc po tym, co wiedziałem i co usłyszałem od Dickensa o niezależności finansowej Edmonda, możliwe, że tak właśnie było).

Macready grał przez krótką i głośną chwilę, dopóki żona nie wytoczyła go do łóżka, napoiwszy uprzednio szklanką ciepłego mleka. Jednakże w ten świąteczny wieczór to George Dolby – przyszły menedżer Dickensa i towarzysz w literackich tournée – ożywił grę, rycząc ze śmiechu i opowiadając naprawdę zabawne historie, bez śladu wcześniejszego jąkania. Dolby – z wielką łysą czaszką i czołem lśniącymi od potu w świetle wiszących w górze lamp – wielokrotnie rozgromił Percy'ego, potem mnie, później Dickensa i wreszcie upartego i przedziwnie uzdolnionego Dickensona, który w grze wykazał się zrozumieniem balistyki i przebiegłością, jakiej nikt by się po nim nie spodziewał.

Dickens, zgodnie ze swoim nawykiem, położył się o

północy, ale nalegał, byśmy kontynuowali grę. Zwykle tak robiłem, jeśli ciekawi goście płci męskiej nadal nie spali, i nieraz grałem i rozkoszowałem się brandy gospodarza aż do świtu. Kiedy jednak Dolby odłożył kij i – wkrótce po tym, jak Dickens życzył nam dobrej nocy – poszedł spać (być może nie będąc jeszcze pewnym swoich praw jako gościa w Gad's Hill), gra się posypała, Percy wyszedł do „Falstaff Inn" ze służącym, który oświetlał mu drogę latarnią, a Dickenson i ja udaliśmy się na górę do swoich sypialni.

Chociaż zażyłem wcześniej lekarstwo, podagra zaczęła mnie nękać, gdy przygotowywałem się do snu. Odmierzywszy, ile zostało laudanum w moim podróżnym dzbanku, odlałem sobie dwa kolejne kieliszki środka pobudzającego i nasennego zarazem.

Mówię „pobudzającego i nasennego", ponieważ laudanum, jak niemal na pewno wiesz w swojej bardziej oświeconej pod względem medycznym przyszłości, Drogi Czytelniku, pozwala ukoić nerwy i zasnąć – lub rozbudza wrażliwość, umożliwia długie okresy ciężkiej pracy i zapewnia wyższy niż zwykle stan skupienia. Nie wiedziałem (być może, nikt nie wiedział), jak ten sam lek może służyć obu tym przeciwnym celom, ale wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, że tak właśnie działa. Tej nocy potrzebowałem jego pomocy jako środka nasennego.

Mój rozbudzony umysł chciał zastanawiać się nad cudacznymi planami Dickensa na tournée literackie mające służyć „całkowicie nowej formie sztuki" i połączyć strzępki bzdurnych uwag wypowiedzianych przez niego na temat mesmeryzmu i magnetyzmu z rzekomymi wizytami u mieszkańca piwnic zwanego Droodem, ale błogosławione laudanum uwolniło mnie od tej wezbranej fali pytań.

Moje ostatnie myśli przed snem tej nocy dotyczyły informacji udzielonych mi kilka tygodni wcześniej przez inspektora Fielda.

Wyglądało na to, że od jesieni Ellen Ternan kilka razy pojawiła się w tej okolicy, a nawet w samym Gad's Hill. Oczywiście, jak relacjonował Field, była aktorka ma

krewnych w Rochester i dlatego znalazła się w tym sąsiedztwie całkiem niezależnie od Dickensa, ale było pewne, że kilka razy odwiedziła także Gad's Hill Place i wiele wskazywało na to, że spędziła tu od września co najmniej pięć nocy.

Zastanawiałem się, jak Mamie i Katey zareagowały na tę próbę uzurpacji miejsca ich matki. Z łatwością mogłem sobie wyobrazić Mamie, która za przykładem Georginy Hogarth wita intruza w domu, wiedząc – bo musiały to wiedzieć – że Charles Dickens to człowiek nękany przez samotność i potrzebę iluzji młodości, jaką starzejącemu się na duszy i umyśle mężczyźnie może dać tylko romans. Ale Katey? Kate Macready Dickens, chociaż sama była bardzo samotna (jej ojciec wspomniał mi w październiku, że „jest tak niezadowolona, tak rwie się do znalezienia sobie kochanków, że powoli, ale nieustannie wypala się, zarówno jeśli idzie o charakter, jak i zdrowie, Wilkie"), nadal robiła wrażenie lojalnej wobec wypędzonej matki. Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby Katey, rówieśnica Ellen Ternan, otworzyła serce przed potencjalną kochanką ojca.

To trudne, powiedzieć bratu własnego zięcia, że jest tak niezadowolona z małżonka, że ochoczo szuka kochanka, i podejrzewam, iż Dickens wypowiedział te słowa, bym mógł je powtórzyć Charleyowi. Oczywiście nie zrobiłem tego.

Jednakże Katey nie mogła głośno przeciwstawić się wizytom Ellen, bo wtedy była aktorka nie powracałaby do Gad's Hill.

Z tymi myślami w głowie zapadłem w głęboki i pozbawiony marzeń sen.

***

Ktoś potrząsał mną gwałtownie i szeptał moje imię.

Półprzytomny przeturlałem się na drugi bok. W pokoju panowała ciemność, nie licząc dziwnego światła, które padało z podłogi obok łóżka. Ogień?

Nade mną wznosiła się ciemna postać, która mną

potrząsała.

– Wstawaj, Wilkie.

Skupiłem się na tej postaci: Charles Dickens, w koszuli nocnej i narzuconym na ramiona wełnianym płaszczu, z dubeltówką w jednej ręce i pogniecionym całunem w drugiej.

Zatem nadszedł czas, pomyślałem.

– Wstawaj, Wilkie – szepnął znowu. – Szybko. Włóż tylko buty. Przyniosłem ci twój płaszcz.

Postać rzuciła mi całun na nogi i zdałem sobie sprawę, że to mój płaszcz.

– Co…

– Cicho. Obudzisz pozostałych. Wstawaj. Szybko. Zanim zniknie. Nie mamy czasu do stracenia. Tylko płaszcz i buty. No, grzeczny chłopak…

Zeszliśmy tylnymi schodami, Dickens przodem, z bronią i latarnią. Obaj staraliśmy się jak najmniej hałasować.

Sułtan, srogi pies świętego Huberta, był uwiązany w głębi korytarza – w kagańcu i na smyczy, ale mimo to szarpał się, żeby dostać się do drzwi.

– O co chodzi? – szepnąłem do Dickensa. – Co się stało?

Kosmyki włosów na czubku głowy i długie bokobrody Pana Niezrównanego powykręcały się na wszystkie strony w niespokojnym śnie, niektóre sterczały na baczność. W innych okolicznościach byłoby to niesłychanie zabawne. Jednak nie tej nocy. W oczach Charlesa Dickensa było coś, co wyglądało jak prawdziwy strach – coś, czego chyba jeszcze nigdy dotąd nie widziałem.

– To był Drood – szepnął. – Nie mogłem zasnąć. Cały czas myślałem o czymś, co powinienem był wynotować Willsowi. Wstałem więc z łóżka, zamierzając iść do gabinetu, żeby to zapisać, i wtedy zobaczyłem, Wilkie…

– Co zobaczyłeś? Człowieka?

– Twarz Drooda. Tę bladą, udręczoną twarz. Unoszącą się za oknem. Przyklejoną do zimnych szyb.

– Twojego gabinetu?

– Nie – odpowiedział Dickens, patrząc dzikim wzrokiem spłoszonego konia. – Za oknami mojej sypialni.

–Ależ Dickensie – odpowiedziałem szeptem – to niemożliwe. Twoja sypialnia jest na piętrze, razem z pokojami gościnnymi. Drood musiałby stać na wysokiej na osiem, dziesięć stóp drabinie, żeby zajrzeć przez okno.

– Widziałem go, Wilkie – wychrypiał Dickens.

Otworzył z impetem drzwi i z latarnią i smyczą w jednej ręce oraz dwururką w drugiej dał szarpiącemu się psu pociągnąć się w noc.

***

Na tylnym podwórzu było bardzo ciemno i bardzo zimno. Nie było księżyca, gwiazd, żadnego światła z domu. Zimny wiatr w jednej chwili przeszył luźno narzucony płaszcz i zadygotałem pod trzepoczącą koszulą nocną. Miałem nagie łydki i kostki między płaszczem i butami, a noc była tak mroźna, że czułem się tak, jakby zmrożone źdźbła trawy rozcinały mi skórę niczym drobniutkie brzytwy.

Sułtan zawarczał i szarpnął do przodu. Dickens pozwolił, żeby pies poprowadził nas, jakbyśmy byli oburzonymi wieśniakami na tropie mordercy w podrzędnej, sensacyjnej powieści.

I może byliśmy.

Pośpiesznie obeszliśmy dom w ciemności i znaleźliśmy się w ogrodzie pod oknami sypialni Dickensa. Sułtan nadal ciągnął, warczał i szarpał się, ale Dickens przystanął na chwilę, żeby otworzyć małą latarenkę i skupić snop światła na zamarzniętej ziemi rabaty. Nie było widać obciążających śladów stóp ani żadnych oznak, że postawiono tu drabinę. Obaj zerknęliśmy w stronę ciemnego okna sypialni Dickensa. Kilka gwiazd pojawiło się pomiędzy pędzącymi chmurami, ale zaraz zostały starte.

Jeśli Drood zajrzał przez okno bez pomocy wysokiej drabiny, musiał szybować dziesięć stóp nad ziemią.

Sułtan warknął i szarpnął się na smyczy, a my poszliśmy za nim.

Wróciliśmy na tyły domu i przystanęliśmy na małym polu,

gdzie Dickens w 1860 roku spalił wszystkie swoje listy. Zimny wiatr poruszał nagimi gałęziami z chrzęstem przywodzącym na myśl szkielety. Szepnąłem do Dickensa:

– Jakim cudem to mógł być Drood? Jak by się tu znalazł? Po co miałby się tu zjawić?

– Śledził mnie pewnego ranka w drodze z Londynu – odpowiedział szeptem Dickens, powoli obracając się i trzymając długą dubeltówkę w zgięciu prawej ręki. – Jestem tego pewien. Nocami wielokrotnie widywałem zagadkową postać po drugiej stronie drogi, przy szwajcarskim domku. Psy szczekają, ale kiedy wychodzę, postaci już nie ma.

Prędzej to agenci inspektora Fielda, pomyślałem i kusiło mnie, żeby powiedzieć to na głos. Zamiast tego powtórzyłem:

– Tylko po co Drood miałby tu przychodzić, żeby gapić się przez twoje okno w Boże Narodzenie?

– Ciii – powiedział Dickens. Uciszył mnie machnięciem ręki. Drugą dłoń zacisnął na pysku Sułtana, żeby stłumić jego warczenie.

Przez chwilę miałem wrażenie, że słyszę nadjeżdżające sanie, chociaż na ziemi nie było nawet śladu śniegu, ale zaraz zdałem sobie sprawę, że to słabe pobrzękiwanie dzwonków dobiegające z ciemnej stajni. Wisiały tam na ścianie dzwonki norweskiego kuca, Newmana Noggsa.

– Chodź – powiedział Dickens i pośpieszył w stronę stajni.

Drzwi do niej były teraz otwarte – czarniejszy prostokąt w niemal czarnej nocy.

– Czy ty… – zacząłem szeptem.

– Zawsze są zamknięte – syknął w odpowiedzi Dickens. – Sprawdzałem je dzisiaj o zachodzie słońca.

Podał mi smycz psa, który nagle ucichł.

Odstawił latarnię i uniósł strzelbę.

Z wnętrza dobiegło ostatnie słabe pobrzękiwanie dzwonków, a potem nagle zapadła cisza, jakby czyjaś dłoń stłumiła dźwięczenie uprzęży.

– Rozepnij Sułtanowi kaganiec i spuść go ze smyczy – szepnął bardzo cicho Dickens, nadal celując z broni w otwarte drzwi.

– Rozerwie intruza na strzępy, ktokolwiek to jest – odparłem szeptem.

– Zdejmij kaganiec i spuść psa ze smyczy – znowu syknął Dickens.

Z bijącym sercem przyklęknąłem na jedno kolano i, dygocąc z zimna, zacząłem majstrować przy sprzączce kagańca. Byłem na wpół przekonany, że szarpiący się na smyczy pies o dzikim wzroku – ważył niemal tyle samo co ja – właśnie mnie odgryzie jedną kończynę po drugiej, kiedy tylko zdejmę mu kaganiec.

Nie zrobił tego. Przestał warczeć i szarpać się, kiedy rzuciłem kaganiec na ziemię i odpiąłem po omacku smycz.

– Bierz go! – rozkazał głośno Dickens.

Sułtan rzucił się pędem, jakby był zbudowany z metalowych sprężyn, a nie zwykłych mięśni. Jednak nie wpadł w mrok stajni. Zamiast tego skręcił w lewo, przeskoczył jednym susem żywopłot i zniknął wśród pól, kierując się ku lasom i odległemu morzu.

– Niech szlag trafi tego psa – powiedział Dickens, a ja zdałem sobie sprawę, jak rzadko słyszałem, żeby Pan Niezrównany przeklinał. – Chodź, Wilkie – rzucił kategorycznie, jakbym był drugim ogarem, którego trzyma w odwodzie.

Wręczywszy mi latarnię, Dickens pobiegł w stronę otwartych drzwi stajni. Pośpieszyłem, żeby dotrzymać mu kroku, i omal nie poślizgnąłem się na zamarzniętej trawie, kiedy Dickens dotarł do wejścia i wpadł od środka, nie czekając na światło.

Zamiast zobaczyć Dickensa stojącego kilka kroków na lewo ode mnie, miałem jedynie mgliste wrażenie jego obecności i świadomość – być może ocierającą się o jasnowidzenie – że stoi tam z uniesioną strzelbą i celuje w stronę długiego przejścia w stajni. Ja bardziej wyczuwałem niż widziałem poruszenia i oddechy stojących tam koni i kucyków.

– Światło! – krzyknął Dickens.

Po omacku uniosłem zasłonę na latarni.

Rozmyta smuga w boksach, gdzie konie – wszystkie

przebudzone, ale ciche – kręciły się niespokojnie, ich oddechy podobne do mgły w mroźnym powietrzu, a potem smuga bieli w ruchu na drugim końcu ciemnego pomieszczenia, dalej niż miejsce, gdzie wisiały dzwonki i uprząż.

Dickens uniósł wyżej broń, a ja widziałem białka jego oczu w świetle latarni, kiedy przygotowywał się, żeby pociągnąć za oba spusty.

– Czekaj! – krzyknąłem. Głośny okrzyk spłoszył konie. – Na miłość boską, nie strzelaj!

Pobiegłem w stronę białej smugi. Podejrzewam, że Dickens strzeliłby mimo moich krzyków, gdyby moje ciało nie znalazło się między nim a celem.

Krąg światła z mojej latarni wyłonił z mroku białą plamę w głębi stajni: był nią Edmond Dickenson z wytrzeszczonymi oczami. Patrzył jednak obojętnie, nie widząc nas ani nie słysząc. Miał na sobie nocną koszulę. Jego bose stopy były blade na tle zimnego, czarnego bruku. Jego dłonie wisiały niczym małe, białe gwiazdy na końcu bezwładnych rąk.

Dickens podszedł i zaczął się śmiać. Ten głośny śmiech jeszcze bardziej zaniepokoił konie, ale najwyraźniej nie dotarł do Dickensona.

– Somnambulik! – krzyknął Dickens. – Na Boga, somnambulik! Sierota wychodzi na dwór w nocy.

Przysunąłem latarnię do bladej twarzy młodzieńca. Płomień odbił się jasno w jego oczach, ale chłopak nie zamrugał ani nie zauważył mojej obecności. Rzeczywiście natknęliśmy się na lunatyka.

– To jego musiałeś zobaczyć przez okno w ogrodzie na dole – powiedziałem półgłosem.

Dickens skrzywił się tak bardzo, że spodziewałem się, że zeklnie mnie jak psa–nieudacznika, ale głos miał cichy, kiedy się odezwał:

– W żadnym razie, mój drogie Wilkie. Nikogo nie widziałem w ogrodzie. Wstałem z łóżka, spojrzałem w okno i wyraźnie dostrzegłem tam twarz Drooda, jego zniekształcony nos na szybie, pozbawione powiek oczy gapiące się na mnie.

Przyciskał się do szyby, Wilkie. Szyby w moim oknie na wysokim pierwszym piętrze. Nie w ogrodzie na dole.

Skinąłem głową, jakbym się zgadzał, ale wiedziałem, że Panu Niezrównanemu musiało się to przyśnić. Może wziął trochę laudanum, żeby szybciej zasnąć – wiedziałem, że doktor Frank Beard nalegał, by Dickens zaczął przyjmować lek, kiedy pisarz nie był w stanie spać jesienią. Sam nadal czułem pulsowanie, przypływy i odpływy lekarstwa w ciele, mimo że zimno sprawiło, że ręka, w której trzymałem latarnię, trzęsła mi się jak porażona.

– Co z nim zrobimy? – zapytałem, wskazując tym razem na Dickensona.

– To co należy zrobić w zetknięciu z ciężkim przypadkiem somnambulizmu, mój drogi Wilkie. Zaprowadzimy go ostrożnie z powrotem do domu, a ty zabierzesz go do jego pokoju i łóżka.

Spojrzałem w stronę nieco jaśniejszego prostokąta znaczącego otwarte drzwi.

– A Drood? – spytałem.

Dickens pokręcił głową.

– Sułtan często wraca w dzień po nocnych łowach z krwią na pysku. Możemy mieć tylko nadzieję, że tego ranka też tak będzie.

Kusiło mnie, żeby go zapytać, co ma na myśli. (Inspektor Field ceniłby sobie tę informację). Czyżby Dickens i egipski hipnotyzer się pokłócili? Czyżby pisarz życzył zjawie śmierci? Chciał, by zginęła zagryziona przez jego krwiożerczego psa? Nie był już uczniem podziemnego mistrza, który – według byłego naczelnika wydziału śledczego Scotland Yardu – rozesłał swoich agentów, żeby zabili ponad trzy setki mężczyzn i kobiet?

Nic nie powiedziałem. Było za zimno, żeby zaczynać rozmowę. Podagra znowu wracała, wypuszczając czułki bólu przez oczy do mózgu, jak to miała w zwyczaju czynić przed każdym poważnym atakiem.

Wzięliśmy pana Dickensona za wiotkie ręce i wyprowadziliśmy go powoli ze stajni, przez szerokie

podwórze, do tylnego wejścia. Zdałem sobie sprawę, że będę musiał otrzeć ręcznikiem stopy tego durnego lunatyka, zanim opatulę go kołdrą.

Kiedy dotarliśmy do drzwi, spojrzałem z powrotem na ciemne podwórze, na poły spodziewając się, że w krąg światła latarni wbiegnie Sułtan z bladą ręką, albinotyczną kostką albo oderwaną głową w pysku. Jednakże nie poruszyło się tam nic poza zimnym wiatrem.

– I tak kończą się kolejne święta Bożego Narodzenia w Gad’s Hill Place – powiedziałem cicho.

Okulary zaszły mi mgiełką, kiedy weszliśmy do względnie ciepłego domu. Puściłem pana Dickensona, żeby zdjąć szkła i otrzeć je o rękaw płaszcza.

Kiedy założyłem druciane oprawki za uszy i znowu zacząłem widzieć, zauważyłem, że usta Dickensa wykrzywiły się w chłopięcym uśmiechu, którym zaszczycił mnie tyle razy w ciągu minionych czternastu lat naszej znajomości.

– Niech Bóg błogosławi nas wszystkich razem i każdego z osobna! – odpowiedział dziecięcym falsecikiem i obaj roześmialiśmy się wystarczająco głośno, żeby obudzić cały dom.

Rozdział 14

Widziałem jarzącą się kulę… nie, nie całkiem kulę, wydłużony jarzący się niebiesko–biały owal… i czarną smugę na czarnym tle.

Smuga widniała na suficie i była wynikiem unoszącego się od wielu lat dymu. Jarzący się niebiesko–biały owal znajdował się przede mną, bliżej, był częścią mnie, przedłużeniem moich myśli.

Był to także księżyc, blady satelita, którego zniewoliłem. Odwróciłem się w lewo i ujrzałem słońce – jakieś słońce, pomarańczowe i białe, a nie białe i niebieskawe, posyłające promienie w czarny kosmos. Jak niebiesko–biały owal był dla mnie księżycem, tak ja byłem satelitą płonącego słońca w ciemności przestrzeni i czasu.

Coś zaćmiło moje słońce. Bardziej wyczułem niż zobaczyłem, że niebiesko–biały owal i długa fajka, która mnie z nim łączyła, zostały mi wyrwane.

– Trzymaj, Hatchery, wyciągnij go stąd. Postaw go na nogi i podtrzymaj.

– Ejże, ejże, ejże! – wrzasnął ktoś całkiem nieziemskim i jak najbardziej znajomym głosem. – Dżentelmen zapłacił za noc, za towar i za to, żeby mu nikt nie przeszkadzał, nie myślcie sobie…

– Przymknij się, Sal! – usłyszałem kolejny znajomy głos. Głos zaginionego olbrzyma. – Jeszcze raz piśniesz, a obecny tu inspektor posadzi cię w najczarniejszej dziurze w Newgate, zanim wzejdzie słońce.

Nie było już więcej pisków. Wcześniej szybowałem nad grzbietami chmur mieniących się kolorami, krążąc jednocześnie w przestrzeni wokół trzaskającej, syczącej gwiazdy–słońca, a mój niebiesko–biały satelita – który teraz zniknął – krążył wokół mnie. W tej chwili zaś poczułem na ciele silne ręce, które wyciągały mnie z kosmicznego eteru na nierówną grudkowatą, błotnistą i obsypaną słomą ziemię.

– Trzymaj go w pionie – wychrypiał głos, który kojarzyłem z

władczymi palcami wskazującymi. – Podnieś go, jak będzie trzeba.

Znowu szybowałem, tym razem pomiędzy ciemnymi kołyskami osadzonymi w ciemnych ścianach, a syczące słońce malało za moimi plecami. Przede mną stanął chudy kolos.

– Sal, zabierz Yahee'ego z mojej drogi, bo wyrwę mu te jego zadymione kości z przegniłego, starego zewłoku i sprzedam Dzikim Chłopcom na fujarki, po trzy pensy sztuka.

– Ejże, ejże… – usłyszałem znowu. Cienie się połączyły. Jeden położył się z powrotem do swojej trumny. – Już dobrze, Yahee. Odpocznij sobie. Hib, Wasza Wysokość, ten tu dżentelmen nie zapłacił pełnej należności. Oskubiecie mnie, jeśli go stąd wyciągniecie.

– Kłamiesz, starucho – orzekł bardziej dominujący z dwóch męskich głosów. – Dopiero co powiedziałaś, że zapłacił za całą noc i narkotyk. W fajce miał dość, żeby go ogłupiło aż do świtu. Ale niech pan jej rzuci ze dwie monety, detektywie Hatchery. Jakieś drobniaki.

I wyszliśmy w noc. Odnotowałem chłód powietrza (pachniało śniegiem, który jeszcze nie spadł), a także brak palta, nieobecność cylindra i laski oraz drobny cud w postaci faktu, że moje stopy nie dotykały bruku, kiedy szybowałem ponad nim w stronę odległej, kołyszącej się latarni ulicznej. Potem zdałem sobie sprawę, że większy z dwóch cieni, które nadal mnie eskortowały, niesie mnie pod pachą, jakbym był świnią wygraną na jarmarku.

Doszedłem do siebie po fajkowych oparach na tyle, żeby zaprotestować, ale ciemna postać, która szła przodem (nawet przez sekundę nie wątpiłem, że moją nemezis jest inspektor Field) odparła:

– Cicho już, panie Collins, w pobliżu jest bar, który otworzą dla nas mimo tej pory, i zamówimy coś, żeby postawić pana na nogi.

Bar, który będzie otwarty o tej porze? Mimo że wzrok mi się mącił (a w zimnym powietrzu, jak sobie uświadomiłem, unosiła się nocna mgła), wiedziałem, że o tej strasznej

godzinie tuż przed świtem w lodowaty wczesnowiosenny poranek żaden bar nie może być otwarty.

Usłyszałem i na wpół zobaczyłem Fielda walącego do drzwi pod wiszącym szyldem „Pod Sześciu Ochoczymi Dokerami". Wiedziałem już (niezależnie od tego, jak bardzo obolały byłem w pasie po tym, jak detektyw Hatchery niósł mnie jak prosię), że tak naprawdę wcale mnie tam nie ma, w tym chłodzie i ciemnicy, w towarzystwie dwóch mężczyzn. Musiałem z powrotem znaleźć się na barłogu u Opiumowej Sal i rozkoszowałem się resztkami chabrowego dymu.

– Hola, nie tak prędko! – rozległ się kobiecy głos, ledwie słyszalny ponad zgrzytem różnych odsuwanych zasuw i skrzypieniem otwieranych starych drzwi. – Och, to pan, inspektorze! I pan, detektywie Hatchery. Na mieście, w taką okropną noc? A co tam macie, topielca, panie Hib?

– Nie, panno Abbey – odpowiedział niosący mnie olbrzym. – To tylko dżentelmen, który potrzebuje dojść do siebie.

Zostałem wniesiony do tawerny z czerwonymi zasłonami w oknach i doceniłem panujące w niej ciepło (na kominku w głównej sali nadal żarzyły się węgielki), chociaż wiedziałem, że to sen. „Sześciu Ochoczych Dokerów" i jego właścicielka, panna Abbey Potterson, to były wytwory zaczerpnięte z przeklętej powieści Dickensa *Nasz wspólny przyjaciel.* Nie istniał bar o takiej nazwie w pobliżu portu, chociaż było wiele innych, które Dickens mógł wykorzystać jako pierwowzór.

– Dają tu niezłe grzane sherry – powiedział inspektor Field, kiedy panna Abbey zapaliła różne lampy i kazała zaspanemu chłopcu dorzucić do małego ognia. – Może dżentelmen miałby ochotę na butelkę?

Byłem pewien, że to dialog prosto z *Naszego wspólnego przyjaciela*. Kto mógł go wypowiedzieć, żeby mój otępiały od opiatów umysł wplótł te słowa do sennych marzeń? „Pan inspektor", zdałem sobie sprawę, był kolejną Dickensowską interpretacją tego samego inspektora Fielda, który zasiadł w przytulnym kąciku ze stolikiem.

– Dżentelmen chciałby, żeby ktoś ustawił go do pionu, i

postawił na nogach – odpowiedziałem we śnie. Krew napływała mi gwałtownie do głowy i nie było to całkiem przyjemne doznanie.

Hatchery uniósł mnie, poprawił i usadowił delikatnie na ławce naprzeciwko inspektora. Rozejrzałem się, jakbym naprawdę spodziewał się zobaczyć Eugene'a Wrayburna i jego przyjaciela Mortimera Lightwooda, ale poza siedzącym inspektorem i stojącym Hatcherym oraz krzątającym się chłopcem i kręcącą się panną Abbey, bar był pusty.

– Tak, specjalną sherry poproszę – powiedział Field. – Dla nas trzech. Żeby przepędzić chłód i mgły.

Panna Abbey i chłopiec wyszli pośpiesznie na zaplecze.

– Nic z tego nie będzie – odparłem inspektorowi. – Wiem, że to wszystko sen.

– Spokojnie, spokojnie, panie Collins – powiedział Field, szczypiąc mnie w grzbiet dłoni, aż krzyknąłem z bólu. – Przybytek Opiumowej Sal to nie miejsce dla takiego dżentelmena jak pan. Gdybyśmy z Hatcherym w porę pana nie uratowali, za następne dziesięć minut zwinęliby już panu portfel i wszystkie złote zęby.

– Nie mam złotych zębów – powiedziałem, ostrożnie artykułując każde słowo.

– Tak się mówi, proszę pana.

– Moje palto – powiedziałem. – Mój kapelusz. Moja laska.

Hatchery wyczarował wszystkie trzy przedmioty z powietrza i położył je na pustym sąsiednim stoliku.

– Nie, panie Collins – kontynuował pan Field – dżentelmen taki jak pan powinien ograniczyć użycie opium do laudanum, które jest legalnie sprzedawane przez tak porządnych aptekarzy jak pan Cowper. Proszę zostawić palarnie opium w mrocznym porcie pogańskim Chińcom i śniadym laskarom.

Nie zdziwiłem się, że zna nazwisko mojego głównego dostawcy. W końcu był to sen.

– Minęły tygodnie, odkąd miałem od pana jakieś wieści – mówił dalej Field.

Ująłem obolałą głowę w dłonie.

– Nie mam nic do powiedzenia – odparłem.

– Właśnie w tym kłopot, panie Collins. – Inspektor westchnął. – To sprzeczne zarówno z duchem, jak i literą naszej umowy.

– Do diabła z naszą umową – wymamrotałem.

– No dobrze, drogi panie – odparł Field. – Zaraz wlejemy w pana trochę grzanej sherry, żeby przypomniał pan sobie o obowiązkach i zachowaniu godnym dżentelmena.

Chłopiec, którego imię (byłem tego pewien) brzmiało Bob, powrócił z wielkim słodko pachnącym dzbanem. W lewej ręce niósł żelazny model spiczastego kapelusza – Dickens to opisał, pamiętałem, a ja zwróciłem uwagę na ten opis, jakbym nie próbował tysiąc razy takiego specjału – do którego opróżnił zawartość dzbana. Potem wepchnął spiczastym końcem napełniony po brzegi „kapelusz” między węgielki i rozpalił na nowo ogień. Zostawił to tak i zniknął, żeby pojawić się ponownie z trzema czystymi kieliszkami i właścicielką.

– Dziękuję, panno Darby – powiedział inspektor Field.

Chłopiec postawił kieliszki na stole i wyjął żelazne naczynie z ognia. Zakręcił nim delikatnie – zawartość zasyczała i zaparowała – a potem przelał podgrzany trunek z powrotem do dzbana. Przedostatni akt tego skromnego sakramentu nastąpił, kiedy Bob podniósł każdy z lśniących kieliszków nad parujący dzban, odczekał, aż się oszronią i osiągną doskonałą, znaną tylko jemu samemu mętność, a potem wszystkie napełnił przy oklaskach inspektora i jego detektywa–poplecznika.

– Dziękuję, Williamie – powiedział Field.

– Williamie? – powtórzyłem zdziwiony, jednocześnie pochylając się, żeby zaciągnąć się ciepłym blaskiem emanującym z mojego kieliszka. – Panna Darby? Nie miał pan na myśli Boba i panny Abbey? Panny Abbey Potterson?

– Z pewnością nie – odparł Field. – Miałem na myśli Williama, jak zwie się ten zacny chłopak, Billy Lamper, którego widział pan przed sobą sekundę temu, i jego panią, pannę Elisabeth Darby, która jest właścicielką tego lokalu i prowadzi go od dwudziestu ośmiu lat.

– To nie jest „Sześciu Ochoczych Dokerów”? – zapytałem, ostrożnie wypijając łyczek napoju.

W całym ciele czułem mrowienie, jakby było nogą albo ręką, której pozwoliłem zdrętwieć. Oprócz głowy, która zwyczajnie mnie bolała.

– Nie znam w Londynie lokalu o takiej nazwie. – Inspektor Field się roześmiał. – To bar „Globe and Pigeon” i nazywa się tak od bardzo wielu lat. Pewnie sam Christopher Marlowe nieraz tu umoczył gębę w pokoju na zapleczu. Tu albo naprzeciwko, w podlejszym „White Swann”. Tyle że „White Swann” to nie gospoda dla dżentelmena, panie Collins, nawet dla dżentelmena tak skłonnego do szukania przygód jak pan. A jego właściciel nie otworzyłby nam drzwi ani nie podgrzałby nam sherry, nie to co moja kochana Liza. Niech pan pije, ale jednocześnie proszę mi powiedzieć, co pan dla mnie ma.

Podgrzany napitek powoli oczyszczał mi zamgloną głowę.

– Mówię raz jeszcze, że nie mam panu nic do powiedzenia, inspektorze – odpowiedziałem nieco zbyt ostro. – Charles Dickens przygotowuje się do triumfalnego tournée po prowincjach i podczas naszych ostatnich kilku spotkań nie wspomniał o waszej wspólnej zjawie Droodzie, ani razu od czasu Bożego Narodzenia.

Inspektor Field pochylił się bardziej.

– Kiedy to, jak pan powiedział, Drood lewitował za oknem pana Dickensa na pierwszym piętrze.

Tym razem to ja musiałem się roześmiać. Od razu tego pożałowałem. Masując obolałe czoło jedną ręką, drugą uniosłem kieliszek.

– Nie – odparłem. – Kiedy to pan Dickens powiedział, że widział twarz Drooda lewitującego za oknem.

– Nie wierzy pan w lewitację, panie Collins?

– Uważam ją za bardzo… nieprawdopodobną – odparłem urażonym tonem.

– A jednak wydaje się, że wyraża pan całkiem inne poglądy na ten temat w swoich pismach – zauważył pan Field. Poruszył pulchnym palcem i mały Billy pośpiesznie napełnił

oba nasze nadal zaparowane kieliszki.

– Jakich pismach?

– Zdaje się, że zostały zebrane pod tytułem *Magnetyczne wieczory w domu.* Są wyraźnie podpisane „W.W.C.”, William Wilkie Collins.

– Dobry Boże! – wykrzyknąłem zbyt głośno. – Te teksty musiały się ukazać… Ile to? Piętnaście lat temu.

Seria artykułów, do których nawiązywał inspektor, została napisana dla sceptycznego „Leadera”, wydawanego przez G.H. Lewesa gdzieś na początku lat pięćdziesiątych. Po prostu zrelacjonowałem kilka salonowych eksperymentów, które były wtedy bardzo modne: mężczyźni i kobiety poddawali się hipnozie, hipnotyzerzy magnetyzowali nieożywione przedmioty (takie jak szklanki z wodą), „wrażliwcy” czytali w myślach i przepowiadali przyszłość, próbowano skontaktować się ze zmarłymi i… rzeczywiście… przypomniałem sobie to teraz, mimo opium, alkoholu i migreny: było tam też coś o kobiecie lewitującej razem z krzesłem, na którym siedziała.

– Miał pan powody zmienić zdanie, odkąd obserwował pan te rzeczy, panie Collins?

Jak zwykle uznałem, że cichy, a zarazem kategoryczny i insynuujący głos Fielda mnie irytuje.

– To nie były moje opinie, inspektorze. Jedynie zawodowe obserwacje z tamtego okresu.

– Ale nie wierzy już pan, że mężczyzna albo kobieta, powiedzmy ktoś wyszkolony w starożytnych sztukach dawno zapomnianego społeczeństwa, mógłby kwitować dziesięć stóp w powietrzu, żeby zajrzeć przez okno Charlesa Dickensa?

Dość. Miałem tego serdecznie dość.

– Nigdy nie wierzyłem w coś podobnego – odparłem szorstko, podnosząc głos. – Czternaście czy piętnaście lat temu, jako znacznie młodszy człowiek, zrelacjonowałem… zdarzenia… związane z pewnymi salonowymi mistykami i łatwowiernością tych, którzy zgromadzili się, by takie rzeczy oglądać. Jestem człowiekiem nowoczesnym, inspektorze

Field, co w moim pokoleniu przekłada się na „człowieka małej wiary”. Na przykład, nie wierzę już, że pański tajemniczy pan Drood w ogóle istnieje. Albo raczej, żeby oznajmić to bardziej kategorycznie i w sposób twierdzący, wierzę, że pan i Charles Dickens posłużyliście się legendą na temat takiej postaci dla swoich różnych, rozbieżnych celów, a każdy z was usiłował użyć mnie jako swego rodzaju pionka w swojej grze… na czymkolwiek ta gra polega.

To była za długa przemowa dla człowieka w moim stanie o tej porze nocy, więc zanurzyłem twarz w kieliszku parującej sherry.

Podniosłem wzrok, kiedy inspektor Field dotknął mojej ręki. Jego rumiana, pożyłkowana twarz przybrała poważny wyraz.

– Zgadza się, to jest gra, panie Collins, ale nikt nie gra pańskim kosztem. I są w niej pionki, a także ważniejsze figury, ale pan nie jest pionkiem. Chociaż z pewnością jest nim pański Dickens.

Wyciągnąłem rękaw z jego uścisku.

– O czym pan mówi?

– Zastanawiał się pan, panie Collins, dlaczego przykładam taką wagę do odnalezienia tego Drooda?

Nie mogłem powstrzymać krzywego uśmieszku.

– Chce pan odzyskać emeryturę.

Myślałem, że to rozgniewa inspektora, i dlatego zaskoczył mnie jego natychmiastowy, swobodny śmiech.

– Niech Bóg pana błogosławi, panie Collins, to prawda. Owszem, chcę, ale w tej partii szachów to najmniej istotny z moich celów. Pański Drood i ja jesteśmy o krok od starości i obaj postanowiliśmy zakończyć tę zabawę w kotka i myszkę, w którą gramy od ponad dwudziestu lat. Obu nam zostało dość pionków na planszy, żeby wykonać ostatni ruch, to prawda, ale sądzę, że nie docenia pan faktu, że koniec tej gry musi… musi… oznaczać śmierć jednego z nas dwóch. Albo umrze Drood, albo inspektor Field. Nie ma innego wyjścia, drogi panie.

Zamrugałem kilka razy i w końcu powiedziałem:

– Dlaczego?

Inspektor Field pochylił się jeszcze bardziej i poczułem zapach ciepłej sherry w jego oddechu.

– Mógł pan myśleć, że przesadzam, drogi panie, kiedy powiedziałem, że Drood odpowiada, osobiście i poprzez zahipnotyzowanych sługusów, których wszędzie rozsyła, za śmierć trzystu ludzi, odkąd przybył z Egiptu ponad dwadzieścia lat temu. Cóż, nie przesadzałem, panie Collins. Dokładna liczba wynosi trzysta dwadzieścia osiem. To się musi skończyć, szanowny panie. Tego Drooda trzeba powstrzymać. Na razie, przez wszystkie te lata w czasie mojej służby w policji stołecznej i poza nią, toczyłem potyczki z diabłem, obaj poświęcaliśmy pionki, wieże i figury w tej długiej grze, ale teraz nadszedł prawdziwy Koniec Gry, panie Collins. Albo diabeł zaszachuje mojego króla, albo ja zaszachuję jego. Nie ma innego wyjścia, drogi panie.

Popatrzyłem na inspektora. Przez pewien czas powątpiewałem w zdrowie psychiczne Dickensa. Teraz wiedziałem z całą pewnością, że jeszcze jeden chory na umyśle człowiek ma wpływ na moje życie.

– Wiem, że prosiłem o pańską pomoc, nie proponując w zamian nic prócz mojej pomocy w utrzymaniu informacji na temat panny Marthy R. w tajemnicy przed pańską damą, Caroline – ciągnął Field, a ja pomyślałem, że w bardzo uprzejmy sposób ujął fakt, że mnie szantażował. – Są jednak inne rzeczy, które mogę panu zaoferować w zamian za pomoc. Konkretne rzeczy.

– Co?

– Co obecnie stanowi największy problem w pańskim życiu, panie Collins?

Kusiło mnie, żeby powiedzieć „pan” i mieć to z głowy, ale zaskoczyłem samego siebie, wypowiadając inną sylabę:

– Ból.

– Owszem, drogi panie… Wspomniał pan o podagrze, przez którą pan cierpi. To widać w pańskich oczach, jeśli mogę ośmielić się o tym wspomnieć, panie Collins. Nieustanny ból nie jest dla nikogo błahostką, a już w szczególności dla

artysty takiego jak pan. Detektywi opierają się na dedukcji, jak dobrze pan wie, a ja dedukuję, że zjawił się pan w tę okropną marcową noc u Opiumowej Sal i w ogóle w tej paskudnej okolicy w nadziei na uśmierzenie bólu. Czyż nie mam racji, panie Collins?

– Owszem.

Nie zawracałem sobie głowy tłumaczeniem Fieldowi, że Frank Beard, mój lekarz, zasugerował niedawno, że „reumatyczna podagra", na którą cierpię od dawna, równie dobrze może być złośliwą formą choroby wenerycznej.

– Czy ból dręczy pana nawet teraz, kiedy tu rozmawiamy, panie Collins?

– Mam wrażenie, że oczy mam jak worki pełne krwi – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Czuję, że za każdym razem, kiedy je otwieram, ryzykuję, że całe kwarty krwi spłyną mi po twarzy i brodzie.

– To straszne, drogi panie, straszne – przyznał inspektor Field, kręcąc głową. – Wcale a wcale nie winię pana, że szukał pan ulgi w laudanum albo fajce z opium. Jeśli jednak nie ma pan nic przeciwko temu, że to powiem, drogi panie, towar Opiumowej Sal zwyczajnie tu nie wystarczy.

– Co ma pan na myśli, inspektorze?

– Mam na myśli to, że Sal zdecydowanie za bardzo rozcieńcza opium dla kogoś, kto cierpi tak jak pan, panie Collins. A już od samego początku to nie jest czysty produkt. To prawda, że rozsądne połączenie laudanum i fajki opiumowej może okazać się zbawienne, może nawet zdziała cuda, jeśli chodzi o pańską przypadłość, ale te palarnie z Bluegate Fields i Cheapside zwyczajnie nie dysponują opium takiej jakości, jaka panu pomoże.

– Gdzie zatem? – zapytałem, ale już wypowiadając pytanie, znałem odpowiedź.

– U króla Lazaree – odpowiedział inspektor Field. – W sekretnej palarni Chińczyka w Podmieście.

– W kryptach i katakumbach – mruknąłem z przygnębieniem.

– Tak, drogi panie.

– Po prostu chce pan, żebym wrócił do Podmiasta – powiedziałem, patrząc w oczy starszemu mężczyźnie. Przyćmione, zimne światło sączyło się przez czerwone zasłony w oknach gospody. – Chce pan, żebym jeszcze raz spróbował doprowadzić was do Drooda.

Inspektor Field pokręcił łysiejącą głową z siwymi bokobrodami.

– Nie, w ten sposób nie znajdziemy Drooda, panie Collins. Jesienią zeszłego roku pan Dickens niewątpliwie powiedział panu prawdę, kiedy wyznał, że regularnie wraca do kryjówki Drooda, ale nie korzysta z drogi przez pobliski cmentarz; nasi ludzie przesiadywali tam całymi miesiącami. Drood powiedział mu o innej trasie prowadzącej do jego podziemnego świata. Albo to, albo ten egipski diabeł przez cały czas mieszka na powierzchni i wyjawił panu Dickensowi lokalizację jednej ze swoich kryjówek. Zatem pański przyjaciel nie musi już wchodzić do Podmiasta tą trasą, panie Collins, pan by jednak mógł, jeśli pragnie pan znaleźć ulgę w czystym opium króla Lazaree.

Mój kieliszek był pusty. Spojrzałem na inspektora nagle załzawionymi oczami.

– Nie mogę – wyznałem. – Próbowałem. Nie jestem w stanie przesunąć ciężkiego katafalku w grobowcu, żeby dostać się do schodów.

– Wiem, szanowny panie – powiedział inspektor łagodnym i smutnym głosem przedsiębiorcy pogrzebowego. – Jednakże Hatchery z radością panu pomoże, zawsze, kiedy zechce pan tam zejść, o każdej porze dnia i nocy. Prawda, Hib?

– Z radością, proszę pana – przytaknął Hatchery.

Przyznaję, że prawie zapomniałem, że ten drugi mężczyzna także jest obecny.

– Jak dam mu znać? – spytałem.

– Chłopak nadal czeka na ulicy, panie Collins. Proszę przesłać wiadomość przez mojego Gooseberry’ego i detektyw Hatchery zjawi się w ciągu godziny, żeby przeprowadzić pana przez niebezpieczną okolicę, otworzyć panu drogę do schodów i poczekać na pański powrót. – Piekielny inspektor

się uśmiechnął. – Pożyczy nawet panu rewolwer, panie Collins. Ale nie ma się pan czego obawiać ze strony króla Lazaree i jego klientów. W przeciwieństwie do szemranej klienteli Opiumowej Sal, Lazaree i jego żywe mumie na dole wiedzą, że mogą istnieć tylko dlatego, że ich toleruję.

Zawahałem się.

– Czy możemy jeszcze w jakiś sposób pomóc panu w zamian za pańską pomoc w odnalezieniu Drooda poprzez pana Dickensa? – zapytał Field. – Może w jakichś kłopotach domowych?

Zerknąłem krzywo na starszego mężczyznę. Co on mógł wiedzieć o moich domowych kłopotach? Skąd mógł wiedzieć, że moje codzienne i conocne kłótnie z Caroline skierowały mnie do Sal w takim samym stopniu, jak potrzeba zmniejszenia bólu wywołanego podagrą?

– Jestem żonaty od ponad trzydziestu lat, panie Collins – powiedział cicho, jakby czytał w moich myślach. – Obstawiam, że pańska dama, nawet po tak długim czasie, domaga się honorowania małżeństwa… podczas gdy pańska druga dama z Yarmouth domaga się powrotu do Londynu, żeby być blisko pana.

– Niech cię szlag, Field! – wykrzyknąłem, uderzając pięścią w ciężkie, sfatygowane deski stołu. – Żadna z tych rzeczy to nie pański interes.

– Oczywiście, panie Collins. Oczywiście – przytaknął inspektor głosem śliskim jak olej. – Jednakże takie problemy mogą odciągać pana od pracy, a także od naszych wspólnych celów. Staram się dostrzec, w jaki sposób mogę być pomocny… jak przyjaciel.

– Tu się nic nie da zrobić – warknąłem. – A pan nie jest moim przyjacielem.

Inspektor Field pokiwał głową, pokazując, że rozumie.

– A jednak, drogi panie, jeśli nie ma pan nic przeciwko dobrej radzie od starszego żonatego mężczyzny, czasem zmiana miejsca pozwala zyskać trochę spokoju i ciszy w przypadku podobnych domowych nieporozumień.

– Ma pan na myśli przeprowadzkę? Rozmawialiśmy o tym z

Caroline.

– O ile wiem, panie Collins, pan i pańska dama kilka razy wybraliście się na spacer, popatrzeć na wspaniały dom przy Gloucester Place.

Nie byłem już ani zaskoczony, ani wstrząśnięty na wieść o tym, że ludzie Fielda nas śledzili. Nie zdziwiłbym się, słysząc, że ukrył karła w ścianach naszego domu przy Melcombe Place, żeby ten robił notatki z naszych kłótni.

– To wspaniały dom – przyznałem – ale jego obecna mieszkanka, pani Shernwold, nie zamierza go sprzedać. A poza tym odczuwam obecnie brak funduszy potrzebnych do takiego zakupu.

– Obie te przeszkody da się pokonać, panie Collins – zamruczał inspektor Field. – Jeśli znowu zaczniemy współpracować, mogę właściwie zagwarantować, że pan, pańska dama i jej córka będziecie mogli przeprowadzić się do tej wspaniałej rezydencji przy Gloucester Place w ciągu roku albo dwóch, podczas gdy panna R. będzie mogła powrócić na Bolsover Street, jeśli tylko pan zechce, a my pomożemy w zorganizowaniu podróży i pokryciu niezbędnych kosztów.

Zerknąłem na niego, mrużąc oczy. Głowa mnie bolała. Chciałem wrócić do domu na śniadanie, a potem do łóżka. Chciałem naciągnąć kołdrę na głowę i przespać cały tydzień. Od szantażu przeszliśmy do przekupstwa. Ogólnie rzecz biorąc, lepiej się czułem z szantażem.

– Co muszę zrobić, inspektorze?

– Nic ponad to, co już omówiliśmy, panie Collins. Proszę wykorzystać pośrednictwo Charlesa Dickensa, żeby dowiedzieć się, gdzie jest Drood i co planuje.

Pokręciłem głową.

– Dickensa całkowicie pochłonęły przygotowania do zbliżającego się tournée literackiego. Jestem pewien, że od Bożego Narodzenia nie kontaktował się z Droodem. Pomijając fakt, że przeraziło go to, co wydawało mu się, że zobaczył za oknem tamtej nocy, zagrzebał się teraz w szczegółach planowania trasy objazdu. Nie ma pan pojęcia,

ile przygotowań wymaga takie tournée.

– Z pewnością, panie Collins – przyznał inspektor Field. – Wiem jednak, że pański przyjaciel zacznie swoją trasę od premierowego wieczoru za tydzień, dwudziestego trzeciego marca, w otwartym klubie towarzyskim w Cheltenham. Potem dziesiątego kwietnia zjawi się w St James's Hall tutaj, w Londynie, a zaraz potem odbędą się spotkania z czytelnikami w Liverpoolu, potem w Manchesterze, Glasgow, w Edynburgu…

– Zna pan cały plan podróży? – przerwałem mu.

– Oczywiście.

– Zatem wie pan, że to niemożliwe, żebym zwrócił na siebie choćby odrobinę uwagi Dickensa w czasie tournée. Wszystkie publiczne odczyty są wyczerpujące dla pisarza. A wieczory Dickensa są wyczerpujące dla pisarza i dla wszystkich wokół niego. Nie ma na świecie niczego podobnego do wieczorów literackich Charlesa Dickensa, a on obiecuje, że to tournée będzie jeszcze bardziej emocjonujące.

– Tak słyszałem – przyznał inspektor Field półgłosem. – W jakiś sposób Drood jest powiązany z tournée literackim pańskiego przyjaciela.

Parsknąłem śmiechem.

– Jak to możliwe? Jak człowiek o takiej powierzchowności mógłby podróżować z Dickensem i pojawiać się na jego spotkaniach, nie wzbudzając żadnych komentarzy?

– Drood to człowiek mający w zanadrzu nieskończoną liczbę przebrań – odparł Field. Ściszył głos, jakby Hatchery, panna Darby albo mały Billy mogli być egipskim kryminalistą w przebraniu. – Ręczę panu, że pański przyjaciel Dickens, świadomie bądź nie, rozmyślnie lub jako ślepe narzędzie Drooda, podczas tego tournée wypełnia zamiary diabła.

– Jak on… – Zacząłem i urwałem, przypominając sobie dziwny upór Dickensa, że będzie magnetyzował całą publiczność w czasie każdego wieczoru. Hipnotyzował. Tylko w jakimż to mrocznym celu?

To był jeden wielki absurd.

– W porządku – przyznałem znużony. – Zna pan

harmonogram Dickensa. I wie pan, że podróżuje z nim tylko mała grupa ludzi.

– Pan Dolby – powiedział inspektor Field. – Jego agent, pan Wills. – Field przeszedł do nazwiska gazownika, specjalisty od oświetlenia i nawet tych agentów, których wysłano z wyprzedzeniem, żeby sprawdzili teatry i zadbali o stosowne ceny biletów, reklamy i temu podobne. – Ale z pewnością, panie Collins, Dickens ucieszyłby się na widok swojego drogiego przyjaciela w czasie tak wyczerpującej trasy. Wiem, że planuje spotkać się z Macreadym w czasie premiery w Cheltenham. Nie może pan znaleźć kilku dni, by spędzić je w podróży w towarzystwie słynnego przyjaciela i wziąć udział w jednym albo dwóch jego spotkaniach autorskich?

– To wszystko, czego pan ode mnie chce?

– Pańska pomoc przy tych drobiazgach, zwykła obserwacja, pogaduszki i później raport, byłyby nieocenione – wymamrotał inspektor Field.

– Jak, na Boga, zamierza pan umożliwić nam przeprowadzkę do domu pod numerem dziewięćdziesiątym przy Gloucester Place, nawet w przyszłym roku, jeśli pani Shernwold rezerwuje go dla swojego syna misjonarza i zdecydowanie odmawia nam sprzedaży? – zapytałem.

Inspektor się uśmiechnął. Na poły spodziewałem się, że zobaczę piórka kanarka sterczące spomiędzy tych jego warg wątrobianej barwy.

– To już mój problem, drogi panie, chociaż spodziewam się, że nie będzie to żaden problem. To zaszczyt pomagać komuś, kto wspomaga nas w służbie społeczeństwu i umożliwi nam pozbycie się z Londynu najbardziej niesławnego, ale i najbardziej skutecznego seryjnego mordercy.

Westchnąłem i skinąłem głową. Gdyby inspektor Field wyciągnął wtedy rękę, żeby przypieczętować naszą mroczną umowę, nie jestem pewien, czy byłbym w stanie jej dotknąć. Może to wyczuł, bo tylko skinął głową – umowa stoi – i się rozejrzał.

– Chciałby pan, żeby panna Darby i chłopiec podgrzali nam jeszcze trochę sherry, panie Collins? To doskonała rzecz

przed snem.

– Nie – odparłem, próbując wstać i czując nagle ogromną rękę Hatchery’ego na moim ramieniu, unoszącą mnie bez wysiłku z ławki. – Chcę wracać do domu.

Rozdział 15

Postanowiłem dołączyć do Dickensa na kilka dni, kiedy tournée zaczęło się już na dobre.

Inspektor Field miał rację, twierdząc, że Dickens przystanie na mój pomysł dołączenia do niego na krótko w czasie trasy. Wysłałem list do Willsa, który – chociaż musiał być wyczerpany codziennymi podróżami z Panem Niezrównanym – co kilka dni śmigał z powrotem do Londynu, żeby razem z Forsterem (który nie popierał całego pomysłu tournée) zająć się w redakcji interesami swoimi i Dickensa, i w ciągu jednego dnia otrzymałem w odpowiedzi najrzadszą dla mnie rzecz – telegram – który brzmiał:

> *MÓJ DROGI WILKIE! TOURNÉE TO WSPANIAŁA ZABAWA! NASZ DOLBY OKAZAŁ SIĘ IDEALNYM TOWARZYSZEM PODRÓŻY I MENEDŻEREM. SPODOBAJĄ CI SIĘ JEGO WYGŁUPY. JA Z PEWNOŚCIĄ JE LUBIĘ. DOŁĄCZ DO NAS, KIEDY ZECHCESZ, I PODRÓŻUJ Z NAMI TAK DŁUGO, JAK ZECHCESZ. NA WŁASNY KOSZT, RZECZ JASNA. NIE MOGĘ SIĘ DOCZEKAĆ TWOJEGO TOWARZYSTWA! C. DICKENS*

Zastanawiałem się, jak wypadek pod Staplehurst wpływa na niemal codzienne podróże kolejowe Pana Niezrównanego. Przekonałem się o tym już kilka minut po wyruszeniu ze stacji w Bristolu do Birmingham.

Ulokowałem się w przedziale dokładnie naprzeciwko Dickensa. On siedział sam na swojej ławce. George Dolby i Wills zajmowali siedzenia obok mnie, ale gawędzili, możliwe więc, że tylko ja jeden widziałem, jak pisarz staje się coraz bardziej poruszony, w miarę jak nasz wagon przyśpiesza. Dłoń Dickensa zacisnęła się gwałtownie najpierw na gałce laski, a potem na parapecie okiennym. Wyglądał przez okno, kiedy wibracje przybierały na sile, ale zaraz odwracał wzrok, po czym znowu zerkał. Jego twarz, zwykle ciemniejsza niż u większości Anglików (od opalenizny złapanej w czasie

codziennych spacerów), pobladła i zlała się potem. Potem wyjął podróżną piersiówkę z kieszeni, wypił spory łyk brandy, odetchnął głębiej, napił się raz jeszcze i odłożył piersiówkę. Później zapalił cygaro i odwrócił się, żeby porozmawiać z Dolbym, Willsem i mną.

Pan Niezrównany wybierał interesującą – nawet ekscentryczną, żeby nie rzec szykowną – garderobę do podróży: dwurzędową kurtkę o marynarskim kroju, na którą narzucił drogi płaszcz w stylu hrabiego D'Orsaya. Jego siwowłose i znużone oblicze, pomarszczone i brązowe od słońca (bladość osłabła po brandy i teraz niemal całkowicie zniknęła), wyglądało spod wesoło przekrzywionego pilśniowego kapelusza. Podsłuchałem, jak niedźwiedziowaty Dolby mówi chudemu jak strach na wróble Willsowi na stacji w Bristolu, że ten kapelusz sprawia, że „Szef wygląda jak nowoczesny pirat–dżentelmen o oczach, w których czai się żelazna wola demona i czuła litość anioła".

Myślę, że Dolby również tego ranka pokrzepił się brandy.

Rozmowa była ożywiona – byliśmy jedynymi pasażerami w przedziale pierwszej klasy, reszta małej świty pojechała do Birmingham przed nami. Usłyszałem wcześniej od Dickensa, że w czasie pierwszych dni tournée Wills poddał Dolby'ego niezwykle gruntownemu egzaminowi, wypytując go, w jaki sposób zamierza realizować swoje zadania. W czasie pierwszych wieczorów Dolby wyjeżdżał przodem z ludźmi od gazu i oświetlenia i tylko Wills podróżował codziennie z Dickensem. Teraz, kiedy mieli już za sobą Liverpool, Manchester, Glasgow, Edynburg i Bristol (i – dzięki rzetelnym staraniom Dolby'ego – w żadnym z tych miast nie pojawiły się większe problemy), zwalisty menedżer podróżował z Dickensem ku nieskrywanemu zachwytowi tego ostatniego. Reszta tournée obejmowała Birmingham, Aberdeen, Portsmouth i wreszcie powrót do domu na ostatnie wieczory w Londynie.

Dolby, którego późniejszy klient – amerykański pisarz nazwiskiem Mark Twain – opisze jako „rozkosznego goryla", sięgnął do wielkiego wiklinowego kosza, który zabrał ze sobą

do pociągu. Rozłożył obrus na maleńkim, składanym stoliku, który zawczasu przygotował pośrodku naszego przedziału, i zaczął rozkładać piknikowy obiad, obejmujący kanapki z gotowanym jajkiem i sardelą, łososiowy majonez, drób i ozór na zimno, wołową mielonkę, ser Roquefort i wiśniową tartę na deser. Postawił także całkiem dobre czerwone wino i w napełnionej lodem umywalce w przedziale schłodził poncz z dżinem. Kiedy, reszta z nas kończyła posiłek, podgrzał kawę nad spirytusową lampką. Cokolwiek by powiedzieć o tym ogromnym, zarośniętym mężczyźnie o zaraźliwym śmiechu i raczej uroczym jąkaniu, z pewnością był bardzo kompetentny.

Po otwarciu drugiej butelki wina i dopiciu schłodzonego ponczu grupa zaczęła śpiewać podróżne piosenki; niektóre nich śpiewałem z Dickensem, kiedy w poprzedniej dekadzie tylko we dwóch włóczyliśmy się po kraju albo Europie. Tego dnia, gdy zbliżaliśmy się do Birmingham, Dickens zerwał się, by odtańczyć dla nas matelota, my zaś akompaniowaliśmy mu pogwizdywaniem. Kiedy skończył i nie mógł złapać oddechu, Dolby dał mu ostatnią szklankę ponczu i Dickens zaczął nas uczyć pijackiej przyśpiewki z *Der Freischütz.* Nagle, po sąsiednim torze przeleciał obok nas ryczący ekspres jadący w przeciwnym kierunku; podmuch powietrza zerwał śliczny pilśniowy kapelusz z łysiejącej głowy Dickensa. Wills, który robił wrażenie bardziej suchotnika niż sportowca, sięgnął długą ręką za okno i złapał kapelusz, zanim ten zniknąłby na zawsze na prowincji. Wszyscy nagrodziliśmy go oklaskami, a Dickens serdecznie grzmotnął słabowitego mężczyznę w plecy.

– W niemal takich samych okolicznościach straciłem, wcześniej podczas tego tournée, czapkę z foczej skóry – powiedział mi Dickens, biorąc kapelusz od Willsa i zakładając go z powrotem na głowę. – Naprawdę przykro by mi było rozstać się z tym kapeluszem. Bogu dzięki, że Wills słynie ze swoich umiejętności łapania piłki w obronie. Nie pamiętam teraz, czy najlepszy był z prawej strony w głębi, czy raczej z tyłu, bliżej środka, ale jego umiejętności gry w

polu były legendarne. Półki uginają mu się od srebrnych pucharów.

– Nigdy nie grałem w… – zaczął Wills.

– Nieważne, nieważne. – Dickens się zaśmiał, znowu klepiąc towarzysza w plecy.

George Dolby ryknął śmiechem, który musiał być słyszalny w całym naszym ekspresie, od jednego końca do drugiego.

***

W Birmingham poznałem przedsmak charakteru i rytmu tournée. Oczywiście zatrzymywałem się już wiele razy w hotelach i chociaż zwykle taka podróż była dużą przyjemnością, aż nazbyt dobrze zdawałem sobie sprawę ze słabości Dickensa, który zwłaszcza zimą i wiosną bieżącego roku miał kłopoty ze zdrowiem. Wiedziałem także z własnego doświadczenia, że nieustanna podróż i kaprysy hotelowego życia w niewielkim stopniu ułatwiają rekonwalescencję. Pisarz przyznał mi się, że lewym okiem nadal widzi niewyraźnie i odczuwa w nim okrutny ból; że cały czas ma wrażenie rozdętego brzucha; że owe wzdęcia stanowią kłopot w czasie całej trasy; że wibracje pociągów wywołują u niego nudności i zawroty głowy, po których nigdy nie nadąża dojść do siebie w czasie krótkich pobytów w miastach, w których występuje. Zrównoważenie niemal codziennych podróży i wyczerpujących wieczorów literackich ewidentnie zmuszało Dickensa do wysiłku przekraczającego jego wytrzymałość.

Zaraz po przyjeździe do Birmingham, przed odpoczynkiem czy choćby rozpakowaniem walizki, Dickens pośpieszył do teatru. Wills był zajęty innymi obowiązkami, ale Dolby i ja ruszyliśmy za Panem Niezrównanym.

Obchodząc salę w towarzystwie właściciela teatru, Dickens natychmiast zarządził zmiany. Zgodnie z jego poleceniami, siedzenia z boku sceny i określone siedzenia w lożach zostały albo usunięte, albo odgrodzone sznurami, teraz jednak, gdy stał w dostosowanej do jego potrzeb sali, polecił odgrodzić

jeszcze więcej miejsc po obu stronach rozległego pomieszczenia teatralnego. Wszyscy biorący udział w spotkaniu autorskim musieli znajdować się bezpośrednio na linii jego wzroku. Nie tylko po to, by widzowie mogli go dobrze widzieć, ale – jak zdałem sobie sprawę – przede wszystkim po to, by to on mógł z każdym nawiązać kontakt wzrokowy.

Pracownicy, którzy wcześniej przyjechali na miejsce, wznieśli już wielki bordowy ekran, który w trakcie występu miał się znajdować za Dickensem. Ekran miał siedem stóp wysokości i piętnaście szerokości, a między nim i mównicą rozłożono dywan w tym samym kolorze. Jedyne w swoim rodzaju oświetlenie gazowe także znajdowało się na swoim miejscu. Zatrudnieni przez Dickensa człowiek od gazu i specjalista od oświetlenia ustawili dwie pionowe rury, wznoszące się na dwanaście stóp po obu stronach mównicy. Z obiema rurami łączył się ukryty przed widownią, za bordową tablicą, poziomy rząd świateł gazowych w blaszanych reflektorach. Oprócz tego jasnego oświetlenia na każdej rurze znajdowała się lampa gazowa osłonięta zielonym abażurem, której światło skierowano wprost na twarz czytającego.

Stałem w blasku tego sprytnego sprzętu oświetleniowego i dwóch ukierunkowanych lamp tylko minutę, ale doświadczenie było wręcz przytłaczające. Byłoby to dla mnie niezwykle trudne – o ile nie wręcz niemożliwe – czytać z jakiejkolwiek książki przy tylu światłach skierowanych prosto w moją twarz, wiedziałem jednak, że Dickens rzadko, jeśli w ogóle, czyta z książek w czasie swoich rzekomych „odczytów”. Nauczył się na pamięć setek stron tekstu, który miał przedstawiać (czytał i uczył się na pamięć, zmieniał i ulepszał, próbował każdą historię przynajmniej dwieście razy) i potem albo zamykał trzymaną w ręku książkę zaraz po rozpoczęciu występu, albo tylko w roztargnieniu odwracał kartki dla zachowania pozorów. Przez większość czasu patrzył spoza oślepiającego prostokąta świateł w stronę widowni. A jednak, pomimo tego straszliwego gazowego

blasku, nadal był w stanie dostrzec twarze słuchaczy. Specjalnie w tym celu kazał zostawić odpowiednio dużo świateł na widowni.

Zanim opuściłem miejsce za pulpitem do czytania, przyjrzałem się samemu meblowi. Wsparty na czterech smukłych i eleganckich nogach blat wznosił się na wysokość mniej więcej niezrównanego pępka Pana Niezrównanego. Płaski blat był tego dnia przykryty szkarłatnym materiałem. Po obu stronach stolika znajdowały się małe półki, po prawej z myślą o karafce z wodą, po lewej dla drogich giemzowych rękawiczek Dickensa i chusteczki do nosa. Na lewo od pulpitu znajdował się także prostokątny kawałek drewna, na którym Dickens mógł – i często to robił – oprzeć prawy albo lewy łokieć, kiedy się pochylał. (Często czytał, stając nieco po lewej stronie pulpitu, co wiedziałem z poprzednich wieczorów literackich w Londynie, i potrafił nagle z chłopięcym wdziękiem pochylić się, opierając prawy łokieć na bloku i gestykulując przy tym ekspresywnie. Dzięki temu publiczność miała poczuć jeszcze bardziej osobistą i intymną więź z autorem).

Teraz Dickens odchrząknął, a ja odsunąłem się od mównicy i zszedłem ze sceny, pisarz zaś stanął przy pulpicie i sprawdził akustykę sali, wykorzystując różne urywki lektury, którą miał przedstawić tego wieczoru. Dołączyłem do George’a Dolby’ego w ostatnim rzędzie na balkonie.

– Szef zaczął tournée od czytania bożonarodzeniowej historii *Doktor Marigold.* – Dolby zniżył głos do szeptu, chociaż znajdowaliśmy się daleko od Dickensa. – Ale to się nie sprawdziło, a w każdym razie nie usatysfakcjonowało Szefa, a nie muszę panu mówić, że to skończony perfekcjonista, więc poprawia tekst, jednocześnie skłaniając się bardziej ku swoim starym szlagierom: scenie śmierci Paula z *Dombeya i syna,* scenie z panem, panią i panną Squeers z *Nicholasa Nickleby’ego,* rozprawie z *Pickwicka,* scenie burzy z *Dawida Copperfielda* i, rzecz jasna, *Opowieści wigilijnej.* Publiczność nigdy nie ma dość *Opowieści wigilijnej.*

– Nie wątpię – odparłem oschle.

Powszechnie znana była moja pogarda dla całego okresu bożonarodzeniowego. Zauważyłem także, że kiedy Dolby szepcze, przestaje się jąkać. Jakże dziwne są tego typu przypadłości. A skoro już mowa o przypadłościach, to wyjąłem małą podróżną piersiówkę, w której teraz znajdowało się laudanum, i wypiłem kilka łyków.

– Przykro mi, że nie mogę pana poczęstować – powiedziałem do Dolby'ego swobodnym tonem, nie będąc onieśmielonym faktem, że na odległej scenie Dickens nadal recytuje urywki to tego, to tamtego. – To lekarstwo.

– Doskonale rozumiem – odszepnął Dolby.

– Dziwi mnie, że *Doktor Marigold* nie zadowolił tłumów – dodałem. – Nasz świąteczny numer z tym opowiadaniem sprzedał się w nakładzie ponad dwustu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy.

Dolby wzruszył ramionami.

– Szef wywoływał nim śmiech i łzy – odpowiedział cicho – ale nie dość, jak orzekł. I nie zawsze w ściśle określonych momentach. Wobec tego zrezygnował z tego opowiadania.

– Szkoda – mruknąłem, czując, jak niefrasobliwe ciepło lekarstwa rozpływa mi się po ciele. – Dickens próbował ten tekst przez ponad trzy miesiące.

– Szef wiecznie przeprowadza próby – szepnął Dolby.

Nie wiedziałem jeszcze, jakie uczucia budzi we mnie niedorzeczne miano „Szefa", które nadał Dickensowi, ale sam Pan Niezrównany robił wrażenie zadowolonego z tego tytułu. Z mojego punktu widzenia Dickens lubił niemal wszystko, co dotyczyło tego wielkiego, krzepkiego, jąkającego się niedźwiedzia w roli menedżera. Nie miałem wątpliwości, że ten pospolity teatralny rzemieślnik uzurpował sobie pozycję bliskiego przyjaciela i niekiedy powiernika, którą to ja zajmowałem przy Dickensie już od ponad dziesięciu lat. Nie po raz pierwszy (i nie po raz pierwszy pod wpływem jasności, jaka spływała na mój umysł po laudanum) dostrzegałem z całą wyrazistością, że Forster, Wills, Macready, Dolby, Fitzgerald – my wszyscy! – jesteśmy

ledwie planetami rywalizującymi ze sobą, by przekonać się, kto zdoła zatoczyć najciaśniejszy krąg wokół siwowłosego, wzdętego i pomarszczonego Słońca, którym był Charles Dickens.

Bez słowa więcej wstałem i opuściłem teatr.

***

Zamierzałem wrócić do hotelu – wiedziałem, że Dickens wróci tam odpocząć na kilka godzin przed występem, ale zamknie się w sobie i nie podejmie rozmowy, dopóki nie minie długi wieczór występu – jednak złapałem się na tym, że błąkam się po mrocznych i osmalonych sadzą ulicach Birmingham, zastanawiając się, co ja tutaj robię.

Osiem lat wcześniej, jesienią 1858 roku – po tym, jak towarzyszyłem Dickensowi w daremnej eskapadzie, jaką była wyprawa na północ w pogoni za Ellen Ternan (bo dałem mu się przekonać, że podróżujemy, żeby zebrać materiały do wspólnego dzieła *Leniwa włóczęga dwóch próżniaków*), i po tym, jak prawie zginąłem na Carrick Fell – wróciłem do Londynu ze wzrokiem twardo utkwionym w teatr. Natychmiast po sukcesie *Zamarzniętej otchłani* rok wcześniej, słynny aktor Frederick „Frank” Robson kupił mój wcześniejszy melodramat *Latarnia morska* (w którym Dickens grał główną rolę, tak samo jak w *Zamarzniętej otchłani)* i dziesiątego sierpnia 1857 roku spełniło się moje marzenie, by zostać zawodowym dramatopisarzem. Dickens siedział razem ze mną w loży autorskiej i klaskał razem z innymi (przyznaję, że wstałem i skłoniłem się w czasie tej owacji), tyle że słowo „owacja” może być na wyrost – oklaski sprawiały wrażenie raczej pełnych szacunku niż entuzjastycznych.

Recenzje z *Latarni morskiej* były równie letnie i pełne szacunku. Nawet delikatny John Oxenford z „Timesa” napisał: „Nie możemy uniknąć wniosku, że *Latarnia morska* mimo wszystkich swoich wartości jest raczej teatralną anegdotą niż prawdziwym dramatem”.

Mimo tych wyziewów oziębłości przez wiele miesięcy 1858 roku – żeby posłużyć się wyrażeniem, którym posługiwaliśmy się wtedy z Dickensem – zachodziłem w głowę w poszukiwaniu bardziej stosownego dla teatru utworu.

To syn Dickensa, Charley, który właśnie wrócił z Niemiec i dzielił się wrażeniami z makabrycznego miejsca we Frankfurcie zwanego Trupiarnią, stał się moim natchnieniem. Natychmiast przyłożyłem pióro do papieru i machnąłem sztukę pod tytułem *Czerwony flakonik z trupiarni*. Przyznaję, Drogi Czytelniku, że uznałem klimat i scenerię za cudowne – sala pełna trupów, każdy ułożony na zimnym stole pod prześcieradłem, z palcem, wokół którego owinięto sznurek prowadzący w górę do wiszącego dzwonka, na wypadek, gdyby któryś ze „zmarłych” nie był wcale zmarły. Cała ta makabryczna scena sięgała najgłębszych rejonów naszych lęków przed przedwczesnym pochówkiem i chodzącymi trupami.

Sam Dickens niewiele powiedział, kiedy przedstawiłem mu pomysł, podobnie jak później, gdy czytałem mu fragmenty sztuki w miarę ich kończenia, jednakże odwiedził londyński zakład dla obłąkanych w poszukiwaniu drobnych szczegółów, które dodałyby wiarygodności mojemu głównemu szaleńcowi. Robson, który tak wspaniale się spisał przy *Latami morskiej,* przyjął tę sztukę dla Olympic Theatre i wziął rolę obłąkanego. Próby sprawiały mi ogromną przyjemność i wszyscy biorący w nich udział aktorzy zapewniali mnie, że sztuka jest cudowna. Zgodzili się z moim założeniem, że chociaż londyńscy teatromani zamienili się w bandę gamoni o przytępionych umysłach, odpowiednio mocna stymulacja powinna ich obudzić.

Jedenastego października 1858 roku Dickens towarzyszył mi na premierze *Czerwonego flakonika…* i zorganizował kolację po przedstawieniu dla mnie i moich przyjaciół w swoim pozbawionym już wtedy żony Tavistock House. Na premierze zasiadło nas wtedy około dwudziestu.

To była katastrofa. Podczas gdy moi przyjaciele dygotali w czasie rozkosznie makabrycznych i melodramatycznych

części, pozostali widzowie rechotali. Najgłośniejsze chichoty rozległy się w kulminacyjnej scenie w Trupiarni, kiedy to (zgodnie z przewidywaniami, jak utrzymywali krytycy wypowiadający się po fakcie) jeden z trupów szarpnął sznurkiem od dzwonka.

Drugie przedstawienie się nie odbyło. Dickens silił się na optymizm przez resztę tego niekończącego się wieczoru, opowiadając żarty na temat londyńskiej publiczności, ale kolacja w Tavistock House okazała się dla mnie bardzo męcząca. Jak później usłyszałem z ust tego smarkacza Percy'ego Fitzgeralda, „była to najprawdziwsza stypa".

Jednakże katastrofa *Czerwonego flakonika…* w najmniejszym stopniu nie odwiodła mnie od obranego kursu – jednoczesnego budzenia niepokoju, fascynacji i odrazy w rodakach. Wkrótce po nadzwyczajnym sukcesie *Kobiety w bieli* zostałem zapytany o sekret mojego sukcesu, na co skromnie odpowiedziałem rozmówcy:

Znajdź wiodący pomysł.
Znajdź bohaterów.
Pozwól bohaterom kształtować przebieg wydarzeń.
Zacznij historię od początku.

Bądź tak łaskaw, Drogi Czytelniku, i porównaj tę niemal naukową zasadę artystyczną z chaotycznym sposobem, w jakim na przestrzeni dziesięcioleci składał do kupy swoje powieści Charles Dickens: wyciągał bohaterów znikąd (często wzorowanych jak popadnie na ludziach z własnego życia), bez najmniejszego zastanowienia, jak mogą służyć centralnemu celowi; mieszał nadmiar przypadkowych pomysłów; pozwalał bohaterom włączać się w nieprzewidziane zdarzenia i nieistotne poboczne wątki, niemające nic wspólnego z nadrzędna ideą; często zaczynał powieści niejako od środka, gwałcąc tym Naczelną Zasadę Collinsa, by zaczynać od początku.

To cud, że byliśmy w stanie razem pracować przy tych kilku okazjach, które nam się nadarzyły. Szczyciłem się – i to

niemało – że wniosłem pewną spójność do sztuk, opowiadań, relacji z podróży i dłuższych prac, których zarys razem stworzyliśmy lub nad którymi wspólnie pracowaliśmy.

Dlaczego więc, zastanawiałem się w ten niespodziewanie o tej porze roku zimny i deszczowy majowy wieczór w Birmingham, wylądowałem tutaj i patrzę, jak Dickens doprowadza do końca coś, co wygląda na nadzwyczaj udane tournée literackie po Anglii i Szkocji? Krytycy bezustannie krytykowali mój talent do tego, co nazywali „melodramatem", ale jak, u licha, nazwać tę nową i cudaczną kombinację literatury i rozszalałej teatralności, którą Dickens co wieczór uprawiał na scenie? Nikt w naszej profesji nie widział do tej pory czegoś podobnego. Nikt na świecie nie widział czegoś podobnego ani o czymś podobnym nie słyszał. To poniżało rolę pisarza i zamieniało literaturę w jarmark za pół szylinga. Dickens schlebiał gustom tłumów jak klaun z psem.

Takie myśli krążyły po mojej głowie, kiedy szedłem ponurą, pozbawioną okien ulicą (bardziej zaułkiem niż ulicą, prawdę powiedziawszy). Gdy skręciłem z powrotem w stronę mojego hotelu, ujrzałem na swojej drodze dwóch mężczyzn.

– Przepraszam, panowie wybaczą – rzuciłem opryskliwie, wymachując laską ze złotą gałką, żeby pozbyć się ich z drogi.

Nawet nie drgnęli.

Przeszedłem w prawo w wąskim zaułku, ale wtedy oni przesunęli się w swoją lewą stronę. Przystanąłem i zaraz ruszyłem w lewo, lecz wtedy oni przesunęli się na prawo.

– Co to ma znaczyć? – zapytałem ostro.

Zareagowali na to, ruszając w moją stronę. Włożyli ręce do kieszeni obszarpanych marynarek, a kiedy stwardniałe, brudne dłonie wynurzyły się, ściskały krótkie noże.

Odwróciłem się szybko i ruszyłem pośpiesznie w kierunku głównej ulicy, ale wtedy ujrzałem trzeciego mężczyznę, który wszedł do zaułka od tej strony i zablokował wyjście; jego zwalista sylwetka rysowała się przerażającym konturem na tle jaśniejszego wieczornego światła padającego zza jego pleców. On także trzymał coś w prawej ręce. Coś, co zabłysło

w słabym świetle.

Przyznaję się w tym miejscu, Drogi Czytelniku, że serce zaczęło mi bić jak szalone i poczułem niepokojącą płynność w okolicach trzewi. Nie uważam siebie za tchórza (chyba żaden mężczyzna tak o sobie nie myśli), ale jestem człowiekiem drobnej postury, łagodnym i nawet jeśli zdarza mi się pisać od czasu do czasu o przemocy, bijatykach na pięści, burdach i morderstwach, nie są to rzeczy, których osobiście doświadczyłem ani których pragnąłbym doświadczyć.

W tamtym momencie chciałem tylko uciekać. Naszła mnie idiotyczna, ale najprawdziwsza chęć wezwania krzykiem matki, chociaż Harriet przebywała wtedy setki mil ode mnie.

Choć żaden z trzech mężczyzn nie odezwał się słowem, sięgnąłem do marynarki i wyjąłem podłużny portfel. Wielu moich przyjaciół i znajomych – a z pewnością Dickens – uważało, że odrobinę zbyt niechętnie rozstaję się z pieniędzmi. Właściwie to Dickens i jego przyjaciele, od lat dysponujący pieniędzmi, ignorowali moją potrzebę zachowania dyscypliny finansowej i uważali mnie za taniego, żałosnego sknerę w stylu Ebenezera Scrooge'a sprzed objawienia.

Jednakże w tamtej chwili oddałbym każdego funta i szylinga, jakie miałem przy sobie, a nawet swój nie całkiem złoty, ale sprawny zegarek, byle tylko te zbiry dały mi przejść.

Jak powiedziałem, nie zażądali pieniędzy. Być może to właśnie najbardziej mnie przeraziło. A może straszliwie poważny i nieludzki wyraz ich zarośniętych twarzy – zwłaszcza czujna martwota połączona z czymś na kształt wyczekiwanej radości w szarych oczach największego mężczyzny, który podszedł teraz do mnie z uniesionym nożem.

– Chwileczkę! – zaprotestowałem słabo. I raz jeszcze: – Chwileczkę… chwileczkę…

Olbrzym w sfatygowanym ubraniu uniósł nóż tak, że ostrze niemal dotykało mojej piersi i szyi.

– Chwileczkę! – krzyknął o wiele głośniejszym i o wiele bardziej władczym głosem ktoś zza pleców naszej czwórki, bliżej głównej ulicy, gdzie nadal były światło i nadzieja.

Napastnicy i ja odwróciliśmy się w tamtą stronę.

Stał tam drobny mężczyzna w brązowym garniturze. Mimo władczego głosu nie był wcale wyższy ode mnie. Nie nosił kapelusza, więc widziałem krótkie, kręcone, szpakowate włosy przyklejone do czaszki przez padającą mżawkę.

– Odejdź, przyjacielu – warknął mężczyzna trzymający nóż przy moim gardle. – Nie chcesz brać w tym udziału.

– Wręcz przeciwnie – powiedział niski mężczyzna i podbiegł do nas.

Wszyscy trzej napastnicy odwrócili się w jego kierunku, ale pode mną za bardzo się uginały nogi, żebym zdołał rzucić się do ucieczki. Byłem przekonany, że za kilka sekund obaj, ja i mój niedoszły wybawca, będziemy leżeć martwi na brudnym bruku w tym bezimiennym, ciemnym zaułku.

Mężczyzna w brązowym garniturze – którego w pierwszej chwili uznałem za równie korpulentnego jak ja, ale teraz widziałem, że jest niski, za to umięśniony jak akrobata– sięgnął do kieszeni tweedowej marynarki i błyskawicznie wyciągnął krótki i wyraźnie ciężki kawał drewna, który wyglądał jak skrzyżowanie marynarskiej fajki z policyjną pałką. Broń miała tępą, solidną głowicę i robiła wrażenie pokrytej ołowiem albo czymś równie ciężkim.

Dwóch napastników skoczyło na mężczyznę. Nieznajomy w brązowym garniturze dwoma szybkimi ciosami połamał nadgarstek i żebra pierwszemu zbirowi, a potem przyłożył drugiemu w głowę, czemu towarzyszył odgłos, jakiego nigdy w życiu nie słyszałem. Najbardziej krzepki z napastników – zarośnięty dryblas o śmiercionośnym spojrzeniu, który jeszcze sekundę temu trzymał nóż przy moim gardle – wyciągnął przed siebie nóż z kciukiem przyciśniętym na płask do ostrza, zamarkował cios, obrócił się, zrobił unik i zaatakował mojego wybawcę, cały czas trzymając się nisko jak kot gotujący się do skoku i poruszając się jak tancerz; byłem przekonany, że doskonalił te ruchy w tysiącach walk

na noże w ciemnych zaułkach.

Mężczyzna w brązowym garniturze odskoczył do tyłu, kiedy ostrze napastnika opadło najpierw na prawo, a potem z powrotem w lewo, kreśląc straszliwe łuki, które by go wypatroszyły, gdyby nie jego zręczność. A potem – o wiele szybciej niż można to sobie było wyobrazić, widząc jego stateczną powierzchowność – skoczył do przodu i złamał napastnikowi prawe przedramię uderzeniem niedużej pałki, którą zaraz poderwał, ciosem od dołu złamał mu szczękę i (kiedy tamten padł) uderzył go po raz trzeci, tym razem w krocze, z takim rozmachem, że sam się skrzywiłem i krzyknąłem. Potem wyrżnął go po raz ostatni w potylicę i zbir padł najpierw na kolana, a potem wylądował twarzą w błocie.

Tylko pierwszy napastnik, ten z połamanymi żebrami i nadgarstkiem, nie stracił przytomności. Chwiejnym krokiem oddalał się w ciemność, w głąb zaułka.

Mężczyzna w brązowym garniturze pobiegł za nim, obrócił go, uderzył dwa razy w twarz krótką, ale śmiercionośną bronią, podciął go kopniakiem, a potem zadał ostatni, brutalny cios w głowę, gdy mężczyzna padł z jękiem. Potem już nie rozległy się żadne więcej jęki.

Drobny, muskularny mężczyzna w brązach odwrócił się do mnie.

Przyznaję, że cofnąłem się z podniesionymi rękami, ukazując błagalnie wnętrze dłoni swojemu niskiemu, śmiertelnie niebezpiecznemu wybawcy, który zbliżał się do mnie. Bardzo, ale to bardzo niewiele brakowało, bym zapaskudził sobie bieliznę. Jedynie niewiarygodne – rzekłbym wręcz niemożliwe – tempo walki, której byłem świadkiem, uniemożliwiło mi pełne i całkowite poddanie się strachowi i stosowną do tego reakcję.

Wiele razy pisałem o przemocy i bójkach, ale wszystkie wydarzenia opisywałem jak choreograficznie wyreżyserowane, a potem wykonane powoli i z rozmysłem. Rzeczywista przemoc, jakiej właśnie byłem świadkiem – z pewnością najstraszniejsza, jaką w życiu widziałem, i

najbardziej brutalna – rozegrała się w jakieś siedem, osiem sekund. Zdałem sobie sprawę, że istnieje niezwykle duża szansa, że zwymiotuję, jeśli chodząca zgroza w brązowym garniturze nie zabije mnie wcześniej. Trzymałem ręce w górze i spróbowałem się odezwać.

– Już dobrze, panie Collins – powiedział mężczyzna, chowając pałkę w kieszeni marynarki.

Zdecydowanym gestem złapał mnie za rękę i wyprowadził drogą, którą przyszedłem, na światło głównej ulicy. Jednokonne powozy i dorożki przejeżdżały, jakby nie wydarzyło się przed chwilą nic nadzwyczajnego.

– Kim… kim… pan jest? – wydukałem.

Jego uścisk był równie mocny, tak jak można sobie wyobrazić uścisk kowalskiego imadła.

– Barris, proszę pana. Do pańskich usług. Musimy odprowadzić pana z powrotem do hotelu.

– Barris? – Zawstydziłem się, słysząc drżenie w swoim łamiącym się głosie. Zawsze szczyciłem się tym, że potrafię zachować spokój w trudnych sytuacjach na morzu czy na lądzie (chociaż przyznaję, że w ciągu ostatnich miesięcy i lat w pewnej niewielkiej mierze zawdzięczałem ten spokój laudanum).

– Tak, proszę pana. Reginald Barris. Detektyw Reginald Barris. Dla przyjaciół Reggie, panie Collins.

– Jest pan z policji w Birmingham? – spytałem, kiedy skręciliśmy na wschód i ruszyliśmy szybkim krokiem, a on nadal trzymał mnie za rękę.

Barris się roześmiał.

– Och, nie, drogi panie. Pracuję dla inspektora Fielda. Przyjechałem z Londynu, przez Bristol, tak jak pan.

Dość często używa się w literaturze określenia „jak z waty” w odniesieniu do nóg. To banalny chwyt. Naprawdę mieć nogi jak z waty w takim stopniu, że trudno jest iść, to absurdalna sytuacja, zwłaszcza dla kogoś takiego jak ja, kto uwielbia żeglować i nie ma najmniejszego kłopotu ze spacerowaniem po kołyszącym się pokładzie na wzburzonym morzu w kanale La Manche.

Zdołałem wykrztusić:

– Nie powinniśmy wrócić? Ci trzej mężczyźni mogą być ranni.

Barris, o ile to było jego prawdziwe nazwisko, zarechotał.

– Och, zapewniam pana, że są ranni, panie Collins. Podejrzewam, że jeden nie żyje. Ale nie wrócimy tam. Niech tak leżą.

– Nie żyje? – powtórzyłem głupio. Nie mogłem w to uwierzyć. Nigdy w to nie uwierzę. – Musimy powiadomić policję.

– Policję? – powiedział Barris. – Och, nie, proszę pana. Nie sądzę. Inspektor Field wylałby mnie z roboty, gdybym dopuścił, by moje nazwisko i nazwa naszego Prywatnego Biura Śledczego pojawiły się w gazetach w Londynie i Birmingham. Możliwe, że zostałby pan zatrzymany w mieście na wiele dni, panie Collins. Wzywano by pana, by dożył pan zeznania i uczestniczył w niekończących się dochodzeniach i przesłuchaniach. I wszystko to z powodu trzech zbirów, którzy byli gotowi poderżnąć panu gardło i ukraść portfel? Proszę, niech pan to sobie wybije z głowy.

– Nie rozumiem – przyznałem, kiedy skręciliśmy na wschód w jeszcze szerszą ulicę. Rozpoznawałem teraz drogę powrotną do hotelu. Wzdłuż ruchliwego bulwaru zapalano lampy. – Czy Field przysłał pana… żeby pan nade mną czuwał? Chronił mnie?

– Tak, proszę pana – przytaknął Barris, puszczając wreszcie moją rękę. Poczułem, jak krew napływa do miejsc, gdzie żelazny uścisk odciął krążenie. – To znaczy, proszę pana, jest nas dwóch… którzy… ehm… towarzyszą panu i panu Dickensowi w czasie tego tournée. Na wypadek, gdyby pojawił się pan Drood. Albo jego sługi.

– Drood? – powiedziałem. – Sługi? Uważa pan, że ci trzej mężczyźni zostali przysłani przez Drooda, żeby mnie zabić?

Z jakiegoś powodu ta myśl sprawiła, że znowu poczułem poruszenie w trzewiach. Do tej pory cała ta bajka o Droodzie była sprytną, chociaż może nieco męczącą gierką.

– Oni? Nie, panie Collins. Jestem przekonany, że ci

szubrawcy nie mieli nic wspólnego z tym Droodem, na którego poluje inspektor. Nic a nic, może być pan tego pewien.

– Jak? – spytałem, kiedy hotel pojawił się w zasięgu wzroku. – Dlaczego?

Barris uśmiechnął się powściągliwie.

– Byli biali, panie Collins. Drood prawie nigdy nie posługuje się białymi ludźmi, chociaż słyszało się czasem o Niemcu albo Irlandczyku. Nie, on przysłałby Chińczyka, laskara, Hindusa albo nawet jakiegoś czarnucha prosto ze statku, gdyby chciał pana zabić tutaj albo w Bristolu. No dobrze, oto hotel pański i pana Dickensa, panie Collins. Jest tam jeden z moich kolegów i zadba o pana bezpieczeństwo, kiedy już wejdzie pan do środka. Ja zostanę tutaj i będę patrzył, dopóki nie dojdzie pan do drzwi.

– Kolega? – powtórzyłem.

Jednakże Barris zniknął już w cieniach zaułkach i uniósł rękę do czoła, jakby dawał sygnał miotaczowi w krykiecie.

Odwróciłem się i chwiejnym krokiem poszedłem do oświetlonych drzwi hotelu.

***

Nie zamierzałem oglądać występu Dickensa po tak straszliwym doświadczeniu, ale po ciepłej kąpieli i przynajmniej czterech filiżankach laudanum (opróżniłem piersiówkę i napełniłem ją ponownie z pieczołowicie zawiniętej butelki, którą miałem w bagażu) postanowiłem ubrać się stosownie na wieczór i pójść do teatru. W końcu z tego właśnie powodu zjawiłem się w Birmingham.

Wiedziałem od Willsa i Dolby’ego, że Dickens jest całkowicie nieprzystępny przez godzinę lub dwie przed wieczornym występem. Wraz ze swoim menedżerem udał się piechotą do teatru, a ja chwilę potem wezwałem dorożkę. Nie zamierzałem znowu iść sam ciemnymi ulicami Birmingham. (Jeśli detektyw Barris albo jego koledzy obserwowali mnie, to nie zauważyłem nikogo, kiedy

jednokonka podwiozła mnie pod boczne drzwi teatru).

Była za kwadrans ósma i publiczność właśnie się zjeżdżała. Stałem w głębi widowni i patrzyłem, jak zjawiają się specjaliści Dickensa od gazu i oświetlenia, oceniają konstrukcję ciemnych rur i zgaszonych lamp po obu stronach, a potem się wycofują. Chwilę potem człowiek od gazu pojawił się sam, poprawił coś przy zawieszonych lampach, schowanych za przykrytą bordowym materiałem tablicą, i znowu zniknął. Kilka minut później zjawił się po raz trzeci i włączył gaz. Efekt, jaki wywołało światło na ciemnym tle – przyćmione na razie, ale wyraźnie oświetlające pulpit do czytania – był porażający. O tej porze setki ludzi siedziały już na swoich miejscach i wszyscy ucichli i patrzyli z takim napięciem, że ich skupienie było niemal namacalne.

George Dolby wszedł wolnym krokiem na scenę, z ważną miną zerknął w górę na słabe oświetlenie, w dół na stolik, a potem na zbierającą się publiczność. Przesunął odrobinę karafkę z wodą na pulpicie, skinął głową, jakby był zadowolony z wagi i kluczowości tej poprawki, a potem powoli zniknął za wysokim ekranem, który ciągnął się od przesłoniętego kurtyną boku sceny do środkowej części z pulpitem. Kiedy przeszedłem bokiem podwyższenia za kulisy, a tuż po mnie wszedł tam Dolby, pomyślałem o najsłynniejszych didaskaliach Shakespeare'a z *Opowieści zimowej*: „Wychodzi ścigany przez niedźwiedzia".

W garderobie Dickens przywdział już strój wieczorowy. Cieszyłem się, że również zdecydowałem się włożyć strój wieczorowy, chociaż wszyscy, którzy mnie znali, wiedzieli, jak mało obchodzą mnie wieczorowe stroje albo stosowny wygląd. Jednakże tego wieczoru frak wydawał się stosowny… może wręcz nieodzowny.

– Ach, mój drogi Wilkie! – powiedział Pan Niezrównany, kiedy wszedłem. – Jakże to miłe z twojej strony, że bierzesz udział w wydarzeniach tego wieczoru.

Robił wrażenie całkowicie spokojnego, ale chyba zapomniał, że spędziłem cały dzień, podróżując razem z nim do Birmingham.

Na toaletce stał bukiet szkarłatnych pelargonii i teraz Dickens odciął jedną, żeby włożyć do butonierki, a potem odciął drugi kwiat i wpiął mi w klapę.

– Chodź – powiedział, kiedy poprawił złotą dewizkę i po raz ostatni sprawdził w lustrze guziki, brodę i wypomadowane loki. – Zerkniemy na naszych rodaków, mając nadzieję, że zaczynają się niecierpliwić.

Wyszliśmy na scenę, za zasłonę, gdzie nadal kręcił się Dolby. Dickens pokazał mi niewielką szczelinę w ekranie, przez którą – po odsunięciu na bok klapki z materiału – mogliśmy wyjrzeć na zebraną już w komplecie i nieco wiercącą się publiczność. Dickens pozwolił mi zerknąć. Sam czułem się podenerwowany i zastanawiałem się, mimo całego swojego aktorskiego doświadczenia, czy kiedykolwiek zdołałbym poprowadzić taki wieczór, nie ulegając nerwom, ale Dickens nie pokazał po sobie najmniejszego niepokoju. Podszedł do niego specjalista od gazu, Pan Niezrównany skinął głową, pochylił się bardziej do dziury w ekranie i – kiedy specjalista spokojnie wyszedł na scenę i dokonał ostatnich poprawek przy lampach – szepnął do mnie:

– To jest moja ulubiona część wieczoru, Wilkie.

Pochylił się tak mocno, że wyczuwałem zapach pomady na lokach na jego skroniach, kiedy obaj zerkaliśmy przez szparę. Nagle światła dramatycznie rozbłysły i jakieś dwa tysiące twarzy pojaśniało odbitym blaskiem. Z piersi widzów wyrwało się pełne wyczekiwania „Aaaach”.

– Lepiej zajmij swoje miejsce, przyjacielu – szepnął Dickens. – Poczekam jeszcze z minutę, żeby zaostrzyć ich zniecierpliwienie, a potem zaczniemy.

Już miałem odejść, kiedy przywołał mnie gestem. Przysuwając usta do mojego ucha, szepnął:

– Rozglądaj się za Droodem. Może być wszędzie.

Nie potrafiłem powiedzieć, czy mówi poważnie, więc skinąłem głową i odsunąłem się w ciemność, zszedłem ze sceny, znalazłem drogę do bocznych schodów, a potem przeszedłem pod prąd spóźnialskich w głąb widowni, znowu zszedłem w stronę sceny do zarezerwowanego dla mnie

miejsca przy przejściu, w odległości jakichś dwóch trzecich widowni od sceny. Poprosiłem wcześniej Willsa, żeby zarezerwował dla mnie to miejsce, bym mógł wymknąć się i dołączyć do Dickensa w garderobie w czasie przerwy po jakichś dziewięćdziesięciu minutach dwugodzinnego występu. Bordowy dywan na scenie, prosty stół, nawet karafka z wodą – oblane blaskiem jasnych świateł – sprawiały wrażenie nabrzmiałych potencjałem w ostatniej minucie przed pojawieniem się Dickensa.

Nagle wybuchły oklaski, kiedy szczupła postać podeszła do pulpitu. Oklaski narastały tak, że stały się ogłuszające, ale Dickens zupełnie je zignorował, nalewając sobie trochę wody z karafki. Czekał w milczeniu, aż brawa ucichną, tak jak człowiek mógłby czekać na przejazd powozów, by przejść przez ulicę. W końcu zapadła cisza, a Dickens… nie zrobił nic. Stał tylko i patrzył na publiczność, czasem obracając lekko głowę, jakby chciał wszystkich zobaczyć. Zupełnie jakby odwzajemniał spojrzenie każdego mężczyzny i każdej kobiety, jacy zjawili się tego wieczoru… A w sali musiało się stłoczyć ponad dwa tysiące osób.

Kilkoro pojedynczych spóźnialskich szukało swoich miejsc na końcu widowni i Dickens czekał z absolutnym i jednocześnie przerażającym spokojem, aż uda im się usiąść. A potem wydawało się, że przyszpila ich przez kilka sekund swoim zimnym, poważnym, bacznym, acz łagodnie pytającym wzrokiem.

Dopiero potem zaczął.

Kilka lat po Birmingham Dolby miał do mnie powiedzieć:

– Patrzenie, jak Szef czyta, w ostatnich latach nie przypominało uczestniczenia w zwykłym występie, to było raczej jak udział w spektaklu. W żadnej mierze nie chodziło tu o rozrywkę, a raczej o nawiedzenie.

Nawiedzenie. Tak, być może. Albo opętanie, jak w przypadków mediów tak modnych w moich czasach, Drogi Czytelniku, które podobno były opętane przez duchy wskazujące im drogę na Drugą Stronę. Jednakże nie tylko Charles Dickens robił wrażenie opętanego w czasie tych

występów: dołączała do niego cała publiczność. Widzisz zatem, Drogi Czytelniku, że naprawdę trudno było do niego nie dołączyć.

Smuci mnie, Drogi Czytelniku, że nikt w Twoim przyszłym pokoleniu nie usłyszy i nie zobaczy, jak Charles Dickens czyta. Za moich czasów eksperymentowano z zapisem głosów na różnych cylindrach, podobnie jak fotografowie zatrzymywali wizerunek osoby na płytkach fotograficznych. Jednakże to wszystko zaczęło się po śmierci Charlesa Dickensa. Nikt za Twoich czasów nie usłyszy tego cienkiego, leciutko sepleniącego głosu ani (jako że wedle mojej wiedzy żadna z jego przemów nigdy nie została uchwycona na dagerotypie czy innym urządzeniu fotograficznym, zresztą, ten rodzaj fotografii, jaki był dostępny za czasów Dickensa, działał zbyt wolno, żeby zarejestrować jakikolwiek, nawet najdrobniejszy ruch osoby, a Dickens był wiecznie w ruchu) nie zobaczy dziwnej przemiany, jaka ogarniała Pana Niezrównanego i jego publiczność w czasie tych występów. Jego spotkania autorskie były niepowtarzalne za naszych czasów i zaryzykuję stwierdzenie, że nigdy nikt mu nie dorówna ani nie zdoła go w dostatecznym stopniu naśladować w Twoich czasach, Drogi Czytelniku (o ile pisarze nadal piszą książki w przyszłości, którą zamieszkujesz).

Nawet w oślepiającym blasku jasnych lamp gazowych zdawało się, że opalizująca mgiełka otacza Charlesa Dickensa, kiedy czytał swoje najnowsze bożonarodzeniowe opowiadanie. Ta chmura była, jak przypuszczam, ektoplazmatyczną manifestacją wielu postaci, które Dickens stworzył i które teraz przywoływał – pojedynczo – by przed nami przemawiały i działały.

Kiedy te duchy w niego wchodziły, zmieniała się jego postawa. Podrywał się zaniepokojony, garbił się przygnębiony albo rozleniwiony – zgodnie z tym, co dyktował mu duch postaci. Twarz zmieniała się całkowicie i błyskawicznie – niektóre mięśnie twarzy, tak często używane przez Charlesa Dickensa, rozluźniały się, a inne zaczynały

pracować. Uśmiechy, spojrzenia, marsy i porozumiewawcze zerknięcia, nigdy nieużywane przez człowieka, który mieszkał w Gad’s Hill, przemykały po twarzy opętanego przez duchy naczynia, które stało przed nami. Jego głos zmieniał się z sekundy na sekundę, wydawało się, że nawet gwałtowne zmiany w Dickensowskich dialogach są zamieszkane przez dwa lub więcej demonów.

Na innych wieczorach autorskich słyszałem, jak jego głos zmieniał się natychmiastowo, od zachrypłego, zgrzytliwego, sepleniącego, nerwowego szeptu Fagina („Aha! Podoba mi się ten chłopak. Przydałby się nam. Już teraz potrafi krótko trzymać dziewuchę. Zachowuj się cicho jak mysz, to posłucham, co oni mówią, posłucham, co mówią”.[5]) po poważny tenor pana Dombeya, głupiutki, afektowany ton panny Squeers, a potem londyńską gwarę tak doskonałą, że żaden ówczesny aktor na angielskiej scenie nie mógłby z nim rywalizować.

Jednakże tego wieczoru wciągnęło nas coś więcej niż głos i język. Wszystko w Dickensie się zmieniało w jednej chwili, kiedy przechodził od postaci do postaci (albo raczej w chwili, kiedy jedna postać opuszczała jego ciało, a druga w nie wchodziła). Kiedy stał się Żydem Faginem, jego zawsze wyprostowana, niemalże wojownicza sylwetka topniała, przechodząc w przygarbioną posturę tego złego człowieka. Czoło pisarza było jakby wyższe i się wydłużało, brwi stawały się bardziej krzaczaste, a oczy cofały się, zamieniając się w dwie ciemne studnie, które, wydawało się, że błyszczą niezależnie od jasnego gazowego światła. Dłonie Dickensa, tak opanowane i spokojne, kiedy czytał opisy, zaczynały drżeć, chwytać się jedna drugiej, pocierać się nerwowo, dygotać, głodne pieniędzy, i próbowały schować się w rękawach, kiedy należały do Fagina. Czytając, Dickens przechodził kilka kroków w bok od przygotowanego specjalnie dla siebie pulpitu, potem kilka kroków w drugą stronę i chociaż jego ruchy były gładkie i pewne, kiedy to on stał na scenie, stawały się gibkie, podejrzane i niemal wężowe, kiedy opętywał go duch Fagina.

– Te postaci i zmiany są równie prawdziwe dla mnie, jaki dla publiczności – powiedział mi Dickens, zanim jeszcze zaczęło się to tournée. – Tak prawdziwe są dla mnie moje powieści, że nie przypominam ich sobie, ale widzę je ponownie, jak rozgrywają się przed moimi oczami, bo dla mnie to wszystko dzieje się naprawdę. I publiczność dostrzega tę rzeczywistość.

Tego wieczoru z pewnością i ja ją dostrzegałem. Niezależnie od tego, czy wynikało to z braku tlenu pożeranego przez płomienie gazowe, czy z powodu dosłownie hipnotycznych właściwości twarzy i dłoni Dickensa, tak jasno oświetlonych na ciemnym, bordowym tle dzięki specyficznemu oświetleniu, cały czas czułem na sobie wzrok pisarza – nawet kiedy te oczy należały do jego postaci – i razem z resztą publiczności wpadłem w swojego rodzaju trans.

Kiedy Dickens znowu był sobą, czytając narrację i opisy zamiast zamieszkanych przez postaci dialogów, słyszałem niesłabnącą pewność w jego głosie, wyczuwałem radość widoczną w błysku jego oka i dostrzegałem źdźbło agresji (byłem pewien, że dla większości tłumu zamaskowane jako zwykła pewność siebie) wynikające ze świadomości, że potrafi zahipnotyzować tylu ludzi na tak długo.

Potem bożonarodzeniowa opowieść i fragment *Oliwera Twista* skończyły się, dłuższa, dziewięćdziesięciominutowa część wieczoru dobiegła końca i nadeszła przerwa w występie. Dickens odwrócił się i zszedł z podwyższenia, robiąc wrażenie nieświadomego szaleńczego aplauzu ze strony publiki, tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy wszedł na scenę.

Pokręciłem głową, jakbym obudził się ze snu, i poszedłem za kulisy.

Dickens leżał wyciągnięty na kanapie i sprawiał wrażenie zbyt wyczerpanego, żeby wstać albo chociaż się ruszyć. Dolby wpadł do garderoby i wypadł, nadzorując kelnera, który przyniósł kieliszek schłodzonego szampana i talerz z tuzinem ostryg. Dickens ruszył się, żeby napić się szampana i

wyssać z muszli ostrygi.

– To jedyna rzecz, jaką Szef może przełknąć wieczorem – szepnął do mnie Dolby.

Słysząc szept, Dickens podniósł wzrok i powiedział:

– Mój drogi Wilkie… Jak cudownie, że zajrzałeś do mnie w czasie przerwy. Dobrze się bawiłeś podczas pierwszej części wieczoru?

– Owszem – powiedziałem. – To było… nadzwyczajne… jak zawsze.

– Chyba ci wspomniałem, że wyrzucimy fragmenty *Doktora Marigolda,* jeśli jesienią albo zimą przyjmę kolejną tego typu propozycję – powiedział Dickens.

– Ale publiczność go uwielbia.

Dickens wzruszył ramionami.

– Nie tak bardzo jak uwielbia Dombeya, Scrooge’a albo Nickleby ego, którego będę czytać za kilka minut.

Byłem pewien, że w trzydziestu minutach po przerwie program zapowiadał scenę rozprawy z *Klubu Pickwicka* (Dickens zawsze wolał zakończyć wieczór czymś sentymentalnym i pobudzającym do śmiechu), ale nie zamierzałem go poprawiać.

Dziesięć minut prawie upłynęło. Dickens wstał z pewnym wysiłkiem, wyrzucił zwiędłą od gorąca pelargonię do kosza i włożył nową do butonierki.

– Zobaczymy się po występie – powiedziałem i wróciłem, by dołączyć do podekscytowanych rzesz.

***

Kiedy oklaski ucichły, Dickens podniósł książkę i zaczął udawać, że czyta na głos:

– Nicholas Nickleby w szkole pana Squeersa… Rozdział pierwszy.

Zatem to będzie *Nickleby.*

Nie było nawet śladu po wyczerpaniu, które dostrzegłem za kulisami. Dickens robił wrażenie równie energicznego i ożywionego, jak w czasie pierwszych dziewięćdziesięciu

minut. Potęga jego czytania ponownie owładnęła publicznością niczym prąd magnetyczny, by ukierunkować i przykuć uwagę widzów, jakby ich oczy i umysły były wieloma igłami jednego kompasu. Po raz kolejny wzrok Pana Niezrównanego spoczywał na każdym z nas bez wyjątku.

Mimo tego potężnego magnetycznego przyciągania powędrowałem gdzieś myślami. Zacząłem zastanawiać się nad innymi rzeczami – wydanie mojej powieści *Siła przeznaczenia* w dwóch tomach w ciągu tygodnia miało stać się faktem – i dotarło do mnie, że muszę ustalić fabułę i motyw do swojej następnej książki. Może coś krótszego i jeszcze bardziej sensacyjnego, choć możliwe, że z prostszą fabułą niż zawikłana *Siła przeznaczenia…*

Nagle coś przyciągnęło moją uwagę.

Wszystko się zmieniło w ogromnej sali. Światło sprawiało wrażenie gęstszego, wolniejszego, mroczniejszego, niemal galaretowatego.

Zapadła cisza. Nie pełna skupienia cisza dwóch tysięcy ludzi, która panowała wcześniej, ze stłumionym kaszlem, śmiechem przerywającym milczenie, wierceniem się wielu osób po prawie dwóch godzinach słuchania – teraz zapadła cisza absolutna. Zupełnie jakby dwadzieścia jeden setek ludzi nagle umarło. Nie było słychać najmniejszego oddechu ani poruszenia. Zdałem sobie sprawę, że nie słyszę ani nie czuję własnego oddechu, nie wyczuwam własnego bicia serca. Sala w Birmingham zamieniła się w olbrzymi grobowiec i panowała w niej taka właśnie grobowa cisza.

W tym samym momencie zdałem sobie sprawę, że wśród ciemności wznoszą się setki cieniutkich, białych, ledwie widocznych sznurków, których końce przywiązano do środkowego palca prawej dłoni każdego widza. Powietrze było tak ciemne, że nie mogłem dostrzec miejsca, w którym te dwa tysiące sto sznurków się zbiegało, ale wiedziałem, że muszą być połączone z potężnym dzwonem wiszącym w górze. Wszyscy, co do jednego, znajdowaliśmy się w Trupiarni. Linki (jedwabne sznury, jak sobie uświadomiłem) przywiązano nam na wypadek, gdyby ktoś z nas nadal był

żywy. Usłyszeć dzwon, którego ton i bicie zgadywałem instynktownie, to będzie zbyt straszne; był tam, by zaalarmować – kogoś, coś – gdyby ktoś z nas się poruszył.

Wiedząc, że ja, i tylko ja, nadal żyję pośród tych dwóch tysięcy stu osób, starałem się nie drgnąć, skupić całą uwagę, by nie pociągnąć za sznur przywiązany do środkowego palca mojej prawej dłoni.

Podniosłem wzrok i zdałem sobie sprawę, że to już nie twarz, ręce i palce Charlesa Dickensa jaśnieją w gęstym, leniwym świetle gazowych lamp wśród ciemności na scenie.

To Drood na nas patrzył.

Natychmiast rozpoznałem tę bladą, białą skórę, szorstkie kępki włosów za zmasakrowanymi uszami, pozbawione powiek oczy, nos, z którego zostały ledwie dwie rozedrgane błony zakrywające dziurę w czaszce, długie, drgające nerwowo palce i blade, nieustannie poruszające się źrenice.

Ręce mi zadrżały. Setki stóp nad głowami wszystkich trupów na widowni zawibrował dzwon.

Drood gwałtownie obrócił głowę. Spojrzenie jego bladych oczu zatrzymało się na mnie.

Zacząłem się cały trząść. Dzwon zadudnił, a potem głośno rozbrzmiał. Żaden inny trup nie odetchnął ani się nie poruszył.

Drood wyszedł zza pulpitu do czytania, a potem z prostokąta nabrzmiałego światła. Zeskoczył ze sceny i zaczął sunąć przejściem na widowni. Moje ręce i nogi trzęsły się teraz jak w febrze, ale nie mogłem poruszyć żadną inną częścią ciała, nawet głową.

Czułem zapach Drooda, kiedy się zbliżał. Cuchnął Tamizą w pobliżu Tiger Bay, gdzie palarnia Opiumowej Sal gniła wśród wyziewów, gdy poziom wody opadał wraz z odpływem, a poziom ścieków się podnosił.

Trzymał coś w ręce. Zanim znalazł się dwadzieścia kroków ode mnie w stromym przejściu między fotelami, widziałem, że to nóż, ale niepodobny do żadnego noża, jaki kiedykolwiek trzymałem w ręce, widziałem czy jakiego używałem. Ostrze było ciemnym sierpem stali z widocznymi hieroglifami.

Cienka rękojeść ostrego jak brzytwa sierpowatego noża znikała pod bladymi i kościstymi palcami Egipcjanina i tylko zakrzywiona łukowato klinga, mająca co najmniej osiem cali szerokości i słabo połyskująca w świetle, wystawała z jego pięści niczym wachlarz.

„Uciekaj!” – rozkazywałem sobie. „Uciekaj biegiem! Krzycz!”.

Nie mogłem poruszyć nawet jednym mięśniem.

Drood przystanął nade mną na samym skraju mojego pola widzenia, a kiedy otworzył usta, ogarnął mnie smród miazmatów buchających z mułu Tamizy. Widziałem jego bladoróżowy język tańczący za drobnymi zębami.

– Widziszszsz – syknął, biorąc zamach prawą ręką, by ściąć mi głowę – jakie to prossste?

Ciął, zakreślając klingą płaski, śmiercionośny łuk. Ostry jak brzytwa brzeg sierpowatego ostrza przeciął mi brodę, fular, kołnierzyk, skórę, gardło, tchawicę, przełyk i kręgosłup jakby były z masła.

Publiczność zaczęła klaskać jak szalona. Gęste jak galareta powietrze znowu stało się normalne. Jedwabne sznury zniknęły.

Dickens odwrócił się, by zejść ze sceny, nie zwracając uwagi na aplauz, ale George Dolby stał przy brzegu kurtyny. Chwilę potem, kiedy oklaski rozbrzmiewały jeszcze echem, Dickens stanął ponownie w blasku gazowych lamp.

– Moi drodzy przyjaciele – powiedział, a potem uniósł ręce, by uciszyć ogromną salę. – Zdaje się, że zaszła pomyłka. A właściwie zdaje się, że to ja popełniłem błąd. Z naszego programu wynikało, że po przerwie miała być scena rozprawy z *Klubu Pickwicka,* a ja przez omyłkę zabrałem na podwyższenie *Nickleby’ego* i zacząłem go czytać. Okazaliście się nadzwyczaj wyrozumiali, godząc się z tą omyłkę, i więcej niż hojni w brawach. Godzina jest późna, widzę na swoim zegarku, że już dziesiąta, pora, na którą przewidziano koniec naszego wspólnego wieczoru, ale obiecaliśmy rozprawę i jeśli większość z was, a możecie dać temu wyraz brawami, pragnie wysłuchać rozprawy, z radością dodam ją do tego

nieprzewidzianego fragmentu, którego właśnie wysłuchaliście.

Publiczność oczywiście pragnęła. Klaskała, wiwatowała i wykrzykiwała słowa zachęty. Nikt nie wyszedł.

– Przywołajcie Samuela Wellera! – huknął Dickens sędziowskim głosem.

Tłum ryknął i zaklaskał jeszcze głośniej. Kiedy pojawiała się każda z postaci – pani Gamp, panna Squeers, garson – publiczność szalała coraz głośniej. Przyłożyłem rękę do skroni i zauważyłem, że czoło mam zimne i zlane potem. Podczas gdy Dickens czytał, ja chwiejnym krokiem wyszedłem.

Sam wróciłem do hotelu i wypiłem kolejną filiżankę laudanum, czekając na powrót Pana Niezrównanego i jego świty. Serce biło mi jak szalone. Umierałem z głodu, byłem roztrzęsiony i z radością powitałbym duży posiłek w zaciszu własnego pokoju, ale, mimo że Dickens nie zamierzał już nic więcej jeść tego wieczoru, zaprosił Willsa, Dolby'ego i mnie, żebyśmy zjedli kolację w jego apartamencie, kiedy on będzie się odprężał. Podczas kolacji krążył po pokoju i mówił o następnych kilku dniach tournée i o propozycji, jaką otrzymał na kolejną trasę w okolicach Bożego Narodzenia.

Zamówiłem bażanta, rybę, kawior, pasztet, szparagi, jajka i wytrawnego szampana, ale zanim kelner wszedł z tym wszystkim, z maleńkim posiłkiem Willsa oraz wołowiną i baraniną dla Dolby'ego, Dickens odwrócił się od kominka, przy którym stał, i odezwał się do mnie:

– Mój drogi Wilkie! Na miłość boską, co ty masz na kołnierzu?

– Co takiego? – Przyznaję, że się zarumieniłem. Pośpiesznie się obmyłem przed wypiciem laudanum i przyjściem do apartamentu Dickensa. – Co?

Moje ręce uniosły się do zarośniętego podbródka i dotknęły czegoś grubego i tworzącego skorupę nad jedwabnym fularem.

– Proszę odsunąć ręce – powiedział Wills. Przysunął lampę.

– Dobry Boże – mruknął Dolby.

– Wielkie nieba, Wilkie – powiedział Dickens głosem, który robił wrażenie bardziej rozbawionego niż zaniepokojonego. – Na całym kołnierzu i na szyi masz zaschniętą krew. Wyglądasz jak Nancy po tym, jak Bill Sikes z nią skończył.

Rozdział 16

Lato 1866 roku było męczące.

Moją *Siłę przeznaczenia* wydano zgodnie z planem w czerwcu i recenzje były w znaczniej mierze takie, jakich się spodziewałem ze strony skostniałych i dokuczliwych krytyków. W Athenaeum tamtejszy stary jak świat krytyk muzyczny i recenzent H.F. Chorley wyraził następującą opinię:

– Nie jest miło wyrazić się tak jak musimy o tej przejmującej powieści, ale przez wzgląd na wszystko, co hołubimy w życiu, poezji i w sztuce, nie sposób nazbyt wyraźnie wyrazić swoje zdanie.

Jego zdaniem książka była niemoralna.

Recenzent z „The Spectator” doszedł do tych samych wniosków w słowach, które porzucały zwykłą wojowniczość na rzecz bez mała histerii:

> *Fakt, że istnieją takie postaci, jakie nakreślił, i działania, jakie opisał, nie usprawiedliwia tego, że przekroczył granice przyzwoitości, wstrząsając wszystkimi ludzkimi odczuciami. A tak właśnie działa* Siła przeznaczenia. *Ukazuje nam jako bohaterkę kobietę plugawszą od odpadków na ulicach, która dożyła dojrzałego wieku lat trzydziestu pięciu, przechodząc poprzez zgrozę fałszerstwa, morderstwa, kradzieży, bigamii, więzienia i próby samobójczej, które nie odcisnęły najmniejszego śladu na jej urodzie… To wszystko szczerze opisano w dzienniku, który, gdyby nie jego brak realizmu, byłby zwyczajnie obmierzły i który tylko dzięki lekkiemu stylowi i aluzyjnej błyskotliwości pana Wilkiego Collinsa ukrywa swoje prawdziwe znaczenie.*

Tego rodzaju ataki krytyków nic dla mnie nie znaczyły. Wiedziałem, że książka dobrze się sprzeda. Być może wspomniałem Ci, Drogi Czytelniku, że wydawca zapłacił mi

pięć tysięcy funtów – rekord w owym czasie i przez wiele następnych lat – i wypłacił mi je, zanim zapisano choćby jedno słowo tej historii. Wydałem powieść w odcinkach w Ameryce, w tamtejszym piśmie zatytułowanym „Harper's Monthly" i nie dość, że *Siła przeznaczenia* zdobyła tam ogromną popularność, to jeszcze wydawca napisał mi, że moja opowieść sama jedna uratowała ich pismo od upadku. Wydanie w odcinkach w Anglii w „The Cornhill Magazine" także było szaleńczo popularne i z pewnością stało się po części przyczyną zazdrości, jaką usłyszeliśmy w słowach Dickensa w czasie minionego Bożego Narodzenia. Byłem przekonany, że mógłbym przerobić *Siłę przeznaczenia* na dramat i że mogłoby to być jeszcze większe źródło dochodów niż sama powieść.

To prawda, że ogromna suma wypłacona z góry przez George'a Smitha ze Smith, Elder & Company doprowadziła wydawcę do bankructwa mimo błyskawicznej sprzedaży dwóch tomów, ale mnie to specjalnie nie martwiło. Frustrowało mnie tylko nieco, ponieważ z następną powieścią – o czymkolwiek będzie traktowała – niemal na pewno będę musiał wrócić do redagowanego przez Dickensa „All the Year Round", tak jak on sam to przewidział przy świątecznej kolacji. Frustracja nie wynikała jedynie z tego, że suma wypłacona z góry będzie niższa (Dickens, John Forster i Wills byli skąpi, gdy chodziło o płacenie innym pisarzom niż Pan Niezrównany), ale raczej z faktu, że Dickens znowu będzie moim redaktorem.

Mimo to, zachowałem pogodne przekonanie, że współczesne mi wrogie recenzje nic nie znaczą. Krytycy i mieszczańscy recenzenci zwyczajnie nie byli gotowi na bohaterkę *Siły przeznaczenia*, moją femme fatale Lydię Gwilt. Lydia nie tylko dominowała w książce tak, jak jeszcze żadna literacka bohaterka w moich czasach, ale ponadto wyróżniała się na stronicach w sposób, w jaki żadna kobieta nigdy nie wybije się w twórczości Dickensa. Pełny, trójwymiarowy portret tej kobiety, bezwzględnej intrygantki, jaką mogła się wydać Lydia Gwilt nieuważnemu czytelnikowi

lub durnemu recenzentowi, był prawdziwym majstersztykiem.

A skoro już mowa o kobietach, które bywają bezwzględne, Caroline G. wybrała sobie właśnie to gorące lato, by ganić mnie z rozlicznych powodów.

– Dlaczego nie rozważysz możliwości małżeństwa, Wilkie? Przedstawiasz mnie jako żonę, bez mała, swoim przyjaciołom, którzy nas odwiedzają. Jestem twoją panią domu, korektorką, gospodynią i kochanką. Każdy, kto cię zna, wie, że żyjemy jak mąż i żona. Już dawno temu powinniśmy ziścić to, jak jesteśmy postrzegani.

A ja odrzekłem:

– Jeśli znasz mnie chociaż trochę, moja droga Caroline, musisz wiedzieć, że mam w nosie to, jak jestem postrzegany i co inni sobie myślą.

– Za to ja wręcz przeciwnie! – wykrzyknęła kobieta, z którą spędziłem ostatnie dziesięć lat. – A Harriet ma już piętnaście lat. Ona potrzebuje ojca.

– Miała ojca – odparłem spokojnie. – Umarł.

– Kiedy miała roczek! – krzyknęła Caroline. Miałem wrażenie, że chwiejnie balansuje na granicy między gniewem i łzami, rozumem i histerią, na której kobiety tak często lądują. Albo celowo tam się kierują. – Staje się młodą kobietą. Niedługo wejdzie do towarzystwa. Potrzebuje twojego nazwiska.

– Nonsens. – Zaśmiałem się. – Ma zupełnie dobre nazwisko i zupełnie dobry dom. Zawsze może liczyć na moje wsparcie i naszą miłość. Czego jeszcze może pragnąć inteligentna młoda kobieta?

– Obiecałeś, że w tym albo przyszłym roku kupimy albo przynajmniej wynajmiemy ładniejszy dom przy Gloucester Place – labiedziła Caroline.

Nie cierpię i gardzę kobietami, które labiedzą. Wszyscy mężczyźni, Drogi Czytelniku, czują nienawiść i pogardę, kiedy kobiety labiedzą. Zawsze tak było. Jedyna różnica w męskiej reakcji na labiedzenie polega na tym, że bardzo nieliczni, w tym ja, odmawiają poddania się temu

dźwiękowemu i emocjonalnemu szantażowi.

Zerknąłem na nią znad okularów.

– Powiedziałem, że prędzej czy później będziemy mieli ten dom, moja myszko. Zatem będziemy go mieli.

– Ale jak? – dopytywała się Caroline. – Rozmawiałam z panią Shernwold, kiedy ty dobrze się bawiłeś z Dickensem w Birmingham. Mówi, że rozważyłaby wynajęcie lub sprzedaż numeru dziewięćdziesiątego przy Gloucester Place, gdyby nie to, że jej nieżonaty syn wraca z Afryki za mniej więcej rok i obiecała dom jemu.

– Zaufaj mi w tej kwestii, Caroline, moja droga – odparłem. – Obiecałem ci, że pewnego dnia będziesz miała ten dom, więc ty i Harriet będziecie go miały. Czy kiedykolwiek cię zawiodłem, pączuszku?

Spiorunowała mnie wzrokiem. Caroline G. była przystojną kobietą – niektórzy by rzekli, że piękną – mimo zaawansowanego wieku (chociaż nigdy nie zdradziłaby mi, ile ma lat, inspektor Field powiedział mi, że najprawdopodobniej urodziła się trzydzieści sześć lat wcześniej, w 1830), ale nie była ani przystojna, ani piękna, kiedy piorunowała wzrokiem. Mimo romantycznych banialuk świadczących o czymś wręcz przeciwnym, zaufaj mi, Drogi Czytelniku, żadna kobieta nie może być atrakcyjna, kiedy labiedzi i piorunuje wzrokiem.

– Zawiodłeś mnie, nie żeniąc się ze mną i nie dając Harriet prawdziwego ojca! – wrzasnęła. – Nie myśl sobie, że nie jestem w stanie znaleźć i poślubić innego mężczyzny, Wilkie Collinsie. Nie myśl tak nawet przez sekundę!

– Nie myślę tak nawet przez sekundę, pączuszku – odrzekłem i wróciłem do czytania gazety.

***

Charles Dickens, mimo trwających dolegliwości i narastającego lęku towarzyszącego podróżom kolejowym, sprawiał wrażenie, jakby spędził spokojne lato. Słyszałem, jak Wills mówił Forsterowi w redakcji „All the Year Round”,

że całkowite wpływy z wiosennego tournée przyniosły pisarzowi cztery tysiące sześćset siedemdziesiąt dwa funty. Chappellowie (których Dickens opisał mi raz słowami „spekulanci, Wilkie, najprawdziwsi spekulanci, chociaż, rzecz jasna, najszlachetniejszego i najuczciwszego rodzaju") byli tak zachwyceni swoim udziałem w zyskach, że ledwie w dniu dwunastym czerwca Dickens zakończył ostatni wieczór literacki w Londynie i wrócił do Gad's Hill, by „odpocząć i posłuchać śpiewu ptaków", gdy zaproponowali mu kolejne tournée, zaplanowane na nadchodzącą zimę i obejmujące pięćdziesiąt wieczorów. Wills powiedział Forsterowi, że Dickens rozważał, czy nie zażądać siedemdziesięciu funtów za wieczór – był przekonany, że sprzedaż biletów pokryje takie koszty – ale zamiast tego zaproponował Chappellom czterdzieści dwa wieczory za dwa i pół tysiąca funtów. Natychmiast się zgodzili.

Dni w Gad's Hill w czerwcu i lipcu były pracowite z racji gości, lokalnych jarmarków (na których Dickens we wszystkim był sędzią, począwszy od konkursów na ciasto, skończywszy na meczach krykieta) i – rzecz jasna – z powodu kolejnych interesów. Pan Niezrównany nie pisał w tej chwili żadnej nowej powieści, ale zaczął pracę nad planowanym nowym wydaniem swoich dotychczasowych książek – tak zwanymi *Dziełami zebranymi Charlesa Dickensa*, które zawierałyby wszystkie jego powieści, złożone na nowo, wychodzące raz w miesiącu i dostępne w cenie trzech szylingów i sześciu pensów. Oczywiście nie mógł zostawić tego przedsięwzięcia samemu sobie, więc w prospekcie zaproponował, że napisze nowy wstęp do każdego tomu.

Jak się okazało, było to nie tylko najpopularniejsze z rozlicznych wydań dzieł Dickensa, ale i – dla niego samego – ostatnie.

Tego lata często widywałem Dickensa, zarówno w Gad's Hill (gdzie miało się wrażenie, że nigdy nie bawi mniej niż pół tuzina gości), jak i w Londynie (przychodził do redakcji „All the Year Round" przynajmniej dwa razy w tygodniu i często spotykaliśmy się na obiedzie lub kolacji). Oprócz tego,

że już planował następne bożonarodzeniowe opowiadanie dla naszego pisma, próbował nowy materiał do zimowego tournée i pisał wstępy do nowych wydań, powiedział mi, że ma kilka pomysłów na nową powieść, którą miał nadzieję wydać w odcinkach wiosną 1867 roku. Zapytał mnie, nad czym pracuję.

– Mam kilka pomysłów – powiedziałem. – Jeden, może dwa wątki i kilka perełek, które można by na nie nanizać.

– Coś, co moglibyśmy wydać w odcinkach?

– Najpewniej. Myślałem o opowieści o detektywie.

– Takim ze Scotland Yardu?

– Albo takim, który pracuje w prywatnym biurze śledczym.

– Aha – powiedział Dickens z uśmiechem. – Coś na kształt dalszych przygód inspektora Bucketa.

Pokręciłem głową.

– Pomyślałem, że nazwisko Cuff mogłoby się sprawdzić. Sierżant Cuff.

Dickens uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Sierżant Cuff. Bardzo dobrze, mój drogi Wilkie. Naprawdę dobrze.

***

Poleciłem chłopcu czekającemu na rogu, żeby powiedział inspektorowi, że powinniśmy się spotkać. Czas i miejsce zostały już wcześniej ustalone i następnego dnia o drugiej po południu na Waterloo Bridge zobaczyłem niską, przysadzistą postać śpieszącą w moim kierunku.

– Witam, panie Collins.

– Witam, inspektorze. – Skinąłem głową w stronę cieni pod mostem. – „Nieumeblowany apartament na parę tygodni”.

– Słucham pana?

– Sam Weller do Pickwicka.

– Ach, tak, panie Collins. Pan Dickens zawsze podziwiał ten most. Pomogłem mu przy pracy nad *Odpływem,* przedstawiając mu parę lat temu człowieka pobierającego tu nocą myto. Podobno literat był bardzo zainteresowany

samobójstwami i ciałami unoszącymi się na wodzie w czasie pływów.

– Trzynaście – powiedziałem.

– Słucham pana?

– Trzynaście lat temu – wyjaśniłem. – Dickens opublikował *Odpływ* w „Household Words” w lutym tysiąc osiemset pięćdziesiątego trzeciego roku. Ja redagowałem tekst.

– Ach, oczywiście – powiedział inspektor Field. Potarł podbródek kciukiem. – Czy istnieje powód, dla którego zasugerował pan, że powinniśmy się spotkać, panie Collins? Jakieś nowiny?

– Raczej brak nowin – odparłem. – Nie zareagował pan na napisany przeze mnie raport ani na zapytanie.

– Proszę o wybaczenie – odpowiedział inspektor, ale nie było przepraszającego tonu w jego chropawym głosie. – Bardzo dużo się działo, panie Collins. Naprawdę dużo. Bardzo jestem panu wdzięczny za raport na temat wieczorów literackich pana Dickensa w Birmingham, chociaż nie zjawił się tam nasz przyjaciel Drood. Czy jest jakieś konkretne zapytanie, na które mógłbym odpowiedzieć?

– Mógłby pan mi powiedzieć, czy któryś z tych trzech mężczyzn zginął.

– Trzech mężczyzn? – Rumiana, spierzchnięta i mocno poznaczona żyłkami twarz inspektora stanowiła ucieleśnienie niewinnej niewiedzy.

– Trzech mężczyzn w zaułku, inspektorze. Trzech mężczyzn, którzy mnie zaatakowali i których ogłuszył pałką pański detektyw Reginald, dla przyjaciół Reggae, Barris. Barris powiedział, że jeden z nich lub więcej mogło umrzeć od ciosów. Wróciłem do zaułka następnego ranka przed wyjazdem z Birmingham, ale nie został po nich żaden ślad.

Inspektor Field uśmiechał się teraz i kiwał głową, dotykając wskazującym palcem boku nosa.

– A tak, tak, oczywiście. Barris rzeczywiście złożył mi raport na temat incydentu w zaułku. Jestem pewien, że żaden z tych zbirów nie skończył z niczym poważniejszym niż ból głowy i zraniona złodziejska duma, panie Collins. Musi

pan wybaczyć Barrisowi. Ma skłonność do dramatyzowania. Czasem myślę, że wolałby karierę na scenie od profesji prywatnego detektywa.

– Dlaczego pan kazał mu mnie śledzić, inspektorze? Myślałem, że chodziło o obserwowanie Charlesa Dickensa, w nadziei że Drood może się z nim skontaktować… a nie o śledzenie mojej osoby.

Krzaczaste brwi Fielda uniosły się w stronę pozostałości włosów na czaszce.

– Z pewnością detektyw Barris musiał to panu wyjaśnić. Obawiamy się, że Drood może podjąć próbę zamachu na pańskie życie.

– Barris powiedział, że ci trzej mężczyźni w zaułku to najpewniej byli zwykli złodzieje.

– A owszem – zgodził się inspektor Field i znowu pokiwał głową. – Skoro byli biali i w ogóle, niemal na pewno tak właśnie było. Jednak musi pan przyznać, że szczęśliwie się złożyło, że Barris tam był. Mógł pan zostać poważnie raniony, panie Collins i z pewnością zostałby pan okradziony.

Przespacerowaliśmy się po moście już dwa razy i tym razem kontynuowaliśmy spacer na północ, w kierunku Strandu. Gdzieś na zachód nad rzeką znajdowała się fabryka czernidła Warrena, gdzie – jak powiedziała mi kiedyś Katey Dickens – jej ojciec został wysłany jako dziecko do pracy. Wspomniał jej o tym niemal żartem, ale Katey zwierzyła mi się, że to mógł być najokropniejszy i mający największy wpływ na jego życie epizod.

– Wiem, gdzie jest pański Drood, inspektorze – powiedziałem, kiedy skręciliśmy w prawo na Strandzie w stronę Somerset House i Drury Lane.

Field przystanął.

– Naprawdę, panie Collins?

– Owszem. – Pozwoliłem, żeby milczenie wypełniło powietrze mimo huku i ryku mijającego nas ruchu ulicznego. – To Dickens jest Droodem – powiedziałem wreszcie.

– Że co, proszę? – zapytał Field.

– Dickens jest Droodem – powtórzyłem. – Nie ma żadnego

Drooda.

– To jest wysoce nieprawdopodobne, panie Collins.

Uśmiechnąłem się niemal protekcjonalnie.

– Wspomniałem już wcześniej, że Drood wydaje się wytworem pisarskiej wyobraźni, inspektorze. Teraz wiem, że ta zjawa to nic ponadto. Dickens stworzył Drooda dla własnych celów.

– A jakie miałyby to być cele, panie Collins?

– Władza – odparłem. – Szelmowskie poczucie władzy nad innymi. Przez wiele lat, jak panu mówiłem, Dickens bawił się mesmeryzmem magnetycznym i hipnozą. Teraz wymyśla mistrza mesmeryzmu jako swoiste alter ego.

Znowu ruszyliśmy na wschód. Inspektor Field stukał teraz ciężką laską o bruk.

– Trudno, żeby wymyślił Drooda, panie Collins, zważywszy, że ścigam tego zbira od… w sierpniu będzie dwadzieścia lat.

– Czy kiedykolwiek go pan widział, inspektorze? Mam na myśli Drooda.

– Czy go widziałem? – powtórzył starszy mężczyzna. – Ależ skąd, panie Collins. Jak mniemam, wspomniałem, że nigdy osobiście nie ujrzałem tego mordercy. Jednakże aresztowałem kilku jego podwładnych i bez wątpienia widziałem efekty jego pracy. Ponad trzysta morderstw w ciągu tych dwudziestu lat, z których makabryczna śmierć lorda Lucana w tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym roku nie była bynajmniej najstraszniejsza. Sam powtórzył mi pan historię, którą Drood opowiedział Dickensowi, a tożsamość lorda Lucana, który wedle krążących od dawna plotek miał syna w Egipcie, pasuje doskonale.

– Nazbyt doskonale – zauważyłem przebiegle.

– Słucham?

– Pan może być detektywem, inspektorze Field, ale nigdy nie wymyślał pan i nie pisał historii zawierającej zadanie detektywistyczne. A ja owszem.

Inspektor Field nadal szedł i stukał laską, ale teraz patrzył na mnie i słuchał.

– Z pewnością od około dwóch dekad istnieje legenda o

egipskim mordercy imieniem Drood – wyjaśniłem. – Zagadkowym mordercy z okolic portu. Widmowy orientalny hipnotyzer, wysyłający swoich podwładnych, by napadali i zabijali. Nieprawdziwy mieszkaniec jakże prawdziwego Podmiasta. Jednak on jest tylko legendą, którego historia ma w sobie tyle samo prawdy, co twierdzenia o jego cielesności. Charles Dickens przemierzał brzeg rzeki i portowe slumsy przez wiele, wiele lat. Z pewnością słyszał o Droodzie, być może nawet zanim pan usłyszał o nim dwadzieścia lat temu, inspektorze, i dla swoich własnych celów wprowadził prawdziwe wydarzenia, takie jak morderstwo lorda Lucana (ze smakowitym szczegółem, jakim było wyrwanie mu serca z piersi) do biografii tej nierealnej persony.

– A w jakim celu miałby to robić, panie Collins? – spytał inspektor Field.

Właśnie minęliśmy Somerset House. W nowym gmachu, niegdyś królewskiej rezydencji, od trzydziestu lat znajdowały się gabinety rządowe. Wiedziałem, że ojciec i wuj Dickensa byli tam kiedyś zatrudnieni.

Minęliśmy Strand i skręciliśmy w wąską ulicę, będącą skrótem w kierunku Drury Lane, gdzie fikcyjny Dawid Copperfield zamówił wołowinę w restauracji i gdzie najprawdziwszy Wilkie Collins miał nadzieję względnie szybko wystawić z powodzeniem *Siłę przeznaczenia.*

– W jakim celu? – zapytał raz jeszcze inspektor, kiedy znaleźliśmy się sami w uliczce. – Po co pan Dickens miałby okłamać pana na temat istnienia Drooda?

Uśmiechnąłem się i zamachnąłem laską.

– Pozwoli pan, że opowiem panu anegdotkę z tournée Dickensa, inspektorze. Usłyszałem ją w zeszłym tygodniu od George’a Dolby’ego.

– Skoro pan sobie życzy…

– Podróże związane z tournée zakończyły się w Portsmouth pod koniec maja – zacząłem. – Dickens miał trochę czasu dla siebie, więc zabrał Willsa i Dolby’ego na jedną ze swoich pieszych wypraw i wylądowali w Landport Terrace. „Na Jowisza!”, wykrzyknął Dickens. „Oto miejsce, w którym się

urodziłem! To musi być jeden z tych domów”. I poprowadził Willsa i Dolby’ego od domu do domu, wyjaśniając, że to właśnie musi być ten, bo „wygląda zupełnie jak mój ojciec”. A potem nie, ten drugi musi być tym właściwym, „bo wygląda jak miejsce narodzin człowieka, który to miejsce porzucił”. Ale jednak nie, to musi być ten trzeci, bo „zdecydowanie wygląda jak kołyska mizernego, wątłego dzieciaka…”, i tak dalej, przez cały szereg domów. A potem, inspektorze, na rynku otoczonym domami z czerwonej cegły i oknami o białych framugach Dickens postanowił odegrać błazenadę Grimaldiego.

– Grimaldiego? – powtórzył inspektor Field.

– Pantomimisty, którego Dickens uwielbiał – wyjaśniłem. – I tak, na oczach Willsa i Dolby’ego, słynny pisarz Charles Dickens wspiął się po schodach prowadzących do jednego z tych domów, zapukał trzy razy w mosiężną tabliczkę na zielonych drzwiach i położył się na górnym stopniu. Chwilę potem, kiedy korpulentna kobieta otworzyła drzwi, Dickens zerwał się i rzucił do ucieczki, a Dolby i Wills pierzchli pośpiesznie w ślad za nim. Dickens pokazał im później wyimaginowanego policjanta, który ich ściga, i wszyscy trzej dystyngowani dżentelmeni przyśpieszyli kroku. Kiedy wiatr zdmuchnął Dickensowi kapelusz z głowy i cisnął nim do przodu, pościg zamienił się w prawdziwy, gdy wszyscy trzej gonili za kapeluszem w tej komicznej pantomimie.

Inspektor Field przystanął. Ja także.

– Do czego pan zmierza, panie Collins? – zapytał po chwili Field.

– Zmierzam do tego, że Charles Dickens, chociaż zgodnie z metryką ma pięćdziesiąt cztery lata, jest dzieckiem. Psotnym dzieckiem. Wymyśla i prowadzi gry, które go bawią, i dzięki swojej sławie i sile osobowości zmusza wszystkich wokół, żeby przyłączyli się do jego zabawy. Teraz obaj bierzemy w tym udział, pan i ja: gramy w „Drooda” autorstwa Charlesa Dickensa.

Field stał, drapiąc bok nosa, najwyraźniej pogrążony w głębokim namyśle. Nagle wydał mi się bardzo stary. I

niezupełnie zdrów. Wreszcie oznajmił:

– Gdzie pan przebywał dziewiątego czerwca, panie Collins?

Zamrugałem zaskoczony, a potem uśmiechnąłem się i odpowiedziałem:

– Pańscy ludzie pana nie poinformowali, inspektorze?

– Owszem, poinformowali, w rzeczy samej. Późnym rankiem udał się pan do biura swojego wydawcy. Tego dnia wyszła pańska nowa książka. Potem udał się pan do paru księgarni, począwszy od Pall Mail, wzdłuż Strandu, aż do Fleet Street, gdzie podpisał pan kilka egzemplarzy dla różnych przyjaciół i wielbicieli. Tamtego wieczoru jadł pan kolację… tam… – Field wskazał laską „Albion" naprzeciwko Drury Lane – …wraz z kilkoma artystami, w tym jednym starszym dżentelmenem, który był przyjacielem pańskiego ojca. Wrócił pan do domu chwilę po północy.

Zdołał zetrzeć uśmiech z mojej twarzy, i to mnie poirytowało.

– Jaki ma cel ta wścibska i nieuzasadniona litania, inspektorze? – spytałem chłodno.

– Rzecz w tym, że obaj, pan i ja, wiemy, gdzie pan przebywał dziewiątego czerwca, panie Collins. Niestety, żaden z nas nie wie, gdzie pan Dickens spędził tę ważną rocznicę.

– Ważną rocznicę? – zdumiałem się i natychmiast sobie przypomniałem.

To była jego pierwsza rocznica otarcia się o śmierć w wypadku kolejowym pod Staplehurst. Jak mogłem zapomnieć?

– Pan Dickens był tego dnia w Gad's Hill Place – powiedział inspektor Field, nawet nie zerkając do notatnika – ale o szesnastej trzydzieści sześć pojechał ekspresem do Londynu. Na miejscu zaczął jeden ze swoich długich spacerów, tym razem w okolicy Bluegate Fields.

– Palarnia Opiumowej Sal – zaryzykowałem. – Wejście do Podmiasta przez grobowiec na cmentarzu, który nazwał Cmentarzem Upiornych Świętych.

– Nie tym razem, drogi panie – odparł inspektor Field. –

Siedmiu moich najlepszych ludzi śledziło pana Dickensa. Czuliśmy, że istnieje ogromna szansa, iż skontaktuje się z Droodem w pierwszą rocznicę ich pierwszego spotkania. Jednakże pański przyjaciel zafundował moim ludziom i mnie samemu, tego wieczoru brałem bowiem udział w obserwacji, doprawdy przezabawny pościg. Kiedy już byliśmy przekonani, że zszedł pod ziemię, wyskakiwał z jakiejś ruiny albo slumsu, łapał dorożkę i znikał. W końcu opuścił okolicę Bluegate Fields i tamtejszego portu i zbliżył się do miejsca, w którym stoimy w tej chwili… Do Saint Enon Chapel na północ od Strandu, w pobliżu wschodniego wejścia do „Clement's Inn", mówiąc ściśle.

– Saint Enon Chapel… – powtórzyłem. Ta nazwa brzmiała znajomo. I nagle sobie przypomniałem. – Współczesna Golgota!

– Właśnie, panie Collins. Kostnica. Krypty pod kaplicą do tego stopnia zapełniły się nieodebranymi zwłokami, że w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym roku, po tym, jak zacząłem pracę w biurze policji, ale zanim zostałem naczelnikiem wydziału śledczego, komisarz do spraw kanalizacji odciął je, budując kanał odprowadzający pod budynkiem. Jednakże ciała gniły tam jeszcze przez całe lata, zanim w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym teren został zakupiony przez pewnego chirurga w celu przeniesienia szczątków w, o ile się nie mylę, tak to określił: „bardziej stosowne miejsce". Ekshumacja trwała blisko rok, panie Collins, dwa olbrzymie stosy powstały w zaułkach ponad kryptami, jeden z ludzkich kości, a drugi z resztek próchniejącego drewna z trumien.

– Poszedłem to zobaczyć jako młody człowiek – przyznałem, odwracając się lekko, żeby spojrzeć w kierunku kaplicy.

Pamiętałem smród panujący w tamten chłodny, lutowy dzień, kiedy oglądałem to ohydne widowisko. Nie mogę sobie wyobrazić, jak straszliwy musiał być odór w gorący i wilgotny letni dzień, taki jak dzisiejszy.

– Pan i jakieś sześć tysięcy innych londyńczyków przyszło

się pogapić – powiedział inspektor Field.

– Jak się ma Saint Enon Chapel do Dickensa i dnia dziewiątego czerwca?

– Dickens zdołał zniknąć nam z oczu właśnie w tamtej okolicy, panie Collins – powiedział Field, stukając wściekle w bruk ciężką, okutą mosiądzem laską. – Śledziło go siedmiu moich najlepszych agentów i ja sam, być może najlepszy detektyw, jakiego znał Londyn, a pański pisarz nam się wymknął.

Znowu musiałem się uśmiechnąć.

– On się świetnie bawi, inspektorze. Jak powiedziałem, Dickens w głębi serca jest dzieckiem. Uwielbia tajemnice i historie o duchach. A czasem ma okrutne poczucie humoru.

– W rzeczy samej, panie Collins. A wracając do tematu, pański przyjaciel skądś wiedział o sekretnym wejściu do kanału odpływowego wykopanego w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym roku, kiedy na górze wciąż jeszcze leżały tysiące cieknących i gnijących trupów. W końcu znaleźliśmy ten tunel. Prowadzi do dziesiątków cieknących, śmierdzących dziur, gdzie pod ulicami Londynu mieszkają setki dzikich lokatorów, i dalej do kolejnego labiryntu tuneli, kanałów i jaskiń.

– Nie zdołaliście odnaleźć Dickensa?

– Znaleźliśmy go. Zobaczyliśmy jego latarnię w labiryncie przed nami. Jednakże wtedy zostaliśmy zaatakowani, spadły na nas kamienic ciskane dłonią i wystrzeliwane z procy, wiele z nich było równie dużych jak pańska pięść, panie Collins.

– Dzicy Chłopcy – domyśliłem się.

– W rzeczy samej, panie Collins. Detektyw Hatchery musiał strzelić, zanim napastnicy (ledwie cienie wynurzające się z bocznych tuneli, rzucające w nas kamieniami i wycofujące się w głębszą ciemność) w końcu uciekli. Jednakże wtedy już było za późno. Pan Dickens uciekł do zalanego labiryntu.

– Wygląda na to, że było to niezwykle frustrujące doświadczenie, inspektorze – powiedziałem. – I ekscytujące. Ale do czego właściwie pan zmierza?

– Zmierzam do tego, panie Collins, że wydaje się to raczej wątpliwe, by Charles Dickens, ten konkretny Charles Dickens, zadawał sobie tyle trudu, żeby zgubić nas, włócząc się po Podmieście Londynu przez całą noc… Chyba że jednak istnieje człowiek imieniem Drood, który na niego czekał.

Mogłem się tylko roześmiać w odpowiedzi. Właściwie to nie mógłbym się nie roześmiać.

– Zasugerowałbym coś wręcz przeciwnego, inspektorze. To radość pościgu i fikcyjnej zagadki, którą Dickens wymyślił, doprowadza do tego, że marnuje tyle czasu, wciągając pana w pogoń za duchem tunelami pod Londynem. Gdyby nie był świadom tego, że pańscy ludzie go śledzą, jestem pewien, że nie wybrałby się tego wieczoru do Londynu. Nie ma żadnego Drooda.

Inspektor wzruszył ramionami.

– Niech pan myśli, co pan chce, ale doceniamy pańską współpracę przy tropieniu mordercy i przywódcy przestępczej organizacji, w którego istnienie pan nie wierzy. Ci z nas pracujący w policji, którzy musieli stawić czoło Droodowi i jego wysłannikom, wiedzą, że to realna i przerażająca siła.

Na to nie miałem jak zareagować.

– Czy pańskie zapytanie o bandytów z Birmingham to jedyny powód, dla którego prosił pan o spotkanie, panie Collins?

– Niezupełnie – przyznałem i nieświadomie przestąpiłem z nogi na nogę w zakłopotaniu. – Chciałem skorzystać z oferty, którą mi pan przedstawił.

– Dom pod numerem dziewięćdziesiątym przy Gloucester Square i pani Shernwold? – spytał Field. – Pracuję nad tym, drogi panie. Pozostaję przekonany, że pan i pańska… pani G. o tej porze w przyszłym roku już będziecie tam mieszkać.

– Nie. Z tej drugiej oferty. Kiedy pan powiedział, że mogę skorzystać z usług detektywa Hatchery’ego, gdybym zechciał wrócić na Cmentarz Upiornych Świętych, przesunąć płytę w grobowcu i odnaleźć drogę do króla Lazaree i jego palarni opium w tamtejszych katakumbach. Podagra stała się w

ostatnich tygodniach nieznośna… laudanum już prawie wcale mi nie pomaga.

– Detektyw Hatchery będzie do pańskich usług, kiedy pan zechce – odparł rzeczowo inspektor bez zauważalnego śladu potępienia czy triumfu w głosie. – Kiedy ma się stawić, panie Collins?

– Dziś wieczorem – powiedziałem. Serce zabiło mi szybciej. – Dzisiaj o północy.

Rozdział 17

Październik 1866 roku okazał się wyjątkowo zimny i deszczowy. Dzieliłem swoje dni i noce między klub, dom i podziemną palarnię króla Lazaree, często w weekend goszcząc w Gad's Hill Place.

Pewnego deszczowego sobotniego popołudnia w Gad's Hill, będąc pod łagodzącym wpływem laudanum, powiedziałem Dickensowi o różnych pomysłach do mojej nowej książki.

– Myślę o czymś, co dotyczyłoby zjawisk nadnaturalnych – przyznałem.

– Masz na myśli opowieść o duchach? – spytał Dickens.

Siedzieliśmy w jego gabinecie, rozkoszując się ciepłem ognia. Pan Niezrównany skończył tego dnia pracę nad coroczną opowieścią bożonarodzeniową i dał się przekonać, że deszcz jest zbyt zimny na popołudniowy spacer. Wiatr siekł kroplami o szyby wykuszowych okien za jego biurkiem.

– Coś, co dotyczyłoby wywoływania duchów? – ciągnął, marszcząc nieco brwi.

– W żadnym razie – odparłem. – Myślałem raczej o zręcznym połączeniu tematów, o których wspomniałem ci jakiś czas temu: ściganie przestępstw, kradzież, tajemnica i przedmiot, na który rzucono klątwę. O realności tej klątwy będzie musiał, rzecz jasna, zdecydować czytelnik.

– Jakiego rodzaju przedmiot? – spytał Dickens.

Widziałem, że wzbudziłem jego zainteresowanie.

– Klejnot, jak sądzę. Rubin albo szafir. Albo może nawet brylant. Już widzę, jak przeklęty kamień sprawia, że każda osoba, która go zdobędzie (w sposób uczciwy bądź nie), wplątuje się w intrygę.

– Ciekawe, mój drogi Wilkie. Bardzo ciekawe. Na klejnocie lub brylancie ciążyłaby, rzecz jasna, klątwa jakiegoś starodawnego rodu?

– Albo klątwa religijna – dorzuciłem, rozgrzewając się pod wpływem wypitego w południe laudanum i zaciekawienia

Dickensa. – Być może, gdyby kamień skradziono jakieś starożytnej i przesądnej kulturze…

– Indie! – wykrzyknął Dickens.

– Myślałem o Egipcie – odparłem – ale Indie też byłyby dobre. Myślę nawet, że bardzo dobrze by się nadały. A jeśli idzie o tytuł, zanotowałem *Wężowe oko* albo *Oko węża*.

– Trochę to zbyt sensacyjne – orzekł Dickens, stykając dłonie czubkami palców i wyciągając nogi w stronę ognia. – Ale też intrygujące. Włączyłeś już do swojej opowieści pomysł sierżanta Cuffa?

Zarumieniłem się i zdołałem tylko wzruszyć ramionami.

– W tej książce także będzie występowało opium?

– Możliwe – odpowiedziałem wyzywająco, kiedy całe ciepło wcześniejszego zainteresowania uciekło. Słyszałem od kilku wspólnych przyjaciół o całkowitej dezaprobacie Pana Niezrównanego dla pochwały narkotyku, wygłoszonej przez Lydię Gwilt w *Sile przeznaczenia*.

Dickens zmienił temat:

– Zakładam, że za model wziąłeś sobie brylant Koh–i–noor, który wystawiono w Crystal Pałace na Wielkiej Wystawie Światowej i sprezentowano królowej w czerwcu tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku.

– Mam trochę zgrubnych notatek na temat tego klejnotu – odpowiedziałem sztywno.

– Cóż, mój drogi Wilkie, z pewnością krążyły plotki, że Koh–i–noor został przeklęty po tym, jak „Lew Pendżabu”, pogański maharadża Dalip Singh, wymusił oddanie go w charakterze trybutu dla Korony. Już sama prawdziwa historia tego, jak gubernator generalny lord Dalhousie osobiście przeszmuglował brylant z Lahore do Bombaju, kiedy walki jeszcze trwały, powinna stanowić wystarczający materiał na dwie lub trzy ekscytujące powieści. Mówi się, że sama lady Dalhousie zaszyła brylant w pasie, który lord Dalhousie całymi tygodniami nosił na sobie, dopóki w porcie w Bombaju nie wręczył klejnotu kapitanowi brytyjskiego okrętu wojennego. Mówi się, że co noc w obozowisku przykuwał łańcuchami do łóżka dwa groźne psy, żeby obudziły go,

gdyby złodzieje albo Thugowie zakradli się do namiotu.

– Nie słyszałem o tym – przyznałem.

Myślałem, żeby pisać o rubinie albo szafirze świętym dla kultu ze starożytnego Egiptu, ale prawdziwa opowieść Dickensa o Koh–i–noorze sprawiła, że aż mnie ręce świerzbiły do zrobienia notatek.

Przeszkodziło nam wtedy naglące pukanie do drzwi gabinetu.

To była Georgina, cała w łzach. Nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Kiedy Dickens ją uspokoił, wyjaśniła, że pies świętego Huberta, Sułtan, zaatakował kolejną niewinną ofiarę, tym razem małą dziewczynkę, siostrę jednej ze służących.

Dickens odesłał ją, żeby uspokoiła ofiarę. Potem westchnął, otworzył kredens i wyjął dubeltówkę, którą ostatni raz widziałem dziesięć miesięcy wcześniej w bożonarodzeniową noc. Podszedł do biurka i wyjął kilka sporych pocisków z dolnej szuflady po prawej stronie. Na dworze deszcz przestał walić w szyby, ale widziałem ciemne, chyże chmury sunące nisko ponad czarnymi gałęziami, które szybko traciły liście.

– Obawiam się, że okazałem zbytnią tolerancję temu psu – powiedział cicho. – Sułtan ma dobre serce i jest wobec mnie absolutnie lojalny, ale jego agresywnego ducha wykuto w ogniach piekielnych. Nie chce się uczyć. Mogę znieść wszystko, w psie czy człowieku, oprócz odmowy lub nieumiejętności uczenia się.

– Nie będzie więcej ostrzeżeń? – zapytałem, wstając, żeby wyjść razem z nim i porzucić ogień i pokój.

– Nie będzie więcej ostrzeżeń, mój drogi Wilkie – odpowiedział Dickens. – Nieunikniony wyrok śmierci dla tego psa został ogłoszony przez instancję znacznie potężniejszą od nas samych, kiedy Sułtan był zaledwie szczeniakiem u cycka matki. Teraz trzeba tylko wykonać ten wyrok.

***

Pluton egzekucyjny składał się – nader stosownie – z

samych mężczyzn: poza Sułtanem, Dickensem i mną, wezwano czternastoletniego Plorna. Mój brat Charles i jego żona Katey właśnie przyjechali na weekend i Charley także został zaproszony, ale odmówił. Ogorzały kowal z naprzeciwka, który akurat wymieniał podkowy dwóm koniom w stajni Dickensa, także do nas dołączył. (Okazało się, że był starym przyjacielem skazańca – bawiły go wygłupy Sułtana od czasów, kiedy ten był jeszcze szczeniakiem – i zaczął trąbić w chusteczkę, zanim jeszcze pluton egzekucyjny ruszył w drogę).

Na końcu dołączył najstarszy syn Dickensa, Charley, który wpadł do Gad's Hill tylko na jeden dzień, oraz dwóch służących, w tym mąż służącej, której siostrę pies zaatakował; jeden pchał pustą taczkę, w której mieliśmy przewieźć ciało Sułtana z miejsca egzekucji, a drugi ostrożnie niósł worek, który na chwilę miał stać się całunem skazańca. Kobiety z domu i reszta służby patrzyli z okien, kiedy szliśmy przez tylne podwórze, obok stajni, na pole, na którym Dickens sześć lat wcześniej spalił swoją korespondencję.

Początkowo Sułtan sadził wokół nas susy, wesoły i podekscytowany, gdy zdjęto mu nowy kaganiec. Najwyraźniej myślał, że wybiera się na kolejną wyprawę łowiecką. Ktoś umrze! Sułtan skakał od jednego wlekącego się, odzianego w wysokie buty i impregnowany płaszcz mężczyzny do drugiego, a jego łapy wzbudzały fale na kałużach i rozbryzgiwały błoto. Jednakże kiedy ludzie nie chcieli mu patrzeć w oczy, stanął na końcu smyczy – trzymanej przez Charlesa Dickensa – i rzucił czujne spojrzenie najpierw na otwartą dubeltówkę pod pachą pana, a potem na pustą taczkę, która nigdy dotąd nie brała udziału w wyprawie na kuropatwy.

Kiedy grupa przystanęła jakieś sto jardów od stajni, spojrzenie Sułtana stało się zamyślone, wręcz ponure. Pies przyszpilił swojego uzbrojonego pana i władcę pytającym wzrokiem, który wkrótce stał się błagalny.

Charley odpiął smycz i się odsunął. Wszyscy przesunęliśmy

się za plecy Dickensa, który stał, patrząc psu w oczy. Wielkie zwierzę przekrzywiło głowę, żeby dodać znak zapytania do niewypowiedzianego pytania. Dickens włożył dwa naboje do luf i zamknął ciężką dubeltówkę. Sułtan przekrzywił głowę jeszcze bardziej, ani na chwilę nie odrywając wzroku od pana.

– John? – powiedział cicho Dickens do kowala, który stał na lewym krańcu naszego półkola świadków egzekucji. – Chcę, żeby się odwrócił. Mógłbyś rzucić za niego kamień?

Kowal John mruknął, po raz ostatni wydmuchał głośno nos, wsadził chusteczkę do kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego, pochylił się, podniósł płaski kamień, jaki wybrałby, gdyby chciał puścić kaczkę na stawie, i cisnął nim tak, że ten wylądował tuż za ogonem Sułtana.

Pies odwrócił głowę. Zanim zdążył ponownie spojrzeć panu w oczy, Dickens zręcznym ruchem uniósł strzelbę i wypalił z obu luf. Chociaż wszyscy spodziewaliśmy się strzału, podwójna eksplozja zabrzmiała nadzwyczaj głośno w wilgotnym, zimnym, gęstym powietrzu. Pierś Sułtana wybuchła smugą rudej, poszarpanej sierści, rozerwanego ciała i strzaskanych kości. Jestem przekonany, że serce rozpadło mu się tak szybko, że żadna wiadomość nie zdążyła dotrzeć z końcówek nerwów do mózgu zwierzęcia. Nie zaskamlał ani nie szczeknął, kiedy siła uderzenia odrzuciła go od nas kilka stóp przez mokrą trawę. Byłem święcie przekonany, że Sułtan umarł, zanim uderzył o ziemię.

Służący błyskawicznie załadowali ciężkie cielsko do worka, a potem na taczki. Powieźli zwłoki z powrotem w stronę domu, podczas gdy reszta nas zgromadziła się wokół Dickensa, który otworzył dymiącą dubeltówkę, wyjął łuski i odłożył je ostrożnie do kieszeni płaszcza.

Robiąc to, zerknął na mnie i nasze spojrzenia spotkały się, tak jak chwilę wcześniej spojrzenia jego i Sułtana. Spodziewałem się, że Pan Niezrównany zwróci się do mnie, być może po łacinie: „Taka śmierć czeka tych, którzy mnie zdradzili”, ale zachował milczenie.

Sekundę potem młody Plorn, najwyraźniej podekscytowany

zapachem krwi i prochu w powietrzu – ten sam chłopiec, którego Dickens niedawno opisał mi jako „pozbawionego celu i ciągłości dążeń” z powodu „naturalnego dlań niepospolitego odrętwienia” – wykrzyknął:

– To było kapitalne, ojcze! Po prostu kapitalne!

Dickens nie odpowiedział. Żaden z mężczyzn nie odezwał się słowem, kiedy powoli ruszyliśmy z powrotem do ciepłego domu. Deszcz znowu się rozpadał i zerwał się wiatr, zanim doszliśmy do tylnych drzwi.

Ruszyłem prosto do swojego pokoju, żeby przebrać się w suche rzeczy i wziąć dodatkową porcję laudanum, ale Dickens zawołał mnie, więc przystanąłem na schodach.

– Nie trap się, Wilkie. Mam coś na pociechę dla drogiego Percy’ego Fitzgeralda, który dał mi tego z góry skazanego na śmierć psa. Dwójka dzieci Sułtana właśnie tarza się w słomie w stajni, kiedy my tu rozmawiamy. A jako że dziedzictwo krwi to nieugięty władca, jedno z tej dwójki niemal na pewno odziedziczy po Sułtanie jego zajadłość. I niemal z równą pewnością odziedziczy dubeltówkę.

Nie potrafiłem wymyślić, jak mógłbym na to zareagować, więc tylko skinąłem głową i poszedłem na górę po środek przeciwbólowy.

***

Król Lazaree, chiński władca opiumowych żywych trupów, robił wrażenie, jakby mnie oczekiwał, kiedy pierwszy raz wróciłem do jego królestwa blisko dwa miesiące przed egzekucją Sułtana, pod koniec sierpnia 1866 roku.

– Witam, panie Collins – szepnął stareńki Chińczyk, kiedy rozchyliłem zasłony do ukrytego królestwa w loculus pod katakumbami pod cmentarzem. – Pańskie łóżko i fajka są już przygotowane.

Późną sierpniową nocą detektyw Hatchery poprowadził mnie bezpiecznie do cmentarza, otworzył bramę i drzwi do grobowca, przesunął masywny katafalk, po raz kolejny pożyczył mi absurdalnie ciężki rewolwer. Wręczając mi

latarnię, obiecał poczekać w grobowcu, aż wrócę. Przyznaję w tym miejscu, że o wiele trudniej było zejść ukrytym przejściem między grobami na niższy poziom za tym drugim razem, niż kiedy szedłem za Dickensem.

Przy tej wizycie szata i nakrycie głowy króla Lazaree miały inny kolor, ale jedwab był czysty, barwny i idealnie uprasowany, jak wtedy, kiedy pierwszy raz zjawiłem się z Dickensem.

– Wiedział pan, że wrócę? – zapytałem, idąc za staruszkiem do najdalszych, najciemniejszych zakątków długiego grobowego loculus.

Król Lazaree tylko się uśmiechnął i przywołał mnie gestem, żebym szedł dalej w głąb jamy. Ciche postaci na trzypiętrowych drewnianych łóżkach pod ścianami jaskini wydawały się tymi samymi orientalnymi mumiami, które dostrzegliśmy przy pierwszej wizycie. Jednakże każda z nich trzymała ozdobną fajkę do opium; dymne wydechy wypełniające wąskie, oświetlone lampami przejście były jedyną wskazówką, że mumie oddychają.

Wszystkie miejsca były zajęte, oprócz trzypoziomowego drewnianego łóżka w głębi pomieszczenia, oddzielonego ciemnoczerwoną zasłoną.

– Będzie pan naszym honorowym gościem – rzekł Lazaree półgłosem, z tym swoim dziwnie śpiewnym akcentem z Cambridge. – I jako takiemu zapewnimy panu pewną prywatność. Khan?

Machnął ręką i kolejna postać w ciemnej szacie wręczyła mi długą fajkę z piękną, szklano–porcelanową główką na końcu.

– Ta fajka nigdy nie była używana – powiedział król Lazaree. – Jest dla pana i tylko do pańskiego użytku. To łóżko jest także pańskie i tylko do pańskiego użytku. Nikt inny nie będzie w nim leżał. A narkotyk, którego doświadczy pan tego wieczoru, jest jakości zarezerwowanej dla królów, faraonów, cesarzy i tych świętych mężów, którzy pragną stać się bogami.

Próbowałem się odezwać, ale odkryłem, że zaschło mi w

ustach. Oblizałem wargi i spróbowałem raz jeszcze:

– Ile…? – zacząłem.

Król Lazaree uciszył mnie dotykiem długich, żółtych palców i jeszcze dłuższych żółtych paznokci.

– Dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach, panie Collins. Najpierw proszę zakosztować tego doświadczenia, a potem może mi pan powiedzieć, czy taka jakość i wyjątkowość jest warta sumy, którą ci pozostali dżentelmeni – Lazaree długimi, zakrzywionymi paznokciami zatoczył łuk obejmujący rzędy łóżek – zdecydowali się zapłacić. Jeżeli nie, to nie będzie, rzecz jasna, żadnej opłaty.

Król Lazaree odpłynął w ciemność, a odziana w powłóczystą szatę postać imieniem Khan pomogła mi wejść do łóżka, ułożyła nacięty drewniany klocek pod moją głową – był zadziwiająco wygodny – i zapaliła dla mnie fajkę. Potem Khan odszedł, a ja położyłem się na boku, wciągając aromatyczny dym i czekając, aż wypłyną ze mnie niepokoje i zmartwienia.

Czy pragniesz, Drogi Czytelniku, poznać efekty tego najdoskonalszego opium? Być może, za Twoich czasów wszyscy korzystają z tego niesamowitego narkotyku. Jednakże, nawet jeśli tak jest, wątpię, czy skuteczność Twojego opium może się równać z ideałem sekretnego przepisu króla Lazaree, czy choćby do niego zbliżyć.

Jeśli Twoje zainteresowanie wzbudzają skutki zwykłego opium, to mogę Ci tu zacytować pierwszy akapit ostatniej książki napisanej przez Charlesa Dickensa, książki, której nie zakończy, bo nie pożyje dostatecznie długo:

> *Stara angielska wieża katedralna? Skąd się tu wzięła stara wieża katedralna? Dobrze znany masywny, szary czworobok wieży starej katedry? Jak się tu znalazł? Skądkolwiek by się spojrzało, nie ma przecież na niej tego zardzewiałego, żelaznego, sterczącego w niebo ostrza. Co to za ostrze i kto miałby je tam umieścić? Może zatknięto je tam na rozkaz sułtana, aby wbijać na nie hordy tureckich rabusiów, jednego po drugim? I tak*

oto sułtan przy dźwiękach czyneli zmierza w długim pochodzie do swego pałacu. Dziesięć tysięcy lśniących w słońcu bułatów i po trzykroć dziesięć tysięcy tancerek ścielących kwiaty, za nimi niezliczone słonie w mieniących się barwami czaprakach i mrowie służby. A w tle wciąż wznosi się wieża katedry, tam gdzie jej być nie powinno, a na jej złowieszczym ostrzu nie wije się żadna ofiara. Chwileczkę! Czyżby to ostrze miało być czymś tak mizernym jak zardzewiały szpic słupka starego, rozpadającego się zdeformowanego łóżka? Rozważaniu tej możliwości należy poświęcić pewien nieokreślony czas sennego rozbawienia[6].

***

Proszę bardzo. Uzależniony palacz opium, który walczy, by o świcie odzyskać świadomość w podupadłej palarni. Dziesięć tysięcy bułatów rozbłyskujących w blasku słońca. Po trzykroć dziesięć tysięcy tańczących dziewcząt. Białe słonie w czaprakach w niezliczonych cudnych barwach. Co za poezja! Co za przenikliwość!

Co za bzdura.

Charles Dickens nie miał najmniejszego pojęcia o sile ani o skutkach opium. Raz przechwalał się przede mną, że w czasie drugiego tournée literackiego (które wówczas, latem i jesienią 1866 roku, wciąż jeszcze należało do przyszłości), kiedy cierpiał z bólu i nie był w stanie spać, zafundował sobie „Morfeusza pod postacią laudanum”. Jednakże kiedy zacząłem się dopytywać o szczegóły (raczej Dolby’ego niż samego Pana Niezrównanego, ponieważ chciałem usłyszeć prawdę), odkryłem, że skrzydła Morfeusza, którym Dickens się powierzył, składały się z dwóch maleńkich kropli opium w wielkim kielichu porto. W tym czasie ja już wypijałem kilka takich kielichów pełnych czystego laudanum, nawet nie popijając go winem.

Dickens nie miał pojęcia o działaniu laudanum, już nie wspominając o prawdziwym opium.

Pozwól, Drogi Czytelniku z mojej pośmiertnej przyszłości, że powiem Ci, jak rzeczywiście wyglądały efekty opium króla Lazaree:

- było to ciepło, które zaczynało się w brzuchu i żyłach, trochę jak od dobrej whisky, ale które, w przeciwieństwie do whisky, nigdy nie przestawało się rozlewać i narastać.
- był to eliksir, który przekształcał małego, podobnego do cherubinka, zwykle przyjemnego, rzadko traktowanego poważnie Williama Wilkiego Collinsa, o absurdalnie dużym czole, słabym wzroku, komicznie obfitej brodzie, który „zawsze był skory do śmiechu” i zwykle nadawał się co najwyżej na, jak to nazywają Amerykanie, „pomagiera” – w pewnego siebie kolosa, którym (o czym wiedział w głębi serca) zawsze był i zawsze będzie.
- był to czynnik przeobrażający, który usuwał zżerający duszę niepokój, prześladujący mnie i osłabiający od dzieciństwa, pogłębiał postrzeganie i obdarzał wglądem w ludzi, w siebie samego i w związki, który oświetlał nawet najbardziej przyziemne przedmioty i sytuacje jasnym, złotym światłem będącym czymś bliskim wizji boskości.

Obawiam się, że to nieadekwatny opis, ale waham się, czy skreślić tu pełną relację z wyjątkowych i dobroczynnych skutków opium starego Chińczyka. (Zbyt wielu ludzi pozbawionych mojej wrodzonej odporności na często przytaczane negatywne aspekty narkotyku mogłoby pośpieszyć, by go spróbować, nie zdając sobie sprawy, że w Londynie ani nigdzie indziej raczej nie uda im się znaleźć esencji opium takiej jakości, jak ta od króla Lazaree). Wystarczy powiedzieć, że narkotyk był wart każdego szylinga, o jaki poprosił Chińczyk, a poprosił o nie wiele godzin później, kiedy nie bez pomocy wstałem z łóżka i zostałem odprowadzony przez cień imieniem Khan aż do stromej klatki schodowej, nad którą czekał wierny Hatchery. Zawsze był wart tysięcy i tysięcy funtów, jakie miałem

zapłacić królowi Lazaree w ciągu nadchodzących miesięcy i lat.

Bogu niech będą dzięki za ogromną zaliczkę od Smitha z „Cornhill Magazine” za napisanie *Siły przeznaczenia.* Nie powiem, że każdy pens z tej gotówki poszedł na opium – pamiętam, że jakieś trzysta funtów wydałem na wino i zainwestowałem co najmniej tysiąc pięćset w państwowe papiery wartościowe (rzecz jasna znalazło się co nieco także na prezenty dla Caroline i Carrie, jak nazywaliśmy w domu jej córkę Harriet; pewną sumę wysłałem także Marcie R.) – ale większość niewiarygodnej sumy pięciu tysięcy funtów, którą otrzymałem od Smitha, rzeczywiście wylądowała w żółtych, opatrzonych długimi paznokciami dłoniach podziemnego Mandaryna.

Hatchery – wielki, ciężki i w meloniku – zawsze czekał na mnie w grobowcu na górze, niezależnie od tego, jak późnym porankiem (albo nawet popołudniem) wypadał mój powrót. Za każdym razem odbierał wielki rewolwer (w łóżku w palarni króla Lazaree zawsze kładłem go obok siebie, chociaż czułem się tam tak bezpiecznie, jak nigdzie indziej na świecie) i za każdym razem odprowadzał mnie z grobowca, cmentarza i slumsów z powrotem do świata smutnych, powłóczących nogami, niewidzących śmiertelników, którzy nic nie wiedzieli o świetności doskonałego opium Lazaree.

***

Pragnąłem (niemal równie mocno jak nieustannie labiedząca Caroline), żeby dom przy Gloucester Place wreszcie się dla nas otworzył. Nasz obecny dom pod numerem dziewiątym przy Melcombe Place, Dorset Square, zawsze był dla mnie wystarczająco wygodny, ale przy nieustannie narzekającej Caroline i wchodzącej w dorosłość Carrie zrobił się jakby mniejszy.

Jednakże nade wszystko wydawał się za mały z powodu nieproszonych mieszkańców.

Zielonoskóra kobieta o wielkich kłach nadal nawiedzała

schody, kiedy nie były dobrze oświetlone, ale to Drugi Wilkie wzbudzał moją największą konsternację.

Drugi Wilkie nigdy się nie odzywał; po prostu patrzył i czekał. Niezależnie od tego, jak byłem ubrany, kiedy go spotykałem, on zawsze miał kołnierzyk i kamizelkę, bez marynarki, za to z fularem. Wiedziałem, że gdybym nagle zgolił gęstą brodę (która stanowiła teraz w takim stopniu część mnie, że przestałem zauważać ją w lustrze – z wyjątkiem tych chwil, kiedy ją przycinałem), Drugi Wilkie zachowałby swoją. Gdybym zdjął okulary, on nadal nosiłby swoje. Nigdy nie zapuszczał się poza mój gabinet i zjawiał się tam tylko nocą, ale w te noce, kiedy go tam spotykałem, jego obecność stawała się coraz bardziej irytująca.

Wyczuwając czyjąś obecność w pokoju, podnosiłem wzrok i dostrzegałem go w odległym kącie, gdzie siedział w milczeniu na obitym na żółto krześle z oparciem z wzorem pajęczyny. Czasem krzesło stało odwrócone (jego robota, byłem przekonany) i wtedy siadał okrakiem, z rękami na oparciu, głową spuszczoną, i przypatrywał mi się uważnie, a światło lampy odbijało się w jego maleńkich okularach. Wracałem do pracy, ale kiedy znowu podnosiłem wzrok, Drugiemu Wilkiemu udawało się jakimś cudem podejść bezgłośnie tak blisko, że w końcu siadał na drewnianym krześle o zakrzywionym oparciu, które trzymałem koło biurka dla gości. Jego małe oczka wpatrywały się bacznie – łapczywie, jak mi się wydawało – w rękopis, nad którym pracowałem, ale ani razu nie mrugnęły.

W końcu gwałtownie podnosiłem wzrok i widziałem albo czułem, że Drugi Wilkie stoi lub siedzi tak blisko mnie, że nasze ręce niemal się stykają. Te chwile czystego przerażenia i grozy stawały się jeszcze gorsze, kiedy Drugi Wilkie rzucał się po moje pióro. Chciał sam kontynuować i skończyć moją pracę, nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości; wspomniałem Ci już, Drogi Czytelniku, jak gwałtowne i zbryzgane atramentem stały się walki o pióro, kałamarz i rękopis, zanim w końcu zarzuciłem nocne wizyty w gabinecie i zacząłem pracować tylko w ciągu dnia, w

porach, kiedy Drugi Wilkie nie mógł się pojawić.

Jednakże jesienią 1866 roku słyszałem jego oddech i czasem szuranie jego stóp za zamkniętymi drzwiami gabinetu nawet za dnia. Podchodziłem na palcach do drzwi – mając nadzieję, że to służąca albo może Caroline lub Carrie robią mi żart – i gwałtownie je otwierałem, ale widziałem za nimi tylko pusty korytarz. Jednakże zawsze słyszałem echo tupotu butów mojego rozmiaru, dudniące na ciemnych schodach dla służby, na których czyhała również Kobieta o Zielonej Skórze.

Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, nim Drugi Wilkie zacznie pojawiać się w gabinecie nawet za dnia. I dlatego zacząłem nosić notatki i materiały do książki do Klubu Athenaeum, gdzie znajdowałem sobie wygodny skórzany fotel i stół w pobliżu wysokiego okna i pracowałem w spokoju.

Kłopot w tym, że nie bardzo miałem nad czym pracować. Po raz pierwszy od co najmniej kilku lat – odkąd dziesięć lat wcześniej Charles Dickens po raz pierwszy zatrudnił mnie do pisania dla „Household Words” (jakieś pięć lat po tym, jak go poznałem) – pomysły nie łączyły mi się w fabułę. Wynotowałem kilka rzeczy po rozwlekłej dyskusji z Dickensem na temat powieści przygodowej z nadnaturalnymi wątkami, którą umyśliłem sobie zatytułować *Wężowe oko,* ale, jeśli nie liczyć przepisania kilku odpowiednich ustępów na temat klejnotów z Indii ze znajdującego się w moim klubie wydania *Encyclopaedia Britannica* (wydanie ósme z 1855 roku), nie poczyniłem żadnych postępów. Powróciłem do mojego wcześniejszego pomysłu pisania o byłym policjancie, który pracuje teraz jako prywatny detektyw – inspektorze Fieldzie pod postacią mojego sierżanta Cuffa – ale zrozumiała niechęć do spędzania z Fieldem większej ilości czasu niż to niezbędne, połączona z awersją do wścibskich dochodzeń detektywa, opóźniała prace także i nad tym wątkiem.

Jakaś część mnie zwyczajnie nie była w nastroju do pisania. Bardzo polubiłem czwartkowe noce z wycieczkami

pod eskortą do Kaplicy Upiornych Świętych i długie godziny ekstazy oraz następującej po niej nadprzyrodzonej przenikliwości. Ogromna frustracja wynikała z tego, że te podobne boskim spostrzeżenia nie mogły zostać przelane na papier – przez nikogo, przez żadnego, choćby nie wiadomo jak uzdolnionego człowieka pióra, nawet przez (jak myślałem w czasie moich czwartkowych nocy i piątkowych ranków) Shakespeare'a czy Keatsa, gdyby któryś z tych geniuszy odrodził się znienacka w londyńskiej palarni opium. A już z pewnością nie przez tak płochliwego człowieka i pozbawionego wyobraźni pisarza jak Charles Dickens. Każdego tygodnia widziałem w wyrazie ciemnych oczu króla Lazaree, że wie zarówno o mojej rosnącej boskości, jak i o rosnącej frustracji z powodu niemożności podzielenia się moją wiedzą za pomocą martwego cielska bezwładnych liter stawianych i popychanych na białej stronicy niczym trącane piórem żuki o atramentowych pancerzykach. Te niezgrabne pisane symbole były zaledwie uproszczonym zapisem (teraz to pojmowałem) płaczliwych odgłosów wydawanych przez samotne małpy po dziś dzień, począwszy od czasów, kiedy Ziemia i jej siostra Luna były jeszcze młode.

Wszystko inne, co działo się wokół mnie u schyłku jesieni 1866 roku, wydawało się zbyt absurdalne, by miało jakiekolwiek znaczenie: trwający nonsens Drooda bądź nie–Drooda; niekończące się rozgrywki szachowe o władzę między inspektorem Fieldem, Panem Niezrównanym i mną; słodkie kuszenie i wrzaski kobiet w moim życiu; moja niezdolność znalezienia wejścia do jaskini pod papierem do mojej następnej książki; niewypowiedziana i zdecydowanie nierozstrzygnięta rywalizacja z Charlesem Dickensem…

Jednakże wszystko to się zmieniło, kiedy pewnego piątkowego ranka pod koniec listopada, po długiej, słodkiej nocy w grobie króla Lazaree, wróciłem do domu w garniturze nadal śmierdzącym opium i zastałem Caroline siedzącą w pokoju z Dickensem. Oczy miała zamknięte, głowę odchyloną do tyłu, a na jej twarzy malowało się coś na kształt niezwykle rzadkiego zachwytu. Dickens wykonywał

hipnotyzerskie gesty wokół niej i nad jej głową, zatrzymując się tylko, żeby dotknąć jej skroni i coś do niej szepnąć.

Zanim zdążyłem się odezwać, obie głowy obróciły się w moją stronę. Caroline otworzyła oczy, a Dickens skoczył na równe nogi i zawołał:

– Mój drogi Wilkie! Człowiek, po którego przyszedłem. Musimy w tej chwili iść na dworzec kolejowy. Muszę ci pokazać w Rochester coś zdumiewającego i przedstawić tam kogoś, kogo chcę, byś poznał.

Rozdział 18

– Muszę kogoś zabić – oznajmił Dickens.

Pokiwałem głową, ale nic nie powiedziałem. Pociąg do Rochester minął już Gad’s Hill.

– Jestem przekonany, że muszę kogoś zabić – powiedział Dickens. – To jedyna rzecz, jakiej brakuje na moich wieczorach literackich. Wszystkie inne emocje zostały uwzględnione w rozszerzonej liście fragmentów, które przygotowałem na nadchodzące tournée. Wszystkie prócz… morderstwa. – Pochylił się, opierając o laskę, i spojrzał na mnie. – Co o tym myślisz, drogi Wilkie? Może zmodyfikowana i zintensyfikowana wersja Billa Sikesa mordującego Nancy?

– Czemu nie?

– Czemu nie, masz rację. – Dickens zachichotał, klepiąc się po kieszeniach marynarki. – To tylko ludzkie życie.

Był gadatliwy po części z tego powodu, że w czasie jazdy już trzykrotnie uraczył się brandy. Za każdym razem, gdy wagon zatrząsł się albo podskoczył, Dickens albo łapał się siedzenia przed sobą, albo macał się po kieszeni płaszcza w poszukiwaniu piersiówki.

Kiedy zapytałem go o scenę, którą zastałem w domu, i hipnotyzowanie Caroline, roześmiał się i wyjaśnił, że moja najdroższa była zdenerwowana i opowiadała mu o moich bólach reumatycznych, rosnących trudnościach ze snem i tym, co uznawała za pogłębiające się uzależnienie od laudanum. Dickens zapewnił ją, że mesmeryzm magnetyczny uśpi mnie natychmiast i bez żadnych szkodliwych efektów, jakie wywołuje laudanum. Właśnie uczył jej tej sztuki, kiedy wszedłem.

– Była bardzo pojętną uczennicą – powiedział teraz, kiedy pociąg podskakiwał i z łoskotem gnał w kierunku Rochester, mijając bagna, wokół których nieraz spacerowaliśmy. – Musisz pozwolić jej wypróbować mesmeryzm magnetyczny jeszcze dziś wieczorem. Gwarantuję, że pozwolić ci zasnąć bez żadnych opiatowych snów ani porannego zmęczenia.

Mruknąłem coś niezobowiązująco. Prawdę mówiąc, byłem bliski zaśnięcia przy kołysaniu się wagonu i rytmicznym stukocie kół na szynach. Spędziłem długą noc w palarni króla Lazaree i na dobrą sprawę w ogóle nie spałem. Na szczęście – chociaż listopadowy dzień był wyjątkowo przyjemny – wiał rześki wiatr i większość charakterystycznego zapachu fajki ulotniła się w czasie naszego szybkiego marszu na dworzec.

– Mówisz, że spotkamy się z kimś w Rochester? – spytałem.

– W istocie – przytaknął Dickens, splatając dłonie na mosiężnej gałce laski. – Z dwiema damami. Moją starą znajomą i towarzyszką dla ciebie, mój drogi Wilkie. Zjemy tam obiad we wspaniałym miejscu. Uważam, że obsługa jest tam wzorcowa.

Wspaniałe miejsce z wzorcową obsługą okazało się cmentarzem na tyłach wielkiej kupy szarego kamienia będącej katedrą w Rochester. Dwiema damami były nie całkiem sekretna kochanka Dickensa Ellen Ternan i jej matka. Logika podpowiadała, że pani Ternan ma być moją „towarzyszką” na tej wycieczce.

Kiedy w słabym listopadowym popołudniowym słońcu stałem pośród nagrobków, kiwając głową, kłaniając się i prowadząc pogawędkę z dwiema kobietami, całkiem poważnie rozważałem możliwość, że Dickens postradał zmysły.

A jednak nie – przyczyny zachowania Charlesa Dickensa nigdy nie były aż tak proste. Zdałem sobie sprawę, kiedy nasza czwórka spacerowała po cmentarzu (pani Ternan i Ellen wyjaśniły, że odwiedzają wuja Ellen w Rochester i mogą zostać tylko na chwilę), że to spotkanie ma sens z punktu widzenia Dickensa i wynika wprost z jego udręczonego, pokręconego i niechętnego do przyjmowania odpowiedzialności sposobu postrzegania świata. Swój związek z Ellen Ternan ukrywał niemal przed całym światem (mój brat Charles powiedział mi, że Dickens wprowadził córki i Georginę nieco głębiej w spisek, kiedy pewnej niedzieli Mamie natknęła się na ojca spacerującego z panną Ternan po Londynie; inspektor Field poinformował mnie, że

Ellen już kilka razy odwiedziła Gad’s Hill Place), ale najwyraźniej uważał, że ja nie zagrażam jego intrygom. Komu miałbym powiedzieć? Nie dość, że Dickens wiedział z doświadczenia, że dochowam tajemnicy, to wiedział także, że z racji moich własnych układów rodzinnych (które stały się jeszcze bardziej skomplikowane, odkąd w zeszłym tygodniu Martha R. na dłużej wróciła do Londynu) byłem towarzyskim wyrzutkiem i nigdy nie mógłbym publicznie spojrzeć z wyższością na poczynania Dickensa, czy to w druku, czy poprzez plotkę.

Być może, pani Ternan wiedziała o mojej sytuacji z Caroline G., ponieważ w trakcie naszego pikniku robiła wrażenie bardzo oschłej. Była aktorka (rozumiałem, że teraz ona i Ellen udzielają lekcji dykcji w swoim nowym domu w Slough, za który płaci Dickens) najwyraźniej zgłaszała coraz więcej pretensji do społecznego wyrafinowania, odkąd poznałem obie panie w trakcie wystawiania *Zamarzniętej otchłani*. Obnosiła się ze swoją świeżo nabytą ogładą towarzyską jak starzejący się slup z kadłubem ciężkim od porastających go pąkli.

Nasza czwórka szła powoli przez cmentarz, aż Dickens znalazł płaski nagrobek, który przypadł mu do gustu. Długi marmurowy blok był otoczony z obu stron przez niższe, płaskie kamienie. Dickens zniknął za pobliskim kamiennym murem – murem, który miał około pięciu stóp wysokości i za którym stał wynajęty powóz (ze służącym w liberii) – tak że widzieliśmy tylko głowę Pana Niezrównanego, kiedy rozmawiał ze stangretem i kiedy obaj kręcili się koło kufra powozu, zanim Dickens wrócił z czterema poduszkami, położył je na płaskich kamieniach po obu stronach najdłuższego kamienia nagrobnego i kazał nam siadać.

Usiedliśmy więc. Ellen i pani Ternan były ewidentnie zakłopotane tym niezwykłym – żeby nie powiedzieć makabrycznym – wprowadzeniem wygód do takiego otoczenia. Wysokie drzewo na zachód od nas rzucało atramentowe cienie nagich gałęzi na nas i wybrany przez nas nagrobek. Nikt z nas nie był w stanie prowadzić towarzyskiej

pogawędki, kiedy Dickens pośpieszył do bramy i wrócił za mur, żeby znowu porozmawiać ze swoim służącym.

W okamgnieniu wrócił, niosąc długi kawał czerwonego, kraciastego materiału, który zaczął rozkładać na najdłuższym nagrobku, przekształcając go w karykaturę domowego stołu jadalnianego, oraz białą serwetkę, przerzuconą przez wolną rękę na modłę wszystkich zadufanych kelnerów od czasów Adama. Kilka sekund potem zniknął nam z oczu i – z małą pomocą swojego człowieka – rozłożył szereg talerzy na murze. Muszę powiedzieć, że to wszystko odbierałem jako bardzo znajome – jakbyśmy byli w paryskiej restauracyjce ze stolikami wystawionymi na zewnątrz. Potem Dickens znowu zaczął się krzątać na naszych oczach, nadal z serwetką na ręce niczym ucieleśnienie szefa sali w lokalu pierwszej klasy, i obsłużył nas po kolei, zaczynając, rzecz jasna, od dam.

Z wielkiego kosza postawionego na murze wyczarował smażoną solę i witlinka z sosem krewetkowym, krakersy i pasztet, parę dobrze upieczonych ptaków, które w pierwszej chwili wziąłem za gołąbki, ale które – jak wkrótce odkryłem – okazały się zachwycającymi drobnymi bażantami (kelner Dickens teatralnym gestem polał je sosem), a potem kociołki pełne pieczonego udźca baraniego z duszoną cebulką i zrumienionymi ziemniaczkami. Na koniec podał pudding. Wraz z jedzeniem zjawiło się schłodzone białe wino – które Dickens, teraz jako kelner od wina, odkorkował i polał z wielkimi ceregielami, a potem czekał na naszą ocenę, trzepocząc powiekami i ściągając usta – i wielka butelka szampana w kubełku z lodem.

Dickens tak doskonale się bawił, odgrywając rolę kelnera, że miał niewiele czasu, by samemu coś zjeść. Zanim wyjął pudding (do którego zaproponował zawiesisty sos, na który damy nie reflektowały, a który ja natychmiast przyjąłem), twarz miał już zarumienioną i spocił się, mimo że listopadowe popołudnie powoli chłodniało, przechodząc w wieczór.

Bywają takie rzadkie chwile w życiu, Drogi Czytelniku, kiedy nawet najłagodniejsza osoba otrzymuje narzędzie – a

właściwie broń – wcale tego nie pragnąc; czasem po prostu dostaje je do ręki i może z jego pomocą jednym zdaniem obalić cały gmach. W takiej właśnie sytuacji znalazłem się w czasie naszego dziwnego posiłku na cmentarzu w Rochester, ponieważ rozpoznałem znaczną część menu z książki tak popularnej piętnaście lat wcześniej. Książka ta nosiła tytuł *Co zjemy na obiad?* i przepisy w niej zawarte zebrała, według wydawców, pewna dama ukrywająca się pod pseudonimem „lady Maria Clutterbuck”.

Och, jak panie Ternan, młoda i stara, teraz rozweselone winem i szampanem, otrzeźwiałyby w okamgnieniu, gdyby dowiedziały się, że menu ich rozkosznego (choć makabrycznego) obiadu na cmentarzu zaplanował nikt inny jak Catherine Dickens, odrzucona i wygnana żona pisarza.

Chociaż Catherine została całkowicie porzucona (brat powiedział mi, że raptem miesiąc wcześniej napisała do Dickensa błagalny list w sprawie ich syna, prosząc o rozmowę na temat problemów Plorna, na który Dickens nie raczył nawet odpisać, pouczył jedynie Georginę, by w jego zastępstwie wysłała oschłą, ciętą odpowiedź), to jednak najwidoczniej jej inkarnacja pod postacią lady Clutterbuck (Catherine nie była jeszcze tak ciężka, kiedy zbierała i publikowała to menu w 1851 roku) nadal była bardzo mile widziana w Gad’s Hill. A w każdym razie mile widziane były jej przepisy.

W czasie posiłku i błahej rozmowy przyglądałem się Ellen Ternan, nawet gdy mnie ignorowała. Minęło osiem lat, odkąd przebywałem w jej towarzystwie. Lata nie zwiększyły jej urody. Była na młodzieńczy sposób ładna jako osiemnastoletnia naiwna aktoreczka, ale teraz ledwie kwalifikowała się jako „przystojna”. Należała do kobiet o smutnych oczach (które nie robiły na mnie wrażenia, ponieważ takie smutne oczy zwykle sugerowały poetyckie usposobienie, skłonność do melancholii i zaciekłej obrony dziewictwa), opadających brwiach, długim nosie i szerokich ustach z wąskimi wargami (sam wolę coś wręcz przeciwnego w młodych kobietach: drobne noski i pełne wargi, te drugie

najchętniej wygięte ku górze w zachęcającym uśmiechu). Miała mocno zarysowany podbródek, ale, o ile w młodości ta cecha sugerowała pewną dziarską siłę, teraz świadczyła jedynie o przepełnionym dumą uporze kobiety dobrze po dwudziestce, która nie wyszła jeszcze za mąż. Włosy miała ładne, nie przesadnie długie, opadające w umiejętnie wyrzeźbionych falach z wysokiego, czystego czoła. Fryzura odsłaniała uszy, które były zdecydowanie za duże jak na mój gust. Kolczyki, które zwieszały się jak potrójne latarnie, zdradzały ukrytą wulgarność dawnej profesji. Wypowiedziane z precyzyjną dykcją, ale nieuleczalnie puste słowa sugerowały koturnową konwersację, która wynika ze zwykłego braku wykształcenia. Śliczne samogłoski i precyzyjna, wyszlifowana w teatrze intonacja nie zdołały ukryć ignorancji, która powinna natychmiast zdyskwalifikować tę starzejącą się aktoreczkę jako małżonkę najbardziej szanowanego pisarza Anglii. Nie dostrzegłem też najdrobniejszej sugestii namiętności, która mogłaby wynagradzać ewidentne braki… a moje „anteny” były niezwykle wyczulone na wszelkie, nawet najsubtelniejsze i najdyskretniejsze erotyczne przekazy od najbardziej nawet poprawnych i szlachetnych dam.

Ellen Ternan była zwyczajnie nudna. Była nudna jak przysłowiowe flaki z olejem, a wkrótce na dobitkę będzie nudną matroną.

Skończyliśmy posiłek, kiedy popołudniowe cienie opadły na nas i chłód cmentarnych krzeseł zaczął przenikać przez poduszki do naszych siedzeń. Zmęczony odgrywaniem kelnera Dickens pochłonął resztki swojego puddingu, dopił szampana i wezwał służącego, żeby posprzątał. Talerze, kieliszki, sprzęty kuchenne, półmiski i wreszcie obrus, serwetki i poduszki błyskawicznie zniknęły w koszu, a potem w kufrze powozu za sprawą służącego, który wydawał się tylko rozmazaną plamą w liberii. Tylko okruszki zostały jako dowód naszej cmentarnej uczty.

Odprowadziliśmy panie Ternan do powozu.

– Dziękuję za cudowne, choć nietypowe popołudnie –

powiedziała Ellen Ternan, ujmując zimną rękę Dickensa w dłoń w rękawiczce. – To była wielka przyjemność, ponownie pana spotkać, panie Collins – powiedziała do mnie, ale zimny ton i oschłe skinięcie głową zadawały kłam ciepłym słowom.

Pani Ternan wygdakała podobne sentymentalizmy, jeszcze mniej trudząc się, by zabrzmiały przekonująco. Potem służący znowu wskoczył na budę powozu, strzelił bat i powóz ze stukotem odjechał do Rochester, przypuszczalnie w kierunku czekającego na obie panie wuja Ellen Ternan.

Sądząc po pożądliwym błysku w oku Charlesa Dickensa, wiedział, że zobaczy się z Ellen jeszcze tego wieczoru, najpewniej w zaciszu własnego lub jej domu w Slough.

– Cóż, mój drogi Wilkie – powiedział tonem czystej satysfakcji, zakładając rękawiczki – jak ci się podobał nasz obiadek?

– Wydał mi się cudowny w niesamowicie makabryczny sposób – odpowiedziałem.

– To zaledwie preludium, przyjacielu. – Dickens zarechotał. – Zaledwie preludium. Pokrzepienie przed poważnym celem naszego dnia… a raczej wieczoru. Ach, oto nasz człowiek!

***

Mężczyzna zbliżający się do nas w zapadającym zmroku, z bezkształtnym kapeluszem w ręce, był obdarty, niski, brudny i pijany. Od stóp do głów był odziany w warstwy brudnoszarej flaneli, która robiła wrażenie szczodrze przysypanej wiórkami kamienia i lukrem wapna. Pod stopy rzucił sobie ciężki tobołek przewiązany brudnym płótnem. Czułem zapach oparów rumu bijący od niego, z jego porów, ubrania, najpewniej z samych kości. Kiedy ja obwąchiwałem jego, on wąchał mnie; być może mimo własnego smrodu wyczuwał na mnie opium. Staliśmy, gapiliśmy się i niuchaliśmy jak dwa psy w zaułku.

– Wilkie – powiedział Dickens – chciałbym ci przedstawić pana Dradlesa, na którego mówi się po prostu Dradles, chociaż słyszałem jak ludzie z Rochester mówią, że ma na

imię Granit, co uznałem za przydomek. Dradles jest kamieniarzem, głównie zajmuje się nagrobkami, grobami i grobowcami, ale został także zatrudniony przez katedrę do zgrubnych napraw i w związku z tym ma wszystkie klucze do wieży katedralnej, krypty, bocznych drzwi i innych oczywistych lub zapomnianych wejść. Panie Dradles, mam z kolei zaszczyt przedstawić panu pana Wilkiego Collinsa.

Przygarbiona, zarośnięta postać w zgrzebnej flaneli z poszczerbionymi, rogowymi guzikami burknęła coś, co mogło być powitaniem. Skłoniłem się i odpowiedziałem bardziej uprzejmym pozdrowieniem.

– Dradles… – rzuciłem potem wesoło. – Co za cudowne nazwisko! Jest prawdziwe czy to jakiś efekt uboczny pańskiej profesji?

– Dradles to nazwisko Dradlesa – burknął człowieczek. – A Dradles zastanawia się, czy Collins to prawdziwe nazwisko, czy może wymyślone? I Dradles nie przypomina sobie, żeby Wilkie to było chrześcijańskie imię.

Zamrugałem zaskoczony i wyprostowałem się, w czysto męskim odruchu mocniej chwytając laskę w odpowiedzi na tę zawoalowaną zniewagę.

– Nadano mi imię na cześć sir Davida Wilkie, słynnego szkockiego malarza – odpowiedziałem sztywno.

– Skoro tak pan mówi, szefie – burknął Dradles. – Chociaż nigdy nie słyszałem o Szkocie, co by dobrze pomalował stajnię, że już nie wspomnę o kościele albo domu.

– Pierwsze imię Wilkiego brzmi tak naprawdę William – powiedział Dickens; uśmiechał się, jakby świetnie się bawił.

– Billy Collins – warknął Dradles. – Dradles znał Billy’ego Collinsa, kiedy Dradles był dzieciakiem. Dokuczliwy irlandzki chłopak, który miał nie więcej rozumu i rozsądku od barana.

Chwyciłem laskę jeszcze mocniej i spojrzałem na Dickensa, posyłając mu jasną wiadomość: „Czy muszę tu zostać i znosić uwagi tego wioskowego pijaka?”.

Zanim Dickens – który nadal się uśmiechał – zdążył odpowiedzieć, naszą uwagę odwrócił pocisk, który przeleciał między nami, o mały włos nie trafiając Dickensa w ramię, a

mnie w ucho, i odbił się od rdzawej czapki trzymanej przez Dradlesa w brudnej prawej ręce. Drugi mały kamień śmignął nad moim lewym ramieniem i trafił kamieniarza prosto w pierś.

Dradles burknął znowu, ale nie robił wrażenia ani zaskoczonego, ani zranionego.

Dickens i ja odwróciliśmy się i zdążyliśmy zobaczyć małego chłopca, nie więcej niż siedmio–, ośmiolatka, rozczochranego, w obdartym ubraniu i z rozwiązanymi sznurówkami, chowającego się za nagrobkiem w pobliżu muru, który oddzielał cmentarz od drogi.

– Nie czas na to! Nie czas! – krzyknął Dradles.

– Kłamiesz! – krzyknął mały obdartus i rzucił kolejnym kamieniem w kamieniarza.

Dickens i ja odsunęliśmy się od krzepkiego celu chłopca.

– Niech szlag trafi twoje przeklęte oczy! – wrzasnął Dradles. – Jak Dradles mówi, że to nie czas, to znaczy: nie czas. Nie ma dziś herbaty! Zbieraj się do „Thatched & Twopenny” i skończ z rzucaniem, albo nie dostaniesz dzisiaj pół pensa od Dradlesa!

– Kłamiesz! – odpowiedziało diablę i rzuciło kolejnym kamieniem, tym razem większym, trafiając kamieniarza tuż nad kolanem.

Brudne odłamki kamienia, grudki starej zaprawy i pył wapienny posypały się ze spodni Dradlesa, kiedy jego prześladowca krzyczał:

– Tere–fere kuku! Złapałem cię na dworze w wieczorowej porze!

Dradles westchnął i powiedział:

– Dradles czasem płaci chłopakowi pół pensa, żeby ten zagnał go do domu, jeśli Dradles zapomni wrócić do domu na herbatę albo po dziesiątej pójść do gospody. To zwykle moja pora na herbatę; widać, zapomniałem wyłączyć mój budzik.

Dickens zawył ze śmiechu i klepnął się w udo z uciechy, słysząc to wyjaśnienie. Kolejny mały kamyk przeleciał obok nas i prawie trafił kamieniarza w policzek.

– Wstrzymaj się! – ryknął Dradles do małej zjawy w

rozsznurowanych butach, biegającej od nagrobka do nagrobka. – Albo nie dostaniesz pół pensa przez dwa tygodnie i więcej! Dradles ma interesy do załatwienia z tymi dżentelmenami, a im nie w smak to rzucanie kamieniami.

– Kłamiesz! – wrzasnął chłopak z mroku za jakimś krzakiem między starymi nagrobkami.

– Nie będzie nas więcej nękał, dopóki nie zakończymy naszych spraw – zapewnił nas Dradles. Zerknął na mnie, a potem nieco mniej złowrogo na Dickensa. – Co pan chciał, żeby Dradles panu pokazał tego wieczoru, panie D.?

– Pan Wilkie Collins i ja chcielibyśmy zobaczyć, czy pojawiło się coś nowego w pańskim miejscu pracy – odpowiedział Dickens.

Dradles burknął na nas oparami rumu.

– Chyba chciał pan powiedzieć: coś starego – warknął. – W grobowcach nie ma miejsca na nowości. A przynajmniej nie ostatnimi czasy.

– Wobec z tego z radością zobaczymy coś starego – zgodził się Dickens. – Prosimy przodem, panie Dradles. Pan Collins i ja oferujemy nasze chętne, jeśli niezbyt szerokie plecy, żeby osłonić pana przed szybkostrzelnym prześladowcą.

– Licho by wzięło tego Deputy'ego – burknął zagadkowo Dradles. – Kamienie to praca Dradlesa, życie i jedyna miłość poza napitkiem, więc parę kamyków więcej nie zrobi mu różnicy.

I tak, poprzedzani przez Dradlesa, Dickens i ja ruszyliśmy w stronę wielkiej katedry, której zimny cień pochłonął teraz cały cmentarz.

***

Na obrzeżach cmentarza znajdował się kopczyk, a w nim ziała jama, z której unosiły się opary. Dradles, przyciskając ciężki tobołek do piersi, minął ją bez słowa, ale Dickens przystanął i zagadnął:

– To wapno, prawda?

– A owszem – odpowiedział Dradles.

– Tak zwane gaszone wapno? – spytałem.

Stary mężczyzna zerknął na mnie przez ramię.

– Zgadza się. Pożarłoby pański garnitur, guziki i buty bez niczyjej pomocy, panie Billy Wilkie Collins. A gdyby trochę zamieszać, to pożarłoby też większość pańskich okularów, zegarka, zębów i kości.

Dickens wskazał dymiącą jamę i uśmiechnął się zagadkowo. Zdjąłem okulary, potarłem załzawione oczy i poszedłem za nim i Dradlesem.

Zakładałem, że wespniemy się na wieżę. Dickens często przywoził gości do Rochester – to dostatecznie blisko z Gad's Hill – i niemal zawsze aranżował to tak, żeby mogli wejść na wieżę i spojrzeć na stare miasteczko, całe z szarego kamienia i cienistych uliczek. Z jednej strony rozpościerało się morze, z drugiej las i drogi ciągnęły się z powrotem do Gad's Hill i dalej, aż do drugiej części horyzontu.

Nie tym razem.

Po długim pobrzękiwaniu kluczami (stary kamieniarz miał najwyraźniej klucze we wszystkich przydużych kieszeniach flanelowych spodni, marynarki i kamizelki) Dradles otworzył ciężkie boczne drzwi i zeszliśmy za nim wąskimi, kamiennymi schodami do krypty.

Chętnie powiem Ci, Drogi Czytelniku, że miałem już serdecznie dość krypt. Nie mam Ci za złe, jeśli Ty także. Spędziłem poprzednią noc w pachnącej opium przestrzeni, która przypominała ni mniej, ni więcej tylko kryptę właśnie, i przez miniony rok z okrawkiem aż nazbyt zbyt często podążając za Charlesem Dickensem, trafiałem do podobnych wilgotnych miejsc.

Dradles nie przyniósł latarni, a my żadnej nie mieliśmy przy sobie. Gasnące listopadowe światło spływało bladymi snopami z góry, przez okna w sklepieniu krzyżowym, które dawno temu straciły szyby. Szliśmy między potężnymi filarami, które wznosiły się nad nami do właściwej katedry niczym wielkie korzenie albo pnie drzew z kamienia, a w ich cieniach ciemność była niemal absolutna, trzymaliśmy się jednak wąskich uliczek słabnącego światła.

Dradles położył niekształtny węzełek na kamiennej półce, rozsupłał troki i zaczął grzebać w środku. Spodziewałem się, że ekshumuje butelkę – słyszałem przelewanie się płynu – ale zamiast tego wyjął mały młotek.

– Popatrz na to, Wilkie! – szepnął Dickens. – I słuchaj! I ucz się.

Uważałem, że dość się nauczyłem jak na jeden dzień, ale ruszyłem, kiedy Dradles zawiązał z powrotem tobołek i poprowadził nas jeszcze węższym korytarzem między jeszcze potężniejszymi kolumnami i ciemniejszymi sadzawkami cienia. Nagle zaczął uderzać w wewnętrzne ściany.

– Słyszycie to? – zapytał. Idiotyczne pytanie, uznałem, zważywszy że pukanie rozległo się echem w całej krypcie. – Stukam i lite – szepnął. – Teraz dalej postukam… nadal lite. Stukam dalej. Nadal lite. I dalej… Hola! Pustka! Przejdziemy tu za zakręt, proszę uważać na stopień, tam w ciemności są schody, idziemy dalej i dalej stukamy, i uszy Dradlesa nadal słyszą to, czego wasze uszy i uszy innych nie słyszą i nie potrafią usłyszeć i… Aha! Tu lite w pustym! A w środku lite i znowu puste!

Wszyscy przystanęliśmy. Za zakrętem, gdzie zapewne kolejne stopnie prowadziły w dół do głębszej krypty, było bardzo ciemno.

– Co to znaczy? – spytałem. – W środku lite i znowu puste?

– A jakże, to znaczy, że tam jest staruszek, truposz, co się rozpadł, panie Billy Wilkie Collins! – warknął Dradles. – Staruszek w kamiennej trumnie i kamienna trumna w krypcie!

Czułem na sobie wzrok Dickensa, jakby dedukcja owego Dradlesa była wielkim wyczynem, ale ja pozwoliłem sobie pozostać nieco mniej niż poruszonym. Nie był to przypadek tego francuskiego zjawiska, którym się nieco interesowałem – *clairvoyance*, czyli „jasnowidzenia”. Przecież byliśmy w krypcie kościelnej. Nie trzeba było pijanego chama bawiącego się młotkiem kamieniarskim, żeby nam powiedzieć, że za tymi ścianami są kości.

Dradles poprowadził nas dalej w głąb krypty.

Potrzebowaliśmy teraz latarni, ale jej nie mieliśmy. Korzystałem z laski, żeby ostukiwać nieregularne kamienne stopnie pod stopami, kiedy schodziły spiralą w dół wokół jednej z gigantycznych podpór, w której mieściły się groby i która podtrzymywała całą katedrę. Ubrałem się z myślą o wyjątkowo ciepłym i słonecznym popołudniu i chłód podziemi sprawił, że zadrżałem i zatęskniłem za domem i ogniem.

– A owszem – powiedział Dradles, jakbym odezwał się na głos – tutejsze zimno jest gorsze niż zwykłe zimno. To wilgoć. Wilgoć od ziemi. Zimny oddech zmarłych po obu naszych stronach i pod nami, a za minutę też nad nami. Oddech martwych sięga aż do katedry w górze i plami kamień, odbarwia ładne freski, sprawia, że drewno gnije, a chór trzęsie się w swoich szatach. Dradles słyszy wilgoć od ziemi, jak sączy się przez szpary i szczeliny tych starych trumien, tak samo, jak słyszy echo staruszków, odpowiadające na jego pukanie.

Już chciałem odpowiedzieć sarkastycznie, ale zanim zdążyłem się odezwać, znowu rozległo się zaskakujące PUK, PUK, PUK jego młoteczka. Tym razem wyobraziłem sobie, że sam słyszę coś w złożonym echu. Głos Dradlesa rozbrzmiewał nadzwyczaj głośno w krętym kamiennym pomieszczeniu:

– Jest ich dwójka, jakieś siedem stóp w głąb, dwóch staruszków, każdy z pastorałem, pewnie musieli się o siebie zahaczać, jak się tu potajemnie spotkali, prawie jak na schadzce, zwłaszcza że było tak ciemno, kiedy ludzie mieli tylko świece. Wyłożyli ich dawno temu w czymś, co było podziemną kaplicą, zamknęli, kiedy potoczyły się głowy i wszyscy wznosili toasty za Ślicznego księcia Karolka i tak dalej.

Dickens i ja staliśmy w ciemności na swoich miejscach, a Dradles zszedł kilkanaście stopni dalej. Chłodny dotyk wilgoci od ziemi owiewającej nam kostki i szyje sprawił, że dostałem gęsiej skórki.

PUK, PUK, PUK… PUK, PUK… PUK, PUK, PUK, PUK.

– Jest! – krzyknął Dradles, a jego głos rozległ się okropnym

echem. – Słyszą to panowie?

– Co słyszymy, panie Dradles? – zapytał Dickens.

Rozległo się skrobanie i odgłos szurnięcie.

– To tylko maja miarka – odpowiedział Dradles. – Dradles mierzy w ciemności. Mierzenie w ciemnościach to właśnie to, co Dradles robi. Mur jest tu grubszy… dwie stopy kamienia, a potem cztery stopy pustej przestrzeni. Dradles słyszy odgłos gruzu i śmieci zostawionych między kamienną trumną i kamienną ścianą przez niedbalców, którzy pochowali tam staruszka. Sześć stóp stąd staruszek czeka wśród odpadków i odprysków, po prostu leży i czeka, bez płyty na trumnie. Gdybym się przebił z większym młotem i oskardem, ten staruszek, w biskupiej czapie i z pastorałem (albo i nie), usiadłby, otworzył oczy i powiedział: „Ależ, Dradles, dobry człowieku, czekałem na ciebie diabelnie długo!”. A potem ani chybi obróciłby się w pył.

– Wyjdźmy stąd – powiedziałem.

Zamierzałem to wyszeptać, ale mój głos rozbrzmiał bardzo głośno wśród krętej ciemności i wilgoci bijącej od ziemi.

***

Na zewnątrz, w ostatnich resztkach listopadowego wieczornego światła Dickens dał bezczelnemu człowiekowi kilka monet i odprawił go z podziękowaniami i z czymś, co dla mnie zabrzmiało jak konspiracyjny śmiech. Dradles odszedł zgarbiony, nadal ściskając swój tobołek. Odszedł niecałe dwadzieścia kroków, kiedy rozległ się krzyk:

– Tere–fere kuku! Złapałem go na dworze w wieczorowej porze! Tere–fere kuku! Ja się ukryję, a on nie wyżyje!

I zaraz poleciał prawdziwy grad kamyków ciskanych wokół i w samą postać w szarej flaneli.

– Co to za postać! – wykrzyknął Dickens, kiedy Dradles i zwariowany dzieciak w końcu zniknęli nam z oczu. – Co za wspaniała postać! Wiesz, mój drogi Wilkie, że kiedy pierwszy raz spotkałem pana Dradlesa, był zajęty wykuwaniem w kamieniu inskrypcji na nagrobek, który miał wkrótce zostać

postawiony dla zmarłego cukiernika, jak mniemam, i kiedy mu się przedstawiłem, natychmiast odrzekł: „Tu, w moim świecie, jestem trochę jak pan, panie Dickens”. Potem wskazał na wszystkie groby, nagrobki i przygotowywane płyty nagrobne wokół i dodał: „Znaczy, żyję otoczony przez swoją pracę i słowa zupełnie jak popularny pisarz”.

Znowu się zaśmiał, a ja pozostałem nieoczarowany i niewzruszony. Wewnątrz oświetlonej teraz katedry chór śpiewał: „Powiedzcież mi, pasterze, powiedzcie…”.

– Wiesz co, Wilkie? – zagadnął Dickens, nadal w dobrym humorze mimo późnej godziny i chłodnej bryzy, która nas owionęła, poruszając kruchymi liśćmi na płycie nagrobnej, przy której jedliśmy kilka godzin temu. – Myślę, że znam nazwisko kantora.

– Tak? – powiedziałem, pozwalając, żeby mój głos przekazał cały brak zainteresowania tym faktem.

– Tak. Myślę, że nazywa się Jasper. Jacob Jasper, jak sądzę. Nie, John Jasper. Tak właśnie. Jack dla swojego ukochanego i kochającego siostrzeńca.

To nie było w stylu Dickensa tak paplać, przynajmniej nie na tak banalny temat.

– Nie może być – powiedziałem tonem, którego używałem wobec Caroline, kiedy pytlowała coś do mnie, gdy czytałem gazetę.

– Może – odparł Dickens. – A znasz tajemnicę pana Jaspera, mój drogi Wilkie?

– Skąd miałbym ją znać? – odpowiedziałem odrobinę szorstko. – Jeszcze sekundę temu nie miałem nawet pojęcia o istnieniu kantora.

– Rzeczywiście – powiedział Dickens, zacierając dłonie. – Sekretem mojego Johna Jaspera jest to, że uzależnił się od opium.

Skóra twarzy mi ścierpła i złapałem się na tym, że stoję sztywno wyprostowany. Myślę, że przez jakieś pół minuty, albo całą, w ogóle nie oddychałem.

– To najgorszego rodzaju uzależnienie – ciągnął Pan Niezrównany. – Nie dla pana Jaspera laudanum albo

tynktura z opium, jakie zażywają w celach leczniczych cywilizowani biali ludzie. Och, nie! Pan John Jasper wybiera się do najgorszych dzielnic Londynu, a potem do najgorszych slumsów tych najgorszych dzielnic i szuka najgorszej, to znaczy dla niego najlepszej, palarni opium.

– Czyżby? – zdołałem wykrztusić.

Czułem wilgoć od ziemi zakradającą mi się przez kości do mózgu i języka.

– I nasz kantor Jasper jest także mordercą – powiedział Dickens. – Wyrachowanym mordercą, który zabija z zimną krwią. Który nawet w snach opiumowych zamierza odebrać życie komuś, kto go kocha i mu ufa.

– Dickensie – powiedziałem w końcu – co ty, u diabła, wygadujesz?

Poklepał mnie w plecy, kiedy ruszyliśmy przez cmentarz w stronę drogi, na którą właśnie wrócił jego powóz.

– Mówię o literaturze, rzecz jasna – odpowiedział ze śmiechem. – To widmo przebłysku cienia pomysłu, postać, sugestia historii. Sam wiesz, jak to się dzieje, mój drogi Wilkie.

Udało mi się przełknąć ślinę.

– Oczywiście. Czy o to ci właśnie chodziło przez całe dzisiejsze popołudnie i wieczór, mój drogi Dickensie? To przygotowania do jednej z twoich książek? Może do czegoś do „All the Year Round”?

– To nie są przygotowania do mojej książki! – wykrzyknął Dickens. – Tylko do twojej, mój drogi Wilkie! Do twojego *Zęba węża*.

– Do *Oka węża* – poprawiłem go. – Albo może *Wężowego oka*.

Dickens zbył tę różnicę machnięciem ręki. Coraz trudniej było mi go zobaczyć w pogłębiającym się mroku. Zapalono lampy na powozie.

– Nieważne – odparł. – Pomysł to opowieść, przyjacielu. Masz swojego cudownego sierżanta Cuffa, ale nawet najlepszy detektyw potrzebuje zagadki do rozwiązana, jeśli ma się do czegoś przydać czytelnikom, jeśli ma ich

zainteresować. To właśnie miałem nadzieję, że wyniknie z naszego obiadu i wyprawy z Dradlesem.

– Zagadka? – powtórzyłem głupio. – Jaka zagadka pojawiła się tu dzisiaj?

Dickens rozłożył ręce, obejmując tym gestem ciemną katedrę, ciemniejszy cmentarz, groby i nagrobki.

– Wyobraź sobie złoczyńcę tak diabolicznego i sprytnego, mój drogi Wilkie, że morduje kogoś tylko po to, żeby posmakować morderstwa. Nie morduje członka rodziny, jak to było w sprawie z Road Hill, którą obaj tak się zainteresowaliśmy, ale kogoś obcego albo bez mała obcego. Morderstwo bez żadnego motywu.

– Dlaczego, u licha, jakikolwiek człowiek miałby coś podobnego zrobić? – zapytałem.

Słowa Dickensa nie miały dla mnie najmniejszego sensu.

– Właśnie wyjaśniłem – powiedział, być może z odrobiną irytacji. – Żeby posmakować morderstwa. Wyobraź sobie, jaki byłby to skarb dla pisarza takiego jak ty… albo ja. Dla każdego twórcy piszącego z polotem, już nie wspomnę o prozie sensacyjnej, z której słyniesz, mój drogi Wilkie.

– Mówisz o przygotowaniach do odczytania sceny morderstwa w czasie nadchodzącej trasy? – spytałem.

– Dobre nieba, skądże znowu. Moja biedna Nancy czeka, aż ten wcielony diabeł, Bill Sikes, pewnego dnia z nią skończy, ale jeszcze nie teraz. Już odnotowałem poprawki do metody i opisu tej krwawej masakry. Mówię o twojej opowieści, przyjacielu.

– Ale moja opowieść jest o brylancie, który przynosi pecha rodzinie, która…

– Och, niech diabli wezmą ten brylant! – krzyknął Dickens. – To był tylko pierwszy szkic pomysłu. Koh–i–noor był rozczarowaniem dla wszystkich, którzy specjalnie wybrali się go obejrzeć na Wielkiej Wystawie Światowej. Miał obrzydliwy kolor, żółtawy jak uryna, żaden to prawdziwy brylant dla angielskiego oka. Odrzuć ten nic niewart klejnot, Wilkie, i podążaj ścieżką nowej opowieści!

– Jakiej opowieści?

Dickens westchnął. Wyliczył składniki na palcach dłoni w rękawiczce.

– Składnik pierwszy: zabójca, który morduje bez mała obcą osobę tylko po to, żeby posmakować morderstwa. Składnik drugi: idealny sposób, by pozbyć się ciała. Twój sierżant Cuff będzie musiał nieźle się wysilić, zanim to rozgryzie!

– O czym my mówimy? – spytałem. – Nie zetknąłem się z żadnym niezawodnym sposobem pozbycia się ciała w czasie naszego dziwacznego pikniku i jeszcze dziwaczniejszej wycieczki z pijanym Dradlesem.

– Ależ oczywiście, że tak! – wykrzyknął Dickens. – A wapno gaszone? Z pewnością nie zapomniałeś o Jamie!

– Moje oczy i nos nie zapomniały.

– I bardzo dobrze, mój drogi Wilkie! Wyobraź sobie przerażenie czytelników, kiedy pojmą, że twój morderca, twój zwykły, przypadkowy morderca, niczym Jago kierowany pozbawioną motywu złośliwością, rozpuścił ciało jakiegoś biednego człeka w jamie z gaszonym wapnem. Wszystko prócz ostatnich paru kostek, perłowych guzików i może zegarka. Albo czaszki.

– Nadal pozostałyby te ostatnie kości. I zegarek, i czaszka – zauważyłem z ponurą miną. – A jama na widoku tylko czekałaby, aż sierżant Cuff i policja ją odkryją.

– Ależ skąd! – zawołał Dickens. – Nie zrozumiałeś podarunku, jaki ci dałem pod postacią Dradlesa? Twój złoczyńca powinien zwerbować, świadomie, czy też nie, to już będzie zależało od twojego osądu pisarskiego, rzecz jasna, właśnie taką postać jak Dradles, która pomoże mu pochować biedne, żałosne szczątki zamordowanej ofiary w takim grobie albo krypcie, jakie widzieliśmy, a raczej słyszeliśmy dziś wieczorem. Ostatnie resztki zamordowanego mężczyzny (albo kobiety, jeśli chcesz stworzyć naprawdę sensacyjną powieść, przyjacielu) powinny zostać pochowane obok „staruszków”, i to będzie jego koniec, dopóki twój sprytny sierżant Cuff nie rozwiąże zagadki dzięki serii wskazówek, które tylko Wilkie Collins może mu podsunąć.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu zakłócanym tylko przez

poruszenia pary koni przy powozie i bardziej ukradkowe ruchy zmarzniętego stangreta na budzie. Wreszcie powiedziałem:

– Wszystko to bardzo piękne… bardzo Dickensowskie, bez wątpienia… ale myślę, że wolę swój pierwotny pomysł z baśniowym klejnotem świętym dla Hindusów albo innych pogan, który przynosi nieszczęście jakiejś znakomitej angielskiej rodzinie.

Dickens westchnął.

– Och, cóż. Skoro się przy tym upierasz. Zaglądaj darowanemu koniowi w zęby, skoro nalegasz.

Usłyszałem jednak, jak o wiele ciszej dodał:

– Chociaż klejnot i Hindusi byli moim pomysłem, który teraz uważam za zbyt słaby, by udźwignął powieść. – Zaraz potem powiedział głośno: – Mogę cię podwieźć na dworzec?

Nietypowy dla Dickensa brak zaproszenia na kolację w Gad’s Hill powiedział mi to, co już wiedziałem – że zje kolację z Ellen Ternan i tej nocy nie zamierza wracać do Gad’s Hill Place.

– Bardzo chętnie – powiedziałem. – Caroline będzie j uż na mnie czekała.

Przytrzymując dla mnie drzwi powozu, Dickens powiedział cicho, pewnie, żeby stangret nie słyszał:

– Zanim dziś wieczorem zjesz kolację ze ślicznym Gospodarzem albo rozkosznym Kamerdynerem, mój drogi Wilkie, radziłbym ci zmienić szaty i może wziąć ciepłą kąpiel. – Przystanąłem z jedną nogą na stopniu, ale zanim mogłem coś powiedzieć na temat opium czy czegokolwiek innego, Dickens dodał niewinnie: – Krypty pozostawiają na człowieku echo wilgoci od ziemi, sam wiesz… Nasz przyjaciel Dradles cudownie nam to pokazał.

Rozdział 19

– Charles Dickens zamierza zamordować Edmonda Dickensona!

Po raz drugi w ciągu osiemnastu miesięcy usiadłem prosto na łóżku, przebudzony z głębokiego snu po laudanum i wykrzyknąłem te słowa.

– Nie – powiedziałem w ciemności, nadal na poły pogrążony we śnie, ale także przepojony absolutną dedukcyjną pewnością jeszcze niestworzonego sierżanta detektywa Cuffa. – Charles Dickens już zamordował Edmonda Dickensona.

– Wilkie, kochanie – odezwała się Caroline, siadając obok mnie i łapiąc mnie za rękę. – O czym ty mówisz? Mówiłeś przez sen, ukochany.

– Zostaw mnie w spokoju – warknąłem nieprzytomnie, zrzucając jej rękę. Wstałem, naciągnąłem koszulę nocną i podszedłem do okna.

– Wilkie, kochanie…

– Cisza!

Serca waliło mi jak młotem. Starałem się nie stracić klarowności mojego sennego olśnienia.

Znalazłem zegarek na sekreterze i sprawdziłem godzinę. Było nieco po trzeciej nad ranem. Na zewnątrz bruk był śliski od prószącego śniegu z deszczem. Spojrzałem na uliczną latarnię, a potem przyglądałem się małemu gankowi opuszczonego domu na rogu naprzeciwko latarni, aż dojrzałem cień, który się tam kulił. Posłaniec inspektora Fielda, chłopiec o dziwnych oczach, na którego inspektor wołał Gooseberry, nadal tam był, ponad rok po tym, jak pierwszy raz go tam wypatrzyłem.

Wyszedłem z sypialni i ruszyłem do gabinetu, ale przystanąłem na półpiętrze. Była noc. Drugi Wilkie będzie tam czekał, najpewniej siedząc przy moim biurku i patrząc na drzwi nieruchomymi oczami. Zamiast tego zszedłem więc do małego sekretarzyka w salonie, gdzie Caroline i Carrie

trzymały swoje przybory piśmiennicze. Założywszy porządnie okulary na nos, napisałem:

Inspektorze Field!

Mam powód wierzyć, że Charles Dickens zamordował młodego człowieka, który przeżył katastrofę kolejową pod Staplehurst, pana Edmonda Dickensona. Proszę spotkać się ze mną o dziesiątej rano na Waterloo Bridge, żebyśmy mogli omówić dowody i przygotować sposób, w jaki doprowadzimy do tego, by Dickens przyznał się do zamordowania młodego Dickensona.

Pański sługa uniżony,

Wiliam Wilkie Collins

Patrzyłem na list przez dłuższą chwilę, po czym skinąłem głową, złożyłem kartkę, włożyłem do cienkiej koperty, posłużyłem się pieczęcią ojca, żeby ją zapieczętować i włożyłem do wewnętrznej kieszeni szlafroka. Potem wyjąłem kilka monet z portfela, znalazłem płaszcz w szafie w przedpokoju, naciągnąłem kalosze na ranne pantofle i wyszedłem w noc.

Dotarłem do latarni po mojej stronie ulicy, kiedy cień na ganku naprzeciwko oderwał się od głębszych mroków pod okapem. Chłopiec natychmiast przeszedł przez ulicę, wybiegając mi na spotkanie. Nie miał wierzchniego okrycia i straszliwie dygotał na deszczu i zimnie.

– Ty jesteś Gooseberry? – spytałem.

– Tak, psze pana.

Położyłem rękę na liście, ale z jakiegoś powodu go nie wyjąłem.

– Gooseberry to twoje nazwisko? – zapytałem.

– Nie, proszę pana. Tak na mnie woła inspektor Field.

Oczy chłopca wyróżniały się nie tylko niedorzeczną wyłupiastością, ale także tym, że wydawało się, że turlają się w tę i z powrotem jak dwa okrągłe pociski w kieliszkach do jajek. Zacisnąłem palce na liście do jego zwierzchnika, ale nadal się wahałem.

– Jesteś zamiataczem ulic, Gooseberry?

– Byłem, proszę pana. Już nie jestem.

– A kim teraz jesteś, chłopcze?

– Teraz szkolę się u wielkiego inspektora Fielda na detektywa – odpowiedział z dumą Gooseberry, ale bez śladu przechwałki.

Drżąc, zakaszlał. To był kaszel z głębi piersi, z rodzaju tych, które wywoływały panikę u mojej matki za każdym razem, gdy podobny dźwięk dobywał się z ust Charlesa albo moich, kiedy byliśmy dziećmi – ale urwis miał dość dobrego wychowania, żeby zasłonić przy tym usta.

– Jak się naprawdę nazywasz, chłopcze? – spytałem.

– Guy Septimus Cecil – odpowiedział chłopiec, dzwoniąc zębami.

Wypuściłem list z ręki, wyjąłem pięć szylingów i upuściłem je w pośpiesznie podniesioną dłoń Guya Septimusa Cecila. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek widział u kogoś takie zdziwienie, może z jednym wyjątkiem – zbirów, których pan Reginald Barris pobił pałką w Birmingham.

– Nie będzie żadnych wiadomości ode mnie do twojego zwierzchnika tej nocy ani przez następne trzy dni i noce, panie Guyu Septimusie Cecilu – powiedziałem cicho. – Idź zjeść ciepłe śniadanie. Wynajmij pokój, ogrzewany pokój. Az tego, co ci zostanie, kup płaszcz… Coś z porządnej angielskiej wełny, żeby narzucić na te szmaty. Na nic się nie przydasz ani inspektorowi Fieldowi, ani mnie, jeśli zaziębisz się na śmierć tutaj.

Oczy chłopca stale strzelały na boki, ale wydawało się, że ani razu nie skupił wzroku na mojej osobie.

– No już, zmykaj! – przykazałem surowo. – I niech cię tu nie widzę do przyszłego wtorku!

– Tak jest, psze pana – powiedział z powątpiewaniem Gooseberry.

Jednakże odwrócił się i pobiegł z powrotem na drugą stronę ulicy, zawahał się koło ganku, po czym popędził ulicą w stronę obiecanego ciepła i strawy.

***

Postanowiwszy, że sam wykonam ciężką detektywistyczną pracę dotyczącą morderstwa Edmonda Dickensona, zabrałem się do tego z determinacją już następnego ranka. Wzmocniwszy się dwoma i pół kieliszkami laudanum (jakieś dwieście kropel, jeśli ktoś odwoływałby się do aptekarskich miar), wsiadłem do pociągu jadącego w południe do Chatham, gdzie wynająłem dwukółkę, żeby powiozła mnie – chociaż zważywszy na wiek i obojętność zarówno konia, jak i woźnicy należałoby powiedzieć, że raczej mnie „powlokła” – do Gad’s Hill Place.

Zbliżając się do ważnej rozmowy z Dickensem, zacząłem wyraźniej widzieć bezkształtny wcześniej pomysł fikcyjnego detektywa w *Oku węża* (albo może *Wężowym oku*), sierżanta Cuffa. Zamiast być szorstkim, powściągliwym i opryskliwym inspektorem Bucketem z *Samotni* Dickensa, postacią pozbawioną polotu w najbardziej dosłownym rozumieniu tego określenia, pomyślałem, że, skoro ma być tak ewidentnie wzorowany na młodszej wersji prawdziwego inspektora Fielda, mój sierżant Cuff będzie wysoki, szczupły, niemłody, ascetyczny i racjonalny. Nade wszystko racjonalny, jakby był uzależniony od racjonalnego wnioskowania. Wyobraziłem sobie także mojego ascetycznego, siwowłosego, logicznego sierżanta Cuffa o szczupłej twarzy, ostrych rysach i bladych oczach jako człowieka tuż przed emeryturą. Zdałem sobie sprawę, że nie będzie mógł się doczekać, kiedy po zakończeniu pracy detektywistycznej poświęci się pszczelarstwu. Nie, nie pszczelarstwu, to za dziwne, zbyt ekscentryczne, za trudne dla mnie do zbadania. Może… hodowli róż. To było to… Róże. Wiedziałem co nieco o różach, o opiece nad nimi i rozmnażaniu. Sierżant Cuff będzie wiedział… wszystko o różach.

Większość detektywów zaczyna od morderstwa i dotarcie do mordercy okrężną drogą, po poszlakach, zajmuje im całe wieki, ale sierżant Cuff i ja odwrócimy proces, zaczynając od mordercy i szukając trupa.

– Mój drogi Wilkie, co za miła niespodzianka! Przyjemność

twojego towarzystwa przez dwa dni z rzędu! – wykrzyknął Dickens, kiedy podszedłem do domu, owijając się wełnianą peleryną na zimnym wietrze. – Zostaniesz na resztę weekendu, mam nadzieję.

– Nie, chciałem zamienić tylko kilka słów, Charlesie – powiedziałem.

Jego powitalny uśmiech był tak niezaprzeczalnie dziecięco szczery – jak u małego chłopca, którego przyjaciel zjawił się niespodziewanie – że musiałem go odwzajemnić, chociaż w głębi ducha mocno trzymałem się neutralnego wyrazu twarzy sierżanta Cuffa.

– Cudownie! Właśnie skończyłem poranną pracę nad ostatnim ze wstępów i moją bożonarodzeniową historią i miałem iść na spacer. Chodź ze mną, drogi przyjacielu!

Myśl o dwunasto– albo dwudziestomilowym spacerze w tempie Charlesa Dickensa w ten wietrzny, grożący śniegiem listopadowy dzień przyprawiła mnie o ból głowy, który zaczął pulsować za prawym okiem.

– Naprawdę chciałbym, mój drogi Dickensie, ale skoro już wspomniałeś Boże Narodzenie… Widzisz, to jest jedna z rzeczy, o których chciałem z tobą porozmawiać.

– Naprawdę? – Zawahał się. – Ty, Wilkie Collins, co to zawsze pierwszy wołał „Phi! Bzdura!”, nagle zainteresowany Bożym Narodzeniem?– spytał i odchylił głowę, wydając z siebie prawdziwie Dickensowski śmiech. – Teraz mogę powiedzieć, że pożyłem wystarczająco długo, żeby zobaczyć, jak wydarza się wszystko co niemożliwe.

Zmusiłem się do kolejnego uśmiechu.

– Zastanawiałem się, czy urządzisz jak zawsze galę z okazji świąt. Sam wiesz, że ten dzień nie jest już taki odległy.

– Nie, nie, nie, nie jest – powiedział Dickens. Nagle uspokoił się i chłodno mi się przyjrzał. – Nie, obawiam się, że w tym roku nie będzie żadnej gali. Nowa seria wieczorów literackich zaczyna się na początku grudnia, o ile pamiętasz.

– Ach, racja.

– Wrócę do domu na dzień albo dwa w samo Boże Narodzenie – ciągnął Dickens – i oczywiście będziesz

zaproszony, ale w tym roku świętujemy skromniej. Przykro mi, że ci to mówię, Wilkie.

– Nie ma sprawy, w żadnym razie – zapewniłem go pośpiesznie, improwizując w tym małym przedstawieniu, które, jak miałem wrażenie, oddawałoby sprawiedliwość mającemu dopiero powstać sierżantowi Cuffowi. – Byłem tylko ciekawy… Zapraszasz Macready'ego?

– Macready'ego? Nie sądzę. Zresztą, obawiam się, że jego żona jest ostatnio niedysponowana. A i sam Macready ostatnimi czasy coraz mniej podróżuje, o ile pamiętasz, Wilkie.

– Oczywiście. A Dickenson?

– Kto?

Aha! – pomyślałem. Charles Dickens, Pan Niezrównany, powieściopisarz, człowiek o doskonałej pamięci, nie zapomniałby, nie mógłby zapomnieć, nazwiska młodego człowieka, którego ocalił pod Staplehurst. To była gra mordercy – lub przyszłego mordercy!

– Dickenson – powiedziałem. – Edmond. Z pewnością pamiętasz ostatnie Boże Narodzenie, Charlesie! Somnambulik!

– Ach, oczywiście, oczywiście – powiedział Dickens, zbywając wspomnienie i nazwisko machnięciem ręki. – Nie. Nie zapraszam Edmonda w te święta. W tym roku tylko rodzina. I najbliżsi przyjaciele.

– Naprawdę? – udałem zaskoczenie. – Myślałem, że ty i młody Dickenson byliście dość blisko.

– W żadnym wypadku – odparł Dickens, zakładając drogie i zdecydowanie za cienkie na taką pogodę rękawiczki z koźlej skórki. – Tylko zaglądałem do tego młodego człowieka od czasu do czasu w pierwszych miesiącach jego rekonwalescencji. W końcu, jak pamiętasz, Wilkie, to sierota.

– Ach, racja – powiedziałem, jakbym mógł zapomnieć o kluczowym powodzie, dla którego Dickens wybrał go na swoją ofiarę. – Właściwie to chciałem pogawędzić z młodym Dickensonem na kilka tematów, o których rozmawialiśmy w zeszłe święta. Pamiętasz może przypadkiem jego adres?

Teraz popatrzył na mnie niemalże osobliwie.

– Chcesz podjąć rozmowę, którą odbyłeś z Edmondem Dickensonem rok temu?

– Tak – przytaknąłem najbardziej autorytatywnym, miałem nadzieję, tonem sierżanta Cuffa.

Dickens wzruszył ramionami.

– Jestem bez mała pewien, że nie pamiętam jego adresu, o ile w ogóle go znałem. Właściwie to myślę, że chyba często się przeprowadzał… Niespokojny młody kawaler, wiecznie zmienia kwatery i tak dalej.

– Hmm – mruknąłem.

Mrużyłem oczy z powodu zimnego wiatru z północy, który szeleścił w przyciętych na zimę żywopłotach Dickensa i unosił ostatnie suche liście z frontowego podwórza, ale równie dobrze mogłem mrużyć oczy z powodu podejrzeń, jakie mnie ogarnęły.

– Właściwie… – dodał pogodnie Dickens – Przypominam sobie, że młody Dickenson opuścił Anglię latem lub jesienią. Żeby zbić majątek gdzieś w południowej Francji. Albo w Afryce Południowej. Albo Australii. Czy w jakimś innym, równie obiecującym miejscu.

Prowadzi ze mną grę, pomyślałem, czując elektryzujący napływ pewności siebie sierżanta Cuffa. Ale nie wie, że ja też z nim gram.

– To fatalnie – powiedziałem. – Naprawdę chciałbym ponownie spotkać młodego Edmonda. Ale cóż zrobić.

– W istocie – zgodził się Dickens głosem stłumionym przez gruby, czerwony szalik, którym owinął sobie dolną część twarzy. – Jesteś pewien, że nie wybierzesz się ze mną na spacer? Mamy idealny dzień na przechadzkę.

– Innym razem – odparłem i uścisnąłem mu dłoń. – Moja dwukółka i woźnica czekają.

Poczekałem jednak, aż pisarz zniknie mi z oczu, a stukanie jego laski przestanie dobiegać do moich uszu, i wtedy zapukałem do drzwi, podałem kapelusz i szalik służącemu, który mi otworzył, i poszedłem szybko do kuchni, gdzie Georgina Hogarth siedziała przy stole dla służby i

przeglądała menu.

– Panie Wilkie, co za miła niespodzianka!

– Witaj, witaj, Georgino – powiedziałem przyjaźnie.

Zastanawiałem się, czy nie powinienem nosić przebrania. Detektywi często noszą przebrania. Jestem pewien, że sierżant Cuff także niekiedy je nosił, mimo wyróżniającego go wzrostu i ascetycznego wyglądu. Sierżant Cuff niemal na pewno był mistrzem charakteryzacji. Z drugiej jednak strony, detektywa Scotland Yardu nie dręczyły niedostatki, które mnie uniemożliwiały przebranie się: niski wzrost, bujna broda, rzednące włosy, słaby wzrok wymagający okularów i ogromne, wypukłe czoło.

– Georgino – rzuciłem od niechcenia – właśnie wpadłem na Charlesa, który wybierał się na spacer, i zajrzałem tutaj, ponieważ planuję z przyjaciółmi niewielką kolację, ot, kilku artystów i literatów. Pomyślałem, że młody Dickenson mógłby dobrze się bawić na takim wieczorku. Nie mamy jednak jego adresu.

– Młody Dickenson? – Jej twarz nic nie wyrażała. Czyżby była wspólniczką przestępstwa? – Ach tak… – powiedziała po chwili. – Ma pan na myśli tego nudnego młodego dżentelmena, który lunatykował w noc Bożego Narodzenia w zeszłym roku?

– W rzeczy samej.

– Och, on jest potwornie nudny – powiedziała Georgina. – Nie warto go zapraszać na pańskie wspaniałe przyjęcie.

– Pewnie nie – zgodziłem się – ale pomyśleliśmy, że dobrze by się bawił.

– Cóż, pamiętam, że w zeszłym roku wysyłałam mu świąteczne zaproszenie, więc proszę pójść za mną do salonu, do sekretarzyka, gdzie trzymam swoje papiery…

„Aha!” – wykrzyknął triumfalnie duch nienarodzonego sierżanta Cuffa.

***

Kilka listów Georginy Hogarth od Dickensa do Edmonda

Dickensona wysłano do adwokata (który najprawdopodobniej przekazał je dalej) – Matthew B. Roffe'a z Gray's Inn Square. Rzecz jasna dobrze znałem tę okolicę, ponieważ sam studiowałem prawo. Co więcej, opisałem kiedyś siebie jako „adwokata z piętnastoletnim stażem, który nigdy nie prowadził żadnej sprawy ani nawet nie przywdział togi i peruki". Moje własne studia odbywały się w pobliskiej Lincoln's Inn, chociaż przyznaję, że wiązały się ze znacznie częstszą obecnością na podawanych tam posiłkach niż z nauką; pamiętam jednak, że kiedyś na jakieś sześć tygodni poważnie przysiadłem do czytania z myślą o adwokaturze. Potem moje zainteresowanie prawniczymi książkami osłabło, podczas gdy zainteresowanie posiłkami nie ustępowało. W tamtym czasie większość moich przyjaciół była malarzami, a moje własne wysiłki były głównie natury literackiej. Jednakże palestra była wtedy bardziej hojna dla dżentelmenów choćby mgliście zainteresowanych prawem i jakimś cudem, mimo braku wysiłków z mojej strony, w 1851 roku zostałem licencjonowanym adwokatem.

Nigdy nie słyszałem o panu Matthew B. Roffie i – zważywszy na obskurność jego małego, zagraconego, zakurzonego i znajdującego się na odległym trzecim piętrze biura w pobliżu Gray's Inn – klienci także o nim nie słyszeli. W małym, nisko sklepionym pokoiku pełniącym rolę recepcji nie było sekretarza, nie było też żadnego dzwonka, którym mógłbym powiadomić o swoim przybyciu. Zobaczyłem starszego mężczyznę w ubraniu, jakiego nie nosiło się od dwudziestu lat, jedzącego kotlet przy biurku zawalonym stosami teczek, testamentów, tomów i staroci. Odchrząknąłem głośno, żeby zwrócić jego uwagę.

Poprawił binokle na nosie i wyjrzał z jaskini papierzysk, mocno mrugając małymi i załzawionymi oczkami.

– E? O co chodzi? Kto tam? Proszę wejść, proszę pana! Proszę wejść, żebym pana poznał!

Wszedłem, a ponieważ nie zostałem rozpoznany, podałem swoje nazwisko. Pan Roffe cały czas się uśmiechał, ale wyraz jego twarzy nie zdradzał rozpoznania, kiedy padło moje

nazwisko.

– Otrzymałem pańskie nazwisko i adres kancelarii poprzez mojego przyjaciela, Charlesa Dickensa – powiedziałem cicho. To nie była do końca prawda, ale z pewnością nie było to też wierutne kłamstwo. – Charlesa Dickensa, powieściopisarza – dodałem.

Pomarszczona marionetka ożywiła się, a jej reakcja składała się głównie z tików i szarpnięć.

– O, rety, dobre nieba, och, tak, to znaczy… jak wspaniale, tak, oczywiście… Dickens podał mi pana, to znaczy, podał panu moje nazwisko… Och, gdzież moje maniery?… Proszę siadać, pan zechce usiąść, panie… ehm?

– Collins – podpowiedziałem.

Z krzesła, które wskazał mi ręką, nie zdejmowano stosu otwartych woluminów i zwiniętych dokumentów pewnie od lat, jeśli nie dziesięcioleci. Oparłem się więc o wysoki stołek.

– To całkiem wygodne – powiedziałem z emfazą być może nawet godną sierżanta Cuffa i dodałem: – I lepsze dla moich pleców.

– Ach, tak… cóż… Napije się pan herbaty… ach… panie… o rety, rety…

– Collins. I owszem, chętnie napiję się herbaty.

– Smalley! – krzyknął pan Roffe w stronę pustej recepcji. – Smalley, mówię przecież!

– Obawiam się, że pański sekretarz jest nieobecny, panie Roffe.

– A, tak… to znaczy, nie… – Straszy mężczyzna szukał czegoś przy kamizelce, wyjął w końcu zegarek, spojrzał na niego, marszcząc brwi, potrząsnął nim przy uchu i powiedział: – Panie Collins, jak mniemam, mamy inną porę niż kilka minut po dziewiątej rano lub wieczorem?

– W istocie – odpowiedziałem, spoglądając na własny zegarek. – Jest już trochę po czwartej po południu, panie Roffe.

– Ach, to wyjaśnia nieobecność Smalleya! – wykrzyknął starszy mężczyzna, jakbyśmy wyjaśnili wielką tajemnicę. – Zawsze idzie do domu na herbatę około trzeciej i wraca

dopiero po piątej.

– Pańska profesja wymaga długich godzin pracy – odparłem oschle.

Chętnie napiłbym się tej obiecanej herbaty.

– O tak, tak… służyć prawu to jak… jak… cóż, być może słowo „małżeństwo” jest tym, którego szukam. Pan jest żonaty, panie Collins?

– Nie, drogi panie. Ten szczęśliwy stan mnie ominął, panie Roffe.

– Mnie również, panie Collins! – wykrzyknął starszy mężczyzna, uderzając w skórzaną oprawę tomu na biurku. – Mnie również. Jesteśmy dwoma uciekinierami przed szczęściem, pan i ja, panie Collins. Jednakże prawo trzyma mnie tutaj od chwili, zanim jeszcze rano lampy zostaną zapalone, chociaż to, rzecz jasna, zadanie Smalleya zapalać lampy, aż do chwili, kiedy są gaszone późnym wieczorem.

Powoli wyciągnąłem z kieszeni marynarki nowy oprawny w skórę notes, który kupiłem specjalnie w tym celu: do pracy detektywistycznej. Potem wyciągnąłem zatemperowany ołówek i otworzyłem notatnik na pierwszej pustej stronie.

Jakby uderzył sędziowski młotek, pan Roffe usiadł jeszcze bardziej prosto i złożył ręce przed sobą – po raz pierwszy uspokajając tym samym długie, drgające palce – i, ogólnie rzecz biorąc, robił wrażenie tak uważnego, jak człowiek w jego zaawansowanych latach, obdarzony jego charakterem i wyraźnie tracący rozum, był w stanie w danych okolicznościach.

– Tak, rzeczywiście – powiedział. – A teraz przejdźmy do naszej sprawy, panie Collins. Na czym właściwie polega nasza sprawa, panie Collins?

– Pan Edmond Dickenson – powiedziałem stanowczo, słysząc twardy, a jednak zdradzający wrażliwość ton Cuffa w sylabach, które wypowiedziałem.

Dokładnie wiedziałem, jak wymyślony przeze mnie bohater przeprowadziłby takie przesłuchanie.

– A tak, oczywiście… Ma pan wieści od pana Edmonda, panie Collins?

– Nie, chociaż poznałem tego młodego dżentelmena. Przyszedłem zapytać o niego pana, panie Roffe.

– Mnie? Cóż… no tak, oczywiście… z radością służę pomocą, panie Collins i poprzez pana, rzecz jasna, panu Dickensowi, jeśli pan Dickens pragnie mojej pomocy.

– Z pewnością pragnąłby, panie Roffe, jednakże to ja jestem zainteresowany obecnym miejscem pobytu pana Dickensona. Czy mógłby mi pan podać jego adres?

Starszemu mężczyźnie zrzedła mina.

– Niestety, nie mogę, panie Collins.

– Ta informacja jest poufna?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Młody panicz Edmond zawsze był równie otwarty i klarowny jak… jak… letni deszcz, drogi panie, jeśli nie ma pan nic przeciwko, że pozwolę sobie tym porównaniem wkroczyć do literackiej domeny pana Dickensa. Pan Edmond nie miałby nic przeciwko, gdybym podał panu jego obecny adres.

Pośliniłem precyzyjnie zatemperowany ołówek i czekałem.

– Jednakże, niestety – ciągnął stary pan Roffe – nie mogę. Nie wiem, gdzie obecnie mieszka pan Edmond. Zwykł wynajmować apartament tu, w Londynie, ściśle rzecz biorąc spacerek stąd, niedaleko Gray’s Inn Square, ale wiem, że zrezygnował z niego w ciągu ostatniego roku. Nie mam pojęcia, gdzie obecnie zamieszkuje.

– Może u swojego opiekuna? – podsunąłem.

Sierżant Cuff nie pozwoliłby, żeby przeszkodziła mu ułomna pamięć starszego mężczyzny.

– Opiekuna? – powtórzył Roffe. Starszy dżentelmen robił wrażenie nieco zaskoczonego. – Cóż, to jest… znaczy to mogłoby być… niewykluczone, że mogłoby być… możliwe.

Przed rozpoczęciem tego przesłuchania przeszukałem własną pamięć i notatki z rozmowy z młodym Dickensonem osiemnaście miesięcy wcześniej w pokoju w hotelu „Charing Cross”, gdzie dochodził do siebie.

– To będzie pan Watson z Northamptonshire, zgadza się, panie Roffe? Były liberalny parlamentarzysta, o ile się nie mylę?

– Owszem – powiedział pan Roffe, ewidentnie będąc pod wrażeniem mojej wiedzy. – Jednak, niestety, nie! Drogi pan Roland Everett Watson zmarł jakieś czternaście lat temu. Młody panicz Edmond przeprowadzał się potem z miejsca na miejsce zgodnie z kaprysami sądu wyznaczającego opiekunów… pan rozumie… ciotka w Kent, podróżujący wuj z domem w Londynie: pan Spicehead przebywał w Indiach przez większość czasu, kiedy panicz Edmond pozostawał pod jego prawną opieką… słabnąca kuzynka babki przez jakiś rok… i tak dalej. Edmonda wychowywała głównie służba, pan rozumie.

Czekałem tak cierpliwie, jak byłem w stanie, zważywszy na boleśnie zniecierpliwione ponaglenia ze strony podagry.

– A potem, kiedy panicz Edmond ukończył osiemnaście lat – kontynuował myśl stary Roffe – ja zostałem wyznaczony na jego opiekuna, chociaż, rzecz jasna, była to czysto finansowa formalność. Panicz Edmond już wtedy od dawna wynajmował mieszkanie w City, a ponieważ warunki w testamencie były niezwykle hojne i elastyczne, nawet jako bardzo młoda osoba mógł uzyskać… i uzyskał… dostęp do swoich funduszy niemal bez nadzoru dorosłych… Jednakże, ponieważ ja administrowałem tymi funduszami od wielu lat, zanim jeszcze do tego doszło… Widzi pan, zajmowałem się sprawami prawnymi dziadka panicza Edmonda, dawno temu, a jego zmarli rodzice zastrzegli, że to ja powinienem zająć się księgowością spuścizny i…

– Jak zmarli rodzice pana Dickensona? – zapytałem.

Nie wszedłem mu w słowo tak bardzo, jak może się to wydawać na stronicy, ponieważ pan Roffe zrobił pauzę, żeby złapać świszczący oddech.

– Zmarli? Ależ w wypadku kolejowym, rzecz jasna! – powiedział, kiedy już mógł mówić.

„Aha!” – usłyszałem w uchu okrzyk sierżanta Cuffa. Dickenson zwraca na siebie uwagę Charlesa Dickensa w czasie poważnego wypadku kolejowego, a jego rodzice zginęli w podobnych okolicznościach. Z pewnością prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności było

niewielkie. Tylko co to znaczyło?

– Gdzie nastąpił ten wypadek? – spytałem, sporządzając precyzyjne notatki w notesie. – Nie pod Staplehurst, jak mniemam?

– Staplehurst! Dobre nieba, skąd! Tam młody panicz Edmond uległ wypadkowi i został uratowany przez pańskiego pracodawcę, pana Charlesa Dickensa!

– Charles Dickens nie jest moim… – zacząłem, ale urwałem.

To nie miało znaczenia, czy ten stary głupiec będzie się łudził, że pracuję dla Dickensa. To może nawet zachęcić go do mówienia, chociaż i bez tego mówił wystarczająco chętnie.

– A wracając do kwestii opiekuna prawnego – przypomniałem, podnosząc mój mały notatnik. – Jest pan obecnym opiekunem i doradcą finansowym Edmonda Dickensona?

– Och nie, skąd – powiedział Roffe. – Poza tym, że rola opiekuna prawnego blisko rok temu przeszła ze mnie na bardziej stosowną do tej roli osobę, panicz Dickenson w tym właśnie roku osiągnął pełnoletność. Jego dwudzieste pierwsze urodziny nadeszły czternastego września. Co roku kazałem wysyłać Smalleyowi serdecznie życzenia. Każdego roku prócz tego.

– A dlaczego w tym roku nie wysłał pan kartki, panie Roffe?

– Bo ani Smalley, ani ja nie mieliśmy pojęcia, jak się z nim skontaktować, panie Collins. – Straszy mężczyzna robił wrażenie zgnębionego tą ostatnią rewelacją.

Z dziwnie smutną pewnością zdałem sobie sprawę, że młody Dickenson prawie na pewno był jedynym klientem staruszka, jedynym klientem tego oddanego małżonka prawa, który pracował w tym maleńkim pokoiku od momentu zapalenia lamp przed świtem i długo po tym, jak niewidziane słońce zaszło.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, kim był ostatni opiekun pana Dickensona… zanim dwa miesiące temu młodzieniec

zyskał pełnoletność? – spytałem.

Pan Roffe się roześmiał.

– Pan sobie ze mnie żartuje, panie Collins.

Posłałem mu najbardziej kamienne spojrzenie sierżanta Cuffa.

– Zapewniam pana, że nie, panie Roffe.

Zakłopotanie przepłynęło po rysach starego mężczyzny, niczym chmura rzucająca cień na zerodowane pole zimą.

– Ależ z pewnością musi pan żartować, panie Collins. Skoro zjawił się pan tu w imieniu Charlesa Dickensa, jak pan powiedział, to musi pan z pewnością wiedzieć, że na prośbę samego panicza Edmonda na początku stycznia tego roku opiekę prawną i wszelką kontrolę nad sprawami finansowymi panicza Edmonda przekazano panu Charlesowi Dickensowi. To dlatego, jak zakładałem, zjawił się pan tutaj i dlatego mogłem tak swobodnie rozmawiać z panem o moim byłym kliencie… Panie Collins, dlaczego właściwie pan tu przyszedł?

***

Ledwie zauważałem ruch uliczny i mijane ulice, gdy szedłem w stronę Dorset Square i domu. Nie zauważyłem też przysadzistej, flegmatycznej postaci, która zrównała ze mną krok, dopóki się nie odezwała:

– Wyobraża pan sobie, że co pan właściwie robi, panie Collins?

To był rzecz jasna Field – przeklęty inspektor! – z twarzą jeszcze czerwieńszą niż zwykle, czy od zimnego wiatru, czy z powodu zaawansowanego wieku i picia, tego nie wiedziałem i wcale mnie to nie interesowało. Miał małe zawiniątko wciśnięte pod lewe ramię, ale z powodu wiatru mimo to lewą ręką trzymał mocno rondo jedwabnego cylindra.

Przystanąłem pośród potoku innych mężczyzn trzymających mocno swoje kapelusze, ale inspektor Field wypuścił cylinder i złapał mnie za rękę, żebym szedł dalej, jakbym był jednym z niezliczonych włóczęgów, których

znalazł na nocnej służbie.

– A co to pana interesuje? – zapytałem ostro.

W głowie nadal mi się kręciło z powodu rewelacji, jaką usłyszałem w biurze starego adwokata.

– Mnie interesuje Drood – warknął inspektor. – I pana też powinien. Co jest takiego ważnego w tym, żeby widzieć się Dickensem dwa dni z rzędu, a potem popędzić z powrotem do Londynu i rozmawiać z prawnikiem po osiemdziesiątce?

Chciałem wszystko wyrzucić z siebie: „Charles Dickens wkręcił się na pozycję opiekuna prawnego Edmonda Dickensona, zanim zamordował chłopaka! Musiał go zamordować przed wrześniem, ponieważ…”. Zdołałem jednak zachować milczenie i tylko spiorunować wzrokiem prawdziwego detektywa. Obaj zaciskaliśmy ręce na kapeluszach, kiedy zimowy wiatr od ujścia Tamizy uderzył w nas ze skowytem.

Nie widziałem w tym wszystkim żadnego sensu. Do tej pory byłem absolutnie przekonany (czy to pod wpływem laudanum, czy też nie), że Dickens zamordował młodego Dickensona tylko po to, żeby posmakować morderstwa, nie dla zysku. A teraz… Czyżby brakowało mu pieniędzy? Zarobił bez mała pięć tysięcy funtów w czasie wiosennego tournée i z pewnością otrzymał znaczącą zaliczkę na poczet sprzedaży specjalnego wydania *Dzieł Zebranych Charlesa Dickensa*, do którego właśnie kończył pisać wstępy.

Jeżeli jednak nie zabił młodego Dickensona dla pieniędzy, po co zostawałby jego opiekunem prawnym i ściągał na siebie podejrzenie? To było przeciwne wykładowi, który wygłosił na cmentarzu przy katedrze w Rochester (i który, jak teraz rozumiałem, był formą przechwalania się po fakcie), wykładowi o zamordowaniu niemal przypadkowej osoby i o tym, jak nigdy nie zostać podejrzanym, ponieważ nie będzie się miało żadnego motywu.

– No? – dopytywał się inspektor Field.

– Jakie „no”, inspektorze? – warknąłem.

Dobroczynne skutki porannego laudanum już dawno zniknęły i podagra raniła teraz każde moje ścięgno i staw. Do

oczu napływały mi łzy, z powodu przybierającego na sile bólu i wzmagającego się zimnego wiatru. Nie byłem w nastroju na krytykę, a już w szczególności nie od jakiegoś… emerytowanego policjanta.

– W co pan gra, panie Collins? Dlaczego tuż przed świtem odesłał pan mojego chłopaka do ciepłego łóżka i śniadania po zawyżonej cenie? Co pan, Dickens i niejaki Dradles robiliście wczoraj w kryptach katedry w Rochester?

Postanowiłem pozwolić, żeby odpowiedział sierżant Cuff. Jeden stary detektyw postawi się drugiemu.

– Wszyscy mamy swoje małe sekreciki, inspektorze. Nawet ci z nas, którzy są pod dwudziestoczterogodzinną obserwacją.

Twarz Fielda – już uprzednio zaczerwieniona – stała się jeszcze bardziej szkarłatna, zamieniając się w starą welinową mapę maleńkich, nabrzmiałych żył.

– Do diabła z pańskimi „sekrecikami”, panie Collins. Nie mam czasu na te przeklęte banialuki!

Przystanąłem pośrodku chodnika. W żadnych okolicznościach nie pozwoliłbym, żeby zwracano się do mnie w taki sposób. Nasza współpraca dobiegła końca. Zacisnąłem dłoń dla lasce, chcąc uspokoić jej drżenie, i otworzyłem usta, by to powiedzieć, kiedy nagle inspektor cisnął we mnie rozpieczętowaną kopertą.

– Proszę czytać – rzucił szorstko.

– Nie zamierzam… – zacząłem.

– Proszę czytać, panie Collins.

To był bardziej wywarczany rozkaz niż prośba dżentelmena. Nie pozostawiał najmniejszego miejsca na sprzeciw.

Wyjąłem z koperty pojedynczą kartkę grubego papieru. Charakter pisma był śmiały, prawie jakby list pisano pędzlem, a nie piórem, a litery bardziej wydrukowane niż wykaligrafowane. W całości brzmiał następująco:

MÓJ DROGI INSPEKTORZE!

DO TEJ CHWILI ZYSKIWALIŚMY I POŚWIĘCALIŚMY

JEDYNIE PIONKI W NASZEJ PORYWAJĄCEJ, DŁUGIEJ GRZE. TERAZ ZBLIŻA SIĘ FINAŁ ROZGRYWKI. PROSZĘ PRZYGOTOWAĆ SIĘ NA RYCHŁĄ UTRATĘ O WIELE WAŻNIEJSZYCH I CENNIEJSZYCH FIGUR.

PAŃSKI ODDANY PRZECIWNIK,

D.

– Co to, u licha, znaczy? – spytałem.

– Dokładnie to, co napisano – wycedził przez zaciśnięte zęby Field.

– I interpretuje pan podpis „D” jako „Drood”?

– To nie może być nikt inny – syknął inspektor.

– To może być „Dickens” – odpowiedziałem lekkim tonem, chociaż pomyślałem: „Albo Dickenson, albo Dradles”.

– To znaczy Drood.

– Skąd ta pewność? Czy kiedykolwiek duch przysłał panu list w podobny sposób?

– Nigdy dotąd – odparł Field.

– Zatem to może być od kogokolwiek albo…

Inspektor niósł pod lewą pachą zawiniątko z płótna i skóry, jak kuferek podróżny wieśniaka, a teraz rozwinął je i wyjął coś, co wyglądało jak podarty i zbrukany ciemny materiał. Podał mi go i powiedział:

– W to zawinięto list.

Trzymając ostrożnie strzępy materiału – łachmany były nie tylko upaprane, ale wręcz całkowicie przesiąknięte czymś, co wyglądało jak świeżo zaschnięta krew, a postrzępioną tkaninę pocięto na pasy, zupełnie jakby użyto brzytwy – już chciałem zapytać, jaką wagę może mieć kilka brudnych szmat, kiedy ugryzłem się w język.

Nagle rozpoznałem zakrwawiony materiał.

Kiedy ostatni raz widziałem te łachmany, ponad dwanaście godzin wcześniej, okrywały grzbiet chłopca imieniem Gooseberry.

Rozdział 20

Zatrzymałem się w domu mojej matki w pobliżu Tunbridge Wells na większość grudnia 1866 roku. Postanowiłem pozostać tam razem z nią aż do obchodów czterdziestych trzecich urodzin w dniu ósmym stycznia. Miło jest spędzać czas z kochanką, ale – zaufaj mi, proszę, w tej kwestii, Drogi Czytelniku, ponieważ niemal wszyscy mężczyźni czują w ten sposób, ale nieliczni są na tyle odważni lub szczerzy, by się do tego przyznać – w bardzo trudnych momentach albo w czasie urodzin nie ma miejsca bardziej upragnionego ani bardziej pocieszającego niż to u boku matki.

Dostrzegam, że niewiele Ci powiedziałem o mojej matce w tym dokumencie, Drogi Czytelniku, i muszę wyznać, że to celowe przeoczenie. Zimą na przełomie 1866/67 roku oraz przez większość następnego roku moja ukochana matka miała się całkiem dobrze. Więcej nawet: większość jej rówieśników (a także moich) uznałaby ją za bardziej aktywną, energiczną i zaangażowaną w sprawy świata niż wiele innych dwakroć młodszych kobiet. Jednakże, jak wkrótce będę musiał opowiedzieć w mojej historii, pod koniec 1867 roku miała szybko podupaść na zdrowiu i odejść z tego świata w marcu 1868, mojego własnego *annus horribilis.* Nadal trudno jest mi myśleć o tym czasie, nie mówiąc już o pisaniu. Śmierć matki to musi być najstraszniejszy dzień w życiu człowieka.

Jednakże, jak już wspomniałem, zimą 1866/67 nadal cieszyła się dobrym zdrowiem, więc mogę pisać o tym okresie z nieco mniejszym bólem.

Jak uprzednio pisałem, moja matka otrzymała na chrzcie imię Harriet i przez lata była ulubienicą w kręgu towarzyskim ojca, obejmującym znanych malarzy, poetów i dobrze zapowiadających się artystów. Po śmierci mojego ojca w lutym 1847 roku matka zaczęła spełniać się jako jedna z wybitnych gospodyń wśród wyższych sfer

artystycznej i poetyckiej społeczności w Londynie. Nasz dom w Hanover Terrace (z widokiem na Regent's Park) w czasie, kiedy moja matka była tam panią, został uznany za jedno z centrów tego, co teraz niektórzy nazywają ruchem prerafaelickim.

W czasie mojej przedłużonej wizyty u niej zaczynającej się w grudniu 1866 roku, matka zrealizowała swój dawny plan i przeprowadziła się na wieś, dzieląc czas między różne domy, które wynajmowała w hrabstwie Kent: Bentham Hill Cottage w pobliżu Tunbridge Wells, Elm Lodge w samym miasteczku i najnowszy dom na Prospect Hill, w Southborough. Pojechałem do Tunbridge Wells, żeby spędzić z nią kilka tygodni. Wracałem do Londynu co czwartek, żeby nie zaniedbać nocnych spotkań z królem Lazaree i fajką. Potem w piątek wieczorem jechałem pociągiem z powrotem do Tunbridge Wells, akurat żeby rozegrać z mamą i jej przyjaciółmi partyjkę cribbage.

Caroline nie była szczęśliwa z powodu mojej decyzji o wyjeździe na cały ten okres, przez niektórych nazywany teraz „okresem świątecznym", ale przypomniałem jej, że nigdy nie obchodziliśmy Bożego Narodzenia szczególnie hucznie – mężczyzna i jego kochanka z wiadomych przyczyn nie są zapraszani do domów jego żonatych przyjaciół o żadnej porze roku, a w okresie Bożego Narodzenia owi przyjaciele jeszcze rzadziej przyjmowali zaproszenia do naszego domu, więc pod względem towarzyskim zawsze był to dla nas martwy sezon – jednakże Caroline, wykazując się typowo kobiecym oporem wobec zdrowego rozsądku, przypomniała mi poirytowana, że wyjadę na cały grudzień i kawałek stycznia. Z kolei Martha R. przyjęła z wielką gracją moje wyjaśnienie, że pragnę uciec z Londynu i spędzić miesiąc albo więcej z matką. Chwilowo zwolniła pokój wynajęty na nazwisko „pani Dawson" i wróciła do Yarmouth i Winterton, i do swojej rodziny.

Życie z Caroline G. stawało się dla mnie coraz bardziej męczące i skomplikowane, a czas spędzany z Marthą R. prosty i przyjemny.

Jednakże czas spędzony z matką w te święta był najszczęśliwszy.

Kucharka matki, która podróżowała z nią wszędzie, znała wszystkie moje ulubione potrawy z dzieciństwa. Matka często przychodziła do mojego pokoju rano albo wieczorem, kiedy przynoszono tacę, i rozmawialiśmy, podczas gdy ja rozkoszowałem się posiłkiem w łóżku.

Kiedy uciekłem z Londynu, przepełniało mnie straszliwe poczucie winy i złe przeczucia w związku z przypuszczalną śmiercią chłopca przezywanego Gooseberry, ale po kilku dniach w domu matki ciemna chmura się odsunęła. Jak brzmiało niezwykłe imię tego chłopca? Guy Septimus Cecil. Cóż to za nonsens przypuszczać, że młody Guy Septimus Cecil został zamordowany przez mroczne siły Podmiasta reprezentowane przez cudzoziemskiego czarownika Drooda!

To wyrafinowana gra, upomniałem sam siebie. Charles Dickens prowadził swoją rozgrywkę, inspektor Field swoją (odpowiadającą rozgrywce Dickensa, ale nie identyczną), a biedny William Wilkie Collins wylądował pośrodku.

Gooseberry zamordowany, dobre sobie! Inspektor pokazał mi kilka postrzępionych ubrań spryskanych zakrzepłą krwią (równie dobrze mogła to być psia jucha albo krew z jednego z tysięcy zdziczałych kotów włóczących się po slumsach, z których wyskoczył Gooseberry) i teraz spodziewał się, że się załamię i będę wypełniał jego polecenia jeszcze bardziej wytrwale niż do tej pory.

Drood przestał być tylko widmem i stał się lotką w tym szaleńczym meczu badmintona między niezrównoważonym pisarzem z obsesją na punkcie aktorstwa i złym, starym gnomem, byłym policjantem, który miał zbyt wiele sekretnych motywów, żeby je zliczyć.

Cóż, niech pograją sobie jakiś czas beze mnie. Gościnność Tunbridge Wells i domu mojej matki dobrze mi służyła przez cały grudzień i początek stycznia. Nie tylko odzyskałem trochę zdrowia (to dziwne, ale moja podagra odpuszczała mi nieco w hrabstwie Kent i choć nadal zażywałem laudanum, to w mniejszych ilościach), ale i lepiej spałem. Moje sny były

mniej mętne i zacząłem nieco bardziej na poważnie myśleć o eleganckiej fabule i fascynujących postaciach mojego *Wężowego oka* (albo *Oka węża*). Chociaż poważne przygotowania musiały poczekać, aż w pełni powrócę do Londynu i klubowej biblioteki, mogłem – i tak też zrobiłem – przygotować wstępne notatki i zgrubny zarys powieści, często pisząc w łóżku.

Czasem myślałem o swoich obowiązkach detektywa, wymagających wyjaśnienia, czy młody Edmond Dickenson został zamordowany przez Charlesa Dickensa, ale moja rozmowa z adwokatem Dickensona wyjątkowo mało wniosła (nie licząc szoku na wieść o tym, że to sam Charles Dickens został wyznaczony na opiekuna i wykonawcę testamentu młodzieńca w ostatnich miesiącach, kiedy młody człowiek potrzebował jeszcze takiej opieki) i nawet mój bystry umysł pisarza nie potrafił wymyślić następnego kroku, jaki należało wykonać w ramach śledztwa. Postanowiłem, że kiedy wrócę do londyńskiego życia, dyskretnie rozpytam się w klubie, czy ktoś słyszał o poczynaniach pewnego dziedzica nazwiskiem Dickenson, ale poza tym nie widziałem, jaki kierunek obrać w dochodzeniach.

Zanim jednak nadszedł drugi tydzień grudnia, jedyną rzeczą, jaka zakłócała spokój mojego umysłu, był brak zaproszenia do Gad’s Hill Place na Boże Narodzenie.

Nie byłem pewien, czy w tym roku bym je przyjął (w ostatnich miesiącach pojawiło się dyskretne, lecz oczywiste napięcie między Panem Niezrównanym i mną, na które składało się między innymi moje podejrzenie, że pisarz stał się mordercą), ale z pewnością spodziewałem się, że zostanę zaproszony. Przecież Dickens w pewnym sensie zapowiedział, kiedy ostatni raz go widziałem, że jak zawsze otrzymam zaproszenie.

Jednakże do domku mojej matki zaproszenie nie przyszło. W każdy czwartek po południu albo w piątek w południe (przed wizytą u króla Lazaree lub zaraz po niej) zaglądałem do Caroline, żeby odebrać pocztę i upewnić się, że ona i Carrie mają dość pieniędzy, by opłacić wszystkie rachunki,

ale zaproszenie nie przychodziło. A potem szesnastego grudnia mój młodszy brat Charles wpadł na jeden dzień do Southborough i przywiózł ze sobą kopertę zaadresowaną do mnie charakterystycznym pismem Georginy.

– Czy Dickens mówił ci coś na temat Bożego Narodzenia? – spytałem brata, szukając noża, żeby otworzyć kopertę z zaproszeniem.

– Nic mi nie mówił – odparł kwaśno Charley.

Widziałem, że wrzody – albo to, co uważałem wtedy za wrzody – sprawiają mu ból. Mój utalentowany brat był apatyczny i przybity.

– Powiedział Katey, że jak zwykle będzie dom pełen gości… Wiem, że Chappellowie zjawią się w Gad's Hill na kilka dni, a Percy Fitzgerald na Nowy Rok.

– Hmm, Chappellowie – powiedziałem, otwierając list.

Chappellowie współpracowali z Dickensem przy organizacji tournée i, jak się domyślałem, byli skończonymi prostakami. Zdecydowałem, że z pewnością nie zostanę w Gad's Hill na cały tydzień jak zwykle, jeśli Chappellowie zamierzają zatrzymać się tam na dłuższy czas.

Wyobraź sobie moje zaskoczenie, Drogi Czytelniku, kiedy przeczytałem list, który przytoczę tu w całości:

Mój drogi Wilkie!

Pięknie się sprawy mają! Żebym ja mozolił się przy Bożym Narodzeniu, podczas gdy Ty krążysz po świecie, niczym połączenie Haywarda i kapitana Cooka! Jestem tak nieodrodnym synem Mordęgi (i ojcem dzieciom), że spodziewam się otrzymać w prezencie koszulę z samodziału, parę skórzanych bryczesów i cynowy zegarek za to, że wychowałem największą w dziejach rodzinę, która zarazem jest najmniej skłonna do zrobienia czegokolwiek samodzielnie.

Jednakże niektórzy z nas muszą się trudzić, kiedy inni przeżywają przygody. Przesyłamy Ci najserdeczniejsze świąteczne życzenia – niech Cię odnajdą w czasie Twoich odległych peregrynacji – i życzymy wszystkiego

najlepszego w Nowym Roku.

Twój uniżony sługa i niegdysiejszy towarzysz podróży,

Ch. Dickens

Z zaskoczenia prawie wypuściłem list z ręki. Wcisnąłem go Charleyowi, który przeczytał go jednym rzutem oka.

– Co to znaczy? – wybełkotałem. – Czy Dickens myśli, że wybrałem się gdzieś na żeglugę?

– Byłeś jesienią w Rzymie – przypomniał mi brat. – Może uważa, że nadal tam bawisz.

– Wróciłem szybko, żeby spróbować uratować skazaną na klęskę inscenizację *Zamarzniętej otchłani* w Olympic Theatre – odpowiedziałem dość szorstko. – Widziałem się z Dickensem po powrocie. Nie ma możliwości, by nie wiedział, że przebywam w Anglii.

– Może wydaje mu się, że wróciłeś do Rzymu lub Paryża – zasugerował Charley. – Bo pojawiły się różne spekulacje w klubach po tym, jak powiedziałeś znajomym, że masz pewne interesy do załatwienia w Paryżu. Albo może Dickens jest zbyt zajęty, myśli głównie o dzieciach? Katey, jak wiesz, zwykle jest przygnębiona. Mamie wypadła z łask londyńskiego towarzystwa. Jego najmłodszy syn okazał się wielkim rozczarowaniem. Dickens powiedział ostatnio Katey, że postanowił, że Plorn powinien zostać wysłany do Australii, by tam został farmerem.

– A co to, u licha, ma wspólnego z moim zaproszeniem na Boże Narodzenie?! – wykrzyknąłem.

Charley tylko pokręcił głową. Było oczywiste, że celowo zostałem pominięty na liście tegorocznych świątecznych gości Dickensa.

– Poczekaj tu – powiedziałem do brata, który musiał złapać pierwszy poranny pociąg do Londynu.

Poszedłem do bawialni matki, znalazłem jej papeterię z adresem domu w Tunbridge Wells i zacząłem szybki list:

Mój drogi Charlesie!

Ani nie zwiedzam świata jak kapitan Cook, ani nie odwiedzam Rzymu czy Paryża. Jak już z pewnością wiesz,

bawię u matki w okolicy Tunbridge Wells i mogę przybyć…

Przerwałem, zmiąłem kartkę, wrzuciłem ją do ognia i w sekretarzyku matki znalazłem nowy arkusik.

Mój drogi Charlesie!

Odwzajemniam świąteczne życzenia. W czasie mojej nieobecności w święta ukłoń się, proszę, paniom ode mnie i daj dzieciom słodycze w moim imieniu. Żałuję, że nie będę mógł zobaczyć się z Tobą wcześniej niż w Nowym Roku. Zamiast żeglować jak kapitan Cook albo wędrować po Szkocji i Irlandii jak wędrowny żongler, jestem – jak pewnie wiesz – mocno zaangażowany w poszukiwania zaginionej Osoby, a może kilku Osób, co może mieć nadzwyczaj poważne konsekwencje. Nie mogę się doczekać, kiedy zaskoczę Cię rychłymi skutkami tego dochodzenia.

Moc całusów i świątecznych pozdrowień przesyłam Georginie, Mamie, Katey, Plornowi i całej Rodzinie oraz Twoim świątecznym gościom.

Twój uniżony detektyw,

W. Wilkie Collins

Zapieczętowałem i zaadresowałem list, a kiedy dawałem go Charleyowi, który już wkładał podróżny płaszcz, powiedziałem z największą powagą:

– Ten list musi zostać dostarczony do rąk własnych Charlesa Dickensa, niczyich innych.

***

Boże Narodzenie i moje urodziny były dla mnie najszczęśliwszymi świętami w obecności matki, w przytulnym cieple domku w Tunbridge Wells, z jego nieustannie unoszącymi się kuchennymi zapachami i nieabsorbującym kobiecym towarzystwem. Ponieważ jednak oba święta wypadały we wtorki, w oba te tygodnie nie widziałem Caroline aż do czwartku. (W czwartek dziesiątego

stycznia wróciłem do Londynu z bagażem, pracą i materiałami do książki, ale ponieważ to był wieczór króla Lazaree i mojej fajki, wprowadziłem się z powrotem do domu przy Dorset Square dopiero w piątek po południu, jedenastego stycznia).

Caroline nie była ze mnie zadowolona i znajdowała niezliczoną liczbę subtelnych sposobów, żeby okazać mi swoje niezadowolenie, ale w czasie pobytu w Tunbridge Wells nauczyłem się, jak mniej przejmować się zadowoleniem lub niezadowoleniem pani G.

W pierwszych tygodniach 1867 roku coraz więcej przebywałem w klubie, korzystając z cudownej biblioteki Athenaeum jako głównego miejsca poszukiwań, jadając tam, często tam śpiąc i w ogóle spędzając coraz mniej czasu przy Melcombe Place, gdzie nadal rezydowały Caroline i Carrie. (Martha R. przebywała w tym okresie w Yarmouth).

Ponieważ moje interesy często sprowadzały mnie do redakcji „All the Year Round” (gdzie w gruncie rzeczy nadal miałem własne biuro, chociaż od czasu do czasu dzieliłem je z innymi pracownikami i stałymi współpracownikami), sporo usłyszałem od Willsa i innych o nowym tournée Dickensa. Grube koperty z korektami szpaltowymi i innymi materiałami do pisma ciągle wysyłano w pogoni za Dickensem od Leicester do Manchesteru, Glasgow, Leeds, Dublina i Preston. Co niezwykłe, Dickensonowi udawało się wracać do Londynu przynajmniej raz w tygodniu, żeby zorganizować wieczór literacki w St James’s Hall przy Piccadilly, zajrzeć do redakcji i dostarczyć rękopisy, sprawdzić finanse, popracować przy redakcji tekstów innych autorów. Rzadko wracał do Gad’s Hill w czasie tych przelotnych wizyt, tylko nocował w swoich pokojach nad redakcją albo – całkiem często – pod swoim prywatnym adresem w Slough (blisko Ellen Ternan).

Nie zdarzyło się, żeby nasze drogi skrzyżowały się w tym czasie.

Różne historie o niedoli, trudnościach i niesamowitej odwadze (albo szczęściu) Dickensa przesączały się do

redakcji, a ja słyszałem je później od Willsa, Percy’ego Fitzgeralda lub innych.

Wydawało się, że Dickens nadal dochodzi do siebie po odkryciu (miało ono miejsce jesienią, kiedy przez krótki czas przebywałem w Rzymie), że jego osobisty służący i pokojowiec od dwudziestu czterech lat, posępny i nieznośny (moim zdaniem), ale dyskretny cień człowieka, niejaki John Thompson regularnie okradał swojego pana. Osiem suwerenów zniknęło z tego właśnie biura przy Wellington Street North, a kiedy odkryto kradzież, suwereny szybko wróciły na miejsce. Jednakże było już za późno dla Thompsona, którego wszystkie drobne kradzieże na przestrzeni lat wyszły teraz na jaw. Oczywiście, Dickens go zwolnił, ale nie był w stanie dać mu „złych referencji”. Odesłał Thompsona ku przyszłemu zatrudnieniu z mglistym, acz nie całkiem negatywnym listem. Według Percy’ego Fitzgeralda Dickens był zrozpaczony po tej zdradzie, chociaż w rozmowie z Percym tylko tak skomentował stan swoich uczuć:

– Musiałem udać się na spacer dłuższy niż zwykle, zanim odzyskałem nad sobą panowanie.

To panowanie nad sobą było coraz rzadsze, jeśli wierzyć ostatnim raportom od Dolby’ego do Willsa. Dickens cierpiał z powodu czegoś więcej niż „nerwowe wyczerpanie” wywołane bez wątpienia podróżami kolejowymi – jego reakcja na wypadek pod Staplehurst raczej przybierała na sile niż słabła w miarę upływu miesięcy – i na samym początku tournée, już w drugi wieczór w Liverpoolu, tak bardzo osłabł pod koniec pierwszej części występu, że trzeba było pomóc mu przejść na sofę za kulisami, gdzie leżał plackiem, dopóki nie nadszedł czas na włożenie świeżego kwiatu do butonierki i wyjście na ostatnią część forsownego występu.

W czasie wieczoru literackiego w Wolvehampton (pierwsze raporty umiejscowiły ten incydent w samym Birmingham, a nie w jego mniejszym sąsiedzie, więc początkowo wyobraziłem sobie tamtejszy stary teatr, jakim go zobaczyłem w tę noc, kiedy zagroziła mi iluzja Drooda)

stalowa linka przytrzymująca jeden z reflektorów nad głową Dickensa rozpaliła się do czerwoności. Ciężka bańka reflektora zwieszała się nad parterem widowni i trzymał ją tylko pojedynczy, mocny drut miedziany, ale nowy specjalista od gazu, który dopiero niedawno dołączył do tournée, przez pomyłkę umieścił pod nim palnik gazowy.

Dolby widział, jak drut najpierw poczerwieniał, a potem rozżarzył się do białości. Przestępując z nogi na nogę z niepokoju, teatralnym szeptem zapytał czytającego Dickensa:

– Jak długo jeszcze? – Gestykulował przy tym histerycznie i wskazywał rozgrzany drut.

Dickens musiał docenić niebezpieczeństwo – kiedy drut się przepali, ciężki reflektor spadnie z hukiem na scenę, ale najpierw przeleci nad bordowymi fotelami na parterze i poszarpie ekrany rozstawione wokół Pana Niezrównanego. W efekcie błyskawicznie wybuchnie pożar. Łatwopalne ekrany ciągnęły się w górze niemal do samych zetlałych kurtyn. Kiedy przegrzany drut pęknie, bez wątpienia scena – i niemal na pewno cały teatr – stanie w płomieniach w ciągu kilku minut, jeśli nie sekund.

Dickens – nadal czytając, nie pomijając ani jednego słowa czy gestu – spokojnie pokazał Dolby’emu dwa palce za plecami.

Zrozpaczony menedżer nie wiedział, co to znaczy. Czy Szef mówi mu, że skończy za dwie minuty, czy że drut pęknie za dwie sekundy? Dolby i Barton (spec od gazu) nie potrafili niczego wymyślić i tylko kręcili się w tę z powrotem za kulisami, przynosząc piasek i wiadra wody, przygotowując się na najgorsze.

Jak się okazało, Dickens już w połowie występu zauważył, że drut się przegrzewa, i chłodno skalkulował, ile czasu trzeba, żeby miedź się przepaliła. Na podstawie tych przeprowadzonych naprędce rachunków zaimprowizował i wprowadził błyskawiczne zmiany, na bieżąco redagując i skracając tekst, i zakończył czytanie dosłownie na kilka sekund przed tym, zanim drut zdążył się stopić i pęknąć (kiedy Dolby dał mu znać, Dickens sądził, że ma jeszcze dwie

minuty, zanim reflektor spadnie z hukiem). Kurtyna opadła, Barton pobiegł i wyłączył źle umieszczony palnik, a Dolby – jak wyznał Willsowi – był bliski omdlenia, kiedy Dickens poklepał go po szerokich plecach i szepnął:

– Nigdy nie zaistniało żadne prawdziwe niebezpieczeństwo.

Po czym spokojnie wyszedł przed kurtynę, wywołany przez publiczność.

Wszystkie te powtarzane z zapartym tchem relacje z trasy Dickensa niespecjalne mnie interesowały. W żadnej nie wspominano o Droodzie, a ja miałem własną pracę pisarską do wykonania (ważniejszą, moim skromnym zdaniem, niż czytanie swoich starych dzieł publiczności składającej się z kmiotków z prowincji).

Jak już wspomniałem, wziąłem się do wstępnego czytania i badania tematu w swoim klubie, Athenaeum. Klub okazał się niezwykle pomocny: przesunięto mój ulubiony uszak na miejsce przy oknie, gdzie słabe zimowe i wiosenne światło będzie najlepsze; dostarczono mi mały stolik pod materiały; wyznaczono kilku służących, którzy wyszukiwali potrzebne mi tomy z rozległej klubowej biblioteki. Przywłaszczyłem sobie także papeterię klubu na swoje notatki i trzymałem je w wielkich, białych kopertach listowych.

Moim pierwszym zadaniem było zebranie informacji i tu dobrze mi się przysłużyły lata pracy w charakterze dziennikarza (i chociaż ta profesja przysłużyła się także Dickensowi, pozwolę sobie przypomnieć Ci, Drogi Czytelniku, że ja byłem prawdziwym dziennikarzem, podczas gdy Dickens zaczynał jako zwykły reporter sądowy).

Tygodniami kopiowałem mające związek z tematem hasła na temat Indii, różnych kultów hinduskich i klejnotów z *Encyclopaedia Britannica,* wydania ósmego z 1855 roku. Znalazłem także nową książkę niejakiego C.W. Kinga, *Historia naturalna kamieni szlachetnych,* opublikowaną w 1865 roku, bardzo pomocną. Aby zbudować indyjskie tło, na którym mógłbym nakreślić początek *Wężowego oka* (albo *Oka węża*), skonsultowałem się ze świeżo opublikowaną

Historią Indii od czasów najdawniejszych J. Talboysa Wheelera i dwutomowym *Żywotem generała sir Davida Bairda* Theodore'a Hooka z 1832 roku. Gorliwi służący w klubie wyszukiwali także i dostarczali stosowne artykuły z ostatnich numerów „Notes and Queries".

I tak zaczęły nabierać kształtu pierwsze zarysy mojego *magnum opus.*

Wiedziałem już od pewnego czasu, że fabuła będzie się kręcić wokół tajemniczego zniknięcia (w Anglii) pięknego, lecz przeklętego brylantu przywiezionego z Indii – brylantu świętego dla pewnego hinduskiego kultu w stylu Thugów – i że ta tajemnica będzie rozwikływana w serii relacji przedstawianych z różnych punktów widzenia (trochę jak Dickens zrobił to w *Samotni*, ale też – co jest o wiele trafniejszym porównaniem – jak ja robiłem to z o wiele lepszym skutkiem w *Kobiecie w bieli*). Z racji tego, że w tym czasie absorbowała mnie – a raczej rozpraszała moją uwagę – sprawa Drooda, historia miała się opierać na takich wątkach jak wschodni mistycyzm, mesmeryzm, siła hipnotycznej sugestii i uzależnienie od opium. Rozwiązanie zagadki kradzieży (jak wiedziałem już od pierwszych chwil, gdy zacząłem wyobrażać sobie opowieść) będzie tak szokujące, tak niespodziewane, tak sprytne, tak bezprecedensowe na rodzącym się polu literatury detektywistycznej, że zdumieją się wszyscy angielscy i amerykańscy czytelnicy, w tym tacy rzekomo wytrawni twórcy sensacyjnej literatury w odcinkach jak sam Charles Dickens.

Jak to bywa z pisarzami o osiągnięciach tej klasy co Dickensa i moje, nigdy nie mogłem się poświęcić tylko jednemu przedsięwzięciu pisarskiemu na raz. (Dickens, kiedy przygotowywał się do trasy, a potem w nią ruszył, dokończył coroczne opowiadanie świąteczne, zajmował się redakcją tekstów do „All the Year Round", kompletował wymyślne wstępy do specjalnego wydania swoich *Dzieł zebranych* i zbierał pomysły do powieści, pisząc jednocześnie aktualne opowiadania, takie jak jego dziwne *Wyjaśnienia George'a*

Silvermana, zainspirowane, jak mi później powiedział, faktem, że między Preston i Blackburn natknął się z Dolbym na ruiny Hoghton Towers. Tak się złożyło, że ta stara, zrujnowana rezydencja skrystalizowała wszystkie rozbieżne, oderwane fragmenty pomysłów, którymi Dickens bawił się od pewnego czasu, ale zamiast wesprzeć powieść – której potrzebował, żeby zaproponować coś do wydawania w odcinkach w „All the Year Round" – sprowokowały tę dziwną historię o zaniedbanym dzieciństwie bardzo podobnym do Dickensowego. Albo przynajmniej do jego wyobrażenia na temat własnego dzieciństwa wypełnionego zaniedbaniem i niedostatkiem).

Tak oto wielorakie i nakładające się na siebie wysiłki prozatorskie i dramaturgiczne wypełniły mi tamtą wiosnę 1867 roku. Ponownie napisana przeze mnie *Zamarznięta otchłań* jesienią zrobiła klapę w Olympic Theatre, chociaż moim zdaniem ta poprawiona wersja ogromnie zyskała, kiedy ponownie stworzyłem postać i namiętności Richarda Wardoura, postać, którą Dickens… już miałem napisać „odgrywał", ale „zawłaszczał" mogłoby być lepszym słowem… Uczyniłem ją zarazem bardziej dorosłą i wiarygodną i uwolniłem od Dickensowskiego patosu i nadmiernie sentymentalnych gestów. Jednakże moje nadzieje na teatralny przełom pozostały wielkie i tej wiosny (kiedy tylko zdrowie i prace związane ze zbieraniem materiałów do książki mi na to pozwalały) podróżowałem w tę i z powrotem do Paryża, żeby konsultować się z François–Josephem Régnierem (którego poznałem przez Dickensa ponad dziesięć lat wcześniej) z Comédie–Française, który z zapałem adaptował *Kobietę w bieli* dla potrzeb tamtejszej sceny. (W Berlinie widzowie już szaleli na jej punkcie).

Moim celem było sprzedanie Régnierowi i francuskim teatromanom (a co za tym idzie, także angielskim) adaptacji *Siły przeznaczenia*, co do której byłem pewien, że zostanie ciepło i entuzjastycznie przyjęta mimo tego, co Dickens uważał za kontrowersyjne aspekty.

Caroline, która uwielbiała Paryż do tego stopnia, że wprost

nie sposób to wyrazić, nieustannie mnie błagała, ale pozostałem stanowczy: to była podróż w interesach i nie będzie czasu na zakupy, wycieczki ani spotkania towarzyskie wykraczające poza sprawy ściśle związane z teatrem. Napisałem wówczas do matki z hotelu w Paryżu:

> *Zjadłem, dziś rano śniadanie z jajek z beurre noir i świńskimi nóżkami à la Sainte Mènéhould! Doskonałe trawienie. Święty Mènéhould dożył wyjątkowo długiego wieku, jedząc wyłącznie nóżki wieprzowe.*

Wybrałem się z Regnierem na nowe przedstawienie operowe. Teatr pękał w szwach, intensywność przeżycia była zdumiewająca, a samo doświadczenie elektryzujące. Równie elektryzujące były owe „nadzwyczajne małe kwiatuszki" – jak zwykliśmy z Dickensem nazywać atrakcyjne młode aktorki i damy z półświatka tak łatwo dostępne w kulturze, gdzie życie nocne było równie bogate i zróżnicowane jak jedzenie – i z rumieńcem wstydu przyznaję, że dzięki wskazówkom Régniera oraz jego przyjaciół w czasie całego pobytu w Paryżu nie spędziłem ani jednego wieczoru czy nocy samotnie (ani nawet z tym samym kwiatuszkiem). Przed powrotem do Londynu pamiętałem, żeby kupić ręcznie malowaną kartkę z miasta dla Marthy (uwielbiała takie drobiazgi) i śliczny szyfonowy szlafroczek dla Carrie. Kupiłem także trochę przypraw i sosów do kuchni Caroline.

Po powrocie z Paryża, drugiej nocy przy Melcombe Place, musiałem chyba wziąć za dużo (albo za mało) laudanum, bo miałem trudności z zaśnięciem. Kusiło mnie, żeby pójść do gabinetu i popracować, ale nieunikniona konfrontacja z Drugim Wilkiem (chociaż ostatnio nie wykazywał żadnych skłonności do przemocy w czasie prób wyrwania mi papieru czy pióra) odwiodła mnie od tego zamiaru. Zamiast tego stałem w oknie sypialni (Caroline znalazła powód, żeby spać w swoim pokoju), kiedy dostrzegłem znajomy cień w pobliżu latarni przy końcu ulicy, blisko placu.

Natychmiast narzuciłem na szlafrok długi, wełniany płaszcz – noc była przenikliwe zimna – i zbiegłem na

skrzyżowanie.

Chłopiec oderwał się od cieni i podszedł do mnie w ciemności bez najmniejszego gestu przywołania z mojej strony.

– Gooseberry? – powiedziałem.

Cieszyło mnie, że moje spekulacje na temat podstępu inspektora Fielda okazały się słuszne.

– Nie, proszę pana – odpowiedział chłopiec.

Kiedy wyszedł na światło, dostrzegłem swoją pomyłkę. Ten chłopak był niższy, młodszy, trochę mniej obszarpany, a jego oczy – zdecydowania za małe i zbyt blisko osadzone w wąskiej twarzy, żeby był ładny nawet jak na biedaka – nie były wyłupiastym i rozlatanym nieszczęściem jak oczy Gooseberry'ego.

– Przysłał cię inspektor? – zapytałem szorstko.

– Tak, proszę pana.

Westchnąłem i potarłem policzki nad brodą.

– Zapamiętasz wiadomość na tyle dobrze, żeby ją przekazać ustnie, chłopcze?

– Tak, proszę pana.

– Dobrze więc. Powiedz inspektorowi, że pan Collins pragnie spotkać się z nim jutro w południe… nie, o drugiej po południu na Waterloo Bridge. Zapamiętasz? Druga po południu, Waterloo Bridge.

– Tak, proszę pana.

– Przekaż wiadomość jeszcze tej nocy. A teraz zmykaj.

Chłopiec odbiegł, stukając o bruk oderwaną podeszwą niedopasowanego buta, a ja zdałem sobie sprawę, że nie pomyślałem o tym, żeby zapytać go o imię – w ogóle nie chciałem go poznać.

***

Inspektor wszedł szybkim krokiem na środek Waterloo Bridge dokładnie o drugiej po południu. Był przenikliwie zimny, wietrzny dzień i żaden z nas nie miał ochoty na długie rozmowy, dopóki zdani byliśmy na łaskę i niełaskę żywiołów.

– Nie miałem czasu na obiad – wychrypiał Field. – Znam w pobliżu gospodę z wyborną pieczoną wołowiną, którą serwują aż do wieczora. Zechce mi pan towarzyszyć, panie Collins?

– Doskonały pomysł, inspektorze – odpowiedziałem.

Dwie godziny wcześniej uraczyłem się drugim śniadaniem w klubie, ale nadal byłem głodny.

Kiedy siedziałem przy stole naprzeciwko inspektora i w słabym świetle przyglądałem się, jak ochoczo popija z pierwszego kufla piwa, odkryłem, że wygląda starzej i bardziej szorstko niż zapamiętałem go z naszego ostatniego spotkania. Oczy miał znużone, strój w lekkim nieładzie. Na policzkach malowało się więcej drobnych rozetek nabrzmiałych żyłek. Wzdłuż nieokiełznanej obfitości jego bokobrodów pojawiła się linia siwego zarostu, która sugerowała, że jest to człowiek w gorszej sytuacji materialnej lub o gorszej pozycji niż były naczelnik wydziału śledczego Scotland Yardu.

– Jakieś wiadomości? – spytałem po tym, jak już zjawiło się nasze jedzenie i na krótką chwilę skupiliśmy całą uwagę na wołowinie, sosie i warzywach.

– Wiadomości? – powtórzył inspektor, odgryzając kęs chleba i sącząc wino, które zamówiliśmy po piwie. – Na jakie wiadomości pan czeka, panie Collins?

– Jak to, na jakie? Coś na temat chłopca zwanego Gooseberry, rzecz jasna. Skontaktował się z panem?

Inspektor Field tylko spojrzał na mnie, a jego szare oczy patrzyły zimno z gniazda zmarszczek. W końcu odezwał się cicho:

– Nie otrzymamy już żadnych wieści od naszego młodego przyjaciela Gooseberry’ego. Jego obdarte ze skóry ciało spoczęło w Tamizie albo… w jeszcze gorszym miejscu.

Przerwałem na chwilę jedzenie.

– Robi pan wrażenie bardzo pewnego siebie w tym względzie.

– Bo jestem, panie Collins.

Westchnąłem – nie wierząc ani przez sekundę w bajkę o

zamordowaniu młodego panicza Guya Septimusa Cecila – i ponownie zająłem się pieczoną wołowiną z warzywami.

Inspektor chyba wyczuł moje milczące niedowierzanie. Odłożył widelec i sącząc wino, zagaił chrapliwym szeptem:

– Panie Collins, pamięta pan powiązanie, o którym panu wspomniałem, łączące naszego podziemnego egipskiego przyjaciela Drooda i nieżyjącego lorda Lucana?

– Oczywiście, inspektorze. Powiedział pan, że lord Lucan był nieobecnym angielskim ojcem mahometańskiego chłopca, który później stał się Droodem.

Field uniósł pulchny palec do ust.

– Nie tak głośno, panie Collins. Nasz „podziemny przyjaciel", jak go czule nazywam, wszędzie ma uszy. Pamięta pan sposób, w jaki Forsyte, to znaczy lord Lucan, został zamordowany?

Przyznaję, że zadrżałem.

– Jak mógłbym zapomnieć? Rozdarto mu pierś, brakowało serca…

Inspektor znowu pokiwał głową, gestem dając znać, żebym zamilkł.

– W tamtych czasach, panie Collins, w tysiąc osiemset czterdziestym szóstym roku, nawet nowy naczelnik wydziału śledczego mógł i regularnie przyjmował pozycję „poufnego agenta" u osób zajmujących wysoką pozycję w społeczeństwie. Taka była moja rola pod koniec tysiąc osiemset czterdziestego piątego i przez większość czterdziestego siódmego roku. Spędziłem sporo czasu w majątku Wiseton lorda Lucana, w Hertfordshire.

Usiłowałem go zrozumieć.

– Został pan wezwany przez rodzinę lorda Lucana, by rozwiązać zagadkę morderstwa, ale i bez tego zajmował się pan tą sprawą jako naczelnik…

Field, który bacznie obserwował moją twarz, skinął głową.

– Widzę, że teraz pojął pan chronologię, panie Collins. Lord Lucan, John Frederick Forsyte, ojciec bękarta, który stał się okultystycznym szamanem Droodem, wynajął mnie dziewięć miesięcy przed swoją śmiercią. Potrzebował ochrony.

Posługując się prywatnymi agentami, których wtedy nająłem, próbowałem mu zapewnić bezpieczeństwo. Ponieważ posiadłość Wiseton miała już stosowne mury, ogrodzenia, psy, drzwi, zasuwy, służbę i doświadczonych leśniczych, znających się na kłusownikach i potencjalnych intruzach, uznałem, że ochrona jest wystarczająca.

– Ale nie była – powiedziałem.

– Nie da się ukryć – burknął inspektor. – Trzech moich najlepszych ludzi przebywało w Wiseton Hall w czasie, kiedy doszło do tej… potworności. Sam byłem tam do dziewiątej wieczorem, o której to godzinie obowiązki zmusiły mnie do powrotu do Londynu.

– Niewiarygodne – powiedziałem.

Nie miałem pojęcia, do czego staruszek zmierza.

– Nie chwaliłem się faktem, że pracowałem prywatnie i w tajemnicy dla lorda Lucana w czasie, kiedy został zamordowany – szepnął Field – ale praca śledcza to wąski krąg zawodowy i wieść o tym dotarła zarówno do moich zwierzchników, jak i detektywów, którzy służyli wtedy w policji pode mną. To był dla mnie bardzo nieprzyjemny okres… I to w czasie, który powinien być dla mnie szczytowym momentem w karierze.

– Rozumiem – powiedziałem, chociaż, prawdę mówiąc, nie rozumiałem niczego poza tym, że inspektor przyznał się do własnej niekompetencji.

– Nie całkiem – szepnął Field. – Minął cały miesiąc od śmierci lorda Lucana, rzecz jasna oficjalne śledztwo jeszcze trwało, Jej Królewska Mość osobiście wyraziła zainteresowanie wynikami, kiedy otrzymałem małą paczkę, dostarczoną do mojego gabinetu w wydziale śledczym stołecznej policji w Scotland Yard.

Skinąłem głową i odkroiłem spory kawałek wołowiny; była twardawa, ale poza tym całkiem dobra.

– W paczce znajdowało się serce lorda Lucana – wychrypiał inspektor Field. – Zostało w jakiś sposób zakonserwowane, pewnie za pomocą zapomnianej egipskiej sztuki, dzięki czemu nie zepsuło się, ale poza tym to było ludzkie serce i

według kilku specjalistów od medycyny sądowej, z którymi się skonsultowałem, zdecydowanie było to serce Johna Fredericka Forsyte'a, lorda Lucana.

Odłożyłem sztućce i wytrzeszczyłem oczy. Dopiero po długiej chwili zdołałem przełknąć nagle pozbawiony smaku kęs wołowiny.

Stary inspektor pochylił się mocniej nad stołem. Z ust zalatywało mu piwem i wołowiną.

– Nie powiedziałem panu, panie Collins, co zjawiło się razem z zakrwawioną koszulą Gooseberry ego i listem od Drooda. Chciałem oszczędzić pańską wrażliwość.

– Jego… oczy? – szepnąłem.

Inspektor Field skinął głową i usiadł prosto.

***

Ta wymiana zdań zabiła zarówno apetyt, jak i całą rozmowę, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Field uparł się jeszcze przy kawie i deserze. Ja dopiłem wino i czekałem, pogrążony w myślach.

Ulżyło mi, kiedy wyszliśmy na zimny wiatr. Ucieszyłem się ze świeżego powietrza. Nie byłem pewien, czy wierzę w przerażającą opowieść inspektora o wędrującym sercu lorda Lucana ani przesłanych w paczce oczach Gooseberry'ego (pisarz prozy sensacyjnej potrafi rozpoznać inny potencjalnie fikcyjny tekst sensacyjny, kiedy go usłyszy), jednakże temat zdenerwował mnie i wywołał za oczami migrenę pochodzenia reumatycznego.

Nie rozstaliśmy się od razu po wyjściu z gospody, przeszliśmy razem w stronę Waterloo Bridge.

– Panie Collins – zagaił inspektor, wydmuchawszy głośno nos w chusteczkę – zgaduję, że chciał się pan ze mną spotkać z innych powodów niż pytanie o losy mojego nieszczęsnego młodego współpracownika. O co więc chodzi?

Odchrząknąłem.

– Inspektorze, wie pan, że zabrałem się do nowej powieści, która wymaga zbierania materiałów najniezwykłejszego

rodzaju…

– Oczywiście – przerwał mi prywatny detektyw. – To dlatego płacę jednemu z moich najbardziej użytecznych tajnych agentów, szanownemu detektywowi Hatchery’emu, żeby siedział w każdy czwartkowy wieczór w grobowcu i czekał na pański powrót następnego ranka. Zapewniał mnie pan, że pańskie wyprawy do palarni opium króla Lazaree pomagają uśmierzyć ból, a nie że służą badaniom do książki. A muszę powiedzieć, panie Collins, że godzinowe stawki, jakie wypłacam detektywowi Hatchery’emu za tę usługę, nie wspominając o fakcie, że nie jest potem w stanie przez całą noc i dzień pracować dla mnie (bo nawet detektywi muszą spać, proszę pana), nie zostały… powiedzmy… zrównoważone… obiecanymi przez pana raportami na temat miejsca pobytu i aktywności podejmowanych przez pana Charlesa Dickensa.

Zatrzymałem się i zacisnąłem obie ręce na lasce.

– Inspektorze Field, z pewnością nie może pan sugerować, że to moja wina, że Dickens wyjechał na kolejne tournée literackie po prowincji i w związku z tym znajduje się poza moim zasięgiem!

– Niczego nie sugeruję – odparł były policjant. – Prawda jednak jest taka, że szanowny pisarz wraca do Londynu na co najmniej jeden dzień i jedną noc w tygodniu.

– Żeby występować w Saint James’s Hall! – odparłem, gorączkując się nieco. – I czasem popracować trochę w redakcji przy Wellington Street North!

– I odwiedzić kochankę w Slough – dodał oschle inspektor Field. – Chociaż moi agenci mówią mi, że szuka teraz nowego domu dla panny Ternan i prawdopodobnie jej matki, na przedmieściach Peckham.

– To nie ma nic wspólnego ze mną – odparłem chłodno. – Nie jestem ani plotkarzem, ani strażnikiem spraw innych dżentelmenów.

Pożałowałem doboru tych ostatnich słów, kiedy tylko padły z moich ust. Przechodnie zaczęli się na nas gapić, mijając nas, więc ruszyłem znowu, a inspektor Field szybko do mnie

dołączył.

– Zgodnie z naszym układem, miał się pan widywać z Dickensem tak często, jak to możliwe, panie Collins, i w ten sposób zbierać i przekazywać nam wszelkie informacje, jakie otrzyma pan na temat mordercy, który zwie siebie Droodem.

– I tak też czyniłem, inspektorze.

– I tak też pan czynił, panie Collins… w nad wyraz mizernym stopniu. Nie spędził pan świąt z panem Dickensem, chociaż pan Dickens przebywał w domu w Gad's Hill przez większą część dwóch tygodni i wielokrotnie przyjeżdżał do miasta.

– Nie zostałem zaproszony – powiedziałem.

Chciałem powiedzieć to lodowatym tonem, ale zabrzmiało niemal żałośnie.

– Na co nie mógł pan nic zaradzić – odpowiedział inspektor Field ze współczuciem, przez które zapragnąłem połamać laskę na czubku jego łysiejącej, starej głowy. – Jednakże nie skorzystał pan z oczywistych okazji, żeby dołączyć do pana Dickensa w czasie trasy albo podczas pobytu w Londynie. Może to pana zainteresuje, że pan Dickens nadal wymyka się moim agentom przynajmniej raz na dwa tygodnie, znika w podziemiach slumsów albo starych kościelnych kryptach i pojawia się ponownie dopiero w chwili, kiedy wsiada następnego dnia do pociągu do Gad's Hill.

– Potrzebuje pan lepszych agentów – odparłem.

Starszy mężczyzna zarechotał i znowu wydmuchał ogromny nos.

– Być może – zgodził się. – Być może. Jednakże na razie nie chcę pana ganić, panie Collins, ani narzekać na… zaburzony bilans… jeśli chodzi o to, jak obie strony wywiązują się z umowy. Pragnę jedynie przypomnieć, że w naszym wspólnym interesie leży wytropienie i przygwożdżenie tego potwora Drooda, zanim kolejne niewinne osoby zginą z ręki tej kreatury.

Dotarliśmy do mostu. Przystanąłem przy balustradzie i spojrzałem na linię nabrzeży, rudery, żurawie i rzeczne łodzie o niskim omasztowaniu płynące w obie strony.

Zacinający deszcz chłostał powierzchnię Tamizy, na której powierzchni pojawiały się rzędy grzywaczy.

Inspektor podniósł pluszowy kołnierz niemodnego płaszcza, zasłaniając kark.

– A teraz proszę mi wyjawić cel naszego spotkania, panie Collins, a ja postaram się ze wszystkich sił, żeby dopomóc w pańskich prośbach o dalszą… ehm… pomoc w badaniach do książki.

– Przyznaję, że nie miałem na myśli jedynie pomocy w dalszych badaniach – powiedziałem. – Chciałem przedstawić pewną sugestię, która może okazać się nieocenioną pomocą w pańskich wysiłkach zmierzających do odnalezienia Drooda.

– Doprawdy? – zdziwił się inspektor Field, unosząc krzaczaste brwi tak, że zniknęły pod rondem cylindra. – Proszę mówić dalej, panie Collins.

– W powieści, którą prawie skończyłem szkicować – powiedziałem – jest fragment wymagający detektywa, człowieka obdarzonego wielką inteligencją i doświadczeniem, powinienem dodać, który zna wszystkie techniki stosowane podczas poszukiwania zaginionej osoby.

– Tak? To powszechnie stosowane procedury zarówno w dawnej, jak i obecnej pracy policyjnej, panie Collins, i z przyjemnością podzielę się z panem zawodowymi spostrzeżeniami.

– Nie proszę o pomoc tylko dla własnej korzyści – ciągnąłem, patrząc na szare fale zamiast na szarego inspektora. – Przyszło mi na myśl, że pewien zaginiony londyńczyk może stanowić zagubione ogniwo w łańcuchu kontaktów i okoliczności, który prowadzi do spotkań Dickensa i Drooda od czasu katastrofy pod Staplehurst… O ile te spotkania faktycznie mają miejsce.

– Doprawdy? A kimże miałby być ten zaginiony człowiek, panie Collins?

– Edmond Dickenson.

Inspektor podrapał się po policzkach, pociągnął za bokobrody i – co było nieuchronne – przyłożył gruby palec do ucha, jakby czekał na dalsze informacje. W końcu odrzekł:

– To będzie ten młody dżentelmen, którego pan Dickens pomógł uratować pod Staplehurst. I ten sam młodzieniec, o którym wspominał pan, że lunatykował w Gad’s Hill Place rok temu w Boże Narodzenie.

– To właśnie on.

– Jak zaginął?

– Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć – powiedziałem. – I możliwe, że właśnie tego potrzebuje się pan dowiedzieć, żeby znaleźć powiązanie z Droodem.

Podałem mu złożone notatki, które zrobiłem z rozmowy z adwokatem, panem Matthew B. Roffem z Gray’s Inn Square, adres ostatniego znanego miejsca zamieszkania Dickensona w Londynie i przybliżoną datę, kiedy młody człowiek przykazał panu Roffe przekazać obowiązki opiekuna i wykonawcy testamentu na ostatnie miesiące, kiedy taka osoba była potrzebna, Charlesowi Dickensowi we własnej osobie.

– Fascynujące – przyznał w końcu inspektor Field. – Mogę to zatrzymać?

– Oczywiście, to kopie.

– To rzeczywiście może przysłużyć się naszej wspólnej sprawie, panie Collins, i dziękuję, że zwrócił pan moją uwagę na tego zaginionego (bądź nie) człowieka. Jednakże, dlaczego pan uważa, że pan Dickenson może być ważny dla naszego śledztwa?

Rozłożyłem ręce w rękawiczkach nad balustradą.

– Czy to nie jest oczywiste nawet dla kogoś, kto, tak jak ja, nie jest detektywem? Zgodnie ze świadectwem samego Dickensa, młody Dickenson mógł być jedyną (poza Dickensem) osobą, jaką znamy, która pod Staplehurst znalazła się w bezpośredniej bliskości Drooda. Więcej, według Dickensa, to właśnie Drood doprowadził mojego przyjaciela do młodzieńca, który był uwięziony w rozbitym wagonie i umarłby, gdyby nie interwencja Dickensa… i Drooda! Do tego dochodzi niewytłumaczalne zainteresowanie, jakie po wypadku nasz pisarz zaczął okazywać tej sierocie.

Inspektor Field znowu potarł policzki.

– Pan Dickens szeroko słynie jako społeczny altruista.

Uśmiechnąłem się na te słowa.

– Oczywiście. Jednakże jego zainteresowanie młodym Dickensonem graniczyło z… jak mam to ująć… obsesją?

– Albo wyrachowaniem? – spytał Field.

Powiał wiatr z zachodu i teraz już obaj wolnymi rękami przytrzymaliśmy kapelusze.

– Co ma pan na myśli?

– Ile pieniędzy powierzano osobie, która pełniła rolę opiekuna Edmonda Dickensona do czasu jego pełnoletności? Czy pańskie dochodzenie, panie Collins, doprowadziło pana może do banku młodego Dickensona i pogawędki z kierownikiem?

– Oczywiście, że nie! – odparłem znowu lodowatym tonem.

Taki pomysł był zupełnie od rzeczy dla dżentelmena. Równie dobrze można by otworzyć list adresowany do drugiego dżentelmena.

– Cóż, to akurat będzie łatwe do sprawdzenia – mruknął inspektor, chowając moje notatki do kieszeni. – Czego pragnie pan w zamian za tę potencjalną pomoc w tropieniu Drooda, panie Collins?

– Niczego – odparłem. – Nie jestem kupcem ani handlarzem ulicznym. Kiedy zbada pan sprawę zaginięcia mężczyzny, który, chociaż mówił co innego, mógł tak naprawdę widzieć Drooda pod Staplehurst, więcej nawet, fakt, że go widział, może być wręcz powodem jego zaginięcia, kto wie?… Chcę tylko poznać szczegóły pańskiego dochodzenia… żebym mógł uprawdopodobnić mój opis poszukiwań zaginionej osoby, sam pan rozumie.

– Doskonale rozumiem. – Starszy inspektor cofnął się i wyciągnął dłoń. – Niezmiernie się cieszę, że pracujemy po tej samej stronie, panie Collins.

Patrzyłem na wyciągniętą dłoń przez kilka długich sekund, zanim w końcu ją uścisnąłem. Obaj mieliśmy rękawiczki, co nie było bez znaczenia.

Rozdział 21

Był maj i znajdowaliśmy się w szwajcarskiej chacie Dickensa. Miło było przebywać w tym miejscu.

Po wilgotnej, zimnej, powoli budzącej się wiośnie koniec maja wybuchł nagle słońcem, kwiatami, zielonymi trawnikami, ciepłymi dniami, długimi wieczorami, delikatnymi aromatami i łagodnymi nocami idealnymi dla snu. Podagra przestała mi dokuczać do tego stopnia, że używałem mniej laudanum niż w ciągu ostatnich dwóch lat. Rozważałem nawet, czy nie zaprzestać swoich czwartkowych wypraw do świata króla Lazaree.

To był piękny dzień i siedziałem na piętrze domku, rozkoszując się wiaterkiem wpadającym przez otwarte okna i opowiadając Charlesowi Dickensowi fragmenty historii do mojej książki.

Świadomie napisałem „opowiadając”, bo chociaż miałem czterdzieści stron zarysu i streszczenia, Dickens nie mógł rozczytać mojego charakteru pisma. To był zawsze problem z moimi rękopisami. Mówiono mi, że drukarze krzyczą w głos i grożą odejściem z pracy, kiedy przychodzi im stawić czoło rękopisom moich powieści, zwłaszcza w pierwszej połowie książki, kiedy to (muszę przyznać) mam skłonność do pośpiechu, wydrapywania tekstu, sporządzania dopisków na marginesach (i wszelkich innych wolnych miejscach) oraz zastępowania starych słów nowymi – do tego stopnia, że ściśnięte wyrazy i litery stają się plamą atramentu i chaosem linii, strzałek, znaczków oraz gwałtownych skreśleń. Nie ukrywam, że laudanum nie czyni mojego pisma czytelniejszym.

Napisałem także świadomie „fragmenty”, ponieważ Dickens chciał poznać ogólny zarys dwóch trzecich powieści, chociaż jeszcze nie podjąłem szczegółowych decyzji co do jej zakończenia. Zadecydowaliśmy, że to dłuższe czytanie na głos odbędzie się w czerwcu, kiedy Dickens podejmie ostateczną decyzję, czy moje *Oko węża* (albo może *Wężowe*

oko) ukaże się w „All the Year Round”.

Wobec tego ów piękny majowy dzień 1867 roku spędziłem, czytając i opowiadając fabułę mojej powieści Charlesowi Dickensowi, który – to trzeba mu przyznać – słuchał uważnie i nie przerywał nawet po to, żeby zadawać pytania. Poza moim głosem jedynymi dźwiękami był turkot wozu przejeżdżającego czasem drogą poniżej nas, cichy szelest liści i gałęzi drzew po obu stronach domku i niekiedy bzyczenie pszczół.

Kiedy skończyłem, odłożyłem na bok notatki i wypiłem spory łyk wody z chłodzonej karafki, którą Dickens trzymał pod ręką przy pisaniu.

Po kilku sekundach ciszy Dickens niemal dosłownie wyskoczył z fotela i krzyknął:

– Mój drogi Wilkie! To cudowna opowieść! Szalona, a jednak taka swojska! Wypełniona wspaniałymi postaciami i niosąca wielką tajemnicę! A ta niespodzianka w pobliżu miejsca, w którym przerwałeś… Cóż, to było dla mnie całkowite zaskoczenie, mój drogi Wilkie, a trudno zaskoczyć takiego starego pisarskiego wygę jak ja!

– Rzeczywiście – mruknąłem nieśmiało.

Zawsze pragnąłem pochwały od Charlesa Dickensa i teraz radość z jego słów rozlała się we mnie niczym ciepło od mojego codziennego lekarstwa.

– Zdecydowanie będziemy chcieli tę książkę dla naszego pisma! – kontynuował Dickens. – Spodziewam się, że przebije wszystko, co do tej pory wypuszczaliśmy w odcinkach, łącznie z twoją wspaniałą *Kobietą w bieli!*

– Możemy tylko mieć taką nadzieję – odpowiedziałem skromnie. – Ale czy nie wolałbyś usłyszeć zarysu ostatniej ćwiartki powieści, kiedy już zdecyduję, jak domknąć otwarte wątki, takie jak odtworzenie zbrodni, zamiast kupować ją już teraz?

– W żadnej mierze! – zaprotestował Dickens. – Chociaż nie mogę się doczekać, kiedy za tydzień albo dwa powiesz mi, jak rzeczywiście kończy się książka, usłyszałem dość, żeby wiedzieć, że to wspaniała historia. I ten zwrot w fabule! Żeby

sam narrator nie wiedział o swojej winie! Cudowne, mój drogi Wilkie, naprawdę cudowne. Jak już mówiłem, rzadko kiedy dawałem się tak zaskoczyć zręcznej intrydze innego pisarza!

– Dziękuję ci, Charlesie.

– Czy mogę zadać kilka pytań, tudzież uczynić kilka drobnych uwag? – spytał Dickens, krążąc przed otwartymi oknami.

– Oczywiście! Oczywiście! – zgodziłem się. – Nie dość, że przez wiele lat byłeś moim redaktorem w „All the Year Round", to jeszcze od tylu lat współpracujesz ze mną i pomagasz obmyślać fabuły, więc byłbym głupcem, nie korzystając z roztropności twoich rad na tym etapie, Charlesie.

– Wobec tego – zaczął – jeśli idzie o kluczowy punkt zwrotny: czy to możliwe, żeby fakt, że nasz bohater, Franklin Blake, popełnił kradzież brylantu, będąc pod wpływem zarówno laudanum, nawet jeśli zostało podane ukradkiem, jak i mesmerycznego oddziaływania hinduskich kuglarzy, okazał się zbyt dużym zbiegiem okoliczności? Mam na myśli to, że Hindusi, na których natknął się na trawniku, nie mogli wiedzieć, że nasz pan… Jak on się nazywał?

– Kto? – spytałem.

Wyjąłem ołówek i robiłem pośpieszne notatki na drugiej stronie kartki rękopisu.

– Medyk, który zmarł z mętlikiem w głowie.

– Pan Candy.

– Naturalnie! – wykrzyknął Dickens. – W każdym razie chodzi mi o to, że Hindusi, których tamtej nocy napotkał przypadkiem na terenie posiadłości, nie mogli wiedzieć, że pan Candy dodał opium do wina Franklina Blake'a w ramach swego rodzaju żartu. Prawda?

– Nie bardzo… –powiedziałem. – Chyba nie. Nie, nie mogli tego wiedzieć.

– Zatem, po prawdzie, podwójne odkrycie o podanym w tajemnicy laudanum oraz wpływie magnetyzmu mesmerycznego hinduskich mistyków na trawniku może być

zbędne.

– Zbędne?

– Zmierzam do tego, mój drogi Wilkie, że wystarczy jedna z tych dwóch rzeczy, żeby Blake popełnił somnambuliczną kradzież, nieprawdaż?

– Myślę, że… tak… rzeczywiście – przytaknąłem, notując jeszcze kilka rzeczy.

– A o wiele bardziej pobudzi wyobraźnię czytelnika fakt, że biedny pan Franklin Blake kradnie brylant z szuflady sekretery ukochanej, pragnąc go chronić, niż pod złym wpływem Hindusów, nie uważasz?

– Hmm… – mruknąłem.

To redukowało moją Wielką Niespodziankę do dziwacznego zbiegu okoliczności. Jednakże mogło się sprawdzić.

Zanim zdążyłem się odezwać, Dickens podjął wątek:

– I ta dziwna, chroma służąca… Przepraszam, jak się nazywała?

– Rosanna Spearman.

– Tak, śliczne imię dla tej osobliwej i niezrównoważonej postaci, Rosanna Spearman. Mówisz już na samym początku, że jest owocem… Znaczy, że lady Verinder zatrudniła ją, zabierając z… o ile się nie mylę… domu poprawczego?

– Istotnie – powiedziałem. – Wyobraziłem sobie, że Rosanna wywodzi się z jakieś instytucji bardzo podobnej do twojego Urania Cottage, schroniska dla kobiet.

– Tego, które założyłem jakieś dwadzieścia lat temu z pomocą panny Burdett–Coutt? – Dickens nadal uśmiechał się i krążył po pokoju. – Tak też myślałem, mój drogi Wilkie. Ale przecież zabrałem cię do Urania Cottage. Jesteś świadomy, że wszystkie tamtejsze kobiety to kobiety upadłe, którym dano drugą szansę.

– Jak Rosannie Spearman – odpowiedziałem.

– W rzeczy samej, ale to zwyczajnie nie do pomyślenia, żeby lady Verinder albo ktokolwiek inny jej oczywistego kalibru zatrudnił Rosannę, wiedząc, że była kiedyś… kobietą z ulicy.

– Hmm… – odparłem.

Uczynienie z Rosanny zreformowanej kobiety z ulicy było moim celem. To tłumaczyło zarówno jej z góry skazane na niespełnienie zauroczenie panem Franklinem Blakiem, jak i erotyczny podtekst tej fascynacji. Jednakże trudno było się spierać, że ktoś równie wyrafinowany jak moja fikcyjna lady Verinder (nawiasem mówiąc, tak samo skazana z góry na porażkę jak Rosanna Spearman) zatrudniłby prostytutkę, nawet jeśli zeszła ze złej drogi. Odnotowałem to na stronicy.

– Złodziejka – powiedział Dickens, a w jego głosie rozbrzmiała tak typowa dla niego pewność. – Możesz uczynić biedną Rosannę byłą złodziejką, wtedy sierżant Cuff nadal będzie w stanie ją rozpoznać, ale raczej jako kogoś, kto siedział u niego w areszcie, a nie jako kobietę z ulicy.

– Bycie kobietą ulicy jest aż tak bardzo gorsze od kradzieży?

– Owszem, Wilkie, tak właśnie. Uczyń ją kobietą z ulicy, a niezależnie od tego, jak się zmieniła, dom lady Verinder zostanie splugawiony. Zrób z niej byłą złodziejkę, a czytelnik dostrzeże wielkoduszność lady Verinder, która próbuje jej pomóc, dając uczciwe zatrudnienie.

– Słusznie. Masz niezaprzeczalną słuszność. Zanotuję sobie, żeby przemyśleć przeszłość Rosanny.

– No i pojawia się problem z wielebnym Godfreyem Ablewhite’em – kontynuował wywód Dickens.

– Nie miałem świadomości, że istnieje jakiś problem z wielebnym Ablewhite’em, Charlesie. W czasie czytania śmiałeś się i wtrącałeś, że ogromnie podoba ci się, jak ujawniono jego hipokryzję.

– I tak właśnie jest, Wilkie! Nie inaczej! I tak samo spodoba się to twoim czytelnikom. Nie chodzi tu o postać, którą w sposób godny podziwu odmalowałeś jako hipokrytę, karierowicza i potencjalnego złodzieja fortuny damy. Kłopot dotyczy jego tytułu.

– Wielebny?

– Właśnie. Cieszę się, że dostrzegasz ten problem, mój drogi Wilkie.

– Nie jestem pewien, czy go dostrzegam, Charlesie. Z pewnością oskarżenia o hipokryzję i kłamstwo są bardziej znaczące w przypadku duchownego niż…

– Oczywiście, że masz rację! – wykrzyknął Dickens. – Wszyscy znamy takich świętoszkowatych duchownych, ludzi, którzy pragną, by wszyscy dostrzegali, ile dobra czynią, podczas gdy w sekrecie starają się ze wszystkich sił czynić to dobro wyłącznie dla siebie, ale oskarżenie nie straci na skuteczności, kiedy je złagodzimy, odnosząc po prostu do pana Godfreya Ablewhite'a.

Zacząłem notować, ale nagle przerwałem i podrapałem się po głowie.

– To robi wrażenie… umniejszenia, rozcieńczenia, okrojenia… Jak wielebny Godfrey może być prezesem tylu kobiecych organizacji filantropijnych, jeśli nie jest duchownym? I co taka zmiana zrobi z cudowną linijką, którą już zamieściłem w swoim szkicu: „Był duchownym z zawodu, bawidamkiem z temperamentu, samarytaninem z upodobania"? Sam śmiałeś się w głos, kiedy recytowałem to zdanie niecałą godzinę temu.

– Rzeczywiście, Wilkie, ale będzie pasowało równie dobrze, jeśli zastąpisz „duchownego"… powiedzmy… „adwokatem". Dzięki temu nie urazimy wielu, być może tysięcy twoich czytelników, kiedy wcale nie jest to potrzebne dla twojej godnej podziwu fabuły.

– Nie jestem pewien… – zacząłem.

– Zanotuj to, Wilkie. I obiecaj mi jedynie, że rozważysz zmianę w trakcie pracy. To jest oczywiście jedna z tych kwestii, której pominięcie w rozmowie z autorem, prowadzonej przez pracowitego redaktora jakiegokolwiek pisma skierowanego do szerokiego kręgu odbiorców, takiego jak nasze, uznano by za niedbalstwo. Więcej, gdybyś to ty redagował rękopis innego autora, jestem przekonany, że również zasugerowałbyś przemianę wielebnego Godfreya Ablewhite'a w pana Godfreya Ablewhite'a…

– Nie jestem pewien… – zacząłem znowu.

– No i na koniec, mój drogi Wilkie, kwestia tytułu… – mówił

dalej Dickens.

– Ach! – powiedziałem, tym razem z pewnym ożywieniem. – Który wolisz, Charlesie? *Oko węża* czy *Wężowe oko*?

– Żadnego, skoro już o tym mowa. Zastanawiałem się nieco nad tytułami, mój drogi przyjacielu, i przyznaję, że oba wydają mi się ciut diaboliczne i być może odrobinę nieodpowiednie z komercyjnego punktu widzenia.

– Diaboliczne?

– No wiesz, oko węża. To ma biblijne konotacje, Wilkie.

– A także pogańskie hinduskie konotacje, mój drogi Dickensie. Zebrałem ogromną ilość informacji na temat różnych kultów w Indiach…

– Czy któryś z nich czci węża?

– Na razie na taki nie natrafiłem, ale Hindusi czczą… wszystko. Mają małpich bogów, szczurzych bogów, krowich bogów…

– I niewątpliwie także wężowych bogów, zgadzam się – przyznał ugodowo Dickens. – Jednakże tytuł nadal nawiązuje do Ogrodu i węża w nim… to znaczy diabła. A oczywisty związek z brylantem Koh–i–noor czyni takie nawiązanie nie do przyjęcia.

Całkiem się pogubiłem. Nie miałem pojęcia, o czym Dickens mówi. Zamiast jednak zacząć bełkotać, ostrożnie nalałem sobie wody, napiłem się i w końcu spytałem:

– Nie do przyjęcia pod jakim względem, mój drogi Dickensie?

– Twój klejnot, brylant, czy jak go ostatecznie nazwiesz, jest w oczywisty sposób powiązany z Koh–i–noorem…

– Tak? Być może. I co z tego?

– Z pewnością pamiętasz, mój drogi Wilkie, albo z pewnością przypomniały ci zebrane informacje, że oryginalny Koh–i–noor pochodzi z regionu Indii, zwanego, o ile się nie mylę, Górami Światła i krążyła uporczywa plotka, zanim nawet dotarł do naszych brzegów, że każdy przedmiot pochodzący z tamtych okolic przynosił pecha.

– Tak? – powtórzyłem znowu. – Tak głęboko zakorzenione umysłowe skojarzenie będzie idealnie pasowało do *Oka*

węża… albo być może *Wężowego oka.*

Dickens przestał krążyć po pokoju i powoli pokręcił głową.

– Nie, jeśli twoi czytelnicy skojarzą tego pecha z Rodziną Królewską – powiedział cicho.

– Ach…

Chciałem, żeby ta sylaba wypadła łagodnie i niezobowiązująco, ale nawet dla mnie zabrzmiała, jakby kostka kurczaka stanęła mi w gardle.

– I z pewnością pamiętasz, Wilkie, co się stało dwa dni po tym, jak kamień zjawił się w Anglii, i sześć dni przed tym, jak został sprezentowany Jej Królewskiej Mości.

– Nie całkiem.

– Cóż, byłeś wtedy młody – powiedział Dickens. – Mężczyzna nazwiskiem Robert Pate, emerytowany porucznik huzarów, zaatakował królową.

– Dobre nieba!

– Właśnie. Jej Królewskiej Mości nic się nie stało, ale opinia publiczna natychmiast powiązała tragedię, do której omal nie doszło, z podarowanym Rodzinie Królewskiej kamieniem. Sam gubernator generalny Indii poczuł, że musi wystosować list otwarty do „Timesa” z wyjaśnieniem, że takie przesądy to bzdura.

– Tak… – przytaknąłem, nadal notując. – Wyszukałem sporo informacji na temat lorda Dalhousie w bibliotece Athenaeum.

– Nie wątpię – powiedział Dickens tonem, który można by uznać za szczególnie oschły, gdybym był bardziej krytyczny. – Potem miał miejsce następny straszny wypadek łączony z Koh–i–noorem… Śmierć księcia Alberta.

Przestałem pisać.

– Co? To się wydarzyło zaledwie sześć lat temu, ponad jedenaście lat po tym, jak kamień przybył do Anglii i został pokazany na Wielkiej Wystawie Światowej. Na długo przed śmiercią Alberta Koh–i–noor został w Amsterdamie pocięty na mniejsze kamienie. Jakie powiązanie może istnieć między tymi dwoma wydarzeniami?

– Zapominasz, mój drogi Wilkie, że książę małżonek był pomysłodawcą i głównym sponsorem Wielkiej Wystawy

Światowej. To on zasugerował, żeby umieścić Koh–i–noor na dziwnym miejscu honorowym, które zajmował w głównej sali. Jej Królewska Mość, rzecz jasna, nadal nosi żałobę i niektóre bliskiej jej osoby mówią, że czasem w chwilach głębokiej rozpaczy obwinia indyjski kamień o śmierć ukochanego. Widzisz więc, że musimy być ostrożni, jeśli idzie o tytuł książki i wszelkie subtelne odniesienia, jakie mogą łączyć brylant Koh–i–noor i jego wpływ na Rodzinę Królewską z naszą opowieścią.

Nie przegapiłem owych „musimy” i „naszej opowieści”. Oschłym tonem odparłem:

– Jeśli nie *Oko Węża…* ani nie *Wężowe oko…* to jaki tytuł wyobrażasz sobie, że mógłby pasować do opowieści o brylancie, który osadzono w oku hinduskiego posągu wężowego boga?

– Och… – rzucił nonszalancko Dickens, przysiadając na brzegu biurka i szczerząc zęby w redaktorskim uśmiechu. – Myślę, że możemy zrezygnować z wężowego boga i oka. Co powiesz na tytuł, który unika taniej sensacji i nieco bardziej zachęci do powieści czytelniczki?

– Moje książki cieszą się wielkim wzięciem wśród czytelniczek – odparłem sztywno.

– Oczywiście, że tak, mój drogi Wilkie! – wykrzyknął Dickens, klaszcząc w ręce. – Nikt nie wie tego lepiej niż ja po absolutnym triumfie *Kobiety w bieli.* Przecież setka zapalonych czytelniczek czekających na każdy odcinek przypadała na jednego czytelnika płci męskiej czekającego na moją znacznie skromniej sprzedającą się powieść *Nasz wspólny przyjaciel*.

– W żadnym razie nie powiedziałbym…

– A co powiesz na… *Kamień Księżycowy*? – przerwał mi Dickens.

– *Kamień Księżycowy*? – powtórzyłem idiotycznie. – Sugerujesz, żebym sprowadził kamień z Księżyca zamiast z Indii?

Dickens roześmiał się lekko tym swoim głośnym, chłopięcym śmiechem.

– Doskonały żart, mój drogi Wilkie, ale mówiąc serio… Coś takiego jak *Kamień Księżycowy* zainteresowałoby potencjalne czytelniczki, a z pewnością by ich nie odstraszyło, ma w sobie aurę tajemniczości i romansu, nie sugerując niczego diabolicznego ani bluźnierczego.

– *Kamień Księżycowy* – mruknąłem, żeby usłyszeć brzmienie tego tytułu z własnych ust. Brzmiało to straszliwie płasko i bezbarwnie w porównaniu z *Wężowym okiem* (albo ewentualnie *Okiem węża*).

– Cudownie – wykrzyknął Dickens, znowu wstając. – Trzeba kazać Willsowi sporządzić zarys umowy z tym proponowanym tytułem. Mówię ci raz jeszcze: twój szkic był równie ekscytujący, jak z pewnością będzie lektura skończonej albo niemal skończonej powieści. Cudowna opowieść wypełniona cudownymi i zachwycającymi niespodziankami. Ten zwrot w akcji z somnambulizmem wywołanym przez opium, przez co sam bohater kradnie kamień, w ogóle o tym nie pamiętając, to genialne posunięcie.

– Dziękuję, Charlesie – powtórzyłem, wstając i odkładając ołówek.

W moim głosie było odrobinę mniej entuzjazmu niż wcześniej.

– Czas na spacer, mój drogi Wilkie! – zawołał Dickens, podchodząc do kąta, żeby wziąć laskę i zdjąć kapelusz z kołka. – Pomyślałem, że może przejdziemy się aż do Rochester i z powrotem w taki piękny majowy dzień. Prezentujesz się zdrowo i krzepko w ostatnich dniach, przyjacielu. Jesteś gotów?

– Jestem gotowy na pierwszą połowę do Rochester, gdzie złapię popołudniowy pociąg do Londynu – odpowiedziałem. – Caroline i Carrie oczekują mnie dziś wieczorem na kolacji.

Ostatnie słowa były odrobinę naciągane. Carrie odwiedzała krewnych na wsi, a Caroline myślała, że przenocuję w Gad’s Hill. Jednakże ktoś naprawdę spodziewał się mnie tego wieczoru na kolacji.

– Pół spaceru z całym przyjacielem to lepsze niż nic –

orzekł Dickens, odkładając własny rękopis do walizki i podchodząc szybkim krokiem do drzwi. – Wyjdźmy, zanim drogi i ścieżki staną się bardziej zakurzone, a dzień postarzeje się choćby o minutę.

***

Nastał czwartkowy wieczór, szóstego czerwca, i właśnie rozkoszowałem się drobną przyjemnością, jaką uprawiałem od początku wiosny – mianowicie zabierałem kolosalną masę detektywa inspektora Hibberta Aloysiusa Hatchery'ego na piwo i przekąskę w miejscowej gospodzie, zanim powierzę się jego opiece i zejdę razem z nim do portowych slumsów i w jeszcze mroczniejszy świat pod Cmentarzem Upiornych Świętych, żeby skorzystać z tego, o czym zacząłem myśleć jako o Imperium Podziemnych Rozkoszy Króla Lazaree.

W czasie naszych czwartkowych popasów w gospodzie lepiej poznałem detektywa Hatchery'ego i zaskoczyły mnie niektóre rewelacje z ust tego ogromnego mężczyzny, którego od naszego pierwszego spotkania uważałem za postać bez mała komiczną. Mieszkał w porządnej okolicy przy Dorset Square (w pobliżu mojego domu przy Melcombe Place) i odkąd jego żona zmarła kilka lat wcześniej, sam wychował trzy córki, które hołubił, i syna, który właśnie zaczął studia w Cambridge. A co było najbardziej zaskakujące, Hatchery dużo czytał i niektóre z jego ulubionych książek, jak się okazało, były mojego autorstwa. *Kobieta w bieli* zajmowała pierwsze miejsce na tej liście, chociaż detektywa stać było tylko na czytanie jej w odcinkach, kiedy wydawano ją w „All the Year Round" kilka lat temu. Tego właśnie wieczoru przyniosłem mu więc prawdziwy, oprawiony egzemplarz książki i właśnie opatrywałem ją autografem, kiedy ktoś przystanął przy naszym stoliku.

Najpierw rozpoznałem brązowy tweedowy garnitur, a potem znajdujące się w nim zwarte, umięśnione ciało. Mężczyzna zdjął kapelusz i wtedy zauważyłem, że kręcone szpakowate włosy wydają się nieco dłuższe niż w

Birmingham – ale wtedy były mokre.

– Panie Collins – powiedział i dwa palce strzeliły do jego czoła, jakby dotykały ronda kapelusza, którego już tam nie było. – Reginald Barris, do usług.

Burknąłem coś w odpowiedzi. Nie miałem ochoty widzieć detektywa Reginalda Barrisa. Nie tego wieczoru. Żadnego wieczoru. Wspomnienie tamtych kilku straszliwych sekund przemocy w zaułku w Birmingham zaczynało wreszcie blednąc.

Jednakże Barris przywitał się z Hatcherym, który odpowiedział mu skinieniem głowy, przyjmując właśnie prezent w postaci podpisanego egzemplarza *Kobiety w bieli* – zbieg okoliczności, który uznałem, być może bez powodu, za zdradziecki. Potem Barris przysiadł się do nas bez pytania o pozwolenie. Bezczelnie przysunął sobie krzesło i siadł na nim okrakiem, stawiając je tyłem naprzód i kładąc silne przedramiona na oparciu. Wstrząśnięty jego fatalnymi manierami, zastanawiałem się przez chwilę, czy Barris – mimo akcentu z Cambridge – nie jest przypadkiem Amerykaninem.

– Szczęśliwy zbieg okoliczności, panie Collins, że tak na pana wpadłem – powiedział.

Nie zaszczyciłem tej bzdury odpowiedzią, ale spojrzałem na Hatchery'ego w sposób, który okazywał lodowatą dezaprobatę dla faktu, że tak swobodnie dzieli się szczegółami naszych zwyczajów. A potem przypomniałem sobie cierpko, że potężny mężczyzna pracuje dla Fielda i niemal na pewno składa raporty również temu nieznośnemu Barrisowi, bo ten robił wrażenie pomocnika męczącego inspektora. Upomniałem się w duchu, że nie ma prawdziwej przyjaźni między Hatcherym i mną, mimo hojności, jaką okazywałem mu w ostatnich tygodniach.

Barris oparł się na przedramionach i zniżył głos:

– Inspektor Field miał nadzieję na raport, panie Collins. Zgłosiłem się na ochotnika, że jeśli wpadnę na pana, to panu o tym przypomnę. Czas ucieka.

– Zdałem inspektorowi Fieldowi raport niecałe dwa

tygodnie temu – odpowiedziałem. – I czas ucieka w związku z czym?

Barris się uśmiechnął, ale natychmiast przyłożył palec do ust, strzelając oczami na prawo i lewo w melodramatycznym przypomnieniu, że musimy zachować dyskrecję. Ciągle zapominałem, że Field i jego ludzie zakładają, że agenci widmowego Drooda czają się na każdym kroku.

– Z dziewiątym czerwca – szepnął Barris.

– Ach tak… – Napiłem się wina. – Dziewiąty czerwca. Święta rocznica Staplehurst i…

– Cśśś – upomniał mnie Reginald Barris.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie zapomniałem.

– Pański raport nie był szczególnie klarowny, panie Collins, jeśli idzie o…

– Nie był klarowny? – przerwałem głosem dostatecznie podniesionym, żeby dało się go słyszeć w całej gospodzie, gdyby ktoś chciał nadstawić ucha, chociaż z pewnością nie zanosiło się na to, żeby ktokolwiek z nielicznych obecnych zamierzał to zrobić. – Panie Barris, jestem pisarzem. Przez kilka lat byłem dziennikarzem, a teraz jestem powieściopisarzem z powołania. Doprawdy wątpię, żeby mój raport był nieszczególnie klarowny.

– Ależ nie, nie, nie – zgodził się ze mną młody detektyw, uśmiechając się z zakłopotaniem. – To znaczy, ależ tak, to znaczy, nie… Źle dobrałem słowa, panie Collins. W żadnej mierze nie był nieszczególnie klarowny, ale… być może… jak najbardziej klarowny, ale… odrobinę pobieżny?

– Pobieżny?! – powtórzyłem, wypowiadając to słowo z lekceważeniem, na jakie zasłużyło.

– W sensie idealnego uchwycenia sprawy w paru słowach – zamruczał młody detektyw, pochylając się jeszcze bardziej. – Nie był należycie wypełniony szczegółami. Na przykład, zgłosił pan, że pan Dickens nadal twierdzi, iż nie ma pojęcia o obecnym miejscu pobytu pana Edmonda Dickensona, ale czy… jak to lubimy mawiać w szkole i w policji… zasunął mu pan bombę?

Musiałem się uśmiechnąć.

– Panie… detektywie… Barris – odparłem cicho, zauważając pozorny brak zainteresowania Hibberta Hatchery'ego słowami jego zwierzchnika i moimi. – Nie tylko zasunąłem panu Dickensowi bombę, jak to pan ujął, ale zwaliłem na niego cały moździerz.

***

Barris mówił o pieniądzach Dickensona jako motywie stojącym za zniknięciem młodzieńca.

Owego majowego dnia czułem się tak dobrze, że długi spacer z Gad's Hill Place do Rochester sprawił mi prawdziwą przyjemność, chociaż z trudem nadążałem za Dickensem z tym jego zabójczym tempem marszu. Znajdowaliśmy się w jakichś dwóch trzecich dystansu do naszego celu, kiedy zasunąłem Panu Niezrównanemu bombą, moździerzem i jaszczem jednocześnie.

– Wiesz co, posłuchaj… – zagaiłem, kiedy szliśmy ścieżką wzdłuż północnej strony drogi prowadzącej do odległych kościelnych iglic. – Wyobraź sobie, że któregoś dnia wpadłem na przyjaciela młodego Edmonda Dickensona.

Spodziewałem się szoku albo zaskoczenia ze strony Dickensa, a otrzymałem zaledwie łagodne poruszenie jedną apodyktyczną brwią.

– Doprawdy? Podejrzewałbym raczej, że młody Dickenson nie miał przyjaciół.

– Najwyraźniej miał – skłamałem. – Stary kolega ze szkolnej ławy imieniem Barnaby, Benedict, Bertram albo jakoś tak.

– To imię czy nazwisko owego przyjaciela? – spytał Dickens, postukując laską z typową dla siebie precyzją i szybkością.

– To nieistotne – odpowiedziałem, żałując, że nie postarałem się bardziej, konstruując tę część mojego zmyślonego wstępu do zastawienia pułapki. – To po prostu ktoś, kogo spotkałem w klubie.

– Może być ważne w tym sensie, że ten jegomość, którego poznałeś, mógł być kłamcą – odparł dość niefrasobliwie Dickens.

– Kłamcą? Dlaczegóż to, Charlesie?

–Jestem całkiem pewien, że ten młody Dickenson poinformował mnie, że nigdy nie ukończył uniwersytetu, nawet nie zaczął studiów, które mógłby przerwać, ani nigdy nie przestąpił progu żadnej szkoły – odpowiedział Dickens. – Zdaje się, że biedna sierota miała rozlicznych prywatnych nauczycieli, a każdy następny był gorszy od poprzedniego.

– Cóż… – mruknąłem i przyśpieszyłem, żeby dogonić Dickensa. – Może nie byli szkolnymi kolegami, ale ten Barnaby…

– Albo Bertram – podsunął Dickens.

– No tak, wygląda na to, że ten jegomość…

– Albo Benedict – wtrącił Dickens.

– Tak. Mogę skończyć opowiadać, Charlesie?

– Ze wszech miar, mój drogi Wilkie – odpowiedział Dickens, uśmiechając się i wyciągając otwartą dłoń.

Jakieś drobne szare ptaki – gołębie albo kuropatwy – wyrwały się z żywopłotu, kiedy się zbliżyliśmy, i poleciały w błękitne niebo. Nie zwalniając kroku, Dickens uniósł laskę na ramię niczym strzelbę i udał, że pociąga za cyngiel.

–Wygląda na to, że ten jegomość, znający młodego Dickensona… skądś tam… usłyszał w zeszłym roku od niego samego, że Dickenson zmienił swojego opiekuna prawnego na czas ostatnich miesięcy przed osiągnięciem pełnoletności.

– O? – To była cała reakcja Dickensa. Jedynie uprzejma samogłoska.

– Tak – powiedziałem wyczekująco.

Przeszliśmy jakieś sto jardów w milczeniu.

W końcu zrzuciłem swoją bombę:

– Tak się złożyło, że ten sam jegomość…

– Pan Barnaby.

– Tak się złożyło, że ten sam jegomość – powtórzyłem z uporem – był zaangażowany w pewną transakcję w banku swojego przyjaciela Dickensona i przypadkiem usłyszał…

– A co to za bank? – spytał Dickens.

– Słucham?

– O jakim banku mówisz, mój drogi Wilkie? A raczej o jakim banku mówił ten przyjaciel młodego Dickensona?

– Banku Tillsona – odparłem, czując moc w tych dwóch słowach.

Zupełnie jakbym przesuwał skoczka na właściwe pole przed ogłoszeniem mata. Wydaje mi się, że to sir Francis Bacon powiedział: „Wiedza to potęga”. Przewaga, jaką miałem teraz nad Charlesem Dickensem, pochodziła z wiedzy zdobytej przez inspektora Charlesa Fredericka Fielda.

– Ach, tak – powiedział Dickens. Przeskoczył lekko nad gałęzią, która spadła na żwirową ścieżkę. – Znam ten bank, mój drogi Wilkie… Staroświeckie, chełpliwe, małe, ciemne i brzydkie miejsce śmierdzące stęchlizną.

Do tego czasu bez mała (o ile nie całkiem) straciłem wątek swojego przesłuchania, w ramach którego zamierzałem pochwycić sumienie tego króla.

– Wystarczająco solidny bank, jak się wydaje, żeby przelać jakieś dwadzieścia tysięcy funtów na konto nowego opiekuna Edmonda Dickensona – powiedziałem.

Zastanawiałem się, czy mój sierżant Cuff dodałby: „Aha!”.

– Powinienem dodać „niedyskretne” do staroświeckiego, chełpliwego, małego, ciemnego i brzydkiego miejsca śmierdzącego stęchlizną. – Dickens się zaśmiał. – Nie będę prowadził żadnych więcej interesów z Tillsonem.

Musiałem przystanąć. Dickens zrobił jeszcze kilka kroków, zanim, marszcząc lekko czoło z powodu przerwy w spacerze, także się zatrzymał. Serce waliło mi w piersi.

– Zatem nie zaprzeczasz, że otrzymałeś te pieniądze, Charlesie?

– Zaprzeczać? Dlaczego miałbym zaprzeczać, mój drogi Wilkie? O czym ty, do diaska, mówisz?

– Nie zaprzeczasz, że zostałeś opiekunem Edmonda Dickensona i że około dwudziestu tysięcy funtów, cały spadek młodzieńca, zostało przelane z banku Tillsona do

twojego banku i na twoje konto?

– Nawet przez sekundę nie mógłbym i nie zamierzałbym zaprzeczać! – Dickens się śmiał. – Oba te zdania są stwierdzeniami faktu i jako takie są prawdziwe. Chodź, spacer czeka.

– Ale… – wysapałem, doganiając go i próbując zrównać z nim krok. – Ale… kiedy zapytałem cię niedawno, czy wiesz, gdzie przebywa młody Dickenson, powiedziałeś, że słyszałeś, że wyjechał do Afryki Południowej albo podobnego miejsca i poza tym nie masz pojęcia.

– Co rzecz jasna było szczerą prawdą – powiedział Dickens.

– Przecież byłeś jego opiekunem!

– Jedynie z nazwy – odparł Dickens. – I tylko przez kilka tygodni, dopóki biedny chłopak nie uzyskał pełnoletności i nie przejął całego spadku. Myślał, że wyświadcza mi zaszczyt, nazywając mnie opiekunem, a ja mu na to pozwoliłem. Z pewnością nie powinno to obchodzić nikogo poza Dickensonem i mną.

– Ale pieniądze… – zacząłem.

– Zostały podjęte na prośbę Dickensona dzień po tym, jak ukończył dwadzieścia jeden lat i mógł zrobić z nimi, co tylko zechce, mój drogi Wilkie. Miałem tę przyjemność wypisać mu w tym samym dniu czek na pełną sumę.

– No tak, ale… dlaczego to szło przez twoje konto, Charlesie? To nie ma sensu.

– Oczywiście, że nie ma – zgodził się Dickens, znowu się śmiejąc. – Chłopak, nadal myśląc, że ocaliłem mu życie pod Staplehurst, chciał zobaczyć mój podpis na przekazie bankowym, który miał na nowo zacząć jego życie w roli dorosłego człowieka. To wszystko bzdura, rzecz jasna, ale nie kosztowało mnie więcej niż energia, jakiej wymaga otrzymanie wypłaty i wypisanie chłopcu własnego czeku. Jego poprzedni adwokat i doradca, pan Roffe, o ile się nie mylę, zajął się wszystkimi sprawami w obu bankach.

– Jednakże mówisz, że nie masz pojęcia, dokąd udał się Dickenson…

– Bo nie mam. Mówił o odwiedzeniu Francji, a potem być

może o rozpoczęciu życia na nowo w… Afryce Południowej, albo nawet w Australii. Jednak nie otrzymałem od niego żadnego listu.

Już chciałem coś powiedzieć, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie mam nic do powiedzenia. Gdy przygotowywałem się w myślach do tej konfrontacji, wyobraziłem sobie, jak sierżant Cuff zaskakuje winowajcę, który przyznaje się wtedy do morderstwa.

Dickens przyglądał się mojej twarzy, kiedy szliśmy. Nie krył rozbawienia.

– Kiedy usłyszałeś to wszystko od tego zadziwiająco wszechobecnego pana Barnaby, Benedicta albo Bertranda, mój drogi Wilkie, czy wyobraziłeś sobie, że wkręciłem się na pozycję opiekuna biednego młodego Dickensona, a potem zamordowałem go dla pieniędzy?

– Co?! Ja… Oczywiście, że nie… To śmieszne… Jak mogłeś…

– Bo do takiego wniosku sam bym doszedł na podstawie tych poszlak – odparł promiennie Dickens. – Starzejący się pisarz, być może mający kłopoty finansowe, zbiegiem okoliczności ratuje życie bogatej sierocie i wkrótce zdaje sobie sprawę, że chłopak nie ma przyjaciół, nie ma rodziny ani bliskich znajomych wartych wspomnienia, jedynie zramolałego starego adwokata, który ma skłonności do zapominania, czy jadł tego dnia obiad, czy też nie. A potem ten pisarz aranżuje sytuację tak, żeby ufny chłopiec wyznaczył jego, chciwego pisarza z finansowymi kłopotami, na swojego opiekuna…

– A masz kłopoty finansowe, Charlesie?

Dickens ryknął śmiechem tak głośnym i swobodnym, że omal mu nie zawtórowałem.

– A jak myślisz, w jaki sposób bym go zabił, Wilkie? I gdzie? W Gad’s Hill Place? Potwornie publiczne miejsce, gdzie goście przyjeżdżają i odjeżdżają o każdej porze dnia i nocy.

– Katedra Rochester – orzekłem ponuro.

Dickens zerknął ponad zielonymi drzewami.

– Rzeczywiście, oto i ona. Jesteśmy prawie na miejscu. Och! Nie, czekaj, masz na myśli… Że zabiłbym Dickensona w katedrze w Rochester? No tak, oczywiście. To wszystko pasuje. Jesteś geniuszem dedukcji, mój drogi Wilkie.

– Lubisz pokazywać ją ludziom w nocy, przy świetle księżyca – przypomniałem, nie wierząc, że wypowiedziałem te słowa na głos.

– Rzeczywiście. – Dickens się roześmiał. – A pan Dradles i duchowny z katedry, którego w swojej nowej powieści nazwę Septimusem Crisparkle'em, dali mi klucze, żebym mógł wejść o dowolnej godzinie, kiedy zjawię się tam z gośćmi…

– I krypty – mruknąłem.

– Co takiego? Ach, no tak! Bardzo dobrze. Te same klucze dałyby mi dostęp do krypt. Musiałbym więc tylko zaprosić młodego Dickensona na prywatną wycieczkę, żeby popisać się widokami na Rochester z wieży katedralnej w świetle księżyca; czemu nie, raptem rok temu zabrałem w księżycową noc na wieżę ciebie i szwagra Longfellowa z córkami. I we właściwej chwili zachęciłbym chłopca, żeby wychylił się mocniej i zobaczył blask księżyca na morzu z drugiej strony wieży… i popchnąłbym go leciutko.

– Skończmy z tym, Charlesie – powiedziałem rwącym się głosem.

Czułem, jak podagra zakrada się za moje prawe oko niczym gejzer skumulowanej krwi i bólu.

– Nie, nie, to jest nazbyt wspaniałe! – wykrzyknął Dickens, kręcąc laską, jakby prowadził paradę. – Nie potrzeba pistoletu, młotka, łopaty ani żadnego innego brudnego, ciężkiego narzędzia, żeby dokonać czynu, a potem żeby uprzątnąć albo pozbyć się ciała, wystarczy grawitacja. Krótki krzyk pośród nocy. A potem… co potem? Powiedzmy, że chłopak nadział się na jeden z żeliwnych kolców na ogrodzeniu wokół zakrystii albo roztrzaskał te resztki mózgu, jakie jeszcze miał, na starych nagrobkach… Co potem, sierżancie Cuff?

– Potem jama z gaszonym wapnem.

Dickens przystanął i wolną ręką złapał się za czoło. Oczy

miał szeroko otwarte, a uśmiech szczęśliwy, od ucha do ucha.

– Jama z gaszonym wapnem! – wykrzyknął. Jeździec mijający nas kłusem na gniadej klaczy spojrzał na nas ponad drogą. – No oczywiście! Jak mogłem zapomnieć o jamie? A potem, być może po paru dniach… krypty?

Pokręciłem głową, odwróciłem wzrok, zagryzłem usta tak mocno, że poczułem smak krwi. Znowu ruszyliśmy.

– Oczywiście – ciągnął Dickens, z roztargnieniem młócąc laską chwasty – potrzebowałbym wtedy jako wspólnika starego Dradlesa, żeby zburzyć i ponownie postawić mur w krypcie. Właśnie w taki sposób wychodzą na jaw morderstwa, Wilkie: wzięcie wspólnika zbyt często okazuje się krokiem w stronę szubienicy.

– Niekoniecznie – odpowiedziałem głosem nadal beznamiętnym i pozbawionym życia. – Posłużyłbyś się mesmeryzmem magnetycznym wobec biednego Dradlesa. Nie pamiętałby, że ci pomagał w pozbyciu się ciała Dickensona… szkieletu… zegarka, okularów i innych metalowych przedmiotów.

– Mesmeryzm! – zawołał Dickens. – Cudownie! Czy dodamy do tej mieszanki jeszcze laudanum, drogi przyjacielu?

– Nie sądzę, żeby to było konieczne, Charlesie. Sama hipnoza zapewni ci mimowolną pomoc wspólnika.

– Biedny stary Dradles! – Dickens prawie podskakiwał z zachwytu. – Biedny młody Dickenson! Ci nieliczni ludzie na tym świecie, który wiedzieli o jego istnieniu, uwierzą… i to słysząc słowa jego mordercy!… że wyjechał do Francji, Afryki Południowej albo Australii. Nikt nie będzie go opłakiwać. A morderca rozwiąże swoje… kłopoty finansowe… i będzie żył dalej jak gdyby nigdy nic. To aż zbyt piękne, mój drogi Wilkie.

Serce znowu biło mi jak szalone, więc postanowiłem zdetonować bombę, którą, być może, zrzuciłem przedwcześnie.

– Tak, Charlesie, ale to wszystko pod warunkiem, iż rzeczony morderca wie, że jest mordercą… wie, że popełnił

morderstwo.

– Jakim cudem może nie wiedzieć… – zaczął Dickens i wtedy wściekle przeczesał postrzępioną brodę. – Ależ oczywiście! Morderca, ten sam człowiek, który zahipnotyzował opiekuna krypty, by stał się jego wspólnikiem, sam działał pod wpływem fluidów magnetycznych!

Nic nie powiedziałem, ale obserwowałem twarz Dickensa, kiedy szliśmy.

Pokręcił głową.

– Obawiam się, że w tym miejscu ta teoria się załamuje, Wilkie.

– Dlaczegóż to, Charlesie?

– Profesor John Elliotson, mój pierwszy instruktor sztuki magnetycznej… zresztą, sam go cytowałeś, Wilkie!… i wszyscy inni specjaliści, których czytałem i których się radziłem, upierają się, że człowiek pod działaniem fluidów magnetycznych innej, silnej woli nie popełni żadnego uczynku, którego nie wykonałby ani na który nie zgodziłby się, nie będąc pod hipnotycznym wpływem.

– Jednak namówiłeś Dradlesa, żeby pomógł ci pozbyć się ciała – zauważyłem.

– Tak, tak – powiedział Dickens, przyśpieszając kroku i przeczesując rękami włosy i brodę, zatopiony w kontemplacji poszczególnych elementów spisku. – Ale chowanie zmarłych w grobach i kryptach, przenoszenie ich ciał, kiedy zachodzi potrzeba, a potem zamurowywanie krypt, to wszystko są obowiązki Dradlesa. Kontrolujący go hipnotyzer musiałby po prostu wymyślić dla niego odpowiednią historyjkę. Jednakże rozkazać morderstwo… Nie, myślę, że to nie zadziała w naszej historii, Wilkie. Nie, jeśli morderca jest zdrowym psychicznie człowiekiem.

– Nawet ludzie zdrowi na umyśle miewają mroczne myśli – zauważyłem półgłosem, kiedy weszliśmy w cień samej katedry w Rochester. – Nawet ludzie zdrowi na umyśle, wyjątkowo zdrowi na umyśle i powszechnie znani, mają mroczne strony, których nikomu nie pokazują.

– To prawda, prawda – zgodził się Dickens. – Ale do takiego stopnia, żeby być w stanie zabić?

– A jeśli prawdziwym celem marionetkarza stojącego za tą zbrodnią było zostać mistrzem hipnozy i masowym mordercą? – zapytałem. – Może znać wiele tajnych sposobów przekonywania ludzi będących pod jego wpływem, by wykonywali jego rozkazy, niezależnie od tego jak bardzo są straszne. Być może, mają myśleć, że są aktorami w jakimś teatralnym przedsięwzięciu i że pod koniec ich ofiary poderwą się i wybiegną przed kurtynę, skłonić się widzom?

Dickens spojrzał na mnie bardzo ostro.

– Masz większą skłonność do sensacji, niż się spodziewałem, Wilkie Collinsie. Ta twoja nowa książka, *Kamień Księżycowy,* naprawdę świetnie się sprzeda, zważywszy, że czytelnicy nigdy nie mają dość rzezi, krwi i niezdrowych aspektów, które ożywiają najciemniejsze zakamarki ludzkiego umysłu.

– Miejmy nadzieję – odparłem cicho.

Weszliśmy do miasteczka i znajdowaliśmy się zaledwie przecznicę od katedry. Wielka wieża rzucała cień na nas i gromadkę niskich, szarych domów po obu stronach drogi.

– Masz ochotę wejść na górę i się rozejrzeć? – zaproponował Dickens, wskazując na wysoką, kamienną iglicę. – Akurat mam przy sobie klucz.

– Nie dziś – powiedziałem. – Niemniej dziękuję.

– Może więc innym razem – odpowiedział Pan Niezrównany.

***

– Nie okazał więc żadnych widocznych oznak wyrzutów sumienia ani poczucia winy w związku z dwudziestoma tysiącami funtów – powiedział Reginald Barris. – A co z rocznicą?

– Słucham? – zdziwiłem się. Myślałem już o innych rzeczach.

– Rocznicą wypadku pod Staplehurst – szepnął młody

detektyw. – Inspektor Field prosił pana, żeby zrobił pan co w jego mocy, by towarzyszyć Dickensowi, kiedy tego dnia przybędzie do miasta, a dziewiąty czerwca jest już za trzy dni. Nie napisał pan ani słowa na temat tego, czy przyjął, czy też odrzucił pańską propozycję spędzenia z nim dnia i nocy w Gad's Hill Place oraz towarzyszenia mu podczas jego nieuniknionego powrotu do Londynu i Podmiasta.

Dopiłem piwo i uśmiechnąłem się do Hibberta Hatchery'ego, który starał się nas nie słuchać i z szacunkiem przeglądał egzemplarz *Kobiety w bieli,* który właśnie dla niego podpisałem.

– Czy książka zyskała pańską aprobatę, detektywie Hatchery?

– To nieoceniony prezent, panie Collins – zadudnił olbrzym.

– Co z rocznicą, panie Collins? – naciskał nieznośny Barris.

– Pan Dickens nie zaprosił mnie, żebym zatrzymał się w Gad's Hill. Nie zaprosił mnie również na wyprawę do miasta w niedzielną noc dziewiątego czerwca w poszukiwaniu widmowego Drooda – powiedziałem, nawet nie patrząc na Barrisa.

– W takim razie – odparł detektyw – koniecznie musimy zaaranżować pańskie spotkanie z inspektorem Fieldem. Zmobilizował na niedzielną noc dwudziestu trzech agentów i…

– Zamiast tego – kontynuowałem, gładko wchodząc arogantowi w słowo – pan Dickens zgodził się przyjechać w niedzielę na kolację do mojego domu przy Melcombe Place i… – tu zrobiłem pauzę dla większego efektu – …spędzić u mnie noc.

Barris zamrugał zaskoczony.

– Dickens będzie w pańskim domu w noc rocznicy katastrofy pod Staplehurst?

Pokiwałem głową, czując, że protekcjonalność tego niespiesznego ruchu jest w pełni zasłużona.

Barris zerwał się na równe nogi i z łoskotem obrócił krzesło.

– Natychmiast muszę przekazać tę informację

inspektorowi. Dziękuję panu, panie Collins. To… nadzwyczajny… rozwój wypadków. – Dotknął niewidzialnego ronda kapelusza, a do Hatchery'ego powiedział: – Uważaj na siebie, Hibbert.

Potem wyszedł z gospody, a Hatchery i ja przeszliśmy jakieś półtorej mili w kierunku Cmentarza Upiornych Świętych. Tam detektyw przygotował kilka rzeczy na swoje długie czuwanie – małą latarnię, zatłuszczoną torbę z kolacją na trzecią nad ranem (zapakowaną niewątpliwie przez jedną z córek), niedużą butelkę wody i nieskazitelny egzemplarz *Kobiety w bieli.*

Schodząc po stopniach do starodawnych katakumb, pomyślałem (nie po raz pierwszy) o nieskończonej umiejętności przystosowywania się istoty ludzkiej. Dwa lata temu to zejście, kiedy szedłem za Dickensem do katakumb, było dla mnie dziwne i więcej niż tylko trochę przerażające. Teraz to było nic – rzecz powszednia, jak spacer do mojego aptekarza na rogu, żeby napełnić cotygodniowy dzban laudanum.

Chiński król Lazaree i jego dwaj ochroniarze powitali mnie przy postrzępionej zasłonie do swojej niszy. Moja fajka czekała już napełniona i gotowa.

Osiem godzin później, kiedy wszedłem po schodach na górę, gdzie rozpoczął się nowy dzień, detektyw Hatchery wszystko schludnie uprzątnął – z wyjątkiem powieści, którą właśnie czytał w wąskiej smudze porannego światła, wpadającej przez uchylone drzwi do grobowca.

– Wszystko w porządku? – spytał, chowając książkę do jednej z obszernych kieszeni.

– Wszystko jest w jak najlepszym porządku, detektywie Hatchery. Jak najlepszym. Zdaje się, że zaczął się piękny dzień.

Rozdział 22

W niedzielę dziewiątego czerwca 1867 roku wróciłem do domu później niż planowałem. Rano zapowiedziałem Caroline, że do wieczora będę pracował w klubie nad książką, ale wrócę przed przyjazdem Dickensa na kolację. Jak pewnie się domyślasz, Drogi Czytelniku, w rzeczywistości większość dnia spędziłem z Marthą R. w jej pokojach przy Bolsover Street. Straciłem poczucie czasu i pośpiesznie wróciłem do domu nieco zmęczony i czując się odrobinę niechlujnie.

Wszedłem do salonu na dole i znowu zastałem Charlesa Dickensa wykonującego hipnotyczne ruchy nad najwyraźniej senną Caroline G.

Pierwszy mnie zauważył.

– Ach, mój drogi Wilkie! – wykrzyknął jowialnie. – W samą porę!

Caroline otworzyła oczy i powiedziała:

– Pan Dickens mnie hipnotyzował.

– Na to wygląda – odparłem chłodno.

– Pokazywał, jak zastosować tę procedurę wobec ciebie! – tłumaczyła. – Żeby ci pomóc zasypiać w te noce, kiedy… No wiesz.

– Wiem, że ostatnio sypiam całkiem dobrze – skłamałem.

Dickens się uśmiechnął.

– Jeśli jednak Caroline będzie mogła posłużyć się mesmeryzmem magnetycznym, żeby pomóc ci zasnąć wieczorem – powiedział – będziesz mógł ograniczyć albo całkiem odstawić wieczorne laudanum.

– I tak prawie w ogóle go teraz nie biorę.

– Och, Wilkie, wiesz, że to nieprawda! – wykrzyknęła Caroline. – Raptem dwie noce temu… – Urwała, kiedy zobaczyła moje chłodne spojrzenie. – Powinnam porozmawiać z kucharką – powiedziała – i sprawdzić, czy kolacja już gotowa.

Kolacja była gotowa już wkrótce i okazała się prawdziwym

sukcesem, nie tylko pod względem smaku i jakości (to niespodzianka, zważywszy, że nasza „kucharka”, Besse, była także naszą pokojówką podającą do stołu i jedną z trojga służących, jakich mieliśmy; poza tym zatrudnialiśmy jej męża George’a oraz ich córkę Agnes, rówieśnicę Carrie), ale także pod względem rozmów i wesołości.

Carrie, która zawsze czerpała radość z towarzystwa Charlesa Dickensa (chociaż jego córki czyniły to ostatnio coraz rzadziej), jako rumieniąca się pannica pokazała się od swojej najlepszej strony; młoda Harriet, podobnie jak jej matka, była wystarczająco inteligentna, żeby nauczyć się już subtelnej sztuki czarowania starszych mężczyzn, nie okazując przy tym kokieterii. Nawet Caroline sporo wniosła do naszych rozmów. Sam Dickens był rozluźniony i życzliwy.

Nie wiem, czy opisałem to właściwie i wystarczająco w tych skromnych wspomnieniach, Drogi Czytelniku z mojej pośmiertnej przyszłości, ale Charles Dickens, będąc najprawdopodobniej złoczyńcą i może nawet mordercą, stanowił niemal zawsze najmilsze towarzystwo. Rozmowy z nim były łatwe, zgodne, prawie nigdy nie skupiały się na jego własnej osobie i pozostawały całkowicie wolne od wysilenia i bzdur. Zajmował jedyną w swoim rodzaju pozycję (przynajmniej w moim kręgu sławnych angielskich przyjaciół i znajomych) umiejętnego i życzliwego gawędziarza, który nigdy nie nudzi. Nigdy nie sięgał po aforyzmy ani ciężki dowcip, a jednym z aspektów jego uważnego słuchania było to, że dużo się śmiał. I zaraźliwie.

Dickens dużo się śmiał owego dziewiątego czerwca roku pańskiego 1867. Przy kolacji zdawało się, że nie ma żadnych zmartwień i nic go nie zaprząta.

Po kolacji przeszliśmy na górę do mojego gabinetu na brandy i cygara. Przyznaję, że trochę mnie martwiło pójście do gabinetu tak blisko zmierzchu (wieczory były długie o tej porze roku i chociaż pogoda się zmieniła, było chłodno i padał ulewny deszcz, słabe światło nadal wpadało przez kotary), ale pocieszałem się świadomością, że rzadko widywałem Drugiego Wilkiego o tak wczesnej wieczornej

porze. Nigdy też nie widziałem go, kiedy w pobliżu znajdował się ktoś jeszcze, chociaż – może powinienem był Ci to powiedzieć, Drogi Czytelniku, już wcześniej – obecność Drugiego Wilkiego w taki czy inny sposób prześladowała mnie (najpierw wyczuwalna, a potem widoczna), odkąd byłem małym chłopcem.

Jednakże nie tej nocy.

Dickens przeprosił i poszedł do ustępu, a ja wziąłem brandy i podszedłem rozsunąć kotary, by wyjrzeć w ciemność.

Nadal padało. Uśmiechnąłem się leciutko, myśląc o inspektorze Fieldzie i jego dwudziestu trzech agentach (większość z nich wynajęto specjalnie na tę noc, jak się dowiedziałem w tym tygodniu, ponieważ, co dziwne, prywatne biuro detektywistyczne Fielda dysponowało zaledwie siedmioma etatowymi pracownikami), ukrytych gdzieś na zewnątrz, niewidocznych, ale z pewnością moknących na deszczu i marznących na nietypowym dla tej pory roku chłodzie. Carrie i nasza dziewczyna, Agnes, rozpaliły porządny ogień w moim gabinecie i było w nim całkiem przytulnie.

Bawiło mnie, kiedy poprzedniego dnia zostałem zmuszony do tego, by za pomocą różnych podstępów pozbyć się Caroline, Carrie i trójki naszych służących, żeby Field, Barris i kilku jego ludzi mogli zbadać nasz dom od piwnicy po strych.

Inspektor Field nalegał, a ja nie mogłem na to nic poradzić. Chodziłem tylko za nim, kiedy jego ludzie badali wszystkie drzwi i okna – oceniając na głos, jak bardzo niemożliwy byłby skok z pobliskich dachów do tych okien na piętrze, i ustalając różne dobre punkty w sąsiedztwie, z których można obserwować zaułki, tylne podwórze i pobliskie boczne uliczki. Wreszcie z fanatycznym oddaniem przeszukali piwnicę, gdzie posunęli się nawet do tego, że przerzucili jakieś pół tony węgla. Tam, gdzie węgiel zawsze piętrzył się na wysokość kilku stóp pod tylną ścianą, odkryli dziurę w kamiennym murze… Dziurę mającą mniej niż dziesięć cali

szerokości.

Detektywi zaświecili latarniami w głąb dziury, ale okazało się po prostu, że tunel skręca w dół i znika z oczu w kamieniu i ziemi.

– Dokąd on prowadzi? – dopytywał się inspektor Field.

– A skąd mam wiedzieć? – odpowiedziałem. – Pierwszy raz to widzę.

Field zawołał wtedy Barrisa i jego ludzi, którzy – to nie do wiary! – przynieśli zawczasu cegły, zaprawę i narzędzia pozwalające im teraz zamknąć niewinną szparę. Zrobili to w niecałe dziesięć minut; Barris osobiście kładł cegły i pracował kielnią. Zauważyłem wprawę, z jaką to robił, i mogłem sobie teraz wyobrazić, skąd te potężne ręce. Niezależnie od tego, że pan Reginald Barris mówił z akcentem z Oksfordu albo Cambridge, niewątpliwie wywodził się z niższej klasy rzemieślników.

– Chronią panowie Dickensa i mnie przed szczurami? – zapytałem z uśmiechem.

Inspektor wycelował we mnie swój gruby i dziwnie złowieszczy palec.

– Niech pan zapamięta sobie moje słowa, panie Collins. Albo pan Dickens będzie usiłował zobaczyć się jutro z Droodem, w tę ważną rocznicę ich pierwszego spotkania w Staplehurst, albo Drood znajdzie sposób, żeby zobaczyć się Dickensem. Tak czy inaczej, szanowny panie, znajdzie się pan w niebezpieczeństwie, jeśli do tego spotkania dojdzie.

Roześmiałem się i wskazałem maleńką dziurkę, teraz całkowicie i niepotrzebne zamurowaną.

– Spodziewa się pan, że Drood jakimś cudem wślizgnąłby się tędy? – Wskazałem rękami, jak wąska była szczelina; nie przecisnęłoby się przez nią nawet dziecko nasmarowane tłuszczem.

Field nie odpowiedział uśmiechem.

– Niestety, stwór, którego nazywa pan Droodem, może wejść węższą szczeliną niż ta, panie Collins. O ile zostanie zaproszony.

– O, w tym rzecz inspektorze – powiedziałem, śmiejąc się

cicho. – Nigdy nie zaprosiłem pana Drooda do swojego domu.

– Nie. Możliwe jednak, że zrobił to pan Dickens – odpowiedział Field.

A potem poszli przebadać każdy cal reszty mojej piwnicy.

***

– Wybieram się do Ameryki – oznajmił Dickens.

Odpoczywaliśmy z resztkami brandy i cygar, ogień syczał i trzaskał u naszych stóp, a deszcz walił w okna. Dickens był w moim gabinecie cichy i poważny, tak jak godzinę wcześniej przy kolacji był jowialny i rozmowny.

– Nie możesz mówić poważnie – powiedziałem.

– Przeciwnie.

– Ale… – zacząłem i musiałem zamilknąć.

Już chciałem powiedzieć „Ale przecież zdrowie ci na to nie pozwoli”, jednak w ostatniej chwili przypomniałem sobie o dyskrecji. Z kilku źródeł słyszałem o poważnym stanie zdrowia Dickensa, w tym od Franka Bearda, mojego brata Charleya i córki Dickensa, Kate (często poprzez Charleya), a także od naszych wspólnych przyjaciół, ale tylko rozzłościłbym Dickensa, gdybym zdradził się z wiedzą o jego poważnych dolegliwościach. Pośród nich było narastające zmęczenie, które doprowadziło do zasłabnięcia między występami w czasie wiosennego tournée po Szkocji i Anglii, narastające problemy z lewą nogą i lewą nerką, kłopoty z trawieniem, wzdęcia, towarzyszące temu bóle głowy i – zapewne najbardziej dla nas widoczne – gwałtowne starzenie się.

– Ale z pewnością twoja niechęć wobec Ameryki i Amerykanów powstrzymają cię przed powrotem na tamten kontynent – powiedziałem więc na głos. – Jasno okazałeś swoją pogardę w *Zarysie Ameryki* i *Marcinie Chuzzlewicie.*

– Gdzie tam… – Dickens machnął ręką. – Odwiedziłem Amerykę dwadzieścia pięć lat temu, mój drogi Wilkie. Nawet tak zacofane miejsce musiało się zmienić na lepsze w ciągu ćwierćwiecza. Z pewnością poprawili się pod względem

szacunku dla praw autorskich i płacenia angielskim autorom za wydawanie w odcinkach ich dzieł, musisz to przyznać, bo sam ogromnie na tym skorzystałeś.

To ostatnie było prawdą. Zawarłem doskonałą umowę z Amerykanami w kwestii *Siły przeznaczenia* i prawie zakończyłem negocjacje jeszcze lepszej umowy na wydanie *Kamienia Księżycowego,* który dopiero co zacząłem pisać.

– Poza tym – kontynuował Dickens – mam tam wielu przyjaciół, a niektórzy z nich są zbyt starzy lub bojaźliwi, żeby przebyć ocean. Powinienem zobaczyć się z nimi po raz ostatni, zanim oni albo ja umrzemy.

Słowa Dickensa o śmierci obudziły we mnie niepokój. Dopiłem resztki brandy i zagapiłem się w ogień, znowu wyobrażając sobie niemądrego inspektora Fielda i jego mały legion ludzi kulący się gdzieś na deszczu. Jeśli Dickens zamierzał zrobić to, przy czym upierał się Field – wytłumaczyć się jakimś zapomnianym spotkaniem i wymknąć się z mojego domu, zamiast w nim przenocować – lepiej, żeby się pośpieszył. Robiło się późno.

– W każdym razie – powiedział Dickens, sadowiąc się wygodniej na skórzanych poduszkach wysokiego fotela – postanowiłem na początku sierpnia posłać tam Dolby'ego, żeby zbadał ukształtowanie terenu, jak to mawiają Amerykanie. Zawiezie moje dwa nowe opowiadania, *Wyjaśnienia George'a Silvermana* i *Wakacyjny romans.* Zostały zamówione przez amerykańskich wydawców i, jeśli się nie mylę, drugie z nich ukaże się w piśmie dla dzieci zatytułowanym „Our Young Folks", czy jakoś podobnie.

– Tak – powiedziałem – pokazywałeś mi *Wakacyjny romans* w Gad's Hill parę tygodni temu, może pamiętasz… Powiedziałeś mi wtedy, że zawarte w tych opowiadaniach historie naprawdę zostały napisane przez dzieci, pod wpływem jakieś kaprysu. Uwierzyłem ci.

– Nie jestem pewien, czy uznać to za komplement, czy się obrazić, mój drogi Wilkie.

– Rzecz jasna ani jedno, ani drugie, Charlesie – odpowiedziałem. – To tylko zwykłe stwierdzenie faktu. Jak

zawsze, kiedy zaprzęgasz do pracy słowa, powstaje przekonująca całość. Pamiętam jednak, że powiedziałeś mi, że dwadzieścia pięć lat temu, w czasie pierwszego tournée po Ameryce, niemal całkowicie straciłeś siły, wyczerpany trudami podróży. A Forster po dziś dzień powtarza, że Amerykanie nie są warci takiego geniusza jak ty. Jesteś pewien, Charlesie, że chcesz ponownie narazić się na taki wysiłek?

Dickens przyjął moje zaproszenie, żeby zapalić cygaro, i teraz wydmuchnął dym w stronę sufitu.

– To prawda, że byłem wtedy młodszy, Wilkie, ale i wyczerpany po pisaniu *Gracza czyli zegara ściennego pana Humphrey,* a raptem kilka dni przed wyjazdem przeszedłem dość poważną operację. Poza tym, przemowy, jakie musiałem wygłaszać w Ameryce, wyczerpałyby nawet parlamentarzystę, który nie robiłby nic poza tym. Ponadto, muszę przyznać, byłem mniej cierpliwy i o wiele bardziej skłonny do irytacji niż teraz, gdy osiągnąłem spokój wieku średniego.

Pomyślałem o tym tak zwanym spokoju pisarza w wieku średnim. Inspektor Field poinformował mnie, że Ellen Ternan chorowała przez cały kwiecień i maj i Charles Dickens – kto wie, czy nie najbardziej publiczna osoba w naszym kraju – znikał na całe dnie, żeby czuwać przy łożu niedomagającej kochanki. Nawyk otaczania się tajemnicą obejmował nie tylko rzekome spotkania z kreaturą zwaną Droodem; przemilczanie faktów stało się drugą naturą pisarza. Przy ostatnich dwóch okazjach wiedziałem z całą pewnością, że celowo wysłał mi listy napisane z Gad’s Hill Place, podczas gdy tak naprawdę przebywał z Ellen Ternan albo zatrzymał się w swoim sekretnym domu w jej pobliżu.

– Istnieją inne powody, dla. których muszę opuścić kraj – odezwał się cicho Dickens. – I nadszedł czas, żebym o nich z tobą porozmawiał.

Uniosłem lekko brwi, paliłem i czekałem. Spodziewałem się kolejnych banialuk, więc słowa Dickensa mnie zaskoczyły.

– Pamiętasz personę, którą nazywałem Droodem? –

zapytał.

– Oczywiście. Jak mógłbym zapomnieć o rzekomej historii tego stwora i o naszej wyprawie dwa lata temu do tuneli pod miastem?

– W rzeczy samej… – przytaknął oschle Dickens. – Myślę, że mi nie wierzysz, kiedy mówię ci o Droodzie, mój drogi Wilkie… – Machnął ręką, kiedy pośpieszyłem zaprzeczyć. – A teraz posłuchaj przez chwilę, mój przyjacielu. Proszę. Jest wiele rzeczy, o których ci nie powiedziałem, Wilkie… Wiele rzeczy, których nie mogłem ci powiedzieć… Wiele rzeczy, w które byś nie uwierzył, gdybym ci jednak powiedział. Niemniej Drood naprawdę istnieje, co sam niemal odkryłeś w Birmingham.

Znowu otworzyłem usta, ale odkryłem, że nie mogę wykrztusić słowa. Co miał na myśli? Już dawno temu wmówiłem sobie, że mój koszmar na jawie w czasie wieczoru literackiego w Birmingham był laudanowym snem wywołanym straszliwą konfrontacją ze zbirami w zaułku tegoż miasta. Krew, którą potem znalazłem na kołnierzyku koszuli i fularze, wzięła się, rzecz jasna, z rany, którą odniosłem, gdy jeden ze zbirów przyłożył mi nóż do szyi – rany, która ponownie się otworzyła.

Tylko skąd Dickens wiedziałby o moim wywołanym lekarstwem śnie? Nikomu o nim nie powiedziałem, nawet Caroline czy Marcie.

Zanim zdążyłem sformułować pytanie, Dickens znowu się odezwał:

– Zamiast zastanawiać się nad realnością bądź nierealnością istnienia Drooda, mój drogi Wilkie, czy zastanawiałeś się kiedykolwiek nad prawdziwymi motywami naszego przyjaciela, inspektora Fielda, stojącymi za jego obsesyjnym pragnieniem schwytania lub zabicia tego człowieka?

Zarumieniłem się przy słowach „naszego przyjaciela, inspektora Fielda”. Zawsze zakładałem, że Dickens wie niewiele, jeśli w ogóle, o moich nieprzerwanych kontaktach ze starzejącym się detektywem – skąd miałby o nich

wiedzieć? – jednakże często zaskakiwało mnie to, co wydawało się, że wie albo czego w jakiś sposób zdołał się domyślić.

Z drugiej strony, jeśli Drood naprawdę istniał (do uznania czego nie byłem gotów nawet przez sekundę), możliwe było, że Dickens dotarł do tej informacji właśnie przez niego albo jego sługi, tak ja teraz zdobywałem informacje przez Fielda i jego agentów.

Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich dwóch lat poczułem się jak pionek w straszliwej partii szachów rozgrywanej w mrokach nocy.

– Podzieliłeś się ze mną swoimi przemyśleniami na temat inspektora Fielda i jego tak zwanej obsesji – powiedziałem. – Stwierdziłeś, że jego zdaniem takie dokonanie sprawiłoby, że odzyskałby emeryturę.

– Ale to nie wydaje się wystarczającym motywem wobec ostatnich drakońskich… można by wręcz rzec desperackich… kroków, nieprawdaż? – spytał Dickens.

Zastanowiłem się nad tym. A przynajmniej zmarszczyłem czoło, zmrużyłem oczy i przedstawiłem pozór zamyślenia. Prawdę mówiąc, byłem w owej chwili w pełni świadom podagry gromadzącej się w kuli rozprzestrzeniającego się bólu za prawym okiem, podpełzającej zza prawego ucha i z każdą mijającą chwilą zakorzeniającej mi się coraz głębiej w czaszce.

– Nie – odparłem w końcu. – Chyba rzeczywiście nie wydaje się.

– Znam Fielda – powiedział Dickens. Ogień trzasnął i rozżarzone węgielki osypały się na kupkę. W gabinecie nagle zrobiło się przeraźliwie gorąco. – Znam Fielda od blisko dwóch dekad, Wilkie, i jego ambicje przerastają ludzkie pojęcie.

Mówisz o samym sobie, pomyślałem, ale nic nie powiedziałem.

– Inspektor Charles Frederick Field chce znowu zostać szefem wydziału śledczego – ciągnął Dickens. – Naprawdę zamierza zostać naczelnikiem wydziału śledczego Scotland

Yardu.

Roześmiałem się mimo narastającego bólu.

– Z pewnością nie może o to chodzić, Charlesie. Ten człowiek jest już stary… dobrze po sześćdziesiątce.

Dickens spojrzał na mnie gniewnie.

– W Królewskiej Marynarce Wojennej mamy admirałów po osiemdziesiątce, Wilkie. To nie wiek Fielda jest godny śmiechu, ani nawet nie jego ambicje. Jedynie środki, jakich się chwyta, by zrealizować cel.

– Jednakowoż – powiedziałem szybko, zdając sobie sprawę, że wzmianką o starości obraziłem Dickensa – sam mi powiedziałeś, że inspektor Field wypadł z łask stołecznej policji z powodu nieprawidłowości, jakich się dopuścił jako prywatny detektyw. Na miłość boską, odmówili mu emerytury! Z pewnością nie zdołałby odzyskać dawnej pozycji w nowszej, większej, nowocześniejszej londyńskiej policji!

– Zdołałby, mój drogi Wilkie. Zdołałby… gdyby doprowadził przed sąd rzekomego przywódcę gniazda morderców, którzy mają na sumieniu setki ofiar. Field wiele lat temu nauczył się, jak wykorzystywać miejskie gazety, i z pewnością posłuży się nimi i teraz.

– Czyli zgadzasz się z inspektorem, że ten Drood to morderca, który kieruje innymi mordercami?

– Nie zgadzam się z niczym, co inspektor Field powiedział lub sobie wyobraził – odpowiedział Dickens. – Próbuję ci coś wyjaśnić. Powiedz mi, drogi Wilkie, podoba ci się Sokrates Platona?

Zamurowało mnie. Czułem narastającą migrenę z powodu tej przyprawiającej o zawrót głowy zmiany tematu. Charles Dickens był, jak powszechnie wiadomo, samoukiem, nieco przeczulonym na tym punkcie, i to mimo rygorystycznych prób dokształcania się przez całe życie. Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby powoływał się na Platona albo Sokratesa, i nie potrafiłem odgadnąć, jaki związek mogą mieć ci filozofowie z tematem naszej rozmowy.

– Platon? – powiedziałem. – Sokrates? Tak, oczywiście. Są

wspaniali.

– Zatem wybaczysz mi, jeśli postawię ci kilka sokratejskich pytań w tych naszych wspólnych poszukiwaniach mających na celu odkrycie i wydobycie przyrodzonej, lecz być może nieoczywistej, prawdy.

Skinąłem głową.

– Zakładając, że człowiek, którego nazywamy Droodem, jest więcej niż halucynacją albo cynicznie stworzoną iluzją – zaczął cicho Dickens, odstawiając szklaneczkę z brandy i stykając dłonie czubkami palców – czy zastanawiałeś się, drogi Wilkie, dlaczego widywałem się z nim przez ostatnie dwa lata?

– Nie miałem pojęcia, że przez cały czas się z nim widywałeś, Charlesie – skłamałem.

Dickens uśmiechnął się do mnie sceptycznie zza piramidy długich palców.

– Jeśli jednak kontynuowałeś tę znajomość… załóżmy dla potrzeb rozmowy, że tak właśnie było… – mówiłem dalej – … to domniemywam, że powodem są twoje wcześniejsze wyjaśnienia.

– Studiowanie niuansów wyrafinowanej sztuki mesmeryzmu – powiedział Dickens.

– Tak. I szczegółów jego starożytnej religii.

– Wszystko to godne cele – zgodził się Dickens – ale czy sądzisz, że zaciekawienie takimi drobiazgami usprawiedliwiałoby najprawdziwsze ryzyko, jakie trzeba przy tym podjąć? Nękania ze strony gorliwych agentów inspektora Fielda? Kolejne zejścia do Podmiasta? I sama bliskość szaleńca, który, według naszego szacownego inspektora, zabił setki ludzi?

Nie miałem pojęcia, o co mnie teraz pyta. Po chwili otępienia od laudanum, co do którego miałem nadzieję, że zostanie odebrane jako głębokie zamyślenie, powiedziałem:

– Nie… nie sądzę.

– Oczywiście, że nie – orzekł Dickens tonem nauczyciela. – Czy kiedykolwiek rozważałeś, mój drogi Wilkie, że być może bronię Londyn przed gniewem tego potwora?

– Bronisz? – powtórzyłem.

Podagra teraz otoczyła moją głowę, otulając dwoje oczu i całą czaszkę bólem.

– Czytałeś moje książki, przyjacielu. Słyszałeś, jak mówię. Odwiedzałeś domy dla ubogich i dla upadłych kobiet, które pomagałem założyć i które fundowałem. Znasz moje poglądy na kwestie społeczne.

– Tak – powiedziałem. – Oczywiście, Charlesie.

– Zatem, czy masz pojęcie o gniewie kipiącym i wrzącym w Podmieście?

– Gniewie? Masz na myśli gniew Drooda?

– Mam na myśli gniew tysięcy, być może dziesiątek tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci zapędzonych do tych podziemnych piwnic, kanałów, krypt i slumsów – powiedział Dickens, podnosząc głos do takiego stopnia, że mogłaby go usłyszeć Caroline na parterze. – Mam na myśli, mój drogi Wilkie, gniew tych tysięcy w Londynie, które nie są w stanie związać końca z końcem nawet w najpodlejszych slumsach na powierzchni i które zostały wypędzone w ciemność i smród niczym szczury. Niczym szczury, Wilkie.

– Szczury – powtórzyłem. – O czym my rozmawiamy, Charlesie? Z pewnością nie chcesz powiedzieć, że ten… Drood… reprezentuje dziesiątki tysięcy najbiedniejszych mieszkańców Londynu. W końcu sam powiedziałeś, że jest groteskowy… i jest cudzoziemcem.

Dickens zarechotał i opuszkami palców wystukał jakiś szaleńczy rytm.

– Jeżeli Drood jest iluzją, mój drogi Wilkie, to taką, która przybrała kształt najstraszliwszego koszmaru naziemnego Londynu. Jest ciemnością w sercu najmroczniejszej ciemności duszy. Jest uosobieniem gniewu tych, którzy utracili ostatnie wątłe promyki nadziei w naszym nowoczesnym mieście i nowoczesnym świecie.

Musiałem pokręcić głową.

– Zgubiłem się, Charlesie.

– Pozwól, że zacznę raz jeszcze. Robi się późno. Dlaczego taka persona jak Drood miałaby mnie odszukać i wybrać na

polach śmierci, jakimi był wypadek pod Staplehurst, Wilkie?

– Nie wiedziałem, że cię odszukał.

Dickens ze zniecierpliwieniem machnął prawą ręką i znowu podniósł cygaro. Zza błękitnego dymu powiedział:

– Oczywiście, że mnie odszukał. Musisz mnie posłuchać, mój drogi Wilkie. Jako zarazem powieściopisarz i drogi przyjaciel w tej jednej kwestii powinieneś popracować nad swoją wrażliwością. Jesteś jedyną osobą na ziemi, której zdradziłem istnienie Drooda i mój z nim związek. Musisz słuchać, jeśli masz zrozumieć ogromną wagę tego… dramatu. Dramatu, który inspektor Field upiera się traktować, jakby to była gra i farsa.

– Słucham – powiedziałem spokojnie.

Dickens (przeciętny pisarz, którego przebiłem w liczbie sprzedanych egzemplarzy ostatnio opublikowanych książek, i człowiek, który nigdy nie otrzymał zaliczki od wydawcy w takiej wysokości, jaką zaoferowano mnie) zawsze mnie drażnił, kiedy zaczynał mnie krytykować.

– Dlaczego Drood wybrałby właśnie mnie? Ze wszystkich, którzy przeżyli Staplehurst, dlaczego ten Drood, ten uciekinier z trumny, miałby wybrać właśnie mnie?

Zastanawiałem się nad tym, ukradkiem masując pulsującą prawą skroń.

– Nie jestem pewien, Charlesie. Z pewnością tego dnia byłeś najsławniejszym człowiekiem w pociągu.

W towarzystwie kochanki i jej matki, dodałem w myślach.

Dickens pokręcił głową.

– To nie moja sława przyciągnęła Drooda i to nie ona trzyma go teraz w szachu – odpowiedział cicho pomiędzy długimi wydechami błękitnego dymu. – Tylko moja zdolność.

– Twoja zdolność.

–Jako pisarza – dodał Dickens niemalże zniecierpliwiony. – Jako… wybaczysz mi nieskromność, ale to kluczowa kwestia… jako być może najważniejszego pisarza Anglii.

– Rozumiem – skłamałem. Z drugiej strony może rzeczywiście wreszcie zrozumiałem. A przynajmniej dostrzegłem iskierkę zrozumienia. – Drood chce, żebyś coś

dla niego napisał.

Dickens się roześmiał. Nie był to cyniczny ani szyderczy śmiech – gdyby tak zabrzmiał, to chyba zabrałbym swoją migrenę i natychmiast położył się do łóżka – ale raczej typowy dla Dickensa chłopięcy, głęboki, gardłowy, szczery śmiech.

– Powiedziałbym, że tak – przytaknął, strzepując popiół do onyksowej popielniczki na oparciu fotela. – Nalega, żebym coś napisał. Ni mniej, ni więcej, tylko jego biografię, mój drogi Wilkie. Z pewnością wysiłek, który wymagałby pięciu grubych tomów, jeśli nie więcej.

– Jego biografię – powtórzyłem.

Jeśli nawet Dickens miał dość mojego powtarzania jego stwierdzeń, to nie tak bardzo jak ja sam. Ten wieczór zaczął się od dobrego posiłku i śmiechu, a teraz wzniósł się – czy raczej pogrążył – w dziedzinę czystego szaleństwa.

– To jedyny powód, dla którego Drood nie wywarł w pełni swojego gniewu na mnie, mojej rodzinie, przeklętym inspektorze Fieldzie, tobie i całym Londynie – dodał zmęczonym głosem Dickens.

– Na mnie? – powtórzyłem.

Zupełnie jakby Dickens mnie nie słyszał.

– Niemal co tydzień schodzę do Hadesu, którym jest londyńskie Podmiasto – kontynuował. – Co tydzień wyjmuję notatnik i słucham. Robię notatki. I kiwam głową. I zadaję pytania. Wszystko, byle przeciągnąć wywiady. Wszystko, byle odroczyć nieuniknione.

– Nieuniknione?

– Nieunikniony wybuch gniewu potwora, kiedy odkryje, że tak naprawdę nie napisałem nawet słowa jego obrzydliwej „biografii”, mój drogi Wilkie. Jednakże usłyszałem… aż za dużo. Słyszałem o starożytnych rytuałach tak obrzydliwych, że ich pojęcie przekracza wszelkie zdolności zdrowego na umyśle Anglika. Słyszałem o wpływie mesmerycznym, który wykorzystano do skandalicznych i niewysłowionych celów: uwiedzenia, gwałtu, podburzania, wykorzystania innych dla zemsty, szerzenia terroru, morderstwa. Słyszałem… zbyt

wiele.

– Musisz zaprzestać schodzenia do tego świata – powiedziałem, myśląc o zacisznej i przyjemnej alkowie króla Lazaree w głębinach pod Kaplicą Upiornych Świętych.

Dickens znowu się zaśmiał, ale tym razem zabrzmiało to bardziej nerwowo.

– Jeśli ja do niego nie pójdę, on przychodzi do mnie, Wilkie. W czasie tournée literackiego. Na stacje kolejowe. Do hoteli w Szkocji, Walii i Birmingham. Do Gad's Hill Place. Nocą. To naprawdę twarz Drooda szybowała za moim oknem na pierwszym piętrze tamtej nocy, kiedy Dickenson lunatykował.

– I to on zabił młodego Dickensona? – spytałem, dostrzegając szansę na atak.

Dickens zamrugał kilka razy, zaskoczony, zanim odpowiedział powoli, znużonym tonem, być może dręczony poczuciem winy:

– Nie mam pojęcia, Wilkie. Młodzian poprosił mnie, żebym był jego opiekunem przez kilka tygodni, tylko nominalnym. Wypłacono mu spadek przez mój bank i mój czek. A potem… wyjechał. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

– Jest jednak pewne – naciskałem, wykorzystując przewagę – że Drood z przyjemnością zgarnąłby pieniądze chłopca, tak samo jak chciałby, żeby napisano jego biografię. Czy mógł wykorzystać swoje złe wpływy mesmeryczne, żeby kazać komuś zabić chłopaka, ukraść jego złoto i wykorzystać je dla swoich, to znaczy Drooda, celów?

Dickens popatrzył na mnie tak bacznie i tak chłodno, że wzdrygnąłem się w fotelu.

– Tak – zgodził się ze mną Pan Niezrównany. – Z Droodem wszystko jest możliwe. Ten potwór mógłby zmusić mnie, żebym zabił młodego Dickensona i przyniósł pieniądze do świątyni w Podmieście, a ja bym nic z tego nie pamiętał. Myślałbym, że to sen, ulotne wspomnienie jakiegoś teatralnego dramatu sprzed lat.

Serce biło mi szaleńczo. Aż wstrzymałem oddech, słysząc to wyznanie.

– Albo – mówił dalej Dickens – mógłby ciebie zmusić do zrobienia tego, mój drogi Wilkie. Drood cię zna, naturalnie. Ma wobec ciebie plany.

Wypuściłem powietrze, zakaszlałem i spróbowałem uspokoić kołaczące serce.

– Bzdura – powiedziałem. – Nigdy nie spotkałem tego człowieka, o ile w ogóle jest człowiekiem.

– Jesteś pewien? – spytał Dickens.

Szelmowski uśmiech znowu rozbłysnął pod wąsami.

Pomyślałem o tym, jak wcześniej z niewyjaśnionych powodów wspomniał o moim doświadczeniu w Birmingham. To była właściwa chwila, żeby go o to zapytać – być może jedyna okazja – ale pulsowanie bólu głowy było teraz równie szybkie i uporczywe jak bicie mojego serca w tym małym, przegrzanym pokoju. Zamiast tego powiedziałem więc:

– Mówisz, że przychodzi do twojego domu.

– Owszszszem. – Dickens westchnął i zagłębił się w fotelu. Zgasił krótki niedopałek cygara. – To mnie wycieńczyło, Wilkie. Tajemnica. Nieustanne poczucie zagrożenia. Przemilczenia i udawanie w jego obecności. Wypady do Londynu, skutki schodzenia do Podmiasta i obcowania z grozą tego miejsca. Nieustanne poczucie groźby wiszącej nad Georginą, Katey, dziećmi… Ellen. To mnie wycieńczyło.

– To zrozumiałe – mruknąłem.

Pomyślałem o inspektorze Fieldzie i jego ludziach czekających na deszczu.

– Widzisz, ja muszę jechać do Ameryki – szepnął Dickens. – Drood tam za mną nie pojedzie. Nie może tam za mną jechać.

– Dlaczego nie?

Dickens wyprostował się gwałtownie i spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami. Po raz pierwszy w czasie naszej długiej znajomości zobaczyłem czyste przerażenie na obliczu przyjaciela.

– Nie może! – wykrzyknął.

– Oczywiście, że nie może – przytaknąłem pośpiesznie.

– Jednakże, kiedy ja wyjadę – szepnął Dickens – tobie

będzie grozić ogromne niebezpieczeństwo, przyjacielu.

– Niebezpieczeństwo? Mnie? Dlaczego, u licha, ma mi grozić niebezpieczeństwo, Charlesie? Nie mam nic wspólnego z Droodem ani z tą okropną grą, którą ty i Field z nim prowadzicie.

Dickens pokręcił głową, ale przez chwilę nie raczył odezwać się ani nawet na mnie spojrzeć. W końcu powiedział:

– Będziesz w wielkim niebezpieczeństwie, Wilkie. Drood przynajmniej raz otoczył cię już czarnymi skrzydłami swojego panowania; niemal na pewno zrobił to więcej niż raz. Wie, gdzie mieszkasz. Zna twoje słabości. I co najgorsze dla ciebie, wie, że jesteś pisarzem, i to obecnie ogromnie popularnym w Anglii i Ameryce.

– A co to ma do rzeczy…?

Kiedy urwałem w pół zdania, Dickens znowu pokiwał głową.

– Tak – szepnął – to mnie sobie wybrał na biografa, ale wie, że może znaleźć kogoś innego, gdybym ja umarł… albo gdyby odkrył rozmiar mojej desperackiej gry i postanowił się mnie pozbyć. Wyjadę do Ameryki najwcześniej w listopadzie; mam wiele do zrobienia i długo będę musiał przekonywać Drooda, że jadę do Stanów Zjednoczonych tylko po to, żeby przygotować grunt pod wydanie jego biografii. Porozmawiamy więc jeszcze wiele razy o wielu rzeczach, zanim pożegluję, ale obiecaj mi już teraz, że będziesz bardzo ostrożny.

– Obiecuję – powiedziałem.

W tej samej chwili pojąłem, że mój przyjaciel Charles Dickens oszalał.

Rozmawialiśmy potem też o innych rzeczach, ale byłem koszmarnie obolały, a Dickens ewidentnie wycieńczony. Nie było nawet jedenastej wieczór, kiedy powiedzieliśmy sobie dobranoc i Dickens poszedł do pokoju gościnnego, a ja do swojej sypialni.

Pozwoliłem służącej pogasić wszystkie lampy w domu.

***

Caroline czekała w moim łóżku, śpiąc już, ale obudziłem ją i odesłałem na dół do jej własnego pokoju. To nie była noc, kiedy mogła przebywać na piętrze, gdzie spałem ja i Dickens.

Włożyłem koszulę nocną i wypiłem trzy duże kieliszki laudanum. Lekarstwo, zwykle skuteczne, tym razem niewiele pomogło w uśmierzeniu bólu i niepokoju w tę czerwcową noc. Leżałem przez bliżej nieokreślony czas w ciemnościach, czując, że serce bije mi jak wahadło cichego, ale głucho dudniącego zegara, po czym wstałem i podszedłem do okna.

Deszcz ustał, lecz podniosła się letnia mgła, która teraz podpełzała przez żywopłoty i krzewy w małym parku naprzeciwko. Księżyc nie wydobył się spomiędzy niskich chmur, które, pędząc ponad dachami, były obrębione niemal płynnym szarobiałym światłem. Kałuże odbijały multum żółtawych odblasków od latarni na rogu. Nikogo nie było w zasięgu wzroku, nawet chłopca, który zastąpił Gooseberry'ego. Próbowałem sobie wyobrazić, gdzie umiejscowili się Field i jego liczni agenci. W tym pustym domu przy skrzyżowaniu? W ciemnym zaułku na wschodzie?

Prawdziwy zegar – ten w naszym korytarzu na dole – wybił nieśpiesznie północ.

Wróciłem do łóżka, zamknąłem oczy i próbowałem uspokoić umysł.

Gdzieś głęboko z dołu, może poniesiony przez puste w środku ściany, paleniska i kominy, dobiegł do mnie cichy szelest. Jakiś szmer. Otwierane drzwi? Nie, raczej nie. Zatem okno? Nie. Może powolne przesuwanie cegieł w ciemnej piwnicy albo jakiś nieśpieszny, ale rozmyślny ruch wewnątrz stosu czarnego węgla. Tak czy inaczej, bez wątpienia coś poruszyło się w mroku.

Usiadłem na łóżku i przycisnąłem przykrycie do piersi.

Moja przeklęta pisarska wyobraźnia, może wspomagana przez laudanum, podsunęła mi wyraźną wizję szczura wielkości małego psa przeciskającego się przez na nowo wybitą dziurę w ścianie piwniczki na węgiel. Tyle że ten

przerośnięty szczur miał ludzką twarz. Twarz Drooda.

Drzwi skrzypnęły. Deski podłogowe cichutko jęknęły.

Czyżby przekonany o swojej nieomylności inspektor Field miał rację i Dickens wymykał się gdzieś w noc?

Wyśliznąłem się z łóżka, narzuciłem szlafrok i przykląkłem na jedno kolano, z przesadną ostrożnością otwierając najniższą szufladę komody, żeby nie zrobić przy tym najmniejszego hałasu. Ogromny rewolwer od detektywa Hatchery'ego leżał tam, gdzie go zostawiłem pod moją złożoną letnią bielizną. Gdy go wziąłem do ręki, wydawał mi się absurdalnie ciężki i nieporęczny. Na palcach podszedłem do drzwi i otworzyłem je przy proteście zawiasów, od którego aż się skrzywiłem.

Korytarz był pusty, ale teraz słyszałem głosy. Szepty. Męskie głosy, pomyślałem, ale nie mogłem mieć pewności.

Zadowolony, że nie zdjąłem pończoch, ruszyłem korytarzem i stanąłem u szczytu ciemnych schodów. Nie licząc głuchego odgłosu wahadła i wewnętrznego tykania zegara w korytarzu, z parteru nie dochodziły żadne dźwięki.

Szepty znowu się rozległy. Dobiegały z końca korytarza.

Czy to możliwe, że Caroline – zła na mnie za to, że ją odesłałem – przyszła na górę porozmawiać z Dickensem? A może Carrie, która zawsze uważała Charlesa Dickensa za swojego ulubionego gościa w naszym domu?

Nie, szepty nie dochodziły z pokoju gościnnego Dickensa. Dostrzegłem pionową smugę delikatnego światła sączącego się przez częściowo uchylone drzwi do gabinetu i przesunąłem się ostrożnie korytarzem, mierząc z ciężkiego rewolweru w podłogę.

Wewnątrz paliła się pojedyncza świeca. Przyciskając twarz do drzwi, dostrzegłem trzy fotele i trzy postaci siedzące koło wygasłego kominka. Dickens w czerwonym marokańskim szlafroku siedział na uszaku, który zajmował wcześniej. Pochylił się nad jedyną świecą, wyraz jego twarzy ginął w cieniach, ale ręce poruszały się pracowicie w powietrzu, kiedy szeptał pośpiesznie. Z fotela przy biurku słuchał Drugi Wilkie. Jego broda była nieco krótsza od mojej, jakby przyciął

ją niedawno; nosił też moje zapasowe okulary. Dwa okrągłe szkła odbijały blask świecy i nadawały jego oczom demoniczny wygląd.

W wysokim fotelu, który wcześniej zajmowałem, zwróconym teraz tyłem do mnie, widziałem tylko czarną rękę, długie, blade palce i sugestię bladej łysej czaszki wznoszącej się nad ciemną skórą fotela. Oczywiście wiedziałem, kto to jest, zanim jeszcze postać ta pochyliła się w stronę światła świecy i odpowiedziała Dickensowi syczącym szeptem.

Drood był w moim domu. Przypomniałem sobie wizję szczura w piwnicy na węgiel, a potem zobaczyłem zamiast niego wijącą się mackę dymu albo pełznącej mgły pomiędzy cegłami w dole, tężejącą w tę podobiznę człowieka.

Poczułem straszliwe zawroty głowy. Oparem się o framugę, żeby nie stracić równowagi. Zdałem sobie sprawę, że mógłbym otworzyć drzwi, wejść, dwoma strzałami zabić Drooda, a potem skierować rewolwer na Drugiego Wilkiego. A potem, być może… na samego Dickensa.

Nie. Mogłem strzelić do Drooda, ale czy mogłem go zabić? A jeśli idzie o zastrzelenie Drugiego Wilkiego, czy nie byłoby to równoznaczne z zastrzeleniem samego siebie? Czy wezwana na histeryczne żądanie Caroline policja o świcie znalazłaby trzy ciała na podłodze gabinetu Wilkiego Collinsa, a jedno z nich byłoby trupem Wilkiego Collinsa?

Pochyliłem się, żeby usłyszeć, co mówią, ale szepty ucichły. Najpierw Dickens uniósł głowę i spojrzał na mnie. Potem Drugie Wilkie (jego okrągła twarz zmarszczyła się jak króliczy pyszczek nad brodą i pod owym niekończącym się czołem) obrócił blade oblicze i spojrzał na mnie. Na końcu odwrócił się Drood… powoli, potwornie powoli. Jego pozbawione powiek oczy błyszczały czerwienią jak węgielki z piekła.

Zapominając, że nadal trzymam rewolwer, zatrzasnąłem drzwi z głuchym uderzeniem i wróciłem do sypialni. Za moimi plecami znowu zaczęła się rozmowa – słyszalna za zamkniętymi drzwiami gabinetu – już nie prowadzona

szeptem.

Czy usłyszałem cichy śmiech, nim zamknąłem na zamek drzwi do sypialni? Nigdy nie będę miał pewności.

Rozdział 23

To samo lato 1867 roku omal nie ujrzało Caroline, Carrie, trójki naszych służących (George'a, Besse i Agnes) oraz mnie samego pozbawionych dachu nad głową. Niewiele brakowało, żeby wyrzucono nas na bruk.

Oczywiście wiedzieliśmy, że umowa najmu na dom przy Melcombe Place 9 dobiega końca, byłem jednak przekonany, że warunki najmu mogą zostać i zostaną przedłużone na przynajmniej następny rok lub dwa, mimo moich częstych kłótni z właścicielem domu. Okazało się, że się przeliczyłem. Zatem lipiec był wypełniony bieganiem po Londynie w poszukiwaniu miejsca do zamieszkania.

Nie muszę dodawać, że przez cały czerwiec byłem tak zajęty *Kamieniem Księżycowym* (napisałem pierwsze trzy odcinki, żeby do tego czasu pokazać je Dickensowi), a później, po czerwcu, tak zajęty innym przedsięwzięciem, które ściągnął na mnie Dickens, że to Caroline musiała biegać po mieście.

Kiedy ona biegała, ja wycofałem się w klubowe zacisze, żeby dokończyć pracę nad pierwszymi trzema odcinkami *Kamienia Księżycowego*.

Ostanie dwa dni czerwca – weekend – spędziłem w Gad's Hill i przeczytałem ukończone rozdziały Dickensowi, który był tak zachwycony tym, co usłyszał, że z miejsca zgodził się zapłacić około siedmiuset pięćdziesięciu funtów, żeby „All the Year Round" miało prawa do powieści; publikację pierwszego odcinka zaplanowano na piętnastego grudnia. Natychmiast wykorzystałem tę wiadomość, żeby wymóc na braciach Harper ze Stanów Zjednoczonych podobną sumę za prawa do wydania powieści w odcinkach.

Kiedy pierwszego lipca wróciłem do Londynu, Caroline brzęczała mi koło uszu jak głodna mucha, prosząc, żebym poszedł obejrzeć różne możliwe domy na sprzedaż lub wynajem, które znalazła. Zrobiłem tak i wszystkie były niezaprzeczalną stratą mojego czasu, z wyjątkiem może

jednego miejsca w Cornwall Terrace. Udzieliłem reprymendy Caroline za to, że szukała domu poza Marylebone, ponieważ polubiłem tę okolicę. (Poza tym, rzecz jasna, zależało mi na tym, żeby nowe miejsce zamieszkania z Caroline i Carrie pozostało w bliskim sąsiedztwie Bolsover Street, gdzie „pani Dawson” zamieszkała na stale).

Kłótliwy właściciel domu przy Melcombe Place nalegał teraz, żeby dom opuścić przed pierwszym sierpnia – żądanie to przyjąłem ze spokojem i byłem gotów je zignorować, kiedy nadejdzie czas, ale przysporzyło ono Caroline sporo bólu głowy i ściągnęło dni jeszcze bardziej gorączkowych poszukiwań oraz długie wieczory przewlekłych skarg.

W maju Dickens zaprosił mnie, żebym napisał razem z nim długą opowieść do bożonarodzeniowego wydania „All the Year Round”, a ja się zgodziłem, ale dopiero po długich i niekiedy wręcz komicznie gorzkich negocjacjach z Willsem, dotyczących zapłaty (Dickens roztropnie unikał wszelkich finansowych negocjacji ze mną). Zażądałem bardzo wyśrubowanej stawki w wysokości czterystu funtów za moją połowę opowiadania, chociaż przyznam Ci się, Drogi Czytelniku, że ta suma przyszła mi na myśl tylko dlatego, że była to dokładnie dziesięciokrotność tego, co zapłacono mi za pierwszy przyjęty tekst do czasopisma Dickensa – historię zatytułowaną *Siostra Róża* – w 1855 roku. W końcu zgodziłem się na trzysta funtów, nie z powodu słabości ani braku pewności siebie, ale dlatego, że chciałem znowu oficjalnie wystąpić razem z Dickensem, a prywatnie zaleczyć drobne rany, które w tym miesiącu mogły się pojawić z powodu Drooda.

Dickens przez całe to lato miał wyśmienity nastrój. Byłem gotowy wrócić do pracy nad *Kamieniem Księżycowym* przez resztę lipca, ale w czasie weekendu w Gad’s Hill Dickens przekonał mnie, że powinniśmy natychmiast zacząć współpracę nad bożonarodzeniową opowieścią. Zasugerował historię opartą na naszej podróży przez Alpy w 1853 roku – szczęśliwszych czasach dla nas obu, pod wieloma względami – i zaproponował tytuł: *Bez wyjścia.*

Caroline była zachwycona, słysząc, że na jakiś czas odkładam *Kamień Księżycowy* na półkę; wściekła się zaś na wieść o tym, że większość następnych miesięcy spędzę w Gad's Hill.

W ten sam poniedziałek po moim powrocie z Gad's Hill – kiedy Caroline zamknęła się w pokoju, płacząc, pochlipując i oskarżając mnie o to, że ją porzucam, by sama, bez mojej pomocy, znalazła dla nas dom – otrzymałem list od Dickensa, który przyjechał do miasta, żeby popracować w redakcji czasopisma:

> *Niniejszym zaświadczam, że ja, niżej podpisany byłem (przez czas jakiś) plotącym bzdury osłem, kiedy oznajmiłem, że świąteczny numer ma składać się z trzydziestu dwóch stron. Niniejszym stwierdzam, iż rzeczony numer świąteczny składać się będzie z czterdziestu ośmiu stron, i będą to stronice długie i ciężkie, co już wielokrotnie udowodniłem i zademonstrowałem w pocie czoła.*

W takim to kpiarskim nastroju był Charles Dickens w lipcu 1867 roku.

Martha R. była w o wiele lepszym nastroju niż Caroline G. Przez całe lato po ukończeniu pracy w Athenaeum łapałem się na tym, że zmierzam na Bolsover Street, żeby zjeść tam kolację i spędzić noc. Ponieważ od czasu do czasu wynajmowałem pokój w klubie i często jeździłem pociągiem do Gad's Hill (naradzałem się z Dickensem nad *Bez wyjścia* i niekiedy zostawałem tam na noc), Caroline nie zadawała żadnych pytań.

A potem pewnego wieczoru, kiedy właśnie skończyłem wczesną kolację w klubie, podniosłem wzrok i ujrzałem inspektora Charlesa Fredericka Fielda, idącego zamaszystym krokiem przez jadalnię. Nie prosząc o pozwolenie, przysunął krzesło do mojego samotnego stolika i usiadł.

W pierwszym odruchu kusiło mnie, żeby powiedzieć: „Obawiam się, że tylko dżentelmeni mają wstęp do klubu, inspektorze", ale widząc jego oblicze zmarszczone niezwykle

rzadkim uśmiechem, tylko otarłem serwetką usta, uniosłem pytająco brew i czekałem.

– Dobre nowiny, mój drogi panie Collins. Pierwszy chciałem je panu przekazać.

– Złapał pan… – rozejrzałem się, zerkając na kilku innych mężczyzn spożywających kolację w wielkiej sali – … podziemnego dżentelmena?

– Jeszcze nie, drogi panie. Jeszcze nie. Jednak już niedługo! Nie, dobra nowina dotyczy pańskiego obecnego kłopotu ze znalezieniem nowego lokum.

Nie wspomniałem inspektorowi Fieldowi o końcu najmu, ale w tej chwili nie zdumiałaby mnie żadna informacja, którą ten człowiek mógłby posiadać. Czekałem więc dalej.

– Pamięta pan o przeszkodzie, jaką stanowiła pani Shernwold? – zagadnął cicho, rozglądając się, jakbyśmy byli konspiratorami.

– Oczywiście.

– Cóż, drogi panie, przeszkody już nie ma.

To mnie naprawdę zaskoczyło.

– Pani Shernwold zmieniła zdanie?

– Pani Shernwold – odpowiedział inspektor Field – nie żyje.

Zamrugałem kilka razy zdumiony i sam się pochyliłem, szepcząc jeszcze bardziej konspiracyjnie niż inspektor:

– Jak?

Pani Shernwold była jedną z tych chudych jak szczapa, zrzędliwych staruch, które mają sześćdziesiąt parę lat i wszelkie dane po temu, żeby dożyć jeszcze bardziej wychudzonej i zrzędliwej dziewięćdziesiątki.

– Była łaskawa spaść ze schodów i złamać sobie kark, panie Collins.

– Szokujące! Gdzie?

– No cóż, w domu numer dziewięćdziesiąt przy Gloucester Place, to prawda, ale to były schody dla służby. Nie będzie się panu przypominać jej nieszczęście, kiedy się tam pan przeprowadzi.

– Schody dla służby – powtórzyłem, myśląc o zielonoskórej damie z przerośniętymi kłami. – Co, u licha, pani Shernwold

robiła na schodach dla służby?

– Nigdy się tego nie dowiemy. – Inspektor zarechotał. – Chociaż moment nie mógł być lepszy, prawda, panie Collins? Nic już nie stoi na przeszkodzie, żeby przedstawił pan ofertę na dom.

– A jej syn misjonarz? – przypomniałem mu. – Z pewnością wróci z Afryki, czy gdzie tam akurat przebywa i…

Inspektor Field machnął na to stwardniałą od odcisków ręką.

– Okazuje się, że nieszczęsna pani Shernwold nie spłaciła hipoteki domu pod numerem dziewięćdziesiątym przy Gloucester Place. Ten dom nigdy do niej nie należał, by mogła nim rozporządzać.

– Wobec tego, kto ma jego papiery?

– Lord Portman. Okazuje się, że dom od początku należał do lorda Portmana.

– Poznałem lorda Portmana! – wykrzyknąłem na tyle głośno, że kilku jedzących spojrzało na mnie. O wiele ciszej dodałem: – Znam go, inspektorze. To rozsądny człowiek. O ile się nie mylę, należy do niego większość nieruchomości wokół Portman Square… na Baker Street, a także przy Gloucester Place.

– Myślę, że ma pan rację, panie Collins – powiedział Field z zadowolonym i dziwnie diabolicznym uśmiechem.

– Ma pan pojęcie, ile oczekuje za dom? – spytałem.

– Pozwoliłem sobie zainteresować się tym – przyznał inspektor. – Lord Portman mówi, że zgodziłby się na dwudziestoletni wynajem nieruchomości za osiemset funtów. To oczywiście obejmuje piękne budynki stajni. Które można podnająć, żeby zrównoważyć wysokość czynszu.

W ustach mi zaschło, więc napiłem się porto. Osiemset funtów to była fortuna – nie dysponowałem wtedy taką sumą. Wiedziałem jednak, że w chwili śmierci matki Charley i ja odziedziczymy po jakieś pięć tysięcy funtów, które zostawiła matce jej ciotka, chociaż – zgodnie z zapisami testamentu naszego ojca – reszta kapitału w jego i jej majątkach ziemskich pozostanie zamrożona. A inspektor z pewnością

miał rację w kwestii pod– najęcia tych całkiem ładnych stajni.

Field wyjął z kieszeni marynarki dwa podejrzanie ciemne cygara.

– Zakładam, że polityka klubu zezwala na palenie w jadalni? – spytał.

– Naturalnie.

Odciął końce obydwu, podał mi jedno, zapalił swoje i zaciągnął się z lubością, podsuwając mi zapałkę. Pochyliłem się i pozwoliłem, żeby przypalił mi cygaro.

Przywołał gestem Bartlesa, najstarszego i najbardziej dystyngowanego z klubowych kelnerów, i powiedział:

– Dobry człowieku, bądź tak łaskaw i przynieś mi kieliszek tego, co pije pan Collins. Dziękuję.

Kiedy Bartles odszedł pośpiesznie (marszcząc lekko czoło z powodu apodyktycznego tonu tego miernie odzianego nieznajomego), nie po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać nad tym, jak to się stało, że los do takiego stopnia związał mnie z tym dziwnym, władczym policjantem.

– Dobre cygaro, nie uważa pan, panie Collins?

Smakowało jak coś, co wyrosło i zostało zebrane w pleśniejącym skórzanym bucie w zapomnianej piwnicy.

– Pierwsza klasa – odparłem.

Zjawiło się wino dla inspektora, a zawsze przytomna i zawsze konserwatywna skąpa część mojego umysłu dodała je – choć niechętnie – do już sporego rachunku w klubie.

– Za to, że fortuna się do pana uśmiechnęła – powiedział inspektor Field, podnosząc kieliszek.

Podniosłem swój i zetknęliśmy kryształ z kryształem. Pomyślałem, że może teraz Caroline wreszcie przestanie narzekać i beczeć. Przyznaję, że ani wtedy, ani w nadchodzących dniach nie pomyślałem o biednej pani Shernwold i ironii losu, jaki ją spotkał – oprócz chwili, kiedy okłamałem Caroline odnośnie do tego gdzie i w jaki sposób starsza pani dokonała żywota.

***

Myślę, że nadszedł czas, Drogi Czytelniku z mojej pośmiertnej przyszłości, bym opowiedział Ci nieco o Drugim Wilkiem.

Muszę zakładać, że do tej pory uznawałeś, że Drugi Wilkie to albo wytwór mojej wyobraźni, albo efekt laudanum, które byłem zmuszony zażywać. Nie był ani jednym, ani drugim.

Przez całe życie prześladowało mnie moje drugie ja. Jako bardzo małe dziecko byłem pewien, że mam bliźniaka jako towarzysza zabaw i często wspominałem o nim matce. Jako chłopiec słyszałem, jak ojciec mówił o dawaniu lekcji rysunku „Wilkiemu", a wiedziałem, że nie było mnie wtedy w domu. To mój sobowtór korzystał z tych lekcji. Jako bardzo młody człowiek w wieku lat piętnastu, przeżywszy pierwsze doświadczenie cielesnej miłości ze starszą kobietą, nie byłem zaskoczony, kiedy spojrzałem w ciemny kąt i ujrzałem Drugiego Wilkiego – tak młodego, jasnookiego i gładkolicego jak ja sam wtedy – przyglądającego mi się z wielkim zaciekawieniem. We wczesnej dorosłości to drugie ja jakby się wycofywało w szarą dziedzinę, z której się wywodziło. Przez kilka lat byłem pewien, że zostawiłem Drugiego Wilkiego za sobą.

Jednakże na kilka lat przed okresem, który opisuję w tych wspomnieniach, kiedy podagra stała się zbyt uporczywie bolesna, by znieść ją bez pomocy nalewki z opium, Drugi Wilkie powrócił. O ile moja osobowość złagodniała, stała się weselsza i bardziej przyjazna dla wszystkich, o tyle Drugi Wilkie po tym okresie nieobecności robił wrażenie jeszcze sroższego i bardziej agresywnego. Wiele lat wcześniej, kiedy po raz pierwszy spotkałem Percy'ego Fitzgeralda (zanim Fitzgerald stał się takim ulubieńcem Dickensa), zwierzyłem mu się, że „znajduję się pod ciekawym widmowym wpływem i często odnoszę wrażenie, że ktoś za mną stoi".

Nigdy nie lekceważyłem wpływu, jaki wywarło laudanum na przywołanie Drugiego Wilkiego. Jak napisał kiedyś Thomas De Quincey, autor *Wyznań angielskiego opiumisty* i przyjaciel moich rodziców: „Kiedy ktoś, kto stale mówi o wołach, stanie się opiumistą, jest bardzo prawdopodobne, że

(o ile tylko nie jest zbyt tępy, żeby w ogóle śnić) będzie śnił o wołach". Moją obsesją, zarówno w literaturze, jak i w prawdziwym życiu, była podwójna tożsamość, sobowtór krążący tuż poza mglistymi granicami codziennej rzeczywistości – nic więc dziwnego, że opium, które spożywałem codziennie, narkotyk tak często i z takim powodzeniem używany do otwierania drzwi do innych rzeczywistości, wezwało Drugiego Wilkiego, który był moim towarzyszem zabaw w pokoju dziecinnym.

Gdybyś znał moje dzieła, Drogi Czytelniku, byłbyś świadom, że kwestia tożsamości przenika większość moich opowiadań i wszystkie powieści, poczynając od *Antoniny,* którą zacząłem pisać, mając zaledwie dwadzieścia jeden lat. Sobowtóry, często reprezentujące dobro i zło, wędrują po kartach moich opowieści. Często moim bohaterom (myślę o Laurze Fairlie z *Kobiety w bieli* i Magdalenie Vanstone z nowszej powieści *Bezimienne*) tożsamość zostaje w sposób okrutny i gwałtowny wydarta, muszą więc zamieszkiwać puste skorupy cudzych imion, cudzych umysłów i cudzych ciał.

Nawet kiedy moi bohaterowie mogą zachować własną tożsamość, częstokroć muszą ją ukrywać, przyjmować cudzą lub stawiać czoło utracie rej tożsamości z powodu uszkodzenia wzroku, słuchu, mowy lub utraty kończyn. Nowe osobowości nieustannie wynurzają się z moich bohaterów, a do tej przemiany coraz częściej dochodzi z powodu zażycia narkotyku.

Charles Dickens pogardzał tym aspektem mojego pisarstwa, ale czytelnicy najwidoczniej go uwielbiali. I powinienem wspomnieć, że nie byłem jedynym pisarzem, który miał obsesję na punkcie „innych ja" i podwójnej, bliźniaczej albo pomieszanej tożsamości – pewien pisarzyna znany jako William Shakespeare zawarł w swoich dziełach podobne motywy i odwoływał się do podobnych konwencji o wiele częściej niż ja.

Często się zastanawiałem – nawet zanim jeszcze zaczął się koszmarny okres z Droodem – czy byłem gorszym

człowiekiem, bo brakowało mi pewnych cech, prawdopodobnie obecnych w Drugim Wilkiem. Weźmy na przykład kwestię mojego imienia. A raczej tego, jak inni ludzie posługiwali się moim imieniem.

Miało się wrażenie, że dla wszystkich jestem Wilkiem – nie „panem Collinsem” (chociaż inspektor Field i jego agenci robili co w ich mocy, żeby posługiwać się tym grzecznym tytułem), ani nawet „Collinsem” (tak jak ja mogę nazywać Charlesa Dickensa „moim drogim Dickensem” w rozmowach) – tylko „Wilkiem”. Zupełnie jakbym na zawsze pozostał dla innych dzieckiem, nawet dla dzieci. Carrie dorosła, nazywając mnie Wilkiem. Wiele dzieci Dickensa w czasie dorastania wołało na mnie Wilkie, chyba że Dickens, Catherine albo Georgina kazały im zwracać się do mnie inaczej. Panowie w moim klubie, którzy nigdy nie zwracali się do równych sobie po imieniu, nawet jeśli znali się od dziesięcioleci, czuli, że mogą zwracać się do mnie „Wilkie” niemal od razu po prezentacji.

To była ciekawa rzecz.

Rankiem po tym, jak zajrzałem do gabinetu i ujrzałem Dickensa rozmawiającego z Droodem i Drugim Wilkiem (po czym pośpiesznie się wycofałem), przyznałem się Panu Niezrównanemu przy śniadaniu, że miałem dziwny sen o takim spotkaniu.

– Ale to się działo naprawdę! – wykrzyknął Dickens. – Byłeś tam, mój drogi Wilkie! Rozmawialiśmy całymi godzinami.

– Nie pamiętam nic z treści tej rozmowy – odpowiedziałem, czując lodowate igiełki na skórze.

– Może tak jest lepiej – powiedział Dickens. – Drood czasem posługuje się mesmeryzmem magnetycznym, żeby usunąć część albo całość wspomnienia ze spotkania, jeśli myśli, że takie wspomnienie narazi jego samego albo rozmówcę na niebezpieczeństwo. Oczywiście, na mnie takie mesmeryczne usuwanie nie działa, ponieważ także praktykuję sztuki mesmeryczne.

Czyżby? – pomyślałem sarkastycznie.

Na głos powiedziałem:

– Jeśli mój sen był prawdą, jeśli spotkanie naprawdę miało miejsce, to jak Drood dostał się do mojego domu? Tak się składa, że wiem, że budynek był solidnie zabezpieczony.

Dickens uśmiechnął się, nakładając marmoladę na drugi kawałek tostu.

– Nie oświecił mnie w tej kwestii, mój drogi Wilkie. Ale w ciągu ostatnich dwóch lat nauczyłem się, że istnieje bardzo niewiele miejsc, do których Drood nie może wejść, jeśli ma takie życzenie.

– Mówisz, że jest jakiegoś rodzaju duchem.

– W żadnym razie, mój drogi Wilkie. W żadnym razie.

– Czy wobec tego wyjawisz mi – powiedziałem wtedy z pewną szorstkością – treść owych „całych godzin" rozmowy… treść, którą to widmo kazało mi zapomnieć?

Dickens się zawahał.

– Zrobię to – odrzekł w końcu. – Jednakże wierzę, że lepiej będzie, jeśli z tym zaczekam. Nadciągają pewne wydarzenia, o których lepiej, żebyś w tej chwili nie wiedział, mój drogi Wilkie. A o innych faktach lepiej, żebyś nie wiedział przez wzgląd na swój honor… dzięki czemu będziesz mógł zgodnie z prawdą powiedzieć inspektorowi Charlesowi Frederickowi Fieldowi, że nie spotkałeś się z Droodem i nie masz pojęcia o planach upiora.

– Wobec tego, dlaczego on… czy też ty… mówiliście mi o nich zeszłej nocy? – dopytywałem się.

Nie zażyłem jeszcze porannego laudanum i moje ciało oraz mózg boleśnie się go domagały.

– By otrzymać twoje pozwolenie – odpowiedział Dickens.

– Pozwolenie na co?

Niewiele brakowało, żebym się rozzłościł.

Dickens znowu się uśmiechnął i w nieznośny sposób poklepał mnie po ręce.

– Wkrótce się przekonasz, przyjacielu. A kiedy to wszystko minie, opowiem ci o wszystkich szczegółach naszej długiej rozmowy zeszłej nocy. Masz na to moje słowo.

Musiałem się tym zadowolić, chociaż byłem daleki od przekonania, że odbyło się jakiekolwiek spotkanie z

Droodem, Dickensem i Drugim Wilkiem. O wiele bardziej prawdopodobne wydawało się to, że Dickens wykorzystywał mój sen wywołany przez laudanum dla swoich własnych, nieprzeniknionych celów.

Albo że Drugi Wilkie miał swoje własne sekretne cele i plany. Na tę myśl skóra zrobiła mi się jeszcze zimniejsza.

***

Przeprowadziliśmy się pod numer dziewięćdziesiąty przy Gloucester Place na początku września 1867 roku. Byłem zmuszony zlecić swoim adwokatom zaaranżowanie pożyczki na wynoszący osiemset funtów wykup dzierżawy, ale inspektor Field miał rację co do możliwości podnajęcia stajni za domem; wydzierżawiłem je kobiecie z czwórką koni za czterdzieści funtów rocznie, chociaż piekielnie trudno było mi ją zmusić do terminowego płacenia.

Dom przy Gloucester Place był o wiele większy i wspanialszy niż ten, który wynajmowaliśmy przy Melcombe Place. Stał odsunięty od ulicy i należał do zabudowy szeregowej; miał pięć pięter i mnóstwo miejsca dla rodziny o wiele większej niż nasza i służby o wiele liczniejszej, lepiej wyszkolonej i bardziej elegancko odzianej niż trójka naszych biedaczysk. Mieliśmy teraz dość pokoi gościnnych, żeby podjąć małą armię gości. Jadalnia na parterze była trzy razy większa niż ta przy Melcombe Place, a wygodny pokój za nią wykorzystaliśmy w charakterze rodzinnego saloniku. Natychmiast zająłem pod gabinet ogromny podwójny salon w kształcie litery L na parterze, chociaż znajdował się dokładnie na drodze wszystkich gości przechodzących korytarzem, sprzątającej służby, Caroline pracującej w pobliskim pokoju dziennym i wszelkich innych zawad oraz codziennego ruchu w domu – ale dzięki ogromnemu kominkowi, wysokim oknom, centralnemu położeniu w domu i przestronności w niczym nie przypominał zamkniętego i ciemnego gabinetu przy Melcombe Place. Miałem tylko nadzieję, że Drugi Wilkie nie przeprowadzi się razem z nami.

Kiedy późną jesienią odnawianie wreszcie dobiegło końca, dom ogromnie przypadł mi do gustu. Rzecz jasna wszędzie trzymałem książki i obrazy, a wyłożone boazerią ściany domu przy Gloucester Place o wiele lepiej nadawały się do wyeksponowania moich zbiorów sztuki niż ciemne, pokryte tapetami ściany poprzedniej rezydencji.

Miałem portret matki jako młodej dziewczyny w białej sukni – namalowany przez Margaret Carpenter – który wisiał w moim gabinecie. Matka nigdy go tam nie zobaczyła (ponieważ byłoby to niestosowne, by odwiedzała dom, w którym przebywała Caroline G.), ale poinformowałem ją w liście, że „nadal wygląda całkiem jak Ty po tych wszystkich latach". (To nie do końca była prawda, ponieważ moja matka była już po siedemdziesiątce i upływ czasu zrobił swoje).

Także w moim gabinecie wisiał portret ojca oraz przedstawiający Sorrento obraz jego autorstwa – oba były ogromne i wisiały po obu stronach masywnego stołu do pisania, który także należał kiedyś do mojego ojca. Na kolejnej wyłożonej boazerią ścianie wisiał mój portret jako młodego człowieka autorstwa Charleya, mojego brata, oraz moja druga podobizna, namalowana przez Millaisa. Jedynym moim dziełem malarskim w tym domu był akademicki obraz *Kryjówka przemytników,* który powiesiłem w jadalni.

Nie ufałem nowince, jaką było oświetlenie gazowe (chociaż Dickens i inni mieli na jego punkcie bzika), więc moje pokoje, książki, kotary, biurko i obrazy w domu pod numerem dziewięćdziesiątym przy Gloucester Place nadal były oświetlone woskowymi świecami i lampami naftowymi, tak samo jak w moich poprzednich siedzibach. Uwielbiałem delikatne światło świec i kominków (szczególnie korzystnie prezentowały się w nim twarze ludzi zebranych wokół paleniska albo stołu jadalnianego) i nigdy nie zastąpiłbym go ostrym, nieludzkim blaskiem światła gazowego, chociaż praca przy świecy albo blasku latarni często wywoływała u mnie ostre bóle głowy, które wymagały zażycia dodatkowych dawek laudanum. Nastrój był wart tej ceny.

Dom, chociaż z zewnątrz wyglądał wspaniale, podupadł za

rządów nieboszczki pani Shernwold i mała armia fachowców potrzebowała ponad miesiąca, żeby pomalować ściany, naprawić albo zainstalować instalację wodno–kanalizacyjną, wyburzyć ścianki działowe, położyć na nowo boazerię i kafelki i, ogólnie rzecz biorąc, doprowadzić dom do stanu, jakiego można się spodziewać po rezydencji sławnego pisarza.

Moim pierwszym krokiem w radzeniu sobie z tym chaosem było położenie kresu wszelkim wizytom towarzyskim – zarówno przyjmowaniu gości, jak i odwiedzaniu przyjaciół. Drugim było oddalenie się od przyszłego szczęścia pod numerem dziewięćdziesiątym przy Gloucester Place (całymi tygodniami nocowałem i pracowałem wyłącznie w domku matki w Southborough albo w Gad’s Hill Place) i zostawienie Caroline roli nadzorcy w kurzu i brudzie. Jak napisałem do mojego przyjaciela Fredericka Lehmanna dziesiątego września, dzień po tym, jak się wprowadziliśmy: „Musiałem opuścić stary dom, znaleźć nowy, wynegocjować cenę, skonsultować się z prawnikami i doradcami, zatrudnić brytyjskich rzemieślników i przez cały ten czas nawet na dzień nie przerwać pracy literackiej”.

Jesień była ciepła i najczęściej pracowałem z Dickensem nad *Bez wyjścia* w jego uroczej szwajcarskiej chatce. Dickens zamienił stół do pisania na piętrze chatki w swego rodzaju dwuosobowe biurko (z miejscem na nogi dla dwóch osób siedzących po przeciwnych stronach blatu) i długie godziny gryzmoliliśmy razem jedynie przy akompaniamencie bzyczenia pszczół i rzadkich pomruków komentarza lub pytania, które zakłócały przyjemną jesienną ciszę.

Jeszcze pod koniec sierpnia Dickens przysłał mi list, który dobrze ilustrował swobodną wymianę idei i koncepcji narracyjnych towarzyszących naszej wspólnej pracy nad tym przedsięwzięciem:

> *Mam ogólny pomysł, który, mam nadzieję, zapewni zainteresowanie, o jakie nam chodzi. Niech opowieść kończy się samotną zimową ucieczką i pościgiem przez*

Alpy, wbrew wszelkim przestrogom. Ukażmy całą grozę i niebezpieczeństwa takiej przygody w najstraszliwszych okolicznościach, albo w czasie ucieczki, albo podczas próby pościgu (prędzej to drugie, moim zdaniem), przy czym od powodzenia tej ucieczki lub tego pościgu miałyby zależeć miłość i powodzenie bohaterów, tudzież rozstrzygnięcie całej historii. Znajdziemy w tym upiorność, malowniczość i zawrotną siłę, która pozwoli nam stworzyć tak wstrząsający punkt kulminacyjny, jaki tylko się nam zamarzy. Jeśli będziesz o tym pamiętał, tak jak ja, popychając historię w tym kierunku, otrzymamy prawdziwą lawinę mocy, którą z hukiem zwalimy na głowy czytelników.

Pod koniec września wciąż nie mieliśmy żadnej „lawiny". Dickens donosił: „posuwam się naprzód w tempie taczek pchanych przez emerytowanego admirała z Greenwich" i „tak jak ty, pracuję z powolnością ślimaka…", jednakże wspólna praca w Gad's Hill przyśpieszyła rozwój osobnych i wspólnych części narracji, a także roznieciła nasz entuzjazm.

Piątego października wylądowałem z powrotem w domku matki, rozkoszując się dobrymi posiłkami i czując, że koniec naszego wspólnego przedsięwzięcia znajduje się w zasięgu ręki. Wtedy Dickens przysłał mi następujący list:

Ściągnąłem Marguerite na ratunek. Na razie zostawiłem to tak, że Vendale – aby oszczędzić jej szczegółów – mówi, że to był tylko wypadek podczas burzy, nic więcej. Nawiasem mówiąc, Obenreizer został raniony przez Vendale'a własnym sztyletem. To na wypadek, gdybyś chciał żeby miał bliznę; ale jeśli nie, to nieważne. Nie mam wątpliwości, że moje szpalty z górskiej przygody będą pełne błędów, bo mój rękop. nie jest nazbyt czytelny. Ale ty się zorientujesz. Rozwiązanie widzę właściwie tak samo jak ty, na razie bez głębszej analizy. Rozważę kwestię Obenreizera (samobójstwo?). Uczyniłem Marguerite w pełni oddaną swojemu ukochanemu. Kiedy tylko dasz znać, że jesteś gotowy,

umówimy się na spotkanie tutaj, żeby zakończyć sprawę.

Zastanawiam się, Drogi Czytelniku, jaką wagę po ponad stu latach mogą mieć te robocze notatki wymieniane między dwoma zawodowymi pisarzami? Bardzo niewielką, jak przypuszczam, lecz zważywszy na sławę Dickensa nawet za mojego życia, być może nawet te pośpiesznie nabazgrane i zagadkowe listy mogą zainteresować pewnego dnia jakiegoś pomniejszego badacza. Czy możemy to samo powiedzieć o listach, które wysyłałem Dickensowi? Niestety, nigdy się tego nie dowiemy, ponieważ Dickens nadal regularnie palił całą otrzymaną korespondencję, podtrzymując – w pewnym sensie – ogień, który rozpalił pierwszy raz jesienią 1860 roku.

Tego samego piątego października, w pierwszą sobotę nowego miesiąca, wróciłem do nowego domu przy Gloucester Place 90 – nie napisawszy uprzednio ani nie wysławszy Caroline telegraficznego powiadomienia o dacie mojego powrotu – tylko po to, by zastać większość świateł pogaszoną i odkryć, że w kuchni Caroline je kolację z jakimś obcym mężczyzną.

Przyznaję, że to mnie zaskoczyło, żeby nie rzec: rozgniewało. Caroline uśmiechnęła się do mnie ze swojego miejsca za stołem, ja jednak zauważyłem rumieniec, który zapłonął w jej dekolcie i popełznął do góry za uszami, a potem okrążył je, zmierzając ku policzkom.

– Co to ma znaczyć? – spytałem mężczyznę. – Kim pan jest?

To był chudy, niski, niepozorny gnom o ziemistej cerze, w marynarce z najbardziej pospolitego moleskinu. Wszystko w nim było pospolite. Wstał, żeby mi odpowiedzieć, ale zanim zdążył się odezwać, powiedziałem:

– Chwileczkę, znam pana… Zatrudniłem pana miesiąc temu. Clow, zgadza się? Czy jakoś podobnie. Pan jest hydraulikiem.

– Joseph Clow, proszę pana – odparł głosem jękliwym i nosowym. – I owszem, zgadza się, pan mnie zatrudnił. Właśnie skończyliśmy ostatnie prace na górze i pańska

gospodyni, pani G., łaskawie zgodziła się zaprosić mnie na kolację.

Rzuciłem mojej „gospodyni” miażdżące spojrzenie, na które odpowiedziała mi zaledwie uśmiechem. Co za bezczelność! Właśnie pożyczyłem i wydałem olbrzymią sumę ośmiuset funtów, żeby kupić tej bezczelnej szelmie jedną z najwspanialszych rezydencji w okolicy Portman Square, a ona za moim plecami urządza sobie spotkanie z pospolitym rzemieślnikiem! I to w moim własnym domu!

– W porządku – powiedziałem, rzucając uśmiech, który mówił „porozmawiamy sobie o tym później, Caroline”. – Zajrzałem tylko, żeby wziąć trochę świeżej bielizny. Wychodzę do klubu.

– Pańska gospodyni przyrządza doskonały pudding z rodzynkami – odezwała się ta persona.

Gdybym wyczuł jakąkolwiek bezczelność albo sarkazm, byłbym go uderzył, ale komentarz robił wrażenie całkiem niewinnego.

– Ojciec pana Clow jest gorzelnikiem, a pan Clow ma udziały w jego interesie – powiedziała Caroline, bezwstydna do końca. – Przyniósł doskonałą sherry dla uświetnienia zakończenia remontu.

Skinąłem głową i poszedłem na górę. W moim kufrze podróżnym nie brakowało bielizny; przyszedłem, że uzupełnić zapasy laudanum z dużego dzbana. Napełniwszy podróżną piersiówkę i wypiwszy dwa duże kieliszki, podszedłem do komody, pomacałem w niższej szufladzie pod bielizną i znalazłem naładowany rewolwer, który Hatchery dał mi dawno temu.

Kto by mnie winił, gdybym zastrzelił Caroline i jej chudego, wąsatego, brudnego kochanka–hydraulika? Ten mężczyzna pewnie jeszcze przede mną wylądował w moim łóżku w moim nowym domu – a przynajmniej miał na to nadzieję.

Z drugiej strony, dotarło do mnie, że dla całego świata Caroline G. rzeczywiście była moją gospodynią, a nie żoną. Z pewnością byłbym usprawiedliwiony, gdybym zastrzelił Josepha Clow jako intruza, ale niewielu sędziów uznałoby za

uzasadnione strzelić do dżentelmena, który zgodził się zjeść kolację z moją gospodynią w kuchni dla służby. Nawet przeklęta sherry mogłaby zostać wykorzystana jako dowód przez gorliwego oskarżyciela.

Uśmiechając się ponuro, odłożyłem rewolwer, spakowałem walizkę ubrań (tylko na pokaz), upewniłem się, że piersiówka jest pełna po brzegi, i wyszedłem frontowymi drzwiami, żeby przenocować w klubie. Nie wróciłem na tyły domu, by spojrzeć ponownie na Caroline – która mimo zaawansowanego wieku (była dobrze po trzydziestce) wyglądała promiennie i ślicznie w świetle świec – albo na parszywego hydraulika, jej przyszłego kochanka i męża.

Zanim dotarłem do klubu, pogwizdywałem pod nosem i byłem w dobrym humorze. Wiedziałem już nawet, jak wykorzystam pana Josepha Clow dla własnej korzyści.

***

Skończyliśmy z Dickensem *Bez wyjścia* pod koniec października, wiele tygodni później niż się spodziewaliśmy. Ja zająłem się prawami do przedruków i rozpocząłem negocjacje z Frederickiem Chapmanem, ale ostatecznie to George Smith z wydawnictwa Smith and Elder przedstawił lepszą ofertę i natychmiast przekazałem mu prawa.

Obaj z Dickensem dostrzegliśmy dramatyczny potencjał opowiadania *Bez wyjścia,* a ponieważ w tamtych czasach każdy oszust dysponujący sceną i paroma aktorami mógł skraść materiał literacki, jeśli tylko pierwszy zaadaptował go na potrzeby sceny, postanowiliśmy uprzedzić potencjalnych złodziei i sami przygotować adaptację. Dickens – który śpieszył się, by domknąć swoje sprawy przed wyjazdem do Ameryki – napisał na kolanie zgrubny scenariusz dla naszego wspólnego przyjaciela, Fechtera, aktora i impresaria, i zostawił mi ciężką pracę dokonania adaptacji, kiedy on sam już opuścił kraj.

Pod koniec października wysoki dom pod numerem dziewięćdziesiątym przy Gloucester Place został wykończony

ku mojemu zadowoleniu – skończono nawet prace hydrauliczne – i z tej okazji wydaliśmy z Caroline kolację, która była też kolacją pożegnalną dla Dickensa, zamierzającego pożeglować do Ameryki dziewiątego listopada. Na tę okazję nająłem doskonałą francuską kucharkę (miała dość regularnie pracować dla nas w nadchodzących latach, chociaż nie zamieszkała w naszym domu) i zaangażowałem się w układanie menu oraz nadzorowanie przygotowań.

Przyjęcie było wielkim sukcesem, pierwszym z licznych odniesionych w domu przy Gloucester Place.

Kilka dni później, drugiego listopada, zaangażowałem się w organizację ogromnego i o wiele bardziej oficjalnego bankietu pożegnalnego dla Dickensa, który urządziliśmy w londyńskim Freemason's Hall. Zaproszono czterystu pięćdziesięciu gości, śmietankę londyńskiego świata artystycznego, literackiego i teatralnego – samych mężczyzn, rzecz jasna – tłoczących się w głównej sali, podczas gdy około stu kobiet (w tym dwulicowa, lecz śliczna Caroline G., szwagierka Dickensa Georgina, oraz jego córka Mary) siedziało w odosobnieniu w Galerii dla Dam; później pozwolono im dołączyć do mężczyzn, kiedy podano kawę. Córka Caroline, mająca teraz siedemnaście lat, także była tam obecna. W podenerwowaniu napisałem do organizatorów dwa razy, by się upewnić, że uhonorują moją prośbę o dwa bilety dla pań.

Z drugiego balkonu grała tego wieczoru orkiestra wojskowa Grenadier Guards. Jednym z niespodziewanych gości był syn Dickensa, Sydney, marynarz, którego statek przybił do portu w Portsmouth zaledwie dwie noce wcześniej. Brytyjskie i amerykańskie flagi ozdabiały główną jadalnię, a na przybranych złotym laurem tablicach nad dwudziestoma łukami wypisano po jednym tytule z dzieł Charlesa Dickensa. Lord Lytton (mający sześćdziesiąt cztery lata, a wyglądający na dwa razy tyle) przewodniczył temu wieczorowi i czuwał nad przebiegiem bankietu, krążąc wokół nas jak odziany w wieczorową czerń ptak drapieżny o

świdrującym spojrzeniu.

Kiedy Dickens wreszcie wstał, żeby przemówić po serii coraz bardziej hiperbolicznych przemów pochwalnych, najpierw głos mu się załamał. Potem Pan Niezrównany zapłakał. Gdy wreszcie odzyskał głos, jego słowa były wielce wymowne, choć nie tak bardzo – wielu się z tym zgodziło – jak jego łzy.

Przyznaję, że siedziałem tamtego wieczoru przy honorowym stole, w głowie mi się kręciło od wina i dodatkowej dawki laudanum na wzmocnienie i zastanawiałem się, co powiedzieliby ci wszyscy znani goście – przewodniczący Sądu Najwyższego Cockburn, sir Charles Russell, lord Houghton – gdyby mogli zobaczyć Dickensa schodzącego do kanałów Podmiasta, tak jak ja go widziałem. Albo gdyby mieli jakiekolwiek podejrzenie odnośnie do przypuszczalnych losów samotnego młodzieńca nazwiskiem Edmond Dickenson.

Być może, nie miałoby to dla nich żadnego znaczenia.

Dziewiątego listopada wybrałem się z Caroline i Carrie do Liverpoolu, żeby zobaczyć, jak Dickens wyrusza do Ameryki.

Otrzymał obszerną kajutę drugiego oficera na pokładzie statku *Cuba.* (Carrie zapytała mnie później, gdzie wobec tego będzie spał drugi oficer w czasie rejsu; musiałem przyznać, że nie mam pojęcia). W przeciwieństwie do większości kwater na statku, w tej kajucie można było otworzyć zarówno drzwi, jak i okno i tym samym w pełni korzystać ze świeżego morskiego powietrza.

W czasie naszej krótkiej wizyty Dickens był niespokojny i rozkojarzony, ale tylko ja wiedziałem, co go gryzie. A wiedziałem tylko dzięki podtrzymywanej znajomości z inspektorem Fieldem.

Mimo że ćwierć wieku wcześniej Dickens z pierwszej ręki poznał purytańską, konserwatywną naturę Amerykanów, z jakichś powodów nie porzucił planu zabrania ze sobą Ellen Ternan, by mogła wyruszyć na tournée razem z nim, być może udając asystentkę Dolby’ego. Oczywiście, to nie mogło się udać, ale Dickens był naprawdę niepoprawnym

romantykiem, gdy w grę wchodziły takie rojenia.

Nie powinienem był o tym wiedzieć, ale Pan Niezrównany umówił się z Willsem w redakcji czasopisma, że przekaże młodej aktorce zakodowany telegram, z którego dziewczyna dowie się, co ma robić po tym, jak Dickens dotrze do Nowego Świata. Po wiadomości „Wszystko dobrze" miała pośpieszyć następnym statkiem do Ameryki, a wszystkie koszty miały zostać opłacone z konta Dickensa, które zostawił pod nadzorem Willsa. Niechętny komunikat „Cały i zdrowy" miał znaczyć, że Ellen ma zostać na kontynencie, gdzie wraz z matką bawiły obecnie na wakacjach i czekały na wieści decydujące o jej losie.

W głębi serca (a może powinienem rzec „w racjonalnym umyśle") Dickens musiał w ten piękny listopadowy dzień wiedzieć (tak jak ja wiedziałem, kiedy tylko usłyszałem o tym niemądrym pomyśle), że to wiadomość „cały i zdrowy" – znacząca „samotny, ale znajdujący się w samym centrum gniewnej, wścibskiej, krytycznej i powszechnej uwagi Amerykanów" – zostanie wysłana poprzez Willsa do Ellen.

Nasze własne pożegnanie było niezwykle uczuciowe. Dickens był świadom tego, ile pracy mi zostawia – korekty *Bez wyjścia* oraz pisanie scenariusza i przygotowywanie inscenizacji z Fechterem – ale nie tylko to budziło tyle emocji. Po tym, jak Carrie, Caroline i ja zeszliśmy po trapie, wróciłem do obszernej kajuty drugiego oficera pod pretekstem, że zapomniałem jednej rękawiczki. Dickens już na mnie czekał.

– Modlę się do Boga, żeby Drood nie ruszył za mną do Ameryki – szepnął, kiedy znowu podaliśmy sobie ręce na pożegnanie.

– Nie ruszy – powiedziałem z pewnością, której wcale nie czułem.

Kiedy odwróciłem się do wyjścia, myśląc, że to możliwe – nawet prawdopodobne – że nigdy więcej nie ujrzę mojego przyjaciela Charlesa Dickensa, zatrzymał mnie.

– Wilkie… dziewiątego lipca w rozmowie z Droodem w twoim gabinecie, w rozmowie, której nie pamiętasz… Czuję,

że to konieczne ostrzec cię…

Nie mogłem się ruszyć. Miałem wrażenie, że krew ścięła mi się w żyłach lodem i ten lód wtargnął do komórek ciała.

– Zgodziłeś się zostać biografem Drooda, gdyby coś mi się stało – powiedział Dickens. Wyglądał jakby cierpiał na chorobę morską, chociaż *Cuba* stała mocno przycumowana do nabrzeża portu w Liverpoolu i nawet się nie kołysała. – Drood groził, że zabije ciebie i całą twoją rodzinę, jeśli nie dotrzymasz obietnicy… tak samo jako wielokrotnie groził zabiciem mnie i moich bliskich. Jeśli dowie się, że wyruszyłem do Ameryki, żeby przed nim uciec, a nie żeby rozmawiać z wydawcami o jego biografii…

Po minucie odkryłem, że mogę zamrugać powiekami. Po kolejnej mogłem mówić.

– Nie myśl o tym, Charlesie – powiedziałem. – Życzę udanego tournée po Ameryce. Wracaj do nas cały i zdrowy.

Wyszedłem z kajuty i zszedłem po trapie do czekającej Carrie i dąsającej się, zmartwionej Caroline.

Rozdział 24

Przez pierwszy miesiąc po wyjeździe Dickensa do Ameryki czułem się, jakby znowu umarł mi ojciec. Nie było to całkiem nieprzyjemne uczucie.

Nigdy w życiu nie byłem równie zajęty. Dickens zostawił mi nie tylko korekty *Bez wyjścia.,* ale też uczynił mnie odpowiedzialnym za redakcję całego świątecznego numeru „All the Year Round". To całkowicie zaskoczyło naszego przyjaciela Williama Henry'ego Willsa – zastępcę Pana Niezrównanego w redakcji pisma, który od początku nieodmiennie sprzeciwiał się pomysłowi Dickensa wyjazdu do Ameryki – ale Wills, zawsze posłuszny żołnierz, szybko przywykł do pozycji zastępcy, tym razem mojego. W miarę upływu listopada coraz więcej czasu spędzałem w redakcji. A ponieważ Dickens poprosił też, żebym regularnie zaglądał do Georginy, Mary i Katey w Gad's Hill (poza tym odkryłem, że tam łatwiej się pracuje i redaguje *Kamień Księżycowy,* a na dodatek mój brat również często się tam pojawiał), wkrótce żyłem bardziej życiem Charlesa Dickensa niż Wilkiego Collinsa.

Caroline zwykła zgadzać się z tą oceną, chociaż bez wdzięku i humoru, którego się spodziewałem. Zaczęła kłócić się ze mną za każdym razem, gdy spędzałem kilka dni w domu przy Gloucester Place 90. W miarę jak zbliżaliśmy się do grudnia, coraz mniej pomieszkiwałem w moim nowym domu w Londynie, a coraz więcej w Gad's Hill albo w skromnym mieszkanku Dickensa na piętrze nad redakcją, gdzie jadałem w jego jadalni i sypiałem w jego łóżku.

Tak się złożyło, że byłem tam, kiedy telegram „Cały i zdrowy" przybył do Willsa i zgodnie z planem został przesłany Ellen Ternan do Florencji, gdzie zatrzymała się z matką i rodziną. Jak Dickens mógł sobie wyobrażać, że Ellen samotnie pokona drogę z Włoch i przez Atlantyk do Ameryki, nie pojmowałem. Ta mrzonka była kolejną oznaką tego, jak dalece w tamtym czasie zatracił się w swoich romantycznych

marzeniach. Dowiedziałem się potem od Willsa, niemal przez przypadek, że Dickens wiedział, zanim jeszcze wypłynął w rejs, że Amerykanie nie zgodzą się na obecność samotnej kobiety w jego niewielkiej świcie. Dolby wysondował sytuację zaraz po przybyciu i wysłał werdykt w kwestii tego, czy wypada, by Ellen się zjawiła, w jednosylabowym telegramie: „Nie”.

Byliśmy z Dickensem zgodni, że sceniczna adaptacja *Bez wyjścia* powinna zostać wystawiona w Adelphi Theatre tak blisko Bożego Narodzenia, jak to możliwe, i że nasz wspólny przyjaciel Charles Fechter powinien zagrać czarny charakter – Obenreizera. Po raz pierwszy byłem pod wrażeniem występów Fechtera blisko piętnaście lat wcześniej, a poznałem go osobiście w 1860 roku, kiedy bawił w Londynie i grał w *Ruy Blasie* Victora Hugo. Pod wpływem podzielanego przez obie strony impulsu natychmiast zrezygnowaliśmy z Fechterem z ceremoniału typowego dla luźnej znajomości i szybko staliśmy się przyjaciółmi.

Fechter – urodzony w Londynie z Angielki i Niemca, a wychowany we Francji – wybrał ponownie Londyn na swój dom. Był człowiekiem nadzwyczajnego uroku i lojalności (bożonarodzeniowy podarunek w postaci kompletnej szwajcarskiej chatki, którą sprezentował Dickensowi dwa lata wcześniej, był typowym przykładem jego hojności i impulsywności), ale w dziedzinie interesów bywał naiwny jak dziecko.

Dom Fechtera w Londynie był chyba jedynym salonem mniej formalnym niż mój własny. O ile ja miałem zwyczaj zostawiać gości przy stole pod opieką Caroline, jeśli musiałem, na przykład, popędzić do teatru na umówione spotkanie, o tyle Fechter słynął z tego, że witał gości w szlafroku i rannych pantoflach, pozwalał im samym wybrać butelkę wina i zabrać ze sobą do stołu. Obaj uwielbialiśmy francuską kuchnię i dwa razy poddaliśmy próbie niewyczerpane zasoby kulinarne Francji, spożywając kolację złożoną tylko z jednego rodzaju artykułu spożywczego przygotowanego na różne sposoby. Pamiętam, że raz

jedliśmy ziemniaczaną kolację z sześciu dań, a innym razem ośmiodaniową kolację z jajek.

Jedyną słabością Fechtera jako aktora była potworna trema i wiadomo było, że za kulisami garderobiany wszędzie nosi za nim miednicę, dopóki kurtyna nie pójdzie w górę.

Przez cały listopad i początek grudnia pośpiesznie pisałem scenariusz scenicznej wersji *Bez wyjścia* i posyłałem korekty prosto do Fechtera, który poinformował mnie, że „zakochał się do szaleństwa w temacie", i natychmiast rozpoczęliśmy współpracę przy sztuce. Nie byłem zaskoczony, że spodobał mu się główny zły charakter Obenreizer, ponieważ obaj z Dickensem myśleliśmy o Fechterze, kiedy tworzyliśmy tę postać.

W te dni, kiedy jechałem pociągiem w kierunku Rochester do Gad's Hill Place, łatwo było myśleć, że Charles Dickens odszedł na dobre (nadal czułem, że to dość prawdopodobne, zważywszy na żałosny – nawet jeśli ukrywany przed większością ludzi – stan jego zdrowia i trudy amerykańskiego tournée) i że nie tylko pewnego dnia zajmę jego miejsce w świecie, ale że już je zająłem.

Na początku grudnia *Bez wyjścia* miało ukazać się w „All the Year Round" i nie miałem wątpliwości, że będzie to wielki sukces. Z pewnością nazwisko Dickensa miało swoją wagę (jego bożonarodzeniowe opowiadania sprawiały, że już od dwudziestu lat publika tłumnie kupowała świąteczne numery jego dwóch różnych czasopism), ale prawda była też taka, że moja *Kobieta w bieli* sprzedawała się lepiej niż niektóre wydawane w odcinkach opowieści Dickensa i byłem przekonany, że *Kamień Księżycowy* sprzeda się jeszcze lepiej w 1868 roku. Siedząc przy stole w jadalni w Gad's Hill Place, z Georginą po lewej stronie, Charleyem po prawej, Katey przy drugim końcu stołu oraz kilkorgiem pozostałych dzieci Dickensa, miałem wrażenie, że zastąpiłem Pana Niezrównanego z równą pewnością i łatwością, z jaką Georgina Hogarth zastąpiła Catherine Dickens.

Jeśli idzie o moje nieustające gromadzenie materiałów do *Kamienia Księżycowego,* po skontaktowaniu się z wieloma

osobami w poszukiwaniu wiedzy o Indiach z pierwszej ręki (przy okazji poszukiwałem również pewnych szczegółowych informacji na temat hinduskich i mahometańskich praktyk religijnych) zostałem skierowany do niejakiego Johna Wyllie, który służył w indyjskiej prowincji Kathijawar w czasie, kiedy pracował w Indyjskiej Służbie Cywilnej.

– Nie ma drugiej części Indii… tak fanatycznie hinduskiej pod względem religii i tak zdumiewająco barbarzyńskiej, jeśli idzie o prymitywną etykę – powiedział mi Wyllie między dwoma sporymi kieliszkami brandy. Polecił mi „zbiór listów Wheelera albo artykułów w Englishmanie… Eleuzyńskie misteria to żart w porównaniu z potwornościami tam ujawnionymi".

Kiedy wyjaśniłem, że moja mała grupka Hindusów w *Kamieniu Księżycowym* to rzeczywiście będą złoczyńcy, ale nie zostaną pozbawieni nutki szlachetnego męczeństwa, ponieważ będą musieli poświęcić całe dziesięciolecia, by przebłagać swoich bogów urażonych pogwałceniem kastowej reguły zakazującej im podróżowania za „Ciemną Wodę", Wyllie tylko zakpił i oznajmił beznamiętnie, że ich powrót do kasty zależałby raczej od łapówek zapłaconych stosownym stronnictwom bramińskim, niż od trwającej całe życie misji mającej na celu oczyszczenie, której wymagała moja opowieść.

Odrzuciłem zatem większość komentarzy i rad pana Johna Wyllie, byłego urzędnika Indyjskiej Służby Cywilnej, i pokierowałem się nakazami mojej muzy. W kwestii angielskiego tła dla opowieści sięgnąłem po prostu po wspomnienia z wybrzeża Yorkshire. Jeśli idzie o wydarzenia historyczne (jako że zasadnicza fabuła miała się zacząć w 1848 roku) nadal opierałem się na doskonałej bibliotece w Athenaeum. Jedyne, co wziąłem sobie z zaleceń pana Wyllie, to dziką indyjską prowincję Kathijawar; tak niewielu białych ludzi tam było i mieszkało, żeby móc o niej opowiedzieć, że uznałem, iż mogę zmyślić geografię, topografię oraz przeróżne odmiany kultów w obrębie hinduskich wierzeń.

Nadal codziennie pracowałem nad powieścią, mimo

niewyobrażalnych wymogów związanych z przygotowaniem *Bez wyjścia* do wystawienia na scenie.

Wieści o naszej inscenizacji jakimś cudem dotarły do Stanów Zjednoczonych przed współautorem opowiadania, na którym ją oparto. Otrzymałem list od Dickensa, w którym oznajmiał mi, że natychmiast po przybyciu do Nowego Jorku spotkał się z dyrektorami teatrów; panowie najwyraźniej odnieśli wrażenie, że scenariusz do *Bez wyjścia* spoczywa w kieszeni powieściopisarza. Dickens prosił mnie, żebym przesyłał mu egzemplarz każdego aktu po ukończeniu pracy, i dodawał: „Nie wątpię, mój drogi Wilkie, że zdołam zrobić coś dobrego dla naszego dramatu”.

Potem z obu stron popłynęła gorączkowa korespondencja, w której Dickens stwierdzał, że pośpiesznie szuka Amerykanina, któremu mógłby powierzyć manuskrypt i tym samym przekazać prawa do wystawiania sztuki w Ameryce, a jednocześnie zapewnić nam pewne zyski z tych inscenizacji. Przed Wigilią otrzymał ostateczną wersję sztuki, po czym nadesłał odpowiedź z Bostonu: „Sztuka powstała dzięki wielkim wysiłkom i talentowi, ale obawiam się, że jest za długa. Jej los rozstrzygnie się, zanim otrzymasz ten list, lecz poważnie wątpię w jej sukces…”. Reszta listu dotyczyła jego obaw, że Amerykanie na pewno ukradną naszą opowieść w jakiejś wersji, ale ja, prawdę mówiąc, straciłem wszelkie zainteresowanie po słowach „..lecz poważnie wątpię w jej sukces”.

***

Pomimo wszystkich zobowiązań pochłaniających mój czas i energię, w połowie grudnia zostałem zaszczycony pisemną prośbą inspektora Fielda o spotkanie na Waterloo Bridge. Przewidziałem sedno tego, co mi powie, i muszę przyznać, że nie omyliłem się w moich domysłach.

Stary detektyw robił wrażenie nieznośnie zadowolonego z siebie, co początkowo zdawało się dziwne, bo odkąd powiedziałem mu, że nic nieprzewidzianego nie wydarzyło

się w moim domu minionego dziewiątego czerwca, trop Drooda całkiem wystygł. Jednakże jedną z pierwszych rzeczy, jakie mi zdradził, kiedy szliśmy mostem z wysoko postawionymi kołnierzami (ciężka wełniana peleryna łopotała Fieldowi u ramion jak skrzydła nietoperza w podmuchach wiatru unoszących śnieżny puch), była informacja, że policja stołeczna schwytała Malajczyka podejrzanego o morderstwo. Malajczyk, jak się okazało, był jednym z przybocznych Drooda. Trafił do głębokiego lochu i był poddawany „dziarskim" przesłuchaniom nawet w tej chwili, kiedy my tu sobie spacerowaliśmy. Pierwsze informacje od przesłuchiwanego sugerowały, że Drood mógł się wyprowadzić z Podmiasta i ukrywać w londyńskich slumsach na powierzchni. To była tylko kwestia czasu, poinformował mnie pewny siebie inspektor, zanim zdobędą najpewniejszy trop prowadzący do egipskiego mordercy, na jaki natrafili w ciągu dekad nieustannych wysiłków.

– Zatem policja dzieli się z panem informacjami – zauważyłem.

Field odsłonił w uśmiechu wielkie, żółte zęby.

– Moi ludzie i ja sami prowadzimy przesłuchania, panie Collins. Widzi pan, nadal mam wielu przyjaciół w policji, nawet jeśli komisarz i ci stojący wyżej od niego traktują mnie z mniejszym szacunkiem, niż na to zasłużyłem.

– Czy obecny naczelnik wydziału śledczego wie, że jeden z głównych przybocznych Drooda został schwytany? – spytałem.

– Jeszcze nie – odpowiedział Field i przyłożył pulchny palec wzdłuż nosa. – No dobrze, może się pan zastanawiać, panie Collins, dlaczego wezwałem pana na spotkanie w tak przenikliwie zimny dzień.

– Owszem – skłamałem.

– Cóż, drogi panie, z pewnym żalem muszę oznajmić, że nasza długa współpraca dobiegła końca. Przykro mi to mówić, ale moje zasoby są ograniczone, jak sam pan może sobie wyobrazić, i od tej chwili będę musiał skupić te zasoby na Ostatecznej Rozgrywce z tym potworem Droodem.

– Jestem… zaskoczony, inspektorze – powiedziałem, mocniej zasłaniając twarz czerwonym szalikiem, by ukryć uśmiech. Właśnie tego się spodziewałem. – Czy to oznacza, że nie będzie już chłopca czekającego w pobliżu domu przy Gloucester Place, który przekazywałby wiadomości między nami?

– Niestety, panie Collins. Co sprawia, że przypominam sobie smutny los biednego młodego Gooseberry'ego.

Inspektor zaskoczył mnie, wyciągając chusteczkę z kieszeni płaszcza i wydmuchując kilka razy czerwony, błyszczący nos.

– Cóż, skoro nasza współpraca musi się zakończyć… – powiedziałem to takim tonem, jakby wbrew mnie samemu fakt ten napełniał mnie smutkiem.

– Obawiam się, że musi, panie Collins. Zresztą, moim zdaniem Drood nie korzysta już z usług naszego wspólnego przyjaciela, pana Charlesa Dickensa.

– Doprawdy? Jak pan do tego doszedł, inspektorze?

– Cóż, po pierwsze, w tym roku, w czerwcową rocznicę Staplehurst, Drood nawet nie próbował skontaktować się z panem Dickensem i vice versa.

– Z pewnością pański kordon wyszkolonych agentów uczynił takie spotkanie niemożliwym dla Drooda – powiedziałem, gdy odwróciliśmy się plecami do wiatru i ruszyliśmy mostem w drugą stronę.

Inspektor Field zaśmiał się chrapliwie.

– Nie ma takiej możliwości, panie Collins. Gdzie Drood chce dojść, tam dochodzi. Pięciuset najlepszych policjantów nie przeszkodziłoby mu w spotkaniu z Dickensem tej nocy, w pańskim własnym domu, jeśli zaszła– by taka potrzeba, drogi panie, gdyby rzeczywiście chciał się tam znaleźć. Tak diaboliczna jest natura tego cudzoziemskiego potwora. Jednakże ostatecznym i najbardziej decydującym czynnikiem prowadzącym do wniosku, że pan Dickens nie wysługuje się już Droodowi, jest prosty fakt, że pisarz znajduje się obecnie w Ameryce Północnej.

– Dlaczego jest to czynnik decydujący, inspektorze?

– Drood nigdy nie pozwoliłby panu Dickensowi wyjechać tak daleko, gdyby nadal go wykorzystywał – odparł stary detektyw.

– Fascynujące – mruknąłem.

– A wie pan, do czego Dickens był mu potrzebny, panie Collins? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Nigdy nie rozważałem tej kwestii, inspektorze – odparłem, szczęśliwy, że lodowate powietrze na odsłoniętych policzkach usprawiedliwi rumieniec kłamcy.

– Drood zastanawiał się, czy nie zlecić panu Dickensowi napisania czegoś – oznajmił inspektor Field tonem objawienia. – Pod przymusem, jeśli będzie trzeba. Nie zdziwiłbym się, gdyby to Drood doprowadził do tragedii kolejowej pod Staplehurst właśnie po to, żeby zniewolić najsłynniejszego pisarza Anglii.

To była bzdura, rzecz jasna. Nawet ten „cudzoziemski potwór" z wyobraźni detektywa nie wiedziałby, czy Dickens nie zginie w strasznym upadku wagonów pierwszej klasy z nieukończonej estakady. Jednakże powtórzyłem tylko:

– Fascynujące…

– A potrafi pan zgadnąć, panie Collins, co Drood chciał, żeby pan Dickens napisał i opublikował dla niego?

– Jego biografię? – zaryzykowałem, tylko po to, żeby pokazać staruszkowi, że nie jestem skończonym matołkiem.

– Nie, drogi panie – odparł inspektor. – Raczej wybór tekstów na temat starożytnej pogańskiej religii Egipcjan, ze wszystkimi jej niegodziwymi obrzędami, rytuałami i sekretami magii.

Tym razem mnie zaskoczył. Przystanąłem, a Field stanął obok mnie. Mijające nas zamknięte powozy miały zapalone lampy, chociaż było dopiero względnie wczesne popołudnie. Wyższe budynki wzdłuż rzeki stały się zaledwie niebiesko–czarnymi cieniami z płonącymi tu i tam lampami.

– Dlaczego Drood chciałby, żeby powieściopisarz przedstawił szczegóły martwej religii? – spytałem.

Field uśmiechnął się szeroko i znowu popukał się w nos.

– Dla Drooda ta religia nie jest martwa, panie Collins. Tak

jak nie jest martwa dla legionów jego wyznawców w londyńskim Podmieście, jeśli wie pan, co mam na myśli. Widzi pan to?

Spojrzałem w kierunku wskazywanym przez inspektora, na północny zachód wzdłuż rzeki.

– Adelphi Theatre? – spytałem. – Czy znajdującą się dalej starą fabrykę czernidła Warrena? A może ma pan na myśli sam Scotland Yard?

– Mam na myśli to wszystko, panie Collins. I więcej, aż po Saint James Pałace i z powrotem do Piccadilly i Trafalgar Square, i dalej, obejmując Charing Cross i Leicester Square razem ze Strandem i Covent Garden.

– Co z tym wszystkim, inspektorze?

– Proszę wyobrazić sobie tam ogromną szklaną piramidę, panie Collins. Proszę wyobrazić sobie cały Londyn od Billingsgate po Bloomsbury i Regent's Park zamieniony w ogromne szklane piramidy i sfinksy z brązu… Proszę to sobie wyobrazić, o ile pan zdoła. Bo Drood jest do tego zdolny.

– To szaleństwo.

– Zgadza się, panie Collins, to kompletnie obłąkany pomysł. – Field się roześmiał. – Jednak właśnie tego chce Drood i jego pełzający po kryptach wyznawcy starych egipskich bogów. To właśnie chcą osiągnąć, jeśli nie w tym stuleciu, to w następnym. Proszę wyobrazić sobie te szklane piramidy… i świątynie, drogi panie, i sekretne obrzędy w tych świątyniach, z mesmeryczną magią i niewolnikami ich umysłowych wpływów… wznoszące się wszędzie, gdzie pan spojrzy, gdy tylko nastanie wiek dwudziesty.

– Szaleństwo – powtórzyłem.

– Owszem, drogi panie – zgodził się ze mną inspektor. – Ale szaleństwo Drooda nie czyni go mniej niebezpiecznym. Powiedziałbym nawet, że bardziej.

– Cóż, wobec tego – powiedziałem, kiedy znowu dotarliśmy do końca mostu – ja się do tego nie mieszam. Dziękuję za całą pana troskę i ochronę, inspektorze Field.

Starszy mężczyzna skinął głową, ale zakaszlał w dłoń.

– Jest jeszcze jeden szczegół, drogi panie. Niejako

nieszczęśliwy efekt uboczny końca naszej współpracy.

– A mianowicie, inspektorze?

– Pańskie… ehm… badania.

– Nie całkiem rozumiem – odpowiedziałem, chociaż doskonale rozumiałem.

– Pańskie badania w palarniach opium w Podmieście. Pańskie czwartkowe wyprawy do palarni króla Lazaree, ściśle rzecz ujmując. Nie mogę już dłużej oferować usług detektywa Hatchery'ego jako pańskiego prywatnego przewodnika i ochroniarza.

– Ach – powiedziałem. – Rozumiem. Proszę się tym nie przejmować, inspektorze. I tak byłem już gotów zakończyć ten aspekt moich badań. Widzi pan, wystawiając sztukę i pracując nad powieścią, która jest w ponad połowie gotowa, zwyczajnie nie mam czasu ani potrzeby, by prowadzić dalsze badania.

– Doprawdy? Cóż… przyznaję, że cieszę się, słysząc to. Martwiłem się, że przeniesienie detektywa Hatchery'ego do innych zadań sprawi panu kłopot.

– W żadnym razie – odpowiedziałem.

W rzeczywistości moje cotygodniowe spotkania z Hatcherym w gospodzie przed zejściem do palarni króla Lazaree już dawno temu zamieniły się w cotygodniowe kolacyjki poza domem. W listopadzie w czasie jednej z nich Hatchery (będący już teraz moim szpiegiem) uprzedził mnie, że inspektor Field wkrótce zwolni go z obowiązku bycia moich ochroniarzem.

Byłem na to przygotowany i zapytałem go – dyplomatycznie – czy on, Hatchery, może wypełniać zadania detektywistyczne także poza biurem śledczym inspektora Fielda.

Odrzekł, że owszem. Jak najbardziej. Co więcej, upewnił się, że jego nowe obowiązki u inspektora Fielda nie będę kolidowały z czwartkowymi wieczorami.

– To przez wzgląd na córki, tak mu powiedziałem – wyjaśnił mi Hatchery przy cygarach i kawie.

Zaproponowałem mu hojną sumę za dalszą ochronę bez

informowania o tym przełożonych. Hatchery natychmiast przyjął tę ofertę i uściskiem rąk – w jego ogromnej dłoni moja całkiem zniknęła – przypieczętowaliśmy umowę.

I tak oto w połowie grudnia 1867 roku ja i inspektor Field także uścisnęliśmy sobie dłonie i odeszliśmy w przeciwnych kierunkach z Waterloo Bridge, zakładając, że więcej się już nie zobaczymy. Przynajmniej ja tak zakładałem.

***

W tym samym tygodniu, który wymiótł inspektora Fielda z mojego życia, zostałem zaszczycony jeszcze jednym spotkaniem, tym razem zainicjowanym przeze mnie w ramach kolacji w „Cock and Cheshire Cheese" przy Fleet Street. Rozmyślnie zjawiłem się spóźniony i zastałem Josepha Clow, który już siedział przy stoliku. Mimo że był odziany w garnitur z serży (który źle na nim leżał), robił wrażenie bardzo skrępowanego w otoczeniu, które musiało być zdecydowanie bardziej wyrafinowane – i droższe – od tego, do czego przywykł jako hydraulik i syn gorzelnika.

Wezwałem kelnera od win i złożyłem zamówienie, ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć do pana Clow, ten chudy, szemrany człowieczek sam się odezwał:

– Proszę pana… panie Collins… jeśli chodzi o to, że wtedy w październiku zostałem na kolacji, to przepraszam i mogę tylko powiedzieć, że pańska gospodyni, pani G., zaprosiła mnie w ramach nagrody za ukończenie przed czasem prac na piętrze. Jeśli to było niestosowne z mojej strony, a widzę teraz, że mogło być, to chcę tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro i…

– Żadnych przeprosin, żadnych przeprosin – przerwałem mu. Kładąc rękę na jego rękawie z szorstkiej tkaniny, natychmiast ustaliłem ton rozmowy. – Zaprosiłem pana tutaj, panie Clow… mogę nazywać pana Josephem?… ponieważ to ja chcę pana przeprosić. Jestem pewien, że zaskoczenie malujące się na mojej twarzy w ów wieczór dwa miesiące temu, mogło zostać wzięte… musiało zostać wzięte…

omyłkowo za wyraz dezaprobaty i mam nadzieję, że podejmując pana dobrym posiłkiem tu, w „Cock and Cheshire Cheese”, uczynię pewien krok w stronę zadośćuczynienia tego panu.

– Nie ma takiej potrzeby, proszę pana, nie ma… – zaczął znowu Clow.

Ponownie wszedłem mu w słowo:

– Widzi pan, panie Clow… Josephie… mówię do pana teraz jako wieloletni pracodawca pani G. Być może, powiedziała panu, że pracuje dla mnie już od wielu lat.

– Owszem.

Przerwało nam pojawienie się kelnera, który mnie rozpoznał i wylewnie powitał. Zdając sobie sprawę, że Clow nie wie, co wybrać z menu, złożyłem zamówienie za nas obu.

– Tak… – kontynuowałem myśl. – Mimo że pani G. nadal jest dość młoda, ona i jej córka pracują u mnie już od wielu lat. Prawdę mówiąc, odkąd Harriet, to znaczy jej córka, była małym dzieckiem. Ile ma pan lat, panie Clow?

– Dwadzieścia sześć, proszę pana.

– Proszę uczynić mi ten zaszczyt i mówić do mnie Wilkie – rzuciłem serdecznie. – A pan będzie dla mnie Josephem.

Młody mężczyzna o chudej twarzy zamrugał gwałtownie. Najwyraźniej nie przywykł do przekraczania granic klasowych.

– Zdaje pan sobie sprawę, Josephie, że wysoce sobie cenię panią G. i czuję się zobligowany, by dbać o nią i jej cudowną córkę.

– Tak, proszę pana.

Zjawiło się wino, zostało zaaprobowane, po czym upewniłem się, że kieliszek Josepha Clow został napełniony po brzegi.

– Kiedy powiedziała mi o swojej sympatii dla pana, Josephie, byłem zaskoczony… Przyznaję, że byłem zaskoczony, ponieważ Caroline… pani G… nigdy nie wyrażała się równie pochlebnie o żadnym dżentelmenie w ciągu tych wszystkich lat, przez które u mnie pracowała. Jednakże jej uczucia i ambicje są dla mnie kwestią

najwyższej wagi, Josephie. Tego może być pan pewien.

– Tak, proszę pana – znowu powtórzył Clow. Wyglądał jak człowiek, który oberwał po głowie ciężkim narzędziem hydraulicznym.

– Pani G. to młoda kobieta, Josephie – mówiłem dalej. – Była zaledwie dziewczyną, gdy zaczęła u mnie pracę. Mimo rozlicznych obowiązków w moim domu nadal jest młodą kobietą, w wieku bardzo bliskim pańskiego.

Prawdę mówiąc, w dniu trzecim lutego, czyli za niecałe dwa miesiące, Caroline miała skończyć trzydzieści osiem lat.

– Oczywiście, posag po ojcu jest znaczny, a ja z chęcią się do niego dołożę – powiedziałem. – To rzecz jasna dodatek do jej skromnego spadku.

Ojciec Caroline zmarł w Bath w styczniu 1852 roku i nie było ani wiana, ani spadku, a ja nie zamierzałem dołożyć choćby pół pensa do tych zerowych sum.

– No cóż, proszę pana… Wilkie, proszę pana… to była tylko kolacja, ponieważ pani G. powiedziała, że pracowałem tak ciężko przy kanalizacji, proszę pana – powiedział Clow.

Potem zaczęło się pojawiać jedzenie (oczy hydraulika rozszerzyły się na widok jego jakości i ilości), a nasza rozmowa stała się jeszcze bardziej jednostronna, kiedy ja nadal dolewałem mu do kieliszka i przedstawiałem swój dziwny, subtelny, rzekomo bezinteresowny i całkowicie nieszczery punkt widzenia na sprawę.

***

W tym okresie moja matka także zaczęła narzekać i domagać się, bym poświęcał jej więcej czasu. Zaczęła cierpieć, jak mówiła, z powodu licznych nieokreślonych, ale nieznośnych bólów. Z trudem powstrzymałem się od powiedzenia jej, że w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat nieokreślone (i być może nawet czasem nieznośne) bóle stanowią część ceny, jaką płaci się za długowieczność.

Matka zawsze narzekała i zawsze była zdrowa – zdrowsza od męża, który zmarł młodo; zdrowsza od syna (Charleya),

latami dręczonego przez bóle żołądka, które okazały się spowodowane rakiem; z całą pewnością zdrowsza od nieszczęsnego drugiego syna, Wilkiego, cierpiącego z powodu podagry, która co pewien czas oślepiała go bólem.

Jednakże narzekała i prosiła – niemal domagała się – abym w okolicach Bożego Narodzenia spędził z nią kilka dni w Tunbridge Wells. Oczywiście było to niemożliwe, i to nie tylko dlatego, że Caroline także żądała, bym spędził Boże Narodzenie i kilka dni w okolicach świąt z nią i Carrie – bo to także było niemożliwe.

Premiera *Bez wyjścia* została zaplanowana na drugi dzień świąt. Dwudziestego grudnia napisałem do matki list:

Droga Matko!

Kreślę tę linijkę pośród zamętu wokół nowej sztuki, żeby Ci powiedzieć, że możesz na mnie liczyć: zjawię się u Ciebie w pierwszy dzień świąt, a może nawet wcześniej.

Opóźnienia i trudności związane z pracą nad inscenizacją są potworne. Musiałem napisać nowy piąty akt, który ukończyłem dopiero dzisiaj – a sztuka musi zostać wystawiona w następny czwartek. A po drodze będzie przecież niedziela i Boże Narodzenie!

Jeśli będę mógł napisać ponownie, zrobię to. W przeciwnym wypadku ustalmy, że na pewno przyjadę w Boże Narodzenie. A jeśli nie będę potrzebny w czasie poniedziałkowej i wtorkowej próby, zjawię się wcześniej. Twój udręczony syn ma ledwie minutę dla siebie. Jednakże pisanie sztuki wreszcie dobiegło końca, więc moje główne zmartwienie się skończyło. Ach, jak wielką radość sprawi mi chwila odpoczynku przy Tobie!

Prześlij mi słówko przed Bożym Narodzeniem. Mam Twoje tabletki do ssania na zgagę, mam też dla Ciebie czekoladę, którą Charley przywiózł z Paryża. Czy przywieźć coś jeszcze, co zmieści się w małej torbie?

Z czułością,

zawsze Twój

Charley proponuje, że przyjedzie do Ciebie z Gad'shill w piątek w świątecznym tygodniu.

Ostatecznie tak się złożyło, że spędziłem część bożonarodzeniowego popołudnia i wieczoru z matką w jej domu w Tunbridge Wells (przez większość wspólnie spędzonego czasu narzekała na nerwy i zgagę oraz złowieszczych nieznajomych w sąsiedztwie), a następnego ranka pierwszym pociągiem wróciłem do Londynu.

Fechter – jak zawsze przed premierą – był w fatalnym stanie. Z powodu tremy wymiotował niemal bez przerwy przez ostatnie dwie godziny przed podniesieniem kurtyny, więc jego biedny garderobiany był wycieńczony bieganiem z miską w tę i z powrotem.

Wreszcie zasugerowałem kilka kropli laudanum dla uspokojenia nerwowego aktora. Niezdolny się odezwać Fechter w odpowiedzi tylko wysunął język, który (pod wpływem zgrozy, jaka ogarnęła aktora) przybrał barwę metalicznie czarną, jak ozór papugi.

Jednakże, gdy tylko kurtyna poszła w górę, Fechter odzyskał głos i sprężysty krok w roli niewypowiedzianie złego Obenreizera.

Powinienem tu nadmienić, że ja osobiście nie czułem najmniejszego niepokoju. Wiedziałem, że sztuka będzie triumfem – i była nim.

Dwudziestego siódmego grudnia napisałem z redakcji „All the Year Round" przy Wellington Street 26:

Droga Matko!

Mam chwilę, żeby powiedzieć Ci, że wczorajsza inscenizacja okazała się ogromnym sukcesem. Widownia była zachwycona, a aktorzy wyśmienici.

Bez kłopotu otrzymałem szpalty, który mi odesłałaś.

Jak mniemam, Charley jest dziś z Tobą.

Jeśli możesz napisać, daj znać, jak się miewasz i w jaki dzień w następnym tygodniu mogę do Ciebie wrócić. Żywię najszczerszą nadzieję i wiarę, że nie cierpisz tak

bardzo, jak kiedy byłem u Ciebie.
Pozdrów ode mnie Charleya.
Z czułością,
zawsze Twój

WC

Noc premiery była jedynym czwartkiem w 1867 roku, kiedy byłem zmuszony zrezygnować z cotygodniowej wycieczki do podziemnej palarni króla Lazaree. Jednakże ułożyłem wszystko zawczasu tak, by wynagrodzić to sobie w piątek dwudziestego siódmego grudnia (to dlatego napisałem do matki z mieszkanka nad redakcją, ponieważ powiedziałem Caroline i Marcie, że spędzę tam noc). Detektyw Hatchery był tak dobry, że przeniósł dla mnie swój dyżur z drugiego dnia świąt na piątek.

***

Caroline G. chciała małżeństwa. Ja nawet nie rozważałem takiej możliwości. Martha R. z kolei chciała tylko dziecka (albo dzieci, w liczbie mnogiej). Nie żądała małżeństwa, ponieważ fikcja „pana Dawsona” – podróżującego po świecie męża–adwokata, który rzadko spędzał czas w domu przy Bolsover Street – jej wystarczała.

Mniej więcej w tym czasie, w okresie sukcesu *Bez wyjścia* i blisko ukończenia *Kamienia Księżycowego*, a zwłaszcza po drugim sekretnym spotkaniu z panem Josephem Clow w nieco tańszej londyńskiej restauracji, zacząłem rozważać ewentualne spełnienie życzenia Marthy.

Pierwsze dwa tygodnie 1868 roku były dla mnie szaleńcze; podejrzewam, że byłem wtedy tak szczęśliwy jak nigdy wcześniej. Moje listy do matki (a także mnóstwa przyjaciół i współpracowników) nie były przesadne. *Bez wyjścia* naprawdę okazało się (wbrew lekceważeniu, jakie z dystansu okazywał mu Charles Dickens) prawdziwym sukcesem. Nadal przynajmniej dwa razy w tygodniu zaglądałem do Gad’s Hill Place, ciesząc się z posiłków w towarzystwie

Georginy, Charleya i Katey (kiedy Charley tam był), syna Dickensa – Charleya i jego żony Bessie (którzy bywali tam często), córki Dickensa Mamie (która zawsze tam była), oraz gości takich jak Percy Fitzgerald albo William Macready i jego śliczna druga żona (którzy bywali tam sporadycznie).

Zaprosiłem ich wszystkich, by przyjechali do Londynu obejrzeć *Bez wyjścia*. W licznych listach zaprosiłem także innych: Williama Holmana Hunta, T.H. Hillsa, Ninę Lehmann, sir Edwarda Landseera i Johna Forstera.

Zaprosiłem wszystkich tych ludzi i wielu innych, żeby zjedli ze mną kolację w domu pod numerem dziewięćdziesiątym przy Gloucester Place w sobotę osiemnastego stycznia (stroje wieczorowe nie obowiązywały, co wyraźnie podkreśliłem), a potem udali się ze mną do teatru, gdzie mieliśmy razem zasiąść w obszernej loży autorskiej i wspólnie cieszyć się przedstawieniem. Zachwycona Caroline metaforycznym batem zagoniła trójkę służących do przygotowań. Ponadto całymi godzinami konwersowała z francuską kucharką.

Matka napisała (a właściwie podyktowała list Charleyowi, który zajrzał na jeden dzień do Tunbridge Wells) z wiadomością, że był u niej niejaki doktor Ramseys, lekarz odwiedzający w wiosce rodzinę, który usłyszał o kłopotach matki i który, po długich badaniach, zdiagnozował jej problemy jako zator w sercu. Dał jej trzy lekarstwa na tę dolegliwość (które, jak pisała, zdawało się, że pomaga) i zalecił, żeby wyprowadziła się z domu w wiosce z powodu hałasu związanego z remontem. Kiedy powiedziała mu o ukochanym pobliskim domu (Bentham Hill Cottage), dr Ramseys zalecił, żeby natychmiast się tam przeniosła. Charley dopisał od siebie, że matka zaprosiła swoją byłą gospodynię i kucharkę, a także niegdysiejszą sąsiadkę, panią Wells, do Bentham Hill Cottage, co obaj przyjęliśmy ze sporą ulgą, ponieważ zawsze ktoś powinien być w domu i opiekować się matką, póki dochodzi do siebie po tych drobnych dolegliwościach.

Matka dodała, że dr Ramseys zalecił jej także całkowity

odpoczynek i obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy, by jej pomóc – zarówno jeśli idzie o lekarstwa, jak i przyszłą opiekę. W postscriptum dopisała, że przed laty biedny dr Ramseys sam sporo wycierpiał z powodu poparzeń w pożarze: ból oraz blizny nigdy go nie opuściły i dlatego poświęcił życie, niosąc ulgę w cierpieniu innym.

***

Nasze nadzieje na udaną sprzedaż praw teatralnych do *Bez wyjścia* amerykańskiemu producentowi rozwiały się jak mgła, kiedy przyszedł list od Dickensa: „Piraci wszędzie wystawiają własne żałosne wersje".

Dickens uparcie twierdził, że zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby umieścić mój scenariusz albo przynajmniej prawa do naszego wspólnego dzieła w uczciwych rękach, do tego stopnia, że zarejestrował *Bez wyjścia* jako własność swoich bostońskich wydawców, wydawnictwa Ticknor and Fields, je jednak powątpiewałem w szczerość (czy choćby usilność) tych starań. Przecież jego wcześniejsze listy skazały mój scenariusz na porażkę jako „zdecydowanie zbyt długi" i, co jeszcze bardziej irytujące, jako tekst, który „być może przekroczył granice zwykłego melodramatu", więc na poły podejrzewałem, że Dickens czekał, aż sam będzie mógł poprawić sztukę… albo stworzyć od podstaw nową adaptację. (To podejrzenie sprawdziło się w czerwcu, kiedy z pomocą Fechtera rzeczywiście napisał nową wersję sztuki, z myślą o premierze w Paryżu. To przedstawienie zrobiło klapę).

W każdym razie Dickens pisał dalej w swoim liście, że Museum Theatre w Bostonie pośpieszył się ze sceniczną adaptacją naszego opowiadania i wystawił ją w zadziwiającym tempie zaledwie dziesięć dni po tym, jak oryginalna historia dotarła do Stanów Zjednoczonych. Była to oczywista kradzież. Dickens twierdził, że naciskał na Ticknor and Fields, żeby zagrozili piratom zakazem sądowym, ale złodzieje – wiedząc, że to Dickens pierwszy

padnie ofiarą oburzenia i protestów, jeśli będzie się upierał przy swoim (zważywszy na łatwość, z jaką Amerykanie akceptują taką kradzież) – uznali, że wydawcy blefują, i dalej wystawiali swoją obrzydliwie fatalną wersję. Dalej Dickens pisał tak: „Wkrótce potem szlachetne zastępy złodziejaszków rzuciły się do pracy i dziś sztuka jest wystawiana w takiej czy innej spartaczonej wersji w zasadzie wszędzie”.

Cóż. Nie zwracałem specjalnej uwagi na tę odległą katastrofę. Jak napisałem matce trzydziestego grudnia: „Sztuka przynosi zyski. To prawdziwy sukces. Będziemy bogaci”.

Kiedy odwiedziłem ją drugiego stycznia, przyniosłem jej do podpisania dokumenty, na podstawie których moglibyśmy z Charleyem dostać po pięć tysięcy funtów ze spadku po ciotce Davis, będącego źródłem rocznych dochodów matki (albo przepisać je na kogoś, kogo sami wybierzemy), gdyby zmarła przed nami.

Wszystko się rozgrywało w zawrotnym tempie, zbliżając nas do galowej kolacji przy Gloucester Place i przyjęcia w teatrze tuż potem. Caroline i Carrie przystroiły ogromny dom tak, jakby miała się tam odbyć królewska koronacja, a nasz rachunek za jedzenie w tym jednym tygodniu wyniósł tyle, ile przez pół roku regularnych zakupów. Nieważne. Nadszedł czas, żeby świętować.

W czwartek napisałem:

90 Gloucester Place
Portman Square
17 stycznia 1868
Droga Matko!

Ogromnie nam ulżyło z Charleyem, że się przeprowadziłaś i urządziłaś ponownie pod opieką pani Wells. Nie dziwi mnie, że jesteś bardzo wycieńczona wysiłkiem, ale kiedy odpoczniesz, mam nadzieję i wierzę głęboko, że zaczniesz odczuwać korzyści z tej zmiany. Daj mi znać – w dwóch słowach – jak się miewasz i jak szybko pozwolisz przyjechać mnie albo Charleyowi i

zobaczyć Cię w nowym miejscu. Pamiętaj, że cisza i uwolnienie od londyńskiego zgiełku z pewnością pomogą mi przyśpieszyć pracę. Ponadto – gdy już będziesz mogła pisać bez większego kłopotu – daj mi znać, kiedy będzie stosowne, bym podesłał do Bentham Hill Cottage mały zapas brandy i wina.

Sztuka ma się cudownie. Co wieczór w teatrze panuje tłok. Spekulacje na temat gustu publiczności opłaciły się i obiecują, że jeszcze długo będą mi przynosiły od pięćdziesięciu do pięćdziesięciu pięciu funtów tygodniowo. Zatem nie martw się kwestiami finansowymi.

Napisałem już prawie połowę Kamienia Księżycowego. *Żadnych więcej nowin. Do widzenia.*

Z czułością,

zawsze Twój

WC

Nie miałem pojęcia, że będzie to ostatni list, jaki kiedykolwiek napiszę do matki.

Ten drugi tydzień nowego roku był tak wypełniony pracą nad *Kamieniem Księżycowym* i obowiązkami w teatrze, że ponownie musiałem przesunąć noc u króla Lazaree z czwartku na piątek. Detektyw Hatchery najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu (powiedział nawet, że łatwiej jest mu znaleźć wieczór wolny od regularnych obowiązków u inspektora Fielda w piątek niż we czwartek), więc raz jeszcze podjąłem mojego olbrzymiego ochroniarza wspaniałą kolacją (tym razem w tawernie „Blue Posts” przy Corn Street), zanim zaprowadził mnie w ciemność slumsów portowych i bezpiecznie doprowadził do tego straszliwego miejsca, pełnego zimnego granitu i grobów, które Dickens dawno temu ochrzcił mianem Cmentarza Upiornych Świętych.

Hatchery miał nową książkę do czytania na czas nocnego czuwania – *Historię Henryka* Esmonda Thackeraya, jak zauważyłem. Dickens wspomniał kiedyś, że podoba mu się

sposób, w jaki Thackeray arbitralnie podzielił wielką powieść na trzy „księgi”; zapożyczył ten pomysł do wszystkich swoich powieści, które potem napisał. Nie wspomniałem jednak o tym zawodowym drobiazgu Hatchery’emu, ponieważ śpieszyłem się na dół.

Król Lazaree powitał mnie ciepło jak zawsze (wspomniałem mu tydzień wcześniej, że być może zjawię się w piątek, a nie w czwartek, ale zapewnił mnie swoją idealną angielszczyzną, że będę mile widziany i oczekiwany o każdej porze). Lazaree i jego wielki chiński strażnik wskazali mi łóżko i wręczyli fajkę z opium przygotowaną i zapaloną jak zawsze. Będąc w świetnym nastroju w związku z minionym dniem i własnym życiem (wiedziałem też, że to przyjemne odczucie zostanie po stokroć zwielokrotnione podczas obcowania z fajką), zamknąłem oczy i pozwoliłem sobie po raz setny w bezpiecznym zakątku głęboko ukrytego łóżka odpłynąć na unoszących się w powietrze kłębach dymu zwielokrotnionych odczuć.

To był koniec życia, jakie do tej pory znałem.

Rozdział 25

– Może się pan teraz obudzić – mówi Drood.

Otwieram oczy. Nie, to nie tak. Oczy już mam otwarte. Teraz, dzięki jego pozwoleniu, mogę nimi widzieć.

Nie mogę unieść głowy ani obrócić jej na boki, ale z twardej powierzchni, na której leżę na wznak, widzę dość, żeby wiedzieć, że nie znajduję się w palarni opium króla Lazaree.

Jestem nagi – tyle mogę dojrzeć, nie poruszając głową, a na podstawie nacisku zimnego marmuru na moje plecy i pośladki mogę stwierdzić, że leżę na czymś, co może być blokiem zimnego kamienia albo niskim ołtarzem. Czuję ruch zimnego powietrza na brzuchu, piersi i genitaliach. Nade mną po prawej stronie ogromny posąg z czarnego onyksu, wysoki na co najmniej dwanaście stóp, przedstawia nagie do pasa męskie ciało owinięte w pasie krótką, złotą spódnicą, którego potężne ramiona kończą się ogromnymi, umięśnionymi rękami trzymającymi złotą włócznię albo pikę. Ciało kończy się na szyi; głowa szakala uzupełnia ten straszny czarny kształt. Z lewej strony podobny trzymający lancę posąg wznosi się na tę samą wysokość, ale zamiast oblicza szakala ma głowę wielkiego ptaka o zakrzywionym dziobie. Obie głowy gapią się na mnie.

Drood staje w moim polu widzenia i patrzy na mnie z góry w milczeniu.

Jest blady i obmierzły, tak jak przyśnił mi się w Birmingham i jak dostrzegłem go w swoim domu w czerwcu zeszłego roku, ale poza tym bardzo mało przypomina tamtą postać.

Od pasa w górę jest nagi, z wyjątkiem szerokiego, ciężkiego kołnierza, który wydaje się, że jest zrobiony z kutego złota wysadzanego rubinami i pasami lazurytu. Na jego nagiej, białej jak larwa piersi wisi ciężki złoty kształt, który w pierwszej chwili biorę za chrześcijański krzyż, ale potem zauważam wydłużoną pętlę na górze. Widziałem

podobne przedmioty za szkłem w londyńskim muzeum i wiem nawet, że nazywa się je ankh, ale nie mam pojęcia, jakie jest ich znaczenie.

Nos Drooda nadal jest zaledwie dwoma szparami w twarzy jak żywa czaszka. Stwór wciąż nie ma powiek, ale wokół głęboko osadzonych oczu wymalował sobie granatowe zawijasy – tak ciemne, że wydaj ą się niemal czarne – które zbiegają się pod ostrym kątem na skroniach, niczym kocie oczy. Pas krwawego szkarłatu wznosi się z miejsca, w którym powinny być brwi, przecina czoło i dzieli na pół łysą, białą i jakby pozbawioną skóry czaszkę.

Drood trzyma wysadzany klejnotami sztylet. Jego czubek dopiero co zanurzono w czerwonej farbie albo krwi.

Próbuję się odezwać, ale nie mogę. Nie jestem w stanie nawet otworzyć ust ani poruszyć językiem. Czuję ręce, nogi i palce, ale nie mogę zmusić ich do poruszenia. Panuję jedynie nad oczami i powiekami.

Drood staje na prawo ode mnie ze sztyletem w ręku.

Un re–a an Ptah, uau netu, uau netu, aru re–a an neter nut–a.
I arefm Djewhty, meh aper em heka, uau netu, uau netu, en Suti sau re–a.
Khesef– Tu Tem uten–nef senef sai set.
Un re–a, apu re–a an Shu em nut–eftui ent baat en pet Enki ap–nef re en netem am–es.
Nuk Sekhet! Hems–a her kes amt urt aat ent pet.
Nuk Sakhu! Urt her–ab baiu Annu.
Ar heka neb t'etet neb t'etu er–a sut, aha netem er–sen paut netem temtiu.
Niech Ptah da mi glos, usunie całun! Usunie całun, który pomniejsi bogowie umieścili na moich ustach:
Przyjdź do mnie, Dżehuti, dzierżycielu Heka, napełniony Heka, usuń całun! Usuń całun Suti, który pęta moje usta.
Niech Atum zawróci tych, którzy chcieliby mnie powstrzymać.
Daj mi głos! Niech moje usta zostaną otwarte przez Szu

boskim instrumentem z żelaza, którym bogowie dają głos.
Jam jest Sachmet! Czuwam nad niebem na zachodzie.
Jam jest Sakhu! Czuwam nad duszami Annu.
Niech bogowie i ich dzieci usłyszą mój głos i powstrzymają tych, którzy by mnie uciszyli.

Drood wyjmuje sztylet i kreśli pionową linię w powietrzu na prawo ode mnie, tnąc w dół zręcznym i śmiercionośnym ruchem.

– Kebehsenuf!

Coś, co zabrzmiało jak setka innych głosów – a wszystkie należące do postaci poza moim polem widzenia – wykrzyknęło zgodnym chórem:

– Kebehsenuf!

Drood odwraca się w stronę, którą wskazują moje stopy, i kreśli pionową linię w powietrzu.

– Amset!

Chór bezcielesnych głosów odpowiada mu:

– Amset!

Drood odwraca się w moją lewą stronę i kreśli sztyletem pionową linię w powietrzu.

– Duamutef!

– Duamutef! – wykrzykuje chór.

Drood unosi sztylet w stronę mojej twarzy i rysuje kolejną pionową linię w powietrzu, które – jak teraz zdaję sobie sprawę – jest gęste od dymu i kadzidła.

– Hapi!

Jam jest płomień, który jaśnieje ponad Tym, Który Otwiera Wieczność!

Niewidzialny chór wykrzykuje pojedynczą, nieprzerwaną nutę, która brzmi jak ujadanie szakali nad Nilem o północy:

– Hapi!

Drood uśmiecha się do mnie i mówi bardzo cicho:

– Panie Wilkie Collinsss, może pan poruszyć głową, ale tylko głową.

Nagle mogę się poruszyć. Nie mogę unieść ramion, ale gwałtownie obracam głowę na boki. Nie mam okularów. Wszystko, co znajduje się dalej niż dziesięć stóp ode mnie, jest rozmazane – marmurowe kolumny wznoszące się w ciemności, wydychające dym syczące koksowniki, dziesiątki odzianych w szaty postaci.

Nie podoba mi się ten opiumowy sen.

Nie sądzę, żebym powiedział to na głos, ale Drood odrzuca głowę w tył i śmieje się. Blask świec błyszczy na złocie i lazurycie kołnierza wokół jego chudej szyi.

Próbuję poruszyć ciałem, aż zaczynam szlochać z frustracji, ale tylko głowa słucha moich rozkazów. Rzucam głową w przód i w tył, łzy spływają na biały ołtarz.

– Panie Wilkie Collinsss… – mruczy Drood. – Chwała panu prawdy, którego świątynia jessst ukryta, z którego oczu wyszła ludzkość i z którego ussst powssstali bogowie. Jak wysssoko jessst niebo, jak szeroka jessst ziemia, jak głębokie jessst morze.

Próbuję krzyknąć, ale moje szczęki i usta mnie nie słuchają.

– Może pan mówić, panie Wilkie Collinsss – oznajmia blada twarz.

Drood staje teraz po mojej prawej stronie, trzyma unurzany w szkarłacie sztylet w obu rękach nad moją piersią. Krąg zakapturzonych postaci się zacieśnia.

– Ty obrzydliwa gnido! – krzyczę. – Ty czarny łajdaku! Ty śmierdząca cudzoziemska kupo gnoju! To jest mój opiumowy sen, niech cię szlag! Nie jesteś w nim mile widziany!

Drood znowu się uśmiecha.

– Panie Wilkie Collinsss – szepcze, a dym z koksowników i kadzielnic kłębi się wokół jego twarzy – Nade mną rozciąga się Nut, Pani Niebiosss. Pode mną leży Geb, pan Ziemi. Po mojej prawicy Ast, Pani Życia. Po mojej lewicy Asar, Pan Wieczności. Przede mną, przed panem, wznosi się Heru, ukochane Dziecię i Ukryte Światło. Za mną i nad nami wszyssstkimi świeci Ra, którego imion nawet bogowie nie znają. Może pan teraz zamilknąć.

Próbuję krzyknąć, ale znowu nie mogę.

– Od dziś będzie pan naszym ssskrybą – mówi Drood. – W ciągu lat śmiertelnego życia, jakie panu zossstały, będzie pan przychodził do nasss poznawać naszą religię z dawnych dni, dawne drogi, wieczne prawdy. Będzie pan pisssać o nich w naszym języku, żeby pokolenia, które jeszcze się nie narodziły, nasss poznały.

Miotam głową na wszystkie strony, ale nie mogę zmusić mięśni ani głosu do posłuszeństwa.

– Może pan teraz mówić, jeśli tego pan pragnie – mówi Drood.

– Dickens jest twoim skrybą! – krzyczę. – Nie ja! Dickens jest twoim skrybą!

– Jessst jednym z wielu – mówi Drood. – Ale się… opiera. Pan Charlesss Dickensss uważa, że jessst równy kapłanowi lub kapłance Świątyni Snu. Wierzy, że jego siła woli dorównuje naszej. Podjął ssstarożytne wyzwanie, które zwolni go z roli etatowego ssskryby.

– A na czym polega to wyzwanie?! – wykrzykuję.

– Trzeba na oczach wszyssstkich zabić niewinną issstotę ludzką – syczy Drood, szczerząc drobne ząbki w uśmiechu. – Dickensss ma nadzieję, że wyssstarczy jego wyobraźnia, że zdoła zwieść bogów, ale na razie… jego okrzyczana wyobraźnia… zawodzi.

– Nie! – krzyczę. – Dickens zabił młodego Dickensona. Edmonda Dickensona! Jestem tego pewien!

Teraz rozumiem motywy stojące za morderstwem. Jakaś starożytna, pogańska, mistyczna klauzula, która pozwoliła Dickensowi uniknąć poddania się całkowitej kontroli tych odrażających magów. Ofiarował życie osieroconego młodzieńca, żeby uwolnić się spod całkowitej dominacji Drooda.

Stwór kręci głową i przyzywa wyznawcę w szacie i kapturze, żeby wyszedł z kręgu rozmazanych postaci, które wyczuwam wokół siebie. Mężczyzna zdejmuje ciemny kaptur. To młody Dickenson. Ogolił głowę i ma oczy pomalowane tym samym barbarzyńskim granatem, ale to jest młody

Dickenson.

– Pan Dickensss był na tyle uprzejmy, żeby zasssugerować włączenie tej duszy do naszej ssskromnej trzódki i włączenie naszej ssskromnej trzódki do tej duszy – mówi Drood. – Zarówno pieniądze brata Dickensssona, jak i jego wiara sssą tu mile widzianie. Wprowadzenie tego konwertyty do naszej Rodziny przyniosssło panu Charlesssowi Dickensssowi… małą dyssspenssę.

– Obudź się! – krzyczę do siebie. – Na miłość boską, obudź się, Wilkie! Dość już tego! Wilkie, obudź się!

Dickenson i krąg postaci w szatach cofają się kilka kroków i znikają w mroku. Drood mówi:

– Może pan znowu zamilknąć, panie Wilkie Collinsss.

Sięga w dół obok kamiennej płyty; nawet obracając głowę, nie widzę, co robi. Kiedy się prostuje, ma coś czarnego w prawej ręce. To coś jest wielkie i wypełnia mu prawie całą bladą dłoń. Półksiężyc zamocowany na jednym końcu tej czarnej rzeczy ciągnie się niemal na całą długość absurdalnie długich, białych palców Drooda.

Kiedy patrzę, czarna rzecz ożywa i zaczyna się wiercić.

– Tak – mówi Drood. – To żuk. Moi ludzie nazywają przedssstawiciela tego rodzaju ssskarabeuszem i czczą go w naszej religii i rytuałach…

Wielki czarny żuk wymachuje sześcioma długimi nogami i próbuje zejść z dłoni Drooda, lecz ten zamyka palce i wielki robak znowu ląduje mu na ręce.

– Nasz typowy skarabeusz był wzorowany na kilku gatunkach z rodziny żukowatych – ciągnie Drood – ale przede wszystkim wzorowaliśmy się na zwykłym żuku gnojarzu.

Próbuję się wić, kopać, wymachiwać niezwiązanymi rękami, ale mogę ruszać tylko głową. Ogarniają mnie straszliwe mdłości i muszę rozluźnić się na zimnym kamieniu, skupić na tym, żeby nie zwymiotować. Gdybym teraz zwymiotował, nie mogąc otworzyć ust, z pewnością bym się udusił.

– Moi przodkowie myśleli, że wszystkie żuki to sssamce –

syczy Drood, unosząc dłoń, żeby z bliska przyjrzeć się obrzydliwemu owadowi. – Myśleli, że mała kulka, którą gnojarz nieussstannie toczy, to jego nasienie, jego sssperma. Mylili się…

Mrugam jak szalony, ponieważ jest to jedna z nielicznych rzeczy, jaką mogę zrobić. Może jeśli będę mrugał wystarczająco gwałtownie, ten sen zamieni się w inny albo obudzę się i znajdę z powrotem na znajomym łóżku w ciepłej wnęce na tyłach palarni króla Lazaree, niedaleko od węglowego piecyka, który tam trzymano.

– W rzeczywissstości, jak ukazała nam wasza brytyjska nauka, to sssamica, upuściwszy zapłodnione jaja na ziemię, pokrywa je eksssskrementami, którymi żywią się larwy, i toczy tę miękką kulę gnoju po ziemi. Kula gnoju ssstaje się coraz większa, w miarę jak zbiera ziemię i piasssek i, rozumie pan, panie Wilkie Collinsss, to dlatego prapradziadowie moich prapradziadów łączyli tego żuka z codziennym pojawianiem się i wędrówką sssłońca… i to raczej ze wssschodem wssspaniałego boga–sssłońca, bogiem sssłońca wssschodzącego, a nie zachodzącego, z Chepri.

Obudź się, Wilkie! Obudź się, Wilkie! Obudź się! – krzyczałem do siebie bezgłośnie.

– Nasze egipskie sssłowo określające zwykłego żuka gnojarza brzmiało *hprr* – ględzi Drood – co znaczy „wssschodzący” albo „ssstający się sssobą”. Brzmi bardzo podobnie do naszego słowa *hpr*, które oznacza „ssstawać się, zmieniać”. Widzi pan teraz, jak małe przekształcenie doprowadziło do *hpri*, bossskiego imienia Chepri oznaczającego wssschodzącego sssyna, naszego boga Ssstworzenia.

Zamknij się, na Boga, niech cię szlag trafi! – wrzeszczę w myślach na Drooda.

Zupełnie jakby mnie słyszał, milknie i się uśmiecha.

– Ten ssskarabeusz będzie oznaczał dla pana nieodwracalną zmianę, panie Wilkie Collinsss – mówi cicho.

Zakapturzone postaci wokół nas znowu zaczynają śpiewnie recytować.

Wysilam się i unoszę głowę, kiedy Drood wyciąga rękę nad moim gołym brzuchem.

– To nie jessst zwykły żuk gnojarz – szepcze. – To wasz europejski jelonek rogacz, ssstąd te wielkie… jak je nazywacie po angielsssku, panie Collinsss? Żuwaczki? Szczypce? To najwięksi i najokrutniejsi przedssstawiciele rodziny żuków. Ale ten hprr, ten święty ssskarabeusz, zossstał poświęcony dla swoich celów…

Upuszcza czarnego owada wielkości dłoni na mój prężący się, nagi brzuch. Niewidzialny tłum recytuje:

Un re–a an Ptah, uau netu, uau netu, aru re–a an neter nut–a.
I arefin Djewhty, meh aper em heka, uau netu, uau netu, en Suti sau re–a.
Khesef– Tu Tem uten–nef senef tai set.

Sześć nóżek z zadziorami skrobie po mojej napinającej się skórze i skarabeusz zaczyna wspinać się w górę, ku mojej piersi. Unoszę głowę, aż prawie kark mi pęka i oczy wychodzą na wierzch, kiedy patrzę, jak czarny przedmiot ze szczypcami dłuższymi niż moje palce wspina się ku mojej piersi i głowie.

Muszę krzyknąć – muszę krzyknąć! – ale nie mogę.

Chór głosów wznosi się w okadzonym mroku:

Un re–a, apu re–a an Shu em nut–ef tui ent baat en pet enki ap–nef re en neteru am–es.
Nuk Sekhet! Hems–a her kes amt urt aat ent pet.
Nuk Sakhu! Urt her–ab baiu Annu.

Ogromne szczypce jelonka przecinają mi ciało tuż poniżej mostka. Ból przekracza wszystko, czego kiedykolwiek doświadczyłem. Słychać, jak trzeszczą mi ścięgna w szyi, kiedy próbuję jeszcze bardziej unieść głowę, by coś zobaczyć.

Sześć odnóży skarabeusza uderza w moje ciało, zadziory zahaczają się i najpierw czarne szczypce, a potem cała głowa

żuka zagłębia się w miękkie ciało górnej części mojego brzucha. W pięć sekund olbrzymi żuk znika, zanurza się całkowicie, a ciało i skóra zamykają się bez śladu w miejscu, w którym wszedł, jak zamyka się toń wodna, którą przeszył czarny kamień.

Jezu! Boże! Nie! Chryste Panie! Boże! – wrzeszczę bezgłośnie w myślach.

– Nie, nie, nie – mówi Drood, odczytując moje myśli. – Albowiem kamień z muru wołać będzie, i sęk z drzewa wyda o tem świadectwo”[7]. Ale to ssskarabeusz, nie pańssski człowiek–bóg Chryssstusss, jest „jednorodzonym”, panie Wilkie Collinsss. Chociaż rzekomy bóg pańssskiego ludu wykrzyknął raz „alem ja skarabeusz, a nie człowiek”, zazdroszcząc prawdziwemu Chepri.

Czuję wielkiego żuka w sobie.

Chór postaci w czarnych szatach śpiewa:

Ar heka neb t’etet neb t’etu er–a sut, aha neteru er–sen paut neteru temtiu.

Drood odwraca puste dłonie wnętrzem do góry i recytuje śpiewnie:

– Przybądź, Ast! Prawda życia przychodzi do tego obcego, tak jak przyszła do naszych rodziców. Przyjmij tę duszę jak swoją własną, o Ty, Który Otwierasz Wieczność. Oczyść jego poprzednią duszę we wznoszącym się płomieniu, który jest Nebt–Het. Podtrzymaj przy życiu to narzędzie, tak jak odżywiałaś i podtrzymywałaś Heru w ukrytym miejscu pośród trzcin. O Ast, Ty, której oddech jest życiem, której głos jest śmiercią.

Czuję, jak to się we mnie rusza! Nie mogę krzyczeć. Moje usta się nie otworzą. Z oczu płyną mi krwawe łzy bólu.

Drood unosi metalową różdżkę z czymś na kształt misy na końcu.

– Niech usssta tego ssskryby zostaną otwarte przez Szu tym bossskim narzędziem z żelaza, którym po raz pierwszy dano głosss bogom – zawodzi Drood.

Moje usta się otwierają, rozciągają coraz szerzej i mocniej, aż zawiasy szczęki trzeszczą mi i jęczą, ale nadal nie mogę krzyczeć.

W moim brzuchu owadzie nogi skarabeusza skrobią o wnętrzności. Czuję, jak zadziory się zahaczają. Czuję chitynową twardość pancerza w wątpiach.

– Jesteśmy Sachmet! – krzyczy Drood. – Czuwamy nad niebem na zachodzie. Jesteśmy Sakhu! Czuwamy nad duszami Annu. Niech bogowie i ich dzieci usssłyszą nasz głosss w sssłowach tego ssskryby i zadadzą śmierć wszystkim tym, którzy by nasss uciszyli.

Drood wpycha mi do otwartych ust długą żelazną różdżkę z łyżkowatym zakończeniem. W miskowatej końcówce spoczywa coś okrągłego, miękkiego i pokrytego włosami. Drood przechyla różdżkę i owłosiona masa wpada mi do gardła.

– Kebehsenuf! – wrzeszczy Drood.

– Kebehsenuf! – rozlegają się krzyki niewidzialnego chóru.

Nie mogę oddychać. Gardło mam całkowicie zablokowane futrzastą kulą. Umieram.

Czuję, że żuk zatrzymuje się w dole brzucha. Ostre nogi drapią o jelita, rozdzierają zewnętrzne powłoki żołądka, wspinają się wyżej, pod żebra, ku sercu.

Zmuszam się do zwymiotowania owłosionej masy z gardła, ale nie mogę zrobić nawet tego. Oczy wychodzą mi na wierzch, aż jestem pewien, że wybuchną i wyskoczą mi z głowy. Myślę sobie: oto jak umiera słynny powieściopisarz Wilkie Collins. Nikt nigdy się nie dowie.

A potem opuszczają mnie wszelkie myśli, kiedy pole widzenia zacieśnia mi się do czarnego tunelu i ostatni oddech w moich płucach jest uwięziony i bezużyteczny.

Czuję odnóża skarabeusza na prawym płucu. Czuję szczypce ciągnące się po zewnętrznej powierzchni serca. Czuję, jak skarabeusz pełznie mi gardłem; szyja mi się wybrzusza, w miarę jak żuk przesuwa się coraz wyżej.

Skarabeusz łapie włochatą kulę w gardle i ciągnie ją w dół, w głąb, z powrotem do przełyku i górnej części brzucha.

Mogę oddychać! Kaszlę, łapię gwałtownie powietrze, szarpie mną odruch wymiotny, przypominam sobie, jak się oddycha.

Drood przesuwa zapaloną świecę nad moją piersią i twarzą, zakreślając nią kręgi w powietrzu. Gorący wosk kapie na moje nagie ciało, ale wywołany tym ból to nic w porównaniu z bólem spowodowanym przez poruszającego się we mnie skarabeusza. Znowu wspina się w górę.

– Wzlatuję jako ptak i płonę jako żuk – recytuje Drood, celowo rozlewając więcej gorącego wosku na moją pierś i szyję. – Wzlatuję jako ptak i płonę jako żuk na pustym tronie, który znajduje się na twojej barce, o Ra!

Ogromny insekt wypełnił mi gardło swoją niemożliwą, chitynową twardością i zagłębił się w miękkie podniebienie z taką łatwością, jakby wkopywał się w piasek. Czuję go teraz, jak wypełnia mi zatoki za nosem, za oczami. Pokryte zadziorami odnóża młócą od tyłu gałki oczne, kiedy skarabeusz przepycha się wyżej. Słyszę, jak olbrzymie szczypce drapią o kość, gdy zagłębia się w miękką substancję pod czaszką.

Ból jest potworny, nie do opisania, niewyobrażalny, ale mogę oddychać!

Nadal nie mogąc się skupić na niczym innym poza Droodem (posągi z głową szakala i wielkiego ptaka zamieniły się w rozmazane plamy), zdaję sobie sprawę, że patrzę przez warstwę krwi, którą wypłakałem.

Czuję, jak ogromny jelonek rogacz wgryza się w miękką powierzchnię mojego mózgu, coraz głębiej i głębiej. Jeśli będzie to robił przez kolejną sekundę, wiem, że oszaleję.

Skarabeusz zamiera w pobliżu centrum mózgu. Zaczyna się pożywiać.

– Może pan zamknąć oczy – mówi Drood.

Zaciskam powieki, czując, że krwawe łzy przerażenia płyną mi po poplamionych woskiem policzkach.

– Jest pan teraz naszym ssskrybą – oznajmia Drood. – Zawsze nim pan będzie. Na wezwanie będzie pan pracował. Na wezwanie będzie pan przychodził. Należy pan do nasss,

panie Wilkie Collinsss.

Słyszę szczypce i szczęki skarabeusza, słyszę, jak chroboczą i poruszają się, kiedy żuk je. Widzę oczami wyobraźni, jak toczy na wpół przetrawioną materię mózgową w szaro–krwawą kulę i pcha ją przed sobą.

Jednakże skarabeusz nie przesuwa się naprzód. Jeszcze nie. Zrobił sobie gniazdo w niższej części centrum podstawy mojego mózgu. Kiedy porusza sześciorgiem odnóży, czuję łaskotanie i znowu muszę zwalczać przemożny odruch wymiotny.

– Wszyscy niech chwalą pana prawdy – mówi Drood.

– Którego świątynia jest ukryta – śpiewa chór.

– Z którego oczu wyszła ludzkość – mówi Drood.

– I z którego ust powstali bogowie – recytuje śpiewnie chór.

– Posyłamy teraz skrybę, żeby wypełniał rozkazy ukochanego Dziecięcia i Ukrytego Światła! – woła Drood.

– Za nim świeci Ra, którego imion nawet bogowie nie znają – zawodzi chór.

Próbuję otworzyć oczy, ale nie mogę. Nic nie słyszę. Nic nie czuję.

Teraz jedynym dźwiękiem i wrażeniem w moim świecie jest stukanie i drapanie, kiedy skarabeusz się kręci, obraca, zagłębia odrobinę bardziej i znowu je.

Rozdział 26

Obudziłem się z mojego opiumowego koszmaru i odkryłem, że oślepłem.

Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. U króla Lazaree wszędzie było rozproszone światło, blask z głównego pomieszczenia zawsze sączył się przez czerwoną zasłonę, węglowy piecyk w pobliżu wejścia do mojej wnęki w palarni zawsze promieniował ciepłą, pomarańczową poświatą. Teraz otaczała mnie tylko całkowita ciemność. Uniosłem rękę do oczu, żeby upewnić się, że są otwarte, i opuszkami dotknąłem powierzchni gałek ocznych. Skrzywiłem się, ale nie dostrzegłem palców.

Krzyknąłem w ciemności i – inaczej niż we śnie – bardzo wyraźnie usłyszałem swoje wrzaski. Odbiły się echem od kamienia. Krzyczałem, wzywając pomocy. Przyzywałem króla Lazaree i jego pomocnika. Nikt nie odpowiedział.

Powoli dotarło do mnie, że nie leżę w swoim wyłożonym wysokimi poduszkami łóżku, jak to zawsze było u króla Lazaree. Leżałem na zimnej podłodze z kamienia i ubitej ziemi. I byłem nagi.

Jak we śnie. Albo w czasie prawdziwego porwania przez Drooda.

Trzęsłem się przeraźliwie. To zimno mnie obudziło. Mogłem się jednak ruszać i po minucie byłem już na czworakach i macałem wokół, oślepiony, próbując znaleźć brzeg jednego z drewnianych łóżek albo chociaż piec czy framugę drzwi.

Zamiast tego moje palce napotkały szorstki kamień i drewno. Przesunąłem dłońmi po kształcie, zastanawiając się, czy to ściana i narożnik jednego z piętrowych łóżek. Nie, to nie było to. Kamień i drewno były niezmiernie stare – nawet pachniały jak bardzo stare – a w niektórych miejscach kamień odpadł. Wyczuwałem zimne drewno wewnątrz. Wszystko pachniało wiekami i rozkładem.

Jestem w jednym z loculi, pomyślałem, jednej z

niezliczonych komór grobowych w wielopoziomowych katakumbach. To kamień albo zaprawa sarkofagów z drewnianymi trumnami w środku. A wewnątrz te drewniane trumny wyłożono ołowiem. Jestem na dole ze zmarłymi.

Przenieśli mnie.

Oczywiście, że mnie przenieśli. Zanieśli mnie przez kolistą absydę, przez krzyżowy parawan, do właściwego Podmiasta. Ponieśli mnie wzdłuż rzeki do świątyni Drooda. Mogę znajdować się całe mile od palarni króla Lazaree, na milę głęboko pod miastem. Bez latarni nigdy nie znajdę drogi na powierzchnię.

Krzyknąłem wtedy znowu i zacząłem młócić na oślep rękami wzdłuż linii ułożonych trumien i katafalków, wstając tylko po to, żeby znowu paść na czworaki i znowu młócić wyciągniętymi przed siebie rękami, szukając latarni, którą zawsze zabierałem na dół do króla Lazaree i za pomocą której zawsze znajdowałem drogę powrotną na wyższy poziom i do wyjścia.

Latarni nie było.

Wreszcie przestałem machać rękami i po prostu przykucnąłem w ciemności, bardziej jak spanikowane zwierzę niż człowiek.

Te katakumby ciągnęły się przez kilkanaście poziomów, zanim trafiało się na tunel prowadzący do ścieków albo podziemnej rzeki. Istniały setki grobowych loculi odchodzących od tych niezliczonych prostych i zakręcających korytarzy na tych rozlicznych kondygnacjach. Schody z wyższego poziomu komnat grobowych, korytarz tuż pod Cmentarzem Upiornych Świętych, gdzie prawdopodobnie czekał na mnie sierżant Hatchery (Jak długo to jestem?), znajdował się raptem dziesięć jardów od palarni króla Lazaree, korytarzem na lewo. Potem w górę schodami (uważając na głowę), przez zburzoną tylną ścianę loculusa, obok stosu trumien; zaraz potem był ostatni korytarz, dziesięć stopni w górę do grobowca i – prawdopodobnie, przypuszczalnie – na światło dzienne. Przechodziłem tę trasę setkę razy po nocach wypełnionych opium.

Sięgnąłem do kamizelki, jakbym chciał wyciągnąć zegarek z kieszeni i sprawdzić godzinę. Nie było zegarka ani kamizelki. Nie miałem żadnego ubrania.

Zdałem sobie sprawę, że jestem przemarznięty; zęby szczękały mi gwałtownie, a dźwięk ten odbijał się echem od niewidocznych kamiennych ścian. Tak bardzo się trząsłem, że łokciami i przedramionami bębniłem o nie całkiem pusty sarkofag, na który upadłem.

Straciłem wszelkie wyczucie kierunku, kiedy brnąłem na oślep; nawet gdybym był we wnęce, w której kiedyś mieściła się palarnia króla Lazaree, nie potrafiłbym już powiedzieć, jak z niej wyjść albo do niej zawrócić.

Nadal straszliwie się trzęsąc, z rękami wyciągniętymi przed siebie, ze sztywnymi, rozczapierzonymi palcami, zacząłem iść chwiejnie wzdłuż katafalków, sarkofagów i trumien.

Mimo wyciągniętych rąk zdołałem uderzyć w coś głową, co sprawiło, że wylądowałem z powrotem na siedzeniu. Poczułem, że krew mi płynie z rany na skroni, i natychmiast obmacałem sobie czoło, bez skutku trzymając ręce przed oczami, jakbym jakimś cudem mógł nagle zacząć widzieć. Nie zacząłem. Dotknąłem znowu rany. Była płytka i słabo krwawiła.

Ostrożnie wstałem i zacząłem wymachiwać rękami, aż znalazłem przeszkodę, która o mały włos mnie nie ogłuszyła.

Zimny metal, tak zardzewiały, że puste trójkąty w kracie niemal całkiem zarosły.

Metalowa krata! Każdy loculus w korytarzach katakumb był zamknięty starą, żelazną kratą. Jeśli znalazłem kratę, to znalazłem korytarz – jakiś korytarz – a korytarze ciągnęły się tu na dziesiątkach różnych poziomów, z czego większości nigdy nie widziałem ani nie badałem.

A jeśli krata jest zamknięta?

Nigdy nie dostanę się do korytarza. Ktoś znajdzie mój szkielet pośród sarkofagów i trumien za dwadzieścia, pięćdziesiąt albo sto lat i pomyśli tylko, że jestem jednym z tych, których człowiek z krypty w katedrze w Rochester,

Dradles, nazywał „staruszkami”.

Znowu spanikowałem, zacząłem łomotać dłońmi, przedramionami i kolanami w kratę, czując, jak zardzewiałe krawędzie rozdzierają skórę, ale wreszcie znalazłem pustkę. Wyjście! A przynajmniej szczelina powstała dzięki temu, że pionowy segment kraty przerdzewiał.

Miała najwyżej dziesięć cali szerokości i nieregularny kształt, ale przecisnąłem się przez nią; ostre brzegi podrapały mi żebra, plecy i skurczone genitalia.

Potem znalazłem się w korytarzu. Byłem tego pewien!

Chyba że przeszedłem przez kratę za trumnami, a to by znaczyło, że zabłądziłem jeszcze bardziej niż wcześniej, na jakimś nie wiadomo jak głębokim poziomie niekończącego się labiryntu.

Opadłem na czworaki i poczułem kamień pod dłońmi i kolanami. Nie, to był jeden z głównych korytarzy. Teraz musiałem tylko dojść nim do ukrytych w pobliżu schodów na wyższy poziom, a potem wreszcie do stopni prowadzących do grobowca, gdzie czekał na mnie Hatchery.

W którą stronę?! Jak mam znaleźć schody w całkowitej ciemności? Którędy?!

Popełzłem w lewo, znalazłem kratę, przez którą dopiero co się przecisnąłem, i ostrożnie wstałem, niepewny nawet tego, jak wysoko może znajdować się sklepienie korytarza. Kiedy w pamiętną noc dwa lata temu szedłem za Dickensem do rzeki, niektóre z korytarzy miały dziesięć stóp wysokości, a inne były ledwie tunelami, gdzie trzeba było przykucnąć, aby nie roztrzaskać sobie głowy. Z latarnią przejście nimi było takie proste…

Którędy???

Odwróciłem głowę, ale nie wyczułem żadnego ruchu powietrza. Gdybym miał świecę, może wtedy wyczułbym podmuch…

– Do diabła! – skląłem sam siebie. – Gdybym miał świecę, z łatwością znalazłbym wyjście nawet bez badania przeciągów!

Nagle zdałem sobie sprawę, że krzyknąłem na głos. Echo poniosło się w obie strony i umarło w oddali. Dobry Boże,

jeszcze trochę tego, a z pewnością oszaleję.

Postanowiłem, że pokieruję się starym instynktem i pójdę tak, jakbym wychodził z palarni króla Lazaree. Moje ciało pamiętało drogę powrotną, którą pokonałem tyle razy, nawet jeśli mój umysł – pozbawiony pomocy wzroku – upierał się, że nic z tego nie będzie.

Posługując się lewą ręką jako przewodnikiem, ruszyłem korytarzem. Doszedłem do następnej kraty, kolejnego przejścia, ale w żadnym z nich nie wisiała postrzępiona zasłona, która oddzielała palarnię Lazaree od korytarza. Przy każdym przejściu, którego nie zabezpieczała krata, przyklękałem i macałem w poszukiwaniu schodów albo innego korytarza, ale natrafiałem tylko na przewrócone kraty, kolejne trumny albo puste wnęki w ścianach.

Szedłem dalej, dysząc, drżąc, szczękając głośno zębami. Mój świadomy umysł mówił mi, że raczej nie zamarznę tu na śmierć… Czy jaskinie nie zachowują jakiejś względnie stałej temperatury, rzędu dziesięciu stopni? To nie miało znaczenia. Moje podrapane, poszarpane, drżące ciało zamarzało żywcem.

Czy ten korytarz zakręcał lekko w lewo? Droga do Lazaree zakręcała lekko w prawo, kiedy szło się od ukrytych schodów prowadzących z pierwszego poziomu katakumb. Gdybym był na tym poziomie i na prawo od schodów, ściany zakrzywiałyby się lekko w lewą stronę.

Nie miałem pojęcia. Nie sposób było orzec. Wiedziałem jednak z całkowitą pewnością, że przeszedłem co najmniej dwa razy dalej niż droga dzieląca zejście na drugi, niższy poziom podziemi od przesłoniętej kotarą niszy, gdzie znajdowała się palarnia.

Mimo to, szedłem naprzód. Dwa razy poczułem chłodne przeciągi z prawej. Dotyk zimniejszego powietrza na ciele powodował, że po skórze przebiegał mi dreszcz obrzydzenia, jakby coś martwego i pozbawionego oczu pieściło mnie długimi, białymi jak larwy bezkostnymi palcami.

Dygotałem i szedłem dalej.

Dwa korytarze odchodziły z lewej strony (teraz to będzie z

prawej), kiedy pierwszy raz znaleźliśmy z Dickensem palarnię króla Lazaree. Wielokrotnie później przechodziłem obok nich, nie zerkając w ich stronę i nie kierując tam światła latarni. Za jednym z nich znajdował się korytarz prowadzący obok jeszcze większej liczby loculi do kolistego pomieszczenia z ołtarzem i parawanem krzyżowym i ukrytymi schodami prowadzącymi na głębsze poziomy Podmiasta.

Gdzie czekał Drood.

Ale ja już mogę być na jednym z tych niższych poziomów.

Dwa razy musiałem przystanąć, żeby zwymiotować. Żołądek już miałem pusty – chyba przypominałem sobie, że zrobiło mi się niedobrze w pierwszym loculusie, w którym się obudziłem – ale nadal odruch wymiotny składał mnie wpół i zmuszał do oparcia się o zimny kamień, dopóki spazmy nie miną.

Minąłem kolejne niechronione kratą przejście – nic, tylko gruz w niszy – i przeszedłem chwiejnie jakieś kolejne dwadzieścia kroków, zanim wpadłem na litą ścianę.

Korytarz się kończył.

Zacząłem krzyczeć. I nie przestawałem. Echo rozlegało się tylko za moimi plecami.

Zamurowali korytarz, w którym mnie zostawiali. Zamknęli, żeby nikt nie znalazł nawet moich kości.

Zacząłem drapać ścianę, czując odpadającą starą zaprawę, kamienie, cegły, czując, jak zdzieram paznokcie i kaleczę do żywego opuszki palców.

To nie miało sensu. Za cegłami były następne cegły. A dalej jeszcze cięższe kamienie.

Osunąłem się na kolana, z trudem łapiąc powietrze i walcząc z odruchem wymiotnym, a potem zacząłem pełznąć z powrotem tam, skąd przyszedłem.

Ostatnie boczne przejście znajdowało się teraz po mojej prawej stronie. Była to zawalona gruzem nisza, ale tym razem wczołgałem się do niej, kalecząc już poranione kolana i dłonie o walające się kamienie.

To nie były tylko kamienie. W tym zimnym, luźnym gruzie

były osadzone stopnie.

Wspiąłem się po nich, nie zważając na przeszkody, jakie mogły czekać, by uderzyć mnie w twarz.

Zderzyłem się ze ścianą, omal nie spadłem do tyłu z niewidocznych schodów, ale złapałem się brzegu przejścia. Bo tu było przejście. Prawie widziałem wyszczerbioną zaprawę po obu stronach.

Przeturlałem się na drugą stronę, zadrapując sobie prawy policzek i skroń o szorstki kamień. Kolejny katafalk. Wstając, zdałem sobie sprawę, że na rzeźbionym kamieniu albo cementowym odlewie ustawiono więcej trumien. Znajdowałem się w kolejnym loculusie. Szczękając zębami, spojrzałem w lewo i odniosłem wrażenie, że wyczuwam wzrokiem pewne rozjaśnienie.

Wpadłem na kolejną metalową kratę, rozmazałem na niej niewidoczną krew z poranionych palców, kiedy wymachiwałem rękami, aż znalazłem przejście i wpadłem w pustkę, która musiała być kolejnym korytarzem.

Zdecydowanie dostrzegałem światło – słabiutką, szarą zjawę poświaty – po mojej prawej ręce, niecałe dwadzieścia jardów dalej.

Moje nagie stopy uderzały o kamienną albo ceglaną podłogę tego szerszego korytarza, kiedy pobiegłem w stronę światła.

Tak. Nagle zacząłem widzieć ręce i dłonie przed sobą. Moje palce były szkarłatne.

Dostrzegłem schody, ogromne kamienne stopnie wznoszące się i zakręcające tak, że znikały mi z oczu.

Znałem te schody.

Szlochając, wołając detektywa Hatchery’ego na pomoc, ślizgając się, upadając, wstając i znowu gramoląc się naprzód, wszedłem po schodach i przecisnąłem się przez znajomą szparę.

Światło w grobowcu, jak potem zdałem sobie sprawę, było tylko najbledszą poświatą zapowiadającą styczniowy świt – z pewnością nie dałoby się przy niej czytać – ale i tak oślepiło mnie swoją jasnością.

Zatoczyłem się ku kamiennemu katafalkowi, który zwieszał się nad sekretnym wejściem do Podmiasta (wejściem, z którego obiecałem sobie nigdy więcej nie skorzystać), i musiałem się o niego oprzeć, bo inaczej bym upadł.

– Hatchery! Na miłość boską, pomocy! Hatchery!

Mój własny głos tak mnie przeraził, że niewiele brakowało, żebym mimowolnie oddał mocz. Spojrzałem wtedy na swoje nagie ciało. Złapałem się na tym, że gapię się na brzuch tuż poniżej mostka.

Była tam czerwona rana albo zadrapanie.

W miejscu, w którym wszedł skarabeusz.

Pokręciłem głową, żeby pozbyć się z niej tego opiumowego koszmaru. Na całym ciele miałem zadrapania i rany. Stopy, kolana i palce były w o wiele gorszym stanie. Głowa koszmarnie mnie bolała.

To przez tego ogromnego żuka… który wgryza się coraz głębiej.

– Przestań! – wrzasnąłem.

Dlaczego nie było tu Hatchery'ego? Dlaczego porzucił mnie akurat wtedy, kiedy najbardziej go potrzebowałem?

Mogłeś spędzić tam na dole wiele dni, Wilkie Collins.

Usłyszałem, jak w obolałej czaszce echem rozlega się syk: „panie Wilkie Collinsss".

Roześmiałem się. To nie miało znaczenia. Próbowali mnie zabić – kimkolwiek byli (najpewniej król Lazaree i jego pogańscy, cudzoziemscy przyjaciele i opiumiści) – ale im się nie udało.

Byłem wolny. Wydostałem się. Żyłem.

Podniosłem wzrok i zdębiałem, widząc, że ktoś ozdobił wysokie wnętrze małego grobowca jakimiś błyszczącymi girlandami. Nie było tych błyszczących szarych pasów, kiedy weszliśmy tu z Hatcherym przed kilkoma godzinami (dniami? tygodniami?), tego byłem pewien. Od Bożego Narodzenia upłynęły ponad dwa tygodnie. Dlaczego w ogóle ktoś miałby dekorować pusty grobowiec?

To nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia – nawet moje obolałe, drżące ciało, straszliwa migrena, okropne

pragnienie i narastający głód. Liczyło się tylko to, żeby wydostać się stąd raz na zawsze.

Omijając zimną, czarną dziurę w podłodze stanowiącą wejście do Podmiasta, obszedłem katafalk – szybko, ponieważ pisarska wyobraźnia podsunęła mi wizję długiej, szarej ręki o długich, białych, bezkostnych palcach, która nagle wysuwa się z tej dziury niczym wąż i wciąga mnie krzyczącego w powrotem w ciemność – ale wtedy nagle zamarłem.

Nie miałem innego wyjścia.

Drogę zagradzało mi ciało leżące na podłodze grobowca.

To był detektyw sierżant Hibbert Hatchery – z białą twarzą wykrzywioną w ogromnym, bezgłośnym krzyku, i niewidzącymi, całkiem białymi oczami gapiącymi się na ozdobione girlandami płaskorzeźby i maleńkie gargulce w narożnikach sklepienia małego grobowca. Na kamiennej posadzce walały się rozsypane resztki jedzenia, mała piersiówka, melonik i egzemplarz powieści Thackeraya. Z rozciętego brzucha ciągnęły się połyskujące szare girlandy, które wcale nie były girlandami.

Niezdolny choćby krzyknąć, przeskoczyłem ponad ciałem, uskoczyłem pod naprężonymi szarymi sznurami i w porze przedświtu wybiegłem nagi z Kaplicy Upiornych Świętych.

Rozdział 27

Dwie godziny później znalazłem się z powrotem w palarni opium, choć innej. Czekałem.

Miałem szczęście, że żyłem – przebiegłem przecież, nagi i wrzeszczący, przez najgorsze slumsy Bluegate Fields i nawet nie wiedziałem, że biegnę. Tylko przedziwna pora (nawet najgorsze zbiry siedziały w domach i spały w porze zimnego, śnieżnego styczniowego świtu) i fakt, że nawet oprychy mogły się przerazić wrzeszczącego wariata z krwią na rękach, tłumaczyły, dlaczego pierwszą osobą, jaką napotkałem w czasie panicznej ucieczki, był konstabl patrolujący czynszówki.

Policjant sam się przeraził moim widokiem i zachowaniem. Wyciągnął zza paska małą, ciężką pałkę i jestem pewien, że gdybym paplał do niego bez ładu i składu jeszcze choćby przez minutę, byłby mnie ogłuszył i zaciągnął za włosy na najbliższy posterunek.

A tak zdumiał się tylko:

– Coś ty powiedział? Powiedziałeś „ciało Hatchery'ego?" Znaczy, Hibberta Hatchery'ego?

– Byłego sierżanta Hibberta Hatchery'ego, obecnie prywatnego detektywa Hibberta Hatchery'ego, tak, panie posterunkowy. Wywlekli mu wnętrzności i udrapowali je w grobowcu, o Chryste! O Boże! A on pracował dla mnie, prywatnie, nie dla inspektora Fielda, dla którego oficjalnie pracował prywatnie.

Policjant mną potrząsnął.

– Co to za gadanie o inspektorze Fieldzie? Znasz pana inspektora?

– O, tak. O, tak – odpowiedziałem i się zaśmiałem. I zapłakałem.

– Coś ty za jeden? – zapytał ostro policjant o sumiastym wąsie.

Śnieg pobielił mu ciemny hełm.

– Jestem William Wilkie Collins – odpowiedziałem,

dzwoniąc zębami. – Wilkie Collins dla milionów czytelników. Wilkie dla przyjaciół i niemal wszystkich innych. – Znowu zarechotałem.

– Pierwsze słyszę – odparł konstabl.

– Jestem przyjacielem i współpracownikiem pana Charlesa Dickensa – dorzuciłem.

Żuchwa tak mi dygotała, że ledwie udało mi się wypowiedzieć słowo „współpracownik”.

Stałem nagi, chłostany wiatrem i śniegiem. Policjant uderzył ciężką pałką w dłoń i przyjrzał mi się spod zmarszczonych brwi i hełmu.

– W porządku, chodźmy więc – powiedział, łapiąc mnie pod bladą, podrapaną rękę i prowadząc głębiej między czynszówki.

– Płaszcz – powiedziałem przez szczękające zęby. – Koc. Cokolwiek.

– Niedługo – odpowiedział policjant. – Już niedługo. Pośpiesz się teraz. Szybciej.

Wyobraziłem sobie, że w komisariacie, na który mnie prowadzi, dominuje ogromny piec, który jest nagrzany do czerwoności. Ramię mi drżało pod uściskiem policjanta. Znowu szlochałem.

Tyle że on wcale nie prowadził mnie na posterunek. Na wpół rozpoznałem przegniłe schody i pociemniały korytarz, którym mnie poprowadził i pchał. Kiedy znaleźliśmy się w środku, rozpoznałem pomarszczoną kobietę, która krążyła wokół mnie z nosem jak dziób sterczący z gnijącego, czarnego kaptura szala.

– Sal? – odezwał się policjant. – Umieść tego… dżentelmena… w ciepłym miejscu i daj mu jakieś ubranie. Im mniej zawszone, tym lepiej, chociaż nie ma to większego znaczenia. Dopilnuj, żeby nie wyszedł. Posłuż się swoim Malajem, żeby na pewno nie wyszedł.

Opiumowa Sal skinęła głową i zatańczyła wokół mnie, szturchając moje nagie boki i obolały brzuch palcem z długim paznokciem.

– Tego tu już raz widziałam, konstablu Joe. Bywał tu jako

klient i popalał fajkę o tu, na tym łóżku, a pewnie. Którejś nocy zabrał go inspektor Field. Przed tym pierwszy raz widziałam go ze starym Hibem Hatcherym i jakimś dżentelmenem, co mi o nim powiedzieli, że to strasznie ważny jegomość. Wtedy ten był taki napuszony, krzywił się, patrzył z góry, zadzierał pulchny mały nos i patrzył przez binokle, których teraz nie ma.

– A kim był ten ważny jegomość? – spytał policjant.

– Dickens, ten od Pickwicka, oto kto! – krzyknęła triumfalnie Sal, jakby wykorzystała wszystkie zasoby umysłowe, by wydobyć nazwisko z otchłani opiumowego pomieszania.

– Pilnuj go – warknął policjant. – Daj mu jakieś ubrania, nawet jeśli będziesz musiała posłać po nie jakiegoś idiotę. Niech Malaj stanie na straży, żeby nigdzie się stąd nie ruszył. Usadzę go przy tym rachitycznym piecyku, w którym palisz jedną bryłką węgla, żeby nam nie umarł, zanim wrócę. Słyszysz mnie, Sal?

Starucha burknęła i zarechotała.

– Nigdy nie widziałam takiego skurczonego małego Jasia, a ty Joe?

– Rób, co ci mówię – odpowiedział policjant i wyszedł.

Powiew zimnego powietrza owionął nas niczym oddech śmierci.

***

– Pasują, kochaniutki? – spytała Opiumowa Sal, kiedy usiadłem w pustym pokoju na tyłach jej opiumowego salonu.

Ogromny Malaj z rytualnym bliznami na policzkach siadł na straży tuż za drzwiami. Okno było zamknięte i zabite gwoździami. Smród Tamizy wpadał przez nie razem z zimnym przeciągiem nawet w ten styczniowy dzień.

– Nie – odpowiedziałem.

Koszula była za mała, za brudna i śmierdząca. Ciężkie robocze spodnie i marynarka śmierdziały równie mocno, ale wywoływały znacznie gorsze swędzenie. Byłem pewien, że

wyczuwam coś małego, co porusza się w tych rzeczach. Brakowało bielizny i skarpet. Stare, znoszone buty, które mi przyniosła, były półtora raza dłuższe niż moje stopy.

– Cóż, ciesz się z tego, co dostałeś. – Stara wariatka zarechotała. – Nie miałbyś ich, gdyby nie to, że Stary Yahee zszedł nagle dwie noce temu i nikt nie przyszedł po jego rzeczy.

Siedziałem tam w zimnym świetle sobotniego poranka, które sączyło się przez okiennice razem ze smrodem i…

Chwileczkę. Czy to rzeczywiście był sobotni poranek, następny dzień po tym, jak zszedłem do świata króla Lazaree – czy wiele dni później? Ja z pewnością miałem wrażenie, że upłynęły całe dni albo tygodnie. Pomyślałem, żeby zapytać o to Opiumową Sal, ale zdałem sobie sprawę, że istnieją spore szanse, że stara wiedźma nie będzie wiedziała. Mógłbym zapytać pobliźnionego Malaja za drzwiami, ale nie robił wrażenia, jakby rozumiał po angielsku albo potrafił mówić.

Zaśmiałem się cicho, a potem stłumiłem płacz. Nieważne, jaki był dzień.

Głowa tak bardzo mnie bolała, że bałem się, że mogę zemdleć z bólu. Czułem siedlisko bólu głęboko, daleko za oczami; był całkiem inny niż wywoływane przez podagrę migreny, które kiedyś uważałem za tak silne.

Skarabeusz pod postacią jelonka rogacza kopie sobie szerszą dziurę. Toczy przed sobą błyszczącą, szarą kulę, schodząc tunelem w stronę…

Usiadłem na brzegu brudnego łóżka i spuściłem głowę na podciągnięte do piersi kolana, usiłując powstrzymać mdłości. Wiedziałem, że nie mam czym zwymiotować; odruch wymiotny szarpiący mi wnętrznościami zamienił je we wstążki gęsto upakowanego bólu.

Szare, błyszczące girlandy wnoszące się ku sufitowi.

Otrząsnąłem się z tego obrazu, ale ten ruch sprawił, że ból głowy się zaostrzył i znowu przywołał mdłości. Powietrze cuchnęło dymem opiumowym – tanim, zgniłym, rozcieńczonym i zanieczyszczonym. Nie mogłem uwierzyć, że całymi tygodniami przychodziłem tu po okropny towar

Opiumowej Sal, spałem snem narkomana na tych samych brudnych łóżkach, na których roi się od wszy i robactwa. Co ja sobie myślałem?

Co ja sobie myślałem ostatniej nocy (czy ile nocy temu to było), kiedy schodziłem do podziemi grobowca, żeby dołączyć do chińskich mumii w innej palarni opium?

To inspektor Field z Hatcherym zabrali mnie stąd wiele miesięcy temu. To inspektor Field zasugerował, żebym poszedł do palarni króla Lazaree, korzystając z ochrony Hatchery'ego. Czy to od początku był spisek? Czy to możliwe, że Field zamordował Hatchery'ego, na przykład ze złości, że potężny detektyw pracuje dla mnie?

Znowu pokręciłem obolałą głową. To nie miało najmniejszego sensu.

Głęboko wewnątrz mojej czaszki poruszało się coś o sześciu ostrych nogach, uzbrojone w szczypce jak u jelonka rogacza. Nic na to nie mogłem poradzić – krzyknąłem w równym stopniu z przerażenia, jak i z bólu.

Inspektor Charles Frederick Field i detektyw Reginald Barris wpadli do palarni.

– Hatchery nie żyje – wykrztusiłem, znowu podzwaniając zębami.

– Wiem – warknął Field. Złapał mnie za ramię tym samym znaczącym chwytem, co tamten policjant, który znalazł mnie nad ranem. – Proszę z nami. Wracamy tam.

– Nic nie zmusi mnie do powrotu!

Myliłem się. Potężna dłoń inspektora znalazła nerw w mojej ręce, o którego istnieniu nawet nie wiedziałem. Krzyknąłem z bólu, wstałem i podreptałem chwiejnym krokiem między Barrisem i Fieldem, szurając za dużymi butami. Na wpół popychany, na wpół podtrzymywany zszedłem po schodach do grupy mężczyzn czekających na ulicy.

Razem z Fieldem i Barrisem zebrało się tam siedmiu cichych, twardych mężczyzn. Mimo że żaden z nich nie nosił policyjnego munduru, wiedziałem, że wszyscy przez większość życia byli policjantami. Trzech miało strzelby.

Jeden trzymał przy boku ogromny kawaleryjski pistolet, wcale się z tym nie kryjąc. Nie interesowałem się nigdy wojskowością ani wojskowymi, więc byłem zaszokowany widokiem takiego uzbrojenia na londyńskiej ulicy.

Tyle że oczywiście nie był to prawdziwy Londyn, tylko Bluegate Fields. Kiedy opuściliśmy New Court i szliśmy litanią obskurnych uliczek, które w ciągu ostatnich dwóch lat widziałem o każdej porze roku – George Street, Rosemary Lane, Cable Street, Knock Fergus, Black Lane, New Road, a także Royal Mint Street – zauważyłem owinięte w szmaty tobołki nędzy na podwórzach i progach czynszówek, zarówno mężczyzn, jak i kobiety, kryjących się w cieniach albo znikających w ciemnych wejściach, gdy ich mijaliśmy. Oni także rozpoznawali siedmiu śmiertelnie poważnych mężczyzn z bronią jako policjantów, kiedy ponura gromada mijała ich okropne nory.

– Co się stało? – zapytał ostro inspektor Field.

Nadal trzymał w żelaznym uścisku moją dygocącą rękę. Wziąłem ze sobą koc, żeby owinąć nim jak szalem brudną robotniczą marynarkę, ale wełna była tania i zimny wiar natychmiast przez nią się przedarł. Znowu padał śnieg.

– Co się stało? – zapytał raz jeszcze Field, potrząsając mną lekko. – Proszę wszystko mi powiedzieć.

W tej samej sekundzie podjąłem najbardziej brzemienną w skutkach decyzję w moim życiu.

– Niczego nie pamiętam – powiedziałem.

– Kłamiesz – warknął inspektor i znowu mną potrząsnął.

Wszelkie pozory wywodzącego się z klasy robotniczej detektywa, który okazuje szacunek mojemu statusowi dżentelmena, zniknęły. Równie dobrze mógłbym być jednym z kryminalistów ze Smithfield albo Limehouse, których na przestrzeni dziesięcioleci chwytał w ten swój żelazny uścisk.

– W ogóle niczego nie pamiętam – ponownie skłamałem. – Nic, odkąd w nocy w palarni króla Lazaree zapaliłem fajkę, jak zwykle, około północy. Potem, kilka godzin temu, obudziłem się w ciemności i jakoś znalazłem wyjście. I odkryłem… biednego Hatchery’ego.

– Kłamiesz – oznajmił znowu inspektor.

– Czymś mnie potraktowali – powiedziałem bezbarwnym tonem, kiedy weszliśmy w ostatnie zaułki dzielące nas od cmentarza. – Lazaree albo ktoś inny wrzucił mi jakiś narkotyk do fajki z opium.

Detektyw Barris parsknął na to śmiechem, ale Field uciszył go spojrzeniem.

Kolejny mężczyzna w palcie i ze strzelbą stał na straży przy wejściu na Cmentarz Upiornych Świętych. Dotknął czapki, gdy się zbliżyliśmy. Cofnąłem się, kiedy przechodziliśmy przez bramę, ale inspektor Field pchnął mnie do przodu, jakbym był dzieckiem.

Śnieg przykrył nagrobki i posągi, obrysował płaskie dachy i gzymsy grobowców. Martwe drzewo wznoszące się posępnie nad ostatnim grobowcem rysowało się na tle pochmurnego nieba niczym plama czarnego atramentu obwiedziona białą kredą.

Kolejni trzej mężczyźni czekali wewnątrz grobowca, a ich oddechy unosiły się nad nimi niczym uwięzione na mrozie dusze. Odwróciłem wzrok, ale dopiero kiedy zobaczyłem, że przyrzucili wypatroszone ciało Hatchery’ego brezentem. Szare, połyskujące girlandy zniknęły, ale zauważyłem drugi, mniejszy kawałek brezentu w kącie, przykrywający coś innego niż zwłoki Hatchery’ego. Mimo chłodu, w małym wnętrzu cuchnęło jak w ubojni.

Większość mężczyzn, którzy nam towarzyszyli w wędrówce ulicami, tylko zajrzała do grobowca i teraz czekała na zewnątrz. Pomieszczenie było małe i sprawiało wrażenie absurdalnie zatłoczonego, kiedy w środku znalazło się sześć osób, ponieważ wszyscy starali się nie stawać zbyt blisko przykrytego ciała Hatchery’ego.

Zdałem sobie nagle sprawę, że jeden z trzech mężczyzn czekających w krypcie nie jest policjantem ani detektywem, lecz olbrzymim Malajem o czarnych włosach, długich i brudnych, zwieszających mu się wzdłuż szyi, z rękami za plecami i nadgarstkami brutalnie zakutymi w żelazne okowy. Przez pełną pomieszania sekundę wziąłem go za Malaja,

którego dopiero co zostawiliśmy u Opiumowej Sal, ale teraz widziałem, że ten jest starszy i ma policzki bez blizn. Patrzył na mnie bez ciekawości czy furii, oczami zmatowiałymi w sposób, który widziałem u skazańców na chwilę przed powieszeniem. Albo chwilę po.

Inspektor Field pociągnął mnie w stronę wąskiego wejścia w podłodze, ale ja stanowczo się zaparłem.

– Nie mogę tam zejść – wykrztusiłem z trudem. – Nie zejdę tam.

– Przeciwnie – odparł Field i pchnął mnie do przodu.

Jeden z detektywów pilnujących wysokiego Malaja wręczył inspektorowi latarnię; drugą podano Barrisowi. Z młodym detektywem na przodzie i inspektorem mocno trzymającym mnie za ręce i popychającym przed sobą zeszliśmy we trzech wąskimi schodami. Jeszcze tylko jeden mężczyzna, uzbrojony w strzelbę detektyw, którego nie znałem, zszedł z nami na dół.

***

Przyznaję, Drogi Czytelniku, że po dziś dzień umyka mi wiele szczegółów z następnych mniej więcej dwóch kwadransów. Moje przerażenie, zmęczenie i ból osiągnęły takie natężenie, że poziom mojej świadomości był bliski temu, jakiego doświadczamy na progu snu – w jednej chwili człowiek jest świadomy otoczenia, w drugiej zanurza się w sny i nagle powraca gwałtownie do rzeczywistości z powodu jakiegoś dźwięku, doznania albo innego bodźca.

Bodziec, który najlepiej pamiętam, to uporczywy, bezustanny żelazny uścisk Fielda na mojej ręce; inspektor ciągnął mnie i popychał to w tę, to w tamtą stronę w oświetlonej przez latarnię ciemnej jamie.

W świetle latarni krótkie zejście i droga do palarni króla Lazaree były znajome jak powtarzający się sen i w niczym nie przypominały koszmaru mojej panicznej ucieczki w ciemnościach.

– Czy to jest palarnia opium? – spytał Field.

– Tak – odpowiedziałem. – To znaczy, nie. Tak. Nie wiem.

Zamiast czerwonej zasłony stała zardzewiała krata jak przy wszystkich innych loculi. Światło latarni ukazało stosy trumien zamiast rzędów trzypiętrowych łóżek i katafalku z wiecznie obecnym posągiem Buddy – królem Lazaree.

– Ta krata nie jest osadzona w ścianie jak inne – mruknął Barris.

Złapał zardzewiałe żelazo i wepchnął je do środka. Uderzyło o kamienną podłogę i zadzwoniło niczym dzwon zwiastujący zgubę. Weszliśmy do wąskiej przestrzeni.

– Nie ma tu kurzu ze sklepienia – powiedział Barris, kierując światło latarni w różne strony. – Wymieciono wszystko do czysta.

Czwarty mężczyzna z naszej grupy został ze strzelbą w korytarzu.

– Tak, to jest palarnia króla Lazaree – powiedziałem, kiedy latarnia oświetliła więcej ze znajomego korytarza i niszy.

Nic się z niej nie zachowało, nie było nawet śladów na kamieniu, gdzie stały ciężkie łóżka i mały, żelazny piecyk. Na katafalku pośrodku, gdzie siadywał król Lazaree w barwnych szatach, stał teraz tylko starodawny, pusty kamienny sarkofag. Moja prywatna nisza na tyłach była jedną z wielu wnęk wypełnionych stosami trumien.

– Ale to nie tutaj obudził się pan w ciemnościach – orzekł Field.

– Nie. Raczej gdzieś w głębi korytarza, jak mi się wydaje.

– Zajrzymy tam – powiedział inspektor i machnął na Barrisa, puszczając go przodem.

Mężczyzna ze strzelbą podniósł swoją latarnię i ruszył za nami.

Pomyślałem o Dickensie. Gdzie się teraz znajdował? Na którym etapie swojego amerykańskiego objazdu? Ostatni list, który od niego otrzymałem, został wysłany z Nowego Jorku tuż przed Nowym Rokiem i donosił, że Dickens choruje na coś, co nazywał „spowolnieniem pracy serca” i jest tak nieszczęśliwy z powodu miejsca, w którym się znalazł, że codziennie wyleguje się w łóżku do trzeciej po południu i z

ogromną trudnością wstaje na nieuniknione wieczorne występy.

Czy Dickens ma w sobie skarabeusza? Czy żuk przepełzł mu z mózgu do serca i zatopił w nim wielkie szczypce, kiedy Dickens zrobił co w jego mocy, by uwolnić się od Drooda?

Z pierwotnego planu tournée i ze styczniowych telegramów do Willsa adresowanych do redakcji pisma wiedziałem, że Dickens ma wystąpić w Nowym Jorku, Bostonie, Filadelfii, Baltimore i Brooklynie i że do wszystkich sal wykupiono bilety w liczbie od sześciu do ośmiu tysięcy, ale gdzie znajdował się w tej chwili? W którym punkcie tej listy miast o obco brzmiących nazwach?

Znałem go na tyle, żeby wiedzieć, że na pewno zdążył już otrząsnąć się z choroby i moralnego osłabienia, i teraz hasa w najlepsze w przerwach między spotkaniami z czytelnikami, zabawia dzieci i gapiów w pociągach między miastami, wkłada każdą uncję energii i każdą cząstkę swojej istoty w owe popołudniowe i wieczorne występy – ale wiedziałem też, że jednocześnie nieszczęśliwy odlicza dni, do tego, w którym statek zabierze go w kwietniu do Anglii i do domu.

Czy tego dożyje? Czy skarabeusz pozwoli mu żyć tak długo, jeśli wykryje jego zdradę?

– Czy to w tym miejscu się pan obudził? – zapytał ostro inspektor Field.

Musiał mną potrząsnąć, żeby wyrwać mnie z zadumy. Spojrzałem na loculus, który wyglądał identycznie jak wszystkie inne, tyle że w tej wąskiej niszy w grubej warstwie kurzu malowały się odciski stóp – drobnych, nagich, bezbronnych stóp. Widać było także krew na nierównej kracie, przez szparę w której przecisnąłem się na oślep. Dotknąłem ubrania na świeżych ranach na żebrach i biodrach.

– Tak – przytaknąłem smętnie. – Tak myślę.

– To cud, że wydostał się pan stąd po ciemku – powiedział Barris.

Nie miałem nic do powiedzenia w odpowiedzi. Drżałem jak w febrze i niczego bardziej nie pragnąłem, jak opuścić tę

jamę. Niestety, Field jeszcze ze mną nie skończył.

Wróciliśmy z powrotem do wejścia; światło z trzech latarni tańczyło na ścianach i wejściach do loculi w taki sposób, że czułem się bliski omdlenia.

Zupełnie jakby rzeczywistość i fikcja, życie i śmierć, światło i jego całkowity brak wirowały w szaleńczym danse macabre.

– Czy ten korytarz prowadzi do parawanu krzyżowego i na niższe poziomy? – spytał inspektor.

– Tak – odpowiedziałem, nie mając w tej chwili pojęcia, o czym mówił.

Poszliśmy wąskim korytarzem, mijając czarne loculi, do okrągłego pomieszczenia pod dawną absydą Katedry Upiornych Świętych. To tam Dickens znalazł wąskie schody prowadzące w dół, do prawdziwego Podmiasta.

– Nie zejdę tam – zapowiedziałem, wyrywając się z rąk inspektora. Prawie się przewróciłem, gdy zabrakło mi jego oparcia. – Nie mogę tam zejść.

– Nie musi pan – odparł Field i słowa te niemal sprawiły, że zapłakałem. – Dzisiaj – dodał. Do mężczyzny ze strzelbą powiedział: – Przyprowadź Malaja.

Stałem otępiały, poza czasem, czując ruch głęboko w głowie, gdzie poruszył się skarabeusz. Starałem się nie dopuścić do tego, by znowu naszły mnie mdłości, ale powietrze na dole cuchnęło ściekami, rozkładem i grobem. Kiedy człowiek ze strzelbą wrócił, szedł z nim inny detektyw – mężczyzna w jasnobrązowym palcie, uzbrojony w karabin – a między nimi kroczył zakuty Malaj. Azjata zagapił się na mnie, wchodząc do podziemnej absydy; jego wąskie czarne oczy po obu stronach płaskiego nosa były niemal tak samo otępiałe z bólu i rozpaczy jak moje, ale bardziej oskarżycielskie. Ani razu nie spojrzał na Fielda albo Barrisa, patrzył tylko na mnie, jakbym był jego prześladowcą.

Inspektor skinął głową i dwaj mężczyźni z bronią poprowadzili więźnia przez zniszczony parawan krzyżowy i wąskim przejściem w dół. Field i Barris odeskortowali mnie z powrotem korytarzem i wyprowadzili na górę, do światła.

– Nie rozumiem – zdołałem wykrztusić, kiedy wyszliśmy z grobowca na mroźne, styczniowe powietrze. Przestał padać śnieg, ale powietrze było gęste od zimowej mgły. – Zawiadomiliście policję? Dlaczego są tu sami prywatni detektywi? Z pewnością musieliście powiadomić policję. Gdzie jest policja?

Inspektor Field wyprowadził mnie na ulicę, gdzie czekał czarny zamknięty powóz. Przypominał karawan. Oddechy koni mieszały się z mgłą.

– Policja wkrótce zostanie powiadomiona – powiedział. Mówił cicho, ale wyczuwałem w jego głosie wściekłość i determinację równie silne, jak uścisk na mojej ręce. – Ci ludzie znali Hibberta Hatchery'ego. Wielu z nim pracowało. Niektórzy go kochali.

Barris i inspektor wepchnęli mnie do powozu. Barris obszedł powóz i wsiadł z drugiej strony. Field – który wciąż trzymał mnie za rękę – stanął w otwartych drzwiach.

– Drood spodziewa się, że zajrzymy dziś do Podmiasta. Kilkunastu z nas, może dwudziestu. Chce tego. Ale do jutra zbierze się tu setka ludzi, którzy znali Hatchery'ego albo nienawidzą Drooda. Jutro tam zejdziemy. Znajdziemy Drooda i wykurzymy go z jego nory.

Zatrzasnął drzwi.

– Proszę być jutro w gotowości, panie Collins. Będzie nam pan potrzebny.

– Nie mogę… – zacząłem, ale wtedy zobaczyłem dwóch mężczyzn z bronią wychodzących z grobowca.

Malaja już z nimi nie było. Spojrzałem z przerażeniem na prawy rękaw wyższego detektywa. Drogie, jasnobrązowe palto było szkarłatne od mankietu w górę, jakby krew wspięła się po wełnie aż do łokcia.

– Ten Malaj… – wykrztusiłem. – To musiał być ten, którego zatrzymała policja. Ten, którego biuro śledcze przekazało wam do przesłuchania.

Inspektor nie odpowiedział.

– Gdzie on jest? – szepnąłem.

– Posłaliśmy go na dół jako wiadomość – odpowiedział

Field.

– Chciał pan powiedzieć z wiadomością.

– Posłaliśmy Malaja na dół jako wiadomość – powtórzył beznamiętnie.

Zapukał w bok powozu i ruszyliśmy z Barrisem wąskimi uliczkami Bluegate Fields.

***

Barris bez słowa podwiózł mnie pod dom przy Gloucester Place 90. Zanim wszedłem do środka, stałem przez chwilę, drżąc we mgle, i patrzyłem, jak ciemny powóz znika za rogiem. Przejechał kolejny ciemny powóz z zapaloną z boku lampą. On także skręcił w prawo. Nie słyszałem, czy oba się zaraz zatrzymały (mgła i śnieg tłumiły stukot kopyt i skrzypienie osi), ale zgaduję, że tak. Barris pewnie wyznaczał czujki, wydawał instrukcje. Ludzie inspektora Fielda będą obserwowali front i tyły mojego domu, byłem o tym przekonany, chociaż nie będzie ich aż tak wielu, jak dziewiątego czerwca.

Gdzieś tam we mgle kryli się moi nowi Gooseberry'owie. Żeby ich jednak przechytrzyć, wystarczyłoby, żebym poszedł do własnej piwniczki na węgiel, wybił kilka cegieł i przez wąską dziurę wyczołgał się na górne poziomy Podmiasta. Będę wtedy mógł swobodnie poruszać się po mieście… a przynajmniej pod nim.

Zachichotałem, ale zamilkłem, gdy histeryczny chichot zamienił się w mdłości. Skarabeusz w mojej czaszce poruszył się.

***

Kiedy wszedłem do przedpokoju własnego domu, prawie krzyknąłem ze zgrozy.

Jelita detektywa Hatchery'ego rozciągały się od gzymsu do żyrandola, od żyrandola do klatki schodowej, od klatki schodowej do kinkietów.

Nie krzyknąłem. I po chwili, trzęsąc się jak dziecko, zdałem

sobie sprawę, że „jelita” to po prostu girlandy, szare i srebrne wstążki z jedwabiu, pozostałości po jakimś niedorzecznym przyjęciu, które wieki temu urządziliśmy w tym starym domu.

W środku pachniało gotowaniem – mięso duszone z jarzynami, wołowina dochodząca na wolnym ogniu, jakiegoś rodzaju gęsta zupa rybna, którą dopiero zaczęto przygotowywać… Znowu zebrało mi się na wymioty.

Caroline wyszła z jadalni.

– Wilkie! Gdzieś ty się, na Boga, podziewał? Myślisz, że możesz co noc tak znikać i nie… Dobry Boże, skąd ty żeś wytrzasnął te potworne łachmany? Gdzie jest twoje prawdziwe ubranie? Co to za zapach?

Zignorowałem ją i ryknąłem na naszą pokojówkę. Kiedy zjawiła się z twarzą zaczerwienioną od kuchennej pary, rzuciłem opryskliwie:

– Przygotuj mi gorącą kąpiel. Natychmiast. Bardzo gorącą. Pośpiesz się.

– Wilkie – naburmuszyła się Caroline – czy zamierzasz odpowiedzieć na moje pytanie i wytłumaczyć się?

– To ty mi się wytłumacz – warknąłem, machając ręką na wiszące wszędzie wstążki. – Co to za śmieci? Co tu się dzieje?

Caroline zaniemówiła na chwilę, jak spoliczkowana.

– Jak to, co się dzieje? Za kilka godzin odbędzie się twoje niezwykle ważne przyjęcie przed teatrem. Wszyscy przychodzą. Oczywiście musimy zjeść wcześniej, jak zaznaczyłeś, ponieważ musimy wyjść do teatru przed… – Urwała i zniżyła głos, żeby służący jej nie usłyszeli. Zasyczała jak para z imbryczka: – Jesteś pijany, Wilkie? Laudanum zaćmiło ci rozum?

– Zamknij się.

Tym razem szarpnęła głową do tyłu i kolory wypłynęły jej na policzki, jakbym rzeczywiście ją spoliczkował.

– Odwołaj kolację – poleciłem. – Wyślij chłopca… wyślij posłańców… powiedz wszystkim, że przyjęcie jest odwołane.

Zaśmiała się niemal histerycznie.

– To jest zupełnie niemożliwe, zresztą sam wiesz. Kucharka już zaczęła przygotowywać kolację. Ludzie pozamawiali powozy. Stół jest nakryty, przy każdym nakryciu leży gratisowy bilet. To absolutnie niemożliwe…

– Odwołaj wszystko – powiedziałem i przeszedłem obok niej na górę, żeby wypić pięć kieliszków laudanum, dać Agnes obrzydłe ubrania do spalenia i się wykąpać.

***

Powinienem zasnąć w parującej wodzie, gdyby nie to pełzanie w czaszce.

Napór skarabeusza był tak silny, że trzy razy wyskoczyłem z wanny, żeby stanąć przed lustrem. Ustawiając świece tak, by dawały jak najwięcej światła, otwierałem usta szerzej niż myślałem, że to możliwe (mięśnie szczęki protestowały głośnym jękiem) i za trzecim razem nabrałem pewności, że dostrzegam odblask światła na czarnym pancerzu, kiedy ogromny insekt uciekł przed moim wzrokiem, kryjąc się przed światłem.

Odwróciłem się i zwymiotowałem do miednicy, ale w moim żołądku nie zostało już nic, co można by wyrzucić. Żuk zdążył przez ten czas wrócić w głąb czaszki. Ja zaś wróciłem do kąpieli, ale za każdym razem, kiedy byłem bliski zaśnięcia, wracały wspomnienia z wnętrza grobowca, połyskliwej szarości, smrodu jatki i znowu czułem zapach kadzideł, słyszałem recytację i widziałem wielkiego czarnego żuka wkopującego mi się do brzucha, jakby moje ciało było piaskiem…

Ktoś zapukał do drzwi.

– Odejdź!

– Telegram do ciebie – powiedziała przez drzwi Caroline. – Chłopiec powiedział, że to pilne.

Klnąc jak szewc, wyszedłem mokry z kąpieli – która zresztą zaczynała już stygnąć – włożyłem szlafrok i otworzyłem drzwi tylko na tyle, żeby porwać cieniutki papier z białych palców pani G.

Spodziewałem się, że to telegram od Fechtera albo kogoś innego z teatru – mieli tam rozrzutny zwyczaj wysyłania telegramów, jakby zwykły list przez posłańca nie wystarczał. A może od Dickensa. W nagłym objawieniu wyobraziłem sobie, jak Dickens zwierza mi się z własnego skarabeusza i potwierdza, że w jakiś sposób dowiedział się o moim.

Cztery razy musiałem przeczytać cztery słowa i podpis, zanim ich sens dotarł do mojego wycieńczonego i zamieszkanego mózgu.

MATKA UMIERA. PRZYJEŻDŻAJ NATYCHMIAST. CHARLEY.

Rozdział 28

Twarz matki przywodziła mi na myśl świeżego trupa, którego niema dusza cały czas rozpaczliwie próbuje uciec z ciała.

Jej oczy, ukazujące przede wszystkim białka i tylko zarys ciemnej tęczówki pod ciężkimi i zaczerwionymi powiekami, były napięte i wybałuszone jakby od jakiegoś straszliwego wewnętrznego ciśnienia. Usta miała szeroko otwarte, ale wargi, język i podniebienie były blade i suche jak stara skóra. Nie mogła mówić. Nie wydawała z siebie żadnych dźwięków, nie licząc dziwnego zgrzytliwego, syczącego odgłosu dobywającego się z jej piersi. Nie sądzę, żeby nas widziała.

Charley i ja objęliśmy się ze zgrozą na powitanie.

– Dobry Boże, jak do tego doszło? – wykrztusiłem.

Mój ukochany brat tylko pokręcił głową. Pani Wells krążyła w pobliżu, jej artretyczne ręce wyłaniały się z łopotem z fałd koronkowego czarnego szala, a w kącie pokoju czekał odwieczny stary lekarz matki z Tunbridge Wells, doktor Eichenbach.

– Pani Wells mówi, że miała się dobrze, no może nie dobrze, była obolała, trochę kaszlała, ale wystarczająco dobrze, żeby jeść z apetytem i cieszyć się popołudniową herbatą, żeby słuchać, gdy się jej czyta… Gawędziły jeszcze wczoraj wieczorem – zdołał wykrztusić Charley. – A dziś rano… Przyjechałem z Londynu, żeby zrobić jej niespodziankę… i ujrzałem to.

– Tak często bywa ze starszymi osobami, gotowymi i czekającymi, żeby opuścić ten świat – mruknął doktor Eichenbach. – Bez ostrzeżenia. Bez ostrzeżenia.

Kiedy Eichenbach, który był prawie głuchy, gawędził w kącie z panią Wells, ja szepnąłem gorączkowo do Charleya:

– Chcę, żeby obejrzał ją mój lekarz. Frank Beard zjawi się natychmiast.

– Próbowałem się skontaktować z jej niedawnym lekarzem, doktorem Ramseysem – powiedział cicho Charley.

– Co tam pan mówi?! – zawołał doktor Eichenbach z kąta obok kominka. – Wzywa pan doktora… jakiego?

– Ramseysa – odpowiedział z westchnieniem Charley. – To podobno nowy miejscowy lekarz, który niedawno postanowił odwiedzać matkę. Jestem przekonany, że mama nie miała powodu, żeby zwrócić się do niego… to znaczy, szukać pomocy poza pańską wspaniałą radą i opieką.

Eichenbach marszczył brwi.

– Doktor Ramsey?

– Ramseys – poprawił go Charles przesadnie artykułując głoski, jak to często bywa u ludzi sfrustrowanych rozmową z niemal głuchą osobą.

Eichenbach pokręcił głową.

– Żaden Ramsey czy Ramseys nie praktykuje w okolicy Tunbridge Wells – powiedział. – Ani w Londynie, o ile mi wiadomo, z wyjątkiem starego Charlesa Bierbonta Ramseya, a on teraz zajmuje się tylko rodziną lorda Leightona. Poza tym specjalizuje się w chorobach wenerycznych, jedynie tym się interesuje, a ja doprawdy wątpię, czy pani Collins wezwała go tutaj, żeby prosić o tego rodzaju konsultację. I co to za nazwisko Ramseys? Brzmi jak nazwa jakiejś komisji.

Charley znowu westchnął.

– Słyszałem, że doktor Ramseys był w odwiedzinach u rodziny w Tunbridge Wells, kiedy usłyszał o chorobie matki. Zgadza się, pani Wells?

Stara kobieta robiła wrażenie podenerwowanej. Zatrzepotały powykręcane dłonie, wynurzając się spod łopoczącego szala.

– Naprawdę nie wiem, panie Charlesie. Słyszałam o doktorze Ramseysie tylko od pańskiej drogiej, najdroższej matki. Nigdy z nim nie rozmawiałam.

– A widziała go pani? – zapytałem.

Skarabeusz poruszył się w mojej czaszce i w tej samej chwili zimna ręka zacisnęła się na moim sercu.

– Tylko raz – odpowiedziała starsza kobieta. – Z daleka. W któreś popołudnie w zeszłym tygodniu. Wychodził akurat, kiedy ja szłam ścieżką przez łąkę.

– Jak wyglądał? – spytałem.

– Och… Naprawdę nie umiem powiedzieć, panie Wilkie. Dostrzegłam tylko wysokiego, chudego mężczyznę oddalającego się ode mnie drogą. Był bardzo elegancko ubrany, chociaż raczej, kto jak kto, ale ja to wiem, staromodnie, jak by to powiedzieli młodzi ludzie. Miał na sobie czarny frak i cylinder w starym stylu, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Nie jestem pewien, czy nadążam za panią, pani Wells – odparłem, mając nadzieję, że mówię to spokojnym głosem. – W jakim sensie jego cylinder był staromodny?

– Och, no wie pan, co mam na myśli, panie Wilkie. Miał nieco szersze rondo i niższą główkę, bardziej w stylu kapeluszy jeździeckich, jakie widywało się u dżentelmenów, kiedy byłam dziewczynką. I z pewnością był z futra bobra, nie z jedwabiu.

– Dziękuję, pani Wells – odpowiedział Charley.

– Och… no i jeszcze ten jego woal – dodała pani Wells. – Nawet z odległości widziałam ten woal. Pańska matka wspomniała potem o nim.

– Właściwie to mnie nic o tym nie wspominała – powiedział Charles. – Dlaczego doktor Ramseys nosi woal?

– Z powodu oparzeń, rzecz jasna. Straszliwych oparzeń, powiedziała Harriet… to jest pani Collins. Pańska droga matka. Doktor Ramseys nie chciał straszyć ludzi na ulicy.

Odwróciłem głowę i na minutę zamknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, widziałem tylko napiętą twarz matki i jej otwarte, wyschnięte usta, w których wysuszony język zwisał jak umieszczony w złym miejscy kawałek sznura, jej wybałuszone białka oczu, które wyglądały jak dwa jajka wciśnięte pod ludzkie powieki przez jakąś straszliwą siłę.

– Pani Wells – odezwał się cicho Charley – czy byłaby pani tak dobra i przyprowadziła chłopca od sąsiadów, który czasem załatwiał różne sprawy dla mamy? Musimy wysłać telegram do doktora Franka Bearda w Londynie. Wilkie zaraz go napisze, a chłopiec zaniesie.

– O tej porze, panie Charlesie? Biuro telegraficzne zamkną

za niecałą godzinę.

– Zatem musimy się pośpieszyć, prawda, pani Wells? Dziękuję za pomoc. Matka też by pani podziękowała, gdyby mogła.

***

Caroline i ja pożegnaliśmy się ostrymi słowami.

To było niewytłumaczalne, niewiarygodne, ale zadawała pytania, domagała się odpowiedzi i tworzyła przeszkody dla mojego wyjścia z domu nawet po tym, jak pokazałem jej telegram od brata.

– Gdzie byłeś zeszłej nocy? – dopytywała się uporczywie. – Skąd wytrzasnąłeś te okropne ubrania, które Agnes spaliła? Co to za straszny zapach od nich bił? Kiedy wrócisz z Tunbridge Wells? Co zrobimy w związku z dzisiejszym przyjęciem? Z biletami do teatru? Wszyscy liczyli…

– Po pierwsze, zdejmij i wyrzuć te przeklęte girlandy – warknąłem. – I wypraw to swoje przyjęcie. Idź do teatru ze wszystkimi moimi przyjaciółmi. Z pewnością nie pierwszy to raz, kiedy będziesz się bawić i będziesz zabawiana moim kosztem, gdy ja nie mogę brać udziału w zabawie.

– Co to ma znaczyć, Wilkie? Nie chcesz, żebym dotrzymała naszych zobowiązań wobec twoich przyjaciół? Nie chcesz, żebym skorzystała z biletów na twoją sztukę, po tym, jak obiecałeś ludziom, że zobaczą ją dzisiaj z loży autora? Co chciałbyś, żebym zrobiła?

– Chciałbym – warknąłem – żebyś poszła do diabła.

Caroline zamarła.

– Moja matka umiera – oznajmiłem beznamiętnie, szorstko i ostatecznie. – A co do pytania, z kim zdecydujesz się zjeść kolację i iść do teatru, to dla mojej przyjemności możesz iść z samym diabłem. – Odwróciłem się do niej z twarzą wykrzywioną z wściekłości. – Albo ze swoim hydraulikiem.

Nadal zmrożona Caroline G. zaczerwieniła się od linii włosów do dekoltu.

– Co… co masz na myśli, Wilkie?

Otworzyłem z rozmachem drzwi na mgłę i mróz i roześmiałem się jej w twarz.

– Do diabła, dobrze wiesz, co mam na myśli, najdroższa. Mam na myśli pana Josepha Charlesa Clow, syna gorzelnika z Avenue Road, hydraulika z zawodu, uwodziciela albo ofiarę uwodzicielki z zamiłowania. Tego samego pana Clow, którego karmiłaś potajemnie z mojego stołu i z którym od Bożego Narodzenia spotkałaś się ukradkiem pięć razy.

I wyszedłem, zatrzaskując drzwi przed jej pąsową i przerażoną twarzą.

***

Tunbridge Wells było upiornie ciche, okryte śniegiem i wypełnione niepokojąco białą, gęstą mgłą, kiedy Charley przyjechał po mnie saniami na stację, a jeszcze bardziej przytłaczająco cicho i mgliście zrobiło się o dziesiątej wieczorem, gdy grubo zakutany Frank Beard zmaterializował się z marznącej mgły i z tych samych sań, powożonych raz jeszcze przez wiecznie chorego, ale najwyraźniej niezmordowanego Charleya. Ja zostałem z matką i śpiącą panią Wells, a brat pojechał po naszego przyjaciela i lekarza. Doktor Eichenbach dawno już wrócił do domu.

Frank Beard ściskał mi dłoń przez chwilę w milczącym wyrazie współczucia, a potem poszedł zbadać matkę; Charley i ja czekaliśmy w drugim pokoju. Ogień na kominku płonął słabo. Postanowiliśmy nie zapalać innych świec ani lamp. Pani Wells spała na sofie w kącie. Charley i ja rozmawialiśmy szeptem.

– Nie była w takim stanie w zeszłym tygodniu, kiedy się z nią widziałeś? – spytałem.

Charley pokręcił głową.

– Narzekała na bóle i duszności… Wiesz, jak się potrafi rozgadać, Wilkie… mówiła i mówiła… Ale nie, nic nie wskazywało na to, że może dojść do tego strasznego… cokolwiek to jest.

Beard wszedł po chwili i obudził panią Wells, żeby

powiedzieć to, co miał do oznajmienia.

– Wygląda na to, że Harriet miała bardzo poważny wylew krwi do mózgu – oznajmił cicho. – Jak widzicie, straciła zdolność mówienia, panowanie nad mięśniami podlegającymi woli oraz, najprawdopodobniej, rozum. Jej serce także robi wrażenie osłabionego. Pod każdym innym względem fizycznie sprawia wrażenie…

Frank Beard urwał i odwrócił się do pani Wells.

– Czy pani Collins upadła niedawno? Skaleczyła się nożyczkami, nożem kuchennym czy chociażby drutami do robótek?

– W żadnym razie! – wykrzyknęła starsza kobieta. – Pani Collins nie była tak aktywna, żeby którakolwiek z tych rzeczy mogła się wydarzyć, doktorze. Ani też nie pozwoliłabym, żeby się przydarzyły. I powiedziałaby mi, gdyby… Nie, nie, nie, nie mogło dojść do takiego wypadku.

Beard pokiwał głową.

– Dlaczego pytasz, Frank? – zainteresował się Charley.

– Twoja matka ma świeże rozcięcie tutaj… – powiedział Beard, dotykając przepony tuż poniżej mostka. – Długie na jakieś dwa cale. Nic poważnego i już się goi, ale to niezwykłe dla osoby, która nie… – Pokręcił głową. – Nieważne. Jestem przekonany, że nie ma to żadnego związku z wylewem i wewnętrzną newralgią, do których musiało dojść w nocy.

Do tej pory stałem, ale nogi tak mi osłabły, że musiałem usiąść.

– A… prognozy? – spytał Charley.

– Nie ma nadziei – odpowiedział beznamiętnie Beard. – Wewnętrzna newralgia i niedrożności w mózgu są zbyt poważne. Może odzyskać przytomność, może nawet przed końcem odzyska pewną jasność myślenia, ale jestem pewien, że nie ma nadziei. Teraz to jedynie kwestia dni, może tygodni.

Pani Wells omal nie zemdlała, więc Charley i Frank pomogli jej wrócić na sofę.

Siedziałem i gapiłem się w ogień. W Ameryce było teraz wczesne popołudnie. W jakimś wygodnym, jasnym i czystym

miejscu Charles Dickens był traktowany jak król i przygotowywał się do kolejnego wieczoru publicznej adoracji. W ostatnim liście, który pokazał mi Wills, Dickens pisał: „Ludzie oglądają się za mną, albo spoglądają mi w twarz, przyglądają mi się… mówią: »Patrz! Dickens idzie!«”. Opowiadał też, że rozpoznawano go za każdym razem, gdy jechał pociągiem: „…w pociągach, jeśli zobaczę kogoś, kto wyraźnie chce ze mną porozmawiać, zwykle przewiduję to życzenie i sam zaczynam rozmowę”.

Ach, jakże szlachectwo zobowiązuje! Jak niewymownie hojny był mój niegdysiejszy współpracownik i odwieczny rywal! Oto ten, który raczy rozmawiać z dziesiątkami tysięcy uwielbiających go Amerykanów (nawet jeśli są upartymi ignorantami i nieuleczalnymi analfabetami), którzy czczą ziemię, po której stąpa, podczas gdy ja siedzę pogrążony w bólu, żałości i beznadziei, a moja matka umiera straszliwą śmiercią, z… tym skarabeuszem… łażącym w jej czaszce jak…

– Pojadę już. Zanocuję u przyjaciół w wiosce i rano przed odjazdem pociągiem do Londynu sprawdzę, co z Harriet – mówił Frank Beard.

Minęła chwila. Charley zaprowadził szlochającą panią Wells do jej pokoju i teraz w palcie i ciężkiej, artystycznej czapie czekał przy drzwiach, żeby odwieźć Beardа. Zerwałem się na równe nogi i uścisnąłem rękę lekarza obiema dłońmi, dziękując mu wylewnie.

– Zostanę z matką – powiedziałem bratu.

– Posiedzę z nią przez noc po powrocie – odpowiedział Charley. – Wyglądasz na wyczerpanego, Wilkie. Rozpal ogień, żebyś mógł przespać się na kanapie, kiedy wrócę.

Pokręciłem wtedy głową, chociaż nie wiem, czy chciałem powiedzieć, że zostanę przy matce całą noc, czy że nie jestem wyczerpany, czy że nie potrzebuję ognia. Charley i Frank Beard wyszli, a ja posłyszałem zdradziecko fałszywe, radośnie zimowe dźwięki dzwonków u końskiej uprzęży, kiedy odjeżdżali z powrotem do wioski.

Poszedłem do pokoju matki i usiadłem na krześle

przysuniętym do jej łóżka. Oczy nadal miała otwarte, ale najwyraźniej niewidzące, powieki trzepotały jej czasem. Ręce i nadgarstki miała wykręcone jak połamane skrzydełka małego ptaszka.

– Matko – odezwałem się do niej cicho – przykro mi, że…

Musiałem zamilknąć. Było mi przykro, że… co? Ze zabiłem ją przez moją znajomość z Droodem. Czy naprawdę ją zabiłem?

– Matko… – zacząłem znowu i znowu zamilkłem.

Od miesięcy pisałem do niej i mówiłem jej właściwie tylko o swoim sukcesie. Byłem zbyt zajęty pisaniem sztuki, próbami i oglądaniem pierwszych inscenizacji, żeby spędzić z nią trochę czasu – nawet w Boże Narodzenie poświęciłem jej tylko kilka niechętnych godzin, zanim popędziłem do pociągu, by wrócić do miasta. Odnosiło się wrażenie, że każdy list, który napisałem do niej od zeszłego lata, dotyczył albo mnie samego (chociaż ona naprawdę uwielbiała słuchać o moich sukcesach), albo uregulowania warunków dotyczących spadku, który przypadłby Charleyowi i mnie, gdyby zmarła przed nami.

– Matko…

Jej powieki znowu zatrzepotały nerwowo. Czy próbowała mi coś powiedzieć? Zawsze była ciekawą, elokwentną, pewną siebie, kompetentną osobą o mocnej pozycji towarzyskiej. Latami, nawet po śmierci mojego ojca, przewodziła salonowi artystów i intelektualistów. Zawsze kojarzyłem ją z jej kompetencją, godnością i niemal królewskim opanowaniem.

A teraz coś takiego…

Nie wiem, Drogi Czytelniku, jak długo siedziałem przy łożu matki. Wiem, że w jakimś momencie zacząłem szlochać.

W końcu uznałem, że muszę wiedzieć. Przysunąłem bliżej świecę. Pochyliłem się nad niewrażliwą postacią matki i odgarnąłem przykrycia.

Matka była w koszuli nocnej, która miała tylko kilka guzików przy szyi – za mało dla moich celów. Szlochając i ocierając zasmarkany nos o rękaw, ściągnąłem koc niżej aż do bladych, opuchniętych i pokrytych sinymi żyłkami kostek i

– płacząc jeszcze głośniej i trzymając w jednej ręce świecę – powoli podciągnąłem do góry flanelową koszulę nocną.

Zasłoniłem oczy lewym przedramieniem, przypalając sobie świecą brwi i włosy, żebym ja – kochający syn – nie widział ostatecznej nagości matki. Przyznaję jednak, że podwinąłem lepką od potu koszulę zbyt wysoko, nim spojrzałem, nadal ograniczając sobie pole widzenia, więc pomarszczone i obwisłe piersi były dla mnie widoczne.

A poniżej nich, poniżej ostrej jodełki żeber przyciskających się do bladego ciała, widniał czerwony ślad pod mostkiem.

Na pierwszy rzut oka miał taką samą szerokość, ten sam kształt i był tak samo siny.

Na wpół oszalały ze zmęczenia i grozy rozdarłem własną koszulę; guziki, podskakując, potoczyły się po drewnianej podłodze i zniknęły pod łóżkiem. Musiałem zgiąć się niemal wpół, żeby zobaczyć czerwony ślad na swoim brzuchu. Przesuwałem świecę szybko w tę i z powrotem, żeby porównać moją ranę po skarabeuszu i ślad pod piersią matki.

Były identyczne.

Rozległo się skrzypienie desek, a potem ktoś za moimi plecami gwałtownie stęknął, więc błyskawicznie odwróciłem się z rozwianymi połami koszuli (koszula matki nadal była wysoko podciągnięta) – i zobaczyłem panią Wells, gapiącą się na mnie z wyrazem bezgranicznej zgrozy na twarzy.

Otworzyłem usta, żeby się wytłumaczyć, ale nie znalazłem słów. Obciągnąłem koszulę matki, przykryłem ją, odstawiłem świecę na stolik nocny i odwróciłem się z powrotem do starszej gospodyni, która wzdrygnęła się i odsunęła ode mnie.

Nagle ktoś załomotał do drzwi.

– Proszę tu zostać – powiedziałem do pani Wells, ale ona tylko jeszcze bardziej odsunęła się ode mnie i przygryzła kostki rąk, kiedy przeszedłem obok niej szybkim krokiem.

Popędziłem do drzwi – w swoim pomieszaniu myślałem, że to Frank Beard wrócił z cudownie odmienioną i pełną nadziei prognozą – ale kiedy do nich dotarłem, zerknąłem z powrotem w stronę pokoju matki. Pani Wells nie było już

widać.

Ktoś nadal dobijał się do drzwi, coraz gwałtowniej.

Otworzyłem je z rozmachem.

Czterej potężnie zbudowani mężczyźni – nieznajomi, ubrani niemal identycznie, w grube, czarne palta i robotnicze kapelusze – stali za progiem w nocnym śniegu. Obok czekał podobny do karawanu powóz; jego lampy rzucały słabe światło.

– Pan Wilkie Collins? – zapytał stojący najbliżej i największy z mężczyzn.

Pokiwałem w osłupieniu głową.

– Już czas – powiedział nieznajomy. – Inspektor czeka. Zanim wrócimy do Londynu, wszystko będzie gotowe. Proszę natychmiast iść z nami.

Rozdział 29

Podmiasto płonęło.

Inspektor Field zapowiedział, że w ciągu dwudziestu czterech godzin wróci z setką mężczyzn – byłych detektywów, policjantów po służbie i innych – którzy będą gotowi zejść do podziemi Londynu, żeby pomścić śmierć detektywa Hibberta Hatchery'ego.

Muszę przyznać, że to było z jego strony niedopowiedzenie. Nawet z przelotnych obrazów, jakie wychwyciłem w ciągu następnych godzin, było jasne, że zjawiła się więcej niż setka ludzi.

Ponad tuzin mężczyzn czekał na szerokiej, płaskodennej barce, do której kazał mi wsiąść Field. Jasna latarnia na pochyłym drągu wywieszała się daleko za długi rumpel na rufie. Blisko dziobu dwaj mężczyźni obsługiwali oślepiający karbidowy reflektor z rodzaju tych, jakimi posługiwano się wewnątrz i na zewnątrz walijskich kopalni w czasie nagłych wypadków, takich jak zawał; umocowany na obrotowym trzpieniu reflektor to przebijał jasnym stożkiem białego blasku ciemność ponad szerokimi, ciemnymi wodami podziemnej rzeki Fleet Street Ditch, to oświetlał łuki ceglanego sklepienia, to znów wyławiał z mroku zakrzywiające się ściany i wąskie chodniki po obu stronach rzeki.

Za nami płynęła następna barka. Słyszałem, że dwie zbliżają się z północy, od strony Tamizy, do której wpadał ściek. Przed nami i za nami kilkanaście małych, wąskich łódek płaskodennych płynęło razem z naszą dziwną flotyllą; na dziobach i rufach stali ludzie z żerdziami w dłoniach, a na śródokręciach siedzieli mężczyźni uzbrojeni w strzelby i rewolwery.

Na naszej płynącej na przedzie barce także były strzelby i rewolwery. Domyślałem się, że wielu z tych milczących ludzi w ciemnych, robotniczych ubraniach było niegdyś strzelcami wyborowymi w wojsku albo w stołecznej policji. Nie będąc

miłośnikiem wojskowości, pierwszy raz widziałem taką liczbę broni palnej w jednym miejscu. Nie domyśliłbym się, że w Londynie tylu zwykłych ludzi ma broń.

Długi tunel ze ściekiem–rzeką był czarny i cuchnący, ale w tej chwili wypełnił się snopami i kulami światła, kiedy mężczyźni na barkach i w łódkach dodali światła swoich latarni do oślepiającego cyklopowego spojrzenia potężnych karbidowych reflektorów. Okrzyki rozbrzmiewały echem ze wszystkich stron w cuchnącym powietrzu. Oprócz dziesiątek mężczyzn w różnych łodziach, kolejne dziesiątki szły wąskimi kamiennymi lub ceglanymi chodnikami po obu stronach zakręcającego kanału. Oni także nieśli latarnie i broń.

Nie musieliśmy wracać na Cmentarz Upiornych Świętych, żeby zejść do tej części Podmiasta (prawdę mówiąc, Drogi Czytelniku, wątpię, czy byłbym w stanie to uczynić). Istniały nowe korytarze i schody (część przyszłego kompleksu kolei podziemnej, jak się domyśliłem), łączące się ze starodawnymi katakumbami stanowiącymi część cmentarza Abney Park w Stoke Newington; wystarczyło zejść dobrze oświetlonymi schodami, gorzej oświetlonymi tunelami, kolejnymi schodami, przejść krótkim, lecz zagmatwanym labiryntem nadal cuchnących katakumb, zejść po drabinkach do nowych ścieków, które łączyły główny system kanalizacyjny w Crossness z nadal nieukończonymi kanałami przy nabrzeżu, i potem znów w dół wąskimi szybami i starodawnymi tunelami do prawdziwego Podmiasta.

Nie miałem pojęcia, jak sprowadzili na dół barki, łódki i reflektory.

O naszym nadejściu można powiedzieć wszystko, ale nie to, że było ciche. Poza obijającymi się echem okrzykami, odgłosem kroków i niekiedy wystrzałem, kiedy ktoś odstrzelił agresywnego szczura (gryzonie roiły się w wodzie przed naszą barką i towarzyszącymi nam łódkami, tworząc marszczącą się rzekę brązowych grzbietów), regularnie rozlegały się przed nami wybuchy, które były dla mnie tak boleśnie głośne, że musiałem zakryć uszy rękami.

Odpływy mniejszych kanałów ściekowych, niektóre nie

szersze niż na trzy stopy, niektóre o wiele większe (wszystkie uchodziły do Fleet Ditch) odchodziły w nieregularnych odstępach po obu stronach łukowato sklepionego tunelu z cegły. Większość była osłonięta skorodowanymi i pokrytymi szlamem kratami i prętami. Inspektor Field szorstko rozkazał wysadzić te zabezpieczenia w powietrze za pomocą prochu, który przynieśli i podłożyli idący przodem piesi i płynące przed nami łodzie.

Straszliwy huk – nagłośniony nie do zniesienia przez architekturę kanałów z ceglanymi sklepieniami – rozlegał się co kilka minut, przywodząc mi na myśl jakąś straszliwą krymską bitwę, w której artyleria waliła z lewej, z prawej i od przodu.

To było nieznośne, zwłaszcza dla nerwów, którym odmówiono snu przez ostatnie trzy dni i trzy noce, mięśni i kości, które potraktowano narkotykiem i zostawiono na śmierć w ciemnościach, oraz zmysłów, które nawet teraz wrzeszczały z bólu i w proteście. Sięgnąłem do sakwojażu, który zabrałem ze sobą z Tunbridge Wells, i wypiłem kolejne cztery dawki laudanum.

Nagle smród przybrał na sile. Przyłożyłem chusteczkę do ust i nosa, ale niewiele to pomogło na wyciskający łzy z oczu odór.

Inspektor Field nie miał żadnej widocznej broni, ale przywdział czarną zimową pelerynę i miał mocno naciągnięty na głowę wiejski kapelusz z szerokim rondem, a na szyi kilka razy owinięty krwistoczerwony szalik, który zasłaniał także dolną połowę jego twarzy. W kieszeniach pod fałdami peleryny mógł ukryć dowolną broń.

Nie odezwał się do mnie nawet jednym słowem, odkąd cztery odziane w czerń zjawy, a potem Reggie Barris dostarczyli mnie do Podmiasta, a następnie na barkę. Za to pomiędzy odległymi wybuchami wyrecytował:

Jak śmią
Nozdrza twe wybredne (w tak gorącej porze,
Gdy groch i karczochy zajada, kto może,

Czyszczącą sałatę, wiatropędne mięsiwa)
Wyruszać w taką podróż?
Gdy w każdym spoczywa
Ustępie pośladek, a mury się pocą
Moczem i zaprawą?

Barris i inni podwładni Fielda spojrzeli na niego takim wzrokiem, jakby oszalał, ale ja się zaśmiałem.

– Jest coś, co łączy pana i Charlesa Dickensa, inspektorze.

– Tak? – Ciemne, krzaczaste brwi starszego mężczyzny wygięły się w łuki nad czerwoną szramą szalika.

– Obaj najwyraźniej znacie na pamięć *O słynnej podróży* Bena Jonsona.

– A jakiż wykształcony człowiek by tego nie znał? – odparł inspektor.

– W istocie – przyznałem, czując, że magiczne laudanum w jakimś stopniu ożywia mego zgaszonego ducha. – Rzec by można, że powstał cały osobny gatunek literatury kanałowej i kanałowej poezji.

– Synekdocha na brud miasta, które przykucnęło nad nami w całym swoim kloacznym zepsuciu – powiedział inspektor Field.

Popisywał się toporną elokwencją, o jaką nigdy bym go nie podejrzewał na podstawie wcześniejszych spotkań i rozmów. Albo, co było o wiele bardziej prawdopodobne, był bardzo pijany.

– Miałby pan ochotę posłuchać czegoś z *Opisu miejskiej mżawki* Swifta? – kontynuował. – Ufam, że pan, pisarz, Wilkie Collins, wie, że Swift nie miał na myśli przelotnego deszczyku. A może miałby pan ochotę na recytację z księgi drugiej skatologicznej *Kretyniady* Pope'a, bardziej pasującej do naszej kanałowej odysei po cuchnącej Fleet Ditch?

– Może innym razem – odpowiedziałem.

***

Fleet Ditch rozszerzyła się i stała prawdziwą podziemną

rzeką, wystarczająco szeroką, żeby osiem albo dziewięć naszych barek i łodzi zmieściło się obok siebie. Ceglany dach kanału także zniknął, kiedy wpłynęliśmy na jakieś ćwierć mili w głąb prawdziwej jaskini – nierówny sufit wznosił się wysoko i był niewidoczny wśród skrywających warstw mgły, pary albo dymu. Na prawo od głównego biegu rzeki, z tuzina zakratowanych rur kanalizacyjnych (niektóre były szerokie na dziesięć albo i więcej stóp) parujące ścieki wlewały się prosto do głównego nurtu, ale po lewej stronie pojawiły się niskie, szerokie półki z błota i gruzu – coś na kształt rzecznego brzegu. Ponad tymi nasypami z gruzu, na wysokości stu stóp albo więcej, wznosiły się półki, otwory, nisze, przebłyski podziurawionych tunelami krypt, starodawnych jaskiń i głębokich piwnic pod piwnicami; ciągnęły się w górę tych ospowatych ścian na podobieństwo wielopiętrowych budynków przy Strandzie.

Kiedy podpłynęliśmy do usypanego z gruzu brzegu, podniosłem wzrok i dostrzegłem ruch: ludzie w łachmanach zerkający zza niskich ścian, migoczące ogniska, nędzne szmaty rozwieszone na sznurze nad otchłanią, drabinki i prymitywne pomosty łączące podziemne czynszówki.

Charles Dickens zawsze wyobrażał sobie, że zgłębił odmęty londyńskich slumsów, poznał żałosne życie najbiedniejszych spośród biednych w naszej stolicy, ale tutaj – daleko pod powierzchnią – widniał dowód, że istnieją biedniejsi niż najbiedniejsi z biednych, zamieszkujący gnijące, zżerane przez tyfus slumsy na górze.

W ruderach i na wysokich półkach widziałem teraz całe rodziny, włącznie z czymś, co wziąłem za dzieci ubrane tylko w zbieraninę brudnych gałganów. Wszyscy zerkali na nas z niepokojem, jakbyśmy byli wikingami najeżdżającymi zapomnianą przez historię i opuszczoną przez Boga saksońską osadę. Nisze w wysokich ścianach – każda zawierająca ruderę ze szmat, gruzu, suszonej gliny i starej blachy – przypominały mi widziane niegdyś ilustracje przedstawiające opuszczoną osadę Indian na klifie w jakimś kanionie na zachodzie albo południowym zachodzie Ameryki.

Tyle że te domy z pewnością nie były opuszczone; szacowałem, że setki ludzi mieszkają w tych wysoko położonych dziurach w skale – tu, głęboko pod miastem.

Kolejni ludzie inspektora Fielda nadeszli pieszo niewidocznymi jaskiniami, schodami albo chodnikami wzdłuż ścieków płynących z południa. Barki i łódki uderzyły o brzeg z głośnym zgrzytem, jakby miażdżyły kości, i nasi mroczni ludzie z pochodniami, latarniami i strzelbami rozlali się na wszystkie strony.

– Spalić wszystko – polecił Field.

Barris i pozostali pomagierzy zamienili ten cichy rozkaz starszego inspektora w serię rozbrzmiewających echem okrzyków.

Jaskinia Fleet Ditch wypełniła się okrzykami i wrzaskami. Widziałem ludzi Fielda, jak wspinają się po drabinkach i kamiennych stopniach, biegną wzdłuż wydrążonych tarasów, odpędzają zawinięte w łachmany postaci od bud i ruder. Nie widziałem, żeby ktokolwiek stawiał opór. Zastanawiałem się, po co ktokolwiek schodziłby tutaj, do tej jaskini pod starymi kryptami, i zdałem sobie sprawę, że panowała tu typowa dla grot temperatura – przynajmniej plus dziesięć stopni – podczas gdy na górze, na wyłożonych twardym brukiem ulicach i w walących się, niedogrzanych slumsach temperatura spadła dobrze poniżej zera.

Kiedy pierwsze płomienie wystrzeliły z labiryntu bud, rozległy się stłumione okrzyki, powracające echem niczym pojedynczy oddech wypuszczony przez setkę albo dwie setki osobnych postaci. Suche szmaty i wyłowione z wody drewno, stare materace i nieliczne sofy wyciągnięte ze śmietników płonęły jak podpałka. W dwie minuty – chociaż większość dymu popłynęła w górę i na zewnątrz licznymi szybami, klatkami schodowymi i korytarzami w skale – pod sklepieniem jaskini zawisła ciężka czarna chmura. Nowe płomienie zabłysły pomarańczowo w tej chmurze, a seria wybuchów, kiedy ludzie inspektora Fielda wysadzali kraty u wylotów kanałów po drugiej stronie rzeki, przydała scenerii podobieństwa do gwałtownej letniej burzy.

Nagle tobołek szmat sfrunął z jednego z wysokich tarasów, z łopotem spadł na sam dół i uderzył z sykiem w podziemną rzekę, po czym zatonął.

Miałem nadzieję, że był to tylko kłąb łachmanów. Modliłem się do Boga, żeby to tylko szmaty łopotały, a nie ręce i nogi, które młóciły powietrze w czasie upadku.

Podszedłem do inspektora Fielda, który stał oparty o dziób wyciągniętej na brzeg barki.

– Czy to było naprawdę konieczne, wykurzyć tych ludzi ogniem? – zapytałem.

– Tak.

Nie odwrócił głowy od widowiska. Czasem dawał znać gestem i Barris albo któryś z jego pozostałych faworytów wysyłał ludzi, żeby otoczyli biegnące postaci albo przyłożyli pochodnie do jakiejś rudery, która umknęła pierwszym płomieniom.

– Dlaczego? – dopytywałem się z uporem. – To tylko biedni żebracy, niezdolni nawet oprzeć się konkurencji na ulicy. Tu na dole nie robią nikomu krzywdy.

Field odwrócił się do mnie.

– Tu na dole – odezwał się półgłosem – te nędzne namiastki mężczyzn, kobiet oraz ich potomstwa nie są poddanymi Jej Królewskiej Mości. Nie są tu Anglikami, panie Wilkie Collins. To jest królestwo Drooda, a to są sługusy Drooda. Jemu są wierni i w taki czy inny sposób jemu służą i jemu pomagają.

Zacząłem się wtedy śmiać i nie mogłem przestać.

Inspektor Field uniósł krzaczaste brwi.

– Powiedziałem coś zabawnego, szanowny panie?

– Królestwo Drooda – wykrztusiłem w końcu. – Wierni poddani… Drooda. – I znowu zacząłem się śmiać.

Inspektor Field odwrócił się ode mnie. Nad nami tłumoki szmat wszelkich rozmiarów wyprowadzano z wypełnionych dymem domostw na urwisku i jaskiń Fleet Ditch ku temu, co czekało je na górze.

***

– Niech pan będzie tak uprzejmy i pójdzie z panem Barrisem – powiedział do mnie inspektor jakiś czas później.

Nie zwracałem specjalnej uwagi na procedury. Pamiętam, że zostawiliśmy za sobą jakieś pół mili płonących ruder na urwisku i znów popłynęliśmy rzeką ku bardziej uregulowanej przez tunel Fleet Ditch. Przed nami droga pod ceglanymi łukami podzieliła się na dwa główne tunele. Po lewej stronie jakiś niska tama czy próg rzeczny wymagały spuszczenia większej łodzi na dół za pomocą systemu wielokrążków; mniejsze łódki już wcześniej popłynęły przodem. Barka inspektora Fielda popłynęła prawym tunelem, ale w lewym przed nami znajdował się spory odpływ ściekowy. Najwyraźniej Field zażyczył sobie, żebym zbadał go w łódce razem z Reginaldem Barrisem.

– Widział pan świątynię Drooda – wyjaśnił inspektor. – Wierzymy, że można się do niej dostać poprzez fałszywą ścianę albo ukryty kanał.

– Nie widziałem świątyni Drooda – odparłem zmęczonym tonem.

– Opisał ją pan. Powiedział pan, że były tam stopnie prowadzące w górę od rzeki, wysokie drzwi z brązu i posągi po obu stronach, egipskie relikwiarze, ludzkie postaci z głowami szakali albo ptaków.

Dreszcz przebiegł mi po plecach, kiedy te słowa przywołały mój sen o żuku sprzed niecałych trzydziestu sześciu godzin. Czy to możliwe, że właśnie tyle czasu upłynęło? Możliwe, że minęła zaledwie noc, odkąd przebudziłem się w ciemnej krypcie nad tym miejscem? Powiedziałem jednak:

– To był opis Charlesa Dickensa, inspektorze. Nigdy nie twierdziłem, że widziałem mityczną świątynię Drooda… ani nawet samego Drooda, skoro już o tym mowa.

– Był pan tam wczoraj, panie Wilkie Collins, obaj to wiemy – odparł Field. – Ale nie będziemy się teraz sprzeczać. Proszę pójść z detektywem Barrisem.

Zanim przelazłem do łódki, zapytałem:

– Czy pańskie poszukiwania tu na dole dobiegają już końca, inspektorze?

Starszy mężczyzna tylko parsknął śmiechem.

– Dopiero zaczęliśmy, drogi panie. Minie jeszcze co najmniej następne osiem godzin, zanim spotkamy się z moimi ludźmi nadchodzącymi od strony Tamizy.

Na te słowa znowu poczułem zawroty głowy i mdłości. Ile czasu minęło, odkąd naprawdę spałem – nie odkąd straciłem przytomność z powodu narkotyków króla Lazaree albo Drooda, tylko zwyczajnie spałem? Czterdzieści osiem godzin? Siedemdziesiąt dwie?

Niezgrabnie zszedłem do chyboczącej się łódki, gdzie czekali Barris i dwóch innych ludzi. Jeden z nich na wzór gondoliera odpychał łódkę drągiem na dziobie, a drugi sterował za pomocą szerokiego wiosła na rufie. W ten sposób opuściliśmy rzekę i popłynęliśmy powoli ceglanym bocznym tunelem. Siedziałem na ławce blisko środka długiej na szesnaście stóp łodzi, a Barris stał nieopodal, utrzymując równowagę za pomocą drugiego drąga. Pokryty mchem ceglany sufit był tak niski, że detektyw mógł go dosięgnąć ręką i pomóc pchać łódź. Widziałem zielone plamy na jego drogich, jasno– brązowych rękawiczkach.

Na wpół drzemałem, kiedy wąski kanał ściekowy uszedł do strumienia o szerokości dwudziestu stóp.

– Proszę pana! – powiedział detektyw na dziobie i wycelował światło latarni do przodu.

Czterech Dzikich Chłopców stało w wodzie po pas, siłując się z czymś ciężkim i przemoczonym, co wyglądało, jakby właśnie zwaliło się z mniejszej rury, której wylot znajdował się wysoko na łukowatej ścianie większego kanału.

Podpłynęliśmy bliżej i zdałem sobie sprawę, że „coś przemoczonego” to ciało mężczyzny. Chłopcy przeszukiwali gnijącą marynarkę i kieszenie zielonego trupa. Zamarli w świetle naszej latarni, a ich oczy, gdy rozbłysły odbitym blaskiem, były wielkie, białe i nieludzkie.

Niemal przyprawiające o zawrót głowy wrażenie *déjà vu* przetoczyło się przeze mnie, aż zdałem sobie sprawę, że widzę scenę prosto z wydanej w odcinkach opowieści sensacyjnej *Dzicy londyńscy chłopcy, albo Dzieci Nocy* –

historia współczesna, którą obaj z Dickensem wspominaliśmy (zgodnie zażenowani faktem jej przeczytania), kiedy pierwszy raz zeszliśmy tutaj niemal dwa lata temu.

Wydawało się, że twarz martwego mężczyzny porusza się i migocze, kiedy się zbliżaliśmy, prawie jakby chorobliwie białe, rozkładające się rysy zostały pokryte bardzo cienką, półprzezroczystą jedwabną tkaniną. Zdawało mi się, że zamrugał, nim zamknął oczy, że mięśnie ust drgają, jakby silił się na uśmiech, być może pełen żalu, bo stał się częścią scenki z tak kiepsko napisanej powiastki sensacyjnej.

A potem zobaczyłem, że to nie mięśnie twarzy trupa się poruszają. Jego oblicze, dłonie, wszystkie odsłonięte części ciała były całkowicie pokryte cienką warstwą nieustannie poruszających się czerwi.

– Stać! – krzyknął Barris, kiedy Dzicy Chłopcy rzucili namoknięte brzemię z powrotem do gęstej mazi strumienia i odwrócili się do ucieczki.

Nasz człowiek na dziobie nadal kierował światło latarni na rozpierzchającą się bandę, a jego towarzysz przesunął łódkę potężnym pchnięciem drąga zanurzonego głęboko w szlamie na dnie tunelu. Jeśli nie liczyć niesmacznego dodatku w postaci wijących się robali, bawiła mnie nierealna, sensacyjna absurdalność całej tej sytuacji.

– Stać! – krzyknął znowu Barris.

Nagle w dłoni detektywa pojawił się mały, srebrny rewolwer. Nie miałem pojęcia – i nie mam go po dziś dzień – dlaczego chciał zatrzymać te dzikie stworzenia.

Dwaj chłopcy podciągnęli się do wysoko położonego wylotu rury kanalizacyjnej, która wydawała się zbyt mała, żeby zmieściły się w niej nawet takie niemożliwie chude i głodujące zjawy – ale oni zdołali wczołgać się do środka; człowiek aż się spodziewał głośnego „bach”, jak wystrzał korka od szampana, kiedy blade, nagie stopy drugiego chłopca, wiercąc się i młócąc powietrze, zniknęły nam z oczu. Trzeci chłopiec przykucnął nisko i ześlizgnął się głową naprzód do kolejnej rury po drugiej stronie.

Czwarty sięgnął na dno głębokiego na łokieć strumienia, w

którym stał, i cisnął dwiema garściami szlamu w naszą nadpływającą łódź. Detektyw z latarnią uchylił się i zaklął. Usłyszałem, jak szlam rozbryzguje się na ławce, na której siedziałem, i zobaczyłem, że część błota trafiła na klapy ciężkiego, wełnianego płaszcza Reginalda Barrisa.

Roześmiałem się.

Barris dwa razy strzelił z rewolweru. Huk w wąskim ceglanym tunelu był tak głośny i zaskakujący, że zatkałem uszy dłońmi.

Dziki Chłopiec wpadł do wody twarzą naprzód.

Łódka przesunęła się obok rojącego się od czerwi ciała mężczyzny, aż dopłynęliśmy do chłopca. Detektyw z drągiem sięgnął w dół, obrócił ciało i na wpół wciągnął je na łódkę. Brudna, cuchnąca woda kapała do łodzi z łachmanów chłopca i otwartych ust.

Miał nie więcej niż dziesięć, jedenaście lat. Jedna z kul Barrisa przeszła przez gardło, przecinając żyłę szyjną. Krew nadal płynęła z rany, chociaż bardzo słabo. Druga kula weszła w policzek tuż poniżej oka, które pozostało szeroko otwarte i patrzyło jakby z wyrzutem. Miał niebieskie oczy.

Nasz człowiek z drągiem pozwolił ciału ześlizgnąć się z powrotem do czarnej wody.

Wstałem i złapałem Barrisa za szerokie ramiona.

– Zabił pan dziecko!

– Nie ma dzieci w Podmieście – padła zimna, niewzruszona odpowiedź. – Tylko robactwo.

Pamiętam, że wtedy się na niego rzuciłem. Tylko ogromny wysiłek detektywa z drągiem i mężczyzny na rufie, który posłużył się sterem jak tyką do balansowania, sprawił, że nasza kolebiąca się łódka nie wywróciła się do góry dnem i nie dorzuciła czterech ciał do strumienia unoszącego zjadanego przez robaki mężczyznę i zamordowanego chłopca.

Pamiętam, że wydawałem z siebie jakieś dźwięki, gdy zaatakowałem Barrisa, ale nie formowałem słów – to było tylko powarkiwanie i na poły zduszone okrzyki, przekręcone sylaby bez znaczenia. Nie rzuciłem się na niego z pięściami,

jak mógłby to zrobić mężczyzna, tylko orząc palcami, jak szponami i sięgając paznokciami do oczu, jak mogłaby zaatakować wariatka.

Jak przez mgłę pamiętam, że Barris powstrzymywał mnie jedną ręką, aż stało się jasne, że nie odpuszczę i w końcu przeze mnie wylądujemy w czarnej wodzie. Jak przez mgłę pamiętam, jak mój krzyk przybrał na sile, a moja ślina zbryzgała przystojną twarz młodego detektywa, który powiedział coś do mężczyzny stojącego za mną na rufie. Potem nie wiem skąd pojawił się srebrny rewolwer i rozbłysnął w świetle kołyszącej się latarni.

A potem – na całe szczęście – nie pamiętam już niczego, tylko ciemność pozbawioną snów.

Rozdział 30

Obudziłem się za dnia, we własnym łóżku i własnej koszuli nocnej, ogarnięty wielką boleścią. Caroline pochylała się nade mną z marsem na czole. Czaszka tętniła mi bólem, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyłem. Wszystkie mięśnie, ścięgna, kości i komórki mojego ciała chrobotały zgrzytliwie, łącząc się w rozstrojonym chórze fizycznego cierpienia i rozpaczy. Miałem wrażenie, że minęły dni, jeśli nie tygodnie, odkąd ostatnio przyjąłem leczniczą dawkę laudanum.

– Kto to jest Martha? – spytała natarczywym tonem Caroline.

– Co? – Ledwie byłem w stanie mówić, wargi miałem spierzchnięte i spękane, a język stanął mi kołkiem.

– Kto to jest Martha? – Głos Caroline był równie beznamiętny i pozbawiony współczucia jak pistoletowy wystrzał.

W ciągu poprzednich dwóch lat doświadczyłem różnych rodzajów panicznego lęku – także przed tym, że budzę się ślepy w podziemnym grobowcu – nigdy jednak nie byłem tak przerażony, jak teraz. Poczułem się jak pasażer wygodnego powozu, który czuje, że jego pojazd właśnie zaczyna spadać w przepaść.

– Martha…? – wykrztusiłem. – Caroline, kochanie… O czym ty mówisz?

– Od dwóch dni i nocy powtarzasz to imię przez sen: Martha – wyjaśniła Caroline. Jej twarz i głos nie złagodniały ani na jotę. – Kto to jest Martha? – wycedziła z naciskiem.

– Od dwóch dni i nocy! Jak długo byłem nieprzytomny?! Jak tu dotarłem? Dlaczego mam obandażowaną głowę?

– Kto to jest Martha? – powtórzyła Caroline.

– Martha to… postać z *Dawida Copperfielda* Dickensa – odparłem, muskając gruby bandaż na głowie i udając, że nie interesuje mnie ta rozmowa. – Wiesz, taka ulicznica znad brudnej, plugawej Tamizy. Chyba śniła mi się Tamiza.

Caroline skrzyżowała ręce na piersi i zamrugała obojgiem oczu.

Nigdy nie lekceważ, Drogi Czytelniku, zaradności powieściopisarza w sytuacji beznadziejnej, nawet jeśli jest w tak kiepskim stanie, jak ja w owym dniu.

– Jak długo spałem? – zapytałem ponownie.

– Jest środa po południu – odparła w końcu Caroline. – W niedzielę około południa usłyszeliśmy pukanie do drzwi i znaleźliśmy cię nieprzytomnego na progu. Gdzieś ty się podziewał, Wilkie? Charley i Kate byli u nas dwa razy. Charley mówi, że był późny sobotni wieczór, kiedy bez słowa pożegnania wyszedłeś od matki; tak twierdzi pani Wells. Twoja matka też bardzo się niepokoi. Gdzie byłeś? Dlaczego twoje ubranie śmierdziało dymem i… czymś jeszcze gorszym? Musieliśmy je spalić. Co ci się stało w głowę? Frank Beard trzy razy już cię oglądał; nie podoba mu się to rozcięcie na skroni, podejrzewał wstrząśnienie mózgu. Bał się nawet, że wpadłeś w śpiączkę i nigdy już się nie obudzisz! Gdzieś ty był, Wilkie?! I dlaczego, na miłość boską, śnisz o Dickensowskiej bohaterce imieniem Martha?

– Za chwilę. – Przetoczyłem się na bok i wychyliłem poza łóżko, ale doszedłem do wniosku, że jednak nie dam rady stanąć na nogach. A nawet gdyby mi się udało, nie byłbym w stanie chodzić. – Za chwilę odpowiem na twoje pytania, ale najpierw każ służącej przynieść miednicę. Niedobrze mi.

***

Drogi Czytelniku z odległej przyszłości, wydaje mi się całkiem możliwe, wręcz prawdopodobne, że za sto i więcej lat od dziś w Twoim Dalekim Kraju wszelkie choroby zostaną pokonane, ból zwyciężony, a śmiertelne przypadłości tak powszechne wśród moich współczesnych staną się zaledwie odległym cieniem echa historycznej plotki. Jednakże w moim stuleciu, Drogi Czytelniku, mimo nieuniknionej pychy, jaką odczuwamy, kiedy porównujemy się z bardziej prymitywnymi kulturami, posiadamy, prawdę mówiąc, nader ograniczoną

wiedzę, którą moglibyśmy wykorzystać do walki z chorobami i ranami, i bardzo niewiele skutecznych mikstur aptekarskich, którymi posiłkujemy się w swoich żałosnych próbach ugłaskania najstarszego wroga ludzkości, jakim jest ból.

Frank Beard, mój przyjaciel, był jednym z najlepszych specjalistów w swojej podejrzanej branży. Nie upuszczał mi krwi. Nie przystawiał mi pijawek do brzucha. Nie obnosił się z arsenałem paskudnych stalowych narzędzi do trepanacji czaszki (mowa o zwyczaju wiercenia otworu w obolałej głowie pacjenta, powszechnym wśród dziewiętnastowiecznych chirurgów, który to odrażający zabieg wykonywali z taką dezynwolturą, jakby drążyli jabłko za pomocą świdra ciesielskiego: krążek białej kości wyskakiwał jak korek z butelki z winem, a oni przez cały czas zachowywali się tak, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem). Frank Beard był inny: często do mnie zaglądał, szczerze przejmował się moim stanem zdrowia, z niepokojem oglądał rozcięcie i siniak na linii włosów, zmieniał mi opatrunki, z niepokojem dopytywał się o mój uporczywy i nasilający się ból, doradzał odpoczynek i dietę mleczną, półgłosem wydawał instrukcje Caroline, cmokał z dezaprobatą na przyjmowane przeze mnie ilości laudanum (ale nie kazał mi go odstawić) i ostatecznie postanowił pozostać wiernym duchowi Hipokratesa, zgodnie z zasadą „po pierwsze: nie szkodzić”. Podobnie jak w wypadku swojego bardziej sławnego pacjenta i przyjaciela Charlesa Dickensa, Frank Beard zamartwiał się o mnie, lecz nie mógł mi pomóc.

Cierpiałem więc katusze.

Odzyskałem przytomność w swoim łóżku w dniu dwudziestym drugim stycznia, pięć dni po ostatnim zstąpieniu do palarni opium króla Lazaree. Złożony chorobą, do końca tygodnia nie mogłem nawet wstać z łóżka, mimo że odczuwałem gwałtowną potrzebę odwiedzenia matki. Podagra od lat dawała mi się we znaki, nigdy jednak nie cierpiałem tak jak teraz. Poza tradycyjnym rwaniem w

mięśniach, stawach i wnętrznościach, miałem dodatkowo wrażenie, że jakieś potężne, ogniście pulsujące źródło bólu usadowiło mi się w głowie, głęboko za prawym okiem.

Jakby jakiś olbrzymi insekt wgryzał mi się w mózg.

W tym okresie przypomniałem sobie dziwne słowa, jakie Dickens przed laty do mnie skierował. Dyskutowaliśmy – ogólnikowo – o nowoczesnej chirurgii, kiedy przelotnie wspomniał o „pewnej nieskomplikowanej procedurze medycznej", której poddał się był przed laty, niedługo przed wyjazdem do Ameryki.

Nie rozwinął tej myśli, ja jednak dowiedziałem się (od Katey Dickens i z innych źródeł), na czym polegał ów zabieg, którego z pewnością nie nazwałbym nieskomplikowanym. Pracując nad *Barnabą Rudge*, Dickens zaczął odczuwać coraz bardziej dokuczliwe bóle odbytu (których nijak nie potrafię porównać do dręczących mnie nieznośnych bólów głowy). Lekarze rozpoznali u niego „fistułę", czyli otwór w ścianie odbytnicy, przez który do środka próbowały się wcisnąć inne tkanki.

Nie pozostało mu nic innego, jak poddać się natychmiastowej operacji, do której wykonania wybrał doktora Fredericka Salmona, autora wydanego trzynaście lat wcześniej *Praktycznego eseju o strukturze odbytu.* Zabieg przebiegał następująco: odbyt został rozszerzony za pomocą szpatułki, unieruchomiony w tej pozycji zaciskami, a następnie otwarty jeszcze szerzej, tym razem przy użyciu jakiegoś okrutnego przyrządu chirurgicznego. Następnie powoli i starannie odcięto nadmiar wciśniętej do środka obcej tkanki, a resztę ostrożnie wypchnięto z odbytu. Na koniec zaszyto ścianę odbytnicy.

Dickens poddał się tej operacji bez zażywania morfiny, opium ani jakichkolwiek innych środków, które niektórzy nazywają dziś „anestetykami". Katey (która historię te poznała od matki, naturalnie) opowiadała mi, że ojciec przez cały czas trwania operacji zachował doskonały humor, a wkrótce po jej zakończeniu wrócił do normalnych zajęć. Kilka dni później znów zasiadł do pisania *Barnaby Rudge* –

chociaż, oddajmy mu sprawiedliwość, czynił to w pozycji leżącej, na sofie wyłożonej dodatkowymi poduszkami. Pierwsze wielkie amerykańskie tournée zbliżało się wielkimi krokami…

Ale odbiegam od tematu.

Komentarz Dickensa dotyczący „pewnej nieskomplikowanej procedury medycznej” koncentrował się na tym, jak miłosiernie zawodna bywa ludzka pamięć w kwestii bólu.

–Wielokrotnie zauważyłem, mój drogi Wilkie, że tak naprawdę nie zachowujemy wspomnień bólu – powiedział wtedy. Jechaliśmy krytym powozikiem przez hrabstwo Kent. – Owszem, pamiętamy to doświadczenie, doskonale wiemy, jak straszliwe było, i jesteśmy pewni, że nie chcemy go powtarzać, ale w gruncie rzeczy nie jesteśmy w stanie go sobie przypomnieć, nie sądzisz? Pamiętamy sam stan, ale już nie jego szczegóły, nie w taki sposób, w jaki potrafimy pamiętać… powiedzmy… wyśmienity posiłek. Przypuszczam, że to właśnie z tego powodu kobiety godzą się więcej niż raz przeżywać męki porodu: zapominają konkrety poprzednich katuszy. I o tym właśnie mówię, mój drogi Wilkie.

– To znaczy… o porodzie?

– Bynajmniej. Chodzi mi o kontrast pomiędzy bólem i luksusem. Ból zapamiętujemy w sposób ogólny (choć straszliwy) i nie umiemy go sobie przypomnieć, luksus zaś pamiętamy do ostatniego szczegółu. Sam powiedz, czy nie tak właśnie jest? Człowiekowi, który posmakował najlepszych win, palił najlepsze cygara, jadał w najwykwintniejszych restauracjach, nawet podróżował takim wygodnym powozikiem, jak my dwaj w tej chwili, albo miał okazję poznać naprawdę piękną kobietę, wszelkie inne doświadczenia w tych kategoriach wydają się blade i nijakie przez całe lata, dekady… czasem przez całe życie! Bólu nie jesteśmy w stanie zapamiętać. Luksusu zaś, ze wszystkimi jego sybaryckimi detalami, nie potrafimy zapomnieć.

No cóż… Może i tak. Zapewniam Cię jednak, Drogi Czytelniku, że okrutny ból, jaki dokuczał mi od stycznia do

kwietnia roku 1868, był tak potworny i tak konkretny, że nigdy go nie zapomnę.

***

Kiedy zachoruje wieśniak, inni zastępują go przy obrabianiu pola. Kiedy zaniemoże żołnierz, zgłasza się do infirmerii, a na pole bitwy wysyła się jego zastępcę. Kiedy choroba zmoże kupca, ktoś inny, na przykład żona, zastępuje go za sklepową ladą. Kiedy w chorobę popada królowa, miliony modlą się o jej zdrowie, a w mieszczącym sypialnię skrzydle królewskiego pałacu mówi się niemal szeptem i wytłumia odgłos kroków. Jednakże we wszystkich tych wypadkach – w polu, wojsku, sklepie i państwie – praca trwa nieprzerwanie.

Kiedy zaś choruje pisarz, wszystko zamiera; kiedy umrze, jego „firma” na zawsze kończy działalność. Pod tym względem profesja popularnego pisarza przypomina zawód sławnego aktora, tyle że nawet najsłynniejsi aktorzy mają swoich dublerów. A pisarz nie. Nikt nie może go zastąpić. Jego niepowtarzalny głos jest wszystkim. W sposób szczególny dotyczy to autorów popularnych, których powieści ukazują się w odcinkach w dużych, ogólnokrajowych czasopismach. W styczniu angielskie „All the Year Round” i amerykański „Harper’s Weekly” równocześnie zaczęły drukować *Kamień Księżycowy.* Przed publikacją miałem wprawdzie napisane kilka odcinków z wyprzedzeniem, ale te poszły już do składu i nowe musiały powstać natychmiast, a na razie istniały wyłącznie w formie zgrubnych szkiców. Musiałem je jeszcze naprawdę napisać.

Ta świadomość dorzuciła na moje barki dodatkowy ładunek zgrozy. Ból presji nałożył się na presję bólu, który rozpełzł się wszędzie i kąsał mnie boleśnie po całym wrzeszczącym wniebogłosy ciele i umyśle.

W pierwszym tygodniu tej mojej nowej niedoli, kiedy – przykuty do łóżka i wstrząsany bólem nie do opisania – nie byłem w stanie usiąść i utrzymać pióra w dłoni, próbowałem

podyktować nowy rozdział Caroline, a następnie także jej córce Carrie. Żadna z nich nie potrafiła jednak znieść bolesnych jęków i okrzyków, które wyrywały mi się mimo woli i przerywały pracę, a wówczas obie doskakiwały do mojego łóżka, żeby jakoś ulżyć mi w cierpieniu, zamiast siedzieć i czekać, aż podejmę dyktando.

Jeszcze przed nadejściem weekendu Caroline wynajęła sekretarza, który, siedząc na krześle obok łóżka, miał spisywać moje słowa. Jednakże i on, najwidoczniej człowiek z natury wrażliwy, nie potrafił spokojnie znosić moich jęków, skarg i mimowolnych konwulsji, bo już po godzinie zrezygnował. Jego następca, który pojawił się w poniedziałek, nie okazywał mi krzty zainteresowania ani współczucia, ale okazało się, że nie jest w stanie wyłowić dyktowanych słów i znaków przestankowych z zalewu moich krzyków i stęknięć. Po dwóch godzinach sam go zwolniłem.

W poniedziałek wieczorem, kiedy wszyscy w domu posnęli, a mnie przed zaśnięciem (a nawet przed spokojnym leżeniem) powstrzymywała opatrzona twardymi szczypcami bestia, która nawet po półtuzinie dawek laudanum, jakie sobie zaordynowałem, nieustępliwie krzątała mi się po mózgu, by po chwili zbiec w dół po kręgosłupie, wstałem w końcu z łóżka, dowlokłem się do okna, odsunąłem grobowo ciężkie kotary i spod podniesionych żaluzji spojrzałem w mrok zaścielający Portman Square.

Byłem pewien, że gdzieś tam, niewidoczni dla oczu laika, czyhają agenci inspektora Fielda. Wiedziałem, że mi nie odpuści – nie po tym, czego dowiedziałem się o jego działaniach.

Ubłagałem Caroline, żeby przynosiła mi gazety. Szczególnie zależało mi na tych egzemplarzach „Timesa”, które przegapiłem, leżąc w śpiączce. Zostały jednak wyrzucone, a przeglądając następne, świeższe, nigdzie nie znalazłem wzmianki o tym, żeby na cmentarzu w podłej dzielnicy znaleziono wypatroszone zwłoki byłego policjanta. Nie natknąłem się również na doniesienia o pożarach nad Tamizą ani w systemie kanałów w okolicy Fleet Ditch, a

Caroline tylko patrzyła na mnie z dziwną miną, kiedy o to pytałem.

O to samo wypytywałem również Franka Bearda, gdy tylko przyszedł mnie odwiedzić, a także mojego brata Charleya, żaden jednak nie przypominał sobie informacji o zamordowanym detektywie ani podziemnych pożarach. Obaj przypuszczali, że moje dociekania mają źródło w koszmarach sennych (w tych nielicznych i rozproszonych chwilach snu, jakie udawało mi się w tym okresie uciułać, rzeczywiście dręczyły mnie straszliwe koszmary), a ja w żaden sposób nie próbowałem wyprowadzić ich z błędu.

Było oczywiste, że inspektor Field wykorzystał swoje wpływy, żeby zamknąć usta policjantom i dziennikarzom, którzy chcieliby mówić albo pisać o makabrycznym morderstwie sierżanta Hatchery'ego… Tylko po co?

Może Field i setka albo więcej jego ludzi, którzy wyruszyli do podziemi miasta na ekspedycję karną, po prostu zataili morderstwo przed policją?

To samo pytanie: po co?

Kiedy w ową poniedziałkową noc, wczepiony w okienne kotary, wodziłem wzrokiem po mglistym styczniowym Londynie, brakowało mi zarówno sił cielesnych, jak i koncentracji, żeby odpowiedzieć sobie na swoje pytania. Gapiłem się jednak w mrok i wypatrywałem detektywów Fielda, jakbym wyczekiwał przyjścia Zbawiciela.

Dlaczego? Czy Field mógł jakoś uśmierzyć mój ból?

Skarabeusz u podstawy mojego mózgu przesunął się o cal lub dwa. Wrzasnąłem dwa razy, tłumiąc drugi okrzyk wepchniętym do ust kłębem aksamitnej zasłony.

Field – drugi gracz w tej okrutnej partii szachów – jak równy z równym mierzył się z tym potworem Droodem, w czym chyba jeszcze tylko nieobecny Charles Dickens (którego motywy wydawały mi się jeszcze bardziej niezrozumiałe) mógł mu dotrzymać kroku… Uświadomiłem sobie nagle, że przypisuję staremu, grubemu i zarośniętemu detektywowi jakieś nieprawdopodobne, niemal nadprzyrodzone cechy.

Potrzebowałem kogoś, kto by mnie ocalił.

Nikogo takiego nie było.

Szlochając, powlokłem się do łóżka. Musiałem oprzeć się o kolumienkę baldachimu, kiedy na moment oślepił mnie przemieszczający się ból. Kilkoma chwiejnymi krokami pokonałem odległość dzielącą mnie od biurka. Klucz do dolnej szuflady leżał ukryty pod wyściółką w przyborniku na pędzle, tam gdzie zawsze go chowałem. A w szufladzie, przykryty czystym płótnem, spoczywał rewolwer, który dostałem od detektywa Hatchery'ego.

Wyjąłem go (po raz kolejny zdumiewając się jego ciężarem), zatoczyłem się w tył i przysiadłem na skraju łóżka, tuż obok jedynej zapalonej świecy. Nasunąłem okulary na nos i zdałem sobie sprawę, że nie tylko czuję się, ale i wyglądam jak obłąkaniec: rozczochrane włosy, zmierzwiona broda, wykrzywiona twarz, usta otwarte w ciągłym bolesnym jęku, dzikie spojrzenie przepojonych bólem i zgrozą oczu, wymięta koszula nocna i wyzierające spod niej blade, roztrzęsione golenie.

Najlepiej jak umiałem (biorąc pod uwagę kompletny brak obeznania z bronią palną), upewniłem się, że naboje nadal spoczywają w swoich cylindrycznych pojemnikach. Pamiętam, co wtedy myślałem: Ten ból się nigdy nie skończy. Skarabeusz nie da mi spokoju. Nie dokończę *Kamienia Księżycowego.* Za parę tygodni dziesiątki tysięcy ludzi ustawią się w kolejkach po następne numery „All the Year Round" i „Harper's Weekly" i znajdą tam tylko białe, puste stronice.

Idea pustki, wizja próżni, wydała mi się tej nocy tak nieskończenie atrakcyjna, że nie da się wyrazić tego słowami.

Podniosłem rewolwer na wysokość twarzy i włożyłem sobie ciężką, szeroką lufę do ust. Wypustka na lufie (muszka, jak się domyślałem) stuknęła mi o zęby.

Dawno temu ktoś (być może stary aktor Macready) tłumaczył kilkorgu z nas, zebranym przy stole, że ktoś, kto poważnie myśli o samobójstwie, powinien włożyć lufę w usta

i celować w górę, w podniebienie miękkie, zamiast próbować od zewnątrz przestrzelić czaszkę, często się bowiem zdarzało, że kula rykoszetowała na twardych kościach i niedoszły samobójca zamiast trupem stawał się obolałym warzywem i obiektem powszechnych kpin.

Ręce trzęsły mi się wściekle, dygotałem na całym ciele, ale przytrzymując ciężki jak kowadło rewolwer jedną ręką, drugą sięgnąłem do masywnego kurka i odciągnąłem go w tył, aż szczęknął i znieruchomiał. Kończyłem właśnie tę operację, gdy uświadomiłem sobie, że gdyby mój spocony kciuk omsknął się na kurku, rewolwer już by wystrzelił i kula zmasakrowałaby mi mózg.

Skarabeusz byłby martwy, a jeśli nie, to na pewno mógłby spokojnie ryć i żerować, bo ja nie czułbym już bólu.

Dreszcze jeszcze się nasiliły, a ja zacząłem pochlipywać, ale nie wyjąłem odrażającej lufy z ust. Odruch wymiotny był bardzo silny; gdyby nie fakt, że po południu i wieczorem wymiotowałem już kilkakrotnie, teraz na pewno bym to zrobił. Żołądek podszedł mi do gardła, przełyk skurczył się spazmatycznie, lecz udało mi się utrzymać rewolwer wycelowany do góry. Okrągły wylot lufy oparł się o podniebienie, tak jak radził Macready.

Zahaczyłem kciukiem o język spustowy i zacząłem naciskać. Zęby mi szczękały, kiedy zaciskałem je na długiej lufie. Uświadomiwszy sobie, że wstrzymuję oddech i że dłużej nie dam rady, wypuściłem powietrze w ostatnim wydechu.

Wydmuchnąłem je przez lufę. Mogłem przez nią oddychać.

Ciekawe, ilu ludzi wie, że to możliwe. Poczułem słodko–kwaśny smak oliwy (nieżyjący już detektyw Hatchery dawno temu nasmarował broń, lecz smak wciąż był dość wyrazisty) i zimny, jakby lekko miedziany posmak samej stali. Przygryzłem lufę i robiąc długie, roztrzęsione wdechy i wydechy, wsłuchałem się w świst swojego tchnienia w podziurawionym komorami nabojowymi bębenku i w pustce, nad którą zawisł naciągnięty kurek.

Ilu ludzi zakończyło żywot z taką właśnie nieistotną

ostatnią myślą, kołaczącą się po mózgu, który za chwilę miał się stać martwy, rozbryźnięty, stygnący i bezrozumny?

Ironia tego spostrzeżenia okazała się silniejsza niż wywołany przez skarabeusza ból. Doceniłem ją jako powieściopisarz i zacząłem się śmiać. Był to dziwny śmiech, stłumiony, dziwnie odrażający i zniekształcony przez lufę w zębach. Po chwili wyjąłem rewolwer z ust (zwilżony moją śliną metal, gdzie indziej matowy, na lufie połyskiwał lekko w świetle świecy) i trzymając go w jednej ręce, drugą sięgnąłem po świecznik. Powłócząc nogami, wyszedłem z sypialni.

Mój nowy gabinet na parterze był zamknięty, ale nie na klucz. Wszedłem do środka i zatrzasnąłem za sobą szerokie, dwuskrzydłowe drzwi.

Drugi Wilkie siedział bokiem przy biurku i mimo prawie zupełnej ciemności czytał książkę. Podniósł na mnie wzrok i poprawił okulary, które odbiły płomień mojej świecy i przesłoniły jego oczy pionowymi, migotliwymi słupami żółtego ognia. Zauważyłem, że brodę ma nieco krótszą i odrobinę mniej siwą ode mnie.

– Potrzebujesz mojej pomocy – powiedział.

Nigdy, ani razu przez te wszystkie lata, jakie upłynęły od chwili, gdy w dzieciństwie mgliście uświadomiłem sobie istnienie swojego drugiego ja, Drugi Wilkie się do mnie nie odezwał. Ba, nigdy nie wydał żadnego dźwięku. Zaskoczyła mnie lekko kobieca barwa jego głosu.

– Tak – przytaknąłem chrypliwym szeptem. – Potrzebuję twojej pomocy.

Poczułem się głupio, gdy uświadomiłem sobie, że w prawej ręce wciąż ściskam nabity, gotowy do strzału rewolwer. Mogłem wycelować i strzelić pięć (albo sześć?) razy prosto w to aż nazbyt prawdziwie wyglądające ciało, rozparte bezczelnie za moim biurkiem.

Czy kiedy Drugi Wilkie zginie, ja również umrę? A kiedy zginę ja, czy on też umrze? Miałem ochotę parsknąć śmiechem, zadając sobie takie pytania, ale zamiast śmiechu wydostał mi się z ust zdławiony szloch.

– Zaczniemy dzisiaj? – spytał Drugi Wilkie, kładąc otwartą książkę okładką do góry.

Zdjął okulary i przetarł je chusteczką (którą trzymał w tej samej kieszeni marynarki, co ja swoją), a ja spostrzegłem, że nawet bez szkieł odbijających płomyk świecy jego oczy mają migotliwe, ogniste źrenice, pionowe jak u kota.

– Nie – odparłem. – Nie dzisiaj.

– Ale niedługo? – Znów założył okulary.

– Tak – przytaknąłem. – Niedługo.

– Przyjdę do ciebie – powiedział Drugi Wilkie.

Zostało mi akurat dość sił, żeby skinąć głową. Nadal boso i z gotowym do strzału rewolwerem w ręce wyszedłem z gabinetu, zamknąłem za sobą drzwi, poczłapałem na piętro, do sypialni, gdzie runąłem ciężko na łóżko i zasnąłem na stosie skotłowanej pościeli – z bronią w dłoni i kciukiem na zimnym, zakrzywionym cynglu.

Rozdział 31

Od lat przekonywałem Caroline, że nie mogę się z nią ożenić, ponieważ moja matka, z natury niezwykle nerwowa i przez całe życie cierpiąca na nadpobudliwość, która teraz ją zabijała (według doktora Bearda), nie byłaby w stanie zrozumieć ani zaakceptować mojego związku z wdową, która – co po ślubie szybko by się wydało – od dawna mieszkała ze mną pod jednym dachem. Tłumaczyłem jej, że muszę oszczędzić kruchej starowinie (która, prawdę powiedziawszy, poza tą swoją nadpobudliwością wcale nie była delikatna) takiego wstrząsu. Caroline nigdy nie przyjęła moich argumentów, ale po kilku latach przestała przynajmniej się ze mną spierać.

A teraz moja matka naprawdę była umierająca.

W czwartek trzydziestego stycznia – tydzień i dzień po tym, jak ocknąłem się we własnym łóżku po pożarach w Podmieście i napaści Barrisa – Caroline pomogła mi się ubrać i Charley prawie zaniósł mnie do powozu, którym pojechałem na dworzec kolejowy. Poprzez dwukrotne zwiększenie i tak dużej dawki laudanum (popijanego wprost z olbrzymiej karafki) udało mi się wprowadzić skarabeusza w stan względnego spokoju. Zamierzałem udać się do domu matki i tam pisać, posiłkując się takimi właśnie zdublowanymi porcjami laudanum, aż do jej śmierci. Potem mógłbym spróbować ułożyć sobie jakoś życie z Caroline, zrobić coś ze skarabeuszem w mózgu i załatwić inne swoje sprawy.

Podczas podróży pociągiem do Tunbridge Wells i Southborough targały mną gwałtowne mdłości i byłem tak roztrzęsiony, że biedny Charley z obolałym brzuchem musiał objąć mnie ramieniem i usiąść bokiem na miejscu od strony przejścia, żeby choć trochę zasłonić mnie przed wzrokiem innych pasażerów. Starałem się nie pojękiwać zbyt głośno, jestem jednak pewien, że niektóre z moich jęków były doskonale słyszalne mimo dudnienia lokomotywy, turkotu kół

o szyny i świstu zimnego wiejskiego powietrza. Bóg jeden wie, jakie dźwięki wydawalibyśmy we dwóch ze skarabeuszem, gdybym nie przyjął gigantycznych ilości laudanum.

Doświadczyłem nagłego, przerażająco absolutnego wglądu w to, jakim piekłem musiało stać się życie Charlesa Dickensa po Staplehurst – zwłaszcza podczas wyczerpujących objazdów pisarskich (w tym także tego po Ameryce, w którym właśnie uczestniczył), kiedy to niemal codziennie musiał podróżować z miasta do miasta w roztelepanych, trzeszczących, lodowatych, dusznych, zadymionych, trzęsących, cuchnących potem i węglem wagonach.

Czy Dickens też miał swojego skarabeusza? Albo czy ma go obecnie?

Pociąg turkotał, a ja nie byłem w stanie myśleć o niczym innym. Jeżeli Dickens miał wszczepionego przez Drooda skarabeusza, którego w jakiś sposób zdołał się pozbyć (poprzez publiczne zamordowanie niewinnego człowieka?), to był moją jedyną nadzieją. Jeśli zaś nadal nosił potwornego żuka w sobie, lecz nauczył się z nim żyć, pracować i normalnie funkcjonować… To i tak był moją największą szansą.

Wagonem zarzuciło, a ja jęknąłem z bólu. Głowy zwróciły się w naszym kierunku. Wtuliłem twarz w zalatujący mokrą wełną płaszcz Charleya, szukając w nim pociechy i ucieczki – i przypomniałem sobie, że dokładnie tak samo zachowywałem się w ciemnej szatni szkoły z internatem, do której uczęszczałem jako młody chłopak.

***

Mój list do braci Harperów zaczynał się – jak mi się wydawało – doskonałą mieszanką męskiego smutku i profesjonalizmu:

> *Choroba zagrażająca życiu matki kazała mi przybyć do jej wiejskiego domku, gdzie w chwilach wolnych od opieki nad nią staram się ze wszystkich sił pracować nad*

powieścią.

Z nie mniejszym profesjonalizmem omówiłem wprowadzone poprawki i kwestię wysyłki dwunastego i trzynastego z cotygodniowych odcinków, a następnie poświęciłem nieco miejsca i uwagi najpierw pochwałom, a następnie uwagom krytycznym do przysłanych mi próbnych ilustracji. (Mój pierwszy z wielu narratorów–epistolografów, majordomus Gabriel Betteredge, został przez rysownika przedstawiony w liberii. Tłumaczyłem Amerykanom, że to nie wchodzi w grę, ponieważ majordomus w wytwornej rezydencji, a w takiej właśnie służył Gabriel, ubierałby się w czarny strój pozbawiony wszelkich ozdób, przez co – ze swoimi szpakowatymi włosami i w białym fularze – do złudzenia przypominałby starszawego pastora). Zakończenie listu wydało mi się eleganckie, pięknie teatralne, z lekką nutą osobistą:

> *Możecie być Panowie pewni, że będę miał na względzie Wasze upodobania, zwłaszcza po tym jak okazaliście wielką gotowość, by liczyć się z moimi. Jest mi niezmiernie miło, że podoba się Panom dotychczasowy rozwój akcji. Możecie spodziewać się pewnych nowych zabiegów literackich, których – o ile się nie mylę – nikt przede mną nie próbował stosować w beletrystyce.*

Przyznaję, że to ostatnie zdanie brzmiało dość odważnie, może nawet nieco arogancko, ale w moim zamyśle tajemnica kradzieży *Kamienia Księżycowego* opierała się na długim i precyzyjnym opisie człowieka, który nocą pozostaje pod silnym wpływem opium, co pozwala mu dokonywać skomplikowanych działań, z których później nic nie pamięta – dopóki inny, bardziej świadomy użytkownik opium, nie pomoże mu odzyskać tych wspomnień. Byłem szczerze przekonany, że będą to sceny bez precedensu w poważnej literaturze angielskiej.

Co się zaś tyczy przerw w pracy spowodowanych koniecznością czuwania przy łożu matki, nie uznałem za

istotne ani stosowne wyjaśniać, że owe okresy czuwania zdarzały się rzadko i trwały krótko, mimo że przecież stale byłem na podorędziu. Prawda wyglądała bowiem tak, że matka nie mogła zdzierżyć mojej obecności w sypialni.

Charley uprzedzał mnie, że podczas mojej blisko dwutygodniowej nieobecności matka odzyskała mowę, lecz słowo „mowa” w żadnym wypadku nie było precyzyjnym deskryptorem wrzasków, jęków, nieartykułowanych okrzyków i na wpół zwierzęcych odgłosów, jakie wydawała w obecności innych ludzi, a zwłaszcza mojej.

Kiedy pierwszy raz przyszliśmy do niej w tamto popołudnie przedostatniego dnia stycznia, jej wygląd wstrząsnął mną do tego stopnia, że ogarnęły mnie mdłości. Miało się wrażenie, że choroba strawiła całe żywe ciało i zdeformowana postać w łóżku składa się z upstrzonej plamami skóry obciągniętej na kościach i ścięgnach. Przypominała mi (nie mogłem otrząsnąć się z tego skojarzenia!) martwe pisklę, które w dzieciństwie znalazłem w ogrodzie. Tak jak u tamtego ptasiego trupa (ze złożonymi, makabrycznie nieopierzonymi skrzydełkami), ciemna, plamista skóra matki była przezroczysta i odsłaniała kształt rzeczy, które powinny były pozostać niewidoczne.

Tęczówki jej oczu, ledwie widoczne spod półprzymkniętych powiek, trzepotały jak złapane w potrzask wróble.

Rzeczywiście jednak zachowała resztki mocy wokalnych. Kiedy stanąłem przy łóżku, zaczęła się wić, złożone ptasie skrzydła zadrżały i zatrzepotały, powykręcane nadgarstki szarpnęły szponiastymi dłońmi w przód i w tył – i wrzasnęła. Prawdę mówiąc, jej głos tylko po części przypominał ludzki krzyk, po części zaś brzmiał jak zwierzęcy warkot. Dźwięk był przeraźliwy, jakby ktoś wypuścił parę skłębioną pod straszliwym ciśnieniem w organach parowych. Resztki włosów na karku skręciły mi się ze zgrozy.

Patrząc na wijącą się i jęczącą matkę, sam zacząłem się wić i pojękiwać. Musiał to być straszny widok dla Charleya, który objął mnie, żebym się nie przewrócił. (Pani Wells pośpiesznie oddaliła się z domu, gdy tylko do niego

przybyłem, i unikała mnie przez całe trzy dni, które w nim spędziłem. Nie miałem więc sposobności – a i chęci niewiele – żeby tłumaczyć jej, co naprawdę robiłem w tę noc, gdy zobaczyła, jak zadzieram matce koszulę nocną w poszukiwaniu śladów skarabeusza. Nie będę przecież tłumaczył się przed służbą).

Wyjąc z bólu, czułem, jak skarabeusz łazi mi po mózgu w tę i z powrotem. Czułem… Nie, nie czułem: wiedziałem, że taki sam skarabeusz w ciele matki reaguje na obecność moją i mojego pasożyta.

Niewiele mogłem zrobić. Z jękiem osunąłem się w ramionach Charleya, który na wpół przeniósł mnie, na wpół zaciągnął na kanapę w drugim pokoju. Krzyki matki przycichły nieco, gdy zniknęliśmy jej z oczu. Mój skarabeusz też się uspokoił. Kątem oka dostrzegłem panią Wells, która wpadła pośpiesznie do domu, gdy Charley zajmował się mną w salonie przy kominku.

Tak to właśnie wyglądało przez całe trzy dni, które spędziłem przy matce – czy raczej przy tej wrzeszczącej, drapiącej powietrze i cierpiącej męki istocie, która kiedyś była moją matką – w jej domu w Southborough, nieopodal Tunbridge Wells.

Charley towarzyszył mi przez cały czas, co było sprzyjającą okolicznością: pełnił rolę bufora między mną i panią Wells, która z pewnością porzuciłaby opiekę nad matką, gdyby go zabrakło. Jeżeli nawet zastanawiał się, dlaczego oboje z panią Wells dokładamy wszelkich starań, żeby ani przez moment nie znaleźć się w jednym pokoju sam na sam, nigdy o to nie zapytał. W piątek przyjechał Frank Beard: po raz kolejny orzekł, że dla matki nie ma już nadziei, i wstrzyknął jej morfinę, żeby mogła zasnąć. Przed wyjściem także mnie zrobił zastrzyk z morfiny. Kto wie, czy nie był to jedyny krótki okres spokoju, w którym Charley mógł się zdrzemnąć, korzystając z tego, że pani Wells dogląda matki.

***

Pomieszkując w Southborough, próbowałem pracować. Zabrałem z domu pokryte laką blaszane pudełko z notatkami i materiałami źródłowymi i do oporu wysiadywałem przy malutkim biurku pod frontowymi oknami, ale wyraźnie brakowało mi siły w prawej ręce; musiałem przekładać pióro do lewej dłoni, żeby zamoczyć je w atramencie. A słowa i tak nie chciały płynąć. Przez trzy dni wpatrywałem się w stronicę nieskażoną pismem, jeśli nie liczyć trzech albo czterech niewydarzonych wersów, które ostatecznie postanowiłem wykreślić.

Po trzech tak spędzonych dniach wszyscy przestaliśmy udawać, że moja obecność jest komukolwiek do czegoś potrzebna. Matka nie mogła znieść mojej bliskości; gdy tylko wchodziłem do jej sypialni, jej stan się pogarszał, zaczynała bredzić i rzucać się na łóżku. Mój ból również się wzmagał, do chwili, aż wycofałem się z pokoju albo zemdlałem.

Charley spakował mnie i popołudniowym ekspresem odwiózł do Londynu. Wysłał wcześniej telegram, dzięki czemu Frank Beard i mój służący George wyszli po mnie na dworzec; musieli mnie we trzech dźwignąć do wynajętego powozu. Kiedy wnosili mnie przez frontowe drzwi domu i taszczyli na górę do mojego pokoju, spojrzenie Caroline G. nie uszło mej uwagi: był w nim niepokój, być może z odrobiną czułości, ale były w nim również zakłopotanie i pogarda, i to pogarda granicząca z obrzydzeniem.

Beard zrobił mi solidny zastrzyk z morfiny, po którym zapadłem w głęboki sen.

***

Przebudź się w pokoju!
Przebudź się pięknie w pokoju!
Heru z Edfu sam budzi się do życia!
Bogowie we własnej osobie powstają, by czcić twego ducha,
O ty, któryś jest czcigodnym skrzydlatym dyskiem wschodzącym na niebie!

Bo tyś jest tym jedynym, słoneczną kulą, która przeszywa niebo,
Zrazu śpiesznie oblewa ziemie na wschodzie,
A potem zapada się pod ziemię jako zachodzące słońce i spędza noc w Iunet.
Heru z Edfu,
Który budzi się w pokoju,
Wielki bóg, władca nieba,
Ten, którego upierzenie jest wielobarwne,
Powstaje na horyzoncie,
Wielki skrzydlaty dysk, chroniący świątynie!
Przebudź się w pokoju we własnej osobie!
Ihy, który budzi się w pokoju,
Wielki syn Hwt–Hwr,
Którego Złocisty Netem uczynił szlachetnym!
Przebudź się w pokoju we własnej osobie!
Przebudź się w pokoju!
Ihy, synu Hwt–Hwr, przebudź się w pokoju!
Przebudź się w pokoju, Harsiesisie, synu Ozyrysa,
Dziedzicu bez skazy, wywodzący się od Potężnego,
Spłodzony przez Ounennefera Zwycięskiego!
Przebudź się w pokoju we własnej osobie!
Przebudź się w pokoju, Ozyrysie!
Wielki Boże, który mieszkasz w Iunet,
Starszy synu Geba!
Przebudź się w pokoju we własnej osobie!
Przebudźcie się w pokoju, Neteru i Neteretu, którzyście są w Tarer,
Enneado, która otaczasz Jego Wysokość!
Przebudźcie się w pokoju!

Przebudziłem się w ciemności, bólu i strachu.

Nigdy przedtem nie śniłem samych słów, samych śpiewnych fraz, na dodatek w języku, którego nie rozumiałem, lecz który mój umysł (albo skarabeusz) jakimś cudem był w stanie przełożyć na angielski. W nozdrzach wciąż czułem lekki smród kadzidła i oleisty odór dymu; w

uszach dźwięczało mi echo dawno nieżyjących głosów rozbrzmiewających w kamiennych kurhanach; pod powiekami, jak wypalone słońcem czerwone kręgi, płonęły mi twarze i ciała Neteru, bogów Czarnych Krain: Nut, Władczyni Gwiazd; Ast, czyli Izydy, Królowej Nieba; Asar, inaczej Ozyrysa, boga naszych Ojców; Nebt–Het, Neftydy, Bogini Tej Śmierci, Która Nie Jest Wieczna; Suti, czyli Seta, Nieprzyjaciela; Heru, Horusa, Władcy Rzeczy Przyszłych; Anpu, Anubisa, Przewodnika Umarłych; Dżehutiego, Thotha, strażnika Księgi Życia.

Udręczony bólem wywołanym poruszeniami skarabeusza krzyknąłem w ciemność.

Nikt nie przyszedł. Noc jeszcze się nie skończyła, drzwi mojej sypialni były zamknięte, a Caroline z córką spały na parterze, za kolejnymi zamkniętymi drzwiami. Kiedy echo krzyku dogorywało pod moją obolałą czaszką, uświadomiłem sobie, że ktoś – lub coś – jest ze mną w pokoju. Słyszałem jego oddech. Czułem jego obecność, lecz nie w taki sposób, w jaki podprogowo wyczuwamy czasem ciepło istoty ludzkiej, które pozwala nam stwierdzić, że ktoś stoi obok nas w ciemności. Wyraźnie odbierałem wrażenie zimna tej istoty. Jakby coś wysysało z powietrza resztki ciepła.

Sięgnąłem po omacku na komodę, znalazłem zapałki i zapaliłem świecę.

Drugi Wilkie siedział na małym, twardym krzesełku u stóp mojego łóżka. Był ubrany w czarny niby–surdut, który wyrzuciłem kilka lat wcześniej.

Na kolanach miał podkładkę do pisania z przypiętym czystym arkuszem papieru. W lewej ręce trzymał ołówek; paznokcie tej dłoni miał ogryzione krócej niż ja je zwykle obgryzam.

– Czego chcesz? – spytałem szeptem.

– Czekam, aż zaczniesz dyktować – odparł.

Kolejny raz zwróciłem uwagę, że jego głos nie jest tak basowy i dźwięczny jak mój, ale... czy człowiek może należycie ocenić ton i tembr własnego głosu?

– Co mam dyktować? – wykrztusiłem.

Drugi Wilkie zwlekał z odpowiedzią, aż wybrzmiało sto uderzeń mojego serca.

– Wolisz mi podyktować treść swojego snu czy następny odcinek *Kamienia Księżycowego*?

Zawahałem się. To musiała być jakaś pułapka. Czy jeśli nie zacznę dyktować szczegółowego opisu ceremonii ku czci bogów Czarnych Krain, skarabeusz zacznie drążyć tunel, przez który wyjdzie na zewnątrz z mojej czaszki lub twarzy? Czy ostatnią rzeczą, jaką poczuję, będzie cięcie potężnych szczypiec wyrzynających sobie drogę w moim oku lub policzku?

– *Kamień Księżycowy* – odparłem. – Sam będę pisał.

Byłem zbyt słaby, żeby wstać z łóżka. Pół minuty zmagań kosztowało mnie dźwignięcie się i koślawe wsparcie na poduszkach. Skarabeusz jednak nie zaatakował. Może, pomyślałem z nadzieją, nie rozumie po angielsku.

– Powinniśmy zamknąć drzwi na zasuwkę – wyszeptałem. – Zajmę się tym.

Lecz i tym razem zabrakło mi sił, żeby wstać.

Drugi Wilkie wstał, zamknął zasuwkę i wrócił na swoje miejsce. Przytknął ołówek do papieru. Zauważyłem, że pisze lewą ręką. Ja byłem praworęczny.

Zamknął drzwi, podpowiadał mi obolały mózg. Przesunął zasuwkę.

Może oddziaływać na przedmioty materialne.

Oczywiście. Zielonoskóra dziewucha z kłami drapieżnika też zostawiła mi ślady na szyi, prawda?

Drugi Wilkie czekał, co zrobię.

Pojękując i pokwikując z bólu, zacząłem:

– *RELACJA PIERWSZA*, wersalikami… *pióra panny CLACK,* nazwisko również wersalikami, dwukropek, *siostrzenicy nieboszczyka sir Johna Verindera,* trzy linie odstępu, *ROZDZIAŁ PIERWSZY*, liczebnik cyfrą rzymską… dwie linie odstępu… *Ukochanym moim rodzicom, którzy oboje już nie żyją…* Nie, czekaj, inaczej: *którzy oboje są już teraz w niebie…* tak… *zawdzięczam nawyki ładu i porządku, wpojone mi w młodości…* Nie, panna Clack nigdy nie była naprawdę

młoda, napisz… *we wczesnym dzieciństwie…*[8]. Kropka. Nowy akapit.

Jęknąłem i opadłem na przesiąkniętą potem poduszkę. Drugi Wilkie czekał cierpliwie, z ołówkiem gotowym do pisania.

***

Przespałem zaledwie dwie, może trzy godziny, dręczony koszmarami, kiedy rozległo się głośne łomotanie do drzwi sypialni. Po omacku sięgnąłem po leżący na szafce nocnej zegarek i stwierdziłem, że dochodzi jedenasta rano. Łomotanie rozbrzmiało ponownie, tym razem towarzyszył mu także surowy, lecz zaniepokojony głos Caroline:

– Wilkie? Wpuść mnie.

– Wejdź – powiedziałem.

– Nie mogę. Drzwi są zamknięte na klucz.

Przez kilka minut zbierałem siły, żeby odrzucić przykrycie, poczłapać do drzwi i otworzyć zasuwkę.

– Dlaczego się zamknąłeś, na litość boską? – zdziwiła się Caroline, kiedy wparowała przez próg i zaczęła się krzątać wokół mnie.

Wróciłem do łóżka i przyrzuciłem sobie nogi kocem.

– Pracowałem – wyjaśniłem. – Pisałem.

– Pracowałeś? – Wzięła do ręki plik kartek leżących na krześle. – Są napisane ołówkiem – zauważyła. – Przecież ty nigdy nie używasz ołówka.

– Kiedy leżę na wznak, nie bardzo mogę pisać piórem.

– Wilkie… – Spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem sponad pliku stronic. – To nie jest twoje pismo.

Podała mi kartki.

Z pewnością nie był to mój charakter pisma. Pośpiesznie skreślone ołówkiem słowa pochylały się w niewłaściwym kierunku (pasującym raczej do osoby leworęcznej, jak sobie uświadomiłem), litery miały też inny kształt – były ostrzejsze, bardziej kanciaste, niemal agresywne w swej nieozdobnej prostocie; nawet odległości między nimi i szerokość

marginesów były nie w moim stylu.

– Sama widziałaś, że drzwi były zamknięte na zasuwkę – odparłem po chwili. – Przez większość nocy nie mogłem spać z bólu, więc pisałem. Ani ty, ani Carrie, ani żaden z tych pozbawionych kręgosłupa sekretarzy, których mi sprowadziłaś, nie nadawaliście się do spisywania dyktowanych przeze mnie słów, nie miałem więc innego wyjścia, jak spisać je własnoręcznie. Nowe odcinki mają trafić do Ameryki i biura Willsa już w przyszłym tygodniu. Cóż innego mi pozostało, jak pracować po nocach, pisząc ołówkiem, w dodatku lewą ręką, skoro prawa odmawia mi posłuszeństwa? Cud, że w ogóle da się to odczytać.

Była to najdłuższa przemowa, jaką wygłosiłem od chwili, gdy znaleziono mnie nieprzytomnego na progu mego domu w dniu dwudziestym drugim stycznia, ale pani G. najwyraźniej nie zaimponowałem.

– Pismo jest bardziej czytelne niż twoje normalne rękopisy – orzekła. Rozejrzała się po sypialni. – Gdzie się podział ten ołówek?

Zarumieniłem się, choć było to niedorzeczne. Drugi Wilkie musiał zabrać ołówek, kiedy krótko po świcie wymknął się z pokoju – mimo zamkniętych drzwi i litych ścian.

– Musiałem go upuścić – powiedziałem. – Pewnie wturlał się pod łóżko.

– Wiesz co… Po przeczytaniu tych paru akapitów, które wpadły mi w oko, muszę przyznać, że ani ta twoja okropna nowa przypadłość, ani choroba matki nie stępiły twojego pióra. Wprost przeciwnie. Narracja panny Clack jest niesamowicie zabawna. Spodziewałam się, że zrobisz z niej osóbkę skwaszoną i godną pożałowania, taką karykaturę, tymczasem na tej pierwszej stronie czy dwóch wyrasta wyraźnie na bohaterkę komiczną. Już nie mogę się doczekać, aż przeczytam resztę.

Kiedy wyszła, żeby zlecić służącej przygotowanie śniadania dla mnie, przejrzałem zdumiewająco gruby plik zapisanych kartek. Pierwsze zdanie brzmiało dokładnie tak, jak je podyktowałem. Dalej wszystko się zmieniło.

Caroline miała rację w swojej pośpiesznej ocenie: postać panny Clack – nieznośnej, wścibskiej intrygantki i dewotki – została nakreślona z wdziękiem i energią. Opisy i dialogi (oczywiście relacjonowane z subiektywnie świętoszkowatego punktu widzenia, ponieważ to panna Clack była w nich narratorką) płynęły swobodnie i pewnie, spisane komiczną prozą znacznie lżejszą od zawiłych i przyciężkich akapitów, które dyktowałem w nocy.

Niech go wszyscy diabli! Drugi Wilkie pisał *Kamień Księżycowy,* a ja nie mogłem nic na to poradzić.

W dodatku był lepszym pisarzem ode mnie.

Rozdział 32

Matka zmarła dziewiętnastego marca.

Nie było mnie przy niej, kiedy umarła. Ponieważ nie mogłem być na pogrzebie, poprosiłem o zastępstwo mojego przyjaciela, Holmana Hunta, z którym zaledwie tydzień wcześniej byłem w teatrze, który wystawiał moje *Bez wyjścia*. „Widok twarzy drogiego starego przyjaciela, którego matka kochała, a my nadal kochamy, z pewnością przyniesie mu pociechę”, napisałem do Hunta, mając na myśli swojego brata Charlesa.

Prawdę mówiąc, Drogi Czytelniku, nie miałem zielonego pojęcia, czy moja matka kochała Holmana Hunta albo czy on żywił wobec niej jakieś poważniejsze uczucie. Zdarzyło się jednak kilkakrotnie, że w mojej obecności jedli razem kolację, uznałem więc, że nic nie stoi na przeszkodzie, by to właśnie on wypełnił puste miejsce po mnie na pogrzebie Harriet Collins.

Pomyślisz pewnie, Drogi Czytelniku, że jestem oziębły lub nieczuły, skoro nie poszedłem na pogrzeb własnej matki, mimo że stan zdrowia prawdopodobnie (ba, z pewnością!) by mi na to pozwolił. Zmieniłbyś jednak zdanie, gdybyś znał stan mojego serca i umysłu w owym okresie. Wszystko było takie przerażająco logiczne. Gdybym udał się z Charleyem do domu matki i tam zobaczył jej ciało, jak nasze skarabeusze zareagowałyby na swoje bliskie sąsiedztwo? Myśl o tym, że koszmarny żuk mógłby zacząć miotać się, drapać i ryć w martwym ciele matki, była dla mnie nie do zniesienia.

Co by się stało – przed pogrzebem, kiedy otwarta trumna stała jeszcze w salonie, żeby znajomi i przyjaciele mogli pożegnać zmarłą – ze mną, gdybym ujrzał szczypce, głowę i pancerny grzbiet skarabeusza wynurzające się spomiędzy martwych, zbielałych ust matki? Zwłaszcza gdybym tylko ja jeden je widział? A co by było, gdyby znalazł sobie inną drogę wyjścia – przez ucho, oko lub tchawicę?

Bałem się, że postradałbym zmysły.

A kiedy podczas samego pogrzebu trumnę spuszczono by do skutego mrozem dołu obok grobu ojca, byłbym jedyną osobą, która wychylona w przód w napięciu wyczekiwałaby i nasłuchiwała, wyczekiwała i nasłuchiwała, nawet kiedy pierwsze grudy ziemi uderzyłyby już o wieko.

Któż lepiej ode mnie wiedział o tunelach ciągnących się pod całym Londynem i zamieszkujących je potwornych istotach? Kto mógł wiedzieć, jak ohydnym impulsom i jakiej kontroli ze strony Drooda podlega drążący skarabeusz, który przez ten czas zdążył już pewnie skonsumować całą umierającą i martwą materię mózgu i całkowicie zająć jego miejsce w czaszce mojej matki?

Dlatego zostałem w domu i cierpiałem w łóżku.

***

Pod koniec lutego wróciłem do pisania: gdy tylko miałem dość sił, siadałem w gabinecie przy biurku i tam tworzyłem dalsze rozdziały *Kamienia Księżycowego*, najczęściej jednak pisałem w łóżku, oparty na wysoko spiętrzonych poduszkach. Kiedy pracowałem sam – czy to w sypialni, czy w gabinecie – Drugi Wilkie często do mnie przychodził i obserwował mnie w milczeniu, niemal z wyrzutem. Przeszło mi przez myśl, że po mojej śmierci zamierza zająć moje miejsce: wyręczyć mnie w pisaniu tej książki i następnych, a potem zebrać za nie pochwały, zastąpić mnie w łożu Caroline i w ogóle w społeczeństwie. Kto by się zorientował? Sam przecież niedawno przemyśliwałem o tym, żeby w podobny sposób zastąpić Charlesa Dickensa, nieprawdaż?

Uświadomiłem sobie, że pomysł niespodziewanie ujawnionej choroby (i jeszcze bardziej niespodziewanego zgonu) jednej z moich bohaterek – powszechnie uwielbianej i szanowanej lady Verinder, trzymającej się na uboczu, lecz z pewnością szlachetnej i dodającej otuchy – prawie na pewno wypływał z przepastnych czeluści mojego twórczego umysłu i był sposobem uczczenia śmierci matki.

Powinienem w tym miejscu wspomnieć o tym, że

skarabeusz z pewnością nie był w stanie czytać za pośrednictwem moich oczu. W dalszym ciągu po ordynowanych przez Franka Bearda zastrzykach z morfiny co noc śniłem o Neteru, bogach Czarnych Krain, ale wbrew rozkazowi Drooda nigdy nie stałem się jego skrybą. Nie napisałem ani słowa o owych mrocznych, pogańskich bóstwach.

Kiedy pisałem, żuk w moim mózgu uspokajał się, najwidoczniej zwiedziony myślą, że opisuję prastare ceremonie ze swoich snów – ja zaś pisałem o ciekawskim starym majordomusie Gabrielu Betteredge (i jego obsesji na punkcie Robinsona Crusoe, książki, którą ja sam również uwielbiałem), dzielnej (choć głupio upartej) Rachel Verinder, heroicznym (choć dziwnie naiwnym) Franklinie Blake'u, oszpeconej i skazanej na pochłonięcie przez ruchome piaski pokojówce Rosannie Spearman, wścibskiej i pobożnej pamflecistce pannie Clack (która swą komiczną wredotę zawdzięczała Drugiemu Wilkiem u), oraz – jakżeby inaczej – bystrym (nie dość jednak, by rozwikłać zagadkę) sierżancie Cuffie. A pasożyt we mnie wyobrażał sobie, że cała ta zajadła pisanina, której oddawałem się w chorobie, to posłuszna praca skryby.

Głupi żuk.

Pierwsze fragmenty publikowanej w odcinkach powieści przyjmowano z niezwykłym i stale rosnącym entuzjazmem. Wills donosił o coraz większych tłumach gromadzących się przed redakcją przy Wellington Street w dniu publikacji nowych odcinków. Wszyscy mówili o *Kamieniu Księżycowym,* bezcennym brylancie, o tym, kto go mógł ukraść i w jaki sposób. Oczywiście, nikt nie wiedział, jak pomysłowe rozstrzygnięcie szykuję, ale, nawet zanim zasiadłem do pisania końcówki, byłem święcie przekonany, że nikt nie domyśli się zdumiewającego rozwiązania – co w połączeniu z triumfem mojej sztuki teatralnej sprawiało, że naprawdę będę miał czym zaimponować Charlesowi Dickensowi, kiedy wróci.

O ile pożyje dostatecznie długo, żeby wrócić.

Z różnych źródeł (przede wszystkim ze szczerych listów słanych przez George'a Dolby'ego do córek Dickensa, o czym opowiadał mi Charley) coraz częściej docierały do mnie i Willsa informacje o niepokojącym pogorszeniu stanu zdrowia Dickensa. Na skutek grypy, której nabawił się podczas niemal codziennych podróży po amerykańskiej prowincji, wstawał z łóżka dopiero po południu, a pierwszy posiłek zjadał najwcześniej o piętnastej. Wszyscy ze zdumieniem przeczytaliśmy o tym, że Dickens – który podczas tournée zawsze upierał się przy nocowaniu w hotelach, zamiast prywatnych domach – w Bostonie osłabł tak bardzo, że musiał zatrzymać się u zaprzyjaźnionych państwa Fieldsów zamiast w „Parker House", jak początkowo zamierzał.

Poza coraz cięższą grypą i katarem, przeciw Dickensowi sprzysięgły się dodatkowo wyczerpanie i nawrót opuchlizny lewej stopy. Dolby musiał podobno pomagać „Szefowi" wejść na scenę przed każdym wieczorem autorskim, chociaż gdy tylko Dickens wynurzył się zza kurtyny, podchodził do pulpitu z typową dla siebie czujnością i żwawością ruchów. W przerwie, a także po zakończeniu imprezy, Dolby z pomocnikami musieli podtrzymywać słaniającego się na nogach pisarza, który był o krok od zemdlenia. Pani Fields napisała w liście do córki Dickensa, Mamie, że podczas ostatniego spotkania z czytelnikami w Bostonie, w dniu ósmym kwietnia, Dickens przechwalał się, że wracają mu siły, ale po występie nie był w stanie sam się przebrać. Pół godziny przeleżał na sofie „w stanie skrajnego wyczerpania", zanim dał się choćby odprowadzić do pokoju.

Dolby napomknął też na marginesie (ja jednak nie mogłem tego przeoczyć) o bezsenności Pana Niezrównanego, którą ten znów próbował leczyć przyjmowanym co wieczór laudanum (choć w niewielkich ilościach, zaledwie kilku kropli na kieliszek wina).

Czyżby i w Ameryce znajdował się nienasycony skarabeusz, którego trzeba było uspokajać medykamentami?

Tak czy inaczej, córki i syn Dickensa niepokoili się o ojca, mimo że on sam w swoich listach tryskał optymizmem,

chwalił się tłumami słuchaczy i pławił się w uwielbieniu, jakie amerykańska publiczność okazywała mu we wszystkich odwiedzanych miastach. Minął jednak marzec, mijał kwiecień, a ja powoli wygrywałem walkę z bólem i otępieniem (chociaż wciąż zdarzały się nawroty choroby, po których musiałem spędzać w łóżku po kilka dni bez przerwy) i żywiłem coraz silniejsze przekonanie, że Charles Dickens albo w ogóle nie wróci z Ameryki, albo wróci jako człowiek złamany i umierający.

***

Podczas choroby trudno mi było się kontaktować z Marthą R. Udało mi się przesłać jej dwie wiadomości – najpierw przez służącego, George'a, w początkowej fazie kryzysu, drugi raz podczas czuwania przy matce (udałem wtedy, że interesują mnie domy do wynajęcia przy Bolsover Street), ale proceder ten był zbyt ryzykowny, żeby go kontynuować.

W lutym trzy razy powiedziałem Caroline i Carrie, że jadę z Charleyem do Tunbridge Wells, żeby zobaczyć się z matką, a potem na dworcu wymawiałem się od wyjazdu, tłumacząc Charleyowi, że źle się czuję i wrócę do domu dorożką. Przy dwóch z tych trzech okazji spędziłem noc (lub noce) z Marthą (chociaż choroba uniemożliwiała mi należyte nacieszenie się tymi chwilami), lecz i ten podstęp wydał mi się zbyt ryzykowny, ponieważ Charley mógł w dowolnym momencie wspomnieć – w rozmowie z Caroline lub tylko w jej obecności – że wcale nie pojechałem do matki.

Martha mogła do mnie pisywać przez cały czas (podając na kopertach fałszywy adres zwrotny), nie lubiła jednak pisać listów. Prawdę powiedziawszy, moja Martha była wówczas w zasadzie niepiśmienna; dopiero z czasem, przy mnie, nauczyła się czytać proste książki i pisać nieskomplikowane listy.

Kiedy pod koniec marca znów zacząłem wychodzić z domu, udawało mi się czasem z nią spotkać. Tłumaczyłem Caroline, a czasem także swojemu lekarzowi, że chciałbym pojeździć

trochę sam dyliżansem (nie zamierzałem udawać, że całymi godzinami chodzę pieszo), bo wtedy lepiej myśli mi się nad nową powieścią, albo twierdziłem, że muszę spędzić nieco czasu w klubie i jego cudownej bibliotece, wyszukując książki niezbędne mi do pracy. Jednakże takie wizyty u „pani Dawkins” przy Bolsover Street pozwalały nam skraść najwyżej parę godzin i nie zadowalały ani Marthy, ani mnie.

Co nie zmienia faktu, że współczucie okazywane mi przez Marthę R. w tym trudnym okresie było szczere i wyraźnie wyczuwalne, w odróżnieniu od niechętnej i podejrzliwej opieki ze strony Caroline.

***

Maat nadaje światu sens. Maat narzuca ład chaosowi stworzenia u Początku Czasu. Maat nieustannie strzeże porządku i równowagi. Maat kieruje ruchem gwiazd, nadzoruje wschody i zachody słońca, rządzi Nilem i jego wylewami. Jej kosmiczne ciało i dusza leżą u podstaw wszystkich praw natury.

Maat jest boginią prawdy i sprawiedliwości.

Kiedy umrę, moje serce zostanie wyrwane z ciała i dostarczone do Sali Sądu Tuat, gdzie położą je na wadze naprzeciw pióra Maat. Jeżeli okaże się wolne od okrutnego ciężaru grzechu – wystąpienia przeciw bogom Czarnych Krain i sprzeniewierzenia się obowiązkom nałożonym na mnie przez Drooda, których wypełniania miał dopilnować święty skarabeusz – będę mógł udać się w dalszą drogę i może nawet dołączyć do samych bogów. Jeśli jednak grzeszne serce przeważy pióro Maat, moja dusza zostanie pożarta i unicestwiona przez demoniczne bestie z Czarnych Krain.

Maat nadała sens światu i nadal go nadaje. Mój Dzień Sądu w Sali Tuat zbliża się, podobnie jak Twój, Drogi Czytelniku. Podobnie jak Twój.

***

Poranki były fatalne. Odkąd skończyłem w cichych godzinach nocnych dyktować *Kamień Księżycowy* zdradzieckiemu skrybie w osobie Drugiego Wilkiego, często budziłem się z laudanowych i laudanowo–morfinowych snów między drugą i trzecią nad ranem i wiłem się i pojękiwałem z bólu, aż nastał wiosenny świt.

Wczesnym popołudniem udawało mi się zwykle zwlec do gabinetu na parterze, gdzie pisałem do szesnastej, kiedy to Caroline, Carrie lub obie one naraz wyprowadzały mnie na dwór, przynajmniej do ogrodu, żebym zaczerpnął świeżego powietrza. Jak napisałem do przyjaciela, który chciał mnie wtedy w kwietniu odwiedzić: „Jeżeli zamierzasz przyjść, musisz zdążyć przed szesnastą, ponieważ o tej właśnie godzinie jestem wystawiany na dwór do przewietrzenia”.

Była połowa kwietnia, dokładnie dwa miesiące po śmierci matki, gdy w jedno z takich popołudni Caroline weszła do gabinetu i stanęła za moimi plecami. Zrobiłem sobie akurat przerwę w pisaniu i z piórem w ręce gapiłem się przez szerokie okno na ulicę. Przyznaję, że zastanawiałem się, jak mógłbym się skontaktować z inspektorem Fieldem. Byłem wprawdzie przekonany, że jego agenci mnie obserwują, nigdy ich jednak nie widziałem, i to mimo najprzebieglejszych wysiłków podejmowanych w celu ich wypatrzenia. Chciałem się dowiedzieć, co się dzieje z Droodem. Czy Field i dowodzona przez niego setka mścicieli ogniem wykurzyli egipskiego mordercę z kanałów i zastrzelili go jak psa, tak jak Barris na moich oczach zastrzelił Dzikiego Chłopca? I co z Barrisem? Czy inspektor zrugał drania za uderzenie mnie pistoletem?

Dzień wcześniej uświadomiłem sobie jednak, że nie mam zielonego pojęcia, gdzie inspektor Field urzęduje. Przypomniałem sobie, że podczas pierwszych odwiedzin u mnie przy Melcombe Place pod numerem dziewiątym przekazał mi wizytówkę (na której z całą pewnością musiał znajdować się jego adres służbowy), ale kiedy przetrząsnąłem szuflady biurka i w końcu ją znalazłem, zawierała tylko kilka słów:

Poza tym, że ciekawiły mnie wydarzenia w Podmieście, miałem również inne zadanie dla inspektora i jego ludzi: chciałem się dowiedzieć, kiedy i gdzie Caroline spotyka się z hydraulikiem Josephem Charlesem Clow (nie miałem bowiem wątpliwości, że takie potajemne schadzki mają miejsce).

Takie właśnie myśli kłębiły mi się w głowie, gdy, wyglądając przez okno, usłyszałem za plecami chrząknięcie Caroline. Nie odwróciłem się.

– Wilkie, kochanie, chciałabym z tobą coś omówić. Minął już miesiąc, odkąd twoja kochana mama odeszła.

Te słowa nie wymagały komentarza, nie odezwałem się więc. Śledziłem wzrokiem przejeżdżający właśnie wóz ze śmieciami. Stara szkapina miała boki całe w strupach, ale szpakowaty woźnica nie szczędził jej bata. Dziwne, pomyślałem, dlaczego przewoźnik szmat i kości miałby się dokądś śpieszyć?

– Lizzie jest już w takim wieku, że wypadałoby ją przedstawić w towarzystwie – ciągnęła tymczasem Caroline. – Mogłaby zacząć szukać dżentelmena, który zostanie jej mężem.

Na przestrzeni lat zwróciłem uwagę, że kiedy Caroline chciała porozmawiać o córce, Elizabeth Harriet G. jako swojej córce, mówiła o niej „Lizzie”. Kiedy zaś omawialiśmy nasze wspólne związane z nią troski, stawała się „Carrie”, które to imię zresztą bardziej jej odpowiadało.

– Będzie jej o wiele łatwiej, pod względem perspektyw matrymonialnych i akceptacji towarzyskiej, jeżeli będzie wywodzić się z dobrej, stabilnej, trwałej rodziny z tradycjami – mówiła dalej Caroline.

Ja nadal siedziałem zwrócony do niej plecami. Na chodniku młody mężczyzna w wełnianym garniturze – zbyt jasnym i zbyt cienkim, jak na tę kapryśną wiosnę – przystanął, obejrzał się na nasz dom, zerknął na zegarek i poszedł dalej. Nie był to Joseph Clow. Czyżby któryś z agentów Fielda? Wydało mi się wątpliwe, żeby człowiek inspektora zachował się aż tak bezczelnie, zwłaszcza że przecież było mnie

doskonale widać przez wykuszowe okna na parterze.

– Powinna nosić nazwisko ojca – dodała Caroline.

– Już je nosi – odparłem bezbarwnym głosem. – Dostała je od twojego męża, nawet jeśli była to jedyna rzecz, jaką kiedykolwiek wam dał.

Wspominałem już o tym, Drogi Czytelniku, że Caroline była dla mnie inspiracją do napisania *Kobiety w bieli*. Kiedy latem 1854 roku wraz z moim bratem Charleyem i moim przyjacielem Johnem Millaisem natknęliśmy się na odzianą w białe szaty zjawę wymykającą się w blasku księżyca z ogrodu willi w północnym Londynie (była to Caroline, rzecz jasna, uciekająca przed mężem – prymitywem, który, jak mi wówczas wyjaśniła, więził ją w domu za pomocą hipnozy), tylko ja jeden z naszej trójki za nią podążyłem. Uwierzyłem jej, kiedy opowiedziała mi o zapijaczonym łajdaku, niejakim George'u Robercie G., którego ma za męża i który zmienił życie jej i rocznej Carrie w koszmar więzienia i psychicznej udręki.

Kilka lat później powiedziała mi, że George Robert G. zmarł. Nie wiedziałem ani nie pytałem, skąd o tym wie. Zdawałem sobie sprawę, jak bardzo nieprawdopodobny jest fakt, że w ogóle uzyskała taką informację, biorąc pod uwagę to, że mieszkała w moim domu nieprzerwanie od owej nocy, gdy w świetle księżyca zapłakana uciekła na drugą stronę Carlton Street, wziąłem jednak jej słowa za dobrą monetę i nigdy jej o to nie pytałem. Przez te wszystkie lata udawaliśmy, że jest panią Elizabeth G. (sam nadałem jej imię „Caroline", gdy znalazła się pod moją opieką), ofiarą przemocy męża, który dręczył ją zarówno mesmeryzmem, jak i pogrzebaczem.

Prawdę mówiąc, myślałem wówczas (i teraz, czternaście lat później, nie miałem powodów, by myśleć inaczej), że w tamtą letnią noc 1854 roku uciekła albo od alfonsa, albo od klienta, który próbował ją skrzywdzić.

– Wkrótce sam się przekonasz, jak bardzo nasza córeczka skorzysta na tym, że będzie mogła powiedzieć, że pochodzi z rodziny o ustalonej pozycji – ciągnęła Caroline, mówiąc do

moich pleców. Jej głos leciutko drżał.

Ta „nasza córeczka” mnie rozzłościła. Zawsze traktowałem Carrie z taką samą miłością i szczodrością, jakby naprawdę była moją córką – ale nią nie była. Był to swoisty wieczny szantaż, strategia, z którą – jak miałem powody podejrzewać – Caroline była obznajmiona na długo przed tym, jak ją uratowałem. Nie zamierzałem dać się na to nabrać.

– Wilkie, najdroższy, musisz chyba przyznać, że zawsze byłam wyrozumiała, kiedy tłumaczyłeś mi, że to twoja wiekowa i delikatna matka jest dla ciebie przeszkodą nie do pokonania na drodze do ożenku.

– Owszem – przytaknąłem.

– Jednakże po śmierci Harriet stałeś się wolnym człowiekiem, czyż nie?

– Tak.

– I możesz się ożenić, kiedy zechcesz?

– Tak.

Nadal wyglądałem przez okno.

Caroline czekała, co jeszcze powiem. Nic nie powiedziałem. Minęła długa chwila, w której wyraźnie słyszałem każdy ruch wahadła wysokiego zegara na korytarzu, zanim Caroline odwróciła się na pięcie i wyszła.

Zdawałem sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec tej rozmowy. Caroline mogła zagrać jeszcze jedną, ostateczną kartę, która wydawała się jej niezawodna – ja zaś wiedziałem, że wkrótce po nią sięgnie. Nie miała jednak pojęcia, że i ja mam mocne karty. I więcej niż jednego asa w rękawie.

***

– Chrobotanie. Słychać chrobotanie.

– Co takiego?

Obudziłem się znacznie wcześniej niż zwykle (spojrzałem na zegarek – dochodziła dopiero dziewiąta) i z niepokojem dostrzegłem zawieszony nad moim łóżkiem tłum twarzy: zebrali się Caroline, Carrie, George (mój służący) oraz Besse,

żona George’a, pełniąca u nas obowiązki pokojówki.

– Co takiego?! – powtórzyłem i usiadłem na łóżku. Taka inwazja na moją sypialnię przed śniadaniem była niedopuszczalna.

– Słychać chrobotanie – powtórzyła Caroline.

– O czym ty mówisz? Gdzie?

– Na naszych schodach, proszę pana – powiedział George. Był czerwony jak burak ze wstydu, że kazano mu najechać moją sypialnię. To musiała być sprawka Caroline.

– Na schodach dla służby?

Przetarłem oczy. Tej nocy obszedłem się bez morfiny, ale i tak dokuczał mi ból głowy. Potworny.

– Służba już wcześniej słyszała je na różnych piętrach – potwierdziła Caroline. Jej głos był głośny i zgrzytliwy jak skowyt walijskich organów parowych. – Teraz i ja je usłyszałam. Jakby grasował tam ogromny szczur, który zgrzyta pazurami, biegając w górę i w dół po schodach.

– Szczur? – powtórzyłem. – Przecież jesienią robiliśmy remont – przypomniałem. – Sprowadziliśmy robotników, deratyzatora i hydraulika. – Ostatnie słowo wypowiedziałem ze szczególnym naciskiem.

Caroline miała dość przyzwoitości, żeby się zarumienić, ale nie ustąpiła.

– Na schodach dla służby coś się dzieje – upierała się.

– George? – zwróciłem się do służącego. – Sprawdziłeś to?

– A jakże, panie Collins, sprawdziłem. Wszedłem na schody, chodziłem w górę i w dół za tym hałasem, ale zawsze, jak się do niego zbliżałem, to on… No, niczego nie znalazłem, szanowny panie.

– Uważasz, że to szczury?

George zawsze wolno myślał, rzadko jednak sprawiał wrażenie aż takiego półgłówka, jak kiedy zmagał się z tym pytaniem.

– Raczej jeden wielgachny szczur, szanowny panie – wykrztusił w końcu. – Nie szczury, panie Collins, tylko jedno diabelnie wielkie szczurzysko, za przeproszeniem szanownych pań.

– To niedorzeczne. Wynoście się wszyscy. Zaraz się ubiorę i zejdę na dół, a potem znajdę i zatłukę to wasze „diabelnie wielkie szczurzysko”. Może wtedy będziecie wreszcie łaskawi zostawić chorego człowieka w spokoju.

***

Postanowiłem wejść na schody z kuchni, żeby nie mogła zajść mnie z dołu.

Byłem przekonany, że znam przyczynę hałasów. Zastanawiałem się, prawdę mówiąc, dlaczego przez osiem miesięcy, jakie spędziliśmy w nowym domu, ani razu nie widziałem jeszcze zielonoskórej kobiety z wielkimi kłami. Przecież Drugi Wilkie bez przeszkód przeniósł się za nami z Melcombe Place.

Ale dlaczego inni ją słyszą?

Zielonoskóra kobieta od lat zamieszkiwała mroczne klatki schodowe dla służby w moich poprzednich domach, ale do tej pory nikt poza mną nie widział jej ani nie słyszał. Byłem tego pewien.

Czy to bogowie Czarnych Krain uczynili ją bardziej rzeczywistą, tak jak zrobili to z Drugim Wilkiem?

Odsunąłem od siebie tę niepokojącą myśl i wziąłem świecę ze stołu. Zakazałem pozostałym domownikom wchodzić za mną do kuchni i poleciłem trzymać się z dala od wyjść na schody dla służby na wszystkich piętrach wysokiego domu.

Kobieta z zieloną skórą i przerośniętymi kłami już wcześniej zraniła mnie do krwi – na długo przed tym, jak w moim życiu pojawili się Drood, skarabeusz i bogowie Czarnych Krain. Wiedziałem z całą pewnością, że tym razem może mnie zabić, jeśli tylko dam jej taką sposobność i pozwolę się do siebie zbliżyć. Nie zamierzałem robić ani jednego, ani drugiego.

Uchyliłem drzwi i wyjąłem z kieszeni ciężki rewolwer detektywa Hatchery’ego.

Kiedy drzwi się za mną zamknęły, służbowa klatka schodowa pogrążyła się w prawie całkowitej ciemności. Z tej

strony domu nie było okien, a nieliczne świece w kinkietach były pogaszone. Schody były niezwykle – i niepokojąco – strome i wąskie; biegły prosto do góry przez trzy kondygnacje, zanim znalazło się miejsce na krótki podest, na którym zawracały i prowadziły jeszcze dwie kondygnacje wyżej, aż na strych.

Nadstawiłem ucha. Nic. Ze świecą w lewej i rewolwerem w prawej ręce zacząłem ostrożnie i cicho wspinać się po schodach tak wąskich, że łokciami ocierałem się o ściany. W pół drogi na pierwsze piętro przystanąłem, żeby zapalić pierwszy kinkiet.

W uchwycie nie było świecy, mimo że do obowiązków córki pokojówki należało regularne wymienianie wypalonych świec na nowe. Pochyliwszy się, ujrzałem zadrapania i wgniecenia na powierzchni solidnie zamocowanego kinkietu, jakby coś pazurami wyrwało z niego ogarek.

Pazurami… albo zębami.

Znów zastrzygłem uchem. Gdzieś z góry dobiegł ledwo słyszalny szelest.

Uświadomiłem sobie, że zielonoskóra kobieta z wielkimi zębami nigdy przedtem nie wydawała głośnych dźwięków. Szybowała po schodach w górę lub w dół, zbliżając się do mnie lub oddalając w taki sposób, jakby nagimi stopami ledwie muskała stopnie.

Tak było w innych moich domach. Być może, te schody mocniej rezonowały energią takich złośliwych duchów.

Jak zginęła pani Shernwold? Spadła z tych właśnie schodów i skręciła kark, ale co w ogóle robiła na klatce schodowej dla służby?

Zaciekawiły ją odgłosy wydawane przez szczury?

Dlaczego spadła?

A co powiesz na brakujące, jakby pożarte, świece?

Wszedłem na pierwsze piętro i na chwilę zatrzymałem się przed drzwiami: były stare, grube i nie przepuszczały żadnych dźwięków, ale sącząca się przez szparę u dołu smużka światła dodała mi otuchy. Ruszyłem dalej.

W drugim kinkiecie również nie było świecy.

Coś zachrobotało bardzo blisko nad moją głową.

– Kto tam? – zawołałem półgłosem.

Przyznam, że poczułem odrobinę prawdziwej władzy, gdy wymierzyłem w tamtym kierunku z rewolweru. Skoro zielonoskóra kobieta była wystarczająco materialna, żeby zadrapać mnie w szyję – a tak się przecież stało – to była też wystarczająco materialna, żeby odczuć skutki trafienia jedną z tych kul. Albo kilkoma.

Ile nabojów mieścił bębenek?

Dziewięć. Przypomniałem sobie dzień, w którym detektyw Hatchery wcisnął mi rewolwer w dłoń, mówiąc, że jeśli chcę się udać do palarni króla Lazaree, powinienem mieć broń do obrony przed szczurami. Przypomniałem sobie nawet, co mówił wtedy o kalibrze broni…

– To kule kalibru czterdzieści dwa. Dziewięć aż nadto wystarczy na przeciętnego szczura. Obojętne, czy będzie chodził na czterech łapach, czy na dwóch… bo i takie się zdarzają.

Zdławiłem wzbierający w gardle śmiech.

Widziane sprzed drzwi na drugim piętrze schody za moimi plecami – skąpo oświetlone migoczącą świecą, którą niosłem w ręce – wydawały się niemal pionowe. Na ich widok (a także prawdopodobnie wskutek spożycia na czczo trzech porannych kieliszków laudanum) zakręciło mi się w głowie.

Z góry dobiegł odgłos do złudzenia przypominający zgrzyt pazurów na tynku lub drewnie.

– Pokaż się! – zawołałem w mrok.

Nie ukrywam, że była to z mojej strony czysta brawura. Kierowała mną nadzieja, że George, Caroline, Besse i Carrie mnie usłyszą. Tyle że znajdowali się w tej chwili dwa piętra niżej, a oddzielające nas drzwi były naprawdę bardzo grube.

Dalej wspinałem się jeszcze wolniej, z rewolwerem w wyciągniętej ręce, kołysząc się z boku na bok jak niedorzecznie ciężki kurek na dachu wydany na pastwę zmiennych wiatrów.

Chrobotanie nie tylko stało się teraz głośniejsze, ale też zdawało się, że dobiega z konkretnego kierunku. Nie

wiedziałem, czy jego źródło znajduje się na podeście na trzecim piętrze, skąd schody biegły dalej w przeciwnym kierunku, czy gdzieś pomiędzy nim i moją obecną pozycją. Zakonotowałem sobie w głowie, żeby kazać wybić co najmniej jedno okno w grubej ceglanej ścianie – może być na wysokości podestu, jeśli gdzie indziej nie będzie miejsca.

Zrobiłem kolejne trzy kroki.

Nie umiem powiedzieć, Drogi Czytelniku, skąd wzięła się zielonoskóra i zębata potworna kobieta; wiem tylko, że towarzyszyła mi od wczesnego dzieciństwa. Pamiętam, jak weszła do naszego pokoju dziecinnego, kiedy Charley spał. Pamiętam, jak zobaczyłem ją w rodzinnym domu na strychu, kiedy w wieku dziewięciu lub dziesięciu lat nierozważnie zapuściłem się w jego mroczne, oplecione pajęczynami zakamarki.

Mówi się, że oswojenie lęku pozwala się z niego wyzwolić, ale nie jest to do końca prawda. Zielonoskóra dziewka (nie miała twarzy żadnej znanej mi żyjącej kobiety, chociaż czasem miałem wrażenie, że nieco przypomina mi naszą – moją i Charleya – pierwszą guwernantkę) przy każdym spotkaniu przyprawiała mnie o dreszcze, ale z doświadczenia wiedziałem, że kiedy się na mnie rzuci, mogę się od niej opędzić.

Jednakże nigdy przedtem nikt inny jej nie słyszał. Nie wydawała żadnych dźwięków.

Postąpiłem kolejne trzy kroki w stronę podestu na trzecim piętrze i znieruchomiałem.

Chrobotanie i zgrzyty wyraźnie przybrały na sile. Dźwięk dobiegał z bardzo bliska, chociaż krąg bladego światła świecy prawie, prawie dosięgał podestu. Hałasy były bardzo głośne i – zaczynałem rozumieć George’a – wydawały się łudząco szczurze.

Skrob szur. Cisza. Skrob skrob skrob szur. Cisza. Skrob skrob.

– Mam dla ciebie niespodziankę – powiedziałem i z pewnym trudem jedną ręką odciągnąłem kurek rewolweru.

Przypomniałem sobie, że Hatchery tłumaczył mi, że gruba

dolna lufa może pełnić rolę strzelby. Żałowałem, że nie dał mi do niej nabojów.

Jeszcze dwa kroki i zobaczyłem cały podest. Był pusty.

Znów usłyszałem chrobotanie, tym razem dobiegające jednocześnie z góry i z tyłu.

Podniosłem świecę nad głowę i spojrzałem do góry.

Przenikliwy wrzask zagłuszył chrobotanie. Stałem jak wryty przez dobrą minutę (jeśli nie dłużej), słuchając tego piekielnego wrzasku, zanim z wolna uświadomiłem sobie, że dobywa się z moich ust.

Odwróciłem się i rzuciłem do ucieczki. Z łoskotem zbiegłem po schodach, dopadłem do drzwi na drugim piętrze, szarpnąłem je, wrzasnąłem, obejrzałem się przez ramię i znów wrzasnąłem. Co najmniej dwa razy strzeliłem z rewolweru, wiedząc, że nic to nie da.

Nie dało. Znów z tupotem pognałem w dół, doskoczyłem do drzwi na pierwszym piętrze (również zamkniętych od drugiej strony) i krzyknąłem ile sił w płucach, gdy coś obrzydliwie wilgotnego skapnęło z… z góry… i znów popędziłem po schodach, odbijając się od ścian. Upuściłem świeczkę. Zgasła. Coś musnęło moje włosy i prześliznęło mi się po karku. W całkowitej ciemności okręciłem się w miejscu i strzeliłem jeszcze dwa razy, po czym potknąłem się, poleciałem głową naprzód i sturlałem się z ostatniego tuzina stopni.

Do dziś nie mam pojęcia, jakim cudem nie zgubiłem rewolweru ani się z niego nie postrzeliłem. Wrzeszcząc jeszcze głośniej niż przedtem, ległem bezwładnie u stóp schodów i załomotałem do drzwi na parterze.

Coś silnego, cienkiego i bardzo długiego owinęło się wokół mojego prawego buta i ściągnęło mi go z nogi. Gdybym przed wejściem na schody zapiął go jak należy, w tej chwili zostałbym pociągnięty razem z nim do góry.

Jeszcze raz wydarłem się wniebogłosy, po raz ostatni strzeliłem w mrok, z impetem otworzyłem drzwi i – oślepiony światłem – runąłem jak długi na drewnianą kuchenną podłogę. Wściekle wierzgając obiema stopami, kopniakiem

zatrzasnąłem drzwi za sobą.

George przybiegł natychmiast, mimo mojego wcześniejszego napomnienia, żeby wszyscy wyszli. Zobaczyłem też twarze Caroline i dwóch pozostałych kobiet – blade, okrągłe i z rozdziawionymi ustami, wpatrujące się we mnie od progu.

Niewiele brakowało, żebym przewrócił George'a, kiedy złapałem go za klapy surduta i wyszeptałem jak obłąkany:

– Zamknij je! Zamknij drzwi! Zamknij je! Natychmiast!

George zrobił, co mu kazałem, czyli zamknął drzwi na niewystarczającą w tym wypadku zasuwkę. Po ich drugiej stronie panowała całkowita cisza. Moje dyszenie i sapanie wypełniało kuchnię.

Dźwignąłem się – najpierw na czworaki, potem na równe nogi – z nabitym i gotowym do strzału rewolwerem w dłoni. Przyciągnąłem George'a do siebie i wysyczałem mu do ucha:

– Przynieś tu wszystkie deski, jakie znajdziesz. Sprowadź sobie tylu ludzi do pomocy, ilu będzie trzeba. Macie pozabijać wszystkie drzwi na klatkę schodową, najpierw gwoździami, a potem jeszcze deskami. Masz na to pół godziny! Zrozumiałeś? Zrozumiałeś mnie?!

Pokiwał głową, wyswobodził się z mojego uścisku i pobiegł po narzędzia.

Tyłem wyszedłem z kuchni, nie odrywając wzroku od stanowczo zbyt kruchych drzwi na klatkę schodową.

– Wilkie… – odezwała się Caroline. Położyła mi dłoń na ramieniu, lecz natychmiast ją cofnęła, gdy podskoczyłem jak oparzony.

– Szczury – wysapałem, zwalniając ostrożnie kurek rewolweru, który nagle wydał mi się zbyt ciężki, żeby go dłużej trzymać. Próbowałem sobie przypomnieć, ile kul wystrzeliłem, ale bez powodzenia. Później policzę, ile zostało. – To tylko szczury.

– Wilkie… – spróbowała jeszcze raz Caroline.

Strząsnąłem jej rękę i wróciłem do sypialni, żeby zwymiotować do miednicy i odszukać butelkę.

Rozdział 33

Caroline zagrała swoją kartę atutową w środę dwudziestego dziewiątego kwietnia, na dzień przed tym jak *Russia,* na której pokładzie Dickens i Dolby odbywali ostatni etap długiej podróży, miała rzucić kotwicę w porcie w Queenstown.

Wiedziała, że jestem w dobrym humorze, chociaż nie znała wszystkich jego powodów – które dla mnie był oczywiste. Kiedy w listopadzie poprzedniego roku Charles Dickens popłynął do Ameryki, był moim mistrzem, a ja jego gorliwym uczniem. Od tamtej pory *Kamień Księżycowy* stał się ogólnokrajowym bestsellerem, tłumy przed redakcją „All the Year Round" przy Wellington Street puchły z każdym kolejnym opublikowanym fragmentem i wszyscy bez wyjątku – pospólstwo i arystokracja – na wyścigi czytali świeżo wydrukowane odcinki, żeby dowiedzieć się, kto i jak ukradł brylant. Ja zaś żyłem w błogim, niewzruszonym przeświadczeniu, że nawet najbystrzejszy czytelnik nie rozwikła tajemnicy.

Kiedy w listopadzie poprzedniego roku Charles Dickens wyruszał za ocean, moja sztuka *Bez wyjścia* (będąca naprawdę moją sztuką, po rozlicznych poprawkach, ulepszeniach i nowych pomysłach, jakie od jesieni do niej wprowadziłem) była zaledwie marzeniem, które utknęło na etapie wstępnych przesłuchań. Teraz stała się najprawdziwszym przebojem, który ponad sto trzydzieści razy wystawiono już w wyprzedanym do ostatniego miejsca Adelphi Theatre. Trwały również ożywione negocjacje w sprawie wystawienia jej w Paryżu.

No i w końcu śmierć matki – wprawdzie mnie zasmuciła (i przeraziła swoimi owadzimi aspektami i niepewnością w kwestii przyczyny), ale i przyniosła mi wolność. W wieku czterdziestu czterech lat nareszcie mogłem robić, co mi się podoba.

Caroline wyczuwała instynktownie, że mimo niedawnego

zdarzenia na służbowych schodach (upłynęły dwa tygodnie, a ja nadal nie zapuszczałem się ani do kuchni, ani do tych korytarzy na piętrach, które przylegały do grubo zabitych deskami i starannie uszczelnionych drzwi), a także częstych nawrotów choroby i nieustannego bólu, którego ukojenie wymagało coraz większych ilości laudanum i morfiny, jeśli chciałem popracować chociaż przez kilka godzin dziennie, od lat nie byłem w tak wyśmienitym nastroju.

Wyjeżdżając do Ameryki, Dickens myślał o sobie jak o mistrzu, a o mnie jak o swoim protegowanym. Teraz zaś (gdy wracał chory i na wpół kaleki, jeśli wierzyć relacjom świadków) czekał na niego poczytny powieściopisarz, oklaskiwany dramaturg i człowiek całkowicie niezależny. Tym razem mieliśmy się spotkać jak równy z równym. Co najmniej.

Poza tym byłem coraz bardziej przekonany, że obaj nosimy w głowach skarabeusze od Drooda. Sam ten fakt wprowadzał w naszą przyjaźń ponurą świadomość równości.

***

Caroline przyszła do mnie w środę rano, kiedy brałem kąpiel. Może pomyślała, że w takiej chwili będę najłagodniejszy… a w każdym razie najłatwiejszy do urobienia.

– Wilkie, skarbie, dużo myślałam o naszej ostatniej rozmowie…

– Ostatniej? Czyli której? – spytałem, chociaż doskonale znałem odpowiedź.

Okulary mi zaparowały. Sięgnąłem po leżący nieopodal ręcznik i, mrużąc oczy, przetarłem szkła. Caroline była w tej chwili wielką, niewyraźną, biało–różową plamą.

– Tej o Lizzie w towarzystwie i przyszłości naszego związku pod tym dachem – odparła wyraźnie podenerwowana.

Ja tymczasem zachowałem absolutny spokój. Założyłem malutkie okulary na nos.

– Tak?

– Doszłam do wniosku, Wilkie, że jeśli nasza Lizzie… Carrie… ma mieć szansę na życie, na jakie zasługuje, jej matka powinna być mężatką, i to najlepiej w jakiejś porządnej rodzinie.

– Całkowicie się z tobą zgadzam.

Para znad wanny wzbijała się pod sufit i rozpływała kłębami na boki. Twarz Caroline poczerwieniała od ciepła i wilgoci.

– Naprawdę? Przyznajesz mi rację?

– Absolutnie. Możesz mi podać tamten ręcznik, kochanie?

Zaniemówiła. Podała mi ręcznik, którym zacząłem osuszać swoje całkiem sympatyczne pulchności.

– Nie miałam pojęcia… przez te wszystkie lata… nie byłam pewna… – bełkotała Caroline.

– Bzdura. Zawsze ogromnie zależało mi na twoim dobru. I dobru Carrie, naturalnie. Poza tym masz całkowitą rację: czas na ślub.

– Och, Wilkie, ja… – Głos jej się załamał. Łzy spłynęły po zarumienionych od pary policzkach.

– Domyślam się, że pozostajesz w stałym kontakcie ze swoim hydraulikiem – powiedziałem. Odrzuciłem ręcznik i naciągnąłem welurowy szlafrok. – Panem Clow? Josephem Charlesem Clow?

Caroline skamieniała. Rumieniec odpłynął z jej policzków.

– Tak?

– Domniemywam również, że pan Clow zdążył ci się już oświadczyć, moja droga. Co więcej, przypuszczam, że zamierzałaś mi o tym wspomnieć podczas tej właśnie rozmowy.

– Tak, ale ja nie… ja go nie…

Poklepałem ją po ramieniu.

– Dwoje takich starych przyjaciół jak my nie musi sobie nic więcej tłumaczyć – dodałem pogodnie. – Najwyższy czas na ślub, zarówno przez wzgląd na Carrie, jak i na ciebie, i proszę: pan Clow poprosił cię o rękę. Musisz czym prędzej przyjąć oświadczyny.

Caroline pobladła już po czubki palców. Na oślep zrobiła

dwa kroki w tył i wpadła na miednicę.

– Zaraz każę Besse spakować twoje ubrania – ciągnąłem. – Resztę twoich rzeczy, książek i tak dalej przyślemy ci później. Poproszę George'a, żeby wezwał ci dorożkę, gdy tylko będziesz spakowana.

Jej usta dwa razy poruszyły się bezgłośnie, zanim dobyło się z nich jedno słowo:

– Lizzie…

– Oczywiście Carrie zostanie ze mną. To już ustalone. To jej decyzja i jest to decyzja nieodwołalna. Nie wątpię, że pan Joseph Charles Clow jest człowiekiem wielce namiętnym i uległym, a jego ojciec–gorzelnik jest osobą powszechnie szanowaną, jednakowoż mieszczański standard życia, jaki może zapewnić hydraulik, człek ogromnie obiecujący, lecz chwilami, nie oszukujmy się, walczący o przetrwanie, nie byłby najwłaściwszy dla Carrie na tym etapie jej życia. Jak sama zauważyłaś, wkrótce powinna wkroczyć na salony. Postanowiła, że zrobi to właśnie stąd, z tego pięknego domu przy Gloucester Place 90, w bezpiecznym towarzystwie pisarzy, artystów, kompozytorów i wielkich ludzi. Będzie cię często odwiedzać, naturalnie, ale to miejsce pozostanie jej domem. Rozmawiałem o tym nie tylko z nią samą, lecz także z twoją aktualną teściową. Obie się ze mną zgadzają.

Caroline opuściła ręce, sięgnęła w tył i namacała za plecami krawędź miednicy. Miałem wrażenie, że trzyma się na nogach wyłącznie dzięki sile tych wyprostowanych, sztywnych i drżących rąk.

Nie próbując jej dotknąć, minąłem ją i wyszedłem na korytarz. Bez względu na okoliczności, chyba nie byłaby w stanie podnieść teraz ręki.

– To rozważna decyzja, moja droga – dodałem od progu, zniżając głos. – My dwoje zawsze pozostaniemy przyjaciółmi. Gdybyś ty albo pan Joseph Charles Clow kiedykolwiek potrzebowali pomocy, w dowolnej sprawie, postaram się skontaktować was z ludźmi, którzy może będą mogli wam pomóc. Jeśli zechcą.

Nadal wpatrywała się w miejsce obok wanny, gdzie przed

chwilą stałem.

– Powiem Besse, żeby zaczęła cię pakować. I poślę George’a na główną ulicę, żeby jak najszybciej sprowadził dorożkę. Mogę nawet dopłacić stangretowi, jeśli będzie musiał chwilę zaczekać. Taką podróż najlepiej zacząć z samego rana, kiedy człowiek jest rześki.

***

Jak już wcześniej wspomniałem, *Russia* – statek, którym podróżowali Dickens i Dolby – w ostatnim dniu kwietnia weszła do portu w Queenstown.

Jednakże żaden z przyjaciół Pana Niezrównanego nie pośpieszył z powitaniem do Liverpoolu. Z przysyłanych przez Dolby’ego telegramów jasno wynikało, że Dickens życzy sobie spędzić „kilka dni w samotności, żeby zaaklimatyzować się przed powrotem do dawnych obowiązków i przyzwyczajeń”.

Przetłumaczyłem to sobie w ten sposób, że wyczerpany pisarz nie skieruje się do Gad’s Hill Place ani w ogóle nie zatrzyma się w Londynie (mimo że drugiego maja będzie przezeń przejeżdżał pociągiem), lecz uda się wprost do Peckham, gdzie skryje się w wytęsknionych ramionach Ellen Ternan. Moje przewidywania okazały się w stu procentach słuszne. Z rzucanych mimochodem uwag Willsa z redakcji przy Wellington Street wiedziałem również, że aktorka z matką zaledwie dwa dni wcześniej wróciły z Włoch.

Jakże dogodnie dla Pana Niezrównanego.

Musiały minąć jeszcze cztery dni, zanim Dickens zgodził się przyjąć komitet powitalny złożony z Willsa, Franka Bearda i mnie. Przyjechał z Peckham pociągiem na wczesną kolację z Fechterem i resztą z nas, a następnie poszliśmy do Adelphi Theatre, żeby wreszcie mógł zobaczyć *Bez wyjścia*.

Byłem jak najbardziej gotowy wyrazić współczucie, troskę, nawet szok na widok postarzałego i wycieńczonego amerykańskim tournée Dickensa, ale kiedy na dworcu Beard odezwał się pierwszy, przemawiał w imieniu nas obu:

– Na Boga, Charlesie! – wykrzyknął. – Odmłodniałeś o siedem lat!

Istotnie. Nie widziałem ani śladu opuchlizny ani kuśtykania, o których donosiły listy. Dickens schudł nieco w Stanach, ale wyglądał dzięki temu młodziej i zdrowiej. Trwający osiem dni morski rejs pozwolił mu naprawdę odpocząć od wszelkich obowiązków, a długie godziny spędzone na pokładzie nadały jego twarzy (zawsze łatwo się opalał) brązowy odcień. Jakimś cudem nawet jego broda i włosy wydawały się gęstsze i ciemniejsze. Oczy mu błyszczały, chętnie się uśmiechał, a jego śmiech i donośny głos gawędziarza z łatwością wypełniły restaurację, w której zasiedliśmy do kolacji, a potem także powóz, którym w pięciu udaliśmy się do teatru.

– Dobry Boże, Wilkie – odezwał się do mnie na osobności, gdy oddawaliśmy szatniarce kapelusze, rękawiczki i laski. – Słyszałem o tym, że chorowałeś, ale wyglądasz po prostu fatalnie, mój chłopcze. Jesteś blady, roztrzęsiony i powłóczysz nogami jak Thackeray przed śmiercią. Co cię gryzie, na Boga?

Co mnie gryzie… Sprytne. Powiedziałbym nawet, zabawne. Uśmiechnąłem się półgębkiem, ale nie odpowiedziałem.

Później, podczas przedstawienia, doświadczyłem rzeczy naprawdę niecodziennej.

Zajęliśmy miejsca w loży autorskiej – wszyscy poza Fechterem, ma się rozumieć, który popędził za kulisy, żeby nałożyć sceniczny makijaż i zwymiotować przed występem (ze względu na pogarszający się stan jego zdrowia panowało powszechne przekonanie, że będzie to ostatni miesiąc jego angielskich występów w roli nikczemnego Obenreizera). Ja sam, mimo choroby, wielokrotnie na przestrzeni poprzednich pięciu miesięcy zasiadałem w tej loży, za to Dickens pierwszy raz przyszedł zobaczyć tę sztukę, nad którą w początkowej fazie pracował razem ze mną. Publiczność (teatr był wypełniony do ostatniego miejsca) powitała go owacją na stojąco, i to zanim jeszcze kurtyna poszła w górę, ale tego się właśnie spodziewałem, więc nie sprawiło mi to najmniejszej

przykrości.

Za to sam spektakl stał się dla mnie niezwykłym doświadczeniem. Wliczając próby, widziałem *Bez wyjścia* od początku do końca co najmniej trzydzieści razy. Umiałem zacytować z pamięci każdy wers tekstu (w wersji pierwotnej i po poprawkach). Wszystkie wejścia i zejścia bohaterów ze sceny miałem rozpisane w głowie z dokładnością do ułamka sekundy.

A jednak tego wieczoru miałem wrażenie, że oglądam tę sztukę po raz pierwszy.

Chociaż, prawdę mówiąc, Drogi Czytelniku, czułem się tak, jakbym jednym okiem oglądał ją po raz pierwszy. Ból głowy, który zawsze mi towarzyszył, usadowił się, jak to miał w zwyczaju, za prawym okiem; był tak intensywny, jakby tylna ścianka gałki ocznej syczała jak dobry grog, gdy służący wetknie doń rozpalony do białości pręt, żeby podgrzać trunek. Czułem też napór skarabeusza. Chwilami byłem gotów przysiąc, że specjalnie przegryza mi się przez mózg do przodu, żeby móc wyglądać na świat moimi oczami.

Dlatego właśnie, siedząc w loży, przyciskałem do skroni na przemian to prawą dłoń, to lewą, dyskretnie zasłaniając sobie to prawe, to lewe oko, jakbym naprawdę pierwszy raz widział sztukę, którą sam napisałem i oglądałem po wielokroć.

Natychmiast zorientowałem się, że scena w sierocińcu, kiedy małe podrzutki zostają podmienione, zamiast ociekać patosem, zalatuje czystym nonsensem. Reakcja widowni, choć oczywista, niczego w tym względzie nie zmieniała, a fakt, że to głównie Dickens był odpowiedzialny za taki stan rzeczy, nie stanowił dla mnie wielkiego pocieszenia.

Śmierć Waltera Wildinga (spowodowana w równej mierze zawodem miłosnym i wyrzutami sumienia na myśl o tym, że przez przypadek odziedziczył cudze nazwisko i majątek) jak zwykle wywołała szloch publiczności, mnie jednak zrobiło się po prostu niedobrze. Duby smalone. Bzdura do kwadratu. Jak to możliwe, zastanawiałem się w duchu, żeby poważny pisarz wysmażył coś tak koszmarnego?

I jeszcze ten Fechter, który błąkał się po scenie w tę i we w tę w kostiumie Obenreizera. Niedorzeczna postać. Niedorzeczny występ.

Przypomniało mi się, jak zwróciłem uwagę Fechtera na pewien konkretny ustęp w drukowanym egzemplarzu *Bez wyjścia*. Podsunąłem mu go jako klucz pozwalający przeniknąć psychikę i ukryte motywy jego bohatera. Ze smutkiem przypomniałem sobie teraz te słowa…

> *Szczególniejszym był jeszcze w twarzy Obenreizera wzrok, który gdy czego uważnie słuchał zachodził mgłą, przysłaniał się jakby błoną jakąś, tak że z twarzy jego wówczas myli odgadnąć było trudno. Nie znaczyło to jednak aby wtedy całą swoją uwagę poświęcał osobie, z którą rozmawiał lub przedmiotom które miał przed oczyma. Przeciwnie, była to z jego strony pojętna baczność na wszystko co miał w myśli, albo wiedział lub sądził, że jest w myśli innych ludzi*[9].

Pamiętałem, jak prawie rok wcześniej pisałem ten akapit; odczuwałem niejaką satysfakcję z faktu, że potrafię opisać tak złożone cechy psychiczne i fizyczne łotra i niegodziwca. Wyobrażałem sobie wtedy, że przemycam w ten sposób własne, utajone spojrzenie na świat, o którym wiedziałem, że jest nieszczery i tylko czyha, by pokrzyżować mi realizację planów i ambicji.

Teraz jednak zdałem sobie sprawę, że te słowa, zaczerpnięte z oryginalnej opowieści bożonarodzeniowej i mające stanowić „klucz” do postaci Obenreizera, są zwyczajnie miałkie. Miałkie, głupie i puste. W oparciu o moje słowa Fechter zrobił z Obenreizera postać wiecznie przyczajoną, skradającą się, obserwującą świat dyskretnie, ukradkiem, i to wzrokiem szaleńca, nazbyt często zwróconym w pustkę. Wszystkie te cechy uderzyły mnie nagle nie jako przymioty sprytnego nikczemnika, lecz raczej wyróżniki wioskowego głupka, który mocno oberwał ciężkim przedmiotem w głowę.

Publika była zachwycona.

Tak jak była zachwycona naszym nowym bohaterem, George em Vendaleem, który przejął heroiczną pałeczkę z rąk Waltera Wildinga, gdy ten zmarł z niezawinionego wstydu. Tego wieczoru zrozumiałem, że George Vendale jest durniem jeszcze gorszym od przyczajonego, uśmiechającego się z wyższością, tępo chichoczącego, bezmózgiego Obenreizera. Trzyletnie dziecko przejrzałoby na wylot niekończące się machinacje i kłamstwa Obenreizera, tymczasem Vendale (a wraz z nim kilkaset osób na widowni) bez sprzeciwu podporządkował się naszemu głupiutkiemu założeniu, że jest postacią nieskończenie ufną i sympatyczną.

Gdyby rodzaj ludzki zrodził choć kilka takich ufnych i sympatycznych duszyczek jak George Vendale, ludzie już przed tysiącami lat wymarliby z czystej głupoty.

Oglądając spektakl z darowaną mi przez skarabeusza klarownością widzenia, doszedłem do wniosku, że nawet miejsce dramatu (szwajcarskie Alpy) jest głupie i zbędne. Akcja sztuki miotała się między Londynem i Szwajcarią bez większego sensu, tylko po to, żeby popisać się malowniczą scenerią, jaką podziwialiśmy z Dickensem podczas podróży przez Alpy w 1853 roku. Przy jednej z ostatnich scen – kiedy to ukochana Vendale'a, Margaret Obenreizer (piękna i bezgrzeszna bratanica głównego szubrawca), ujawnia, że Vendale bynajmniej nie umarł po tym, jak przed rokiem został zrzucony z lodowca w przepaść, lecz przez cały ten czas pozostawał pod jej czułą i dyskretną opieką w uroczej górskiej chacie znajdującej się najprawdopodobniej u stóp rzeczonego lodowca – brakowało naprawdę niewiele, żebym parsknął pogardliwym śmiechem.

Scena, w której Obenreizer Przebiegły (który przed rokiem zwabił był Vendale'a na ten sam lodowy most nad otchłanią) zapuścił się na zdradzieckie zbocze wyłącznie dlatego, że bliski koniec przedstawienia wymagał ofiar, nie tylko ogromnie wzmogła mój nowo nabyty sceptycyzm, ale stała się kroplą przepełniającą czarę. Szczerze żałowałem, że Fechter nie może się rzucić w najprawdziwszą bezdenną otchłań, zamiast po prostu spaść osiem stóp w dół na stertę

materacy ukrytą przed wzrokiem widzów za malowaną, wykonaną z drewna lodową iglicą.

Przy scenie zamykającej przedstawienie nie wytrzymałem i musiałem zamknąć oczy: ciało Obenreizera zostało dostarczone do małej szwajcarskiej wioski świętującej ożenek Margaret i Vendale'a (nie mogli się pobrać w Londynie, na litość boską?!). Państwo młodzi znikali za prawą kulisą, podczas gdy za lewą w tym samym czasie żałobnicy wynosili zwłoki Obenreizera na marach; widzowie mogli jednocześnie syczeć na pogrzebie złoczyńcy i wiwatować na cześć nowożeńców. To zestawienie, które wydało się nam z Dickensem niezwykle pomysłowe, kiedy szkicowaliśmy jego zarys, mojemu olśnionemu skarabeuszową jasnością rozumowania umysłowi wydało się nagle infantylne i niedorzeczne. Ale publika posłusznie syczała i wiwatowała, gdy ciało Fechtera zniesiono na lewo, a nowożeńcy zjechali powozem ze sceny w przeciwnym kierunku.

Widzowie byli idiotami, aktorzy byli idiotami, a tak idiotycznie melodramatyczną sztukę mógł napisać tylko dramaturg–idiota.

Kiedy po przedstawieniu wyszliśmy do holu (gdzie chyba z pięćset osób stłoczyło się wokół nas, żeby przywitać się z Dickensem i pochwalić go za napisanie cudownej sztuki; wyglądało na to, że zostałem w zasadzie zapomniany jako prawdziwy autor przedstawienia, co w ten pełen olśnień wieczór zupełnie mi nie przeszkadzało), Dickens zwrócił się do mnie:

– No, mój drogi Wilkie, sztuka święci triumfy. Bez dwóch zdań. Używając jednakże twojego kamienno–księżycowego języka, wciąż pozostaje nieoszlifowanym diamentem. Ma fragmenty cudowne, naprawdę cudowne, lecz zdarzają się także chwile, w których odrobinę się wlecze.

Wybałuszyłem oczy. Czy myśmy na pewno widzieli to samo przedstawienie?!

– Inscenizacji w obecnej postaci ewidentnie brakuje kunsztu reżyserskiego – ciągnął Dickens. – Przez to traci się

wiele okazji do podkreślenia dramatyzmu historii i uwypuklenia podłości Obenreizera.

Musiałem użyć całej swojej siły woli, żeby nie roześmiać się Panu Niezrównanemu prosto w twarz. Ta gigantyczna, parująca kupa melodramatycznego i przeszarżowanego aktorsko końskiego gnoju z pewnością nie potrzebowała kunsztu reżyserskiego, większego dramatyzmu i uwypuklenia podłości, tylko solidnej szufli i głębokiego dołu na odludziu, gdzie można by ją spokojnie zakopać.

– Z pewnością wiesz o tym, że wprawdzie Fechter z powodów zdrowotnych może wkrótce być zmuszony do odejścia z obsady, ale nadal bardzo poważnie traktujemy perspektywę premiery *Bez wyjścia* w paryskiej Café Vaudeville na początku przyszłego miesiąca – mówił dalej. – Mam nadzieję, że prędzej czy później Fechter powtórzy swoją wielką rolę.

Raczej wszyscy powtórzymy klapnięcie z hukiem na nasz zbiorowy tyłek, pomyślałem. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Zamierzam osobiście nadzorować wprowadzenie pewnych poprawek. Zastanawiam się również, czy nie zostać kierownikiem produkcji w Vaudeville Théâtre. Mam nadzieję, że wybierzesz się z nami do Paryża, Wilkie. Zapowiada się świetna zabawa.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe, Charlesie – odparłem. – Mój stan zdrowia na to nie pozwoli.

– Ach, jakże mi przykro z tego powodu…

Prawdę mówiąc, nie wychwyciłem w jego głosie nawet cienia żalu, za to byłem niemal pewien, że słyszę nutę ulgi.

– Cóż… – ciągnął. – Fechter jest pewnie zbyt zmęczony, żeby nam dalej towarzyszyć. Zajrzę do niego za kulisy i w imieniu nas wszystkich pogratuluję mu być może ostatniego znakomitego występu w roli Obenreizera… w każdym razie w tej wersji sztuki.

Po tych słowach oddalił się pośpiesznie, wciąż odbierając gratulacje od ostatnich wychodzących teatromanów.

Beard, który miał nam jeszcze tego wieczoru towarzyszyć,

z kimś rozmawiał, wyszedłem więc sam na ulicę. Powietrze cuchnęło końskim gnojem – jak zawsze pod teatrem, kiedy powozy i dorożki zabrały już eleganckich członków wieczornej publiczności. Ten smród wydał mi się bardzo na miejscu.

Na Dickensa musieliśmy ostatecznie czekać ponad pół godziny. Później się dowiedziałem, że pożyczył zapłakanemu Fechterowi dwa tysiące funtów, co zirytowało mnie tym bardziej, że dwa tygodnie wcześniej sam pożyczyłem temuż Fechterowi tysiąc, na który naprawdę z trudem mogłem sobie pozwolić.

Stojąc tak samotnie w stajennych oparach, pociągnąłem solidnie z buteleczki z laudanum i nagle sobie uświadomiłem, że mimo szumnych zapowiedzi scenicznego triumfu we Francji Dickens nie zabawi tam dużo dłużej niż do końca pierwszego tygodnia czerwca.

Drood i skarabeusz ściągną go z powrotem do Londynu najpóźniej dziewiątego czerwca – w trzecią rocznicę katastrofy pod Staplehurst. Byłem całkowicie pewien, że Dickens ma już na ten wieczór umówione spotkanie, i przysiągłem sobie, że w tym roku będę mu towarzyszył.

Dopiłem laudanum i uśmiechnąłem się uśmiechem bardziej złowieszczym i lodowatym od wszystkich uśmieszków, do jakich był zdolny Fechter w roli Obenreizera.

Rozdział 34

Pod koniec maja dowiedziałem się (od pani G., teściowej Caroline, starszej pani, która od czasu do czasu pomieszkiwała u nas przy Gloucester Place 90 – przyzwoitość wymagała, żeby mieszkającej w domu kawalera Carrie przynajmniej sporadycznie towarzyszyła opiekunka), że Caroline zamieszkała u matki Josepha Charlesa Clow, wdowy po gorzelniku. Ślub został zaplanowany na początek października. Nie byłem w najmniejszym nawet stopniu zmieszany tą nowiną – przeciwnie, wydała mi się stosownym krokiem stosownych ludzi, podjętym w stosownej chwili. Jeśli zaś już o stosowności mowa, po otrzymaniu listu od chyba lekko spanikowanej Caroline, odpisałem jej z zapewnieniem, że jestem gotowy jej pomóc w stworzeniu fikcyjnej biografii jej samej i jej rodziny (z wyłączeniem związku, który mnie z nią łączył), a następnie bronić jej do ostatniej kropli krwi, jeżeli postanowi przedstawić ją drobnomieszczańskiemu i nieco purytańskiemu klanowi Clow.

Tymczasem znalazłem Carrie przyjemną posadę guwernantki na pół etatu u swoich bardzo porządnych znajomych. Uwielbiała tę pracę i cieszyła się z własnych pieniędzy, ale najlepsze w tym układzie było to, że owi znajomi regularnie wprowadzali ją do towarzystwa, tak jakby była ich rodzoną córką. Dzięki temu, że przy moim stole miała kontakt z luminarzami pióra i sztuki, a w salonie swojego drugiego domu mogła obcować ze sławami świata angielskiej arystokracji, polityki i biznesu, młoda Carrie miała zapewnione idealne przygotowanie do wypłynięcia na szerokie wody dorosłości. Zbliżały się jej siedemnaste urodziny.

Martha R. (która miała niespełna dwadzieścia trzy lata) była szczęśliwa, że – odkąd poczułem się lepiej – mogłem nareszcie od czasu do czasu odwiedzać ją w mieszkanku przy Bolsover Street (jako jej wracający z wojaży mąż, „pan Dawson”, naturalnie). Wiedziała o Caroline i

prawdopodobnie zdawała sobie sprawę, że Caroline była dla mnie kimś więcej niż tylko gosposią wzmiankowaną w corocznym formularzu spisowym, nie okazała jednak żadnych emocji i w żaden sposób nie skomentowała moich słów, kiedy poinformowałem ją, że „pani G.” wyprowadziła się ode mnie i zamierza jesienią wyjść za mąż.

Namiętność Marthy, zawsze ogromna, na przełomie tamtej wiosny i lata rozkwitła chyba jeszcze bardziej niż zwykle. Martha napomknęła mi nawet o tym, że chciałaby urodzić dziecko, ale chwilowo zbyłem ją wybuchem śmiechu i żartem, że „biedny pan Dawson” tak dużo podróżuje po kraju, by zarobić na chleb dla ukochanej żonki, że naprawdę nie powinien fundować sobie rodziny, skoro i tak nie miałby czasu, żeby się nią nacieszyć.

***

Przybądź, Izydo, Królowo Nieba! Niech na Twój rozkaz córka ta zostanie poczęta w ogniu Nebt–Het, świętej Neftydy, Bogini Tej Śmierci, Która Nie Jest Wieczna. Ukryj się wraz z córką Ozyrysa, Boga naszych Ojców. Wykarm ją i opiekuj się nią, tak jak karmiłaś i opiekowałaś się Horusem, Władcą Rzeczy Przyszłych, w kryjówce wśród trzcin. Kiedy jej członki nabiorą sił, a jej ciało i umysł się wzmocnią, zostanie złożona na ołtarzu ojca w służbie Świątyni, która przechowuje prawdę o Dwóch Krainach. Usłysz nas, o Ozyrysie! Ty, którego tchnienie jest życiem! Usłysz nas!

Ocknąwszy się z morfinowego snu, znalazłem na nocnym stoliku obok łóżka tę i inne, podobne stronice, zapisane charakterem pisma Drugiego Wilkiego. Nie pamiętałem, żebym mu je dyktował. Same słowa, pozbawione wspomnienia snu, nie miały sensu. Wyglądało jednak na to, że udobruchały mojego skarabeusza.

Kiedy pierwszy raz znalazłem je przy łóżku, napaliłem w kominku i powierzyłem cały tekst płomieniom. Przez

następne dwa dni nie mogłem wstać z łóżka i tylko wiłem się z bólu. Od tamtej pory po każdym morfinowym śnie wywołanym wieczornym zastrzykiem Franka Bearda rano zbierałem gęsto zapisane kartki i chowałem je do skrzyneczki, którą trzymałem w szafie w gabinecie, na najwyższej półce, po czym zamykałem skrzyneczkę na klucz. Pewnego dnia wszystkie spłoną, chociaż może przyjdzie im poczekać aż do mojej śmierci. Nie przypuszczałem, żeby i wtedy skarabeusz mógł mi zrobić krzywdę.

***

Jakoś w tym okresie, w maju 1868 roku, doszedłem do wniosku, że brak kontaktu z inspektorem Charlesem Frederickiem Fieldem przynosi więcej szkód mnie niż jemu.

Mimo że tamta noc nad płynącą przez Podmiasto rzeką była makabrycznym przeżyciem (wciąż śniłem koszmary o Dzikim Chłopcu, który wpada bezwładnie do brudnej wody, a na głowie została mi blizna w miejscu, w które Reginald Barris zdzielił mnie kolbą pistoletu), to jednak nie mogłem zaprzeczać faktom: spotykając się z inspektorem, dowiedziałem się od niego znacznie więcej na temat Dickensa, Drooda, Ellen Ternan i wszystkiego, co się wokół nas działo, niż on ode mnie. Teraz zaś, w obliczu zbliżającej się niechybnie, moim zdaniem, ostatecznej konfrontacji z Dickensem (po której nikt już nie będzie miał wątpliwości, że jestem mu co najmniej równy, jeśli nie lepszy od niego), uświadomiłem sobie, że bardzo przydałyby mi się informacje dokładnie takiej natury, jak te, których Field dostarczał mi aż do stycznia.

Dlatego w maju zacząłem go szukać.

Jako dawny reporter gazetowy wiedziałem, że najlepiej byłoby się skontaktować z jakimś wysoko postawionym funkcjonariuszem stołecznej policji albo jej biura śledczego – mimo że Field przeszedł na emeryturę, ktoś z nich musiał znać jego aktualny adres prywatny i lokalizację jego „Prywatnego biura śledczego”. Miałem jednak poważne

powody, żeby nie zwracać się w tej sprawie do policji. Główną przeszkodą był spór Fielda z dawnym pracodawcą o należną mu emeryturę, zamieszanie w starą sprawę otrucia Palmera i inne kwestie. Poza tym martwiłem się trochę, że po styczniowych wypadkach z udziałem dzikiej tłuszczy, a także pożarach i strzelaninie, których byłem świadkiem w Podmieście, Field sam może mieć kłopot z policją. Nie chciałem, żeby kojarzono mnie z tego rodzaju wydarzeniami.

Ostatni – i najbardziej przekonujący – argument był taki, że wiedziałem, iż zarówno Drood, jak i Dickens mają w policji swoich informatorów, a ja nie chciałem, żeby się dowiedzieli, że szukam Fielda.

Przyszło mi do głowy, że mógłbym pójść do „Timesa” albo innej gazety – jeżeli ktoś miał wiedzieć, gdzie obecnie urzęduje emerytowany inspektor, to najprędzej jakiś przedsiębiorczy reporter. Jednakże i w tym wypadku negatywy przeważały nad pozytywami: nie chciałem, żeby policja kojarzyła mnie z osobą inspektora Charlesa Fredericka Fielda, ale jeszcze bardziej nie chciałem, żeby skojarzono nas ze sobą w prasie. Sam zaś od tak dawna nie zajmowałem się już reporterką, że nie miałem w gazetach żadnych zaufanych znajomych.

Nie pozostało mi więc nic innego, jak szukać na własną rękę. Do końca maja robiłem co w mojej mocy: włóczyłem się po ulicach, gdy tylko zdrowie mi na to pozwalało; gdy czułem się gorzej, jeździłem po mieście dorożką; posyłałem George’a do najbardziej obiecujących kamienic i zaułków, żeby tam szukał biura Fielda. Może sprawił to nasz wspólny spacer przez Strand i tereny Lincoln’s Inn, może fakt, że znajdowało się tam biuro wiekowego opiekuna prawnego Edmonda Dickensona, a może nasze spotkania na Waterloo Bridge, w każdym razie miałem silne wrażenie, że biuro detektywistyczne Fielda musi się znajdować gdzieś między Charing Cross i więzieniem nad Fleet River, najprawdopodobniej w labiryncie starych domów i biur adwokackich między Drury i Chancery Lane.

Mimo wielotygodniowych poszukiwań w tym rejonie nie

znalazłem żadnego, choćby najmniejszego śladu. Rozpuściłem więc u siebie w klubie wici, że szukam (do roli konsultanta literackiego) emerytowanego policjanta, o którym Dickens pisał w połowie lat pięćdziesiątych. Na próżno: wiele osób pamiętało wprawdzie, że postać inspektora Bucketa była wzorowana na Fieldzie (na razie nikt jeszcze nie kojarzył go z sierżantem Cuffem, niezwykle popularnym bohaterem mojej nowej, publikowanej w odcinkach powieści), ale nikt nie wiedział, gdzie można go znaleźć. Prawdę mówiąc, większość moich rozmówców utrzymywała, że inspektor Field nie żyje.

Ja jednak byłem święcie przekonany, że Field odezwie się do mnie jeszcze przed końcem lata. Nawet jeśli był rozgoryczony zachowaniem swojego podwładnego, który w styczniu wyrżnął mnie bronią w głowę (mógł się przecież obawiać, że zechcę dochodzić odszkodowania przed sądem), na pewno mógł się ode mnie jeszcze sporo dowiedzieć. Dlatego prędzej czy później albo jeden z jego uliczników, albo nijaki człowieczek w brązowym garniturze (chociaż poważnie wątpiłem, żeby do tej roli Field wyznaczył Reginalda Barrisa) zaczepi mnie na ulicy i w ten sposób odnowię znajomość z ogarniętym obsesją inspektorem.

Ale do tego czasu w przygotowaniach do konfrontacji z Charlesem Dickensem musiałem polegać na swoich szpiegach.

***

Na początku czerwca Dickens pisał do mnie prawie codziennie z „Hôtel du Helder”, w którym zatrzymał się w Paryżu. Fechter dołączył tam do niego, żeby mieć oko na próby, ale prawdziwym kierownikiem produkcji – zgodnie z zapowiedzią – był Dickens. Francuzi ochrzcili moją sztukę *L’Abîme* („Otchłań”); premierę zaplanowano na drugiego czerwca. Dickens donosił mi również, że francuska wersja *Bez wyjścia* – zdaniem Fechtera, a także Didiera (francuskiego tłumacza Dickensa) i jego paryskich przyjaciół

i aktorów, o niebo lepsza od londyńskiej – jest wprost skazana na sukces. Poza tym zamierzał do połowy czerwca zostać w Paryżu.

Zgodnie z moimi przewidywaniami, zapowiedzi oszałamiającego sukcesu sztuki w Paryżu okazały się pobożnymi życzeniami, a zamiar przedłużenia pobytu o dwa tygodnie – zwyczajnym kłamstwem. Doskonale wiedziałem, że Drood ściągnie Dickensa do Londynu w rocznicę wypadku, dziewiątego czerwca. To jedno nie ulegało wątpliwości. Obecność skarabeusza lub jego brak nie grały tu żadnej roli.

Uruchomiłem więc swoją skromną siatkę szpiegowską. W tajemnicy napisałem do Fechtera, prosząc go, by zatelegrafował do mnie, gdy tylko Dickens wyruszy w drogę powrotną do Anglii. Wyjaśniłem, że planuję drobną, lecz sympatyczną niespodziankę dla Pana Niezrównanego, w związku z czym muszę wiedzieć, kiedy dokładnie mam się go spodziewać, i poprosiłem Fechtera o zachowanie w tajemnicy sprawy z telegramem; był mi winien już półtora tysiąca funtów, miałem więc pewność, że spełni moją prośbę. Następnie równie dyskretnie poprosiłem o przysługę mojego brata, który z żoną spędzał akurat czas w Gad’s Hill, dochodząc do siebie po uporczywych i umiarkowanie poważnych bólach brzucha. (Charley i Katey zatrudniali wprawdzie jedną służącą, ale była ona osobą niegodną zaufania i kiepską kucharką. Gad’s Hill Place zapewniało rekonwalescentowi znacznie więcej wygód niż ciasny i duszny londyński dom, w którym mieszkali na co dzień). Biorąc pod uwagę pozycję Charleya w strukturze siatki szpiegowskiej, poprosiłem go, żeby wysłał mi jeden dyskretny liścik, gdy Dickens zjawi się w domu, a drugi, kiedy wyruszy do Londynu, co wedle mojej rachuby powinno nastąpić wkrótce potem.

Wiedziałem również, że Londyn jako taki nie będzie bynajmniej celem podróży Pana Niezrównanego po powrocie z Francji i krótkim przystanku w Gad’s Hill. Dickens najpierw pojedzie do Peckham, żeby tam spotkać się z Ellen

Ternan, i dopiero stamtąd wróci do Londynu na spotkanie z Droodem.

Sam również zabawiłem się w szpiega. Moja starsza kuzynka (bardziej z pokolenia mojej matki niż mojego) mieszkała w Peckham. Po latach nieutrzymywania kontaktów, w maju odwiedziłem ją aż dwukrotnie. Udawałem, że przybywam pocieszyć ją po śmierci matki, ale w rzeczywistości sporo czasu poświęcałem na spacery lub krążenie dorożką wokół domu, w którym mieszkały panie Ternan (za którego wynajem, jak może pamiętasz, Drogi Czytelniku, płacił Dickens pod przybranym nazwiskiem Charlesa Tringhama), przy Linden Grove 16. Przespacerowałem się również pod mroczne mieszkanie, które Dickens wynajmował (potajemnie) nieopodal gospody „Five Bells Inn" w New Cross, zaledwie dwadzieścia minut (Dickensowskim krokiem) od numeru szesnastego przy Linden Grove.

Piętrowy dom – a właściwie mały dworek – który pisarz wynajął dla Ellen i jej matki, spokojnie pomieściłby zamożną pięcioosobową rodzinę wraz ze stosowną liczbą służących. Stał w zadbanym ogrodzie, który z kolei otaczały puste pola, nadając podmiejskiej rezydencji cudownie wiejski charakter. Było widać, że korzyści z bycia bliską, choć dyskretną przyjaciółką najsłynniejszego pisarza świata są całkiem namacalne. Pomyślałem o Marcie R., która pewnie byłaby mniej zachwycona niewielkim mieszkankiem przy Bolsover Street, gdyby zobaczyła dom Ellen Ternan i jej matki.

Podczas wizyt w Peckham starałem się ustalić i mieć na oku najkrótszą drogę dzielącą dom pań Ternan od stacji kolejowej.

Domyślałem się, że Dickens wyjedzie z Paryża dzień lub dwa po premierze. Pomyliłem się. Okazało się, że obaj z Fechterem byli na wpół obłąkani z napięcia w dniu premiery *L'Abîme,* drugiego czerwca, i Dickens stwierdził, że nie jest w stanie przekroczyć progu teatru. Zamiast więc uczestniczyć w spektaklu, pisarz i aktor przez cały wieczór krążyli po Paryżu w otwartej dorożce, przy wtórze stukotu

kopyt, regularnie zaglądając do kawiarni przy teatrze, do której Didier (tłumacz) wymykał się w czasie antraktów, by ich poinformować, że – przynajmniej na razie – sztuka przyjmowana jest z wielkim entuzjazmem.

Podczas ostatniego aktu Dickens postanowił jeszcze raz spróbować wejść do środka, ale znów zabrakło mu odwagi i kazał się zawieźć na dworzec, na wieczorny pociąg do Boulogne. Tam objęli się z Fechterem na pożegnanie i pogratulowali sobie nawzajem sukcesu, a potem aktor wrócił do hotelu sam. Po drodze zatrzymał się tylko po to, by wysłać telegram, o który go prosiłem.

Następnego dnia – w środę trzeciego czerwca – Dickens zameldował się w domu w Gad's Hill Place, a ja dostałem od brata list z informacją, że pisarz następnego dnia rano udaje się „do Londynu". Zostawiłem George'a na stacji w Peckham, przykazawszy mu, żeby śledził Dickensa (którego znał z widzenia z jego częstych wizyt u mnie domu), podążając za nim w dyskretnym oddaleniu (w tym miejscu musiałem mu wyjaśnić znaczenie słowa „dyskretny"). Na wypadek, gdyby Pan Niezrównany go dostrzegł, przygotowałem list do kuzyna, który George rzekomo miał dostarczyć, co wyjaśniałoby obecność mojego niezbyt bystrego majordomusa na tej akurat ulicy – okazało się jednak, że Dickens nie zauważył, że ktoś podąża za nim na tym krótkim odcinku. Zgodnie z moimi instrukcjami, George upewnił się, czy pisarz wszedł do domu pań Ternan, poczekał dwie godziny gdzieś w pobliżu (dyskretnie, miałem nadzieję), żeby mieć pewność, że Dickens nie udał się zbyt szybko do wynajętego mieszkania nieopodal „Five Bells Inn", a następnie wrócił pociągiem do miasta, by o wszystkim mi opowiedzieć.

Oczywiście, żaden z tych manewrów nie byłby możliwy, gdyby Caroline G. w dalszym ciągu mieszkała ze mną przy Gloucester Place 90. Caroline jednak się wyprowadziła, a Carrie – jako zapracowana guwernantka – spędzała poza domem całe dnie i większość wieczorów.

Jeśli jednak zamierzałem przechwycić Dickensa w drodze

na spotkanie z Droodem (a tego dorocznego *rendez–vous* z Egipcjaninem nie przepuściłbym za żadne skarby świata), musiałem sam wysnuć ostateczne wnioski z faktów i domysłów; w tych chwilach najbardziej żałowałem, że nie mogę skorzystać z pomocy inspektora Fielda i jego licznych agentów. Dickens wrócił do Gad’s Hill Place wieczorem w środę, trzeciego czerwca. W czwartek udał się do Peckham na spotkanie z Ellen. Z Droodem zaś powinien spotkać się najwcześniej we wtorek dziewiątego.

Może postąpi zgodnie z letnią rutyną, czyli wróci do Londynu w poniedziałek i do czwartku pomieszka w wynajętym mieszkaniu przy Wellington Street, na pięterku nad redakcją?

Dickens lubił się trzymać utartych przyzwyczajeń, co sugerowało, że istotnie przyjedzie do miasta w poniedziałek rano ósmego czerwca. Jednakże przysłał mi wcześniej z Francji list, z którego wynikało, że najprawdopodobniej zostanie w Paryżu co najmniej do przyszłego tygodnia, wydawało się więc prawdopodobne, że będzie teraz chciał zaszyć się u Ellen Ternan aż do wtorku dziewiątego czerwca, ukrywając przed wszystkimi – przed Willsem, Dolbym, mną – fakt powrotu do Anglii.

Odszukanie go na dworcu Charing Cross byłoby trudne; dokonanie tego w taki sposób, żeby nasze spotkanie wyglądało na przypadkowe, byłoby jeszcze trudniejsze. Nawet we wtorkowy wieczór tłum na dworcu będzie spory, a zamieszanie potężne. Musiałem wywabić Dickensa gdzieś na kolację, jeśli chciałem odbyć z nim planowaną dłuższą rozmowę, podczas której zamierzałem przekonać go, żeby zabrał mnie ze sobą na późniejsze spotkanie z Droodem. Ale najpierw, żeby namówić go na wspólną kolację, musiałem się na niego napatoczyć albo w Peckham, albo w pociągu.

Tyle że Dickens wcale nie musiał wracać do Londynu z Peckham, gdyby się okazało, że nie mieszka u pań Ternan, lecz w swoim mieszkaniu przy „Five Bells Inn” – skąd bliżej miał na stację New Cross. Musiałem więc zaryzykować i wybrać między Peckham i New Cross – albo zdecydować się

na wariant bezpieczniejszy, czyli czekać na Charing Cross.

Wybrałem Peckham.

O której godzinie dziewiątego czerwca Dickens wyprawi się do Londynu?

Przy okazji dwóch pierwszych rocznic katastrofy pod Staplehurst wymykał się agentom Fielda i późnym wieczorem spotykał z Droodem; ja sam widziałem go po północy, jak w moim gabinecie rozmawiał z Droodem i Drugim Wilkiem.

Jeżeli zamierzał zatrzymać się u pań Ternan (a w każdym razie u Ellen Ternan) aż do planowanej trzeciej rocznicy, spodziewałem się, że opuści ich dom w porze między późnym popołudniem i późnym wieczorem, pojedzie pociągiem na Charing Cross, zje kolację w jednej ze swoich ulubionych knajpek, a potem – po dziesiątej – zniknie w którymś z tajnych wejść do Podmiasta.

Dlatego najlepiej zrobię, czekając na niego na stacji w Peckham od popołudnia do skutku.

Wiązały się z tym pewne problemy. Przez stacyjkę w Peckham, o czym chyba już wspominałem, rzadko przewalały się tłumy pasażerów. Ktoś, kto spędziłby tam siedem czy osiem godzin, kręcąc się po peronie, zamiast wsiąść do któregoś pociągu – nawet człowiek tak porządny z wyglądu jak ja – mógł ściągnąć na siebie uwagę zawiadowcy, a może nawet miejscowej policji. Nie bardzo też wiedziałem, jak to zrobić, żeby, czekając na Dickensa, nie rzucać się w oczy. Nie chciałem przecież, żeby się zorientował, że go śledzę.

Na szczęście, dokonany zawczasu rekonesans podsunął mi teraz wyjście z tarapatów.

Na tyłach stacji, między lokomotywownią i drogą w głąb przedmieścia, gdzie stał dom przy Linden Grove pod numerem szesnastym, znajdował się mały publiczny park złożony z opieszale pielęgnowanego ogrodu, stojącej pośrodku fontanny i paru żwirowych ścieżek, w tym jednej poprowadzonej po obwodzie. Dla zapewnienia prywatności rzadkim gościom parku (najprawdopodobniej podróżnym znudzonym czekaniem na pociąg w poczekalni lub na

peronie), ojcowie miasta Peckham kazali obsadzić jego granicę żywopłotem, który całkowicie odciął parczek od stacji. W najwyższym punkcie – pomiędzy parkiem i skromną drogą – żywopłot sięgał siedmiu stóp. Sam park, z którego przejściem pod treliażem można było dostać się bezpośrednio na peron, przylegał do prawie ślepej tylnej ściany budynku stacji.

Podróżny spędzający czas w tym kieszonkowym ogrodzie znacznie mniej rzucałby się w oczy od człowieka, który godzinami przesiaduje na peronie. Zwłaszcza gdyby tym podróżnym był szacowny dżentelmen w okularach, siedzący na słońcu i zajęty pracą nad powieścią – a konkretnie wykonujący korektę szpaltową ostatniego odcinka *Kamienia Księżycowego.*

Dwie kamienne ławki stały w cieniu młodych drzewek, bardzo blisko – tak się fortunnie złożyło – żywopłotu zasadzonego wzdłuż drogi. Nawet lekkie zaniedbanie ogrodu działało na moją korzyść: w żywopłocie znajdowały się wąskie luki, przez które czekający na pociąg dżentelmen mógł mieć baczenie na drogę z Peckham, samemu nie będąc widzianym przez osoby przybywające stamtąd pieszo lub powozami.

Tak oto wyklarował się mój ostateczny plan: będę czekał na Dickensa w kieszonkowym parku na tyłach stacji w Peckham, poczekam, aż wsiądzie do pociągu, sam również dyskretnie wsiądę, a potem niby przypadkiem wpadnę na niego i namówię go na wspólną kolację w Londynie.

Rankiem dziewiątego czerwca byłem chory z nerwów i przekonany, że mój plan weźmie w łeb i będzie musiał minąć jeszcze co najmniej rok, zanim Dickens w końcu doprowadzi mnie do Drooda. Co gorsza, sama kolacja i planowana przy niej rozmowa były już spóźnione. W ten wieczór zamierzałem raz na zawsze pogrzebać wizerunek Wilkiego Collinsa jako sympatycznego, uległego i błagającego o uwagę protegowanego Mistrza Literatury, Charlesa Dickensa. Dickens będzie musiał uznać, że jestem co najmniej równy jemu, a może wręcz go przewyższam.

Ale co będzie, jeśli jednak nie przyjedzie do Londynu? Albo jeśli wyprowadził się od pań Ternan i wsiądzie do pociągu w New Cross? Albo będzie jechał z Peckham, ale go nie zauważę? Albo gorzej: to on zauważy m n i e i będę musiał się tłumaczyć?

Ze sto razy rozważałem te wszystkie ewentualności i zmieniałem zamiary, ale za każdym razem lądowałem z powrotem na stacji w Peckham. Ten plan był daleki od ideału, ale dawał mi największe szanse powodzenia.

Popołudnie dziewiątego czerwca było bardzo przyjemne: po wielu deszczowych dniach zaświeciło słońce, kwiaty w moim ogródku mieniły się kolorami, a rześkie powietrze niosło obietnicę lata, pozbawioną jeszcze typowego dla Londynu ciężkiego upału i wilgoci.

Na podróż do Peckham i nie wiadomo jak długie oczekiwanie zapakowałem do starego skórzanego kuferka (który nosiłem na przerzuconym przez ramię pasku) korektorską odbitkę najnowszego odcinka *Kamienia Księżycowego;* przenośny zestaw pisarski z piórem i kałamarzem; najnowszą powieść Thackeraya (na wypadek, gdybym przedwcześnie skończył korektę); lekkie drugie śniadanie i suchy prowiant na obiad, na który złożyły się ser, krakersy, kilka plastrów mięsa i jajko na twardo; butelkę wody; drugą butelkę – z laudanum; oraz rewolwer nieżyjącego detektywa Hatchery'ego.

Udało mi się w końcu zajrzeć do bębenka broni. W pierwszej chwili zdumiał mnie widok wszystkich nabojów na swoich miejscach – okrągłe mosiężne łuski tkwiły we wszystkich komorach, a ja zacząłem się zastanawiać, czy nie przyśniło mi się, że strzelałem z rewolweru na schodach. W końcu jednak uświadomiłem sobie, że w broni tego typu łuski pozostają w komorach nawet po wystrzeleniu ołowianych pocisków.

Wystrzeliłem pięć kul. Zostały cztery.

Zastanawiałem się, czy lepiej będzie wyjąć puste łuski, czy zostawić je na miejscu (nie wiedziałem, jak powinno się to robić), w końcu jednak postanowiłem je powyjmować (i

dyskretnie wyrzucić). Dopiero później przyszło mi do głowy, żeby bębenek ustawić w takiej pozycji, by mieć pewność wystrzału, kiedy następny raz pociągnę za spust: w tym celu wystarczyło go obrócić do położenia, w którym znajdował się zanim zacząłem wyciągać puste łuski.

Nie wiedziałem, czy cztery naboje wystarczą mi na najbliższą noc, lecz zagadnienie to miało naturę czysto akademicką, ponieważ nie miałem pojęcia, gdzie mógłbym znaleźć amunicję do tej niezwykłej broni.

Cztery będą więc musiały wystarczyć. Co najmniej trzy na Drooda. Przypomniałem sobie, jak detektyw Hatchery mówił mi przy którejś okazji (kiedy po wieczornej czwartkowej wizycie w szynku udawaliśmy się do Kaplicy Upiornych Świętych), że mimo dużego kalibru takiej broni (nie miałem pojęcia, o co chodzi z tym „kalibrem”), nielicznych noszących ją detektywów uczula się, żeby celowali w korpus przeciwnika i strzelali co najmniej dwukrotnie. Szeptem dodał:

– A my, chłopaki z ulicy, walimy jeszcze raz w łepetynę.

Wtedy wzdrygnąłem się z odrazą, słysząc te słowa. Teraz potraktowałem je jak dobrą radę zza grobu.

Co najmniej trzy kule dla Drooda: dwie w tułów i jedna w tę dziwaczną, łysiejącą, ohydnie gadzią głowę.

Czwarta, ostatnia…

Później zdecyduję.

Rozdział 35

Pierwsze etapy mojego planu przebiegły bez przeszkód.

Popołudnie i wczesny wieczór przesiedziałem – pławiąc się w coraz bardziej ukośnych promieniach słońca – w maleńkim parku wciśniętym między stację kolejową w Peckham i główną drogę miasteczka. Powozy przyjeżdżały i odjeżdżały, piesi przychodzili i odchodzili. Z miejsca, w którym siedziałem, wystarczał mi zwykle jeden rzut oka, by stwierdzić, że nowo przybyły nie jest interesującą mnie zwierzyną. Jedyny chodnik łączący drogę dojazdową z peronem przebiegał tuż obok treliażowego wejścia do parku, nie dalej niż trzydzieści stóp od ławki, na której siedziałem. Zauważyłem, że skradając się po swojej stronie żywopłotu, mogę bez przeszkód podsłuchiwać rozmowy zbliżających się tą drogą podróżnych. Zgodnie z planem i moimi nadziejami, żywopłot nie tylko ukrywał mnie przed ich wzrokiem, ale także pozwalał wyglądać na zewnątrz przez wąskie szczeliny, podobne nieco do otworów strzelniczych w murze. Posługując się współczesną mi terminologią, Drogi Czytelniku, zapożyczoną od myśliwych polujących na szkockie gęsi albo bengalskie tygrysy, znajdowałem się w czatowni.

Przyjemne popołudnie przeszło w przyjemny wieczór. Zjadłem drugie śniadanie, wypiłem dwie trzecie laudanum. Skończyłem również korektę ostatniego odcinka *Kamienia Księżycowego* i schowałem szpalty do kuferka razem z ogryzkiem jabłka, okruchami ciasta, skorupkami jajka i rewolwerem. W miarę upływu czasu powinny targać mną narastające obawy i niepewność, czy Dickens nie odjechał przypadkiem z New Cross. A może w ogóle nie wybierał się do Londynu?

Tymczasem, im dłużej tam siedziałem, tym większy spokój mnie ogarniał. Nawet sprawiające mi ból ruchy skarabeusza, który przegryzł się w tym dniu gdzieś w okolice mojego rdzenia kręgowego, nie były w stanie zburzyć bardziej

kojącego niż najlepsze opiaty przekonania, że mam rację. Nigdy w życiu nie byłem niczego tak pewny, jak tego, że Dickens wieczorem zjawi się na stacji. Znowu pomyślałem o doświadczonym łowcy tygrysów, przyczajonym na zamaskowanym stanowisku strzelniczym gdzieś w Indiach, z naoliwioną, śmiertelnie niebezpieczną bronią opartą w zgięciu łokcia. Taki myśliwy po prostu wiedział, kiedy niebezpieczny zwierz się zbliża, chociaż nie umiałby nie–białemu myśliwemu wytłumaczyć, skąd to wie.

Około ósmej wieczorem, kiedy cień czerwcowego wieczoru zaczynał przechodzić w chłodny zmierzch, odłożyłem Thackeraya, który jakoś mnie nie wciągnął, wyjrzałem przez szparę w żywopłocie… i zobaczyłem Charlesa Dickensa.

***

O dziwo, nie był sam: we dwoje z Ellen Ternan szli poboczem bitej drogi po stronie parku. Ellen była ubrana jak na popołudniowe wyjście i – mimo że ulica leżała w cieniu drzew i domów stojących po zachodniej stronie – chowała się pod parasolką. Za nimi, drugą stroną ulicy, skradał się otwarty powozik: na przemian to przystawał, to wolniutko podjeżdżał naprzód. Najwidoczniej Dickens opłacił stangreta, żeby ten odwiózł Ellen z powrotem na Linden Grove, a oni sami – papużki nierozłączki – postanowili przespacerować się na stację.

A jednak coś mi w tym obrazie nie pasowało. Dickens szedł nierównym krokiem, jakby dręczony bólem, i zachowywał wyraźny dystans do aktorki. Panowało między nimi wyraźne napięcie, które dostrzegałem także w sposobie, w jaki Ellen opuściła bezużyteczną parasolkę, zamknęła ją, ścisnęła mocno w obu dłoniach i znów otworzyła. To nie były żadne papużki nierozłączki, tylko dwa poranione ptaki.

Powozik zatrzymał się po raz ostatni i czekał pod przeciwległym krawężnikiem w odległości trzydziestu jardów od podjazdu pod stację.

Kiedy Dickens i Ellen podeszli bliżej, sparaliżował mnie

strach. Dogasające światło dnia i rzucany przez żywopłot cień powinny zapewnić mi osłonę; żywopłot – mimo że w niektórych miejscach przerzedzony – spacerowiczom z drugiej strony musiał się wydawać lity i mroczny, ja jednak przez chwilę nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że jestem doskonale widoczny dla tamtych dwojga. Za parę sekund Dickens z kochanką zobaczą znajomego niskiego mężczyznę w małych okularkach, z wysokim czołem i gęstą brodą, przycupniętego na ławce najdalej dwie stopy od chodnika, po którym idą. Serce waliło mi tak głośno, że byłem pewien, że zaraz je usłyszą. Uniosłem ręce, jakbym zamierzał ukryć w nich twarz, i zamarłem bez ruchu. Dickensowi skojarzyłbym się pewnie z bladym, miękkim, brodatym królikiem z wytrzeszczonymi ślepiami, schwytanym w promień światła niesionej przez myśliwego latarni.

Przechodząc obok, nie spojrzeli w moją stronę. Mówili półgłosem, ja jednak słyszałem ich całkiem wyraźnie. Pociąg jeszcze nie przyjechał, na podmiejskiej drodze nie było ruchu (zaparkowany po drugiej stronie powóz był na niej jedynym pojazdem), i poza głosami Dickensa i Ellen było słychać tylko ciche gruchanie gołębi pod okapem dachu stacji.

– …możemy zapomnieć o naszej smutnej historii… – mówił właśnie Dickens.

Na „smutną historię” położył wyraźny nacisk, ale w jego głosie wychwyciłem też błagalną nutę, której nigdy, ale to nigdy przedtem u niego nie słyszałem.

– Nasza smutna historia została pogrzebana we Francji, Charlesie – odparła bardzo cicho Ellen. Szerokim rękawem przeszorowała po żywopłocie, gdy mnie mijali. – Nigdy jednak o niej nie zapomnimy.

Dickens westchnął (zabrzmiało to prawie jak jęknięcie) i oboje przystanęli w miejscu odległym o dziesięć kroków od skrętu w kierunku stacji. Niespełna sześć kroków od mojej czatowni. Nawet nie drgnąłem.

– Co w takim razie nam pozostaje? – spytał Dickens. Jego głos brzmiał żałośnie, jak słowa wydarte z piersi człowieka na torturach.

– To, o czym rozmawialiśmy. To jedyne honorowe wyjście.

– Nie mogę tego zrobić! – wybuchnął Dickens. Miałem wrażenie, że płacze. Gdybym przysunął się sześć cali bliżej żywopłotu, zobaczyłbym jego twarz, ale to nie wchodziło teraz w grę. – Brak mi woli – dodał.

– Niech ci zatem nie braknie odwagi – odparła Ellen Ternan.

Dał się słyszeć szmer: ciche szurnięcie jej drobnych trzewików na bruku. Nieco głośniejszy chrobot butów Dickensa. Wyobraziłem sobie, że Dickens nachyla się ku Ellen, ona odruchowo cofa się o krok i znów dzieli ich pełen napięcia dystans.

– Tak – odezwał się w końcu Dickens. – Odwaga. Mogę zdać się na odwagę, gdy zawodzi wola, lub przywołać wolę, gdy braknie odwagi. Tak to właśnie wygląda w moim życiu.

– Jesteś moim najdroższym chłopczykiem. – Wyobraziłem sobie, jak Ellen dotyka jego policzka dłonią w rękawiczce. – Oboje musimy być odważni. – Wymuszona beztroska w jej głosie nie pasowała do dojrzałej, dwudziestokilkuletniej kobiety. – Od dziś bądźmy jak brat i siostra.

–Już nigdy… mielibyśmy nie być razem… jak dawniej? – spytał Dickens głosem człowieka, który, skazany na gilotynę, powtarza słowa wyroku śmierci.

– Nigdy.

– I nigdy nie zostaniemy mężem i żoną?

– Nigdy!

Cisza, która teraz zapadła, przeciągnęła się tak bardzo, że znów odczułem pokusę, żeby pochylić się, wyjrzeć przez szparę w żywopłocie i sprawdzić, czy Dickens i Ellen na pewno się nie zdematerializowali. Wtedy jednak usłyszałem kolejne westchnienie Pana Niezrównanego. Kiedy przemówił, jego głos brzmiał mocniej i głośniej, lecz zarazem pusto i głucho:

– Niech więc tak będzie. *Adieu*, ukochana.

– *Adieu*, Charlesie.

Byłem pewien, że nie dotknęli się ani nie pocałowali na pożegnanie – chociaż nie umiałbym powiedzieć, Drogi

Czytelniku, z czego ta pewność wynika. Siedząc nieruchomo, nasłuchiwałem odgłosu kroków Dickensa na łuku drogi za żywopłotem. W pewnym momencie przystanął (z pewnością odwrócił się wtedy i spojrzał na Ellen), po czym ruszył dalej.

Pochyliłem się i przysunąłem twarz do krzewów, żeby odprowadzić wzrokiem Ellen, kiedy przechodziła na drugą stronę drogi. Powozik wyjechał jej na spotkanie. Złożyła parasolkę i ukryła twarz w dłoniach. Nie patrząc w stronę stacji, wsiadła do powozu; stangret – starszy jegomość z gęstymi bokobrodami – pomógł jej wejść po schodkach, poczekał, aż usiądzie, i delikatnie zamknął za nią drzwi. Ellen nadal nie odwróciła się w kierunku stacji, gdy stangret wrócił na swoje miejsce. Powóz powoli zatoczył szerokie półkole na pustej drodze i ruszył z powrotem w stronę Peckham.

Dopiero wtedy spojrzałem w lewo, w głąb przejścia pod treliażem.

Dickens przeszedł przed wyjściem z parku, pokonał cztery stopnie dzielące go od poziomu peronu i zatrzymał się.

Wiedziałem, co się teraz stanie. Dickens się odwróci i ponad parkiem i żywopłotem spojrzy na znikający w głębi ulicy powozik uwożący Ellen Ternan. Musiał się odwrócić. Ten imperatyw był wypisany w napięciu jego ramion pod płóciennym letnim garniturem, w bolesnym pochyleniu głowy, w znieruchomieniu w pół kroku na peronie.

A kiedy się odwróci (co nastąpi najdalej za dwie sekundy), ujrzy swojego dawnego współpracownika i domniemanego przyjaciela, Wilkiego Collinsa, zgarbionego przy żywopłocie jak tchórzliwy *voyeur,* którym był w istocie, z bladą twarzą emanującą poczuciem winy i zwróconą w jego, Dickensa, kierunku, i oczami widocznymi tylko jako dwa puste owale w miejscach, gdzie szkła okularów odbijały blaknące niebo.

Ale on – to było nie do wiary! – bynajmniej się nie odwrócił. Obszedł z boku budynek stacji i wyszedł na peron, ani razu nie obejrzawszy się przez ramię na jedyną i największą miłość swojego obfitującego w sentymentalizm i napędzanego romantycznymi porywami życia.

Kilka sekund później na peron wjechał pociąg do Londynu, z metalicznym chrzęstem kół i sykiem niewidocznych dla mnie kłębów pary.

Trzęsącymi się dłońmi wyjąłem zegarek z kieszeni kamizelki: ekspres przybył punktualnie. Za cztery minuty i trzydzieści sekund odjedzie z Peckham.

Roztrzęsiony wstałem i podniosłem stojący na ławce kuferek, a potem odczekałem pełne cztery minuty, żeby Dickens zdążył zająć miejsce w wagonie.

Ciekawe, pomyślałem, czy ma miejsce od strony peronu i, wyglądając przez okno, dostrzeże mnie.

Od rana bogowie byli dla mnie łaskawi. Wierząc w dalszą ich przychylność (z powodów, których nie umiałbym wyjaśnić ani wówczas, ani obecnie), przycisnąłem kuferek do piersi i pognałem do pociągu, zanim odjazd maszyny bezmyślnej, lecz posłusznej rozkładowi jazdy zdążył ukrócić moje przeintelektualizowane dywagacje.

***

Rzecz jasna, podróż podmiejskim ekspresem z Peckham i New Cross na Charing Cross nie trwała długo. Większość czasu wypełniło mi zbieranie się na odwagę, żeby wyjść z ostatniego przedziału wagonu, do którego wsiadłem. Odbyłem wystarczająco dużo podróży kolejowych w towarzystwie Dickensa, żeby wiedzieć, do którego wagonu wsiadł, a także w której jego części (wagon był prawie pusty) go znajdę.

Mimo to, byłem wstrząśnięty, gdy, przyciskając kuferek do piersi, ruszyłem naprzód i zastałem Dickensa samego w przedziale, zapatrzonego w swoje własne odbicie w okiennej szybie. Istne studium bezgranicznego smutku.

– Charles! – wykrzyknąłem, udając przyjemne zaskoczenie. Nie pytając go o pozwolenie, wśliznąłem się do przedziału i usiadłem naprzeciwko. – Co za niezwykły, lecz zachwycający zbieg okoliczności! Myślałem, że jesteś we Francji!

Dickens gwałtownie odwrócił głowę, jak spoliczkowany

rękawiczką, i w ciągu następnych paru sekund na zwykle nieprzeniknionym obliczu Pana Niezrównanego odmalowała się cała gama wyraźnie czytelnych emocji: najpierw bezgraniczny szok, następnie graniczący z furią gniew, potem bolesna świadomość profanacji, na koniec znów ten sam smutek, który widziałem na odbijającej się w szybie twarzy… Potem nie było już nic.

– Co ty tu robisz? – spytał bezbarwnym tonem. W jego głosie nie było nawet pozorów pozdrowienia, najmniejszego śladu życzliwości.

– Odwiedzałem kuzynkę. Mówiłem ci o niej, Charlesie, z pewnością pamiętasz. Mieszka między New Cross i Peckham. Po śmierci matki okazało się, że…

–Wsiadłeś w Peckham? – przerwał mi. Jego spojrzenie, zwykle ciepłe i ożywione, było teraz lodowate, dociekliwe i paraliżujące jak u bazyliszka.

– Nie – odparłem. Ryzykowne kłamstwo stanęło mi w gardle jak rybia ość. – Bliżej Gad’s Hill Place. Moja kuzynka mieszka pomiędzy Peckham i New Cross. Podjechałem dorożką do Five Bells i tam wsiadłem.

Dickens patrzył na mnie bez mrugnięcia okiem.

– Charlesie, mój drogi… – wykrztusiłem po krótkiej pauzie. – Napisałeś do mnie w liście, że zostajesz dłużej we Francji. Dlatego twój widok tak mnie zaskoczył. Kiedy wróciłeś?

Jego milczenie ciągnęło się jeszcze przez nieznośne, niekończące się dziesięć sekund, zanim znów odwrócił się do okna i odpowiedział:

– Parę dni temu. Musiałem odpocząć.

– To zrozumiałe. Całkowicie zrozumiałe. Najpierw tournée po Ameryce, potem premiera w Paryżu… Ale ogromnie się cieszę, że napatoczyłem się na ciebie w ten niezwykle ważny wieczór!

Powoli odwrócił się do mnie, a ja uświadomiłem sobie, że postarzał się o dziesięć lat od ubiegłego miesiąca, kiedy powitałem go po powrocie zza oceanu. Prawa połowa jego twarzy wydała mi się dziwnie martwa, jakby wyrzeźbiona w wosku, ściągnięta i obwisła.

– Ważny wieczór? – powtórzył.

– Dziewiątego czerwca – odparłem półgłosem. Serce znów zabiło mi szybciej. – Trzecia rocznica…

– Tak?

– …okropnego zdarzenia pod Staplehurst – dokończyłem. W gardle mi zaschło.

Dickens się roześmiał. Zabrzmiało to makabrycznie.

– Czy może być lepsze miejsce dla uczczenia takiej rocznicy, niż kołyszący się, rozklekotany wagon, ulokowany w tym samym miejscu w ciągu tworzących pociąg wagonów, co w tamto złowieszcze, śmiertelne popołudnie? Tak się zastanawiam… Ciekawe, po ilu starych mostach przyjdzie nam dzisiaj przejechać, zanim dotrzemy na Charing Cross. Jak myślisz, mój drogi Wilkie? – Spojrzał na mnie podejrzliwie. – Czego ty właściwie chcesz?

– Chcę cię zaprosić na kolację.

– Wykluczone. Muszę… – Zawiesił głos i zerknął na mnie z ukosa. – Właściwie, czemu nie?

Przez resztę podróży do Londynu obaj milczeliśmy.

***

Na kolację poszliśmy do „Verey’s”, gdzie w przeszłości spożyliśmy niejeden uroczysty posiłek, lecz ten wieczór miał być jednym z mniej sympatycznych, jakie tam spędziliśmy.

Planując to spotkanie, zamierzałem od razu na wstępie zapowiedzieć Dickensowi: „Muszę jeszcze raz zobaczyć Drooda. Muszę dziś w nocy pójść z tobą do Podmiasta”.

Gdyby zaczął się dopytywać o powody mojej decyzji, miałem mu opowiedzieć o bólu i zgrozie, jakich przysparza mi skarabeusz; miałem powody przypuszczać, że on również wie co nieco o tych cierpieniach i ich źródle. Gdyby zaś nie zapytał, po prostu przyłączyłbym się do niego.

Nie zamierzałem się przed nim przyznawać, że chcę dwiema kulami przeszyć ciało tego potwora Drooda, a trzecią jego ohydną czaszkę. Liczyłem się z tym, że Dickens przypomni mi o żyjących pod ziemią sługach Drooda –

laskarach, Madziarach, Chińczykach, Negrach, a także młodym Edmondzie Dickensonie z ogoloną głową – gotowych rozszarpać nas na strzępy. Wtedy wzruszyłbym ramionami i powiedział po prostu: „Cóż, trudno”, ale nie spodziewałem się, żeby doszło do takiej wymiany zdań.

Jednakże ze względu na treść podsłuchanej w Peckham rozmowy między Panem Niezrównanym i aktorką (byłą aktorką) doszedłem do wniosku, że subtelniejsze i mniej bezpośrednie podejście do sprawy może mi ułatwić osiągnięcie celu, czyli dołączenie do Dickensa, kiedy uda się na spotkanie z Droodem. (Inspektorowi Fieldowi i jego ludziom nigdy nie udało się wytropić pisarza podczas jego wizyt w Podmieście, mimo że widzieli, jak wchodzi do różnych piwnic i krypt w centrum Londynu. Prawdziwe ukryte drzwi, korytarze i przejścia pozostawały tajemnicą znaną tylko Dickensowi i Droodowi).

Przywołaliśmy Henry’ego, *maître d’hôtel*, żeby omówić z nim kartę dań, i rozmowa przez chwilę toczyła się w tym rozkosznie obcym języku sosów, polew i potraw. Bez pośpiechu wybraliśmy wina i poprzedzający je likier. A potem przeszliśmy do rzeczy.

Nie mogliśmy liczyć na osobną salę (te w „Verey’s” rezerwowano wyłącznie dla większych grup), ale na brak prywatności nie narzekaliśmy: usiedliśmy przy stole bankietowym ustawionym na podeście z boku głównej sali, oddzielonym od niej ścianami zdobionymi tłoczoną czerwoną tapetą, parawanem i ciężkimi zasłonami. Nawet od innych stołów dobiegały do nas przytłumione dźwięki.

– No dobrze – powiedziałem, kiedy Henry z kelnerami i specjalistą od win w końcu sobie poszli i zasunęli za sobą kotary z czerwonego aksamitu. – Gratuluję udanej premiery *L’Abîme!*

Wznieśliśmy toast. Dickens otrząsnął się z zadumy.

– Rzeczywiście, odnieśliśmy ogromny sukces. Paryscy widzowie docenili poprawioną wersję opowieści, do czego publika londyńska nie byłaby zdolna.

Mówisz tak, jakbyś tu był od stycznia, widział i słyszał

reakcję londyńskiej publiki, pomyślałem.

– W Londynie nadal jest wystawiana – odparłem. – Mimo to, paryskiej wersji należą się brawa za świeżą krew.

– Jest znacznie lepsza – burknął Dickens.

Znosiłem jego arogancję, ponieważ z listów przesyłanych mi potajemnie przez Fechtera wiedziałem, że mimo złudzeń Dickensa, jakoby *L'Abîme* święciła triumfy, krytycy i bardziej wyrobieni widzowie zgodnie twierdzili, iż odniosła zaledwie *succès d'estime.* Jeden z paryskich krytyków napisał: „Tylko życzliwa natura Francuzów uratowała autorów przed pochłonięciem przez tę *Abîme*".

Inaczej mówiąc, ukochana przez Dickensa i Fechtera *Zamarznięta otchłań* stała się dokładnie tym: otchłanią.

Nie zdradziłem się jednak ze swoją wiedzą. Gdyby Dickens zdał sobie sprawę, że potajemnie utrzymywałem kontakt z Fechterem, zorientowałby się również, że wiedziałem, iż w wieczór premiery wyjechał z Paryża i przez ostatni tydzień ukrywał się u kochanki. Odkryłby, że moje udawane zdumienie na jego widok było kłamstwem.

– Za dalsze sukcesy! – zaproponowałem.

Stuknęliśmy się kieliszkami i znów wypiliśmy.

– *Kamień Księżycowy* jest gotowy – oznajmiłem po chwili milczenia. – Skończyłem korektę ostatnich rozdziałów.

– Mhm… – mruknął Dickens bez cienia zainteresowania. – Wiem. Wills przysłał mi szpalty.

– Widziałeś to zamieszanie przy Wellington Street? – spytałem, nawiązując do tłumów, jakie w każdy piątek gromadziły się przed redakcją, żeby nabyć kolejny odcinek *Kamienia Księżycowego.*

– Owszem – przytaknął oschle Dickens. – Pod koniec maja, jeszcze przed wyjazdem do Francji, musiałem posługiwać się laską jak maczetą, żeby przerąbać się przez ciżbę w drodze do biura. To spora niedogodność.

– Niewątpliwie. Kiedy osobiście zanoszę Willsowi poprawki albo dokumenty, regularnie widuję tragarzy i posłańców, którzy jeszcze z pakunkami na plecach wystają po kątach i zaczytują się nowymi odcinkami.

– Hmm… – mruknął Dickens.

– Podobno ludzie przyjmują zakłady, na ulicach, ale także w co lepszych klubach w całym mieście, nie wyłączając mojego Athenaeum, kiedy brylant zostanie w końcu znaleziony i kto okaże się złodziejem.

– Anglicy są gotowi założyć się o wszystko. Widywałem myśliwych na polowaniu, którzy stawiali po tysiąc funtów na to, w którą stronę przeleci nad nimi następny klucz gęsi.

„Nasza smutna historia została pogrzebana we Francji”. Cały czas słyszałem w głowie to zdanie wypowiadane głosem Ellen Ternan. Synek czy córeczka? – zastanawiałem się.

Znużony typową dla Dickensa protekcjonalnością uśmiechnąłem się i odparłem:

– Wills twierdzi, że sprzedaż Kamienia Księżycowego zepchnęła w cień wyniki Naszego wspólnego przyjaciela i Wielkich nadziei.

Dickens pierwszy raz uniósł głowę i naprawdę na mnie spojrzał. Powoli, bardzo powoli rozpromienił się w uśmiechu widocznym wśród siwiejącej brody i przerzedzonych wąsów.

– Czyżby? – spytał.

– Owszem. – Pozwoliłem sobie na chwilę zachwytu nad bursztynowym odcieniem likieru w kieliszku. – Pracujesz w tej chwili nad czymś nowym, Charlesie?

– Nie. Nie jestem w stanie przysiąść nad nową powieścią, nawet nad opowiadaniem, mimo że w głowie jak zwykle kłębią mi się nowe pomysły i obrazy.

– Naturalnie.

– Jestem… zdekoncentrowany.

– To zrozumiałe. Samo tournée po Ameryce musiało być wielką przeszkodą w pisaniu.

Podsunąłem kwestię objazdu po Ameryce, żeby dać Dickensowi okazję do zmiany tematu, ponieważ chętnie chełpił się swoimi amerykańskimi triumfami w rozmowach z przyjaciółmi, w tym także ze mną, kiedy już wrócił zza oceanu, a jeszcze nie wyprawił się do Francji. Teraz jednak zignorował moją sugestię.

– Przeczytałem szpalty twoich ostatnich odcinków –

powiedział.

– Tak? I co, uznałeś je za zadowalające?

Pierwszy raz w dziejach naszej znajomości było to pytanie retoryczne. Dickens nie był moim redaktorem (pod jego nieobecność tę zbędną funkcję pełnił Wills) i choć oficjalnie występował w roli mojego wydawcy (jako właściciel magazynu, w którym publikowałem), znalazłem sobie już wydawcę z prawdziwego zdarzenia – Williama Tinsleya, który zamierzał opublikować *Kamień…* w nakładzie półtora tysiąca egzemplarzy, a docelowo obiecał mi wynagrodzenie w wysokości siedmiu i pół tysiąca funtów.

– Książka jako całość mnie znużyła – oznajmił spokojnie Dickens.

Przez chwilę mogłem tylko ściskać kieliszek w obu dłoniach i bez słowa wpatrywać się w starszego kolegę po fachu.

– Słucham? – wykrztusiłem w końcu.

– Słyszałeś mnie, mój drogi. Moim zdaniem *Kamień Księżycowy* jest powieścią niezwykle nużącą, o nieznośnie nieporadnej konstrukcji i treści trącącej wyraźnie wyczuwalnym upartym zarozumialstwem, które zniechęca czytelnika.

Nie wierzyłem, że mój długoletni przyjaciel naprawdę to powiedział. Z zakłopotaniem poczułem, jak krew uderza mi do twarzy, buzuje w skroniach i dudni w uszach.

– Jest mi ogromnie przykro, Charlesie, że moja powieść cię rozczarowała – odparłem wreszcie. – Z pewnością nie rozczarowała jednak tysięcy wiernych czytelników.

– Skoro tak mówisz…

– Jakie dokładnie elementy konstrukcji uważasz za nużące? Przecież w strukturze *Kamień…* naśladuje twoją *Samotnię.* Tylko trochę ulepszoną.

Zapewne wspomniałem ci już o tym, Drogi Czytelniku, że konstrukcja *Kamienia Księżycowego* była po prostu genialna: powieść składała się z gromadzonych przez jedną z pobocznych postaci listów, notatek i pamiętników, w których główni bohaterowie relacjonują kolejne wydarzenia

fabularne.

Dickens bezczelnie roześmiał mi się w twarz.

– W *Samotni* przeplata się ściśle ograniczona liczba narracji prowadzonych w trzeciej osobie, nad którymi zawsze czuwa wszystkowiedzący autor; w osobie pierwszej opowieść snuje wyłącznie urocza panna Esther Summerson. Dzięki temu powieść upodabnia się do symfonii. Tymczasem *Kamień Księżycowy* każdemu czytelnikowi jawi się jako kakofonia. Pomysł niekończącego się ciągu historii pisanych w pierwszej osobie wydaje mi się niewiarygodny i nużący w stopniu, którego nie wyrażą żadne słowa.

Aż zamrugałem z niedowierzania. Odstawiłem kieliszek. Henry z dwoma pomocnikami zakrzątnęli się przy podaniu pierwszego dania, kelner od win przyniósł pierwszą butelkę (Dickens spróbował wina i z aprobatą skinął głową), a potem wir nakrochmalonych białych kołnierzyków i czarnych pół fraków zniknął.

– Trzeba ci wiedzieć, że o pannie Clack, jej charakterze i historii, mówi dziś cały Londyn – odezwałem się, gdy wyszli. – U mnie w klubie ktoś nawet napomknął, że nie śmiał się tak serdecznie, odkąd czytał *Klub Pi*ckwicka.

Dickens się skrzywił.

– Mój drogi Wilkie, porównywać pannę Clack z Samem Weberem albo dowolną inną postacią z *Klubu Pickwicka,* to jak porównywać włogawego, łękowatego muła z koniem wyścigowym czystej krwi. Postaci w *Klubie Pickwicka*, o czym zapewniłyby cię pokolenia czytelników i słuchaczy, gdybyś tylko raczył zapytać ich o zdanie, zostały nakreślone czułą i pewną ręką. A panna Clack to wredna karykatura z kiepskiego żartu rysunkowego. Nie ma takich panien Clack ani na tym świecie, ani na żadnej innej Ziemi, której Stwórca jest zdrowy na umyśle.

– Twoja pani Jellyby z *Samotni…* – zacząłem.

Dickens uciszył mnie gestem.

– Oszczędź nam porównań z panią Jellyby. Nie wypada, drogi chłopcze. Doprawdy, nie wypada.

Przeniosłem wzrok na talerz.

– A ten twój Ezra Jennings, który pojawia się nie wiadomo skąd, żeby w paru ostatnich rozdziałach udzielić odpowiedzi na wszystkie ważne pytania… – Głos Dickensa był równie beznamiętny i nieubłagany jak maszyny drążące tunele pod Fleet Street.

– O co ci chodzi? Czytelnicy uważają, że to fascynująca postać.

– Fascynująca… – powtórzył z tym swoim okropnym uśmieszkiem. – I znajoma.

– Jak to?

– Myślałeś, że o nim zapomniałem?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Charlesie.

– Mówię o pomocniku lekarza, którego spotkaliśmy podczas naszej wycieczki pieszej na północy kraju we wrześniu tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku… Na Boga, to już prawie jedenaście lat! Wspinaliśmy się na Carrick Fell, kiedy pośliznąłeś się i skręciłeś kostkę, a ja musiałem znieść cię z góry i wozem przewieźć do najbliższej wioski, gdzie rzeczony lekarz obandażował ci nogę. Jego asystent miał dokładnie taką łaciatą skórę i włosy, jak te zdobiące twojego potwora nazwiskiem Ezra Jennings.

– Czyż, tworząc, nie czerpiemy z życia? – zapytałem. Mój własny głos wydał mi się obrzydliwie żałosny.

Dickens pokręcił głową.

– Z życia, z życia, jak najbardziej – przytaknął. – Z pewnością jednak nie uszło twojej uwagi, że ja już stworzyłem jednego Ezrę Jenningsa w osobie pana Lorna, łaciatego albinosa, który jest pomocnikiem doktora Speddiego w naszej wspólnej *Leniwej włóczędze dwóch próżniaków,* opublikowanej w ostatnim numerze bożonarodzeniowym.

– Podobieństwo jakoś mi umyka – odparłem chłodno.

– Naprawdę? Dziwne. Historia pana Lorna, trupa leżącego w łóżku, który niespodziewanie ożył w wieloosobowym pokoju doktora Speddiego w zatłoczonej gospodzie, wypełniała znakomitą większość tej niegodnej poza tym zapamiętania powiastki. Taka sama tragiczna przeszłość.

Ten sam znękany wyraz twarzy. Ta sama udręka w sposobie mówienia. Ta sama albinotyczna cera i włosy różnych kolorów. Doskonale pamiętam, jak pisałem te sceny.

– Ezra Jennings i pan Lorn to dwie zupełnie różne postaci – upierałem się.

– Z całą pewnością różnią się charakterem. – Dickens pokiwał głową. – Pan Lorn ma tragiczną przeszłość i naturę, a twój Ezra Jennings jest najbardziej odpychającą i niepokojącą ze wszystkich chorych i nienaturalnych postaci, jakie stworzyłeś.

– Mogę zapytać, w jakim sensie jest postacią niepokojącą?

– Możesz, a ja chętnie ci odpowiem, mój drogi Wilkie. Ezra Jennings, oprócz tego, że jest uzależnionym od opium nałogowcem najgorszego rodzaju (które to uzależnienie, nawiasem mówiąc, cechuje wiele twoich postaci, chłopcze), to na dodatek wykazuje wszelkie oznaki inwersji.

– Inwersji? – powtórzyłem. Dawno już nabiłem coś na widelec, ale wciąż nie zdążyłem podnieść tego kęsa do ust.

– Nie będę owijał w bawełnę – odparł Dickens, zniżając głos. – Dla każdego czytelnika *Kamienia Księżycowego* jest oczywiste, że Ezra Jennings jest pederastą.

Widelec zawisł nieruchomo. Moje usta pozostały otwarte.

– Bzdura! – wypaliłem w końcu. – Niczego podobnego nie miałem na myśli!

Czy aby na pewno? Uświadomiłem sobie nagle, że podobnie jak miało to miejsce w wypadku rozdziałów z panną Clack, to Drugi Wilkie spisał większość scen z Ezrą Jenningsem; ja tylko próbowałem mu je dyktować, pozostając w głębokich oparach morfiny i laudanum.

– A twoje tak zwane „Trzęsące się Piaski”… – zaczął Dickens.

– Drżące Piaski – poprawiłem go.

– Jak chcesz. One nie istnieją.

No, tu go miałem. Miałem go w garści!

– Przeciwnie – powiedziałem, podnosząc głos. – Istnieją jak najbardziej, o czym każdy żeglarz, taki jak ja, wie doskonale. Mielizna łudząco do nich podobna znajduje się w ujściu

Tamizy, dziewięć mil na północ od Herne Bay.

– Nie ma ich na wybrzeżu Yorkshire – zauważył Dickens, ja zaś zwróciłem uwagę, że spokojnie kroi mięso i zjada je po kawałku. – Wie o tym każdy, kto chociaż raz był w Yorkshire. Ba, każdy, kto chociaż coś o Yorkshire czytał!

Otworzyłem usta do ciętej riposty, ale nic nie przyszło mi do głowy. W tym samym momencie przypomniałem sobie o naładowanym rewolwerze, spoczywającym w kufrze leżącym obok mnie na ławie.

– Na dodatek, wielu ludzi, w tym ja i Wills, uważa, że scena z rozedrganymi Drżącymi Piaskami jest nieprzyzwoita – dodał Dickens.

– Bój się Boga, Charlesie, jak normalny człowiek może uznać, że w widoku mielizny, plaży, piaszczystej ławicy jest cokolwiek nieprzyzwoitego?!

– Może chodzi o dobór słów i czynione przez autora aluzje? Zacytuję z pamięci słowa twojej nieszczęsnej, zgubionej panny Spearman: „Szeroka, brązowa powierzchnia zafalowała lekko, a potem zmarszczyła się i zadrgała”. Brązowa powierzchnia, mój drogi Wilkie? Brunatna skóra, cała drżąca i pomarszczona, która na dodatek, jeśli mnie pamięć nie myli, mogłaby „wciągnąć człowieka”, co zresztą czyni z biedną panną Spearman? Można to przecież zinterpretować jako jednoznaczny, aczkolwiek nieporadny opis szczytowania kobiety podczas aktu miłosnego, nie uważasz?

Nie pozostało mi nic innego, jak gapić się na niego z rozdziawionymi ustami.

– Muszę ci jednak powiedzieć, drogi chłopcze, że długo wyczekiwane rozwiązanie tej twojej powszechnie wychwalanej zagadki jest dla mnie absolutnym szczytem wydumania.

Zdałem sobie sprawę, że Dickens może tak mówić w nieskończoność. Oczami wyobraźni ujrzałem dziesiątki innych klientów restauracji, siedzących w innych prywatnych lożach i w głównej sali „Verey’s”, przerywających posiłki i nadstawiających ucha, wstrząśniętych, lecz pilnie

słuchających.

– Czy ty naprawdę wierzysz, albo spodziewasz się, że my, czytelnicy, uwierzymy w to, że mężczyzna pod wpływem kilku kropli opium rozpuszczonych w niewielkim kieliszku z winem mógłby, lunatykując, wejść do sypialni swojej narzeczonej (już sam ten fakt jest wystarczająco niestosowny, żeby cała scena wydała się nieprzyzwoita), przeszukać jej rzeczy, wykraść brylant i ukryć go w innym miejscu, a potem niczego nie pamiętać?!

– Jestem tego całkowicie pewny – odparłem chłodno, wyniośle.

– Ach tak? Skąd u ciebie to niedorzeczne przeświadczenie, mój drogi chłopcze?

– Każdą scenę w *Kamieniu Księżycowym* przedstawiającą zachowanie ludzi pod wpływem laudanum, opium i innych narkotyków poprzedziły moje długie badania i doświadczenia na własnej osobie. Dopiero później przelałem swoje spostrzeżenia na papier.

Dickens wybuchnął śmiechem. Śmiał się głośno, swobodnie, okrutnie – i stanowczo zbyt długo.

Wstałem, odrzuciłem płócienną serwetkę, sięgnąłem po kuferek i otworzyłem go. Olbrzymi rewolwer był doskonale widoczny pod zrolowanymi szpaltami i resztkami drugiego śniadania.

Zatrzasnąłem kuferek i chyłkiem wymknąłem się z restauracji; niewiele brakowało, żebym w pośpiechu zapomniał kapelusza i laski. Usłyszałem jeszcze, jak Henry wparował do naszej loży, żeby wypytać „pana Dickensa”, czy na pewno jesteśmy zadowoleni z jedzenia i obsługi.

Zatrzymałem się dopiero trzy przecznice od „Verey’s”, ciężko dysząc i ściskając laskę w dłoni jak młotek. Był piękny czerwcowy wieczór, ale ja nie zwracałem uwagi na przechodniów, ruch uliczny, nawet na nocne damy, które przyglądały mi się z ginącego w mroku zaułka po drugiej stronie ulicy.

– Do diabła! – wykrzyknąłem, płosząc przechodzące obok dwie kobiety w towarzystwie starszego, przygarbionego

dżentelmena. – Do diabła!

Okręciłem się na pięcie i pobiegłem z powrotem.

Tym razem wszystkie rozmowy naprawdę ucichły, gdy przebiegłem przez salę i odrzuciłem na bok zasłony oddzielające ją od naszej loży.

Oczywiście, Dickensa już w niej nie było. W ten sposób straciłem ostatnią szansę na to, by w trzecią rocznicę Staplehurst podążyć za nim do kryjówki Drooda.

Rozdział 36

W lipcu mój brat na dłużej zamieszkał w Gad’s Hill Place ze względu na pogarszający się stan zdrowia: cierpiał potworne bóle brzucha i całymi dniami wymiotował. Katey, jego żona, nadal uważała, że łatwiej jej będzie opiekować się nim u ojca niż w ich domu w Londynie. (Ja zaś przypuszczałem, że po prostu woli dom rodzinny, ponieważ ma tam więcej służby do dyspozycji).

W konkretnym dniu Charley poczuł się nieco lepiej i w bibliotece Gad’s Hill spotkał się z drugim Charleyem, synem Dickensa, który tam pracował. (Chyba nie wspomniałem jeszcze, Drogi Czytelniku, że w maju William Henry Wills, mój wydawca i niezmordowany redaktor „All the Year Round”, zdołał jakimś cudem spaść z konia na polowaniu i poważnie roztrzaskać sobie czaszkę. Zdążył potem trochę dojść do siebie, ale twierdził, że nieustannie słyszy łoskot jakby zatrzaskiwanych drzwi, co zmniejszyło jego użyteczność w roli redaktora Dickensa, a także jego administratora, księgowego, menedżera, szefa marketingu i człowieka do wszystkiego. Dlatego też Dickens – po tym, jak jeszcze w maju poprosił mnie o powrót do pracy w piśmie, lecz nie doczekał się twierdzącej odpowiedzi – mianował zastępcą Willsa swojego nieudolnego i rozczarowującego syna Charlesa, żeby ten przejął choć część obowiązków, a sam Pan Niezrównany zajął się resztą. Sprowadzało się to do tego, że syn Dickensa po prostu odpisywał na listy – w biurze i w domu – co i tak wymagało od niego zaangażowania stu dziesięciu procent wątłych sił umysłowych).

Zatem w ów lipcowy dzień mój brat i Charley Dickens znajdowali się w bibliotece w Gad’s Hill Place, gdy nagle usłyszeli głosy dwojga ludzi, którzy kłócili się i przekrzykiwali. Zgiełk dobiegał z trawnika rozciągającego się poniżej domu, na jego tyłach, i niewidocznego z biblioteki. Były to charakterystyczne dźwięki kłótni, która musi skończyć się rękoczynami. Brat mówił mi później, że

krzyki kobiety brzmiały przerażająco.

Obaj Charleyowie wypadli na dwór i obiegli dom; syn Dickensa wyprzedził mojego schorowanego brata o dobre pół minuty.

I tam, po łące rozpościerającej się za długim dziedzińcem i stodołą, gdzie przed kilku laty w Boże Narodzenie widzieliśmy lunatykującego Edmonda Dickensona, spacerował Charles Dickens, mówiąc i pokrzykując na przemian dwoma różnymi głosami (męskim i kobiecym) i wściekle gestykulując, aż w końcu rzucił się na swoją niewidzialną ofiarę i zaczął ją okładać – ją, kobietę – olbrzymią, choć niewidzialną pałką.

Przemienił się w łotra Billa Sikesa z *Oliwera Twista* i w zapamiętaniu dokonywał krwawego mordu na Nancy.

Próbowała uciekać i błagała go o litość. „Nie będzie litości!”, ryknął w odpowiedzi Bill Sikes. Nancy błagała Boga o pomoc. Bóg nie odpowiedział, za to Bill Sikes jak najbardziej: wrzeszczał, klął i okładał ją ciężkim kijem.

Usiłowała wstać, unosząc rękę, żeby zasłonić się przed ciosem. Dickens/Sikes uderzył jeszcze raz, i jeszcze, łamiąc jej kruche palce, roztrzaskując kości wzniesionego przedramienia, a potem z całej siły uderzył pałką prosto w zakrwawioną głowę. I jeszcze raz. I znowu.

Charley Dickens i Charley Collins naprawdę widzieli bryzgającą w powietrze krew i strzępki mózgu. Widzieli kałużę krwi rozlewającą się coraz szerzej spod ciała leżącej, masakrowanej przez Sikesa kobiety. Widzieli, jak krew pryska na jego wykrzywioną w krzyku twarz. Nawet jego pies miał zakrwawione łapy!

A Sikes dalej okładał Nancy pałką, nawet kiedy już była martwa.

Przykucnąwszy przy wyimaginowanych zwłokach, z pałką wzniesioną oburącz nad zakrwawioną, zmasakrowaną sylwetką w trawie, Charles Dickens podniósł wzrok na swojego syna i mojego brata. Grymas triumfu wykrzywiał mu twarz. W jego wytrzeszczonych, dzikich oczach czaił się obłęd. Mój brat twierdził później, że dostrzegł w nich

najczystsze zło i żądzę mordu.

Pan Niezrównany znalazł w końcu swoje morderstwo, które miało mu posłużyć w następnym cyklu wieczorów autorskich.

***

Mniej więcej wtedy nabrałem przekonania, że muszę zabić Charlesa Dickensa.

On będzie udawał, że morduje wyimaginowaną Nancy na scenie, na oczach tysięcy; ja zabiję go naprawdę. Przekonamy się, który z tych rytualnych mordów skuteczniej wykurzy droodowego skarabeusza z mózgu.

Przygotowując się do realizacji tego planu, napisałem do Dickensa list z przeprosinami – mimo że nie miałem za co przepraszać: to on powinien błagać mnie o przebaczenie. Nie miało to żadnego znaczenia.

Gloucester Place 90, sobota 18 lipca 1868

Mój Drogi Charlesie,

piszę do Ciebie, aby wyrazić szczere i bezgraniczne wyrazy ubolewania z powodu contretemps, do jakich z mojej winy doszło w ubiegłym miesiącu w naszej ulubionej restauracji, „Verey's". Okazane przeze mnie lekceważenie dla faktu, że wskutek znacznego wysiłku i licznych podróży z pewnością jesteś przemęczony, mogło wywołać złudzenie niezgody między nami, a częsta u mnie nieporadność w wyrażaniu myśli miała nad wyraz niefortunne konsekwencje, za które jeszcze raz przepraszam i pokornie proszę o wybaczenie. Moje niezamierzone próby przyrównania własnych nędznych wysiłków literackich do Twojej niezrównanej Samotni były aroganckie i chybione. Nikt nigdy nie pomyliłby przecież mnie, skromnego protégé, z prawdziwym Cher Maître.

Przyjmowanie gości w domu stało się dla mnie nieco utrudnione, odkąd pani Caroline G. porzuciła służbę u

mnie i się wyprowadziła, mam jednak nadzieję, że przed upływem nazbyt długiego czasu zechcesz znów mnie odwiedzić przy Gloucester Place 90. Z pewnością zauważyłeś również – mimo że pod nieobecność naszego nieszczęsnego przyjaciela Willsa pochłaniają Cię obowiązki związane z wydawaniem „All the Year Round" – że nasz cieszący się wielką popularnością spektakl Bez wyjścia zszedł w końcu z afisza w Adelphi Theatre. Przyznam Ci się, że poczyniłem pierwsze przymiarki do nowej sztuki, którą zamierzam zatytułować Czarne i białe, jako że będzie najprawdopodobniej traktować o pewnym francuskim arystokracie, który z takich czy innych powodów wyląduje na Jamajce na targu niewolników. Nasz drogi wspólny przyjaciel Fechter kilka miesięcy temu podsunął mi zgrubną ideę (szczegóły zamierzam z nim omówić w październiku lub listopadzie) i wiem, że chętnie zagrałby główną rolę. Byłbym Ci ogromnie wdzięczny gdybym mógł podczas pracy nad tym dramatem skorzystać z Twoich rad i uwag krytycznych. Pozwoliłoby mi to uniknąć co bardziej rażących błędów, od jakich wprost roi się w napisanych przeze mnie fragmentach Bez wyjścia. Tak czy inaczej, czułbym się zaszczycony, gdybyście całą rodziną zechcieli być moimi gośćmi na premierze w Adelphi, o ile dojdzie w przyszłości do wystawienia na scenie skromnego efektu moich starań.

Jeszcze raz proszę o przyjęcie przeprosin i najszczerszych życzeń naprawienia tej nieprzewidzianej i niepożądanej rysy na dziejach naszej zażyłej znajomości.

Łączę wyrazy serdeczności,

Zawsze oddany

W.C. Collins

Przejrzałem list parę razy i wprowadziłem kilka drobnych poprawek – wyłącznie takich, które podkreślały moją skruchę i uniżoność. Nie obawiałem się, że list ujrzy światło dzienne po nagłej i tajemniczej śmierci Dickensa, chociaż mógłby

wtedy zaciekawić ewentualnego autora biografii. Dickens miał zwyczaj raz do roku palić wszystkie otrzymane listy (gdyby mógł, paliłby także te wysyłane, ale większość z nas, korespondentów sławnego pisarza, nie podzielała jego piromańskich skłonności w odniesieniu do korespondencji).

Kazałem George'owi nadać go na poczcie, a sam poszedłem kupić butelkę dobrej brandy i szczeniaka.

***

Następnego dnia po południu wziąłem brandy, najświeższy egzemplarz „All the Year Round" i bezimiennego szczeniaka i pociągiem udałem się do Rochester, gdzie wynająłem powóz i kazałem się zawieźć do katedry.

Zostawiłem psa w powozie i z brandy i pismem w garści przeszedłem przez cmentarz na tyły ociężałego, wysokiego gmachu katedry. Rochester zawsze było nadmorskim miasteczkiem wąskich uliczek i ceglanych domów, przy których katedralny kolos ze starego szarego kamienia wydawał się tym bardziej imponujący – i przytłaczający.

W takim to krajobrazie dorastał Charles Dickens; to właśnie pod wpływem tej katedry dawno temu przyznał mi się, że Rochester jest dla niego ucieleśnieniem „uniwersalnej powagi, tajemnicy, rozkładu i ciszy".

Lipcowy dzień był gorący, parny i cichy. Znad pobliskich równin zalewowych zalatywało zgnilizną. Mimo że znajdowałem się bardzo blisko, jak to ujął Dickens, „pluskającego i szumiącego morza", nie słyszałem żadnych plusków, szum przypływu był ledwie słyszalny, a powietrze stało nieruchomo. Słońce całym ciężarem kładło się na rozpalonym bruku i brązowiejącej trawie, niczym osobliwy złoty koc.

Nawet cień szarej katedralnej wieży nie przyniósł mi wielkiej ulgi. Oparłem się plecami o mur i zadarłszy głowę, wspominałem słowa Dickensa o tym, jaki wpływ miała na niego we wczesnym dzieciństwie: „…jaki wydawałem się sobie malutki i ulotny, jak kiepski żart, mój drogi Wilkie, w

porównaniu z jej litą sylwetką, siłą i długowiecznością”.

Cóż, Drogi Czytelniku, jeżeli sprawy ułożą się po mojej myśli (a zamierzałem dołożyć wszelkich starań, żeby tak właśnie się stało), katedra przetrwa jeszcze setki lub tysiące lat, natomiast życie tego chłopca, który wyrósł na pisarza, miało się ku końcowi.

Po drugiej stronie cmentarza, za ostatnimi nagrobkami, na końcu ledwie widocznej ścieżki znalazłem dół z wapnem – odkryty, pełny i cuchnący jak zawsze. Z załzawionymi oczami cofnąłem się przez cały cmentarz, mijając po drodze te same kamienie, mur i stół z płyty nagrobnej, na której tak dawno temu urządziliśmy sobie makabryczny piknik.

Obszedłem katedrę dookoła w ślad za cichym tip– Tap, tip–Tap i dotarłem do podwórza z jej drugiej strony. Pomiędzy murem gmachu i krytą strzechą kamienną ruderą pan Dradles z młodym i – na oko – przygłupim pomocnikiem pracowali nad nagrobkiem, który był wyższy od każdego z nich. W marmurze były wykute tylko nazwisko i daty: GILES BRENDLE GIMBY, 1789 – 1866.

Kiedy Dradles odwrócił się w moją stronę, stwierdziłem, że jego twarz – przezierająca spod warstwy kamiennego pyłu, w którym spływające krople potu żłobiły długie rowki – jest czerwona, jakby miała za chwilę eksplodować. Otarł pot z czoła.

– Pewnie mnie pan sobie nie przypomina, panie Dradles – zagaiłem. – Byłem tu jakiś czas temu w towarzystwie…

– Dradles pana pamięta, panie Billy Wilkie Collins, nazwany na cześć uszlachconego malarza pokojowego czy jakoś tak – wychrypiało czerwone na twarzy indywiduum. – Przyjechał pan z panem Charlesem D., tym od książek, którego interesowali staruszkowie leżący w ciemnych łożach.

– Otóż to – przytaknąłem. – Odniosłem jednak wrażenie, że na początku naszej znajomości niepotrzebnie nadepnąłem panu na odcisk.

Dradles spuścił wzrok na swoje znoszone, dziurawe buty, które, na co zwróciłem uwagę, były „niezróżnicowane” – inaczej mówiąc, nie dzieliły się na „lewy” i „prawy”; kiedyś

tak właśnie szyło się buty.

– Dradles nie ma odcisków – odparł. – Z jego nogami jest wszystko w porządku.

Uśmiechnąłem się.

– W to nie wątpię. Bałem się jednak, że zostawiłem po sobie złe wrażenie. Dlatego przyniosłem panu to…

Podałem mu butelkę dobrej brandy.

Wziął ją do ręki, jeszcze raz otarł pot z twarzy i szyi, odkorkował butelkę, powąchał, pociągnął łyk, spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek i odparł:

– To lepszy napitek niż ten, do jakich Dradles przywykł w „Thatched an'Twopenny" i gdzie indziej.

Znów się napił. Jego pomocnik, tak samo jak on czerwony z gorąca i wysiłku, gapił się tępo na butelkę, ale o nią nie poprosił.

– Skoro już mowa o „Thatched and Twopenny"… – zagadnąłem swobodnym tonem. – Nigdzie nie widzę tego małego rozbójnika ciskającego kamieniami. Jak pan go nazywał? Deputy? Za wczesna pora, żeby zaganiał pana kamieniami do domu?

– Przeklęty dzieciak nie żyje – odparł Dradles i parsknął śmiechem, widząc moją minę. – Och nie, Dradles go nie zabił, chociaż miał taki zamiar, i to nie raz. Ale nie: to ospa go zabrała. Dobrze mu tak. – Pociągnął kolejny solidny łyk brandy i spojrzał na mnie badawczo. – Żaden dżentelmen, nawet pan D., nie przyjeżdżałby z Londynu tylko po to, żeby przywieźć Dradlesowi dobry trunek, panie Billy Wilkie Collins. Pan D. chciał, żebym wziął swoje liczne klucze i pootwierał mu różne drzwi, a potem opukał ściany i pokazał, gdzie leżą staruszkowie. A czego od Dradlesa chce pan Billy W.C. w taki upalny dzień?

– Może pamięta pan, że ja również jestem pisarzem, panie Dradles. – Wręczyłem kamieniarzowi i opiekunowi katedralnych grobowców egzemplarz „All the Year Round". – Jak pan widzi, to jest piątkowy numer, zawierający zakończenie mojej powieści zatytułowanej *Kamień Księżycowy.*

Otworzyłem periodyk na właściwej stronie.

Dradles zagapił się na zapełnioną literami stronicę i odchrząknął. Nie wiedziałem, czy umie czytać; domyślałem się, że raczej nie.

– Tak się składa – ciągnąłem – że ze względów literackich bardzo interesują mnie w tej chwili takie wielkie katedry jak ta. Katedry i znajdujące się w nich krypty.

– Dradlesowi się widzi, że pan też chciałby dostać klucze. Klucze do mrocznych kryjówek staruszków.

Można by pomyśleć, że zwraca się do swojego przygłupiego, zwisłouchego pomagiera (który wyglądał, jakby ktoś go ostrzygł nożycami dla owiec), gdyby nie fakt, że chłopak sprawiał wrażenie głuchoniemego.

– Ależ skąd! – Roześmiałem się. – To pan jest opiekunem kluczy i tak powinno pozostać. Ja tylko chciałbym móc odwiedzać pana od czasu do czasu i, być może, korzystać z pańskiego doświadczenia w wykrywaniu pustych przestrzeni za murem. Zapewniam, że nie będę przybywał z pustymi rękami.

Dradles się napił. Zdążył osuszyć już ponad pół butelki i jego brudna twarz pod trupią warstwą pyłu poczerwieniała jeszcze bardziej (o ile to w ogóle możliwe).

– Jak się Dradles napije, to uczciwie pracuje – wybełkotał.

Parsknąłem niewymuszonym śmiechem.

– To tak jak ja.

Skinął mi głową i wrócił do swojej pracy – a właściwie do nadzorowania młodego idioty, który naprawdę był zajęty kuciem w marmurze. Najwidoczniej zawarliśmy umowę i rozmowa została zakończona.

Teraz i ja otarłem spoconą twarz i bez pośpiechu wróciłem do powozu. Szczeniak – stworzenie niezdarne, lecz pełne entuzjazmu, łaciate, z długimi łapami i krótkim ogonem – na mój widok zaczął podskakiwać z radości na tapicerowanej ławeczce.

– Jeszcze chwilę, woźnico – powiedziałem.

Przysypiający na koźle staruszek mruknął tylko i znów spuścił głowę na okrytą liberią pierś.

Wziąłem psa na ręce i zaniosłem go na cmentarz. Mijając nasz niegdysiejszy stół piknikowy, przypomniałem sobie, jak Dickens nas rozśmieszył, kiedy przerzuciwszy sobie serwetkę przez rękę doskonale wczuł się w rolę kompetentnego, lecz nadgorliwego kelnera: podawał kolejne dania na stół–nagrobek, z wprawą nalewał nam wina…

Uśmiechnąłem się na to wspomnienie. Szczeniak usadowił mi się w zgięciu łokcia. Cały czas próbował merdać ogonem i wpatrywał się we mnie wielkimi, szeroko otwartymi ślepiami. Przez ostatnie kilkanaście lat mieliśmy w domu kilka psów. Ostatni z naszych ukochanych ulubieńców zdechł zaledwie kilka miesięcy wcześniej.

Od powykręcanego starego drzewa na tylnym skraju katedralnego dziedzińca odłamała się czterostopowa gałąź. Niosąc psiaka na lewej ręce i z roztargnieniem drapiąc go kciukiem po karku i potylicy, podniosłem gałąź, obłamałem z niej boczne gałązki i zacząłem się nią podpierać jak laską.

W zaroślach za cmentarzem przystanąłem i się rozejrzałem. Powozu i drogi nie było stąd widać. Na dziedzińcu przed kościołem nic się nie poruszało, tylko z drugiej strony katedry dobiegało tip – Tap, tip – Tap świadczące o pilnych wysiłkach spoconego Dradlesa, czy raczej jego pomagiera. Poza tym było słychać tylko bzyczenie i świergotanie owadów w zaroślach i trawie ciągnącej się na wschód aż po równinę zalewową. Nawet morze i uchodząca do niego rzeka były ciche w palących promieniach słońca.

Jednym płynnym ruchem skręciłem szczeniakowi kark. Trzask był słyszalny, ale niezbyt głośny. Drobne ciałko zwiotczało mi w rękach.

Jeszcze raz się rozejrzałem i wrzuciłem truchło do dołu z wapnem. Obeszło się bez dramatycznego syczenia i bulgotania: drobny biało–czarny kształt po prostu leżał nieruchomo, nieco bardziej niż w połowie zanurzony w gęstej, szarej brei gaszonego wapna. Pochyliłem się i zacząłem ostrożnie poszturchiwać zwłoki gałęzią w łeb, żebra i zad, aż całe znalazły się pod powierzchnią. Odrzuciłem gałąź w zarośla i zapamiętałem miejsce, w

którym wylądowała.

Dwadzieścia cztery godziny? Czterdzieści osiem? Dla pewności postanowiłem odczekać trzy doby (a nawet odrobinę dłużej, do zachodu słońca), zanim wrócę i tą samą gałęzią wygrzebię szczątki i poddam je analizie.

Pogwizdując pod nosem melodię, która stała się letnim przebojem teatrów rewiowych, wróciłem przez cmentarz do czekającego na mnie powozu.

Rozdział 37

Trzy dni później otrzymałem uprzejmą odpowiedź od Dickensa, który dziękował mi za list, przyjmował moje przeprosiny (choć nie wyraził tego wprost) i zapraszał mnie do Gad's Hill Place w dowolnym dogodnym dla mnie momencie. Sugerował również wielkodusznie, że mógłbym przy okazji odwiedzić brata – Charley był nadal zbyt chory, żeby wracać do Londynu.

Przyjąłem zaproszenie i jeszcze tego samego dnia udałem się do Gad's Hill. Był to dla mnie doskonały moment, ponieważ i tak zamierzałem wieczorem wybrać się do Rochester, żeby zajrzeć do dołu z wapnem.

Katey wyszła mi na spotkanie na trawnik przed domem, tak samo jak przed laty. Dzień był ciepły, wiał jednak przyjemny zefirek, niosący zdrowy zapach okolicznych pól. Wypielęgnowane krzewy, drzewa i czerwone pelargonie falowały na wietrze, podobnie jak zwiewna letnia sukienka mojej bratowej. Zwróciłem uwagę, że podpięła włosy po bokach, z tyłu zaś rozpuściła je swobodnie; był to widok niecodzienny, lecz całkiem miły.

– Charles śpi – poinformowała mnie. – W nocy źle spał i chociaż wiem, że chciałbyś się z nim zobaczyć, chyba lepiej będzie go nie budzić.

Wiedziałem, że mówi o moim bracie, nie swoim ojcu. Pokiwałem głową.

– Na kolację muszę wrócić do domu, ale może do tego czasu się obudzi.

– Być może – zgodziła się ze mną, lecz wyraz jej twarzy sugerował coś wręcz przeciwnego. Ujęła mnie pod ramię. – Ojciec pracuje w szwajcarskim domku. Przeprowadzę cię przez tunel.

Uniosłem brwi.

– W domku? Wydawało mi się, że chwilowo nie pisze nic nowego.

– Bo nie pisze, Wilkie. Przygotowuje ten swój nowy

makabryczny wieczór literacki o morderstwie.

– Ach tak…

Przeszliśmy po równiutko przystrzyżonej trawie i zagłębiliśmy się w tunel. Jak zwykle w lecie, chłodne powietrze w długim i ciemnym przyjściu przynosiło ulgę po wilgotnym upale na powierzchni gruntu.

– Zastanawiałeś się kiedyś, Wilkie, czy mój ojciec ma rację?

Nie, pomyślałem. Nigdy.

– W jakiej sprawie, moja droga?

– W sprawie twojego brata.

Poczułem lekkie ukłucie niepokoju.

– Masz na myśli jego chorobę?

– Mam na myśli wszystko.

Nie mogłem uwierzyć, że właśnie mnie o to pyta. Plotki, że małżeństwo Katey i Charleya nie zostało skonsumowane, krążyły w najlepsze, podsycane złośliwymi komentarzami Charlesa Dickensa. Gdyby wierzyć insynuacjom pisarza, mój brat musiałby być albo utajonym pederastą, albo impotentem. Albo jednym i drugim jednocześnie.

Należało natychmiast przerwać to przesłuchanie.

Poklepałem ją po ręce.

– Twój ojciec nade wszystko nie mógł znieść myśli o tym, że cię traci, Katey. Zawsze byłaś mu najbliższa. Każdy twój zalotnik lub mąż musiałby wzbudzić jego gniew.

– To prawda – przyznała. Skromność nigdy nie była największą z jej zalet. – Ale spędzamy tu z Charleyem tyle czasu, że to prawie tak, jakbym się wcale nie wyprowadziła!

Na to nie miałem dobrej odpowiedzi, zwłaszcza że wszyscy wiedzieli, że to była jej decyzja, żeby tu mieszkać, kiedy Charley choruje – czyli prawie przez cały czas.

– Zastanawiałeś się kiedyś, Wilkie, jak to by było, gdybym wyszła za ciebie, a nie za twojego brata?

Niewiele brakowało, a stanąłbym jak wryty. Moje serce, i tak już ponaglone do większego wysiłku solidną południową dawką laudanum, zaczęło głośno tłuc o żebra.

Był czas, kiedy myślałem o umizgach do młodej Kate Dickens. W okresie, gdy doszło do zdarzenia, które wszyscy

poza Dickensami nazywali w myślach „rozwodem” – okrutnej i permanentnej separacji, kiedy to Charles praktycznie skazał swoją żonę Catherine na wieczną banicję – ze wszystkich ich dzieci właśnie Kate wydawała się najbardziej poraniona i zagubiona nagłym rozpadem czegoś, co prawie wszyscy uważali za wzorową angielską rodzinę. Miała osiemnaście lat, kiedy doszło do tego zamieszania i przeprowadzek (z moim bratem zaręczyła się później, w wieku lat dwudziestu) i musiałem przyznać, że w pewien subtelny sposób mi się podoba. Już wtedy przeczuwałem, że w przeciwieństwie do swojej siostry Mamie nie odziedziczy po matce krągłych kształtów dostojnej matrony.

Zanim jednak zdążyłem przejawić nią bliższe zainteresowanie, zakochała się (a przynajmniej zadurzyła) w Percym Fitzgeraldzie, przyjacielu moim i Dickensów. Kiedy Fitzgerald dość chłodno odrzucił jej panieńskie awanse, zwróciła się niespodziane ku mojemu bratu, który w owym czasie – jako ilustrator książek Dickensa – bywał częstym gościem w Gad’s Hill.

Może wspomniałem już wcześniej o tym, Drogi Czytelniku, że to romantyczne zainteresowanie Charleyem ze strony Katey zdumiało nas wszystkich. Mój brat zaledwie kilka tygodni wcześniej wyprowadził się od matki, z domu rodzinnego, i nie przejawiał poważniejszego zainteresowania dziewczętami ani zalotami.

A teraz coś takiego. W dyskretnym półmroku tunelu przyszło mi do głowy, że Katey z pewnością wie (chociażby od ojca, który przecież uwielbiał plotki), że rozstałem się z Caroline G., odesłałem ją z domu i stałem się (z ich punktu widzenia) dobrze sytuowanym i umiarkowanie sławnym kawalerem, mieszkającym w domu tylko w towarzystwie służby i – od czasu do czasu – „bratanicy” Carrie.

Uśmiechnąłem się, żeby dać do zrozumienia, że doceniam żart.

– Jestem przekonany, moja droga, że stworzylibyśmy nadzwyczaj interesującą parę. Biorąc pod uwagę twoją niezłomną wolę i moją nieustępliwość, o naszych kłótniach

krążyłyby legendy.

Nie uśmiechnęła się w odpowiedzi. Koniec tunelu jawił mi się jako świetlisty łuk, kiedy zatrzymała się i spojrzała na mnie.

– Czasem wydaje mi się, że wszyscy źle się dobieramy w pary: ojciec i matka, Charles i ja, ty i… ta kobieta… Chyba tylko Percy Fitzgerald i ta jego mizdrząca się lalunia pasują do siebie.

– Jest jeszcze William Charles Macready – dodałem przyjaznym, choć prowokacyjnym tonem. – Nie zapominajmy o drugiej żonie wiekowego aktora. Ci dwoje dobrali się wręcz idealnie.

Katey parsknęła śmiechem.

– Czyli jest jedna kobieta, która znalazła szczęście.

Jeszcze raz wzięła mnie pod rękę, wyprowadziła na światło i puściła wolno.

***

– Mój drogi Wilkie! – wykrzyknął Dickens, gdy tylko wszedłem na obszerne pięterko górskiej chaty. – Cudownie, że wpadłeś!

Zerwał się na nogi, wybiegł zza biurka i ujął moją dłoń w obie swoje. Prawie cofnąłem się odruchowo w strasznym oczekiwaniu powitalnego uścisku. Dickens zachowywał się tak, jakby nasze wieczorne spotkanie w „Verey’s” przed z górą miesiącem w ogóle nie miało miejsca.

W letniej pracowni Pana Niezrównanego w alpejskim domku panowała niezwykle przyjemna atmosfera, zwłaszcza kiedy od morza wiał lekki wiaterek, w którym szeleściły rosnące pod otwartymi oknami cedry. Dickens uzupełnił umeblowanie pokoju o wiklinowe krzesło ustawione naprzeciw biurka, które teraz wskazał mi gestem, a sam wrócił na swój ciężki, wygodny fotel pisarski.

– Cygaro? – Skinął na pudełko i karafkę na biurku. – Wody z lodem?

– Nie, Charlesie, dziękuję.

– Wprost nie umiem wyrazić, jak się cieszę, że wszystko zostało wybaczone i zapomniane – zagaił wielkodusznie, nie precyzując, kto musiał wybaczyć i zapomnieć.

– Ja czuję to samo.

Zerknąłem na piętrzące się na blacie stosy kartek. Dickens zauważył moje spojrzenie i wręczył mi plik arkuszy. Znałem już tę jego metodę: wyrywał kartki ze swoich książek (w tym wypadku z *Oliwera Twista*), przyklejał je na tekturę, po czym zmieniał ich treść, poprawiał, skreślał i komentował na marginesach. Następnie wysyłał tak poprawione stronice do drukarni, skąd odbierał wersję ostateczną, drukowaną powiększoną czcionką, z potrójną interlinią i szerokimi marginesami, na których mieściły się kolejne didaskalia i pisane wielkimi literami adnotacje. Tak przygotowywał teksty na swoje literackie tournée.

Już same zmiany w tekście – zmieniające materiał przeznaczony do czytania w materiał do słuchania – wydały mi się niezwykle interesujące, ale najciekawsze były dopiski na marginesach: „Skinąć… Wskazać palcem… Wzdrygnąć się… Rozejrzeć się ze zgrozą… Morderstwo…”.

I dalej, na następnym arkuszu tektury: „…uderzył dwa razy w jej uniesioną twarz, która prawie dotykała jego twarzy… chwycił ciężką pałkę i jednym uderzeniem powalił dziewczynę na ziemię!!… odbicie kałuży krwi migoczące i pląsające w świetle słonecznym na suficie… takie ciało i tyle, tyle krwi!!!… Nawet łapy psa były zakrwawione… roztrzaskał mu łeb!!!”.

Zamurowało mnie. Roztrzaskał mu łeb… Zapomniałem już, że Sikes zabił nie tylko Nancy, lecz także i psa.

W co najmniej pięciu różnych miejscach na marginesie widniał dopisek: „Zgroza! Zgroza absolutna!”.

Odłożyłem arkusze na biurko i uśmiechnąłem się do Dickensa.

– Nareszcie masz swoje morderstwo – zauważyłem.

– Nareszcie – przytaknął.

– A mnie się wydawało, że to ja jestem autorem powieści sensacyjnych.

– To morderstwo posłuży czemuś więcej niż tylko sensacji, mój drogi Wilkie. Chcę, żeby słuchacze mojej ostatniej serii wieczorów literackich doświadczyli czegoś namiętnego i dramatycznego, czegoś, co prostymi środkami pozwala osiągnąć złożony emocjonalnie efekt.

– Rozumiem… – powiedziałem. Dickens zamierzał wstrząsnąć wrażliwością słuchaczy tak, żeby zapamiętali go na zawsze. – Czy to naprawdę będzie twój ostatni objazd?

– Hmm… – chrząknął. – Tak mi mówi nasz przyjaciel Beard. Tak mówi Dolby. Tak mówią najlepsi lekarze w Londynie i Paryżu. Nawet Wills mi tak powiedział, chociaż on to w ogóle zawsze był przeciwnym moim tournée.

– Powiem ci, Charlesie, że Willsowi należy się chyba taryfa ulgowa. Ostatnio wszystkie jego opinie są filtrowane przez łoskot zatrzaskujących mu się w głowie drzwi.

Dickens parsknął śmiechem.

– Ach, biedny Wills! Znałem go, Horacjo.

– Na polowaniu – dodałem z udawanym smutkiem.

Jak na komendę, po przebiegającej pod oknami domku Gravesend Road przegalopował jeździec w czerwonej kurtce myśliwskiej, białych bryczesach i wysokich lśniących butach, dosiadający olbrzymiego, niesfornego konia w szare cętki. Chwilę później jego szlachetny obraz zastąpiła turkocząca platforma wypełniona gnojem. Spojrzeliśmy z Dickensem po sobie i równocześnie wybuchnęliśmy śmiechem. Znów było jak dawniej.

Z tą tylko różnicą, że ja życzyłem mu śmierci.

– Myślałem jeszcze trochę o twoim *Kamieniu Księżycowym*, Wilkie – odezwał się Dickens, kiedy przestaliśmy się śmiać.

Cały się spiąłem, ale udało mi się uśmiechnąć półgębkiem.

Dickens wystawił przed siebie obie ręce, pokazując mi otwarte dłonie.

– Nie, nie, mój drogi przyjacielu. Myślałem o nim z podziwem i zawodowym szacunkiem.

Nadal się uśmiechałem.

– Możesz sobie jeszcze nie zdawać z tego sprawy, mój drogi Wilkie, ale nie jest wykluczone, że swoją powieścią

sensacyjną stworzyłeś właśnie zupełnie nowy podgatunek literacki.

– Zdaję sobie z tego sprawę, naturalnie – odparłem chłodno. Nie miałem pojęcia, do czego Dickens pije.

Sprawiał zresztą wrażenie, jakby w ogóle mnie nie usłyszał.

– Pomysł, żeby cała akcja powieści koncentrowała się wokół jednego sekretu, plus ulokowanie w samym jej centrum interesującej, trójwymiarowej postaci detektywa, i to raczej prywatnego detektywa niż policjanta; do tego ta galeria bohaterów, te niuanse codzienności wynikające z efektów ubocznych i następstw przestępstwa stanowiącego siłę napędową głównej historii… To prawdziwa rewolucja, mój drogi Wilkie!

Skromnie pokiwałem głową.

– Sam też postanowiłem szarpnąć się na coś takiego – dodał Dickens, używając jednego z najohydniejszych amerykańskich wyrażeń, które przyswoił sobie podczas ostatniego tournée.

W tym momencie znienawidziłem go bezgranicznie.

– Masz już tytuł tego, na razie hipotetycznego, dzieła? – usłyszałem swój własny głos. Brzmiał całkiem normalnie.

Dickens się uśmiechnął.

– Myślałem o czymś zwyczajnym, mój drogi Wilkie, czymś w rodzaju… *Tajemnica Edmonda Dickensona.*

Muszę przyznać, że prawie zerwałem się z krzesła.

– Czy to znaczy, że masz jakieś wieści od młodego Edmonda?!

– Nic z tych rzeczy. Jednakże pod wpływem pytań, które zadałeś mi jeszcze w zeszłym roku, pomyślałem, że idea młodego człowieka, który znika bez śladu i bez powodu, mogłaby prowadzić do interesujących komplikacji, gdyby w grę wchodziło morderstwo.

Serce zabiło mi mocniej. Miałem ochotę pociągnąć uspokajający łyk laudanum z piersiówki.

– Myślisz, że Edmond Dickenson został zamordowany? – spytałem.

Przypomniałem sobie widok Dickensona z ogoloną czaszką, ostrymi zębami i oczami fanatyka, w kapturze, śpiewającego hymny podczas ceremonii, w której Drood wpuścił skarabeusza do mojego ciała. Na to wspomnienie żuk poruszył się i przesunął w głąb mojego mózgu.

– W żadnym razie! – Dickens się roześmiał. – Nie miałem żadnych powodów, żeby nie wierzyć młodemu Edmondowi, kiedy zakomunikował mi, że podejmuje wszystkie swoje pieniądze i wyrusza w podróż, być może nawet przeprowadza się do Australii. Poza tym, na pewno zmieniłbym nazwisko głównego bohatera i tytuł powieści. Chciałem po prostu, żeby tytuł sygnalizował co nieco z treści książki.

– To ciekawe – skłamałem.

– Jest jeszcze mesmeryzm – dodał Dickens. Rozsiadł się wygodniej, zetknął dłonie czubkami palców i uśmiechnął się do mnie.

– Tak, Charlesie?

– Wiem, że się nim interesujesz, Wilkie, i to niewiele krócej ode mnie, chociaż nigdy go nie praktykowałeś. Wprowadziłeś go dyskretnie do *Kamienia Księżycowego,* bardziej w charakterze metafory niż faktu, lecz nie umiałeś go należycie wykorzystać.

– Co ty powiesz…

– Chodzi mi o rozwiązanie tej twojej tak zwanej tajemnicy – ciągnął Dickens swym drażniąco belferskim tonem, którego tak często używał w rozmowach ze mną. – O pana Franklina Blake’a, który kradnie brylant w wywołanym przez opium śnie, a potem nie wie, że klejnot został skradziony…

– Rozmawialiśmy już o tym – przypomniałem mu spokojnie. – To zupełnie wiarygodnie i całkowicie możliwe. Osobiście zbadałem ten aspekt i…

Zbył mnie machnięciem ręki.

– Rzecz w tym, mój drogi Wilkie, że wytrawny czytelnik musi sobie zadać w tym miejscu pytanie: dlaczego Franklin Blake ukradł brylant należący do jego ukochanej?

– Odpowiedź jest oczywista, Charlesie: zrobił to, ponieważ

obawiał się, że ktoś inny będzie go chciał ukraść. Dlatego właśnie, kiedy pod wpływem nieświadomie przyjętego opium zaczął lunatykować, udał się do pokoju ukochanej i… wykradł klejnot.

Nawet dla mnie zabrzmiało to nieprzekonująco.

– Otóż to – powiedział z uśmiechem Dickens. – To podważa wiarygodność historii. Zagraża jej prawdopodobieństwu. Gdyby jednak inny z twoich bohaterów zahipnotyzował Franklina Blake'a i kazał mu ukraść brylant, to w połączeniu z figlem polegającym na dodaniu mu opium do wina (chociaż na twoim miejscu uczyniłbym zarówno opium, jak i hipnozę celowymi składnikami fabuły, elementami spisku, a nie zbiegu okoliczności) powstałaby spójna całość, nie uważasz, mój drogi?

Przetrawiłem jego słowa. Było stanowczo za późno na wprowadzanie zmian. Ostatni odcinek powieści ukazał się już w „All the Year Round" i amerykańskim magazynie braci Harperów, a oprawne w skórę bezpłatne trzytomowe wydanie Tinsleya było praktycznie gotowe do wysyłki kurierem do Dickensa i innych wybranych odbiorców.

– Ja nadal uważam, że byłoby to naruszenie zasad rządzących mesme– ryzmem, Charlesie. Obaj wiemy, czego uczą profesor Elliotson i inni: że, znalazłszy się pod wpływem hipnozy, człowiek nie zrobi nic takiego, czego z powodów moralnych nie zrobiłby nawet w pełni świadomie.

Dickens pokiwał głową.

– Masz rację, Elliotson wykazał jednak (ja zresztą również), że człowiek zahipnotyzowany może na długi okres zmienić swoje zachowanie, jeśli jakieś kłamstwo przedstawi mu się jako prawdę.

Nie rozumiałem, do czego zmierza. Powiedziałem mu o tym.

– Może być tak, że kobieta nigdy nie wynosi dziecka na dwór nocą – odparł. –Jednakże, gdybyś ją zahipnotyzował i powiedział jej, że w domu wybuchł pożar… albo że pożar wybuchnie, powiedzmy o godzinie dziewiątej wieczorem, to ona albo w transie hipnotycznym, albo już później, pod

wpływem samej sugestii, porwie dziecko na ręce i wybiegnie z nim z domu, nawet jeśli nigdzie nie będzie widać płomieni! Twoi Hindusi w *Kamieniu Księżycowym* mogliby w ten sposób zahipnotyzować Franklina Blake'a, kiedy napatoczył się na nich na terenie posiadłości. A ten twój wścibski lekarz, pan… Sweets?

– Pan Candy – poprawiłem go.

– Pan Candy mógłby podać mu potajemnie laudanum w ramach jakiegoś innego, szerzej zakrojonego spisku, a nie z czystej złośliwości, za którą powinien raczej trafić za kratki.

– Chcesz powiedzieć, że kochany stary pan Candy również został zahipnotyzowany przez Hindusów?

Nagle zobaczyłem, jak pod wpływem uwag Dickensa wszystkie rozbieżne i porzucone przeze mnie wątki w powieści zaczynają się zbiegać i łączyć.

– Byłoby to eleganckie rozwiązanie – przyznał z uśmiechem Dickens. – A może to ten niecny opiofag Ezra Jennings był zamieszany w spisek mający na celu kradzież Koh–i–noora?

– *Kamienia Księżycowego* – poprawiłem go z roztargnieniem. – Ale mój Ezra Jennings jest kimś w rodzaj bohatera! To on odkrywa sekret i wyłuszcza wszystko Blake'owi, odtwarza mu całą tamtą noc, kiedy siedzą w domu ciotki Blake'a w Yorkshire…

– To wyłuszczenie stanowi bardzo zgrabne zakończenie twojej opowieści – przyznał półgłosem Dickens – lecz zarazem bardziej niż inne elementy powieści wystawia na próbę łatwowierność czytelnika.

– W jakim sensie?

– W takim, że warunków tamtej nocy, kiedy brylant został skradziony, nie można dokładnie odtworzyć, mój drogi Wilkie. Zmienił się jeden kluczowy element, który wyklucza powtórzenie lunatykowania i kradzieży.

– Co to za element?

– Biorąc udział w tym tak zwanym „eksperymencie", pan Franklin Blake wie, że przyjął opium; wie, że zdaniem Jenningsa to on ukradł brylant; zna cały ciąg wydarzeń, który nastąpił wówczas i który teraz powinien się powtórzyć. To

powinno całkowicie wykluczyć możliwość, że ta sama ilość opium…

– Dlatego Jennings dodaje do wina więcej opium, niż pan Candy za pierwszym razem – zauważyłem.

– To bez znaczenia. – Dickens zbył mnie kolejnym irytującym machnięciem ręki. – Chodzi o to, że powtórzenie wypadków z tamtej nocy jest po prostu niemożliwe. W dodatku, ten twój Ezra Jennings, uzależniony od opium domniemany pederasta (niewiele brakuje, żeby jego zachwyty nad *Wyznaniami angielskiego opiumisty* De Quinceya przyprawiły czytelnika o mdłości), niespecjalnie sprawdza się w roli dublera prawdziwego bohatera, Franklina Blake'a. I Blake wychodzi na durnia. Gdybyś jednak sprytnie wykorzystał postaci Hindusów do wprowadzenia wątku mesmerycznego i podanie Blake'owi opium potraktował jako element spisku, a nie czysty przypadek…

Zawiesił głos. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Ciężki wóz (sądząc po głośnym turkocie, ciągnięty przez co najmniej cztery mocarne konie) przetoczył się drogą i zniknął za zakrętem.

– Za to postać detektywa, sierżanta Cuffa, nosi znamiona prawdziwego geniuszu – dodał niespodziewanie Dickens. – To właśnie z jego powodu zastanawiam się nad napisaniem własnej powieści kryminalnej, najlepiej osnutej wokół takiej właśnie błyskotliwej centralnej postaci. Cuff jest kapitalny: szczupłe ciało, lodowate, przenikliwe spojrzenie, umysł niemal mechaniczny w swej doskonałości… Znakomity pomysł!

– Dziękuję, Charlesie – mruknąłem.

– Szkoda tylko, że nie wykorzystałeś go jak należy.

– Słucham?!

– Świetnie go szkicujesz, świetnie wprowadzasz, a on się świetnie zachowuje… do momentu, gdy zbacza gdzieś ze ścieżki, znika z narracji, czyni mnóstwo błędnych założeń mimo mnogości przeczących im dowodów, a potem staje się całkiem bezużyteczny, bo udaje się do Brighton, żeby tam

hodować pszczoły…

– Do Dorking – poprawiłem Dickensa. Miałem dziwne wrażenie *déjà vu.* – Hodować róże.

– Naturalnie. Jednakże sierżant Cuff jako taki, pomysł, żeby centralnym bohaterem powieści uczynić prywatnego detektywa zamiast policjanta, jest wyśmienity. Czytelnicy na pewno byliby zachwyceni taką postacią mistrza dedukcji, szczupłego i władczego jak Cuff, nieco ekscentrycznego i prawie nieokazującego emocji, gdybyś z większą uwagą naszkicował jego przeszłość i przedstawił charakter. Sam z przyjemnością się przekonam, czy potrafię stworzyć taką postać na potrzeby *Tajemnicy Edmonda Dickensom*, o ile kiedykolwiek wezmę się do jej napisania.

– Mógłbyś odkurzyć inspektora Bucketa z *Samotni* – zauważyłem smętnie. – Był niezwykle popularny. Kiedyś chyba nawet rozmawialiśmy o tym, że jego wizerunki pojawiły się na kartach kolekcjonerskich w paczkach papierosów.

– To prawda: był i pojawiły się. – Dickens się roześmiał. – Był bodajże najpopularniejszą postacią z całej książki; muszę przyznać, że sceny z jego udziałem sprawiały mi wielką przyjemność. Tylko że inspektor Bucket był człowiekiem światowym i towarzyskim, brakowało mu tajemniczości i atrakcyjności twojego wyniosłego, zdystansowanego sierżanta Cuffa. Poza tym, skoro oryginału, na którym wzorowałem Bucketa, czyli inspektora Charlesa Fredericka Fielda, nie ma już wśród żywych, przyzwoitość nakazuje pogrzebać także jego kopię.

Bardzo długo – tak mi się przynajmniej wydawało – nie mogłem wykrztusić ani słowa. Musiałem skoncentrować się na oddychaniu i nieokazywaniu kłębowiska przewalających się przeze mnie myśli i uczuć. W końcu najspokojniej, jak umiałem, zapytałem:

– Inspektor Field nie żyje?

– Niestety! Zmarł w zimie, kiedy ja podróżowałem po Ameryce. Georgina znalazła nekrolog w „Timesie” i wycięła go dla mnie; wiedziała, że będę chciał go sobie zachować.

– Pierwsze słyszę – przyznałem. – Pamiętasz może datę jego śmierci?

– A owszem. To był dziewiętnasty stycznia. Dwaj moi synowie, Frank i Henry, urodzili się piętnastego, jak może pamiętasz. Dlatego łatwo mi było zapamiętać datę zgonu Fielda.

– Coś niesamowitego… – mruknąłem. Sam nie bardzo wiedziałem, *czy* mam na myśli pamięć Dickensa, czy fakt śmierci inspektora. – Czy w nekrologu napisano, jak umarł?

– W domu, w łóżku, po długiej chorobie, jeśli mnie pamięć nie myli – odparł Dickens. Było widać, że ten temat go nudzi.

Dziewiętnasty stycznia to dzień po naszej nocnej ekspedycji do Podmiasta. Potem, do dwudziestego drugiego byłem nieprzytomny, a później jeszcze przez jakiś czas niespecjalnie nadawałem się do czytania gazet. Nic więc dziwnego, że przegapiłem nekrolog. Nic też dziwnego, że przez następne miesiące nie udało mi się skontaktować z ludźmi Fielda: jego biuro na pewno zostało zamknięte, a agenci rozproszyli się w poszukiwaniu innego zajęcia.

Chyba że Dickens mnie okłamywał.

Przypomniałem sobie, jak rok wcześniej w przebłysku intuicji uświadomiłem sobie, że Dickens, Drood i Field prowadzą jakąś skomplikowaną grę, w którą zostałem wplątany w roli pionka. Czyżby to kłamstwo miało być jakąś sztuczką ze strony Dickensa?

Wydało mi się to wątpliwe. Nazbyt łatwo mogłem przecież wykorzystać swoje znajomości w „Timesie” i sprawdzić, czy taki nekrolog faktycznie się ukazał. Zresztą, skoro biedny Charles Frederick Field zmarł w styczniu, to gdzieś musiał być jego grób – i to również mogłem sprawdzić na własną rękę. Przez jedną szaloną chwilę przeszło mi przez myśl, że to kolejny podstęp samego Fielda, który sfingował swoją śmierć, żeby w ten sposób chronić się przed sługami Drooda, ale ten pomysł wydał mi się mocno naciągany, nawet biorąc pod uwagę wydarzenia z ostatnich trzech lat. Potrząsnąłem głową i pozbyłem się tej idei.

– Dobrze się czujesz, Wilkie? Strasznie pobladłeś.

– To ta podagra – odparłem.

Obaj wstaliśmy.

– Może zostaniesz na kolacji? Twój brat źle się czuje i zwykle nie jada razem z nami, ale może dzisiaj, wiedząc, że tu jesteś…

Spojrzałem na zegarek.

– Kiedy indziej, Charlesie. Muszę wracać do miasta. Caroline przygotowuje na wieczór coś specjalnego, poza tym wybieramy się do teatru…

– Caroline?! – wykrzyknął Dickens z niedowierzaniem. – Wróciła?

Pokręciłem głową i z uśmiechem postukałem się trzema palcami w czoło.

– Miałem na myśli Carrie – odparłem.

Kłamałem. Carrie miała spędzić cały ten tydzień u rodziny, która zatrudniała ją jako guwernantkę.

– No dobrze – powiedział Dickens. – Niedługo na pewno znów nadarzy się okazja.

Razem zeszliśmy na parter, wyszliśmy z domu i przemierzyliśmy tunel.

– Każę służącemu odwieźć cię na stację.

– Dziękuję, Charlesie.

– Cieszę się, że przyjechałeś dzisiaj do Gad’s Hill, mój drogi Wilkie.

– Ja również, Charlesie. To była bardzo kształcąca wizyta.

***

Nie wróciłem prosto do Londynu. Na stacji poczekałem, aż służący Dickensa i jego ciągnięty przez kuca wóz znikną mi z oczu, i wsiadłem do pociągu do Rochester.

Tym razem nie zabrałem ze sobą brandy, odczekałem więc do momentu, gdy przykościelny cmentarz zrobił się naprawdę pusty, a nagrobki zaczęły rzucać długie cienie w popołudniowym letnim słońcu, po czym żwawym krokiem poszedłem wprost do dołu z wapnem. Na powierzchni szarej brei nigdzie nie było widać szczeniaka. Po krótkich

poszukiwaniach w trawie znalazłem porzuconą wcześniej gałąź i po trzech lub czterech minutach dźgania i mieszania w wapnie wyciągnąłem na powierzchnię szczątki – głównie kości, zęby, resztki kręgosłupa i chrząstek, ale także strzępy skóry i resztki sierści. Trudno było wyłowić cokolwiek więcej.

– Dradlesowi się wydaje, że pan Billy Wilkie Collins to raczej takiego przyrządu potrzebuje – rozległ się głos tuż za moimi plecami.

Wzdrygnąłem się tak gwałtownie, że omal nie zsunąłem się do dołu z wapnem.

Dradles pomógł mi zachować równowagę: jego niewzruszona, jak wykuta z kamienia dłoń zacisnęła się na moim przedramieniu. W drugiej ręce trzymał sześciostopowej długości najeżony kolcami żelazny pręt – dawny element ogrodzenia katedry, ozdobnik z wieżyczki albo piorunochron zdjęty z którejś z iglic budowli.

Podał go mnie.

– Tym się łatwiej miesza, proszę pana.

– Dziękuję.

I rzeczywiście, długi pręt z zadziorami sprawdził się idealnie. Obróciłem truchło do góry nogami, stwierdziłem, że większy obiekt wymagałby dodatkowych pięciu lub sześciu dni w dole z wapnem, i żelastwem wcisnąłem resztki głęboko pod powierzchnię. Przez ułamek sekundy widziałem się w roli makabrycznego kucharza mieszającego rosół w kotle. Zachciało mi się śmiać.

Oddałem pręt Dradlesowi.

– Dziękuję – powtórzyłem.

– Dradles zapewnia pana dżentelmena, że to naprawdę drobiazg – odparł brudny kamieniarz. W ten chłodny wieczór jego twarz była tak samo czerwona, jak parę dni wcześniej w skwarze dnia.

– Zapomniałem przywieźć dziś brandy – przyznałem z uśmiechem – ale proszę wypić drinka albo dwa w „Thatched and Twopenny”, kiedy następnym razem się pan tam wybierze.

Dałem mu pięć szylingów.

Monety zadźwięczały w stwardniałej, przeżartej brudem dłoni. Kiedy Dradles uśmiechnął się szeroko, naliczyłem u niego aż cztery zęby.

– Dziękuję panu, panie Billy Wilkie Collins. Dradles nie omieszka wypić za pańskie zdrowie.

– Znakomicie. – Uśmiechnąłem się i skinąłem głową. – Na mnie już czas.

– Pan C. Dickens, ten sławny pisarz, też użył tego pręta, kiedy przyjechał tu przed rokiem – powiedział Dradles.

Odwróciłem się do niego. Od oparów znad dołu z wapnem szczypały mnie oczy, aż łzy płynęły mi ciurkiem po policzkach. Dradles był na nie chyba odporny.

– Co pan powiedział?

Znów się uśmiechnął.

– Tym samym przyrządem mieszał gulasz, jeśli można tak powiedzieć. Dradles sam mu go przyniósł. Tylko że pan C. Dickens, sławny pisarz, wrzucił tam o wiele większego psa, o tak. O wiele większego.

Rozdział 38

Dwudziestego dziewiątego października 1868 roku włożyłem swoje najbardziej eleganckie ubranie i wynajętym powozem pojechałem do kościoła parafialnego w Marylebone, żeby zobaczyć, jak Caroline G. wychodzi za mąż za Josepha Charlesa Clow.

Panna młoda wyglądała co najmniej na swoje trzydzieści osiem lat, za to pan młody nie wyglądał nawet na swoje dwadzieścia siedem. Komuś, kto przypadkiem zajrzałby do kościoła i nie znał państwa młodych, można by wybaczyć, gdyby doszedł do wniosku, że Caroline jest matką któregoś z nowożeńców.

Przyszła też prawdziwa matka pana młodego – gruby, głupi i paskudny jak gnom babsztyl w niedorzecznej czerwonobrunatnej sukience, która dziesięć lat temu wyszła z mody. Przepłakała całą uroczystość i krótkie spotkanie towarzyskie po ślubie i wymagała pomocy przy wsiadaniu do powozu, kiedy nowożeńcy już odjechali – nie na żaden wyrafinowany miesiąc miodowy, lecz z powrotem do maleńkiego domku, w którym niedługo znów będą musieli zamieszkać z matką pana Clow.

Gości w ogóle było niewielu, i to z obu stron. Nikogo nie zdziwiło, że stara pani G., była teściowa Caroline, nie przyjechała, mimo że przecież nie mogła się doczekać, kiedy jej synowa ponownie wyjdzie za mąż. Drugi powód, dla którego się nie pojawiła (jeżeli w ogóle w swoim obecnym stanie pomieszania miała dostateczną świadomość otaczającego ją świata), stał się oczywisty, gdy zajrzałem do rejestru małżeńskiego: Caroline podała w nim fałszywe nazwisko ojca, którym miał być niejaki „John Courtenay, dżentelmen”. Małżeństwo było jednym z elementów jej nowej tożsamości (na którą składały się nowa rodzina, nowa przeszłość, a nawet – jak się okazało – nowe pierwsze małżeństwo), którą zgodziłem się w razie konieczności potwierdzić bez żadnych wątpliwości jako jej „były oficjalny

pracodawca”.

Pokusa stworzenia sobie nowej tożsamości była chyba zaraźliwa: zauważyłem, że młoda Carrie (występująca w roli świadka) podpisała się na akcie małżeństwa „Elisabeth Harriette G.”, stosując nowatorską pisownię swoich imion. Ale chyba największym kłamstwem w tym dokumencie był status pana młodego, który w rubryce „zawód” wpisał po prostu „dżentelmen”.

No cóż, jeśli hydraulik z brudem na stałe wrośniętym za uszami i wieczną żałobą pod paznokciami stał się angielskim dżentelmenem, to Anglia najwidoczniej osiągnęła ten cudowny status państwa socjalistycznego, na rzecz którego tak usilnie agitowali różni reformatorzy.

Muszę przyznać, że jedyną osobą, która sprawiała wrażenie szczęśliwej, była Carrie, która – czy to dzięki młodzieńczej nieświadomości, czy też poświęceniu ze strony matki – nie tylko wyglądała przepięknie, ale też zachowywała się tak, jakbyśmy wszyscy uczestniczyli w niezwykle radosnym wydarzeniu. Mówiąc „my”, mam w tym wypadku na myśli dosłownie garstkę ludzi. Po stronie pana młodego zasiadły dwie osoby: zapłakana matka w krepowej sukience i nieogolony mężczyzna, którego nikt nam nie przedstawił; mógł być bratem pana Clow albo przypadkowym kolegą po fachu, który wpadł na ślub, licząc później na jakąś wyżerkę.

Ze strony Caroline przyszli Carrie, Frank Beard i ja. Było nas tak niewiele, że Beard musiał podpisać się obok Carrie jako drugi świadek małżeństwa. Sugerował wprawdzie, żebym ja to zrobił, lecz moje zamiłowanie do ironicznego absurdu nie było aż tak wysoce rozwinięte.

Joseph Clow przez całą uroczystość sprawiał wrażenie sparaliżowanego ze strachu i napięcia. Caroline uśmiechała się tak szeroko i była tak czerwona na twarzy, jakby w każdej chwili mogła wpaść w histerię i wybuchnąć płaczem. Nawet proboszcz miał taką minę, jakby wyczuwał, że dzieje się coś dziwnego. Często podnosił wzrok znad mszału i podejrzliwym spojrzeniem krótkowidza obrzucał naszą wątłą trzódkę, jakby czekał, że ktoś mu powie, że to wszystko żart.

Ja zaś odczuwałem dziwne odrętwienie ogarniające moje ciało i mózg. Powodem mogła być dodatkowa dawka laudanum, którą przyswoiłem, żeby jakoś przetrwać ten dzień, podejrzewałem jednak, że po prostu odczuwam autentyczny dystans do tej sytuacji. Nie ukrywam, że kiedy państwo młodzi powtarzali słowa przysięgi, patrzyłem na Caroline, jak stoi wyprostowana i spięta w niedopasowanej i – na oko – taniej sukni, i precyzyjnie odtwarzałem w pamięci dotyk i fakturę wszystkich tych miękkich (teraz już nazbyt miękkich) krągłości i krzywizn pod materiałem. Przez cały czas jedynym towarzyszącym mi uczuciem była ta dziwna, rozlewająca się coraz szerzej drętwota, która ogarniała mnie ostatnio często, gdy, przybywszy na Gloucester Place pod numer dziewięćdziesiąty, nie zastawałem w domu ani Caroline, ani Carrie, ani nawet trojga służących, którzy (za moim pozwoleniem) mieli wychodne z powodu choroby w rodzinie Besse. Pozbawiony ludzkich głosów i dźwięków duży dom wydawał się ogromnie pusty.

Po ślubie nie było żadnego wesela ani nawet godziwego poczęstunku – ot, pokręciliśmy się chwilę niezręcznie po chłodnym dziedzińcu parafialnego kościoła, aż w końcu nowożeńcy odjechali bryczką. Było za zimno na odkryty powóz, w dodatku zaczął padać deszcz, ale państwa młodych najwyraźniej nie było stać na solidniejszy pojazd. Obraz młodej pary udającej się na spotkanie małżeńskiego szczęścia trochę popsuł Frank Beard, który zaproponował Carrie i matce pana Clow, że odwiezie je do tego samego domu, do którego przed chwilą udali się Joseph i Caroline. Caroline musiało bardzo zależeć na tym, żeby Carrie spędziła pierwsze tygodnie jej małżeństwa w tym małym, ciasnym i spartańsko urządzonym domku. Carrie jednak nadal pracowała dorywczo jako guwernantka, a wkrótce sprowadziła się z powrotem do mnie na Gloucester Place.

Kiedy w końcu dokumentnie zmieszany proboszcz wycofał się w głąb mrocznego kościoła, na dziedzińcu chłostanym zimnym październikowym wiatrem zostaliśmy tylko ja i drugi hydraulik (doszedłem bowiem do wniosku, że nieznajomy nie

jest żadnym krewnym Josepha). Pozdrowiłem głodnego mężczyznę uchyleniem kapelusza i piechotą udałem się do domu mojego brata przy South Audley Street.

Kiedy upalne lato dobiegło końca, stan zdrowia Charleya nieco się poprawił; mniej więcej w połowie września wyprowadzili się z Katey z Gad's Hill Place i większość czasu spędzali w swoim londyńskim domu. Charley starał się również – w miarę możliwości – zajmować pracą ilustratora, lecz bóle żołądka i ogólna słabość często dawały mu się we znaki.

Zdziwiłem się więc, kiedy w ów czwartek, dwudziestego dziewiątego października, zapukałem do drzwi i nie zastałem go w domu. Katey przywitała mnie i wprowadziła do małego, ciemnawego saloniku. Wiedząc o ślubie Caroline, kazała mi natychmiast zrelacjonować „najważniejsze chwile wspaniałej ceremonii". Poczęstowała mnie brandy (którą to ofertę przyjąłem z przyjemnością: nos, policzki i dłonie miałem zaczerwienione od jesiennego chłodu), ja zaś odniosłem wrażenie, że piła już sama, zanim przyszedłem.

Tak czy inaczej, opisałem jej „najważniejsze chwile wspaniałej ceremonii", przy czym rozszerzyłem definicję „najważniejszych chwil" na całe moje pożycie z Caroline G. Oczywiście, opowieść ta może się wydać szokująca osobom obdarzonym typowo mieszczańską wrażliwością, wiedziałem jednak, że Katey nie podziela większości ojcowskich złudzeń typowych dla klasy średniej. Jeśli wierzyć licznym plotkom i pogłoskom, dawno już znalazła sobie kochanka (lub kochanków), żeby wynagrodzić sobie brak zainteresowania ze strony mojego brata (lub niemożność jego wyrażenia). Prawdziwie światowa kobieta sączyła brandy wraz ze mną, siedząc tuż obok mnie w małym, ciemnym salonie, przy zasłoniętych okiennicach, gdzie jedyne światło pochodziło z tlącego się ognia na kominku. Złapałem się na tym, że opowiadam jej historię swoją i Caroline ze szczegółami, których wcześniej nie zdradziłem nikomu, nawet jej ojcu.

Zresztą, kiedy to mówiłem, uświadomiłem sobie, że jest jeszcze jeden powód (poza moją chęcią pozbycia się

brzemienia, z którym nazbyt długo się zmagałem), dla którego opowiadam o tym Kate Dickens.

Niechętnie, potajemnie i z bólem pogodziłem się z przewidywaniem jej bezlitosnego ojca, który utrzymywał, że mojemu bratu niewiele zostało już czasu na tym łez padole. Prawdą było, że przypadłość Charleya, nawet jeśli czasem mniej dawała mu się we znaki, na dłuższą metę stawała się coraz poważniejsza. W tej chwili nawet mnie (wiernemu i kochającemu bratu) wydawało się prawdopodobne, że Charley za rok lub dwa umrze, a ta starzejąca się (miała dwadzieścia osiem lat), lecz wciąż atrakcyjna kobieta zostanie wdową.

Ona również okazała pewną niedyskrecję, mówiąc:

– Zdziwiłbyś się, gdybym ci powtórzyła, co ojciec powiedział o ślubie pani G.

Nachyliłem się bliżej.

– Powiedz, proszę.

Dolała nam brandy, ale pokręciła głową.

– Mogłabym cię zranić.

– Bzdura. Słowa twojego ojca nie są w stanie mnie zranić. Zbyt długo jesteśmy przyjaciółmi i wzajemnymi powiernikami. Dlatego powiedz mi, z łaski swojej, co mówił o dzisiejszej uroczystości.

– Mnie nic nie powiedział, to zrozumiałe. Przypadkiem usłyszałam jednak, jak rozmawiał z ciotką Georginą. Powiedział coś takiego: „Wilkie jest absolutnie nieprzewidywalny w swoich machinacjach. Cała ta małżeńska szopka może być jednym wielkim kłamstwem ze strony tej kobiety, która w ten sposób chciała go zmusić do poślubienia jej. Który to plan, wbrew jej oczekiwaniom, spalił na panewce”.

Zaniemówiłem. O dziwo, naprawdę byłem zraniony. I oszołomiony. Czy to mogła być prawda? Czy nawet sam ślub był ze strony Caroline kolejną próbą usidlenia mnie i zmuszenia do małżeństwa? Czyżby liczyła na to, że wiedziony okrutnym poczuciem straty przyjdę po nią do domu Josepha Clow, nie oglądając się na święty węzeł małżeński, i będę

błagał, żeby do mnie wróciła i wyszła za mnie za mąż? Po skórze przeszedł mi dreszcz odrazy.

Byłem tak wstrząśnięty, że z najwyższym trudem wykrztusiłem:

– Twój ojciec jest bardzo mądrym człowiekiem.

Zaskoczyła mnie, gdy wyciągnęła rękę i ścisnęła moją dłoń. Zadrżałem z emocji.

Przy trzecim kieliszku brandy złapałem się na tym, że wylewam przed Katey swoje żale w tych samych słowach, które – później, przy innej okazji i w zupełnie innym kontekście – miałem niemal dosłownie powtórzyć Dickensowi:

– Kate… Nie bądź dla mnie zbyt surowa. Moja choroba, śmierć matki, samotność… To był okropny rok. Kiedy dzisiaj zobaczyłem Caroline wychodzącą za mąż, poza dziwną satysfakcją odczułem także niezwykły niepokój. Jakkolwiek by na to patrzeć, przez ponad czternaście lat była przecież częścią mojego życia, a przez ponad dziesięć także częścią mojego domu. Wydaje mi się, Katey, że mężczyźnie w mojej sytuacji należy się litość. Od bardzo dawna… Nie jestem przyzwyczajony do samotnego życia. Przywykłem, że zawsze jest przy mnie dobra i łagodna kobieta, z którą mogę porozmawiać, tak jak teraz z tobą, Kate… która się mną zaopiekuje i, być może, od czasu do czasu będzie mnie trochę rozpieszczać. Każdy mężczyzna to lubi, ale ja chyba bardziej niż inni. Trudno, żeby kobieta, żona, ktoś taki jak ty, wiedziała, jak czuje się mężczyzna, który przyzwyczaił się, że ma w domu takie śliczne stworzenie, zawsze ładnie ubrane, zawsze pod ręką, w pokoju lub nieopodal, wnoszące odrobinę ciepła i światła w życie starego kawalera… a potem nagle, bez powodu, bez własnej winy, zostaje sam, tak jak ja teraz… sam w zimnej ciemności.

Katey wpatrywała się we mnie natarczywie. Kiedy mówiłem, przysunęła się chyba jeszcze bliżej; jej kolano, ukryte pod długą i jedwabistą zieloną sukienką znalazło się dosłownie kilka cali od mojego. Miałem ochotę uklęknąć na podłodze, złożyć jej głowę na podołku i rozpłakać się jak

dziecko. Byłem przekonany, że objęłaby mnie ramionami, pogładziła po głowie i plecach, może nawet podniosła moją mokrą od łez twarz ku swojej piersi.

Nie zrobiłem tego, lecz tylko nachyliłem się ku niej.

– Charley jest bardzo chory – wyszeptałem.

– Tak.

Pojedyncza sylaba nie niosła w sobie przesadnego smutku, wyrażała tylko zgodę.

– Ja również jestem chory, lecz o mój powrót do pełni sił można być spokojnym. Moja przypadłość to rzecz tymczasowa. Nawet teraz nie mąci mi umysłu ani nie ogranicza moich… potrzeb.

Katey spojrzała na mnie z miną, która – moim zdaniem – wyrażała ekscytację i wyczekiwanie.

Ciągnąłem cichym, lecz stanowczym głosem:

– Katey… nie mogłabyś pewnie wyjść za człowieka, który…

– Nie, nie mogłabym – ucięła i wstała.

Zakręciło mi się w głowie z niedowierzania. Również wstałem.

Katey wezwała służącą, której kazała przynieść mój płaszcz, laskę i kapelusz, i zanim zdążyłem wymyślić, co jeszcze mógłbym powiedzieć, wylądowałem na zimnych schodkach przed domem – gdzie zresztą nadal nic mądrego nie przychodziło mi do głowy. Drzwi zamknęły się za mną z trzaskiem.

Zdążyłem przejść pół przecznicy, zgięty wpół dla osłony przed lodowatym wiatrem, gdy na chodniku po drugiej stronie ulicy dostrzegłem Char– leya. Pomachał do mnie i próbował się przywitać, ja jednak udałem, że nie widzę go ani nie słyszę, i przyśpieszyłem kroku, przytrzymując w palcach rondo kapelusza i kryjąc twarz w cieniu przedramienia.

Dwie przecznice dalej złapałem wygodną dorożkę i kazałem się wieźć na Bolsover Street.

Martha R. sama otworzyła mi drzwi; w tym okresie nie miała w domu służby. Jej szczera twarz wyrażała prawdziwą radość ze spotkania ze mną.

Tej nocy spłodziłem z nią nasze pierwsze dziecko.

Rozdział 39

W listopadzie Dickens odegrał na próbę swoje morderstwo przed zaufaną publicznością złożoną z setki najbliższych przyjaciół.

Od ponad roku negocjował z Chappell and Company warunki następnego tournée literackiego, które nazywał „pożegnalną serią wieczorów autorskich”. Chappell sugerował cykl siedemdziesięciu pięciu spotkań, ale Dickens – którego słabość nasilała się, a lista przypadłości wydłużała niemal codziennie – upierał się przy stu, za okrągłą sumkę ośmiu tysięcy funtów.

Najwierniejszy przyjaciel pisarza, Forster, który zawsze był przeciwny objazdowym wieczorom literackim, ponieważ odrywały Dickensa od pisania, a przy tym powodowały skrajne wyczerpanie, osłabienie i choroby, powiedział mu bez ogródek, że jeśli w swoim obecnym stanie pokusi się o setkę spotkań z czytelnikami, to niechybnie umrze. Frank Beard i inni lekarze, których Dickens przez ostatni rok widywał coraz częściej, zgadzali się z Forsterem bez zastrzeżeń. Nawet Dolby, którego obecność w życiu Pana Niezrównanego była przecież całkowicie uzależniona od tych objazdów, uważał, że nie ma sensu w tej chwili angażować się w kolejny, a pomysł stu osobnych wieczorów literackich uważał za wręcz fatalny.

Wszyscy krewni Dickensa, bliscy przyjaciele, lekarze i zaufani doradcy zgodnie twierdzili, że nie powinien w swoich występach uwzględniać morderstwa Nancy. Niektórzy, tak jak Wills i Dolby, uważali, że tak wybitny, utytułowany pisarz nie powinien uciekać się do takich tanich, sensacyjnych sztuczek. Pozostali – wśród nich Beard, Percy Fitzgerald, Forster i ja – przypuszczali po prostu, że to go zabije.

Sam Dickens przewrotnie postrzegał wyczerpanie wynikające z objazdu i występów (nie mówiąc już o psychicznej udręce, jakiej przysparzało mu codzienne podróżowanie pociągami) jako – jak to powiedział Dolby’emu

– „ulgę dla umysłu”.

Tylko ja jeden rozumiałem ten tryb rozumowania. Wiedziałem, że Charles Dickens jest czymś na kształt męskiego sukuba: nie dość, że podczas tych spotkań autorskich wprowadzał setki (jeśli nie tysiące) widzów w mesmeryczny trans i obejmował nad nimi hipnotyczną władzę, to na dodatek przy tej okazji wysysał z nich energię. Byłem całkowicie przekonany, że gdyby nie ten talent, dawno już poddałby się chorobom i zmarł. Był wampirem; potrzebował spotkań z publicznością, z której zaczerpnie energii do przetrwania następnego dnia.

W końcu Chappell przystał na jego warunki: sto spotkań za osiem tysięcy funtów. Amerykańskie tournée Pana Niezrównanego (które, jak mi się przyznał, doprowadziło go na skraj wyczerpania), zakontraktowane na osiemdziesiąt występów, zostało ostatecznie skrócone do siedemdziesięciu sześciu po tym, jak kilka spotkań musiano odwołać. Od Katey dowiedziałem się (na długo przed naszym październikowym spotkaniem), że za swoje amerykańskie trudy Dickens został wynagrodzony sumą dwustu dwudziestu ośmiu tysięcy dolarów, od których należało odjąć poniesione wydatki (głównie koszty przejazdów, wynajmu sal i noclegów w hotelach, oraz pięcioprocentową prowizję agentów z Ticknor and Fields) w kwocie niecałych trzydziestu dziewięciu tysięcy. Do tego dochodziły wydatki wstępne poniesione w Anglii przed wyjazdem (sześćset czternaście funtów), oraz, naturalnie, prowizja Dolby’ego, wynosząca trzy tysiące funtów.

Wynikałoby z tego, że tournée Dickensa po Ameryce w latach 1867–68 powinno było mu przynieść małą fortunę (dla pisarza wcale nie małą, lecz całkiem poważną), gdyby nie fakt, że postanowił wyprawić się na ten objazd zaledwie trzy lata po zakończeniu amerykańskiej wojny domowej, której jednym ze skutków był poważny spadek wartości dolara. Na początku lata 1868 roku amerykańska waluta miała jeszcze spore straty do odrobienia, zanim wróci do wcześniejszego, bardziej naturalnego kursu. Katey wyjaśniła mi, że gdyby

Dickens po prostu zainwestował zyski z tournée w amerykańskie papiery wartościowe i poczekał, aż dolar odzyska poprzednią wartość, jego zysk wyniósłby prawie trzydzieści osiem tysięcy funtów. On jednak wolał zapłacić czterdzieści procent prowizji za natychmiastową wymianę dolarów na złoto.

– Tym sposobem – jak z dumą przechwalał się przed córką – zarobiłem około dwudziestu tysięcy, plus minus jakieś sto funtów.

Suma imponująca, lecz bynajmniej nieadekwatna do związanego z tournée ogromu pracy, zmęczenia, podróży i umniejszenia potencjału literackiego Dickensa.

Całkiem możliwe zatem, że nowa umowa z Chappellem wynikała z jego teoretycznych wampirycznych potrzeb, jak i ze zwykłej chciwości.

A może miał to być jego sposób na popełnienie samobójstwa?

Nie ukrywam, Drogi Czytelniku, że ta ostatnia możliwość nie tylko przyszła mi do głowy i wydała mi się całkiem sensowna, lecz także nieco mnie speszyła. To ja chciałem być człowiekiem, który zabije Charlesa Dickensa. Może jednak schludniej będzie po prostu pomóc mu popełnić samobójstwo za pomocą serii spotkań literackich.

***

Dickens rozpoczął tournée szóstego października w swoim ulubionym St Jamess Hall w Londynie, lecz początkowo nie uwzględniał w swych występach morderstwa. Zdawał sobie sprawę, że czeka go przymusowa przerwa w objeździe – na listopad zaplanowano wybory parlamentarne, a kiedy podczas kampanii politycy się rozszaleją, nie było co liczyć na żadne wolne sale widowiskowe i puste teatry. (Pan Niezrównany nie czynił tajemnicy z faktu, że popiera Gladstone’a i Partię Liberalną, chociaż głównie z tego powodu, że – o czym wiedzieli jego najbliżsi przyjaciele – serdecznie nie cierpiał Disraelego; nie żywił bynajmniej

nadziei, że liberałowie przeprowadzą takie reformy, do jakich nawoływał w swojej prozie, artykułach i wystąpieniach publicznych).

Nawet te łatwiejsze, pozbawione wizji morderstwa spotkania autorskie – Londyn, Liverpool, Manchester, znowu Londyn, Brighton, jeszcze raz Londyn – okazały się dla niego ogromnie wyczerpujące.

Na początku października usłyszałem od Dolby'ego, że wznowienie występów bardzo podniosło Szefa na duchu, ale już dwa tygodnie później ten sam Dolby przyznał, że ukochany Szef nie sypia w drodze i cierpi na okrutne napady melancholii, perspektywa podróży pociągiem napawa go najwyższą zgrozą, a najlżejsza nierówność na torach lub gwałtowniejszy skręt wyrywają mu z piersi okrzyki przerażenia.

Inne objawy niepokoiły Franka Bearda: opuchlizna na lewej stopie Dickensa znów się powiększyła, co zawsze zapowiadało kłopoty, na dodatek wróciły (silniejsze niż kiedykolwiek przedtem) bóle nerek i krwawienia z przewodu pokarmowego.

Ale chyba najbardziej znaczące były wieści dochodzące do Katey i dalej, za pośrednictwem Charleya, także do mnie, że Dickens często płacze i zdarzają się chwile, w których za nic nie daje się pocieszyć i uspokoić. Trzeba jednak przyznać, że latem i wczesną jesienią poniósł ciężkie i bolesne straty osobiste.

Pod koniec września jego syn Plorn, obecnie już siedemnastoletni, popłynął do Australii, żeby tam dołączyć do brata, Alfreda. Dickens załamał się i rozpłakał na dworcu, co zupełnie nie pasowało do tradycyjnego chłodu i opanowania, jakie Pan Niezrównany okazywał zazwyczaj podczas rodzinnych pożegnań.

Pod koniec października, kiedy obowiązki związane z tournée zaczęły coraz bardziej dawać mu się we znaki, dowiedział się o śmierci brata, Fredericka, z którym od lat nie utrzymywał kontaktów. Forster mówił mi później o liście, w którym Dickens pisał do niego tak: „To było zmarnowane

życie, lecz niech Bóg broni każdego przed nazbyt surowym ocenianiem zarówno jego, jak i wszystkiego na tym świecie, co nie jest celowo i rozmyślnie złe”.

Mnie zaś – podczas jednej z rzadkich wspólnych kolacji w „Verey’s”, gdy trafiła mu się przerwa w serii spotkań – powiedział po prostu:

– Wilkie, moje serce stało się cmentarzem.

Pierwszego listopada, gdy do morderstwa zostały już tylko dwa tygodnie, brat doniósł mi o podsłuchanej przez Katey rozmowie Pana Niezrównanego z Georginą:

– Nie mogę odzyskać wewnętrznej równowagi – skarżył się Dickens. – Jestem chory i bezsenny.

A w kolejnym liście do Forstera napisał: „Nie czuję się dobrze, jestem ogromnie zmęczony. Nie mam się jednak na co uskarżać, doprawdy. Nie mam, nie mam. Choć, jak Mariana, jestem znużony”.

Forster, który również uskarżał się w owym czasie na zmęczenie, w zaufaniu podzielił się ze mną treścią listu (przyświecała mu idea, że wszyscy, grono najbliższych przyjaciół Dickensa, troszczymy się o jego zdrowie), przyznając zarazem, że nie rozumie tego odwołania do „Mariany”.

Ja je rozumiałem. Trudno mi było ukryć uśmiech, kiedy recytowałem Forsterowi wersy z poematu Tennysona, do którego z pewnością nawiązywał Dickens:

O, gdybyż spokój snu
Ogarnął mnie na wieki[10].

Na jedno z londyńskich spotkań w St James’s Hall wybrałem się w tajemnicy przed Dickensem. Patrzyłem, jak z typową dla siebie energią i wyraźną przyjemnością sięga po *Klub Pickwicka* i zaczyna czytać (nie wiem, czy naprawdę był taki zadowolony, czy tylko udawał, ale publika była zachwycona), jednak już po paru minutach zaczął mieć wyraźne problemy z wymówieniem nazwiska „Pickwick”.

– Picksnick – nazwał swojego bohatera. Zawiesił głos,

prawie się roześmiał i spróbował jeszcze raz: – Peckwicks… Przepraszam, szanowni państwo, chciałem oczywiście powiedzieć… Piknik! Tak, właśnie tak: Packrits… Pecksniff… Pickstick!

Po kilku dalszych takich zawstydzających próbach zrezygnował i spojrzał na swoich przyjaciół, zajmujących zarezerwowane dla nich miejsca w pierwszych rzędach (ja tego wieczoru siedziałem wysoko na balkonie) i na jego twarzy odmalowało się coś w rodzaju rozbawienia, lecz pomieszanego z rozpaczą (tak mi się przynajmniej wydawało), jakby prosił ich o pomoc. Wyczułem – mimo że znajdowałem się daleko od sceny, w głębi roześmianego i wielbiącego go tłumu – że ogarnia go panika.

Od tygodni szlifował scenę morderstwa Nancy, ale nigdy jeszcze nie wystąpił z nią publicznie.

– Boję się ją odczytać, Wilkie, po prostu się boję – przyznał mi się w „Verey's". – Nie wątpię, że publika dosłownie by skamieniała, gdybym ją odegrał… Ha, gdybym odegrał choć ósmą jej część! Nie jestem jednak pewien, czy wywarłbym na nich wrażenie dostatecznie potworne i makabryczne, żeby odstraszyć ich od przyszłego udziału w moich przedstawieniach.

– Wystarczy, że wysondujesz ich jeszcze kilkoma takimi zwyczajnymi wieczorami, Charlesie – zapewniłem go wówczas. – Będziesz wiedział, kiedy nadejdzie właściwy moment. Zawsze wiesz.

Dickens skwitował mój komplement zwykłym skinieniem głowy i pociągnął łyk wina.

A potem dowiedziałem się – przez Dolby'ego – że mam być gościem honorowym (wraz ze stu piętnastoma podobnymi „gośćmi honorowymi") na prywatnym wieczorze autorskim (była akurat przerwa w kampanii wyborczej) w St James's Hall w sobotę, czternastego listopada.

Dickens zamierzał w końcu zamordować Nancy.

***

Wczesnym popołudniem w dniu planowanego spotkania udałem się do Rochester. Pana Dradlesa znalazłem tym razem przed frontem katedry, gdzie odprawiłem rytuał wręczania darów; brandy, którą przywoziłem temu brudnemu staruchowi, kosztowała więcej od tej, którą zwykle kupowałem dla siebie i swoich wyjątkowych gości.

Przyjął ją z chrząknięciem i błyskawicznie schował gdzieś w przepastnych zakamarkach marynarek z grubego płótna i flaneli oraz kamizelek z flaneli i moleskinu. Jego sylwetka była tak pękata od flaneli, tak zaokrąglona od płótna i moleskinu, że w ogóle nie potrafiłem dostrzec wywołanego przez butelkę wybrzuszenia.

– Dradles mówi: tędy, szanowny panie – powiedział.

Poprowadził mnie dookoła katedry i wieży do wejścia do krypty. Obmacując się w poszukiwaniu właściwego klucza, odstawił na chwilę latarnię z na wpół zamkniętą przesłoną. Z niezliczonych kieszeni wyjął niezliczone klucze i całe pęki kluczy, zanim w końcu znalazł ten odpowiedni.

– Proszę uważać na głowę, panie Billy Wilkie Collins – ostrzegł mnie, biorąc znów latarnię do ręki.

Zagłębiliśmy się w mroczny labirynt. Listopadowy dzień był pochmurny i przez pozbawione szyb czworokątne okienka w krzyżowym sklepieniu przesączała się znikoma ilość światła. Korzenie drzew, krzewy, a gdzieniegdzie po prostu darń zarosły otwory, które w zamyśle dawno nieżyjących budowniczych katedry miały pełnić rolę świetlików nekropolii. Szedłem za Dradlesem, kierując się głównie słuchem i wodząc palcami po śliskich łupkowych ścianach.

„Wilgoć od ziemi”.

Tip – tap – tap – tap – tap – tip – tip – tap. Dradles znalazł echo, które chyba wyjątkowo mu się spodobało. Odsłonił latarnię i pokazał mi spoinę w murze w miejscu, gdzie korytarz zakręcał i wąskimi schodkami prowadził na niższą kondygnację krypty.

– Pan Billy W.C. widzi? – zapytał. Jego oddech wypełnił dzielącą nas zimną przestrzeń oparami rumu.

– Ktoś rozebrał ścianę i wmurował w to miejsce nowe kamienie – powiedziałem.

Musiałem się bardzo pilnować, żeby mi nie szczękały zęby. Podobno w jaskiniach powinno być cieplej (rzekomo utrzymuje się w nich stała temperatura rzędu dziesięciu stopni Celsjusza, czy jakoś tak) niż na dworze w zimny listopadowy dzień – ale nie w tej jaskini–krypcie.

– A tak, tak. Sam Dradles to zrobił, niecałe dwa lata temu – chuchnął na mnie Dradles. – Nikt z tutejszych, ani proboszcz, ani chórmistrz, ani nawet inny murarz by nie zauważył po dniu, dwóch albo trzech, że zaprawa jest tu nowsza niż gdzie indziej. Nie, kiedy Dradles murował.

Pokiwałem głową.

– Za tą ścianą od razu jest krypta?

– Nie, nie, skądże. – Zakutany we flanelę kamieniarz parsknął śmiechem. – Od staruszków to nas dzielą dwie ściany. Za tą jest pustka, dopiero dalej druga ściana, starsza. A między nimi osiemnaście cali wolnego.

– Wystarczy…? – zapytałem.

Nie byłem w stanie dokończyć zdania jak należy: „na zwłoki?”.

Zaczerwienione, kaprawe oczy Dradlesa błysnęły w świetle latarni. Sprawiał wrażenie wybitnie rozbawionego, a przy tym wyglądało na to, że czyta mi w myślach jak w książce.

– Na całe zwłoki nie wystarczy – odparł stanowczo zbyt głośno. – Ale na same kości, kręgi, miednicę, stawy, na zegarek, łańcuszek, złoty ząb albo dwa, i na ładną, czyściutką, uśmiechniętą czaszkę… wystarczy aż nadto, szanowny panie. Aż nadto. A tamten staruszek w głębi na pewno nie będzie zazdrościł przestrzeni nowemu lokatorowi, powiadam panu. Co to, to nie, panie Billy Wilkie Collins.

Żołądek podszedł mi do gardła; wiedziałem, że jeśli zabawię dłużej w tym miejscu, zwymiotuję prosto na brudne, jednakowe buty kamieniarza. Zostałem jednak jeszcze chwilę, żeby zapytać:

– Czy to jest to samo miejsce, które wybraliście z panem Dickensem na kości, które ma panu przynieść?

– Ależ nie, mój panie. Nie, nie, nie. Nasz pan Charles Dickens, sławny pisarz, wybrał inne miejsce na kości, które dostarczy Dradlesowi, zupełnie inne, ciemniejsze i głębsze, tam dalej, po schodach, mój panie. Czy pan dżentelmen Wilkie chce zobaczyć?

Pokręciłem głową i nie czekając, aż światełko latarni za mną podąży, wspiąłem się z powrotem na górę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

***

Wieczorem tego samego dnia, siedząc w St James's Hall w towarzystwie około setki najbliższych przyjaciół Dickensa, zastanawiałem się, ile razy Pan Niezrównany występował na tej scenie – czy to w przedstawieniu teatralnym, czy też jako pierwszy przedstawiciel nowego rodzaju pisarza, który publicznie odczytuje swoje dzieła. Setki razy? Co najmniej. On sam jeden był tym „nowym rodzajem pisarza". I nie zanosiło się na to, żeby ktoś miał mu wkrótce dorównać lub go zastąpić.

Forster powiedział mi, że to za jego radą Dickens zgodził się zapytać Chappellów, co sądzą o pomyśle (zdaniem Forstera katastrofalnym) włączenia sceny morderstwa Nancy do programu wieczorów autorskich. I to właśnie Chappellowie podsunęli Dickensowi pomysł prywatnego występu przed zaufaną publicznością, by sprawdzić jej reakcję na tak ponurą i makabryczną lekturę.

Tuż przed samym występem podsłuchałem, jak pewien bardzo znany londyński lekarz (niebędący naszym kochanym przyjacielem Beardem) mówi do Pana Niezrównanego:

– Mój drogi, możesz być pewien, że jeśli choć jedna kobieta krzyknie w chwili, gdy zamordujesz dziewczynę, histeria niczym zaraza ogarnie całą salę.

Dickens tylko skromnie pochylił głowę i odpowiedział uśmiechem, który każdy, kto go znał, uznałby raczej za okrutny niż szelmowski.

Siadając w drugim rzędzie obok Percy'ego Fitzgeralda,

zauważyłem, że scenografia jest nieco inna niż na typowym wieczorze literackim Dickensa. Do stelaża z lampami gazowymi i bordowego tła, na którym na zaciemnionej scenie prezentował się niezwykle korzystnie, Dickens dodał dwa boczne parawany w kolorze tła, a za plecami kazał sobie zawiesić grube kotary podobnej barwy, przez co szeroka scena zawęziła się i skoncentrowała do maleńkiej, dramatycznie oświetlonej przestrzeni wokół niego.

Spodziewałem się, że zacznie od czegoś mniej sensacyjnego (na przykład skróconej wersji nieodmiennie popularnej sceny rozprawy z *Klubu Pickwicka,* ze słynnym „Przywołajcie Samuela Wellera!"), aby, budując stopniowo napięcie, prowadzić słuchaczy do *Sturm und Drang* morderstwa Nancy. W ten sposób inne, łagodniejsze fragmenty lektur łagodziłyby wydźwięk skrajnie sensacyjnego finału.

Zamiast tego Dickens zaczął od Nancy.

Zdaję sobie sprawę, Drogi Czytelniku, że wspominałem tu już o osobistych notatkach Pana Niezrównanego na marginesach wczesnej, powstałej jeszcze w lecie wersji scenariusza tej sceny. Nie umiem jednak wyrazić, jak dalece niewystarczające są owe notatki (albo moja umiejętność ich przedstawienia, choć przecież mam talent prozatorski) przy opisie tego, co wydarzyło się w ciągu następnych trzech kwadransów.

Być może, Drogi Czytelniku, w tej niewiarygodnie odległej przyszłości (końcówce XX lub początkach XXI wieku, o ile chce się Wam jeszcze odliczać lata wedle rachuby Pana Naszego) stworzyliście, w oparciu o zaawansowaną alchemię naukową, jakiś rodzaj lunety, która pozwala spojrzeć wstecz pod prąd czasu i wysłuchać Kazania na Górze, oracji Peryklesa albo podziwiać kreacje Shakespeare'a w jego własnych dramatach. Jeśli rzeczywiście masz taką możliwość, proponuję, żebyś do listy Historycznych Przemówień, Których Nie Można Przegapić, dołączył występ Dickensa w roli Billa Sikesa mordującego Nancy.

Oczywiście, nie od razu przeszedł do szczegółów mordu.

Pamiętasz może, Drogi Czytelniku, moje wcześniejsze opisy wystąpień Dickensa: spokój, opanowanie, w jednej ręce otwarta książka (do której nigdy nie zaglądał), efekt teatralny osiągany głównie dzięki szerokiej gamie tonów głosu, akcentów i przyjmowanych przez pisarza póz. Nigdy jednak podczas czytania ze swoich książek Dickens nie przeistaczał się w pełni w aktora.

Tym razem zaczął powoli, ale i ze znacznie większym dramatyzmem, niż kiedykolwiek u niego widziałem (nie tylko u niego zresztą, także u innych pisarzy). Fagin, nikczemny Żyd, ożył na scenie jak nigdy przedtem: załamywał ręce w sposób, który sugerował jednocześnie niecierpliwe wyczekiwanie na ukradzione pieniądze i dręczące go wyrzuty sumienia, jakby nawet podczas swoich knowań usiłował zmyć plamiącą mu dłonie krew Chrystusa. Noah Claypole wyszedł na jeszcze większego tchórza i idiotę niż w książce. Pojawienie się Billa Sikesa przyprawiło słuchaczy o dreszcz emocji – rzadko udaje się tak celnie przedstawić męską brutalność pijaka, złodzieja i oprycha na kilku zaledwie stronicach dialogu.

Przerażenie Nancy od początku było prawie namacalne; zanim wydała pierwszy ze swoich przeraźliwych krzyków, zasłuchana publiczność pobladła.

Jakby dla podkreślenia granicy dzielącej poprzednie dziesięciolecia wieczorów autorskich (nie mówiąc już o nędznych i skazanych na porażkę wysiłkach naśladowców Dickensa) od nowej epoki powieści sensacyjnej, w pewnym momencie pisarz odrzucił książkę, cofnął się od pulpitu i dosłownie wskoczył w scenę, którą dla nas odgrywał.

Nancy krzyczała błagalnie.

W Billu Sikesie narastała niepohamowana wściekłość. Nie będzie litości dla Nancy, która krzyczała rozpaczliwie:

– Billu! Najdroższy! Na litość boską, Bill! Bój się Boga!

Głos Dickensa tak dokumentnie wypełnił salę St James’s Hall, że nawet ostatnie szeptane błagania Nancy słyszeliśmy tak wyraźnie, jakbyśmy wszyscy znajdowali się na scenie. W nielicznych (lecz okrutnych) chwilach ciszy było słychać

mysz chrobocząc na pustym balkonie za naszymi plecami. Ba, słyszeliśmy nawet, jak Dickens dyszy z wysiłku, gdy niewidzialną (a zarazem aż nazbyt dobrze widoczną!) pałką okłada dziewczynę po głowie. I jeszcze raz. I znowu.

Wykorzystał również silne oświetlenie dla wzmocnienia efektu dramatycznego. Gdy w roli Nancy przyklękał na jedno kolano, widać było tylko odchyloną w tył głowę i dwie blade dłonie wzniesione w próżnym błaganiu. Kiedy zaś prostował się i prężył jako Bill z pałką wzniesioną nad głową, całe jego ciało nagle stawało się niewytłumaczalnie większe, wyższe i bardziej barczyste niż ciało Dickensa; głębokie cienie wypełniały mu oczodoły, w których łyskały tylko przerażające białka ogarniętych obłędem oczu.

A potem bicie – ręką i pałką, ręką i znów pałką, tylko jeszcze mocniej. Głos umierającej dziewczyny, coraz słabszy i cichszy, w miarę jak ulatywała z niej nadzieja i życie, zapierał słuchaczom dech w piersi. Jedna z kobiet szlochała cicho.

Kiedy błagania Nancy ucichły, nastąpiła chwila ulgi, może nawet u publiczności pojawiła się nadzieja, że okrutnik jej wysłuchał i w zmasakrowanej sylwetce ostało się jakieś ostatnie tchnienie. Wielu słuchaczy wybrało ten właśnie moment, żeby otworzyć oczy – i właśnie wtedy Dickens ryknął najgłośniejszym, najbardziej obłąkanym głosem Sikesa i z nową energią zaczął okładać pałką najpierw umierającą dziewczynę, później dziewczynę martwą, a w końcu bezkształtną masę pławiącego się we krwi mięsa i włosów.

Skończył wreszcie i przykucnął nad zwłokami w tej samej okrutnej pozie, w której jego syn i mój brat zobaczyli go pierwszy raz na łące na tyłach Gad’s Hill Place. Jego sapanie wypełniło salę niczym dźwięk miechów jakiejś obłąkanej maszyny parowej. Nie miałem pojęcia, czy naprawdę jest taki zmęczony, czy też to dyszenie też ma być częścią przedstawienia.

Dickens skończył.

Kobiety popłakiwały, co najmniej jedna wpadła w histerię.

Mężczyźni siedzieli sztywno, bladzi, z zaciśniętymi pięściami i zębami. Uświadomiłem sobie, że siedzący obok mnie Percy Fitzgerald (z jednej strony) i stary druh Dickensa, Charles Kent (z drugiej), z najwyższym trudem łapią oddech.

Jeśli zaś chodzi o mnie… Podczas spektaklu skarabeusz w mojej głowie wpadł w szał: wiercił się, miotał i przewiercał z jednej strony mózgu na drugą i z powrotem. Cierpiałem nieopisane katusze, nie mogłem jednak zamknąć oczu ani zatkać uszu, żeby odciąć się od morderstwa – tak hipnotyzujące było to przedstawienie. Gdy tylko Nancy naprawdę umarła, wyciągnąłem zza pazuchy srebrną piersiówkę i pociągnąłem cztery solidne łyki laudanum. Zwróciłem przy tym uwagę, że inni goście płci męskiej również popijają coś z podobnych butelek.

Na widowni zapadła długa cisza. Dickens wrócił za pulpit, przygładził poły marynarki, poprawił fular i leciutko się ukłonił.

Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że nie będzie oklasków, i potworność, jaką było zamordowanie Nancy, nigdy nie wróci na scenę. Milczenie wstrząśniętych widzów potwierdzi opinię Chappellów. Forster, Wills, Fitzgerald i inni przyjaciele, którzy próbowali odwieść Dickensa od tego zamiaru, zatriumfują.

Wtedy jednak rozległy się brawa. Stawały się coraz głośniejsze. Trwały i trwały, gdy ludzie wstawali z miejsc, by urządzić autorowi owację na stojąco. I nie chciały ucichnąć.

Spocony, ale uśmiechnięty Dickens skłonił się niżej, wyszedł zza pulpitu i wykonał gest, jakiego nie powstydziłby się iluzjonista. Członkowie jego ekipy scenicznej błyskawicznie zabrali parawany i odciągnęli na bok bordowe zasłony.

Na scenie stał długi lśniący stół bankietowy uginający się pod ciężarem smakołyków. Butelki szampana chłodziły się w niezliczonych wiaderkach z lodem. Mała armia elegancko odzianych kelnerów czekała w pogotowiu, gotowa otwierać ostrygi i strzelać korkami od szampana. Dickens ponownie skinął ręką i zaprosił wszystkich (przekrzykując drugi

wybuch entuzjazmu), by weszli na scenę i wzięli udział w poczęstunku.

Ta część wieczoru również została starannie wyreżyserowana. Kiedy pierwsi widzowie na drżących nogach wkroczyli na scenę, silne lampy gazowe cudownie oświediły ich zarumienione twarze, złote spinki mężczyzn i kolorowe suknie kobiet. Miało się wrażenie, że przedstawienie wcale się nie skończyło i teraz wszyscy zostaliśmy zaproszeni do wzięcia w nim udziału. Z przerażającym dreszczem mrocznej ekscytacji uświadomiliśmy sobie, że oto uczestniczymy w stypie po śmierci zamordowanej Nancy.

W końcu i ja wspiąłem się na scenę, nie podchodziłem jednak do stołu, lecz próbowałem usłyszeć, co goście mówią Dickensowi, rozpływającemu się w uśmiechach, trzepoczącemu chusteczką, którą nieustannie ocierał pot z czoła, policzków i szyi.

Jedne z pierwszych doskoczyły do niego aktorki: madame Celeste oraz pani Keeley.

– Jesteście, panie, moim sądem i ławą przysięgłych – obwieścił zadowolony z siebie Dickens. – Powiedzcie mi, proszę, powinienem to zrobić czy nie?

– Ależ tak, tak, tak, *oui,* tak – wydyszała madame Celeste. Wyglądała na bliską omdlenia.

– Ależ oczywiście! – wykrzyknęła pani Keeley. – Koniecznie! Coś, co w taki sposób działa na ludzi, koniecznie trzeba zrobić! Trzeba i już. Muszę przyznać… – w tym miejscu bardzo wolno i bardzo teatralnie przewróciła czarnymi oczami i dalszą kwestię wypowiedziała z wystudiowaną powolnością – że publiczność od dobrych pięćdziesięciu lat czekała na wielką sensację i, na Boga, doczekała się!

Wzięła głęboki, nierówny wdech, wypuściła powietrze z płuc, znieruchomiała i zaniemówiła.

Dickens ukłonił się nisko, ujął jej dłoń i pocałował.

Charley Dickens podszedł do niego z pustą muszlą po ostrydze w ręce.

– No, Charley, a ty co powiesz? – zagadnął go pisarz.

Charley należał do tych bliskich Dickensa, którzy stanowczo odradzali mu ten występ.

– Było nawet lepiej niż się spodziewałem, ojcze – przyznał Charley – ale zdania nie zmienię: nie rób tego.

Dickensa zamurowało. Był chyba autentycznie zaskoczony.

Pojawił się Edmund Yates z drugim już kieliszkiem szampana.

– Co o tym sądzisz, Edmundzie? – spytał Dickens. – Charley, mój własny syn, twierdzi, że to najlepsze, co w życiu słyszał, a mimo to nalega, i to nie podając żadnego powodu, bym tego nie robił!

Yates zerknął na Charleya i poważnym, grobowym tonem odparł:

– Zgadzam się z Charleyem, szanowny panie. Proszę tego nie robić.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął Dickens i wybuchnął śmiechem. – Otaczają mnie niedowiarkowie! Hej, Charles! – zawołał, wskazując stojącego obok mnie Kenta. Żaden z nas nie sięgnął jeszcze po napoje. Otaczający nas zgiełk narastał z każdą chwilą. – I ty, Wilkie. Co sądzą moi dwaj drodzy przyjaciele i koledzy po fachu? Zgadzacie się z Edmundem i Charleyem, że nie powinienem już nigdy powtarzać tego występu?

– Bynajmniej – odparł Kent. – Mam tylko zastrzeżenie natury technicznej.

– Ach tak?

Głos Dickensa nawet nie zadrżał, wiedziałem jednak, jak bardzo nie podobają mu się wszelkie „zastrzeżenia natury technicznej”, kiedy chodzi o jego występy na scenie. Uważał się za mistrza sztuk scenicznych i efektów specjalnych.

– Na zakończenie czytania… spektaklu… Sikes wywleka psa z pokoju, w którym doszło do morderstwa, i zamyka za sobą drzwi na klucz – odparł Charles Kent. – Wydaje mi się, że publiczność oczekuje czegoś więcej… Może ucieczki Sikesa? A z całą pewnością jego upadku z dachu na Jacob’s Island. Widzowie chcą, wręcz muszą zobaczyć, że morderca

został ukarany.

Dickens zmarszczył brwi. Potraktowałem jego milczenie jako zachętę do zabrania głosu.

– Zgadzam się z Kentem – zacząłem. – Pokazałeś nam coś zdumiewającego, lecz zakończenie jest… okrojone? Przedwczesne? Nie mogę się wypowiadać w imieniu żeńskiej części widowni, ale my, mężczyźni, jesteśmy po spektaklu tak samo żądni krwi Sikesa, jak wcześniej on był żądny krwi Nancy. Dorzucenie dziesięciu minut sprawiłoby, że zamiast pustki i zgrozy, której teraz doświadczamy, odczuwalibyśmy satysfakcję z emocjonującego zakończenia!

Dickens skrzyżował ręce na piersi i pokręcił głową. Z bliska widziałem, że wykrochmalona koszula jest z przodu cała przesiąknięta potem. Ręce mu drżały.

– Zapewniam cię, Charlesie – zwrócił się do Kenta – żadnej publiczności na świecie nie da się utrzymać na widowni przez dziesięć minut po śmierci dziewczyny. Ba, nawet przez pięć! Uwierz mi, wiem, co mówię. Staję tam – Dickens wskazał pulpit – i po prostu to wiem.

Kent wzruszył ramionami. Z emanującym absolutną pewnością siebie tonem głosu Dickensa – głosu Mistrza, którego często używał do rozstrzygania dysput literackich i teatralnych – nie było sensu dyskutować. Ja jednak od razu wiedziałem (a późniejsze spostrzeżenia potwierdziły trafność tych przypuszczeń), że Dickens przemyśli jego słowa, przyjmie sugestię i przedłuży spektakl. Dodał później co najmniej trzy strony czytanego tekstu, żeby zrobić dokładnie to, co zalecał mu Kent.

Poszedłem po ostrygi i szampana i dołączyłem do George’a Dolby’ego, Edmunda Yatesa, Forstera, Charleya Dickensa, Charlesa Kenta, Percy’ego Fitzgeralda, Franka Bearda i innych mężczyzn stojących w głębi sceny, tuż poza obrębem prostokąta jasnego światła. Dickensa otoczyły tymczasem panie, osobiście przez niego zaproszone i nie mniej od aktorek rozemocjonowane i podniecone perspektywą dalszych mordów na Nancy w przyszłości. (Kazał mi zresztą zabrać ze sobą Kamerdynera, czyli Carrie, ja jednak nie

przekazałem tego zaproszenia i teraz cieszyłem się, że nie ma jej wśród nas).

Wielu z nas, spacerujących po scenie z drinkami i ostrygami w rękach, odruchowo patrzyło pod nogi, żeby broń Boże nie unurzać błyszczących lakierków w kałużach krwi Nancy.

– To szaleństwo – mówił właśnie Forster. – Jeżeli będzie to częściej powtarzał podczas tego tournée, a zostało mu jeszcze siedemdziesiąt dziewięć spotkań, w końcu go to zabije.

– Zgadzam się – przytaknął Frank Beard. Zwykle wesoły, teraz patrzył spode łba na trzymany w dłoni smukły kieliszek, jakby szampan się skwasił. – To samobójstwo. On tego nie przeżyje.

– Zaprosił reporterów – wtrącił Kent. – Słyszałem, jak rozmawiali, jutro wszystko pięknie opiszą w gazetach. Każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko w Anglii, Irlandii i Szkocji sprzeda własne zęby, byle tylko nabyć bilet.

– Większość z nich zęby dawno już sprzedała – zauważyłem. – Będą musieli znaleźć coś innego, co da się zastawić u Żyda w lombardzie.

Moi towarzysze zaśmiali się uprzejmie, ale gdy tylko śmiechy ucichły, natychmiast spochmurnieli.

– Jeżeli reporterzy pochwalą Szefa, to on na to pójdzie – orzekł Dolby, chłop jak niedźwiedź. – Będzie to robił co najmniej cztery razy w tygodniu, aż do nadejścia lata.

– To go zabije – powiedział Frank Beard.

– Wielu z was, panowie, zna mojego ojca dłużej ode mnie – odezwał się Charley Dickens. – Znacie może jakiś sposób, żeby odwieść go od takiego zamiaru, gdy tylko uświadomi sobie, jaką sensację już wzbudził i jaką jeszcze może wzbudzić?

– Obawiam się, że nie ma takiego sposobu – mruknął Percy Fitzgerald.

– Mowy nie ma – zawtórował mu Forster. – Nie posłucha głosu rozsądku. Być może, następnym razem spotkamy się w opactwie westminsterskim na jego pogrzebie.

Prawie rozlałem szampana, słysząc te słowa.

Od kilku miesięcy – odkąd Dickens pierwszy raz zapowiedział, że zamierza włączyć scenę morderstwa Nancy do programu większości zimowych i wiosennych spotkań autorskich – uważałem takie samobójstwo za wygodny środek na drodze do celu, który i mnie się marzył. Forster jednak uświadomił mi teraz coś bardzo ważnego, co prawie na pewno było prawdą: jakąkolwiek śmiercią umrze Dickens – czy popełni samobójstwo w serii publicznych wystąpień, czy też zostanie jutro przejechany przez wóz z gnojem na Strandzie – opinia publiczna będzie się domagała hucznego pogrzebu ze wszystkimi honorami. Londyński „Times" (albo dowolny inny szmatławiec, która przez lata był politycznym przeciwnikiem i bezlitosnym literackim krytykiem Dickensa) pierwszy upomni się o pochowanie Pana Niezrównanego w Westminsterze. A publika, jak zwykle sentymentalna, łatwo da się porwać takim hasłom.

Tłum zbierze się niewiarygodny. Dickens spocznie wśród innych powszechnie kochanych angielskich geniuszy literackich.

Ta świadomość sprawiała, że chciało mi się wyć.

Dickens musiał umrzeć, to nie ulegało wątpliwości. Nagle jednak dotarło do mnie coś, co jakaś głęboko utajona, mroczniejsza część mojego umysłu musiała uświadomić sobie znacznie wcześniej i od miesięcy snuła stosowne plany: Dickens nie tylko musiał umrzeć. Musiał także zniknąć.

Nie mogłem dopuścić do uroczystego pogrzebu w opactwie westminsterskim. Myśl o tym była dla mnie nie do zniesienia.

– A co ty o tym myślisz, Wilkie? – zwrócił się do mnie Yates.

Pogrążony w upiornych odmętach swojego nowego odkrycia, nie śledziłem zbyt uważnie ich rozmowy, wiedziałem jednak, że nadal zastanawiają się nad tym, jak przekonać Dickensa do rezygnacji z wielokrotnego publicznego mordowania Nancy.

– Moim zdaniem, Charles i tak zrobi to, co uzna za stosowne – powiedziałem, zniżając głos. – Natomiast do nas, jego przyjaciół i krewnych, należy dopilnowanie, żeby nie

spoczął w Westminsterze.

– Zbyt szybko – dodał Forster. – Nie powinien tam spocząć zbyt szybko. To chciałeś powiedzieć.

– Naturalnie. O to mi właśnie chodziło.

Wymówiłem się od dalszej konwersacji i poszedłem po szampana. Tłum nieco się przerzedził, chociaż zarazem bardziej się wzburzył. Korki strzelały, kelnerzy napełniali kieliszki.

Kątem oka zauważyłem jakiś ruch za kulisą, gdzie ekipa sceniczna była zajęta przenoszeniem pulpitu i rekwizytów. Przystanąłem.

To nie był nikt z ekipy Dickensa. Za kulisą stała samotna postać, otulona w mrok, w kretyńskiej operowej pelerynie połyskującej w blasku scenicznych świateł. Mężczyzna nosił staroświecki cylinder. Twarz miał całkowicie białą, podobnie jak dłonie o dziwnie wydłużonych palcach.

Drood.

Serce podeszło mi do gardła. Skarabeusz w moim mózgu rzucił się do swojego ulubionego punktu obserwacyjnego, tuż za moim prawym okiem.

Ale to nie był Drood.

Postać skłoniła mi się teatralnie i zdjęła cylinder. Dostrzegłem blond włosy i rozpoznałem Edmonda Dickensona.

Przecież to niemożliwe, żeby Dickens zaprosił Dickensona na to próbne wystąpienie, pomyślałem. Jakim cudem by go znalazł? I po co miałby…

Dickenson wyprostował się i uśmiechnął. Mimo dzielącej nas sporej odległości miałem wrażenie, że nie ma powiek. I że zęby ma spiłowane w ostry szpic.

Okręciłem się w miejscu, ciekaw, czy Dickens i inni też widzą tę zjawę, ale wyglądało na to, że poza mną nikt niczego nie zauważył.

Zanim odwróciłem się i znów zerknąłem za kulisę, postać w czarnej operowej pelerynie zniknęła.

Rozdział 40

W Nowy Rok spałem do południa, a obudziłem się sam i w wielkim bólu. Tydzień poprzedzający pierwszy dzień 1869 roku był dziwnie ciepły, bezśnieżny, bezchmurny, zupełnie nie zimowy i – zwłaszcza dla mnie – przykro samotny. Ten dzień zaś wstał zimny i mroczny.

Moi służący, George i Besse, poprosili, żebym pozwolił im udać się na co najmniej tydzień do domu rodzinnego Besse w Walii. Wyglądało na to, że zarówno jej zniedołężniały ojciec, jak i (do niedawna zdrowa) matka, postanowili umrzeć dokładnie w tym samym czasie. Nie zdarzało się wcześniej (był to zresztą pomysł niedorzeczny), żebym tak długo musiał obchodzić się bez służby (spodziewałem się, że ich tępa i brzydka siedemnastoletnia córka, Agnes, pojedzie razem z nimi), ale z dobroci serca dałem im wolne – zastrzegłszy, naturalnie, że nie mam zamieru im płacić za te walijskie wakacje. Ze względu na przyjęcie sylwestrowe, które zamierzałem wyprawić przy Gloucester Place, zmusiłem ich do przełożenia wyjazdu o tydzień i ostatecznie wyjechali w Nowy Rok, dwa dni po moim powrocie z Gad's Hill Place.

Carrie mieszkała u mnie przez większą część grudnia (u matki i nowego ojczyma, który, jak wyznała mi szeptem, ostro pił, wytrzymała niespełna dwa tygodnie), ale zatrudniający ją ludzie (którzy nadal traktowali ją bardziej jak gościa w domu niż jak guwernantkę) w Wigilię wybierali się na wieś na co najmniej dwa tygodnie i nalegałem, żeby wyjechała razem z nimi: będą przyjęcia, bale maskowe i sylwestrowe fajerwerki, kuligi, wypady na łyżwy w blasku księżyca, młodzi dżentelmeni… Ja nie mogłem jej zaoferować żadnej z tych rozrywek.

W pierwszym dniu 1869 roku w ogóle niewiele mogłem zaoferować komukolwiek.

Po ślubie Caroline starałem się unikać pustego pięciopiętrowego domu przy Gloucester Place 90. W listopadzie pomieszkiwałem u Lehmannów i Beardów, dopóki

w swojej uprzejmości chcieli mnie gościć. Spędziłem nawet trochę czasu u Forstera (który bardzo mnie nie lubił), w jego niedorzecznym (choć wygodnym) dworku w Palace Gate. Po tym, jak wżenił się w zamożną rodzinę, stał się jeszcze bardziej pretensjonalny i nieznośny niż przedtem, a jego niechęć do mnie (czy raczej zazdrość, tak chyba należałoby powiedzieć, ponieważ Forster zawsze wściekle rywalizował z każdym, kto bardziej niż on zbliżył się do Dickensa) rosła wprost proporcjonalnie do jego majątku i obwodu w pasie – pozostał jednak człowiekiem zbyt dumnym i wyniosłym, by wyprosić mnie z domu lub choćby zapytać o powód mojej wizyty (zresztą, gdyby zapytał, odpowiedziałbym mu zgodnie z prawdą, w czterech słowach: „twoja piwniczka na wino").

Nikt jednak nie może w nieskończoność mieszkać u przyjaciół, dlatego przez część grudnia mieszkaliśmy z Carrie we dwoje przy Gloucester Place 90. George, Besse i nieśmiała Agnes krzątali się gdzieś w tle, starając się – bez powodzenia – nie paść ofiarą mojego ponurego nastroju.

Kiedy Dickens po raz kolejny zaprosił mnie, Charleya i Katey do spędzenia Bożego Narodzenia w Gad's Hill Place, zawahałem się (wydawało mi się to prawie nieuczciwe, wykorzystywać gościnność człowieka, którego przy pierwszej dogodnej okazji zamierzałem zamordować), lecz ostatecznie przyjąłem zaproszenie. Kiedy dom przy Gloucester Place pustoszał, wydawał mi się po prostu zbyt pusty.

Dickens spędzał cały tydzień w domu, zbierając siły przed ostatnią turą objazdowych występów (pierwsze biletowane morderstwo Nancy planował na piątego stycznia, znowu w St James's Hall), ponieważ nawet nieliczne w grudniu wieczory literackie poważnie nadwątliły jego zdrowie. W pewien grudniowy dzień, jadąc do Edynburga pociągiem „Flying Scotchman", tak pisał do mnie w krótkim liście:

Mój drogi Wilkie,

Dolby śpi (chrapiąc donośnie) obok mnie, nie bacząc na potencjalnie katastrofalne przerwy w szynach, po których przed chwilą się przetoczyliśmy, a które w

najmniejszym stopniu nie zakłóciły głośnego snu naszego niedźwiedziowatego przyjaciela. Poświęciwszy chwilę na obliczenia, stwierdziłem niewiarygodny fakt: przemierzenie takich odległości, jakich wymaga ode mnie tournée autorskie, wiąże się z ponad trzydziestoma tysiącami odrębnych, ewidentnych wstrząsów dla nerwów podróżnego. A moje nerwy, o czym doskonale wiesz nie są ostatnio w najlepszym stanie. Wspomnienie Staplehurst nigdy mnie nie opuszcza, a gdy tylko lekko się zaciera, pierwszy taki wstrząs czy podskok pociągu natychmiast ożywia je na nowo. Zresztą, nawet kiedy nie ruszam się z miejsca, nie ma spoczynku dla potępionych. Naszemu czcigodnemu amerykańskiemu przyjacielowi, panu Fieldowi, powiedziałem niedawno, że większość pozostałego mi (i szybko skracającego się) życia spędzam w drodze na męczące spotkania z moimi specjalnie skonstruowanymi lampami gazowymi i że bliska jest chwila, gdy okrutnym siarkowym gazom znów będę musiał poddać się.

Dickens znalazł zresztą jeszcze inne sposoby udręczania się, nie były to tylko tournée literackie i powykręcana składnia zdań. Mimo że w końcu zarzucił pomysł wydawania przeklętego „świątecznego numeru" „All the Year Round" (na mój gust należało to zrobić dawno temu), nadal mnóstwo czasu spędzał w redakcji przy Wellington Street, bawiąc się opracowaniem graficznym magazynu, makietami stron, testując na przypadkowych gościach różne rozmiary czcionki i pisząc entuzjastyczne wstępniaki o planowanej nowej serii pisma, w których zapewniał czytelników zaniepokojonych brakiem numeru świątecznego, że „…moi współpracownicy i ja sam wrócimy na stanowiska, a towarzyszyć nam będą młodsi koledzy po fachu, których miałem przyjemność od czasu do czasu zatrudniać. Zresztą, zwiększanie ich liczebności należy do moich najprzyjemniejszych obowiązków redakcyjnych…".

Nie wiem do końca, kogo miał na myśli, pisząc o

„młodszych kolegach po fachu”. Ponieważ ja sam odmówiłem większego zaangażowania w to przedsięwzięcie, Charley mógł tylko odpisywać na listy i od czasu do czasu komponować ogłoszenia, a choć Wills znów objął swoją dawną posadę, nie był w stanie zrobić nic więcej, niż siedzieć w biurze, gapić się w przestrzeń i wsłuchiwać się w rozbrzmiewający mu w zdruzgotanej czaszce łoskot trzaskających drzwi. Zresztą, Wills i tak niezbyt nadawał się na „młodszego kolegę” Dickensa.

„All the Year Round” stanowiło – jak zawsze – przedłużenie umysłu i osobowości Charlesa Dickensa.

Jakby nie dość było tej pracy redakcyjnej, objazdu po Szkocji i nieustannych prób przed mającymi nastąpić w przyszłości licznymi morderstwami Nancy, Dickens poświęcał po kilka godzin dziennie na wypełnienie ostatniej woli swojego nieodżałowanego przyjaciela Chauncey Hare Townshenda, który w przedśmiertnej malignie uroił sobie, że Pan Niezrównany powinien zebrać w całość wszystkie jego rozproszone pisma natury religijnej. Dickens zajął się tym sumiennie, nie bacząc na zmęczenie, ale kiedy w Wigilię popijaliśmy niezobowiązująco brandy, usłyszałem, jak Percy Fitzgerald go pyta:

– Czy te jego dziełka są cokolwiek warte z religijnego punktu widzenia?

– Nie – odparł Dickens. – Nic a nic, moim zdaniem.

Kiedy podczas mojego tygodniowego pobytu w Gad’s Hill Place Dickens nie pracował u siebie w gabinecie, wykorzystywał łaskawość aury i wyprawiał się na popołudniowe spacery, podczas których (w odróżnieniu od mizernych dwunastomilowych zimowych przechadzek) pokonywał po dwadzieścia i więcej mil. Percy i inni próbowali dotrzymać mu kroku w tych forsownych marszach, mnie jednak powstrzymywały podagra i egipski skarabeusz. Jadłem więc, popijałem brandy, wino i whiskey, paliłem (rozczarowująco kiepskie) cygara Pana Niezrównanego, zwiększałem dawkę laudanum, żeby zapobiec melancholii, czytałem książki, które Dickens z Georginą wystawiali

specjalnie dla gości w pokojach gościnnych (na moim nocnym stoliku niezbyt subtelnie wylądowały *Wyznania angielskiego opiumisty* De Quinceya, ja jednak nie tylko przeczytałem je już wcześniej, ale w młodości znałem nawet De Quinceya osobiście), i leniwie spędzałem kolejne dni aż do Sylwestra, na kiedy to zaplanowałem uroczystą kolację w domu przy Gloucester Place dla Lehmannów, Charleya i Kate, Franka Bearda i paru innych osób.

Ale tydzień spędzony w Gad's Hill nie poszedł całkiem na marne.

Tym razem z okazji świąt Charles Fechter nie przywiózł w kieszeni całej szwajcarskiej chałupy góralskiej, miał jednak co innego: szkic scenariusza przedstawienia *Czarne i białe*, którego ideę przedstawił był w ogólnym zarysie przed kilkoma miesiącami.

Fechter bywał męczący i nieznośny, wiecznie pakował się w jakieś tarapaty finansowe, a talentem do zarabiania i oszczędzania pieniędzy przypominał wyjątkowo roztrzepanego czterolatka. Uznałem jednak, że w opowieści o francuskim arystokracie, którego pradziadek był czarnoskóry i który postanawia zaaranżować sprzedaż samego siebie na jamajskim targu niewolników, drzemie ogromny potencjał. Jeszcze ważniejszy był fakt, że gdybym zechciał napisać sztukę w oparciu o przedstawiony mi szkic, Fechter obiecał, że pomoże mi uniknąć kłopotów z tempem akcji, zwięzłością fabuły, lakonicznością dialogów i innych usterek, które – zdaniem Dickensa i skarabeusza za moim prawym okiem – zaszkodziły *Bez wyjścia*.

Dotrzymał słowa i przez następne dwa miesiące najczęściej dosłownie nie odstępował mnie na krok, gdy podjąłem pracę nad *Czarnym i białym:* przycinał, skracał, precyzował i „ożywiał" dialogi, poprawiał niezgrabne wejścia i zejścia, wskazywał mi sceny, które potraktowałem po macoszemu, a które mogły być atrakcyjne dla widza w teatrze. Tak oto w okresie bożonarodzeniowym roku 1868 rozpoczęła się nasza współpraca (bynajmniej nie niemiła) przy pisaniu *Czarnego i białego* – w bibliotece Dickensa, przy jego brandy i cygarach.

A potem moja wizyta dobiegła końca i wszyscy na pewien czas wróciliśmy do swoich pierwotnych zajęć: Dickens do mordowania Nancy, Fechter do szukania ról i sztuk godnych jego nieprzeciętnego – jak mniemał – talentu, a ja do wielkiej i pustej kupy kamieni, którą był dom przy Gloucester Place.

Charley, mój brat, przyszedł na sylwestrową kolację mimo nasilających się kłopotów żołądkowych. Ku uciesze gości – Bearda, Lehmannów, Charleya i Kate (która od czasu moich niefortunnych odwiedzin dwudziestego dziewiątego października zachowywała się przy mnie pogodnie, lecz z wyraźnym dystansem) – zaprosiłem ich przed przyjęciem na pantomimę wystawianą w otwartym niedawno po przerwie Gaiety Theatre.

Przyjęcie powinno było się udać: pomogłem Ninie Lehmann nająć nową kucharkę, żeby przyrządziła wyśmienitą francuską kolację; zadbałem o dostarczenie wystarczającej ilości szampana, wina i dżinu; pantomima zaś miała wywołać w nas przyjemne odprężenie.

Tymczasem długa noc wypełniona wymuszonymi rozrywkami okazała się porażającą klapą. Zupełnie jakbyśmy uzyskali chwilową możliwość zajrzenia w przyszłość, za zasłonę czasu skrywającą wszystkie złe wydarzenia, jakie czekały nas w nadchodzącym nowym roku. Wysilonym próbom zabawy nie sprzyjała bynajmniej gorliwość, z jaką George i Besse uwijali się przy swoich obowiązkach, żeby z samego rana móc udać się do Walii i tam czuwać przy łożach śmierci obojga rodziców Besse. (Przynajmniej Agnes została w łóżku, złożona krupem, dzięki czemu nie uprzykrzała nam dodatkowo wieczoru swoją ociężałą niezdarnością).

Obudziłem się więc w noworoczny poranek dręczony potwornym bólem głowy, zadzwoniłem na George’a, żeby przyniósł mi herbatę i przyszykował gorącą kąpiel… A kiedy nikt się nie zjawił, zakląłem pod nosem, przypomniawszy sobie, że cała trójka służących wyjechała już do Walii. Po co w ogóle dałem im wolne, skoro są mi potrzebni?

Snując się w szlafroku po domu, odkryłem, że wszelkie ślady nocnej hulanki zostały uprzątnięte, naczynia pomyte i

pochowane, a imbryk na herbatę tylko czeka, żeby podstawić go na ogniu. Na kuchennym blacie czekała na mnie cała gama produktów śniadaniowych. Jęknąłem i zaparzyłem herbatę.

Drewno w kominkach było ułożone, lecz nie zapalone, i musiałem się sporo namęczyć przy otwieraniu przewodów kominowych (zapomniałem już, jak to się robi), zanim udało mi się w końcu rozpalić ogień w salonie, gabinecie, sypialni i kuchni. Słońce i nieoczekiwanie ciepła aura, które całemu świątecznemu tygodniowi nadały niezwykle przyjazny charakter, uciekły przed nowym rokiem, który – co stwierdziłem, gdy w końcu odchyliłem zasłony w oknach – nastał szary, wietrzny i słotny.

Po późnym śniadaniu zamyśliłem się nad swoimi dalszymi planami. George'owi i Besse powiedziałem, że ten tydzień spędzę najprawdopodobniej w swoim klubie, jednakże zrobiwszy dwa dni wcześniej mały wywiad w Athenaeum, wiedziałem już, że pierwsze wolne pokoje do wynajęcia przez członków klubu będą dostępne najwcześniej szóstego lub siódmego stycznia.

Zawsze mogłem wrócić do Gad's Hill Place, ponieważ jednak na wtorek piątego stycznia (wstrętny Nowy Rok, który właśnie usiłowałem przecierpieć, przypadał w piątek) Dickens zaplanował premierę morderstwa Nancy w St James's Hall, skąd zamierzał się udać na ciąg dalszy tournée (do Irlandii i dalej), wiedziałem, że w domu będzie panował zamęt związany z przygotowaniami do występu i podróży. Poza tym powinienem przysiąść nad *Czarnym, i białym*, zwłaszcza że Fechter był akurat w Londynie, więc odosobnienie i atrakcje Gad's Hill byłyby mi raczej nie na rękę.

Tyle że nie mogłem się obejść bez służby, przygotowanego jedzenia i towarzystwa kobiet.

Pogrążony w takich rozmyślaniach, włóczyłem się po pustym domu, aż w końcu zaszedłem do gabinetu.

Drugi Wilkie siedział na jednym z dwóch obitych skórą foteli przed kominkiem. Czekał na mnie. Tak jak się

spodziewałem.

Nie zamknąłem za sobą drzwi, ponieważ nikogo więcej i tak nie było w domu, i usiadłem na drugim fotelu. Drugi Wilkie rzadko do mnie mówił, ale umiał słuchać. Kiwał głową albo nią kręcił, czasami posyłał mi puste, niezobowiązujące spojrzenie, które – o czym wiedziałem z uwag Caroline na temat mojej fizjonomii – znaczyło, że się ze mną nie zgadza.

Westchnąłem i zacząłem mu opowiadać o swoim zamiarze zabicia Char lesa Dickensa.

Mówiłem tak, całkiem spokojnie, od dobrych dziesięciu minut, doszedłem do momentu, w którym pan Dradles znalazł pustą przestrzeń między ścianami krypty w podziemiach katedry w Rochester, i zacząłem rozwodzić się nad wpływem gaszonego wapna na truchło szczenięcia, gdy nagle opiumowe spojrzenie Drugiego Wilkiego zbłądziło w bok i w górę i skupiło się na czymś za moimi plecami. Odwróciłem się na krześle.

Agnes – córka George'a i Besse – stała na progu, ubrana w koszulę nocną, szlafrok i postrzępione ranne pantofle. Jej okrągła, płaska, pospolita twarz była tak blada, że nawet wargi jej pobielały. Spoglądała na przemian na Drugiego Wilkiego i na mnie, na niego, na mnie… Drobne dłonie z obgryzionymi paznokciami trzymała podniesione jak siedzący na zadzie psiak, który uniósł przednie łapy. Nie miałem cienia wątpliwości, że stoi tak już dłuższą chwilę i słyszała każde moje słowo.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, okręciła się na pięcie i rzuciła ku schodom. Słyszałem klapanie jej papuci o drewniane stopnie, dopóki nie dopadła do drzwi swojego pokoju na trzecim piętrze.

Spanikowany obejrzałem się na Drugiego Wilkiego, który pokręcił głową raczej ze smutkiem niż z niepokojem. Z jego twarzy z łatwością wyczytałem, co powinienem zrobić.

***

Kominki stanowiły teraz jedyne oświetlenie domu. Ciepły

bożonarodzeniowy tydzień kończył się właśnie noworoczną nawałnicą z gradem, gdy pukałem do drzwi pokoju Agnes.

– Agnes? Wyjdź, proszę. Muszę z tobą pomówić.

Jedyną odpowiedzią był szloch. Drzwi były zamknięte na klucz. Agnes pozapalała świece w pokoju i – sądząc po kształcie cieni widocznych przez szparę pod drzwiami – przesunęła pod drzwi jakieś ciężkie biurko lub toaletkę.

– Wyjdź, Agnes, proszę cię. Nie wiedziałem, że jesteś w domu. Wyjdź, porozmawiamy.

Znowu szlochanie, a potem:

– Przepraszam, panie Collins… Nie jestem ubrana. Źle się czuję. Nie chciałam nic złego. Źle się czuję.

– Dobrze – odparłem spokojnie. – Porozmawiamy zatem rano. Wróciłem do mrocznego salonu, zapaliłem parę świec… i znalazłem liścik, który wcześniej uszedł mej uwagi. George zostawił mi go na kominku.

Szanowny Panie Collins,

nasza córka Agnes jest chora. Miała jechać ze mną i Besse do Walii, ale z samego Rana zmieniliśmy zdanie, gdy okazało się, że Biedactwo ma Gorączkę. Pomyśleliśmy, że Nie Wypada sprowadzać Wysokiej Gorączki do podwójnego Łoża Śmierci.

Dlatego, za Pańskim pozwoleniem, Szanowny Panie, zostawiamy Agnes pod Pańską Opieką i Ochroną do przyszłego wtorku, kiedy to ja (George) zamierzam Wrócić do służby u Szanownego Pana, nie oglądając się na Wyrok Losu w kwestii życia i śmierci rodziców Besse.

Może Panu gotować (Agnes). W pewnym sensie. I choć nie spełni Pańskich wysokich Oczekiwań, na pewno zadba o Czystość w domu, gdyby postanowił Pan jednak nie spędzać czasu w Klubie. A już z całą pewnością, Panie Collins, Dochodząc do siebie i wypełniając swoje Skromne Obowiązki, da do zrozumienia Rabusiom i Włamywaczom, że pod Pańską Nieobecność Dom wcale nie jest Pusty.

Pański sługa uniżony

George

Jak mogłem nie zauważyć listu, gdy przed kilkoma godzinami mocowałem się z niepokornym kominkiem i rozpalałem ogień? Już zamierzałem go wrzucić w płomienie, lecz w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. Ostrożnie, starając się go nie zmiąć, odłożyłem list na kominek tam, gdzie go znalazłem. Co robić?

Zrobiło się późno. Wrócę do tej sprawy z samego rana. I będę do tego potrzebował pieniędzy.

***

Następnego dnia, w sobotę, obudziłem się o świcie i zacząłem się zastanawiać nad swoją sytuacją. Szare światło za oknem przybierało na sile i kiedy w sypialni zrobiło się jaśniej (specjalnie nie zaciągnąłem na noc zasłon), zauważyłem schludny stosik zapisanych przez Drugiego Wilkiego kartek, ułożony na krześle przy drzwiach. Dzień wcześniej nie zwróciłem na nie uwagi, domyślałem się jednak, że zostały zapisane w pierwszą noc nowego roku, ponieważ po noworocznej kolacji Frank Beard był uprzejmy przed wyjściem zaaplikować mi morfinę. A większość moich snów i dyktand dotyczących Drooda nastąpiła właśnie pod wpływem morfiny.

Powtarzałem sobie, że nie ma pośpiechu. Cokolwiek usłyszała ta tępa dziewucha, było to bezpiecznie zamknięte w tych czterech ścianach do chwili powrotu jej rodziców – a przynajmniej do powrotu George’a.

Leżąc w szerokim łożu i patrząc na rodzący się dzień, z fascynacją rozmyślałem o tym, jak niewiele uwagi poświęcałem dotąd obecności Agnes w moim domu. Z początku była po prostu dodatkową małą gębą, którą trzeba wykarmić (choć nie trzeba było jej płacić) – taki był zresztą dodatkowy warunek najęcia się George’a i Besse na służbę u mnie. W kwestii służących poszedłem na pewien kompromis: zatrudniłem ludzi niezbyt może kompetentnych, ale przynajmniej niezwykle tanich. Z pieniędzy, które na

przestrzeni lat zaoszczędziłem na skromnych pensyjkach George'a i Besse, mogłem zawsze w razie potrzeby opłacić znakomitą francuską kucharkę. Prawdę mówiąc, czynsz, jaki pobierałem za stajnie znajdujące się na tyłach domu, z nawiązką wystarczał na wynagrodzenie rodziców Agnes.

Ona zaś – z tymi obgryzionymi paznokciami i okrągłą, płaską twarzą, wiecznie niezgrabna i lekko się jąkająca – stała się dla mnie tak znajomym składnikiem krajobrazu (zarówno tutaj, jak i wcześniej przy Melcombe Place), że nauczyłem się o niej myśleć jak o elemencie wyposażenia domu. W dodatku, przez lata postrzegałem ją nie tyle jako służącą, ile raczej przeciwwagę dla urody i inteligencji Carrie, mimo że w dzieciństwie razem się bawiły. Odkąd jednak wyrosły z wieku dziecięcego, Carrie szybko nudziła się w towarzystwie ograniczonej i pozbawionej wyobraźni Agnes.

Co jednak miałem z nią zrobić teraz, po tym, jak zobaczyła Drugiego Wilkiego i podsłuchała mnie snującego plany zabicia Dickensa?

Potrzebowałem pieniędzy, to jedno nie ulegało wątpliwości. Przyszła mi do głowy suma trzystu funtów: widoczna i namacalna pod postacią banknotów i złotych monet wprawiłaby prostą dziewczynę w osłupienie, wydałaby się jej fortuną, nie tak jednak ogromną, żeby przekraczać jej wyobraźnię. Trzysta funtów wydawało mi się sumką w sam raz na potrzeby propozycji, którą zamierzałem jej złożyć.

Tylko skąd je wziąć?

W ostatnich dniach wydałem reszki gotówki i wypisałem aż nazbyt wiele czeków, płacąc za bilety na pantomimę, kupując dżin i szampana na przyjęcie, a także wynagradzając nową kucharkę Niny Lehmann za przyrządzenie nam uczty. Banki były zamknięte do poniedziałku, ja zaś, mimo że dyrektora swojego banku znałem osobiście, nie bardzo mogłem nawiedzić go w weekend w domu z prośbą o spieniężenie opiewającego na trzysta funtów czeku.

Oczywiście, Dickens pożyczyłby mi taką sumę, lecz na wyprawę do Gad's Hill straciłbym pół dnia, a nie chciałem

zostawiać Agnes tak długo samej. Pod nieobecność rodziców i Carrie nie miała wprawdzie z kim rozmawiać, ale mogłaby napisać i wysłać list, zanimbym wrócił. A to by była katastrofa.

Poza tym nie chciałem wzbudzać ciekawości Dickensa, po co akurat w ten weekend potrzebuję trzystu funtów. To samo zresztą odnosiło się do moich innych londyńskich przyjaciół, którzy mogliby mi od ręki pożyczyć taką sumę: Freda i Niny Lehmannów, Percy'ego Fitzgeralda, Franka Beardа, Williama Holmana Hunta… Żadne z nich by mnie nie zawiodło, ale wszyscy zaczęliby się zastanawiać. Fechter nie zapytałby, po co mi taka suma, nie martwiłby się również, na co ją wydam i czy kiedykolwiek ją odzyska; problem polegał na tym, że Fechter był – jak zwykle – spłukany. Ba, przez ostatni rok pożyczyłem mu tyle pieniędzy i pokryłem z własnej kieszeni tak wiele jego „wydatków teatralnych", które na razie się nie zwróciły (najpierw związanych z wystawieniem *Bez wyjścia,* a później także z *Czarnym i białym,* mimo że przecież dopiero zacząłem to pisać!), że na początku nowego roku sam popadłem w małe tarapaty finansowe.

Wykąpałem się i ubrałem szczególnie elegancko, kiedy usłyszałem krzątaninę w kuchni na parterze.

Agnes również wystroiła się do granic swoich żałośnie skromnych możliwości; pomysł, że włożyła najlepsze ubranie z myślą o podróży, przyprawił mnie o krótki atak paniki. Kiedy wszedłem do kuchni, szykowała mi śniadanie.

Na mój widok wzdrygnęła się i cofnęła w kąt.

Posłałem jej swój najcieplejszy wujowski uśmiech i stanąwszy w progu, podniosłem ręce zwrócone dłońmi do przodu, żeby pokazać, że nie mam złych zamiarów.

– Dzień dobry, Agnes. Prześlicznie dziś wyglądasz.

– Dź–dź–dzień dobry, p–p–p–pa–panie Collins. Dziękuję. Jajka na bekonie i grz–grz–grzanki są p–p–prawie gotowe, proszę p–p–pana.

– Wyśmienicie. Pozwolisz, że usiądę z tobą w kuchni i tu zjem?

Było widać, że ten pomysł śmiertelnie ją przeraził.

– Chociaż może nie… Zjem w jadalni, jak zawsze. Przywieźli już „Timesa?

– T– T– T– Tak proszę pa–pana – wykrztusiła. – Leży już na stole w jadalni, jak zwykle. – Darowała sobie następne „proszę pana”, żeby znów się na nim nie potknąć. Była czerwona jak piwonia. Bekon się przypalał. – Napije się pan kawy, p–panie Collins… czy herbaty?

– Raczej kawy. Dziękuję, Agnes.

Usiadłem w jadalni, wziąłem gazetę do ręki i czekałem. Wszystko, co mi podała, na wszystkich talerzach, było albo przypalone, albo surowe – albo, nie wiedzieć jakim cudem, przypalone i surowe jednocześnie. Nawet kawa miała posmak spalenizny, na dodatek Agnes, nalewając mi ją do filiżanki, rozchlapała ją na spodek. Jadłem i piłem z udawaną lubością.

Kiedy wróciła, żeby dolać mi kawy, zapytałem z uśmiechem:

– Usiądziesz? Chciałbym z tobą chwilę porozmawiać.

Powiodła wzrokiem po pustych krzesłach wokół stołu i posłała mi kolejne przerażone spojrzenie. Usiąść przy stole pana? Toż to nie wypada!

– Możesz stać, jeśli wolisz – zgodziłem się łaskawie. – Wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać o…

– Nic wczoraj nie słyszałam – wystrzeliła salwą pośpiesznie toczących się sylab. „Nic” zabrzmiało nosowo, jak „nidz”. – Nic a nic, p–p–panie Collins. I nic nie widziałam. Nie widziałam, żeby ktoś był z panem w gabinecie, panie Collins, przysięgam. I nic nie słyszałam o panu Dickensie. Nic a nic.

Nidz a nidz.

Roześmiałem się, chociaż nie było mi do śmiechu.

– Nic się nie stało, Agnes. Naprawdę. Odwiedził mnie kuzyn…

Tak, kuzyn. Taki sam jak ja. Identyczny. Jak brat bliźniak. Kuzyn–sobowtór, o którym nigdy nie mówiłem, nawet nie wspominałem George’owi ani Besse. Do tego stopnia identyczny, że nosił takie same okulary, garnitur i kamizelkę,

miał taki sam brzuch i zaczątki siwizny w brodzie.

– Przedstawiłbym was sobie, gdybyś nie czmychnęła w takim pośpiechu – dodałem.

Trochę trudno było się ciągle tak szeroko i łagodnie uśmiechać, zwłaszcza kiedy jednocześnie musiałem mówić.

Agnes cała się trzęsła. Jedną ręką złapała się oparcia krzesła, żeby nie upaść. Jej paznokcie, już wcześniej mocno obgryzione, krwawiły.

– Ten mój… kuzyn… także jest literatem – ciągnąłem, zniżając głos. – Mogłaś podsłuchać końcówkę fantazyjnej historyjki, którą wymyślaliśmy na poczekaniu… o zamordowaniu pisarza nieco przypominającego pana Dickensa, którego znasz, ponieważ często bywa w tym domu, i który z pewnością byłby nią rozbawiony. Tamten pisarz przypominał pana Dickensa, którego nazwiska używaliśmy umownie, ale w rzeczywistości wcale nim nie był, rzecz jasna. Wiesz o tym, że piszę powieści i sztuki sensacyjne, Agnes, prawda?

Zatrzepotała powiekami, jakby miała zaraz zemdleć. Co zrobię, jeśli straci przytomność? Albo z krzykiem wybiegnie na ulicę w poszukiwaniu konstabla?

– Tak czy inaczej, ani mój kuzyn, ani ja nie chcieliśmy, żebyś pomyślała sobie coś złego – dokończyłem.

– Przepraszam, panie Collins. Nic nie widziałam i nie słyszałam – odparła i powtórzyła to cztery razy.

Odłożyłem gazetę i odsunąłem krzesło. Mała Agnes podskoczyła na pół stopy w powietrze.

– Wychodzę na chwilę – oznajmiłem dziarsko. Nie zamierzałem już wracać do tematu ubiegłej nocy. Nigdy więcej. – Niedługo wrócę. Bądź tak miła i odprasuj mi osiem najlepszych koszul do stroju wieczorowego, dobrze?

– Mama wszystko poprasowała przed wyjazdem – wykrztusiła Agnes ze ściśniętym gardłem. Przy słowach „mama” i „wyjazd” oczy jej się zaszkliły, a ręce zadrżały bardziej niż zwykle.

– Wiem o tym – przytaknąłem surowo – ale nie jestem zadowolony z efektu. W tym tygodniu wybieram się kilka

razy do teatru, te koszule muszą się prezentować idealnie. Zajmij się tym, proszę.

– Dobrze, panie Collins.

Skłoniła głowę i wymknęła się z jadalni z dzbankiem kawy w ręce. Wyjmując płaszcz z szafy w przedpokoju, słyszałem, jak szykuje w kuchni żelazko.

Musiałem znaleźć jej zajęcie na najbliższą godzinę. Musiałem mieć pewność, że nie zdąży ani napisać i wysłać listu, ani – tym bardziej – przemyśleć sprawy i po prostu uciec. Jeżeli zatrzymam ją w domu przez najbliższą godzinę, nie stanie się nic, czego musiałbym się obawiać.

Nidz a nidz.

***

Martha R. ucieszyła się na mój widok. Zawsze się cieszyła na mój widok. Mieszkała niedaleko Gloucester Place, a mnie dopisało szczęście i szybko złapałem pustą dorożkę, odjeżdżającą akurat z Portman Square, niedaleko domu. Jeśli szczęście mnie nie opuści, wrócę, zanim Agnes zdąży wyprasować choćby jedną koszulę; na pewno nie będzie miała czasu na pisanie i wysyłanie listów.

Na pierwszy rzut oka Martha (znana gospodyni domu i innym mieszkańcom Bolsover Street jako „pani Dawson”) nie wyglądała na osobę, która miałaby zbędne trzysta funtów, mimo że wypłacałem jej hojną ręką całe dwadzieścia funtów miesięcznie na drobne wydatki. Znałem jednak jej przyzwyczajenia: prawie nic nie wydawała na siebie, jadała skromnie, sama szyła sobie sukienki i w ogóle miała niewielkie potrzeby. Zawsze odkładała część otrzymywanych co miesiąc pieniędzy, a poza tym już z Yarmouth przywiozła pewne oszczędności.

Wyjaśniłem jej, czego potrzebuję.

– Ależ oczywiście – odparła.

Wyszła na chwilę do drugiego pokoju i wróciła z trzystu funtami w banknotach i monetach o różnych nominałach.

Doskonale.

Nie zdjąłem nawet płaszcza. Schowałem pieniądze do kieszeni i otworzyłem drzwi, zamierzając wyjść.

– Dziękuję, najdroższa. Oddam wszystko, co do pensa, w poniedziałek rano, gdy tylko otworzą banki. A może nawet wcześniej.

– Wilkie?

Zamarłem na dźwięk jej głosu. Rzadko zwracała się do mnie po imieniu.

– Ta, skarbie? – spytałem ze z trudem skrywanym zniecierpliwieniem.

– Jestem brzemienna.

Zamrugałem pod szkłami swoich malutkich okularów. Nagle zrobiło mi się gorąco w szyję, skóra zaczęła mnie piec.

– Słyszałeś, co powiedziałam, Wilkie? Jestem brzemienna.

– Tak, słyszałem.

Nie zamknąłem drzwi, ale też nie wyszedłem. Martha nie miała pojęcia, jak bezcenne sekundy i minuty jej oddaję.

– Od dawna? – spytałem półgłosem.

– Dziecko powinno się urodzić pod koniec czerwca albo na początku lipca.

Nieco ponad dwa miesiące… Czyli jednak tamta październikowa noc, noc ślubu Caroline.

Uśmiechnąłem się. Wiedziałem, że powinienem postąpić trzy kroki w przód i objąć Marthę, wiedziałem, że tego właśnie oczekuje, chociaż zwykle niczego nie oczekiwała i o nic nie prosiła… ale nie byłem w stanie tego zrobić. Poprzestałem więc na uśmiechu.

– W stosownym czasie będzie trzeba zwiększyć twoją sumę na drobne wydatki – powiedziałem. – Powiedzmy, z dwudziestu do dwudziestu pięciu funtów.

Pokiwała głową i wbiła wzrok w wytarty dywan.

– Oddam ci te trzysta funtów przy pierwszej okazji – obiecałem i wyszedłem.

***

– Pozwól do salonu, drogie dziecko.

Wróciwszy, zastałem Agnes przy prasowaniu trzeciej koszuli. Kazałem dorożce zaczekać pod domem. Jadąc z Bolsover Street z powrotem do Gloucester Place, zastanawiałem się nad tym, gdzie powinienem porozmawiać z Agnes. Kuchnia wydała mi się zbyt nieoficjalna. W innych okolicznościach, gdybym chciał porozmawiać z kimś ze służby, wezwałbym go do gabinetu, ale na to było za wcześnie: dziewczyna mogłaby się przestraszyć. Pozostawał więc salon.

– Usiądź, proszę – poleciłem.

Sam usiadłem na skórzanym fotelu przy kominku, a Agnes wskazałem niższe i mniej wygodne drewniane krzesło, które specjalnie przyniosłem do pokoju. Tym razem przemawiałem do niej tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Usiadła. Spuściła wzrok na swoje złożone na podołku czerwone dłonie.

– Posłuchaj, Agnes. Dużo ostatnio myślałem o twojej przyszłości…

Nie podniosła wzroku. Widziałem, że cała drży.

– Wiesz o tym, że niedawno umieściłem Carrie, to znaczy pannę G., na znakomitym stanowisku guwernantki w szanowanej rodzinie?

Nic nie powiedziała.

– Odpowiedz, proszę. Czy wiesz o nowej posadzie panny Carrie?

– Tak, proszę pana – odparła tak cicho, że kruszący się w palenisku popiół mógłby zagłuszyć jej słowa.

– Doszedłem do wniosku, że i tobie należy się podobna szansa.

Teraz podniosła głowę. Oczy miała zaczerwienione niewiele mniej od paznokci. Czyżby płakała przy prasowaniu?

– Przeczytaj to, proszę.

Wręczyłem jej list, który wieczorem napisałem na swojej najlepszej papeterii.

Gruby kredowy papier wyraźnie drżał w jej dłoniach, kiedy czytała – powoli, bezgłośnie formując wargami każde słowo.

Wreszcie dobrnęła do końca i spróbowała mi oddać list.

– To bardzo… miłe z pana strony… bardzo miłe.

Przynajmniej przestała się jąkać, do diabła.

– Nie, zatrzymaj go, moje dziecko. To twoje referencje, zresztą doskonale napisane, ośmielę się zauważyć. Wybrałem dla ciebie rodzinę, która cię zatrudni. Mają posiadłość pod Edynburgiem. Dałem im już znać, że przyjedziesz i od jutra obejmiesz nowe obowiązki.

Wytrzeszczyła oczy – tak bardzo, że zacząłem się bać, że zemdleje.

– Ale ja się nie znam na guwernerstwie, panie Collins! Nic a nic!

Nidz a nidz.

Uśmiechnąłem się po ojcowsku. Kusiło mnie, żeby pochylić się ku niej i poklepać ją pocieszająco po trzęsących się rękach, bałem się jednak, że się spłoszy.

– To nie ma żadnego znaczenia, Agnes. Panna Carrie również się na tym nie znała, dopóki nie podjęła nowej pracy, a teraz sama zobacz, jak pięknie się to dla niej ułożyło.

Znów spuściła wzrok na złożone dłonie. Kiedy nagle wstałem, wzdrygnęła się i skuliła na krześle. Zaczynałem rozumieć, dlaczego różne zbiry często biją swoje kobiety: kiedy ktoś zachowuje się jak szczeniak, pokusa, żeby sprać go jak szczeniaka, jest bardzo silna. A przy kominku stał ciężki żelazny pogrzebacz…

Uchyliłem rąbka zasłony.

– Spójrz – poleciłem Agnes.

Uniosła głowę i potoczyła wokół dzikim, nierozumiejącym wzrokiem.

– Wstań, Agnes. O tak, grzeczna dziewczynka. Wyjrzyj przez okno. Co widzisz?

– Powóz, proszę pana.

– To dorożka, Agnes. Czeka na ciebie. Zawiezie cię na dworzec kolejowy.

– Nigdy żem nie jechała dorożką, proszę pana.

– Wiem. – Westchnąłem i puściłem ciężką kotarę, która opadła z powrotem na okno. – Czeka cię wiele nowych

doświadczeń, moje dziecko. To będzie pierwsze z wielu cudownych wydarzeń w twoim życiu.

Ze stojącego nieopodal biurka wziąłem podkładkę do pisania listów, kartkę z papeterii i ołówek i podałem je Agnes; była w takim stanie, że bałbym się jej dać do ręki pióro i atrament.

– Napiszesz teraz krótki liścik do rodziców. Wyjaśnisz im, że nadarzyła ci się wyśmienita okazja zatrudnienia i że postanowiłaś wyjechać z Londynu, żeby z niej skorzystać. Daruj sobie szczegóły… po prostu napisz, że odezwiesz się, jak już zaczniesz pracę.

– Ale ja… proszę pana, ja… nie umiem… nie wiem…

– Podyktuję ci. Weź ołówek do ręki… Grzeczne dziecko.

List był krótki – wszystkiego cztery zdania, proste, w sam raz takie, żeby mogły wyjść spod ręki takiego tępego dzieciaka. Przeczytałem go, kiedy skończyła: niezgrabne litery skreślone chwiejną, nerwową ręką, wielkie litery powstawiane od przypadku do przypadku, kilka błędów w pisowni prostych słów… Tak, tego właśnie należało się spodziewać.

– Doskonale, Agnes. Jeszcze podpis. Dopisz „Kochająca” i podpisz się.

Odłożyłem podkładkę i ołówek na miejsce, a liścik złożyłem i schowałem do kieszeni. Na stojącej obok otomanie położyłem trzysta funtów.

– To dla ciebie, drogie dziecko. Rodzina, której cię poleciłem, będzie ci oczywiście płacić, i to dobrze płacić, więcej, prawdę mówiąc, niż obecnie dostaje panna Carrie (stare szkockie rody potrafią być niezwykle szczodre), ale ta suma, również bardzo hojna, musisz to przyznać, pozwoli ci po przybyciu do Edynburga kupić nowe ubrania, lepiej pasujące do nowego stanowiska i obowiązków. A i później zostanie ci pieniędzy na pierwszy rok lub dwa.

Nigdy przedtem nie zauważyłem, że Agnes ma piegi. Kiedy teraz na mnie spojrzała, na bladej jak ściana twarzy piegi wyglądały prawie jak płaskorzeźba.

– Ale mama… i tata… nie mogę ich tak… oni by…

– Będą wniebowzięci! – zapewniłem ją z zapałem. – Gdy tylko wrócą, wszystko im wyjaśnię. Jestem przekonany, że przy pierwszej okazji pojadą cię odwiedzić. Idź teraz na górę i spakuj wszystko, co chcesz zabrać do swojego nowego życia. Nie zapomnij o najładniejszych sukienkach: czekają cię przecież bale i przyjęcia!

Siedziała na krześle jak przyklejona.

– Idź! – rozkazałem jej. – Nie, wróć! Weź pieniądze. Teraz idź.

Czmychnęła po schodach na górę, żeby spakować ubrania i parę żałosnych drobiazgów osobistych.

Poszedłem za nią, żeby sprawdzić, czy mnie posłuchała, a następnie zszedłem do piwnicy, gdzie znajdował się warsztat i skrzynka z narzędziami George'a, który utrzymywał w nich idealny porządek. Wybrawszy ciężki łom i duży młotek z uchwytem do wyciągania gwoździ, wróciłem na górę.

***

Drogi Czytelniku z innej epoki, jeśli odczuwasz w tej chwili pokusę osądzenia mnie, muszę Cię prosić, byś tego nie robił. Gdybyś znał mnie naprawdę, na żywo, a nie tylko poprzez skreślone przeze mnie słowa, wiedziałbyś, że jestem z natury człowiekiem łagodnym.

Zawsze cechowało mnie łagodne usposobienie i zachowanie. Moje powieści są (to znaczy, były) sensacyjne, całe moje życie natomiast jest (było) ucieleśnieniem spokoju i łagodności. Kobiety zawsze to we mnie wyczuwały – to dlatego niski i krągły człowieczek w okularach, jakim byłem, cieszył się takim powodzeniem wśród dam. Nawet nasz przyjaciel Charles Dickens kpił sobie z tej mojej łagodności, tak jakby brak skłonności do agresji mógł być powodem do żartów.

Wracając od Marthy, po raz kolejny uświadomiłem sobie, że nie byłbym w stanie skrzywdzić młodej Agnes, bez względu na to, jak niszczycielska mogłaby się okazać jej niedyskrecja dla mojego życia osobistego i kariery

zawodowej. Nigdy nikogo nie uderzyłem w gniewie.

Ha, Drogi Czytelniku, zapytasz pewnie teraz, jak to się ma do moich planów zastrzelenia Drooda i zamordowania Dickensa?

Pozwól zatem, że przypomnę Ci, że Drood nie jest człowiekiem w takim sensie, w jakim powszechnie rozumie się ideę człowieczeństwa. Zabił dziesiątki, jeśli nie setki niewinnych ludzi. Pochodzi z Czarnych Krain, o których śnię po każdym zaaplikowanym mi przez Bearda zastrzyku z morfiny.

Co się zaś tyczy Dickensa… Widziałeś, Drogi Czytelniku, jak zachowywał się wobec mnie. Sam to oceń. Ile lat arogancji i protekcjonalnego traktowania zniósłbyś ze strony tego człowieka, tego samozwańczego Pana Niezrównanego, zanim w końcu wiedziony słusznym gniewem podniósłbyś na niego rękę lub broń?

Musisz jednak zrozumieć, że nigdy, przenigdy nie skrzywdziłbym takiego nieszczęsnego, niemądrego dziecka jak Agnes.

***

Agnes zeszła na parter ubrana w najlepszą ze swoich tanich sukienek. Na ramiona narzuciła płaszczyk, w którym w Anglii zamarzłaby po dziesięciu minutach przebywania na dworze, a w Szkocji po dwóch. Przyniosła też dwie tanie walizki. Płakała.

– Już dobrze, moja droga przyjaciółko, już dobrze. Nie płacz. – Poklepałem ją po ramieniu. Znowu wzdrygnęła się i odsunęła ode mnie. – Wyjrzyj, z łaski swojej, czy dorożka jeszcze czeka.

Wyjrzała przez żaluzje przesłaniające pionowe okna przy drzwiach wejściowych.

– Tak, proszę pana. – I znów się rozpłakała. – Nie wiem, jak mam za–za– –zapłacić dorożkarzowi! Nie wiem, jak znaleźć w–w–właściwy w–w–wagon na d–d–dworcu! Nic nie wiem!

Nieszczęsna, była o krok od histerii.

– Nic się nie bój, Agnes. Stangret jest już opłacony. Dorzuciłem mu nawet coś ekstra, żeby pomógł ci znaleźć twoje miejsce; dopilnuje, żebyś wsiadła do właściwego pociągu i wagonu i pomoże ci się wygodnie usadowić. Kazałem mu też zaczekać do odjazdu pociągu, żeby mieć pewność, że jesteś bezpieczna. Zatelegrafowałem również do tych wspaniałych ludzi, u których będziesz pracowała: wyjadą po ciebie na dworzec w Edynburgu.

– Ale mama i tata… – wyjąkała przez łzy.

– Będą zachwyceni i dumni, że byłaś taka dzielna i zdecydowałaś się skorzystać z tej cudownej, niepowtarzalnej okazji. – Zacząłem otwierać drzwi, ale przerwałem i odwróciłem się do niej. – Byłbym zapomniał. Jest jeszcze jedna rzecz, przy której chciałbym, żebyś mi pomogła przed wyjazdem.

Wybałuszyła na mnie zaczerwienione oczy, w których dostrzegłem, jak mi się wydawało, błysk nadziei. Być może, pomyślała, wyrok zostanie odroczony.

– Chodź – powiedziałem i poprowadziłem ją do kuchni.

W pierwszej chwili nie zwróciła uwagi, że zerwałem deski, którymi były zabite drzwi prowadzące na schody dla służby, kiedy jednak to zauważyła, stanęła jak wryta.

– Pomyślałem, że zacznę znów używać tych schodów, Agnes. Będą mi potrzebne zapalone świece na wszystkich podestach, ale z moim wzrokiem… Słabo widzę tam w tych ciemnościach. – Uśmiechnąłem się.

Pokręciła głową. Tanie walizki gruchnęły o podłogę. Zamarła z otwartymi i ustami i miną… Prawdę mówiąc, wyraz jej twarzy niewiele się różnił od twarzy wariatek, które zamyka się w przytułkach dla obłąkanych.

– Nie… proszę pana – powiedziała w końcu. – Tato mi zabronił…

– Ale tam już nie ma żadnych myszy ani szczurów! – Wybuchnąłem śmiechem. – Dawno wszystkie zniknęły. Twój ojciec zresztą wie o tym, że zamierzam na nowo otworzyć te schody, zapalenie świec w uchwytach zajmie ci najwyżej minutkę, a potem wyruszysz na spotkanie swojej wielkiej

przygody!

Tylko pokręciła głową.

Przez ten czas zapaliłem świecę, którą teraz włożyłem jej w dłoń. Stanąłem za jej plecami.

– Nie bądź taka uparta, Agnes – szepnąłem jej do ucha. Przyszło mi do głowy, że mój głos może przypominać seplenienie Drooda. – Grzeczna dziewczynka.

Zrobiłem krok do przodu. Agnes też musiała się przesunąć, żeby uniknąć kontaktu ze mną. Nie opierała się, dopóki nie otworzyłem drzwi i nie zapędziłem jej w mroczny prostokąt. Wtedy się wzdrygnęła, odwróciła i spojrzała na mnie smutno i z niedowierzaniem – zupełnie jak Sułtan na tym ostatnim spacerze ze mną i Dickensem.

– Nie… – zaczęła.

– Zapal wszystkie świeczki, moja droga, i zapukaj, kiedy skończysz.

Wepchnąłem ją na schody, zatrzasnąłem za nią drzwi i zamknąłem je na klucz.

Przyniosłem młotek, deski i gwoździe z miejsca, gdzie wcześniej złożyłem je na kuchennym blacie, i zacząłem zabijać drzwi tak samo, jak je zastałem – wbijałem gwoździe w te same otwory, w których tkwiły wcześniej, żeby George i Besse niczego nie zauważyli, kiedy wrócą.

Krzyczała, a jakże. Bardzo głośno. Lecz ściany i drzwi domu pod numerem dziewięćdziesiątym przy Gloucester Place były bardzo grube, przez co jej krzyki były ledwie słyszalne w kuchni, w odległości paru stóp, i całkowicie niesłyszalne, jak przypuszczałem, na biegnącym przy domu chodniku.

Waliła pięściami w dębowe drzwi kuchenne, potem (sądząc po odgłosach) drapała je paznokciami, ale te dźwięki ucichły mniej więcej w tym samym czasie, kiedy przybiłem ostatnią deskę, na samym dole, odcinając w ten sposób resztki światła przenikające z kuchni na schody.

Kiedy przyłożyłem ucho do drzwi, wydało mi się, że słyszę oddalające się kroki, powolne i niepewne: to Agnes zaczęła wchodzić po schodach. W głębi serca myślała jeszcze

pewnie, że z mojej strony jest to tylko okrutna zabawa i że kiedy pozapala wszystkie świece, wypuszczę ją.

Jej ostatnie wrzaski – kiedy w końcu się rozległy – były bardzo głośne. Nie trwały jednak długo i urwały się (zgodnie z moimi przewidywaniami) gwałtownie, przerażająco, w pół krzyku.

Wtedy udałem się na górę do jej pokoju i dokładnie go przeszukałem, bez pośpiechu, nie bacząc ani na późną porę, ani na z góry opłaconą dorożkę czekającą pod domem. Upewniwszy się, że nie zostawiła żadnego listu u siebie, w pokoju rodziców ani nigdzie indziej w domu, sprawdziłem, czy do swoich dwóch tanich walizek spakowała wszystkie ważne ubrania i drobiazgi osobiste.

Na schludnie zasłanym łóżku, pod kapą, została bezkształtna i pozbawiona oczu szmaciana lalka. Czy zabrałaby ją ze sobą, rozpoczynając nowe życie w Edynburgu? Doszedłem do wniosku, że to prawdopodobne, zabrałem ją więc na dół i upchnąłem do większej z walizek.

Z zabitej deskami służbowej klatki schodowej nie dobiegały już żadne, nawet najcichsze dźwięki.

Odniosłem łom i młotek do piwnicy. Tam włożyłem długi gumowy fartuch, który George przywdziewał do szczególnie brudnych prac. Pożyczyłem sobie również jego grube rękawice robocze.

Kilka minut zajęło mi przerzucenie szuflą węgla zawalającego pół piwniczki i odsłonięcie przysypanej nim tylnej ściany. Zamurowana szczelina nadal była widoczna, zaprawa łącząca cegłę z kamieniem pokruszyła się i osypała. Za pomocą łomu zacząłem podważać kolejne cegły.

Trwało to dłużej niż się spodziewałem, ale i tym razem nie miałem gdzie się śpieszyć. W końcu odsłoniłem otwór, przez który – o czym zawsze wiedziałem – dwa lata temu, dziewiątego czerwca, przecisnął się Drood. Włożyłem do środka rękę z zapaloną świecą.

Płomyk zadrżał, poruszony jakimś odległym, wilgotnym powiewem, ale nie zgasł. Poza kręgiem światła była tylko czerń i przepaść opadająca w jeszcze głębszą czerń.

Wrzuciłem tam obie wypchane walizki Agnes. Nasłuchiwałem plusku lub odgłosu uderzenia o twardą powierzchnię, ale niczego się nie doczekałem. Tak jakby pod moim domem rozpościerała się bezdenna otchłań.

Jeszcze więcej czasu zajęło mi upchnięcie kamieni i cegieł z powrotem w otworze i obrzucenie ich świeżą zaprawą. Wuj wprowadził mnie w dzieciństwie w podstawy murarki; pamiętam, że jako dzieciak byłem niezwykle dumny z tej umiejętności, która teraz bardzo mi się przydała.

Przerzuciłem węgiel z powrotem pod ścianę, odłożyłem narzędzia na miejsce, odwiesiłem fartuch i rękawice, wróciłem na górę, starannie się umyłem, spakowałem do kufra podróżnego ubrania na tydzień lub dwa (włącznie z dwiema świeżo wyprasowanymi koszulami), po czym udałem się do gabinetu i spakowałem także wszelkie przybory piśmiennicze, jakich miałem w najbliższym czasie potrzebować; dorzuciłem też rękopis pierwszych stronic *Czarnego i białego.* Następnie poszedłem do maleńkiego pokoiku Agnes i podrzuciłem jej list w miejscu, w którym jej rodzice z łatwością go znajdą. Jeszcze raz obszedłem cały dom, sprawdziłem, że wszystko jest na swoim miejscu (oczywiście ze schodów dla służby nadal nie dochodził żaden dźwięk i spodziewałem się, że sytuacja ta nie ulegnie zmianie w przyszłości), po czym wyszedłem na zewnątrz, taszcząc kufer i skórzaną teczkę pisarską, i zamknąłem za sobą drzwi na klucz.

Stangret pośpiesznie zeskoczył z kozła, pomógł mi zwlec kufer po schodach, przenieść go przez krawężnik i upchnąć w bagażniku.

– Bardzo dziękuję, że pan zaczekał – powiedziałem. Byłem zasapany, ale humor mi dopisywał. – Nie miałem pojęcia, że spakowanie się zajmie mi tyle czasu! Mam nadzieję, że niedogodności i ziąb związane z oczekiwaniem nie dały się panu we znaki?

– Skądże, szanowny panie – odparł pogodnie dorożkarz. – Zdrzemnąłem się chwilę.

Sądząc po zaczerwienionych policzkach i nosie, raczył się

chyba czymś więcej niż tylko urokami drzemki.

Przytrzymał mi drzwi, kiedy wsiadałem, po czym wspiął się na kozioł, uchylił klapkę w dachu i zapytał:

– Dokąd szanowny pan sobie życzy?

– Do hotelu „Saint James” – odparłem.

Była to z mojej strony zbytkowna zachcianka. W „Saint James” Dickens lokował takich gości, jak Longfellow i Fieldsowie, gdy ci przyjeżdżali do Londynu, a czasem sam tam pomieszkiwał. Jak na mój gust, hotel był zbyt drogi (w końcu to tylko pokój do wynajęcia!), ale też okazja była wyjątkowa.

Klapka zamknęła się z głuchym odgłosem. Podniosłem laskę ze złotą główką, zastukałem energicznie w dach i dorożka ruszyła.

Kiedy nieco później uświadomiłem sobie, że zapomniałem odebrać swoje trzysta funtów, zanim drzwi na służbową klatkę schodową zamknęły się na zawsze, nawet niespecjalnie zepsuło mi to nastrój.

Rozdział 41

Piątego stycznia, we wtorkowy wieczór, w St James's Hall Dickens pierwszy raz zamordował Nancy na oczach płacącej za bilety publiczności. Dziesiątki kobiet krzyczały. Co najmniej cztery z nich zemdlały. Pewien starszy jegomość wyszedł z sali na chwiejnych nogach, łapiąc spazmatycznie powietrze, wspierany przez dwóch bladych jak ściana przyjaciół. Ja wyszedłem wcześniej, nie czekając na frenetyczne oklaski i wiwaty, lecz ich dźwięk i tak ścigał mnie na zaśnieżonej ulicy pełnej powozów i dorożek czekających na wychodzących widzów. Oddechy zakutanych w płaszcze, kulących się na kozłach stangretów mieszały się z kłębami pary buchającej z końskich pysków i unosiły w zimnym świetle gazowych latarń.

***

Nieco wcześniej, bo po południu tego samego dnia, wróciłem z hotelu do domu pierwszy raz po kilkudniowej nieobecności. W sieni nie powitał mnie bynajmniej buchający ze służbowej klatki schodowej odrażający odór – zresztą, wcale się go nie spodziewałem, i to nie tylko dlatego, że nie było mnie przez zaledwie trzy dni.

Nie należało się spodziewać żadnych przykrych woni na schodach. Byłem tego pewien. Wystrzeliłem tam, na tej klatce schodowej, pięć kul – i całe te pięć strzałów poszło na marne. Ich cel nic sobie nie robił z moich pocisków; już wcześniej pożarł zielonoskórą kobietę z wielkimi kłami, po której nie pozostał nawet najmniejszy skrawek sukienki, nawet odłamek zęba. Z Agnes również nic nie zostanie.

Byłem u siebie w sypialni i właśnie pakowałem świeże koszule do walizki (zamierzałem wrócić do hotelu, gdzie przez ostatnie kilka dni mieszkałem z Fechterem), gdy usłyszałem dobiegające z korytarza kroki i ciche chrząknięcie.

– George? – Odwróciłem się z uśmiechem. – Już

wróciliście? Zapomniałem, jak długo zamierzaliście tam zabawić.

Był czymś tak bardzo zatroskany, że jego twarz przybrała szarawy odcień.

– Na razie przyjechałem sam, proszę pana. Żona zostanie jeszcze dwa dni. Jej matka zmarła pierwsza… Spodziewaliśmy się, że najpierw umrze teść, ale padło na teściową. Kiedy wyjeżdżałem, był o krok od śmierci, ale nie mogliśmy tak tu pana zostawić całkiem bez służby. Więc wróciłem.

– Przykro mi to słyszeć, George, i naprawdę… – Przeniosłem wzrok na list, który trzymał w ręce. Celował nim we mnie jak pistoletem. – A cóż to takiego, George?

– List od naszej małej Agnes, proszę pana. Nie widział go pan?

– Nie, skądże… Myślałem, że pojechała z wami do Walii.

– Domyśliłem się, że nie znalazł pan naszego listu, który zostawiliśmy na kominku w salonie, kiedy zobaczyłem, jak leży na swoim miejscu. Pewnie nawet pan nie wiedział, że Agnes została w domu i że jest u siebie… To znaczy, jeśli w ogóle była u siebie w pokoju i poczekała z wyjazdem do rana, a nie wymknęła się nocą.

– Jak to wymknęła się? Co ty wygadujesz, George?

– Proszę, niech pan zobaczy.

George wcisnął mi list do ręki. Przeczytałem go z udawanym zaskoczeniem, cały czas głowiąc się nad tym, czy nie jest to przypadkiem jakaś pułapka. Czyżby ta głupia dziewucha zmieniła coś w charakterze pisma albo w inny sposób dała znać rodzicom, że coś jest nie w porządku?

Ale nie, to były dokładnie te słowa, które jej podyktowałem. A błędy wyglądały na niezamierzone i uczciwe.

– Okazja zatrudnienia? – powiedziałem, odsuwając list sprzed oczu. – Co to może znaczyć, George? Wyjechała i zatrudniła się gdzieś, nie mówiąc o tym mnie, tobie ani Besse?

– Nie, proszę pana – odparł z powagą George. Miałem wrażenie, że tym posępnym spojrzeniem przeszywa mnie na

wylot. W ogóle nie mrugał. – Ten list nie jest tym, czym się wydaje.

– Ach tak?

Wepchnąłem do walizki ostatnie rzeczy i zatrzasnąłem ją z hukiem.

– Tak, proszę pana. Nie było żadnej innej „okazji”, panie Collins. Kto by zatrudnił taką leniwą niezdarę? Tu chodzi o coś innego. Zupełnie innego.

Oddałem mu list.

– Tak? O co, w takim razie?

– O żołnierza, proszę pana.

– O żołnierza?

– Młody łobuz ze szkockiego regimentu, którego poznała w grudniu na targu, panie Collins. Kapral. Był od niej dziesięć lat starszy, miał takie miękkie dłonie, wiecznie rozbiegane oczy i wąsy jak napomadowana gąsienica, która wlazła mu pod nos, żeby tam zdechnąć, proszę pana. Besse widziała, jak rozmawiali, i może pan sobie wyobrazić, jak szybko ich rozdzieliła. Ale nasza Agnes spotkała się z nim jeszcze raz, podczas wykonywania domowych obowiązków; przyznała się nam do tego przed świętami, kiedyśmy zastali ją w jej pokoju płaczącą jak bóbr.

– Chcesz powiedzieć…

– Tak, proszę pana. Głupiutkie dziecko uciekło z tym żołnierzem, to tak samo pewne jak to, że mateczka Besse legła w ziemi, a teraz także ojczulek, najprawdopodobniej. Nasza mała rodzina rozpadła się i rozproszyła.

Dźwignąłem walizkę i, kierując się do wyjścia, chwyciłem George’a za ramię.

– Nonsens, mój drogi – powiedziałem. – Agnes wróci. Zawsze wracają po pierwszym zawodzie miłosnym, możesz mi wierzyć, George. A jeśli nie… Cóż, wtedy wynajmie się kogoś, kto ją wytropi i przemówi jej do rozsądku. Tak się składa, że znam paru prywatnych detektywów. Nie ma powodu do zmartwienia, George, naprawdę.

– Tak, proszę pana – przytaknął George tonem tak samo szarym jak jego twarz.

– Jeszcze na kilka dni przenoszę się do hotelu „Saint James”. Bądź tak miły, przynoś mi tam moją pocztę. I przewietrz dom, żeby był gotowy na sobotę: wieczorem planuję kolację, a potem pan Fechter i inni mogą odwiedzić mnie na dłużej.

– Dobrze, proszę pana.

Razem zeszliśmy po schodach.

– Nie trać ducha. – Ostatni raz poklepałem George’a po plecach i podszedłem do czekającej dorożki. – Wszystko będzie dobrze.

– Tak, proszę pana.

***

Możemy sobie tylko wyobrażać, jak trudno było Dickensowi – ze zszarganymi po Staplehurst nerwami, których stan raczej się pogarszał, niż poprawiał – wyruszyć na kolejny wyczerpujący objazd kraju, który prawie codziennie wymagał od niego podróży pociągiem. Wiedziałem od Katey (która przekazała mi tę wiadomość przez mojego brata), że po pierwszym styczniowym występie w St James’s Hall Dickens był tak wyczerpany, że nie miał siły rano wstać z łóżka i wziąć tradycyjnego zimnego prysznica. Na zaplanowane parę dni później ostatnie wieczory autorskie w Dublinie i Belfaście postanowił zabrać Georginę i swoją córkę Mary, żeby bardziej przypominały mu uroczyste spotkania z czytelnikami niż pożegnanie. I prawie natychmiast znalazł się o krok od tragedii, która na nowo nadwyrężyła jego sterane nerwy.

Dickens, Dolby, Georgina, Mary i reszta tradycyjnego orszaku pisarza wracali z Belfastu do portu, gdzie zamierzali wsiąść na statek pocztowy do Kingston, kiedy wydarzył się dramat. Jechali w wagonie pierwszej klasy, pierwszym za lokomotywą, gdy wtem usłyszeli potworny zgrzyt dobiegający z góry, z dachu. Zdążyli wyjrzeć przez okna w samą porę, żeby zobaczyć coś, co wyglądało jak gigantyczna fruwająca kosa i ścinało słupy telegraficzne jak źdźbła trawy.

– Padnij! – krzyknął Dickens.

Wszyscy rzucili się na podłogę wagonu. Struga wody i grad odłamków drewna, żwiru, błota i kamieni uderzyły w okna od tej strony, po której siedzieli. Wagon zadygotał, jakby w coś uderzył, po czym nastąpiła seria gwałtownych wstrząsów, które kazały Dickensowi podejrzewać (jak później przyznał), że pociąg się wykoleił i zaraz spadnie z niedokończonego mostu.

Wagon znieruchomiał jednak i ciszę mąciło już tylko parowe dyszenie olbrzymiej lokomotywy i sporadyczne krzyki dobiegające z wagonów niższych klas. Dickens pierwszy zerwał się na równe nogi, wypadł na zewnątrz i natychmiast wdał się w prowadzoną półgłosem rozmowę z maszynistą. Dolby i pozostali co bardziej przytomni mężczyźni z wolna gromadzili się wokół nich.

Maszynista (znacznie bardziej roztrzęsiony od Dickensa, jak utrzymywał Dolby w liście do Forstera) wyjaśnił, że metalowa obejma ogromnego koła napędowego pękła – dosłownie eksplodowała! – na kawałki, które, furkocząc w powietrzu, pościnały słupy telegraficzne. Jeden z większych odłamków spadł na dach wagonu, w którym jechał Dickens.

– Gdyby był jeszcze większy – mówił maszynista – albo leciał niżej, albo szybciej, na pewno przebiłby dach i zrobił z pasażerami to samo, co inne kawałki ze słupami.

Tego dnia Dickens zdołał jakoś uspokoić Mary, Georginę i innych pasażerów (nawet Dolby przyznał, że był głęboko wstrząśnięty, a byle co nie było w stanie wstrząsnąć George’em Dolbym), lecz następnego wieczoru, po kolejnym morderstwie Nancy, potrzebował pomocy Dolby’ego, żeby zejść ze sceny.

Jedno ze spotkań z czytelnikami Dickens zaplanował w Cheltenham, specjalnie po to, żeby jego bliski druh, stareńki Macready, mógł na własne oczy zobaczyć scenę morderstwa. Po spektaklu zniedołężniały siedemdziesięciopięciolatek przyszedł za kulisy, wsparł się ciężko na ramieniu Dickensa… i nie był w stanie wykrztusić ani słowa, dopóki nie wypił dwóch kieliszków szampana. Był tak poruszony

morderstwem, że Dickens starał się demonstracyjnie zlekceważyć swój występ, lecz Macready nie chciał o tym słyszeć. W jego słabiutkim już głosie zabrzmiała nuta dawnej scenicznej złości, gdy zagrzmiał:

– Nie, Dickens… ehm, ehm… Nie dam… ehm… się tak… ehm, ehm… zbyć. W moich… ehm… najlepszych czasach… ehm… pamiętasz je przecież, mój drogi… ehm… chłopcze… dawno, jak dawno… ehm… Nie! – Tu jego głos przeszedł w prawdziwy ryk: – To jak… ehm, ehm… dwóch Makbetów!

Ten ostatni okrzyk zabrzmiał tak głośno i tak emocjonalnie, że Dickens i Dolby wpatrywali się z rozdziawionymi ustami w starego aktora. Makbet był kreacją popisową, z której Macready był dumny jak z niczego innego w życiu, bardziej nawet niż z żony i pięknie wyrosłej córki. I chyba właśnie chciał powiedzieć, że pod względem emocji i natężenia zgrozy morderstwo Nancy w wykonaniu Dickensa dorównywało – zarówno pod względem sztuki aktorskiej, jak i wpływu na widzów – najlepszym z jego najlepszych Makbetów.

Aktorski olbrzym spiorunował Dolby’ego takim wzrokiem, jakby ten ośmielił mu się sprzeciwić (mimo że Dolby nie odezwał się ani słowem), a potem po prostu… zniknął. Jego ciało zostało na swoim miejscu, w ręce nadal trzymał trzeci kieliszek z szampanem, wydatna żuchwa i niepokorny profil nie zmieniły się ani na jotę, lecz sam Macready zniknął, zostawiając po sobie (jak później Dickens opisywał to Dolby’emu i Forsterowi) tylko sprytne złudzenie optyczne swojej osoby.

W Clinton przedstawienie morderstwa sprowadziło na widzów coś, co triumfujący Dickens nazwał epidemią omdleń: „Jeśli się nie mylę, to łącznie wyniesiono z widowni od tuzina do dwudziestu pań, sztywnych i nieprzytomnych. Właściwie było to prawie śmieszne”. Pan Niezrównany był zachwycony.

W Bath niewiele brakowało, żeby to Dickens zemdlał. Twierdził, że to miejsce go prześladuje.

– Czuję się, jakbym się znalazł na cmentarzu, na którym

martwi wstali z grobów i objęli go w posiadanie – mówił Dolby’emu. – Wybrukowali ulice własnymi nagrobkami i teraz błąkają się po nich, udając żywych. Co zupełnie im nie wychodzi.

Od Percy’ego Fitzgeralda dowiedziałem się w lutym, że po powrocie Georginy i Mary do Gad’s Hill, Dickensowi znów towarzyszy Ellen Ternan – tak w każdym razie domniemywałem, bo Percy nie był aż tak niedyskretny, żeby powiedzieć to wprost. Tak się jednak złożyło, że Percy wreszcie się żenił i kiedy z podnieceniem napomknął o tym Dickensowi na dworcu, pisarz odparł:

– Muszę o tym powiedzieć osobie, która mi towarzyszy.

„Osobie, która mi towarzyszy”… Nie bawiłby się w takie peryfrazy, gdyby chodziło o Dolby’ego albo specjalistę od scenicznego oświetlenia gazowego. Czyżby Ellen mieszkała z nim w jednym hotelu, tyle że jako siostra, nie kochanka? Możemy sobie tylko wyobrazić wynikającą z tego dodatkową udrękę dla Pana Niezrównanego.

Celowo piszę o „dodatkowej udręce”, ponieważ nie mieliliśmy już cienia wątpliwości, że nie tylko kłopoty zdrowotne uprzykrzają Dickensowi życie. Mimo triumfalnych doniesień o dziesiątkach omdlewających niewiast, morderstwo Nancy odciskało okrutne piętno zarówno na jego ciele, jak i na duszy. Wszyscy, z którymi rozmawiałem – Fitzgerald, Forster, Wills, dosłownie wszyscy – zgodnie twierdzili, że Pan Niezrównany w swoich listach pisze wyłącznie o morderstwie. Odtwarzał tę scenę co najmniej cztery razy tygodniowo, mieszając ją z innymi popularnymi fragmentami swoich powieści, i można było odnieść wrażenie, że nie tylko chce przemienić każdą salę w Teatr Zgrozy, ale także odczuwać wyrzuty sumienia Billa Sikesa.

„Morduję Nancy…”.

„Przygotowania do morderstwa…”.

„Często myślę o innych przestępcach, moich kolegach po fachu…”.

„Popełniam ten mord po raz kolejny, i jeszcze raz, i jeszcze…”.

„Chodząc po ulicach, mam niejasne wrażenie, że jestem poszukiwany…”.

„Ręce mam znów unurzane w niewinnej krwi…”.

„Czeka mnie jeszcze dużo mordowania, a czasu zostało mi tak niewiele…”.

Takie oto frazy (i inne im podobne) docierały do nas, którzy zostaliśmy w Londynie. Dolby w liście do Forstera pisał, że Dickens nie jest już w stanie spędzić nocy w tym samym mieście, w którym odbył spotkanie literackie, co wymusza zmiany planów i rezerwacji kolejowych i wiąże się z dodatkowymi opłatami – wszystko po to, żeby wyczerpany Pan Niezrównany, który ostatkiem sił dociera na stację, mógł jeszcze przed nocą, jak człowiek ścigany, wymknąć się z miasta.

– Ludzie zaczęli na mnie inaczej patrzeć, odkąd zabiłem Nancy – zwierzył się nieobecnemu duchem Wilkowi podczas jednej z wizyt w Londynie. – Myślę, że się mnie boją. W sali zachowują taki dystans… który nie wynika z nieśmiałości wobec sławnej osoby, lecz raczej ze strachu, a także, być może, obrzydzenia lub pogardy.

Przy innej okazji Dolby opowiadał Forsterowi, jak po występie zaszedł za kulisy, żeby poinformować Dickensa, że mający go zabrać na dworzec powóz już czeka – i okazało się, że Dickens potrzebował ponad kwadransa na umycie rąk.

– Nie mogę zmyć krwi, Dolby – mruknął wyczerpany pisarz, podnosząc nań udręczony wzrok. – Zostaje mi na skórze i pod paznokciami.

Londyn, Bristol, Torąuay, Bath… Dickens nie tylko znał na pamięć hotele, dworce i sale, w których występował, lecz nawet zaczynał rozpoznawać niektórych słuchaczy. I znów Londyn, gdzie zamierzał się przygotować do wyjazdu do Szkocji. Lewa stopa opuchła mu jednak do tego stopnia, że Frank Beard kategorycznie zakazał mu wizyty w Szkocji. Tę część tournée przełożono więc na inny termin, ale opóźnienie nie było długie, bo już pięć dni później Dickens ruszył w drogę, głuchy na prośby i nalegania Georginy, swoich córek, syna i przyjaciół w osobach Fitzgeralda, Willsa i Forstera.

***

Postanowiłem wybrać się do Edynburga, żeby tam zobaczyć, jak Dickens zabija Nancy. Uznałem, że może przy okazji uda mi się zobaczyć, jak morderstwo zabija Dickensa.

Byłem już w zasadzie pewien, że tournée literackie ma być dla niego sposobem na popełnienie samobójstwa, ale moja wcześniejsza złość z tego powodu nieco osłabła. Owszem, w ten sposób umrze sławny i zostanie pogrzebany w opactwie westminsterskim, ale przynajmniej będzie martwy – tak argumentowała jedna połowa mojego umysłu. Zgoda, tyle że przecież nie wszystkie próby samobójcze są udane, przypominała z niekłamaną satysfakcją druga. Kula rykoszetuje w głębi czaszki i żłobi tunele w mózgu, ale niedoszły samobójca, zamiast umrzeć, dożywa swoich dni jako obśliniony idiota. Albo kobieta usiłuje się powiesić, lecz sznur nie łamie jej karku i ktoś zdąża ją odciąć – tyle że czyni to zbyt późno, by zapobiec skutkom niedotlenienia mózgu: do końca życia kobieta ma bliznę na gardle, paskudnie skrzywioną szyję i puste, nieobecne spojrzenie.

Tournée literackie jako sposób na samobójstwo, powtarzałem sobie, może okazać się tak samo nieskuteczne.

Przybyłem do sali przed czasem i zająłem dogodne miejsce. Dickens na mój widok zdumiał się i ucieszył.

– Dobrze wyglądasz, mój drogi Wilkie. Zdrowo. Czyżbyś na jednym z tych swoich wynajętych jachtów zmagał się z lutowymi orkanami?

– Ty też świetnie się prezentujesz, Charlesie – odparłem.

Wyglądał fatalnie – poszarzał na twarzy, wydawał się o wiele starszy niż w rzeczywistości, na czubku głowy rysowała mu się wyraźna łysina, którą próbował maskować paroma zaczesanymi na pożyczkę pasemkami. Nawet brodę miał jakby rzadszą i rozczochraną, oczy zaczerwienione i sino podkrążone, policzki ściągnięte, oddech nieświeży. Na dodatek kulał jak weteran wojny krymskiej z drewnianą nogą.

Wiedziałem, że ja wyglądam lepiej. Musiałem zwiększyć

częstotliwość morfinowych iniekcji (które Frank Beard aplikował mi zawsze punktualnie o dziesiątej wieczorem) z dwóch lub trzech tygodniowo do jednej dziennie. Beard nauczył mnie napełniać strzykawkę i samemu robić sobie zastrzyki (nie jest to wcale procedura tak uciążliwa i skomplikowana, jak mogłoby się wydawać) i zostawił mi ogromną butlę kojącego specyfiku. Zwiększyłem dwukrotnie dawkę morfiny, podobnie zresztą jak dawkę przyjmowanego za dnia laudanum.

Dzięki temu wzrosła moja wydajność – dzienna i nocna. Kiedy Dickens zapytał, nad czym teraz pracuję, odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że Fechter praktycznie wprowadził się do mojego domu przy Gloucester Place, gdzie całymi godzinami przesiadujemy nad naszą sztuką teatralną *Czarne i białe.* Przyznałem również, że mam pomysł na nową powieść, czerpiącą ze specyfiki angielskiego prawa małżeńskiego, i że zamierzam się wziąć za nią na poważnie zaraz po marcowej premierze sztuki.

Klepnął mnie w plecy i obiecał, że na premierę przyjdzie z całą rodziną, ja zaś zastanawiałem się, czy za miesiąc, pod koniec marca, będzie jeszcze żył.

Nie powiedziałem mu jednak, że co noc budzę się z krótkiego morfinowego otępienia około pierwszej lub drugiej nad ranem i dyktuję swoje sny Drugiemu Wilkiemu. Nasze wspólne dzieło poświęcone pradawnym egipskim rytuałom religijnym Czarnych Krain liczyło już z górą tysiąc ręcznie spisanych stronic.

Owego wieczoru w Edynburgu Dickens po mistrzowsku odegrał scenę morderstwa. W sali nie panował wcale nadmierny upał (jak mogło to mieć miejsce w Clinton), a i tak około tuzina kobiet zemdlało.

Dickens poświęcił potem jeszcze chwilę widzom, zanim chwiejnym krokiem udał się do garderoby, gdzie powiedział Dolby’emu i mnie, że ma wrażenie, że po występie ludzie niespecjalnie mają ochotę podejść do niego, zagadnąć, w ogóle przebywać w jego towarzystwie.

– Wyczuwają moje mordercze zapędy – powiedział i zaśmiał

się ponuro.

Wręczył też Dolby’emu listę spotkań, jakie pozostały jeszcze do końca tournée. Dolby popełnił tragiczny w skutkach (dla swojej kariery) błąd, sugerując pisarzowi, żeby zrezygnował z odgrywania sceny mordu w mniejszych ośrodkach i zachował ją wyłącznie na użytek widzów z dużych miast.

– Niech pan posłucha, Szefie… Proszę jeszcze raz przejrzeć listę spotkań. Nic pana w niej nie uderza?

– Nie, o co chodzi?

– Na cztery wieczory literackie tygodniowo przypadają trzy morderstwa.

– Co z tego?! – warknął Dickens. – Do czego pan zmierza, u licha?

Chyba zapomniał o mojej obecności, a ja stałem w garderobie jak stary Macready: wyprostowany, milczący, z kieliszkiem coraz cieplejszego szampana w ręce.

– Do tego, Szefie, że powodzenie pańskiego pożegnalnego tournée nie ulega najmniejszej wątpliwości. Objazd wypadł znakomicie, pan odniósł niekwestionowany sukces, któremu już nic zagrozi, przynajmniej w takim stopniu, w jakim można przewidywać reakcje ludzi… i to bez względu na to, co pan czyta. Jest zupełnie obojętne, co pan wybierze. A scena z Sikesem i Nancy potwornie pana wyczerpuje, Szefie. Ja to widzę, inni to widzą… Sam też zdaje pan sobie z tego sprawę. Nie lepiej zostawić ją na większe miasta? Albo w ogóle na później, na dalszą część objazdu?

Dickens odwrócił się wraz z krzesłem tyłem do lustra, przed którym zmywał oszczędny makijaż sceniczny. Taka wściekłość, jak w tej chwili, malowała się na jego twarzy tylko wtedy, gdy odtwarzał rolę Billa Sikesa.

– Czy to wszystko, mój panie? – wycedził.

– Powiedziałem szczerze, co na ten temat sądzę – odparł beznamiętnie Dolby.

Dickens zerwał się z krzesła i trzonkiem trzymanego w dłoni noża uderzył w talerz, na którym poniewierało się jeszcze parę ostryg. Talerz z hukiem rozpękł się na kawałki.

– Dolby, niech cię szlag! Ta twoja przeklęta ostrożność zgubi nas obu!

– To nie jest wykluczone, Szefie – przyznał niedźwiedziowaty olbrzym. Poczerwieniał, a ja przysiągłbym, że widzę łzy w jego oczach, ale kiedy przemówił, jego głos brzmiał spokojnie i stanowczo: – Mam jednak nadzieję, że odda mi pan wtedy sprawiedliwość i przyzna, że odwoływałem się do swojej przeklętej ostrożności wyłącznie dla pańskiego dobra.

Stojąc tam z szampanem w ręce, uświadomiłem sobie oszołomiony, że jest to jedyna sytuacja w mojej długiej znajomości z Charlesem Dickensem, kiedy słyszę, jak podnosi głos na drugiego mężczyznę (nie licząc występów scenicznych). Nawet kiedy tak bardzo mnie uraził tamtego wieczoru w „Verey's", przez cały czas mówił cicho, prawie łagodnie. Widok Dickensa rozeźlonego – naprawdę, a nie tylko na potrzeby roli – był bardziej przerażający, niż mógłbym się tego spodziewać.

Dickens bez słowa wstał. Ja nadal stałem jak skamieniały w głębi pokoju, zapomniany przez obu uczestników tej niezwykłej rozmowy. Dolby położył listę na teczce i odwrócił się plecami do Szefa, jakby chciał mu oszczędzić widoku swojej twarzy, na której malowała się uraza.

Kiedy znów na niego spojrzał, zobaczył to samo, co ja: Dickens płakał bezgłośnie.

Dolby zamarł i zanim zdążył choćby drgnąć, Dickens – w charakterystycznym dla siebie, nieuniknionym geście – podszedł i objął go z niekłamaną czułością.

– Wybacz mi, Dolby – wykrztusił. – Nie chciałem. Jestem zmęczony. Wszyscy jesteśmy zmęczeni. I wiem, że masz rację. Porozmawiamy o tym rano, na spokojnie.

Jednakże rano (byłem przy tym) Dickens nie tylko zostawił scenę morderstwa w programie trzech spotkań z publicznością, lecz także dopisał ją do programu czwartego.

Zanim wróciłem do Londynu, zaobserwowałem jeszcze lub usłyszałem następujące rzeczy:

Dickens skarżył się na krwawe stolce. Składał je na karb

starego problemu z hemoroidami, lecz Dolby nie podzielał jego przekonania, że to one są jedynym powodem krwawienia.

Lewa stopa i podudzie Pana Niezrównanego opuchły do tego stopnia, że potrzebował pomocy przy wsiadaniu do dorożki i później do wagonu kolejowego. Normalnie poruszał się tylko wtedy, gdy wychodził na scenę.

Sam przyznawał, że odczuwa melancholię, jakiej żadne słowa nie są w stanie opisać.

W Chester doznał zawrotów głowy i przyznał się, że dręczy go lekki paraliż. Wezwanemu lekarzowi wyjaśnił, że „kręci mu się w głowie i ma skłonność do chodzenia w kółko". Dolby opowiadał mi później, jak Dickens, próbując położyć jakiś drobiazg na stole, popchnął go i omal nie przewrócił.

Skarżył się, że ma osłabione czucie w lewej ręce. Tłumaczył, że chcąc jej użyć – na przykład po to, by odłożyć lub podnieść jakiś przedmiot – musi się skoncentrować i zmusić ją do posłuszeństwa.

Rankiem ostatniego dnia mojego pobytu w Edynburgu powiedział mi (ze śmiechem), że nie czuje się bezpiecznie, podnosząc ręce na wysokość głowy, przy czym jego szczególny niepokój budzi lewa, bardziej buntownicza. Liczył się z tym, że niedługo będzie musiał nająć kogoś, kto uczesałby mu nieliczne ocalałe jeszcze włosy, zanim pokaże się publicznie.

Co nie zmieniło faktu, że po Chester udał się jeszcze do Blackburn i Boltonu, wszędzie tam mordując Nancy.

Aż dwudziestego drugiego kwietnia przyszło załamanie.

Ale uprzedzam fakty, Drogi Czytelniku.

***

Niedługo po powrocie z Edynburga dostałem list od Caroline. Był pozbawiony wszelkiego patosu i zadęcia, wyprany z emocji, tak jakby opisywała mi zachowanie wróbli w przydomowym ogrodzie, traktował zaś o tym, że sześć miesięcy po ślubie jej mąż Joseph nie jest w stanie ich

utrzymać, przez co są zdani na okruchy ze stołu teściowej (a ściśle rzecz biorąc – na skąpo i niechętnie wydzielany dochód z niewielkiego majątku teścia). Na dodatek, pan Clow ją bił.

Lekturze listu towarzyszyły z mojej strony mieszane uczucia, wśród których główną rolę – przyznaję – odgrywała pewna satysfakcja.

Nie prosiła o pieniądze ani o pomoc w żadnej innej formie, ale podpisała się „Twoja stara, prawdziwa przyjaciółka”.

Długą chwilę siedziałem w swoim gabinecie, zastanawiając się nad tym, jak mógłby wyglądać fałszywy przyjaciel, jeśli Caroline G. (obecna pani Harriet Clow) miała być moją prawdziwą przyjaciółką.

Tego samego dnia przyszedł również list adresowany do George’a i Besse, którzy (każde na swój sposób) pogrążyli się w żałobie, bez dwóch zdań cichej i dyskretnej, choć było widać, że ucieczka Agnes szczególnie zabolała Besse – bardziej niż śmierć rodziców, którzy zresztą nie zostawili jej ani pensa. Zupełnie przeoczyłem ten list, choć pismo na kopercie (mozolnie nakreślone wielkie litery) powinno było przykuć moją uwagę.

Jednakże następnego dnia George zapukał do drzwi mojego gabinetu, odchrząknął znacząco i z przepraszającą miną wszedł do środka.

– Wybaczy pan, ale ponieważ okazał pan takie szczere zainteresowanie losem naszej córki Agnes, pomyślałem, że to pana zainteresuje – powiedział i podał mi list skreślony, jak się okazało, na małym arkusiku tłoczonej papeterii hotelowej.

Drodzy Mama i Tata,

czuje sie dobże i mam nadzieje, rze wy tesz. Wykożystuje swojom Okazje. Karpral MacdonalD jest muj Ukohany, i dziewiątego czerwca Bieżemy Ślup. Napisze do Was jeszcze ras już Po tym szczenśliwym Wydażeniu.

Wasza kochająca curka

AGNES

Kiedy czytałem te słowa, twarz, wargi i wszystkie mięśnie

miałem kompletnie odrętwiałe, jakby zmrożone, jak przy tych rzadkich okazjach, kiedy zdarzyło mi się przedawkować morfinę albo laudanum. Spojrzałem na George'a, ale nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa.

– Sam pan widzi. – Rozpromienił się. – Cudowna nowina, prawda?

– Ten kapral MacDonald… To z nim uciekła? – udało mi się w końcu zapytać.

Nawet dla moich przytępionych od szoku uszu mój głos zabrzmiał jak przeciśnięty przez sito.

Na pewno już to wiedziałem. George mi powiedział. Tak, na pewno. Prawda?

– Tak, proszę pana. Winien jestem chłopakowi przeprosiny. Tak go surowo osądziłem, a tu proszę, jak przyzwoicie traktuje Agnes.

– Mam szczerą nadzieję, że tak się właśnie stanie, George. To bardzo dobra wiadomość. Ogromnie się cieszę, że Agnes jest cała, zdrowa i szczęśliwa.

Oddałem mu list. Drukowany nagłówek wskazywał, że papeteria pochodzi z taniego edynburskiego hoteliku, innego niż ten, w którym sam mieszkałem.

Czy tamtego wieczoru, kiedy Dickens poskarżył się, że nie smakuje mu stek w naszym hotelu, nie poszliśmy przypadkiem na kolację gdzie indziej? Tak, z pewnością. Czy nie trafiliśmy przypadkiem do tego samego hotelu, którego firmowy papier George chował właśnie do kieszeni moleskinowej kamizelki? Prawie na pewno. A czy w hotelowym holu mogłem zabrać taki arkusz ze stołu… Być może. Tak, to całkiem możliwe.

– Tak właśnie pomyślałem, proszę pana, że chętnie usłyszy pan dobrą nowinę. Dziękuję panu.

George ukłonił się nieporadnie i wycofał z pokoju.

Spojrzałem na leżący na biurku list, który pisałem do brata. Nie zauważyłem, kiedy wielgachna kropla atramentu skapnęła prosto na ostatni akapit.

Po sprzeczce Dickensa z Dolbym zaordynowałem sobie wyjątkowo dużą porcję laudanum. Poszliśmy na kolację.

Niewiele z niej zapamiętałem poza pierwszym drinkiem i kieliszkiem wina. Czy, wróciwszy do swojego pokoju, sam napisałem rzekomy list od Agnes? Błędy ortograficzne do złudzenia przypominały te, które zrobiła w styczniu, zapisując dyktowany przeze mnie liścik. I co, zszedłem do recepcji i jakby nigdy nic po prostu nadałem list do George'a i Besse?

Prawdopodobnie tak.

Z pewnością.

To było jedyne i najprostsze wytłumaczenie.

Pod wpływem opium i laudanum zdarzało mi się robić różne rzeczy, o których nie pamiętałem ani następnego dnia, ani później. Stąd wziął się przecież pomysł na rozwikłanie zagadki *Kamienia Księżycowego*.

Ale czy znałem już wtedy nazwisko tego przeklętego szkockiego kaprala?

Zakręciło mi się w głowie. Szybkim krokiem podszedłem do okna i otworzyłem je. W powietrzu unosiła się woń wiosny, węgla, końskich odchodów, a także – na razie ledwie wyczuwalny – odorek Tamizy i jej dopływów, które w ostrożnym wiosennym słońcu zaczynały nieprzyjemnie cuchnąć. Wciągnąłem haust tego powietrza i oparłem się o parapet.

Na chodniku naprzeciw mojego domu stał człowiek w kretyńskiej operowej pelerynie. Skórę miał białą jak pergamin, oczy zapadnięte głęboko, jak u trupa. Nawet z tej odległości poznawałem, że się uśmiecha, i widziałem nienaturalny mrok ziejący spomiędzy spiłowanych w szpic zębów.

Edmond Dickenson.

Albo sługa Drooda – żywy trup, który kiedyś był Edmondem Dickensonem.

Uchylił błyszczącego, niemodnego cylindra i ruszył przed siebie. Jeszcze raz obejrzał się przez ramię i uśmiechnął do mnie, zanim skręcił przy Portman Square i zniknął mi z oczu.

Rozdział 42

Premiera *Czarnego i białego* odbyła się w niedzielę dwudziestego dziewiątego marca 1869 roku. Kręciłem się za kulisami w stanie najwyższego podenerwowania, zbyt poruszony, żeby się rozeznać w reakcjach publiczności po śmiechu i oklaskach (lub ich braku). Słyszałem tylko bicie swojego serca i łomotanie pulsu w obolałych skroniach. Żołądek buntował mi się wielokrotnie podczas starannie wyliczonych dziewięćdziesięciu jeden minut, bo tyle trwał spektakl (nie za długo, żeby nie zanudzić widzów, ale i nie za krótko, żeby nie czuli się naciągnięci na bilety – wszystko zgodnie z przeklętymi, niepewnymi rachubami Fechtera). Kopiując jeszcze jeden pomysł Fechtera (który skorzystał z niego, zanim kurtyna poszła w górę), nająłem chłopaka z obsługi i kazałem mu chodzić za mną krok w krok z miednicą na podorędziu; zanim akt trzeci dobiegł końca, przydała mi się kilkakrotnie.

Wyglądając przez szczelinę w kurtynie, widziałem swoich bliskich i znajomych stłoczonych w loży autorskiej – Carrie prezentującą się przeuroczo w nowej sukni sprezentowanej jej przez państwa Wardów (u których nadal pracowała), mojego brata Charleya z Katey, Franka Bearda z żoną, Freda i Ninę Lehmannów, Holmana Hunta (który zastępował mnie na pogrzebie matki) i innych. W znajdującej się niżej (i bliżej sceny) loży zasiadał Charles Dickens i wszyscy członkowie jego rodziny, którzy nie udali się do Australii, Indii lub na samotną poniewierkę (jak Catherine): Georgina, córka Dickensa Mamie, jego syn Charley z żoną, drugi syn Henry, który przyjechał do domu, korzystając z przerwy w zajęciach w Cambridge, i inni.

Nie byłem w stanie śledzić ich reakcji na przedstawienie. Schowałem się z powrotem za kulisy. Chłopak z miednicą musiał nieźle wyciągać nogi, żeby za mną nadążyć.

W końcu kurtyna opadła po raz ostatni, Adelphi Theatre eksplodował burzą braw i Fechter wyszedł się ukłonić

publiczności – najpierw w towarzystwie grającej główną rolę Carlotty Leclercq, potem także z resztą obsady. Wszyscy się uśmiechali. Owacje nie cichły, ja zaś słyszałem wśród nich okrzyki: „Autor! Autor!”.

Fechter przyszedł po mnie i razem wyszliśmy na scenę. Starałem się emanować skromnością i pewnością siebie zarazem, o ile tylko było to możliwe.

Dickens na stojąco kierował wiwatami. Nosił okulary i znajdował się tak blisko sceny, że odbijające się w szkłach światła rampy upodabniały jego oczy do kałuż błękitnego ognia.

To był przebój. Wszyscy tak twierdzili. Następnego dnia gazety gratulowały, że – nareszcie! – znalazłem idealną receptę na teatralny szlagier, opanowując, jak pisały, „kluczowe dla dramatu scenicznego tajniki schludnej i zwięzłej konstrukcji”.

Bez wyjścia nie schodziło z afisza przez pół roku, spodziewałem się zatem, że *Czarne i białe* będzie grane (przy pełnej widowni) przez dwanaście, może nawet osiemnaście miesięcy.

Tymczasem już po trzech tygodniach pustki na sali zaczęły się rozlewać coraz szerzej, jak trądowy liszaj na twarzy świętego. Po sześciu tygodniach Fechter i jego trupa wysilali się przed na wpół pustą widownią. Ostatecznie sztuka została zdjęta po zaledwie sześćdziesięciu dniach, a więc utrzymała się niespełna połowę tego czasu, co znacznie bardziej nieporadne i niesamodzielne *Bez wyjścia*.

Winni tego stanu rzeczy byli cechujący się krowią głupotą londyńscy teatromani. Rzuciliśmy im pod nogi najprawdziwszą perłę, a oni zastanawiali się, gdzie się podziało cuchnące mięso ostrygi. Winne były również te elementy oryginalnego scenariusza Fechtera, które i ja sam, i niektóre francuskie gazety określiliśmy jako przesadnie *„oncle Tommerie”.* Na początku lat sześćdziesiątych XIX wieku Anglia (a nieco wcześniej także Ameryka) oszalały na punkcie *Chaty Wuja Toma* (każdy Anglik, którego stać było na jakiekolwiek elegantsze ubranie, choćby najbardziej

wyświecone, widział tę sztukę co najmniej dwukrotnie), lecz później – zwłaszcza po amerykańskiej wojnie domowej – zainteresowanie niewolnictwem i jego okrucieństwami przygasło.

Tymczasem „triumf” Fechtera zaprowadził mnie niemal na próg Marshalsea, więzienia dla dłużników (chociaż, prawdę mówiąc, właściwe Marshalsea dawno już zostało zamknięte i częściowo wyburzone). Kiedy opowiadał mi o „hojnych mecenasach” *Czarnego i białego*, w gruncie rzeczy miał na myśli tylko mnie, a ja przystałem na jego prośby i potajemnie wydałem fortunę na koszty produkcji, wynagrodzenie aktorów, scenografię, oprawę muzyczną i tak dalej.

Pożyczałem również coraz więcej pieniędzy wiecznie mającemu kłopoty z płynnością finansową (a jednak zawsze żyjącemu sobie niezgorzej) Charlesowi Albertowi Fechterowi i wcale nie pocieszał mnie fakt, że Dickens również wspiera jego ekstrawagancki styl życia (łączną sumą, o czym już teraz wiem, ponad dwudziestu tysięcy funtów).

Gdy po dwóch miesiącach *Czarne i białe* zeszło z afisza, Fechter wzruszył ramionami i zaczął szukać nowej roli, a mnie przypadło w udziale spłacenie rachunków. Kiedy w końcu przycisnąłem go w kwestii należnych mi pieniędzy, odparł z typowym dla siebie dziecinnym sprytem:

– Mój drogi Wilkie, przecież wiesz, że cię uwielbiam. Czy myślisz, że nadal bym tak za tobą przepadał, gdybym nie był święcie przekonany, że na moim miejscu zachowałbyś się tak samo?

Po tych słowach przypomniałem sobie, że wciąż mam rewolwer tego nieszczęśnika Hatchery’ego, a w nim jeszcze cztery kule.

Aby więc popłacić rachunki i zacząć wygrzebywać się z długów, które tak szybko zastąpiły poczucie bezpieczeństwa finansowego (spadek po matce, wynagrodzenie za *Kamień Księżycowy* i pieniądze z innych źródeł były na wyczerpaniu), zrobiłem to, co każdy pisarz zrobiłby w takiej krytycznej sytuacji: brałem laudanum, codziennie wstrzykiwałem sobie morfinę, piłem dużo wina, częściej sypiałem z Marthą i

zacząłem pisać nową powieść.

***

Na premierze *Czarnego i białego* Dickens urządził nam wprawdzie owację na stojąco, lecz miesiąc później, po wyczerpującym tournée autorskim, nie był w stanie utrzymać się na nogach.

W Blackburn doznał zawrotów głowy. W Boltonie potknął się na scenie i omal nie przewrócił – chociaż kilka miesięcy później słyszałem, jak tłumaczył swojemu amerykańskiemu przyjacielowi Jamesowi Fieldsowi:

– Tylko Nelly zauważyła, że się potknąłem i że wzrok mnie zawodzi. Nikt inny nie ważył mi się tego powiedzieć.

„Nelly” – czyli Ellen Ternan, którą Dickens nazywał również „Pacjentką”, po tym, jak cztery lata wcześniej pod Staplehurst doznała lekkich obrażeń ciała. Teraz to on był pacjentem, a ona od czasu do czasu towarzyszyła mu w podróży. To była interesująca informacja. Jakiż to musi być arcyciekawy i okrutny punkt zwrotny w życiu każdego starzejącego się mężczyzny – kiedy jego młoda kochanka staje się jego opiekunką.

Od Franka Bearda dowiedziałem się, że Dickens został zmuszony do przedstawienia mu tych objawów w liście. Ich opis na tyle zaniepokoił Bearda, że ten jeszcze tego samego dnia wsiadł do pociągu do Preston, gdzie natychmiast zbadał Dickensa i oznajmił, że nie zgadza się na jego dalsze występy publiczne. Tournée dobiegło końca.

– Jest pan pewien? – spytał obecny przy tym Dolby. – Salę mamy wyprzedaną do ostatniego miejsca, nie zdążymy już zwrócić pieniędzy za bilety.

– Może się pan uprzeć przy tym, żeby Dickens wyszedł dzisiaj na scenę. – Beard zmroził Dolby’ego spojrzeniem niewiele mniej złowieszczym niż kiedyś Macready. – Zaręczam jednak, że wówczas do końca życia będzie powłóczył lewą nogą.

Jeszcze tego samego wieczoru przywiózł Dickensa z

powrotem do Londynu i umówił go na poranną wizytę u słynnego lekarza sir Thomasa Watsona, który po szczegółowym badaniu i wywiadzie orzekł:

– Zaobserwowane przeze mnie objawy wskazują jednoznacznie, że C.D. jest zagrożony całkowitym paraliżem lewej strony ciała, a może nawet atakiem apopleksji.

Dickens nie przyjął tych hiobowych wieści do wiadomości (w następnych miesiącach często powtarzał, że przyczyną jego kłopotów było wyłącznie przemęczenie i nic ponadto), ale rzeczywiście ogłosił przerwę w tournée. Miał za sobą siedemdziesiąt cztery z planowanych stu występów (czyli zaledwie o dwa mniej, niż kiedy w Ameryce doprowadził się do stanu skrajnego wyczerpania).

Wystarczyło jednak kilka tygodni wypoczynku i względnego spokoju w Gad's Hill Place i Londynie, by Pan Niezrównany zaczął nękać doktora Watsona prośbami o pozwolenie na kontynuację przerwanej trasy. Sir Thomas pokręcił głową, przestrzegł pisarza przed nadmiernym optymizmem, zalecił najwyższą ostrożność i dodał:

– Profilaktyka zawsze jest niewdzięcznym przedsięwzięciem, ponieważ, gdy jest skuteczna, jej potrzeba pozostaje niewidoczna.

Oczywiście, Dickens wygrał ten spór. Zawsze wygrywał. Zgodził się jednak, by ostatnia seria wieczorów literackich – tym razem naprawdę pożegnalna – liczyła najwyżej dwanaście spotkań, nie wymagała od niego podróżowania pociągiem i zaczęła się najwcześniej za osiem miesięcy, w roku 1870.

Dickens wrócił więc do Londynu. W tygodniu (na weekend najczęściej wyjeżdżał do Gad's Hill) spędzał czas w swoim mieszkaniu na piętrze nad redakcją „All the Year Round" przy Wellington Street, z zapałem oddając się redagowaniu, pisaniu, planowaniu i przerabianiu pisma. Kiedy nie miał nic do roboty (widziałem to na własne oczy, gdy pewnego razu zaszedłem do redakcji, żeby odebrać czek), przenosił się do zwykle w tym okresie pustego gabinetu Willsa i tam porządkował, sortował, układał i odkurzał.

Zlecił również Ouvry'emu, swojemu adwokatowi, sporządzenie testamentu, którą to sprawę Ouvry załatwił szybko i sprawnie: dokument został poświadczony i podpisany dwunastego maja.

Muszę jednak przyznać, że u schyłku wiosny i wczesnym latem roku 1869 nie było po Dickensie znać tej melancholii, w jaką popadał w najbardziej wyczerpujących dniach przerwanego tournée. Wyczekiwał dłuższej wizyty swoich amerykańskich przyjaciół, państwa Fieldsów, gorączkowo jak dzieciak, który chce się pochwalić i podzielić kolekcją gier i zabawek.

Wtedy to – sporządziwszy testament, świadomy wydanego przez lekarzy wyroku apopleksji i rychłej śmierci, u progu najbardziej upalnego i najwilgotniejszego lata za ludzkiej pamięci, które opadło na Londyn jak mokra, cuchnąca Tamizą końska derka – Dickens zaczął myśleć o napisaniu nowej powieści.

***

Kiedy przyszło lato, ja również z zapałem pisałem i planowałem kolejne rozdziały nowej książki. Ostateczną decyzję w kwestii jej formy i głównej osi fabularnej podjąłem w pewien weekend pod koniec maja, podczas odwiedzin u Marthy R. (znanej właścicielce domu jako Martha Dawson), u której bywałem jako William Dawson, jej będący wiecznie w rozjazdach mąż–adwokat. Była to jedna z tych rzadkich okazji, kiedy, chcąc sprawić Marcie przyjemność, spędziłem u niej dwie noce zamiast jednej. Przywiozłem ze sobą zapas laudanum, naturalnie, postanowiłem jednak nie zabierać morfiny i nieodłącznej strzykawki. Efektem były dwie bezsenne noce, bo nawet dodatkowe porcje laudanum nie pozwoliły mi pospać dłużej niż kilkanaście nerwowych minut. W drugą z tych nocy usiadłem na krześle i patrzyłem na śpiącą Marthę R. Był ciepły letni wieczór, otworzyłem więc okno i rozsunąłem zasłony, ponieważ okno wychodziło na prywatny ogród. Blask księżyca kładł się szerokim białym

pasem na podłodze, łóżku i Marcie.

Mówi się czasem, że kobieta brzemienna zyskuje na atrakcyjności. Prawdą jest, że każda taka kobieta (może poza tymi najbardziej chorowitymi) przynajmniej w pewnym okresie ciąży emanuje niezwykłą poświatą zdrowia i szczęścia. Jednakże wielu mężczyzn, których znam, hołduje dziwacznej teorii, w myśl której kobieta brzemienna jest atrakcyjna pod względem erotycznym (w tym miejscu przepraszam Cię, Mój Drogi Przyszły Czytelniku, za te szczere i, być może, wulgarne słowa; może moją epokę cechuje po prostu większa bezpośredniość i uczciwość). Przyznam, że nie podzielam tego poglądu.

Powiem więcej, Drogi Czytelniku; kiedy tak siedziałem przy łóżku w tę duszną i lepką majową noc, obracając poduszkę w rękach, patrzyłem na śpiącą Marthę i zamiast niewinnej młodej kobiety, która zaledwie kilka lat wcześniej wydawała mi się taka kusząca, widziałem starzejącą się, ociężałą, dziwaczną postać z niebiesko żyłkowanym wzdętym brzuchem, która mojemu bystremu oku powieściopisarza wydawała się nie do końca ludzka.

Caroline nigdy tak nie wyglądała. Oczywiście, Caroline miała dość przyzwoitości, by – przynajmniej w mojej obecności – nigdy nie być przy nadziei. Ważniejsze jednak było to, że zawsze wyglądała dokładnie tak jak kobieta, za którą się podawała i którą usilnie starała się zostać. A ta chrapiąca postać, biała w księżycowej poświacie, wydała mi się taka… krowia.

Gniotąc poduszkę w rękach, snułem te myśli z klarownością, jaką tylko stosowna dawka laudanum może przynieść umysłowi wyostrzonemu wykształceniem i logiką.

Pani Wells, właścicielka kamienicy, w której mieszkała Martha (nie należy jej mylić z inną, o wiele przebieglejszą panią Wells, która opiekowała się moją matką pod koniec jej życia), nie widziała mojego przybycia – Martha twierdziła, że złożona krupem, od ponad tygodnia nie ruszała się ze swojego pokoju w wieżyczce. Podobno chłopak od sąsiadów zanosił jej wieczorem zupę, a rano herbatę z grzanką, nie

widziałem go jednak ani kiedy przyjechałem, ani przez cały czas trwania mojej wizyty. Pani Wells była głupiutką starowiną, która niczego nie czytała, prawie nie wychodziła z domu i nie miała pojęcia o współczesnym świecie. Znała mnie wyłącznie jako „pana Dawsona”, dosłownie kilka razy zdarzyło się nam zamienić parę słów. Myślała, że jestem adwokatem. Jestem przekonany, że w życiu nie słyszała o pisarzu nazwiskiem Wilkie Collins.

Mocniej ścisnąłem poduszkę, na przemian miażdżąc ją i rozciągając w swoich wyglądających niegroźnie, lecz (jak mniemam) silnych dłoniach.

Był jeszcze oczywiście pośrednik, przez którego dawno temu załatwiłem wynajęcie mieszkania od pani Wells – ale on również znał mnie wyłącznie jako pana Dawsona, a adres zamieszkania, który mu podałem, był fałszywy.

Martha prawie nie pisywała listów do rodziców, i to nie tylko z powodu izolacji wynikającej ze związku ze mną. Mimo moich cierpliwych lekcji ani sama Martha, ani jej matka nie nauczyły się tak naprawdę pisać ani czytać – umiały rysować litery, były w stanie się podpisać, czytanie jednak przychodziło im z największym trudem i żadnej z nich nie chciało się tracić czasu na korespondencję. Ojciec zaś wprawdzie pisać umiał, lecz nigdy tego nie robił. Martha czasem ich odwiedzała (w rodzinnym miasteczku ani w pobliskim Yarmouth nie miała żadnych prawdziwych przyjaciół, tylko rodzinę), ale zawsze mnie zapewniała, że nie zdradza żadnych szczegółów ze swojego londyńskiego życia – nie podała im swojego adresu, nie zdradziła prawdy o swojej sytuacji, a już z całą pewnością nie wspomniała o rzekomym małżeństwie z „panem Dawsonem”. Z jej opowieści podczas ostatniej wizyty (która miała miejsce dosyć dawno temu) wynikało, że żyje samotnie, pracuje jako pokojówka w jakimś (niewymienionym z nazwy) londyńskim hotelu i do spółki z trzema innymi bogobojnymi i pracowitymi dziewczynami wynajmuje tanie mieszkanko w czynszówce.

Czy mogłem mieć pewność, że nie powiedziała im prawdy?

Tak, z całą pewnością. Martha nigdy mnie nie okłamała.

Czy wychodząc z nią do miasta, widziałem kiedyś kogoś znajomego? Albo, co ważniejsze, czy ktoś znajomy nas widział?

Byłem praktycznie pewien, że nie. Londyn może się czasem wydawać mały i można odnieść wrażenie, że ludzie należący do śmietanki towarzyskiej często wpadają na siebie nawzajem, ja jednak nigdy (zwłaszcza za dnia) nie zabierałem Marthy w takie miejsca, gdzie moglibyśmy się napatoczyć na kogoś z kręgu moich znajomych. Na nasze nieliczne wspólne spacery zawsze wybierałem najdziwniejsze zakamarki miasta: odległe parki, mroczne bary, restauracje w ciemnych zaułkach. Byłem pewien, że przejrzała na wylot mnie i moje wymówki, że lubię odkrywać i badać nowe tereny jak dziecko bawiące się w chowanego, ale nigdy się na to nie skarżyła.

Nie, nikt o niej nie wiedział. A jeśli nawet ktoś nas widział, to i tak nie miał pojęcia, kim jest ta młoda kobieta, i na pewno by się nad tym nie zastanawiał – ot, po prostu kolejna aktoreczka uwieszona na ramieniu tego łobuza Wilkiego Collinsa. Tyle ich było… Jeszcze jeden kwiatuszek. Nawet Caroline wiedziała o moich kwiatuszkach.

Wstałem z krzesła i przysiadłem na skraju łóżka.

Martha poruszyła się przez sen, przeturlała w moją stronę i na chwilę przestała chrapać. Nie obudziła się jednak.

Cały czas trzymałem w rękach poduszkę. Światło księżyca padło teraz na moje długie, wrażliwe palce, jakby nurzając je w białej farbie. Wydawały się bielsze niż delikatne płótno powłoczki. Miałem wrażenie, że łączą się z nim, zapadają w nie, topią i zespalają z poduszką. Jak dłonie trupa zanurzające się w sypkiej kredzie.

Albo rozpuszczające się w dole z wapnem.

Pochyliłem się i uniosłem poduszkę nad twarzą śpiącej Marthy. Skarabeusz za moim prawym okiem przesunął się do przodu, żeby lepiej widzieć.

Frank Beard!

Dwa miesiące wcześniej wspomniałem Beardowi o pewnej mojej znajomej, którą mąż porzucił w ciąży i nie zostawił jej

żadnych pieniędzy. Czy Beard mógłby mi polecić dla niej jakąś dobrą akuszerkę?

Spojrzał na mnie wzrokiem, w którym rozbawienie mieszało się w równych proporcjach z przyganą, i zapytał:

– Wiesz, kiedy ta twoja znajoma spodziewa się rozwiązania?

– Pod koniec czerwca, zdaje się – odparłem, czując, jak mi płoną uszy. – Albo na początku lipca.

– W takim razie sam się nią zaopiekuję w dziewiątym miesiącu… i najprawdopodobniej przyjmę także poród. Niektóre akuszerki to cudowne kobiety, ale trafiają się wśród nich także pospolite morderczynie. Daj mi jej nazwisko i adres.

– Nie potrafię ci ich podać tak od ręki – zastrzegłem się. – Dopytam się i prześlę ci te informacje w liście.

Tak też zrobiłem. A potem o wszystkim zapomniałem.

Za to Frank Beard może sobie wszystko przypomnieć, jeśli sięgnie w tym tygodniu po gazetę i…

– Niech to szlag! – zakląłem głośno i cisnąłem poduszkę pod ścianę.

Martha natychmiast się obudziła i usiadła na łóżku niczym wynurzający się z morza pościeli lewiatan.

– Wilkie! Co się stało?

– Nic, najdroższa. To tylko podagra i ból głowy. Przepraszam, że cię obudziłem.

Ból głowy nie był bynajmniej udawany, ponieważ skarabeusz – wyraźnie czymś rozjuszony – wgryzł mi się z powrotem w głąb mózgu.

– Moje ty biedactwo! – rozczuliła się nade mną Martha R. i przytuliła mnie do piersi.

Po jakimś czasie zasnąłem w takiej właśnie pozycji, siedząc, z twarzą wtuloną w jej obrzmiałe piersi.

***

Książka, którą wówczas pisałem, nosiła tytuł *Mąż i żona,* a traktowała o mężczyźnie, który wpadł w okrutną pułapkę

małżeństwa.

Całkiem niedawno przeczytałem raport na temat małżeństw zawieranych w naszym kraju, opublikowany rok wcześniej przez Komisję Królewską. Ze zdumieniem stwierdziłem, że komisja usankcjonowała zaczerpniętą ze szkockiego prawa instytucję konkubinatu, a następnie stanęła w jego obronie jako środka pozwalającego „kobiecie skrzywdzonej" usidlić mężczyznę, który miał wobec niej niecne zamiary. Podkreśliłem ten fragment raportu, a na marginesie poczyniłem następujący dopisek: „W pewnych okolicznościach może stać się pułapką na rozwiązłych mężczyzn!!!!".

Cztery wykrzykniki mogą Ci się wydać przesadą, Drogi Czytelniku, zapewniam Cię jednak, że w niewielkim zaledwie stopniu oddawały moje wzburzenie tym niedorzecznym i odrażającym naginaniem prawa na korzyść polujących na mężczyznę dziewek. Myśl, że mógłbym zostać schwytany w małżeński potrzask (przy pełnej aprobacie Korony i z jej pomocą!) była dla mnie niewyobrażalnie przerażająca. Nawet wspomnienie istoty zamieszkującej służbową klatkę schodową w domu przy Gloucester Place nie napawało mnie taką zgrozą.

Wiedziałem jednak, że nie mogę napisać tej książki z punktu widzenia mężczyzny, który padł ofiarą takiego podstępu. W roku 1869 czytelnicy (zresztą nie tylko czytelnicy, widzowie teatralni również) nijak nie doceniliby tragizmu złapanego w taką pułapkę bohatera, którego w swej hipokryzji z miejsca ochrzciliby mianem drania i łajdaka – chociaż przecież znakomita większość czytelników płci męskiej sama miała za sobą taką właśnie „rozwiązłą" przeszłość.

Dlatego sprytnie zamieniłem osaczonego w ten sposób bohatera– –mężczyznę na delikatną kobietę z wyższych sfer, którą chwila niedyskrecji pchnęła w niechciany związek małżeński z prymitywnym drabem. Drab był nie tylko absolwentem Oksfordu (ach, jakże serdecznie nienawidziłem Oksfordu i wszystkiego, co sobą reprezentował!), ale także

wyróżniającym się uniwersyteckim sportowcem.

Śmiem twierdzić, że ten ostatni aspekt charakterystyki postaci był przebłyskiem czystego geniuszu z mojej strony. Musisz zrozumieć, Drogi Czytelniku z niewyobrażalnie odległej przyszłości, że w moich czasach w Anglii idiotyczna idea ćwiczeń fizycznych oraz niedorzeczność, jaką jest sport, połączyły się z hipokryzją religijną, tworząc potworność znaną jako „muskularne chrześcijaństwo". Ludzie oszaleli na punkcie pomysłu, że dobry chrześcijanin powinien być „muskularny" i angażować się w uprawianie przeróżnych bezmyślnych i brutalnych sportów. Zresztą, „oszaleli" to mało powiedziane: muskularne chrześcijaństwo było zarówno celną ilustracją poglądów pana Darwina, jak i wytłumaczeniem, dlaczego Imperium Brytyjskie ma prawo rządzić światem i zamieszkującymi go słabymi brązowoskórymi ludzikami. Było personifikacją Wyższości, jej materializacją w sztangach, bieżniach i boiskach, na których głupcy skakali, biegali i przepychali się nawzajem. Nawoływania do nawrócenia się na tę nową religię wylewały się z gazetowych łamów i rozbrzmiewały z ambon, a Oksford i Cambridge – te wspaniałe, stare i do cna angielskie wylęgarnie pedantycznych durniów – podchwyciły je z typowym dla siebie aroganckim zapałem.

Rozumiesz teraz, dlaczego z taką przyjemnością cisnąłem tę fanaberię prosto w twarz moim niczego niepodejrzewającym czytelnikom. Być może, tylko ja jeden będę wiedział, że moja uwięziona i wykorzystywana heroina jest w rzeczywistości mężczyzną w potrzasku, ale i bez tego mój oksfordzki prostak wywoła dość kontrowersji.

Od samego początku praca nad *Mężem i żoną* przysparzała mi wrogów. Dzieci Franka Bearda (podobnie zresztą jak dzieci Freda Lehmanna) wcześniej uwielbiały mnie za porywające opowieści o klasycznych walkach bokserskich i opisy bicepsów angielskiego czempiona Toma Sayersa. Kiedy jednak posłyszały o moim prymitywie z Oksfordu, były na mnie wściekłe. Poczuły się zdradzone. A mnie chciało się śmiać.

Naprzykrzałem się Beardowi, żeby zabierał mnie ze sobą na różne treningowe obozy bokserskie i sportowe, na których od czasu do czasu zatrudniał się w roli lekarza dyżurnego. Tam ciągnąłem za język trenerów i zawodników, zbierając opowieści o tym, jak niezdrowy jest w istocie taki „muskularny" tryb życia i jak zmienia atletów w dzikie zwierzęta – zupełnie jakby wrócili do darwinowskiej dżungli. Za pośrednictwem Bearda zadawałem również pytania obozowym lekarzom, ciekaw niepożądanych skutków ubocznych (fizycznych i psychicznych) takiego wytężonego treningu. Przebywanie na słońcu i sporządzanie notatek z tych rozmów sprawiało mi sporo trudu, na szczęście, byłem w stanie jakoś to wytrzymać, pociągając co godzina łyk laudanum z piersiówki.

Drugą myślą przewodnią *Męża i żony* (pierwszą była niesprawiedliwość małżeństwa przez złapanie w pułapkę) był pogląd, że wszelka moralność zależy od tego, czy człowiek jest zdolny do odczuwania wyrzutów sumienia – której to zdolności nie uświadczysz u zwierzęcia. Ani u sportowca.

Beard – wielki entuzjasta sportu – nie komentował moich teorii, prowadząc mnie od jednej przesiąkniętej potem sportowej nory do drugiej, a czwartego lipca 1869 roku przyjął poród Marthy u niej w domu przy Bolsover Street. Zajął się również załatwieniem wcale nietrywialnych formalności związanych z rejestracją w parafialnych archiwach nazwiska matki (pani Martha Dawson), imienia dziecka (Marian, na cześć najpopularniejszej bohaterki moich książek) oraz nazwiska ojca (wielmożny pan William Dawson, adwokat).

Ze względu na natłok obowiązków pisarskich nie byłem obecny przy narodzinach dziecka, a matkę i rozwrzeszczane niemowlę odwiedziłem nieco później, po tygodniu lub dwóch. Zgodnie z obietnicą złożoną w styczniu, a także wcześniej, w październiku, w dniu ślubu mojej kochanki, kiedy to oświadczyłem się żonie mojego umierającego brata, zwiększyłem wypłacaną Marcie R. sumę przeznaczoną na drobne wydatki z dwudziestu do dwudziestu pięciu funtów.

Rozpłakała się z wdzięczności.

Wybiegłem jednak zbyt daleko naprzód, Drogi Czytelniku, pominąwszy po drodze inne, znacznie ważniejsze wydarzenie. Jeżeli masz zrozumieć zakończenie tej historii, musisz mi towarzyszyć w środowy wieczór dziewiątego czerwca 1869 roku – w czwartą rocznicę katastrofy pod Staple– hurst i pierwszego spotkania Dickensa z Droodem. Była to ostatnia taka rocznica w życiu Charlesa Dickensa.

Rozdział 43

Nie bacząc na dręczące go przypadłości i grobowe przepowiednie doglądającej go armii lekarzy, Dickens znów stał się małym chłopcem, gdy przyjechali go odwiedzić bliscy przyjaciele z Ameryki.

Z Jamesem i Annie Fieldsami przyjaźnił się od czasu swojego pierwszego triumfalnego tournée po Ameryce w roku 1842. James powiedział mi kiedyś, że jeszcze zanim zostali sobie z Dickensem przedstawieni, przyłączył się do grupy entuzjastów literatury, którzy w tych ekscytujących dniach podążali w ślad za „dziwnie odzianym Anglikiem" po całym Bostonie. Głębię uczucia, jakim Dickens obdarzył Fieldsów, nieźle ilustrował fakt, że kiedy podczas drugiego objazdu Ameryki był zmuszony złamać nienaruszalną wcześniej zasadę nienocowania w prywatnych domach, to właśnie ich urocze bostońskie gniazdko stało się jego schronieniem.

Razem z nimi do Anglii przyjechali Charles Eliot Nortons oraz Mabel, córka starego druha Dickensa Jamesa Russella Lowella. W orszaku Fieldsów znalazło się również miejsce dla doktora Fordyce'a Bakera oraz Sola Eytinge'a, który prześlicznie zilustrował amerykańskie wydanie dzieł Dickensa.

Na czas ich wizyty w Gad's Hill Place (nadliczbowi kawalerowie nocowali w najlepszych pokojach w „Falstaff Inn", po drugiej stronie drogi) Dickens zaplanował mnóstwo przygód i atrakcji. Kiedy jednak Fieldsowie najpierw zatrzymali się w Londynie, czym prędzej wynajął sobie pokój w hotelu „Saint James" przy Picadilly (tym samym, w którym w styczniu poprzedniego roku wydałem fortunę na utrzymanie i wykarmienie Fechtera), żeby być jak najbliżej hotelu przy Hanower Square, w którym zamieszkali.

Ubrany dla niepoznaki w obszerną i ciemną letnią pelerynę, w kapeluszu z szerokim rondem, chodziłem za nimi krok w krok – najpierw podczas spacerów po Londynie, a

potem także na wycieczkach z Gad’s Hill Place. Nabyłem nawet żeglarską lunetę i wynająłem sobie dorożkę (z koniem i stangretem równie pospolitymi jak moje przebranie). Wszystkie te przebieranki, zabawa w detektywa i śledzenie innych ludzi nieodmiennie przywodziły mi na myśl nieodżałowanego inspektora Fielda.

Pierwsze dni pobytu w Londynie Fieldsowie i reszta towarzystwa spędzili, rzec by można, na kartach powieści Dickensa. Zaczęło się od krótkich spacerów nad Tamizą (jakby Dickens chciał im udowodnić, że wcale się nie zestarzał i zdrowie mu dopisuje), po czym Pan Niezrównany oprowadził ich po „Furnival Inn”, gdzie zaczął pisać *Klub Pickwicka,* pokazał im pokój w Tempie, w którym mieszkał Pip z *Wielkich nadziei*, i odegrał rolę Magwitcha potykającego się w ciemności na schodach.

Podążając ich śladem (pieszo lub dorożką), patrzyłem, jak pokazuje gościom a to stary dom, a to wąski zaułek, w których rozliczne postaci z jego książek żyły i umierały, i przypomniałem sobie, jak przed ponad dekadą odbyliśmy podobny spacer we dwójkę, kiedy to j a byłem jego bliskim przyjacielem.

Nie zaprosił mnie na całodzienną eskapadę dziewiątego czerwca, w rocznicę katastrofy (mimo że Dolby’emu zaproponował dołączenie do Fieldsów i Eytinge’a na wieczornej części przechadzki), ja jednak czekałem na nich nieopodal hotelu Fieldsów, skąd wyruszyli powozami. Było ciepłe środowe popołudnie. Na pierwszy podmiejski przystanek Dickens wybrał przykościelny cmentarz w Cooling.

To właśnie ten wiejski cmentarzyk z wrzecionowatymi nagrobkami Pan Niezrównany tak znakomicie opisał na samym początku *Wielkich nadziei* (książki, która mnie osobiście ogromnie rozczarowała, nawiasem mówiąc). Obserwując ich z odległości stu jardów przez wierną lunetę, ze zdumieniem stwierdziłem, że Dickens odgrywa tę samą makabryczną pantomimę cmentarnego poczęstunku, którą dawno temu zabawiał Ellen Ternan, jej matkę i mnie pod

katedrą w Rochester. Taki sam ułożony na płask nagrobek, który posłużył za stół; ta sama przemiana Dickensa–pisarza w Dickensa–kelnera; takie samo wykorzystanie cmentarnego muru w roli baru dla dżentelmenów; te same kryształy, ten sam biały obrus i tak samo doskonale upieczone młode gołąbki, przywiezione w umieszczonych z tyłu powozu koszach i podane przez pisarza–kelnera z przewieszoną przez rękę serwetką. Nawet pobliskie bagna i słona woń morza wydały mi się takie same jak wtedy, mimo że tutejsze mokradła przybrzeżne były bardziej odludne i oddalone od cywilizacji niż cmentarz w Rochester.

Po co Dickens odstawiał tę szopkę dla swoich amerykańskich przyjaciół? Nawet przez małe okrągłe oko trzymanej w lekko drżących dłoniach lunety widziałem, że James Fields czuje się nieswojo z tą wymuszoną wesołością na cmentarzu; panie były wprost wstrząśnięte i prawie nie jadły.

Tylko Eytinge, ilustrator, śmiał się do rozpuku i dał się porwać wesołemu nastrojowi cmentarnego teatrzyku – najprawdopodobniej dlatego, że jeszcze przed podaniem gołąbków zdążył wychylić trzy kieliszki wina.

Czy Dickens, człowiek śmiertelny, chciał w ten sposób pokazać, że nie zgadza się na wyrok rychłego paraliżu i śmierci wydany przez Bearda i innych lekarzy? Czy też drążący mu mózg skarabeusz zaczynał go w końcu wpędzać w obłęd?

***

Wieczorem panie i większość pozostałych gości zostali w hotelu, Dickens zaś wziął ze sobą Fieldsa, wciąż podpitego Eytingea i całkiem trzeźwego Dolby’ego na przejażdżkę do londyńskiego Wielkiego Pieca. Mimo braku zaproszenia nie zamierzałem dać się wykluczyć z tej wycieczki: gdy tylko we trzech wysiedli z dorożki, dyskretnie podążyłem za nimi. Zatrzymali się na krótko na posterunku policji przy Ratcliff Highway, gdzie dołączył do nich detektyw, który miał ich

ochraniać podczas tej nocnej eskapady. Ja nie potrzebowałem takiego opiekuna: rewolwer Hatchery'ego spoczywał w obszernej kieszeni mojej letniej peleryny.

To, co urodzonemu w Bostonie Fieldsowi musiało się wydać egzotyczne, może nawet przerażające, dla mnie – po z górą dwóch latach regularnych wypadów w towarzystwie Hatchery'ego – było tak znajome, że czułem się tam prawie jak u siebie.

Prawie.

Zbierało się na burzę. Zygzaki błyskawic obrysowywały strome i koślawe dachy domów nad wąskimi uliczkami, grzmot przewalał się po niebie jak nieustanny łoskot artyleryjskiej kanonady nad oblężonym miastem, tylko deszcz nie chciał spaść. Robiło się coraz ciemniej i coraz goręcej. Wszyscy w Londynie byli lekko podminowani, ale tu, w samym środku ropiejącego wrzodu ubóstwa i beznadziei, na tym koszmarnym targowisku wdów, sierot, Chińczyków, laskarów, hinduskich zabójców i zbiegłych ze statków niemieckich i amerykańskich marynarzy–morderców szaleństwo wprost przesycało powietrze, niemal tak samo namacalne jak błękitne ognie elektryczne pląsające po kalenicach, powykrzywianych kurkach i stalowych linach, podtrzymujących niczym zardzewiałe cumy domy, które dawno już oduczyły się stać prosto o własnych siłach.

Dickens w towarzystwie policjanta oprowadził Amerykanów i Dolby'ego dokładnie po tych samych okolicach, które przed laty pokazali mu Field z Hatcherym: najuboższe slumsy Whitechapel, Shadwell, Wapping i New Court na terenie Bluegate Fields; tanie noclegownie, przed którymi pijane, półprzytomne matki trzymały w ramionach brudne dzieci (ukryty w mroku, z bezpiecznej odległości patrzyłem, jak Dickens zabiera jedno z tych dzieci matce i sam zanosi je do noclegowni); areszty pełne zbirów i zagubionych dzieci; sutereny, w których dziesiątki i setki skulonych londyńskich wyrzutków spały na gnijącej słomie, pogrążone w cuchnących miazmatycznych wyziewach rzeki. Wydawało się, że osad pozostawiony przez przypływ w tę

parną noc składa się wyłącznie z końskiego gnoju, bydlęcych wnętrzności, podrobów, trucheł psów i kotów (a także – nieco rzadziej – wieprzy lub koni) oraz ciągnących się całymi akrami pokładów ludzkich odchodów. Na ulicach roiło się od pozbawionych zajęcia mężczyzn uzbrojonych w noże i – jeszcze bardziej niebezpiecznych – kobiet roznoszących zarazy.

Ukochany Babilon Charlesa Dickensa. Jego osobisty Wielki Piec.

W jednej ze swoich słabszych powieści (fabularnej katastrofie zatytułowanej *Mała Dorrit,* jeśli mnie pamięć nie myli) porównał bezdomne dzieci smyrgające pod łukami Covent Garden do szczurów i przestrzegał, że pewnego dnia te szczury, stale podgryzające fundamenty miasta i społeczeństwa, które postanowiło je ignorować, mogą obalić imperium brytyjskie. Jego gniew był szczery, podobnie jak jego współczucie. W tamtą czerwcową noc stałem pół kwartału dalej i przez lunetę patrzyłem, jak bierze na ręce brudne, pokryte strupami i odziane w łachmany dziecko. Fields i Dolby chyba ukradkiem ocierali łzy. Eytinge przyglądał się Dickensowi obojętnym wzrokiem pijanego rysownika.

Ponieważ było lato (a w każdym razie panowały letnie upały), drzwi domów były pouchylane, okna szeroko otwarte, a na brudnych podwórkach i nie mniej brudnych uliczkach ludzie zbierali się w gromady. Mimo że był środek tygodnia, większość mężczyzn (i całkiem sporo kobiet) była pijana w sztok. Kilka razy zdarzyło się, że któraś z tych grupek niebezpiecznie zbliżała się do Dickensa i jego towarzyszy, żeby wycofać się dopiero na widok pałki i munduru policjanta.

Pierwszy raz zacząłem się niepokoić o swoje bezpieczeństwo. Wprawdzie tania peleryna i szerokie rondo kapelusza skutecznie maskowały moją sylwetkę i skrywały rysy twarzy, przez co mogłem bezpiecznie wmieszać się w tłum, ale zdarzyło się też, że zwróciłem na siebie uwagę podpitych jegomościów, którzy zaraz zaczęli się domagać,

żebym postawił im drinka.

Przyśpieszyłem kroku, by dogonić Dickensa. On ze swoimi gośćmi szedł zwykle środkiem uliczki, gdzie było najwięcej światła, ja zaś przemykałem w najgęstszym cieniu balkonów, obszarpanych markiz i koślawych ścian.

Przez chwilę wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi.

Niski, zarośnięty łachmaniarz (wyglądał jak owinięty w brudne wodorosty) szedł za mną, zataczając się na boki. Skręcał, kiedy ja skręcałem, i przystawał, kiedy ja przystawałem. Przemknęła mi przez głowę przerażająca myśl, że moim śladem podąża Drugi Wilkie, który na dobre wyzwolił się z oków domu.

Jednakże postać ta (której ani razu nie udało mi się wyraźnie zobaczyć), choć raczej niewysoka i przez to podobna do mnie i Drugiego Wilkiego, pod szmatami sprawiała wrażenie mocno zbudowanej i barczystej, a nie korpulentnej na sposób nas obu.

Kiedy zagłębiłem się w mroki Bluegate Fields, na New Court, zniknęła mi z oczu, a ja złożyłem jej wcześniejsze pojawienie się na karb nadmiernego zdenerwowania i zwykłego przypadku. Pociągnąłem kilka solidnych łyków z piersiówki, dodałem sobie otuchy namacaniem rewolweru w kieszeni i przyśpieszyłem kroku, żeby dogonić kroczących dumnie policjanta, Dickensa, Dolby'ego, Fieldsa i Eytinge'a.

Zgodnie z moimi przewidywaniami, zaszli do palarni Opiumowej Sal. Mógłbym się po niej poruszać z zawiązanymi oczami, ale ze względu na oślepiające błyskawice (kanonada artylerii przybrała na sile, wciąż jednak nie zanosiło się na orzeźwiający deszcz) odczekałem, aż wejdą na wyższe piętra próchniejącego budynku, i dopiero wtedy ostrożnie zakradłem się na pierwsze piętro i ukryłem w bezdennym mroku na podeście schodów. Otwarte drzwi i podniesione głosy rozmówców sprawiły, że słyszałem fragmenty wyjaśnień Dickensa i policjanta, a także urywki rozmów trójki oprowadzanych przez nich turystów.

W powietrzu unosiła się woń palonego opium – słaba, lecz wystarczająca, żeby moje ciało i zamieszkany przez

skarabeusza mózg zatęskniły za narkotykiem. Napiłem się z piersiówki, żeby ulżyć sobie w tej tęsknocie.

– Fajkowa królewna… – Głos Dickensa płynął w gęstym powietrzu, słyszalny między jednym grzmotem a drugim. Musiało upłynąć bardzo dużo czasu, zanim zrozumiałem, o czym mówi.

– Jej fajka jest chyba zrobiona z kałamarza… – usłyszałem komentarz Fieldsa.

Nielicznym zrozumiałym skrawkom rozmów towarzyszyło znajome, lecz kompletnie nieczytelne trajkotanie, rechotanie, jęki i błagania Opiumowej Sal. Policjant kilkakrotnie usiłował krzykiem przywołać ją do porządku, ale za każdym razem jej bełkot po chwili przybierał na sile i dolatywał do mnie równie niezawodnie jak zapach opium. Po zapachu właśnie poznałem, że jest to specyfik podłej jakości, niemający nic wspólnego z wyśmienitym opium palonym w pięknych fajkach w potajemnej palarni króla Lazaree. Pociągnąłem kolejny łyk laudanum.

Dickens z detektywem pierwsi zeszli po zapadniętych, próchniejących stopniach. Szurając nogami, cofnąłem się głębiej w ciemność zalegającą przy schodach.

Zastanawiałem się, dokąd teraz pójdą. Czy to możliwe, żeby Dickens zaprowadził ich aż na cmentarz, do Kaplicy Upiornych Świętych i wejścia na górne poziomy Podmiasta?

Nie, pomyślałem, tego by nie zrobił. Był jednak dziewiąty czerwca, rocznica katastrofy, dzień, w którym co roku spotykał się z Droodem. Jak zamierzał to zrobić, mając przy sobie Fieldsa i pozostałych gości, nie mówiąc już o policjancie?

Kiedy rozgadana grupka skręciła za róg, zacząłem schodzić po schodach, gdy wtem czyjeś grube, silne przedramię zacisnęło mi się na gardle i usłyszałem gorący szept przy uchu:

– Nie ruszaj się.

Poruszyłem się jednak – spazmatycznie, gdyż ogarnęła mnie zgroza, ale bardzo szybko – i wolną ręką wyjąłem z kieszeni rewolwer Hatchery’ego, zanim to silne ramię

wydusiło mi resztki powietrza z płuc.

Brodacz wyrwał mi broń i schował ją do kieszeni swojej szmaciano–wodorostowej marynarki z taką łatwością, jakby zabrał dziecku zabawkę.

Mocarna dłoń pchnęła mnie pod ścianę. Obdartus zapalił zapałkę.

– To ja, panie Collins – wychrypiał.

W pierwszej chwili nie poznałem ani tego głosu, ani twarzy, później jednak dostrzegłem znajome, pałające ogniem oczy, a także brudną, niechlujną brodę.

– Barris… – stęknąłem. Jego dłoń nadal przyszpilała mnie do najeżonej drzazgami ściany.

– Zgadza się, szanowny panie – przytaknął człowiek, który, kiedy widziałem go po raz ostatni, okładał mnie kolbą pistoletu, z którego chwilę wcześniej zastrzelił chłopca w płynącej przez Podmiasto rzece ścieków. – Tędy.

– Nie mogę…

– Tędy – rozkazał mi były detektyw Reginald Barris. Złapał mnie za rękaw i pociągnął. – Dickens już się spotkał z Droodem. Nic nowego pan dzisiaj nie zobaczy.

– To niemożliwe… – zacząłem, potykając się.

– Bynajmniej. Tuż przed świtem potwór odwiedził Dickensa w jego apartamencie w hotelu. Pan spał wtedy smacznie w domu. A teraz proszę iść za mną, tylko ostrożnie, tu jest bardzo ciemno. Pokażę panu coś naprawdę zdumiewającego.

***

Pociągnął mnie w głąb całkowicie czarnego korytarza, do którego nie przenikało nawet światło błyskawic, i wyprowadził na boczny balkon, na który nigdy wcześniej nie zwróciłem uwagi jako bywalec salonu Opiumowej Sal. Na wysokości piętnastu stóp nad uliczką szeroką najwyżej na cztery stopy przerzucono dwie deski, łączące wyrwę w spróchniałej balustradzie balkonu z obwisłym balkonem domu po drugiej stronie.

– Nie dam… – zacząłem.

Barris pchnął mnie w przód. Na paluszkach przemknąłem po wąskim, uginającym się mostku.

Wąski balkonik okrążał stary gmach dookoła. Z największą ostrożnością (w spróchniałej podłodze ziały dziury) przeszliśmy na tę jego część, która znajdowała się od strony Tamizy. Smród znad rzeki wyraźnie się wzmógł, za to przynajmniej błyskawice oświetlały nam drogę, gdy Barris poprowadził mnie do innego korytarza, a potem po schodach całe trzy piętra w górę. W mijanych pokojach spod zamkniętych drzwi nie sączyła się ani odrobina światła, tak jakby cały ten dom został opuszczony – i to w samym środku slumsu, gdzie we wszystkich cuchnących piwnicach, nawet w dawnych oborach mieszkały całe legiony opiumistów i biedota.

Schody były wąskie i strome niczym zbita z grubych desek drabina, toteż, gdy weszliśmy w końcu na samą górę, czyli na czwarte piętro, dyszałem i sapałem jak miech kowalski. Na tym piętrze zewnętrzny balkon dawno odłamał się i odpadł, a przez ziejącą w ścianie dziurę z prawej strony widziałem rzekę i niezliczone mrowie kominów i krytych łupkiem dachów, które pojawiały się w blasku błyskawic i natychmiast znikały, jakby przestawały istnieć, w krótkich przerwach pomiędzy wyładowaniami.

– To tutaj – burknął Barris.

Mocno pchnął spaczone, trzeszczące drzwi i zapalił zapałkę.

Pokój wyglądał na niezamieszkany od lat. Pod ścianami biegały szczury, znikając w otworach prowadzących albo do sąsiedniego pokoju, albo po prostu w głąb spróchniałych ścian. Jedyne okno zostało zabite deskami i nawet kiedy na dworze przewalał się grzmot, a błyskawice cięły mrok za drzwiami, do środka nie przenikał nawet najmniejszy promyk światła. W pokoju nie było żadnych mebli, tylko w kącie stało coś, co wyglądało jak popsuta drabina.

– Proszę mi z tym pomóc – polecił mi były detektyw.

Razem przenieśliśmy toporną, ciężką, zbitą z grubych dech drabinę na środek pomieszczenia i Barris – który mimo

łachmanów, brudu, zarostu i rozwichrzonych włosów, przez które wyglądał, jakby głodował, zachował zdumiewająco dużo siły – wsparł jej czubek o popękany, zaklęśnięty sufit.

Szturchnięta drabiną klapa w suficie (wcześniej niewidoczna) otworzyła się do góry, odsłaniając prostokąt czerni.

Barris oparł drabinę o wewnętrzną krawędź otworu i powiedział:

– Pan pierwszy.

– O nie.

Zapalił drugą zapałkę, w której blasku dostrzegłem błysk białych zębów w kłębach ciemnej brody. Na widok tych zdrowych, mocnych zębów każdy by się domyślił, że Reginald Barris, zwłaszcza z tym swoim akcentem z Cambridge, na pewno nie jest prawdziwym mieszkańcem New Court i smętnych zaułków Bluegate Fields.

– Dobrze – mruknął. – Pójdę przodem i na górze zapalę następną zapałkę. W kieszeni, tej samej, do której schowałem pański rewolwer, mam małą policyjną latarnię. Zapalę ją, gdy tylko pan do mnie dołączy. Może mi pan wierzyć, że tam, na górze, będziemy bezpieczni. Natomiast ogromnie niebezpieczna byłaby dla pana próba ucieczki w dół tych mrocznych schodów, która zmusiłaby mnie do pościgu.

– Widzę, że nie przestał pan być zbirem – odparłem z pogardą.

Barris się roześmiał.

– O nie, panie Collins. W żadnym razie.

Wdrapał się na górę i zobaczyłem, jak zapala zapałkę. Myślałem o tym, żeby przewrócić drabinę i rzucić się do ucieczki, czułem jednak, że Barris mocno trzyma jej górną część, i przypomniałem sobie siłę, z którą najpierw pchnął mnie na wątły mostek z dwóch luźnych desek, a potem w górę schodów.

Niezdarnie (przez cały poprzedni rok systematycznie przybierałem na wadze) wgramoliłem się na górę i na kolanach zagłębiłem w zalatujący pleśnią mrok. Odtrąciłem

pomocne dłonie detektywa i wstałem o własnych siłach. Barris zapalił latarnię.

Tuż przede mną z ciemności wyłonił się hebanowy łeb boga Anubisa pod postacią szakala. Okręciłem się na pięcie. Z odległości niespełna sześciu i wysokości siedmiu stóp wpatrywał się we mnie posąg Ozyrysa – odzianego w przepisową biel i wysokie białe nakrycie głowy i zaopatrzonego w równie przepisowy hak i cep.

– Tędy – powiedział Barris.

Ruszyliśmy przez środek podłużnego pomieszczenia, które dawniej pełniło rolę strychu. Po bokach stało więcej takich posągów. Z lewej strony minąłem Horusa z głową jastrzębia, z prawej Seta ze zwierzęcym łbem i długim, zakrzywionym pyskiem. Przeszliśmy pomiędzy Thothem z głową ibisa i Bastet z kocią twarzą i uszami. W niektórych miejscach zapadająca się podłoga została wzmocniona całkiem świeżą ciesiołką. Sufit nisz, w których znajdowały się posągi, został przerobiony na podobieństwo ślepych lukarn, żeby bogowie mogli stanąć w nich wyprostowani.

– To gips sztukatorski – wyjaśnił Barris. Jego latarnia kołysała się na boki, gdy prowadził mnie przez strych. – Nawet wzmocniona podłoga nie udźwignęłaby kamiennych posągów tej wielkości.

– Dokąd idziemy? – spytałem. – Co to za miejsce?

Na końcu pomieszczenia znajdował się kwadratowy otwór, znad którego Barris odgarnął zasłaniającą go płachtę materiału, broniącą wstępu gołębiom i żywiołom. Framuga tego niedawno utworzonego otworu, wykonana ze świeżego drewna, lśniła w świetle błyskawic. Gęste nocne powietrze opływało nas ze wszystkich stron niczym jakiś ohydny syrop. Kładka zrobiona z pojedynczej deski – szeroka najwyżej na dziesięć cali i długa na dwanaście lub więcej stóp – prowadziła do podobnie czarnego otworu w ścianie domu po drugiej stronie uliczki, która biegła dobre pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stóp pod nami. Zerwał się wiatr, zwiastując coraz bliższą burzę. Płótno na drzwiach łopotało ciężko jak skrzydła drapieżnego ptaka.

– Nie ma mowy, żebym po tym przeszedł – zapowiedziałem.

– Nie ma pan wyboru. – Barris chwycił mnie pod ramię i wypchnął na parapet. Drugą ręką podniósł latarnię i oświetlił makabrycznie wąską deskę. Bałem się, ze wiatr mnie zdmuchnie, zanim zdążę postawić pierwszy krok. – Naprzód!

Wypchnął mnie nad przepaść. Promień światła zniknął na ułamek sekundy; to Barris przykucnął na desce, obciągnął płótno za naszymi plecami i zahaczył je o gwoździe.

Z rozłożonymi na bok rękami i sercem bijącym jak oszalałe, stawiając stopę za stopą, brnąłem naprzód jak cyrkowy klaun poprzedzający prawdziwych akrobatów. Piorun uderzył gdzieś niedaleko i grzmot rąbnął we mnie niczym olbrzymia rozpostarta dłoń. Wzmagający się wiatr zarzucił mi pelerynę na twarz, gdy byłem w połowie tej niewiarygodnej przeprawy.

A potem nagle znalazłem się przy oknie po drugiej stronie. Zasłaniające je płótno było jednak napięte jak membrana bębna i nie mogłem wejść do środka. Przykucnąłem, przerażony, i wczepiłem się palcami w półcalowej grubości drewniane obramowanie otworu okiennego. Czułem, jak deska pode mną podskakuje, ślizga się i zaczyna obsuwać z parapetu, gdy Barris znalazł się za moimi plecami.

Sięgnął ponad moim ramieniem (moje najlżejsze poruszenie w tym momencie skończyłoby się dla nas obu śmiertelnym upadkiem), pomanipulował chwilę przy płótnie, po czym chybotliwym promieniem latarni wyłowił z mroku otwór, w który natychmiast się rzuciłem i znalazłem się na kolejnym strychu, jeszcze większym od poprzedniego.

Tu czekał na mnie Geb, zielonoskóry bóg Ziemi; Nut w koronie z niebieskiego nieba i złotych gwiazd; i Sachmet, bogini zniszczenia, z szeroko rozwartą do ryku lwią paszczą. Obok stał święty Ra z głową sokoła, Hathor z krowimi rogami, Izyda z tronem na głowie, Amun z piórami… Nikogo nie brakowało.

Nie byłem w stanie dłużej utrzymać się na nogach. Kolana ugięły się pode mną i usiadłem na stercie świeżych desek ciągnącej się przez środek długiego wnętrza. Nowe okno –

okrągłe i mierzące co najmniej dwanaście stóp średnicy – zostało osadzone w południowej połaci dachu, wychodzącej, jak się domyślałem, na Tamizę. Krąg ze szkła i drewna znajdował się bezpośrednio nad drewnianym ołtarzem. Miał solidną konstrukcję, a grube, dobre jakościowo szkło nie poddało się jeszcze grawitacji i było ozdobione deseniem z koncentrycznych metalowych kręgów, który mnie osobiście przywodził na myśl oryginalny celownik artyleryjski na okręcie wojennym.

– Okno jest wycelowane w Syriusza, Psią Gwiazdę – wyjaśnił mi Barris.

Zamocował płótno z powrotem na swoim miejscu i zgasił latarnię.

Błyskawice zapewniały w tej chwili prawie nieprzerwaną iluminację. Na rozległym strychu znajdowaliśmy się tylko my dwaj, bogowie Czarnych Krain i przykryty czarnym płótnem ołtarz.

– Nie mam pojęcia, dlaczego Syriusz jest taki ważny w ich rytuałach – ciągnął Barris. – Może pan będzie to wiedział, panie Collins. W każdym razie we wszystkich ich londyńskich gniazdach znajdują się takie właśnie okna, wymierzone prosto w tę gwiazdę.

– Gniazdach? – powtórzyłem oszołomiony.

Podekscytowany skarabeusz żłobił nierówne kręgi w poszarpanych resztkach szarej materii, które w tym okresie uchodziły za mój mózg. Ból był nie do zniesienia. Miałem wrażenie, że gałki oczne wypełniają mi się krwią.

– Zwolennicy Drooda mają dziesiątki takich gniazd rozsiane w całym Londynie – potwierdził Barris. – Niektóre łączą nawet pół tuzina i więcej strychów.

– Czyli w Londynie oprócz Podmiasta istnieje także Nadmiasto.

Barris udał, że tego nie słyszy.

– To gniazdo od paru tygodni jest opuszczone – mówił dalej. – Ale oni tu wrócą.

– Po co mnie pan tu przyprowadził? Czego pan chce?

Znów zapalił latarnię i oświetlił fragment ściany i stromego

sufitu. Zobaczyłem ptaki, oczy, faliste linie, znowu ptaki… Mój znajomy z British Museum nazywał takie znaki „hieroglifami”.

– Potrafi pan to przeczytać? – spytał Barris.

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć przecząco, i z najwyższym zdumieniem stwierdziłem, że istotnie potrafię przeczytać wypisane rysunkami słowa i zwroty: „I zstąpił Dżehuti! Dżehuti, którego słowa stały się słowami Maat…”.

Był to fragment rytuału błogosławienia nowo narodzonego dziecka i nadawania mu imienia. Słowa nie zostały namalowane, lecz wyryte w próchniejących belkach sufitu dokładnie nad posągiem Maat, bogini sprawiedliwości z piórem wetkniętym we włosy.

– Oczywiście, że nie umiem przeczytać tego bełkotu! – żachnąłem się. – Nie jestem muzealnikiem. Czemu pan pyta?

Po dziś dzień jestem przekonany, że to kłamstwo ocaliło mi wtedy życie.

Barris odetchnął z wyraźną ulgą.

– Tak właśnie myślałem, ale tak wielu stało się sługami i niewolnikami Drooda…

– O czym pan mówi?

– Pamięta pan nasze poprzednie spotkanie, panie Collins?

– Jak mógłbym je zapomnieć? Zamordował pan niewinne dziecko, a kiedy próbowałem zaprotestować, brutalnie wyrżnął mnie pan w głowę. Mógł mnie pan zabić, na kilka dni straciłem przytomność… Prawdę mówiąc, wcale nie jestem pewien, czy nie chciał mnie pan zabić.

Barris pokręcił głową. Zmierzwione włosy i zarost utrudniały mi dostrzeżenie jego twarzy, miałem jednak wrażenie, że ma smutny wyraz.

– Ten Dziki Chłopiec nie był niewinnym dzieckiem, panie Collins, lecz wysłannikiem Drooda. Nie był już nawet człowiekiem. Gdyby uciekł i doniósł o naszej obecności w kanałach, horda Drooda dopadłaby nas w kilka minut.

– To niedorzeczne – odparłem oschle.

Barris uśmiechnął się od ucha do ucha, tak szeroko, że obraz tego uśmiechu utrwalił mi się na siatkówce i widziałem

go nawet w przerwach między błyskawicami.

– Tak pan uważa, panie Collins? Naprawdę tak pan uważa? W takim razie nic pan nie wie, z czego zresztą ogromnie się cieszę, o mózgożukach.

Nagle zaschło mi w ustach. Z najwyższym trudem powstrzymałem się od grymasu bólu, gdy pod prawym okiem poczułem ukłucie potężnych żuwaczek. Na szczęście, następny grzmot przewalił się przez nas jak lita murowana ściana, na moment położył kres rozmowie i dał mi chwilę na ochłonięcie.

– O czym? – wykrztusiłem.

– O mózgożukach. Tak je z inspektorem Fieldem nazwaliśmy. Drood wprowadza te egipskie insekty, a właściwie angielskie, tyle że wytresowane i przyuczone do pogańskich sztuczek, w głąb ciał i mózgów swoich niewolników i wyznawców. A właściwie każe im myśleć, że tak właśnie zrobił, bo oczywiście wszystko to jest efektem hipnozy. Jego sługi, pogrążone w posthipnotycznym transie, są mu potem posłuszne przez całe lata, tym bardziej, że przy każdej sposobności wzmacnia swoją kontrolę nad nimi. Mózgożuk jest dla ofiary symbolem tego zniewolenia.

– Co za brednie! – wykrzyknąłem między jednym głośnym gromem a drugim. – Tak się składa, że przeprowadziłem niezwykle szczegółowe badania nad mesmeryzmem i sztuką magnetyczną i wiem, że wbrew temu, co pan sugeruje, nie można kierować człowiekiem na odległość i przez dłuższy czas, nie mówiąc już o zniewoleniu go iluzją jakiegoś tam… mózgożuka.

– Czyżby?

W migotliwym blasku błyskawic widziałem, że łotr nadal się uśmiecha – okrutnym, ironicznym uśmieszkiem.

– Nie był pan, panie Collins, świadkiem koszmaru, jaki rozegrał się w Podmieście godzinę po tym, jak pana ogłuszyłem. Za co zresztą serdecznie i szczerze przepraszam, mój panie; po prostu wtedy myślałem, że jest pan jednym z tamtych, niewolników Drooda.

– A jakiż to koszmar wydarzył się po tym, jak pozbawił

mnie pan przytomności, detektywie Barris?

– Już nie „detektywie”, panie Collins. Ten tytuł i ten zawód są dla mnie zawsze stracone. A wracając do tego, co zdarzyło się kilka godzin po wyniesieniu pana z Podmiasta… To była jatka, panie Collins. Zasadzka. Rzeź.

– Przesadza pan.

– Zginęło dziewięciu porządnych ludzi. To jest pana zdaniem przesada? Szukaliśmy legowiska Drooda, jego świątyni oraz, rzecz jasna, jego samego… a on przez cały ten czas wciągał nas coraz głębiej w pułapkę.

– Co też pan wygaduje? Przecież miał pan tu wtedy chyba ze dwustu ludzi!

– Dokładnie stu trzydziestu dziewięciu, panie Collins. Prawie samych policjantów w cywilu albo byłych policjantów. Większość z nich znała Hibberta Hatchery’ego, dlatego zeszli z nami do Podmiasta, żeby ująć jego mordercę. Niespełna dwudziestu z nas naprawdę wiedziało, jakim potworem jest Drood; że nie jest ani zwyczajnym zabójcą, ani nawet człowiekiem. Pięciu zginęło wtedy z rąk jego niewolników. Z rąk bandytów i Thugów, sterowanych za pośrednictwem mesmerycznych mózgożuków, które, jak pan twierdzi, nie istnieją. Dzień później zamordowano inspektora.

Na dźwięk tych słów opadła mi szczęka.

– Zamordowano? Zamordowano?! Niech mnie pan nie próbuje okłamywać, panie Barris. Nie dam się nabrać. Mam znajomych w „Timesie”, rozmawiałem z reporterami, którzy pisali nekrolog… Twierdzą, że inspektor Field zmarł śmiercią naturalną. We śnie.

– Tak? A czy ci reporterzy byli u niego w domu rankiem następnego dnia po tym, jak zmarł? Czy widzieli zgrozę malującą się na jego twarzy? Bo ja byłem i widziałem. To mnie pierwszego zawiadomiła żona inspektora, gdy znalazła go martwego. Sądząc po otwartych szeroko ustach i wytrzeszczonych oczach, raczej nie zmarł przez sen na serce, panie Collins. Oczy miał pełne krwi.

– Udar mózgu może wywołać takie objawy – zauważyłem.

Błysnęło. Grzmot rozległ się natychmiast, bez

najmniejszego opóźnienia. Burza nas dopadła.

– Czy udar mózgu wiąże również podwójne węzły na jedwabnym sznurze, panie Collins?

– O czym pan mówi?

– O wizytówce hinduskiego Thuga, który udusił biednego inspektora. A właściwie trzech lub czterech Thugów: jeden przycisnął poduszkę do twarzy mojego pracodawcy i przyjaciela, a co najmniej dwóch, jeśli nie trzech, bo mimo podeszłego wieku Field był silnym mężczyzną, przytrzymało go, zaciskając pętlę. To była okrutna śmierć, panie Collins. Bardzo okrutna.

Żadna odpowiedź nie przyszła mi do głowy.

– Włącznie ze mną inspektor zatrudniał siedmiu etatowych agentów – mówił dalej Barris. – Nasza siódemka należała do najlepszych, najbardziej profesjonalnych ekspolicjantów w całej Anglii. Od stycznia pięciu z nas zginęło w tajemniczych okolicznościach. Szósty zostawił rodzinę i uciekł do Australii, co i tak niewiele mu da, bo Drood ma swoje sługi we wszystkich portach świata. Ja przeżyłem tylko dlatego, że ukryłem się tutaj, na jego własnym ohydnym terenie, a i tak przez ostatnie pół roku musiałem zabić trzech nasłanych przez niego zabójców. Zapewniam pana, panie Collins, że kiedy w ogóle zdarza mi się zasnąć, jedno oko zawsze mam otwarte.

Nagle chyba coś sobie przypomniał, bo sięgnął do kieszeni i oddał mi rewolwer Hatchery’ego.

Moje pulsujące prawe oko eksplodowało bólem. Przyszło mi do głowy, że mógłbym zastrzelić Barrisa tu i teraz. Jego zwłoki pozostałyby nieodkryte przez wiele tygodni lub miesięcy, dopóki nie znaleźliby ich wyznawcy Drooda.

Czy w ten sposób zaskarbiłbym sobie ich współczucie?

Zamrugałem, bo ból przyprawiał mnie o zawroty głowy, i schowałem kretyńską broń do kieszeni peleryny.

– Po co mnie pan tu przyprowadził? – wychrypiałem.

– Przede wszystkim po to, żeby sprawdzić, czy stał się pan… jednym z nich. Wygląda na to, że nie.

– Żeby to stwierdzić, nie musiał mnie pan wlec aż tu, na

górę, na ten brudny strych! – zauważyłem, przekrzykując grzmot.

– Przeciwnie, musiałem. Ale ważniejsze jest w tej chwili to, że chciałem przekazać panu ostrzeżenie.

– Nie potrzebuję więcej ostrzeżeń – odparłem lekceważąco.

– Ono nie dotyczy pana, panie Collins – powiedział Barris.

Na ułamek sekundy zrobiło się całkiem cicho: po raz pierwszy, odkąd opuściliśmy przybytek Opiumowej Sal, żaden grzmot nie przetaczał się po niebie. Nie wiadomo dlaczego, ta cisza wydała mi się bardziej przerażająca niż poprzedzające ją odgłosy burzy.

– Dotyczy Charlesa Dickensa – dokończył Barris.

Nie mogłem się nie roześmiać.

– Powiedział mi pan, że dzisiaj przed świtem Dickens spotkał się z Droodem. Jeżeli jest jednym z… jak ich pan nazywa? …żukowych niewolników Drooda, to czego ma się obawiać?

– Wydaje mi się, że pański przyjaciel nie jest niewolnikiem, panie Collins. Obawiam się, że zawarł z Droodem umowę w faustowskim stylu, choć nie umiem powiedzieć, jakiej dokładnie natury.

Przypomniałem sobie, jak Dickens wspomniał kiedyś, że obiecał napisać biografię Drooda. Pomysł ten wydał mi się jednak zbyt idiotyczny, żeby brać go poważnie. Tym bardziej nie zamierzałem o nim wspominać Barrisowi.

– Tak czy inaczej, od jednego z nasłanych na mnie przez Drooda zabójców dowiedziałem się, że Dickens umrze w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym.

– Podobno zabił pan tych zabójców – przypomniałem mu.

– Owszem, panie Collins. Zabiłem. Zanim jednak zrzucili swe doczesne powłoki, dwóch z nich zmusiłem do mówienia.

Na tę myśl oblałem się zimnym potem.

– Tysiąc osiemset siedemdziesiąty to za rok – powiedziałem.

– Za nieco ponad pół roku, ściśle rzecz biorąc. Zabójca nie powiedział, kiedy dokładnie zamierzają zaatakować.

W tejże chwili – jak na sygnał dany przez teatralnego

inspicjenta – wściekle uderzył piorun. Obaj skuliliśmy się odruchowo, gdy tuż nad naszymi głowami deszcz z niewiarygodną siłą zabębnił o stare dachówki. Promień latami zatańczył na ścianach, gdy Barris zatoczył się w tył i w ostatniej chwili złapał równowagę. W błysku światła mignęły hieroglify, które mój skarabeusz – albo po prostu mózg – odruchowo przetłumaczył: „(…) przydaj siły naszym członkom, o Izydo, i bądź nam talizmanem, który wytłumaczy i usprawiedliwi nasze czyny. Dzień sądu jest bliski”.

***

Wróciłem do domu przemoczony do suchej nitki. Carrie przywitała mnie w przedpokoju. Mimo późnej pory była ubrana normalnie, nie po domowemu w szlafrok. Sprawiała wrażenie zatroskanej.

– Co się stało, moje drogie dziecko?

– Jakiś pan chce się z tobą widzieć. Przyszedł przed dziewiątą i uparł się, że zaczeka. Gdyby nie to, że George i Besse są w domu, w życiu bym go nie wpuściła, tak przerażająco wygląda. W dodatku nie miał wizytówki. Ale twierdzi, że to pilne…

Drood, pomyślałem. Byłem zbyt zmęczony, żeby odczuwać strach.

– Nie ma powodu do obaw, Carrie – zapewniłem ją półgłosem. – To pewnie jakiś najemny pracownik przyszedł się upomnieć o niezapłacony rachunek. Gdzie go zaprowadziłaś?

– Zapytał, czy może poczekać u ciebie w gabinecie. Powiedziałam, że tak.

Niech to szlag. Najgorsze możliwe miejsce dla Drooda.

– Grzeczna dziewczynka. – Pogłaskałem Carrie po policzku. – A teraz zmykaj na górę, do łóżka.

– Mogę odwiesić twój płaszcz.

– Nie, nie będę go jeszcze zdejmował.

Nie zamierzałem jej tłumaczyć, dlaczego nie chcę od razu zdejmować przemoczonej na wylot taniej peleryny.

– Nie zjesz kolacji? Kazałam kucharce przygotować twoją ulubioną wołowinę po francusku, zanim wyszła do domu…

– Znajdę ją i sobie odgrzeję, Carrie. Idź spać. Jeśli będę czegoś potrzebował, zawołam George’a.

Odczekałem, aż jej kroki ucichną na schodach, po czym przeszedłem korytarzem do salonu i otworzyłem drzwi do gabinetu.

Szanowny pan Edmond Dickenson siedział nie w wyścielanym skórą fotelu dla gości, lecz na moim miejscu za biurkiem. Stopy oparł na półotwartej dolnej szufladzie i bezczelnie ćmił jedno z moich cygar.

Wszedłem do pokoju i starannie zamknąłem za sobą drzwi.

Rozdział 44

Na początku października Dickens zaprosił mnie do Gad’s Hill. W tym samym czasie Fieldsowie wpadli do niego z kilkudniową wizytą – po raz ostatni przed powrotem do Bostonu. Prawdę mówiąc, po tym, jak okazał mi wsparcie na marcowej premierze *Czarnego i białego,* widywaliśmy się rzadko, a nasze stosunki przybrały charakter zdecydowanie oficjalny, zwłaszcza w porównaniu z wcześniejszą zażyłością. Nadal podpisywaliśmy swoje listy „Z serdecznym pozdrowieniem”, ale po obu stronach niewiele pozostało z dawnej serdeczności.

Jadąc do Gad’s Hill, wyglądałem przez okno pociągu i zastanawiałem się zarówno nad prawdziwymi powodami tego zaproszenia, jak i nad tym, co takiego mógłbym powiedzieć Panu Niezrównanemu, żeby go zaskoczyć. Nie powiem, lubiłem zaskakiwać Dickensa.

Mógłbym opowiedzieć mu o swojej wycieczce do Nadmiasta sprzed czterech miesięcy, kiedy on z Fieldem, Dolbym i Eytinge’iem poszli zwiedzać slumsy pod opieką policjanta, ale za dużo bym w ten sposób zdradził, a nie miałem dobrego pretekstu, który tłumaczyłby, dlaczego wcześniej ich śledziłem.

Z pewnością mogłem zaskoczyć Dickensa, oboje Fieldsów i innych gości Pana Niezrównanego tanimi anegdotami o mojej maleńkiej córeczce Marian, jej przypuszczalnie przeuroczych minkach, gulgotaniu i innych dziecięcych fanaberiach, ale w ten sposób zdradziłbym jeszcze więcej. Im mniej Charles Dickens i jego orszak pochlebców wiedzieli o moim prywatnym życiu, tym lepiej.

Czym zatem mogłem ich zabawić?

Na pewno nie zamierzałem kryć się z tym, że praca nad *Mężem i żoną* idzie mi znakomicie. Gdyby Dickens był moim jedynym rozmówcą, może napomknąłbym mu o listach, które pani Harriette (Caroline) Clow przysyłała mi teraz prawie co miesiąc, nie szczędząc mi opisów pustki emocjonalnej i

fizycznych cierpień, jakie musi znosić z ręki męża. Wystarczyło podstawić chama z Oksfordu w miejsce ledwie składającego litery chama–hydraulika (kiedy się nad tym głębiej zastanowić, wcale nie różnili się tak bardzo), a bicie i zamykanie w piwnicy, na które skarżyła się Caroline, natychmiast stawały się udziałem mojej dobrze urodzonej, lecz kiepsko zamężnej bohaterki.

Co jeszcze?

Mógłbym – gdybyśmy mieli dużo czasu dla siebie i gdybym chciał odnowić łączącą nas niegdyś bliską więź – opowiedzieć Charlesowi Dickensowi o wizycie, jaką dziewiątego czerwca w nocy złożył mi młody człowiek, którego on sam cztery lata wcześniej wyciągnął ze zdruzgotanego wagonu pod Staplehurst: pan Edmond Dickenson.

***

Dickenson nie tylko przywłaszczył sobie mój fotel pisarski i oparł brudne buty na wysuniętej szufladzie, ale też – szczeniak bezczelny! – zdołał w jakiś sposób przemknąć się na piętro, do mojej sypialni, gdzie otworzył szafę, a następnie wyjął z niej i zniósł na parter całe osiemset stron moich relacji ze snów o bogach Czarnych Krain, spisanych drobnym, pochyłym charakterem pisma Drugiego Wilkiego.

– Co ma znaczyć to najście? – warknąłem.

Tę próbę podkreślenia mojego autorytetu odrobinę psuł fakt, że mimo peleryny przemokłem jak bezdomny kot, ociekałem wodą i zostawiałem za sobą kałuże na podłodze gabinetu i perskim dywanie.

Dickenson wybuchnął śmiechem i zwolnił fotel (nie wypuścił jednak manuskryptu z rąk). Obeszliśmy biurko dookoła, mierząc się wzrokiem jak nożownicy ze spelunki przy New Court. Usiadłem przy biurku i zamknąłem szufladę. Dickenson usiadł naprzeciwko mnie, nie czekając na pozwolenie. Przemoczona peleryna reagowała na moje ruchy wilgotnym cmokaniem i mlaskaniem.

– Za pozwoleniem, wygląda pan niezwykle żałośnie – powiedział Dickenson.

– Mniejsza o to. Oddaj mi moją własność.

Dickenson spuścił wzrok na trzymany w rękach plik kartek.

– Pańską własność, panie Collins? – spytał z udawanym zdumieniem. – Przecież dobrze pan wie, że ani sny o Czarnych Krainach, ani te zapiski nie są pańską własnością.

– Owszem, są. I chcę je dostać z powrotem.

Wyjąłem z kieszeni rewolwer Hatchery'ego, oparłem o blat biurka ciężką rękojeść, kolbę, uchwyt czy jak to się tam nazywa i palcami obu rąk odciągnąłem oporny kurek, aż napiął się i zablokował. Lufa celowała prosto w pierś Edmonda Dickensona.

Arogancki młodzian parsknął śmiechem. Kolejny raz mogłem docenić dziwny wygląd jego zębów. Kiedy widziałem go w Boże Narodzenie 1865 roku, zęby miał białe i zdrowe. Czyżby od tego czasu tak bardzo mu się popsuły, czy też zostały spiłowane w szpic?

– Czy to pański charakter pisma, panie Collins?

Zawahałem się. Dokładnie dwa lata temu, co do dnia, Drood spotkał się z Drugim Wilkiem. Jego wysłannik, który siedział teraz przede mną, z pewnością o tym wiedział.

– Oddaj mi to – powiedziałem, kładąc palec na spuście.

– Zamierza mnie pan zastrzelić, jeśli tego nie zrobię?

– Owszem.

– Czemuż to, panie Collins?

– Może po to, żeby udowodnić, że wcale nie jesteś widmem, które udajesz – odparłem, zniżając głos.

Byłem potwornie zmęczony. Wydawało mi się, że od chwili, gdy patrzyłem na Dickensa podejmującego gości obiadem na cmentarzu w Cooling upłynęły całe tygodnie, a nie zaledwie dwanaście godzin.

– Zapewniam, że jeśli pan do mnie strzeli, będę krwawił – powiedział Dickenson tym samym denerwująco pogodnym tonem, który tak dawno rozjuszył mnie w Gad's Hill. – I zginę, jeśli ma pan dobre oko.

– Postaram się.

– Ale po co, panie Collins? Przecież wie pan, że te dokumenty należą do Mistrza.

– Masz na myśli Drooda?

– A kogóż by innego? Nie ulega żadnej wątpliwości, że wyjdę stąd z tymi stronicami w rękach (wolę stawić czoło pańskiemu rewolwerowi z odległości trzech kroków, niż stać się przyczyną choćby najmniejszego niezadowolenia Mistrza, mimo że dzieli nas tysiąckroć większy dystans), ponieważ jednak chwilowo ma pan nade mną przewagę, może jest coś, czego chciałby się pan ode mnie dowiedzieć, zanim wyjdę?

– Gdzie jest Drood? – spytałem.

W odpowiedzi Dickenson tylko się zaśmiał. Może to widok jego zębów sprowokował mnie do następnego pytania:

– Powiedz mi, Dickenson, czy przynajmniej raz w miesiącu jadasz ludzkie mięso?

Śmiech zamarł, uśmiech zniknął.

– Gdzie pan o tym usłyszał, panie Collins?

– Możliwe, że wiem więcej o tym twoim… Mistrzu… i jego niewolnikach, niż przypuszczasz.

– Być może. – Opuścił nieco głowę i spojrzał na mnie spode łba. Poczułem się dziwnie nieswojo. – Powinien pan jednak wiedzieć, że nie ma żadnych „niewolników”. Są tylko uczniowie oraz ci, którzy kochają Mistrza i służą mu z własnej woli.

Tym razem to ja się roześmiałem.

– Dickenson… Rozmawiasz z człowiekiem, który ma w mózgu jednego z tych przeklętych skarabeuszy waszego Mistrza. Nie wyobrażam sobie gorszej formy zniewolenia.

– Zupełnie inaczej niż nasz wspólny przyjaciel, pan Dickens. To dlatego postanowił współpracować z Mistrzem. Razem dążą do wspólnego celu.

– Co ty bredzisz, na Boga? Dickens i Drood nie mają żadnych „wspólnych celów”.

Młody mężczyzna – niegdyś krągły na twarzy jak cherubinek, teraz autentycznie wychudzony – pokręcił głową.

– Był pan dziś w nocy przy New Court, Bluegate Fields i w

okolicy, panie Collins – powiedział półgłosem.

Skąd on wie, gdzie byłem? Byłem bliski paniki. Czyżby złapali biednego Barrisa i torturowali go, aż im wszystko wyśpiewał?

– Pan Dickens zdaje sobie sprawę, że temu społecznemu złu trzeba położyć kres – ciągnął Dickenson.

– Jakiemu społecznemu złu?

– Nędzy, panie Collins. – Dickenson nieco się ożywił. – Niesprawiedliwości społecznej. Sierotom zmuszonym żyć na ulicy. Zdesperowanym matkom, które zostają… ulicznicami. Chorym dzieciom i kobietom, których nikt nie będzie leczył, i mężczyznom, którzy nigdy nie znajdą pracy w systemie, który…

– Daruj sobie te komunistyczne brednie – przerwałem mu. Woda ska– pywała mi z brody na biurko, ale rewolwer nawet nie drgnął w moich dłoniach. – Dickens ma naturę reformatora, ale nie rewolucjonisty.

– Myli się pan – zaoponował bardzo cicho Dickenson. – Współpracuje z naszym Mistrzem właśnie przez wzgląd na rewolucję, którą ten planuje najpierw w Londynie, a potem na całym świecie, wszędzie tam, gdzie dzieci głodują. Pan Dickens pomoże naszemu Mistrzowi zaprowadzić Nowy Ład, w którym ani kolor skóry człowieka, ani ilość posiadanych przez niego pieniędzy nie staną sprawiedliwości na drodze.

Znowu nie wytrzymałem i wybuchnąłem śmiechem. Także i tym razem mój śmiech był całkowicie szczery. Cztery lata wcześniej, jesienią 1865 roku, tłum Czarnych z Jamajki przypuścił szturm na gmach sądu w Morant Bay. Eyre, tamtejszy gubernator, osobiście dopilnował tego, żeby czterystu trzydziestu dziewięciu z nich rozstrzelano lub powieszono, a dalszych sześciuset wychłostano. Co bardziej naiwni liberałowie skrytykowali zachowanie gubernatora, natomiast Dickens przyznał, że żałuje, że zemsta i kara nie były bardziej dotkliwe.

– Jestem całkowicie przeciwny – mówił wówczas – takiemu programowemu współczuciu dla Czarnych, tak samo jak dla dzikusów czy dla diabła. Moim zdaniem, traktowanie

Hotentotów w taki sposób, jakby niczym nie różnili się od odzianych w czyste koszule ludzi z Camberwell, jest moralnie niewłaściwe…

Podczas indyjskiego powstania sipajów – na długo przed tym, jak się z Dickensem poznaliśmy – dopingował brytyjskiego generała, którego odpowiedzią na rebelię było przywiązanie zbuntowanych Hindusów w poprzek wylotu luf armatnich i odesłanie ich „do domu” w kawałkach. Ostrze swojej złości i pogardy w *Samotni* i tuzinie innych powieści zawsze kierował raczej przeciw skretyniałym misjonarzom, którzy bardziej troszczą się o los brunatnych i czarnych tubylców za granicą, niż przejmują kłopotami porządnych Anglików i Angielek i ich białych dzieci tutaj, w kraju.

– Jesteś głupcem – powiedziałem w tę czerwcową noc młodemu Edmondowi Dickensonowi. – Twój Mistrz też jest głupcem, jeśli myśli, że Charles Dickens będzie chciał spiskować przeciw białym na rzecz laskarów, Hindusów, Chińczyków i egipskich zabójców.

Dickenson uśmiechnął się ironicznie i wstał.

– Przed świtem muszę dostarczyć tę część zapisków Mistrzowi.

– Zaczekaj. – Wycelowałem mu w twarz. – Możesz zatrzymać te przeklęte papiery, tylko powiedz mi, jak się pozbyć tego żuka z mojego ciała. Z mojej głowy.

– Sam wyjdzie, kiedy Mistrz mu rozkaże – odparł Dickenson. Znów upodobnił się do radosnego, wygłodniałego kanibala, – Albo kiedy pan umrze. Nie wcześniej.

– Nawet jeśli zabiję niewinnego człowieka?

Uniósł jasne brwi, robiąc zdumioną minę.

– Więc słyszał pan o tym rytualnym wyjątku… Dobrze, panie Collins. Proszę spróbować. Nie ma gwarancji, że to poskutkuje, ale spróbować można. Sam trafię do wyjścia. Aha, jeszcze jedno: zapewniam pana, że ta młoda dama, która dzisiaj wpuściła mnie do domu, jutro nie będzie o tym pamiętać.

Po tych słowach okręcił się na pięcie i wyszedł.

Rzeczywiście, Carrie zapomniała o jego wizycie. Kiedy

rankiem zapytałem ją, co w wyglądzie gościa tak ją zaniepokoiło, spojrzała na mnie dziwnie i odparła, że nie przypomina sobie żadnego gościa; miała tylko nieprzyjemny sen o jakimś obcym mężczyźnie, który, ociekając deszczem, dobijał się do drzwi i domagał wpuszczenia.

O tak, pomyślałem, gdy pociąg wjechał na dworzec, gdzie powinien czekać na mnie ktoś z Gad's Hill z powozem lub bryczką. Opowieść o tym, jak skończyła się dla mnie tamta pełna atrakcji czerwcowa noc, może naprawdę zaskoczyć Pana Niezrównanego.

Z drugiej strony… Jakież to by było okropne uczucie, gdyby jednak go nie zaskoczyła.

***

W niedzielę, drugi dzień przyjemnego weekendu w Gad's Hill Place (trudno mi, nawet teraz, zapomnieć lub wyolbrzymić przyjemność, jaką czerpałem z takich wesołych odwiedzin u Dickensa), byłem akurat w apartamentach Jamesa Fieldsa (rozmawialiśmy o bostońskim światku literackim), gdy rozległo się pukanie do drzwi. Jeden ze starszych służących Dickensa wszedł do pokoju sztywno jak dworzanin królowej Wiktorii, strzelił obcasami i podał Fieldsowi list, elegancko wykaligrafowany na arkuszu grubego pergaminu. Fields pokazał mi go i przeczytał na głos:

> *Pan Charles Dickens przesyła wyrazy najwyższego szacunku szanownemu Jamesowi T. Fieldsowi (Boston, Mass., U.S.) i z przyjemnością przyjmie Sz. P. J. T.F. w bibliotece na piętrze, w dogodnym dla Sz. P. J. T.F. terminie.*

Fields parsknął śmiechem, potem odkaszlnął, zakłopotany głośnym odczytaniem listu, w końcu zwrócił się do mnie:

– Charles na pewno zaprasza nas obu do biblioteki.

Z uśmiechem skinąłem głową, chociaż byłem absolutnie pewien, że żartobliwe zaproszenie nie było skierowane do

mnie. Przez cztery dni, jakie spędziłem już w Gad’s Hill Place, nie zamieniliśmy z Dickensem nawet dwóch słów na osobności i zanosiło się na to, że Pan Niezrównany nie zamierza zmieniać tego niefortunnego stanu rzeczy opartego na publicznej uprzejmości i prywatnym milczeniu. Niemniej jednak poszedłem z Fieldsem do niewielkiej biblioteki.

Dickens nie zdołał do końca ukryć niezadowolenia z mojego przybycia, ale nieprzychylny grymas pojawił się na jego twarzy dosłownie na ułamek sekundy (tylko stary przyjaciel, który znał go od lat, dostrzegłby ten przebłysk przykrego zaskoczenia), bo zaraz uśmiechnął się i wykrzyknął:

– Mój drogi Wilkie! Co za szczęśliwe zrządzenie losu, oszczędziłeś mi trudu wystosowania do ciebie osobnego zaproszenia! Pisanie nigdy nie było moją mocną stronę, bałem się, że wypisanie takiego dokumentu zajmie mi kolejne pół godziny. Chodźcie, chodźcie, zapraszam. Siadajcie.

Sam przysiadł na skraju małego stolika do czytania, na którym położył nieduży stosik zapisanych kartek. Dla słuchaczy przeznaczył tylko dwa krzesła. Lekko zakręciło mi się w głowie na myśl, że zamierza odczytać nam zapiski ze swoich snów o bogach Czarnych Krain.

– Czy będziemy jedynymi widzami tego… przedstawienia? – spytał ewidentnie zachwycony Fields.

Było widać, że doskonale czują się z Dickensem w swoim towarzystwie, jakby dosłownie ubywało im lat, gdy tylko mogli rozpocząć swoje chłopięce przygody. Miałem wrażenie, że Dickens od paru dni jest smutny, lecz dopiero teraz pomyślałem, że nie ma w tym nic dziwnego. Fields z żoną wrócą do Ameryki i więcej nie zobaczą się z Dickensem, bo ten umrze, zanim oni znów przyjadą do Anglii.

– W rzeczy samej. Wy dwaj, moi drodzy, będziecie całą widownią podczas tego spotkania literackiego – przytaknął pisarz.

Zamknął drzwi biblioteki i znów przysiadł na skraju cienkonogiego stolika.

– Rozdział pierwszy – zaczął. – Świt.

Stara angielska wieża katedralna? Skąd się tu wzięła stara wieża katedralna? Dobrze znany masywny, szary czworobok wieży starej katedry? Jak się tu znalazł? Skądkolwiek by się spojrzało, nie ma przecież na niej tego zardzewiałego, żelaznego, sterczącego w niebo ostrza. Co to za ostrze i kto miałby je tam umieścić? Może zatknięto je tam na rozkaz sułtana, by wbijać na nie hordy tureckich rabusiów, jednego po drugim? I tak oto sułtan, przy dźwiękach czyneli, zmierza w długim pochodzie do swego pałacu. Dziesięć tysięcy lśniących w słońcu bułatów i po trzykroć dziesięć tysięcy tancerek ścielących kwiaty, za nimi niezliczone słonie w mieniących się barwami czaprakach…

Czytał tak przez blisko dziewięćdziesiąt minut. James Field słuchał jak urzeczony, ja zaś, im dłużej słuchałem, tym bardziej ścierpniętą miałem skórę i palce.

Rozdział pierwszy był impresjonistycznym i sensacyjnym opisem przeżyć opiumisty budzącego się z opiumowego snu w palarni w oczywisty sposób wzorowanej na przybytku Opiumowej Sal. Sama Sal również się tam znalazła (stosownie przedstawiona jako „wynędzniała kobieta”, mówiąca „ochrypłym szeptem”), wraz z półprzytomnym Chińczykiem i hinduskim marynarzem. Narrator – wybudzający się z odurzenia biały mężczyzna – mamrocze pod nosem „to niepojęte, niepojęte”, obserwując rzucającego się na posłaniu Chińczyka i nieprzytomnego, bełkoczącego coś laskara. Następnie wychodzi z palarni i wraca do „miasta z katedrą”, którym ewidentnie jest Rochester (ukryte pod topornym przezwiskiem „Cloisterham”). W rozdziale drugim poznajemy całą galerię tradycyjnych Dickensowskich postaci, wśród nich wielebnego Septimusa Crisparkle’a, jednego z tych łagodnych, przygłupich, lecz dobrodusznych „muskularnych chrześcijan”, jakich parodiowałem w swojej powstającej właśnie powieści.

Także z drugiego rozdziału wynika, że opiumistą z

rozdziału pierwszego jest niejaki John Jasper, katedralny świecki kantor. Od razu też dowiadujemy się, że ma piękny głos (o dziwo, w jednych chwilach piękniejszy niż w innych) i mroczną, skomplikowaną duszę.

W tymże drugim rozdziale poznajemy siostrzeńca Jaspera – płytkiego, niedojrzałego, niefrasobliwego, a przy tym leniwego i zadowolonego z siebie młodzieńca nazwiskiem Edwin Drood…

Przyznaję, że aż podskoczyłem, gdy Dickens przeczytał to nazwisko na głos.

Rozdział trzeci przynosi nieźle napisany, lecz dość przygnębiający opis Cloisterham i jego historii, oraz wprowadza kolejną z prawie nieskończonej kolekcji doskonałych, różanolicych i dziewiczych Dickensowskich heroin romantycznych, tym razem pod mdląco przesłodzonym imieniem Róży Bud. Jakoś zdzierżyłem jej obecność na kilku stronach i wcale nie miałem ochoty od razu jej udusić (jak to było w przypadku innych młodych, dziewiczych i Dickensowsko perfekcyjnych postaci, takich jak „mała Dorrit”), a gdy wybrała się z Edwinem Droodem na przechadzkę (tu dowiadujemy się, że od dzieciństwa są zaręczeni dzięki staraniom – jakie to wygodne – znających się niegdyś, lecz nieżyjących już rodziców, oraz że Edwin traktuje Różę z lekceważącą protekcjonalnością, a ona najchętniej wyplątałaby się z tego układu), posłyszałem w ich dialogu echo rozdźwięku między Dickensom i Ellen Ternan, którego świadkiem byłem w ów wiosenny wieczór przed stacją kolejową w Peckham.

Dowiedzieliśmy także z Fieldsem, że Drood Dickensa – chłopiec–mężczyzna znany jako Edwin Drood – jest młodym inżynierem, który wybiera się do Egiptu, żeby zmienić oblicze tęgo kraju. Na koniec – jak twierdzi pewna niemądra kobieta z sierocińca, w którym mieszka Róża (dlaczegóż, ach, dlaczegóż wszystkie młode dziewice u Dickensa muszą być sierotami?!) – zostanie pochowany w egipskich piramidach.

Czy ona nie darzy nienawiścią Arabów, Turków, fellachów i tym podobnych ludzi? – pyta Róża, mając na myśli

wyimaginowaną idealną żonę „Eddyego” Drooda.

– Oczywiście, że nie – ucina bardzo stanowczo Drood.

– Ale przynajmniej nienawidzi piramid? No jak, Eddy?

– Dlaczego miałaby być taką małą… to znaczy dużą… gęsią, by nienawidzić piramid, Różo?

– Ach, powinieneś usłyszeć, jak panna Twinkleton – mówi Róża, kiwając głową i smakując Okruchy Rozkoszy – zanudza nas opowieściami o nich, a wtedy byś nie pytał. Nieznośnie nudne stare cmentarzyska! Te Izydy, ibisy, Cheopsy i ci faraonowie, kogo to obchodzi. I do tego ten Belzoni, czy kto tam, wywleczony za nogi, na pół uduszony przez nietoperze i kurz. Wszystkie dziewczęta mówiły: „Dobrze mu tak, chyba go bolało, chciałybyśmy, żeby się tam zadusił”.

Zorientowałem się, że Dickens zmierza do długiego i z pewnością bardzo złożonego porównania babrania się w kurzu krypt i grobowców w Cloisterham (czyli w Rochester i jego naprawdę istniejącej katedrze) do pracy prawdziwych odkrywców egipskich grobów, takich jak Belzoni „na pół uduszony przez nietoperze i kurz”.

Trzeci rozdział (na którym tego dnia Dickens zakończył prezentację) kończył się sceną, w której kokietująca „Drooda” (lecz wcale nim niezainteresowana) Róża pyta go:

– Powiedz, co teraz widzisz?

– Co widzę, Różo?

– Myślałam, że wy, egipscy chłopcy, potraficie widzieć na dłoni różne zwidy i widma. Nie widzisz na niej szczęśliwej przyszłości?

Gdy otwiera i zamyka się brama, kiedy jedno wchodzi, a drugie odchodzi, z pewnością żadne z nich nie widzi nawet szczęśliwej teraźniejszości.

Poczułem się tak, jakby Dickens był mną, opisującym jego spotkanie z Ellen Ternan w Peckham.

Kiedy odłożył ostatnią stronicę krótkiego rękopisu (czytał spokojnie, profesjonalnie, nie podnosząc głosu – zupełnie inaczej niż podczas przesadnie dramatycznych wieczorów autorskich, zwłaszcza tych, na których odtwarzał scenę morderstwa), Fields zaczął klaskać. Miałem wrażenie, że za chwilę się rozpłacze. Siedziałem bez słowa i patrzyłem na niego z niedowierzaniem.

– Coś kapitalnego, Charlesie! Coś kapitalnego! Cudowny początek! Początek wspaniały, prowokujący, intrygujący i czarujący! To twoje szczytowe osiągnięcie.

– Dziękuję, mój drogi Jamesie – odparł półgłosem Dickens.

– A tytuł? Nie zdradziłeś nam tytułu. Jak zamierzasz nazwać tę fantastyczną nową powieść?

Dickens zerknął na mnie sponad okularów.

– Zatytułuję ją *Tajemnica Edwina Drooda*.

Field zaklaskał z aprobatą. Nie zauważył, jak nagle zaparło mi dech w piersi – z pewnością jednak nie uszło to uwagi Charlesa Dickensa.

***

Fields poszedł do siebie, żeby przebrać się przed kolacją, a my z Dickensem wróciliśmy do gabinetu.

– Musimy porozmawiać – zagaiłem.

– Czyżby? – Pan Niezrównany włożył około pięćdziesięciu zapisanych kartek do skórzanej teczki, którą następnie wrzucił do szuflady biurka. – Dobrze. Wyjdźmy zatem gdzieś, gdzie znajdziemy się z dala od dziennikarzy, wścibskich krewnych, przyjaciół, dzieci i psów.

Wieczór był ciepły, podobnie zresztą jak cały październik, gdy Dickens prowadził mnie do swojego szwajcarskiego domku. Zazwyczaj o tej porze roku domek był już zamknięty na głucho przed nadchodzącą mokrą zimą, ale nie tym razem. Niesione wiatrem żółte i czerwone liście śmigały po trawie, chwytane w końcu przez krzewy i bezkwietne krzaczki pelargonii przy drodze dojazdowej. Zamiast przeprowadzić mnie tunelem, Dickens wybrał drogę górą,

przez ulicę. W niedzielne popołudnie nie było na niej ruchu, chociaż pod „Falstaff Inn” uwiązano całkiem sporo żwawych, rasowych koni: to myśliwi po polowaniu na lisy przyjechali się czymś orzeźwić.

Na piętrze domku Dickens wskazał mi jeden fotel w stylu Windsorów, a sam rozsiadł się wygodnie na drugim. Po schludnym ułożeniu pudełek z błękitnym i kremowym papierem, piór i kałamarzy oraz po figurkach fechtujących żab poznałem, że niedawno musiał tu pracować.

– Słucham mój drogi Wilkie, o czym to musimy porozmawiać?

– Dobrze wiesz, mój drogi Charlesie.

Uśmiechnął się, wyjął z pokrowca okulary i osadził je sobie na nosie, jakby zamierzał znów coś czytać.

– Przypuśćmy, że jednak nie wiem. Przyjmijmy taki punkt wyjścia. Nie podoba ci się początek mojej nowej powieści? Trzeba ci wiedzieć, że napisałem więcej; może po kolejnym rozdziale albo dwóch udałoby mi się przykuć twoją uwagę.

– To niebezpieczne, Charlesie.

– Ach tak? – Jego zaskoczenie nie było chyba całkowicie udawane. – Co dokładnie jest niebezpieczne? Pisanie opowieści kryminalnej? Mówiłem ci przecież kilka miesięcy temu, że niektóre elementy twojego *Kamienia Księżycowego,* to znaczy uzależnienie od opium, mesmeryzm, orientalni złoczyńcy, a także sekret kradzieży jako oś fabularna książki, zafascynowały mnie do tego stopnia, że chętnie spróbowałbym sam napisać coś podobnego. I właśnie piszę. A przynajmniej zaczynam.

– Użyłeś imienia Drooda – powiedziałem głosem tak cichym, że przypominał natarczywy szept. Z pobliskiej gospody dobiegały rozśpiewane głosy podpitych myśliwych.

– Mój drogi Wilkie… – Dickens westchnął. – Nie uważasz, że najwyższy czas przezwyciężyć ten strach przed wszystkim, co jest związane z Droodem?

Co miałem na to odpowiedzieć? Zaniemówiłem. Nigdy nie opowiadałem mu o śmierci Hatchery’ego ani o szarych, połyskliwych sznurach jelit udrapowanych w grobowcu. Ani

o nocy spędzonej w świątyni Drooda. Ani o inwazji Fielda na Podmiasto i jej srogich, jak się okazało, konsekwencjach dla inspektora i jego ludzi. Ani o Reginaldzie Barrisie, brudnym, zarośniętym, odzianym w łachmany, żywiącym się odpadkami i ukrywającym się ze strachu. Ani o świątyniach–kryjówkach w Nadmieście, po których Barris oprowadził mnie przed zaledwie czterema miesiącami…

– Gdybym miał dziś więcej czasu – odezwał się Dickens, jakby myśląc na głos – wyleczyłbym cię z tej obsesji. Uwolnił cię od niej.

Zniecierpliwiony wstałem z fotela i zacząłem się przechadzać po pokoju.

– Uwolnisz samego siebie od życia, jeżeli opublikujesz tę książkę, Charlesie. Powiedziałeś mi kiedyś, że Drood zażyczył sobie, żebyś napisał jego biografię. Tymczasem piszesz… parodię!

– Skądże znowu! – Dickens parsknął śmiechem. – To będzie bardzo poważna powieść poświęcona analizie przestępczego umysłu, jego rozlicznych i często wzajemnie sprzecznych pokładów i poziomów. W tym konkretnym wypadku przestępcą będzie uzależniony od opium morderca, który jest zarówno mistrzem, jak i ofiarą mesmeryzmu.

– Jak można być jednocześnie mistrzem i ofiarą mesmeryzmu, Charlesie?

– Bądź łaskaw przeczytać moją książkę, gdy będzie gotowa, mój drogi Wilkie, a wszystkiego się dowiesz. Znajdziesz rozwiązanie nie tylko tajemnicy fabularnej, lecz także, być może, swoich własnych dylematów.

Postanowiłem zignorować jego słowa, ponieważ nie było w nich krzty sensu.

– Charlesie… – zacząłem z zapałem. Oparłem się o biurko i spojrzałem na niego z góry. – Czy ty naprawdę myślisz, że po opium człowiek śni o lśniących bułatach, dziesiątkach roztańczonych dziewcząt i… jak to szło? „niezliczonych słoniach hasających w kolorowych czaprakach”?

– O „niezliczonych słoniach w mieniących się barwami czaprakach i mrowiu służby” – poprawił mnie Dickens.

– W porządku. – Cofnąłem się od biurka, zdjąłem okulary i przetarłem je chusteczką. – Powiedz mi jednak, czy naprawdę wierzysz w to, że opiumistom śnią się hasające słonie w czaprakach i lśniące bułaty?

– Wiesz, Wilkie, ja też zażywałem opium – odparł półgłosem. Był chyba lekko rozbawiony.

Muszę przyznać, że w tym momencie wzniosłem oczy ku niebu.

– Słyszałem o tym od Franka Bearda: odrobina laudanum, i to zaledwie kilka razy, kiedy podczas tournée autorskiego dręczyła cię bezsenność.

– Laudanum to laudanum, mój drogi. Opium to opium.

– Ile minimów zażyłeś?

Nadal przechadzałem się po gabinecie od jednego otwartego okna do drugiego. Może to właśnie laudanum, którego rano wypiłem więcej niż zwykle, tak mnie ożywiło.

– Minimów? – powtórzył Dickens.

– Kropli destylatu opium. Ile wkropliłeś go sobie do wina?

– Nie mam pojęcia. W te nieliczne wieczory, kiedy próbowałem tego lekarskiego rozwiązania swojego problemu, to Dolby zajmował się odmierzaniem dawek. Ale myślę, że dwie.

– Dwie krople… Dwa minimy?

– Tak.

Długo milczałem. Tego samego dnia od rana wypiłem co najmniej sześćset minimów, a może nawet dwa razy więcej – mimo że byłem gościem w Gad’s Hill Place i na długi weekend przywiozłem ze sobą tylko piersiówkę i mały dzbanek na zapas.

– Mój drogi Charlesie… – odezwałem się po dłuższej chwili. – Nie wmówisz ani mnie, ani nikomu, kto zbadałby naturę tego narkotyku tak dokładnie jak ja, że śniłeś o słoniach, bułatach i złotych kopułach.

Dickens roześmiał się w odpowiedzi.

– Mój drogi Wilkie, sam przecież w *Kamieniu Księżycowym…* „poddałeś próbie”, jeśli się nie mylę, takich chyba słów użyłeś… Franklina Blake’a, każąc mu wejść do

sypialni śpiącej narzeczonej…

– Do saloniku przylegającego do jej sypialni – poprawiłem. – Redaktor uparł się przy takiej wersji przez wzgląd na konwenanse.

– Tak, naturalnie. – Dickens się uśmiechnął. To on był tym redaktorem. – Wszedł do saloniku przylegającego do sypialni narzeczonej, żeby ukraść brylant. Przy czym znajdował się wówczas w stanie uśpienia pod wpływem laudanum, które nieświadomie był przyjął…

– Wielokrotnie już wyrażałeś swoje wątpliwości odnośnie do realizmu tej sceny – zauważyłem z goryczą. – Mimo że opowiadałem ci o podobnych eksperymentach, które przeprowadziłem na sobie pod wpływem tego narkotyku.

– Do tego właśnie zmierzam, mój drogi Wilkie: nagiąłeś swoje doświadczenia w taki sposób, żeby posłużyły fabule. Stąd też wzięły się moje trąbowce w czaprakach i bułaty. Zatrudniłem je w służbie większej opowieści.

– Nie w tym rzecz, Charlesie.

– A w czym, wobec tego? – spytał Dickens z nieskrywanym zaciekawieniem.

Sprawiał wrażenie autentycznie wyczerpanego. Był to taki okres, że kiedy Pan Niezrównany nie występował na scenie ani nie czytał publicznie fragmentów swoich książek, najczęściej wyglądał jak starszy pan, którym nagle się stał.

– W tym, że Drood cię zabije, jeżeli opublikujesz tę książkę. Sam mi mówiłeś, że chce dostać swoją biografię, a nie powiastkę sensacyjną przesyconą opium i mesmeryzmem, w egipskim sztafażu, ze słabowitym bohaterem nazwiskiem Drood…

– Słabowitym, lecz istotnym dla fabuły – wtrącił Dickens.

Nie pozostało mi nic innego, jak pokręcić głową.

– Nie chcesz posłuchać mojego ostrzeżenia. Może gdybyś zobaczył twarz nieszczęsnego inspektora Fielda w dniu, w którym został zamordowany…

– Zamordowany?! – Dickens wyprężył się jak struna. Zdjął okulary. Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Kto twierdzi, że Charles Frederick Field został zamordowany? Dobrze

wiesz, co napisano w „Timesie”: że zmarł we śnie. I co to za gadanie o oglądaniu jego twarzy? Ty na pewno jej nie widziałeś, mój drogi Wilkie: pamiętam, że przeleżałeś wtedy w łóżku długie tygodnie, złożony chorobą, i dopiero wiele miesięcy później dowiedziałeś się o śmierci inspektora. Ode mnie.

Wahałem się, czy powiedzieć Dickensowi prawdę o śmierci Fielda – taką, jaką poznałem z ust Reginalda Barrisa. Wtedy jednak musiałbym wytłumaczyć, przy jakiej okazji spotkałem się z Barrisem, opowiedzieć o świątyniach w Nadmieście…

Dickens tymczasem westchnął i dodał:

– Twoja wiara w Drooda jest nawet w pewien mroczny sposób sympatyczna, Wilkie, ale chyba czas dać sobie z nią spokój. Może w ogóle niepotrzebnie się zrodziła.

– Wiara w Drooda? – warknąłem. – Czy naprawdę muszę ci przypominać, mój drogi Charlesie, że to pod wpływem twoich opowieści o Staplehurst i twojej relacji z późniejszego spotkania z tym potworem w Podmieście zostałem wplątany w tę sprawę? Nie wydaje ci się, że jest ciut za późno, żeby teraz odradzać mi wiarę w niego, jakby był duchem Marleya albo przyszłych świąt Bożego Narodzenia?

Spodziewałem się, że tę ostatnią salwę Dickens skwituje wybuchem śmiechu, on jednak posmutniał, wydał mi się jeszcze starszy niż przed chwilą i mruknął, jakby mówił do siebie:

– Może rzeczywiście jest już za późno, mój drogi Wilkie. A może nie. Na pewno dzisiaj jest na to za późno. Muszę się przygotować do jednego z ostatnich posiłków, jakimi będzie mi dane rozkoszować się w towarzystwie kochanych Jamesa i Annie…

Pod koniec tego zdania jego głos zabrzmiał tak słabo i smutno, że musiałem nieźle wytężyć słuch, żeby go usłyszeć w zgiełku czynionym przez myśliwych odjeżdżających właśnie spod „Falstaff Inn”.

– Wrócimy do tej rozmowy przy innej okazji – dodał i wstał.

W pierwszej chwili jego lewa noga nie chciała utrzymać ciężaru ciała. Musiał oprzeć się prawą ręką o stolik i przez

moment balansował na jednej nodze, gdy druga, bezużyteczna, zawisła w powietrzu – jak berbeć próbujący stawiać pierwsze kroki. Zaraz jednak znów się uśmiechnął (cokolwiek smutno, moim zdaniem), pokuśtykał do drzwi, zszedł na parter i razem wróciliśmy do głównego domu.

– Wrócimy do tej rozmowy przy innej okazji – powtórzył.

I rzeczywiście wróciliśmy, Drogi Czytelniku – zbyt późno jednak, jak sam się przekonasz, by zapobiec nieuniknionym tragicznym wypadkom.

Rozdział 45

Przez ostatnią jesień, zimę i wiosnę w życiu Charlesa Dickensa on pisał swoją powieść, a ja swoją.

Dickens, jak to on, uparł się przy samobójczym i szalonym pomyśle, żeby wykorzystać imię Drooda w tytule swojego nowego dzieła – mimo że Wills, Forster, a nawet ten zniewieściały cymbał Percy Fitzgerald (który, praktycznie rzecz biorąc, wygryzł mnie z redakcji „All the Year Round" i z roli powiernika Dickensa) zgodnie twierdzili, że miał inne pomysły, na przykład *Zaginięcie Jamesa Wakefielda* i *Żywy, czy martwy?* (Najwyraźniej nigdy nie myślał poważnie o użyciu nazwiska Edmonda Dickensona; kiedy wspomniał mi o tym wiosną, tylko mnie podpuszczał).

Zacząłem pisać *Męża i żonę* kilka miesięcy wcześniej niż Dickens swoją *Tajemnicę...* dzięki czemu wcześniej też sprzedałem ją do „Cassell's Magazine", w którym miała ukazywać się w odcinkach od stycznia 1870 roku. Sprzedałem także prawa do publikacji staremu, wiernemu „Harper's Magazine" z Nowego Jorku, przy czym, żeby uniknąć prób piractwa, kazałem im drukować odcinki powieści dwa tygodnie wcześniej niż robił to „Cassell's". A pierwszy odcinek *Tajemnicy Edwina Drooda*, wydany w zielonej obwolucie nakładem wydawnictwa Chapman and Hall, miał się pojawić dopiero w kwietniu. Początkowo zaplanowano dwanaście comiesięcznych odcinków, ostatecznie skończyło się na sześciu.

Mojemu bratu przypadło w udziale zilustrowanie tej feralnej powieści. Okazało się wprawdzie, że z powodu złego stanu zdrowia nie będzie w stanie wywiązać się z umowy, przypuszczałem jednak, że zatrudniając go, Dickens przede wszystkim chciał zapewnić zięciowi (a więc i swojej córce) jakiś dochód. Domyślałem się również, że chciał znaleźć obolałemu Charleyowi jakieś zajęcie poza polegiwaniem w Gad's Hill Place bez pracy, zwłaszcza że w tym okresie na sam jego widok dostawał białej gorączki.

Zasiadając w tym czasie do pisania powieści w odcinkach, Dickens złamał nienaruszalną wcześniej zasadę zakazującą mu łączenia pracy nad książką z występami publicznymi lub przygotowaniami do nich, ponieważ ostatnie dwanaście pożegnalnych wieczorów autorskich, które wybłagał u lekarzy, zaplanowano na sam początek nowego roku.

Mnie pisało się *Męża i żonę* lekko, łatwo i przyjemnie, w czym ogromnie pomagały mi comiesięczne listy od Caroline, w których opisywała ogrom niegodziwości doznawanych ze strony hydraulika. Będąc osobnikiem zazdrosnym, Joseph Clow zamykał ją w piwniczce na węgiel za każdym razem, gdy na dłużej wychodził z domu. Będąc pijaczyną, po alkoholu bił ją i kopał. Będąc fanfaronem, zapraszał znajomych na tęgie popijawy i grę w karty, po czym obrzucał Caroline wyzwiskami i razem z innymi łajdakami drwił z niej, gdy spłoniona usiłowała skryć się w swoim pokoju – zwłaszcza że zdjął w nim drzwi z zawiasów, właśnie po to, żeby nie mogła się w nim schować. Będąc maminsynkiem, pozwalał swojej matce regularnie obrażać Caroline, a ją samą był gotowy trzepnąć w ucho, gdyby poważyła się odpowiedzieć choćby hardym spojrzeniem.

Na wszystkie te świadectwa nieszczęścia odpowiadałem zdawkowym, uprzejmym potwierdzeniem odbioru i wyrażanym jak najoględniej współczuciem (przesyłałem listy – jak zwykle – za pośrednictwem Carrie, mając nadzieję, że Caroline pali je po przeczytaniu, bo Clow mógłby ją zabić, gdyby się dowiedział, że do niej pisuję), ale szczegóły i ton jej słów trafiały prosto na karty *Męża i żony.*

Mój powieściowy uwodziciel Geoffrey Delamayn był (a dla mojego literackiego oka nadal jest) cudowną postacią: długodystansowiec o idealnej budowie ciała i maciupeńkim móżdżku, wszechstronny sportowiec, nieuk po Oksfordzie, prymityw, łotr, potwór.

Od pierwszych odcinków krytycy okrzyknęli *Męża i żonę* książką gorzką i pełną złości. I powiem Ci, Drogi Czytelniku, że mieli całkowitą rację. Była to również książka niezwykle szczera. Przelewałem w nią nie tylko swoją wściekłość na

myśl o schwytaniu w małżeński potrzask – tak jak Caroline usiłowała mnie schwytać wcześniej, a Martha R., znana jako „pani Dawson”, próbowała w dalszym ciągu – lecz także słuszny gniew na los, jaki spotykał Caroline z brudnych rąk – i pięści – chama i prostaka, którego w końcu udało się jej usidlić.

Dickensowska *Tajemnica Edwina Drooda* nie była książką gorzką ani pełną złości, lecz prawdy i osobiste objawienia, które w niej zawarł, okazały się (o czym przekonałem się dużo później) o wiele bardziej zdumiewające od tych, które – jak sądziłem – tak otwarcie potraktowałem w swojej powieści.

Ostatnia jesień w życiu Dickensa dobiegła końca, a on pracował rzetelnie przez całą zimę, aż do nadejścia wiosny. W taki właśnie sposób my, pisarze, oddajemy dni, lata i dekady życia w zamian za stosy papieru pokrytego zawijasami i gryzmołami. Kiedy zaś przychodzi chwila śmierci, jakże wielu z nas zamieniłoby te stronice i cały ten czas, z mozołem roztrwoniony na zawijasy i gryzmoły, na choćby jeszcze jeden dzień przeżyty pełnią życia. Jaką cenę bylibyśmy gotowi zapłacić za taki dodatkowy dzień spędzony w towarzystwie tych, na których nie zwracaliśmy uwagi, pochłonięci kreśleniem zawijasów i gryzmołów w aroganckich latach solipsystycznego odosobnienia?

Czy oddalibyśmy te kartki w zamian za jedną godzinę? Albo wszystkie nasze książki – za jedną prawdziwą minutę?

***

Nie zostałem zaproszony na Boże Narodzenie do Gad’s Hill Place. Mój brat udał się tam z żoną, ale ponieważ zupełnie wypadł był z łask Pana Niezrównanego, wrócili do domu zaraz po pierwszym dniu świąt. Pod koniec listopada Dickens skończył pisać drugi odcinek *Tajemnicy Edwina Drooda* i naciskał Charleya, żeby ten jak najszybciej przygotował ilustracje na okładkę i do środka książki. Charley jednak – po naszkicowaniu okładki w oparciu o przedstawione przez

pisarza (często mętne) streszczenie fabuły – doszedł do wniosku, że nie da rady pracować w tym tempie bez dalszego uszczerbku dla zdrowia. Nie kryjąc zniecierpliwienia (może nawet odrazy), Dickens czym prędzej pośpieszył do Londynu i po naradzie z wydawcą, Frederickiem Chapmanem, postanowili nająć nowego rysownika, niejakiego Luke'a Fildesa.

Ściśle rzecz biorąc, była to decyzja Dickensa (jak zwykle), tym razem oparta na opinii malarza Johna Everetta Millaisa, który, goszcząc w Gad's Hill Place, pokazał mu rysunek Fildesa w pierwszym numerze czasopisma zatytułowanego „The Graphic". W rozmowie z Dickensem w biurze Chapmana młody parweniusz miał czelność stwierdzić, że jest „surowy z natury", co w sposób szczególny predestynuje go (w przeciwieństwie do Charleya i wielu innych wcześniejszych rysowników, takich jak „Phiz", który szczególnie upodobał sobie sceny komiczne) do zilustrowania poważniejszych aspektów książek Pana Niezrównanego. Dickens zgodził się go nająć (spodobał mu się zarówno bardziej nowoczesny styl Fildesa, jak i jego powaga) i tym sposobem mój brat, po zaledwie jednej okładce i dwóch rysunkach do środka książki, zakończył karierę w roli ilustratora powieści Dickensa. Ponieważ jednak znajdował się już wtedy w prywatnym piekle swoich problemów gastrycznych, niespecjalnie się tym przejął (jeśli nie liczyć utraty stałych dochodów, co zdruzgotało plany młodych małżonków).

Mnie też, prawdę mówiąc, nie przeszkadzał brak zaproszenia do Gad's Hill Place na Boże Narodzenie, i to pomimo wielu lat hołdowania przyjemnie odwrotnej tradycji. Od brata i innych gości usłyszałem, że lewa stopa opuchła Dickensowi do tego stopnia, że większość pierwszego dnia świąt przesiedział w bibliotece z okładem na nodze, a gdy wieczorem zasiadł do kolacji, obrzmiałą i zabandażowaną kończynę musiał trzymać na specjalnie w tym celu podsuniętym krześle. Z pomocą drugiej osoby był w stanie przekuśtykać po kolacji do bawialni, gdzie cała rodzina

oddawała się tradycyjnym świątecznym grom i zabawom, tyle że tym razem jego udział ograniczył się (zgoła nietypowo, gdyż zawsze uwielbiał te rozrywki) do leżenia na sofie i śledzenia rywalizacji wśród krewnych.

Na Sylwestra przyjął zaproszenie do spędzenia piątku i soboty (Nowy Rok wypadał w sobotę) w luksusowych apartamentach Forstera, mimo że – jak twierdził Percy Fitzgerald, który usłyszał o tym od Willsa, który dowiedział się od samego Forstera – obolała lewa stopa (cały czas obłożona okładami i zabandażowana) i ręka wciąż dawały się Dickensowi we znaki. Sam pisarz, lekceważąc swoje cierpienie, odczytał im drugi odcinek *Edwina Drooda* z taką swadą i w tak świetnym humorze, że gdyby Fildes chciał się kierować wyłącznie powagą scen przy wyborze tych wartych zilustrowania, miałby twardy orzech do zgryzienia.

Dickens z tradycyjną u niego precyzją zaplanował triumfalne zakończenie lektury dokładnie w chwili, gdy zegary biły godzinę dwunastą. Tym sposobem rok 1870 rozpoczął się dla niego tak samo, jak miała wyglądać reszta jego życia – połączeniem okrutnego bólu i głośnego aplauzu.

Miałem ochotę wyprawić kolejne przyjęcie sylwestrowe przy Gloucester Place 90, pamiętałem jednak, że przed rokiem wypadło ono nieszczególnie. Poza tym straciłem moich ulubionych potencjalnych gości, czyli Lehmannów i Beardów (ich dzieci zezłościły się na mnie po tym, jak wyjawiłem prawdę o sportowcach, a na dodatek czułem się niezręcznie, przebywając publicznie w towarzystwie Bearda, który latem przyjmował poród Marthy R.), postanowiłem zatem spędzić ten wieczór z bratem i bratową.

***

Było cicho – wyraźnie słyszeliśmy tykanie dwóch najgłośniejszych zegarów. Charley poczuł się źle i w połowie kolacji wymówił się od dalszego posiłku, poszedł na górę, do sypialni, i położył się do łóżka. Obiecał, że postara się obudzić i znów do nas dołączyć przed północą, lecz ja,

widząc grymas bólu na jego twarzy, poważnie w to wątpiłem.

Kiedy wstałem od stołu i zasugerowałem, że w takim razie pójdę już sobie (byłem jedynym gościem), Kate praktycznie rozkazała mi zostać. Nie byłoby w tym nic dziwnego (wspominałem już chyba o tym, że dopóki mieszkałem z Caroline, często zdarzało mi się wychodzić do teatru lub gdzie indziej i bez zastanowienia zostawiać ją w domu w towarzystwie naszych gości płci męskiej), gdyby nie fakt, że od ponad roku – od dnia ślubu Caroline – w nasze stosunki wkradła się odrobina napięcia.

Na dodatek Kate wypiła sporo wina przed kolacją i w jej trakcie, a następnie podała brandy, gdy po posiłku przenieśliśmy się do salonu, gdzie tykanie zegara rozbrzmiewało najgłośniej. Nie zaczęła jeszcze bełkotać (była mistrzynią samokontroli), lecz po sztywności sylwetki i lekkim stężeniu rysów poznawałem, że odczuwa wpływ alkoholu. Dziewczyna, którą przez lata znałem jako Katey Dickens, znalazła się (w wieku blisko trzydziestu lat) o krok od przeobrażenia się w zgorzkniałą staruchę.

– Wilkie… – odezwała się niespodziewanie. W małym, mrocznym wnętrzu, za zaciągniętymi zasłonami, jej głos wydał mi się wstrząsająco głośny. – Wiesz, czemu w październiku ojciec zaprosił cię do Gad’s Hill Place?

Będę szczery: zabolało mnie to pytanie. Nigdy przedtem Dickens nie potrzebował powodu, żeby mnie do siebie zapraszać. Zaciągnąłem się aromatem brandy, żeby ukryć zmieszanie, i odparłem z uśmiechem:

– Pewnie chciał mi przeczytać początek swojej nowej powieści.

Kate machnęła ręką w dość lekceważący sposób.

– Bynajmniej, Wilkie. Przypadkiem wiem, że ten zaszczyt zarezerwował dla swojego drogiego przyjaciela pana Fieldsa, i był autentycznie wstrząśnięty, kiedy we dwóch zjawiliście się w bibliotece. Nie mógł ci jednak powiedzieć wprost, że to odczyt zamknięty dla publiczności, chociaż początkowo tak właśnie miało to wyglądać.

O, teraz naprawdę poczułem się urażony. Tłumacząc sobie,

że Kate jest wstawiona, próbowałem nie tracić dobrego humoru.

– Ach tak… – powiedziałem z udawanym rozbawieniem. – Powiedz mi zatem, Katey, dlaczego mnie wtedy zaprosił?

– Dlatego że Charles (twój brat, a mój mąż) ogromnie się niepokoił tym, że ty i mój ojciec tak bardzo się od siebie oddaliliście – odparła z zapałem. – Ojciec miał nadzieję, że wspólny weekend w Gad’s Hill przynajmniej częściowo uciszy te pogłoski i poprawi Charlesowi nastrój. Niestety, ani jedno, ani drugie się nie powiodło.

– Wcale się nie oddaliliśmy, Katey.

– Też coś! – Znów to lekceważące machnięcie ręki. – Naprawdę ci się wydaje, Wilkie, że nie dostrzegam prawdy? Wasza przyjaźń praktycznie wygasła, ale nikt, ani w rodzinie, ani poza nią, nie wie dlaczego.

Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć, ograniczyłem się więc do sączenia brandy. Milczałem. Wskazówka minutowa głośnego kominkowego zegara stanowczo zbyt wolno pełzła ku północy.

Prawie podskoczyłem na fotelu, gdy Katey spytała niespodziewanie:

– Na pewno słyszałeś plotki o tym, że miewam kochanków?

– Absolutnie nie! – zaprzeczyłem.

Słyszałem, rzecz jasna – w klubie i nie tylko.

– To prawda. Próbowałam brać sobie kochanków… Nawet Percy’ego Fitzgeralda, zanim ożenił się z tą swoją małą kokietką: urocze dołeczki w policzkach, wielki biust i ani krzty rozumu.

Wstałem i odstawiłem kieliszek.

– Pani Collins… – zacząłem oficjalnym tonem. Dziwne, pomyślałem, zupełnie obca kobieta przejęła nazwisko i tytuł mojej matki. – Nie wykluczam, że przy tej uroczystej okazji oboje wypiliśmy nieco za dużo tego doskonałego wina i brandy. Są jednak rzeczy, których jako kochający brat Charlesa nie powinienem słuchać.

Roześmiała się i trzeci raz machnęła ręką.

– Na litość boską, Wilkie, siadaj. Siadajże! Bądź grzeczny.

Strasznie głupio wyglądasz, kiedy udajesz oburzonego. Charles wie, że miałam kochanków. I wie dlaczego. A ty?

Przyszło mi do głowy, że mógłbym wyjść bez słowa, ale zamiast tego tylko potulnie przysiadłem. Pamiętasz może, Drogi Czytelniku, że Kate próbowała już kiedyś, w Gad's Hill, nawiązać w rozmowie ze mną do plotki, jakoby jej małżeństwo z Charleyem nie zostało skonsumowane. Wtedy zmieniłem temat. Teraz mogłem co najwyżej odwrócić wzrok.

Poklepała mnie po splecionych dłoniach, które złożyłem na podołku.

– Biedactwo… – powiedziała. Myślałem, że mówi o mnie, ale myliłem się. – To nie jego wina. Naprawdę nie. Charles jest słaby pod wieloma względami. Ojciec… Znasz go. Nawet teraz, kiedy jest umierający, a naprawdę jest umierający, chociaż nikt, nawet doktor Beard, nie potrafi zdiagnozować jego choroby, pozostaje silny. Ma tej siły dość dla siebie i dla innych. To dlatego nie potrafi znieść widoku twojego brata przy stole. Zawsze odczuwał odrazę do słabości. To dlatego nie pozwoliłam ci wtedy dokończyć tych żałosnych oświadczyn, które miałyby stać się wiążące po śmierci Charlesa. To było wieczorem tego dnia, kiedy ta… kobieta w twoim życiu… wyszła za mąż.

Znowu wstałem.

– Naprawdę, na mnie już czas, Kate. A ty powinnaś iść na górę i przed północą zajrzeć do męża. Może potrzebować twojej pomocy. Życzę wam obojgu wszystkiego najlepszego w nowym roku.

Wstała, ale nie wyszła za mną do przedpokoju.

Sam włożyłem płaszcz i kapelusz i znalazłem swoją laskę; jedyna służąca wyszła zaraz po podaniu kolacji.

Wróciłem na próg saloniku, dotknąłem ronda kapelusza.

– Dobranoc, pani Collins. Dziękuję za przepyszną kolację i wyśmienitą brandy.

Katey stała z zamkniętymi oczami, gładząc palcami oparcie kanapy, żeby nie stracić równowagi.

– Wrócisz, Wilkie Collinsie. Ja cię znam. Kiedy Charley spocznie w grobie, wrócisz, zanim jego trup ostygnie.

Wrócisz jak pies, jak stary Sułtan ojca, i będziesz się za mną uganiał jak za suką w cieczce.

Jeszcze raz dotknąłem kapelusza i pośpiesznie, potykając się, opuściłem ich dom.

Było bardzo zimno, lecz pogodnie. Gwiazdy świeciły przeraźliwie jasno. Moje lakierki głośno chrzęściły na resztkach śniegu zalegających na chodnikach i bruku. Postanowiłem wrócić do domu pieszo.

Bicie dzwonów o północy kompletnie mnie zaskoczyło. W całym Londynie dzwony w kościołach i gmachach publicznych obwieszczały nadejście nowego roku. Gdzieś z oddali dobiegły mnie głosy podpitych hulaków, a od strony rzeki coś, co zabrzmiało jak wystrzał z muszkietu.

Mimo ciepłego szala nagle zrobiło mi się zimno w twarz. Dłonią w rękawiczce dotknąłem policzka i ze zdumieniem stwierdziłem, że płaczę.

***

Pierwszy wieczór autorski Dickensa z pożegnalnej serii londyńskich spotkań z czytelnikami miał miejsce jedenastego stycznia w St James s Hall. Do końca miesiąca miały się odbywać po dwa takie spotkania tygodniowo (we wtorki i piątki), a od lutego jedno, aż do zakończenia cyklu w połowie marca.

Oczywiście, Frank Beard i inni lekarze byli tym planom stanowczo przeciwni, a jeszcze bardziej kręcili nosem na perspektywę regularnych przejazdów Dickensa koleją. Chcąc ich udobruchać, Dickens wynajął więc dom Milnera Gibsona przy Hyde Park Place 5 (naprzeciw Marble Arch) na okres od stycznia do końca maja. Oficjalnie zrobił to dla swojej córki Mary, która zimą i wiosną zaczęła bardziej udzielać się towarzysko i potrzebowała lokum na miejscu, w Londynie.

Ponieważ obaj przebywaliśmy w tym okresie w mieście, można by się spodziewać, że będziemy się spotykać często, jak za dawnych czasów – tyle że w chwilach wolnych od występów publicznych Dickens pracował nad swoją

powieścią, a ja cały czas byłem zajęty swoją.

Frank Beard zaproponował, żebym dołączył do niego i Charleya Dickensa w roli słuchacza na występach Pana Niezrównanego. Odmówiłem ze względu na nawał obowiązków i nie najlepszy stan zdrowia. Beard, obecny na każdym z tych spotkań w roli lekarza dyżurnego, przyznał mi, że naprawdę boi się o Dickensa, który w każdej chwili może umrzeć na scenie. Podczas pierwszego z tych wieczorów zwrócił się do Charleya:

– Kazałem dostawić schodki z boku sceny. Musisz być obecny na wszystkich występach ojca. Jeżeli zobaczysz, że słabnie, natychmiast pomóż mu zejść za kulisy i jak najszybciej dostarcz go do mnie. W przeciwnym wypadku umrze na oczach widzów, jak mi Bóg miły.

Pierwszego wieczoru Dickens nie umarł.

Przeczytał fragment z *Dawida Copperfielda* oraz niezmiennie popularną scenę rozprawy z *Klubu Pickwicka.* Wieczór – wedle jego własnej późniejszej relacji – „wypadł wręcz kapitalnie”.

Później jednak, gdy Pan Niezrównany zległ w garderobie na kanapie, Beard stwierdził, że tętno skoczyło mu z tradycyjnych siedemdziesięciu dwóch do dziewięćdziesięciu pięciu uderzeń na minutę. Kłopoty z tętnem powtarzały się podczas wszystkich następnych wieczorów, a także po ich zakończeniu.

Dickens zaplanował dwa spotkania na popołudnie, a jedno nawet na rano – na specjalne życzenie aktorów i aktorek, którzy koniecznie chcieli go zobaczyć na scenie, a nie mogli przyjść wieczorem. To właśnie w czasie tego niezwykłego porannego spotkania, dwudziestego pierwszego stycznia, kiedy na widowni zaroiło się od rozszczebiotanych aktoreczek, Dickens pierwszy raz po przerwie znów odegrał scenę morderstwa. Kilkanaście kwiatuszków zemdlało, jeszcze większą ich liczbę trzeba było wyprowadzić z sali; nawet niektórzy aktorzy płci męskiej głośnymi krzykami obwieszczali swoje wzburzenie.

Dickens był zbyt wyczerpany, żeby po występie cieszyć się

z takiej reakcji publiczności. Beard powiedział mi później, że już rankiem tętno pisarza – podekscytowanego perspektywą zamordowania Nancy – sięgnęło dziewięćdziesięciu uderzeń na minutę. Kiedy później, po zejściu ze sceny, Pan Niezrównany leżał na kanapie i z trudem łapał oddech („Dyszał jak człowiek na łożu śmierci”, tak to dokładnie ujął Beard), jego puls wyniósł sto dwanaście, by po kwadransie opaść tylko do stu.

Dwa dni później, podczas ostatniego spotkania z Carlyle’em, Dickens miał już lewą rękę na temblaku.

Kontynuował jednak spotkania autorskie zgodnie z planem – a jego puls systematycznie rósł, osiągając sto czternaście uderzeń na minutę, potem sto osiemnaście, w końcu sto dwadzieścia cztery.

Podczas każdej przerwy dwaj wynajęci przez Bearda silni mężczyźni przenosili Pana Niezrównanego do garderoby, gdzie odpoczywał (tak zasapany, że nie był w stanie artykułować i z jego piersi dobywały się tylko pozbawione sensu monosylaby i inne niespójne dźwięki) przez co najmniej dziesięć minut, zanim zebrał dość sił, żeby wypowiedzieć choć jedno kompletne zdanie. Z pomocą Bearda lub Dolby’ego wypijał wtedy kilka łyków rozcieńczonej wodą brandy, po czym wstawał, wkładał świeży kwiat w butonierkę i wracał na scenę.

Po każdym występie jego tętno osiągało nowe wyżyny.

W pierwszy marcowy wieczór 1870 roku po raz ostatni przeczytał słuchaczom fragment swojego ukochanego *Dawida Copperfielda*. Ósmego marca ostatni raz zamordował Nancy.

Kilka dni później przy Picadilly wpadłem przypadkiem na Charlesa Kenta, który przy obiedzie przyznał mi się, że idąc na scenę przed tym ostatnim mordem, Dickens szepnął mu na ucho:

– Rozedrę się na strzępy.

Frank Beard twierdził, że Dickens już wcześniej rozdarł się na strzępy, ale pisarz, niezrażony, kontynuował swoje wieczory literackie.

W połowie marca (a więc w okresie, gdy najsilniej zaczynał odczuwać trudy cyklu spotkań) królowa wezwała go na audiencję do Pałacu Buckingham.

Ani w dniu audiencji, ani nawet poprzedniego wieczoru Dickens nie był w stanie chodzić o własnych siłach, ale jakoś udało mu się dokuśtykać przed oblicze Jej Wysokości. Obowiązująca na dworze etykieta zabraniała mu usiąść (rok wcześniej wiekowy Carlyle, który dostąpił tego samego zaszczytu, oznajmił, że jest człowiekiem starym i niedołężnym, przysunął sobie krzesło i po prostu usiadł – i do diabła z etykietą), stał więc przez całe spotkanie. Królowa również stała, ale mogła przynajmniej lekko wspierać się na oparciu sofy, którego to luksusu odmówiono słaniającemu się z bólu pisarzowi.

Do spotkania doszło między innymi dlatego, że Dickens pokazał przywiezione zza oceanu fotografie z amerykańskiej wojny domowej niejakiemu Arturowi Helpsowi, sekretarzowi królewskiej Tajnej Rady, a ten napomknął o nich Jej Wysokości. Wówczas Dickens przesłał zdjęcia bezpośrednio królowej, a przy okazji, z właściwym sobie szelmostwem, napisał do nieszczęsnego Helpsa list, w którym udał, że przypuszcza, że wezwanie do pałacu ma związek z planowanym nadaniem mu tytułu baroneta:

> *Życzylibyśmy sobie, aby – przez wzgląd na boskiego Williama i jego Falstaffa – nasz pełny tytuł brzmiał „baronet Gad's Hill Place". Które to zastrzeżenie poczyniwszy, załączam swoje błogosławieństwo i wyrazy wybaczenia.*

Ponoć pan Helps i inni dworzanie nie posiadali się z zakłopotania, jak mogło dojść do takiego nieporozumienia, dopóki ktoś nie objaśnił im, jak niezwykłym poczuciem humoru odznacza się Pan Niezrównany.

Audiencję u królowej Dickens szybko sprowadził na kwestię proroczego snu Abrahama Lincolna, jaki miał się ponoć przyśnić prezydentowi w przeddzień zamachu na jego życie. Było oczywiste, że bardzo zajmują go takie zwiastuny

rychłej śmierci, bo temat snu Lincolna poruszał wówczas w rozmowach z wieloma przyjaciółmi.

Jej Wysokość przypomniała mu pewien wieczór sprzed trzynastu lat, kiedy to zaszczyciła swoją obecnością inscenizację *Zamarzniętej otchłani.* Przez chwilę dyskutowali o domniemanym losie ekspedycji Franklina i przebiegu eksploracji Arktyki, po czym – nie wiedzieć jak i kiedy – rozmowa zeszła na wiecznie aktualny temat kłopotów ze służbą. Dalej było o edukacji, a następnie o niebotycznych cenach mięsa u rzeźników.

Mogę sobie tylko wyobrażać (podobnie jak Ty, Drogi Czytelniku, którego od tych wydarzeń dzielą całe dekady), jak mogło wyglądać i brzmieć to spotkanie: Jej Wysokość oparta o sofę („dziwnie nieśmiała… jak młoda dziewczyna", jak powiedział później Dickens Georginie) – i stojący naprzeciwko niej Dickens, wyprężony jak struna, z rękami założonymi za plecami, pozornie zrelaksowany, mimo że całą jego lewą rękę i nogę przeszywa pulsujący ból grożący w każdej chwili utratą równowagi lub przytomności.

Pod koniec audiencji Jej Wysokość przyznała ponoć półgłosem:

– Trzeba panu wiedzieć, że niezmiernie żałujemy, że nie było nam nigdy dane posłuchać, jak czyta pan ze swoich książek.

– Mnie również jest z tego powodu przykro, Wasza Wysokość, tym bardziej że zaledwie dwa dni temu po wielu latach definitywnie zakończyłem cykl spotkań z czytelnikami.

– Domyślamy się, że prywatne spotkanie tego rodzaju nie wchodziłoby w grę?

– Obawiam się, że nie, Wasza Wysokość. Zresztą, i tak wolałbym nie angażować się w takie prywatne spotkanie. Rzecz w tym, Wasza Wysokość, że dla powodzenia moich wieczorów autorskich niezbędna jest mieszana publiczność. Może w wypadku innych autorów sprawa wygląda inaczej, jednakże moje doświadczenia są właśnie takie.

– Rozumiemy to. Rozumiemy też, że ewentualna zmiana tej decyzji świadczyłaby o pańskiej niekonsekwencji. Tak się

składa, panie Dickens, że wiadomo nam, iż jest pan człowiekiem niezwykle wręcz konsekwentnym.

W tym miejscu Wiktoria uśmiechnęła się, a Dickens przyznał się potem Forsterowi, że był przekonany, że królowa nawiązuje w ten sposób do sytuacji sprzed trzynastu lat, kiedy to kategorycznie odmówił stawienia się przed nią w kostiumie i makijażu bezpośrednio po zejściu ze sceny, na której występował w farsie wystawianej zaraz po *Zamarzniętej otchłani.*

Na zakończenie spotkania królowa sprezentowała mu opatrzony autografem egzemplarz swoich *Kart z dziennika naszego życia w Szkocji* i poprosiła o przysłanie kompletu dzieł Dickensa.

– Najchętniej, jeśli to możliwe, otrzymalibyśmy je jeszcze dziś po południu – zaznaczyła.

Dickens uśmiechnął się, skłonił lekko i odparł:

– Ośmielę się jeszcze raz prosić o wyrozumiałość ze strony Waszej Wysokości, ale mając nieco więcej czasu, lepiej zadbam o stosowne oprawienie moich książek.

Później rzeczywiście przesłał królowej komplet swoich dzieł w safianowej oprawie ze złotymi tłoczeniami.

***

Ostatnie spotkanie z czytelnikami – to, o którym wspomniał królowej – odbyło się piętnastego marca. Odczytał wówczas urywek *Opowieści wigilijnej* oraz scenę rozprawy z *Klubu Pickwicka,* fragmenty szczególnie uwielbiane przez słuchaczy. Pierwszy raz w wieczorze autorskim wzięła udział jego wnuczka, malutka Mekitty. Kent opowiadał mi później, że cała się trzęsła, kiedy dziadek („Nestor”, jak go nazywała) przemawiał obcymi głosami, a potem uderzyła w niepohamowany płacz, kiedy zobaczyła, jak Nestor szlocha.

Ja również zasiadłem na widowni, choć przyszedłem bez zapowiedzi i wybrałem miejsce w głębi sali. Nie mogłem tego przegapić. Dotarło do mnie, że po raz ostatni na tym świecie angielska publiczność usłyszy Charlesa Dickensa

wcielającego się w Sama Wellera, Ebenezera Scrooge’a, Boba Cratchita i Małego Tima.

Sala zapełniła się do ostatniego miejsca; tłum zgromadził się przed oboma wejściami – od Regent Street i Picadilly – na kilka godzin przed rozpoczęciem spotkania. Charley, syn Dickensa, powiedział później mojemu bratu:

– Chyba nigdy przedtem nie czytał tak dobrze i z taką swobodą.

Byłem tam jednak i widziałem, ile wysiłku kosztował Dickensa ten wieczór. Gdy tylko scena sądu się skończyła, Pan Niezrównany – jak zawsze – po prostu zszedł za kulisy.

Publiczność oszalała. Owacja na stojąco graniczyła z histerią. Pisarz kilkakrotnie wracał na scenę, schodził z niej i dawał się przywołać z powrotem. W końcu uspokoił tłum i wygłosił krótką przemowę, nad którą z pewnością pracował od jakiegoś czasu i której przedstawienie wymagało od niego przezwyciężenia targających nim emocji. W świetle gazowych lamp łzy płynęły mu po policzkach. Z loży rodzinnej dobiegało zawodzenie wnuczki.

– Panie i panowie, ukrywanie faktu, że z wielkim bólem zamykam ten etap mojego życia, byłoby z mojej strony nie tylko próżnym trudem, lecz także przejawem nieczułości i hipokryzji.

Krótko opowiedział o piętnastu latach publicznych występów, które postrzegał jako swój obowiązek wobec czytelników i publiczności, a także o życzliwości i sympatii, z jakimi spotykał się ze strony słuchaczy. Jakby chcąc zrekompensować im teraz swoje zniknięcie, napomknął, że wkrótce ukaże się *Tajemnica Edwina Drooda*. Ludzie w takiej ciszy i z taką uwagą spijali słowa z jego ust, że nawet ta szczęśliwa nowina nie wywołała oklasków.

– Uciekam na zawsze – powiedział, podchodząc do stelaża z oświetleniem i milczącej (jeśli nie liczyć popłakiwania) publiki – od tych oślepiających lamp, z wami zaś, drodzy państwo, żegnam się serdecznie, z wyrazami szacunku, wdzięczności i czułości.

Utykając, zszedł ze sceny, na którą niemilknący aplauz

jeszcze raz go wywołał. Z twarzą mokrą od łez Charles Dickens przesłał widzom pocałunek i ostatni raz zniknął za kulisami.

Wracając pieszo na Gloucester Place, szedłem ulicami roszonymi przelotnym marcowym deszczem i ostro popijałem ze srebrnej piersiówki. W kieszeni miałem nowy, jeszcze nieotwarty list od Caroline Clow, z pewnością przynoszący nowe, szczegółowe opisy jej cierpień.

Publika Dickensa – rozwrzeszczana tłuszcza, którą widziałem i słyszałem tej nocy – z pewnością będzie nalegać, żeby po śmierci (kiedy ten ich przeklęty pupilek wreszcie umrze) pochowano go w opactwie westminsterskim obok wielkich poetów. To nie ulegało wątpliwości. Pogrzebią go tam, choćby mieli nieść trupa na własnych odzianych w szorstką wełnę ramionach i własnoręcznie wykopać mu grób.

Postanowiłem następnego dnia (w środę) zrobić sobie wolne od pisania, udać się do Rochester, do katedry, odszukać pana Dradlesa i poczynić ostatnie przygotowania do prawdziwej śmierci i prawdziwego pogrzebu Charlesa Dickensa.

Rozdział 46

– To ten – wyszeptał Dradles, poklepując jeden z wielu tworzących ścianę kamieni, które w półmroku wyglądały identycznie. – A to stosowne narzędzie. – Sięgnął głęboko za pazuchę i spomiędzy warstw flaneli, moleskinu i brudnego płótna wyciągnął łom długi jak moje przedramię. – Widzi pan, panie Billy Wilkie Collins, tę szczerbę u góry? Dradles specjalnie ją zrobił. Teraz pójdzie łatwo, jak otworzenie kluczem drzwi do domu.

Prawdę mówiąc, nie widziałem żadnej szczerby w zaprawie nad górną krawędzią bloku, ale płaska końcówka łomu namacała ją bezbłędnie. Dradles stęknął, a mnie owionęły rumowe opary, gdy całym ciężarem naparł na wolny koniec łomu. Kamień wrzasnął.

Piszę „wrzasnął”, Drogi Czytelniku, zamiast „zgrzytnął”, „zachrobotał” czy po prostu „wydał głośny dźwięk”, ponieważ hałas towarzyszący wyłuskaniu kamiennego bloku z jego odwiecznego miejsca spoczynku brzmiał jak kobiecy krzyk. Pomogłem Dradlesowi wysunąć go całkowicie (był zdumiewająco ciężki) i razem odstawiliśmy go na mroczne i omszałe kręcone schody. W świetle latarni ujrzałem prostokątny otwór, który z całą pewnością był za mały do moich celów.

Kiedy Dradles odrzucił łom na podłogę za moimi plecami, aż podskoczyłem.

– Proszę bardzo, pan zajrzy, pan się zapozna ze staruszkami – zagdakał kamieniarz i napił się z dzbanka, z którym się nie rozstawał.

Podniosłem latarnię i spróbowałem zajrzeć w głąb otworu. Nawet z bliska wciąż wydawał mi się za mały. Wolna przestrzeń pomiędzy zewnętrznym murem i pierwszą wewnętrzną ścianą wiekowej krypty miała niespełna stopę szerokości i chociaż widziałem, że jej dno znajduje się stopę lub dwie poniżej poziomu podłogi, na której przykucnąłem, to jednak po bokach prawie w całości wypełniały ją

potrzaskane kości, stare butelki i inne śmieci.

Z lewej strony, zza pleców, dobiegł mnie rechot Dradlesa. Najwyraźniej w świetle latarni zobaczył moją wstrząśniętą minę.

– Myśli pan, że za wąsko, co, panie Billy Wilkie Collins? Wcale nie. To doskonałe miejsce. Pan się przesunie.

Zrobiłem mu miejsce i Dradles – w kucki, kaczkowatym krokiem – przysunął się bliżej. Poklepał się po wypchanych kieszeniach i nie wiadomo skąd w jego prawej dłoni pojawiła się długa zwierzęca kość.

– Skąd pan to wziął? – spytałem szeptem.

– A zabrał Dradles z takiego jednego dużego psa w dole z wapnem, jakżeby inaczej. Przecież to Dradles tam sprząta, nieprawdaż? Pan patrzy i pan się uczy.

Wsunął trzymany w poprzek gnat (nie miałem pojęcia, czy naprawdę jest to kość psia, czy inna) w głąb otworu, skręcił dłoń w nadgarstku i rzucił kość w bok. Zaklekotała gdzieś w głębi, kilka stóp w bok od nas.

– Można by tu upchnąć całą psiarnię – powiedział nieco zbyt głośno. – Ale to nie o psach myślimy, żeby je dorzucić do staruszków, prawda?

Nic nie powiedziałem.

Dradles znów obmacał wszystkie warstwy swojego brudnego, przykurzonego ubrania… i już trzymał w garści ludzką czaszkę, pozbawioną tylko żuchwy.

– Kto to jest… to znaczy, był? – wyszeptałem. Byłem zły, że wąska przestrzeń odbiła mój głos echem w taki sposób, jakby drżał.

– Ach tak, imiona są ważne dla martwych, tylko że wcale nie dla nich, a dla żywych, co? – Dradles parsknął śmiechem. – Niech będzie „Yorick”.

Staruch chyba znów zobaczył wyraz mojej twarzy, bo roześmiał się w głos. Pijacki rechot poniósł się echem wśród krzyżowych sklepień nad naszymi głowami, ścian kręconej klatki schodowej, a także wszystkich niewyobrażalnych sal, tuneli i przepaści w zalegającej pod nami całkowitej ciemności.

– Pan Billy Wilkie Collins nie powinien zakładać, że kamieniarze nie znają i nie cytują Barda – szepnął Dradles. – Dalej, zobaczmy, jak skończy biedny Yorick.

Ostrożnie wcisnął czaszkę w głąb otworu, ujął ją mocniej w dłoń i rzucił daleko w lewo. Dźwięk, z jakim uderzyła o kamienie i potłuczone szkło, był niezapomniany.

– Czaszka jest najtwardsza – oznajmił pogodnie Dradles. – Kręgosłup, nawet jak kręgi nie potrzaskają, można skręcić w garści jak skamieniałego węża, można coś odłamać, ale czaszka… Gdzie czaszka wejdzie, tam cały człowiek się zmieści. Albo dziesięciu całych ludzi. Albo i stu. Dość się pan napatrzył, panie Billy Wilkie Collins?

– Tak.

– To niech pan teraz z łaski swojej pomoże Dradlesowi wstawić ten kamień na miejsce. A jak już pan tu skończy, to pan da znać staremu Dradlesowi. Dradles poprawi zaprawę. Ściana będzie wyglądała, jakby nikt jej nie tykał od czasów Noego.

Na górze, na smaganym marcowym wiatrem cmentarzu, dałem staremu kamieniarzowi trzysta funtów w banknotach o różnych nominałach. Kiedy je odliczałem, jego długi, suchy język co rusz wysuwał się z ust jak u jaszczura z Galapagos, zostawiając na zarośniętych policzkach i górnej wardze różowe placki na szarym tle.

– I do tego sto funtów rocznie – wyszeptałem. – Dożywotnio.

Spojrzał na mnie, mrużąc oczy, a kiedy przemówił, jego głos był stanowczo za głośny:

– Pan Billy Wilkie Collins nie myśli chyba, że staremu Dradlesowi trzeba płacić za milczenie, co? Dradles potrafi milczeć jak każdy dobry człowiek. Albo jak każdy zły, nawiasem mówiąc. Jeżeli ktoś, kto zrobił to, co pan planuje, myśli, że musi płacić za milczenie, to zaraz może pomyśleć, żeby zrobić to, co zrobił, jeszcze raz, i sobie to milczenie zagwarantować. Ale to by był błąd, panie Billy Wilkie. Wielki błąd. Dradles opowiedział o całej sprawie swojemu pomagierowi i kazał mu przysiąc, że będzie milczał jak grób,

bo inaczej padnie ofiarą gniewu Dradlesa, ale on wie, proszę pana. On wie. I powie innym, gdyby coś się miało przytrafić jego staremu, wiernemu druhowi Dradlesowi.

Przypomniałem sobie tego pomagiera – głuchoniemego półgłówka, jeśli mnie pamięć nie myliła.

– Bzdura – odparłem. – Proszę to potraktować jako rentę, doroczne wynagrodzenie za pańskie usługi i inwestycję w nasz wspólny…

– Dradles wie, co to jest renta. Tak samo jak wie, że stary Yorick, cośmy go tam na dole zostawili, był niewyczerpanym źródłem żartów, Horacjo. Pan da po prostu znać Dradlesowi, kiedy Dradles ma ten kamień zamurować na całą wieczność.

Z tymi słowami odwrócił się na zdartych obcasach i odszedł. Nie odwracając się, dotknął jeszcze tylko ronda czegoś, co w przeszłości mogło być kapeluszem.

***

Wyniki sprzedaży *Męża i żony* nie były tak imponujące jak *Kamienia Księżycowego*. Ludzie nie ustawiali się w kolejkach po nowe odcinki. Opinie krytyków były chłodne, żeby nie rzec: wrogie. Zgodnie z moimi przewidywaniami, angielskich czytelników rozeźliły wierne i precyzyjne opisy okrucieństw, jakich dopuszczał się mój muskularny chrześcijanin. Wieści od braci Harperów z Nowego Jorku sugerowały zaś, że Amerykanów niespecjalnie interesuje, a jeszcze mniej oburza niesprawiedliwość naszego angielskiego prawa, które dopuszczało – a nawet promowało! – zastawianie sideł na przyszłego współmałżonka.

Zupełnie mi to nie przeszkadzało.

Jeżeli nie czytałeś mojego *Męża i żony,* Drogi Czytelniku z odległej przyszłości (aczkolwiek mam szczerą nadzieję, że mimo upływu stu i więcej lat książka ta nadal jest drukowana), pozwól, że w tym miejscu dam Ci jej przedsmak. W scenie z rozdziału pięćdziesiątego czwartego (strona 226 pierwszego wydania) nieszczęsnej Hester Dethridge przytrafia się przerażające (przynajmniej dla mnie)

spotkanie:

> *Stwór wyśliznął się ukradkiem, mroczny jak cień w przyjemnie ciepłym blasku słońca. Z początku widziałam tylko niewyraźny zarys kobiecej sylwetki, który jednak z każdą chwilą stawał się coraz lepiej widoczny, jakby coś rozświetlało go od wewnątrz, coraz jaśniej i jaśniej, aż w końcu stanęła przede mną MOJA WŁASNA POSTAĆ, identyczna, jakbym stała naprzeciw lustra. Mój duplikat spojrzał na mnie moimi własnymi oczami. I przemówił moim głosem:*
>
> *– Zabij go.*

„Cassell's Magazine" zapłacił mi pięćset funtów zaliczki (moje łączne wynagrodzenie wyniosło siedemset pięćdziesiąt funtów). Zadbałem również o opublikowanie *Męża i żony* w trzech tomach w wydawnictwie F.S. Ellis, poczynając od dwudziestego siódmego stycznia. Mimo umiarkowanych wyników sprzedaży w Ameryce, w „Harper's" byli tak zachwyceni pierwszymi odcinkami, że zgoła nieoczekiwanie przysłali mi czek opiewający na pięćset funtów. Poza tym, od początku pisałem *Męża i żonę* z myślą o adaptacji scenicznej (w pewnym sensie zarówno ta, jak i późniejsze moje powieści były prawie gotowymi sztukami teatralnymi) i liczyłem na szybki zysk także ze spektakli na scenach angielskich i amerykańskich.

Wystarczy to porównać z literacką niemocą Charlesa Dickensa trwającą przez cały ostatni rok, a nawet dłużej.

Tym bardziej zirytowałem się pewnego majowego dnia, gdy, zaszedłszy do redakcji „All the Year Round" przy Wellington Street, żeby porozmawiać (stanowczo) z Willsem lub młodym Dickensem o odzyskaniu praw majątkowych do moich książek, nie zastałem ich (obaj akurat wyszli na obiad), a błąkając się po biurze, jak to miałem w zwyczaju, napatoczyłem się na przedstawione przez Dolby'ego i Forstera rozliczenie kosztów spotkań literackich Dickensa.

Było to kompletne zestawienie, obejmujące wszystkie

wieczory literackie Pana Niezrównanego. Na jego widok skarabeusz za moim prawym okiem wyraźnie się ożywił, a ja poczułem, jak na moim czole zaciska się żelazna obręcz nieznośnego bólu głowy. I w takich właśnie narastających męczarniach przeczytałem następujące informacje, spisane drobnym pismem Dolby'ego i ułożone w schludne słupki.

Przez lata Dickens wziął udział w czterystu dwudziestu trzech biletowanych spotkaniach autorskich. Podczas stu jedenastu jego menedżerem był Arthur Smith, następne siedemdziesiąt zorganizował Thomas Headland, a ostatnimi dwustu czterdziestoma dwoma zajmował się Dolby. Za czasów Smitha i Headlanda Dickens najwyraźniej nie prowadził szczegółowych rozliczeń, ale wiosną tego roku oszacował swoje zyski z tego okresu na dwanaście tysięcy funtów. Przy Dolbym zarobił trzydzieści trzy tysiące funtów. Łączna suma sięgała więc czterdziestu pięciu tysięcy funtów (ponad sto funtów za każdy wieczór), co, według załączonej do dokumentu adnotacji Dickensa, równało się prawie połowie jego aktualnego majątku, którego wartość szacowano na dziewięćdziesiąt trzy tysiące funtów.

Dziewięćdziesiąt trzy tysiące. A ja przez cały poprzedni rok i prawie połowę bieżącego zmagałem się z kłopotami finansowymi – na skutek osobistego zaangażowania w teatralną produkcję *Czarnego i białego,* zbyt wysokich pożyczek udzielonych Fechterowi, kosztów utrzymania luksusowego domu przy Gloucester Place (w tym pensji dla dwojga służących i dochodzącej kucharki), hojną ręką opłacanych drobnych wydatków Marthy R., a zwłaszcza podyktowanej względami zdrowotnymi konieczności kupowania znacznych ilości opium i morfiny. Jak napisałem rok wcześniej do Fredericka Lehmanna, kiedy zaproponował mi pożyczkę: „Sztuka wymaga wyrzeczeń. Niech szlag trafi sztukę!".

***

Z powodu paskudnej pogody wracałem z Wellington

dorożką, gdy nagle na Strandzie dostrzegłem brnącą w deszczu Mary, córkę Dickensa. Kazałem stangretowi się zatrzymać, wybiegłem do niej i dowiedziałem się, że idzie piechotą, sama i bez opieki (wracała do domu Milnera Gibsona z obiadu na mieście), ponieważ nie udało jej się złapać dorożki. Zabrałem ją do swojego pojazdu, zabębniłem laską w dach i zawołałem do stangreta:

– Hyde Park Place, numer piąty, naprzeciwko Marble Arch.

Kiedy Mamie opadła na tapicerowane siedzenie (podałem jej dwie czyste chusteczki, żeby przetarła przynajmniej twarz i ręce), a ja ujrzałem jej zaczerwienione oczy, zrozumiałem, że płakała. Dorożka powoli sunęła na północ w potoku pojazdów, a my rozmawialiśmy. Tego dnia deszcz wyjątkowo natarczywie łomotał o dach.

– Jakiś ty uprzejmy… – zaczęła zrozpaczona młoda kobieta (aczkolwiek w zaawansowanym wieku trzydziestu dwóch lat trudno już było nazwać ją „młodą”). – Zawsze byłeś taki dobry dla naszej rodziny, Wilkie.

– Inaczej być nie może – mruknąłem. – Nie po tym, jak na przestrzeni lat zaznałem z waszej strony bezgranicznej dobroci.

Zalewany deszczem stangret pokrzykiwał i strzelał z bata, nie na swoją szkapę jednak, lecz na woźnicę platformy towarowej, która zajechała mu drogę.

Mamie chyba mnie nie słuchała. Oddała mi mokre od deszczu i łez chusteczki, westchnęła i mówiła dalej:

– Byłam przedwczoraj na balu, wiesz? Wybawiłam się za wszystkie czasy! Tak było wesoło! Ojciec miał mi towarzyszyć, ale w ostatniej chwili okazało się, że nie będzie w stanie…

– Nie przez wzgląd na stan zdrowia, mam nadzieję?

– Niestety, tak. Powiedział, że ta stopa, tu użyję jego własnych słów, musisz mi wybaczyć, to „jeden wielki wór bólu”. Z najwyższym trudem udaje mu się codziennie dokuśtykać do biurka, przy którym pisze.

– To przerażające, co mówisz, Mamie.

– Wszyscy jesteśmy przerażeni. Dzień przed balem ojciec

przyjął gościa, pewną młodziutką dziewczynę z ambicjami literackimi, z polecenia lorda Lyttona. Opowiadał jej właśnie, jak wielką przyjemność sprawia mu pisanie i publikowanie w odcinkach nowej książki, tej o Droodzie, gdy ta parweniuszka wypaliła bezczelnie: „A co by się stało, gdyby pan umarł, nie skończywszy jej?”.

– Oburzające – mruknąłem.

– Otóż to! Na to ojciec… Wiesz, jaki on czasem jest w rozmowie: niby się uśmiecha, ale nagle zaczyna patrzeć gdzieś w dal… „No tak”, przytaknął. „Czasem też o tym myślę”, dodał. Dziewczyna się zawstydziła…

– Bardzo słusznie.

– Niby tak, ale kiedy ojciec zobaczył, jaka jest zakłopotana, zniżył głos i bardzo łagodnie powiedział: „Nie pozostaje mi nic innego, jak po prostu pracować. Pracować, dopóki dzień trwa”.

– Celne – przyznałem. – Każdy pisarz by się z nim zgodził w tej kwestii.

Mamie zajęła się poprawianiem czepka i układaniem mokrych, oklapniętych loków, dzięki czemu miałem chwilę, żeby zastanowić się nad raczej niewesołą przyszłością obu córek Dickensa. Katey wyszła za poważnie chorego młodego człowieka i stała się podwójnym towarzyskim wyrzutkiem: najpierw przez to, że jej ojciec porzucił matkę, a następnie ze względu na własne zachowanie i flirty. Jej język zawsze wydawał się zbyt ostry albo całej śmietance towarzyskiej, albo przynajmniej potencjalnym kandydatom do małżeństwa. Mamie, mniej inteligentna od siostry, też walczyła (często desperacko) o społeczną akceptację, ale zawsze obracała się gdzieś na obrzeżach socjety, w tyglu złośliwych plotek, jakby zaprzeczając politycznym poglądom ojca, zachowaniu siostry i swojemu staropanieństwu. Ostatnim poważnym pretendentem do jej ręki był Percy Fitzgerald, który jednak – jak ujęła to w Sylwestra Katey – zadowolił się tą swoją „małą kokietką” i tym sposobem zaprzepaścił ostatnią szansę wżenienia się w ród Dickensów.

– Z wielką przyjemnością wrócimy do Gad’s Hill Place –

powiedziała nagle Mamie, kiedy uporała się z poprawianiem przywiędłej spódnicy i doprowadziła koronkowy stanik sukienki do przyzwoitego stanu.

– Wyjeżdżacie z domu Milnera Gibsona? Tak szybko? Wydawało mi się, że Charles wynajął go na dłużej.

– Tylko do pierwszego czerwca. Ojcu strasznie się śpieszy do powrotu. Chce, żeby jeszcze przed latem dom w Gad's Hill ożył i żebyśmy wszyscy się szczęśliwie rozgościli już drugiego albo trzeciego czerwca. Właściwie do jesieni nie będzie miał już po co jeździć do miasta, rozumiesz. Strasznie przeżywa podróże koleją, Wilkie, strasznie. Poza tym, Ellen będzie go tam mogła łatwiej odwiedzać niż tutaj, w mieście.

Zamurowało mnie. Zdjąłem okulary i przetarłem je jedną z mokrych chusteczek, żeby ukryć zaskoczenie.

– To panna Ternan nadal odwiedza go w Gad's Hill? – zapytałem z udawaną obojętnością.

– Ależ tak, od paru lat jest regularnym gościem. Na pewno twój brat albo Katey ci o tym mówili, Wilkie. Właściwie, jak się nad tym zastanowić, to aż dziwne, że nie bywasz u ojca w tym samym czasie, co ona. No, ale jesteś zapracowanym człowiekiem.

– Owszem.

Zatem Ellen Ternan nadal regularnie bywała w Gad's Hill. A to niespodzianka. Byłem przekonany, że Dickens kazał córkom przysiąc, że będą milczeć jak grób (byłby to kolejny pretekst do ich społecznego ostracyzmu), a niemądra Mamie się zapomniała. Albo zakładała, że w dalszym ciągu jestem tak bliskim przyjacielem ojca, że mnie również wtajemniczył w tę sprawę.

I wtedy uświadomiłem się, że nikt z nas – przyjaciół Dickensa, jego krewnych, nawet jego biografów z odległej przyszłości, takiej jak Twoja, Drogi Czytelniku – nigdy nie pozna prawdy o jego niezwykłym związku z aktorką. Czy naprawdę pochowali we Francji swoje dziecko, jak domniemywałem, podsłuchawszy fragment ich rozmowy przed dworcem kolejowym w Peckham? Czy rzeczywiście żyli teraz jak brat i siostra, na wieki pogrzebawszy swoją

namiętność? I czy tę namiętność w ogóle kiedykolwiek przekuli w czyn? A może objawiła się teraz w nowej formie i pomalutku zbliżała do upublicznienia – na przykład, pod postacią skandalicznego rozwodu i drugiego małżeństwa starzejącego się pisarza? Czy to w ogóle możliwe, żeby Charles Dickens zaznał u boku kobiety szczęścia, które wymykało mu się przez całe naiwne, romantyczne, płomienne życie?

Jako powieściopisarza zżerała mnie ciekawość, ale reszta mojej natury miała odpowiedzi na te pytania głęboko w nosie. Drzemiący we mnie stary przyjaciel Dickensa bez większego przekonania życzył mu znalezienia tego szczęścia jeszcze za życia, poza tym jednak uważałem, że jego życie powinno szybko się zakończyć, a on sam powinien zniknąć – zaginąć, przepaść bez śladu, zostać startym z powierzchni ziemi, tak żeby nikt nigdy nie znalazł ciała i żeby wielbiące go tłumy nie mogły go pochować w opactwie west–minsterskim ani na jego dziedzińcu. To było niezwykle ważne.

Mamie coś tam sobie paplała o ludziach, z którymi tańczyła i flirtowała na balu, gdy wtem dorożka się zatrzymała, a ja przez ociekające deszczem okno ujrzałem Marble Arch.

– Odprowadzę cię do drzwi – zaofiarowałem się.

Wysiadłem pierwszy i podałem rękę głupiutkiej starej pannie.

– Och, Wilkie… – Chwyciła moją dłoń. – Ty naprawdę jesteś najuprzejmiejszym z ludzi.

***

Od tego przypadkowego spotkania minęło kilka dni, gdy pewnego wieczoru, wracając z Adelphi Theatre, usłyszałem, jak w głębi ciemnego zaułka coś na mnie syczy. Przystanąłem, odwróciłem się i – jak na dżentelmena zagrożonego napaścią nocnych zbirów przystało – w obronnym geście podniosłem laskę z wykonaną z brązu główką.

– Panie Collinsss… – zasyczała postać majacząca w wąskim prześwicie między domami.

Drood, pomyślałem. Serce zaczęło mi się tłuc w piersi jak oszalałe, puls załomotał w skroniach. Znieruchomiałem, niezdolny do ucieczki. Oburącz chwyciłem laskę.

Mroczny kształt postąpił dwa kroki w stronę wylotu uliczki, ale nie wynurzył się z mroku.

– Panie Collinsss… To ja, Reginald Barrisss.

Skinął na mnie, żebym podszedł bliżej.

Nie zamierzałem zagłębiać się w zaułek, stanąłem więc u wylotu tej czarnej, cuchnącej szpary w zabudowie i patrzyłem, jak czworobok światła z odległej latarni wyławia z ciemności twarz – ten sam brud, ta sama splątana broda, te same półprzymknięte oczy człowieka zaszczutego, nieustannie strzelające na boki. W półmroku ledwie błysnęły mi jego zęby, miałem jednak wrażenie, że są mocno zepsute. Detektyw Reginald Barris – niegdyś przystojny, dobrze zbudowany i pewny siebie – zmienił się w zagadkową i bojaźliwą sylwetkę szepczącą do mnie z głębi ciemnej uliczki.

– Myślałem, że pan nie żyje – wyszeptałem.

– Niewiele mi brakuje – przyznał cień. – Wszędzie na mnie polują. Nie dają mi ssspać ani jeść. Ssstale muszę być w ruchu.

– Co nowego? – spytałem. Cały czas trzymałem laskę w pogotowiu.

– Drood i sssługi ussstalili dzień, w którym przyjdą po pańssskiego przyjaciela Dickensssa – wysyczał Barris.

Mimo dzielącej nas odległości trzech stóp czułem smród jego oddechu. Domyśliłem się, że przyczyną tego syczenia są brakujące zęby.

– Kiedy?

– Dziewiątego czerwca. Za niessspełna trzy tygodnie.

Piąta rocznica, pomyślałem. To miało sens.

– Powiedział pan „przyjdą po niego”. Co to znaczy? Chcą go zabić? Porwać? Uprowadzić do Podmiasta?

Brudna postać wzruszyła ramionami i naciągnęła kapelusz

na czoło. Jej twarz zniknęła w mroku.

– Co mam robić? – spytałem.

– Może go pan ossstrzec – wychrypiał Barris. – Ale przed nimi nie ucieknie. W żadnym kraju nie będzie bezpieczny. Kiedy Drood coś possstanowi, ssprawa jessst przegrana. Niech pan poradzi Dickensssowi, żeby uporządkował ssswoje ssprawy.

Moje serce nie zwalniało biegu.

– A pan? Można panu jakoś pomóc?

– Nie. Ja już jessstem trupem.

Zanim zdążyłem go jeszcze o coś zapytać, cofnął się i jakby rozpłynął w cuchnącej uliczce. Musiały gdzieś tam być schody do piwnicy, których stąd nie widziałem, ale wzrok podpowiadał mi, że Barris po prostu wsiąkł w bruk.

Dziewiąty czerwca. Jak mam do tego czasu zrealizować swoje plany związane z Dickensem? Obaj ciężko pracujemy nad nowymi książkami, on wkrótce wróci do Gad’s Hill Place… Jak mam go stamtąd wyciągnąć, żeby zrobić swoje? Jak zwabić w miejsce, w którym byłoby mi najwygodniej załatwić sprawę? I to jeszcze przed dziewiątym czerwca, rocznicą Staplehurst, kiedy to zawsze spotyka się z Droodem?

W oficjalnym i dość oschłym liście do Willsa zażądałem zwrotu praw majątkowych do wszystkich moich opowiadań i powieści, które na przestrzeni lat ukazały się w „All the Year Round”. W ostatnim tygodniu maja 1870 roku Dickens odpisał mi osobiście.

Biznesowa część listu była zdumiewająco przyjazna. Dickens zapewnił mnie, że właśnie przygotowują stosowne dokumenty i że choć w poprzednich umowach nie uwzględniono takiej możliwości, wszystkie prawa zostaną mi zwrócone za jednym zamachem.

Natomiast z kilku prywatnych, osobistych akapitów ziało smutkiem i tęsknotą. Dickens pisał między innymi tak:

> *Mój drogi Wilkie, nie odwiedzam Cię ostatnio, ponieważ nie chcę Ci się naprzykrzać. Może jednak Ty*

zechcesz się ze mną spotkać?

Kto wie?

To był idealny układ. Czym prędzej skreśliłem życzliwą odpowiedź, dołączając do niej prośbę o spotkanie „przy pierwszej dogodnej dla Ciebie sposobności, najlepiej przed nadejściem rocznicy, którą obchodzisz co roku w początkach czerwca”. Jeżeli nawet Dickens nie spali tego listu, jak miał to w zwyczaju czynić, sformułowanie powinno być wystarczająco niejasne dla ewentualnych przyszłych jego znalazców.

Po uzyskaniu pierwszego czerwca bardzo sympatycznej odpowiedzi twierdzącej skończyłem przygotowania i rozpocząłem finał trzeciego aktu dramatu.

Rozdział 47

Gdzie jestem?

W Gad’s Hill. Ale nie w samym Gad’s Hill Place, lecz po prostu w Gad’s Hill, gdzie Falstaff usiłował obrabować powóz, lecz został powstrzymany przez pięćdziesięciu zbirów (czyli w rzeczywistości księcia z przyjacielem) i niemal padł ich ofiarą, zanim zdążył w panice czmychnąć.

Wynajęty przeze mnie czarny powóz stoi przed „Falstaff Inn”. Przypomina karawan, nader stosownie. W cieniu wysokich drzew jest prawie niewidoczny, gdy na niebie dogasają ostatnie smugi zmierzchu. Stangret na koźle nie jest żadnym stangretem, tylko hinduskim marynarzem, którego nająłem specjalnie na tę jedną noc za sumę równą półrocznym poborom prawdziwego woźnicy. Kiepski z niego stangret, ale najważniejsze, że jest cudzoziemcem. Nie mówi po angielsku (porozumiewam się z nim w szczątkowej niemczyźnie, jaką zapamiętałem ze szkoły, a także trochę na migi), nie ma pojęcia o Anglii i nie zna żadnych sławnych Anglików. Za dziesięć dni wypłynie znów na morze i, być może, nigdy więcej nie zejdzie na angielski ląd. Nic go nie interesuje. Woźnicą jest naprawdę fatalnym (konie wyczuwają to instynktownie i nie darzą go szacunkiem), ale na tę jedną noc nada się wyśmienicie.

Jaki mamy dzień?

Jest ósmy czerwca 1870 roku, dwadzieścia minut po zachodzie słońca. Jaskółki i nietoperze śmigają w półmroku; skrzydła nietoperzy i rozwidlone jaskółcze ogony rysują się rozpłaszczonymi literami V na płaskiej i przejrzystej niczym szkło blednącej akwareli zmierzchu.

Widzę Dickensa, który truchta w poprzek ulicy – a właściwie stara się nie truchtać, ponieważ lekko utyka. Ma na sobie ciemne ubranie, zgodnie z moją sugestią. Na głowę nasunął miękki kapelusz z obwisłym rondem. Mimo ewidentnie dokuczającej mu obolałej nogi nie wziął laski.

Kiedy otwieram mu drzwi, wskakuje do środka i sadowi się

obok mnie.

– Nikomu nie powiedziałem, dokąd idę – sapie. – Tak jak prosiłeś, mój drogi Wilkie.

– Dziękuję ci. To wyjątkowa sytuacja, więcej nie będę cię musiał prosić o taką dyskrecję.

– Bardzo to wszystko tajemnicze – zauważa, kiedy główką laski stukam w dach powozu.

– Takie właśnie ma być. Dzisiaj w nocy, drogi Charlesie, każdy z nas pozna wielki sekret. Przy czym twój jest większy od mojego.

Dickens nie odpowiada, a gdy jadący na wschód powóz chwieje się, telepie, trzęsie i przechyla, odzywa się tylko raz. Marynarz–stangret potwornie męczy konie, a jego gwałtowne manewry przy omijaniu dziur w nawierzchni i wszystkich najmniejszych przeszkód co rusz grożą zwaleniem powozu – i nas razem z nim – prosto w wypełniony wodą przydrożny rów.

– Woźnicy okrutnie się śpieszy – zauważa Dickens.

– To cudzoziemiec – wyjaśniam.

Jakiś czas potem Dickens pochyla się nade mną, żeby wyjrzeć przez lewe okno, za którym majaczy coraz bliższa wieża katedry w Rochester: czarna iglica na tle ciemniejącego nieba.

– Ach tak… – wzdycha, a ja w tych dwóch sylabach słyszę raczej nutę potwierdzenia domysłów niż jakiekolwiek zaskoczenie.

Z chrzęstem i zgrzytem powóz staje przy wejściu na dziedziniec katedry. Wysiadamy sztywni i obolali po przejażdżce wyboistą drogą (trzymam w ręce małą latarnię, na razie zgaszoną), a wtedy woźnica jeszcze raz smaga konie batem i czarny pojazd znika z turkotem kół w gęstniejących ciemnościach.

– Nie każesz mu na nas zaczekać? – dziwi się Dickens.

– Wróci po mnie w swoim czasie.

Jeżeli nawet Dickens zauważa moje „po mnie”, zamiast narzucającego się „po nas”, nie daje tego po sobie poznać.

Wchodzimy na cmentarz. Cała stara część miasta z katedrą

i cmentarzem jest wyludniona i cicha. Jest odpływ i znad równin zalewowych zalatuje odór zgnilizny, ale gdzieś z niedaleka czuć też słonawą woń morza i słychać szum leniwie łamiących się fal. Wąski sierp księżyca jest jedynym źródłem światła.

– Co teraz, Wilkie? – pyta półgłosem Dickens.

Wyciągam rewolwer z kieszeni marynarki (odstający kurek i muszka na lufie zaplątują mi się na chwilę w podszewkę) i biorę Dickensa na cel.

– Ach tak… – mówi znowu, a ja znowu nie słyszę zaskoczenia w jego głosie. W rozbrzmiewających wśród dudnienia krwi w moich skroniach dwóch sylabach pobrzmiewa tylko smutek, może z odrobiną ulgi.

Stoimy tak przez chwilę, zastygli w dziwacznym, niezręcznym żywym obrazie. Wiatr od morza szemrze w gałęziach sosny rosnącej w miejscu, gdzie mur zasłania nas przed widokiem z ulicy. Długie poły i luźne klapy letniej marynarki Dickensa łopoczą wokół niego jak czarne proporce. Przytrzymuje ręką kapelusz.

– Dół z wapnem, tak? – pyta.

– Tak – odpowiadam.

Muszę odchrząknąć, dopiero za drugim razem to słowo brzmi jak należy. Zaschło mi w gardle. Wiele bym dał za łyk laudanum, ale wolę nie odrywać wzroku od Dickensa.

Wykonuję gest rewolwerem i Dickens rusza w ciemność zalegającą w głębi cmentarza, gdzie znajduje się dół z wapnem. Idę za nim w odległości kilkunastu stóp; staram się nie zbliżyć zanadto, na wypadek gdyby chciał się na mnie rzucić i wyrwać mi broń.

Nagle się zatrzymuje. Zatrzymuję się więc i ja, cofam o dwa kroki i celuję w niego z rewolweru.

– Mogę mieć do ciebie jedną prośbę, mój drogi Wilkie? – pyta tak cicho, że wiatr szumiący wśród traw i drzew prawie zagłusza jego słowa.

– To chyba nie najlepsza chwila, nie uważasz, Charlesie?

– Być może.

W słabiutkim blasku księżyca widzę, że się uśmiecha. Nie

podoba mi się to. Miałem nadzieję, że do końca będzie do mnie zwrócony plecami, aż staniemy nad dołem i sprawa zostanie załatwiona.

– Mimo to, mam prośbę – nalega półgłosem. Nie słyszę strachu w jego głosie, który w przeciwieństwie do mojego nie drży, co doprowadza mnie do szału. – Tylko jedną.

– Jaką?

– Może ci się to wydać dziwne, Wilkie, ale już od paru lat miałem przeczucie, że umrę w rocznicę katastrofy pod Staplehurst. Pozwolisz, że sięgnę do kieszeni kamizelki po zegarek?

Po co?! – dziwię się w duchu. Mam mętlik w głowie. Przygotowując się do dzisiejszego wieczoru wypiłem prawie dwa razy więcej laudanum niż zwykle i zrobiłem sobie dwa zastrzyki z morfiny. Niestety, oba te lekarstwa, zamiast wzmóc moją determinację, przyprawiają mnie tylko o dziwną chwiejność i zawroty głowy.

– Dobrze – mówię. – Byle szybko.

Spokojnie wyjmuje zegarek, ogląda cyferblat w świetle księżyca, z denerwującą powolnością nakręca mechanizm i w końcu chowa zegarek na miejsce.

– Jest po dziesiątej – mówi. – Późno wyjechaliśmy, a latem zmierzch trwa długo. Wkrótce wybije północ. Nie umiem ci wyjaśnić, dlaczego to dla mnie takie ważne, skoro, co wydaje się oczywiste, chcesz ukryć przed światem czas i miejsce mojej śmierci i pochówku, ale chciałbym, żeby moje złe przeczucia się wypełniły i żebym odszedł z tego świata dziewiątego czerwca, zamiast ósmego.

– Masz nadzieję, że napatoczy się jakiś przechodzień – mówię obcym, roztrzęsionym głosem. – Albo że trafi ci się jakaś sposobność ucieczki.

Wzrusza ramionami.

– Gdyby nawet ktoś wszedł na cmentarz, i tak możesz mnie zastrzelić, a potem uciec przez nadmorskie zarośla i wrócić do powozu, który przecież czeka gdzieś w pobliżu.

– Ale wtedy znaleźliby twoje ciało – zauważam beznamiętnie. – I pochowali cię w Westminsterze.

Dickens się śmieje, wybucha tym samym głośnym, nieskrępowanym, beztroskim i zaraźliwym śmiechem, który tyle razy słyszałem.

– Więc to o to ci chodzi, mój drogi Wilkie? Opactwo westminsterskie? Czy ukoję twoje lęki, jeśli powiem, że zastrzegłem sobie w testamencie, że mam mieć skromny i dyskretny pogrzeb? Nie chcę ceremonii w Westminsterze ani nigdzie indziej. Jasno zaznaczyłem, że nie życzę sobie więcej niż trzech powozów w kondukcie i więcej żałobników niż te trzy powozy będą w stanie pomieścić.

Moje tętno – a teraz także pulsujący w jego rytmie ból głowy – próbuje się chyba zsynchronizować z odległym łoskotem przyboju na jakiejś piaszczystej łasze na wschód od nas, ale nieregularne podmuchy wiatru mu to uniemożliwiają.

– Nie będzie żadnego konduktu – mówię.

– Naturalnie – przytakuje Dickens i rozwścieczа mnie następnym ze swych uśmieszków. – Tym bardziej wypadałoby, żebyś wyświadczył mi tę jedną drobną uprzejmość, ostatnią, zanim rozstaniemy się na wieki.

– W jakim celu miałbym to zrobić? – pytam w końcu.

– Powiedziałeś, że dziś w nocy każdy z nas odkryje jakiś sekret. Może dla mnie tym sekretem ma być stwierdzenie istnienia (bądź nieistnienia) egzystencji pośmiertnej. A dla ciebie, Wilkie? Jaką tajemnicę chciałbyś poznać w ten uroczy wieczór?

Nie odpowiadam.

– Pozwól, że zgadnę – odzywa się Dickens. – Chciałbyś poznać zakończenie *Tajemnicy Edwina Drooda*. A może także dowiedzieć się, w jaki sposób mój Drood łączy się z twoim.

– Owszem.

Znów spogląda na zegarek.

– Do północy zostało zaledwie dziewięćdziesiąt minut. Posłuchałem twojej rady i przyniosłem ze sobą butelkę brandy; Frank Beard byłby przerażony, gdyby się o tym dowiedział. Jestem pewien, że ty również zadbałeś o jakiś napitek dla siebie. Proponuję zatem, żebyśmy znaleźli sobie

gdzieś tutaj wygodne miejsce do siedzenia i odbyli ostatnią wspólną konwersację, zanim dzwony na tej wieży wybiją północ. Co ty na to?

– Masz nadzieję, że zmienię zdanie – domyślam się i uśmiecham złowieszczo.

– Będę z tobą szczery, mój drogi Wilkie: przez myśl mi nie przeszło, że mógłbyś to zrobić. Zresztą, wcale nie jestem pewien, że tego właśnie bym chciał. Jestem bardzo… znużony. Nie miałbym jednak nic przeciwko ostatniej nocnej rozmowie i kropelce brandy.

Po tych słowach odwraca się na pięcie i rozgląda wśród otaczających nas nagrobków. Mogę albo przystać na jego propozycję, albo od razu go zastrzelić i zawlec trupa do odległego o wiele jardów dołu z wapnem – chociaż miałem nadzieję oszczędzić nam obu tego upokorzenia. Prawda jest jednak taka, że nie mam nic przeciwko temu, żeby przysiąść gdzieś na chwilę i poczekać, aż przestanie mi się kręcić w głowie.

***

Widok dwóch leżących na płask nagrobków, które Dickens wybiera na nasze siedziska, rozdzielonych niemal czterema stopami dłuższej i szerszej płyty nagrobnej, która mogłaby udawać stół, przypomina mi dzień, w którym tutaj, na tym cmentarzu, odgrywał rolę kelnera usługującego Ellen Ternan, jej matce i mnie.

Za moim przyzwoleniem wyjmuje z kieszeni butelkę brandy i stawiają przed sobą na stole–nagrobku; ja robię to samo ze swoją srebrną piersiówką. Uświadamiam sobie, że powinienem był zrewidować Pana Niezrównanego, kiedy trzymałem go na muszce. Wiem, że trzyma broń w szufladzie biurka w Gad’s Hill Place. Ma również strzelbę, z której zastrzelił Sułtana. Jego pozorny brak zaskoczenia na wieść o naszym „tajemniczym wypadzie” każe mi przypuszczać, że mógł zaopatrzyć się w broń, zanim wyszedł na spotkanie ze mną. To by tłumaczyło jego – w przeciwnym razie trudną do

wyjaśnienia – niefrasobliwość.

Za późno. Muszę po prostu mieć go na oku przez ten krótki czas, jaki nam pozostał.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu… A potem dzwony katedry wybijają godzinę jedenastą i moje zszargane nerwy napinają się tak gwałtownie, że niewiele brakuje, bym pociągnął za spust rewolweru wymierzonego w serce Charlesa Dickensa.

Zauważa moją reakcję, ale jej nie komentuje. Kładę sobie broń na udzie; cały czas celuję w niego, ale wysuwam palec spod – jak to chyba nazwał Hatchery – „osłony języka spustowego”.

Na dźwięk jego głosu omal znów nie wyskakuję ze skóry:

– Czy to przypadkiem nie ta sama broń, którą kiedyś pokazywał nam detektyw Hatchery?

– Zgadza się.

Wiatr szeleści w trawie.

– Wiesz, że Hatchery nie żyje? – pytam, jakbym obawiał się tej ciszy. Jakby mogła osłabić moją determinację.

– Naturalnie.

– A wiesz, jak zginął?

– Owszem. Dowiedziałem się od znajomych w stołecznej policji.

Nie mamy nic więcej do powiedzenia na ten temat, ale w naturalny sposób nasza rozmowa schodzi na kwestię będącą jedynym powodem, dla którego darowuję Dickensowi tę dodatkową godzinę życia.

– Dziwię ci się, że wprowadziłeś do *Edwina Drooda* postać nazwiskiem Datchery, która z pewnością jest policjantem w przebraniu, z tą ogromną peruką… Toż to parodia nieszczęsnego Hatchery’ego, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę… hmm… godne pożałowania okoliczności jego śmierci. To niedelikatne, nie uważasz?

Patrzy na mnie. Moje oczy przywykły już do cmentarnych ciemności z dala od latarń i oświetlonych okien domów, i wydaje się, że otaczające nas nagrobki – zwłaszcza ten jasny, marmurowy, leżący między nami jak stół do gry, na którym

odkryliśmy karty w końcówce pokerowej rozgrywki – odbijają księżycową poświatę wprost w twarz Dickensa, niczym słabiutkie imitacje skupionych lamp gazowych z jego wieczorów literackich.

– To nie parodia – odpowiada – lecz czułe wspomnienie.

Popijam z piersiówki i zbywam jego słowa machnięciem ręki. To bez znaczenia.

– Twoja opowieść jest daleka od ukończenia. Drukiem wyszły dopiero cztery comiesięczne części, rękopis jest gotowy zaledwie w połowie, a ty już uśmierciłeś Edwina Drooda. Dlatego pytam cię jak profesjonalista profesjonalistę, i to jako autor dysponujący chyba większym od ciebie doświadczeniem w pisaniu opowieści sensacyjnych, w jaki sposób chcesz zmusić czytelnika do dalszej lektury, skoro do morderstwa doszło tak wcześnie, a logiczny kandydat na mordercę jest tylko jeden: John Jasper, oczywisty czarny charakter?

– Cóż… Odpowiem ci jak profesjonalista profesjonaliście: nie zapominajmy, że… Zaraz!

Rewolwer podskakuje mi w dłoni. Potrząsam głową, żeby się skoncentrować. Lufa broni celuje w serce Dickensa z odległości czterech stóp. Czyżby ktoś wszedł na cmentarz? A może Dickens próbuje odwrócić moją uwagę?

Nie. Wygląda na to, że po prostu nagle coś mu przyszło do głowy.

– Jak to możliwe, mój drogi Wilkie – mówi Dickens – że wiesz o pojawieniu się Datchery’ego i zamordowaniu nieszczęsnego Edwina, skoro te sceny, te odcinki, jeszcze nie zostały… No tak. Wills. Nie wiem jak, ale wyciągnąłeś od niego wersję przeznaczoną do druku. William Henry to kochany człowiek i zaufany przyjaciel, ale od czasu tamtego wypadku nie jest już sobą. Trudno się dziwić, skoro w głowie wciąż skrzypią mu i trzaskają zamykane drzwi.

Nic nie mówię.

– No dobrze – ciągnie Dickens. – Zatem wiesz, że młody Drood został zamordowany w Wigilię. Wiesz, że Crisparkle znalazł w rzece jego zegarek i spinkę do krawata i że nigdzie

nie znaleziono ciała. Wiesz, że podejrzenie padło na zapalczywego młodzieńca z Cejlonu, Neville'a Landlessa, brata pięknej Heleny Landless, po tym, jak na jego lasce znaleziono ślady krwi. Wiesz o zerwanych zaręczynach Edwina z Różą. Wiesz, że wuj Edwina, opiumista John Jasper, zemdlał po morderstwie, gdy usłyszał, że zaręczyny były nieważne, a jego oczywista zazdrość nieuzasadniona. Napisałem już sześć z zakontraktowanych dwunastu części. Czego właściwie dotyczy twoje pytanie?

Czuję rozlewające mi się po kończynach ciepło laudanum. Niecierpliwię się. Żuk w moim mózgu niecierpliwi się chyba jeszcze bardziej ode mnie, bo czuję, jak przebiega w tę i z powrotem pod nasadą mojego nosa, wyglądając najpierw jednym, potem drugim okiem, jakby szukał najlepszego punktu obserwacyjnego.

– John Jasper dokonał morderstwa w Wigilię – mówię, lekko przy tym gestykulując i mimowolnie poruszając rewolwerem. – Mogę nawet wskazać, jakiej broni użył: długiego czarnego szala, o którym wspomniałeś już trzykrotnie bez wyraźnego powodu. Doprawdy, Charlesie, twoje sugestie trudno nazwać subtelnymi.

– Początkowo myślałem o długim fularze lub krawacie – mówi z tym swoim przeklętym uśmieszkiem. – Ale zmieniłem na szal.

– Wiem – przerywam mu, zniecierpliwiony. – Charley mówił mi, że nalegałeś na umieszczenie na rysunku fularu, który później kazałeś Fildesowi zmienić na szal. Zresztą, krawat czy szal… Co za różnica? Moje pytanie pozostaje w mocy: czym chcesz przykuć uwagę czytelnika w drugiej połowie powieści, skoro już teraz wiadomo, że to John Jasper jest mordercą?

Zwleka z odpowiedzią, jakby nagle uświadomił sobie coś bardzo ważnego. Ostrożnie stawia butelkę z brandy na sfatygowanej płycie nagrobnej. Z jakiegoś powodu włożył okulary, tak jakby dyskusja o książce, której już nigdy nie skończy, wymagała odczytania mi jakiegoś jej fragmentu; odbijający się w szkłach księżyc zmienia je w

nieprzezroczyste srebrno– białe koła.

– Chcesz dokończyć moją książkę – szepcze.

– Co?!

– Słyszałeś mnie, Wilkie. Chcesz zaproponować Chapmanowi, że dokończysz książkę w moim zastępstwie: William Wilkie Collins, sławny autor *Kamienia Księżycowego,* zastąpi swojego zmarłego przyjaciela i niegdysiejszego współpracownika. William Wilkie Collins, powiesz pogrążonym w żałobie Chapmanowi i Hallowi, jest jedynym człowiekiem w Anglii… ba, w całym anglojęzycznym świecie… który wystarczająco dobrze znał Charlesa Dickensa, żeby móc podjąć jego dzieło, tak tragicznie przerwane, gdy rzeczony pan Dickens przepadł bez śladu, niemal na pewno popełniwszy samobójstwo. Chcesz dokończyć *Tajemnicę Edwina Drooda,* mój drogi Wilkie, by tym sposobem jak najdosłowniej zastąpić mnie w sercach czytelników oraz annałach wielkich pisarzy współczesnych.

– To kompletnie niedorzeczne! – wykrzykuję tak głośno, że aż się kulę i zażenowany rozglądam dookoła. Mury katedry odbijają echem mój głos. – Niedorzeczne! – powtarzam natarczywym szeptem. – Nie mam ani takiego pomysłu, ani takich ambicji. Nigdy nie miałem. Piszę własne nieśmiertelne książki. *Kamień Księżycowy* sprzedał się lepiej od twojej *Samotni.* Albo od tej twojej nowej opowiastki! Poza tym, jako kryminał *Kamień Księżycowy,* co już dzisiaj próbowałem ci wykazać, jest nieskończenie lepiej przemyślany i skonstruowany niż poplątana historia morderstwa Edwina Drooda.

– Ależ naturalnie – przytakuje półgłosem Dickens.

Na jego twarz znów wypływa znajomy figlarny uśmieszek. Gdybym dostawał szylinga za każdym razem, kiedy muszę go oglądać, nigdy już nie musiałbym zajmować się pisaniem.

– Poza tym, ja już znam twój sekret – mówię dalej. – Znam twoją „wielką niespodziankę”, przemyślny zwrot akcji, na którym w oczywisty sposób opiera się ta dość przejrzysta, przynajmniej wedle moich standardów zawodowych, fabułka.

– Tak? Bądź zatem tak uprzejmy i oświeć mnie, mój drogi

Wilkie – proponuje życzliwym tonem Dickens. – Jako nowicjusz w dziedzinie kryminałów mogłem przegapić własną wielką niespodziankę.

Udaję, że nie słyszę sarkazmu w jego głosie. Od niechcenia celuję mu w głowę.

– Edwin Drood żyje – odpowiadam.

– Tak?

– Tak. Jasper tylko próbował go zamordować, to jasne. Może nawet uważać, że mu się udało, ale Drood przeżył, ma się dobrze i w przyszłości połączy siły z innymi boleśnie oczywistymi bohaterami tej historii: Różą Bud, Neville i Heleną Landlessami, muskularnym chrześcijaninem Crisparkle'em, a także z tym nowym marynarzem, którego tak późno wprowadziłeś…

Nazwisko uleciało mi z pamięci.

– Porucznik Tartar – podsuwa uczynnie Dickens.

– Właśnie. Bohatersko wspinający się po linie porucznik Tartar, który z miejsca zakochuje się w Róży Bud… Jakież to wygodne. Wszystkie te… dobrotliwe anioły będą spiskować z Edwinem Droodem, żeby ujawnić tożsamość mordercy, Johna Jaspera.

Dickens zdejmuje okulary, przygląda im się z uśmiechem, po czym składa je starannie i chowa do futerału, który następnie wsuwa do kieszeni.

„Wyrzuć je!" – mam ochotę krzyknąć. „Nie będą ci już potrzebne! Jeżeli je zatrzymasz, będę je musiał później wyławiać z wapna!".

– A czy Dick Datchery będzie jednym z tych… dobrotliwych aniołów pomagających zmartwychwstałemu Edwinowi w odkryciu tożsamości niedoszłego mordercy? – pyta półgłosem.

– Nie. – Nie jestem w stanie ukryć triumfalnej nuty w swoim głosie. – Ponieważ ten tak zwany „Dick Datchery" to w rzeczywistości sam Edwin Drood… w przebraniu!

Dickens przetrawia moje słowa. Zdarzało mi się już w przeszłości widywać milczącego i nieruchomego jak posąg Charlesa Dickensa, ale wyłącznie w tych nielicznych

wypadkach, kiedy udało mi się dać mu mata w szachach.

– Jesteś… twoje domysły… są niezwykle celne, mój drogi Wilkie – mówi w końcu.

Nie muszę tego komentować. Dochodzi północ. Niepokoję się i zarazem nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie podejdziemy do dołu z wapnem i zakończymy sprawę, a ja będę mógł wrócić do domu i wziąć bardzo gorącą kąpiel.

– Mam tylko jedno pytanie – odzywa się jeszcze Dickens, postukując wymanikiurowanym palcem w butelkę z brandy.

– Jakie?

– Skoro Edwin Drood przeżył próbę morderstwa, po co zadaje sobie tyle trudu: ukrywa się, zbiera sprzymierzeńców, podaje się za niemal komicznego Dicka Datchery'ego? Dlaczego się po prostu nie ujawni i nie zgłosi policji, że w Wigilię Bożego Narodzenia wuj usiłował go zabić i wrzucił go (nie całkiem, jak się okazuje, martwego, lecz tylko nieprzytomnego) do dołu z wapnem (w którym Edwin ocknął się, gdy wapno zaczęło mu przeżerać ubranie i skórę, i z którego musiał się wyczołgać… Cudowna scena, muszę ci powiedzieć jak profesjonalista profesjonaliście, chociaż, nie będę ukrywał, bynajmniej nie niezbędna…). Tylko że wtedy zamiast morderstwa zostałaby nam jedynie próba morderstwa, podjęta przez obłąkanego wuja, i nie byłoby sensu, żeby Edwin Drood dalej się ukrywał. Nie ma zabójstwa, właściwie nie ma nawet żadnej wielkiej tajemnicy…

– Drood ma powody ukrywać się i czekać na odpowiedni moment, żeby się ujawnić – odpowiadam z przekonaniem, chociaż nie mam zielonego pojęcia, jakie mogłyby to być powody.

Pociągam solidny łyk laudanum. Bardzo się pilnuję, żeby ani na ułamek sekundy nie zamknąć oczu.

– No, Wilkie, życzę ci powodzenia. – Dickens parska niewymuszonym śmiechem. – Powinieneś jednak coś jeszcze wiedzieć, zanim spróbujesz dokończyć moją książkę w oparciu o szkic, który nigdy nie powstał… Otóż młody Edwin Drood naprawdę nie żyje. John Jasper, znajdując się pod

wpływem takiej samej mieszanki opium i laudanum, jaką się w tej chwili raczysz, zamordował go w Wigilię. Czego zresztą czytelnik, mając za sobą połowę książki, sam się już domyśla.

– To niedorzeczne – powtarzam. – John Jasper jest tak zazdrosny o względy Róży Bud, że postanawia zabić swojego siostrzeńca? Co dalej? Zostało nam pół książki, które zamierzasz wypełnić… Czym? Spowiedzią Jaspera?

– Owszem. – Dickens uśmiecha się diabolicznie. – Nie inaczej. Na dalszy ciąg *Tajemnicy Edwina Drooda* składają się głównie wyznania Johna Jaspera i jego drugiej, alternatywnej tożsamości, Jaspera Drooda.

Kręcę głową, co tylko wzmaga zawroty.

– Jasper nie jest zresztą wcale wujem Drooda, jak nam się początkowo wydaje – ciągnie Dickens – lecz jego bratem.

Mam ochotę wybuchnąć śmiechem, ale wychodzi mi z tego tylko przesadnie głośne parsknięcie.

– Bratem!

– Ależ tak. Nie zapominaj, że młody Edwin wybiera się do Egiptu jako członek zespołu inżynierów. Chce na zawsze zmienić Egipt i, być może, na stałe tam zamieszkać. Nie wie jednak, mój drogi Wilkie, że jego przyrodni brat (nie wuj), Jasper Drood (nie John Jasper), tam się właśnie urodził. W Egipcie. I tam zgłębił tajniki ciemnej mocy.

– Ciemnej mocy? – powtarzam.

Co chwila zapominam, że powinienem celować w Dickensa z rewolweru. Szybko naprawiam ten błąd.

– Mesmeryzmu – szepcze Dickens. – Władzy nad umysłami i zachowaniem innych ludzi. Nie mam na myśli naszej salonowej zabawy w hipnozę, Wilkie, tylko prawdziwą władzę, niewiele różniącą się od czytania w myślach. Tego rodzaju więź psychiczna łączy w książce młodego Neville'a Landlessa i jego piękną siostrę Helenę Lawless. Oni doskonalili swoje umysły na Cejlonie, Jasper Drood zgłębiał tajniki tej sztuki w Egipcie. Kiedy Helen Lawless i Jasper Drood spotkają się w końcu na mesmerycznym polu bitwy, a zapewniam cię, że się spotkają, scenę tę czytelnicy będą przez wieki wspominać z nabożną trwogą.

Helen Landless, nie Lawless, poprawiam go w myślach. Bohaterowie mu się mylą.

Ellen Lawless Ternan. Nawet tutaj, w niedokończonym fragmencie swojej ostatniej, skazanej na porażkę powieści Dickens odruchowo łączy najpiękniejszą i najbardziej tajemniczą postać kobiecą ze swoją własną fantazją i obsesją, Ellen Ternan.

– Słuchasz mnie, mój drogi Wilkie? Bo wyglądasz, jakbyś przysypiał.

– Bynajmniej. No dobrze, ale nawet jeśli John Jasper jest w rzeczywistości Jasperem Droodem, starszym bratem ofiary, dlaczego miałoby to interesować czytelnika, który musi przebrnąć jeszcze przez kilkaset stron spowiedzi Jaspera?

– To nie będzie zwykła spowiedź – prycha Dickens. – W tej powieści, mój drogi Wilkie, zagłębimy się w umysł i świadomość mordercy w sposób, jakiego żaden czytelnik w dziejach literatury jeszcze nie doświadczył. A to dlatego, że John Jasper i Jasper Drood to dwaj ludzie w jednym, dwie kompletne, tragiczne osobowości schwytane w potrzask przeżartego opium mózgu świeckiego kantora katedry w Cloisterham… – Zawiesza głos, odwraca się i teatralnym gestem wskazuje gmach katedry. – Czyli w Rochester. – Wykonuje kolejny gest, za którym podąża moje oszołomione spojrzenie – I to tutaj, w tej podziemnej krypcie John Jasper (Jasper Drood) ukryje wyłowione z wapna kości i czaszkę swojego ukochanego siostrzeńca (brata), Edwina.

– Bzdura – odpowiadam tępo.

Dickens wybucha głośnym śmiechem.

– Być może – przytakuje, ale nie może opanować śmiechu. – Ale wśród licznych zwrotów akcji i fałszywych tropów czytelnik będzie, a właściwie byłby zachwycony, zdzierając kolejne warstwy tajemnicy. Na przykład, mój drogi Wilkie, nasz John Jasper Drood w chwili morderstwa był jednocześnie pod wpływem hipnozy i opium, przy czym to drugie, czyli opium, przyjmowane przezeń w coraz większych dawkach, stało się katalizatorem tego pierwszego: mesmerycznego rozkazu zabicia brata.

– Przecież to bez sensu. Wielokrotnie dyskutowaliśmy o tym, że hipnotyzer nie jest w stanie zmusić swojej ofiary do morderstwa, a właściwie do żadnego czynu, który stałby w sprzeczności z jej świadomymi przekonaniami moralno–etycznymi.

– Zgadza się.

Dickens dopija brandy i chowa butelkę do wewnętrznej kieszeni na lewej piersi; zapamiętuję sobie ten fakt na później. Jak zwykle, kiedy rozprawia o jakimś zabiegu fabularnym albo innym elemencie swojej prozatorskiej sztuki, w jego głosie rutyna zawodowca miesza się z zapałem małego chłopca, który chce opowiedzieć ciekawą historię.

– Tyle że nie słuchałeś mnie uważnie, mój drogi Wilkie, gdy twierdziłem, że dostatecznie dobry hipnotyzer (być może taki jak ja, a już z pewnością taki jak John Jasper Drood czy inne wywodzące się z Egiptu postaci, na razie nieujawnione i pozostające w cieniu) potrafi wprowadzić człowieka takiego jak kantor z Cloisterham w trans, w którym ten znajdzie się w zupełnie wyimaginowanym świecie i jak najbardziej dosłownie nie będzie wiedział, co czyni. A opium i… przypuśćmy… morfina, przyjmowane w ogromnych dawkach, mogą umocnić tę fantazję, w której może nieświadomie dopuścić się morderstwa, a nawet innych, jeszcze gorszych czynów.

Pochylam się nad dzielącym nas nagrobkiem. Prawie zapomniałem, że trzymam w dłoni rewolwer.

– Zatem Jasper zabija swojego siostrzeńca… brata… znajdując się pod hipnotycznym wpływem tajemniczego Innego… – szepczę. – Kim jest ten Inny?

– Ha! – Z uciechy Dickens klepie dłonią udo. – Oto najpiękniejszy i najbardziej satysfakcjonujący sekret tej historii, mój drogi Wilkie! Do chwili przeczytania całego wyznania Johna Jaspera Drooda żaden z tysięcy, ba, żaden z milionów czytelników nie domyśli się, że hipnotyzerem i prawdziwym mordercą Edwina Drooda jest nie kto inny, jak…

Dzwony na wieży za plecami Dickensa zaczynają bić.

Patrzę na nie z rozdziawionymi ustami. Dickens odwraca się na siedzeniu i patrzy na wieżę takim wzrokiem, jakby miała zrobić coś więcej niż obojętnie, oschle i ślepo odmierzyć czas pozostały do jego zagłady.

Dwunaste uderzenie wybrzmiewa, echo cichnie nad ciemnymi, nisko zabudowanymi uliczkami Rochester. Dickens odwraca się do mnie i mówi:

– Wybiła dwunasta, Wilkie.

– Co powiedziałeś? – podpowiadam. – Kto jest mordercą? Prawdziwym mordercą?

Krzyżuje ręce na piersi.

– Dość już powiedziałem. – Kręci głową, wzdycha i uśmiecha się półgębkiem. – Dzisiaj i w całym życiu.

– Wstawaj – mówię. Mam okrutne zawroty głowy, niewiele brakuje, żebym się przewrócił. Trudno mi utrzymać w dłoniach rewolwer i latarnię jednocześnie, bo zapomniałem, jak się robi dwie rzeczy naraz. – Idziemy – rozkazuję, chociaż nie jestem pewien, czy wydaję polecenie Dickensowi, czy swoim nogom.

***

Dopiero później uświadamiam sobie, z jaką łatwością Dickens mógł mi uciec, kiedy szliśmy w głąb cmentarza i zagłębialiśmy się w gąszcz traw na skraju mokradeł, gdzie czekał dół z wapnem. Gdyby zaczął biec (a ja chybiłbym przy pierwszym, oddanym w pośpiechu strzale), z dziecinną łatwością wymknąłby mi się, przypadł do ziemi i ukrył w wysokiej trawie. Za dnia odnalezienie go wśród zarośli byłoby niezwykle trudne, w nocy – praktycznie niemożliwe, nawet w świetle latarni, którą miałem przy sobie. Wzmagający się wiatr i odległy szum przyboju zagłuszyłyby odgłosy ucieczki.

Ale Dickens nie ucieka. Idzie przodem. Wydaje mi się, że nuci pod nosem, ale nie rozpoznaję melodii.

Zatrzymuje się na krawędzi dołu z wapnem i odwraca do mnie.

– Musisz pamiętać, że metalowe przedmioty, które mam w kieszeniach, nie rozpuszczą się w wapnie. Zegarek, który dostałem od Ellen, butelka, spinka do krawata…

– Wiem o tym – chrypię. Oddycham z najwyższym trudem.

Dickens ogląda się przez ramię, po czym znów spogląda na mnie.

– Tak, to tutaj. Jasper Drood miał się przyznać, że właśnie w to miejsce zaciągnął zwłoki Edwina Drooda… Jest młodszy od nas, Wilkie, dlatego mimo osłabienia wywołanego opium, które odebrało mu połowę krzepy, przeniesienie trupa na odległość kilkuset jardów nie stanowiłoby problemu…

– Milcz.

– Mam się odwrócić? W stronę dołu? Nie chcesz, żebym na ciebie patrzył?

– Tak. Nie. Jak chcesz.

– Wobec tego wolę na ciebie patrzeć, mój drogi Wilkie. Dawny przyjacielu, towarzyszu podróży i chętny współpracowniku.

Pociągam za spust.

Potworny huk wystrzału i impet odrzutu (nie mogę uczciwie powiedzieć, że pamiętam, jak ponad półtora roku temu strzelałem z tego rewolweru na służbowych schodach) omal nie wytrącają mi broni z ręki.

– Na Boga… – odzywa się Dickens. Nadal stoi. Poklepuje się po piersi, brzuchu, pachwinach, udach… Jest w tym niemal komiczny. – Wygląda na to, że chybiłeś.

Ale nadal nie ucieka.

Wiem, że zostały mi trzy naboje.

Całe ramię mi się trzęsie, gdy biorę Dickensa na cel i strzelam po raz drugi.

Poła jego marynarki podfruwa do góry niemal na wysokość pasa. Dickens znów się obmacuje i podwija połę marynarki, a ja w blasku księżyca widzę, jak jego palec wskazujący przechodzi na wylot przez dziurę po kuli. Chybiłem biodra o niespełna cal.

– Wilkie… – mówi Dickens bardzo, bardzo cicho. – Może lepiej dla nas obu będzie, jeśli…

Strzelam trzeci raz.

Tym razem pocisk trafia go w pierś – tego dźwięku nie da się z niczym pomylić, jakby ktoś ciężkim młotem uderzył w zimne mięso. Dickens obraca się w miejscu i upada na wznak.

Nie wpada jednak do dołu, lecz zatrzymuje się na jego krawędzi.

I nadal żyje. Słyszę jego głośny, chrapliwy oddech, trochę bulgotliwy, jakby krew zbierała mu się w płucach. Pochodzę bliżej i staję nad nim w takim miejscu, żeby znajdował się pomiędzy mną i dołem z wapnem. Zastanawiam się, czy kiedy podnosi wzrok, widzi mnie jako przerażającą czarną sylwetkę na tle gwiazd.

W mojej karierze pisarskiej zdarzyło się kilkakrotnie, że musiałem użyć niezręcznego francuskiego terminu *coup de grâce.* Nie wiedzieć czemu, jakoś nie umiem zapamiętać, jak to się pisze – ale doskonale pamiętam, co ten zwrot oznacza: ostatni pocisk musi trafić w mózg, jeśli chcę mieć pewność.

W rewolwerze Hatchery'ego został już tylko jeden nabój.

Przyklękam na jedno kolano, odstawiam latarnię i pochylam się nad Panem Niezrównanym, twórcą durnych Dedlocków, Barnacle'ów, Dombeyów i Grewgiousa, ale też szemranych postaci w rodzaju Fagina, Przemyślnego Krętacza, Squeersów, Casbych, Slyme'ów, Pecksniffów, Scrooge'a, Vholesa, Smallweeda, Wegga, Fledgby'ego, Bumble'a, Lammle'ów, Hawka, Fanga, Tigga i…

Przyciskam wylot lufy rewolweru do skroni pojękującego Charlesa Dickensa. Łapię się na tym, że wolną lewą ręką jak tarczą zasłaniam twarz przed fontanną krwi, strzępów mózgu i odłamków kości, która wytryśnie za sekundę lub dwie.

Dickens bełkocze, próbuje coś powiedzieć.

– Niepojęte… – słyszę. A potem: – Zbudź się… zbudź… Zbudź się, Wilkie…

Nieszczęsny, próbuje się przebudzić z tego, jak mu się wydaje, koszmarnego snu. Może wszyscy w ten właśnie sposób jesteśmy wyrywani z życia – wykrzywieni, jęczący,

modlący się do nieobecnego i nieczułego Boga, żeby pozwolił nam się obudzić.

– Zbudź się… – mówi.

Pociągam za spust.

To koniec. Mózg, który począł i powołał do życia Dawida Copperfielda, Pipa, Esther Summerson, Uriasza Heepa, Barnabę Rudge'a, Marcina Chuzzlewita, Boba Cratchita, Sama Webera, Pickwicka i setkę innych istot, które nadal żyją w głowach milionów czytelników, rozprysnął się na skraju dołu z wapnem długą szaro–czerwoną krechą śluzowatej brei, która w świetle księżyca lśni oleiście. Tylko odłamki kości mają biały kolor.

Mimo dobrej rady Dickensa omal nie zapominam o wyjęciu mu z kieszeni wszystkich metalowych przedmiotów, zanim strącę go do dołu z wapnem.

Myśl o tym, że miałbym go dotknąć, napawa mnie obrzydzeniem. Staram się dotykać tylko ubrań – i wszystko jest w porządku, dopóki wyjmuję zegarek, butelkę, monety z kieszeni i spinkę z krawata, kiedy jednak sięgam po sygnety i spinki w mankietach, zmuszony jestem dotknąć stygnącego ciała.

Na tym ostatnim etapie postanawiam zapalić latarnię. Zauważam (z niejaką satysfakcją), że ręka wcale mi nie drży, gdy zapalam zapałkę i przytykam ją do knota. Przyniosłem ze sobą zrolowany worek z grubego płótna. Wrzucam do niego wszystkie metalowe przedmioty, bardzo się pilnując, żeby czegoś nie zgubić w trawie.

Zebrawszy wszystko, chowam pękaty worek do tej samej kieszeni, w której trzymam rewolwer. Będę musiał pamiętać, żeby w drodze powrotnej zajechać nad rzekę i oba te przedmioty zatopić w głębokiej wodzie.

Dickens leży w jednej z tych niewiarygodnie swobodnych póz, które znają tylko umarli. Kiedy opieram but na jego zakrwawionej piersi, przychodzi mi do głowy, że mógłbym powiedzieć parę pożegnalnych słów, ale po namyśle postanawiam tego nie robić. Bywają chwile, w których słowa są zbędne. Nawet dla pisarza.

Wymaga to większego wysiłku, niż się spodziewałem, ale po kilku solidnych szturchańcach nogą i pożegnalnym kopniaku ciało Dickensa przetacza się i osuwa w wapno. Gdybym je tak zostawił, unosiłoby się na powierzchni, tylko na wpół zanurzone i doskonale widoczne za dnia. Dlatego idę po żelazny pręt, który z myślą o dzisiejszej nocy ukryłem wśród traw, po czym pcham, dźgam, napieram i siłuję się, zupełnie jakbym próbował wbić to żelastwo w olbrzymi wór miękkiego łoju… aż w końcu trup tonie i już się nie wynurza.

Przyświecając sobie latarnią, sprawdzam dokładnie, czy nie mam na ubraniu plam krwi lub innych oskarżycielskich śladów, po czym gaszę lampę i wracam na drogę, żeby przywołać czekający na mnie powóz kierowany przez marynarza–stangreta. Pogwizduję cicho, klucząc wśród lśniących nagrobków. Całkiem możliwe, że jest to ta sama melodia, którą zaledwie kilka minut wcześniej nucił Dickens.

***

– Zbudź się, Wilkie… zbudź się! Zbudź się!

Jęknąłem, przetoczyłem się na plecy, zasłoniłem czoło przedramieniem, w końcu zdołałem otworzyć jedno oko. Głowa pulsowała mi laudanowo–morfinowym bólem, który sygnalizował przedawkowanie. Słabiutki księżycowy blask malował przypadkowe pręgi na meblach w sypialni.

Oraz na czyjejś twarzy, znajdującej się dosłownie kilka cali od mojej.

Drugi Wilkie siedział na skraju łóżka. Nigdy przedtem nie podchodził tak blisko… Nigdy.

Przemówił.

Tym razem jego głos nie był moim głosem ani nawet jego imitacją. Był to głos starej, zrzędliwej kobiety. Tak mogłaby mówić jedna z wiedźm w pierwszej scenie *Makbeta.*

Dotknął – lub dotknęła – mojego odsłoniętego ramienia. Nie był to dotyk żywej istoty.

–Wilkie… – wyszeptał/wyszeptała, niemal ocierając się zarośniętą twarzą o moją twarz. Jego/jej (mój!) oddech

cuchnął padliną. – Zabij go. Zbudź się. Posłuchaj mnie. Skończ swoją książkę… przed dziewiątym czerwca. Skończ *Męża i żonę* szybko, w następnym tygodniu. I w dniu, kiedy skończysz, zabij go.

Rozdział 48

W odpowiedzi na mój list, w którym zareagowałem na uwerturę „Może jednak ty zechcesz się ze mną spotkać? Kto wie?”, Dickens zaprosił mnie do Gad’s Hill Place na niedzielę, piątego czerwca. Dałem mu znać, że przyjadę o trzeciej po południu, bo do tej godziny w niedziele zwykle pracował, ale pojechałem wcześniejszym pociągiem i ostatnią milę przeszedłem spacerkiem.

Dzień był oszałamiająco piękny. Po wilgotnej wiośnie wszystko, co tylko mogło się zazielenić, wystroiło się w zieleń, a wszystko, co mogło chociaż pomarzyć o zakwitnięciu, zakwitło. Światło słońca było jak błogosławieństwo. Zefirek tak pieszczotliwie i miękko muskał skórę, że człowiek prawie czuł się zakłopotany. Nieliczne białe obłoczki sunęły niczym napowietrzne owce nad zielonymi wzgórzami, płynąc w głąb lądu, natomiast od strony morza rozciągał się czysty, rozsłoneczniony błękit. W przejrzystym powietrzu było wyraźnie widać odległe o dwadzieścia mil wieże londyńskich kościołów. Na polach rozciągających się za oknem powozu, a potem także po obu stronach pylistej drogi, którą szedłem, baraszkowały cielęta, brykały źrebaki, a wiejskie dzieciaki zbijały się w grupki i oddawały typowym dla swojego gatunku wczesnoletnim rozrywkom w lasach i na łąkach. Niewiele brakowało, żeby nawet taki zdeklarowany mieszczuch jak ja zamarzył o kupieniu sobie własnej farmy. Na szczęście, porcja laudanum, poparta łykiem brandy z drugiej, mniejszej buteleczki, zdławiła ten idiotyczny, przelotny impuls.

Nikt nie wyszedł mi na spotkanie, nie było nawet psów (spłodzonych z pewnością przez tego Grendela w psiej skórze, Sułtana), które Dickens zwykle trzymał przykute do słupków przy bramie. Szkarłatne pelargonie (jego ulubione kwiaty, co roku na wiosnę pieczołowicie sadzone przez wiernych ogrodników i – na jego osobiste polecenie – pielęgnowane na grządkach aż do późnej jesieni) kwitły

wszędzie: przy podjeździe, na nasłonecznionej rabacie pod półokrągłym oknem pracowni pana domu, wzdłuż żywopłotów, wybiegały nawet na zewnątrz, na skraj głównej drogi – a ja jak zwykle (z powodów, których nigdy nie rozumiałem) zareagowałem na widok ich zwartych szyków i wytrysków czerwieni uczuciem autentycznej zgrozy.

Domyślając się, że w tak cudny dzień Dickens wolał zapewne zaszyć się w swojej górskiej chacie, przeszedłem chłodnym tunelem (mimo że na biegnącej górą drodze ruch praktycznie zamarł) i znalazłem się przy zewnętrznych schodach prowadzących wprost do pracowni na piętrze.

– Ahoj tam, na mostku! – zawołałem.

– Ahoj tam, na slupie! – odpowiedział mi donośny głos Dickensa.

– Proszę o pozwolenie na wejście na pokład.

– Jak brzmi nazwa pańskiego jachtu? Skąd i dokąd płyniecie?

– Moja skromna barka zwie się Mary Jane – odparłem z udawanym amerykańskim akcentem. – Postawiliśmy żagle w Saint Louis i obraliśmy kurs do Kalkuty przez Samoa i Liverpool.

Zefirek przyniósł do moich uszu dźwięk śmiechu Dickensa.

– W takim razie, kapitanie, zapraszam na pokład. Ze wszech miar, zapraszam.

***

Pisał przy biurku, a kiedy wszedłem do pokoju, odkładał właśnie zapisane kartki do skórzanej teczki. Lewą nogę trzymał opartą na wyłożonym poduszką niskim taborecie, ale na mój widok opuścił ją na podłogę. Gestem wskazał mi drugi fotel, ja jednak byłem zbyt ożywiony, żeby usiąść, i zadowoliłem się spacerowaniem od jednego okna do drugiego i z powrotem.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem rad, że przyjąłeś moje zaproszenie – zagaił Dickens, odkładając przybory piśmienne. Zamknął teczkę.

– Najwyższy czas – odparłem.

– Przytyłeś, Wilkie.

– Za to ty schudłeś, Charlesie. No, może poza nogą, której chyba przybyło parę funtów.

Dickens się roześmiał.

– Nasz drogi wspólny przyjaciel Frank Beard jest zatroskany o zdrowie nas obu, nieprawdaż?

– Ostatnio rzadziej go widuję. – Przeszedłem od wschodniego okna do południowego. – Jego przeurocze dzieci wypowiedziały mi wojnę po tym, jak obnażyłem hipokryzję muskularnego chrześcijaństwa.

– Doprawdy, Wilkie, nie przypuszczam, żeby to obnażenie hipokryzji tak je rozjuszyło. Prędzej chodzi o podważenie autorytetu ich bohaterów sportowych. Sam nie miałem jeszcze czasu ich przeczytać, ale doszły mnie słuchy, że pierwsze odcinki *Męża i żony* wywołały spore wzburzenie.

– Przy okazji coraz lepiej się sprzedając – przyznałem. – Przed końcem miesiąca planuję pełne wydanie książkowe w trzech tomach, u F.S. Ellisa.

– U Ellisa? – Dickens wstał i sięgnął po laskę ze srebrną główką. – Nie wiedziałem, że wydają książki. Wydawało mi się, że specjalizują się w kartach, kalendarzach i tym podobnych…

– To dla nich pierwszy raz. Umówiliśmy się na czysty system prowizyjny, mam dostawać dziesięć procent z każdego sprzedanego egzemplarza.

– Wyśmienicie! Wydajesz mi się jakiś niespokojny, mój drogi Wilkie, może nawet… wzburzony? Nie przeszedłbyś się na spacer?

– A jesteś pewien, że możesz chodzić, Charlesie?

Spojrzałem podejrzliwie na jego nową laskę, najprawdziwszą laskę z długą, poprzeczną rączką, z rodzaju tych, jakimi podpierają się staruszkowie – i zupełnie inną od modnych lasek spacerowych, popularnych wśród ludzi młodych, takich jak ja. (Jak może pamiętasz, Drogi Czytelniku, latem 1870 roku miałem czterdzieści sześć lat, Dickens zaś aż pięćdziesiąt osiem i widać było po nim każdy

rok i miesiąc tego podeszłego wieku. Jednakowoż kilka osób zdążyło już wtedy zauważyć pierwsze ślady siwizny w mojej brodzie, zwrócić uwagę na moją coraz pokaźniejszą tuszę, łatwość, z jaką dostawałem zadyszki, a także lekkie przygarbienie, które w ostatnim czasie uwidoczniło się w posturze mojego udręczonego ciała; niektórzy impertynenci ośmielali się wręcz sugerować, że wyglądam staro jak na swój wiek).

– Owszem, mogę – przytaknął Dickens, zgoła niezrażony moim pytaniem. – I codziennie próbuję. Późno już, więc nie proponuję ci poważnej przechadzki aż do Rochester ani innego ambitnego celu… Może po prostu przejdziemy się wśród pól?

Skinąłem głową. Dickens pierwszy zszedł na parter, zostawiając teczkę z (jak należało się domyślać) nieskończonym rękopisem *Tajemnicy Edwina Drooda* na stole w pracowni, gdzie pierwszy lepszy przechodzień mógł ją znaleźć i zwędzić.

***

Przeszliśmy na drugą stronę drogi, jakbyśmy kierowali się do głównego domu, ale minęliśmy go bokiem, przy stajniach, i wyszliśmy na tylne podwórko, gdzie w przeszłości Dickens zwykł palić swoje listy, i dalej na pole, na którym kilka lat wcześniej zginął Sułtan. Trawa – wówczas sucha i zbrązowiała – rosła dziś wysoka, zielona, kołysana wiatrem. Wydeptana ścieżka biegła w głąb łagodnie pofalowanych wzgórz i szpaleru drzew znaczącego koryto szerokiego strumienia, który wpadał do rzeki, która z kolei niewiele dalej uchodziła do morza.

Żaden z nas nie biegł, ale jeśli tempo marszu Dickensa jakoś znacząco spadło, to ja tego nie zauważyłem. Dyszałem i sapałem jak lokomotywa, usiłując za nim nadążyć.

– Słyszałem od Bearda, że musiałeś włączyć morfinę do swojej farmakopei, żeby jakoś sypiać – zagadnął mnie Dickens. Laska, którą podpierał się z lewej strony (wcześniej

zawsze nosił laskę w prawej ręce) unosiła się i opadała w żwawym rytmie. – Podobno powiedziałeś mu, że już zarzuciłeś tę praktykę, ale strzykawka, którą ci pożyczył, zaginęła na dobre.

– Beard jest kochany, ale dyskrecją nie grzeszy. To dzięki niemu podczas twojego ostatniego tournée cały świat był na bieżąco z wartością twojego tętna.

Mój kompan w tej wędrówce nie miał na to nic do powiedzenia.

– Córka moich służących, George'a i Besse, którzy zresztą nadal u mnie służą, przynajmniej na razie, miała zwyczaj podkradać mi różne drobiazgi – dodałem. – Musiałem ją odprawić.

– Mała Agnes? – zdumiał się Dickens. – Złodziejka?! Nie do wiary!

Przekroczyliśmy grzbiet pierwszego z niskich wzgórz. Gad's Hill Place i wysadzany drzewami trakt zniknęły nam z oczu. Ścieżka przez jakiś czas biegła równolegle do skraju zagajnika i przeskakiwała strumień po mostku.

– Moglibyśmy się na chwilę zatrzymać, Charlesie?

– Ależ naturalnie, mój drogi Wilkie. Naturalnie.

Oparłem się o balustradę mostka i pociągnąłem trzy łyki ze srebrnej buteleczki.

– Nie wydaje ci się, że dzień jest nieprzyjemnie gorący?

– Tak uważasz? Dla mnie jest bliski ideału.

Kiedy ruszyliśmy dalej, Dickens albo zaczął odczuwać zmęczenie, albo zwolnił przez wzgląd na mnie.

– Jak zdrowie, Charlesie? Bo ludzie różnie mówią… A jak się jeszcze posłucha złowieszczych pomruków Franka Bearda, to już człowiek zupełnie nie wie, co ma myśleć. Doszedłeś do siebie po tournée?

– Ostatnio czuję się znacznie lepiej. Przynajmniej w niektóre dni. Nie dalej jak wczoraj powiedziałem znajomemu, że zamierzam żyć i pracować do dziewięćdziesiątki; ba, czułem wręcz, że nie kłamię. Ale są też takie dni… Sam wiesz, mój drogi: są takie dni, w których robi się po prostu to co trzeba, żeby wypełnić zobowiązania wobec czytelników i

wobec swojego fachu.

– Jak praca nad Edwinem Droodem!

Dickens spojrzał na mnie badawczo. Poza tamtym jednym okrutnym wypadkiem, kiedy zmieszał z błotem mój *Kamień Księżycowy,* bardzo rzadko rozmawialiśmy o swoich bieżących zajęciach. Okuta stopka laski ze słodkim, letnim świstem smagała trawę po bokach ścieżki.

– Powoli, ale nie najgorzej – odparł w końcu. – Tak mi się przynajmniej wydaje. To książka znacznie bardziej złożona pod względem fabuły, niespodzianek i zwrotów akcji od większości moich poprzednich powieści, mój drogi Wilkie. No, ale ty przecież o tym wiesz. Jesteś mistrzem kryminałów. Powinienem był dawno temu zgłosić się do ciebie ze wszystkimi swoimi problemami nowicjusza, żebyś niczym Wergiliusz wprowadził mnie w arkana suspensu. A jak twój *Mąż i żona*?

– Na ukończeniu. Zostały mi ze dwa, może trzy dni.

– To cudownie! – wykrzyknął Dickens.

Straciliśmy już z oczu strumyk, ale jego szmer wciąż nam towarzyszył, gdy przemierzyliśmy mały zagajnik i znów wyszliśmy na łąkę. Kręta ścieżka wiła się dalej w stronę morza.

– Zastanawiałem się, Charlesie, czy po skończeniu tej książki mógłbym cię prosić o przysługę. Wielką przysługę.

– Jeśli tylko podołam, mimo że jestem coraz słabszy, możesz być pewien, że spróbuję.

– Wierzę, że razem jesteśmy w stanie rozwikłać dwie tajemnice w jedną noc… Pod warunkiem, rzecz jasna, że zgodzisz się wybrać ze mną na potajemną wycieczkę, w środę albo czwartek wieczorem.

Dickens parsknął śmiechem.

– Potajemną wycieczkę?

– Szansa rozwikłania owych tajemnic wzrosłaby niepomiernie, gdybyśmy nikomu, ale to absolutnie nikomu nie wspomnieli o naszej nocnej eskapadzie.

– No, to brzmi naprawdę tajemniczo.

Wspięliśmy się na następne wzgórze. Na łące walały się

porozrzucane olbrzymie głazy, które dzieci i wieśniacy nazywali kamieniami druidów, chociaż nie miały nic wspólnego z druidami.

– W jaki sposób utrzymanie naszej wyprawy w tajemnicy ma zwiększyć szanse jej powodzenia? – zainteresował się Dickens.

– Obiecuję, że jeśli w środowy lub czwartkowy wieczór dołączysz do mnie, kiedy przyjadę po ciebie pół godziny po zachodzie słońca, będziesz miał okazję odkryć odpowiedź na to pytanie.

– Dobrze. Środa albo czwartek, powiadasz… Czwartek będzie dziewiątego czerwca; mogę być zajęty. Środa ci pasuje?

– Będzie idealna.

– Świetnie. Ale ja też mam ci coś do powiedzenia, mój drogi Wilkie. Co ty na to, żebyśmy znaleźli sobie jakieś wygodne siedzisko na którymś z tych głazów? Nie potrwa to długo, ale jest to sprawa wielkiej wagi i specjalnie w tym celu wyciągnąłem cię tu na spacer.

Charles Dickens chce zrobić postój i posiedzieć w czasie pieszej wycieczki?! Nie sądziłem, że taki dzień kiedyś nadejdzie. Ponieważ jednak byłem cały mokry od potu i sapałem jak kawaleryjska szkapa z przestrzelonym płucem, z ulgą przystałem na jego propozycję.

– Sługa pański uniżony – odparłem i gestem wskazałem mu drogę, żeby sam wybrał dogodny kamień.

***

– Przede wszystkim, Wilkie, jestem ci winien szczere i głębokie przeprosiny. Z kilku powodów, prawdę powiedziawszy, lecz najbardziej chcę cię przeprosić za to, jak bardzo nieuczciwie potraktowałem cię i skrzywdziłem w pewnej sytuacji… Doprawdy, sam nie wiem, od czego zacząć.

– Nie przesadzaj, Charlesie. Nie wyobrażam sobie, co takiego…

Dickens uciszył mnie gestem. Siedzieliśmy na wysokim

głazie i wokół nas hrabstwo Kent rozpościerało się we wszystkie strony prawie po horyzont. Na widnokręgu majaczyła miejska mgiełka Londynu, z lewej strony wody Kanału mieniły się w słońcu, a widoczna w oddali wieża katedry w Rochester przywodziła na myśl maszt namiotu.

– Nie wiem, czy będziesz w stanie mi wybaczyć, mój drogi Wilkie. Ja bym ci nie wybaczył… nie potrafiłbym, gdyby sytuacja jakimś cudem uległa odwróceniu.

– Na litość boską, Charlesie, co ty wygadujesz?!

Dickens wyciągniętą ręką wskazał odległe drzewa przy trakcie oraz swój dom.

Tak jakby to coś wyjaśniało.

– Od prawie pięciu lat… w tym tygodniu upłynie dokładnie pięć lat… przekomarzamy się na temat istoty imieniem Drood…

– Przekomarzamy się? – powtórzyłem. – Nie nazwałbym tego „przekomarzaniem”.

– Do tego właśnie zmierzam w swoich przeprosinach, przyjacielu. Nie ma żadnego Drooda. Nie ma żadnej egipskiej świątyni w Podmieście…

O co mu chodziło? Jaką grę ze mną prowadził?

– Czy to znaczy, że wszystkie twoje opowieści o Droodzie, począwszy od sceny po katastrofie, były kłamstwem, Charlesie?

– Nie inaczej. Podłym kłamstwem, za które przepraszam cię bezwarunkowo i ze wstydem, który trudno wyrazić słowami… A możesz mi wierzyć, że wiem, co to wstyd.

– Nie byłbyś człowiekiem, gdybyś nie wiedział – zauważyłem oschle.

W dalszym ciągu nie rozumiałem, do czego zmierza. Gdybym był prostaczkiem, który wyłącznie z jego opowieści wie, że Drood jest prawdziwy – prawdziwy jak ten żagiel, który obaj w tej chwili widzieliśmy na morzu – może wówczas faktycznie miałby mnie za co przepraszać.

– Nie wierzysz mi – zauważył Pan Niezrównany, obserwując mnie z rezerwą.

– Przede wszystkim cię nie rozumiem, Charlesie. Przecież

nie jesteś jedynym człowiekiem, który widział Drooda i któremu z jego powodu stała się krzywda. Zapominasz, że na własne oczy widziałem żywych ludzi, którzy stali się niewolnikami tego Egipcjanina. A gondola na rzece w Podmieście i dwaj pilotujący ją zamaskowani mężczyźni, których widzieliśmy w tamtą noc, gdy zeszliśmy głęboko w podziemia krypt i katakumb? Chcesz mi powiedzieć, że gondola i wioślarze, którzy cię zabrali, byli zwykłym urojeniem?

– Nie. To byli moi ogrodnicy: Gowen i Smythe. A „gondola", jak ją nazwałeś, była zwykłą rzeczną łodzią, jakich setki pływają po Tamizie, zaopatrzoną w toporne ozdóbki z drewna, które zostały pomalowane i przybite na dziobie i rufie. Nie nabrałby się na nią żaden widz w najgorszym nawet teatrze amatorskim, w ogóle w żadnym miejscu, gdzie jest choć trochę światła. Trzeba przyznać, że Gowen i Smythe piekielnie się namordowali, znosząc łajbę po niekończących się schodach w głąb kanałów. Nawet nie wynieśli jej z powrotem na górę, woleli po prostu ją tam porzucić.

– Popłynęliście do świątyni Drooda – przypomniałem mu.

– Usiadłem na ławeczce, a oni powiosłowali za pierwszy zakręt cuchnącego kanału, żeby zniknąć ci z oczu. A potem przez długie godziny błąkałem się po tunelach w poszukiwaniu drogi powrotnej. Niewiele brakowało, żebym tam zabłądził na amen. Zresztą, całkiem zasłużenie.

Roześmiałem się, słysząc te słowa.

– Posłuchaj sam siebie, Charlesie. Tylko ktoś niespełna rozumu mógłby najpierw ułożyć, a następnie zrealizować tak skomplikowany plan. To pomysł nie tyle okrutny, ile zwyczajnie pomylony.

– Czasem się z tobą zgadzam w tej kwestii, Wilkie. – Dickens westchnął. – Nie zapominaj jednak, że zejście do Podmiasta i scena z gondolą miały być ostatnią odsłoną ostatniego aktu w tym konkretnym przedstawieniu. Tak mi się przynajmniej wydawało. Skąd miałem wiedzieć, że twoja pisarska podświadomość, podsycana ogromnymi ilościami

spożywanego przez ciebie opium, będzie to przedstawienie kontynuować jeszcze przez kilka lat?

Pokręciłem głową.

– Gondolierzy Drooda to nie jedyni ludzie zamieszani w tę historię. Co z detektywem Hatcherym? Wiedziałeś w ogóle, że biedak nie żyje?

– Wiedziałem. Dowiedziałem się po powrocie z Ameryki i w wydziale śledczym stołecznej policji zasięgnąłem informacji na temat jego losów.

– Co ci powiedzieli?

– Że eksdetektyw Hibbert Hatchery został zamordowany w tym samym grobowcu na cmentarzu upiornych świętych, który ja sam nieco wcześniej pokazałem ci podczas naszej rzekomej ekspedycji do londyńskich podziemi.

– Nie bardzo rozumiem, co „rzekomego” było w tym zstąpieniu do piekieł – przyznałem. – Ale to w tej chwili nieważne. Powiedzieli ci, w jaki sposób zginął Hatchery?

– To był napad rabunkowy. Napastnicy najpierw go ogłuszyli, a następnie wypatroszyli – odparł Dickens półgłosem, jakby te słowa sprawiały mu ból. – Ty pewnie byłeś w tym czasie na dole, u króla Lazaree. Zdaję sobie sprawę, że widok trupa Hatchery’ego, kiedy wróciłeś na górę, musiał tobą wstrząsnąć.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Powiedz mi, Charlesie, kogo policja obwiniła o tę napaść?

– Czterech zbiegłych ze statku hinduskich marynarzy. Zwykłe zbiry. Najprawdopodobniej śledzili was z Hatcherym, przyszli za wami do kaplicy (oczywiście, policja nie wiedziała o twojej obecności, Wilkie, ale ja się domyślałem, że poszedłeś do palarni Lazaree i nie wiedziałeś, co dzieje się na górze), poczekali, aż przed świtem detektyw przyśnie w grobowcu, a następnie spróbowali go okraść. Chcieli mu zabrać zegarek i pieniądze z kieszeni.

– To niedorzeczne.

– Biorąc pod uwagę posturę naszego nieżyjącego przyjaciela–detektywa, zgadzam się z tobą. Zresztą, Hatchery zdołał skręcić kark jednemu napastnikowi. Tym

jednak rozjuszył pozostałych, dlatego po tym, jak ogłuszyli go jakimś tępym narzędziem… zrobili z nim to, co zrobili.

Jak elegancko, pomyślałem. W Scotland Yardzie jak zwykle mają gotowe wytłumaczenie na wszystko, czego nie rozumieją.

– A skąd policja wiedziała, że chodzi o czterech hinduskich marynarzy?

– Stąd, że pozostałych trzech udało się złapać. Po tym, jak z Tamizy wyłowiono zwłoki czwartego. Zostali złapani i zmuszeni do złożenia zeznań. Mieli jeszcze przy sobie zegarek Hatchery'ego z grawerunkiem, portfel i część pieniędzy. Policjanci nie byli dla nich delikatni… Wielu znało Hatchery'ego osobiście.

Zamurowało mnie. Policyjne kłamstwa były naprawdę pieczołowicie dopracowane.

– Mój drogi Charlesie… – odezwałem się, zniżając głos, lecz nie kryjąc irytacji. – Gazety o tym nie pisały.

– Oczywiście, że nie. Tak jak powiedziałem, policjanci nie przepadają za zabójcami policjantów; żaden z trójki Hindusów nie dożył procesu. Prasa nic nie wie o żadnym aresztowaniu w sprawie zabójstwa Hibberta Hatchery'ego. Nawiasem mówiąc, do gazet nie przeciekły żadne szczegółowe informacje o morderstwie, Wilkie. Stołeczna policja to instytucja przyzwoita, jak na instytucję państwową, ale podobnie jak my wszyscy, też ma swoje mroczne strony.

Z westchnieniem pokręciłem głową.

– To za to właśnie chciałeś mnie przeprosić? Za okłamanie mnie w sprawie Drooda? Za farsę z podziemiami, kanałami i gondolą? Za zatajenie przede mną twojej wersji prawdy o śmierci Hatchery'ego?

Przypomniały mi się rozliczne sytuacje, w których widziałem Drooda, rozmawiałem o nim z inspektorem Fieldem, słuchałem opowiadającego o nim Barrisa, spotkałem nawróconego Edmonda Dickensona, widziałem sługi Drooda w Podmieście i jego świątynie w Nadmieście. Widziałem list od Drooda. Widziałem jego samego, jak rozmawiał z Dickensem u mnie w domu. Jedno małe

kłamstewko Dickensa w tę piękną niedzielę nie sprawi, że zwątpię w swoją poczytalność.

– Nie – odparł. – Nie za to, przynajmniej nie głównie za to, bo jest to element składowy moich większych, ogólniejszych przeprosin. Pamiętasz, Wilkie, jak odwiedziłeś mnie w domu pierwszy raz po katastrofie pod Staplehurst?

– Naturalnie. Opowiedziałeś mi wtedy o swoim pierwszym spotkaniu z Droodem.

– A co było wcześniej? Gdy tylko wszedłeś do pokoju? Pamiętasz, co robiłem i o czym rozmawialiśmy?

Musiałem trochę wysilić pamięć, ale w końcu odparłem:

– Bawiłeś się zegarkiem. Przez chwilę rozmawialiśmy o mesmeryzmie.

– Zahipnotyzowałem cię wtedy, mój drogi Wilkie.

– Nie, Charlesie, nie zahipnotyzowałeś. Nie pamiętasz? Powiedziałeś, że chciałbyś tego spróbować, i zacząłeś kołysać zegarkiem, ale ja cię zbyłem. Sam przyznałeś, że mam zbyt silną wolę, by poddać się mesmerycznym wpływom. Po czym odłożyłeś zegarek na bok i opowiedziałeś mi o wypadku.

– Zgadza się, Wilkie, powiedziałem, że masz zbyt silnego ducha. Ale powiedziałem to w chwili, gdy już od dziesięciu minut znajdowałeś się w transie hipnotycznym.

Roześmiałem się w głos. Co on knuje? Poprawiłem kapelusz, osłaniając oczy przed słońcem.

– Teraz rzeczywiście kłamiesz, Charlesie… Nie rozumiem jednak po co.

– To był eksperyment – odparł Dickens.

Zwiesił głowę w taki sposób, że przypomniał mi się Sułtan. Gdybym miał przy sobie dubeltówkę, rozprawiłbym się z nim tak samo, jak on rozprawił się z Sułtanem.

– Już wtedy… – ciągnął. – Tak, już wtedy chodził mi po głowie pomysł napisania powieści, której bohater podejmuje pewne… działania… znajdując się pod niewiarygodnie długotrwałym wpływem sugestii posthipnotycznej. Przyznaję, że w sposób szczególny interesowała mnie kwestia oddziaływania takiej sugestii na przekonania artysty, twórcy,

człowieka obdarzonego zawodowo bujną wyobraźnią, a przy tym, nie będę ukrywał, nadużywającego opium, ponieważ to właśnie opium miało być lejtmotywem mojej historii.

W tym miejscu nie tylko się roześmiałem, ale z uciechy aż klepnąłem dłonią udo.

– Doskonałe! Naprawdę doskonałe, Charlesie. Chcesz powiedzieć, że za pośrednictwem hipnozy kazałeś mi uwierzyć w opowieść o Droodzie, którą przedstawiłeś mi już po obudzeniu mnie z transu?

– Nie kazałem – odparł smętnie Dickens. – To była tylko sugestia.

Tym razem klepnąłem uda obiema rękami.

– Coś pięknego… Teraz mi pewnie powiesz, że zmyśliłeś całą tę historię o Droodzie, utkałeś ją z powietrza, wykorzystując swoją słynną Dickensowską wyobraźnię i zamiłowanie do makabry?

– Bynajmniej. – Dickens odwrócił się i spojrzał ku zachodowi, a ja dałbym sobie głowę uciąć, że oczy zaszkliły mu się od łez. – Wtedy w nocy Drood mi się przyśnił. Przyśnił mi się stwór krzątający się pod Staplehurst wśród zmarłych i umierających, dokładnie tak, jak ci to opisałem, mój drogi Wilkie. Zgroza moich autentycznych doświadczeń połączyła się ze zmyśloną opowieścią o Droodzie.

Szeroki uśmiech nie schodził mi z twarzy. Zdjąłem okulary, wzorzystą chusteczką przetarłem czoło i pokręciłem głową z nieskrywanym podziwem dla zuchwałości słów Dickensa i dla gry, którą ze mną prowadził.

– Twierdzisz zatem, że wyśniłeś Drooda i w ten sposób powołałeś go do istnienia.

– Nie. Pierwszy raz legendę o Droodzie usłyszałem z ust Charlesa Fredericka Fielda, było to ponad dziesięć lat przed katastrofą. Nigdy się jednak nie dowiem, dlaczego wplotłem obsesyjną fantazję starego inspektora w swój własny koszmar senny.

– Fantazję inspektora?! Czyli to inspektor Field wymyślił Drooda, tak?

– Ty i ja jeszcze się wtedy nie znaliśmy, mój drogi Wilkie.

Pamiętasz zapewne, że napisałem serię esejów o przestępczości miejskiej, które opublikowałem w swoim starym piśmie, „Household Words”, w tysiąc osiemset pięćdziesiątym drugim roku. Ponad dziesięć lat wcześniej zostałem przedstawiony Fieldowi przez aktorów, którzy znali go z czasów, gdy sam był aktorem amatorskiego Catherine Street Theatre, ale dopiero na początku lat pięćdziesiątych, podczas długich wspólnych spacerów po ulicach Wielkiego Pieca, detektyw Charles Frederick Field opowiedział mi o żyjącej w jego umyśle zjawie, którą nazwał Droodem.

– Zjawie… – powtórzyłem. – Sugerujesz, że inspektor Field był obłąkany?

– Nie od początku. Rozmawiałem o tym później z wieloma jego kolegami i przełożonymi z wydziału śledczego. A także z człowiekiem, który go zastąpił, kiedy inspektor faktycznie przeszedł załamanie nerwowe.

– Załamanie wywołane przez Drooda – dokończyłem sarkastycznym tonem. – Przez fantazję, w której pierwsze skrzypce odgrywał egipski morderca–okultysta imieniem Drood.

– Otóż to. Zresztą, na początku to wcale nie była fantazja. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Field objął posadę szefa wydziału śledczego, doszło do serii niewiarygodnych morderstw. Ich tajemnica pozostała nierozwikłana; wydawało się, że niektóre łączą się z innymi, wcześniejszymi sprawami, których Fieldowi w przeszłości nie udało się rozwiązać. Aresztowani w tym okresie laskarzy, Malajowie, Chińczycy i Hindusi próbowali czasem zwalać winę za morderstwa na widmowego potwora, którego nazywali Droodem. Ich zeznania bywały mętne i ubogie w szczegóły, ale w kilku punktach pozostawały zgodne: potwór miał być egipskim seryjnym mordercą, który zmusza ludzi do posłuszeństwa za pomocą siły swojego umysłu oraz prastarych rytuałów religijnych; miał również mieszkać w rozległym podziemnym kompleksie świątynnym albo wręcz, jak utrzymywali niektórzy opiumiści, w świątyni pod samą Tamizą.

– Wracamy? – zaproponowałem.

– Jeszcze nie, Wilkie. – Dickens drżącą dłonią dotknął mojego przedramienia, ale cofnął rękę, widząc moje wrogie spojrzenie. – Czy teraz rozumiesz, w jaki sposób Drood najpierw stał się obsesją, a potem fantazją Fielda? Wielu policjantów i detektywów, z którymi rozmawiałem, w tym także świętej pamięci Hatchery, twierdziło, że kiedy okrutną śmiercią zginął lord Lucan, znajdujący się wówczas pod osobistą opieką Fielda, a morderca pozostał niewykryty… Co cię tak bawi, Wilkie?

Śmiałem się i śmiałem, nie mogłem przestać. Ta historia, ta fabuła była cudownie zawiła, a zarazem taka schludna, taka logiczna, taka… dickensowska.

– Fantazję, w której ów zmyślony geniusz zbrodni, Drood, odgrywał główną rolę, Field przypłacił najpierw utratą pracy, a potem także emerytury – mówił dalej Dickens. – Inspektor Charles Frederick Field nie był w stanie uwierzyć, że potworności, które oglądał i o których słyszał dzień w dzień przez całą swoją karierę zawodową, mogą być tak przypadkowe, tak… bezsensowne. Dlatego jego coraz bardziej zagubiony umysł uwierzył, że za całą zgrozę i nieszczęście, których był świadkiem, odpowiada jeden geniusz zbrodni. Samotny czarny charakter. Przeciwnik godny wielkiego inspektora Charlesa Fredericka Fielda. Arcywróg, który nie jest właściwie człowiekiem i którego złapanie (przez inspektora Fielda, naturalnie) położy kres serii brutalnych morderstw, które Field przez całe życie był zmuszony oglądać.

– Twierdzisz zatem, że pan Charles Frederick Field, powszechnie szanowany szef wydziału śledczego, pod koniec życia oszalał.

– Był kompletnie pomylony. Od lat. Jego *idée fixe* przerodziła się w obsesję, obsesja w fantazję, a fantazja w koszmar, z którego już się nie obudził.

– Wszystko to bardzo pięknie, Charlesie – odparłem półgłosem. Takie bzdury nie mogły mnie przyprawić o szybsze bicie serca. – Zapominasz jednak o innych, którzy

widzieli Drooda.

– Jakich innych? Nie licząc tamtych zbirów sprzed dziesięcioleci oraz ciebie i twoich hipnotycznych halucynacji, nie przychodzi mi do głowy nikt, mój drogi Wilkie, kto wierzyłby w istnienie Drooda. Może z wyjątkiem syna Fielda.

– Jego syna?

– Nieślubnego, z młodą kobietą z Indii Zachodnich. Inspektor spotykał się z nią przez kilka lat, mieszkała niedaleko palarni Opiumowej Sal, którą obaj doskonale znamy, ty chyba nawet lepiej ode mnie. Żona inspektora nie wiedziała ani o jego kochance (która zresztą zmarła, jak ustaliłem, wkrótce po porodzie, najprawdopodobniej wskutek przedawkowania opium), ani o synu, ale Field się o niego zatroszczył: znalazł przyzwoitą rodzinę, zamieszkałą z dala od portu, która wzięła go – odpłatnie – na wychowanie. Zapłacił też za edukację chłopaka w dobrych prywatnych szkołach, a na koniec ponoć posłał go do Cambridge.

– Jak ten chłopak miał na imię? – Nagle zaschło mi w ustach. Pożałowałem, że zamiast laudanum nie przyniosłem ze sobą wody.

– Reginald, zdaje się. Rozpytywałem o niego przez ostatni rok, ale po śmierci ojca chłopak przepadł jak kamień w wodę. Może popłynął do Australii.

– Jak ci się wydaje, Charlesie, jak umarł inspektor Field?

– Atak serca, mój drogi Wilkie. Tak jak napisały gazety. Rozmawialiśmy już o tym.

Ześliznąłem się z kamienia i stanąłem na nogach, które mrowiły mnie z odrętwienia. Pociągnąłem długi łyk laudanum; nic mnie nie obchodziło, czy Dickens patrzy.

– Muszę wracać – wychrypiałem.

– Zostaniesz chyba na kolacji, co? Twój brat i Katey przyjechali na weekend, wpadnie Percy Fitzgerald z żoną i…

– Nie – wszedłem mu w słowo. – Muszę wracać do miasta. Do pracy. Muszę skończyć *Męża i żonę.*

Dickens musiał się podeprzeć laską, żeby wstać. Było widać, że lewa noga okrutnie mu dokucza, chociaż starał się nie dać tego po sobie poznać.

Z kieszeni kamizelki wyjął zegarek z dewizką.

– Daj mi się zahipnotyzować, Wilkie. Tu i teraz.

Cofnąłem się o krok. Nawet ja usłyszałem przebijający z mojego śmiechu strach.

– Żartujesz.

– Nigdy nie byłem bardziej poważny, przyjacielu. Kiedy hipnotyzowałem cię w czerwcu sześćdziesiątego piątego, nie miałem pojęcia, że sugestia posthipnotyczna utrzyma się tak długo. Nie wiedziałem, że to w ogóle możliwe. Nie doceniłem wpływu opium i potęgi pisarskiej wyobraźni.

– Nie chcę, żebyś mnie hipnotyzował.

– Powinienem był to zrobić dawno temu. – Głos Dickensa również brzmiał chrapliwie, jakby pisarz miał się za chwilę rozpłakać. – Nie wiem, czy sobie przypominasz, Wilkie, ale jeszcze nie raz próbowałem cię zahipnotyzować. Chciałem odwołać tamtą sugestię posthipnotyczną i przebudzić cię z tego snu, w którym bez przerwy tkwisz. Usiłowałem nawet nauczyć hipnozy Caroline; podałem jej słowo–rozkaz, słowo–klucz, które zaszczepiłem w twojej podświadomości. Kiedy, znajdując się w transie hipnotycznym, usłyszysz to słowo, przebudzisz się w końcu z tego niekończącego się snu.

– Jak brzmi ten rozkaz… to… słowo–klucz?

– „Niepojęte” – odparł Dickens. – Specjalnie wybrałem takie słowo, którego nie słyszy się codziennie. Żeby jednak mogło zadziałać, musisz znajdować się w śnie mesmerycznym.

– „Niepojęte” – powtórzyłem. – Powiedziałeś tak o katastrofie pod Staplehurst.

– Wtedy była to moja reakcja na zgrozę chwili.

– Obawiam się, że to ty postradałeś zmysły, Charlesie.

Pokręcił głową. Teraz już naprawdę płakał. Pan Niezrównany płaczący na osłonecznionej łące.

– Nie spodziewam się, żebyś mi wybaczył, Wilkie, ale na litość boską, pozwól mi się zahipnotyzować, dla swojego własnego dobra, żebym mógł cię wyzwolić od klątwy, którą cię nieumyślnie naznaczyłem. Zanim będzie za późno!

Zrobił krok w moją stronę, z wyciągniętymi przed siebie

rękami. Zwieszający mu się z prawej dłoni zegarek zalśnił złociście.

Cofnąłem się o dwa kroki. Mogłem tylko zgadywać, jaki cel naprawdę mu przyświeca, lecz wszystkie moje domysły były wyjątkowo mroczne i posępne. Inspektor Field powiedział kiedyś, że rozgrywają z Droodem partię szachów; ja sam widziałem w niej Dickensa jako trzeciego gracza. Teraz zająłem miejsce inspektora przy szachownicy, na której stawką były życie i śmierć.

– Naprawdę chcesz mnie zahipnotyzować, Charlesie? – spytałem przyjaznym, rozsądnym tonem.

– Muszę, mój drogi Wilkie. Tylko w ten sposób mogę ci zadośćuczynić za coś, co okazało się najokrutniejszym żartem, jaki kiedykolwiek komukolwiek niechcący zrobiłem. Stój tak, odpręż się, a ja…

– Nie teraz. – Odsunąłem się, unosząc otwarte dłonie w pojednawczym, uspokajającym geście. – Jestem zbyt wzburzony, nic z tego nie będzie. Za to w środę wieczorem…

– W środę wieczorem? – powtórzył Dickens.

Nagle wydał mi się zagubiony, zdezorientowany jak poobijany bokser, który dawno już przekroczył granice ludzkiej wytrzymałości i tylko z przyzwyczajenia trzyma się na nogach, niezdolny bronić się przed dalszymi ciosami. Patrzyłem, jak utyka, oparty na lasce i oszczędza schorowaną nogę.

– A co będzie w środę wieczorem, Wilkie?

– Potajemna eskapada, w której zgodziłeś się mi towarzyszyć – odparłem, zniżając głos. Podszedłem do Dickensa, wyjąłem mu zegarek z ręki (był bardzo gorący w dotyku) i schowałem mu go do kieszonki w kamizelce. – Zgodziłeś się wziąć ze mną udział w krótkiej przygodzie, podczas której obiecałem ci rozwikłanie co najmniej dwóch sekretów. Pamiętasz, jak pojechaliśmy zbadać nawiedzony dom w Cheshunt?

– Cheshunt… Pojechałeś z Willsem powozem, a ja z Johnem Hollingsheadem poszliśmy pieszo.

– Szesnaście mil, jeśli mnie pamięć nie myli. – Poklepałem

go po ramieniu. – To było dawno.

Dickens się postarzał, nagle i nieodwołalnie.

– Nie znaleźliśmy tam duchów, Wilkie.

– Nie, ale bawiliśmy się wyśmienicie, nieprawdaż? Cudownie! I tak samo zabawimy się teraz, w najbliższą środę, ósmego czerwca. Tylko nikomu nie mów, że się ze mną spotykasz.

Ruszyliśmy w drogę powrotną. Obolały Dickens wysforował się naprzód, gdy wtem zatrzymał się i obejrzał.

– Udam się z tobą na tę… eskapadę… jeśli coś mi obiecasz, mój drogi Wilkie. Obiecasz mi tu i teraz, dasz słowo honoru, że od razu, na samym początku, pozwolisz mi się zahipnotyzować. Zahipnotyzować i uwolnić cię od okrutnej ułudy, którą ci narzuciłem przez swoją arogancję i brak rozsądku.

– Obiecuję, Charlesie – zgodziłem się, a kiedy nadal patrzył na mnie wyczekująco, dodałem: – W środę zaczniemy od zahipnotyzowania mnie. Osobiście ci w tym pomogę. Będziesz mógł wypowiedzieć swoje magiczne słowo, „niepojęte”, ile razy zechcesz; zobaczymy, co z tego wyniknie. Daję ci słowo honoru.

Dickens odchrząknął i wznowiliśmy nasz kulejący powrót do Gad’s Hill Place. Ze szwajcarskiej chaty góralskiej wyszedłem w towarzystwie trawionego wyrzutami sumienia mężczyzny w średnim wieku, którego przepełniały energia twórcza i entuzjazm wobec życia. Wracałem u boku dogorywającego kaleki.

– Wilkie… – mruknął Dickens, gdy zbliżyliśmy się do rzucających cień drzew. – Opowiadałem ci kiedyś o czereśniach?

– O czereśniach? Nie, Charlesie, nie wydaje mi się. – Słuchałem, jak staruszek buja w obłokach, ale zależało mi przede wszystkim na tym, żeby posuwał się naprzód. Choćby kuśtykając. – Opowiedz mi o czereśniach.

– To było dawno temu, kiedy byłem jeszcze londyńskim urwisem… chyba już po fabryce czernidła do butów… tak, na pewno po fabryce. – Dickens drżącą ręką dotknął mojego

ramienia. – Przypomnij mi kiedyś, mój drogi Wilkie, żebym ci opowiedział o fabryce czernidła. Nikomu nie powiedziałem prawdy o niej, chociaż była to najstraszniejsza rzecz, jaka mi się…

I odpłynął w zadumę.

– Kiedyś cię o to na pewno zapytam, Charlesie, obiecuję. Ale mówiłeś coś o czereśniach…

W cieniu drzew panował przyjemny chłód. Ja szedłem dalej, Dickens, utykając, dotrzymywał mi kroku.

– O czereśniach? Ach tak… Dawno temu, kiedy byłem londyńskim urwisem, szedłem pewnego razu Strandem za robotnikiem, który niósł na barana paskudnego dzieciaka z wielką głową; domyślałem się, że to jego syn. Wydałem ostatnie pensy na taką wielgachną torbę dojrzałych czereśni…

– Mhm – mruknąłem. Ciekawe, pomyślałem, czy właśnie dostał udaru słonecznego. Albo po prostu udaru mózgu.

– Tak, mój drogi Wilkie, czereśni. Najpiękniejsze było to, że ten dzieciak spojrzał na mnie w taki specyficzny sposób… taki niepowtarzalny… a ja wtedy zacząłem go karmić tymi czereśniami, wrzucałem mu je po jednej do ust, a on bezszelestnie wypluwał same pestki. Jego ojciec w ogóle się nie zorientował, niczego nie usłyszał, nie odwrócił się. Do końca o niczym nie wiedział. Nakarmiłem tego wielkogłowego chłopca wszystkimi swoimi czereśniami, wyjadł je do ostatka. W końcu robotnik skręcił na którymś skrzyżowaniu w lewo, a ja poszedłem prosto. On się nie zorientował, ja zbiedniałem, bo nie miałem już czereśni, za to dzieciak z wielką głową wyszedł z tego szczęśliwy i grubszy.

– To fascynujące, Charlesie.

Dickens próbował przyśpieszyć kroku, ale opuchnięta stopa zupełnie już odmówiła mu posłuszeństwa i musiał się całym ciężarem wspierać na lasce.

Spojrzał na mnie.

– Mam czasem takie wrażenie, mój drogi Wilkie, że cała moja kariera pisarska nie była niczym więcej jak tylko przedłużeniem tamtych chwil, kiedy karmiłem czereśniami

wielkogłowego chłopca, którego ojciec niósł na barana. Rozumiesz coś z tego?

– Ależ naturalnie, Charlesie.

– Obiecujesz, że dasz mi się zahipnotyzować i uwolnić od okrutnie narzuconej mesmerycznej sugestii? – spytał niespodziewanie natarczywym tonem. – W środę, ósmego czerwca? Dajesz słowo?

– Słowo honoru, Charlesie.

Kiedy dotarliśmy do łukowatego mostka nad strumieniem, pogwizdywałem pod nosem melodię ze swojego snu.

Rozdział 49

M*ęża i żonę* skończyłem pisać wczesnym popołudniem w środę, ósmego czerwca 1870 roku.

George'owi i Besse – którzy i tak nie mieli już długo u mnie służyć – powiedziałem, że potrzebuję ciszy i spokoju, żeby się wyspać, i odesłałem ich z domu, żeby odwiedzili kogo dusza zapragnie. Carrie wyjechała na cały tydzień ze swoimi pracodawcami. Mojego redaktora z „Cassell's Magazine" oraz przyszłego wydawcę mojej książki, F.S. Ellisa, zawiadomiłem, że rękopis jest gotowy.

Wysłałem list do Dickensa. Pisałem w nim, że skończyłem książkę, i przypominałem o naszym spotkaniu, zaplanowanym na następny dzień, dziewiątego czerwca, po południu. Oczywiście wcale nie byliśmy tak umówieni, byłem jednak prawie pewny, że list dotrze do domu adresata dopiero następnego dnia rano, dzięki czemu spełni rolę czegoś, co my, ludzie kształceni w prawie, nazywamy z łaciny „alibi". Napisałem także przyjazne liściki do Lehmannów, Beardów i innych znajomych, dając im znać, że skończyłem *Męża i żonę* i że – po długiej nocy wyczekiwanego i zasłużonego snu – zamierzam z tej okazji odwiedzić Dickensa w Gad's Hill Place dziewiątego czerwca.

Pod wieczór przebrałem się w czarny strój podróżny (z peleryną i odrzuconym na plecy kapturem), pojechałem wynajętym powozem do Gad's Hill i zaparkowałem pod najstarszymi drzewami pod „Falstaff Inn". Słońce zaszło i ciemność zaczęła wyciągać długie palce ku tylnej ścianie gospody.

Nie udało mi się znaleźć hinduskiego marynarza, który zamierzałby w ciągu dziesięciu dni na zawsze porzucić Anglię. Kandydata na woźnicę nie znalazłem też wśród marynarzy niemieckich, amerykańskich i angielskich.

Nie udało mi się również wypożyczyć czarnego powozu, który by pasował do moich opiumowo–morfinowych wizji. Skończyło się więc na tym, że powoziłem sam (miałem

nadzwyczaj mizerne doświadczenie w tej materii i jazda do Gad’s Hill trwała znacznie dłużej niżby mogła z pomocą wyimaginowanego Hindusa), prowadząc maleńki otwarty powozik – niewiele większy od zaprzężonej w kuca bryczki, którą zwykle wyjeżdżał po mnie Dickens.

Schowałem małą latarnię pod znajdujące się za moimi plecami jedyne siedzenie. Do kieszeni marynarki włożyłem – zgodnie z planem – rewolwer Hatchery’ego (z czterema nabojami) i solidny woreczek na metalowe drobiazgi. Konieczność samodzielnego powożenia wydała mi się nawet sensowniej sza od wcześniejszego pomysłu: przynajmniej nie musiałem się martwić, że woźnica – Hindus czy nie–Hindus – spróbuje mnie w przyszłości szantażować.

Nie był to też taki idealny czerwcowy wieczór, jaki sobie wyobrażałem.

Kiedy jechałem do Gad’s Hill, lało jak z cebra i zanim o zmierzchu zajechałem pod gospodę, przemokłem do suchej nitki – od deszczu, ale i od wody chlapiącej z kałuż na mój niedorzecznie niski pojazd. Sam zmierzch zresztą też był raczej szarym, rozmazanym i wodnistym aneksem do deszczowego dnia, a nie piękną sceną, jaką namalowała moja wyobraźnia.

Wcisnąłem samotną (i wiekową) szkapinę razem z powozikiem jak najdalej w cień drzew z boku gospody, ale przelotne deszcze nadal przenikały mnie do szpiku kości – a w tych chwilach, gdy akurat ustawały, kapało na mnie z drzew. Nawet na podłodze powozu zaczynały się tworzyć kałuże.

A Dickens się nie zjawił.

Byliśmy umówieni pół godziny po zachodzie słońca. Wybaczyłbym mu, że przegapił ten przygnębiająco pochmurny substytut końca dnia, ale wkrótce minęła już pełna godzina, a jego wciąż nie było nigdzie widać.

Pomyślałem, że może po ciemku nie zauważył mojego ciemnego powoziku, ociekającego wodą czarnego konia i przemoczonego mnie w czarnej pelerynie. Postanowiłem zapalić jedną z lamp zawieszonych na bokach pojazdu.

Powozik był tak tani, że nie zaopatrzono go w lampy. Pomyślałem wówczas, że mógłbym zapalić swoją latarnię i postawić ją obok siebie na koźle. Wówczas Dickens zobaczyłby mnie z sali jadalnej albo z dziedzińca, ale – zreflektowałem się – stałbym się wówczas widoczny nie tylko dla wszystkich gości przybywających do gospody lub z niej wychodzących, ale nawet dla przypadkowych podróżnych na trakcie.

Przyszło mi do głowy, żeby wejść do środka, zamówić grzany rum i posłać chłopaka do Gad's Hill Place, żeby dał znać Dickensowi, że czekam.

Nie bądź idiotą, szepnęli zgodnie prawnik i autor kryminałów w mojej głowie. Wraz z ich głosami pojawiło się znowu to dziwne – lecz niezbędne – słowo: alibi.

Było półtorej godziny po zachodzie słońca, a Charles Dickens, chyba najbardziej punktualny pięćdziesięcioośmiolatek w całej Anglii, nadal nie dawał znaku życia. Dochodziła dziesiąta. Jeżeli zaraz nie wyruszymy do Rochester, nici z wycieczki.

Uwiązałem drzemiącego konia, upewniłem się, że żałosna namiastka hamulca w powoziku jest zaciągnięta, i wśród drzew zacząłem się przekradać w stronę szwajcarskiego domku Dickensa. Przy każdym mocniejszym powiewie nocnego wiatru z góry zwalały się na mnie kolejne Niagary.

W ciągu ostatniej półtorej godziny co najmniej trzy powozy skręciły na podjazd przed domem Dickensa; dwa z nich nadal tam stały. Czy to możliwe, że Dickens zapomniał o naszym spotkaniu? Albo że celowo postanowił je zignorować?

(Dreszcz mnie przeszedł na myśl, że mój list z przypomnieniem o rzekomym spotkaniu w dniu jutrzejszym jakimś cudem zdążył dojść do Gad's Hill Place jeszcze przed wieczorem, ale przypomniałem sobie, że przecież celowo wysłałem go najpóźniej, jak się dało; żaden kurier pocztowy w dziejach Anglii nie dostarczyłby go tak szybko. Ba, byłby to przejaw niezwykłej sprawności poczty, gdyby list ten dotarł do adresata w piątek, a była przecież dopiero środa).

Namacałem rewolwer w kieszeni i postanowiłem podejść

pod dom tunelem.

Co zrobię, jeśli, zaglądając przez okna ulokowanej z tyłu oranżerii (dobudowanej zaledwie w tym roku, na wiosnę, ku wielkiej uciesze Dickensa), zobaczę, że Pan Niezrównany nie wstał jeszcze od kolacji? Albo że czyta książkę?

Zastukam w szybę, wywabię go na zewnątrz i uprowadzę, grożąc mu rewolwerem. Nie miałem innego wyjścia. To naprawdę proste.

Przynajmniej dopóki w pobliżu nie będzie Georginy i innych domowników, uzależnionych od Dickensa (i jego pieniędzy) jak minogi wgryzione w większą rybę. Przyznaję, że do tej rybiej metafory musiałem włączyć także swojego rodzonego brata.

Tunel – bardzo ciemny – cuchnął, jakby regularnie wypróżniały się w nim jakieś dzikie zwierzęta. Tej nocy czułem się jak jedno z nich. Byłem przemoczony na wylot i dygotałem na całym ciele.

Wyszedłszy z tunelu, skręciłem z dróżki dojazdowej (żwir zbyt głośno chrzęściłby pod butami) i przez niski żywopłot wszedłem prosto na frontowy dziedziniec. Teraz już widziałem, że na zakręcie pod domem stłoczyły się nie dwa, lecz trzy powozy, lecz w ciemnościach nie byłem w stanie rozpoznać żadnego z nich. Jeden z koni zarzucił łbem i prychnął głośno, zwietrzywszy mnie. Zastanawiałem się, czy wyczuwa we mnie drapieżnika.

Przemknąłem w prawo, wspiąłem się na palce i ponad przystrzyżonym żywopłotem zajrzałem pomiędzy białe firanki. Półokrągłe okno pracowni Dickensa było ciemne, ale poza tym świeciły się chyba wszystkie światła w domu. W jednym z frontowych okien mignęła mi głowa kobiety. Georgina? Mamie? Katey? Czyżby gdzieś się śpieszyła? A może po prostu poniosły mnie napięte nerwy?

Cofnąłem się kilka kroków, żeby spojrzeć w okna na piętrze. Wyjąłem rewolwer.

Kula anonimowego zabójcy przebija szybę i kładzie trupem jednego z najsłynniejszych pisarzy w dziejach…

Co to za bzdury? Dickens nie mógł po prostu umrzeć.

Musiał zniknąć. Bez śladu. Dziś w nocy. I gdy tylko wyjdzie przed dom, przypomniawszy sobie poniewczasie o naszym spotkaniu, tak się właśnie stanie. Przysiągłem to nie tylko Bogu, ale wszystkim bogom Czarnych Krain.

Nagle czyjeś liczne dłonie pochwyciły mnie od tyłu i na wpół unosząc, na wpół wlokąc (szorowałem obcasami po ziemi), zaczęły odciągać od domu.

Powyższe zdanie nijak nie oddaje gwałtu, jaki zadano wtedy mojej osobie. Dłonie należały do kilku mężczyzn, i to silnych. Właściciele tych szorstkich, twardych dłoni kompletnie nie przejmowali się moim dobrym samopoczuciem: wywlekli mnie na drugą stronę żywopłotu, przeciągnęli przez obwisające nisko gałęzie drzewa i rzucili na kamienistą rabatę gęsto wysadzaną pelargoniami.

Szkarłatnymi pelargoniami! Kwiaty wypełniły moje pole widzenia (ustępując tylko na chwilę rojom gwiazd, które wybuchły, gdy uderzyłem głową w ziemię). Ich czerwień była uderzająca, niemożliwie wyrazista w otaczających mnie ciemnościach.

Szkarłatne pelargonie Dickensa. Kwiaty krwi. Kwiat wystrzału rozkwitający na białym polu odświętnej koszuli. Czerwony kwiat śmierci Nancy, której Bill Sikes roztrzaskuje czaszkę.

Moje koszmary okazały się prorocze. Może napędzało je opium – tak samo jak moją pracę twórczą, kiedy wszystko inne zawodziło.

Próbowałem wstać, ale silne ręce pchnęły mnie z powrotem w błoto i glinę. Kiedy spomiędzy pędzących po niebie czarnych chmur wyjrzał na chwilę rąbek księżyca, ujrzałem unoszące się nade mną w powietrzu trzy białe twarze.

Jakby na potwierdzenie moich przewidywań, widok przesłoniło mi oblicze Edmonda Dickensona, znalazłszy się nagle zaledwie o stopę od mojej twarzy. Zęby naprawdę miał spiłowane w malutkie białe sztyleciki.

– Ssspokojnie, panie Collinsss. Tylko ssspokojnie. To nie czasss ani miejsssce na fajerwerki. Nie czasss.

Jakby w ramach wyjaśnienia jego zagadkowych słów, inne dłonie wyjęły mi broń z drżących palców; zapomniałem, że ją trzymam.

Miejsce Dickensona zajął Reginald Barris, który albo się uśmiechał, albo potwornie krzywił – nie umiałbym powiedzieć – a ja uświadomiłem sobie, że to nie próchnica przetrzebiła mu uzębienie, kiedy ostatni raz widziałem go w tamtym ciemnym zaułku. On też miał spiłowane zęby.

– Ta noc należy do nasss, panie Collinsss – wysyczał.

Szarpałem się, ale na próżno. Kiedy znów zadarłem głowę, nade mną unosiła się twarz Drooda.

Celowo używam określenia „unosiła się”. Wydawało się, że cały Drood szybuje nade mną w powietrzu, z rękami rozpostartymi na boki, jak człowiek, który wchodzi do głębokiej wody. Patrzył na mnie z góry, a jego odziane w czerń ciało lewitowało na niewidzialnych prądach powietrznych, unosząc się poziomo, równolegle do mojego, na wysokości pięciu, może sześciu stóp nad ziemią.

Miejsca, w których powinny znajdować się powieki i nozdrza Drooda, miały tak jaskrawo czerwony kolor, jakby zaledwie parę minut wcześniej odcięto mu je skalpelem. Zdążyłem prawie zapomnieć, jak Drood błyskawicznie wysuwa i chowa język niczym jaszczurka.

– Nie możecie zabić Dickensa! – stęknąłem. – Nie wy! To ja muszę go…

– Ciii – uciszyła mnie unosząca się na wietrze, szybująca w powietrzu, rosnąca w oczach, biała jak czaszka twarz. Oddech Drooda niósł woń cmentarnej ziemi i ściekową słodycz martwych, spęczniałych rzeczy unoszonych wodami podziemnej rzeki. – Ciii – powtórzył Drood, jakby uspokajał demoniczne dziecko. – My przyszliśmy po duszę Charlesssa Dickensssa. Pan, panie Billy Wilkie Collinsss, może sssobie wziąć resztę. Cokolwiek zossstanie, należy do pana.

Otworzyłem usta do krzyku, ale w tej samej chwili szybujący Drood sięgnął do kieszeni peleryny, wyjął z niej cuchnącą jedwabną chusteczkę i przycisnął ją do mojej twarzy.

Rozdział 50

Zostałem obudzony późnym rankiem przez Carrie, której (o czym wspomniałem już wcześniej) nie powinno być w domu: wyjechała z miasta z państwem Wardami, u których pracowała jako guwernantka. Pukała i pukała, cała zapłakana, a gdy nie odpowiadałem, po prostu weszła do mojej sypialni.

Półprzytomny usiadłem na łóżku i podciągnąłem koc pod brodę. Nie myślałem zbyt jasno; przeraziłem się, że Carrie wróciła do domu przed czasem i włamała się do zamykanej na klucz skrzyneczki w dolnej szufladzie komody, gdzie trzymałem listy od jej matki. W najnowszym (dostałem go i przeczytałem zaledwie trzy dni wcześniej) Caroline donosiła mi, że po tym, jak niedawno robiła mężowi wyrzuty za kolejną nocną popijawę w towarzystwie usportowionych znajomych, odzyskała przytomność następnego dnia rano, zamknięta w piwnicy, z podbitym okiem i silnym przekonaniem, że została zgwałcona przez więcej niż jednego mężczyznę.

Ale to nie dlatego Carrie płakała.

– Wilkie, pan Dickens… Charles Dickens, twój przyjaciel… nie żyje!

Przez łzy wyjaśniła mi, że jej pracodawcy – a moi przyjaciele – Edward i Henrietta Wardowie jechali właśnie do Bristolu, gdy od spotkanego na dworcu znajomego dowiedzieli się o śmierci Dickensa. Na tę wieść natychmiast wrócili do Londynu, żeby Carrie mogła być przy mnie.

– Kie–kiedy pomyślę… ile razy pan Dickens… był gościem przy nanaszym stole… kiedy mama z nami… mieszkała… – szlochała.

Przetarłem obolałe oczy.

– Bądź grzeczną dziewczynką, pójdź na dół i każ Besse zaparzyć kawę i przygotować spóźnione śniadanie…

– George’a i Besse nie ma. Musiałam wziąć klucz z altanki, żeby dostać się do domu.

– No tak. – Przeciągnąłem dłonią po twarzy. – Dałem im wolny wieczór i cały dzisiejszy dzień, żeby… odespać. Wczoraj skończyłem książkę, Carrie.

Chyba niespecjalnie jej to zaimponowało, bo nic nie odpowiedziała, za to znów zaczęła płakać. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak bardzo przejęła się doniesieniem o śmierci starszego pana, który od miesięcy nas nie odwiedzał, a wcześniej przez całe lata nazywał ją Kamerdynerem.

– W takim razie idź po kucharkę. Tylko najpierw wstaw wodę na kawę i herbatę, bardzo cię proszę. Aha, i przy okazji zajrzyj do trafiki i kup wszystkie gazety, jakie ci wpadną w ręce.

Ona wyszła, a ja odrzuciłem koce i spojrzałem po sobie. Zapłakana Carrie nie zwróciła uwagi, że zamiast piżamy mam na sobie brudne ubranie – białą koszulę i spodnie. Buty miałem zasznurowane nogach, a pościel była cała wysmarowana błotem, które wyglądało (i śmierdziało) całkiem jak ekskrementy.

Wstałem z łóżka, żeby wykąpać się i przebrać, zanim Carrie wróci.

***

Z biegiem czasu coraz więcej wiarygodnych informacji układało się w spójną całość.

Dickens rozpoczął dzień ósmy czerwca od rozmowy przy śniadaniu z Georginą. Następnie naruszył swoje tradycyjne zasady i przyzwyczajenia zawodowe, ponieważ przez cały dzień pracował w szwajcarskim domku; około pierwszej wpadł na krótko do domu na obiad, ale zaraz wrócił do swojej samotni, gdzie pisał do wieczora.

Widziałem później ostatnią napisaną przez niego stronę *Tajemnicy Edwina Drooda:* zawierała wyraźnie mniej skreśleń i poprawek niż jego przeciętny rękopis. Znajdował się tam między innymi następujący ustęp, opisujący piękny poranek w Rochester, niezwykle podobny do poranka, który właśnie dobiegał końca w Gad’s Hill. Brzmiało to tak:

Słoneczny poranek rozjaśnia stare miasto. (…) pobłyski cudownego światła padającego z kołyszących się gałęzi, śpiew ptaków, aromatyczne wonie płynące z ogrodów, lasów i pól – a raczej z jednego wielkiego ogrodu tej całej uprawnej wyspy w czasie zbiorów – przedostają się do katedry, tłumiąc jej ziemisty odór, głosząc Zmartwychwstanie i triumf Życia. Zimne, wiekowe kamienie grobowców rozgrzewają się; plamki światła przenikają do najdostojniejszych marmurowych zakątków budowli, migocąc jakby były uskrzydlone.

Ostatnie napisane przez Dickensa słowa *Tajemnicy Edwina Drooda* brzmiały: „…a potem z apetytem zabrał się do jedzenia”.

Było już późno, kiedy wyszedł ze szwajcarskiego domku i przed kolacją zaszył się w swoim gabinecie, gdzie napisał dwa listy (tak twierdziła Katey, która dużo później opowiedziała o nich mojemu bratu, który powiedział mnie). Pierwszy zaadresował do Charlesa Kenta, z zapowiedzią, że następnego dnia (dziewiątego czerwca) będzie w Londynie i chętnie by się z nim spotkał o godzinie piętnastej. Dodał jednak asekurancko: „Gdybym jednak nie mógł przybyć… Cóż, nie przybędę”.

Adresatem drugiego listu był pewien duchowny. Dickens cytował w nim ostrzeżenie, jakiego ojciec Laurenty udzielił Romeowi: „Gwałtowne pasje gwałtownie się kończą”[11].

Następnie udał się na kolację.

Georgina opowiadała później mojemu bratu, że kiedy siadali do stołu, spojrzała na sadowiącego się po drugiej stronie stołu Pana Niezrównanego i przestraszyła się wyrazu jego twarzy.

– Jesteś chory, Charlesie? – spytała.

– Tak. Bardzo chory. Zachorowałem… przed godziną.

Georgina chciała natychmiast posłać po lekarza, ale Dickens zbył ją machnięciem ręki i kazał jej nie wstawać.

– Zjedzmy – powiedział z roztargnieniem. – Zaraz po kolacji muszę wyjść. Muszę… jechać do Londynu. Po kolacji. Mam…

spotkanie jutro. Dziś. Dziś w nocy.

Nagle zaczął się wić, jakby dostał jakiegoś ataku. Georgina tak opowiadała o tym Katey:

– Miałam wrażenie, że jakiś duch usiłował wniknąć w jego ciało, a biedny Charles ze wszystkich sił opierał się opętaniu.

Mówił coś, ale Georgina nic z jego słów nie rozumiała. W pewnym momencie wykrzyknął:

– Muszę natychmiast jechać do Londynu!

Odsunął się od stołu na obitym szkarłatnym adamaszkiem krześle i wstał, ale byłby się przewrócił, gdyby Georgina go nie podtrzymała.

– Przejdźmy do salonu – zaproponowała, przerażona jego popielatą twarzą i szklistym wzrokiem. – Położysz się.

Chciała pomóc mu podejść do kanapy, nie był jednak w stanie iść o własnych siłach i coraz bardziej ciążył jej na rękach. Wtedy pierwszy raz w życiu, jak później mówiła, zrozumiała znaczenie zwrotu „ciężar ponad siły”.

Zamiast więc próbować ułożyć go na sofie, opuściła go na podłogę. Uklęknął, wsparł się obiema rękami o dywan i powoli przetoczył na bok.

– Tak… – mruknął ledwie słyszalnym szeptem. – Na ziemi.

I stracił przytomność.

O tej porze ja właśnie wyjeżdżałem z Londynu w stronę Gad’s Hill, przeklinając deszcz. W samym Gad’s Hill nie padało. Jeszcze nie.

Gdybym już wtedy czaił się pod drzewami, pod którymi nieco później zaparkowałem powozik, zobaczyłbym, jak jeden z młodych służących (najprawdopodobniej Smythe lub Gowen, czyli – jak twierdził Dickens – jeden z ogrodników–gondolierów) dosiada Newmana Noggsa (kuca, który wielokrotnie woził mnie z dworca do domu Pana Niezrównanego) i na złamanie karku pędzi po miejscowego lekarza.

Lekarz ów, pan Steele, przyjechał o godzinie osiemnastej trzydzieści (na długo przed moim przybyciem do Gad’s Hill) i zastał pisarza leżącego bez przytomności na podłodze w jadalni.

Przez ten czas Georgina wystrzeliwała telegramy jak walący salwami burtowymi trójpokładowy okręt liniowy. Pierwszy trafił do Franka Bearda, który natychmiast wyruszył w drogę i dotarł na miejsce późnym wieczorem – najprawdopodobniej w tym samym czasie, gdy mnie (tak samo nieprzytomnego jak Dickens) odstawiano do domu wynajętym przeze mnie powozikiem.

Zastanawiałem się wówczas i zastanawiam w dalszym ciągu, kto mnie wtedy odwiózł do Londynu, przeszukał mi kieszenie, znalazł klucze, otworzył drzwi, zaniósł mnie do sypialni i ułożył w łóżku. Z pewnością nie Drood. Dickenson? Reginald Barris–Field? Jeszcze jakiś inny żywy trup, którego nawet nie zobaczyłem, kiedy napadli na mnie w ciemności?

Ktokolwiek to był, niczego mi nie ukradł. Nawet rewolwer Hatchery'ego, załadowany cały czas tymi samymi czterema nabojami, znalazłem zamknięty w szufladzie, w której go trzymam.

Skąd wiedzieli, gdzie go odłożyć?

I co się stało z powozikiem, który wynająłem? Nawet moja bujna wyobraźnia powieściopisarza nie potrafiła przekonać mnie do sceny, w której towarzyszące Droodowi potwory w czarnych pelerynach odstawiają pojazd do wypożyczalni w Cripplegate, skąd go wziąłem, bo oczywiście wypożyczyłem go jak najdalej od domu, na dodatek pod fałszywym nazwiskiem (nawiasem mówiąc, użyłem ulubionego pseudonimu Dickensa – Charles Tringham). Przepadła mi jednak kaucja, co było dla mnie bolesnym ciosem finansowym. Zwłaszcza że powozik był nędzny.

Nie odzyskałem również latarni.

Kiedy późną nocą do Gad's Hill przybyli Kate Dickens, mój brat i inni krewni i znajomi zawezwani telegraficzną kanonadą Georginy (trzy powozy, które widziałem przed domem, były zaledwie awangardą tego najazdu), Dickens leżał bez przytomności na kanapie, nie reagując na słowa ani na dotyk.

Przez całą długą noc – a właściwie przez całą krótką noc, gdyż zbliżało się przecież letnie przesilenie – bliscy pisarza,

Beard i mój brat na zmianę trzymali Dickensa za rękę i podkładali mu rozgrzane cegły pod stopy.

– Już o północy, a więc bardzo szybko – mówił mi później Charley – dłonie i stopy Dickensa stały się zimne jak u trupa.

Z samego rana syn Dickensa zatelegrafował po innego, sławniejszego londyńskiego lekarza, Russella Reynoldsa, który na widok nazwiska „Dickens" wsiadł w pierwszy pociąg i dotarł do Gad's Hill wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Tyle że jego diagnoza niczym nie różniła się od wystawionej wcześniej przez pana Steele'a i Franka Bearda: Dickens doznał rozległego „udaru paraliżującego" i nie można mu było pomóc.

Katey udała się do Londynu, żeby przekazać wieść matce i przygotować ją na najgorsze. Żadna z osób, z którymi później rozmawiałem, nie zainteresowała się reakcją Catherine Dickens, żony Pana Niezrównanego i matki dziesięciorga jego dzieci, skazanej na banicję po dwudziestu dwóch latach wspólnego pożycia. Jestem przekonany, że samemu Dickensowi również byłaby ona obojętna.

Ellen Ternan zjawiła się wczesnym popołudniem, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Katey wróciła z miasta.

Nieco wcześniej tej wiosny, podczas krótkiej wizyty w domu w przerwie między kolejnymi spotkaniami autorskimi, Dickens oprowadził mnie po nowo wybudowanej oranżerii, do której wchodziło się z jadalni. Pokazał mi, w jaki sposób światło słońca i księżyca dociera do – dawniej mrocznych – pomieszczeń, i cieszył się jak mały chłopiec, który może się pochwalić koledze nową zabawką, że cały dom wypełnią od tej pory mieszane aromaty jego ulubionych kwiatów. Kwiaty wszędobylskich szkarłatnych pelargonii (podczas wieczorów autorskich zawsze starał się mieć kwiat pelargonii w butonierce) nie pachniały zbyt wyraziście, ale ich łodygi i liście emanowały ziemistą, piżmową woń, podobnie jak łodygi błękitnych lobelii.

Dziewiąty czerwca był uroczo ciepły. Wszystkie okna w Gad's Hill Place pootwierano na oścież, jakby chcąc ułatwić ucieczkę duszy uwięzionej w popsutym ciele na kanapie.

Ktoś otworzył też na oścież drzwi jadalni, łącząc ją z oranżerią i przepychem zielonych roślin i czerwonych kwiatów.

W powietrzu dominował jednak zapach jaśminowca. Dickens na pewno by to zauważył i skomentował, gdyby zachował przytomność i realizował plan zamordowania Edwina Drooda. Charley (jego syn), który większość dnia przesiedział z siostrą na schodach, gdzie woń jaśminowców była jeszcze silniejsza, nauczył się serdecznie nie znosić tego aromatu.

Popołudnie przechodziło w wieczór, gdy oddech Dickensa stał się głębszy i bardziej nieregularny, zupełnie jakby pisarz chciał się zaciągnąć zapachem, który jego syn znienawidził na resztę życia. Po drugiej stronie drogi – na której trwał normalny ruch i nikt nie zdawał sobie sprawy z dramatu rozgrywającego się w pięknym, cichym domu tuż obok – cień dwóch cedrów padł na szwajcarski domek, w którym ani w tym dniu, ani już nigdy potem nikt nie napisał ani słowa.

Nikt chyba nie poczuł się zgorszony, gdy Ellen Ternan wzięła umierającego Dickensa za rękę. Około szóstej wieczorem oddech pisarza osłabł i Pan Niezrównany zaczął wydawać dźwięki do złudzenia przypominające szloch; czułbym się zażenowany, gdybym przy tym był. Nie otworzył oczu, nie odpowiedział na pełen nadziei uścisk tracącej nadzieję Ellen, ale mniej więcej dziesięć po szóstej uronił łzę, która z prawego oka spłynęła mu po policzku.

I umarł.

Charles Dickens zmarł.

Mój współpracownik i wróg, konkurent i krytykant, przyjaciel i potwór żył dokładnie pięćdziesiąt osiem lat, cztery miesiące i dwa dni.

Zmarł, rzecz jasna, niemal co do godziny w piątą rocznicę katastrofy kolejowej pod Staplehurst i pierwszego spotkania z Droodem.

Rozdział 51

Ci, którzy mnie w tym okresie znali, opowiadali sobie później, że dość beznamiętnie przyjąłem wiadomość o śmierci Pana Niezrównanego.

Na przykład, mimo powszechnie wiadomej wrogości między mną i Dickensem zaproponowałem swojemu wydawcy, Williamowi Tindelllowi, żeby zareklamował *Męża i żonę* kolorową ulotką dołączoną do lipcowego numeru *Edwina Drooda*, który był wtedy drukowany w odcinkach. W liście do Tindella napisałem: „Dickens ma liczną rzeszę wpływowych czytelników… Warto by ten fakt wykorzystać”.

Tindell odpisał mi siódmego czerwca (dzień przed tym, jak Dickens dostał udaru), że mój pomysł nie przypadł mu do gustu.

Dziewiątego czerwca napisałem do niego (a dziesiątego wysłałem) następujący liścik:

> *Masz całkowitą rację. Zresztą, Dickens tymczasem zmarł. Wczoraj skończyłem Męża i żonę i zasnąłem z wyczerpania, a kiedy się obudziłem, doszły mnie wieści o jego śmierci.*
>
> *Również uważam, że reklamy na dworcach to doskonały pomysł.*

Przy innej okazji brat pokazał mi ołówkowy szkic sporządzony przez Johna Everetta Millaisa dziesiątego czerwca. Zgodnie z popularną w naszej epoce tradycją (spodziewam się, że i w Twoich czasach wygląda to podobnie, Drogi Czytelniku), po śmierci Wielkiego Człowieka jego rodzina sprowadza rysownika (w tym wypadku Millaisa) i rzeźbiarza (Thomasa Woolnera), żeby uwiecznili oblicze zmarłego. Zarówno rysunek, który pokazał mi Charley, jak i wykonana przez Woolnera maska pośmiertna (tu muszę wierzyć bram na słowo) przedstawiały twarz odmłodzoną przez delikatne zatarcie bruzd strapienia i zmarszczek bólu. Na szkicu Millaisa było widać obowiązkowy ręcznik lub

szeroki bandaż zawiązany pod brodą Dickensa, żeby nie obwisła mu szczęka.

– Czyż nie wygląda godnie i spokojnie? – zagadnął mnie Charley. – Nie wydaje ci się, że po prostu zasnął, uciął sobie krótką drzemkę, z której zaraz się obudzi i żwawo zasiądzie do pisania?

– Wygląda jak trup – odparłem. – Martwy, zimny trup.

***

Zgodnie z moimi przewidywaniami, zanim jeszcze *rigor mortis* zdążył ustąpić, podniósł się ogólnokrajowy – co ja mówię, ogólnoświatowy! – krzyk, żeby pochować Dickensa w opactwie westminsterskim. Londyński „Times”, wieloletni nieprzyjaciel Pana Niezrównanego i przeciwnik wszystkich zasugerowanych przez niego publicznie reform politycznych i społecznych (nie wspominam już o publikacji, w której krytyk z protekcjonalnym lekceważeniem wypowiedział się o większości nowych powieści Dickensa), krzyczał nagłówkiem i wstępniakiem redakcyjnym:

> *Mężowie stanu, naukowcy, filantropi, uznani dobroczyńcy rodzaju ludzkiego odchodzą, lecz żaden z nich nie pozostawił po sobie takiej pustki, jakiej doświadczamy po śmierci Dickensa (…) Osiągnął status, jaki udaje się osiągnąć mniej niż jednemu człowiekowi w skali epoki. Trzeba niezwykłego połączenia intelektu i zalet moralnych (…) aby świat uczynił jednego z nas swoim trwałym i niepodważalnym faworytem. A taką właśnie pozycję zajmował pan Dickens wśród angielskiej i amerykańskiej publiki czytelniczej przez trzecią część stulecia (…) Opactwo westminsterskie to szczególne miejsce pochówku angielskich geniuszy literackich. Wśród tych, których święte prochy spoczęły w tym miejscu lub których nazwiska wyryto na ścianach, niewielu jest ludzi bardziej niż Charles Dickens godnych zamieszkania w takim domu. Jeszcze bardziej nieliczni są ci, którzy z biegiem czasu będą coraz bardziej czczeni, a*

ich wielkość coraz bardziej oczywista.

Z jakimż ja to jękiem przeczytałem! A jakim śmiechem zaniósłby się Dickens, gdyby mógł przeczytać, jak stary gazetowy wróg płaszczy się przed nim w tym arcydziele redaktorskiej hipokryzji.

Dziekan Westminsteru nie zamierzał bynajmniej pozostać głuchy na te wołania: dał znać krewnym zmarłego, że „przyjmie każdą decyzję rodziny w kwestii pogrzebu".

Georgina, Katey, Charley i reszta rodziny (Harry przyjechał z Cambridge zbyt późno, żeby zastać ojca przy życiu) wiedzieli już jednak wcześniej, że cmentarzyk przy opactwie jest przepełniony i dalsze pochówki na jego terenie nie wchodzą w grę. Dickens wspominał jeszcze za życia, że chętnie dałby się pogrzebać na przykościelnym cmentarzu w Cobham lub Shorne, ale okazało się, że i one nie przyjmują nowych gości. Kiedy więc kapituła katedry w Rochester zaproponowała złożenie szczątków Dickensa we wnętrzu kościoła (w kaplicy Najświętszej Marii Panny przygotowano już nawet grób), rodzina wyraziła wstępną zgodę na takie załatwienie sprawy. I wtedy właśnie przyszedł list od Stanleya, dziekana Westminsteru.

Ach, Mój Drogi Czytelniku, zachwyciła mnie ta ironia losu: oto ciało Dickensa miało na wieki spocząć dosłownie kilkanaście jardów od miejsca, w którym zamierzałem ukryć jego czaszkę i kości wśród śmiecia wypełniającego przestrzeń między ścianami podziemnych grobowców. Miałem jeszcze własny klucz do krypt, który dorobił dla mnie Dradles. Miałem również łom, który mi dał (a właściwie sprzedał za trzysta funtów plus roczną rentę w wysokości stu funtów, bo tak chyba byłoby uczciwiej powiedzieć) i którym miałem wepchnąć wyłuskany z muru kamień z powrotem na miejsce.

To było cudowne! Zachwycające! Czytałem przy śniadaniu list, w którym Charley opisywał mi tę sytuację, i płakałem ze szczęścia.

Niestety, było to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Stało się inaczej.

Pozostawione w domu ciało Dickensa zaczynało z wolna pleśnieć w czerwcowym upale, gdy Forster (który pewnie nie posiadał się ze szczęścia, że wreszcie gra pierwsze skrzypce) i Charley Dickens przyjechali do Londynu, żeby naradzić się z dziekanem opactwa westminsterskiego. Poinformowali go, że Dickens bardzo wyraźnie zażyczył sobie pogrzebu prywatnego, dyskretnego i nigdzie nierozgłaszanego, który absolutnie wykluczał wszelkie publiczne składanie hołdu zmarłemu. Dziekan Stanley zgodził się, że życzenie wielkiego człowieka należy bezwzględnie uszanować – lecz przy okazji napomknął również o „pragnieniu narodu", na które nie można pozostać głuchym.

I tak oto postanowiono pochować Charlesa Dickensa w Westminsterze.

Jakby tego było mało (powinienem był do tego przywyknąć przez dwie dekady zadawania się z Dickensem) przypadła mi wyjątkowa rola do odegrania w tej bezceremonialnej ceremonii. Czternastego czerwca udałem się na dworzec Charing Cross, żeby tam „przyjąć" trumnę z doczesnymi szczątkami Charlesa Dickensa. Trumna – zgodnie z życzeniem zmarłego – została przeniesiona na pozbawioną ozdób platformę karawanu, zaprzężonego w konie również pozbawione pogrzebowego przybrania. Równie dobrze mogłaby to być zwykła platforma dostawcza, tak zwyczajnie wyglądała.

Także w zgodzie z życzeniem Dickensa, tylko trzem powozom pozwolono utworzyć kondukt za platformą i wraz z nią pojechać do opactwa. W pierwszym jechało czworo dzieci pisarza, które nadal mieszkały w Anglii: Charley, Harry, Mary i Katey. W drugim znalazło się miejsce dla Georginy, siostry Dickensa Letitii (którą za życia pisarz praktycznie ignorował), jego synowej (żony Charleya) oraz Johna Forstera (który z pewnością wolałby jechać w pierwszym powozie, albo – najlepiej – w trumnie u boku mistrza). Trzeci pojazd pomieścił adwokata pisarza Frederica Ouvry'ego, zawsze wiernego (choć nie zawsze dyskretnego) Franka

Beardа, mojego brata i mnie.

Dzwony kościoła Świętego Stefana wybiły pół do dziesiątej, gdy skromny konwój dotarł do bramy prowadzącej na dziedziniec opactwa westminsterskiego. Wieść o pogrzebie nie rozeszła się (było to małe zwycięstwo woli Pana Niezrównanego nad nawykami prasy) i na ulicach widzieliśmy niewielu ludzi, a osoby postronne miały w tym dniu zakaz wstępu do opactwa.

Kiedy wozy wtoczyły się na dziedziniec, rozdzwoniły się wszystkie największe dzwony. Z pomocą paru młodszych mężczyzn my, starzy przyjaciele, przenieśliśmy trumnę zachodnim krużgankiem, weszliśmy przez drzwi do nawy, skierowaliśmy się w prawo, w stronę ołtarza i skręciliśmy w południową część transeptu, do Zakątka Poetów. Ach, Drogi Czytelniku, gdyby moi współżałobnicy mogli mi czytać w myślach, gdy składaliśmy skromną dębową skrzynię w Zakątku Poetów! Zastanawiam się, czy ktoś kiedyś w opactwie westminsterskim snuł tak obsceniczne przemyślenia i miotał w duchu równie wymyślne przekleństwa, jak ja w owej chwili – chociaż nie wątpię, że niektórzy z pochowanych tam poetów byliby do tego zdolni, gdyby tylko ich mózgi funkcjonowały normalnie, zamiast rozpadać się w proch.

Ktoś powiedział parę słów – nie pamiętam kto ani co dokładnie. Nie było śpiewaków ani chóru, tylko niewidoczny organista zagrał marsza pogrzebowego, gdy gęsiego wychodziliśmy z kościoła. Byłem na końcu i przez pewien czas zwlekałem z opuszczeniem kościoła. Basowe nuty olbrzymich organów wibrowały w kościach mojego krzepkiego ciała. Z rozbawieniem uświadomiłem sobie, że tak samo wibrują kości Dickensa w trumnie.

Wiem, że wolałbyś, by te kości spoczęły anonimowo wśród staruszków, w ulubionej krypcie Dradlesa w Rochester, pomyślałem do mojego przyjaciela i wroga, patrząc na prostą trumnę. Solidny angielski dąb był ozdobiony tylko dwoma słowami: CHARLES DICKENS.

To i tak za dużo, pomyślałem. Odwróciłem się na pięcie i

dołączyłem do reszty żałobników na dworze. O wiele za dużo. A to dopiero początek.

Pod wysokim sklepieniem opactwa panował chłód i stosowny półmrok. Przez kontrast, światło słońca wydało mi się wprost okrutne.

Przyjaciołom pozwolono odwiedzać otwarty jeszcze grób, toteż po południu – po przyjęciu wielu leczniczych dawek laudanum i kilku morfiny – wróciłem do Westminsteru w towarzystwie Percy'ego Fitzgeralda. Na posadzce u stóp trumny ktoś złożył już wieniec z róż. Przy głowie leżał ogromny pęk wstrząsająco zielonych paproci.

Kilka dni później „Punch" zakrzyknął przesłodzoną elegią:

Zasnął tak, jak zasłużył– wśród największych,
W starym opactwie. Pośród tych nielicznych
Z angielskich sław tysięcy, których losem jest
Spocząć wśród królów. Sam jak król.

Kiedy wyszliśmy z Percym z kościoła, ogarnęły nas wieczorne cienie, owionęły czerwcowe ogrodowe wonie, a ja znów pomyślałem: To dopiero początek.

Dziekan zgodził się nie zamykać od razu grobu. Gazety natychmiast obwieściły to donośnym rykiem. Rzuciły się na tę historię tak samo, jak kochany stary Sułtan rzucał się na ludzi w mundurach – szarpiąc, gryząc i drąc, gotowe zadręczyć na śmierć.

Kiedy wychodziliśmy (o szóstej wieczorem opactwo zamykano) – dokładnie pięć dni, niemal co do minuty, po tym, jak Dickens zaszlochał, uronił ostatnią łzę i w końcu raczył przestać oddychać – w kolejce czekał jeszcze chyba z tysiąc uroczyście milczących ludzi.

Przez dwa dni grób pozostawał otwarty – i przez dwa dni przewijała się przy nim procesja zbyt długa, żeby ludzkie oko dostrzegło jej koniec. Łzy i kwiaty tysiącami spadały do grobu. Zresztą, nawet po jego zamknięciu i przyłożeniu płytą nagrobną z wykutym nazwiskiem Dickensa jeszcze przez długie miesiące żałobnicy przychodzili, kwiaty się pojawiały,

łzy płynęły. Nagrobek zniknął wkrótce pod kopcem wielobarwnego, wonnego kwiecia. Miał tak wyglądać przez wiele, wiele lat.

A to był dopiero początek.

Kiedy wieczorem czternastego czerwca wyszliśmy z kościoła (Percy płakał jak bóbr, zupełnie jak rok wcześniej Mekitty na widok Nestora pokrzykującego w dziwnych językach), wymówiłem się od dalszego spaceru, znalazłem sobie dyskretny kąt wśród pogrodzonych wysokimi żywopłotami ogrodów opactwa i tak długo gryzłem knykcie, aż popłynęła krew – wszystko po to, żeby zdławić narastający we mnie wrzask.

A to był dopiero początek.

***

Późnym wieczorem czternastego czerwca spacerowałem po swoim pustym domu.

George i Besse wrócili z dwudziestoczterogodzinnych wakacji pięć dni wcześniej. Natychmiast ich zwolniłem, kazałem się pakować i wynosić. Nie wyjaśniłem im powodów zwolnienia, nie napisałem również referencji. I na razie nie zająłem się poszukiwaniem ich następców. Nazajutrz – w środę, tydzień po moim niedoszłym spotkaniu z Dickensem – spodziewałem się odwiedzin Carrie, która jednak zamierzała wpaść do domu tylko na chwilę, żeby zaraz udać się z comiesięczną wizytą do matki, do domu Josepha Clow.

Tymczasem zaś miałem cały ogromny dom tylko dla siebie. Przez szeroko otwarte okna dolatywały z rzadka odgłosy nocnego ruchu ulicznego i szelest poruszanych delikatnym wiatrem liści. I do tego ledwie słyszalne chroboty i drapanie – jakby suchych gałązek albo cierni szurających o grube drewno – tego, co zostało z biednej małej Agnes drapiącej zabite deskami drzwi na służbowe schody.

Przez pierwsze dwa dni po tym, jak dowiedziałem się o śmierci Dickensa, moja podagra zdumiewająco złagodniała. Jeszcze bardziej zdumiewający (i ekscytujący) był brak

wszelkiego ruchu w mojej głowie. Doszedłem do wniosku, że kiedy Dickenson, Barris–Field i Drood w jakiś sposób pozbawili mnie przytomności na rabacie szkarłatnych pelargonii, Drood usunął mi skarabeusza z mózgu.

Jednakże tego dnia – najpierw kiedy niosłem trumnę do Zakątka Poetów, a potem także kiedy przyszedłem do opactwa z Percym – wróciły dawny ucisk, ból i wrażenie ruchu za oczami. Ba, wydawało mi się nawet, że słyszę, jak żuk ryje korytarze w mojej głowie.

Zaordynowałem sobie trzy solidne zastrzyki z morfiny (oprócz conocnej dawki laudanum), ale i tak nie mogłem zasnąć. Mimo upalnej nocy i otwartych okien rozpaliłem solidny ogień na kominku w gabinecie.

Coś do czytania… Znaleźć coś do czytania!

Przechadzałem się w tę i z powrotem przed wysokimi regałami. Zdejmowałem z półki jedną czy drugą książkę, którą dawno obiecałem sobie przeczytać (albo dokończyć), podchodziłem z nią do kominka, do świec na półkach albo do lampy na biurku, czytałem stronę lub dwie – i wpychałem z powrotem na miejsce.

Tej nocy – a także każdej następnej i każdego następnego dnia – luka ziejąca w miejscu, gdzie powinien się znajdować grzbiet książki, przypominała mi o kamieniu, którego nie wyłuskałem ze ściany krypty w Rochester. Ile kości, czaszek i szkieletów ginie w pustce takich zaginionych lub nigdy nienapisanych książek?

W końcu sięgnąłem po piękny, oprawny w skórę egzemplarz *Samotni,* który Dickens opatrzył rękopisem i sprezentował mi dwa lata po zawarciu znajomości. Wybrałem *Samotnię* podświadomie, ponieważ (jak mi się teraz wydaje) ze wszystkich dzieł Dickensa tę właśnie książkę najbardziej podziwiałem – i zarazem najbardziej jej nienawidziłem.

Tylko swoim najbardziej zaufanym powiernikom zdradziłem się z tym, jak niedorzeczne wydaje mi się pisarstwo Dickensa akurat w tej, wielce przecież chwalonej, powieści. Sporadyczne przykłady narracji w pierwszej osobie, prowadzonej przez „Esther Summerson”, były dla

mnie szczytem absurdu.

Weźmy na przykład, Drogi Czytelniku, główną metaforę Dickensa, otwierającą tę powieść (o ile ta bezwartościowa książczyna dotrwała w ogóle do Twoich czasów, w co poważnie wątpię; jestem natomiast przekonany, że *Kamień Księżycowy* przetrwał i ma się doskonale): mgłę. Pojawia się, tężeje w centralny symbol, a potem się rozpływa, by nigdy więcej nie wrócić.

Co za amatorszczyzna! Co za chybione motyw i zamiar!

Spójrz zresztą sam, Drogi Czytelniku – tak jak ja spoglądałem w noc po pogrzebie Dickensa, kartkując książkę z obłąkańczym zapałem adwokata szukającego precedensu, który pozwoliłby ocalić (czy raczej, w tym wypadku, skazać) jego klienta – jak niedorzeczne są absolutnie niewiarygodne zbiegi okoliczności w tej powieści; jak absurdalnie okrutną postacią jest Harold Skimpole, wieczne dziecko, o którym od początku wiedzieliśmy, że jest wzorowany na Leigh Huncie, naszym wspólnym znajomym; jak blado wypada wciśnięta pod koniec książki nędzna zagadka, w porównaniu chociażby ze stokroć doskonalszym *Kamieniem Księżycowym*; jak zmienne i wzajemnie sprzeczne są opisy Esther po ozdrowieniu z ospy (no, bądźmy poważni – była w końcu oszpecona, czy nie?! Raz tak, raz nie… Cóż za niezwykłe sprzężenie pisarskiej niekompetencji z narracyjną nieuczciwością!). I jeszcze to… Nie, najpierw co innego, Drogi Czytelniku. Zerknij, z łaski swojej, na całą tę narrację w wykonaniu Esther Summerson. Co Ty na to? Co możesz o niej powiedzieć Ty sam lub każdy inny uczciwy czytelnik, poproszony o wydanie osądu?

Esther rozpoczyna narrację z punktu widzenia niewykształconego i naiwnego dziecka, jakiego można się spodziewać po niewykształconej i nieoby– tej w świecie dziewczynce. Mówi dziecinnymi zdaniami, takimi jak (w tym miejscu, szukając przykładu, aż porozdzierałem stronice): „Poczciwa, stara lalka! Byłam tak nieśmiała, że prawie nigdy nie otwierałam ust – nigdy zaś serca – wobec kogokolwiek innego! (…) Najdroższa wierna laluniu! Wiedziałam, że

będziesz czekać na mnie!”[12].

Wybaczam Ci, Drogi Czytelniku, jeśli po przeczytaniu tych słów poczułeś się zmuszony – tak jak ja – popędzić do łazienki i zwymiotować.

Później jednak Dickens zapomina, że jego bohaterka mówi i myśli w taki właśnie sposób! Niewiele dalej „Esther” opisuje proste sceny z typowo Dickensowską aliteracją i niewymuszonymi rymami – „tykanie zegara, pykanie płomieni” – a potem ta sama niewykształcona dziewczyna przez całe rozdziały prowadzi narrację, w której popisuje się śpiewną elokwencją cechującą tylko i wyłącznie Charlesa Dickensa. Co za porażka! Co za farsa!

I tak oto w noc pogrzebu (prawdę mówiąc, był już zapewne dzień następny, ponieważ przed kilkoma godzinami słyszałem, zdaje się, choć wtedy nie zwróciłem na to uwagi, jak tykający zegar wybił północ) w pośpiechu kartkowałem podartą już książkę w poszukiwaniu świeżej amunicji do potyczki (jeśli nie wręcz wojny), w której przekonałbym Cię, Drogi Czytelniku (a także, być może, samego siebie, ciężko wyczerpanego) o wiecznie niedostrzeganej przeciętności niedawno zmarłego pisarza, gdy wtem natrafiłem na następujący fragment… nawet nie fragment, akapit zaledwie… właściwie urywek akapitu wyjętego z fragmentu, jeden z wielu, które Dickens z wielką swobodą produkował i do których później nawet nie wracał, żeby je poprawić.

Esther udała się do gospody nieopodal portu Deal na spotkanie z Richardem, kandydatem na męża jej najbliższej przyjaciółki, wokół którego Przeznaczenie, Nieszczęście, Obsesja i z jego własnej winy wynikła Tragedia czaiły się niczym stado wron (Amerykanie woleliby pewnie sępy) obsiadających gałęzie bezlistnego drzewa w listopadzie. Kręciły się przy nim nerwowo, wyczekująco, z nadzieją na to, co musiało nadejść – tak jak zawsze kręciły się i nadal kręcą wokół mnie.

Zaglądamy Esther przez ramię, żeby obejrzeć port. Wiele łodzi w nim cumuje, jeszcze więcej pojawia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy słońce rozprasza

mgłę. Niczym Homer w *Iliadzie,* Dickens przedstawia nam pokrótce katalog odsłaniających się statków; jest wśród nich ogromny kliper o szlachetnych kształtach, przybywający prosto z Indii. Autor widzi go – i pozwala nam także go zobaczyć – w chwili, „gdy słońce przeświecało chmury na wylot, malując srebrzyste sadzawki w morskiej toni".

Srebrzyste sadzawki w morskiej toni.

Sadzawki w morskiej toni.

Mam jedną słabość, Drogi Czytelniku. Jeden ulubiony sport: wynajmuję czasem jacht z załogą i żegluję nim wzdłuż wybrzeża. Podczas jednej z takich eskapad poznałem Marthę R. Tysiące razy widziałem słońce odbijające się w morzu; pewnie ze sto razy opisywałem ten widok w swoich powieściach i opowiadaniach, używając słów takich jak „lazurowe", „błękitne", „połyskliwe", „tańczące", „szare", „spienione", „złowieszcze", „groźne", a nawet „ultramarynowe".

Dziesiątki lub setki razy na własne oczy widziałem, jak słońce „maluje srebrzyste sadzawki w morskiej toni", ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby widok ten uwiecznić w swojej prozie, a już na pewno nie tak, jak to zrobił Dickens, w szybkim i pewnym ciągu lekko zniekształconych spółgłosek syczących.

A potem – pewnie nawet bez przerwy na dłuższy oddech czy zamoczenie pióra w kałamarzu – przeszedł do opisu mgły wznoszącej się znad portu, w której „statki jaśniały, ciemniały, przemieniały się…".

W tej jednej chwili – gdy moje poszukujące, ponaglane przez skarabeusza oczy prześliznęły się po tych kilku słowach ujętych w parę krótkich zdań – zrozumiałem, że nigdy choćbym w pełni władz umysłowych dożył sędziwego wieku stu lat, nigdy nie będę umiał tak myśleć i tak pisać.

Książka była stylem. Styl był człowiekiem. Człowiek był Charlesem Dickensem.

Wrzuciłem drogi, oprawiony w safian, opatrzony autografem autora i ozdobiony złoceniami na brzegach stronic egzemplarz *Samotni* prosto w tykające, trzaskające,

pykające, bełkoczące, zasrane płomienie.

Poszedłem na górę, do sypialni, i zdarłem z siebie ubranie, włącznie z bielizną. Było całe przepocone i nawet dziś jestem gotów przysiąc, że biła od niego nie tylko dławiąco słodka woń kościelnych kwiatów, ale także jeszcze słodszy od niej odór cmentarnej ziemi, wyrzuconej z grobu, żeby zrobić miejsce – ostateczną pustkę – dla czekającej (tak jak czeka nas wszystkich) drewnianej skrzyni.

Nagusieńki, śmiejąc się i krzycząc głośno (chociaż nie pamiętam już, z czego się śmiałem i co wykrzykiwałem), nieporadnie wygrzebałem właściwy klucz i z mozołem, prawie po omacku otworzyłem zamki strzegące rewolweru Hatchery'ego.

Wydał mi się cięższy niż zwykle. Naboje spoczywały na swoich miejscach, tak jak to wielokrotnie opisywałem. Napiąłem chętny kurek i przytknąłem okrągły wylot lufy do spoconej skroni. I wtedy sobie przypomniałem.

Podniebienie. Najmiększa droga do mózgu.

Zacząłem więc wkładać sobie długi stalowy fallus w usta, ale nie dałem rady.

Nie zwalniając napiętego kurka, wrzuciłem bezużyteczną broń do szuflady. Nie wypaliła.

Zanim jeszcze poszedłem się wykąpać i przebrać w piżamę, usiadłem przy sekreterze w sypialni (blisko miejsca, w którym zwykle siada Drugi Wilkie, gdy spisuje dyktowane przeze mnie opowieści o bogach Czarnych Krain) i napisałem bardzo krótki, treściwy i zwięzły list. Odłożywszy na później wysłanie go przez posłańca (nie za pośrednictwem poczty), w końcu wziąłem kąpiel, położyłem się i zasnąłem, nie oglądając się na gmerającego mi w mózgu żuka.

Nie zamknąłem drzwi wejściowych na zamek, okna też zostawiłem otwarte dla złodziei (gdyby któryś odważył się zakraść do domu, który sam Mistrz Drood zaszczycił swoją wizytą). Na parterze zostały zapalone świece, lampy naftowe i ogień na kominku. Nawet nie odstawiłem na miejsce parawanu przy kominku, który musiałem odsunąć, żeby cisnąć *Samotnię* w płomienie.

Wielu rzeczy nie wiedziałem w ową noc, czternastego czerwca 1870 roku, ale jednego byłem pewien: nie było mi pisane zginąć w pożarze własnego domu.

Rozdział 52

Czwartego lipca 1870 roku, w dniu pierwszych urodzin mojej córeczki Marian, wcześniej skończyłem pracę nad adaptacją sceniczną *Męża i żony* i wczesnym wieczorem udałem się pociągiem do Rochester. Zabrałem ze sobą haftowaną poduszkę z kanapy, którą Martha zrobiła dla mnie jeszcze przed przybyciem do Londynu. Kilkoro dzieci w moim wagonie zwróciło na nią uwagę (oprócz tego miałem ze sobą jeszcze skórzaną prawniczą aktówkę): wytykały ją palcami i podśmiewały się ze starszego pana (w wieku czterdziestu sześciu lat i prawie siedmiu miesięcy) ze szpakowatą brodą, łysawego i niedowidzącego, który wozi ze sobą poduszkę z powodów zdrowotnych tak zapewne niedorzecznych, że młodzież nie zamierzała nawet próbować ich zgłębić. Uśmiechnąłem się i pomachałem im w odpowiedzi.

W Rochester przeszedłem pieszo milę z okładem dzielącą stację kolejową od katedry. Właśnie ukazał się drukiem najnowszy odcinek *Tajemnicy Edwina Drooda* Dickensa i małe miasteczko, wraz z katedrą i przykościelnym cmentarzem (zakamuflowane jako „Cloisterham”, lecz równie nędznie ucharakteryzowane jak Dick Datchery w ogromnej peruce, o której wiecznie zapominał), u uważnego czytelnika już zaczynało budzić literackie i mistyczne skojarzenia.

Słońce zaszło niedawno. Z poduszką i aktówką w rękach czekałem, aż ostatni odwiedzający – dwaj duchowni (po ich dziwnych gestach domyśliłem się, że przyjechali tu, żeby węglem drzewnym podkreślić napisy na nagrobkach) – wyjdą z cmentarza przez otwartą furtkę i skieruję się ku odległemu miasteczku i stacji.

Z oddali słyszałem odgłosy rozmowy dwojga ludzi, samych rozmówców jednak nie widziałem, ponieważ widok zasłaniały mi pagórki, drzewa, gęsty żywopłot odgradzający uboższą, bliższą mokradeł część cmentarza, a nawet niektóre co wyższe nagrobki, wystawione przez takich aroganckich, lecz

przy tym niepewnych siebie osobników jak pan Thomas Sapsea – który żył, miał się doskonale, prawił kazania i zachwycał się długaśnym epitafium na nagrobku żony (sam je napisał, w dodatku na swój temat, rzecz jasna, i kazał wyryć w kamieniu panu Durdlesowi, nader ciekawej postaci, specjalizującej się w kamieniarstwie nagrobnym). Żył, miał się doskonale i prawił kazania – powinienem w tym miejscu dodać – wyłącznie na kartach drukowanej w odcinkach powieści, pędzącej właśnie na spotkanie swego przedwczesnego końca równie niezawodnie jak ekspres, który pięć lat temu, po odjeździe z Folkestone o godzinie czternastej trzydzieści dziewięć, niepowstrzymanie pomknął wprost ku wyrwie w torach pod Staplehurst.

– Co za idiotyczny pomysł! – usłyszałem męski głos.

– Pomyślałam, że to by mogło być zabawne – odpowiedziała mu kobieta. – Taki wieczorny piknik nad morzem.

Zatrzymałem się niespełna dwadzieścia stóp od kłócącej się pary, ale ukryty za wysokim i grubym marmurowym nagrobkiem, jakby sapseańskim obeliskiem ku czci jakiegoś miejscowego notabla, którego nazwisko (i tak przez mało kogo pamiętane za życia) zostało niemal dokumentnie zatarte przez deszcze i słone nadmorskie wiatry.

– Cholerny piknik na cholernym cmentarzu! – krzyknął mężczyzna.

Nawet najbardziej niezainteresowany (i odległy) przypadkowy słuchacz nie miałby wątpliwości, że nie jest to głos człowieka, który czułby się skrępowany tym, że krzyczy.

– No zobacz, jak ładnie ten… kawał kamienia… udaje stół – zabrzmiał znużony głos kobiecy. – Usiądź, odpręż się, a ja otworzę ci piwo.

– Piwo, do diabła! – ryknął mężczyzna. Dał się słyszeć trzask delikatnej porcelany tłuczonej o wieczny (a przynajmniej monumentalny) kamień. – Pakuj te bety! Nie, czekaj: najpierw daj mi piwo i szklankę, głupia krowo. Kiedy ja teraz coś zjem, co? Jeszcze odpracujesz i zwrócisz mi pieniądze za bilet kolejowy do… Chwila, kim pan… To ty?! Co ty tu robisz?! Co tam masz w rękach… Poduszkę?!

Z uśmiechem zbliżyłem się do niego na odległość dwóch stóp. Ledwie zdążył poderwać się na nogi, nie rozlewając piwa.

Nie przestając się uśmiechać, przycisnąłem poduszkę do jego cherlawej piersi i pociągnąłem za spust rewolweru, który trzymałem z drugiej strony poduszki. Wystrzał był dziwnie stłumiony.

– Co to… – stęknął Joseph Clow.

Zatoczył się kilka kroków wstecz. Wyglądał tak, jakby nie mógł się zdecydować, czy patrzeć na mnie i dymiącą poduszkę w moich rękach, czy spuścić wzrok na swoją pierś.

Na jego taniej, lecz nieskazitelnie białej koszuli rozkwitł pojedynczy szkarłatny kwiat pelargonii. Clow sięgnął do rozpięcia kamizelki i brudnymi paznokciami zaczął słabo drapać tę kwitnącą koszulę, zdzierając z niej guziki.

Przytknąłem poduszkę do odsłoniętego, bezwłosego ciała półtorej dłoni powyżej mostka i strzeliłem jeszcze dwa razy. Obie kule trafiły w cel.

Clow zatoczył się jeszcze kawałek, ale w końcu zahaczył piętami o krawędź leżącej płyty nagrobnej, podobnej do tej, na której mieli jeść kolację. Runął do tyłu, przeturlał się jeszcze i znieruchomiał na wznak.

Otworzył usta do krzyku, ale z jego gardła dobył się tylko bulgot pochodzący, jak sobie uświadomiłem, ze świeżo przebitych płuc. Wytrzeszczone oczy łysnęły białkami, gdy rozpaczliwie rozglądał się w poszukiwaniu pomocy. Długie nogi już drżały mu spazmatycznie.

Caroline podbiegła, przykucnęła obok męża i wyjęła mi dymiącą poduszkę z wcale niedrżących rąk, po czym przyklęknęła i mocno przycisnęła ją do szeroko rozwartych ust i wybałuszonych oczu Josepha Clow.

– Została ci jedna kula – powiedziała do mnie. – Użyj jej. Teraz.

Wcisnąłem rewolwer w poduszkę z takim impetem, jakbym chciał jego lufą wtłoczyć poszewkę i pierze Josephowi Clow do gardła, żeby go udusić. Jego jęki i próby krzyku zostały kompletnie zagłuszone. Pociągnąłem za spust i wierny

rewolwer wystrzelił po raz ostatni. Tym razem rozległ się znajomy (przynajmniej dla mnie – słyszałem go wcześniej w morfinowym śnie) odgłos roztrzaskiwanej kulą czaszki. Jakby ktoś rozłupał olbrzymi orzech.

Butem ugasiłem tlącą się poszewkę.

Caroline patrzyła z góry na czerwono–białą twarz, na wieki zastygłą w strzaskanym grymasie. Jej oblicze było całkowicie nieprzeniknione, nawet dla kogoś, kto znał ją tak długo jak ja.

Oboje się rozejrzeliśmy, oczekując krzyków i tupotu stóp. Podświadomie spodziewałem się, że zobaczę kanonika mniejszego Crisparkle'a sadzącego potężne, męskie susy wśród trawiastych pagórków dzielących nas od katedry i ulicy.

Nikogo nie było widać, nie rozległ się żaden pytający okrzyk. Wiatr wiał tego wieczoru od lądu ku morzu, nie odwrotnie. Bagienne trawy kołysały się w zgodnym rytmie.

– Weź go za nogi – poleciłem półgłosem.

Owinąłem potrzaskaną głowę Josepha Clow ręcznikiem, żeby nie zostawiała śladu z krwi i mózgu. Sam włożyłem wyjęty z aktówki długi żółty fartuch (Caroline przypomniała mi w liście, żebym go ze sobą zabrał; napisała mi nawet w których szufladach znajdę ręcznik i fartuch).

– Żeby nie żłobił obcasami bruzd w ziemi – dodałem. – Co ty tam robisz?

– Zbieram rozsypane guziki z koszuli – odparła przykucnięta Caroline.

Mówiła bardzo spokojnie. Jej długie palce, kształcone w szyciu i grach karcianych, zwinnie tańczyły w trawie, wyłuskując z niej rogowe krążki. Nie śpieszyła się.

Ponieśliśmy ciało Josepha Clow do dołu z wapnem, od którego dzieliło nas około sześćdziesięciu stóp. Był to chyba najbardziej ryzykowny moment całego przedsięwzięcia (ja chwyciłem pana Clow pod pachy, ciesząc się z fartucha, który chłonął wylewającą się z rozbitej czaszki treść; nie miałem tylko pojęcia, skąd Caroline – niosąca go w tej chwili za nogi – wiedziała, że tak będzie), ale mimo że rozglądałem

się na wszystkie strony, nie widziałem nikogo ani na samym cmentarzu, ani poza jego obrębem. Popatrywałem nawet lękliwie w stronę morza, wiedząc, że wilki morskie lubią obnosić się z lunetami.

Nagle Caroline wybuchnęła śmiechem, czym do tego stopnia zbiła mnie z tropu, że omal nie upuściłem naszego brzemienia.

– Cóż cię tak rozbawiło, na litość boską? – wysapałem.

Dostałem zadyszki nie od niesienia zwłok (martwy hydraulik musiał chyba być pusty w środku, tak niewiele ważył), lecz od szybkiego marszu.

– My – odparła Caroline. – Wyobrażasz sobie, jak musimy wyglądać? Ja zgięta wpół jak jakiś garbus, ty w jaskrawożółtym fartuchu, oboje kręcimy głowami na wszystkie strony jak marionetki, którym ktoś poplątał sznurki…

– Nie widzę w tym nic zabawnego – przyznałem.

Dotaszczyliśmy pana Clow na miejsce tymczasowego spoczynku i delikatnie (z całą pewnością zbyt delikatnie, biorąc pod uwagę okoliczności) położyliśmy go na skraju dołu.

– Przyjdzie taki dzień, że zobaczysz, Wilkie – odparła Caroline. Zatarła ręce. – Zajmij się tu wszystkim, a ja wrócę i spakuję rzeczy z pikniku. – Obejrzała się na morze i przeniosła wzrok na wieżę katedry. – To by mogło być naprawdę miłe miejsce na piknik… Aha, nie zapomnij o woreczku z aktówki: trzeba zebrać sygnety, zegarek, monety, broń…

Mimo że miałem w tych sprawach większe od niej doświadczenie (a z pewnością tak właśnie się czułem), faktycznie byłbym zapomniał i zrzucił pana Clow do dołu, nie zabierając mu pierścieni, naszyjnika i medalionu, na który natknąłem się po krótkich poszukiwaniach (zawierał rysunek przedstawiający kobietę, która nie była Caroline), oraz zegarka i licznych monet, których znalezienie za tydzień czy dwa, kiedy bym tu wrócił, byłoby niezwykle trudne lub wręcz niemożliwe. Wszystkie metalowe przedmioty – włącznie z

pustym już i bezsilnym pistoletem Hatchery’ego, za którym wcale nie tęskniłem – błyskawicznie trafiły do płóciennego worka. Dwie minuty później sam Clow zniknął mi z oczu pod powierzchnią wapna.

Wyrzuciłem w głąb bagien metalowy pręt, który od dawna trzymałem ukryty wśród zarośli, i wróciłem na miejsce niedoszłego pikniku.

– Co ty teraz robisz? – spytałem.

Mój głos brzmiał dziwnie. Dyszałem ciężko, jakbym wspinał się gdzieś wysoko w Alpach, a nie spacerował po cmentarzu na poziomie morza.

– Zbieram wszystkie kawałki talerza, który rozbił. To był ładny talerz.

– Na miłość bos…

Urwałem w pół słowa, słysząc dobiegające od strony drogi podniesione głosy. Traktem jechał otwarty powóz, którego pasażerowie – mężczyzna, kobieta i dwoje dzieci – ze śmiechem pokazywali sobie różowe chmury snujące się po niebie na zachodzie, a więc w kierunku przeciwnym do tego, w którym leżała katedra i cmentarz. Ani przez moment nie spojrzeli w naszą stronę.

– Trzeba jeszcze coś z tym zrobić – zauważyła Caroline, wręczając mi brudną, poczerniałą i wciąż dymiącą poduszkę.

Teraz to ja miałem ochotę się roześmiać, powstrzymałem się jednak, bo nie wiedziałem, czy kiedy wybuchnę śmiechem, uda mi się przestać.

– Na Boga, Wilkie, zdejmijże ten żółty fartuch!

Posłuchałem jej, po czym z fartuchem, aktówką i woreczkiem z drobiazgami w rękach wróciłem do dołu z wapnem. Clow zniknął na dobre. Z doświadczeń przeprowadzonych na psich truchłach różnej wielkości wiedziałem, że nawet kiedy na skutek wzdęcia gazami gnilnymi ciało zwiększy swoją wyporność, nie wypłynie na powierzchnię, jeżeli uprzednio zostało dostatecznie głęboko pod nią wtłoczone. Cokolwiek zatonęło w wapnie, tkwiło w nim posłusznie do czasu, gdy postanowiłem je stamtąd wyłowić.

Ale co zrobić z poduszką? Wapno przeżarłoby ją pewnie w ciągu dnia lub dwóch, tak jak zrobiło to z różnymi elementami ubioru, które tu testowałem (guziki, paski – bez sprzączek – szelki, koronki i podeszwy butów były najbardziej oporne), ale nie miałem pewności, że zatonie, a wyrzuciłem już pręt do mieszania i nie zamierzałem go szukać.

Ostatecznie wziąłem solidny zamach i cisnąłem poduszkę w stronę morza najdalej, jak umiałem. Gdyby taka scena znalazła się u mnie (lub u Dickensa) w którejś z powieści sensacyjnych, z pewnością stałaby się kluczową poszlaką i przyczyną zguby mojej i Caroline. Wytropiłby nas jakiś arcybystry odpowiednik inspektora Bucketa, sierżanta Cuffa albo nawet Dicka Datchery'ego. Wspinając się po trzynastu schodach na szafot, myślelibyśmy zgodnie: „Ta cholerna poduszka!" (chociaż ja osobiście nigdy nie włożyłbym takich słów w usta kobiety).

W rzeczywistości jednak żałosna poduszeczka – ledwie widoczna w półmroku, ponieważ księżyc jeszcze nie zdążył wzejść – pofrunęła łukiem ponad sitowiem i pałkami, zniknęła w zaroślach i zatonęła w wodzie i błocku.

Przypomniawszy sobie, od kogo dostałem ten haftowany koszmarek w prezencie, uśmiechnąłem się wreszcie. Kto wie, czy nie był to największy wkład Marthy R. w moje przyszłe szczęście.

Caroline pozbierała odłamki talerza, schowała je do piknikowego kosza i była gotowa do opuszczenia cmentarza. Razem wyszliśmy przez furtkę. Zamierzaliśmy wrócić do Londynu pociągiem o dwudziestej pierwszej trzydzieści, ale nie mogliśmy siedzieć razem ani nawet jechać w tym samym wagonie. Jeszcze nie.

– Spakowałaś i wysłałaś wszystkie rzeczy? – spytałem, gdy szliśmy wąskimi uliczkami starego Rochester w stronę rozświetlonej stacji kolejowej.

Skinęła głową.

– Nie musisz tam wracać?

– Nie mam po co.

– Trzy tygodnie – przypomniałem jej. – Znam adres hoteliku nieopodal Vauxhall Garden, w którym zamieszka pani G.

– Ale żadnego kontaktu z panią G. przed upływem trzech tygodni – szepnęła. Wyszliśmy na szerszą, bardziej ruchliwą ulicę. – Naprawdę spodziewasz się, że będę mogła się wprowadzić już pierwszego września?

– Jestem tego całkowicie pewien, moja droga.

I rzeczywiście, byłem.

Rozdział 53

Przed chwilą, Drogi Czytelniku, niedługo po wschodzie słońca, gdy wyłączyłem lampkę obok fotela, w którym wypoczywam, napisałem taki oto liścik do Franka Bearda:

Umieram. Przyjdź, jeśli możesz.

Pisząc go, nie sądziłem, że już jestem umierający, teraz jednak poczułem się gorzej i lada chwila naprawdę mogę zacząć konać – a dobry pisarz wszystko planuje z wyprzedzeniem. Na przykład, wkrótce może mi braknąć sił, żeby taki list skreślić, więc na wszelki wypadek będę trzymał ten, już gotowy, pod ręką. Nie wysłałem go jeszcze. Caroline nie ma dziś w domu, więc mogę poprosić Marian lub Harriet o wysłanie go do Franka, który jest tak samo stareńki i zmęczony jak ja. Ale nie będzie musiał daleko chodzić: z okna sypialni widzę jego dom.

Pewnie zadajesz sobie teraz pytanie, Drogi Czytelniku, kiedy piszę te słowa? Odpowiem Ci. Odpowiem Ci pierwszy raz od początku naszej długiej wspólnej podróży.

Kończę ten długi, adresowany do Ciebie rękopis w trzecim tygodniu września 1889 roku. Ciężko przechorowałem całe lato (nie przerywając jednak pracy nad niniejszymi wspomnieniami), ale z nastaniem jesieni poczułem się znacznie lepiej. Trzeciego września napisałem do Fredericka Lehmanna:

> *Zasnąłem. Lekarz zabronił mnie budzić. Sen to najlepsze lekarstwo dla mnie, powiada; mówi, że dobrze rokuję. Nie zwracaj uwagi na kleksy – to wina zbyt obszernego rękawa szlafroka. Rękę mam pewną jak zawsze. Żegnaj na razie, drogi stary druhu. Obyśmy doczekali lepszych, zdrowszych dni.*

Jednakże tydzień później do innych moich przypadłości doszła infekcja dróg oddechowych i wiem, że kochany Frank

Beard nie widzi już dla mnie nadziei, chociaż na razie nie mówi mi tego prosto w oczy.

Zapewne zauważysz – lecz mam nadzieję, że mi wybaczysz – rzeczone kleksy w ostatnich rozdziałach rękopisu, który dla Ciebie sporządzam. Rękawy szlafroka naprawdę są zbyt obszerne, a poza tym (przyznam Ci się szczerze, choć wzdragam się z taką szczerością wobec Fredericka, Franka, Caroline, Harriet, Marian i Williama Charlesa) mój wzrok i koordynacja ruchów nie są już takie jak dawniej.

Całkiem niedawno, bo w maju bieżącego roku, kiedy pewien dociekliwy i zuchwały młody korespondent zapytał mnie bez ogródek, czy w plotkach o moim doświadczeniu w długotrwałym przyjmowaniu środków odurzających jest ziarno prawdy, odpisałem mu tak:

> *Od trzydziestu pięciu lat piszę książki i mam zwyczaj łagodzić znużenie wynikające z wytężonej pracy umysłowej (które według George Sand jest najbardziej przygnębiającą odmianą śmiertelnego zmęczenia) za pomocą szampana lub brandy (koniaku). Jeżeli dożyję następnego roku, w styczniu będę obchodził sześćdziesiąte szóste urodziny. Cały czas pracuję nad kolejną powieścią. Oto moje doświadczenie.*

Cóż, w dzisiejszy chłodny dzień, dwudziestego trzeciego września, nie wierzę, żebym dożył stycznia, kiedy to dzwony miałyby uderzyć na moją cześć sześćdziesiąt sześć razy. I tak jednak żyję już pięć lat dłużej niż mój niepijący ojciec i bez mała dwadzieścia lat dłużej niż mój ukochany brat Charley, który nigdy nie używał środków pobudzających mocniejszych niż okazjonalny łyczek whiskey.

Charley zmarł dziewiątego kwietnia 1873 roku. Przyczyną śmierci był rak jelit i żołądka – czyli choroba, którą Dickens zawsze u niego podejrzewał mimo naszych stanowczych sprzeciwów. Jedyną pociechą dla mnie jest fakt, że kiedy biedny Charley poddał się w końcu i odszedł z tego świata, Dickens nie żył już od blisko trzech lat. Gdybym usłyszał, jak chełpi się trafnością swojej diagnozy, nie pozostałoby mi nic

innego, jak zamordować go własnymi rękami.

Czy mam w tym miejscu streścić dziewiętnaście lat, jakie upłynęły od śmierci Pana Niezrównanego? To chyba nie jest warte zachodu, Drogi Czytelniku, a ponadto wykraczałoby poza zakres tematyczny tego pamiętnika. A także, jestem przekonany, poza ramy Twoich zainteresowań. Miało być o Dickensie i Droodzie, i to właśnie najbardziej Cię interesuje, nie zaś skromna i niegodna osoba narratora.

Napiszę zatem krótko: Caroline G. wróciła do mojego domu przy Gloucester Place 90 wczesną jesienią 1870 roku, zaledwie kilka tygodni po… po śmierci Dickensa oraz zaginięciu jej ówczesnego męża.

(Ponieważ matka Josepha Clow przeszła w owym okresie kilka poważnych udarów, nikt właściwie nie przejął się zaginięciem hydraulika i jego małżonki. Owszem, parę osób i instytucji zainteresowało się ich zniknięciem, było to jednak zainteresowanie umiarkowane, ponieważ państwo Clow popłacili zawczasu wszystkie rachunki, spłacili długi, czynsz za swój skromny domek opłacili z góry do końca lipca, po czym uprzątnęli dom z ubrań i wszelkich drobiazgów osobistych i zamknęli na cztery spusty, zanim ktokolwiek zauważył ich nieobecność. W sierpniu dom – wraz ze skromnym, tanim wyposażeniem – został przejęty przez właściciela i nieliczni znajomi państwa Clow doszli po prostu do wniosku, że tęgo popijający robotnik i jego nieszczęśliwa małżonka po prostu się wyprowadzili. Większość przyjaciół pana Clow pomyślała, że pechowiec i jego wiecznie ściągająca na siebie nieszczęście żona przenieśli się do Australii, ponieważ gdy tylko pan Clow trochę sobie podchmielił, miał w zwyczaju zapowiadać taki właśnie niespodziewany wyjazd).

W marcu 1871 roku pani Caroline G. znów oficjalnie trafiła do parafialnych rejestrów jako moja gospodyni. Carrie – zachwycona powrotem matki – nigdy (o ile mi wiadomo) nie wypytywała jej o to, w jaki sposób wyplątała się z chybionego małżeństwa.

Czternastego maja 1871 roku pani „Martha Dawson”

powiła moją młodszą córkę Harriet (nazwaną tak na cześć mojej matki, rzecz jasna). Trzy lata później – w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 1874 roku – przyszło na świat nasze trzecie dziecko, William Charles Collins Dawson.

Nie muszę chyba, Drogi Czytelniku, wspominać o tym, że Martha z każdą kolejną ciążą robiła się coraz grubsza. Po urodzeniu Williama nawet nie próbowała już udawać, że zamierza zrzucić choć trochę cielska, którym obrosła niczym wielkimi połciami słoniny. Zupełnie przestała się troszczyć o swój wygląd. Napisałem o niej kiedyś jako wcieleniu tego rodzaju dziewcząt, które zawsze mi się podobały: „Jest młodą angielską dziewczyną: zgrabną, pulchną, wykarmioną wołowiną". Sęk w tym, że ta karmiona wołowiną pulchność miała łatwe do przewidzenia skutki. Gdyby ktoś kazał mi napisać powyższe zdanie na nowo w roku 1874, ująłbym to tak: „Jest młodą angielską wołowiną: wielgachną, pulchną, wykarmioną dziewczynami".

Jeżeli Caroline G. wiedziała o Marcie R. i dzieciach (zwłaszcza po tym, jak przeniosłem ich na Taunton Place, pod numer dziesiąty, gdzie im żyło się wygodniej, a ja miałem do nich bliżej z domu), nigdy mi o tym nie powiedziała ani nie dała mi tego do zrozumienia. Jeżeli Martha R. wiedziała, że Caroline G. mieszka ze mną przy Gloucester Place 90 (czy też, w późniejszym okresie, przy Wimple Street), nigdy mi o tym nie powiedziała ani nie dała mi tego do zrozumienia.

***

Jeżeli interesują Cię moje dzieje jako pisarza po śmierci Dickensa, Drogi Czytelniku, streszczę Ci je w jednym okrutnym zdaniu: całemu światu wydawało się, że odnoszę wielkie sukcesy, ja zaś przez cały czas wiedziałem, że moja kariera literacka jest jedną wielką porażką.

Wziąłem w końcu przykład z Dickensa i zacząłem występować publicznie na wieczorach literackich. Moi przyjaciele twierdzili, że wypadam na nich doskonale, a ja

wiedziałem (moją opinię potwierdzali zresztą uczciwi krytycy po obu stronach Atlantyku), że na scenie mamroczę bez ładu i składu i ponoszę klęskę za klęską.

Poszedłem za przykładem Dickensa jeszcze w jednej kwestii: po napisaniu książki starałem się jak najszybciej opublikować jej wersję sceniczną. Moje kolejne powieści były coraz słabsze i żadna nie dorastała do pięt arcydziełu, jakim był *Kamień Księżycowy* – nawet jeśli ja sam od lat mam już świadomość, że *Kamień…* żadnym arcydziełem nie jest. A uświadomiłem to sobie podczas lektury niedokończonej *Tajemnicy Edwina Drooda.*

Nie wykluczam, że niechęć czytelników do mojej osoby (bo tak to właśnie należy nazwać, Drogi Czytelniku z przyszłości) zrodziła się już w kilka dni po śmierci Charlesa Dickensa, kiedy to zagadnąłem (całkiem prywatnie) Fredericka Chapmana z wydawnictwa Chapman and Hall z sugestią, że mógłbym dokończyć *Tajemnicę Edwina Drooda,* gdyby taka była ich wola. Dałem im do zrozumienia, że wprawdzie nie istnieją żadne notatki odnoszące się do dalszych losów bohaterów (prawdą jest, że do tej pory nie znaleziono typowych dla Dickensa adnotacji na marginesach i szkiców na temat dalszego ciągu *Tajemnicy…*), ale przed śmiercią autor w zaufaniu zdradził mi (i tylko mnie) swoje dalsze plany. Dlatego byłem skłonny dopisać całą drugą połowę *Tajemnicy Edwina Drooda* w zamian za symboliczną stawkę i zaznaczenie współautorstwa powieści – w podobny sposób, jak miało to miejsce przy naszych poprzednich wspólnych dziełach.

Reakcja Chapmana kompletnie mnie zaskoczyła. Wpadł we wściekłość i wyjaśnił mi, że żaden angielski pisarz, nawet najzdolniejszy (tu dał mi do zrozumienia, że jego zdaniem nie jestem dostatecznie utalentowany), nie byłby w stanie zastąpić Charlesa Dickensa, choćby miał w kieszeni sto gotowych szkiców jego powieści. Napisał do mnie tak:

> *Lepiej, żeby świat nigdy się nie dowiedział, kto zabił Edwina Drooda ani nawet czy Edwin Drood naprawdę*

został zamordowany, niżby umysł pośledniejszego formatu miał podjąć upuszczone przez Mistrza pióro.

Moim zdaniem, ta ostatnia metafora była wyjątkowo pokrętna i groteskowa.

Chapman poprzysiągł również, że nie dopuści do tego, by choć najmniejsza wzmianka o mojej propozycji przeciekła do szerszej publiczności (mnie również zakazał komukolwiek o tym wspominać), tłumacząc to obawą, że

…z miejsca stałby się pan najbardziej znienawidzonym, nieodwołalnie przemądrzałym i nieuchronnie bezczelnym zarozumialcem w Anglii, Imperium Brytyjskim i na całym świecie.

Do dziś nie rozumiem, jak to możliwe, żeby redaktor i wydawca do tego stopnia nie umiał się wysłowić i konstruował tak pożałowania godne, kalekie i kostropate zdania.

Faktem jest jednak, że z tego okresu datują się pierwsze plotki i pogłoski na mój temat. I chyba właśnie wtedy publika znielubiła mnie na dobre.

Poszedłem w ślady Dickensa i w latach 1873–74 udałem się na tournée po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, które – obiektywnie rzecz biorąc – było totalną klapą. Podróże statkiem, koleją i dyliżansem wyczerpały mnie, zanim jeszcze objazd po Ameryce na dobre się rozpoczął. Publiczność amerykańska zgadzała się z publicznością angielską, że moim występom brakuje ikry, a nawet słyszalności. Podczas całego tournée byłem chory, aż osiągnąłem stadium, w którym nawet gigantyczne ilości laudanum (którego znalezienie i nabycie w Stanach okazało się dziwnie kłopotliwe) nie były w stanie przywrócić mi dawnej energii i dać odrobiny przyjemności. Amerykańscy słuchacze byli idiotami. Cały naród składał się ze świętoszków, sawantek i prostaków. Francuzom nigdy nie przeszkadzało, że towarzyszy mi Caroline, natomiast Amerykanie nie posiadaliby się z oburzenia, gdyby w moim orszaku znalazła

się kobieta niebędąca moją żoną – musiałem więc przez długie miesiące znosić podróże, chorobę i cowieczorne upokorzenia na scenie w pojedynkę, bez jej pomocy i wsparcia.

Na dodatek nie miałem takiego Dolby'ego, który organizowałby mi życie na tournée. Jedyny menedżer, jakiego nająłem, żeby nadzorował wystawienie jednej z moich sztuk w Nowym Jorku i Bostonie (była to jedna z kilku zaplanowanych przeze mnie premier), bezczelnie próbował mnie okraść.

W lutym 1874 roku w Bostonie i innych udających miasta pryszczach na rozległej białej plamie, którą nazywają tam Nową Anglią, spędziłem nieco czasu w towarzystwie najwybitniejszych amerykańskich pisarzy i intelektualistów – Longfellowa, Marka Twaina, Whittiera i Olivera Wendella Holmesa – i muszę przyznać, że jeśli to mieli być amerykańscy „luminarze kultury", to płomyk życia literacko–intelektualnego za oceanem naprawdę ledwie się tlił (aczkolwiek podobał mi się wierszowany hołd na moją cześć, napisany i wyrecytowany publicznie przez Holmesa).

Zdałem sobie wtedy sprawę (i nadal uważam, że miałem rację), że większość Amerykanów, którzy tłumnie przybywali na spotkania ze mną i płacili za to, żeby usłyszeć mój głos, robiła to wyłącznie dlatego, że byłem przyjacielem i współpracownikiem Charlesa Dickensa. Nie mogłem się pozbyć jego ducha. Był jak twarz Marleya na kołatce, która witała mnie za każdym razem, gdy przychodziłem pukać do nowych drzwi.

Również w Bostonie spotkałem się z Jamesem T. Fieldsem i jego żoną, bliskimi przyjaciółmi Dickensa. Poszliśmy na wystawną kolację, a potem do opery, ale widziałem, że Annie Fields nie ma o mnie najwyższego mniemania, i wcale się nie zdziwiłem, gdy jakiś czas później przeczytałem w gazecie następująca opinię na swój temat (która, choć spisana na użytek prywatny, szybko trafiła do prasy):

Niski mężczyzna o dziwnej sylwetce, z czołem i

ramionami zbyt szerokimi w porównaniu z resztą ciała. Mówił szybko, jego słowa brzmiały miło, ale nie niosły w sobie ani krzty natchnienia (…) Człowiek uwielbiany i fetowany przez londyńską socjetę, ze skłonnością do przejadania się i opilstwa, wiecznie schorowany, trapiony podagrą – krótko mówiąc, niewybitny okaz rodzaju ludzkiego.

Na dobrą sprawę jedyne przyjemne wspomnienia ze spędzonych w Ameryce miesięcy zachowałem z wizyty u Fechtera – mojego starego znajomego, francusko–angielskiego aktora, ofiarodawcę szwajcarskiego domku Dickensa, zamieszkałego na farmie nieopodal Quakertown w Pensylwanii.

Fechter się rozpił i popadł w paranoję. Dawny aktor charakterystyczny (choć może nie przesadnie przystojny – z tego powodu specjalizował się w czarnych charakterach) roztył się i – w zgodnej opinii znajomych – schamiał. Zanim na zawsze porzucił Londyn, pokłócił się ze swoimi partnerami teatralnymi (którym był winien pieniądze, naturalnie), a z grywającą pierwszoplanowe role Carlottą Leclercq nie tylko się pokłócił, ale także publicznie ją obraził. Kiedy wyjechał do Pensylwanii, żeby tam ożenić się z niejaką Lizzie Price (też aktorką, lecz bez jakiegoś zauważalnego talentu), nikt nie uznał za stosowne napomknąć pannie Price, że Fechter ma już w Europie żonę i dwójkę dzieci.

Zmarł na marskość wątroby w 1879 roku, jako człowiek – jak podkreślono w jednym z londyńskich nekrologów – „powszechnie pogardzany i samotny”. Jego śmierć była dla mnie szczególnie bolesnym ciosem, ponieważ podczas naszego ostatniego spotkania w Quakertown, sześć lat przed śmiercią, zdążył pożyczyć ode mnie pieniądze, których już mi nie oddał.

W zeszłym roku, albo jeszcze rok wcześniej, w 1887… nieważne, w każdym razie niedługo po przeprowadzce z Gloucester Place 90 do domu, w którym teraz żyję (i umieram) przy Wimple Street osiemdziesiąt dwa (trzeba Ci

wiedzieć, Drogi Czytelniku, że Agnes zaczynała krzyczeć coraz głośniej, a ja poważnie wątpiłem w to, czy jestem jedyną osobą, która ją słyszy, ponieważ pani Webb i reszta służby za żadne skarby nie chcieli nawet zbliżyć się do zabitej deskami klatki schodowej), gdy…

O czym to ja…?

Ach tak, w zeszłym roku albo dwa lata temu poznałem Halla Caine'a (mogę tylko mieć nadzieję, że wiesz, Drogi Czytelniku, kim jest… to znaczy, kim był Hall Caine, podobnie jak Rossetti, który nas sobie przedstawił), który długo mi się przyglądał, zanim opisał mnie w sposób następujący (jego spostrzeżenia również ukazały się drukiem):

> *Duże, wychodzące z orbit oczy spoglądały sennym, nieobecnym wzrokiem, jaki widuje się czasem u ludzi niewidomych, a także u osób świeżo potraktowanych chloroformem.*

Nie byłem jednak aż tak ślepy, żeby nie zauważyć, z j aką zgrozą na mnie patrzy.

– Widzę, że nie może pan oderwać oczu od moich oczu – powiedziałem mu wtedy. – Powinienem chyba nadmienić, że podagra robi, co może, żeby mnie oślepić.

Oczywiście, wtedy już od wielu lat używałem słowa „podagra" w zastępstwie słowa „żuk", (a właściwie „skarabeusz"), mając na myśli „insekta Drooda, który wżarł mi się w mózg za obolałymi oczami" i który naprawdę dokładał wszelkich starań, żeby mnie oślepić. Od samego początku.

***

No dobrze… Mój Czytelniku, dobrze wiem, że w nosie masz moją historię, moje cierpienia, nawet fakt, że umieram, mozoląc się nad tą relacją dla Ciebie. Interesują Cię wyłącznie Dickens i Drood, Drood i Dickens.

Od początku wiedziałem, o co Ci chodzi… Czytelniku. Moja

rola w tych wspomnieniach nigdy Cię nie interesowała. Czytałeś je, bo byłeś ciekaw historii Dickensa i Drooda. Drooda i Dickensa.

Zaczynałem je spisywać – dawno temu – w nadziei, że wiesz, kim jestem, i (co znacznie ważniejsze) znasz moje dzieła, czytałeś moje książki, widziałeś moje sztuki. Ale nie, mój przyszły Czytelniku, ja już wiem, że nie czytałeś *Kobiety w bieli* ani nawet *Kamienia Księżycowego,* tym bardziej nie znasz *Męża i żony, Nieszczęsnej panny Finch, Nowej Magdaleny, Prawa i damy, Dwóch przeznaczeń, Nawiedzonego hotelu, Życia łotra, Spadłych liści, Córki Jezebel, Czarnej szaty, Serca i nauki, „Mówię: nie”, Geniusza zła, Dziedzictwa Kaina…* ani *Ślepej miłości,* nad którą teraz tak się trudzę (gdy tylko jestem w stanie pisać), a która ukazuje się w odcinkach w „Illustrated London News”.

Nie znasz ich, prawda?

Wątpię też, byś swojej aroganckiej przyszłości – w której bezkonnym powozem suniesz do księgarni, a następnie wracasz do podziemnego domu tonącego w oślepiającym świetle elektrycznych lamp (a może nawet czytasz w powozie, który ma zainstalowane oświetlenie we wnętrzu – wszystko przecież jest możliwe) albo jedziesz do teatru (mam nadzieję, że macie jeszcze teatry) – czytał lub widział sceniczne wersje *Zamarzniętej otchłani* (wersja, która miała premierę w Manchesterze, nie wyszła bynajmniej spod pióra Dickensa) *Czarnego i białego* (premiera w Adelphi), *Kobiety w bieli* (premiera w Olympicu), *Męża i żony* (premiera w Prince of Wales), *Nowej Magdaleny* (która miała premierę nie tylko w Olympicu, ale także w teatrach nowojorskich w czasie, gdy przebywałem w Ameryce), *Martwego sekretu* (premiera w Lyceum Theatre), *Kamienia Księżycowego* (premiera w Olympicu) albo…

Samo wypisanie tych tytułów wyczerpało mnie, pozbawiło resztki sił.

Tysiące dni i nocy poświęconych pisaniu, mimo niewysłowionego bólu, nieznośnej samotności i potwornego strachu… a Ty, Czytelniku, nie czytałeś żadnej z tych

powieści ani nie widziałeś żadnej z ich adaptacji dramatycznych.

Niech je wszystkie diabli wezmą. Razem z Tobą.

Chcesz Drooda i Dickensa. Dickensa i Drooda. Dobrze. Poświęcę zatem resztki swoich sił doczesnych… jest po dziewiątej rano… i dam Ci Drooda, żebyś go sobie wsadził prosto w swoje włochate dupsko, Czytelniku. Więcej na tej stronie kleksów niż słów, ale nie zamierzam za to przepraszać. Tak jak nie zamierzam przepraszać za język. Rzygać mi się chce tym ciągłym przepraszaniem. Całe moje życie było jednym wielkim ciągiem niezawinionych przeprosin…

Myślałem kiedyś, że umiem zajrzeć w przyszłość – ci, którzy obracają się na dalekich rubieżach nauki, nazywają to „prekognicją” – ale nigdy nie byłem pewien, czy to prawdziwy talent, czy tylko jego namiastka.

Teraz już wiem. Widzę całą resztę swojego życia ze wszystkimi szczegółami i fakt, że potrafię dostrzec przyszłość (chociaż zwykły wzrok coraz wyraźniej mnie zawodzi), wcale nie jest mniej imponujący tylko przez to, że „reszta mojego życia” ogranicza się do niespełna dwóch godzin. Wybacz mi więc, z łaski swojej, że użyję czasu przyszłego. Nie potrwa to długo. Napiszę to teraz, póki jeszcze mogę, ponieważ, patrząc w przód, w to przedpołudnie, ku kresowi mojego życia, widzę także te chwile ostatnie, w których nie będę już w stanie pisać.

***

Drood towarzyszył mi – w taki czy inny sposób – codziennie przez dziewiętnaście lat i trzy miesiące, jakie upłynęły od śmierci Charlesa Dickensa.

Kiedy wyglądałem przez okno w zimną jesienną lub zimową noc, w deszczu majaczył mi zawsze jeden z jego sług – Barris, Dickenson, czasem nawet ten nieżywy chłopak z dziwnymi oczami, Gooseberry – który stał po drugiej stronie ulicy i wpatrywał się we mnie.

Kiedy spacerowałem po Londynie, usiłując zrzucić choć część tej wagi, której teraz pozbędę się dopiero, gdy na mnie zgnije, słyszałem za plecami kroki śledzących mnie ludzi Drooda, a w zaułkach zawsze majaczyły jakieś ciemne sylwetki o błyszczących ślepiach.

Wyobraź sobie, Czytelniku (jeśli w ogóle możesz), jakie to uczucie, znaleźć się w jakiejś zabitej dechami dziurze na końcu świata (powiedzmy w takim Albany, w stanie Nowy Jork, gdzie więcej jest spluwaczek niż ludzi) i wystąpić na wieczorze autorskim w olbrzymiej, ciemnej, lodowatej i pełnej przeciągów sali, gdy na dworze szaleje burza śnieżna. Podpowiedziano mi usłużnie, że szesnaście lat wcześniej w spotkaniu z Charlesem Dickensem w tej samej sali wzięło udział ponad dziewięćset osób. Na spotkanie ze mną przyszło najwyżej dwudziestu pięciu słuchaczy, ale wśród nich, a właściwie ponad nimi, na starym balkonie, na który publiczność nie miała w ten wieczór wstępu, zasiadł Drood: pozbawione powiek oczy nie mrugały, pełen szpiczastych zębów uśmiech nie zniknął ani na chwilę.

A ci amerykańscy prowincjusze dziwili się, że moje występy są pozbawione życia, bezbarwne i przytłumione. Drood, jego sługi i jego skarabeusz wysysali ze mnie życie dzień po dniu i noc po nocy, Czytelniku.

Ilekroć otwieram usta podczas (coraz częstszych) badań u Franka Bearda, spodziewam się, że wykrzyknie: „Na Boga, Wilkie! Olbrzymi czarny żuk całkiem zatkał ci gardło! Ma wielkie szczypce i pożera cię żywcem!”.

Drood był zawsze przy mnie, towarzyszył mi na premierach moich sztuk i przy klęskach moich książek. Zauważyłeś, Czytelniku, jaką grę prowadziłem w tytułach swoich powieści?

Dwa przeznaczenia. Kiedyś miałem jedno, ale Dickens i Drood wybrali dla mnie drugie, inne, bardziej przerażające.

Martwy sekret. To moje serce – martwe dla kobiet, z którymi dzieliłem łoże (ale nie nazwisko) i dla dzieci, które odziedziczyły moją krew (ale nie nazwisko).

Życie łotra. Nie muszę komentować.

Mąż i żona. Jedyna pułapka, której udało mi się uniknąć, mimo że wpadłem we wszystkie pozostałe.

„Mówię: nie”. Całe moje życie.

Geniusz zła. Drood, naturalnie.

Dziedzictwo Kaina. Tylko, czy byłem Kainem, czy Ablem? Kiedyś myślałem o Charlesie Dickensie jak o bracie, ale później jedynym, czego żałowałem przy próbie zabicia go, był fakt, że mi się nie powiodło. Drood odebrał mi tę przyjemność.

Czy teraz rozumiesz… Czytelniku? Czy widzisz, jak okrutnie zadziałała na mnie klątwa Charlesa Dickensa?

Nie wierzyłem i nadal nie wierzę, że Drood był wyłącznie wytworem hipnotycznej sugestii, skutkiem niewinnego kaprysu z czerwca 1865 roku, prześladującym mnie od tamtej pory nieustannie. Gdyby jednak Dickens naprawdę to zrobił, gdyby Drood nie istniał… Jakiż wstrętny i haniebny byłby to czyn. Samym tym uczynkiem Dickens zasłużyłby na śmierć i unicestwienie w dole z wapnem.

Jeśli zaś nie zasugerował istnienia Drooda mojemu nieprzytomnemu i przesiąkniętemu opium umysłowi pisarza podczas zapomnianego (przeze mnie) seansu hipnotycznego w roku 1865, jakim niewybaczalnie wyrachowanym okrutnikiem musiałby być, żeby mi powiedzieć, że jednak to zrobił; że lekarstwem na Drooda będzie kilkuminutowa sesja z huśtającym się zegarkiem, po której proste „Niepojęte” wyrwie mnie z koszmaru, jakim stało się moje życie!

Za to też zasługiwał, żeby umrzeć. Po wielokroć.

Ale nade wszystko… Czytelniku… Dickens zasłużył na śmierć i potępienie, ponieważ – mimo wszystkich swoich braków i niedoskonałości (zarówno ludzkich, jak i pisarskich) – on był literackim geniuszem, a ja nie.

To przekleństwo – ta wieczna świadomość, bolesna i nieodwołalna jak przebudzenie Adama po tym, jak dał się namówić do zjedzenia owocu z Drzewa Wiadomości Złego i Dobrego – było gorsze nawet od Drooda. A nic nie jest gorsze od Drooda.

***

Ślepa miłość. Taki tytuł nosi książka, którą obecnie piszę. Już nawet skończyłem brudnopis. Wiem, że nie pożyję dostatecznie długo, by go doszlifować.

Ale ślepa miłość… do kogo właściwie?

Na pewno nie do Caroline G. ani Marthy R. Moja miłość do nich była tymczasowa, racjonalna i racjonowana, w najlepszym razie niechętna, i zawsze – zawsze! – podyktowana żądzą.

Nie do dorosłych i dorastających dzieci – Marian, Harriet i Williama Charlesa. Cieszę się, że żyją. Niewiele więcej mogę o nich powiedzieć.

Nie do książek ani wysiłku, jakiego wymagało ich napisanie. Nie kochałem żadnej z nich. Były – tak samo jak dzieci – po prostu wytworami mojej działalności.

Ale, na Boga, kochałem Charlesa Dickensa. Kochałem jego zaskakujący, zaraźliwy śmiech, chłopięce niedorzeczności, historie, które opowiadał, i towarzyszące mi zawsze w jego obecności poczucie, że każda chwila się liczy. Nienawidziłem jego geniuszu, który za jego życia przyćmiewał mnie i moje dzieła, a po jego śmierci z roku na rok przyćmiewa mnie coraz bardziej i jestem przekonany, niewierny Czytelniku, że przyćmi mnie także w Twojej nieosiągalnej dla mnie przyszłości.

***

Przez ostatnie dziewiętnaście lat często myślałem o ostatniej historyjce opowiedzianej mi przez Dickensa, w której miał być ubogim młodzieńcem chodzącym po Londynie i karmiącym czereśniami urwisa z wielką głową, którego ojciec niósł na barana. Chłopiec zjadł wszystkie czereśnie, a ojciec się nie zorientował.

Wydaje mi się, że Dickens opowiedział mi tę historię na odwrót. Przypuszczam, że w rzeczywistości podkradał chłopcu czereśnie z papierowej torby. Ojciec się nie

zorientował. Świat również.

Chociaż nie, może tak brzmi moja sekretna opowieść. A może Dickens podkradał czereśnie mnie, niosąc mnie na barana?

Za godzinę poślę Marian z listem do Franka Bearda: „Umieram. Przyjdź, jeśli możesz”.

I Frank oczywiście przyjdzie. Zawsze przychodzi.

Przyjdzie szybko, jego dom stoi po drugiej stronie ulicy. Ale nie zdąży.

Ja będę siedział w swoim obszernym fotelu, tak jak w tej chwili. Pod głową będę miał poduszkę – tak jak w tej chwili.

Na kominku wciąż będzie płonął ogień.

Nie będę czuł jego ciepła.

Przepraszam za kleksy. Naprawdę mam zbyt obszerny rękaw szlafroka.

Światło słońca będzie się sączyć przez okno, tak jak w tej chwili, samo słońce przesunie się jedynie nieco wyżej. Tak jak węgiel w kominku częściowo się wypali. Będzie po dziesiątej. Mimo słońca, w pokoju będzie się robiło coraz ciemniej.

Nie będę sam.

Od początku wiedziałeś, Czytelniku, że na koniec nie będę sam.

Będzie mi towarzyszyło kilka postaci, zbliżając się coraz bardziej, gdy ja – najprawdopodobniej – wciąż będę próbował pisać, lecz moja dłoń będzie już nieczuła, moje pisanie na zawsze skończone i pióro będzie zostawiać po sobie tylko bohomazy i kleksy.

Będzie ze mną Drood, rzecz jasna. Jego język będzie na przemian wysuwał się spomiędzy warg i znikał. Bardzo, tak bardzo, będzie chciał się podzielić ssswoim sssekretem z panem Collinsssem.

Za jego plecami, nieco z lewej, jak mi się wydaje, zobaczę Barrisa, syna inspektora Fielda. Sam Field zresztą również tam będzie, bardziej z tyłu. Obaj obnażą w uśmiechu zęby kanibali. Na prawo od Drooda ujrzę Dickensona, który wcale nie jest przybranym synem Dickensa: jest i zawsze będzie

stworzeniem Drooda.

Dalej będą majaczyły jeszcze inne sylwetki, wszystkie w czarnych surdutach i pelerynach… Będą głupio wyglądać w słabnącym słonecznym blasku.

Nie będę w stanie rozeznać ich twarzy; skarabeusz przeżre mi w końcu oczy na wylot.

Znajdzie się tam jednak – w głębi, całkiem z tyłu – olbrzymia, niewyraźna postać; może to detektyw Hatchery? Z najwyższym trudem dostrzegę potworną wklęsłość pod jego czarną kamizelką i pogrzebowym garniturem, jakby zaszedł w jakąś makabryczną negatywną ciążę.

Ale, Czytelniku (przejrzałem Cię – wiem, że bardziej interesuje Cię to, co teraz napiszę, niż mój los), Dickensa tam nie będzie.

Dickensa tam nie ma.

Za to ja na pewno będę. Już jestem.

Usłyszę kroki kochanego Bearda na schodach, gdy wtem otaczające mnie postaci stłoczą się ciaśniej wokół mnie i zaczną mówić wszystkie naraz, zaczną syczeć, mamrotać, chrypieć i jazgotać, kłębić się, szemrać i bełkotać. Gdybym mógł, zakryłbym uszy dłońmi. Gdybym mógł, zamknąłbym resztki oczu. Ponieważ ich twarze będą przerażające. Zgiełk będzie nieznośny. Sprawią mi ból, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałem.

Zostało czterdzieści pięć minut do tej chwili – do chwili, w której wyślę list do Franka Bearda, a Inni zjawią się tu przed nim – lecz już teraz czuję ten ból. To straszne. Nieznośne. Niepojęte.

Niepojęte.

Przypisy

[1] Dread (ang.) – strach (przyp. tłum.).

[2] Cytaty z *Naszego wspólnego przyaciela* w przekładzie T. J. Dehnela.

[3] Przeł. A. Szpakowska.

[4] Cytat z *Siły przeznaczenia* wg wydania polskiego nakładem M. Orgelbranda, Warszawa 1881.

[5] Cytaty z *Oliwera Twista* w przekładzie A. Glinczanki.

[6] Cytaty z *Tajemnicy Edwina Drooda* Charlesa Dickensa w oparciu o przekład Jana S. Zausa.

[7] Cytaty z Biblii za Biblią Gdańską.

[8] Cytaty z *Kamienia Księżycowego* w przekładzie W. Komarnickiej.

[9] Przeł. S. Boduszyński.

[10] Przeł. Z. Kubiak.

[11] Przeł. S. Barańczak.

[12] Przeł. T. J. Dehnel.

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35

Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Przypisy